

Najwyżej oceniana powieść Alberta Wass,
utwór, który autor cenił najbardziej

ALBERT WASS
CZAROWNICA
Z FUNTINEL

Świat Książki

Spis treści

Okladka Karta tytułowa Karta redakcyjna CZEŚĆ PIERWSZA. Dziewczyna nad potoku Urszu CZEŚĆ DRUGA. Chata na hali Komárnyik CZEŚĆ TRZECIA. Czarownica z Funtinel

ALBERT WASS
CZAROWNICA
Z FUNTINEL

Z węgierskiego przełożyła
Irena Makarewicz

Wydawca
Beata Prokopczyk

Redaktor prowadzący
Elżbieta Kobusińska

Redakcja
Zofia Skorupińska

Redakcja techniczna
Małgorzata Juźwik

Korekta
Maciej Korbasiński, Jolanta Spodar

Original Title: *A funtineli boszorkány*
Text: Wass Albert
© 2011 by Szász Lóránt és örökösei
© 2011 by Kráter Műhely Egyesület. Hungary

All rights reserved
Copyright © for the Polish translation by Irena Makarewicz, Warszawa 2013

Książka wydana przy wsparciu finansowym Nemzeti Kulturális Alap
(Narodowego Funduszu Kultury Węgier)



Nemzeti
Kulturális
Alap

Świat Książki
Warszawa 2013

Weltbild Polska Sp. z o.o.
02-103 Warszawa, ul. Hankiewicza 2

Księgarnia internetowa: Weltbild.pl

Skład
CMYK-DTP STUDIO

ISBN 978-83-273-0410-0

CZEŚĆ PIERWSZA

Dziewczyna znad potoku Urszu

Tam wysoko, ponad rzeką Maros, stoi góra Istenszéke – Tron Boży. Po jednej jego stronie rozgałęzia się potok Galonya, po drugiej płynie potok Bystry, a za nim widać szczyty Gór Kelimeńskich. Oczywiście dzisiaj nawet i tam świat nie jest już taki, jaki był naonczas, gdy Bóg przysiadł, by odpocząć pośród gór. Dzisiaj już nie przychodzi w tamte strony, gdy pragnie odpocząć. Przegnali go ludzie. Odstraszyły piły parowe, zgiełk i krzyki, hałas spowodowany wyrębem drzew, gwizdy lokomotyw; wiele zbudowanych naprędce, byle jak skleconych domów, śmieci, brud, brak spokoju i wszystko to, co wraz z człowiekiem przyszło z dolin.

Dzisiaj już tylko na górskich grzbietach i tam, gdzie biją źródła, wciąż panuje porządek. To tam, w górę, przeniosły się także jelenie i tych kilka niedźwiedzi, które ocalały. Jesienią głosy wielkich byków przenikają poprzez mgłę i słychać je nawet w dolinie. Kiedy harujący przy parowych piłach ludzie je posłyszą, przeciągają po bladych czołach brudnymi rękoma i mają uczucie, jakby coś sobie przypominali.

Ale przed sześćdziesięciu laty jeszcze wszędzie, w dół aż do Maros, był zwarty las. Baron – pan na Vécs – znał jako swoje własne oba odgałęzienia potoku Galonya, potok Bystry razem z górą Istenszéke. Czy były jego? Co roku przez kilka dni – tak. Gdy przychodził w góry jesienią podczas rykowiska, a mieszkający wysoko strażnicy leśni rozpinali dla niego płachtę w pobliżu któregoś z zacisznych źródeł. Albo jak tylko spadł śnieg, a pustą zagrodę na hali Ulmu na trzy–cztery dni zapełniali panowie myśliwi w butach z cholewami, w bekieszach, ze strzelbami, i przy potężnym ogniu pili mocną jałowcówkę, i płynęły opowieści o niedźwiedziach, o dzikach.

Wtedy może i jego był ten las. Ale kiedy indziej, jeśli się komu coś zeń dostało, to mógł to być co najwyżej stary Sándru, baca z hali Ulmu, który od wiosny do jesieni wypasał tam swoje owce. Albo Tóderik, ten znad Bystrego, co miał sidła rozstawione w górę potoku Urszu, aż do siodła pod szczytem Istenszéke, i na targ w dzień świętego Jerzego zanosił Żydom z Régen worki niewyprawionych skór.

Powiadali o tym Tóderiku, że przyszedł z daleka, skądciś spoza gór, i że wiązało się z nim coś mrocznego. Tak mówią ludzie. W długie zimowe wieczory, przy ogniu w piecu, kiedy mężczyźni palą fajki i gapią się w płomienie, kobiety przędą wełnę z dużej kądzieli i wylewa się z nich opowieść o tym, co było.

Z daleka musiał przybyć ten Tóderik, to pewne, bo nie miał w okolicy żadnego krewniaka. I był stary, jak mówią. Gdy po raz pierwszy zobaczyli go w tych stronach, w jego zwichrzoną, czarną brodę wmieszały się już białe nitki, a sięgające ramion tłuste włosy już mocno się przerzedziły.

Nie miał żony, powiadają, przyszła z nim tylko nieduża dziewczynka. Nadszedł z góry, ale nie drogą, jak inni, nawet i nie ścieżką. Przybył do wioski poprzez zwałony płot przy domostwie rodziny Sánta. Ubrany był w wyliniąły serdak z owczych skór, na głowie miał czarny kapelusz z szerokim rondem, jaki noszą mieszkańcy krainy ośnieżonych szczytów. Na plecach gruby, długi kij, na nim przewieszoną sznurkiem baranicę. I dziurawe kierpce na nogach, z których wystawały paznokcie, wielkie i czarne jak u niedźwiedzia.

Dziewczynka szła za nim. Boso. W jednej ręce niosła gliniany dzbanek, w drugiej mały węzełek. Kształtna to była dziecina, może dwunastoletnia wówczas. Głowę przysłaniała jej chustka upstrzona czerwienią. Włosy miała płowe, mówią, że tak jasne, jakich w tamtych stronach nigdy jeszcze nie widziano. Oczy zaś błękitne niczym niebo nad głowami, na szczytach gór. Bo było wtedy akurat lato, czas dojrzewania poziomek.

Niedbały, czarnowłosy mężczyzna przystanął na wioskowej drodze i rozejrzał się. Spod krzaczastych brwi spoglądał w taki sposób, tak mroczno, że można się go było bać. Dostrzegł karcznię i prosto tam skierował swe kroki. Nie przemówił ani jednym słowem, tylko wszedł i usiadł w kącie.

Mówią, że byli w karczmie i inni, co z zaciekawieniem przyglądali się mężczyźnie o potarganych, czarnych włosach, z ładną małą dziewczynką, ale on wcale nie zwracał na nich uwagi. Usiadł, kozuch i kij położył obok siebie w kącie i usadził także dziewczynkę.

Karczmarzem w Dédzie był naówczas brzydki, gruby Ormianin, którego ludzie nazywali Włochatouchym. Ten stał sobie za szynkwasem i czekał, aż gość się odezwie. Jednak tamten milczał, tylko siedział sobie, a przy nim dziewczynka.

Ludzie patrzyli nań, kręcili głowami. Kto chciał co wypić, to wypił i szedł dalej. Po pewnym czasie i Włochatouchy wylazł zza swych półek i mocno posapując, podszedł do obcego.

- No? – zapytał, zatrzymując się przed nim.
- He? – zachrypiął przybyły z góry czarnowłosy człowiek i podniósł wzrok na karczmarza.
- Co potrzeba? – spytał Ormianin.
- Nic.

– Skąd przyszedłeś?

– Stamtąd.

– A gdzie idziesz?

– Nigdzie.

– Nigdzie?

– No!

– Tu zostajesz?

– Zostaję.

– Gdzie?

– Na górze.

– To można – od tej długiej rozmowy karczmarz stęknął i otarł sobie pot z czoła.

– A dlaczegoż by nie można? Hę? Ormianin przyglądał się mężczyźnie.

– Nie pijesz?

– Kto tak powiedział?

– Masz pieniądze?

– Nie.

Milczeli przez jakiś czas, po czym obcy opuścił na stół wielką, węzłowatą pięść i zaczął odliczać na swych czarnych palcach:

– Drewno jest. Woda jest. Ziemia jest. Ogień jest. Węgiel będzie. Potrzeba tu tego?

– Potrzeba – przytaknął Ormianin.

– Kuny są, drewno jest, drut jest – wyliczał dalej ten drugi. – Potrzeba skór?

Ormianin ciężkim krokiem poszedł do swojej dziury, nalał jakiegoś mętnego płynu do brudnego kieliszka, przywłókł się z nim z powrotem i postawił go na stole.

– Na. Jak cię zwać?

Obcy wychylił mętną zawartość kieliszka, wykrzywił usta, odchrząknął, a następnie spojrział w górę w napuchnięte oczy grubego karczmarza i wypowiedział swoje imię:

– Tóderik. A to Nuca, ta tu dziewczynka. Więcej niech cię nie interesuje!

Włochatouchy wzruszył ramionami, złapał pusty kieliszek i w ogromnych włochatych łapciach poczłapał na powrót do swojej nory. Tóderik zaś wstał, szarpnął stołem.

– Słyszysz? Potrzeba mi piły, ale żeby to była dobra piła. Potrzeba mi siekiery, ale żeby to była dobra siekiera. Potrzeba mi topora, ale żeby to był dobry topór. I dziesięć funtów kaszy kukurydzianej. Słyszysz?

Karczmarz spojrział nań, lekko mrużąc oczy.

– Koliba?

– Chata.

– Gdzie?

– To moja sprawa.

Ormianin wzruszył ramionami, podrapał się po tłustym karku i tak powiedział:

– Dostaniesz to jutro.

– He? Postradałeś rozum?! – oburzył się Tóderik. – Dzisiaj! Włochatouchy ponownie wzruszył ramionami, mruknął coś, następnie otworzył niskie drzwi i wcisnął się do izby z tyłu, za szynkwasem. Po jakimś czasie wyszedł z powrotem. Rzucił na stół siekierę, topór i piłę.

Tóderik po kolei brał je do ręki i oglądał. Postukiwał nimi i je obwąchiwał.

– He. Siekiera to siekiera, ale nie jest dobra. Topór to topór, ale nie jest dobry. I piła to piła... a niech to diabli wezmą! Gdzie kasza?

Włochatouchy burknął coś, zdjął z półki wyciosaną z drewna jodły dziwną łopatę i powlókł się do worka stojącego w kącie.

– Woreczek masz?

– Licho mam.

– To jak?

– Daj worek!

– Nie ma.

Brwi Tóderika zmarszczyły się dziko.

– Nie ma? I to ty jesteś tutaj karczmarzem? Czy to borsucza jama, czy wioska? He?

Ormianin wzruszył ramionami i odłożył szufłę na półkę.

– A niech cię!... – mruknął Tóderik i zwrócił się ku dziewczynce. Wtedy odezwał się do niej po raz pierwszy, odkąd weszli do wioski. – Daj no tu ten gałganek!

Zwinne rączki dziewczynki pośpiesznie rozwiązały supeł i chusta rozpostarła się na stole.

– Na. Waż w to.

Ormianin zanurzył w worku olbrzymią drewnianą łopatę, z uwagą i starannością wyrównał na niej kaszę i przesypał do chusty. Raz, drugi raz.

– Na – rzekł. – Zabieraj! Tóderik spojrział nań spod oka.

– To jest dziesięć funtów?

– Tyle.

– Wagi nie ma?

– Ano nie ma.

Coś jeszcze burczał, póki wiązał chustę, po czym oddał ją dziewczynce.

– Na! Żebyś mi tylko nie upuściła!

Potem wziął pod pachę siekierę, topór oraz piłę, zarzucił na ramię kij z kozuchem i ruszył. Ani się nie obejrzał na Ormianina, ani też nie podziękował.

Wyszedł przez niskie, brudne drzwi na zewnątrz i zatrzymał się, patrząc na góry. W czystym świetle gorącego letniego słońca błyszcząły zielenią i tchnęły ciepłem.

– No, jesteś tu? – zwrócił się nagle ku dziewczynce. – To chodź!

Z tymi słowami ruszył w górę potoku Bystrego, wprost na stok.

Kiedy pozostawili za sobą już ostatnią chałupę, raz jeszcze odwrócił się do dziewczynki. Tyle jej powiedział:

– Widziałaś karczmarza? Nie lubię takich, co dużo gadają. Potem już się nie odzywał, tylko szedł. Przez jakiś czas wzdłuż potoku było coś w rodzaju ścieżki, która wiła się tu i tam, tak jak wydeptali ją ludzie i owce. W końcu i ona znikła. Przepadła gdzieś w jarach. Tylko potok huczał pomiędzy kamieniami, drzewa zaś milczały. Ich gałęzie miejscami sięgały białej, spienionej wody. Powietrze było lekkie i przejrzyste, przesycone gorzkawą wonią kwiecica posłonków, rosnących na brzegu potoku. Tu i tam poderwała się ważka. Z obu stron w milczeniu strzegły ciszy olbrzymie buki i wysmukłe jodły.

Długo tak szli. Pod ich stopami miękko ugiął się mech, a poruszany jeden i drugi kwiat kiwał główką. Czasem drogę przecinał im strumyk. Nadchodził, podzwaniając i biegnąc stokiem w dół, śpieszył do potoku. Niósł zapach ocienionych jarów i woń mchu. Chwiejnie przeprawiali się przezeń po nieforemnych, szarych kamieniach. Niekiedy mignęła w wodzie ryba, a dziewczynka długo za nią spoglądała.

W miejscu, gdzie potok Urszu z gniewnym hukiem wpada do Bystrego, a wody źródeł z Istenszéke mieszają się z innymi wodami, Tóderik zatrzymał się. Stał, położył na kamieniu siekiere, topór i piłę, położył kozuch i kij, i rozejrzał się. Także dziewczynka położyła węzełek i postawiła gliniany dzbanek. Jakiś czas czekała, co się stanie, a ponieważ stary nie odzywał się i też nie ruszał się z miejsca, podeszła do potoku i zanurzyła w nim nogi.

– Ojej! – powiedziała cicho, raczej do potoku aniżeli do kogo innego, i już zrzucała z siebie spódniczkę i koszulkę, z głowy czerwoną chusteczkę, aż jej złocistopłowe włosy rozwiały się na wietrze, który wraz z Urszu przysłała tam na dół góra Istenszéke. Dziewczynka ostrożnie weszła do wody. Najpierw tylko do kostek. Następnie do kolan. Potem dalej. Woda łaskotała jej skórę chłodem. Dziewczynka wyrzuciła z siebie bąbelki dźwięcznego śmiechu i zanurzyła się w rwącej, spienionej wodzie.

Tam na brzegu człowiek o potarganych czarnych włosach odwrócił się na ten śmiech. Wręcz ze zdumieniem przyglądał się brązowemu ciałku dziewczynki, gdy na krótkie chwile wyłaniało się spośród białych pian. Przyglądał się, a potem westchnął. Usiadł na kamieniu, przy kozuchu, wsparł głowę na ręce i tak oto patrzył na las.

Dziewczynka trochę się pochlapała w wodzie, położyła po skałach, postąpiła pod kaskadą Urszu, po czym wyszła na brzeg. Na jej skórze lśniły krople wody.

Otrząsnęła się jak szczenię i szybko się ubrała. Mokre włosy związała czerwoną chusteczką, zerwała piękny kwiat posłonka i przypięła go sobie do koszuli.

Stary podniósł głowę i spojrzął na nią.

– Tu będzie dobrze? – spytał niskim, mrużącym głosem. Dziewczynka rozejrzała się wokoło. Dalej, akurat naprzeciw kaskady, troszeczkę wyżej pośród drzew, widać było polanę.

– Tam? – zapytała, pokazując na polanę.

– Tam – skinął głową mężczyzna.

Dziecko ruszyło w kierunku polany. Również mężczyzna podniósł się z wolna i podążył za nią nieśpiesznym krokiem.

Tej niewielkiej polany strzegło kilka szerokich, dorodnych buków, a dalej za nią ciemniały jodły. W trawie tu i tam czerwieniły się poziomki. Słońce prószyło złotym pyłem na trawy i drzewa. Od strony polany dochodziło ciepłe powietrze, niosąc ze sobą przyjemne zapachy. Maleńkie źródelko wypełzło spomiędzy paproci i starało się czym prędzej zniknąć pod drzewami.

– Pięknie – powiedziała dziewczynka i zatrzymała się przy skrajnym buku.

Powyżej źródła w trawie uśmiechało się do niej kilka margerytek. Na jednej z nich siedział duży żółty motyl. Od czasu do czasu kiwał skrzydłami. Jakby z białego kwiatu wyrastał jakiś drugi kwiat, wielki, jedwabiście żółty.

Tóderik też się zatrzymał. Oglądał polanę, drzewa, źródło, niebo.

– Gdzie ma być chata?

Dziewczynka pokazała na żółtego motyla:

– Tam!

Wiatr poczochnął listowie buków. Dotknął lekko i łodyg traw, i kwiatów. Motyl zamachał skrzydłami i uniósł się w powietrze.

– Tam – powtórzyła dziewczynka – tam, gdzie siedział motyl. Człowiek o potarganych czarnych włosach skinął głową. Potem tylko tak stał i bez słowa patrzył za odlatującym pięknym, żółtym motylem, aż ten znikł pośród lśniących koron drzew.

*

Chata została zbudowana.

Powiadają, że to dziwna chałupa. Po pierwsze, nie było w niej jednego jedyne go kawałka żelaza. Jednego jedyne go gwoźdźdza, niczego takiego. Po drugie, dom ten nie był prostokątny, jak się godzi, lecz okrągły. Okrągły niczym ul. Tóderik sam szczypał też gonty na jego wysoki, spiczasty dach. Wyszły szczególnie piękne. U dołu większe, ku górze zaś coraz mniejsze. Wszystkie miały zaokrąglone brzegi, zakończone jak ogon jaskółki. Te najwyżej były już tak małe, jak dłoń dziecka.

Wewnątrz chata miała jedno jedyne pomieszczenie, wielką okrągłą izbę, pośrodku której stał olbrzymi piec z nieforemnych kamieni, coś w rodzaju paleniska, a nad jego szczytem oraz w strychu zrobiono stosowny okrągły otwór dla dymu. Na strych wchodziło się z izby po drabinie, poprzez opuszczane drzwi. Izba miała trzy okna: z jednego był widok ku górze na potok Bystry, z drugiego na dół, przez środkowe zaś widać było z tyłu Macskakó. Mówią, że i te okna były wygięte, dopasowane do wypukłości ściany. Ramy miały z leszczyny, szyby z miki. Drzwi chaty otwierały się wprost na potok Urszu. Kto stanął w progu, mógł sięgnąć wzrokiem wysoko, aż po górę Istenszéke – Tron Boży.

Do budowy domu Tóderik wziął się w połowie lata, a do jesieni już się z nią uporał. W tym czasie przechodzili tamtędy i inni ludzie, przystawali i przyglądali się.

– Dziwną budujesz chatę – mówili.

– No i co z tego! – oburzał się wtedy Tóderik. – Jak się nie podoba, to nie trzeba na nią patrzeć!

Ale jednak każdy, kogo tamtędy wiodła droga w górę na pastwiska, patrzył na nią, bo nigdzie, ale to nigdzie wzdłuż Maros nie widziano tak osobliwej chaty.

Kiedy już i ostatni gont trafił na dach, a na czubku chaty dziewczynka przywiązała bukiet z niebieskich kwiatów goryczki, Tóderik odłożył narzędzia do kąta, wcisnął na głowę kapelusz o szerokim rondzie, wziął do ręki kij, zawiesił na ramieniu zwój porzewiałego drutu i ruszył w górę wzdłuż Urszu. Szedł wolnym krokiem, przypatrywał się ziemi, wodzie, drzewom, gdzieś przystawał, przyglądał się, przez jedną i drugą szczelinę wchodził pomiędzy drzewa, mruczał. Czasem ścinał giętką gałązkę leszczyny i tu i ówdzie ustawiał pętlę. Nim dotarł do miejsca, gdzie w dużym, pełnym ożyn jarze biją źródła potoku Urszu, z drutu ledwie co zostało.

U najwyższego źródła usiadł, poprawił sobie rzemyki przy kierpcach, trochę się jeszcze porozglądał, powęszył tu i tam i zawrócił do domu. Nim dotarł do chaty, słońce zeszło już na spoczynek. Ze zmierzchem pojawił się przymrozek, a wysoko na grzbietach Istenszéke ryczały byki.

Dziewczynka siedziała w kucki przed owym dziwnym paleniskiem i na długim rożnie opiekała pstrągi na kolację.

Tóderik przystanął za nią. Patrzył na ogień, na rożen i na dziewczynkę. Czuł w nozdrzach świeży, ciepły zapach domu i przemówił cicho. Po raz pierwszy tego dnia.

– Ładne ryby złapałaś.

Od rzadko słyszanej pochwały dziecko zarumieniło się i z uśmiechem podniosło nań wzrok. Stary począł kasłać, zmieszany.

– Zręczna jesteś – dodał jeszcze i odwrócił się, jakby zawstydzony, że aż tak się rozgadał.

Ledwie spadł śnieg, Tóderik już pojawił się w karczmie w Dédzie. Położył na stole przed Ormianinem pięć skór z kun i jedną z wydry.

– No – rzekł – zobaczże!

Włochatouchy pomacał skóry, podmuchał w nie, poobracał nimi. Potem spojrzał w górę na belkowe sklepienie, zupełnie jakby odbywał naradę z pajęczynami. W końcu wlepił wzrok w mężczyznę:

– Przyniesiesz jeszcze dwie i będziemy kwita! Tóderik, oburzony, chrapnął jak dzik.

– He? Nabrałyś rozumu! Ani jednej, rozumiesz?! I dasz jeszcze dwadzieścia funtów kaszy kukurydzianej! Dwadzieścia!

Tłusta twarz Ormianina zsiniała.

– Ja? Bodajbym cię nigdy nie spotkał! Co ty sobie myślisz? Za te tu? To mają być skóry?!

I zaczął te skóry popychać po stole; dmuchał w nie, ciągnął je, pocierał i rzucał nimi z gniewnym grymasem. Ale Tóderik tylko milczał i czekał. Wreszcie splunął na podłogę i tyle rzekł:

– Słuchaj no, ty diabelski karczmarzu! Mogę przynieść i więcej. Ale teraz daj dwie miarki kaszy kukurydzianej i pęczek cebuli, dwa funty twarogu i butelkę oleju. Jest zima.

Na to Ormianin wreszcie ucichł. Zebrał skóry i zaniósł je do wewnętrznej izby.

– O tak, widzisz – powiedział Tóderik – nie lubię, jak ludzie tyle gadają.

Z kaszą, cebulą, twarogiem i olejem ruszył ku wylotowi Urszu. Akurat wtedy panowie znów przyjechali na polowanie. Jeszcze w wiosce Tóderik spotkał się twarzą w twarz z długim Mitru, mieszkającym wysoko w górach strażnikiem leśnym pana barona.

– Przyjdź naganiać – rzucił Mitru, przystanąwszy. – Słyszysz? Zjechali panowie. Będzie palinka. O pierwszym brzasku bądź u wylotu Ulmu! Możesz przejść i przez szczyt.

– A niech idzie sobie licho – odburknął Tóderik i odwrócił się na pięcie.

Głos strażnika nabrał ostrości.

– Słyszysz, co mówię? Chata, którą postawiłeś, stoi na ziemi należącej do

pana. To jego las, wszystek. Prosiłeś o pozwolenie na nią, he?

Tóderik splunął.

– Las należy do Pana Boga, nie do twojego pana – rzekł i poszedł swoją drogą.

Ale potem, w nocy, jednak wstał. Dołożył do ognia, żeby lepiej widzieć, następnie zawiązał w chustę dobrą garść kaszy kukurydzianej i zawiesił ten węzełek na kiju. Narzucił na siebie serdak z owczych skór, na głowę wcisnął szeroki, płaski kapelusz i rzucił w kierunku posłania dziewczynki:

– He, Nuca.

Kozuch poruszył się.

– Słuchajże! Idę do panów. Może na parę dni. Słyszysz?

– Słyszę – dziewczynka odpowiedziała cienkim, zaspanym głosem.

– No to dobrze.

Z tymi słowami wyszedł niemrawo.

Drzewa pokryły się szadzią. Nad potokiem unosiła się mgła. Niekiedy zaskrzypiała od mrozu jakaś sucha gałąź. Gwiazdy jeszcze lśniły, ale od wschodu, ponad Tirimią, niebo poczęło już blednąć.

Tóderik wciągnął powietrze i poczuł, że pogoda będzie dobra. Przeszedł przez kładkę. Okorowane kłody choin były śliskie od mrozu. Za potokiem mężczyzna przystanął, spojrzął wstecz i postanowił, że poszerzy kładkę o jeszcze jedną kłodę. Po czym ruszył w górę wzdłuż Urszu, równym, ciężkim krokiem, lecz mimo to wartko. Jak niedźwiedź, gdy udaje się w drogę.

Nim znikła ostatnia gwiazda, Tóderik opuszczał się już z biegiem potoku Kis Galonya. W dolinie stała mgła, a do drzew przymarzył szron i utkał kwietny wzór. Śnieg nie sięgał jeszcze nawet kostki i cicho pojękiwał pod kierpcami.

U wylotu Ulmu zebrali się już mężczyźni. Rozpalili ogień na brzegu potoku i skuleni siedzieli tam wokół niego niczym nastroszone wrony na kupie gnoju. Mogło ich być dwudziestu. Ciężcy ludzie w serdakach z owczych skór, kubrakach z szorstkiej wełny, futrzanych czapach. Był z nimi Mitru i Stefan, strażnik leśny z Ilvy. Mieli strzelby, duże, starego typu, z dłuższymi lufami. Pozostali zaś siekiery do wyrębu lasu albo po prostu kije do chodzenia po górach.

– Przyszedłeś jednak? – butnym tonem zapytał Mitru.

Tóderik nie odpowiedział. Pozostali bez słowa ścisnęli się, żeby zrobić mu miejsce przy ogniu, a przy tym przyglądali się temu dziwnemu, obcemu człowiekowi o czarnych włosach. Któryś wyciągnął flaszkę.

– Napij się! Jeśli panowie ustrzelą niedźwiedzia, każdy dostanie po pół pinty.

Napił się i podał dalej. Palinka połała mu się po brodzie. Już nawet i sam jej zapach sprawiał przyjemność.

– Tu będą niedźwiedzie – powiedział ktoś, pokazując na gęsto zarośnięty iglakami stok. – W tamtym roku też tu były.

– Jeden to na pewno będzie – odparł Mitru. – Wczoraj wszedłem na jego trop. Wielkie bydlę.

– Dałby Bóg, żebyśmy na niego natrafili – rzekł któryś i aż mlasnął, smakując palinkę.

– I żeby jeszcze panowie w niego trafili! – przezornie dodał inny.

Tóderik spojrział w górę na stok; przyglądał się, przyglądał, wreszcie pokręcił głową.

– Tam dzisiaj nic nie będzie – mruknął obojętnie. Strażnicy leśni oburzyli się.

– Dlaczego?

– Bo to od północy. Jak pada śnieg, to wtedy tak. Ale teraz?!

– Bardzo jesteś mądry – zadrwił Mitru – może często tędy chodziłeś! Więc gdzie byś go szukał, skoro nie tutaj?

Tóderik wskazał na przeciwległy stok, biegnący w górę ku Istenszêke.

– Tam. Jest słońce. I są buki. Słońce prześwieca pomiędzy drzewami. Są i żołądź. Ha! Tu po tej stronie można dzisiaj natrafić tylko na dzięcioły i wiewiórki, na te tak. Lecz nie na niedźwiedzia.

Długi Mitru szarpnął za swoje rzadkie wąsy w kolorze konopi. Złość przymarszczyła jego długi, cienki nos i rozchyliła mu nozdrza.

– Hm – rzekł – mędek z ciebie. Przecie i ja wiem, co dają żołądź i słońce. Ale zawsze najpierw tutaj idziemy naganiać.

Tóderik wzruszył ramionami. Ktoś dorzucił do ognia świeżego chrustu. Wysoko podskoczyły iskry.

– A tam pędzimy w drugiej kolejności – dopowiedział jakiś starszy mężczyzna – taki jest porządek.

Więcej już nie rozmawiali o tej sprawie.

Robiło się coraz jaśniej. Mgła zsunęła się nad Maros, a na stalowoniebieskim niebie załśniły promienie słońca.

Zagasili ogień i powoli ruszyli w górę wzdłuż potoku. Co jakiś czas Mitru zatrzymywał któregoś z ludzi.

– Ty zostaniesz tutaj. Kierunek znasz. Dobrze trzymajcie odległość i uważajcie. Panowie obstawili górski grzbiet pod halą. Kiedy słońce sięgnie tamtej skały, niech ruszy nagonka.

– Rozumiem – odpowiadali mu po kolei i stawali z boku.

W pierwszej nagonce rzeczywiście niczego nie było, jedynie mróz. Nie padł też ani jeden strzał. Panowie byli źli i zmarznięci. Wąsów, rzęs całkiem im nie było widać spod szronu.

Przy drugim pędzeniu naganiacze poderwali najpierw stado dzików.

– Hu-hu! Uważaj! Nie przepuść! W górę! Uważaj w górę! Hu-hu! Dziki!

W końcu w trzecim jarze ktoś natknął się na świeży trop niedźwiedzia.

– Niedźwiedź! – wszędzie odbijało się echem ponad potokiem. – Niedźwiedź! Uważaj! W dół!

Później długo nic się nie działo. Gdzieś daleko słyhać było tylko wielkiego, kudłatego psa Mitru, jak ujadał na dnie jednej z kotlinek.

Byli już i za siódmym jarem, kiedy wysoko na grzbiecie Istenszéke, tam gdzie stali panowie, rozległy się pierwsze dwa strzały. Po jakimś czasie kolejne dwa. Jeszcze jeden. Potem znów cisza. Po dłuższej chwili dał się słyszeć pies, który cofał się, szczekając. I w górze ktoś zawołał:

– Wracają dziki! Uważaj! Uważaj pośrodku!

Tóderik też szedł tam pośrodku. Jarem w górę, jarem w dół. W górę – w dół, w górę – w dół, nieprzerwanie. Już od pewnego czasu szedł tropem dzików. Wiedział, że jest ich czternaście, dziewięć młodych i pięć dorosłych. Potem jeden z nich, największy, odłączył się od pozostałych i zakręcił w górę. Tóderik patrzył za jego tropem. Stał akurat na wąskiej grani, a przed nim i za nim były gęste choiny, upstrzone niewielkimi polankami.

Właśnie wtedy doleciały strzały. Po nich szczekanie psów i okrzyki, wysoko. Kilkoma susami znalazł się w górze na skałach, żeby móc zajrzeć głęboko w jar. Po przeciwnej stronie dziki właśnie szły w dół. Policzył je: było ich jedenaście. Dziewięć młodych, dwa dorosłe. Jeden z dorosłych ciągnął z przodu, drugi pozostawał w tyle, całkiem w tyle. Niekiedy nawet zatrzymywał się. To na tego ujadał pies.

– Hu-hu! Hu-hu! Hu-ha! Hu-huuu! – na całe gardło zakrzyknął w głąb dolinki.

Dziki zatrzymały się, a następnie skręciły w dół.

– Idą w dół! Uważaj! Hu-huuu!

W tym momencie coś poruszyło się pod skałą. Coś wielkiego. Sapnęło i przedzierając się, rzuciło się z powrotem.

– A niech cię!... – Tóderik odwrócił się i jeszcze przez moment mógł dojrzeć wielkiego odyńca, który wcześniej oddzielił się od stada, a teraz zniknął z tyłu w młodniaku.

– Sprytny byłeś! – roześmiał się szeroko. – Niech cię Bóg długo zachowa! Nie dostaniesz się panom.

Tymczasem dziki znikły już po drugiej stronie. Tylko ten z tyłu sam jeden zmagął się z psem. Nie mógł iść. Stał obok powalonego drzewa, charczał i szczekał kłami w kierunku psa. Potem nagle zachwiał się i upadł. Jeszcze przeszły go drgawki i więcej już się nie poruszył.

Kiedy Tóderik dotarł tam, pies już nie obszczekiwał dzika, tylko z wywieszonym jęzorem siedział przy nim i od czasu do czasu wgryzał mu się w uwalaną farbą sierść. Zawarczał, gdy zobaczył obcego człowieka.

– No, no – przemówił do niego Tóderik. – No, no. Zostaw. Nie wolno.

Dzik dostał postrzał w brzuch. Był to tłusty dwuletni samiec, w sam raz na słoninę. Śnieg wokół niego uwalany był posoką i taki też był trop, którym dowlókł się tu wcześniej.

Tóderik pomyślał przez chwilę, co powinien zrobić, w końcu jednak wzruszył ramionami.

– Przyjdzie za tobą ten, co cię ustrzelił. Po czym zostawił dzika razem z psem.

Tymczasem znów odezwały się strzelby, ale teraz już w dole. Następnie naganiacze poszli jeszcze dalej, jarem w górę, jarem w dół. Nim pędzenie dobiegło końca, słońce mocno już skłoniło się na stok Görgény.

Panowie ustrzelili jednego niedźwiedzia i trzy dziki. Na ich twarzach malowało się zadowolenie, gdy ochoczo częstowali się nawzajem napitkiem z manierek. Niedźwiedzia trafił baron. Siedział tam na pniaku, z rozstawionymi nogami, w pogodnym nastroju, z szerokim uśmiechem na ustach, i przekomarzał się z hrabią na Gernyeszeg, który chybił, raz za razem, mierząc do dwóch dzików.

– Za krótkie były, co? A niech to licho, słyszysz, Mitru? Dlaczego tych dzików, co je posyłasz przed hrabiego, nie wydłużyłeś przynajmniej o jeden metr? Mitru? Gdzie jest ten drań?!

– Poszedł za dzikiem, którego zranił łaskawy pan Éltető – po wojskowemu zameldował Stefan, strażnik leśny z Ilvy.

Rozpalili ogień dla panów, położyli na śniegu kozuchy i koce, znalazło się coś do jedzenia. Naganiacze odsunęli się nieco dalej. Nie potrzebowali ognia, i tak było im ciepło. Baron kazał ukroić dla każdego wielki jak dłoń kawał słoniny i ćwiartkę chleba. Mieli więc co przeżuwać.

U panów pojawiło się wino i żarty. Pośrodku, na myśliwskim stołku o jednej nodze siedział baron, szeroki, postawny, z siwiejącą brodą, czerwony na twarzy, niemal jak jakiś wesoły, stary bóg krainy ośnieżonych szczytów. Bez bekieszy, w skórzanej kamizeli, a i tę rozpiął sobie na brzuchu, żeby łatwiej było mu się śmiać. Na prawo od niego, na niskim trójnożnym stołku siedział z miną surową jak zwykle zagniewany i zatroskany, chudy hrabia na Gernyeszeg. W sposób wymuszony, siłą niemal przyoblekał twarz w gorzki uśmiech, gdy to jego podszczypywano żartem, i całą uwagę zwracał na pieczony chleb oraz masło, jako że z powodu choroby żołądka, biedaczysko, tylko to mógł jeść.

Z drugiej strony barona, na przytarganym tam kłocu, usadowił się król krainy ośnieżonych szczytów, pan Éltetőđđ. Nie był ani młody, ani stary. Mógł mieć i czterdzieści, i sześćdziesiąt lat. Zwichrzone wąsy dyndały mu do podbródka, a w wytrawioną na brąz twarz mocno wryły się zmarszczki. Spod fałdowanej na sposób węgierski futrzanej czapy z baranicy opadała mu na uszy gęsta, czarna czupryna. Powyżej ostrego, krogulczego nosa iskrzyło dwoje bystrych oczu, w których wyczytać można było gotowość do walki i sporu.

Pozostali usiedli wokół ognia tak, jak się dało. Przybyło ich wielu, i to z każdej części Siedmiogrodu. Więcej aniżeli naganiaczy. Nawet Mitru nie znał ich wszystkich, a przecież już od lat polował z panami.

Jeden z nich zwracał uwagę tym, że trzymał się na uboczu. Był to niski, ciemny młodzieniec. Ubrany w szarą gunię z wełnianego samodziału, jakie noszą zamożni chłopci. Pod nosem sypał mu się puszek przyszłych wąsów. Z lichą jednolufówką siedział na obalonym buku, dalej od ognia i od panów, ale też nie blisko naganiaczy, i zajadał słoninę, którą kroił sobie kozikiem. To syn starego Sándru. Sándru, który dzierżawił pastwiska barona wysoko w górach, wszędzie tam, gdzie były polany i wiatrołomy.

Stary Sándru był zwyczajnym górskim pasterzem, noszącym kierpce i skórzany opasek, ale był też właścicielem dwóch tysięcy owiec. Ze swoimi bacami i juhasami pędził wiosną owce w góry na Ulmu, Jisę, na halę Cég, na Bradulec i gdzie tylko leżały pastwiska barona. Jesienią szedł ze stadem i pasterzami, w dół przez całą dolinę Maros aż do biegu Nyárád i Küküllő, ponieważ tam, w majątkach, można było kupić siano i słomę na zimowy chów. Owiec miał dwa tysiące, a może nawet i więcej, któż to wiedział dokładnie? I sześciu synów. Pięciu zachował jako juhasów, szóstego zaś, najmłodszego, kształcił na pana. Starczało z owiec. W taki to sposób Indrei Sándru stać się mógł Bandiml Sándru, praktykantem prawa w podstarostwie w Szászregén.

Baron lubił starego Sándru, gdyż tamten był człowiekiem porządnym jak rzadko który. I dlatego wspierał też jego syna. Przyszły los zaplanował mu już z góry: gdy nadejdzie po temu pora, młody Sándru zostanie podstarościm, a później starostą. Ale do tego czasu, ilekroć baron ruszał z Vécs z panami na polowanie, posyłał do Szászregén kolaskę po panicza Sándru. Żeby i on wziął udział w polowaniu. Żeby się przyzwyczajał do towarzystwa węgierskich panów. Lubił też z nim żartować, bo miał ten chłopak umysł bystry.

Dokładnie to samo robił akurat i teraz przy ognisku. Mowa była mianowicie o tym, co liczy się bardziej: czy jeśli ktoś ustrzelił niedźwiedzia, czy też raczej dwa dziki. Jedni mówili tak, drudzy inaczej.

– No, bracie Bandi – baron zwrócił się do młodego Sándru – powiedzże, co ty myślisz o tym?

Tamten zaś najprzód wytarł usta, a i podkręcił sobie drobne jeszcze wąsiki, po czym odważnie wyrąbał:

– Ja głosuję za dwiema dzikimi świniami!

– A to dlaczego? – zdumiał się baron.

– Dlatego, że dzik pod każdym względem jest bardziej wytworny od niedźwiedzia.

– Coś podobnego?! – zadziwili się również panowie.

Ale baron już wiedział, że z tego musi się wykluczyć jakiś podstęp, i dlatego

wręcz zachęcał chłopaka:

– Zatem wytłumacz to, żebyśmy zrozumieli, jak się mają sprawy!

Tamten wcale też nie kazał się długo prosić.

– A czyż to nie od łaskawego pana barona słyszeliśmy, i to nawet wiele razy, że z tej czy z tamtej świni zrobiono posła, nadzupana czy akurat ministra? Niedźwiedź zaś jeszcze nigdy nie pełnił żadnego urzędu w swojej ojczyźnie!

– Ej, zmyślny z niego urwis! – panowie śmiali się do rozpuku z udanego żartu i w nagrodę dali chłopakowi pół penty wina, które ten musiał natychmiast wypić.

Tymczasem ściągnięto z góry i niedźwiedzia, i dziki. Panowie powstali, oglądali łup. Cisnęli się tam także wszyscy naganiacze. Mierzyli niedźwiedzia, szacowali wagę dzików. Na cały głos śmiało się wielu kudłatych, spoconych, biednych ludzi, widząc tyle pięknego mięsa. Kiedy będą szli do domu, każdemu z nich dostanie się z niego tyle, ile wejdzie do worka, a jeszcze i po pół penty palinki za niedźwiedzia.

Z tej radości jednemu jednak się wyrwało:

– Czy to aby nie tamten stary miał rację?! Mówił jeszcze na samym początku, że w pierwszej nagonce to nic nie będzie, tylko dopiero w drugiej! Nie wierzył mu Mitru!

Posłyszał te słowa baron i zaintrygowany zwrócił się do naganiaczy:

– Który to człowiek?

– Ten, tu – kilku wskazało na Tóderika – powiedział jeszcze z rana, gdzie trzeba szukać. A przecież nawet nie jest tutejszy. Pierwszy raz tu przyszedł.

Baron zwrócił oczy na Tóderika, przyglądał mu się, wreszcie zapytał:

– Jak cię zwać?

– Tóderik.

– Nigdy nie słyszałem twojego imienia. – Baron pokręcił głową. – Nie jesteś tutejszy?

– Przyszedłem tu latem, panie.

– A gdzie mieszkasz?

– W dole nad potokiem – odrzekł Tóderik, pokazując w kierunku Urszu.

Baron zmarszczył czoło. Coś zaczął sobie przypominać.

– Czekał no! Słyszałem o tobie. Zbudowałeś w lesie jakiś dziwny dom.

Prawda to?

Tóderik wzruszył ramionami i odparł:

– Dla kogo dziwny, dla tego niech będzie dziwny.

– Okrągły, czy tak? Tam do licha!

– Ano taki! Okrągły! Podobny do ula! – wtrącił ktoś spośród naganiaczy.

– No i co z tego? – mruknął gniewnie Tóderik. – Co macie do niego? Jest, jaki jest. Ha!

– Obejrzymy go jutro, gdy będziemy przechodzić na Macskakő – zdecydował baron – ale jeśli twój dom jest brzydki, to musisz go usunąć z mojego lasu, rozumiesz?

Ludzie roześmiali się, Tóderik mruknął coś. Wtedy nadszedł z powrotem Mitru z psem. Spocony i zasapany. Obstąpili go naganiacze.

– No, znalazł się dzik? – zapytał pan Éltető, patrząc nań ponuro.

Wysoki mężczyzna chwilę jeszcze dyszał parą, nareszcie zdjął spiczastą futrzaną czapę i strząsnął z niej śnieg.

– Wróciłem po jego tropie na czubek Ulmu – rzekł, nie patrząc jednak na panów. – Wygląda na to, że dostał w tułów, gdzieś z tyłu. Nie zatrzymał się nigdzie nawet na chwilę. A na czubku Ulmu już ledwie co szła mu farba.

Przenikliwe czarne oczy króla krainy ośnieżonych szczytów obserwowały badawczo twarz strażnika leśnego, aż tamten poczerwieniał i zaczął zdrapywać z kierpców przymarznięty śnieg.

– Farba szła mu z prawego czy z lewego boku?

– Z prawego...

Przenikliwe oczy błysnęły.

– Nie... z lewego... to znaczy... trochę i z prawego, trochę i z lewego... – wyjąkał Mitru, zmieszany, i pocił się jeszcze bardziej niż przedtem.

Pan Éltető, z obliczem niewzruszonym jak skała, przyglądał się strażnikowi. W końcu machnął ręką i odwrócił się.

– Dobrze już, no – mruknął w kudłate wąsy – resztę sam wiem. Lecz jeśli już kłamiesz, to mógłbyś się choć tyle nauczyć, że od trafienia w tułów farba nie idzie ani z prawego, ani z lewego boku, tylko kapie prosto w dół. Czyli posoka jest pod nim. Rozumiesz? Możesz odejść.

Mitru, purpurowy, ruszył chwiejnym krokiem pomiędzy naganiaczy. Tarł czoło i ciskał spomiędzy zębów przekleństwa:

– A niech szlag trafi taką podłą świnię, człowiek tylko się przez nią nachodzi!...

Kiedy dotarli do zagrody na hali Ulmu, szarówka przycisnęła już ośnieżone szczyty. Nad potokiem władzę przejęła mgła. Mróz trzaskał na górskich grzbietach, a gwiazdy, jedna za drugą, z drzeniem wychylały się z wieczornego mroku.

Dla panów urządono nocleg w dużej kolibie. Pośrodku płonął ogień. Z ogromnych polan buczyny biło światło i ciepło, przez całą noc ludzie na zmianę strzegli tego płomienia. Panowie leżeli kołem na kozuchach i okryciach, przy ścianie z belek. Jedli, pili, żartowali z siebie nawzajem. A kiedy rozmowa zeszała w końcu na politykę, wkrótce jeden za drugim posnęli.

Dla naganiaczy pozostał chroniący od wiatru daszek szałas, pod którym latem śpią juhasi. Rozpalili przed nim ogromne ognisko i pilnowali, żeby nie wygasło. W jego ciepłe nawet pozrzucali z siebie kozuchy i tak, w samych

koszulach, leżeli tam na pozostałych z lata wysuszonych młodych gałązkach choiny, ściśle jeden przy drugim, zupełnie jak owce.

Tylko od czasu do czasu coś mówili. O wycinaniu drzew, o dzikich zwierzętach, o krowach, o kobietach, o śmierci. O chorobach, o sprawach panów, o daninie. Rozmowa toczyła się z wolna i leniwie, niekiedy utykała na dłuższy czas, a wtedy słychać było jedynie stękania i westchnienia i jeszcze trzask buczynowych polan, pękających w czerwonych szponach ognia.

Także młody Sándru znalazł sobie miejsce tutaj, przy tym ogniu. Z początku siedział z panami, bo go wołali i chcieli, żeby tam był. Ale potem, gdy rozmowa stała się wolniejsza, po cichu, nie zwracając na siebie uwagi, wykradł się z koliby pod daszek. Ułożywszy się na bekieszy, zapatrzył się w ogień, na igraszki płomieni i na chmurną, piękną zimową nockę. Na tracące ostrość zarysy szczytów i drzew i na gwiazdy w górze, które sypały się niczym iskry z jakiegoś wielkiego ognia wysoko ponad światem. Kiedy w półśnie przysłuchiwał się powolnej, rozwlekłej rozmowie o krowach, o pastwiskach i o wyrębie lasu, było tak, jakby wróciło jego dawne dzieciństwo. Owce, wielkie, opromienione słońcem pastwiska, chłodne, rozgwieżdżone wieczory, zapach żentycy i smak bundzu. Jakieś takie było to wszystko. Leżał pomiędzy naganiaczami i czuł, że to spośród nich się wywodzi. W taki sam sposób siedzieli oni czasami także obok jego ojca, w taki sam sposób rozmawiali, tym samym językiem, tymi samymi słowami, gdy latem droga powiodła ich w górę na pastwiska i zostawali na noc w zagrodzie.

Ta noc była beżmiernie głęboka. Płomień łopotał, wyrzucając iskry, mowa cichła, ludzie zapadali się w sobie pochłonięci własnymi myślami. Cisza rozlewała się niemrawo, niczym wielkie morze pośród gór.

Nareszcie powoli wzeszedł księżyc i zasiadł na szczycie Bradulca. Drzewa przy skraju hali jakby urosły. Pomiędzy pniami przemykały cienie. Dalej, w kotlinach potoku Galonya, stara sowa nawoływała swojego partnera.

Tóderik wolno podsunął się ku Mitru. Pogrzebał kijem w ogniu. Podskoczyły iskry, czerwone ogieńki, i znikły pośród gwiazd.

Strażnik leśny leżał z przymkniętymi oczami, lecz nie było słychać jego oddechu, jeszcze nie spał.

– Wypatroszyłeś?

Głos Tóderika ledwie był mocniejszy od cichego pomruku. Mimo to tamten drugi rzucił w przestrachu:

– Co?

Jego oczy koloru serwatki, teraz wytrzeszczone, znieruchomiały utkwione w Tóderiku.

– Dzika.

Mitru z obawą przebiegł wzrokiem wokoło. Ale nikt ich nie obserwował.

– Milcz!

– No, no...

– To ty tam byłeś?

– Ja.

Przez jakiś czas słyhać było tylko, jak buzuje ogień. I gdzieś daleko, może na Tirimii, zawył wilk. Któryś z naganiaczy nadstawił ucha.

– No proszę... już zaczynają... Przyszła zima – rzekł i westchnął.

Reszta już spała. Powietrze wypełniło się ciężkim sapaniem. Po pewnym czasie Mitru odezwał się ochryłym szeptem:

– Jeden udziec jest twój.

Tóderik znów pogrzebał kijem w ogniu, po czym wstał powoli, podszedł do stosu drewna, wziął kilka polan i dorzucił je do żaru.

– A słonina? – spytał, usiadłszy z powrotem.

Twarz strażnika leśnego ledwie dostrzegalnie drgnęła. Mitru westchnął i odrzekł:

– Tyle, ile zmieści ci się w worku. Wystarczy?

Tóderik skinął głową. Potem położył się i podparł na łokciu. Księżyc opuścił już Bradulec i dyndał wysoko na niebie pośród bezbarwnych mgieł. Błado błyszczał śnieg. Z dołu nadleciał zbłąkany wiatr i przez chwilę można było usłyszeć potok.

– Ale z podbrzusza – dodał jeszcze Tóderik.

Tamten drugi nie odpowiedział. Leżał z twarzą zwróconą ku niebu, usta miał otwarte. Jego szcecinowate oblicze oświetlał ogień, a na wąsy właśnie wtedy upadła mu odrobina czarnego popiołu.

Głęboka była cisza i noc. Ktoś zasiadł na górze Istenszéke, a jego długa siwa broda przykryła mgłą choiny.

Podczas tamtego polowania wielki pan na Vécs rzeczywiście obejrzał dom Tóderika. Zaraz następnego dnia, po pierwszej nagonce. To tamtędy schodzili wszyscy z biegiem Urszu i naraz stanęli naprzeciw okrągłej chaty.

– To ona? – ze zdziwieniem zapytał baron.

– Tak – odpowiedział Mitru, który był tam obok.

– Nie ma w niej ani jednego gwoźdźcia – rzucił któryś z naganiaczy – cała jest zrobiona z samego drewna.

Baron przeszedł przez kładkę. Za nim pan Éltető. Buty o podmarzniętych podeszwach ślizgały się na okorowanych kłodach, hrabia na Gernyeszeg nawet nie próbował wejść na te kłody. Nie odważył się.

– Skoro robimy nagonkę na Macskás, to i na dole musi ktoś zostać – zaczął swoją bajeczkę.

– No chodź tu, na drugą stronę! – rzucił baron, skinąwszy ręką. – Mitru, pomóżcie panu hrabiemu!

We dwóch go schwycili i tak oto ponieśli biedaka. O mało co, a wszyscy

trzej wpakowaliby się do Bystrego.

Przy okrągłej chacie wybuchł śmiech. Lekki, wesoły chichot, jak dzwoneczki.

Wszyscy spojrzeli w tamtą stronę. W drzwiach stała dziewczynka o płowych włosach i zielonkawobłękitnych oczach i śmiała się.

– To twoja córka? – spytał baron Tóderika.

– Moja.

– Piękne dziecko. A żona?

– Nie mam.

Dziwnie to powiedział, wydawszy pomruk niczym niedźwiedź. Baron popatrzył nań, ale o nic więcej nie zapytał. Podszedł do domu, pogłaskał płową główkę dziewczynki, potem dokładnie obejrzał chatę z zewnątrz i wewnątrz.

– Dziwny dom – rzekł – do diaska, bardzo dziwny. Gdzie się nauczyłeś takie budować?

Tóderik wzruszył ramionami i odrzekł:

– Nigdzie.

Kiedy naganiacze zaczęli się już zbierać, żeby ustawić się wzdłuż Bystrego, a i Stefan ruszył, żeby wydeptać panom ślad w górę aż do siodła na Macskás, baron raptem wyprostował się, zmarszczył czoło i surowo fuknął na Tóderika:

– Do domu nie mam zastrzeżeń, ale posłuchaj: postawiłeś go w niedobrym miejscu! Kto wybrał to miejsce?

Tóderik powoli obrócił głowę i spojrzał na dziewczynkę. Dziewczynka na niego. Wreszcie przemówiła dziewczynka, z wielką powagą:

– Ja... to znaczy... żółty motyl...

Baron jeszcze bardziej zmarszczył czoło.

– Mnie się on tutaj nijak nie podoba, słyszysz? Przenieś go... o tam, na przeciwną stronę! Rozumiesz? Do jutra ma być tam!

Tóderik stał. Dziewczynka wielkimi oczami gapiła się na barona. Naganiacze szczyrzyli zęby. Ale spośród panów nikt nie roześmiał się w głos, nikomu nawet nie zaigrał na twarzy uśmiech. Wszyscy twardo i surowo patrzyli na Tóderika, zupełnie tak samo jak baron.

– Nie zrozumiałeś? Na jutro masz go przenieść na drugą stronę! A jeśli nie, każę to wszystko zburzyć!

Po tych słowach zapadła śmiertelna cisza. Tóderik z wolna podniósł głowę i popatrzył baronowi prosto w oczy. Głęboko zapuścił wzrok.

Wreszcie machnął ręką i odwrócił się. Wówczas odezwał się młody Sándru:

– Hej, człowieku! Poproś łaskawego pana barona, żeby ci pożyczył swoje dwa bawoły, którymi mógłbyś przeciągnąć tę chatę!

Śmiech wybuchł wśród panów, ale naraz w tę ich wesołość wciął się płacz dziecka. Płakała dziewczynka. Zrozpaczonym, rozdzierającym serce dziecięcym

szlochem.

Baron spoważniał i podszedł do dziecka.

– Nie płacz, no! Czyżbyś tak bardzo kochała tę brzydką chatę? Wyciągnął rękę, żeby pogłaskać płową główkę, lecz dziewczynka nagle wyprostowała się i uderzyła go w tę rękę. Jej zalana łzami twarz płonęła z gniewu.

– Nie dotykaj mnie! Jesteś złym człowiekiem! Złym!

Baron w zdumieniu patrzył na zagniewane dziecko. Wielu spośród panów śmiało się.

– Popatrz no, jak mały żbik! Ależ jest wygadana! Będzie z niej dobra żona! A co dopiero teściowa!

Wtedy podszedł tam młody Sándru, przykucnął obok dziewczynki, chwycił ją za szczuplutkie ramionka, spojrzał jej w oczy i tak powiedział:

– Nie płacz, no! Przecież pan baron tylko żartował. Nie chce zniszczyć waszej chaty, no przecież, że nie. Lepszego od niego człowieka nie ma w całym kraju! Jeśli przestaniesz płakać, przyniosę ci wiewiórkę!

– Naprawdę? – zapytało dziecko, spoglądając nań z powagą.

– Naprawdę – obiecał młody Sándru i pogłaskał dziewczynkę po główce. – Ale powiedz mi, gdzie kupiłaś takie złote włosy, co?

– Nie wiem – odparła, a na jej twarzyczce pojawił się uśmiech. – Kiedy przyniesiesz wiewiórkę?

– Przyniosę, nie bój się. Ale musisz jeszcze dać mi za nią całusa.

– Teraz?

Już się śmiała. Trochę fałszywie, tak jak duże dziewczyny. Dwoma małymi ramionkami objęła młodzieńca za szyję.

– Jednego teraz, a drugiego, gdy ją przyniosę.

Panowie roześmiali się i żartując, ruszyli za Stefanem w górę. Baron pogrzebał w kieszeniach skórzanej kamizeli i wyciągnął srebrnego forinta.

– Masz – podsunął go dziewczynce – na wyprawę.

Dziecko szeroko rozwartymi oczami wpatrywało się w migoczącą srebrną monetę.

– Weź ją, no – zachęcał Bandi Sándru – i pocałuj w rękę łaskawego pana barona! Widzisz, jaki to dobry człowiek? Pocałuj go szybko w rękę!

Dziewczynka zaśmiała się dźwięcznie.

– Jacy jesteście dziwni! Dlaczego mam go całować w rękę, skoro jest dobrym człowiekiem? W rękę całuje się tylko księdza!

I już podskoczyła do barona, dwiema małymi rączkami schwyciła go za szyję i pocałowała w nalaną, pokrytą zarostem twarz.

Wielki pan przez chwilę pozostał tak, pochylony. Dużymi, ciężkimi rękoma i on objął dziewczynkę. Może myślał o swym jedynym synu, który mógł mieć akurat tyle samo lat, gdy umarł. Ale to wydarzyło się już dawno, dawno temu. Od

tamtej pory dziecko nie całowało jego twarzy.

Wreszcie szybko wyprostował się, pogłaskał płową główkę i szepnął:

– Zmykaj do środka, przeziębisz się.

Odwrócił się, szarpnął rzemieniem strzelby i ruszył spieszenie za Stefanem w górę, na Macskás.

Młody Sándru jeszcze zaśmiał się do dziewczynki:

– Tylko żebyś mi była grzeczna!

Dziecko stało przed drzwiami boso w śniegu, z nieznaną srebrną monetą w dłoni. Czystymi zielonkawobłękitnymi oczyma patrzyło na oddalających się myśliwych i zawołało za nimi:

– Tylko żebyś mi nie zapomniał o wiewiórcie!

Głosik dziewczynki w dźwięcznych podskokach pobiegł przez całą polankę, tańcząc od jednego drzewa do drugiego niczym jakaś niewidzialna, mała rusałka w srebrnej szacie. Aż wchłonęły go pokryte śniegiem wielkie jodły u podnóża Macskakő.

Ostatniego dnia tamtego polowania, wysoko w środkowym jarze Tirimii, pan Éltető, król krainy ośnieżonych szczytów, ustrzelił starego niedźwiedzia z kołnierzem. Monstrualnie wielkie zwierzę trafił w pierś, a mimo to miało ono jeszcze tyle siły, żeby się odwrócić i niszcząc wszystko po drodze, zupełnie jakby to głaz toczył się w dół, rzucić się w gęstwę kotliny.

Jeszcze nie całkiem skończyła się nagonka, kiedy pan Éltető ruszył zakrwawionym tropem. Drogę niedźwiedzia grubo znaczyła spieniona, jaskrawoczerwona posoka. Pan posuwał się w dół ze strzelbą w dłoni, ostrożnie. Od czasu do czasu przystawał i obserwował gęstwinę przed sobą. Młode choiny rosły tam tak ciasno, że widać było ledwie na kilka kroków.

Niedźwiedź stoczył się pod jedną ze skał. Już nie żył. Leżał nieruchomo, podobny do wielkiego czarnego kłębu, tak jak padł na śnieg głową w przód.

Pan Éltető oparł strzelbę o drzewo, zrzucił bekieszę i zabrał się do roboty. Wyciągnął zwisający u pasa wąski nóż do zdzierania skóry i zaczął szybko oprawiać niedźwiedzia. Ciało zwierzęcia było jeszcze ciepłe, skóra schodziła zeń lekko.

Ledwie uporał się z prawą przednią nogą, gdy w gęstwinie za jego plecami coś się poruszyło. Pan wyprostował się i nasłuchiwał. Ale jedynie przez kilka chwil. Bo poznał z odgłosów przedzierania się, że to był człowiek. Dalej więc zdzierał skórę.

Po krótkiej chwili usłyszał, że ów człowiek wyszedł na skałę. Stał tam, nareszcie ruszył w dół. Pan Éltető nie odwrócił się, żeby sprawdzić, kto to. Nie mógł to być nikt inny, tylko któryś z naganiaczy. Słyszał, jak dotarł na dół i stanął z tyłu. Potem podszedł całkiem blisko, pochylił się i chwycił za tylną nogę niedźwiedzia. W wielkiej, ciemnej ręce załśnił zakrzywiony kozik i w mgnieniu

oka rozciął wzdłuż całą skórę, od łapy aż po brzuch.

Dopiero wtedy pan spojrział na owego człowieka. Był nim Tóderik. Przycupnął przy niedźwiedziu, ponuro i bez słowa, i zdierał zeń skórę. Czynił to z taką niemal czarodziejską wprawą, że przykuło to uwagę pana Éltető.

– Dużo skór musiałeś już zedrzeć, co?

Tóderik pozostał zgięty i jedynie odbłysnął oczami w jego kierunku. Ręka wcale mu się nie zatrzymała.

– Nie powiem, że nie.

Potem obaj pracowali dalej bez słowa. Gdy uporali się już z czterema nogami, a łapy, pazury i wszystko zostało oprawione, dopiero wtedy człowiek znad potoku Urszu wyprostował się.

– Piękny niedźwiedź – powiedział i splunął.

– Ujdzie – mruknął pan Éltető i zabrał się do głowy zwierzęcia. Kiedy z nią skończył, Tóderik już w całości zdał resztę skóry. Wielkie zakrwawione ciało leżało na plecach, z ramionami i nogami sterczącymi w górę jak obdarty ze skóry ogromny człowiek. Obaj mężczyźni obmyli w śniegu noże, ręce, i wciąż jeszcze nie przemówili ani jednym słowem. Potem Tóderik przywiązał do swojego kija wielką czarną skórę – wisiała na tym kiju niczym spory kozuch juhasa – i ruszyli w górę. Z przodu pan, za nim Tóderik.

Gdy wydostali się z gęstwiny i widać już było połoninę, pan Éltető zatrzymał się na moment, żeby odsapnąć. Odwrócił się, popatrzył na Tóderika i tyle rzekł:

– Lubię takich ludzi, co szanują słowo.

Tóderik nie wziął tego za pochwałę. Obojętnie skinął głową, strzepnął z siebie śnieg i poprawił czarny kapelusz na głowie.

– Wiele gadania to bieda – mruknął, lecz tego pan może i nie dosłyszał, bo wtedy już znów deptał śnieg w górę ku połoninie.

Wieczorem, kiedy byli w drodze do domu i ciągnęli połoniną w dół, wszyscy zmęczeni, milczący, król krainy ośnieżonych szczytów wystąpił z grupy panów i poczekał na naganiaczy, a pośród nich na Tóderika.

– Słuchaj – rzekł i zajrzał mu w oczy – możesz przyjść do mnie na strażnika leśnego, co mieszka wysoko w górach. Dostaniesz strzelbę, a i ordynaria, jak to jest w zwyczaju.

Naganiacze, którzy to posłyszeli, rozdziawili gęby ze zdumienia i nawet ślina im z nich pociekła. Była to wielka sprawa, aż nie do uwierzenia, że pan Éltető osobiście powiedział komuś, żeby został u niego strażnikiem leśnym. Bo to diabelnie twardy pan, o tak, i nim się z kimś wdał choćby w rozmowę, przejrzał człowieka na wylot, tak jak ogląda się czapkę na targu. No i ogromny był to zaszczyt zostać strażnikiem leśnym. W dodatku u samego króla krainy ośnieżonych szczytów, wielce szlachetnego pana Éltető! Strażnikowi należy się strzelba, może handlować drewnem, skórami, mięsem, czym chce. Pierwszego dnia każdego

miesiąca dostaje swoją kukurydzę na kaszę, nie musi za nią nawet kiwnąć palcem. Tylko wsypuje mu się ją do worka i jeszcze też natychmiast miele. Jedyne co musi, to po nią pójść do dużego młyna wodnego u wylotu Jód. Począwszy od tamtego miejsca wszystko za Maros należało do panów Éltető, może nawet i sam Pan Bóg. Ludziom aż serca zamarły, że tego obcego człowieka znad potoku Urszu spotkało takie szczęście. Zupełnie jakby opowiadały o tym dzieciom, przy piecu, jakieś stare kobiety, baby. Że biedny człowiek, a że król, i to, i tamto. Z takiego gołodupca naraz strażnik leśny! I na dodatek u takiego wielkiego pana!

Lecz Tóderik jakby wcale nie rozumiał, o jakież to szczęście się potknął. Wielu wręcz osłupiało, usłyszawszy, jak wzruszając krzywymi ramionami, taką oto dał odpowiedź:

– Dziękuję, panie. Nigdzie ja nie pójde.

Jeden, co stał obok niego, szturchnął go w przetrachu, tak jak szturcha się dziecko.

– Nie słyszysz, głupi? Jego wielmożność szlachetny pan chce, żebyś został strażnikiem leśnym, strażnikiem ze strzelbą!

Tóderik znów tylko wzruszył ramionami, spojrział w górę na pana, wprost w jego oczy, i rzekł:

– Wybacz mi, panie, wierzę, że masz wiele lasów i jesteś wielkim panem. Ale ja jeszcze nigdy w życiu nie byłem sługą u innych i nigdy też nim nie będę. No. Niech się pan za to nie gniewa, ale tak to już jest.

Przez kilka chwil pan w zamyśleniu przyglądał się temu obdartemu, ciemnemu człowiekowi, przybłądzie, nareszcie cichym, niskim głosem tylko tyle rzucił spod wąsów:

– Dobrze już, no. Ale posłuchaj: kiedykolwiek... rozumiesz? Kiedykolwiek w tym życiu zmienisz zdanie, to po prostu przejdiesz do mnie przez Maros i będzie dla ciebie miejsce. Co rzekłem, to rzekłem.

Z tymi słowami pan Éltető odwrócił się i ruszył połoniną w dół za innymi. Nawet się nie obejrzał, nie przemówił ani słowem aż do Ulmu, od Ulmu do Maros, od Maros do samego domu.

Za to naganiacze krakali nad Tóderikiem niczym wrony:

– Rozum ci odebrało ze zmęczenia? Albo z głodu? Albo z zimna? A może ty nigdy nie miałeś rozumu, co? Że też szczęście wybiera sobie akurat takiego oberwańca! Taki urząd trafia się raz w życiu, a i to jednemu na tysiąc! Czyż pan podstarości jest tak wielkim panem jak strażnik leśny? Temu to nikt nie rozkazuje, ani podżupan, ani nawet żupan, tylko jego własny gospodarz, a i ten jedynie wtedy, gdy przychodzi polować! Strażnik leśny może sobie brać, ile chce! I do tego akurat u pana Éltető! Nigdzie nie ma takich brzoź na dyszle, takich jesionów na klepki, takich klonów, lip, buków na narzędzia!... I wszystko łatwo jest ściągnąć w dół, nie trzeba się przy tym natrudzić tyle, co dajmy na to tu, przy Galonyi! Potrzeba do

tego tylko jednego marnego konia, nic poza tym. Ej, Tóderik, Tóderik, goń za wiatrem i proś, żeby oddał ci rozum, który ci skradł!

Tak dręczyli się ludzie z powodu Tóderika. Wypluwali z siebie własną zazdrość, złość, że to nie ich wybrał pan, tylko tego przybłędę, tego głupka, który nie wie nawet i tego, co począć z własnym szczęściem.

Tóderik słuchał ich przez jakiś czas, w końcu przystanął i zwrócił się twarzą do naganiaczy.

– No to posłuchajcie – rzekł i wbił kij przed sobą w śnieg. – Ja nie mówię, że człowiek urodził się na to, żeby był porządny. Bo człowiek kradnie. Z tego właśnie żyje, co ukradnie. Jak lis czy wilk. Czasem Bogu, czasem ludziom, ale mimo wszystko najwięcej Bogu, bo wszystko należy do Boga, a nie do ludzi. Lecz kto przystanie jako sługa, czeladź do jakiegoś pana, gospodarza, od którego dostaje zapłatę, ordynaria, pieniądze i wszystko, żeby mógł żyć, a jeszcze mu kradnie, to to jest tak podły człowiek, tak łajdacki złodziej, że nawet sam diabeł wstydy się podać mu rękę! He? No, powiedzcie coś jeszcze!

Z tymi słowami wyciągnął kij ze śniegu i ruszył za Mitru, żeby mu pomóc ściągnąć dzika do potoku i zabrać sobie szynkę oraz należną część słoniny.

Dopiero nocą dotarł do domu. Niebo nad Bystrym pełne było gwiazd. Po obu stronach las stał niczym dwie nieruchome, czarne ściany. Śnieg skrzypiał pod kierpcami.

Na kładce Tóderik zatrzymał się na chwilę. Podniósł wzrok ku gwiazdom, następnie posłuchał wody szumiącej mu pod nogami. Pokręcił głową, nawet i coś mruknął. Z góry nadleciał rześki wiatr, zaskrzypiało od niego kilka drzew. Tóderik poczuł, że zimno wsuwa mu się pod serdak z owczych skór, ruszył więc, przyspieszywszy kroku.

W chacie panował mrok. Pchnął drzwi. Z pieca spojrzało nań czerwone oko żaru. Wewnątrz ciepło miało zapach dymu. Nic a nic się nie poruszyło, ale on mimo wszystko burknął do tego niczego:

– Rzuć na ogień nieco chrustu, żebym mógł widzieć.

W ciemności zaszeleściła sucha słoma, potem trzasnęło kilka drobnych gałązek. Po chwili rozgorzał żółty ogień.

Tóderik cisnął na stół szynkę, wyjął z worka słoninę i ją też tam położył. Na koniec postawił flaszkę z palinką.

– No – powiedział – tyle.

Dziewczynka stała przy ogniu w samej koszuli. Światło przenikało przez płótno, ukazując zarys chudych ud. Odblask roznieconego ognia odbijał się rudymi refleksami na potarganych włosach dziewczynki.

– Co było? Jak było?

Tóderik spojrzał na dziecko, następnie postawił w kącie kij, powiesił na haku kapelusz i zdjął serdak z owczych skór. Kiedy rozwiązywał sobie kierpce,

z wielkim trudem wydobyły się z niego takie słowa:

– Co było? Nic. Ludzie.

Następnie wyjął z faski garstkę twarogu, odłamał kawałek mamałygi i poszedł z tym na swoje legowisko. Długo słyhać było jedynie, jak mlaska. Także dziewczynka wślizgnęła się z powrotem pod kożuch, ogień bowiem zaczął przygasać i wkrótce już tylko jego żarzące się oko świeciło w ciemności czerwienią. A kiedy i to oko zaczęło zanikać w popiele, dziecko odezwało się ponownie:

– Powiedz, co to znaczy „baron”?

Ale nie usłyszało już odpowiedzi. Noc przydusiła świat.

Tuż przed Bożym Narodzeniem, gdy saniami Mitru pojechali na targ w Régen sprzedać skóry, za forinta od barona Nuca kupiła sobie niebrzydkie buciki z cholewkami, a i na chustkę jeszcze starczyło z tego, co jej zostało.

Mitru wioził cały worek futer, Tóderik tak samo. Były tam skóry z kuny, lisa, tchórza, wydry, a nawet żbika. Podczas targu w Régen Żydzi płacili za futra srebrnymi monetami, wiedział o tym każdy, kto wędrował krainą ośnieżonych szczytów. Na saniach Mitru znalazła się i skóra z niedźwiedzia, dobrze ukryta pod słomą. Miastowi myśliwi chętnie kupowali coś takiego. Żeby zawiesić na ścianie, pochwalić się. Mitru brał to pod uwagę, wyznaczając za to cenę. Kazał płacić z góry także za sławę i chwałę.

W powrotnej drodze zatrzymali się pod zamkiem w Vécs, żeby napić konia.

– Tu mieszka jego wielmożność pan baron. – Mitru pokazał w górę na strzeliste kamienne mury, które posepnie, w milczeniu panowały wysoko na wzniesieniu, trzymając pieczę nad szeroką doliną Maros.

– Ale wielki – rzekł Tóderik, podniósłszy wzrok na zamek, i splunął. – Temu, co go budował, życie musiało się uprzykrzyć!

Nuca szeroko otwartymi oczyma przyglądała się tej wielkiej budowli z wieżami.

– Takich wielkich domów to i w mieście nie ma, prawda, tata?

– Takie widziałem kiedyś koszary – stary machnął ręką – ale to było dawno temu.

Koń napił się, Mitru odwiesił już na miejsce wiadro i akurat męczył się z wędzidłem, kiedy z bramy zamkowego ogrodu, głośno pobrzękując dzwonkami, wykręciły sanie zaprzężone w cztery bułane klacze. Na koźle przeżył się woźnica z wielkimi wąsami, w czarnym kożuchu z czerwonym szamerunkiem. Na zdobionej srebrem uprząży wiatr targał lisimi kitami, przybranymi czerwoną wstążką. W połyskujących czarnym lakierem saniach siedział pośród futer jakiś człowiek.

Mitru zerwał z głowy czapkę, zamachał nią i zakrzyknął tak głośno, że aż koń w pierwszej dwójce z prawej strony uciekł w bok:

– Niech żyje łaskawy pan baron! Niech żyje!

Woźnica przeklął i mocno trzasnął z bicia pomiędzy spłoszone bułany. Baron tyle że nieco uniósł rękę, a sanie już ślizgały się dalej i wnet całkiem znikły za zakrętem drogi.

Mitru z powrotem wcisnął czapkę na głowę, uporał się z wędzidłem, naciągnął na ręce uszyte z owczych skór rękawice z jednym palcem i wsiadł do sań. Za nim, z tyłu w słomie siedziała skulona dziewczynka, wciąż jeszcze jak skamieniała, i patrzyła w ślad za tym cudownym zjawiskiem, które tylko co przemknęło.

– To był baron?... – szepnęła, jakby się czegoś bała. – Myślałam, że baron to ten, który dał mi pieniądze...

– To był ten sam – zaśmiał się Mitru i wziął do rąk cugle – tylko że na polowaniu panowie są inni niż w domu! No, wio!

Sanie ruszyły.

– Baron może jedzie do Kolozsváru albo do Budapesztu. To tam mieszka w taki czas.

– He? – Tóderik poderwał głowę. – To on nie mieszka tutaj? Mitru smagnął konia batem.

– I tu, i tam też. Ale więcej tam niż tu. Tutaj tylko latem, no i kiedy przyjeżdżają na polowanie.

Odchylił się w tył na siedzisku, poluzował lejce. Jego łokieć dotykał łokcia Tóderika, ich parujące oddechy zderzały się z sobą. Nawet i zapach palinki był w nich jednakowy. Po krótkim czasie ten znad potoku Urszu odezwał się mrukliwie:

– No a tam, to co robi? Mitru wzruszył ramionami.

– Czy ja wiem. Jest z nadzupanami, z ministrami, jak mówią. A często nawet i z królem. Jedzą, piją i uprawiają politykę. Panowie.

Niepodkute żelazem płozy jęczały, a sanie mocno zarzucały w bok na rozjechanym śniegu. Powyżej Maros wolno przeszedł po lodzie zając. Biedaczysko poruszał się w tej wielkiej, zamrożonej na białą pustce niemrawo i samotnie. Wieczór siedział już podkulony na grzbiecie Korhány i przedmuchiwał mgły ponad lasy w Idecs.

Po jakimś czasie Tóderik zapytał:

– Ma i majątek?

– Ajajaj! – Mitru zsunął czapkę z czoła. – Stąd do Idecs i dalej do Felfalu cała ziemia jest jego. I Korhány, i to, co jest pod nim, orne pola, łąki, pastwiska. I dalej przy Szászrégen. Ajajaj! Ma tak z osiemdziesiąt koni, pojmujesz, osiemdziesiąt takich klaczy, że nawet i jedna z nich warta jest więcej aniżeli cała wioska, razem z chałupami, krowami, ludźmi! Ma woły. Świnie. Na samych żołędziach w górach było ich w tym roku sześćset. A ile tam jeszcze zostało

w domu!

– A ten ogrom ziemi to kto uprawia, hę?

– Kto? No czeladź! I wioska. I druga wioska, no i trzecia, i czwarta. Ajajaj!...

– I wszędzie to on mówi: tutaj posiejcie to, tam tamto? Teraz zaorajcie tutaj, a teraz tam? I o kopaniu, o żniwach, o wszystkim?

Długi Mitru roześmiał się tak, że o mało co nie zleciał z sań. Nawet lejce wypuścił z rąk.

– Ha, ha, ha! Straszny z ciebie prostak, Tóderik, słyszysz? Jaki straszny z ciebie prostak! Jak ty to sobie wyobrażasz, że baron sam, osobiście?! Do tego jest wielu rządców i urzędników, i klucznik, i dyrektor majątku, i cała ta dalsza gromada! Ha, ha, ha, ale z ciebie straszny prostak, Tóderik!

Sunęli z wolna pod lasem przy Leányvárze. Wokół wieży zamku Fráter krążyło stado złowieszczo kraczących wron. Bezdymne i chłodne kominy pałacu sterczały w górę ku ciemniejącemu wieczornemu niebu. Z dąbrowy wywlokła się jakaś stara Cyganka, taszcząca wielką wiązkę chrustu. Jej jaskrawe gałgany nie chroniły od zimna. Pod drzewami panował już mrok. Zapowiadała się mroźna noc.

– Będzie śnieżyć. – Tóderik spojrział w górę na niebo.

– Możliwe – odparł Mitru i pośpieszył konia.

Droga była pusta, pusta była też dolina. Tylko płozy sań jęczały w ciszy. Powoli oddalali się od zamku, ale jego niewidzialny cień szedł ich śladem.

Kiedy zamek Fráter wchłonęły drzewa, znów odezwał się Tóderik.

– A rodzinę jakąś ma?

Nie powiedział kto, lecz i tak wiedzieli.

– Ma żonę. Miał też syna, ale pomarł. Baron nie miał więcej dzieci. A jego żona... z niej to jest strasznie twarda kobieta! Ho, ho! – Pokręcił głową, wydmuchał też nos i mówił dalej: – Wiesz, taka to kobieta. Cały pałac trzyma w garści. O, tak.

Ścisnął w garści lejce, nieco nawet szarpnął nimi, aż koń zaczął naraz szybciej kłusować, a oni przechylili się w tył na siedzeniu.

– A boi się jej czeladź tak, że bardziej już nie można. To ona rozlicza też urzędników. O wszystkim wie ta kobieta. Wszystko widzi, wszystko słyszy. Nie ma kradzieży tam, gdzie ona raz zwróci swój wzrok. A na dodatek jeszcze i da po gębie temu, kto ukradnie. Serce ma jak z kamienia. Boi się jej nawet własny mąż, łaskawy pan baron.

Uchwyt bata zatknął pod derkę, zawiesił na nim lejce, obie ręce schował do kieszeni kaftana i tak zaczął opowiadać:

– Mówił mi pan klucznik kilka lat temu, gdy zaniósłem do pałacu orzechy laskowe, że kiedyś na Korhány, w trakcie polowania, baron złapał dwójkę dzieciaków, jak kradli drewno, faszynę, z załadunku. Przestraszyły się dzieciaki, ujrzawszy barona, ze strachu nawet nie były w stanie uciec. Tylko zaczęły płakać.

Podchodzi do nich baron i zaczyna wypytywać. Dlaczego kradną, i to, i tamto. W końcu powiedzieli, a i owszem, że ojca zabrali im żandarmi, matka zaś jest chora i tak oto nie ma nikogo, kto poszedłby za drzewem.

Słucha ich baron, wreszcie jednak pyta. Stary wuj Samu, polowy, słyszał to na własne uszy, bo tam był. Pyta więc baron: „No to dlaczego bierzecie gałęzie, głupty, dlaczego nie polana? Te palą się dłużej!”. I sam pomógł dzieciakom załadować saneczki pięknymi polanami buczyny, z drewna sągowego.

No a co daje Bóg. Któryś sąsiad, łajdak, doniósł leśniczemu, że dzieci ukradły drewno sągowe. Leśniczy baronowej, a baronowa kazała przywieźć do dworu i drewno, i dzieci też. Te potem pięknie powiedziały, że to od wielmożnego pana barona dostały drewno na Korhány.

Działo się to na wewnętrznym dziedzińcu, słyszał to też klucznik, no i czeladź kuchenna, wszyscy. Baron akurat wracał ze stajni. „Niech no pan baron tu podejdzie – baronowa zawołała na męża – te łajdaki kłamią, że to baron dał im drewno na Korhány! Słyszał pan taką bezczelność? I jeszcze, że to osobiście pan baron dał im to drewno!”.

Biedne dzieci stały w wielkim strachu i czekały, że baron wybawi je z kłopotu. Ale on nie śmiał nawet spojrzeć na żonę. Tylko pokręcił głową, mruknął coś i umknął tak szybko, jakby wcale go tam nie było. Potem, wieczorem, dał dwadzieścia forintów lokajowi z pałacu, żeby zaniósł matce tych dzieci. Kupili za to utuczoną świnię, a i tak jeszcze zostało na dwa wozy drewna. Ano tak to było.

Pod lasem w Disznajó jakiś lis łowił myszy. Niebo przesłoniła mgła. Zmierzch w milczeniu rozłożył się po całej dolinie i tajemniczo skrywał wątle wierzy na brzegu Maros.

Tóderik milczał, zapadnięty w siedzisko, jak ktoś, z kogo uszły już wszelkie słowa. Za to Mitru mocno wciągnął się w opowieść:

– A co dopiero, jak spłonęła wielka wieża! To stało się jeszcze wtedy, gdy panowie gniewali się z królem. No, z Austriakami. Barona zabrali gdzieś daleko i zamknęli. Tylko żona była tu w domu. Wówczas jeszcze młoda, ledwie od kilku lat zamężna.

Do Régen przyszło wojsko i byli z nim też jacyś ważni oficerowie. Oczywiście Austriacy. Posłali wiadomość do dworu, że przyjdą zjeść. Łaskawa pani baronowa odpowiedziała przez forysia: „Jeśli panowie przybędą, to będą. To panowie wygrali tę wojnę”².

No i rzeczywiście, tamci przyszli. Jacyś oficerowie bardzo wysokiej rangi. Książęta, hrabiowie, baronowie. Oczywiście Austriacy.

Lokaje nakrywają w wielkiej sali jadalnej. Gdybyś tylko to zobaczył! Czegoś takiego jeszcze nie widziałeś! Ja tam już byłem przed sześcioma laty, pewnego razu, gdy zaniósłem do dworu skóry niedźwiedzie i baron kazał mnie wezwać. Oj, czegoż tam nie było!

No więc nakrywają lokaje, pierwszy lokaj i pomocnicy, i Bóg jeden wie, kto tam jeszcze, i panowie zasiadają do stołu. Służący przynoszą jedno danie. Przynoszą drugie danie. Nagle wpada któryś z lokajów i mocno przestraszony woła: „Łaskawa pani baronowo, komin się pali!”. „No to ugascie – odparła baronowa – podawajcie dalej! Ty zaś nie krzycz w obecności panów!”.

Lokaje przynoszą dania, przynoszą. Wiele różnorodnych pieczeni, klusek. Naraz znów jeden wpada. Ale z przestachu błądy jak ściana. „Pali się strych! – woła. – Pali się strych!”.

Łaskawa pani baronowa nawet się nie poruszyła. „Nie twoje się pali – rzekła – podawajcie!”.

Oczywiście wysocy rangą panowie oficerowie niczego nie zrozumieli z rozmowy. Biedacy byli Austriakami. Dalej podawano potrawy. Nieprzerwanie podawano je wszystkie. I wina. Palinki. Wbiega klucznik: „Łaskawa pani baronowo, proszę uciekać, proszę uciekać, dach się wali!”. „A niech się wali. Nie twoje się wali. Podawajcie dalej! Nie widzisz, że mamy gości na obiedzie?”.

Ale wtedy paliły się już nawet i schody na strych, a do sali przedostał się dym. Wysocy rangą oficerowie patrzą, patrzą, lecz nie rozumieją, co się dzieje. Lokaje nadal podają, jednak już trzęsły się im kolana. Natomiast pani baronowa siedziała u szczytu stołu niczym postać z obrazu.

No, wbiega żona klucznika, pada przed baronową na kolana i tak płacze: „Ojej, proszę uciekać, proszę uciekać, spalimy się doszczętnie, zginiemy tutaj!”. „No i co z tego? – pyta baronowa. – Naszymi gośćmi są panowie zwycięzcy, podawajcie!”. Ale wtedy dym już tak szedł w dół, że ledwie co było widać. I naraz bum! Zawaliły się schody na strych. Gruchnęły niczym jakieś działo. Na to wysocy rangą panowie oficerowie jednak zerwali się już od stołu i krzyknęli: „Co to jest? Co to jest? Co się dzieje?”. „Nic – odparła łaskawa pani baronowa – to tylko pali się dom nad nami. Zjedźmy obiad w spokoju, panowie, skoro już tu jesteście”.

Ho, ho, ależ zaczęli na to uciekać ci goście! Pali się dom! Pali się dom! Nie wiedzieli nawet, skąd zebrać do kupy swoje szpady, czapki. Wtedy wreszcie i baronowa powstała od szczytu stołu i tak do nich rzekła: „Myślałam, że mam podjąć obiadem żołnierzy. A widzę, że to przyszli tylko Austriacy. Kto się boi, niech ucieka”.

Tak im powiedziała. No a ci poszli. Sunęli po schodach w dół szybko jak wiatr, żeby im przypadkiem nie podsmaliło wąsów. Baronowa zeszła ostatnia. Przedtem kazała zejść lokajom, służącym, czeladzi, wszystkim. Co jeszcze się dało, wyrzuciła przez okno. Lecz wtedy już paliła się nad nią podłoga na strychu, a paliła się. Kiedy zeszła ostatnia, schody za nią zawaliły się.

Za to tych panów oficerów nikt a nikt więcej już nie widział w okolicy. A przecież byli to wielcy panowie, jak mówią. Hrabiowie, książęta. Ale oczywiście, że tylko Austriacy. No, wio!

Szarpnął lejcami, a sanie, trzeszcząc, podskoczyły na przydrożnych gruzłach. Milczeli. Mróz i mrok przykryły dolinę. Wiatr począł ciskać w twarz drobnymi, twardymi grudkami lodu.

– Nie może spaść śnieg, taki jest mróz.

– Ano nie może, a niech to...

Zostawili już za sobą i Disznajó, kiedy Mitru odezwał się ponownie:

– Mówią, że baron sprowadzi piłę. Taką wielką. Co chodzi na parę. Będą wycinać las, także i u nas, i robić deski. No i ma też być jakaś kolej żelazna, czy diabeł wie co. Inżynierowie mierzą już dla niej miejsce tam w dole, przy Vásárhely. Mówili na targu.

Tóderik tylko coś mruknął. Mocno wiało im w twarz, a i coraz gęściej sypały się krupy. Teraz już i Mitru milczał. Wiatr uchwycił się drogi i bezlitośnie ciskał chłodem.

Byli już gdzieś przed Dédą, gdy z tyłu spośród słomy odezwała się dziewczynka:

– Wujku Mitru! Który to był baron? Ten, co siedział z przodu, czy tamten z tyłu?

Potem raz jeszcze zadała pytanie, ale wtedy byli już u podnóża gór:

– Wujku Mitru, czy jest pan większy od barona?

– Większy? – Mitru zamyślił się, nareszcie wymruczał, zacinając się: – Może... król.

1 Bandi – zdrobnienie od węgierskiego imienia András, czyli Andrzej, Indrei zaś to rumuńska wersja tego imienia (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

2 Ironiczna odpowiedź baronowej nawiązuje do znanego węgierskiego powiedzenia, używanego wtedy, gdy chce się podkreślić, że goście sami winni zadbać o to, by mieli co zjeść. Tu panowie oficerowie zadbali, jako że wygrali wojnę i nie można im odmawiać.

E-book przygotowany przez Merlin.pl dla transakcji [9680437]

Śnieg urósł wysoko. Po pas stały w nim młode choiny w słońcu jaśniejącym nad Urszu. Pewnego późnego popołudnia ziąb jednak zelżał, powietrze zrobiło się ciężkie, las słamazarny, wszystko stało się tak sennie miękkie, jak zazwyczaj o tej porze, aż w końcu zaczął sypać śnieg. Najpierw tylko z rzadka, wielkim puchem. Potem coraz gęściej. Na wieczór w pierzastej bieli człowiek nie mógłby dojrzeć już nawet własnej wyciągniętej ręki. Trzy dni sypało bez przerwy. Tóderik już zawnazas przygotował wielką drewnianą łopatę, a kiedy zaczęło śnieżyć, zabrał ją ze sobą do chałupy. Rano zaledwie zdołał wypchnąć drzwi. Śnieg sięgał już wtedy do połowy uda. Tóderik żwawo odgarnął ścieżkę wokół chaty i jeszcze jedną do drewna, i jedną też w dół do wody. Dziewczynka szła za nim z miotłą z brzozowych witek. Ale i sama widziała, że nie ma to żadnego sensu. Nim dokładnie zamiotła śnieg wokół chaty, tam, gdzie pracę zaczęła, już na nowo bielił się puchaty dywan gruby na palec. Oparła więc miotłę o drzwi, siadła w progu i przyglądała się, jak sypie. Padało gęsto, całkiem gęsto. Drzewa przy potoku było jeszcze widać, ale z boku Urszu jakby już zwieszono z nieba w dół biały kobierzec. Świat był niemy i nieruchomy.

Dziewczynka pomacała śnieg. Był miękki i niemal letni. Wzięła w dłoń tyle, ile zmieściło się w piąstce, i przyglądała się, jak małe białe kryształki roztapiają się z wolna na jej różowej skórze. Wstała i zaczęła grzebać w śniegu, tym odgarniętym łopatą na skraj ścieżki. Potem ugniotła kulę i zaczęła ją toczyć. Kula rosła z nieprawdopodobną prędkością, aż wreszcie rozpadła się na trzy części. Dziewczynka zaczęła od początku. Wreszcie udało jej się zrobić większy walec, postawiła go, nałożyła mu szyję i głowę, wielkie odstające uszy. Roześmiała się w głos i naraz poczuła w sobie bezmierną wesołość. Złapała garść śniegu, twardo go ugniotła i rzuciła w plecy Tóderika.

Ten akurat odgarniał łopatą trzecią ścieżkę, w dół do wody. Śnieżna piłka trafiła go w plecy. Przerwał robotę, wyprostował się i spojrzał wstecz na dziewczynkę.

Dziecko wciąż jeszcze śmiało się w głos. Twarz miało czerwoną, oczy błyszczące, potargane płowe włosy pokrywał biały śnieżny puch. Przez chwilę Tóderik w zamyśleniu przyglądał się dziecku, po czym powoli pochylił się i też wziął garść śniegu, ugniół kulę i cisnął nią w śmiejącą się twarz dziewczynki.

Oczy, usta wypełniły jej się śniegiem. Pluła, dmuchała niczym mały kotek, śmiejąc się tak przy tym, że aż dźwięczało w dolinie. Dwiema rączkami sięgnęła w śnieg i tak oto ciskała w starego miękkimi, białymi kłębami. Ten zaś oddał jej jeszcze jedną i drugą kulę, potem odwrócił się do niej plecami i dalej odgarniał śnieg łopatą.

– Nanieś drewna do środka – mruknął do niej po pewnym czasie – żeby było w chacie tyle, co na dwa dni.

Dziecko przerwało zabawę. Zaczerwienione rączki wytarło w pstrokaty

fartuszek. Twarz mu naraz spowaźniała, nieomal postarzała się gwałtownie. Dziewczynka spojrzała w górę na niebo, z którego bez przerwy sypał gęsty śnieżny puch, niczym ptasi puch z szarobiałego gniazda. Przypomniała sobie mrok, wieczór i noc, wywołujący szczękanie zębami chłód na posłaniu i bardzo ciepły ogień. Wręcz biegiem ruszyła do stosu z drwami. Cieniutkie ramionka obłożyła porąbanym drewnem aż po brodę i szybko wniosła je do chaty. Potem znów wybiegła, i nosiła, nosiła raz za razem pachnące polana świerkowe, twardą buczynę i łykowate olchy. Kiedy drewna było już na dwa dni, zabrała się do układania. Bardzo starannie powkładała polana za piec, jedno na drugie, osobno świerk, buk i olchę.

Nim się z tym uporała, wrócił i Tóderik. Łopatę oparł przy ścianie, strzepnął z kierpców przyczepiony do nich śnieg i z progu raz jeszcze spojrzał wstecz na śnieżycę.

– Jeśli nie nadejdzie wiatr, potrwa to trzy dni – mruknął. Potem zamknął drzwi.

W chacie zrobiło się naraz ciemno. Zapanował szary i wilgotny mrok. Chłodny mrok – dziewczynkę przeszły od niego ciarki i instynktownie poszukując obrony, podeszła do pieca, zakrzywioną gałęzią pogrzebała w żarze i położyła nań suchego świerku. Płomień z trzaskiem wczepił się w żywiczne drewno, wyrósł z niego żółty język ognia, który piał się coraz wyżej. Podskoczyły czerwone iskry. Piec zaczął szumieć i rozrzucać po ścianach snopy światła.

Tóderik strzepnął śnieg także z czapki, zawiesił ją na haku, zdjął serdak z owczych skór i rzucił nad piec, żeby wysechł. Sprawdził drewno, przeliczył wzrokiem polana świerku, buku i olchy i skinął głową.

– W porządku – rzucił.

Z półki zdjął kociołek, nalał do niego wody i wstawił, żeby się zagotowała. Następnie wyjął pilnik i osełkę, usiadł przy piecu, na małym zydlu, i naostrzył siekierę. Piłował, szlifował. Długa, całkiem długa chwila minęła w ten sposób. Dziewczynka siedziała skulona na ławeczce niczym mały kotek i wpatrywała się w ogień.

Po jakimś czasie słyhać było, że woda wrze. Tóderik schował siekierę, pilnik i osełkę i zdjął z półki worek z kaszą kukurydzianą.

– Dołóż buczyny – powiedział.

I z tymi słowami rozpoczęła się środkowa część wieczoru: ogień buczynowy.

Żółte i białe płomienie skwierczały w piekielnym tańcu. Tóderik z uroczystą powolnością wysypywał złotą kaszę kukurydzianą ze swych wielkich włochatych garści do bulgoczącej wody. Chata wypełniła się słodkawym aromatem mamałygi i letnim zapachem płonącej buczyny.

Wreszcie mamałyga ugotowała się. Wzięli do niej twarogu z faski i zaczęli jeść. Rzucili jeszcze do pieca kilka polan buczyny, żeby piec i dom dobrze nagrzały

się na noc. Jedli powoli. Kociołek ustawili na ławie, przy nim, na czystej ścierce, ostry zimowy bundz. Po każdym kęsie Tóderik sięgał wielką czarną ręką do garnka, nabierał mamałygi i napychał nią sobie usta, potem sięgał po twaróg i jego też wtykał sobie za mamałygą. Gęba poruszała mu się z wolna, długo obracał na języku smakowitymi kęsami, mlaskając przy tym.

Dziewczynka w jednej ręce trzymała duży kawał mamałygi, z którego lśniącymi białymi ząbkami, niczym myszka, odgryzała mniejsze cząstki. Od czasu do czasu małymi paluszkami skubnęła nieco twarogu. Ale jej oczy, jakby zaczarowane, nadal tkwiły wpatrzony w ogień.

Jedli w milczeniu, długo. Powietrze wokół nich napełniło się ciepłymi oparami i zapachem dobrej kolacji. Słuchali ognia. Ich myśli zrobiły się senne od ciepła, jedzenia i widoku płomieni.

Dziewczynka skończyła wcześniej. Wstała z ławeczki, podeszła do dzbanka z wodą i napiła się. Następnie postawiła dzbanek przed starym. Potem otworzyła drzwi i wyszła na zewnątrz, przeszła się wokół chaty, umyła w śniegu twarz i ręce. Było bardzo ciemno. Panowała zimna, wilgotna, biała ciemność. Dziewczynką wstrząsnął dreszcz, zawróciła do chaty.

Stary wciąż jeszcze jadł. Z powolnym spokojem, jak to robią przeżuwacze, mlaskając przy tym. Rytuał ten odprawiał w sposób uroczysty, jak przystało na żyjącego w lesie samotnego człowieka, który wie, że to podstawa wszystkiego: chodzenia, rąbania drzew, życia całego.

Dziewczynka wytarła się, następnie zdjęła kierzce i podeszła do swojego posłania. Przetrasnęła trochę słomę, poprawiła na niej lichą derkę, narzuciła na to wielki, ciężki kozuch i położyła się. Twarzą do ognia. Trochę się jeszcze powierciła, ściągnęła spódniczkę pod przykryciem i rozwiązała też sznurek od fartuszka. Potem już tylko leżała nieruchomo pod kozuchem o zapachu owiec i wpatrywała się w wielką, otwartą, czerwoną buzię pieca i w nerwową zabawę płomieni tam wewnątrz.

Tóderik skończył jeść; kociołek, twaróg i pozostałą kaszę kukurydzianą odłożył z powrotem na półkę, rozwiązał sobie kierzce, pogrzebał w żarze i wybrał kilka grubych pniaków olchy. Starannie, z wielką uwagą włożył je do pieca. I wraz z tym rozpoczęła się trzecia część nocy: ogień olchowy.

Teraz z drewna dobywały się już tylko całkiem małe czerwone płomyki. Znikały, odradzały się na nowo, lizały twarde włókna, a piec począł jęczeć, wzdychać niczym konający. Te syczące jęki były już głosem sennej i długiej nocy. Zimowej nocy. Która jest mroźna i ciągnie się bez końca. Która swym wilgotnym mrokiem przywiera do świata tak, jakby doń przyrosła na zawsze. Pochłania przedmioty, kontury, życie i rzeczywistość. I tylko czerwieniący się blade kwadrat drzwiczek pieca stanowi w tej nocy jedyną rzeczywistość, jęczący, żylasty pniak olchy, iskra, pozbawiona siły pod popiołem, iskra strzegąca ducha ognia, aż

nadejdzie poranek.

Sen zamienia się powoli w czuwanie, po kolei powraca z przeszłości to i tamto. Obrazy rysują się kolorowo na czarnej, wilgotnej palecie nocy, zanim rozciągający się czas na nowo ich nie zetrze po kolei wilgotną szmatką snu. Sapanie, senne ruchy, drżenie i zapach dymu: to jest ta część nocy, związana z ogniem olchowym.

Tóderik powoli zdjął kierpce, po kolei brał je do ręki, sprawdzał i wieszał nad piecem, żeby wyschły. Z nóg odwinął pachnące potem, wilgotne onuce i też je powiesił, żeby wyschły, potem po kolei rozcierał sobie palce u nóg. Przeciągnął się i ziewnął. Zdjął z półki tłuszcz, posmarował nim serdak z owczych skór; sapał, grzebał się jeszcze trochę to z tym, to z tamtym, wreszcie, westchnąwszy głęboko, usiadł na swym pośłaniu. Znów ziewnął. Poluzował pasek u spodni.

– Oj – westchnął raz jeszcze, wyciągnął się na szeleszczącej słomie legowiska i naciągnął na siebie zbrązowiałą ze starości derkę. – Śpisz? – odezwał się do dziewczynki.

Z drugiego pośłania nie nadeszła odpowiedź. Ale też nie czekał na nią. Przykrył sobie twarz serdakiem z owczych skór, ponownie westchnął, po czym słysząc było już tylko sapanie, coraz głębsze, coraz głośniejsze, gdy powoli zapadał w sen.

Wielka, miękka cisza zwała się na chatę, na las, na góry. Niemal słysząc było, jak tam na zewnątrz pada śnieg, pada, pada, gęsty i miękki śnieg, bez przerwy. Spod na pół przymkniętych powiek dziewczynka wciąż patrzyła na czerwony żar w drzwiczkach pieca. Potem ruda plama stała się coraz mniejsza, mniejsza i odleglejsza, a czas, mrok i cisza coraz bardziej się rozciągały... aż bezbrzeżna noc niczym głęboka czarna fala z wolna okryła wszystko tępą nieświadomością.

Poprzez wypchane mchem szczeliny belek wsunęła się niewidzialna chłodna dłoń. Narzuciła popiołu na żar i dotknęła czoł śpiących. Ci pod tym dotknięciem zwinęli się w kłębek i przez sen ściślej naciągnęli na siebie kożuchy.

Śniegu przybywało. Codziennie nawet i dwa razy trzeba go było odgarniać łopata, żeby móc się poruszać wokół chaty, dojść do drewna i do wody.

Oblicze świata zmieniło się. Drzewa skarłały, siedziały w kucki niczym starzy ludzie. Niewielkie choiny, porozrzucane tu i tam na polanie, jakby zmiotły czary; wydłużył się biały obrus łąki, sięgał głęboko pomiędzy buki, w dół niemal do potoku. A potok gdzieś znikł. Tylko wąska, czarna kreska pokazywała jego ślad i niczym jakaś olbrzymia żmija pełzła w dal po śniegu, pod olchami. Huk potoku Urszu dobywał się głucho, jak spod ziemi. Jakby ogromnym młotem uderzano w jakieś przytrzaśnięte podziemne drzwi. Stoki gór zagarnęła oślepiona biel i wciąż padał śnieg.

Trzeciego dnia po południu wreszcie nadszedł wiatr. Przybył z północy i tak świszczwał w dół po Bystrym, że powietrze dostało od niego dreszczy, a śnieżny puch począł dziko wirować. Kilka drzew zbuntowało się i zrzuciło z siebie ciężkie okowy śniegu. Zaczęły buki, potem także jodły przejęły ów rewolucyjny ton. W lesie zerwało się wycie, szmery i duże, białe strzępy prześcieradeł darły się, zlatując z głuchym trzaskiem.

Chmury zbiły się w stada, z miękkiego puchu powstały drobne, ostre grudki lodu, które niemal poziomo wbijały się pomiędzy drzewa. Przestraszone obłoki na łeb na szyję pędziły na południe. Góry z wolna oczyściły się i przybrane srebrem spozierały w dół oczami zawianymi śniegiem. Potem i śnieżyca ustała, a z nastaniem wieczoru rozblęsnęły gwiazdy.

Przez całą noc wiatr świszczwał na strychu. Buczał las, trzeszczały drzewa. Pomiędzy belkami gwizdało zimne powietrze, czuć było, jak czochrało posłania. Tóderik wiele razy wstawał w nocy i dokładał drewna do ognia. Od czasu do czasu buczyły. Potrzebne było ciepło.

Do rana zrobiło się cicho. Drzwi zatrzeszczały, gdy je otwarli. Powietrze było rzadkie, ostre i niebieskie. Śnieg skrzypiał pod kierpcami, a drewniana klamka kleiła się do ręki. Wysoko na Macskakó wschodzące słońce przeciągnęło po świerkach lodowatą, złotą miotłą, a buki z radości zakwitły szronem.

Lód ponad źródłem trzeba było rąbać siekierą, żeby dziewczynka mogła zanurzyć w wodzie wiadro czy dzbanek. Kiedy słońce było już wysoko i okryło wszystko niepohamowanym migotaniem, na śnieg można było patrzeć, jedynie mrużąc oczy. Lecz był to chłodny blask, wciągnane powietrze niemal rozrywało płuca, a cienie drzew przymarzały do śniegu na niebiesko.

Tóderik złapał kij i ruszył w górę wzdłuż Urszu, żeby oczyścić ze śniegu sidła. Dziewczynka stała w słońcu przed chatą i patrzyła za nim, aż wchłonęły go w oddali ośnieżone drzewa. Chciała jeszcze coś zrobić na dworze, pobawić się trochę w promieniach słońca, lecz ono nie dawało ciepła i dziewczynka marzła. Nanosiła drewna do domu, podsyciła ogień i usiadła na ławeczce. Drzwi zostawiła otwarte, żeby wlewała się przez nie zewnętrzna jasność, i siedząc w pobliżu ognia, jeszcze przez jakiś czas wpatrywała się w sypiącą iskry biel.

Las był niemy, przeraźliwie i okropnie niemy. Cisza jakby przymarzła do świata. Niekiedy jakiś zabłąkany ptak poruszył się pośród gałęzi buczyny, a jego śladem śnieg pylił się w dół białą chmurą. Lecz i to był tylko martwy ruch. Bezgłośny i niemy.

Dziewczynka próbowała nucić, ale czuła, jak jej głos szarpie się w wielkiej białej ciszy, i dlatego zamilkła. Wyjęła z kąta wiklinę na więcierz i zaczęła go pleść. Gałązki gięły się zwinnie, a czas upływał. Niekiedy trzeba było dorzucić drewna do ognia; niebieski cień buczyny z wolna przesunął się. W końcu cienie stały się nie niebieskie, lecz fioletowe. Góry też się oddaliły i zbłękitniały. I nim

drugi więcierz miała gotowy, szarobiała zasłona okryła górę Istenszéke – Tron Boży.

Kiedy Tóderik wrócił, drzewa stały bez cienia, a i śnieg przestał lśnić. Wszystko okrywała lodowata szarówka i dolina czuła wręcz ból z powodu pustki.

– Jelenie zeszyły ze szczytu – powiedział Tóderik, kiedy na progu strzepywał śnieg przymarznięty do kierpców. Potem zamknął drzwi, a z tymi słowami powrócił do domu wieczór.

Ubywało kaszy kukurydzianej. Pewnego poranka Tóderik włożył dwie skóry z kuny do sakwy, którą zawiesił na ramieniu, chwycił kij i rzucił od progu:

– Sidła i ty mogłabyś obejść po śladach.

Po czym ruszył w drogę. Wzdłuż potoku śnieg sięgał po pas. Tu i tam przecinały go jedynie tropy dzikich zwierząt. Na odległość dobrego rzutu kamieniem od chaty stała łania i ogryzała korę z młodych olch. Z zaciekawieniem odwróciła łeb w kierunku Tóderika, naprężyły jej się duże łopatomate uszy, ale nie uciekła.

Śladu człowieka nie było do samej wioski. Dopiero z pierwszej chałupy wychodziła cieniutka dróżka, która stawała się coraz szersza i bardziej wydeptana, gdy po kolei wpadały do niej ścieżki z pozostałych domów.

Na lodzie potoku z piskiem ślizgały się dzieci. Nosy, uszy poczerwieniały im, a z buzi wylewał się zaparowany śmiech. Za saniami zaprzężonymi w krowę wolno posuwało się dwóch ludzi w futrzanych czapach, z siekierami. Skrzypiały ich kierpce.

Przed karczmą jakiś chudy pies szukał odpadków. Okna grubą warstwą pokrywała przymarznięta para, jakby zarosły błoną. Kiedy Tóderik otwierał drzwi, poczuł, że ręka przywiera mu do klamki. Powietrze było gęste od oparów, mało co było widać.

Popchnął sakwę na wysłużony szynkwas i dopiero potem rozejrzał się wokoło. Przy stołach siedzieli mężczyźni w futrzanych czapach, w kożuszkach, zaczerwienieni na twarzach, oblani potem. Powietrze aż zatykało od zgęstniałego zapachu palinki. Ktoś akurat opowiadał o wilku, który wieczorem podszedł pod chałupę. Opowieść snuł pewien gospodarz zagrody leżącej w odosobnieniu.

– Krzyknąłem na niego: „Pójdiesz, ty!”. A on tylko stał. Wielki, mówię ci, jak ciele. Pies schował mi się pod nogi i wyje, jakby go licho rwało. Wybiega i żona z pochodnią. Ja zaś chwyciłem za siekierę. A ten tylko stoi. I patrzy. Oczywiście miał zielone, mówię ci! Jak diabeł, tak patrzy!

Włochatouchy wylazł wtedy z hałasem z wewnętrznej izby. Jego tłusta twarz była jeszcze czarniejsza niż zwykle.

– Co potrzeba?

Tóderik szturchnął sakwę.

– Kaszy kukurydzianej, twarogu, oleju, łojówki.

– Pieniądze masz?

– Skóry.

Ormianin ze złością popatrzył swymi zapuchniętymi oczami i fuknął:

– Zanieś do Régen, jak ostatnio.

– He? – oburzył się Tóderik. – Noszę tam, gdzie chcę. Na! I popchnął skóry na szynkwasię.

Włochatouchy sięgnął po nie; gniótł je, dmuchał w nie, pluł na nie, wreszcie wepchnął pod szynkwasię.

– Flaszki na olej masz?

– Nie.

Karczmarz mruknął coś i wszedł do wewnętrznej izby. Mężczyźni przy stołach wciąż jeszcze słuchali opowieści o wilku. Poczzerwieniały na twarzy gospodarz zagrody leżącej w odosobnieniu dowodził wielkim głosem:

– Skoczył do mnie, podłe ścierwo, tam pod schodami mojej chałupy. Do mnie, mówię wam! Gdybym nie miał przy sobie żelaznych wideł, pokaleczyłby mnie! Ale dźgnąłem go tymi widłami w brzuch, że tylko jęknął! I nawet jeszcze wtedy chciał się na mnie rzucić.

– Bajka – burknął Tóderik przy szynkwasię i splunął. Zaczerwienione twarze zwróciły się ku niemu. Rozmowa ucichła. Na czole gospodarza zagrody leżącej w odosobnieniu nabrzmiały żyły.

– Chcesz powiedzieć, że kłamię?! – walnął pięścią w stół z taką siłą, że kilka kieliszków z palinką przewróciło się, a żółtawa ciecz o nieprzyjemnym zapachu rozlała się po brudnych deskach, po kolanach siedzących tam ludzi. – Ja kłamię?!

Tóderik ponownie splunął.

– Kto mówi, że wilk podchodzi pod chałupę i napada na człowieka, ten kłamie.

Gospodarz zagrody leżącej w odosobnieniu zerwał się z ławy i zaczął wrzeszczeć. Wszyscy podskoczyli i wszyscy naraz krzyczeli. Mocne opary zbożowej palinki owładnęły głowami, a oczy od niej przysłoniły się czerwoną mgłą.

– Śmiesz powiedzieć, że ja kłamię?! Ty psie! Ty niczyj prostaku! Ty przybłodo! Ty ostatni! Kto ciebie zna?! Kim ty jesteś?! Precz stąd! Walnijcie go w głowę!

Tóderik tylko stał oparty o szynkwasię, nieco zgarbiony, i patrzył na szalejących z gniewu mężczyzn.

– Kim ty jesteś?! – przyskoczył do niego gospodarz zagrody leżącej w odosobnieniu i zaczął mu wygrażać pięścią przed nosem. – Kim ty jesteś?! Co ty masz?! Masz zagrodę?! Masz ogród?! Masz woły?! Masz ziemię, masz las?! Włóczęga!

– Kto mówi, że wilk schodzi aż pod chałupę i napada na człowieka, ten

kłamie – Tóderik powtórzył z uporem – a ponieważ ty tak powiedziałaś, ano kłamiesz, ha!

Gospodarz zagrody leżącej w odosobnieniu z furią podsycaną przez palinkę chwycił obiema rękami za serdak z owczych skór na piersi Tóderika, potrząsnął nim, kilka razy uderzył o szynkwas, że aż deski zatrzeszczały, po czym pchnął nim mocno. Tóderik zachwiał się, z ust wylało mu się gniewne przekleństwo i jak długi upadł na podłogę.

Mężczyźni wrzeszczeli, gospodarz zagrody leżącej w odosobnieniu z oczami nabiegłymi krwią potrząsał pięścią. Z wewnętrznej izby z hałasem wylazł Ormianin, cisnął na szynkwas ciemną butelkę, dwie zakrzywione łożówki i zawołał:

– Masz tu swoje rzeczy i wynoś się! I żeby twoja noga więcej tu nie powstała!

Tóderik podniósł się powoli. Jego twarz była czarna, całkiem czarna. Zamknięta i niema jak spalona ściana. Nieśpiesznym ruchem wstał, nie popatrzył na nikogo, tylko ciężkavo postąpił dwa kroki do szynkwasu, chwycił za oparty tam duży kij do chodzenia po górach, złapał go w obie ręce i nie rzuciwszy nawet spojrzenia w tamtą stronę, zdzielił kijem wciąż jeszcze wrzeszczącego gospodarza zagrody leżącej w odosobnieniu w głowę, uderzył go tak, że tamten tylko się ugiął i padł na ziemię niczym przewrócony worek.

Tępe uderzenie kija naraz otrzeźwiło ludzi. Wszyscy chłodnymi twarzami patrzyli na gospodarza zagrody leżącej w odosobnieniu, który padł jak kłoda. Cisza była aż gęsta. Wręcz zastygła na ścianach.

Tóderik zaś w tej głuchej ciszy powoli i spokojnie odwrócił się z powrotem do szynkwasu; oparł kij tak samo jak wcześniej, spojrzał na Ormianina, który wytrzeszczał oczy, i szturchnął sakwę:

– Twaróg i kaszę kukurydzianą!

Słowa te natychmiast przegnały odrętwiałość. Ludzie poruszyli się, jedni sięgnęli po czapki, inni zapięli kaftany i poczęli pchać się w kierunku drzwi. Nie padło ani jedno słowo. Ani jeden z mężczyzn nie spojrzał na nieruchomego gospodarza zagrody leżącej w odosobnieniu.

Ormianin z nieprawdopodobną zwinnością skoczył do worków z kaszą. Jeden z nich podniósł.

– Trzymaj! – powiedział, lecz słowo drżało mu na wargach. Tóderik trzymał sakwę, Ormianin sypał do niej z worka. Worek trzął się, sakwa – nie. Już wysypywała się droga kasza, kiedy Tóderik warknął:

– Przestań już, hę!

– Bierz, bierz! – dyszał Ormianin, a na jego twarzy perlił się pot. – Bierz, bierz, tylko wynoś się stąd!

– Twaróg!

Włochatouchy skoczył do kąta i podniósł na szynkwas całą faskę.

– Bierz, bierz, tylko wynoś się stąd! – powtórzył gorączkowo. Tóderik jakoś tam na siłę wepchnął faskę do drugiej części sakwy, po czym stęknąwszy, zarzucił sobie to wszystko na ramię. Butelkę i świecę wcisnął głęboko do worka.

– Wynoś się stąd, wynoś się stąd!... – dyszał Ormianin i wytrzeszczając oczy, z przerażeniem patrzył na leżącego na podłodze człowieka.

Ten dopiero wtedy ruszył się po raz pierwszy. Jęknął, charcząc.

– Oj – wystękał – oj...

Spomiędzy włosów ciekła mu krew, niemal czarna krew, plamiąc brudną podłogę. Twarz też miał zakrwawioną. Mogła mu płynąć z nosa albo z ust.

Tóderik szarpnięciem poprawił sakwę na ramieniu, chwycił kij i ruszył. Przeszedł nieśpiesznie obok charczącego gospodarza zagrody leżącej w odosobnieniu, jakby nic się nie stało. Dopiero od progu spojrzął wstecz.

– Jeśli już kłamię, to niechby przynajmniej zachowywał się po ludzku – fuknął do Ormianina, który z wytrzeszczonymi oczami wciąż stał za szynkwasem, patrzył na leżącego człowieka, a po tłustej twarzy wielkimi kroplami spływał mu pot.

Tóderik pchnął drzwi i w kłębach oparów palinki wyszedł na lodowato błyszczącą ulicę.

Nigdzie nie było widać nawet jednego człowieka. Wieś była niema niczym umarli. Tylko z kominów unosił się wysoko, prosto jak strzała, niebieski dym. Tóderik spojrział w górę na błękitnobiałe niebo, które jakby przysypało samymi lodowatymi, migoczącymi koniuszkami igieł, i tak pomyślał: Będzie w nocy mróz, silny mróz. Po czym powoli, w jęczących kierpcach ruszył w górę Bystrego.

Nie dotarł jeszcze do ostatniej chałupy, gdy za plecami usłyszał tupot szybko biegnących nóg. Potem nagle uderzyło go w plecy ostre, rozkazujące wołanie:

– Stój! Hej, ty! Ty znad potoku Urszu!

Tóderik zatrzymał się i odwrócił nieśpiesznie. Drogą pędził w jego kierunku żandarm z wąsami, w ciemnozielonym mundurze, z karabinem zwisającym mu w ręce. Na lufie karabinu oślepiająco zimnym blaskiem zamigotał bagnet.

– Hej, ty! – żandarm zwolnił kroku. – Wracaj! Tóderik nie poruszył się.

– Podejź tu! – wrzasnął żandarm. – Bo jeśli ja po ciebie pójde, to zrobi ci się ciepło pod koszulą!

– He! – odwarknął Tóderik, jednak wciąż się nie ruszył. – Czego chcesz?

– Podejź no tu, do diaska, z tym twoim zakutym łbem! – złościł się żandarm.

– Mogę podejść. – Tóderik podciągnął sakwę i powoli ruszył z powrotem, żandarmowi naprzeciw.

Tamten zarzucił karabin na ramię, ze skórzanej torby wyciągnął błyszczący, cienki łańcuch i kiedy Tóderik stanął przed nim, rozkazał:

– Daj no tu rękę!

– Hę?

– Ręce! – wrzasnął żandarm.

– A to po co?

Żandarm przełożył łańcuch do lewej ręki i zamiast odpowiedzi prawą pięścią uderzył człowieka z sakwą w twarz, tak że tamten upadł w przydrożny śnieg. Chwilę potem już klęczał na jego plecach i brutalnie wykręciwszy mu ręce do tyłu, nałożył łańcuch na przeguby. Potem go kopnął.

– Hej, ty! Na nogi!

Tóderik podniósł się powoli, z trudem. Nie jęczał, nawet nie warczał. Dopiero kiedy już stał na obu nogach, odwrócił się do żandarma twarzą. Spojrzał nań ponuro.

– W czym ci wadzę? Hę?

– Naprzód! Idziemy!

Tóderik patrzył na sakwę, która upadła w śnieg.

– I to tam jest.

Żandarm przeklął coś, podniósł sakwę i zarzucił ją skutemu człowiekowi na ramię. Sakwa z chrzęstem ześlizgnęła się na ziemię. Żandarm mruknął coś i ponownie ją nałożył. Znow się ześlizgnęła.

– Tak nie da się jej nieść – spokojnie powiedział Tóderik.

Żandarm rozejrzał się i zobaczył w drzwiach jednej z chałup zaciekawioną kobietę.

– Podejź no tu! – krzyknął, kiwnąwszy na nią surowo. Kobieta przybiegła pędem.

– Zanieś to do chałupy i przypilnuj tego, co jest w środku – żandarm podał jej sakwę. – To należy do tego człowieka. Ktoś później po to przyjdzie.

Kobieta pokornie skinęła głową i pośpiesznie wniosła sakwę, żeby przypadkiem nie mieć dalszych kłopotów z surowym prawem.

– Idziemy! – warknął żandarm.

Ale Tóderik wciąż jeszcze się nie ruszał. Stał tam ciemny, posepny, z rękoma skutymi z tyłu, a rozczochrane włosy opadły mu na czoło.

– Czapka i kij – powiedział.

Żandarm mruczał, lecz wygrzebał czapkę ze śniegu i wcisnął ją mężczyźnie na głowę.

– Kij – powtórzył tamten z uporem.

Żandarm podniósł i kij.

– Ależ on jest zakrwawiony, słyszysz?! Tóderik wzruszył ramionami.

– Cisnął mną o ziemię, to go uderzyłem.

Żandarm patrzył na kij, przez chwilę myślał, żeby go wyrzucić, potem jednak przyszło mu do głowy, że to dowód przestępstwa.

– Teraz już idziemy – powiedział surowo i pokazał w kierunku wioski.

Ruszyli. Z przodu szedł Tóderik ze związanymi z tyłu rękoma, wlokąc się, za nim żandarm z karabinem, z bagnetem, z surowym wyrazem twarzy, trzymając w ręce wypolerowany od ściskania wielki kij do chodzenia po górach.

Kiedy dotarli przed karczmę, zaprzężone w jednego konia sanie Ormianina akurat ruszały z mężczyzną z zagrody leżącej w odosobnieniu do Régen, do szpitala. Kobiety biadoliły wokół sań, wciskały pod leżącego poduszkę i pierzynę, a mężczyźni i dzieci z pobliskich chałup sterczeli tam wszyscy w milczeniu i gapili się. Przy saniach stał drugi żandarm. O przenikliwym wzroku, starszy wiekiem. Jakiś młodzieniec wdrapał się na kozioł i sanie ruszyły. Skrzypiały ich drewniane płozy i zarzucało tymi saniami na boki po zamrożonej drodze.

Starszy żandarm skinął na młodszego.

– Wprowadź tego człowieka!

Weszli do karczmy. Ode drzwi jeden z żandarmów rzucił za siebie:

– Niech wszyscy idą do domu!

Na te ostre słowa umilkły rozmowy i lamenty. Mężczyźni naciągnęli czapki na uszy, kobiety ściślej zawiązały chusty i każdy bez słowa ruszył w kierunku swojej chałupy. Widowisko dobiegło końca, w drzwiach karczmy stało prawo, a od prawa wszyscy starali się trzymać jak najdalej.

Karczma była pusta i chłodna, pełna oparów o nieprzyjemnej woni. Tylko Włochatouchy niespiesznie krzątał się za szynkwasem.

– Byliście tu, kiedy miała miejsce ta sprawa? – zwrócił się do niego starszy żandarm.

– Nie, ale skąd – Ormianin żwawo pośpieszył z odpowiedzią – byłem w składziku, akurat odmierzałem olej dla tego tu... wiecie, oni wszyscy są tacy sami, podnoszą alarm, jeśli w tym, co odmierzone, brak choćby jednej kropli, ale sami to mordują, gdzie się da...

– Skoro nie było was przy tym, to wyjdźcie – przerwał mu surowo starszy żandarm, po czym oparł karabin o ścianę, przystrojone piórami czako położył na stole i wygrzebał z torby zeszyt w zielonym kolorze.

– Tak jest, oczywiście – kłaniał się żwawo Ormianin – tak jest, oczywiście, już wychodzę... wcale nie chciałbym być przy czymś takim; jak wiadomo, ja, naturalnie, nie mieszam się w coś takiego... czy panowie rozkażą podać coś do picia?...

– Nie.

– Tak jest, oczywiście...

Z tymi słowami, kłaniając się, wtoczył się do wewnętrznej izby.

Starszy żandarm usiadł, rozłożył przed sobą na stole zeszyt i zatemperował ołówek. Młodszy pozostał w pozycji stojącej za Tóderikiem, z karabinem w ręce, zachowując srogi wyraz twarzy.

– No, opowiedzcie, jak to się stało! – spojrzał przenikliwie na Tóderika, gdy

uporał się z ołówkiem. – Ale mówcie samą prawdę!

I Tóderik opowiedział wszystko, tak jak było. Żandarm zanotował to swoim ołówkiem w zeszytcie, następnie krzyknął do drugiej izby na Ormianina, żeby ten przyniósł atrament i pióro. Podpisał się swoim nazwiskiem, także młody żandarm swoim, po czym narysowali mały krzyżyk i na tym musiał odbić swój palec Tóderik.

Z tego powodu trzeba było rozpiąć łańcuch. Kiedy Tóderik cofał znad papieru węzłowaty palec, w ręce młodszego żandarma zabrzączał łańcuch.

Tóderik popatrzył na starszego. Prosto w jego oczy.

– Zostaw to, panie! Proszę cię o to. Ja też jestem człowiekiem.

Żandarmowi nieco drgnęła szyja, lecz wytrzymał spojrzenie. Wreszcie jednak machnął ręką.

– Zostaw! – powiedział do młodego.

Następnie przygotowali się do odejścia i ruszyli z jeńcem w kierunku Dédy. Słońce weszło już ponad Görgény, a cienie chałup na fioletowo wyciągnęły się w poprzek drogi. Na ogrodzeniach gnojowisk przycupnęły wielkie, nastroszone wrony.

Tak oto szli: z przodu Tóderik, za nim twardo, po żołniersku, dwóch żandarmów. Zimno błyskały ich bagnety. Nigdzie w całej wsi nie było widać choćby jednego człowieka. Chałupy, drżąc z zimna, skryły się pod puchowymi czapami ze śniegu i gorzko pachnąc dymem, czekały na zapadający zmierzch.

Potem chałupy znikły i już tylko Maros w dole oraz wielkie ośnieżone lasy po obu jej stronach patrzyły zimno i obojętnie, jak Tóderik człapał środkiem drogi w skrzypiących kierpcach, ponury i przygarbiony, a za nim dwóch srogich i brzuchatych żandarmów, a na ostrzu ich bagnetów – prawo.

Nareszcie powoli schowało się też słońce, jakby spadło z brzegu nieba, zamarznęte.

Dziecko przez jakiś czas patrzyło za odchodzącym. Widziało, jak z trudem wydeptuje sobie drogę w śniegu, widziało też łanię pomiędzy młodymi olchami i widziało, jak poruszyła uszami, gdy mijał ją Tóderik. Dziewczynka oparła się o futrynę; przez otwarte drzwi wylewało się z chaty ciepło ognia i zbijało się w gęstą parę pod okapem. Zimne powietrze szczypało dziewczynce policzki, nos od niego dziwnie jej się zwęził. W słońcu migotały koronkowe ozdoby drzew, niekiedy z cichym hałasem tu i ówdzie spadał z jodeł śnieg. Dziewczynka patrzyła na znikający w kierunku doliny ślad, wydeptywany przez Tóderika, na łanię, dalej ogryzającą korę z olchowych pędów, i wreszcie przypomniały jej się sidła.

Weszła do domu. Zawinęła sobie nóżki w grube gałgany, dopiero na to włożyła kierpce. Szmataki obwiązała rzemykami aż do kolan, na główkę narzuciła wielką dzierganą, czarną chustę, która sięgała jej aż do pięt, ściągnęła ją pod brodą i dwa rogi związała sobie z przodu na brzuchu. Dorzuciła do ognia kilka olchowych polan, następnie zamknęła za sobą drzwi, a z zewnątrz oparła o nie miotłę, niech każdy widzi już z daleka, że nie ma tu nikogo. Za węglem chaty znalazła cienki, zakrzywiony palik, chwyciła go w rękę zamiast laski i ruszyła w drogę.

Przed kładką zatrzymała się jeszcze i spojrzała w górę na Istenszéke. Tron Boży wraz ze swymi wieloma ośnieżonymi drzewami był biały i strasznie wysoki. Zarzasy północnych zboczy jarów oddzielały się na fioletowo, a powietrze marszczyło się od cienkiej, migotliwej, zimnej mgły. W dole, zamknięte w swym lodowym gnieździe, gorączkowo łomotało niespokojne serce potoku. U kaskady zwisały olbrzymie sople. Gładko, niemal bezgłośnie prześlizgiwała się pod nimi niebieskawoszara woda Urszu.

Dziewczynka z wolna podążała coraz wyżej po śladach. Za pierwszą stromizną zatrzymała się i spojrzała wstecz. Góra Macskakó błyszczała oślepiającą bielą, chata pod nią wręcz nikła. Głęboko zapadnięta w śniegu, skulona stała tam daleko, a jej blady dach zlewał się z bielą lasu. I wciąż jeszcze była tam też łania, wydawała się mała jak szary robaczek.

Na drugim podejściu dziewczynka spotkała się z wiatrem. Nadszedł z góry i ciągnął z sobą w powietrzu drobny, migotliwy puszek szronu.

Gdzieniedzie ślad rozgałęział się. Wiernie podążała za odnogami, pomiędzy pokryte śniegiem drzewa, w krzaczaste zarośla, pod powalonymi na siebie drzewami, po skalistych drózkach, póki w zasypanych śniegiem tunelach krzewów nie natrafiła na sidła.

W tych położonych niżej nic nie było. Co prawda obok jednego z sidła ciągnęła się kreska świeżego lisiego tropu i lis nawet się zatrzymał, węszył w kierunku sidła. Ale poszedł dalej. Brzuchem wyorał w śniegu bruzdę.

Śmiertelnie głucha była cisza tam w górze, może nawet jeszcze większa i straszniejsza aniżeli wokół domu. Nic się nie ruszało. Tylko pod ostrym,

niewielkim wiatrem zamigotał w powietrzu szron, lecz i to nie przyniosło szelestu. Nawet kroki nie powodowały hałasu większego, niż kiedy z tyłu za kierpcami z delikatnym odgłosem rozpada się miękki śnieg.

W czwartym jarze dwie sarny wyskoczyły z pełnego słońca. Ogromnymi susami kierowały się na przestrzał ku drągowinie. Już dawno znikły, a ich ślad wciąż wyraźnie odciskał się na gładkiej pierzynie śniegu.

Wreszcie wysoko, w szóstym jarze, natknęła się na kunę. Jeszcze żyła, biedna, żelazo pochwyliło ją z tyłu. Wiła się w mękach, a w jej wytrzeszczonych, czarnych oczkach malowało się bezdenne przerażenie. Duszczyka dziecka zadrżała z litości. Pośpiesznie skoczyło do sideł i cienkim kijem kilka razy starannie wymierzyło cios w łepiek zwierzęcia. Łepiek opadł, całym brązowym ciałkiem wstrząsnął dreszcz, zdrętwiałe nogi sterczały w powietrzu, jakby chciały się w coś wczepić i wdrapać, przekrwione oczy wytrzeszczyły się... Dziewczynkę ogarnęła litość, prawie chciało jej się płakać. Raz jeszcze starannie wycelowała w wąski łepiek i mocno weń uderzyła. Kuna już się nie poruszyła. Łepiek zwiesił się jej w śnieg, skonała.

Dziewczynka przykucnęła, rozsunęła żelazo, rozłożyła na śniegu chude ciało. Delikatnie przesunęła palcem po aksamitnym futrze. Z pyska zwierzęcia sączyła się posoka, wymalowując na śniegu wąską, czerwoną wstążkę.

Ponownie ustawiła sidła, poprawiła przynętę, która się ześlizgnęła, uważając przy tym, żeby niczego nie dotknąć gołą ręką. Potem do dwu łapek kuny przywiązała sznurek i przerzuciła ją sobie przez ramię.

Słońce przechyliło się przez Maros, nim obesza także i te najwyżej położone sidła. Wszystkie były puste. Jedno zamknęło się samo, to je poprawiła. Po tym, jak uporała się ze wszystkimi sidłami, przycupnęła na powalonym pniu, żeby odpocząć. Przyjemnie miękko było usiąść. Pnie przykrywała gruba na piędź poduszka ze śniegu.

Tam wysoko w blasku słońca wcale nie było zimno. Skalna grzywa grzbietu chroniła przed wiatrem. Słońce wręcz prażyło, jego promienie odskakiwały od oślepiającego pancerza śniegu i napępiały powietrze ciepłem. Wysoko, naprzeciw tego jaru, widać już było ośnieżone choiny Istenszêke. Całe stały w śniegu jak jacyś zaczarowani żołnierze. Poprzez mieniącą się, perłową zasłonę pobłyskiwał żywy błękit nieba. Gdzieś na odległym grzbiecie stukał dzięcioł. Jego głuche dudnienie spadało w tę niemotę niczym jakiś martwy, czarny ptak.

Może spowodowało to wielkie milczenie, a może też to chłód powoli przenikał przez jej ubranie, skórę i wciskał się pomiędzy kości, że raptem jednak poczuła, jak bardzo jest jej zimno. Było to jakieś takie wewnętrzne przemarznięcie, jakieś takie dzikie uczucie, które od wewnątrz powodowało drzenie. Pójdę – pomyślała.

Ale mimo to ani drgnęła. Nie ruszały się jej nogi, ręce, mięśnie. Czowała, że

coś przygniata jej ramiona i zmusza ją do bezruchu. Coś ciśnie ją w dół, do pnia, a ona nie jest zdolna do tego, by zeń wstać. Ogarnęło ją zdumienie, zdumienie wywołujące wręcz dreszcze. I wówczas nagle poczuła ciszę wokół siebie. Na swych barkach, na drzewach, na górach, w powietrzu. Tę ciężką, białą ciszę, która – jak niewidzialny wielki klosz – opuściła się na cały świat i pod nią świat nie był w stanie poruszyć się ani nawet oddychać. Tak, czuła wokół siebie i nad sobą jakąś straszną ciszę, śmiertelną ciszę. Ciszę, która była samą nicością. Śmiercią.

Ponad lasem przeleciał samotny kruk. Ciężkawe, powolne uderzenia jego skrzydeł upiornie zaszumiały w panującej niemocie. Od tego odgłosu coś jednak pękło w niewidzialnym lodowym pancerzu. Dziecko powstało z pnia, zarzuciło sobie na ramię martwą kunę, zacisnęło w garści kij i niemal biegiem ruszyło z powrotem po śladach, w dół.

Nim dziewczynka znów ujrzała chatę, dolina zaszyła się już w cieniu szarawioletowych mgieł. Słońce żegnało się właśnie ze szczytem Macskaó, a pośród drzew martwa biel śniegu przymarzała już na szaro. Buki stały sztywno.

Kiedy dotarła w dół do kładki, nad potokiem ziewała już szarówka. Jęczała ścieżka, a samotność przyczajona u pni drzew czatowała na ofiarę. Chata stała samotna jak jakieś zagubione dziecko. Wciąż oparta o drzwi miotła strzegła w niej pustki, nieobecności mieszkańców.

Dziecko nie zdziwiło się. Było przyzwyczajone do tego, że zostaje samo. Odstawiło miotłę od drzwi, weszło, zrzuciło kunę na podłogę i podsyciło ogień. Następnie zdjęło z siebie wielką chustę, rozwiązało kierpce i usiadło na ławeczce. Przy ścianach czaiły się już cienie nocy. Żółte snopy ognia poczęły się z nimi mocować. Kiedy jeden odpędziły, to z drugiej strony przekradał się następny.

Przez pewien czas dziewczynka przypatrywała się zabawie światełek i cieni, igrających jak zazwyczaj, nareszcie zgłodniała. Przyciągnęła zydelek pod półkę, wdrapała się nań i akurat dosięgła kociołka. W jednym z woreczków była jeszcze resztką kaszy kukurydzianej, wysypała ją, znalazła również twaróg i nastawiła mamałygę. Zeszła też z wiadrem do źródła i trzymając je, pogapiła się przez kilka chwil na znikające w ciemności ślady, ale nic się tam nie ruszało. Kiedy wyszła po raz drugi, po drewno na noc, u wylotu Urszu, ponad kaskadą zobaczyła jakieś szare zwierzę. Stało nieruchomo pod skałami i patrzyło na chatę. Poznała je natychmiast. Był to wilk.

– Hu, hu! Hu, ha! – krzyknęła nań ostrym dziecięcym głosem i pogroziła kawałkiem drewna, które miała w rączce.

Sierocy głos szarpał się w śniegu, a pod drzewami pochłonęła go cisza. Wilk stał jeszcze jakiś czas bez ruchu i z podniesioną głową wachał powietrze. Potem z wolna, krok za krokiem ruszył w dół. Jakiś czas podązał pod skałami, następnie zszedł do potoku. Przy śladach Tóderika zatrzymał się, długo węszył. Wreszcie przeskoczył przez potok i jego poruszająca się, przyczajona postać znikła pośród

olch. Dalej, w jarze, jakaś łania podniosła alarm kilkoma głębokimi beknieniami. Potem znów słycać było już tylko ciszę, dziką, zamarznąłą ciszę i wieczór, jak ślizgając się na brzuchu, wypełził z lasu.

Dziewczynka nie bała się, ale mimo wszystko starannie zamknęła za sobą drzwi na klamkę i sprawdziła, czy nie otworzyłyby się, gdyby od zewnątrz popchnęło je swoim nosem jakieś brudnoszare zwierzę. Następnie ugotowała strawę, przysiadła na ławeczce i zaczęła jeść.

Kiedy się najadła, nadal siedziała na ławeczce, ogień cicho trzaskał, a ona patrzyła na nieruchomy kształt wyciągniętej na podłodze kuny i tak myślała: to małe zwierzątko jeszcze nie tak dawno wdrapywało się na drzewa, przemykało pomiędzy krzewami, czatowało na drozdy, wiewiórki. Czasem marzło, czasem wygrzewało się na słońcu, czasem było głodne, czasem najadło się do syta... a teraz leży tutaj nieruchomo na podłodze i nie pamięta ani marznięcia, ani wygrzewania się, ani głodu, ani sytości, bo istoty, której się to wszystko przydarzyło, już w nim nie ma. Jest tutaj tylko skóra, a także mięso, no i kości. Żołądek, jelita, płuca. Wdrapywanie się na drzewo i cała reszta gdzieś odeszły, kiedy tym zakrzywionym palikiem uderzyła kunę w łeppek. Nic nie było widać, jedynie trochę posoki na śniegu, nic poza tym. A mimo wszystko ta istota tam była i mimo wszystko odeszła w sposób niewidzialny i bardzo zwyczajny, i też bardzo tajemniczy.

Wreszcie i tym się zmęczyła. Raz jeszcze wyjrzała przez drzwi, ale wcześniej wzięła do ręki kawałek płonącego drewna i wyciągnęła je przed siebie. Na lasach siedział już szary mrok. Gdzieś bardzo wysoko drżało z zimna kilka gwiazd. Dziewczynka nasłuchiwała. Ale to tylko ogień trzaskał w środku. Gdzieś od mrozu zaskrzypiało drzewo. Ścieżka ziewała, szara i pusta, a jej koniec nikł w nocy.

Dygocząc, dziewczynka schowała się z powrotem do domu. Dołożyła do ognia, postąpiła przed nim w zamyśleniu, nareszcie westchnęła i podeszła do swojego posłania. Poprawiła słomę i derkę, wytrzeptała kozuch i rozebrała się do koszuli. Na paluszkach raz jeszcze pobiegła do drzwi, sprawdziła, czy zamknęła je na klamkę, po czym tak samo biegiem wróciła i wślizgnęła się pod dobrze ciepły, pachnący owcami kozuch.

Jeszcze przez jakiś czas poprzyglądała się igraszkom ognia na ścianie, potem z wolna zamknęły się jej oczy i już tylko w półśnie czuła, że spośród belek wychynał ziąb i słomę na jej posłaniu wypełnił zapachem skutego mrozem lasu. U góry, na strychu, mysz z niestrudzoną wytrzymałością coś gryzła.

Gdy dziewczynka otworzyła drzwi, słońce stało już wysoko nad domem. Nigdzie nie było nawet śladu starego. Kiedy tam tak stała, nieco rozczarowana, trochę zaskoczona, wyjrzała w mieniącą się biel, a zimowy las odpowiedział jej martwą ciszą. Jakby do lasu przymarzła samotność.

Westchnęła, następnie zamiotła w chacie, naniosiła wody i zjadła resztkę mamałygi, lecz wciąż nic się nie ruszało w dole, na ścieżce przy potoku. Obdarła kunę, skórę wprawnie natarła popiołem, rozpięła ją na desce do suszenia, jak widziała to kiedyś u starego. Kiedy z tym się uporała, było już popołudnie. W kącie półki znalazła jeszcze trochę wyschłej mamałygi, zjadła ją. Potem siadła na progu i w oczekiwaniu zaczęła przypatrywać się ścieżce. Słońce stało się cieplejsze, z okapu spadała kropla za kroplą, a z tyłu palił się ogień w piecu.

Ale powoli i słońce się skłoniło, a wyciągnięte cienie jodeł na polanie sięgnęły progu. Naraz znów zrobiło się chłodno. Pod olchami wychynęła z potoku mała grubiotka wydra, przez jakiś czas biegła po brzegu to w przód, to w tył, dziwnie, niezgrabnie, po czym z powrotem schowała się do wody. Na góry powoli opadała mgła, a spod drzew wylazła szarówka i w drżącej z zimna, samotnej ciszy wieczór rozłożył swoje skrzydła niczym wielka szara sowa.

W końcu zapadała kolejna noc. Na zewnątrz od czasu do czasu zatrzeszczało od mrozu jedno i drugie drzewo, na ścianie izby światło ognia igrało z cieniami, słoma szeleściła pod kożuchem, a pomiędzy belek w ścianie chłód znów wyciągnął swą niewidzialną, lodowatą dłoń.

Następnego dnia rano dziewczynka była już bardzo głodna. Daremnie przeszukiwała cały dom, nie znalazła nic więcej do jedzenia. Wciąż przyglądając się ścieżce, odczekała jeszcze do południa. Potem wciągnęła na nogi buciki z cholewkami, okryła się dużą chustą, oparła o drzwi miotłę i ruszyła ścieżką, tam gdzie śnieg pokazywał ślady Tóderika.

Nie było wcale zimno. Nim dotarła do wioski, od marszu i bijącego w jej sercu podniecenia zrobiło się jej ciepło. Patrzyła z podziwem na dzieci ślizgające się na zamrożonych przydrożnych kałużach, na załadowane drewnem sanie, co nadjechały z lasu, wreszcie dotarła do karczmy i otworzyła drzwi o zaparowanych szybkach.

Przy długim stole siedzieli mężczyźni. Pewien kupiec ubrany w skórzaną kurtę oraz siedzący przy nim gospodarz targowali się o świnię, pozostali rozmawiali o deskach, o opłacie za przewóz, o innych wiejskich sprawach. Dziewczynki nikt nawet nie zauważył.

Ta podeszła wprost do szynkwasy. Na stukot malutkich bucików z cholewami Ormianin odwrócił się.

- A tobie, dziewczynko, co potrzeba? – spytał, posapując przyjaźnie.
- Gdzie jest tata? – dziewczynka podniosła nań swe czyste błękitne oczy.
- Szukasz ojca? Kim jest twój ojciec?

Dziewczynka wyciągnęła spod wielkiej chusty jedną rączkę i pokazała w kierunku góry.

– Jestem stamtąd, z góry.

Włochatouchy przyjaźnie pochylił się nad szynkwasem.

– Stamtąd z góry, mówisz? – Następnie zwrócił się w kierunku mężczyzn i podniósł głos: – Kto zna tę dziewczynkę? Hę?

Rozmowa utknęła. Wszyscy spojrzeli w tamtą stronę, ale nikt się nie odezwał. Ktoś zapytał:

– A jak wołają twojego ojca?

– Tóderik.

Włochatouchy wytrzeszczył oczy.

– Ten znad Urszu? Z tego okrągłego domu? To przecież ty jesteś, przecie przypominam sobie ciebie...

– Tata wyszedł trzy dni temu. Powiedział, że tutaj idzie. Potrzeba było kaszy kukurydzianej, bo już zabrakło... – tłumaczyła dziewczynka, a jej oczy niespokojnie badały twarz Ormianina.

Ludzie w szynku spojrzeli po sobie. Niektórzy chrząkali, inni kręcili głowami i spluwali na podłogę. Włochatouchy, zmieszany, czerwony na twarzy, drapał się po głowie i mocno stękając, zacinając się, rzekł:

– No był tu, to prawda, no, prawda. Ale przecie... coś się wydarzyło, wiesz, i... no a potem zabrali go żandarmi. Tak to już jest, co zrobić? No, zabrali go.

Oczy dziewczynki rozwarły się szeroko, zrobiły się okrągłe.

– Zabrali go? Gdzie?

Włochatouchy wzruszył okrągłymi, mięsistymi ramionami i z jękiem westchnął głęboko:

– Zabrali. Kto to wie dokąd. Może do Régen, a może nawet i dalej. Skąd niby mam to wiedzieć, co? Co zrobić, jeśli tak to już jest! Nie patrz tak na mnie, to nie moja wina!

Odwrócił się i gderając, burcząc, zaczął niby to szukać czegoś na półkach, żeby nie patrzeć dziecku w oczy. Ono zaś tylko tak stało przed szynkwasem, nieme, osłupiałe, niczego nie rozumiejąc. Przerażone oczy dziewczynki bezradnie badały ściany pokryte pajęczyną, twarze ludzi, po czym zatrzymały się na podłodze. W otaczającej ją milczącej grupie mężczyzn ktoś przemówił ochryple:

– Sama jesteś w domu?

– Yhm – dziewczynka skinęła główką.

Ludzie znów kasłali i wycierali nosy, stękając. Włochatouchy zmarszczył czoło.

– Dałem mu kaszę kukurydzianą i twaróg – rzekł – dałem mu też olej i świece. Wszystko to musi być w jego sakwie.

W którymś rozgorzało raptem wspomnienie.

– Słuchaj no! To zostało u Spiridonów, tam na końcu wioski. No przecie że tam, żandarm oddał to Spiridonom! Biegnij po to, bo przecie tobie to się należy!

Dziewczynka poruszyła się z wolna i bezradnie zrobiła kilka kroków w kierunku drzwi. Jej twarz wydawała się zupełnie malutka pod wielką chustą. Malutka i przestraszona.

– A kto ci teraz gotuje? – zamruczał za nią Ormianin. Dziecko ze zdziwieniem spojrzało wstecz.

– Ja sama.

– A kto się troszczy o drewno i wodę?

– Ja sama. Któż by inny?

Ludzie popatrywali po sobie. Ktoś sięgnął po swój worek i powiedział:

– Chodź tu, dziewczynko!

Wyciągnął przykryty chustą chleb oraz słoninę.

– Kiedy jadłaś ostatni raz?

– Wczoraj.

Ktoś oburzył się głośno, dusząc przekleństwo. Wielu kręciło głowami. Pewien krępy młodzieniec o zuchwałej minie i brązowych włosach splunął.

– A niech szlag trafi cały ten świat razem z jego żandarmami!...

– Na – rzekł mężczyzna i wyciągnął ku niej chleb i słoninę – jedz!

Oczy dziewczynki wpatrzyły się w chleb, a usta rozchyliły się lekko.

– No, trzymaj! Usiądź gdzieś i zjedz!

– A jeśli w tym czasie tata wróci do domu? Mężczyźni znów spojrzeli po sobie.

– Mimo wszystko możesz spokojnie zjeść – odezwał się z tyłu Ormianin. – Czekaj, przyniosę ci jeszcze kubek mleka.

Dziewczynka usiadła na brzegu ławy, akurat naprzeciw kupca w skórzanej kurcie.

– Na – rzekł jeden starszy mężczyzna z wąsami – masz kozik.

Dziecko odkrawało małe kawałki chleba oraz słoniny i łapczywie je gryzło, jak jakaś wygłodzona myszka. Ludzie przyglądali się dziewczynce. Kupiec wygrzebał z kieszeni sfatygowany skórzany portfel, wyciągnął z niego srebrną monetę i położył go na stole przed dziewczynką.

– Weź – powiedział – schowaj, jeszcze ci się przyda. Moja córeczka też jest jeszcze taka mała – z tym tłumaczeniem zwrócił się w kierunku mężczyzn, jakby się zawstydział, a okrągła, czerwona twarz zapłonęła mu jeszcze mocniej. – Jak pomyślę, że kiedyś i ona może tak zostać sama, zdana na siebie...

Ormianin, człapiąc, przyniósł w wielkim niebieskim kubku mleko, postawił je na stole przed dziewczynką i tylko tak stał obok i przyglądał się jej.

– Mogłabyś tu zostać – rzekł naraz. Nuca ze zdziwieniem podniosła głowę.

– Jak mogłabym to zrobić – odparła z powagą – przecie muszę pilnować

domu. A są jeszcze sidła, tata mi je powierzył.

– A nie boisz się sama? – zapytał kupiec.

Dziewczynka najpierw wypila mleko do ostatniej kropli, odstawiła niebieski kubek na stół i dopiero wtedy odpowiedziała zwyczajnie:

– A czego miałabym się bać? Drzwi na noc zarygluję i gotowe. Mężczyźni drapali się po głowach, chrząpali, nareszcie pojedynczo rzucali Ormianinowi na szynkwasy pieniądze i ciężkavo, jakby nie spiesząc się, opuszczali karczmę. Także dziewczynka skończyła jeść i wstała.

– Bóg zapłać – podziękowała grzecznie.

– Czekaj no – odezwał się nagle Ormianin – worek masz?

– Nie mam – odpowiedziała Nuca, dziwiąc się trochę – a to po co?

– Zaczekaj jeszcze chwilkę, skoro już za wszelką cenę chcesz iść!

Włochatouchy poczłapał na tył karczmy do mieszkania, a kiedy wrócił, miał w ręce mały, ładnie uszyty, ozdobiony czerwonym haftem safianowy woreczek.

– Kiedyś ja go nosiłem – tłumaczył nieco niezdarne – jeszcze gdy chodziłem do szkoły. Tutaj on już nie jest potrzebny. Włożyłem do niego trochę soli, oleju, świeczkę i miodowych cukierków. Kaszę kukurydzianą i twaróg znajdziesz u Spiridonów.

Dziecko w podziwie wytrzeszczyło oczy na zdobny woreczek.

– Dajesz mi go? Naprawdę?

– No daję ci. I jeśli tylko będziesz czego potrzebować, śmiało przyjdź tu na dół.

– A co na to powie tata? – dziewczynka zapytała z troską. Ormianin położył swoją wielką, owłosioną rękę na małej główce w chusteczce.

– Jak wróci do domu, to wszystko z nim rozliczymy, nie bój się.

– Jedną skórę z kuny już mam!

Mężczyźni, którzy jeszcze tam byli, roześmiali się.

– Potem to załatwimy – rzekł Ormianin – a teraz już biegnij, bo zastanie cię w drodze zmrok.

Kupiec popchnął w jej kierunku srebrny pieniądz, pozostawiony na stole.

– Nie zapomnij tego tutaj!

Nuca popatrzyła na pieniądz, następnie na mężczyznę.

– Co mam dać za niego?

– Hę? – osłupiał człowiek w skórzanej kurcie. – No chyba że tak! Za parę lat dasz za niego całusa, rozumiesz?

Ludzie znów się roześmiali, dziewczynka zaś starannie zawiązała pieniądz w róg chustki. Potem ruszyła w kierunku drzwi.

– Szczęść Boże zdrowiem! – rzekła z powagą, tak jak dorośli.

– Szczęść Boże! – zaśmiali się ludzie.

Postukując małymi bucikami z cholewkami, ze zdobnym woreczkiem przy

boku, minęła próg. Ledwie zrobiła kilka kroków na drodze, znów usłyszała za sobą otwierające się drzwi. Był to ten krępy o zuchwałej minie. Szybko ją dogonił.

– A czy ty wiesz, gdzie mieszkają Spiridonowie? – zagadnął.

– Jakoś ich znajdę.

– Pokażę ci. Przez jakiś czas i tak możemy pójść razem. Podążali drogą. Mężczyzna długimi krokami, jak ci, co często wędrują krainą ośnieżonych szczytów, dziewczynka drepcząc szybciotko. Śnieg znów skrzypiał pod butami. Słońce, przechyliwszy się na bok, stało ponad grzbietami Görgény ledwie o piędziesiąt, całe w zimnej, białej mgle. Cienie chałup były długie i niebieskie. Wreszcie przed jednym z domów mężczyzna zatrzymał się.

– Ano – rzekł – ja mieszkam tutaj. A ta chałupa tam dalej, gdzie na ogrodzeniu siedzą wrony, należy do Spiridonów. Widzisz ją?

– No widzę – dziewczynka odpowiedziała z powagą.

– No to ruszaj się, bo przecie wieczór idzie.

– Niech wam Bóg błogosławi!

– I tobie niech Bóg błogosławi!

Dziewczynka podreptała do chałupy z wronami. Kiedy weszła przez furtkę, jakaś kobieta wychyliła głowę z szopy.

– Czego szukasz, dziewczynko?

– Sakwy. Powiedzieli mi ludzie, że tu zostawił ją tata.

Kobieta wyszła z szopy i zaciekawiona popatrzyła na dziewczynkę.

– Dlaczego to nie twoja matka po nią przyszła? Ciężka będzie dla ciebie.

– Nie mam matki – dziecko odpowiedziało zwyczajnie.

– Nie masz?

– Nie mam.

Kobieta przyglądała się dziewczynce, kręcąc głową, nareszcie westchnęła:

– No to chodź! Ale ktoś jednak jest tam z tobą na górze? Twoje rodzeństwo, hę?

– Nie ma nikogo.

– Tylko ty sama?

– Ja sama.

Tamta znów kilka razy pokręciła głową i znów westchnęła. Weszły do chałupy. Z rogu sieni kobieta wyciągnęła sakwę.

– To ta?

– Ta – dziewczynka szybko kiwnęła głową i już sięgała po sakwę.

Chwyciła ją dwiema rączkami i podniosła na ramię. Jej wąskie, małe plecy pochyliły się pod tym ciężarem. Kobieta przyglądała się dziecku.

– Zostaw – rzekła – jak mój mąż wróci do domu, to ci ją potem zanieś na górę.

– Dam radę i ja – odparła dziewczynka, nieco zdyszana, i ruszyła z ciężarem

w kierunku drzwi. – Niech wam Bóg błogosławi!

– Zaczekaj, zaczekaj no! – zawołała za nią kobieta. – A kto tam, wysoko w górach, będzie na ciebie baczył, co?

Dziewczynka przystanęła w progu i odwróciła się. Jedno ramię przygięło się jej pod ciężarem.

– O mnie? – spytała zadziwiona. – Nikt. Nie jestem ja owcą, żeby trzeba było na mnie baczyć.

Z tymi słowami szybko ruszyła.

– Czekaj no, a niech cię – Spiridonowa rzuciła w osłupieniu – weź z sobą choć kilka jaj! Kury macie?

Kobieta wbiegła do kuchni i wróciła, niosąc w garści jaja.

– Uważaj, wkładam je tutaj, do kaszy kukurydzianej. Tylko żebyś potem uważała, jak sakwę będziesz stawiać na ziemi!

– Bóg wam zapłać – dziewczynka odpowiedziała z powagą. Póki kobieta stała w drzwiach i patrzyła za nią, zesza z werandy, przeszła przez podwórze, przez furtkę i podążyła drogą ku zboczcu góry. Jedna wielka chusta, zgarbiona jak starzy ludzie, dwie małe nóżki w bucikach z cholewami i wypchana sakwa.

Następnego dnia rano dziewczynka obudziła się późno i wszystkie członki bolały ją od dźwigania. Podsycała ogień, ubrała się, zjadła trochę mamałygi i zakrzętała się wokół domu. Przyszło południe, nim uporała się ze wszystkim. Wtedy owinęła sobie nogi ciepłymi onucami, zawiązała kierpce, nałożyła wielką chustę, do ręki wzięła siekierkę i wyruszyła w górę wzdłuż Urszu obejść sidła, jak to nakazał był stary.

Na górach zasiadała migocąca zima, niema, dostojna. Tylko zaśnieżony potok zdławionymi dźwiękami muzykował w głębinie samotnej ciszy, a i czasem wydał odgłos jakiś krzak, gdy przygięta gałąź strząsała z siebie biały ciężar śniegu.

Wzdłuż potoku pełno było śladów dzikiej zwierzyny, lecz sidła – wszystkie puste. Droga na samą górę była długa, długa była też z powrotem, ale mimo to było jeszcze jasno, gdy dotarła do domu. Już z daleka zobaczyła, że opartej o drzwi miotły nie ma na miejscu. Niemal przefrunęła przez kładkę. Z sercem bijącym z podniecenia pędziła w górę ścieżką i bez tchu wpadła przez drzwi. Na ławie przy piecu siedział mężczyzna. Lecz nie był to Tóderik. Nie poznała go tak od razu. W chacie było już szaro, a jej oczy oślepyły od bieli śniegu. Mężczyzna podniósł głowę i spojrzał na nią.

– No – rzekł ochryple – jesteś tu nareszcie!

Poznała go po głosie. Był to ten krępy o zuchwałej minie. Wstał.

– Przechodziłem tędy – mruknął nieco zmieszany – i pomyślałem sobie, zajdę, niechże no zobaczę, co tam z tobą. Gdzie byłaś?

– Przy sidłach – odpowiedziała dziewczynka i zdjęła wielką chustę.

– Było w nich co?

– Nie.

– Zdarza się.

Patrzyli na siebie, nieco bezradnie, dziewczynka i wąsaty mężczyzna o ponurym spojrzeniu.

– Drewno na rozpałkę masz, jak widzę.

– Tata go narąbał, jeszcze jesienią.

– Starczy jeszcze na miesiąc – ocenił mężczyzna.

– Wtedy znowu narąbimy – rzekła dziewczynka – cały stos jest tutaj za domem.

– Widziałem – mężczyzna kiwnął głową – dobre drewno. No to któregoś dnia znów przyjdę i kogoś przyprowadzę, rozumiesz? Piła jest, to widzę.

Dziewczynka stała i patrzyła. Nie całkiem rozumiała, co chce powiedzieć ten mężczyzna o ogorzałej twarzy. On tymczasem nałożył futrzaną czapę.

– A gdyby ci czego było trzeba... wiesz, gdzie mieszkam. He? Dziewczynka skinęła głową.

– Żona przysłała ci trochę ciasta – mruknął i pokazał na półkę – o, tam jest!

– A tata?... Nie wróci do domu? – spytała cicho. Mężczyzna wykonał jakiś

niezdecydowany ruch ręką.

– Tego bym nie powiedział, no ale... czegoś takiego nie da się przewidzieć. Panowie robią wiele różnych rzeczy, których nie da się przewidzieć.

– Panowie? – wyjąkała dziewczynka. – Powiedziałeś, panowie? Mężczyzna nasunął sobie na oczy futrzaną czapę.

– No to ja pójdę – rzekł ochryple i zrobił kilka kroków w kierunku drzwi. – A ty nie boisz się tu tak sama jedna?

– Ja? – dziewczynka wlepiła weń wzrok. – Czegóż miałabym się bać? Tylko że tata...

– Ano... lichy wie – burknął mężczyzna, po czym otworzył drzwi. Przez chwilę stał tam jeszcze, ale nie odwrócił się. – Ano...branoc, dziewczynko!

– ...branoc!

Drzwi zamknęły się za nim, potem słychać było tylko skrzypienie śniegu wraz z oddalającymi się krokami, nic więcej. W końcu i to się urwało i pozostała jedynie cisza.

Dziewczynka długo jeszcze tam stała, w jednym miejscu, nieruchomo. Myśli zmacone kłębiły jej się w głowie, wirowały coraz mniejszymi kołami i naraz rozjaśniły się z bezwzględną ostrością, i nagle wszystko zrozumiała. Jakby raptem samotność w sposób odczuwalny, całym swoim ciężarem opadła na jej ramiona, na dom, na cały świat. Jakaś straszliwa, okropna samotność, niedająca się przyrównać do niczego, co dotąd знаła.

– Tata... – cicho jęknęła w niej rozpacz, ale cisza natychmiast zdławiła ów głos, który się z niej wyrwał.

Łzy leciały jej po policzkach. Usiadła na ławie, ukryła twarz w dłoniach i płakała. Nie szlochała na głos, na sposób dzieci, lecz bezdźwięcznie, jak starcy.

Ale nie trwało to długo. Ogień począł gasnąć, a ziąb przeniknął przez szczeliny w ścianach. Od tego dziewczynka oprzytomniała. Westchnęła, otarła łzy, wybrała kilka szczególnie dużych polan buczyny i rzuciła je w żar. Następnie naląła wody do kociołka, ugotowała mamałygę, potem wyjęła wszystko z sakwy oraz z wiszącego na kołku zdobnego woreczka i zręcznie rozmieściła te rzeczy na półce. Kiedy się z tym uporała, jednym spojrzeniem oceniła wartość skarbów na półce i ogarnęło ją jakieś przyjemne poczucie bezpieczeństwa, jakieś delikatne, przepełnione spokojem uczucie. Jedzenia miała dość, a to najważniejsze. Drewna też było pod dostatkiem, miała dach nad głową, piec, posłanie, kozuch. Wszystko, czego mogła potrzebować, było tam dookoła. Jakby ktoś, pewien tajemniczy, wielki Ktoś, czuwając sekretnie, zatroszczył się o wszystko w samą porę.

Pachnąca ogniem samotność w małej chatce stała się naraz przyjazna. Dziewczynka myślała o tacie, który na pewno pochwali ją, gdy wróci z tego odległego, niepewnego czegoś, co go pochłonęło, a co niechybnie musiało być sprawką panów. Myślała o sidłach i o skórach, które zbierze i zanieśie na dół, do

wsi temu dobremu, grubemu, brzydkiemu człowiekowi, który dał jej ów przepiękny woreczek. Potem zrobiła się noc, zapach kożucha był miły i ciepły, a wesoła zabawa płomyków na suficie z belek niezauważenie ukołysała ją do snu.

Następnego dnia w sidle znów była kuna, zaraz w najniższym jarze, skąd jeszcze nawet widać dom. Już nie żyła, należało ją tylko wyciągnąć z zębatego pyska pułapki. Natomiast wysoko na szczycie była nowa niespodzianka. W jednej z pętli tkwił zamrożony zając, wielki, szary, stary zając o garbatym nosie, zastygły na kamień. Piękny wydawał się świat dokoła, gdy w jednej ręce z kuną, a w drugiej z wielkim, ciężkim zającem spacerkiem szła w śniegu do domu. Wysoko na Tronie Bożym migotały w różowym świetle oszronione świerki, a w oddali, po przeciwnej stronie podłużne, żółte strzępy chmur zakotwiczyły na wierzchołku Macskakó. Gdzieś jakiś dzięcioł pracowicie obstukiwał drzewo, a ten dźwięk łukiem spinał ciszę i łączył góry niewidzialnym mostem.

Kiedy w dole pojawił się dom, niczym jakiś brązowy grzybek z białym kapeluszem, dziewczynka raptem przystanęła w zdumieniu. Z tej odległości nie potrafiła jeszcze wyraźnie rozpoznać, co to było, co ją zatrzymało, wiedziała jedynie, że gdzieś w tej nieruchomej, zamrożonej ciszy coś się ruszało, i to gdzieś wokół domu. Potem posłyszała też szmer. Cichy, świszczący szmer piłowania. I wtedy już wiedziała, że to ten obcy, ten krępy o zuchwałej minie, powrócił z jednym ze swych towarzyszy. I przyjemnie jej było wiedzieć o tym.

Wręcz pobiegła do domu. I rzeczywiście, za chatą dwaj mężczyźni piłowali drewno. Ten krępy o zuchwałej minie i jeszcze jeden.

– No popatrzże! To ty je złapałaś? – dziwowali się mężczyźni. Dziewczynka zaśmiała się do nich wesoło.

– Nie ja, tylko sidła!

Twarz miała czerwoną z zimna, oczy jej błyszczały. Obaj mężczyźni patrzyli na nią ze zdziwieniem i lekkim zmieszaniem.

– Zręczna jesteś – powiedział w końcu ten krępy o zuchwałej minie i podniósł wzrok na góry. – Musiałaś daleko chodzić.

– Jak cię wołają? – spytał ten drugi, wysoki, chudy mężczyzna, którego pozbawiona zarostu, blada twarz była dokładnie taka, jakby odlano ją z wosku.

Dziewczynka wpięrk uważnie przyjrzała się obcemu, bo nigdy jeszcze nie widziała twarzy o takiej barwie. Jakby to wcale nie była twarz żywego człowieka – przyszło jej do głowy, a od tej myśli wstrząsnął ją lekki dreszcz. I jakie dziwne ma też oczy...

– Nuca – odparła cicho, lecz nie potrafiła oderwać oczu od dziwnego spojrzenia tego o woskowej twarzy. Ów nie wytrzymał jej wzroku i zmieszany, odwrócił głowę w bok.

– Rośnij duża! – wymruczał i odwrócił się do drugiego. – Chodź, bierzmy się do tej piły, bo przecie zaraz spadnie na nas wieczór.

Po chwili znów zaczęła poświstywać piła.

Dziewczynka weszła do chaty, łup cisnęła w kąt i podsycała ogień. Potem nalala wody do kociołka, a kiedy ta zaczęła się gotować, wrzuciła do wrzątku trzy dobre garści kaszy kukurydzianej, a nawet dodała jeszcze czwartą, i wprawnie mieszając, czekała, aż mamałyga będzie gotowa. Wtedy zdjęła ją z ognia, położyła na chuście i do ugotowanej kaszy wmieszała twaróg. Potem zdjęła z półki trzy kawałki ciasta z marmoladą, pozostałe z placka, który przysłała żona tego krępego, i także położyła na stole. Na koniec zbiegła z dzbankiem do źródła po świeżą wodę, a w drodze powrotnej zawołała do piłujących:

– Jedzenie gotowe! Wejdźcież do środka!

Mężczyźni przerwali piłowanie i spojrzeli po sobie. Coś chcieli powiedzieć, ale dziewczynka tymczasem znikła już w chacie. Zaśmiali się zgodnie, strzepnęli z siebie trociny i ruszyli ku drzwiom.

Wewnątrz wszystko było jak należy, jak powinno być tam, gdzie w domu jest kobieta. Mężczyźni z początku poruszali się niezgrabnie, zmieszani, ale mamałyga z twarogiem była dobra, jedli więc w milczeniu. Dziewczynka stała przy piecu, jak nakazuje przyzwoitość, i stamtąd ich obserwowała, a odzywała się tylko wtedy, gdy było to potrzebne.

– Dzbanek jest tam, pod ławą. Albo:

– Wytrzyjcie sobie ręce w chustę, na to ona jest.

Kiedy skończyli jeść, otarli sobie usta rękawami kaftanów i niemal jednocześnie powstali z ławy.

– Dziękujemy za miłą gościnę.

– Na zdrowie! – dziewczynka odwzajemniła się im w odpowiedzi, jak się godzi.

Wychodząc, ten o woskowej twarzy przystanął w drzwiach i odwrócił się.

– Ile ty masz lat, duża panno? – zapytał dziwnie.

– Trzynaście.

– Ha! Niech Bóg da ci długie życie! – mruknął i nieśpiesznie przekroczył próg. Piła wkrótce znów odezwała się z tyłu, za chatą. Ale mimo to coś jakby pozostało pośród ścian domu, przyczajone, niewidzialne. Może coś ze wzroku tego o woskowej twarzy, może coś z jego głosu, dziewczynka nie potrafiłaby powiedzieć co. Ale było tam. Obce i niepokojące.

Zjadła i ona, umyła naczynia, następnie usiadła na stołeczku i zaczęła ściągać skórę z kuny. Kiedy akurat rozpiniała ją na desce, mężczyźni ponownie zaszli do chaty. Na dworze już zmierzchało.

– Jakżeż to, już obdarłaś ją ze skóry? – zagapili się na dziewczynkę.

– No tak, obdarłam.

– Sprytna jesteś. A co z zającem?

– I na zająca przyjdzie kolej.

– Będzie z niego dobre mięso w sosie.
– Obu was z chęcią nim ugoszczę. Mężczyźni roześmiali się szeroko.
– Tylko nie zapomnij o winie do zająca! – przekomarzał się ten krępy o zuchwałej minie.
– To sprawa mężczyzn – odparowała dziewczynka.
Mężczyźni śmiali się, kręcili głowami, jakby droczyli się nie z dzieckiem, a z panną na wydaniu, takie właśnie to było.
– Przez jakiś czas nie będę mógł przyjść – rzucił ten ciemny – wożę deski. Ale jeśli czegoś ci będzie trzeba, wiesz, gdzie mnie znaleźć. Mam na imię Márton. Márton Sánta. A to jest Józsup, mój sąsiad.
– Dziękuję, że przyszliście – powiedziała dziewczynka.
Potem poszli. Dziewczynka patrzyła za nimi z progu, aż ich oddalające się postacie wchłonął las.

Tego dnia, kiedy Nuca postanowiła, że upiecze zająca – wcześniej wiele dni musiał wisieć pod okapem, żeby jego mięso skruszało – na górę do chaty nad potokiem Urszu przybył gość.

Akurat uporwała się ze szpikowaniem zająca słoniną, zręcznie go też nabiła na rożen, a w powietrzu zaczął się rozchodzić przyjemny zapach pieczonego mięsa, gdy na zewnątrz powstał ruch i otwarły się drzwi. W progu stanął jakiś mężczyzna i badawczo zajrzał do środka. Był to niski, stary człowiek o przygarbionych plecach, w nieforemnych kierpcach na nogach, w wyliniałej futrzanej czapie na głowie, twarz zaś niemal zupełnie zasłaniały mu zmierzwiłe wąsy w kolorze konopi. Dobrze widać było jedynie oczy – jasne, migoczące niemal na żółto. Były to oczy przyjazne, ostro widzące i czyste niczym zimną wodą w krainie ośnieżonych szczytów. A płaski, podłużny kształt twarzy w pewien sposób przypominał wąsatą, starą rybę.

– Szczęść Boże! – powiedział mężczyzna i wszedł do środka. Zwisającą mu z ramienia sakwę położył na ławie i zdjął też futrzaną czapę. Czoło miał całkiem białe, włosy długie i tłuste, i tak samo wyblakłe jak wąsy. – Ja jestem Birtalan znad Szalárd. Wiesz, gdzie jest Szalárd?

– Ja? Nie – odpowiedziała dziewczynka, pilnie obracając rożen nad ogniem.

– Po drugiej stronie Maros i nieco wyżej – wytłumaczył mężczyzna – to potok nieco większy aniżeli ten wasz tutaj i otaczają go świerkowe bory.

– Musi tam być pięknie – dziewczynka skinęła głową.

– O tak, jest pięknie.

Mężczyzna stał i wpatrywał się w kierpce, na których śnieg rozpuszczał się, tworząc brązowe kałuże na podłodze.

– Usiądźcie, skoro już tu jesteście – zaproponowała dziewczynka.

Birtalan usiadł na drugim końcu ławy. Dobłą chwilę milczeli oboje, słychać było jedynie ciche skwierczenie pieczonego mięsa. Gość wyciągnął z kieszeni poczemniałą ze starości glinianą fajkę oraz woreczek z tytoniem i zaczął nabijać tę fajkę, a wszystko czynił z wielkim, łagodnym spokojem. Nareszcie wygrzebał z ognia trochę żaru i zapalił fajkę. Kilka razy pyknął gryzącym dymem, po czym wskazał brodą w kierunku sakwy.

– To dla ciebie przyniosłem.

– Dla mnie? – dziewczynka wlepiła weń wzrok, a jej oczy zrobiły się niemal okrągłe. – Dla mnie? – powtórzyła.

– Yhm – skinął Birtalan – pan posyła.

– Co za pan?

– Pan Éltető.

– A to kto?

– Jego jest tam, po drugiej stronie, kraina ośnieżonych szczytów. Cała.

– A dlaczego mi to posyła?

– Przecie słyszał o tobie. Albo może zna twojego ojca. Czy ja wiem? Ja jestem tam, wysoko w górach, strażnikiem leśnym i to pan Éltető mnie przysłał. Ale uważaj, przypała ci się mięso!

Więcej się nie odzywali, póki zajac nie był gotowy. Wówczas Birtalan wyciągnął z worka cały bochenek chleba, nakreślił na nim nożem znak krzyża, jak się godzi, i przełamał. Odciął dużą pajdę dla dziewczynki, drugą dla siebie. Następnie z kozikami w rękach zabrali się do zajaca.

– W lepszą już porę nie mogłem przyjść – Birtalan wyznał na koniec, kiedy z zajaca pozostały jedynie kosteczki. – Ale to muszę przyznać, dziewczyno, że znasz się na pieczeniu.

Swój kozik wytarł w kożuszek, ponownie wygrzebał fajkę, nabił ją, zapalił, a gdy już dobrze dało się z niej pociągnąć, powstał z ławy.

– No a teraz chodź – rzekł. – W zamian za obiad czegoś cię nauczę.

– Czego takiego? – spytała dziewczynka, trochę niepewnie.

– Łapać ryby.

– Dość my ich łapiemy węcierzem, ale o tej porze roku nie da się.

Birtalan machnął ręką z lekceważeniem.

– Węcierzem. Kto, do diaska, męczy się z czymś takim?! Chodźże! Jak masz na imię?

– Nuca.

– No to weź, Nuca, siekierę i koszyk na ryby!

Zeszli do potoku. Dziewczynka, ociągając się, ale zaciekawiona, z koszykiem na ramieniu i z siekierą w ręce. Przy jednej z wielkich, wystających skał Birtalan zatrzymał się. Potok przepływał tam pod tą skałą, ale nie było go słychać, bo przykrywał go lód i śnieg.

– Pamiętasz to miejsce z lata?

– Tak – skinęła dziewczynka.

– Głęboka jest woda pod tą skałą?

– No pewnie, że głęboka.

– Jak głęboka?

– Do pasa.

Birtalan kiwnął głową, następnie zsunął się pod skałę i nogą odgarnął śnieg w jednym miejscu. Wkrótce widać już było lód.

– Daj siekierę!

Począł nią obstukiwać lód, raz z tej, raz z tamtej strony, aż wyciął w nim mały czworokątny otwór. Starannie uprzątnął garścią lodowe odłamki. W dole, w głębi otworu, woda mknęła jak roztopiony ołów, ciemna, niemal czarna. Birtalan przyklęknął, pochylił głowę bez mała do samej wody i tak oto dłuższą chwilę zaglądał w brzuch potoku.

– Są tutaj – mruknął, podnosząc się – i ty możesz je zobaczyć. Pod

kamieniem, wszędzie, z głowami w szczelinach. Tylko ogony im się ruszają to w jedną, to w drugą stronę.

Dziewczynka z zaciekawieniem przykucnęła przy otworze i pochyliła głowę całkiem aż do wody. Przez jakiś czas nie widziała nic, tylko przemykający strumień. I czuła w nozdrzach surowy, dziki zapach potoku, a uszy napęłniły jej się tym dziwnym, huczącym hałasem, jaki powoduje woda ściśniona pomiędzy kamień a lód. W końcu i ona, Nuca, zobaczyła pierwszą rybę leżącą tam nieruchomo, podobną do kawałka drewna, z głową w szczelinie kamienia. Tylko przezroczysta błona płetwy ledwo zauważalnie falowała wraz z nurtem wody. Potem dostrzegła jeszcze jakąś inną, a potem więcej i więcej.

– Widzę je! – dziewczynka podniosła zaczerwienioną twarzyczkę. – Ileż ich jest! Ale jak można je złapać, wujku Birtalanie?

– Zaraz zobaczysz. Najpierw nazbieraj do koszyka sporą ilość gałązek choiny. Tylko żeby były suche, rozumiesz?

Na drugim brzegu potoku gęsto stały choiny, ich gałęzie dotykały ziemi i było na nich wystarczająco dużo suchych gałązek. Dziewczynka z zapalem nałamała ich do koszyka. W tym czasie Birtalan zdrapywał nożem z drzew, na kawałek gazety, żywicę.

– No chodź! – rzekł wreszcie, gdy było już dość i gałązek, i żywicy. Powrócili na lód.

Birtalan najpierw dokładnie odszukał miejsce, gdzie pod lodem ryb było najwięcej, potem starannie odgarnął stamtąd śnieg.

– Daj tu drewno!

Na oczyszczonym kawałku lodu ułożył gałązki w stos, wmieszał w nie żywicę, następnie wyjął skałkę, hubkę i wykrzesał ogień. Trzaskały gałązki pod ogieńkami, płonąca żywica skapywała na lód i wkrótce zrobiła się tam kałuża. Birtalan wsunął ostrze siekiery pod ogień i po trochu zeskrobywał stamtąd lód rozmiękczony na kaszę.

– Tak to należy robić – rzekł – bo jeśli uderzysz w lód siekierą, ryby się spłoszą i odpłyną z tego miejsca. A tak to niczego nie zauważą.

Pod ogniem dziura coraz bardziej pogłębiała się i poszerzała. A kiedy w końcu ogień się dopalił i Birtalan odgarnął nogą resztkę żaru, lód w otworze był już całkiem miękki. Mężczyzna starannie czyścił dłonią otwór z kawałków lodu, aż naraz jego ręka sięgnęła wody. Otwór był gotowy. Stary z szerokim uśmiechem popatrzył w górę na dziewczynkę, ta odpowiedziała mu uśmiechem, a jej oczy błyszczały z podniecenia.

Birtalan zrzucił kożuszek, podwinął rękaw koszuli aż po pachę. Jego szczupła, żylasta ręka przypominała suchą gałąź. Następnie z wolna, ostrożnie sięgnął przez otwór do wody. Głębiej, coraz głębiej. Nuca obserwowała go z zapartym tchem. Jej wzrok zawisł na twarzy Birtalana. To oblicze było napięte,

tajemnicze. Naraz wąż mu drgnął, a oczy rozbłysły dziwnym, triumfalnym blaskiem. Wyciągnął ramię z wody, a w dłoni trzepotała mu całkiem spora ryba.

– Na – powiedział wesoło i wrzucił rybę do koszyka. Ponownie sięgnął do wody i znów wyciągnął rybę. Przy szóstej przerwał, podniósł się i z zaczerwienionej z zimna ręki strząsnął wodę.

– O tak właśnie. Teraz i ty możesz spróbować.

Dziewczynka natychmiast rzuciła obok otworu wielką chustę, przykucnęła na niej i też podwinęła sobie rękaw koszuli.

– Brrr... – szepnęła, kiedy dotknęła zimnej wody, lecz ręki mimo to nie wyciągnęła. – Poczulałam jedną pod palcami, ale odpłynęła!

– Dotknij jej ostrożnie – pouczył ją Birtalan – pogłaszcz po grzbiecie w kierunku głowy, a gdy sięgniesz skrzeli, szybko pochwyć! Woda też czasem szoruje rybi grzbiet liśćmi z drzew, małymi gałązkami, kawałkami lodu, które w niej pływają. Rób tak, jakby twoja ręka też była kawałkiem drewna, niesionym przez wodę jak gałąź czy liść.

Dziewczynka ponownie zanurzyła rękę w wodzie, teraz jeszcze ostrożniej.

– Mam ją! – zawołała nagle, z twarzą rozpromienioną radością, i już ryba podskakiwała na śniegu.

Lodowata woda niemal paliła jej skórę, palce bolały z zimna, ale nie przestawała. Z dziką, wesołą radością wyrzucała z wody ryby, jedną po drugiej. Birtalan stał tam obok i przyglądał się jej w zamyśleniu.

– Wystarczy – powiedział wreszcie, a jego głos zabrzmiał poważnie. – Teraz ryb masz dość na kilka dni. Szybko się tego nauczyłaś, szybciej, aniżeli bym pomyślał. Niewielu potrafi się tego nauczyć, ale i ja pokazuję to tylko nielicznym... Ludzie wszystko chcą niszczyć, zabijać. Ja łapię tylko tyle ryb, ile mi potrzeba, no i czasem dla pana, gdy przychodzi wysoko w góry. Kto zabija także wtedy, kiedy nie jest głodny, ten grzeszy.

Do domu powrócili z koszykiem pełnym ryb. Birtalan opróżnił swoją sakwę.

– Masz tu bochenek chleba, suszone mięso, polec słoniny, jabłka, placek z miodem, a w tym woreczku cukierki. Na. Wszystko to posyła ci pan.

– Bóg zapłać wam obu! – rzekła dziewczynka i zaczęła układać te rzeczy na półce.

Birtalan zarzucił na ramię pustą sakwę, mocniej wcisnął na głowę futrzaną czapę i ruszył w kierunku drzwi.

– No, niech ci Bóg błogosławi, dziewczynko!

Zima uparcie więziła świat. Za dnia niebo było perłowobłękitne od mrozu, a nocą drżały nawet zziębnięte gwiazdy. Z kominów pionowo w górę unosił się niebieski dym i wieś wyglądała tak, jakby wiele smukłych, niebieskich kolumn podtrzymywało nad nią zamarznąłą kopułę niebios.

W niedzielę, po kościele, mężczyźni zbierali się w karczmie. Szedł tam nawet ten, kto nie chciał się napić, lecz być może usłyszeć o świecie coś, co można potem opowiedzieć w domu, wieczorem przy piecu, żeby szybciej płynął czas. Włochatouchy ledwie dawał sobie radę z obsługiwaniem; w tym małym, ciasnym szynku panował taki ścisk i hałas, że nikt nie usłyszał, kiedy otworzyły się drzwi, i jedynie stojący tam w pobliżu dostrzegli dziewczynkę znad potoku Urszu, jak poprzez tłum kierowała się ku szynkwasowi.

– To ty wciąż jeszcze żyjesz? – zdziwił się ubrany w kozuch przysadzisty gospodarz z zagrody leżącej w odosobnieniu.

– Ja, tak – dziecko odpowiedziało wesoło i przepychało się dalej w kierunku Włochatouchego.

Usłyszawszy cienki dziecięcy głosik, paru mężczyzn spojrzęło w tamtą stronę i umilkło. Każdego mniej lub bardziej zakłuło sumienie, bo jeszcze przed kilkoma tygodniami wiele razy rozmawiali o pozostawionej samej sobie dziewczynce, a byli tacy, co wręcz zaklinali się, że w ten czy w inny sposób dziecku pomogą. Ale skończyło się na gadaniu. Wreszcie dziewczynka dotarła do szynkwasu, położyła na nim zdobny woreczek i zaczęła wyciągać z niego skóry z kun.

– No proszę, proszę! Czyżbyś to naprawdę była ty? – odezwał się Włochatouchy, gapiąc się na nią w zdumieniu.

Dziewczynka wyłożyła pięknie jedną obok drugiej sześć skór, po czym zapytała:

– Co za nie dasz?

Ormianin wyszczerzył zęby w odpowiedzi:

– Dziesięć funtów kaszy kukurydzianej i dwa funty twarogu.

– Za jedną?

– Za sześć.

– Chyba odebrało ci rozum!

Mężczyźni roześmiali się, a Włochatouchy śmiał się razem z nimi.

– Przecie więcej to ty nawet nie dasz rady zanieść – droczył się dalej Ormianin.

– Chcę za nie pieniędzy – odparła dziewczynka z powagą. Ormianin obejrzał skóry po kolei, długo je macał, dmuchał w nie.

– Poprzecierane – oświadczył w końcu lekceważąco.

– Jak mogłyby być poprzecierane?! – dziewczynka uniosła się gniewem. – Nie wiesz tego, że w taki czas kuny nie biegają!

Mężczyźni znów zaśmiali się w głos, uderzając się po udach. Ormianin też zarechotał, aż od tego podskakiwał mu wielki, gruby brzuch. Nie śmiała się tylko dziewczynka.

– Powiedz lepiej, ile pieniędzy dasz za te skóry! Ormianin spoważniał. Znów dobrze obmacał skóry.

– Forinta za każdą sztukę – oznajmił. Dziewczynka twardo spojrzała mu w oczy.

– Dwa.

Włochatouchy pokręcił głową.

– Tyle dać nie mogę. Ale niech będzie jeden dziesięć. I tylko dlatego, że to o ciebie chodzi. Komu innemu nie dałbym tyle.

– Półtora – powiedziała z uporem dziewczynka.

– Jeden dziesięć.

– Za tyle ich nie dam.

– No to możesz je sobie stąd zabierać – Włochatouchy warknął gburowato i jednym ruchem zepchnął skóry z szynkwasu.

Dziewczynka, w przestachu i bezradnie, wbiła wzrok w podłogę, ale nie ruszała się, tylko skubała koniuszek wielkiej chusty. W szynku zapanowała głucha cisza. Wszyscy na nich patrzyli, na nich dwoje, a te spojrzenia były ponure. I wtedy nagle w tyle szynku z jakiegoś brzydkiego, przygarbionego starca z brodą buchnęły słowa:

– Żebyś tylko nie oddała mu za tyle, dziewczynko! Nie oddawaj ich temu łajdakowi! Jeszcze czego! Na tobie chce się wzbogacić? Że też nie spali się ze wstydu! Zawiozę ci te skóry do Régen, ja sam, ani trochę się nie bój! Nie dwa, a dwa pięćdziesiąt płacą tam za takie skóry! Wie o tym i Ormianin, a niech go pokręci!

Naraz ludzie zahuczeli niczym poruszony ul z pszczołami.

– Ma rację stary! A niech go zaraza weźmie, tego Ormianina! Dziecko chce oszukać? Sierotę złupić chce do cna? Co to za człowiek! Stary ma rację! Skóry trzeba zawieźć do Régen, no pewnie, że tak!

Jakiś popędliwy gospodarz walnął pięścią w stół, aż zatrzeszczała pod nią deska.

– Ja ci tu na miejscu zapłacę po dwa forinty za sztukę! W tej chwili! Tylko ich nie oddawaj temu, co ma włochatą duszę! Żeby mu zżarło i skórę na twarzy z takiego braku wstydu!

Jakiś wyglądający na kupca obcy mężczyzna przepchnął się do szynkwasu.

– Pokaż te skóry, dziewczynko!

Nuca, zdumiona, stała pośrodku wielkiego wzburzenia i spoglądała to na jednego, to na drugiego mężczyznę. Ormianin ze wstydem mrużył oczy, gdy mu wymyślano. Na jego tłustą twarz wystąpił pot.

– No, no, no przecie ja tylko żartowałem – mruknął zmieszany. – To już nawet i tego nie wolno? No dobrze, dostaniesz po dwa. Dlaczego nie? Nie ma co tak krzyczeć.

I rozejrzał się wkoło niczym jakiś zyczliwy, tęgi święty, który co prawda stroi sobie żarty z dzieci, ale przecież oddałby im nawet i ostatnią koszulę, gdyby mu na to przyszło. Wtedy jednak odezwał się kupiec, sucho i rzeczowo:

– Daję jak popadnie po dwa dwadzieścia za sztukę, dziewczynko.

Włochatouchemu zastygł na twarzy szeroki uśmiech. Patrzył na kupca, przymrużywszy oczy.

– Dasz mi je za tyle? – zapytał tamten.

Oczy dziewczynki wędrowały od jednego do drugiego i już nawet otwierała usta na tak, kiedy ktoś do niej podszedł. Był to ów przygarbiony starzec z brodą.

– Czekał no – rzekł – niech i ja obejrzę te skóry.

Pojedynczo brał do ręki każdą z sześciu skór i długo, dokładnie je oglądał. Stojący wokół obserwowali go.

– Piękne skóry – powiedział stary, kiedy skończył sprawdzać. – Wszystkie są bez wady. Rzadko można zobaczyć razem sześć takich skór. Ty sama je oprawiałaś, dziewczynko?

– Sama – potwierdziła Nuca, a twarz jej zapłonęła.

– Zręczna jesteś – rzekł ów z brodą. Następnie zwrócił się do kupca: – Za taką Żydzi w Régen płacą po trzy forinty, wiem ja to.

– Dobrze, dobrze – odparł kupiec – ale i ja muszę na nich zarobić!

– To prawda – przytaknął starzec – ale nie po osiemdziesiąt na sztuce.

– Na miłość boską, niech więc będzie po dwa pięćdziesiąt! – poddał się kupiec i wyciągnął sakiewkę.

– Dwa dziewięćdziesiąt – odparł starzec, targując się zawzięcie.

– Zwariowaliście?! – warknął kupiec, czerwony od gniewu. – Myślicie, że będę się z nimi męczył za głupie dziesięć grajcarów, co?

– Dwa dziewięćdziesiąt – ten z brodą powtórzył z uporem. Ormianin wciąż jeszcze stał za szynkwasem i jak sparaliżowany wytrzeszczał oczy na targujących się. Lecz nim kupiec odpowiedział, gwałtownym ruchem wyciągnął swoją wielką, owłosioną rękę w kierunku skór i jednym szerokim gestem zgarnął je za szynkwas.

– Gotowe – rzekł burkliwie, po czym wyciągnął małą szufladkę z pieniędzmi i zaczął liczyć. – Trzy razy sześć to osiemnaście. Masz tu swoich osiemnaście forintów, dziewczynko. I bacz, żeby ich nie zgubić!

Mężczyźni w szynku odetchnęli z ulgą. Kupiec bez słowa schował sakiewkę i poczłapał z powrotem do stołu. Tylko starzec wciąż jeszcze stał obok dziewczynki.

– No a co ty teraz poczniesz z takimi pieniędzmi, co?

Drobne, brązowe rączki łąpczywie wyciągnęły się po pieniądze.

– Są mi potrzebne – odparła cicho. Potem wyjęła jednego srebrnego forinta i popchnęła go ku Ormianinowi. – Za to daj mi kaszy kukurydzianej i twarogu! I jeszcze kilka cebul. I... trochę cukierków miodowych, jeśli z tego starczy...

Te ostatnie słowa wymówiła ciszej i nawet zaczerwieniła się ze wstydu. Stary położył kościstą rękę na główce dziewczynki i westchnął:

– Oj, dziecko, dziecko...

Ormianin sięgnął po worek, ale drugą ręką odepchnął pieniądz.

– Dostaniesz to na dokładkę – rzucił gderliwie – schowaj swój pieniądz! Schowaj, no, na co czekasz?

Włochatouchy nappełnił worek. Nuca zarzuciła ten worek na ramię i ruszyła. Ale po kilku krokach nagle stanęła, jak ktoś, kto się nad czymś zastanawia.

– Potrzeba ci czego jeszcze? – zapytał Ormianin z za szynkwasu. Dziewczynka potrząsnęła głową.

– Nie, nie. Tylko że ktoś powiedział, że jedzie tam... Mężczyźni znów natężyli uwagę.

– A gdzie to? – spytał Ormianin.

– No tam... wiecie... do miasta!

– Do Régen?

– Tam, tam!

– A czego by stamtąd trzeba? – przemówił siedzący przy stole potężny gospodarz o czerwonej twarzy, który pod Andrenyásza miał zagrodę leżącą w odosobnieniu. Ten sam, który chciał wcześniej kupić skóry.

– Pieniądze – wyjąkała dziewczynka, zmieszana – chciałabym posłać pieniądze...

– A komuż to? – zdziwił się gospodarz.

– Tacie... co go panowie zamknęli... może mogłyby mu się przydać...

Mężczyźni spojrzeli po sobie. Niemo, ponuro, ze ściągniętymi brwiami. Ktoś westchnął głęboko. Ten spod Andrenyásza podrapał się po głowie.

– Tyle że aści wcale tam nie ma.

– No a gdzie jest? – przestraszyła się dziewczynka. W jej szeroko rozwartych oczach odbijała się troska.

– W Vásárhely.

– A co to jest?

– I to jest miasto. Tylko leży dużo dalej i jest większe. Nuca zastygła spojrzeniem na gospodarzu.

– A wy tam jedziecie?

– Ja nie.

Przestraszone, błękitne oczy bezradnie wędrowały wokół, z twarzy na twarz. Pod ich spojrzeniem wszyscy pochylali głowy. Zapanowała cisza pełna zakłopotania. I wówczas odezwał się kupiec:

– Daj tu pieniądze, jeśli mi zaufasz.

Dziewczynka spojrzała na obcego mężczyznę, a twarz jej pojaśniała.

– A ty je tam zawieszysz?

Pośpieszyła do kupca i szybko położyła przed nim na stole pieniądze.

– Proszę – rzekła, a oczy jej promieniały. – Ucieszy się tata. Kupiec sięgnął po pieniądze, starannie je przeliczył, następnie wsunął do swojej sakiewki.

– Ja to załatwię, dziewczynko – obiecał z powagą – i przyniosę ci też wiadomość od niego. Dobrze?

– Dobrze, bardzo dobrze! – ucieszyła się Nuca.

– W pierwszą niedzielę w przyszłym miesiącu znów tu będę, rozumiesz?

Błękitne oczy niepewnie patrzyły na szczupłą twarz kupca.

– Kiedy to będzie?

– Posłuchaj – rzekł i zaczął liczyć: – Jeden tydzień, dwa tygodnie, trzy tygodnie... Licząc od dzisiaj dwudziesty szósty dzień, rozumiesz? Dwadzieścia sześć. Potrafisz policzyć do tyłu?

Dziewczynka niepewnie wzruszyła ramionami.

– Czekał no – wtrącił się z drugiego końca stołu tyczkowaty węglarz. – My tam, wysoko w górach, tak to robimy.

Wstał, wyciągnął swój nóż, podszedł do stojącego w kącie żelaznego piecyka, wybrał piękne, proste polano i zaczął odłupywać z niego cienkie, małe trzaski. Raz i drugi raz je przeliczył, po czym powrócił z nimi do stołu.

– Posłuchaj – rzekł, kładąc trzaski przed dziewczynką. – Codziennie jedną z nich spalisz. Każdego poranka, kiedy podsycasz ogień. Rozumiesz? Ale każdego ranka tylko jedną, uważaj na to! A gdy spalisz ostatnią, wtedy przyjdiesz tu, na dół. Rozumiesz już?

Dziewczynka przytaknęła z powagą. Starannie zebrała trzaski i schowała je do worka. Ktoś rzucił wesoło:

– Tylko uważaj, żeby ani jednej nie złamać, bo wtedy się rozmnożą!

Mężczyźni śmiali się z pełną ulgi wesołością; dziewczynka poprawiła sobie worek na ramieniu i pożegnała się:

– Niech wam Bóg błogosławi!

– Niech tobie Bóg błogosławi! – odpowiedzieli mężczyźni i patrzyli za nią, jak dreptała ku drzwiom.

– Naprawdę zawieziecie staremu te pieniądze? – spytał gospodarz z zagrody leżącej w oddaleniu pod Andrenyásza.

Kupiec machnął ręką.

– Nawet by mnie do niego nie dopuścili. A pieniędzy i tak nie wolno tam mieć. I co by z nimi począł? Bardziej potrzebuje ich ta nieszczęsna dziewczynka.

Mężczyźni przytaknęli. Potem nad brudnym stołem pochylili ku sobie głowy i przy palince szczegółowo omówili przyszłość osiemnastu forintów.

W kącie na półce ubywało trzasek.

Każdego ranka, kiedy dziewczynka wyskakiwała spod kożucha, żeby podsycić drzemiący żar olchowych polan w piecu, sięgała na półkę i zdejmowała jedną z trzasek. Było to niczym jakiś dziwny, zabobonny rytuał. Klęczała tam przed piecem, w samej koszuli, i patrzyła na cienki, żółty płomyk, jak z wolna wyrastał z trzaski, rozlewał się po niej i poczynił ją zjadać. Trzaska czerniała pod nim i stawała się coraz mniejsza i mniejsza, aż znikwała pośród żaru. Nuca lubiła patrzeć na ten poranny ogień, jak raz za razem pochłaniał jeden dzień z wiązki leżącej na półce. Kucała przed ogniem, jakby ją zaczarował. Pod koszulę wpelzało jej chłodne powietrze świtu i do czerwoności szczypało nogi, uda, całe ciało. Ale się nie ruszała. Siedziała tam przykucnięta, aż ciepło trzaskającego świerkowego ognia wypełniło dom zapachem dnia, odpędzając noc z powrotem pomiędzy belki ścian. Wtedy myła się i ubierała. Kiedy otwierała drzwi, wdzierano się do środka ostre słońce i uprzętało zaparowane powietrze z całego domu. Później zamiatała, nosiła wodę, rąbała drwa, zjadała to, co pozostało z wieczoru, i nim się z tym wszystkim uporała, słońce siedziało już wysoko na niebie niczym jakiś wielki, śmiejący się król, a na drzewach tajał szron, skapując kropla po kropli na ziemię.

Było wręcz ciepło, kiedy szło się tak w górę Urszu. Ostre słońce wyciskało siódme poty z tych, co się wtedy wspinali.

Pewnego popołudnia, kiedy Nuca wróciła z obchodu sideł – już ledwie kilka trzasek pozostało do spalenia – usłyszała drozda. Odezwał się nisko, przy olchach. Dziewczynka popatrzyła w tamtą stronę i spostrzegła krzak wierzby, na którego gałęziach pękały właśnie białe bazie.

Podeszła tam i odłamała zeń kilka gałązek. Potem podążyła w górę, do domu. Z progu spojrzała jeszcze wstecz na potok. Słońce już się z nim pożegnało i wyciągnęło długość cieni. Drozd więcej się nie odezwał. Wysoko, na górze Istenszêke, śnieg znowu przymarzył, przybierając odcień wieczornego fioletu. Zima wciąż jeszcze trzymała straż nad górami.

Dziewczynka długo stała pośrodku izby, z baziami w ręce, i zastanawiała się, gdzie je umieścić. W końcu podeszła do posłania, nad którym wisiał mały, prostokątny woreczek, i przyczepiła je obok. Po krótkim namyśle jedną gałązkę na powrót wyjęła, zaniosiła do drugiego kąta i cicho położyła na pustym posłaniu Tóderika. Dokładnie tam, gdzie zwykle miał głowę.

Stała przed posłaniem i patrzyła. Oczy zaszyły jej łzami. Sięgnęła na półkę i zaczęła liczyć trzaski. Zostały już tylko cztery.

Tego ranka, gdy przyszła kolej na ostatnią, obudziła się wcześniej. Było jeszcze ciemno. Prostokąty okien wciąż wypełniał mrok. Nawet gwiazd nie było widać. Na zewnątrz świat zastygł w chłodzie i ciszy. Do nieba jakby przymarzła mgła. Jej zapach wypełnił dom. Był to zapach wilgoci i opuszczenia, zapach wywołujący dreszcze.

Dziewczynka zwawo wyskoczyła spod kożucha. Wygrzebała żar, rozdmuchała go, żeby się rozjarzył, i położyła nań wiązkę suchego świerkowego chrustu. Na samej górze umieściła ostatnią trzaskę. Świeciła bielą w ciemnej paszczy pieca. Dziewczynka przykucnęła i patrzyła na trzaskę. Drżała, ale nie dbała o to. Stopy marzły na podłodze zimnej jak lód, lecz jej oczy przywarły do białej trzaski, czuła coś takiego, jakby ta trzaska była ostatnim słupem jakiegoś niewidzialnego ogrodzenia. Ogrodzenia, które w osobliwy i tajemniczy sposób oddziela ją od Tóderika.

Ogień z trzaskiem wczepił się w świerkowy chrust. Skoczyły iskry. Czerwone języczki pelzły w górę, czepiając się kolejnej gałązki, strzelając i plując, i naraz dosięgły białej trzaski. Najpierw tylko ją oblizały, głodne i niepewne. Potem jeden żółty ogieniek wczepił się w koniec trzaski i na nim pozostał. Potem drugi. I trzeci. Trzaska poczęła się giąć, wyrosły z niej małe czerwone grzybki, pokryły ją całkiem gęsto i w mgnieniu oka trzaski nie było już widać, tylko czerwoną linię na szczycie ognia. Od dołu podnosił się duży, żółty jęzor. Owa czerwona linia stęknęła, przełamała się na dwoje i wpadła w poruszającą się czerwoną gmatwaninę płomieni. Potem płomienie wyskoczyły wysoko w górę i wszystko pochłonęły.

Nuca poczuła naraz jakąś pobudzającą wielką radość. Rzuciła w ogień grube polana bucyny i nawet nie zaczekała, żeby ogrzało się powietrze, tylko zaczęła się ubierać. Tym razem zamiast kierpców wyjęła zgrabne buciki z cholewkami i wypolerowała je resztką łoju. Potem raz jeszcze podskoczyła do półki i dokładnie ją przeszukała, czy aby się nie pomyliła. Ale nie było więcej trzasek, naprawdę nie było.

Naniosła do środka drewna i wody. Szybko zjadła garstkę mamałygi, dołożyła do pieca kilka olchowych polan, na koniec opatuliła się wielką chustą. Z progu jeszcze zawróciła, zdjęła mały, czerwony woreczek, otrzepała go z kurzu i zawiesiła sobie na szyi. Potem ruszyła. Serce zabiło jej szybciej, gdy otwierała drzwi.

Nawet w powietrzu wyczuwało się coś niezwykłego, odświętnego. Słońce zasiadało właśnie wysoko na Tronie Bożym. Rozmazane przez mgłę wyglądało jak wielka czerwona plama. Z Macskakő szedł w dół wiatr. Był jeszcze mroźny, kąsał, jakby miał spiczaste zęby. W jednej chwili wyszczypał dziewczynce twarz do czerwoności. Ale pomiędzy tymi jego ostrymi zębami jakoś przeciskały się ciepłe promienie słońca, które wysoko w jarach Macskakő polerowały wszystko na błysk.

Śnieg jeszcze skrzypiał, lecz zielona woda potoku już z hukiem rozłupywała lodowe okowy. Z olch szelestem osypywał się szron. I znów gdzieś odezwał się drozd.

Kiedy dziewczynka dotarła na dół, ze wsi właśnie ruszały do lasu sanie. Jakiś gospodarz zagrody leżącej w odosobnieniu wiozł gnój na swoje pole. Dwa

białe woły o wielkich rogach wolno ciągnęły załadowane sanie. W złocistym słońcu świeży nawóz parował, znacząc drogę sań lekką, białą mgłą. Za saniami podążał chłop, niemrawym, pełnym powagi krokiem, i cicho pogwizdywał. Gdzieś wesoło zapiał kogut. Kiedy gospodarz mijał dziewczynkę, zagadnął ją wesoło:

– Śpieszysz na tańce, dziewczynko?

– No pewnie, że tam! – dziecko zaśmiało się w odpowiedzi. Cały świat był jednym wielkim śmiechem.

Kilka sań stało przed karczmą Ormianina. To ruszający w las ludzie wstąpili przed pracą na jednego. Zaprzężone do sań krowy obojętnie przeżuwały pożywienie, w coraz cieplejszym słońcu ich sierść wydzielala intensywną woń obory.

Nuca otworzyła drzwi do szynku i rozejrzała się. Przy stole nikt nie siedział. Przy szynkwacie stało trzech mężczyzn, wybierających się do pracy w lesie, każdy w nasuniętej na czoło futrzanej czapie i z kieliszkiem palinki w ręce.

– Na zdrowie!

– Zdrowie, zdrowie!

Odstawili opróżnione kieliszki, zapłacili i wyszli. Zaskrzypiały za nimi liche drzwi. Drwale zakrzyknęli na krowy i zaraz dał się słyszeć hałas sań ruszających spod okna.

Dziewczynka wciąż jeszcze stała pośrodku szynku.

– Nie ma go tu?

Tym nieśmiałym pytaniem Nuca zwróciła na siebie uwagę Włochatouchego, stojącego za szynkwatem. Ze zdziwieniem popatrzył na dziewczynkę.

– To ty? Stało się co?

– Skończyły się trzaski – wyjaśniła.

– Jakie trzaski?

– No na te dni... Odłupał je tamten człowiek. Dzisiaj powinien tu przyjechać. Ten drugi, od taty...

– Aha – twarz Ormianina wypogodziła się – rozumiem. No to usiądź sobie i poczekaj, bo jeszcze go tu nie ma. Sama widzisz.

Dziecko posłusznie przysiadło na skraju ławy. Ormianin krzątał się, wychodził, wracał, czasem mruknął niewyraźnie kilka słów. Niekiedy otwierały się drzwi – na każdy hałas dziewczynka z nadzieją natężyła uwagę – i wchodził jeden i drugi mężczyzna. Wypijali palinkę i szli dalej. Od czasu do czasu chodziły też kobiety, kupowały to i owo, przyglądały się dziewczynce, a potem i one wychodziły. Byli tacy, co zwracali się do niej i zaczepiali ją w taki oto sposób:

– To ty? Nie zabrały ciebie wilki? Albo:

– Nie znudziło ci się jeszcze samej jednej tam w górze?

Byli tacy, co stawali przed nią, kręcąc głową. Niejedna stara kobieta, chuda, o surowym obliczu, mówiła:

– Mądrzej byś zrobiła, jakbyś poszła do rodziny Sánta, a nie żebyś tam żyła sama jak dzikie zwierzęta. Wiem to od gospodyni, że po pierwszej pracy uciekłaś od nich. Zdaje się, że nie za bardzo lubisz pracować. A przecież bez tego, duszyczko, z pewnością nie przeżyjesz...

Kobiety patrzyły na nią przeważnie z przyganą, a do tego kręciły głowami i mamrotały coś o lenistwie, o pracy, o tym i o tamtym. Litość Nuca dostrzegała od czasu do czasu jedynie w oczach mężczyzn. Ale i pośród nich był taki, co zauważył:

– Wygląda na to, że i ty nie będziesz inna aniżeli tamten stary włóczęga. On też miał wstręt do uczciwej pracy na służbie. No i dopadł go los.

To akurat powiedział teść wójta, skąpy, stary gospodarz z zagrody na skraju wsi. Na to pewien młody drwal odburknął złośliwie:

– Ma jeszcze czas iść do was na dziada. Mądrze robi, że nie chce być wołem pociągowym w oborze innego, póki nie ma takiego musu!

Gospodarz o pomarszczonej, wyschłej twarzy odpowiedział gniewnie:

– Raczej ukraść, oczywiście, aniżeli porządnie na to zapracować. Znamy taką mowę.

Z tymi słowami wyszedł za próg. Młodzieniec splunął za nim, wychylił swoją palinkę i rzucił pieniądze na szynkwias, mówiąc:

– Jeden i dla dziewczynki!

Ormianin z głupim wyrazem twarzy patrzył na młodzieńca.

– Co się tak gapicie? Zapłaciłem, widzicie, nie? Nalejcie dwa! Ormianin coś mruknął pod nosem, napełnił dwa kieliszki i postawił je przed młodzieńcem. Młodzieniec chwycił jeden i zaniósł go do stołu.

– Na – rzekł do dziewczynki – wypij!

Ona zaś spojrzała na niego zadziwionymi, wielkimi oczyma i przecząco potrząsnęła głową.

– Dlaczego nie? To dobrze robi!

– Nigdy tego nie piłam.

– No to właśnie spróbuj – naciskał drwal. – Dobrze robi na krew.

Dziewczynka wzięła od niego kieliszek, powąchała.

– Śmierdzi – pokręciła nosem.

– Wypij, no, to wtedy tego nie poczujesz.

Ostrożnie spróbowała koniuszkiem języka, jak mały kotek gorące mleko.

– Brrr... fuj! Sami to wypijcie, słyszycie?! – rzuciła ze złością i energicznie postawiła kieliszek na stole, aż stuknął o blat.

Ormianin wybuchnął śmiechem. Drwal, burcząc coś, wziął odstawiony kieliszek i jednym haustem wypił jego zawartość.

– O tak trzeba to robić, widzisz?! Kiedyś i ty się nauczysz. Będzie z ciebie ziółko, wcale się o to nie boję. Tak za sześć lat.

Po czym i on poszedł.

Dziewczynka wciąż czekała cierpliwie. Niewiele przejmowała się ludźmi, niekiedy tylko wzruszała ramionami, gdy do niej zagadywali. Powoli uświadamiała sobie, że jak tylko wchodzi ktoś nowy, a ona spojrzy mu w oczy, natychmiast wywołuje w niej określone odczucie – dobre albo złe. To jest jak głaskanie albo jak dreszcz. I niezależnie od tego, co ten ktoś później czyni czy mówi, to pierwsze odczucie już się nie zmienia, tylko w niej rośnie, dopóki ów człowiek nie odejdzie. Jeśli więc ktoś już w pierwszej chwili budzi w niej złe odczucia, to choćby mówił miłe słowa i dawał dobre rady, to owo złe wrażenie się nie zmienia. I podobnie – pierwsze odczucie jest dobre, ktoś wzbudza w niej ufność, mimo że zachowuje się gburowato albo wcale się do niej nie odzywa.

Bardzo to wszystko dziwne. Nuca zaczęła obserwować ludzi i analizować odczucia, które w niej wzbudzali. Czasem próbowała je odmienić, ale się nie udawało. Była to osobliwa i zabawna gra. Tajemnicza gra, której w żaden sposób nie potrafiła sobie wytłumaczyć. Dzwonne wydawało się i to, że w stosunku do Włochatouchego to odczucie było zawsze dobre. Pamiętała, że już tamtego letniego dnia, gdy po raz pierwszy weszła tu z Tóderikiem do karczmy, Włochatouchy rozbudził w niej dobre, przyjazne uczucia. Ilekroć pozostawali sami we dwoje – Ormianin, wzdychając i krzątając się za swoim szynkwasem, ona zaś siedząca w rogu ławy – zaczynała przyglądać się temu brzydkiemu, grubemu i owłosionemu mężczyźnie. Lecz bez względu na to, jak na niego patrzyła, jak bardzo odpychający się jej wydawał, owo odczucie się nie zmieniało. To było zdecydowanie dobre odczucie i mieszała się weń także swego rodzaju litość. Dlaczego? – nie potrafiła powiedzieć. Ale to, co czuła na widok Włochatouchego, było jakąś piękną i nieco smutną litością. Jakby z tym wielkim, grubym człowiekiem wiązała się jakaś bardzo smutna sprawa, a ona to widziała i żałowała go. Próbowała wyobrazić sobie sytuację, w której owa litość byłaby na miejscu. Chciała zobaczyć Włochatouchego zamkniętego w klatce, w takim kojcu, gdzie panowie zamykają ludzi, jak zamknęli też Tóderika. Niestety, bez powodzenia. Czuła, że to nie to. Nie to prawdziwe. Próbowała zobaczyć, jak ludzie o ponurych twarzach biją go długimi kijami, a on krzyczy z zakrwawionym obliczem. Ale i to się nie udało. Nie, czuła, że z innego powodu należało żałować tego człowieka. Jawił jej się przed oczyma raczej tak, jakby stał w ogniu. W jakimś wielkim ogniu, który spadał na niego z boku i z góry, że aż popękała mu skóra, a plecy wykrzywiły się niczym trzaski gnące się co rano w ogniu. Był to obraz wywołujący dreszcz, a i mętny. Lecz na próżno chciała myśleć o czym innym, ten obraz wciąż powracał i ogarnęła ją taka litość dla tego brzydkiego, grubego człowieka, że aż łzy popłynęły jej z oczu.

Oczywiście Ormianin o tym wszystkim nie wiedział. Krzątał się, coś układał, wychodził, znów wracał. Obsługiwał ludzi, porozmawiał z nimi, jeśli trzeba było, o lesie, o chorobie bydła. Niekiedy i do dziewczynki rzucił jakieś słowo.

– No, wciąż tu jesteś? – Albo: – Nie znudziło ci się jeszcze to czekanie, co? Licho wie, gdzie podziewa się ten kupiec. Ma on i inne sprawy.

Około południa przyniósł parujący talerz i postawił go na stole przed dziewczynką. Obok talerza oparł też grubą kromkę chleba.

– Trochę baraniny w sosie – powiedział – musiałaś zgłodnieć.

– Dziękuję panu – rzekło dziecko i nie kazało się prosić. Zjadło wszystko. Nawet wytarło chlebem talerz do czysta. Potem wzięło ten pusty talerz i zaniósło go na szynkwas. – Dziękuję bardzo – powtórzyło.

– Na zdrowie, moje dziecko! – odparł Ormianin i odebrał talerz. Dziewczynka spojrzała nań pytająco.

– Mogłabym umyć.

– Zostaw – machnął ręką Włochatouchy – zrobi to służąca. Po to ją trzymam.

– Tak tylko sobie pomyślałam.

Wróciła do ławy i przycupnęła na niej. Ormianin wycierał szynkwas.

– Jeśliby kto przyszedł, zawołaj mnie. I ja zjem obiad. Z tymi słowami zniknął za małymi drzwiczkami.

Nikt nie przychodził. Panowała cisza. Drogą przejechały jakieś sanie, ale nie zatrzymały się. Potem wrócił Ormianin, usiadł w kącie i milczał. Później powróciły sanie z lasu. Zatrzymały się przed karczmą i weszli mężczyźni. Ci sami, co rano. Jeden z nich nawet i zagadnął dziewczynkę, kiedy ją zauważył:

– No a ty wciąż tu jesteś? Czyżbyś czekała na kogoś?

– Czeka na kupca – wyjaśnił Ormianin – który wziął jej pieniądze.

– Aha.

– Aha.

Mężczyźni wypili swoją palinkę i poszli. Od progu któryś jeszcze rzucił wstecz:

– Może wcale dzisiaj nie przyjedzie? Po czym sądzisz, że przyjedzie?

– Bo tak powiedział.

– Tak powiedział? To co innego.

Mężczyźni poszli. Przyszli znowu inni, ale i ci odeszli. Mijał czas. Naraz zaczął hałasować jakiś wóz. To było dziwne, bo w tych stronach jeżdżono saniami. Hałas wzrastał się coraz bardziej, nareszcie ucichł. Akurat przed drzwiami. Ormianin wylazł zza swojego szynkwasu i podszedł do drzwi. Otworzył je. Ale właśnie ktoś już wchodził przez próg. Nuca natychmiast go poznała. Był to ów kupiec. Z batem w ręce.

– No, jesteś tutaj? – poszukał wzrokiem dziewczynki. Ta, pełna szczęścia, powstała z ławy i zrobiła kilka kroków w jego stronę.

– Jestem.

– Już od rana czeka, biedaczka – wtrącił Włochatouchy. Kupiec rzucił bat na stół.

– Nie mogłem wcześniej przyjechać. Byłem na targu. W Disznajó.

Dziewczynka podniosła wzrok na szczupłą, nieogoloną twarz. Z uśmiechem i ufnością.

– Znaleźliście go?

– Kogo? – kupiec spojrział na nią zdziwiony.

– No przecież tatę!

– Aha. Oczywiście – twarz mu drgnęła, oczy uciekły w bok. Kupiec przyglądał się podłodze, następnie ścianie, potem zatrzymał wzrok na obliczu Ormianina. On też patrzył na kupca, tak samo jak dziecko. Z dławioną troską. – Oczywiście, że go znalazłem – powiedział kupiec i siląc się, zakasłał.

Buzia dziewczynki rozpromieniła się.

– Ucieszył się z pieniędzy?

Kupcowi ponownie drgnęła twarz. Spojrział na Ormianina, ale ten odwrócił się.

– Ano tak, ucieszył się. Ale posłuchaj, on też ci coś przysłał...

– Przysłał mi...? Naprawdę...?

– Czekał, zaraz przyniosę, mam to na wozie.

Wyszedł. Ormianin schował się z powrotem za szynkwias. Dziewczynka stanęła w progu.

– Na, masz – rzekł kupiec i wyciągnął z tyłu wozu kożuszek i spódniczkę – to ci przywiozłem. I są tu jeszcze dwie płócienne koszule. I jedna wyszywana, masz to, na święta. Kierpce. No niechże popatrzę, co my tu jeszcze mamy... kolorowe cukierki, bierz... a to wstążeczka, dla ciebie do włosów...

Dziewczynka tylko tak stała, przyciskając ten ogrom kosztownych rzeczy, twarz jej się zarumieniła, oczy zrobiły się okrągłe ze zdziwienia.

– To wszystko... przysłał mi tata?

– No on – gruboskórnie rzucił kupiec – no przecież, że nie nadżupan. Poza tym przysłała ci jeszcze też i dwie kozy.

– Kozy?

– No tak. Obydwie zakocone. I sześć tegorocznych owieczek. Ale te przyprowadzi wujek Gyurkuca, gospodarz zagrody leżącej w odosobnieniu pod Andrenyásza. Nawet podjął się, że przetrzyma je u siebie do czasu, aż wyrośnie trawa. Rozumiesz? Z pewnością nie masz tam w górze ani siana, ani szopy, co?

– Nie mam...

– No widzisz. Kiedy trawa już wyrośnie, będziesz mogła do niego pójść i je przyprowadzić. No to tyle.

Dziewczynka wciąż stała we drzwiach, obładowana.

– A tata...? Przysłał mi jakąś wiadomość?

Kupiec rozejrzał się w poszukiwaniu pomocy. Ale nie było tam nikogo. Nawet Ormianin schował się za szynkwiasem. Kupiec odchrząknął, zmieszany.

– Ano przysłał ci wiadomość, jakżeżby nie... żebyś się dobrze sprawowała... i żebyś... baczyła na kozy i owce... i żebyś była zręczna z tamtymi skórami...

– To też powiedział? – twarz dziewczynki promieniała.

– Powiedział, powiedział.

– A kiedy wróci do domu?

Kupiec rozpaczliwie wykręcał szyję, lecz na Ormianina nie mógł liczyć, bo ten wciąż krył się pomiędzy swoimi workami i beczkami.

– Ano... wiesz... musi upłynąć jeszcze trochę czasu... jak to powiedzieć... ano wiesz... pięć lat to wcale nie tak mało... no ale możliwe, że nawet wcześniej...

– Możliwe?...

– No możliwe! Oczywiście, że możliwe. I tamci są ludźmi... Jąkał się, kasłał biedny kupiec. Podeszedł do szynkwasu.

– Nalej no kielicha, a niechże cię lichy – fuknął na Ormianina – człowiek nie może tego wytrzymać ot tak...

Dziewczynka podążyła za nim niepewnym krokiem aż do szynkwasu.

– Powiedziecie... czy naprawdę jest zamknięty?

Kupiec wychylił kieliszek, twarz mu od tego poczerwieniała.

– Naprawdę – odrzekł ochryple.

Dziewczynka podeszła doń jeszcze bliżej. Całkiem blisko. Swoimi czystymi, zatroskanymi, błękitnymi oczami patrzyła na szczupłe, zarosnięte oblicze jak na jakiegoś apostoła.

– Zamknięty? W klatce? W chlewie?

Kupiec roześmiał się. Śmiał się też Ormianin.

– Człowiek to nie zwierzę, słyszysz? Mieszka w takim dużym domu, gdzie jest jeszcze wielu innych takich jak on. Nawet i pracują. W ogrodzie, w warsztacie, gdzie potrzeba.

– Rozumiem... – odparła dziewczynka z powagą i skinęła głową. Spuściła oczy, jakby zastanawiając się nad tym, co usłyszała.

Żyłasta ręka kupca opuściła się na główkę przysłoniętą chustą.

– No to uciekaj już do domu, słyszysz, dalej rób swoje tak zręcznie jak do tej pory. A potem, kiedy wyrośnie trawa, pobiegnij do Gyurkucy pod Andrenyásza, a dostaniesz swoje kozy i owieczki. Ano tak. Nic się nie bój, twój ojciec wróci kiedyś do domu.

Dziecko słuchało tych słów z powagą, kilka razy nawet przytaknęło. Wreszcie cicho westchnęło, uporządkowało na ramieniu otrzymane ubrania, drobne rzeczy włożyło do woreczka i kiedy z tym wszystkim było gotowe, raz jeszcze podniosło wzrok na kupca.

– Ano Bóg wam zapłać! Bardzo dziękuję.

Z tymi słowami ruszyło, z progu na zewnątrz, przez wioskę, z powrotem nad

Urszu.

Z wolna rozkwitała wiosna przepelniona chwałą jak modlitwa. Początkowo drozdy odzywały się tylko o poranku. Później, tak gdzieś pod koniec kwietnia, gwizdały w krzewach nad brzegiem potoku także i po zachodzie słońca. Ich śpiew towarzyszył rozwijającym się wierzbowym baziom, a roztopiona za dnia śnieżna breja przez całą noc szumiała, spływając potokiem Urszu. W słonecznym świetle również leszczyna zakołysała swoimi skromnymi kwiatami, a wtedy już siadywał tam na kamieniach potoku pluszcz i wytrwale tropił sekrety pędzącej wody, jakby szukał w niej wiosny.

A wiosna już tam była. Nie wiadomo dokładnie gdzie: czy na zboczach gór, czy w dolinach potoków, jednak gdzieś tam była. Dawało o niej znać tysiące drobnych dźwięków, tysiące małych poruszeń. Jak mnóstwo małych strumyków, biegnących w dół, rozłupywało śnieżne plecy jarów, tak samo pancierz ciszy przełamywały owe tajemnicze, drobne hałasy. Świergot jakiegoś ptaka. Odgłos przygiętej gałęzi wyzwalającej się spod białego puchu i strzelającej w górę. Szum wody. Ledwie słyszalny trzask, gdy pączki zrzucały z siebie zimową powłokę. Ten przytłumiony szmer, z jakim zaczynała oddychać wyswobodzona spod śniegu ściółka z zeschniętych liści, czy odgłos prostujących się jędrnych źdźbeł trawy strzepujących z siebie zapach gnicia i pleśni. Wszystko.

Wreszcie pewnego wieczoru nadszedł wiatr. Pojawił się od strony wsi i pełen był jakiejś ociężałej letniości. Przyniósł ciepło promieni słońca i poszybowało z nim w górę stado zięb. Przysiadły na gałęziach buczyny. Buki wzdychały. Wysoko, na górze Istenszéké, choina jęczała jak rodząca kobieta. Od południa nadciągnęły wielkie brudne chmury. Brunatne, potargane.

Nocka opuszczała się czarna niczym sadza. Na niebie ani jednej gwiazdy. Cisza była głęboka i miękka. Tylko wody w niej huczały, z ochryplym praskiem, a niekiedy dawał się posłyszeć pisk jednego i drugiego nietoperza. U podnóża Macskakő odezwała się sowa. Mogła siedzieć gdzieś tam, na przygiętej gałęzi jednej ze skrajnych jodeł, i nasłuchiwać wiatru.

Później lunął deszcz. Kiedy dokładnie, nie wiadomo, ale rano wciąż jeszcze padał. Świat był zaparowany, mglisty i szary. Góry znikły. Nawet na północnych zboczach śnieg poszarzał niczym oblicze umarłego. Drzewa stały w deszczu ze zwieszonymi głowami, jak na pogrzebie. Jednak nie było w nich żalu ni zgryzoty. Jakby były na pogrzebie obcego, którego nikt nie kochał, lecz któremu mimo to godzi się towarzyszyć w ostatniej drodze. Lasy grzebały zimę.

Padało tylko do południa. W południe wiatr wzmógł się i rozpędził chmury. Ukazało się zielonkawobłękitne niebo, a zdawało się tak nisko, że niemal można było doń sięgnąć wyciągniętą ręką. Wyjrzało wreszcie słońce, ale swymi promieniami sięgało wówczas już tylko skał Macskakő. Na koniec ustał też wiatr. Powietrze stało się gęste, drzewa ciężko w nim oddychały. Wody szumiały, szumiały. Na przeciwległym stoku, powyżej Urszu, na czubku wysokiej, samotnej

choiny usiadł wielki czarny dzięcioł w czerwonej czapeczce i wydawał ostre wrzaski. Przyszła wiosna. Widziało ją już każde drzewo. Każde źdźbło trawy. Kamienie. Wody. Pod bukami ostrożnie wychylił główkę przebiśnieg. Rozejrzał się. A potem cichuteńko zaczął podzwaniać.

W sidła już tylko z rzadka coś się łapało. Zmieniły się i szlaki dzikich zwierząt. Wydłużyły się dni, a w cieplejszym powietrzu, napęczniałym od dziwnych woni, czuło się ociężałość i znużenie.

Pewnego popołudnia dziewczynka wzięła siekierę i piłę. Poszła do lasu za domem, nacięła cienkich gałęzi iglaków, w sam raz na żerdzie. Po kolei przytaszczyła je w pobliże domu. Następnego dnia nacięła witek leszczyny. Kiedy wszystko to już zgromadziła, wykopała doły na narożne słupki, zręcznie je w nich umieściła, mocno powbiła resztę palików i oplotła je witkami leszczyny. W tydzień zagroda stała gotowa. W jednym końcu miała nawet przykrycie, płytki jednospadowy daszek ze świerkowego łubu do ochrony przed deszczem. Gdy gotowa była także bramka, dziewczynka obejrzała całość. Przyjemnie było oglądać własnoręcznie zrobioną zagrodę, czuć żywiczny aromat świeżo naciętych świerkowych żerdzi i myśleć: ucieszy się tata, jak to zobaczy.

Następnego dnia zakwitła na łące nieopodal domu pierwsza cebulica trójlistna. Dziewczynka zobaczyła ją, kiedy wyszła rano za próg. Podbiegła do niej, przykucnęła i się jej przyglądała. Na łodydze rozkwitły naraz trzy białe gwiazdki. Pozostałe jeszcze pęczniały w bladej osłonce. Pogłaskała zieleniącą się roślinkę. Krzaczek był chłodny i jędrny.

Dziewczynka załatwiła co należy wokół domu, następnie zawiązała na głowie chustkę, wzięła do ręki kij, drzwi podparła miotłą i ruszyła ścieżką w dół. Na wierzchołku jodły siedział już drozd śpiewak, zwrócony wprost ku słońcu, i cicho pogwizdywał z zamkniętymi oczami. Wysoko ponad szczytem krążyły w parze myszołowy, a gdzieś w pobliżu jak szalone pokrzykiwały zielone dzięcioły.

Na drodze we wsi w przedpołudniowym słońcu bawiły się dzieci. Nawet nie spojrzęła na nie. Któreś, szydząc, zawołało za nią:

– Ty, Wołoszka! Hej, ty, Wołoszka!

Przy karczmie skręciła na drogę do Ratosnyi. Jeszcze nie szła tędy, ale mimo to ruszyła odważnie. Szła sobie tak po wijącej się, krętej drodze, przez cały czas mając w zasięgu wzroku rzekę Maros. W jej szumiących wodach błysnął czasem grzbiet jednej i drugiej ryby. Ryb było bardzo dużo, tylu nigdy jeszcze nie widziała. Żal byłoby nie spróbować. W miejscu, gdzie woda była głębsza, a i o cichszym nurcie, zdjęła na brzegu kierpce, podwinęła sobie do pasa spódnicę i ostrożnie weszła do rzeki. Woda była zimna, szczypała. Dziewczynka najpierw poszukała pomiędzy kamieniami, ale tam nic nie znalazła. Potem sprawdziła pod korzeniami olchy. Gdzieniedzie głęboko zanurzała rękę, ale i tam ani śladu ryb.

Zaczęła się złościć. Stała w wodzie już do połowy ud, a ziąb aż sprawiał jej ból. Gdzie one mogą być? Nagle zobaczyła je. Po przeciwnej stronie, tam gdzie lustro wody było gładkie i mogło jej sięgać ledwo do kostek, tkwiły gęsto wzdłuż płaskiego brzegu, jedna przy drugiej, i grzały się w słońcu.

Ostrożnie przeskakując z kamienia na kamień, zaczęła przeprowiać się przez Maros. Gdzieś po drodze poślizgnęła się i upadła. Przemoczyła się do suchej nitki. Ze śmiechem, szybko poderwała się i teraz już odważniej brodziła dalej w wodzie. W jednym miejscu woda sięgnęła jej do pasa. Silny też był nurt, dziewczynka musiała chwycić się wystających kamieni, żeby ten nurt jej nie porwał. Mimo wszystko przedostała się na drugą stronę.

Ryby w bezruchu grzały sobie w słońcu zielone grzbiety. Niektórym wystawała z wody płetwa grzbietowa. Dziewczynka powoli skradała się ku rybom. Okrążyła je, żeby słońce nie rzuciło cienia w przód. Te na końcu i tak zerwały się przestraszone. Wiele razy próbowała, nim udało jej się złapać pierwszą. Było to trudniejsze aniżeli zimą, spod lodu.

Dotąd to robiła, aż zrozumiała, na czym polega sekret. Zęby jej dzwoniły od chłodu, twarz zrobiła się sina, ręce i nogi zmarzły tak, że nie miała w nich czucia, a przy tym i czas płynął, nawet nie zauważyła, jak słońce zostawiło już za sobą miejsce południowego odpoczynku. Dziewczynka drżała na całym ciele, gdy w końcu wykaraskała się na brzeg. Biegiem zebrała powyrzucane tam ryby, zawinęła je w fartuch i już chciała ruszać. I dopiero wówczas spostrzegła, że jest po drugiej stronie.

Przez kilka chwil patrzyła na wodę, a dalej za wodą – na drogę. Ale wcale nie miała ochoty znów wchodzić do rzeki.

Chyba znajdzie się gdzieś jakiś most – pomyślała i ruszyła biegiem po drugim brzegu.

Na próżno świeciło słońce, nie rozgrzała się ani trochę. Ubranie też nie schło. Przykleiło się jej do ciała i utrudniało bieg. Las po tej stronie schodził do samej wody. Drogi nigdzie nie było. Niekiedy dziewczynka musiała wspinać się po skałach. Najeżone, wielkie choiny piętrzyły się, zasłaniając niebo. Mroczno było pod nimi i pachniało mchem. Z nieznanych jej północnych jarów ciągnęło wilgotnym chłodem, a od tego marzła jeszcze bardziej aniżeli wtedy, gdy stała w wodzie.

Długo tak biegła, lecz nigdzie nie dostrzegła ani mostu, ani domów. Słońce już nie świeciło na ten brzeg. Cienie, coraz bardziej wydłużone, z drzeniem kładły się na wodzie, sięgając drugiego brzegu.

Naraz uderzył ją gorzki zapach dymu.

Ogień! – przemknęło jej przez myśl i dziewczynka zatrzymała się. Spomiędzy czarnych choin spływał ku Maros wąski potoczek. Swój początek musiał brać wysoko, bo spieniony spadał po skałach. Z obu stron sterczały góry,

wysokie i strome, i nie było widać nic, tylko mroczną, czarną choinę. A jednak to stamtąd, znad potoku dochodził dym.

Zdyszana, wdrapywała się po skałach. W górze natknęła się na małą dolinkę, ale ani droga, ani ścieżka nie dawały znaku, że mieszkają tam ludzie. Spróchniałe wraki iglaków leżały jeden na drugim, z korzeniami wywróconymi w górę, tak jak kiedyś powalił je wicher. Z ich butwiejących truchel gęsto wyrastały zwichrzone krzaki malin. Przechodząc pomiędzy nimi, Nuca zapadała się w wilgotnym mchu aż po kostki. Potok był ciemny i zdawał się opuszczony. A jednak to właśnie stamtąd szedł dym. Już nawet było go widać, jak przysiadł w głębi pod gęstwiną drzew, niczym jakaś niebieskawoszara mgła.

Dzwoniąc zębami, dziewczynka pośpieszyła w kierunku ognia. Dolina stawała się tam nieco bardziej płaska, pomiędzy choinami zagnieździł się niejeden rozłożysty buk, przerzedzając ich zbitą gęstwę. W końcu pomiędzy pniami poczęło się przejaśniać i naraz ukazała się malutka polana, nie większa, niż potrzeba na pojedynczy dom. I rzeczywiście, na jej skraju niszczały ruiny jakiejś starej chaty. Przegniłe, osmalone dymem, marne ruiny, pod wielkim bukiem. A przed nimi dymił ogień. Przy ogniu siedziało na pniakach trzech mężczyzn. Ludzie o zarośniętych twarzach, w oberwanych, brudnych gałganach. Dalej, oparte o drzewo, stały trzy strzelby.

Dziewczynka zawahała się i przystanęła na skraju polany. Ale wtedy już dojrżeli ją mężczyźni. Zerwali się i pochwycili strzelby.

– Czego tu szukasz?! – wrzasnął na nią jeden z nich, potężny mężczyzna z rudą brodą. – Gdzie są inni?!

– Ogień – powiedziała dziewczynka i podeszła bliżej – mam mokre ubranie i zimno mi.

– Gdzie jest twój ojciec?!

– Panowie go zamknęli.

Trzej mężczyźni spojrzeli po sobie. Strzelby opadły.

– Z kim tutaj chodzisz? – teraz już ciszej zapytał ten rudy.

– Sama – odparła dziewczynka i podeszła do ognia.

– Sama?

– Yhm.

– A czego sama szukasz w lesie? – spytał nieufnie drugi, niski, o ciemnej twarzy.

– Idę do Andrenyásza po kozy i owieczki, które tata przysłał mi zimą – odważnie odrzekło dziecko – no i nałapałam ryb, są tutaj, o – rozwiązała fartuch – ale nie poszłam z powrotem, bo woda jest bardzo zimna. Potem zmarzłam i zobaczyłam dym.

Rudy ze złością spojrział na chudego.

– Widzisz? Mówiłem, baranie, żebyś nie kładł do ognia świeżego drewna.

Mężczyźni z powrotem oparli strzelby, powoli znów siedli na pniakach i w milczeniu przyglądali się dziewczynce. Ta przysunęła się do ognia, zręcznie przegrzebała żar i rzuciła nań kilka suchych gałązek choiny. Z jej ubrania woda parowała białą mgłą.

– To ty chodzisz boso, dziewczynko? Przecie zimno jeszcze. Spojrzała na pytającego. Był to ten trzeci, który dotąd się nie odezwał. Wysoki, kościsty człowiek.

– Moje kierpce zostały w dole, na drugim brzegu. Znajdą się, jak będę wracać do domu – odparła z powagą.

– No a dlaczego to nie twoja matka idzie po kozy? Czemu ciebie posyła? Przecie mała jeszcze jesteś!

– Nie mam matki.

– No to ten, z kim mieszkasz.

– Sama mieszkam.

Mężczyzna zaskoczony popatrzył na dziewczynkę.

– Całkiem sama?

– Yhm.

Mężczyźni milczeli. Jeden z nich dorzucił suchego drewna do ognia.

– No a dlaczego zamknęli twojego ojca?

– Nie wiem.

– A jak ty teraz żyjesz?

– Mam mamałygę. I twaróg. No i umiem też łapać ryby! Mężczyźni roześmiali się.

– Dobrze, dobrze. Ale za co kupujesz mamałygę i twaróg?

– Za skóry, które łapię w sidła – wyjaśniła.

Mężczyźni znów spojrzeli po sobie, lecz więcej już się nie odezwali. Siedzieli w milczeniu i patrzyli w ogień. Dziewczynka odwróciła się do płomienia drugim bokiem. Przyjemne było ciepło. Po pewnym czasie przypomniała sobie o rybach.

– Macie jakiś kozik?

– A to po co? – spytał ten rudy.

– Dajcie no tu!

Żwawo pobiegła do jednego z buków, nieco rozejrzała się pośród jego gałęzi, po czym ucięła jedną, w sam raz nadającą się na rożen. Prędko ją zaostrzyła, potem oczyściła też ryby.

– Tłuszczu nie macie, prawda? Mężczyźni przecząco pokręcili głowami.

– Nie szkodzi. I tak będą dobre.

Następnie po kolei nabiła ryby na rożen i poczęła je piec. Mężczyźni obserwowali ją.

– No proszę, i nam przydałaby się jakaś kobieta – odezwał się ten chudy, gdy

w powietrzu rozszedł się zapach pieczonych ryb.

– Jest tu przecież jedna – zaśmiał się w głos ten rudy. – Zatrzymamy ją sobie!

– Jak cię znam, to i z taką pewnie byś zaczął – wtrącił się ten wysoki.

– Bo co? – warknął rudy. – Myślisz, że od tego by umarła? Dziewczynka uporała się z rybami. Przytrzymała rożen w kierunku mężczyzn.

– Częstujcie się!

Z worka wygrzebali resztę chleba i podzielili się nim. Również dziewczynce ukroili pajdę. Chleb był wilgotny i czuć było po jego zapachu, że dawno już nie leżał pod dachem. Na skórce widać było nawet pleśń.

Jedli w milczeniu. Dziewczynka przyglądała się ich twarzom. Były brzydkie, brodate. A kiedy tak na nie patrzyła, obudziły się w niej trzy różne odczucia. Rudy sprawiał, że chodziły po niej ciarki. Było w nim coś strasznego. Nie wiedziała co, ale czuła strach, gdy napotkała jego oczy. Niski, chudy człowiek o ciemnej twarzy budził w niej wesołe odczucie. Chciało jej się śmiać, kiedy nań spoglądała, a przecież i on był posępny i brzydki z tą brodą. Wysoki, kościsty, ten trzeci, napełniał ją smutkiem. Nie rozumiała dlaczego, ale gdy mu się przyglądała, to zbierało się jej na płacz. Była wokół tego wysokiego mężczyzny jakaś żałoba, jakiś wielki, czarny cień. To jego obserwowała najdłużej, bo dziwne było, że musi go żałować, choć nawet nie wie, co to za jeden. A mimo wszystko było to naturalne. Bo czuła na tym człowieku czarny cień. Był tam. Gdzieś na jego twarzy. Albo obok twarzy. Albo poza twarzą. Ale gdzieś tam była żałoba. Przynależąca do niego.

Zjedli ryby, a i chleb się skończył. Dziewczynka wytarła ręce w fartuch i wstała.

– Muszę się śpieszyć – powiedziała i spojrzała w górę na niebo. – Daleko stąd do Andrenyásza?

Rudy mężczyzna oburzył się:

– Nigdzie nie pójdziesz! Akurat!

– Ano daleko – rzekł spokojniej ten chudy – i tak nie dotrzesz tam przed wieczorem.

– Ojej! – przestraszyło się dziecko – do wieczora to ja muszę jeszcze wrócić do domu!

– Dopóki my tu jesteśmy, ty też nigdzie nie pójdziesz! – oświadczył ten rudy. – Jeszcze co, żebyś nas wydała tam w dole.

Dziecko patrzyło z przestachem na brzydkiego, rudego mężczyznę i czuło dreszcze.

– Ale przecież... ja nie mogę tutaj zostać!...

– Czemu nie? Jest koliba, prześpimy się w niej, a rano będziesz mogła odejść.

– Ojej, o mój Boże...

Nagle w ciszy trzasnęła gałąź. Mężczyźni poderwali głowy. Jeszcze raz trzasnęła. Akurat pod wielkim bukiem, tam gdzie stała koliba. Po chwili na polanę wyszła jakaś ludzka postać.

Tamci trzej odskoczyli od ognia, chcąc pochwycić strzelby. Przybysz zatrzymał się na moment. Miał ogorzałą, ponurą twarz, przygarbione ramiona, potargane włosy. Był szpetny. Cały owłosiony. Nawet i ubranie miał włochate. Szare i włochate. Wydawał się raczej chodzącym na dwóch nogach dzikim zwierzęciem aniżeli człowiekiem. W jego rękach zabłysła lufa strzelby.

– No, no! – warknął, a jego głos zabrzmiał jak pomruk niedźwiedzia. – Czego chcecie? Hę?

Tamci przyglądali mu się. Na chwilę zapadła cisza, tylko ogień skwierczał. Ów obcy we włochatym ubraniu odezwał się ponownie:

- Wiecie, kto to Dumitru Wilk? Hę? Ci trzej spojrzeli po sobie.
- Słyszeliśmy o tobie – odparł rudy. – Czego chcesz?
- Zgubiło mi się krzesiwko. Poczułem dym. Potrzebuję ognia.
- Chodź! Ale strzelbę odłóż!
- Wy też odłóżcie!

Rudy na powrót oparł strzelbę o drzewo. To samo zrobili też dwaj pozostali. Na to i obcy odłożył strzelbę. Oparł ją o belkę koliby. Potem przyczłapał do ognia. Jedną nogę dziwnie za sobą ciągnął. Wówczas zobaczyli, że u tej nogi brak stopy. Na drugiej nodze miał wielki, włochaty kierpec, a na tej kalekiej tylko skórę owijającą kikut. Poznali i jego strój: zrobiony był z wilczej skóry, futrem do wierzchu. Na głowie wypłowały, liche kapelusze. U worka zwisała zakrwawiona wilcza skóra.

Nie patrzył na żadnego z nich, tylko usiadł na pniaku przy ogniu, wyjął z worka kawałek surowego mięsa, nadział na gałąź i począł opiekać nad ogniem. Ręce miał czarne od zakrzepłej na nich krwi, popiołu, brudu. Paznokcie zaś długie i zakrzywione, niczym u wilków. Nie patrzył na nikogo, piekł mięso.

Trzej pozostali też usiedli. I oni nie odzywali się, tylko przyglądali się człowiekowi odzianemu w wilczą skórę. Wreszcie jeden z nich wskazał głową w kierunku świeżo zdartej skóry.

- Dzisiejsza?
- Hę? – chrapnął obcy.
- Czy ta skóra jest dzisiejsza? – spytał ten niski, chudy.
- No, dzisiejsza.

Za jakiś czas znów odezwał się ten chudy:

- A mięso?
- Ono też.
- Chyba nie z wilka? – zdumiał się ten wysoki.
- Hę? Dlaczegoż by nie?

– Dumitru Wilk – w zamyśleniu skinął głową ten rudy – a więc to ty...

Ledwie przyprażyło się mięso, już zaczął jeść. Bez kozika, bez chleba, tylko o tak, zębami i pazurami, jak dzikie zwierzę. Spośród kudeł przysłaniających jego twarz wybijały się przenikliwe oczy, którymi Dumitru wodził od jednego mężczyzny do drugiego. W końcu zatrzymały się na dziewczynce. Dziewczynka wytrzymała to spojrzenie. A gdy spotkały się ich oczy, naraz poczuła, że temu człowiekowi przydarzyło się kiedyś coś bardzo złego, jakieś wielkie nieszczęście. I że ten człowiek pełen jest goryczy, pragnienia zemsty i dławionego gniewu. A przecież to dobry człowiek. Mogła patrzeć mu w oczy bez lęku, ponieważ wzbudzał w niej dobre i czyste uczucia. Spokojne uczucia.

Dumitru Wilk opuścił rękę z mięsem. Brodą wskazał w kierunku dziewczynki.

– A ty?

– Idę do zagrody pod Andrenyásza po kozy i owce – odparła czystym głosem.

Dumitru jakby przez chwilę jeszcze nasłuchiwał za odlatującą muzyką tych słów.

– Tędy? – spytał wreszcie z pomrukiem.

– I ja przyszłam do ognia. Wpadłam do Maros i zmarłam. Mężczyzna pokręcił głową.

– Twoje ubranie jest już suche. A zaraz będzie wieczór. He?

– Poszłabym – powiedziała dziewczynka, a jej głos się załamał i skarga uwięzła w gardle. – Ale mnie nie puszczają.

– He? Kto?! – warknął Dumitru i rozejrzał się po mężczyznach. Tamci milczeli. – Uciekaj! A do kogo idziesz?

– Do wujka Gyurkucy. To tam są zwierzęta.

– Aha. No to idź! Nie dla dziecka wieczór wysoko w górach – rzekł i potrząsnął przy tym głową. – Nie.

Potem znów zaczął pożerać mięso. W środku było jeszcze surowe. Kącikiem ust mężczyźnie spływała krew.

Dziewczynka jeszcze przez moment stała bezradnie i patrzyła na pozostałych trzech. Tamci milczeli. Nawet na nią nie spojrzeli. Patrzyli w ogień. Wówczas powoli ruszyła. Z twarzą zwróconą w ich stronę, wolno podążała w kierunku lasu. Lecz nikt się nie poruszył. Nikt też się nie odezwał. Dumitru Wilk jadł mięso, tylko jego oczy szły śladem dziewczynki. Oczy posępne, lecz dobre.

Kiedy dotarła do pierwszego buku, gwałtownie puściła się biegiem, jak ktoś, kogo ścigają. W tym momencie rudy powstał z pieńka i zrobił krok za dziewczynką. Coś pałało mu w oczach. Wszyscy to widzieli, jednak nikt się nie odezwał. Dziewczynka, tam pomiędzy drzewami, już nie mogła tego dojrzeć, ale to poczuła. I biegła, jakby odebrało jej rozum. Nie usłyszała też, co człowiek-wilk

ochryple rzekł do rudego. Ów akurat robił drugi krok w kierunku lasu, dokąd uciekła dziewczynka.

– Siadaj! – A potem rzucił raz jeszcze z groźbą: – Wróc, mówię, i usiądź!

Wielki rudy mężczyzna przez chwilę stał i myślał. Na twarzy miał złość i ta złość skryła się w jakimś krzywym, szyderczym uśmiechu. Szczęki Dumitru Wilka znieruchomiały, gdy spojrzał na wahającego się rudego. Oczy mu się zwięziły, palce zakrzywiły się do środka niczym jakieś ogromne szpony. Był jak szykująca się do skoku bestia.

– A niech to diabli wezmą! – warknął ten rudy i walnął pięścią w drzewo. – Żeby nawet tyle nie mógł mieć człowiek?!

Wreszcie usiadł przy ogniu, lecz nie potrafił przełknąć nawet jednego dławionego przekleństwa.

Dziewczynka zaś już pomykała pomiędzy drzewami jak kuna. Ciągnęła w dół przez powalone choiny, przez maliniak. Sama nawet nie wiedziała, od czego tak ucieka, czuła tylko, że przez chwilę było za jej plecami coś straszego i że to coś napełniało ją oszalałym i ślepych przerażeniem. Zeskakiwała ze skał. W końcu rozstały się drzewa i błysnęła Maros.

Dziewczynka dłuższą chwilę biegła w górę po skalistym brzegu. Słońce zapadło już głęboko w lasy, dolina znalazła się w cieniu. Niezadługo widać było domy i most. Teraz już nie biegła. Po moście szło naprzeciw niej dwóch żandarmów i trzech mężczyzn ze strzelbami, jakby na polowanie. Jeden z żandarmów zatrzymał ją.

– Nie widziałas tu gdzieś trzech mężczyzn ze strzelbami?

– Nie – odparła dziewczynka, a serce na powrót poczęło jej walić gwałtownie.

– Skąd idziesz? – dalej wypytywał ją żandarm.

– Znad Bystrego.

Żandarm podejrzliwym wzrokiem zmierzył ją z góry na dół.

– Z drugiego brzegu?

– Przeszłam na tę stronę łapać ryby – dziewczynka odpowiedziała odważnie.

– No a gdzie masz haczyk? Roześmiała się dziewczynka.

– Ja ich nie łapię haczykiem, tylko ręką!

Żandarm nie ustępował.

– No a gdzie masz te ryby, co je złowiłaś?

Chwilę milczała, wreszcie opuściła głowę i z powagą odrzekła:

– Tym razem nie złapałam.

Żandarm pokręcił głową, lecz o nic więcej nie zapytał. Mężczyźni przeszli przez most i widziała jeszcze, jak się rozdzielili. Żandarmi ruszyli brzegiem rzeki w dół, a trzech pozostałych puściło się w kierunku górskiego grzbietu.

Dziewczynka w zamyśleniu podążała pomiędzy domami. Jakaś idącą

z naprzeciwka kobietę zapytała:

– Gdzie mieszka wujek Gyurkuca? Kobieta zatrzymała się.

– Masz na myśli tego spod Andrenyásza?

– Tego, tego!

– On, duszyczko, mieszka tam za wsią, pod samą tą górą.

– Daleko to jeszcze?

– Ano pewnie... będzie jeszcze mały kawałek do przebiegnięcia. Dalej wciąż tą drogą. Wzdłuż wody. Skąd ty pochodzisz?

– Znad Bystrego – odpowiedziała dziewczynka i już szła dalej. Postarzał się i wieczór, nim dotarła pod Andrenyásza. Na rzece Maros zbierały się pary, a ponad górą Lisztes blado zapłonęła pierwsza gwiazda. Od strony Ilvy przeciągnęło stado dzikich kaczek. Szum ich skrzydeł długo było słycać w ciszy. Ta opuszczała się z lasów nad potokiem Szalárd, podobna jakiemuś wielkiemu, szaremu ptakowi. Pod jego skrzydłami zginęło nawet huczenie wody. Dziewczynka dotarła do zagrody leżącej w odosobnieniu. Gyurkuca miał przestronne, duże obejście, uchodził za pierwszego gospodarza zagrody pod Andrenyásza. On sam akurat stał tam przed oborą, z widłami w rękach. Rzucił krowom siana. Zdziwił się, gdy ujrział dziecko.

– A ty – spytał – czego ty tu szukasz?

– Przyszłam po kozy, no i po owce – odparło dziecko. Gospodarz zagrody zsunął z czoła futrzaną czapę i podrapał się po głowie. Potem tak powiedział:

– Ano skoro już tu jesteś, wejdź do środka! Możesz się gdzieś przespać.

– Ależ skąd! – zaprotestowała dziewczynka. – Nie po to ja przyszłam! Ruszam zaraz ze zwierzętami z powrotem!

Gyurkuca z powrotem nasunął na czoło futrzaną czapę i wielką, szeroką ręką pokazał wysoko na Andrenyásza. Góra piętrzyła się ponad nimi posepnie i czarno, nie było na niej ani odrobiny światła.

– Toż to już wieczór – rzekł gospodarz zagrody – a tam o, już i gwiazda! Nie możesz ruszyć w nockę! Przecie zjedzą cię wilki – zażartował.

– Ja tam się nie boję!

– Ale zwierzęta się boją. No przecież, że nie możesz ich gonić nocką przez las!

Na te słowa dziecko w końcu poddało się. Ze zwieszoną głową weszło do chaty za gospodarzem. Ten zaś zawołał do żony, która akurat uwijała się w kuchni:

– Słuchaj, tu jest ta dziewczynka! Daj jej jeść, a potem może się gdzie przespać...

Po czym wrócił do siana.

Zostały same, dziewczynka i kobieta. Była to starsza niewiasta, gospodarstwo leżące w odosobnieniu zniszczyło jej i twarz, i plecy. Dużo pracy, schylania się, biegania to tu, to tam... jej oczy apatycznie zlustrowały dziecko od

stóp do głowy.

- Skąd przychodzisz?
- Znad Bystrego.
- Masz na myśli potok? Tam przy Dédzie?
- Yhm.

Kobieta poruszała się niespokojnie, a od czasu do czasu ukradkiem obserwowała dziewczynkę.

- Przyszłaś po kozy, prawda? – spytała w końcu.
- I po owce.

Kobieta znów zerknęła, wzdychając kilka razy.

- No, siadajże! Masz tu talerz zupy, na! I chleb.

Dziewczynka usiadła u końca stołu i zaczęła jeść. Knot skwierczał w oliwnym kaganku, żółte światło drżało w obcym domu, rzucając za meble podstępne cienie. Kobieta krzątała się bez słowa, niekiedy popatrując na dziewczynkę. Kiedy posłyszała ciężkie kroki męża, zbliżającego się w stronę domu, prędko wyszła z kuchni. Dogoniła go w sieni.

– Chyba nie oddacie tamtych pięknych owieczek przybędzie? – spytała szeptem, a w jej oczach błysnęła chciwość człowieka, którego całe życie to nic tylko harówka. – Tej małej – po co jej one?

Mężczyzna zamknął za sobą drzwi do sieni i odsunął żonę z drogi.

- Idź! Nic się nie bój! – mruknął i wszedł do kuchni.

Dziewczynka akurat odłożyła łyżkę.

- No, zjadłaś? – zwrócił się do niej gospodarz zagrody.

– Tak.

- Wystarczy, co?

– Yhm.

– Tu przy piecu możesz się przespać – rzekł i ociężale siadł na ławie. – To byłoby szaleństwo ruszać teraz w drogę.

Później wszedł jeszcze chłopiec, taki dwunastoczy trzynastoletni. Zrobił wielkie oczy, widząc dziewczynkę.

- Załatwiłeś z młodymi? – spytała go matka.
- Tak – odpowiedział chłopiec, nie spuszczać oczu z dziewczynki.
- Podścieliłeś im świeżego siana?
- Yhm – mruknął i usiadł na ławie obok dziewczynki. – Kto ty jesteś?
- Nuca – odparła bez zmieszania i dobrze przyjrzała się chłopcu.
- Najęłaś się za dniówkę?

Od tej zaczepki twarz jej zapłonęła rumieńcem. Dziewczynka podniosła głowę.

– Jeszcze czego! Przyszłam po moje kozy, no i po moje owce! Chłopiec ze zdumieniem patrzył na ojca. Ten węzłowatą ręką potarł łysiejącą głowę

i wymamrotał:

– Zobaczy się jutro, zobaczy się! Rozściel posłania, kobieto! Potem się położyli. Chłopiec zajął swoje miejsce wysoko na zapiecku. Dziewczynka nisko, na ławie. Starzy wkrótce zaczęli chrapać, i to ich chrapanie wypełniło niską, duszną izbę. Kaganek zostawili zapalony. Jego blade światło rozpraszało się na pobielonych wapnem ścianach, na pokrytych pajęczynami belkach, w których gdzieś pracowicie chrobetał kornik.

Dziewczynka długo nie mogła zasnąć. Ciężkie, zamknięte w czterech ścianach powietrze zwały się na nią. Poczwała się jak zamknięta w klatce. Bliskość obcych ciał, budzące trwogę blade światło, wszystko to przejęło ją jakimś nieznanym niepokojem. Myślała o starym, o tacie.

Takie to jest – pomyślała – jak zamkną człowieka. Obcy ludzie, w obcym miejscu.

Poranek nadchodził bardzo powoli. Wreszcie w obejściu odezwał się kogut. Gospodarz, posapując, wstał, naciągnął buty z cholewami i wyszedł nakarmić zwierzęta. Było jeszcze ciemno. Kaganek palił się tak samo jak wieczorem, tylko powietrze stało się bardziej duszne i chłodne. Później wstała też gospodyni. Postępując i przeciągając się, narzuciła na siebie ubranie i rozpałała ogień. Na to i dziewczynka skoczyła na równe nogi. Prędko wybiegła, poszukała studni i umyła się w zimnej wodzie. Zaraz poczuła się od tego czysta i wesola.

Już świtało. Na niebie mrugało jeszcze kilka zapomnianych gwiazd, ale od wschodu już nadpłynęły kolory i zabarwiły na żółto kilka zabłąkanych tam chmurek. Niebo stawało się głębsze. Przybrało odcień zieleni, jak potoki, i po kolei połykało gwiazdy. Przez podwórze przemknął wiatr i dał się w nim poczuć słodkawy zapach pąków brzoź na Andrenyásza.

Dziewczynka nie wróciła do chałupy, lecz poszukała gospodarza. Był w oborze przy krowach.

– Mogłabym już ruszać – powiedziała, stając przed nim. Gyurkuca odłożył widły.

– Ależ ci pilno – mruknął. Był w złym humorze. Potem jeszcze przetrząsnął siano w żłobach. Tymczasem nadeszła gospodyni ze skopkiem i zabrała się do dojenia.

– No – odezwał się Gyurkuca do dziewczynki – chodź! Kobieta z zatroskaniem popatrzyła znad brzucha krowy na męża.

– Wydacie je? – spytała przyciszonym głosem.

– Zajmij się mlekiem! – warknął na nią gospodarz zagrody, po czym wyszedł. Za nim Nuca. Przeszli obok szopy, obok wozowni, obok chlewu dla świń, na tył, gdzie stały stogi. To tam była zagroda. Pośrodku niej, zebrane na przewróconej stercie siana, owce.

– Ile owiec! – wyszeptała dziewczynka z pełnym szacunkiem. Mężczyzna

mruknął coś i otworzył bramkę.

– Zostań na zewnątrz – powiedział i wszedł pomiędzy owce. Uderzając je po grzbietach swoją futrzaną czapą, torował sobie drogę. Blisko sterty złapał jedno zwierzę i począł je ciągnąć na zewnątrz. Było to brunatnoszare zwierzę z wielkim brzuchem. Bez rogów, jak owce, lecz o dłuższej sierści.

– Na, masz tu swoją kozę – rzekł i przerzucił ją przez bramkę. Kozą klapnęła, jednak potem stanęła na nogi. Mecząc, odwróciła się w kierunku owiec i widać było, że uznaje siebie za jedną z nich.

Dziewczynka podeszła do kozy, położyła jej dłoń na grzbiecie.

– Cig... Cig, no...

Zwierzę zwróciło głowę w jej stronę, spojrzało na nią i zameczało. Potem obwąchało jej ręce i polizało je ciemnoszarym, szorstkim językiem.

Tymczasem Gyurkuca wyciągnął i drugą. Ta była trochę mniejsza, ale akurat z takim samym dużym brzuchem. I ją przerzucił przez bramkę.

– Tu jest i jej towarzyszka.

Kozy natychmiast przystały do siebie. Dziewczynka stanęła obok nich jako trzecia. Głaskała je, tamte zaś meczały i lizaly ją po rękach. W środku w zagrodzie oddzieliła się od owiec grupka jagniąt, które biegały wzdłuż ogrodzenia. Były to nabite, ruchliwe zwierzaczki, co chwila któryś skakał w powietrze naraz wszystkimi czterema nóżkami. W większości były białe, ale był też pośród nich czarny.

Gospodarz wyszedł i starannie zamknął za sobą bramkę.

– No – powiedział – masz je. Pędź je powoli i nie puszczaj ich od razu do wody, kiedy dotrzesz do domu. Obydwe wkrótce się okocą. Niech Bóg poszczęści ci z nimi!

Dziewczynka miała obie ręce na grzbietach kóz, ale oczy na jagniętach. Uśmiechała się.

– Jak one skaczą!

Gospodarz, gderając, strzepnął siano, co przyczepiło mu się do ubrania.

– Ano tak, no. To też mamy załatwione. Teraz muszę jeszcze pojechać do lasu, przywieźć drewna pod budowę. Drogi są bardzo ciężkie, umordują woły... – Zachowywał się jak ktoś, kto już ma ruszać.

– No a owieczki? – zapytała dziewczynka.

– Czego od nich chcesz? – gospodarz rzucił przez ramię.

– No zabrać je!

Twarz gospodarza poczerwieniała.

– Chyba odebrało ci rozum! – fuknął na nią gburowato. – Przecie jeszcze nawet nieodstawione od matki! Zdechną u ciebie, ty głupia!

– No to... – zająknęła się dziewczynka.

– Przyjdź po nie po świętym Jerzym, kiedy owce prowadzi się już na łąki –

pouczył ją gospodarz. – Wtedy można. Ale teraz jeszcze nie, kto to słyszał o czymś takim?!

I gderając, odszedł za wozownię przygotować wóz do wyjazdu w las. Wówczas wyszedł z domu chłopiec. Zobaczył dziewczynkę obok kóz i podszedł do niej.

– Co robisz z kozami? – zapytał ze zdziwieniem.

– Prowadzę je do domu – odparła dziewczynka i przekornie dorzuciła: – Są moje!

Chłopiec wytrzeszczył oczy.

– Twoje? – Ale potem wylała się z niego pycha właściciela: – A widziałaś moje owieczki? He?

Wdrapał się na bramkę zagrody i stamtąd wskazywał fikające owieczki.

– Ta duża biała, o tam... i tamta druga... widzisz je? Ta, co ma znak na ogonie... i tamta, o, tam.

– I ja mam owieczki – wtrąciła dziewczynka.

– Gdzie?

– Tutaj, pośród tych.

Chłopiec zaśmiał się szyderczo.

– Kłamiesz, te wszystkie są nasze. No a tamte duże, pięknie białe, są moje! Jest ich sześć! Mój ojciec przywiózł je z targu jeszcze zimą! To wczesne owieczki! Będą z nich prawdziwe jarki!

– I ja mam sześć – powiedziała dziewczynka. – Zobaczysz, jak przyjdę po nie po świętym Jerzym.

– Kupisz je od mojego ojca? – spytał chłopiec ze zdziwieniem, a głos mu przycichł.

– Głupi jesteś.

Ze złością wzruszyła ramionami i odwróciła się od chłopca. Podniosła z ziemi witkę i dotknęła nią jedną z kóz.

– Cig, nuże...

Koza posłusznie ruszyła. Jej towarzyszka poszła za nią. Cicho, nieco żałośnie zameczały w kierunku stada owiec i przewróconej sterty siana, lecz były przyzwyczajone, żeby iść, kiedy się je pędzi. I tak oto opuściły obejście. Po cichutku, nieśpiesznie, niekiedy zatrzymując się i rozglądając, podążały w dół, po łagodnie opadającym stoku, i dalej drogą, tam gdzie huczała spieniona rzeka Maros, pośród lasów, w złotych promieniach wschodzącego słońca. Dziewczynka szła za kozami. Czasem dotykała którejś witką, ale tylko tak, delikatnie, i mówiła cicho: – Cig, nuże...

Jej głos próbowały naśladować budzące się na skraju lasu drozdy, a na porośniętym wysokimi drzewami szczycie Andrenyásza zasiadło pyzate słońce i zliczało przebiśniegi. Kałuże na drodze ścinał jeszcze lód, cienki jak pajęczyna,

lecz w powietrzu czuło się już ciepłe tchnienie wiosny. Nogi trochę marzły dziewczynce, więc się ucieszyła, kiedy na poboczu drogi odnalazła pozostawione tam swoje kierzki. Ogarnęła ją wesołość i poczęła sobie nucić. Czerwona chustka na jej głowie poluzowała się, uwalniając złotopłowe kosmyki włosów, którymi bawił się poranny wietrzyk. Nad rzeką, na wierzbowych baziach już od rana brzęczały pszczoły. Niebo pobłękitniało jak kwiaty dzwonek.

Wysoko stało słońce, kiedy Nuca dotarła do Dédy. Przed karczmą Włochatouchego czerniała grupa ludzi. W samym jej środku pobłyskiwał bagnet żandarma i chwiały się kogucie pióra na żandarmskim hełmie.

Gdy dziewczynka ujrzała ową milczącą grupę ludzi przed karczmą, ogarnął ją jakiś niezrozumiały niepokój. Przyśpieszyła kroku. Kozy też stały się nerwowe – próbowały odbić od drogi. Sama nie wiedziała dlaczego, ale przypomniało jej się trzech mężczyzn, trzech mężczyzn z brodami, w oberwanych ubraniach, tam przed rozpadającą się kolibą, przy ogniu. A zwłaszcza jeden. Ten wysoki, szczupły, o smutnych oczach.

Z drżącym sercem zbliżyła się do ludzi. Kozę pozostawiła na skraju rowu, żeby się popastry, i wcisnęła się pomiędzy stojących. Ci rozmawiali po cichu, nie rozumiała o czym. Coś ją tam ciągnęło, jakby na jakimś niewidzialnym sznurze prowadzono ją coraz głębiej w tłum, aż do miejsca, gdzie stał żandarm. Dziewczynka rozpoznała jednego i drugiego mężczyznę. Tę i inną kobietę. Mitru, mieszkającego wysoko w górach strażnika leśnego. Obok niego dwóch innych ze strzelbami. Ci byli wczoraj z żandarmami tam na moście. Przeciskała się. Aż naraz stanęła pośrodku.

Obok żandarma, na ziemi, coś leżało. Jakieś nieruchome, ogromne coś. Na tym czymś położono zgrzebne prześcieradło, a spod jego skraja widać było wystające dwa brzydkie kierzki. Pomiędzy oboma końcami prześcieradła płótno było pokrwawione.

Przez chwilę stała tam w zdumieniu. Serce waliło jej tak, że musieli je słyszeć wszyscy, którzy tłoczyli się wokół tego zakrwawionego czegoś w kierzkiach. Wlepiła wzrok w prześcieradło. I w wystające spod tego prześcieradła kierzki. I w wielkie czerwone plamy na tym prześcieradle.

I wiedziała, jaką twarz ma ów człowiek pod prześcieradłem.

Wreszcie z wolna odwróciła się i wyszła z tłumy. Odszukała kozę. Pasły się na skraju rowu.

– Cig, nuże – powiedziała i witką dotknęła ich grzbietów. Lecz głos miała zachrypły.

Potem już się nie odzywała i w milczeniu podążała za kozami. Wkrótce domy pozostały w tyle, był tam już tylko potok i z obu jego stron lasy, ale ona wciąż widziała zaplamione krwią prześcieradło, a pod nim twarz. Tę kościstą, zapadniętą twarz. I wiedziała, że na brodzie jest szrama, całkiem blada mała

szrama, którą jeszcze wczoraj oświetlił ogień tam, przed rozpadającą się kolibą.

Odkąd wiosna zabrała drogi, w chacie na górze od czasu do czasu bywał Márton Sánta, sprawdzał, czy jest drewno i co tam potrzeba. Niekiedy przychodził z nim także Józsup o woskowej twarzy, ale wiele roboty nie mieli, trochę tylko podroczyli się z dziewczynką, przynosili podarunki, drobiazgi, i znów odchodzili. Drewna mało co już potrzebowała, tylko na sam wieczór, a i o świcie, żeby ogień przegonił noc. Kozy całymi dniami gryzły olchowe gałązki i świeże pędy trawy. Wieczorem posłusznie wchodziły do zagrody, a rano meceniem prosiły, żeby je wypuściła.

Márton i Józsup siadywali przed domem; zbudowali tam ławkę, żeby było na czym spocząć i pogwarzyć, ale pilnowali się, zwłaszcza Márton, by rozmowa nie zesłała na kobiety ze wsi ani na to, co one mówią. Bo i owszem, wiele różnych rzeczy wygadywały o dziewczynce znad potoku Urszu, której ich zdaniem nie chce się pracować i która sama żyje tam wysoko, jak wilki. Chętnie przyjmuje pomoc od innych i jeśli nadal będzie tak postępować, to wkrótce wyrośnie z niej niezłe ziółko, a i wszetecznicą na dodatek.

Ale o tych rozmowach ona tam w górze nic nie wiedziała. Márton przychodził raz na tydzień, zwykle w sobotę, a z nim też Józsup – raz na dwa lub trzy tygodnie. Ścięli kilka drzew, piłowali je, wręczyli jedną i drugą kolorową wstążeczkę, garść lodowego cukru, niekiedy kilka jaj. Pośmiali się trochę, a po jakimś czasie żegnali się i wracali do wsi.

Dziewczynka za każdym razem gotowała dla nich mamałygę, jak się godzi, życzyła im smacznego i dziękowała za to, co przynieśli. A przecież z mamałygą sprawa wcale nie była taka prosta jak zimą. Sidła pozostawały puste, nawet jedna jedyna skóra nie schła na poddaszu. Dziewczynka plotła kosze z wikliny, zносиła je do wsi, w jednym i drugim domu dostała za nie kaszy kukurydzianej, to i owo. Niekiedy przynosiła kosz ryb Włochatouchemu i on też dawał coś w zamian. Tak oto życie posuwało się naprzód.

Posuwała się naprzód i wiosna.

Popękały pączki buków i w czystej, wilgotnej zieleni tego młodego listowia igrał wiatr. Z rzeki Maros gromadnie wędrowały potokami w górę lipienie, a tam skąd zmykały, wszystkie olchy były już zielone. Brzegi wód żółciły się od kaczeńców, a na polance rozkwitły liliowe zimowity. Powyżej wylotu Urszu stała samotna brzoza. Wytrwale czepiała się skały, nieco pochylona w przód, jakby oglądała wodospad. Ta brzoza od pewnego czasu potrafiła osobliwie muzykować. Jeśli od strony Görgény powiał południowy wiatr, ów cieplejszy wiatr nasycony słońcem i deszczem, jej gałęzie dźwięczały tak jak napięte struny niewidzialnej harfy. Jej cienki pień przyginał się, zupełnie jakby tam na skale wdała się w jakiś dziwny płas, w jakiś tajemniczy, pogański taniec wiosny. Jej lekką, zieloną, jedwabną koszulką wiatr poruszał w rytm tego tańca. Było coś mistycznego w tym, jak tam tkwiła na skale i tańczyła. Zwłaszcza późnym popołudniem, gdy wiatr

wzmagał się, a cienie rozciągały się wzdłuż całej doliny i jarów Urszu, prawie czarnych, już w oczekiwaniu na wieczór. Pod jodłami wesoło pokrzykiwały drozdy, a kilka jarząbków zasiadło na skałach, by pożegnać odchodzący dzień.

Wreszcie wiatr gwałtownie ustał. Ale wtedy nie było już ani światła, ani cienia, tylko wszędzie szary zmierzch. I już jedynie drozdy odzywały się w ciszy. Gwiżdżąc sennie. Gdzieś nastroszyło się skrzydło głuszca, a pod Macskakő lekko, niczym jakiś mały brązowy cień, przeciągnęła pierwsza słonka. Wówczas brzoza stała tam na skale nieruchomo, a mimo to słychać było, jak oddycha. Opary tajemnych tęsknot unosiły się z niespokojnego potoku, aż do stóp brzozy. Smukły biały pień drzał wtedy ledwie zauważalnie, a niektóre z naprzężonych pąków pękały w sekrecie.

Z ławki przed domem, co ją zbudowali Márton wraz z towarzyszem, dobrze było widać ową brzozę. Także wieczorem, po zachodzie słońca i później, kiedy wzeszedł księżyc i swoje chłodne srebro rozpylał wszędzie ponad szalejącymi lasami. Dziewczynka często tam wtedy siadywała, nieco zmęczona i trochę smutna. Przez otwarte drzwi dochodził trzask ognia, a w dole szumiał potok. I w tym zalewającym wszystko głuchym szumie jakby dawało się posłyszeć drzewa. Buki tam naprzeciw, a z tyłu jodły, i brzozę, tam po drugiej stronie potoku. I można było też usłyszeć źdźbła traw, jak rosły. I kwiaty, jak się otwierały tu i tam, pod drzewami. Niekiedy cicho zameczała któraś z kóz w zagrodzie. Wówczas dziewczynce przypominało się, że jest sama. Potem znów mówiły tylko drzewa i trawy.

Kiedy kaczeńce rozkwitły już w pełni, któregoś dnia spytała Mártona:

– Powiedźcie, kiedy wypada świętego Jerzego?

Márton ciosał właśnie nowe stylisko do swojej siekiery.

– Było przedwczoraj. Czemu o to pytasz?

– Z powodu owieczek – wyjaśniła dziewczynka i usiadła obok Mártona na ławce.

– Aha – rzekł Márton – tych, co są u Gyurkucy. – Ale potem nagle podniósł głowę. – A co one mają wspólnego ze świętym Jerzym?

– Wtedy oddziela się je od matki.

– Tamte? – Márton wytrzeszczył oczy i patrzył, jakby chciał za chwilę kogoś zabić. – Gyurkuca tak mówił?

– Yhm – przytaknęła dziewczynka.

– A niech go czort weźmie! – zgrzytnął Márton. – Wszystko to łajdaccy złodzieje...

Lecz potem już nie odezwał się ani słowem, tylko ponuro ciosał stylisko siekiery. Dziewczynka wyniosła mamalygę, postawiła ją na ławce, a obok dzbanek z wodą. Zjedli. Tymczasem zaszło słońce i tylko jeszcze na szczycie Macskakő ostatnie promienie zabarwiły na żółto wierzchołki choin.

– Jutro przyprowadzę ci twoje owieczki – oświadczył Márton, kiedy wytarł sobie usta i wstał, żeby ruszyć w drogę powrotną.

– Nie trudźcie się – odpowiedziała dziewczynka, spojrzawszy na niego – i ja dam radę je przygonić!

Márton złapał siekiere.

– Ty tylko zostań tu, w domu! Lepiej będzie, jak ja pójdę. Popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

– Czemu?

– Dla sprawiedliwości – odparł zrzędlawie i poszedł.

I następnego dnia wieczorem owieczki były już nad Urszu. Ale jakież to były piękne, duże owieczki! Nie poznała ich. Niemal już nie jagnięta, lecz wyrosnięte jarki. I wszystkie sześć białe.

– Jak urosły od tamtej pory! – klasnęła w ręce, kiedy Márton przygonił je do zagrody.

– Zgadza się – rzekł mężczyzna bez uśmiechu. – Najadły się sprawiedliwości, a od tego rosną biednemu człowiekowi bydłeta.

Następnego dnia rano sześć białych owieczek pasło się już na polanie przy kozach. Podskakiwały wesoło. Trawa była pełna żółtego podbiału. Dziewczynka posiedziała tam przy nich, z łodyg podbiału uwiła im na szyje wieńce, w południe popędziła je w dół do wody i na wieczór ponownie. Następnego ranka same już do niej przyszły, kiedy otwierała bramkę.

Po kilku dniach okociła się większa koza. Miała dwa koźlątka. Stało się to tam, w górnym skraju polany, tak około południa. Koza tylko się położyła i zaczęła meczeć. Jej towarzyszka pasła się obok i od czasu do czasu z zaciekawieniem na nią popatrywała. Z początku dziewczynka nie wiedziała, co się dzieje. Podeszła do kozy i pogłaskała ją po łebku. Ta tylko strzygła uszami, jej wielkie, żółtawe oczy były szkliste, i cicho meczała. Wiła się trochę, uderzała głową o ziemię, a i rozwarła nogi. Dziewczynka bardzo się przestraszyła, myślała, że koza jest chora i zaraz zdechnie. Ale w końcu urodziły się koźlątka. Najpierw jedno, potem drugie. Obserwowała to wydarzenie z wytrzeszczonymi oczami, zdziwiona. Przestraszyła się krwi, ale uspokoiły ją lepkie, poruszające się zwierzaczkę. Patrzyła, jak koza, we krwi i umęczona, podniosła się i starannie wylizała swoich synów. Jeden wkrótce stanął na nogach i nieporadnie wyciągnął szyję, szukając wymienia. Nuca ostrożnie sięgnęła doń ręką i naprowadziła tam poszukujące wargi. Potem pomogła stanąć i drugiemu i nakarmiła go. Koza patrzyła na dziewczynkę mądrymi, spokojnymi oczami. Koźlęta possały, po czym z powrotem położyły się na murawie. Później dziewczynka po kolei zaniósła je na rękach do zagrody. Przygotowała im ściółkę z trawy i mchu.

Tamtego dnia narodziło się też sarnię w krzakach najniższego jaru nad Urszu. Pod wieczór doleciał jego płacz. Później jego matka zeszła do potoku, żeby

się napić. Była to wielka, chuda koza. Drżącymi uszami strzygła w kierunku domu i od czasu do czasu nasłuchiwała, skąd dochodził pozostawiony sam sobie cieniutki płacz. Piła nerwowo, pośpiesznie. Potem w kilku susach znalazła się w górze na brzegu i zniknęła w gęstwinie.

Może z tydzień później okociła się mniejsza koza. Stało się to rankiem, a przed południem przyszedł w górę potoku Mitru. Przystanął obok kładki, ale na nią nie wszedł. Odwrócił się i podszedł do domu.

– No a ty to jeszcze żyjesz?

Dziewczynka akurat zrywała do fartucha trawę na ściółkę. Obok niej leżała koza z dopiero co urodzonym kozłkiem. Miała tylko jedno. Druga ze swymi dwoma gryzła poniżej pędy olch. Kozłeta głupiutko patrzyły na świat i czasem podskakiwały. Jedno było szarobrunatne jak jego matka, drugie zaś po zawadiacku biało-czarne. Sześć owieczek pasło się razem pośrodku polany. Słońce prażyło, na żółtych plamach podbiału brzęczały dzikie pszczoły, czasem chwiejnie przeleciał nad polaną żółty motyl. Gdzieś kwitł krzew szakłaka. Jego woń przynosił niekiedy ciepły wiatr.

– Ano żyję! – odpowiedziała dziewczynka i podniosła wzrok na kościstego, mrukliwego mężczyznę.

Ten zatrzymał się przed nią. Kapelusz zsunął z czoła, strzelbę opuścił i wsparł się na niej jak na lasce.

– No a czyje jest to mnóstwo zwierząt? – rzucił i z surowym wyrazem twarzy począł liczyć: – Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć... i te kozy tam w dole?

– A tam dalej jest i sarna ze swym synem – dziewczynka, śmiejąc się, pokazała na Urszu – a jak dobrze popatrzycie, to i jelenia znajdziecie.

– Nie wiesz, że wypas jest zabroniony? Dziewczynka ze zdziwienia szeroko rozwarła oczy.

– Co jest zabronione?

Mieszkający wysoko w górach strażnik leśny zaczął ją pouczać:

– Las jest barona, słyszysz? Tu nie można, ot tak sobie, wypasać! Prosiłaś kogo o zgodę?

– Kogóż miałabym prosić? – spytała dziewczynka płaczkliwie, nie na żarty przestraszona.

– Mnie – Mitru odparł nieco ciszej.

Dziewczynka patrzyła na strażnika leśnego, ale nie odezwała się.

– No! Co mi dasz, jak ci pozwolę?

Twarzyczka dziecka zaczerwieniła się przekornie.

– A jelenie co dają? A sarny? Strażnik leśny zarechotał.

– Język to ty masz, jak widzę, ostry. No to posłuchaj! Przez całą zimę ustawialiście sidła, a ja nie powiedziałem ani słowa. Ale od tej pory co trzecią skórę oddasz mnie, rozumiesz? A z owieczek jesienią zabiorę dwie jako opłatę za

wypas. Zrozumiałaś? No to uważaj na siebie! Tylko żebyś nie próbowała oszukiwać mnie ze skórami, bo cię lichy porwie! Będiesz mogła wziąć swój worek i iść! Tutaj tylko ten pasie i ustawia sidła, komu ja na to pozwolę. Co wy sobie myślicie?!

I z tymi słowami odszedł. Strzelbę zarzucił na ramię, kapelusz ściągnął na oczy i ani spojrzął wstecz na dziewczynkę. Ta zaś stała tam, jakby wrosła w ziemię. Z poczerwieniałą twarzą, z oczami szeroko rozwartymi, bo nic nie rozumiała. Dławił ją płacz i gniew. Nigdy jeszcze nie słyszała takiej mowy, że trawa w lesie jest tego czy tamtego. Ani tata niczego takiego nigdy nie mówił, ani nikt inny. I do tego jeszcze kuny i lisy! No a czy one mają właściciela jak owce albo prosięta?

Dłonie zacisnęły się jej w pięści, gdy patrzyła za Mitru. No proszę, przechodzi przez kładkę, jakby była jego! Czy wolno mu tak mówić dlatego, że ma strzelbę? W takim razie jest zwykłym rabusiem! A jeśli wszystko to rozkazuje baron, to rabusiem jest i on, baron! No a czy kto ma prawo do czegoś, co należy do kogoś innego? Do owieczek należących do kogoś innego, do skór z dzikich zwierząt, upolowanych przez kogoś innego? Niech sam sobie złapie kunę, jeśli potrzebuje! Dość przecież biega po lesie! I czy to nie jest wszystko jedno, czy trawa zgnije, czy wyskubie ją owieczka?

Kiedy tam naprzeciw, w jarze Urszu, zagrzmiął strzał, wciąż jeszcze stała w tym samym miejscu, z zerwaną trawą w fartuchu. Jakby wbito jej w ciało nóż, tak dosięgnął ją ten huk. Dziewczynką wstrząsnęło, obie dłonie podniosła do twarzy, z fartucha wypadła jej wiązka trawy.

– Biada mi...

Długo jeszcze tak stała, zastygła w ślepych przerażeniu, nieruchomo wpatrując się w stok.

Wiele czasu upłynęło. Nie wiadomo ile. Owieczki same zeszły do wody i same wróciły. Skupiły się w cieniu domu i w niemej owczej zadumie gapiły się przed siebie. Kozy położyły się pod bukami. Kozłeta odpoczywały z nogami podciągniętymi pod siebie. Tylko dzieciół niezmordowanie stukał gdzieś pośród drzew. Naraz dziewczynka usłyszała płacz.

Był to cichy, całkiem cichutki, piskliwy płacz. Wiaterek, który go przyniósł z przeciwnej strony, być może wcale o nim nie wiedział. Trzy, cztery razy powtórzony, cienki i pełen skargi sarni głos. Potem znów zapanowała cisza.

Dziewczynka w napięciu nadstawiła ucha. Lecz nie usłyszała już nic oprócz potoku. Właśnie chciała już ruszać do domu, kiedy znów go posłyszała. Ale tak ledwo, ledwo. Tyle że coś przenikało poprzez szmer potoku. Jakby w grubej materii ciszy biegła od tamtej drugiej strony jakaś cienka, cieniusiańka srebrna struna, wydając ledwie dosłyszalny dźwięk, który jednak wychwyciło ucho dziewczynki.

Nie namyślała się dłużej. Zbiegła do potoku, dalej przez kładkę i już wdrapywała się wysoko po skałach nad Urszu. U stóp przykrytego zaroślami jaru zatrzymała się. Zadrżała na myśl, że gdzieś tu może być i ten człowiek, ten rabuś ze strzelbą. Nasłuchiwała. Wiaterek poruszał gałązkami krzewów, drozd grzebał w suchej ściółce pośród opadłych liści.

Nagle usłyszała wreszcie sarni płacz zupełnie wyraźnie. Był to cienki, żalony głosik, pełen strachu i skargi ton, dochodzący z okolicy grzbietu jaru, gdzie zieleniły się ogryzione młode topole.

Biegiem puściła się za głosem. Od czasu do czasu przystawała. Nasłuchiwała. Kolce jeżyn wbijały jej się w bosc stopy, przedzierała się przez maliniak, gęstwa choin odrapała jej twarz.

W pobliżu topoli podążała już wolnym krokiem. Ostrożnie odchyłała na bok gałęzie, żeby nie powodować hałasu. W końcu zatrzymała się. Ścisnęła gardło i cicho wydała głos naśladujący sarnę. Potem jeszcze raz. I czekała.

Upłynęło kilka chwil. Później jakby z góry doszedł jakiś szmer od ledwo słyszalnego poruszania się. I naraz całkiem blisko zapłakał przepełniony skargą głos sarnięcia.

Dziewczyńce przemknął po twarzy uśmiech. Kucnęła i znów poczęła nawoływać. Teraz już głośniej i raz za razem. Gwałtownie trzasnęły cienkie gałązki i po ziemi zatupotały drobne nóżki. Potem zaczęły się ruszać także krzewy i z pełnym przestachu pośpiechem, wprost w jej ramiona wbiegło maleńkie sarniątko ubarwione licznymi plamkami.

Zatrzymało się z wahaniem, ale było już za późno. W jego lśniących czarnych oczach rozblęskło przerażenie, z gardła wydobył się cichy, zrozpaczony jęk, potem więcej już się nie ruszało, nie wierzgało. Ze śmiertelną rezygnacją pozwoliło się ponieść w ramionach. Zwiesiło łebek, jakby już nie żyło. Tylko serce waliło mu gorączkowo.

Dziewczynka ostrożnie niosła w dół struchlałe zwierzątko. Okrążyła zarośla, weszła na szeroki trop zwierzyny, prowadzący wprost do potoku. W jednym miejscu trawa była zakrwawiona. Dalej muchy bzyczały na kiszkach zwierzęcia. Powietrzem zawładnęła gęsta woń krwi. Wzdrygnęła się i w pośpiechu poszła dalej. Małe sarnię podniosło głowę, wilgotnym noskiem powęszyło w stronę kiszek i cicho zapłakało.

Po twarzy popłynęła jej łza. Niemal biegiem podążała stokiem w dół i dalej przez potok. Zatrzymała się dopiero przed domem. Patrzyła na małe sarnię w plamki i zastanawiała się. Ono zaś z przymkniętymi oczami, z niemą sarnią rezygnacją czekało na swój los. Tylko od czasu do czasu wspomnienie przerażenia przeszywało dreszczem jego nóżki.

Dziewczynka zobaczyła kozy pod buczyną i ruszyła w ich stronę, z sarnięciem w ramionach. Te podniosły obojętne, żółte oczy i stanęły na nogi.

Podeszła do tej mniejszej i postawiła pod nią sarnię. Jego małą czarną buzię przystawiła do wymienia kozy. Lecz kozie nie podobało się to nowe koźlątko. Zaczęła gniewnie tupać, odwróciła się i uderzyła w nie czołem.

– Uciekaj, ty zła! – dziewczynka odpędziła kozę. – Nie wstyd ci? Lecz koza nie okazywała żadnego wstydu. Pomekując, wartko odeszła dalej i troszczyła się jedynie o własnego syna. Dziewczynka zaniósła więc sarnię do drugiej kozy. Było to zwierzę starsze, spokojniejsze. Kozą powąchała małe sarniątko, następnie zaczęła coś meczeć w swoim języku. Jednak nie protestowała, gdy sarnię zaczęło ją ssać.

Od tej pory stara koza chodziła z trzema małymi.

Wreszcie i klon tam w dole, na brzegu Bystrego, rozwinął swe spóźnione listowie i tak oto zakończyła się wiosna. Z grzbietów Gór Kelimeńskich zeszedł w dół cały śnieg, a rozognione od południowego słońca kamienie obłaskawiły swym ciepłem wodę potoku.

Pewnego przedpołudnia pojawił się w końcu Birtalan, człowiek od ryb. Schodził z biegiem Urszu, od czasu do czasu stawał przy wodzie i rozglądał się. Później przeszedł przez kładkę, obejrzał owieczki, kozy i małe sarnię. Wreszcie podszedł do dziewczynki.

– Urosłaś – tak zaczął.

Ona już z daleka obserwowała nadejście człowieka od ryb. Siadła na progu i stamtąd nań spoglądała. Niebo było takie błękitne... jakby utkano je z dzwonkowych kwiatów. Kilka beztroskich, włochatych, białych obłoczków odbywało po nim przejażdżkę.

Dziewczynka uśmiechnęła się i tak właśnie podniosła wzrok na człowieka od ryb.

Ten pokiwał głową, zrzucił sakwy obok ławki i wskazał na Urszu:

– Dobra woda. Ryb w niej co niemiara. Tyle, że aż nie do uwierzenia. Taka bystrzyca!

Pokiwał głową i usiadł.

– Dużo złapaliście? – spytała dziewczynka. Stary spojrzął na nią z przyganą.

– Po co miałem łapać? Jadłem dziś rano.

W zamyśleniu przyglądał się dziecku. Ono zaś zaśmiało się do niego.

– I ja już potrafię łapać ryby! Ręką!

– Teraz też?

– Teraz też.

– Dobrą masz rękę, mówiłem. No i co, zostaniesz tu? Dziewczynka ze zdziwieniem wlepiała weń oczy.

– Pewnie, że tak. A gdzież bym miała iść? Stary spuścił głowę.

– Pięć lat to długi czas – mruknął – oj, długi.

– Jedna zima i jedna wiosna już z tego przeminęły!

Pokręcił głową, potem i przytaknął. Jego twarz była bardzo stara.

– Dziwna z ciebie dziewczyna – rzekł.

Milczał przez chwilę, po czym sięgnął do sakwy, wyjął z niej kurę ze związanymi łapkami. Potem jeszcze jedną. I jeszcze jedną... I tak sześć razy. Na koniec wyciągnął ogromnego koguta.

– Masz tu, na – rzekł i po kolei kładł je obok siebie na ziemi. Ptaki, przestraszone, mrugały oczami i trzepotały zdrętwiałymi skrzydłami.

– Żyją! – dziewczynka powiedziała ze zdziwieniem.

– Ano żyją. Żyją po to, żeby się nieść!

Dziewczynka pogłaskała pióra tej, która znajdowała się najbliżej.

– Dziękuję – rzekła cicho – ale czy one tu wyżyją?

– Nie mnie za nie dziękuj, to pan je posyła. Jest tu dla nich także i ziarno – wskazał na sakwy.

– Jaki pan? – dziecko wytrzeszczyło nań oczy.

– Ano pan Éltető. Z wysokich gór nad Szalárd. Ziarno możesz w coś przesypać.

Podnosząc się, rzucił do niej jeszcze:

– No, chodź do wody! Niechże zobaczę, czego się nauczyłaś! Dziewczynka zwinnie skakała w dół, podobna do wesołego kozłęcia. Birtalan włókł się za nią, jak to starzec. Zeszli nad potok. Naprzeciw kaskady dziewczynka zatrzymała się.

– Zwykle tam łapię, jeśli potrzebuję – powiedziała, pokazując za kaskadę. Pod omszałymi skałami migotało czarne lustro wody. Jej zatokę do połowy przykrywał spadający nurt Urszu, spienionymi strugami sięgający aż do podnóża skały.

Stary pokręcił głową.

– Głęboka tam woda – rzekł.

– No to co? – zaśmiała się dziewczynka. – Jest lato!

I już zrzucała z siebie spódnicę, koszulę, z głowy czerwoną chusteczkę i w mgnieniu oka była w wodzie. Birtalan z wytrzeszczonymi oczami patrzył na to dziwo. Jak szczupłe dziewczęce ciało zanurzyło się w skłębionym nurcie Urszu, tak że widać było zeń jedynie różowobrazowawą plamę, a u góry, na grzbiecie ciemnej wody rozsypane złocistopłowe włosy. Kilkoma ruchami dziewczynka dotarła do kaskady. Jak jaszczurka wdrapywała się w górę po kamieniach pokrytych białą pianą, i przez chwilę rozpostarł się na niej huczący srebrny płaszcz Urszu. Potem i to zostawiła za sobą i znalazła się w cichej, czarnej wodzie jaskini. Poprzez zasłonę z wody dostrzec można było jedynie ruch czegoś różowego, jak z ostrożną powolnością maca wzdłuż skalnej ściany. Południowe słońce rzuciło tam trochę światła, promienie przebiły spadającą wodę i wymalowały na niej tęczę.

Tak upłynęło kilka minut. Wreszcie dziewczynka przeszła z powrotem poprzez wodną zasłonę, w jej rękach szamotał się olbrzymi pstrąg, pięknie

upstrzony czerwonymi plamkami.

– Tu wszystkie są takie duże – powiedziała, kiedy dotarła na brzeg. – Proszę, dla was go złapałam.

Po czym otrząsnęła się z wody niczym pies i w mgnieniu oka naciągnęła na siebie koszulę i spódnice.

Birtalan trzymał rybę w żylastej, wyschłej ręce i spuściwszy swą rybią głowę, z z troskaniem przyglądał się dziewczynce. Świeże było to różowe ciało, młode, młode jeszcze po chłopięcemu. A mimo to była w nim jakaś delikatna i miękka kobiecość. Bóg jeden wie jak i gdzie.

– Zręczna jesteś – powiedział ochryple i wepchnął rybę głęboko do sakwy. – Zabiorę ją do domu dla pana i powiem, że to ty mu posyłasz.

– Złapać jeszcze? – wrywała się dziewczynka, a jej ręka już była przy pasie, żeby znów zrzucić spódnice. Jej oczy śmiały się filuternie, a na czubku nosa figlarnie migotała kropla wody.

– Stójże! – zawołał stary niemal w przestachu i nawet podniósł rękę. – Wystarczy ta jedna. Ale powiedz no... naprawdę chcesz tu pozostać... sama?... Pięć lat? Za pięć lat będziesz już dużą panną...

– No i bardzo dobrze – dziewczynka roześmiała się wesoło, na całe gardło – bo do tej pory będę miała już tak ze czterdzieści owiec i z tuzin kóz, a i z sidłami będę zręczniejsza! – Gwałtownie spoważniała. – Tylko że ten Mitru...

– Co z nim? – stary nadstawił ucha.

Dziewczynka zadziornie targnęła głową. Usta zwężyły jej się w gniewie.

– Powiedział, że jesienią zabierze dwie owce za wypas. I że ze skór co trzecią mam mu oddać! A niech go pokręci! Jeszcze czego!

– Tak powiedział? – Birtalan spytał z lekką ulgą.

– Tak – dziewczynka kopala ze złością wystające korzenie – ale ja mu nie oddam tych dwóch owiec, w żadnym razie nie oddam!

– Zostaw to – rzekł ciszej – raczej mu je oddaj, jeśli po nie przyjdzie. To on jest silniejszy.

– Nie mam ja siekiery, myślicie?! – wybuchła z gniewem. Nawet oczy jej iskrzyły, gdy tak tam stała.

Birtalan tylko się przyglądał.

– Dziwna z ciebie dziewczyna – pokręcił głową – naprawdę dziwna z ciebie dziewczyna.

Potem ruszył w górę Bystrego. Kiedy minął klon, zatrzymał się i spojrzał wstecz. Ale wtedy brzeg był już pusty, a domu nie było stamtąd widać. Pokręcił głową i wymruczał kilka niezrozumiałych słów. Było cicho, tylko woda szumiała. I z klonu poderwała się wilga.

Pewnego dnia zjawił się na górze Józsup, sam. To było po tym, jak zrobili z Mártonem klatkę dla kur. Zostały jeszcze do zrobienia gniazda do znoszenia jaj,

tak powiedział, i to właśnie z ich powodu przyszedł. Przyniósł z sobą kilka gotowych, odpowiednio przyciętych desek i garść gwoździ. Po czym zabrał się do stukania młotkiem.

Dziewczynka przez jakiś czas przyglądała się mężczyźnie o woskowej twarzy, jak bez pośpiechu coś robił z tych desek, potem zgoniła w jedno miejsce jagnięta, następnie pobawiła się z małym sarnięciem. Słońce całkiem mocno prażyło, kury rozgrzebywały ściółkę pod buczyną, a kogut, bacząc, trzymał nad nimi straż.

W końcu dziewczynka zostawiła sarnię z kozami i zeszła nad potok. Pomyślała, że złapie kilka ryb dla Józupa za to, że dla niej pracuje. Coraz goręcej paliło słońce, senne jodły pociły się w upale, a dziewczynce zamarzyła się ochłoda.

Doszła aż do klonu, tam się rozebrała. Trochę powstała na brzegu i oglądała siebie w drżącym lustrze. Palcami u nóg pochwyciła kamyk i rzuciła nim na drugą stronę. Kamyk stoczył się z powrotem ze skały i plusnął w wodę. Zamigotały łuski kilku ryb, uciekających w przestrachu.

Wolno zanurzyła się w potoku. Było przyjemnie i chłodno. Ponad wodą unosił się zapach mchu i iglaków.

Przeszukała wszystkie zagłębienia brzegu i znalazła kilka ryb, wyrzuciła je na suchy ład. Kiedy uznała, że już wystarczy, położyła się w głębszym miejscu i chlapała się tam. Przewróciła się na plecy i poddała się falom, łagodnie przelewającym się przez jej brzuch, uderzała w nie nogami i śmiała się cichutko, gdy łaskotała ją śpiesząca się woda. Potem usiadła na wielkim, płaskim omszałym kamieniu i smażyła się w słońcu. Nogi zwiślały jej, zanurzone w wodzie, niekiedy podpływała tam jakaś mała rybka i muskała pyszczkiem paznokcie u jej stóp.

Na przeciwległym brzegu posłonki zaczęły już rozkładać swe żółte talerze. Szeleściły skrzydła ważek, a lato ciepło brzęczało w ciszy i na swoich złotych sitach przesiewało zapachy, i sączyło miód do kwiatów.

Akurat dostrzegła kwiat dzwonka. Jeden z tych chwiejących się, dużych niebieskich kwiatków, które tak okazale kwitną o tej porze na cienistych brzegach potoków. Ten był pierwszy w tym roku.

Wstała z kamienia i ruszyła w jego kierunku. Ledwie przeszła kilka kroków w wodzie sięgającej do kostek, kiedy nagle zatrzymała się. Musiała się zatrzymać. Poczula na karku jakieś niewidzialne targnięcie, coś podobnego do drętwienia. Przystanęła i odwróciła się. I wtedy zobaczyła Józupa o woskowej twarzy.

Ale to nie był ten dawny Józup. Niby ten sam, a jednak jakiś inny. Stał tam pod klonem i przyglądał się. Woskową twarz okrył mu dziwny rumieniec, na ustach malował się ów osobliwy uśmiech... uśmiech ściskający za gardło, a w oczach mężczyzny w sposób straszny coś płonęło. Tak, natychmiast jak go ujrzała, poczuła, że ta zmiana jest w jego oczach. Owo dziwne, niemal boleśnie piekące coś, co poczuła na swoim karku, co ją zatrzymało, co wywołało na jej

całym ciele gęsią skórkę.

Było w jego spojrzeniu coś, sama nie wiedziała co, od czego w mgnieniu oka jej twarz oblała się rumieńcem i choć nie rozumiała dlaczego, ogarnął ją jakiś wcześniej nieznaną wstyd z powodu własnej nagości. Jakby ten człowiek swymi dziwnymi oczami zaglądał jej pod skórę. Takie to było uczucie.

Przez chwilę stała tam, jakby ją zaczarowano. Czuła, że krew uderza jej do głowy, a potem odpływa w dół. Naraz poczęła marznąć, a przecież słońce świeciło oślepiająco i było właśnie południe. Odwróciła głowę od mężczyzny tkwiącego pod klonem i powoli wyszła z wody na brzeg. Szukała swego ubrania i przypomniała sobie, że zostawiła je pod klonem. Akurat tam, gdzie stał ten człowiek. Poczuli się nagle tak nieporadna, że niemal wybuchła płaczem.

Józsup zaś znieruchomiał i nie odrywał od niej wzroku.

– Dobrze jest się wykąpać? – spytał, a w jego głosie też było to coś dziwnie przerażającego, to samo, co w jego oczach.

– Nałapałam ci ryb – dziewczynka odpowiedziała cicho i odwróciła głowę w bok, żeby nie widzieć uśmiechu mężczyzny o woskowej twarzy. – Proszę, rzuć tu moje ubranie...

Mężczyzna zaśmiał się dziwnie, sucho.

– Może ci zimno?

Czuła, że powinna tam podbiec, pochwycić z ziemi ubranie i zaszyć się z tym ubranie w krzakach. Mimo to nie ruszyła się. Tylko wciąż stała na brzegu huczącej wody i po raz pierwszy w życiu czuła się naga.

– Ile ty właściwie masz lat? – spytał mężczyzna i podszedł o krok bliżej.

Coś ścisnęło ją za gardło tak, że wcale nie mogła mówić. Miotaly nią sprzeczne uczucia – z jednej strony przerażenie, że jest bezbronna, pozostawiona sama sobie, z drugiej przekorny gniew. Łzy polały jej się z oczu, odwróciła głowę, a wąskie ramiona zadrżały od płaczu. Słyszała, że mężczyzna ruszył w jej stronę, jednak nie potrafiła uciec. Obiema dłońmi zakryła twarz. Łzy ciekły jej po palcach.

Mężczyzna zatrzymał się przy niej i łagodnie dotknął jej włosów.

– Czego płaczesz, dzieciaku? Nic ci nie zrobię. Któż by skrzywdził taką piękną dziewczynkę?

Ręka ześlizgnęła się z włosów na ramiona. Podstępnie i zimno, jak żmija. Z ramion do pasa.

– Pokaż raczej, jak łapiesz ryby! Nie płacz, no, nie bądź głupia!

Szczupłe małe ciało zadrżało pod dotykiem szorstkiej dłoni. Odsunęła się niczym sarna przed głaskaniem, delikatnie, bojaźliwie.

– Czekaj – mruknął ochryple Józsup i usiadł na ziemi. Przez głowę ściągnął krótką, białą płócienną koszulę i zaczął rozwiązywać kierpce.

Dziewczynka z przestachem oderwała ręce od twarzy. Jej wzrok padł na żółtawobiałą skórę nagich pleców, pod którą wyraźnie rysowały się kości żeber

i kręgosłup. To ciało miało chorobliwie woskową barwę. Nagle ogarnął ją bezmierny wstręt, jakby ujrzała nagiego trupa. Przewróciło jej się w żołądku, poczuła, że natychmiast zwymiotuje.

Gwałtownie odwróciła głowę w bok i jak szalona poczęła biec w kierunku klonu. Śpiesznie pochwyciła ubranie i już pędziła z nim pomiędzy olchami i dalej w górę ku domowi. Dysząc, zamknęła za sobą drzwi i drżącymi rękami nasunęła na nie grubą zasuwę z bukowego drewna. Jakby kto ją ścigał. Pewien nagi mężczyzna ulepiony z żółtego wosku, wstrętny człowiek o trupim ciele, którego widok budził w niej grozę.

Potem padła na ławkę przy piecu, drżąc jak w febrze, a serce bębniło jej głośno w niemej ciszy.

Józsup nie pokazał się więcej. Ani tego dnia, ani następnego, ani w dniach kolejnych. Márton też nie przychodził. Na polanach u stóp wysokich gór rozpoczęły się sianokosy i nawet umarli mieliby zajęcie.

Na skraju choin pojawiły się wówczas kurki. Może z tydzień po owym zdarzeniu z Józsupem – od tamtej pory nie miała odwagi kąpać się w potoku, choć były to słoneczne, piękne dni – nazbierała cały wiklinowy kosz grzybów i zaniosiła go na dół do wsi.

Zajrzała do kilku domów, ale nikt nie potrzebował grzybów. Dzieci, które nosiły obiad pracującym przy sianokosach, zbierały ich dość. Pod każdym okapem suszyły się wianki kurek. W końcu nie pozostało nic innego, tylko karczma.

U Włochatouchego jakaś postawna, młoda niewiasta właśnie szorowała podłogę, kiedy weszła tam dziewczynka. On sam, pochylony nad szynkwasem, męczył się z brudnym od palców kawałkiem papieru, bezładnie zarysowanym wielkimi cyframi. Przy stole, przy którym się pije, siedział jeden jedyny człowiek i w zamyśleniu wpatrywał się przed siebie. Mężczyzna miał starą, pomarszczoną twarz, na nogach kierpce i buchała odeń barania woń. Włosy, które nosił zgodnie z odwiecznym zwyczajem, były wyblakłe, tłuste, sięgające do ramion. Na głowie miał czarny kapelusz z wąskim rondem, przy pasie zaś wykonany z owczej skóry, zdobny, wielki worek juhasa, a obok, oparty o stół, długi, wypolerowany od ściskania kij z nacięciami.

– No! To ty? – Włochatouchy sapnął zza papieru.

– Przyniosłam trochę grzybów – odważnie powiedziała dziewczynka i postawiła kosz na szynkwasie.

Ormianin powąchał zawartość kosza.

– Czego ci potrzeba? He?

– Kaszy kukurydzianej. Sera. Karczmarz wlepił w nią wzrok.

– Za takie byle co? Dziewczynka zaczerwieniła się.

– Świeże są – próbowała bronić grzybów – dzisiaj je zbierałam.

Włochatouchy pogrzebał w grzybach i wydał wargi.

– Kurki – wysapał. – Jest ich w bród. Za garść lodowego cukru dzieci znoszą je furami.

Dziewczynka bezradnie stała przez chwilę, patrzyła to tu, to tam, po czym, jako że Ormianin więcej już się nie odzywał, wzruszyła ramionami i zawartość kosza wysypała przed nim na szynkwas.

– Weźcie – powiedziała – z powrotem nieść ich nie będę. Po czym zawiesiła kosz na ramieniu i ruszyła ku drzwiom. Wtedy poruszył się ów stary, tam przy stole, przy którym się pije.

– Słuchaj no – rzekł, a jego głos zagrzmiał tak, jakby jakiś lichey pilnik przeciągnięto po mokrej desce – słuchaj no, dziewczynko!

Dziecko zatrzymało się.

– Czyja ty jesteś, że przynosisz tutaj to, co zebrałaś?

– Lasu! – odpowiedziała dziewczynka ze śmiechem i ruszyła dalej.

– Co mówisz? – fuknął na nią stary. – Zatrzymaj się, he! Kto jest twoim ojcem?

Rękę miała już na klamce, kiedy się zatrzymała. Oblała się rumieńcem, ale przekornie rzuciła imię:

– Tóderik!

I już otwierała drzwi.

Pieść starca opadła na stół.

– Zatrzymaj się, do diaska! Wracaj!

Ze zdziwienia wypuściła klamkę i nawet podeszła kilka kroków bliżej stołu. Stary przyglądał jej się spod przeredzonych, bezbarwnych brwi.

– Tak myślałem, że to ty, stamtąd, znad Urszu – rzekł gderliwie. – Słyszałem o tobie. Poznałem cię po twoich włosach. W tych stronach ludziom takie nie rosną. No a co się stało? Nie masz co jeść? A ten łajdak Ormianin nie chce ci dać? Co?

Włochatouchy burknął coś za szynkwasem i zgarnął leżące przed nim grzyby. Dziewczynka wzruszała ramionami, zmieszana.

– Ano przecie jeszcze mam, ale nie za dużo... pomyślałam... spróbuję z tym... wiecie – dodała, nabrawszy odwagi – sidła teraz niewiele warte, a i ryb nie potrzeba ludziom...

– Umiesz też łapać ryby? – spytał stary i spojrzął na nią.

– No pewnie, że umiem!

– Hm. No a czy wiesz ty, gdzie jest Ulmu?

Czoło dziewczynki w zastanowieniu zmarszczyło się w cienkie fałdki.

– Tata był tam raz. Trzeba przejść przez górę, tyle wiem.

– Ano właśnie! – przytaknął stary. – Wejdiesz wzdłuż Urszu na szczyt, potem w dół. Tam jest Galonya. I znów w górę, a gdzie potem usłyszysz psy, a i owce, to właśnie będzie Ulmu. Rozumiesz?

– Rozumiem – dziecko skinęło z powagą. Przywykło potakiwać nawet

wówczas, gdy nic nie rozumiało. W końcu przecież i tak wszystko się wyjaśni.

Tu też się wyjaśniło, bo stary zamachał pięścią ku Włochatouchemu.

– Hej! Ormianinie! Słyszysz mnie?! Odmierz dziewczynce pięć kwart kaszy kukurydzianej! I dopisz do mojej. No, biegnij! – szturchnął dziewczynkę.

Ta była przyzwyczajona, żeby się słuchać, więc podeszła do szynkwasu. Nie dziwiła się, tylko wyciągnęła swój mały woreczek, który przyniosła na kaszę.

– Do tego wsypcie! – powiedziała zwyczajnie.

Włochatouchy burknął coś, ale wielką drewnianą łyżką odmierzył owych pięć kwart, co więcej: dołożył do nich nawet i szóstą.

– To dostajesz za grzyby – wymamrotał – ale więcej ich nie przynos, słyszysz?!

Kiedy to wszystko było gotowe, a dziewczynka zarzuciła sobie na ramiona mały worek, wówczas podszedł do niej starzec i krzywym palcem szturchnął ją w plecy.

– Słuchaj no! Ja jestem Sándru, juhas, rozumiesz? Z Ulmu. Nie mam tam w górze dostępu do ryb ani do grzybów. Jeśli od czasu do czasu coś takiego przyniesiesz, dobrze bym za to zapłacił. Tych pięć kwart kaszy dostajesz z góry. Zgoda?

– Zgoda – dziewczynka skinęła z powagą, wręcz starczo. – Mam to zanieść na Ulmu, tak mówicie?

– Pójdiesz w górę na połoninę, a za nią podążysz w dół. Tam jest Galonya. Stamtąd już usłyszysz dzwonki owiec.

– Dobrze. Niech wam Bóg błogosławi!

I już szła. Starzec patrzył za nią, aż zamknęły się drzwi. Następnie pokręcił głową i splunął na podłogę.

– Psujecie wy tu w dole świat, Ormianinie. Psujecie, jak widzę.

*

Tego dnia zapach psucia w istocie przykrył wieś. Dalej od targowiska stały wozy, wielkie, zaprzęzone w sześć wołów, dworskie wozy. Tłoczyły się wokół nich kobiety, ubrane na czarno wyglądały jak wrony na kupie gnoju. Mężczyzn prawie nie było we wsi. Pochłonęły ich kośne łąki w górach.

Z wozów wystawały jakieś piętzące się, dziwne przedmioty ze stali. Ogromne osie, koła, kotły i wszelkiego rodzaju niepojęte narzędzia. Była tam okrągła piła wielka jak młyńskie koło. Był z wozami także ktoś w rodzaju mechanika, taki na wpół pan, który ciekawskiemu ludowi tłumaczył, co do czego służy.

– Będzie z tego piła parowa – mówił – i to niejedna! Rozprawia się z tym mnóstwem brzydkich lasów! – wykręcał szyję, przypatrywał się górom, bardzo głupio, jakby czegoś takiego nigdy dotąd nie widział.

Ciekawość przygoniła tam i Nucę, kiedy wyszła od Ormianina. Nieco ugięła jej się ramiona pod kaszą kukurydzianą, jednak zwinnie przedarła się przez masę ludzi, żeby obejrzeć to dziwo. I ona otworzyła szeroko buzię, bo nigdy jeszcze nie widziała takich osobliwych, lśniących rzeczy jak te, co znajdowały się na wozach. Przy owym mężczyźnie, kimś w rodzaju mechanika, spostrzegła naraz Mitru.

– Wujku Mitru! Co to jest?

Mieszkający wysoko w górach strażnik leśny gniewnie spojrzał w dół na dziewczynkę. Jakby kto wgryzł się w ulegątkę, taka była jego mina.

– Piła. Barona. Uciekaj z drogi!

Przy wtórze okrzyków poganiaczy wozy ruszyły w prawo. Zgrzytały osie, trzeszczały koła, gdy wozy z ciężarem zakręcały na płaszczyźnie przy Maros, tam gdzie leżały dworskie działki.

– Skąd to przyjechało? – jeden z pastuchów, zaciekawiony, zadał pytanie najemnemu z batem.

– Z Kolozsváru – mruknął ów w odpowiedzi. – A niech cholera weźmie te wasze drogi!

Kobiety rozchodziły się grupkami, omawiały owo wydarzenie, co tam która wiedziała o tym, komu właściwie dostanie się praca przy pile, jakie to jest, jak już chodzi, czy to prawda, co powiedział mechanik, że maszyny napędzane parą w mgnieniu oka przecinają na pół nawet najgrubszą kłodę, no i gdzie zaczną wycinać las i ile wyniesie dniówka.

Dziewczynka też ruszyła ku domowi. Właśnie przechodziła obok jednej takiej grupki kobiet, kiedy ktoś zawołał do niej:

– To i ty tu jesteś, wszeteczniczo?! – Była to Sántowa, żona Mártona. Ostro zmierzyła ją od stóp do głowy. – Byłaś żebrać? Co?

Dziewczynka zaczerwieniła się raczej od tonu aniżeli od słów.

– Byłam w sklepie. Żeby kupić! Odpowiedzią był złośliwy śmiech.

– No to posłuchaj! Lepiej chodziłabyś pracować, zamiast z kieszeni innego człowieka wyłudzać zarobek! Ale tobie to się praca nie podoba, prawda? Rozpieszczonej panience!

Również i pozostałe kobiety poczęły narzekać, że no, no, z pewnością, z takiej to naprawdę będzie ziółko... no i że mężczyźni to już sami nie wiedzą, na co wydawać pieniądze... takiej to nie należy pieścić, tylko przymusić do pracy... i takie tam podobne.

Jakby biegła pomiędzy różgami, tak smagały ją te niesprawiedliwe słowa. Szła, nie patrząc ani w lewo, ani w prawo. Słyszała jeszcze biadający głos jednej z kobiet, jak opowiadała pozostałym:

– Niby taka mała, pomyślisz, że nie potrafi zliczyć do trzech, a czyż nie chciała uwieść Józupa, tego z Piperika? Opowiadała o tym wczoraj przed kościołem jego żona. Podupała na zdrowiu z powodu męża. Mówi, że ten ani porządnie nie zje, ani nie zajmie się swoją robotą, tylko stale chodzi tam wysoko do lasu, gdzie mieszka ta mała rozpustnica. Wszystko, co zarobi, tam zanosz, a nie swojej rodzinie. Taka mała, a już kuta na cztery nogi...

– Ojej, jaki wstyd... – dorzuciła druga.

– No a mój mąż? – wtrąciła się ze swoim trajkotaniem Sántowa. – Czyż nie zanosz tam wszystkiego? Czyż nie odejmuje własnym dzieciom od ust? A niech taką piekło pochłonie! Rozpada się nasza szopa, ale czy myślisz, że przyniósł choć jeden kawałek drewna, żeby ją podeprzeć? Klatki dla kur potrzebuje sierota tam wysoko, powiada. Zagroda jest potrzebna biedaczce, powiada! Muszę jej narąbać drewna, no i czego tam jeszcze, do licha. Biedaczce! Niedawno mało mnie przez nią nie pobił! Już skoczył do mnie z kijem, bo odważyłam się powiedzieć, że mógłby jej przynajmniej kazać upleść kilka koszy dla kur, do wysiadki jaj, żeby nie poszło darmo wszystko, czego tyle tam zanosz!

Niemal biegiem uciekała przed tą złośliwą mową, ale słowa kobiet i tak podążały jej śladem i godziły w nią, tnąc gdzieś wewnątrz niej krwawe pręgi. Trzymała mocno pusty kosz, przyciskała główkę do worka z kaszą, zastygłym wzrokiem patrzyła przed siebie na mocno ubitą ziemię drogi, a z oczu sączyły się piekące łzy wstydu i gniewu. Biegła szybko, tak szybko, jak tylko się dało. Ale długo jeszcze raniły ją słowa ciskane za nią w złości. Miała je w uszach nawet wtedy, gdy wieś dawno już pozostała w tyle. Nawet i wtedy, gdy pomiędzy drzewami ukazał się dom.

Akurat skręciła od potoku, gdy zobaczyła, że przy zagrodzie stoi jakiś człowiek. Był to Márton. Márton Sánta.

– Przechodziłem tędy z sianokosów – rzekł wesoło, kiedy dziewczynka dotarła na górę do domu – i sprawdziłem, czy wszystko w porządku!

Dziewczynka pełna była goryczy. Bez słowa weszła do domu, położyła worek i kosz i usiadła na ławie.

Mężczyzna, tam na zewnątrz, musiał coś zauważyć, bo po pewnym czasie wszedł do środka.

– Stało się co? – zapytał i zatrzymał się w progu. Jego przenikliwe, ciemne oczy badawczo przyglądały się twarzy dziewczynki.

Dziewczynka zaczerwieniła się, wstała i zwróciła się ku mężczyźnie.

– Czy ja was wołałam? – spytała i spojrzała mu prosto w oczy.

– O czym ty mówisz? – zdziwił się Márton i podszedł bliżej.

– Czy ja was wołałam? – powtórzyła dziewczynka. – Was i tego drugiego? Czy ja was prosiłam, żebyście pracowali? Żebyście przynosili jedzenie, własnym dzieciom odjęte od ust?

Oblicze wesołego niskiego człowieka pociemniało. Stało się przeraźliwie ponure, brzydkie. Jego oczy zakłuły.

– Ktoś ci coś powiedział? Tam w dole? Co?

Dziewczynka z podniesioną głową przyjęła jego spojrzenie.

– Powiedziały, że ja u was żebrzę! Że to ja was przywabiłam od tamtych kobiet! Bo nie chcę pracować, dlatego!

Przez chwilę stali tak naprzeciw siebie. Dziewczynka w postawie pełnej buntu, zmagając się ze łzami, z zaczerwienioną twarzą, i ten mężczyzna, twardy niczym skała, z oczami miotającymi błyskawice. Pod skórą twarzy oznaczyły mu się kości, gdy zacisnął zęby. Słowo spoza nich nie wyszło, jedynie jakiś pomruk.

– Nie chcę być ich dłużnikiem! – wyrwało się z dziewczynki. – Nikomu nie chcę być dłużna! Nie chcę, żeby tamte w dole wołały za mną! Za wszystko zapłacę! Tam są jagnięta! Kozy! Zabierzcie je!

Po czym opadła na ławę i poczęła łkać pełnym bóleści, dziecięcym szlochem.

Mężczyzna jeszcze przez chwilę stał w progu. Trwało to sekundę? A może kilka minut? Nie istniał w domu czas. Nie było nic, tylko jakiś brzydki, ponury wstyd. Jakaś gorzka woń.

Nareszcie odwrócił się, nasunął kapelusz na oczy i ruszył w kierunku wsi.

Później dziewczynka podniosła się z ławy, wyciągnęła drabinę i wspięła się na strych. Sechł tam tuzin gotowych koszy z wikliny, które zrobiła jeszcze wiosną. Zrzuciła je, po czym zeszła. Złapała największy kosz i wyszła z nim z domu. Zamknięta w sobie i przepelniona goryczą. Na próżno świeciło letnie słońce, na próżno przybiegły do niej owieczki i kozy, na próżno łąsiło się do jej kolan małe sarnię; ona na to nie patrzyła. Podążyła w dół do potoku, na brzegu zatrzymała się i bojaźliwie rozejrzała się wokoło. Nigdzie nie było człowieka, a mimo to stała tam, wahając się przez chwilę. Wspomnienie purpurą zabarwiło jej twarz. Nie miała odwagi się rozebrać.

Po pewnym czasie ruszyła w górę, wzdłuż potoku. Nie było tam już ścieżki, tylko woda z sykiem bieżąca w dół i nieme drzewa. Pod choinami kiwały

główkami duże, niebieskie dzwonki, a po obu stronach potoku gęsto tu rosnące posłonki kłoniły się swymi mięsistymi liśćmi ku wodzie. Pośród tych kwiatów noga człowieka jeszcze nie powstała, tylko gdzieniegdzie widać było trop dzikiej zwierzyny. Nad wodą unosiły się ciężkie, ciepłe opary, pod olbrzymimi liśćmi paproci chowały się grzyby. Tu i tam leżały butwiejące pnie drzew, ponad nimi zielenił się wilgotny mech, a w cierpki zapach posłonków wmieszała się też woń pleśni i rozkładu. Wiewiórki, prychając, biegały po pniach. Z mulistej kałuży, gderając, podniósł się dzik i odszedł dalej w gęstwinę, gniewnie pochrzając.

Dziewczynka tylko tak szła i szła. Wreszcie tam gdzie iglaki nieco się przeredziły, ukazując brzeg okolony trawą, pełną niezapominajek, dziewczynka zatrzymała się. Spod drzew, klapiąc, poderwał się głuszec. Chwilę patrzyła w ślad za nim, postawiła kosz na wystającym z wody płaskim kamieniu i powoli się rozebrała.

Nastała już noc – jasna, księżycowa – kiedy obarczona dwunastoma koszami dziewczynka zeszła do wsi. Ciężyły jej te kosze, zwłaszcza dwa z nich, które wypełniła rybami. Cicho szła pomiędzy domami. Okna były już ciemne.

Sześć koszy postawiła przed domem rodziny Mártona Sánty. Pięć pustych i jeden pełny. Nim pies ją zauważył i zaczął szczekać, poszła dalej. Rozszczekały się także psy sąsiadów, ale na Piperiku, u rodziny Józsupa, było cicho. Tam zostawiła resztę koszy. Oświetlony blaskiem księżycy dom rzucał cień na drugą stronę drogi. Było w tym domu coś strasznego, w tym, jak tam stał pośród nocnych cieni, samotny i niemy.

Biegiem zawróciła na drogę i ucieszyła się, gdy znów usłyszała potok. Szedł nim w dół chłodny wiatr i niósł z sobą zapach choin.

Za jej plecami we wsi powstał hałas. Psy szczekały jak oszalałe, ktoś śpiewał ochryplym głosem, pokrzykując. Potem słyhać było już tylko przekleństwa. Rzucał nimi pijany mężczyzna. Ktoś wracał pijany od strony karczmy, a psy w wiosce ujadły za nim.

Przystanąła. Słuchała tego głosu. Serce dziwnie jej biło.

Hałas szedł w górę. Śpiew, pokrzykiwanie, szczekanie. W końcu gwałtownie umilkł. Mógł być już gdzieś przy skrajnych chatach, wysoko. Tylko psy nadal szczekały.

Wreszcie ktoś przeklął ochryple:

– Co to jest? Jarmark tu robicie? He?!

Potem nastąpiła cisza. A za chwilę mężczyzna zawołał strasznym głosem:

– Kobieto! Tam do czorta z tą twoją łajdacką głową! Zabiję cię! Zabiję!

Trzasnęła brama, kopnięto nogą w drzwi, przekleństwa rozprysły się po nocy. Zawył pies.

– Zabiję ją! Ośmieszyła mnie przed całym światem! Przed dzieckiem! Zabiję ją!

Uderzały drzwi, trzeszczały deski. Księżyc umknął za chmurę. Otoczona ciemnym welonem nocy, z mocno bijącym sercem nasłuchiwała przez chwilę. Ponad potokiem krążyła sowa, bezgłośnie, miękko poruszając skrzydłami. Niekiedy te skrzydła uderzały o siebie.

Dziewczynka odwróciła się i poczęła biec. Biegła i biegła. Nie słyszała nic, tylko potok. I las idący jej naprzeciw. Znowy wyjrzał księżyc. Drzewa były upiornie wydłużone. Biegła. Czoło pokrył jej pot, choć było chłodno i wręcz marzła. Potok, rozedrgany, niósł na swoim grzbiecie odbicie drobinek księżycy.

Ponad halą frunął kruk. Łopotał skrzydłami. Ze świerków na górze Istenszêke wiatr niósł żółtawozielone woale pyłków kwiatowych po całej hali. Na tych woalach mieniły się gorące promienie południowego słońca, wyzwalając usypiającą woń choin.

W górze, wzdłuż Urszu, którędy podążała dziewczynka, kwitły jeżyny. W nagim jarze wiatrołomu, ponad źródłami, stał kozioł. W zieleni jeżyn i malin zdawał się spokojną, rudobrazową plamą. Na czubkach jego rogów bielą błysnęło światło, gdy odwracał głowę w kierunku dziewczynki.

– U mnie mieszka twój syn! – odezwała się do niego.

Głos dźwięcznie przepłynął przez cały jar, rogacz na moment zastygł w bezruchu, po czym wskoczył w maliniak, pobekując.

Machała pustym koszem na ramieniu i wesoło, odważnie podążała wyżej ku połoninie. W górze zatrzymała się. Słuchała lasu. Głęboko w dole szumiały wody potoku Galonya, ale jego odgłosy dochodziły tu wysoko, na połoninę, jedynie w strzępkach. Na szczytach trwała w uspieniu piękna, łagodna cisza. Z niejednego grzbietu powolnymi obłokami spływały świerkowe pyłki, zielone plecy iglaków lśniły w południowym słońcu. Gdzieś w oddali postukiwał dźwięcioł. Góry, skaliste szczyty, porośnięte lasem grzbiety, stały wokoło w pofałdowanym bezruchu, jakby uśmiechając się. Bładoniebieski Pietrosz, a dalej ciężkim blokiem Góry Kelimeńskie i do tamtego miejsca nic, tylko skały i fale, potoki i grzbiety. Z morza lasu gdzieniegdzie wychylały się hale, bladezielone wyspy na ciemnozielonym oceanie, i w krystalicznie czystym powietrzu zdawały się leżeć ledwie na odległość krzyku. Dziewczynka miała ochotę zawołać coś do nich, do tych wesołych polan, i zaczekać, aż grzbietami, poprzez lasy i potoki, nadejdzie z tamtej strony odpowiedź.

Pięknie było tam wysoko.

– Ile potrzeba dni, żeby przemierzyć wszystko to, co widzę? – zapytała samą siebie i zaczęła liczyć: – Do tamtej polany jeden dzień... Przez nią dalej na grzbiet drugi dzień... ten szczyt, o tam, trzeci, czwarty... i jeszcze dalej aż poza niego, i dalej poza tamten... i nigdzie nie mieszka człowiek, nigdzie... jak dobrze!

Budziło się w niej łagodne i uspokajające uczucie, ponieważ dokąd tylko sięgała wzrokiem, w odległości, do przebycia której potrzeba wiele dni, nigdzie, ale to nigdzie, nie ma domów i nie ma ludzi. Tylko jelenie i niedźwiedzie. Sarny i kuny. Dźwięcioły, wiewiórki, buki, świerki, kwiaty, potoki... I jest z nimi wszystkimi, ponad nimi, wewnątrz nich, wszystkie je do siebie tuląc, jakaś wielka błękitna Tajemniczość, taka jak niebo, co łączy szczyty i górskie grzbiety... która nie ma imienia, bo mieć go nie może... Skądś dochodził wiatr. Wysoko na Tronie Bożym zaszumiały świerki i żółtym obłokiem wbiły się z nich pyłki kwiatów. Ten wiatr przyniósł skądś dźwięk dzwonek owiec.

Od tego odgłosu przeszedł ją dreszcz. Wzdrygnęła się. Nasłuchiwała.

Dzwonki odezwały się tam dalej, od strony hal na przeciwległej połoninie. W końcu dojrzała i owce. Wiele bardzo drobnych, zbiegających się białych plamek, gęsto zbitych tu i tam pośrodku olbrzymiej polany. Coś się przy nich ruszało. Człowiek wielkości owada.

I już szedł głos z tamtej drugiej strony:

– Hu huuuu! Huuuu! I zaszczekał pies.

A więc to tam jest Ulmu – pomyślała i ruszyła w dół, w dolinę potoku Galonya.

Także ten potok był ładny. Rozgałęziony. Otwierały się tam szerokie jary, porośnięte malinami, jeżynami. Podrywały się sarny, gdy podążała w dół tropem zwierzyny. I pędem odbiegło jakieś większe zwierzę, hałaśliwie poruszając się w maliniaku wiatrołomu. Mogła to być sarna. A może niedźwiedź.

Spociała się, nim dotarła na dół. Woda migotała zachęcającym chłodem, mimo to nie uciekła do niej od razu, tak jak dawniej. Najpierw rozejrzała się wokoło. Był tam tylko potok i drzewa. Motyle o pstrokatych skrzydłach, kilka wazek i gorzko pachnące kwitnące posłonki. Dalej na kamieniu siedział pluszcz, czatując w bezruchu. Potok z wirującym hałasem przemykał wokół kamienia, obejmując go wraz z pluszczem, i biegł dalej w pełen paproci, ciemnozielony mrok. Kiwały główkami posłonki na brzegu potoku. Nic nie mąciło ciszy. I nigdzie nawet śladu człowieka.

Po kąpieli poszukała nasłonecznionego, głębszego miejsca. Grzało się tam kilka większych ryb. Udało jej się złapać tylko jedną, pozostałe przestraszyły się. Poszukała innego miejsca. Szła powoli, bo nie знаła potoku. Było dobrze po południu i cienie przechyliły się nad potok, kiedy wreszcie zapełnił się kosz. Wówczas ruszyła w górę, w kierunku Ulmu.

Posuwała się powoli. I koszyk był ciężki, i zbocze strome. Tak w połowie góry znalazła szerszy, sarni trop, ale trop ten nie szedł prosto w górę, lecz zakosami, jak chadzają sarny. Musiało więc minąć trochę czasu, zanim dotarła wysoko na połoninę, ale wyszła nie na polanę, jak liczyła, lecz na płaską bukową drągowinę.

Wszędzie pełno było owczych śladów. Mocno wydeptane ścieżki prowadziły we wszystkie strony. Instynktownie poczuła, że powinna skręcić w lewo, i rzeczywiście wkrótce drzewa poczęły rzednąć. Dalej stały już tylko całkiem wysokie buki, a za nimi rozwarł się las i jej oczom ukazała się wielka hala.

Z początku niczego nie zobaczyła. Dopiero gdy weszła wyżej, na wzniesienie połoniny, i stamtąd rozejrzała się wokoło, dostrzegła styń. Stała ona tam niżej przy końcu polany, w odległości kilkuset kroków. Woda ze źródła ściekała w dół wydrążonymi pniami drzew, spory kawałek. Były tam nawet dwie zagrody, oddalone od siebie. Pomiędzy nimi szłas oraz jednospadowy daszek o dużej, szerokiej połaci, dla licznych juhasów. Przy zagrodach leżały psy.

Ledwie zrobiła kilka kroków, zauważyły ją. Poderwały się z miejsca, dziko ujadając. Ktoś wyszedł zza szałas i zawołał na nie:

– Cicho, ej! Ciii!

Psy umilkły. Człowiek z ciekawością przyglądał się nadchodzącej. Potem powiedział coś w kierunku szałas.

– Szczęść Boże! – dziewczynka przywitała się grzecznie, gdy tam dotarła.

Człowiek skinął głową. Był to wysmukły młodzieniec o ogorzalej twarzy, którą zaczynał porastać ciemny meszek brody i wąsów. Miał na sobie czystą koszulę, kierpcę z rzemykami zawiązanymi do kolan.

– Najlepszego!

– Przyniosłam ryb – rzekła dziewczynka i pokazała kosz. Młodzieniec zajrzał do środka i gwizdnął:

– Oj joj! A gdzie ty ich tyle nałapałaś?

– Na wierzchołkach drzew – odparła i roześmiała się. Młodzieniec też się roześmiał.

– Język to ty masz, jak widzę. No a czyja ty jesteś i skąd przychodzisz?

– Jestem lasu i od niego przychodzę!

– No nie...! Sama?

– Jak to sama! – dziewczynka zaśmiała się dźwięcznie. – Jest nas więcej!

I pokazała na ryby.

Wtedy z szałas wyszedł stary. Spojrzał na dziecko i skinął głową.

– Ano znalazłaś nas, prawda? – rzekł i nie czekając na odpowiedź, rzucił do młodzieńca: – Biegnij, Nátu, przynieś w cebrzyku wody! – Następnie zwrócił się znów do dziewczynki: – Jak odpoczniesz, możesz je sprawić i nawet upiec, jeśli znasz się na tym.

– Znać się znam – odpowiedziała wprost – ale kiedy dotrę do domu?

– Jutro – spokojnie odparł stary. Dziewczynka pokręciła głową.

– Nie mogę – odrzekła z powagą – jest i obowiązek.

– Ciekawe jaki? – stary spojrział na nią i się uśmiechnął.

– Ano owieczki i kozy, i kury! – dziewczynka patrzyła nań z urazą.

Stary raz jeszcze się uśmiechnął i tak oto jej się przyglądał.

– Dadzą sobie radę i bez ciebie. To długa droga, tam i z powrotem. I jest już późne popołudnie.

Dziewczynka z przestachem podniosła wzrok ku słońcu.

– Akurat, żeby lis zabrał mi kury! A wilk owieczki! Jeszcze czego!

Młodzieniec tymczasem nabrał wody i wrócił z pełnym cebrzykiem. Wrzucili doń ryby i dziewczynka natychmiast zaczęła się zbierać do odejścia.

– Czekaj, czekaj! – zawołał stary Sándru. – Skoro już za wszelką cenę chcesz iść, to niechże ci zapłacę!

W czystych oczach dziecka pojawiło się zaskoczenie.

– Jak to – zdziwiła się Nuca – przecież dostałam już z góry! Tamtą kaszę!
A ryb przyniosę jeszcze i więcej... jutro albo pojutrze.

Stary popatrzył na nią w zamyśleniu.

– Uczciwa jesteś, to widzę. I tak należy, dziecko. Mimo wszystko poczekaj, dostaniesz ser.

Wszedł do środka i wyniósł piękny, opasły krążek sera. Tuszcz aż mu lśnił na skórce.

– Daj no tu kosz – rzekł – włożę doń i owczego twarogu. Żebyś skosztowała – dorzucił, kiedy znów wyszedł – ale jeśli naprawdę chcesz iść, to teraz już zmykaj, bo zmrok zastanie cię w drodze.

– Żebym za dnia dotarła tylko do tej połoniny naprzeciwko! Stamtąd już znam drogę.

Stary zawołał młodzieńca:

– Słuchaj, Nátu! Pokaż dziewczynce to przejście na Istenszéke. Nawet jeśli jest dłuższe, aniżeli ścieżka z biegiem potoku, to i tak szybciej powiedzie do domu. No idźcie!

– Niech wam Bóg błogosławi! – pożegnała się dziewczynka. – Dziękuję za ser. Przyjdę znowu.

Stary skinął głową bez słowa i długo za nią patrzył.

Nátu, ów młodzieniec, przemierzał połoninę długimi krokami, z kijem w ręce, a za nim pies. Dziewczynka ciągnęła obok niego, zwawo przebijając nogami. Kiedy dotarli wysoko na krawędź górskiego grzbietu, skąd widać już było Tron Boży, a i koryto potoku Galonya, młodzieniec pokazał kijem w prawo, mówiąc:

– Pójdziemy w tamtą stronę.

Przecieli buczynę. Po pewnym czasie kolejną polanę. Potem była choina. Gładko wydeptana droga wytyczała szlak kierdela. W choinie napotkali jedno z idących z naprzeciwka stad. Z powolnym odgłosem dzwonek owce ciągnęły do domu, jedna śladem drugiej. Było z nimi kilka psów. A z tyłu wolno podążało dwóch ciemnowłosych młodzieńców o zarośniętych twarzach. Jak Nátu, dokładnie takich samych.

Zamienili kilka słów.

– Poszedłeś aż pod Bradulec?

– Utknęliśmy nieopodal Cégér. Hałą przechodził przed nami niedźwiedź i owce się rozbiegły.

– Miał kołnierz?

– Nie. Był mniejszy. Taki tam mrówkojad.

– No, powodzenia!

– Powodzenia, bracie! A dokąd to?

– Tylko do Cégér. Pokazać drogę tej dziewczynce.

Po czym poszli dalej. Aż do tej pory nie odzywali się do siebie. Teraz, gdy przeszło stado, a i owcze dzwonki wchłonął las, dziecko spytało:

– Zawsze tak daleko idziecie z owcami?

– Dużo ich jest – odrzekł młodzieniec z dumą.

– Ile?

– Tysiąc dwieście pięćdziesiąt.

– Ojej! A czyj jest ten ogrom? Młodzieniec skłonił głowę i roześmiał się.

– Nasz!

– Ja mam dopiero sześć owieczek – po pewnym czasie rzekła cicho dziewczynka – ale są ładne. I mam też dwie kozy z trzema kozłętami. I jeszcze małe sarnię!

– To twój ojciec złapał sarnię? Twarz dziewczynki spoważniała.

– Nie – odparła – mojego ojca nie ma w domu.

– A gdzie jest?

Jej ręka niepewnie uniosła się w kierunku zachodzącego słońca.

– Gdzieś tam, w mieście. Trzymają go zamkniętego... Młodzieniec ledwo zauważalnie rzucił okiem na dziewczynkę.

To spojrzenie było poważne, wręcz współczujące.

– Jesteś z matką?

Dziewczynka patrzyła na drogę.

– Nie mam matki. Sama jestem.

Młodzieniec teraz już całkiem odwrócił się ku niej. Na jego twarzy zagościło zdziwienie.

– Zupełnie sama?

– Tak. To znaczy... są tam owieczki i kozy, i sarnię...

– Ale sąsiedzi to jakoś ci pomagają?

– Nie ma sąsiadów.

– To gdzie ty, u licha, mieszkasz?

– Nad Urszu.

– Nad Urszu?

– Yhm.

W tym momencie dotarli wreszcie do hali Cégér. Słońce świeciło już od strony Görgény, rozkładało głębokie cienie choin na murawie. Wieczór migotał brązowo i ciepło, ale z dołu wiatr niósł już chłodne opary.

Młodzieniec zatrzymał się. Położył swą wielką, brązową rękę na ramieniu dziewczynki, a jego twarz była samym ciepłem.

– Słuchaj... a czy ty przynajmniej masz psa? Nuca pokręciła przecząco głową.

– Nie mam.

– Czekaj no – odrzekł i uśmiechnął się – u nas w tamtym tygodniu

oszczeniła się jedna suka. Jak szczenięta oddzielać będziemy od matki, to jedno dostaniesz. Dobrze?

– Bardzo dobrze – dziewczynka podniosła wzrok z wdzięcznością i miłością, po czym cicho dorzuciła: – Jacy wy jesteście dla mnie dobrzy.

Młodzieniec zaśmiał się w sposób wymuszony i dziwnie głośno.

– Czemu? Bo dajemy ci sera za ryby? Albo dlatego, że możesz wziąć od nas szczenię, które inaczej cisnęlibyśmy do potoku?

Jednak dziewczynka czuła, że coś tu niezupełnie się zgadza i że wie o tym także ten młodzieniec.

Przeszli przez halę. W jej przeciwnym końcu młodzieniec zatrzymał się.

– No – powiedział – stąd to już i sama trafisz do Urszu. Tam na lewo wiesz ślad, widzisz? Prowadzi prosto na Istenszékę. Nigdzie nie skręcaj w prawo, bo wtedy dojdiesz na Bradulec, rozumiesz?

– Rozumiem.

Tron Boży był już tam przed nimi, w górze, całkiem blisko. Żegnające się słońce właśnie wykuwało mu dookoła koronę z miedzi.

– Jak masz na imię, dziewczynko? – spytał ciepło młodzieniec.

– Nuca.

– Ano niech ci Bóg dopomoże, Nuca!

– Niech i tobie Bóg dopomoże, Nátu!

Po czym jedno zagłębiło się w las, ciągle idąc śladem krętego owczego płaju, drugie zaś powoli i w zamyśleniu poszło z powrotem przez halę. Z kijem w ręce, a z tyłu pies.

Był już środek lata. Małe sarnię zostawiło kozę i chodziło samo, czasami tylko powracając do kozłat, żeby się pobawić. Wówczas biegało, dysząc, wokół buków, w dół ku potokowi i z powrotem do domu. Najchętniej jednak odchodziło sobie na bok pomiędzy poczochrane choiny, dokąd nie szły za nim ani kozy, ani owieczki, leżało tam i z nogami podciągniętymi pod siebie obserwowało ruch przy domu.

Ale jeśli wyszła Nuca, stanęła przed drzwiami i odezwała się sarnim głosem, podskakiwało ze swojego miejsca i przybiegało do niej. Bardzo lubiło soloną mamałygę. Po nią wchodziło nawet do domu, jeśli trzeba było, mimo że bało się dymu z pieca i mroku, który mieszkał pod sufitem z belek.

Ale do potoku chętnie jej towarzyszyło. A kiedy przechodziła przez kładkę, i tam ostrożnie szło jej śladem. Sarniátko było mądrzejsze i zręczniejsze od kóz czy owieczek. Jeśli dziewczynka, z koszem na ramieniu, szykowała się na Ulmu, musiała przed nim uciekać. Obawiała się o nie z powodu psów, nie miała odwagi, by zabrać je z sobą.

A przecież droga często wiodła ją na Ulmu. Nie chodziła już więcej do wsi, czuła strach i wstręt do ludzi, którzy mieszkali tam w dole. Ze wsi też nikt nie przychodził do niej na górę. Nie pokazywał się ani Márton, ani Jószup. I dobrze tak było, że się nie pokazywali.

Jeśli czegoś potrzebowała, jeszcze przed wschodem słońca brała kosz, napełniała go rybami i szła na Ulmu. Nim nastąpiło południe, gościli ją stary i jego synowie, żartowali z nią też juhasi, już nawet i psy nie szczekały, gdy nadchodziła. Wszystkich młodzieńców знаła z imienia. Synów Sándru: Kirilę, Tódera, Simiona, Alexa i Nátu. I wszystkich sześciu najętych juhasów. Wiedziała, gdzie pasą się owce mleczne, a gdzie jałowe wraz z trykami. Któremu stadu kto zwykle towarzyszy. Znała też imiona koni, które, spętane, pasły się tam, na hali, i znała też ich zwyczaje. I wiedziała, na którego kiedy wypada kolej, żeby powieźć na dół ser, a przywieźć kaszę i resztę.

Zwykle jakiś czas posiedziała sobie przed styną, zjadła tamtejszej mamałygi, napiła się tamtejszej żentycy i słuchała odgłosu owczych dzwonek, jak cichym kołysaniem usypiały ciszę i czas. Wreszcie późnym popołudniem, kiedy cienie góry poczynały się oddalać, chwytła kosz, zegnała się ze wszystkimi i szła do domu nad Urszu. Oporządzić owce, kozy i zamknąć kury.

Pewnego wieczoru jednak tam została. Był to dziwny, złowróźbny wieczór. Już przed południem powietrze jakby przywarło do gór. Jakby zatrzymał się wszelki wiatr na całej ziemi. Słońce – wyjątkowo gorące – zeszło tak nisko, że swym ogniem niemal dotykało wierzchołków drzew. Krzaki malin zwróciły w kierunku nieba srebrzyste spody liści, a posłonki kłaniały się w omdleniu. Nic się nie poruszało. Ani ptak, ani zwierzę. Nawet wiewiórka. Nie było słychać i dzięcioła. W lesie zapanowała taka cisza, jakby drzewa pomarły.

Zwróciło to jej uwagę już przed południem, po drodze. Wysoko na połoninie panował taki sam milczący upał jak w dole przy potoku. Nic nie ruszało się na Istenszéke. Ziewała hala Cégér. I także Zsizsa. Nad Ulmu leniwie rozłożyły się cisza i skwar. Owce, zbite w gromadę, stały pod bukami i dyszały. Psy leżały z wyciągniętymi językami. Liście też ani drgnęły na drzewach. Dziwne to było.

Tak około południa – właśnie pod jednospadowym daszkiem zajadali łyżkami żentycę – pojawiła się nad skalnym szczytem Pietrosz niebiesko-czarna plama. Szybko rosła. Brunatnoczarne wielkie chmury tłoczyły się w górę na niebo także spoza Gór Kelimeńskich i Cserbükk i nim przyszło jej do głowy, że powinna pobiec do domu, już było słycać choiny na Bradulcu, jak tam po drugiej stronie jęczały na wietrze.

– Pójdę – powiedziała dziewczynka i poderwała się z ziemi. Jeden z juhasów pokręcił głową. Był to starszy, brodaty, doświadczony pomocnik.

– Nie można – rzekł – czasu nie minie ani tyle, co dwa dojenia, i na hali zjawi się diabeł.

– Ale co się stanie z owieczkami? I z kozami?

Przestrach wyczerał z jej dziecięcych oczu, gdy spoglądała na niebo, które przybrało się w perłową szarość.

– Bóg baczy i na człowieka – odezwał się ktoś.

Po czym kilku juhasów odeszło i przygoniło stado do zagrody. Dwóch zgarnęło konie i przywiązało je wszystkie pod dachem. Psy same już tam ściągnęły. Sándru wraz z dwoma starszymi synami sprawdził daszki. Tu i tam coś poprawili, kilkoma cięższymi kamieniami przycisnęli świerkowy łub. Wtedy już deszcz niemal wisiał w powietrzu. Chmury w pośpiechu parły naprzód po niebie. Grzmiało.

Wiatr znacznie przybrał na sile i w ciągu kilku chwil wszystko stało się czarne. Po całej hali buchał gorzki zapach dartego w strzępy listowia. Powietrze się ochłodziło. Drżało z zimna. Z traskiem stękały stojące na straży buki i wtedy już ogromne, ciężkie krople zabębniły w suchy dach.

Kiedy za ostatnią owcą zamknęła się bramka zagrody, ulewa już wściekle smagała świat. Jakby z każdej strony opadła ołowiana zasłona: znikły góry i nie było widać nic, tylko strugi wody lejące się z nieba i drzewa na skraju polany, mocujące się z wiatrem.

Jakby to jakieś niewidzialne szpony wczepiły się w ogień, tak rozprysły się wokoło rozżarzone węgielki.

– Zgaście go! – stary rzekł spokojnym głosem i na palenisko polała się woda aż z trzech wiader.

Jakby po grzbietach chmur toczono gązdy. Niekiedy ostre, białe światło błyskawicy rozdzierało na dwoje płaszcz ulewy, a potem świstał diabelski bicz. Góry drżały od jego uderzenia i jęcząc, krzyczał z bólu las. Za ścianą ulewy

słysząc było drzewa. Trzeszczały. Wiatr mocno zaciął gęstym deszczem pod dach.

– Nie jest ci zimno? – spytał Nátu, który leżał obok dziewczynki.

Ta potrząsnęła głową. Na jej włosach migotały tysiące diamentów, jakby wcześniej chodziła we mgle czy w szronie. Nikt się nie odzywał. Wszyscy obserwowali pogodę. Na ramionach zasiadł im zabobonny szacunek i nakazywał milczenie. Po hali przechadzał się diabeł. Palcami wyginał drzewa, a za nim szedł Anioł Pański z mieczem i niósł w swej dłoni los drzew, kwiatów i ludzi.

– Pan sądzi – rzekł Sándru szorstkim, starczym głosem, przyglądając się z obojętnym spokojem, jak ten, co wie, że prawo i porządek strzegą świata. Śmierci i życia, burzy i światła słońca. I nawet jedna nitka wełny nie zginie bez przyczyny i nie runie drzewo, póki nie nadejdzie na nie pora.

Nareszcie burza ustała. Już tylko tam, po drugiej stronie, na Istenszéke buczały świerki, a wóz szatana, tocząc się z łoskotem, coraz bardziej oddalał się po grzbietach górskiego łańcucha Görgény. Ulewa spowalniała. Już tylko gęsto, niemal bezgłośnie padał deszcz. Nad doliną rozwarła się zasłona, w wielkiej dali ukazały się góry, szare i przygarbione niczym pokutnicy, którym wymierzono penitencję. Załamane buki zwieszały swe porwane korony. Choiny były czarne i nieruchome, znosiły ten deszcz pogańsko wyprostowane. Jednak tam w górze chmury już się rozwiewały i łagodniała im barwa.

Nim pierwsze promienie słońca przemieły lasy, deszcz już prawie ustał. Kapały jedynie pojedyncze krople i były jakby zrobione ze złota. W kierunku Szalárd tęcza wystawiła most. Pod pocałunkiem słońca wyzwały się świeże, chłodne opary, w jarach poniżej sterczały pośród drzew strzępy chmur, które tam ugrzęzły, a spokojny wietrzyk niósł spłoszony huk potoków. Ale wtedy już cienie były długie i pod kapiącymi drzewami z ciemną mgłą skradał się wieczór.

Dziewczynka chciała ruszać. Wstała, wzięła kosz.

– Nigdzie nie idź – Sándru rzucił do niej z powagą. – Przy Zsizsy dogoni cię zmrok. W taką porę las jest mokry i ciemny. Nie ma nawet księżycy. Kto wie, gdzie powaliło drzewa. To nie jest dla dziecka.

– Ale owieczki i kozy?...

– Bramka zagrody była otwarta? – spytał jeden z juhasów.

– Tak.

– No to same do niej weszły.

– Ale jeśli...

W tym momencie gdzieś spomiędzy lasów poderwał się ostry, wywołujący ciarki na plecach, głośny śmiech. Jakby upiór zaśmiał się w głos, takie to było. Mężczyźni spojrzeli po sobie.

– Śmieje się szatan – rzekł zabobonnie któryś z młodszych. Stary przytaknął:

– Wielki kocur cieszy się z nocki. Wiele sarniątek płacze po jarach.

Raz jeszcze zaśmiał się w głos ten ryś, po czym nastąpiła cisza. Dziewczynka zadrżała i z powrotem usiadła na posłaniu z choiny. Ktoś rozpałił ogień. Trzaskał chrust, a na zewnątrz słychać było trawy, jak siorbiąc, popijały wodę z ulewy. Na szyi jakiegoś tryka odezwał się dzwonek, pobrzękując niskim tonem, spokojnie.

Na gorącym kamieniu upiekli po kolei ryby. Z mamałygi ugnietli kulki, nadziali je twarogiem i rzucili w ogień, żeby i one się przypiekły. Szybko zapadał zmrok. Słońcu nie stało czasu nawet na pożegnanie. Za góry porwało z sobą kilka spóźnionych chmur. Gęste opary lasów skrzepły w mgłę i osiadły na dolinach niczym zsiadłe mleko. Z buczyny wychynęły trzy brązowoczerwone sarny, zatrzymały się na skraju polany i szukały słońca, żeby osuszyć przemokniętą sierść. Ale słońca nigdzie już nie było. Na grzbiecie Cserbükk nocka rozłożyła swe wilgotne, ciemne skrzydła, podobna ptakowi szykującemu się, by sfrunąć do gniazda. Mglistoszary puch jego piór zakrył już Pietrosz.

W zagrodzie zakończono wieczorne dojenie. Przy sześciu okiennicach siedziało na niskich stołkach sześciu młodzieńców. Mleko syczało z owczych wymion i napełniało mgłę tłustym zapachem. Stary przygotowywał kłag. Przy ogniu pozostał Nátu i dziewczynka.

– Smutna jesteś – odezwał się młodzieniec po jakimś czasie. Oczy dziewczynki błędziły wysoko po Tronie Bożym, a były tak zamglone jak i sama góra.

– Owieczki – odrzekła cicho – i małe kozłeta. Co z nimi będzie? A z kurami? Bramka została otwarta, wszystko może tam wejść...

– Chadza tamtędy wilk?

– Ostatni raz widziałam go na wiosnę. Ale lisa to wiele razy, o świcie. I jest też żbik, no i tchórz.

– Żbik nie podchodzi pod dom. A i lis niechętnie... nie mógłby przecie wiedzieć, że akurat tej nocki bramka jest otwarta!

Potem więcej już nie rozmawiali o tym. Juhasi wnieśli skopki z mlekiem, załatwili też wszystko, co związane było z serem, a do tej pory już i popękała w ogniu skórka na mamałydze z twarogiem i upiekły się ryby. Młodzieńcy zeszli do koryt, umyli się i z odświętymi twarzami zebrali się na kolację. Zasiedli wokół ognia, każdy dostał w garść kulkę mamałygi i jedną upieczoną rybę. Stary Sándru siadł pośrodku, na niskiej ławce, złożył ręce, spuścił głowę i powiedział:

– Dziękujemy ci, Panie, za tę strawę, którą nam dałeś, i za to, że i dzisiaj nas strzegłeś. Nas oraz owiec. Amen.

Kto miał na głowie kapelusz, szybko go zdjął. Na sięgających ramion srebrzystych włosach starego Sándru odbijało się jasne światło ognia. Nareszcie zaczęli jeść, bez słowa.

Później spośród gęstych chust nieba zaiskrzyła też gwiazda. Słychać było wiatr przemierzający las. Świeżym batem porozbijał opary i naraz niebo dopełniło

się wszystkimi swoimi gwiazdami, jak dopełnia się księga, kiedy ją otworzyć.

Mężczyźni legli przy ogniu. Z wolna ruszyła pośród nich rozmowa, o owcach, o pastwiskach, o miejscach na przezimowanie, o lasach, o niedźwiedziach i o ludziach. Ten i ów przykrył się jeszcze kaftanem albo też wytrzepał kozuch i poprawił sobie legowisko z tyłu, przy ścianie z belek.

– Nie martw się, dziewczynko! – próbował ją rozweselić jeden z juhasów. – Lada dzień zabierzemy cię na tańce! To dopiero będzie!

– Boi się o swoje owieczki – łagodnie tłumaczył inny. – Sama mieszka, biedaczka, nad Urszu i nie ma nikogo, kto zamknąłby na noc te zwierzęta.

Po pewnym czasie Nátu wstał ze swego miejsca przy ogniu i wyszedł. Ale zabrał też kij oparty o słup, a i kapelusz wcisnął sobie na głowę. Wszyscy popatrzyli za nim, jednak nikt się nie odezwał. Słyszeli jeszcze, jak na zewnątrz w ciemności gwizdnął na swojego psa.

Stary w bezruchu siedział na ławce. Patrzył ponad ogniem w ciemność, mocno się czemuś przyglądał. Pozostali rozmawiali szeptem. Któryś podszedł do dziewczynki, położył jej rękę na ramieniu i wskazał na kąt.

– Jest tam kozuch, możesz się w nim przespać.

– Dobrze – odpowiedziała i posłusznie położyła się obok kozucha. Jodłowe pędy musiały być niedawno zerwane, bo miały jeszcze świeży zapach i przyjemnie miękko było na nich leżeć.

Pasterze pozostali jeszcze przy ogniu. Cisza rozkwitała pośród nich powolną rozmową. Od strony zagrody dochodziło czasem kasznięcie to jednej, to drugiej owcy, niekiedy zaszczekał pies. Gdy milkli, można było usłyszeć źródło, jak ciekło tam w dole.

Dziewczynka patrzyła na ciemnowłosych mężczyzn o niskich głosach i powoli jej powieki robiły się ociężałe. Za plecami ludzi iskrzył ogień, a poza nim w ciemność czarną jak smoła wtopiły się dalekie cienie drzew. Na niebie migotała samotna maleńka gwiazdka, a i ona czasem zniknęła, po czym znów się tam pojawiała. Jakby ktoś z bardzo, bardzo daleka to właśnie jej strzegł tu, pod dachem koliby na Ulmu i na moment przymykał niekiedy oko.

Gdzież się podział Nátu? – na koniec pojawiło się pytanie, po czym delikatnym, miękkim uściskiem objął ją sen.

Świtało, kiedy się obudziła. Świat pływał we mgle, nie było widać ani nieba, ani lasu. Wysoko nie było już ani jednej gwiazdy, mrok ustępował jasności poranka. Było bardzo chłodno. A przed kolibą zroszona trawa bieliła się, jakby przykrył ją szron.

Na palenisku z trzaskiem płonęły już polana i ktoś powiesił też kocioł na ozwodnicy. Pod daszkiem opustoszało, tylko rozgrzebane kozuchy i wyleżane posłania wskazywały, że niedawno spali tam ludzie.

Dziewczynka wyszła spod przyjemnie ciepłego kozucha i przysunęła się do

ognia. W kotle zaczęła wrzeć woda. Wiatr dmuchał w ogień, a wtedy mgła poczęła śpiesznie opadać. Powoli, z trudem nad kolibą przecierało się niebo, zapowiadając słońce.

Dziewczynka wyjrzała na zewnątrz. Stado poilo się przy korytach; owce były wielkie, białe i tłuste w tej mgle. Dalej siedział biały pies i strzygąc uszami, nasłuchiwał, co dzieje się w dole. Drugie stado pasło się gdzieś dalej, na górnym skraju hali. Słysząc było tylko dzwonki. W dole, w okolicy potoku Ulmu, podnosiła alarm sarna.

Od strony koryt szedł w górę we mgle jakiś człowiek. Był to Sándru, ten stary. Miał na sobie czystą koszulę z rękawami podwiniętymi do łokci. W ręce trzymał chustę. Na włosach osiadły mu kropelki mgły. Kiedy podszedł do ognia, biła od niego rzeźkość, jaką rankiem daje człowiekowi źródłana woda.

– Ranek się przeciera – rzekł, wskazując na niebo. – No jak ci się spało?

– Dziękuję, dobrze – odpowiedziała. – Tylko czy owieczki...

– Bóg nigdy nie zasypia – rzekł stary z powagą i powiesił chustę na słupie, żeby wyschła. Potem wyniósł z szałasów worek i wsypał do kotła kaszy kukurydzianej.

Dziewczynka podniosła się znad ognia. Poprawiła sobie chustkę na głowie.

– Pójdę ja.

– Czekaj – odezwał się do niej stary – wpierw coś zjedz! Jagniętom już i tak wszystko jedno.

Tymczasem opadła mgła i rozwarła się hala. Widać było las i całe góry. Niebo było niebieskie i czyste, jak pokryty rosą kwiat dzwonka, a słońce siedziało na szczycie Gór Kelimeńskich niczym ogromne, żarzące się koło i walczyło z mgłą, rozpalone do czerwoności. Na potoku grubą warstwą osiadło mleko poranka.

Stado, pasąc się, powoli nadchodziło z góry. Przed nim szedł jakiś człowiek z kijem. Poznała go z daleka: to był Nátu. Podszedł wprost do ognia. W kierpcach chlupotała mu woda. Oparł kij o ścianę z belek i usiadł.

– Gdzie byłeś? – zapytała dziewczynka.

– Poszedłem ze stadem – odrzekł młodzieniec i uśmiechnął się.

Stary wziął drąg i zamieszał mamałygę. Następnie zdjął kocioł z ognia. Tymczasem stado już doszło i teraz biegiem ruszyło ku korytom. Właśnie odganiano stamtąd drugie stado. Młodzieńcy wołali, wydłużając okrzyki, a kije z warkotem latały za owcami, które zapuściły się gdzieś w bok.

Stary rozdzielał mamałygę. Młodzieńcy po kolei podchodzili, brali ją w garść, próbowali, następnie wyjmowali ze swoich worków czyste ścierki i zawijali w nie mamałygę. Do worka wędrowało też po kawałku sera. Kiedy ostatni z młodzieńców wziął swój przydział, stado jałowych owiec ruszyło na Bradulec.

– Dużo drzew powaliło powyżej Zsizsy! – zawołał za nimi Nátu. – Droga na Cégér jest zatarasowana! Zabierzcie siekiery!

Dwóch wróciło po siekiery. Stary spojrzął na syna.

– Do Zsizsy droga jest wolna?

– Do tamtego miejsca tak. Pod Cégér chodziły wieczorem wilki. Złapały sarnę.

W oczach starca pojawiła się troska.

– Pewny jesteś?

– Słyszałem sarnę, jak lamentowała. A pies dawał znak, że to wilki.

– Musiały podejść w górę znad potoku Halas.

– Możliwe.

Tymczasem słońce wyswobodziło się z mgły i zajęło swoje miejsce na niebie. Świeży blask jego promieni rozsypał się po lasach. Trawa na hali migotała tak, jakbynocką oprószono ją drobno tłuczonym szkłem.

Mleczne owce przegoniono od koryt do zagrody. Rozpoczęło się poranne dojenie. Nuca wzięła kosz i pożegnała się.

– Ano niech Bóg wam błogosławi, dziękuję za nocną kwaterę!

– Kwatera należy do Pana – odparł stary – tylko żebyśmy ciebie znów jeszcze zobaczyli! Ryb, grzybów, owoców możesz przynieść kiedykolwiek, rozumiesz?

– Rozumiem – skinęła dziewczynka. – Niech wam Bóg błogosławi! Z Panem Bogiem, Nátu! – zawołała w kierunku zagrody.

– Z Panem Bogiem, Nuca! – przysłała odpowiedź.

Wesoło uśmiechały się lasy w lśniącym poranku. Mgła kryła się coraz niżej, tu i tam drzewa wydychały małe lekkie opary, które w mgnieniu oka wsysało w siebie niebo. Z buków jeszcze skapywała woda. Na ziemi w nieładzie leżały połamane gałęzie, powietrze wypełniał zapach więdnącego listowia. Gdzieś tam błyszczał szarobiały spód podartych krzaków malin.

Stado pasło się na hali Zsizsa. Strzegło go kilka psów. Siekiery młodzieńców słychać było głębiej w lesie. Choiny, powalone jedna na drugą, zatarasowały tam drogę.

– Pohulał sobie diabeł! – odezwał się do niej jeden z młodzieńców, ocierając spocone czoło. – Z trudem otworzymy drogę do południa. I nawet jeszcze i wtedy gałęzie wyrwą dużo wełny, zanim to wszystko zdołamy stąd przenieść...!

Któryś z psów począł ujadać i z najeżoną sierścią węszył w dół, w kierunku potoku Galonya. Naraz dołączyły doń wszystkie psy. Las wypełniło wycie, szczekanie.

Młodzieńcy opuścili siekiery i obserwowali psy.

– Zwęszyły niedźwiedzia – powiedział jeden.

– Bardzo się zjeżyły, to będą wilki – osądził inny. – Miał rację Nátu,

wypędziła je pogoda znad potoku Halas.

Dziewczynce przypomniały się owieczki i w pośpiechu poszła dalej. Miejscami przeprawiała się przez zwalone drzewa. Od czasu do czasu omijała je, przebijając się przez zarośla. Pomiędzy halą Cégér a górą Istenszéke musiała poczekać, aż niedźwiedzica z dwoma niedźwiadkami nieśpiesznie przemierzy jar ze źródłem i zniknie w choinach Bradulca.

Na polanie na Istenszéke pasły się łanie. Było z nimi też kilka cieląt i jeden młody byk. W górnym jarze Urszu poczochny, wielki odyniec rył rozmiękłą trawę. Niżej, na skraju wiatrołomu, pachniały poziomki. Nie mogła się powstrzymać, żeby nie zebrać kilka garści. Miały smak świeży niczym letni poranek.

I tak oto słońce było już niemal na miejscu południowego spoczynku, gdy przeprawiwszy się po kładce, przybiegła na górę do domu. W podnieceniu wędrowała oczami po polanie i pod drzewami. Lecz nigdzie nie widziała owieczek. Ani kóz. Kury grzebały przed domem i był tam z nimi także kogut. Miotła stała na swoim miejscu, oparta o drzwi. Ale owieczek i kóz nigdzie nie było.

Serce poczęło bić jej w przestkach. Stała i poczęła nawoływać:

– Baś! Baś cig! Cig!

Pomiędzy jodłami powstało jakieś ciche poruszenie i wyskoczyło małe sarnię. Zbliżyło się dużymi skokami, cicho popłakując. Szturchnęło noskiem kosz i kolano dziewczynki. Prosiło o mamałygę z solą.

– Baś! Baś! Cig! Cig! – dziewczynka zawołała w rozpaczy. Naraz wpadło jej w ucho ciche meczenie. Nasłuchiwała. Głos szedł od strony zagrody. Wtedy zauważyła, że bramka zagrody jest zamknięta.

Pobiegła do niej. To tam były i kozy, i kozłeta, i owieczki, ani jednej nie brakowało. Stały wewnątrz zagrody, skupiwszy się przed bramką, i głodnymi oczami wyglądały zza ogrodzenia. Bramka była zamknięta, drewniana zasuwka założona, jakby to ona sama zamknęła ją wieczorem.

Z lekkim zdziwieniem otworzyła bramkę. Zwierzęta, szturchając się nawzajem, przepchnęły się na zewnątrz, a następnie popędziły w dół ku wodzie. Dziewczynka w zamyśleniu patrzyła za nimi. Któż mógł je zamknąć? Może Márton? Albo Józsup?

Nagle coś przykuło jej wzrok. Przed zagrodą, w błocie widać było ślady kierpców. Ona sama była bosa, a więc te ślady nie mogły od niej pochodzić. Zresztą to były duże, szerokie kierpce. Z rowkowaną podeszwą, jakie noszą mieszkający w górach strażnicy leśni, którzy chodzą w nich po skałach. Albo też juhasi, tam wysoko na Ulmu.

I wtedy coś jej się przypomniało. Skąd Nátu mógł wiedzieć, że pomiędzy Zsizsą a Cégér wiatr powalił drzewa? I że pod Cégér wilki złapały sarnę?

Naraz oblało ją jakieś przyjemne, przepelnione znużeniem ciepło. Podniosła

wzrok na Tron Boży i wiedziała, że poza nim jest Ulmu. Kiedy wchodziła do domu, cicho nuciła. Tylko odstawiła kosz i zaraz zbiegła do potoku i wykąpała się. Pływała w zacisznym zakątku nieopodal kaskady, chlapała się, pluskała rękami i nogami w dobrze chłodnej wodzie, zaśmiewając się przy tym w głos. Potem wyszła z wody i usiadła na skale, żeby się wysuszyć. Długo tam siedziała, z nogami zwieszonymi do potoku, i w zamyśleniu przyglądała się mknącej wodzie.

Mała, lekka ważka przyfrunęła na jej udo. Z wahaniem podreptała trochę po skórze miękkiej jak atlas, po czym już tylko stała, sennie opuściwszy skrzydła, i też grzała się w słońcu.

Był to czas dojrzewania poziomek. W tamtym roku szczególnie dużo rodziło się ich nad Urszu. Któregoś przedpołudnia z łatwością zapełniła kosz, i to tylko w samym najniższym jarze.

Słońce stało już całkiem wysoko, kiedy ruszyła z pełnym koszem; po drodze jadła do woli, ale nim wróciła do domu, cień pokazywał dopiero południe.

Poziomki przykryła wielkimi liśćmi barszczu – niedźwiedziej sałaty, postawiła w cieniu, załatwiła co trzeba wokół domu, nakarmiła kury, zebrała jaja z gniazd, dwa z nich od razu ugotowała i zjadła na obiad. Potem wyjęła siekierkę i nacięła wiązkę młodego listowia topoli, zaniósła do zagrody, do tego narwała jeszcze kosz trawy, a pod daszkiem dla zwierząt postawiła wodę w dzieźce. Następnie połapała kury, zamknęła je w klatce i nasypała im do środka ziarna. Pozostałe zwierzęta zagoniła do zagrody i starannie zaparła za nimi bramkę. Zamknęła też drzwi do chaty, oparła o nie brzożową miotłę, po czym złapała kosz z poziomkami i ruszyła w górę wzdłuż Urszu.

Wysoko, nieopodal źródeł, ganiały się sarny. Kiedy przystanąła i popatrzyła za nimi, dostrzegła małą pierwiosnkę. Akurat musiała rozkwitnąć. W jej ognistoczerwonych dzwonach widać było pokryty parą meszek młodości. Na smukłej łodydze wyrastała spośród płożącej się wierzby jak delikatna, kapryśna ruszałeczka.

Dziewczynka podeszła do niej i długo jej się przyglądała. Potem ostrożnie ją zerwała i włożyła do kosza z poziomkami.

Nim pozostawiła za sobą Tron Boży, słońce zakotwiczyło już ponad Görgény. Hala Cégér była jeszcze złocistobrazowa, ale na Zsizsy, kiedy nią przechodziła, pasł się już tylko wieczór, szary i osamotniony. W buczynie postukiwał szablami dzik. Między drzewami było już ciemno.

Przy stynie palił się ogień i tego wieczoru wysoko bił jego płomień. Akurat przyniesiono na górę gielety, bo właśnie zakończono dojenie. Przy ogniu ludzie poruszali się w milczeniu.

– Szczęść Boże! – przywitała się dziewczynka.

– Szczęść Boże – odpowiedziało kilku.

– Przyniosłam wam poziomki – powiedziała, z dumą pokazując kosz.

– Zręczna z ciebie dziewczynka – rzekł Kirilla, najstarszy z chłopców, i położył dłoń na główce dziecka. – Postaw tam z boku i chodź, siadaj! Zaraz będziemy jeść.

Jego słowa padły cicho i z wielką powagą. I nikt nie żartował ani się nie śmiał. Dziewczynka rozejrzała się uważnie. Coś wisiało pomiędzy ludźmi.

I wówczas zobaczyła obcego. Siedział tam na miejscu starego, na ławce. Miał na sobie pańską gunię, oblicze wygolone, włosy starannie zaczesane, jak u panów. Patrzył w ogień, jakby nikim się nie interesował.

Lecz jedynie w pierwszej chwili wydał się obcy. Potem go poznała i raptem wyrwało się jej ze zdziwienia:

– No proszę, proszę! To przecież jesteś ty, co obiecałeś mi kiedyś wiewiórkę!

Nawet i sama przestraszyła się, jak tak wyrwało jej się to z ust. Zaczerwieniła się. Młodzieńcy spojrzeli na nią i był taki, co się uśmiechnął. Także obcy podniósł głowę, przyglądał się jej przez chwilę, po czym roześmiał się.

– To prawda, no tak, to ty! A i owszem, widzisz, zupełnie zapomniałem o wiewiórce! Twój ojciec też tu jest?

Dziewczynka w zmieszaniu spuściła głowę i bosą nogą kopała gałąź. Młodzieńcy odwrócili głowy.

– Nie ma go tu – odparła cicho.

Wtedy zobaczyła Nátu. Wychodził z szałasu. Za nim stary. Wyjęła z kosza kwiat i podeszła z nim do młodzieńca.

– No proszę – rzekł Nátu, kiedy ją zobaczył – przyszłaś?

– Tobie ją przyniosłam – odpowiedziała dziewczynka, lecz jej głos zabrzmiał niepewnie – mała pierwiosnka. Pierwsza, jaka rozkwitła w tym roku!

Młodzieniec roześmiał się cicho, wziął kwiat i przyczepił go sobie do kapelusza.

– Dziękuję ci, moja gołąbeczko. Ale z kwiatem daje się zwykle i całusa, nie wiesz o tym?

– Nie – dziewczynka odparła z powagą i potrząsnęła głową. Wówczas odezwał się tamten gość na ławce.

– Kłamie mała piekielnica! – zawołał wesóło. – Ja już dostałem od niej całusa, prawda?

– A mimo to nie dałeś mi tego, co obiecałeś! – dziewczynka odparowała z gniewem. – To ty jesteś kłamcą, a nie ja!

Gość roześmiał się grzmiącym śmiechem, ale tylko on sam. Pozostali milczeli. Nátu odezwał się cicho:

– Nie mów tak do naszego brata, słyszysz?! Nuca z przestraczem podniosła nań wzrok.

– To twój brat...?

Nátu skinął głową i podszedł do ognia, do pozostałych.

Stary Sándru już tam siedział, naprzeciw ławki, na nieociosanym kłocu. Dał znak i wszyscy zdjęli kapelusze.

– Dziękujemy ci, Panie, za strawę, którą nam dałeś, i za to, że i dzisiaj nas strzegłeś, nas oraz owiec. Amen.

Zaraz ktoś przyniósł gliniane talerze, ktoś inny ustawił na środku kocioł z żentycą i każdy sam sobie nabierał. Stary rozdzielił mamałygę.

– Ty też chodź tu – zwrócił się do dziewczynki zmęczonym głosem. – Weź talerz i łyżkę! Masz swoją mamałygę. Zmieścisz się o tu, obok mnie.

– Przyniosłam poziomki – powiedziała dziewczynka, usiadłszy obok starego. – Zwierzęta oporządziłam, zamknęłam, pójdę do domu rano.

– Dobrze – odparł stary, ale nic więcej nie powiedział.

Jedli bez słowa. Siorbiąc. Tylko gość tam na ławce nie siorbał. Ale i on zjadł wszystko dokładnie tak samo jak pozostali.

Potem dziewczynka wstała, zebrała talerze i zeszła z nimi do koryta, żeby je umyć. Kiedy wróciła, wszyscy jeszcze tam siedzieli tak jak wcześniej. Mówił gość, lecz nie zrozumiała jego słów. Zapadła cisza, jednak dziewczynka czuła, że ta cisza nie przynależy do wieczoru. To nie była spokojna, przyjazna cisza. To była cisza przygniatająca, duszna. Coś się w niej czaiło. Wreszcie odezwał się stary. Głos mu kulał, a i brzmiał bardziej ochryple niż zazwyczaj.

– Indrei – zaczął i spojrzał prosto w oczy gościowi siedzącemu na ławce – Indrei, dobrze wiesz, dlaczego wszystko stało się tak, jak się stało. Wiesz, co obiecałem twojej matce, kiedy konała z twojego powodu. Że zrobię z ciebie pana. Z ciebie, z najmłodszego. Dotrzymałem danego słowa. Prawda to czy nie, Indrei? Odpowiedz!

– Prawda...

Stary pokiwał głową. Powolnie, starczo wylewały się z niego wspomnienia.

– Prawda. Twoja biedna matka. Jej ojca powiesili żołnierze. Dwaj bracia zmarli w więzieniu. Ziemię i co miała zabrali inni. A wszystko dlatego, że nie mieli pośród swych panów nikogo, do kogo mogliby się udać. Po radę. Po pomoc. To dlatego biedaczka chciała, żeby był z ciebie pan. Właśnie z ciebie, z powodu którego ona musiała umrzeć. Żeby twoi bracia mieli pośród panów kogoś, kto ich nie porzuci, kto będzie ich strzegł, z tamtego wysokiego miejsca, spośród panów. Żeby tam kogoś mieli. Twoi bracia. Twoi. Wszyscy twoi. Cały lud. Nasz lud. Twój lud, czy ty to rozumiesz, Indrei? Żeby kogoś mieli tam w górze. I żebyś to ty nim był.

Westchnął głęboko, bardzo głęboko. Powolnym ruchem zdjął kapelusz i wygładził swoje długie, rzadkie włosy. Zrobił dziwny, wahający się ruch ręką w kierunku zagrody. Potem tą ręką machnął i trzepnął się po kolanie. Twarze młodzieńców były ciemne, kiedy tak siedzieli tam przy ogniu i wszyscy patrzyli

w ziemię. Patrzył w nią także Indrei, ów gość. Lecz jego twarz była blada i od czasu do czasu przebiegał po niej nerwowy dreszcz.

– Mniej niż tysiąc owiec nigdy nie było w tych zagrodach. Ile tylko pastwisk do wydzierzawienia było w tej okolicy, ich trawę gryzły nasze owce. Ile tylko zbędnego siana zebrało się na brzegach Maros, na nim zimowały nasze owce. Nasze owce, czy to rozumiesz, Indrei? Moje i twoich starszych braci. Pilnowaliśmy ich latem i zimą. Przez wiele, wiele lat, ja oraz twoi starsi bracia. Walczyliśmy z mrozem, z wilkami, z lasem. Żeby było dużo wełny i żeby było dużo sera. I cała wełna i wszystkie ser były po to, żeby stało się to, czego chciała twoja matka. Tak zostałeś panem, Indrei. Nie zapomnij o tym! Tak zostałeś panem. To owce zrobiły z ciebie pana. Tylko owce, nic innego!

Spójrz na swoich starszych braci! Mogliby mieć domy i ziemię. Wszyscy mogliby być gospodarzami zagród z tego, co się im należało, co im przypadało z wełny i sera przez tyle lat. Nie musieliby tak juhasować przy kierdelu pod gołym niebem jak czeladź! Robią to dla ciebie. I nigdy żaden z nich nie powiedział nawet jednego złego słowa. Potrzebowałeś pieniędzy, bo być panem to drogie rzemiosło, tak zawsze pisałeś i tak mówili też inni. Ano były pieniądze, dawały je owce i wysokie góry. A oni milczeli. Chodzili w oberwanych kierpcach, połatanych koszulach i milczeli. Jak milczą i teraz, sam widzisz. Nie z twojego powodu, wcale nie z twojego powodu, wiem ja to dobrze. A z powodu ich matki, która umarła.

Znowu westchnął, z powrotem nałożył na głowę kapelusz i trzepnął się po kolanie.

– Ano tyle tylko chciałem ja powiedzieć, Indrei. A teraz mów ty! Tutaj, przed nimi. O tym, czemu przyszedłeś. Powiedz im to!

Z tymi słowami powstał z pieńka; wolnym, zmęczonym krokiem podszedł do styny, zdjął z gwoździa swój wielki, wełnisty kozuch, zarzucił go sobie na ramię, chwycił też kij i ruszył w kierunku zagrody dla jałowych owiec.

Przy ogniu pozostała tylko cisza. Ta zamarznięta, czarna, stężała cisza, która była jak ciemność w wykopanej mogile.

Po pewnym czasie poruszył się jeden z juhasów. Wstał, wziął swój kozuch, kij i odszedł gdzieś w kierunku zagród. Na to powstali jednocześnie pozostali juhasi. Zgarnęli swoje kozuchy i pochłonęła ich rozgwieżdżona nocka. Tylko bracia pozostali tam w szóstkę. I dziewczynka, schowana pod daszkiem, wciśnięta w kąt, jak przestraszona myszka.

Długo milczeli bracia. Wszyscy patrzyli w ziemię albo w ogień. Płomienie rzucały na ich twarze czarne cienie. Siedzieli tam ze srogimi minami, ponurzy i milczący. Pięciu młodzieńców w kierpcach, w przesyconych wonią owiec ubraniach z wełnianego samodziału, i ten szósty, pan. Wreszcie przemówił ten szósty.

Wpierw odkaszlnął, żeby odegnać ze swego głosu ochrypłość. I przemówił

głośno, może i nazbyt głośno, jak ten, co znalazł się w ciemności i boi się.

– Nasz ojciec nie rozumie sytuacji. Sądzi, że ja chcę się wyprzeć rodziny... jego oraz was, to znaczy... słowem, nie rozumie, no! A przecież od tego, że ja w tych aktach tam, gdzie żyję, mojego imienia i nazwiska nie zapisuję jako Indrei Sándru, co każdego tylko kłuje w oczy i daje sposobność do głupich uwag, ale jako András Sándru, co dużo bardziej odpowiada memu otoczeniu, od tego tak naprawdę nic się jeszcze nie zmienia! No czyż nie mam racji? Pozostajemy braćmi tak samo jak dotąd! Nieprawdaż? To imię występuje tylko tam w papierach, z czym wy i tak nie macie nic wspólnego! Krew mimo to pozostaje krwią, pozostaje wasza! Czyż nie? To jest tylko taki mały... jak by to ująć... fortel! Jak kiedy myśliwy nakłada na głowę dynię, żeby nie rozpoznały go dzikie kaczki! Ha, ha, ha! – siląc się, zaśmiał się szeroko. – No powiedzcie, bracia! Czy nie mam racji? Co? Trochę tym oszukamy panów, Węgrów, i tyle! Co? No powiedzcie, bracia!

Żaden się nie odezwał. Żaden się nie poruszył. Patrzyli w ziemię. Jedyne w ziemię, wciąż w ziemię, którą tyle już razy deptały kierpce rodziny Sándru, na której tyle już razy pały się owce rodziny Sándru. Twarze braci jakby zrobiły się z kamienia, z czarnego kamienia.

W końcu jednak poruszył się Kirilla, ten najstarszy. Poderwał się z ziemi. Stał przed ogniem wyprostowany, czarny, twardy, smukły.

– Zrobiłeś to już, Indrei? Odpowiedz!

Jego słowa zadźwięczały twardo, rozkazująco, ostro jak osełka. Od nich głowa gościa ledwie zauważalnie pochyliła się. Odpowiedział cicho:

– Tak.

Ogorzały, brodaty, smukły młodzieniec tylko przez moment stał tam, nad młodszym bratem, niczym skała, która zwalić się chce na świat. W końcu zgrzytnął zębami i rzekł. Zdławionym głosem, wręcz szeptem. Jednak słowa dyszały, rozrywały, szarpały, wypalały ranę:

– Nie mogę zabić syna mojej własnej matki! Nie mogę na niego nawet splunąć!

Z tymi słowami odwrócił się, wziął swój kozuch i odszedł. Po kolei wstali wszyscy. Tóder, Simion, Alexa i Nátu. Żaden nie wymówił jednego jedyne słowa. Nawet nie spojrzeli na gościa, który był ich młodszym bratem. Brali swe kozuchy i szli. Pozostał tam Indrei, sam przy ogniu. I z tyłu, w kącie pod daszkiem, dziewczynka.

Gdzieś w zmurszałych belkach chrobotał kornik. Tik-tik, tik-tik, tik-tik... Gwiazdy w milczeniu strzegły ciszy. Czasem kaszlnęła owca.

Gość siedział na ławce w bezruchu. Pochylony w przód, z plecami nagle przygarbionymi jak u kaleki, wpatrywał się w ogień. Płomienie, opadając z sił, mocowały się ze spalonym do cna drewnem. Padały żarzące się węgle. Ich rude

światło rzucało na pochyloną w przód twarz gorzkie cienie.

Wreszcie gość westchnął i wstał z ławki. Spojrzał wstecz, może szukał sobie wzrokiem miejsca do spania. I wtedy dostrzegł dziewczynkę.

– I ty tu jesteś? – zapytał, a jego głos pełen był goryczy. Wolno podszedł tam do niej i usiadł. Musiał się przygarbić, żeby nie uderzyć głową w daszek.

– I ty uważasz mnie za złego człowieka? – zapytał i położył rękę na kozuchu, pod którym kulila się dziewczynka.

Ta milczała i wpatrywała się w gwiazdy.

– Bo nie przyniosłem ci wiewiórki, którą obiecałem?

Jego głos był tak smutny i tak pełen wyrzutu, że musiała odpowiedzieć:

– Nie powiedziałam, że jesteś złym człowiekiem. Tylko że kłamałeś. A to prawda!

Gość nic nie wyrzekł, jedynie westchnął. Po pewnym czasie położył się, ale głowy nie skłonił. Ogień już nie płonął, tylko żar iskrzył się jeszcze pod stygnącym popiołem. Chłodne powietrze nocki wpłynęło pod daszek.

I dziewczynka nie potrafiła zasnąć. Przygniatało ją jakieś niewytłumaczalne uczucie. To, jak ten obcy, osobliwy człowiek leżał tam przy niej, z głową wspartą na ręce, sztywno wpatrując się w jakiś punkt w ciemności.

Cóż on może oglądać? – zastanawiała się w duchu. Bo tam na zewnątrz była tylko ciemność, a na jej grzbiecie gwiazdy.

Nie mogła dłużej znieść tego uczucia. Wstała szybko i bezgłośnie, jak mysz, i wybiegła. Tamten jakby wcale tego nie zauważył, nawet głowa mu się nie poruszyła. Jakby już i nie żył, o w taki sposób.

Nocka była chłodna od rosy. Dziewczynkę przeszedł dreszcz, kiedy bosą stopą stanęła na wilgotnej trawie. Wszędzie ciemniały lasy, chłodne i wrogie. Marzła. Jakiś nieznany strach przygniatał jej ramiona. Uciekłyby stąd daleko w las, do domu nad Urszu, ale bała się. Cicho zeszła ku zagrodzie, nawet psy jej nie usłyszały.

Skradała się wzdłuż ogrodzenia. I w ciemności widać było owce, jak leżały gęsto, niczym wiele małych białych kretowisk, ściśle, ciało przy ciele. Czasem któraś stęknęła.

Coś poruszyło się pomiędzy owcami.

– Nátu... – cicho wyrwało się z ust dziewczynki. Odpowiedział jakiś pomruk:

– Obejdz na drugą stronę, dziecko. Gdzieś tam jest. Przeszła na przeciwną stronę.

– Nátu... – powiedziała i tam, szeptem. W ciemności powstał ruch.

– To ty, Nuca?

– Ja.

– Czego chcesz?

– Zimno mi...

Spomiędzy owiec podniósł się człowiek. Podeszedł do ogrodzenia. Wyciągnął ponad ogrodzeniem ramiona i przeniósł ją mocnym chwytem. Potem potykali się pomiędzy owcami. Dziewczynka drżała.

– Masz tu kożuch – rzekł młodzieniec szeptem – wsuń się pod niego! O tak. Przytul się mocno do owcy! Możesz ją też objąć, jeśli chcesz – z ust trysnął mu cichy śmiech – widzisz, tak oto śpi biedny juhas.

Z wełny owiec buchała ciepła para. Miętko było leżeć pośród nich, a i ciepło. Dziewczynka położyła się na wznak, ciało mocno przycisnąwszy do owcy. Zwierzę pozostało nieruchome i było gorące jak piec. Po drugiej stronie leżał młodzieniec. Czasem czuła jego ruch pod kożuchem. Nad jej głową błyszczały gwiazdy, sypiąc iskry. Mnóstwo, całe mnóstwo gwiazd.

– Ileż ich jest...

– Czego, co?

– Gwiazd.

– Tych, tak.

Jakiś czas milczeli. Nareszcie odezwał się młodzieniec:

– Tylko ludzi jest mało.

– Jakich ludzi?

– Prawdziwych.

– To możliwe... – cicho odpowiedziała dziewczynka.

Potem sapały już tylko owce, sennie wydychając parę, i pocily się ciepłem.

Później przy drugiej zagrodzie poczęły szczekać psy. Ujadały, odgrażając się. Poderwały się na nogi i te tutaj i one też nie szczędziły głosu.

– Hej, ho, ho! Ho, ho! – zawołał ktoś tam dalej.

– Pewno czują niedźwiedzia – rzekł Nátu.

Ujadanie powoli umilkło. Jeden i drugi pies jeszcze zaszczekał, ale już tylko do księżycy w nowiu, którego cienki sierp wysunął się wtedy spoza czerni buczyny.

Czuła rosę na twarzy, jakby ta rosa spadła aż z gwiazd. Minęło sporo czasu, zanim dziewczynka odezwała się raz jeszcze:

– Mimo wszystko to nie jest zły człowiek...

Młodzieniec nie odpowiedział. Nie było słyhać nawet jego oddechu. Nocka już spała i spały owce, wszystkie. Pies też już więcej nie zaszczekał. Tylko gwiazdy czuwały tam w górze i skapywała z nich na jej oczy miodowa rosa.

Zbudziło ją to, że owce się ruszają. Młodzieńca już tam nie było, na ziemi leżał tylko beapański kożuch, podobny do pustego kokona, z którego wyfrunął motyl. Stado było na nogach. Wtedy ktoś otworzył bramkę. W świtanu wydawał się dziewczynce jakimś kudłatym olbrzymem z mgły. Owce napały na bramkę.

Kiedy poszła w górę do ognia, żeby się ogrzać, tam na ławce siedział już

Sándru, ten stary. Siedział bez ruchu i wpatrywał się w ogień. Nie odpowiedział na powitanie. Szary brzask wślizgnął się pod daszek, tam gdzie wieczorem leżał gość, ale znalazł jedynie pustkę.

 Nie było tam nikogo.

Pewnego dnia przyniósł Nátu szczenię. Był to mały, kształtny mieszaniec w czarne łaty; mądrymi czarnymi oczami pewnie rozglądał się wokoło. Przyniesiony został w torbie, akurat się w niej zmieścił.

– Jaki piękny! – ucieszyła się dziewczynka. – Gdzie go umieścimy?

– Nigdzie – rzekł Nátu i wytrząsnął psa z torby. – Przyzwyczajai się być z owcami.

– Jak się wabi?

– Csobán³ – odpowiedział młodzieniec – jako że jest z nas, z pasterzy.

Dotarłszy na twardą podłogę, pies przeturlał się, jednak natychmiast stanął na łapy i począł zaznajamiać się z nowym otoczeniem. Wszystko gruntownie obwąchał, potem wyszedł za próg i uwzględnił także zagrodę oraz klatkę dla kur.

– Czym mam go karmić?

– Mamałygą. I kozim mlekiem. Kozy dużo dają mleka?

– Ta mniejsza nie tak wiele, ale ta duża daje codziennie dwie kwarty.

– Ano wystarczy z tego i dla niego.

Młodzieniec obejrzał jeszcze owce, koźlęta, także sarnię, po czym zapytał:

– Jak stoisz z sianem?

Dziewczynka wzruszyła ramionami.

– Nie mam kosy.

– Znalazłaby się na nie trawa?

– O, tak.

– Gdzie?

– Czy tu, nad Urszu, czy tam niedaleko, pod Macskakő.

– Trzeba by się z tym pośpieszyć! – rzekł młodzieniec i więcej o tym nie rozmawiali.

Ale następnego dnia rano wrócił z kosą.

– Gdzie jest tamta trawa? – spytał. – Ta tu nad Urszu jest już za stara.

Dziewczynka pokazała na polanę leżącą pośród choin. Była to całkiem duża polanka, młodzieniec dobrze wymierzył ją wzrokiem.

– Będzie jej dość – rzekł i z tymi słowami począł ostrzyć kosę. W południe dziewczynka zaniósła mu obiad. Usmażyła jajecznicę z rybą i mamałygą. Na wieczór trawa leżała w rzędach.

– Jutro ją przewróć – Nátu pouczył dziewczynkę – i także pojutrze! Wtedy, na wieczór, będziesz już mogła zebrać ją w wiązki. Za trzy dni przyjdę z końmi i je zwieziemy.

Następnego dnia rano wystrugała sobie widły i poszła do siana. Csobán, pies, już za nią podążał nieśpiesznie, ostrym głosem obszczekując jeden i drugi dziwny pieniek. Było z nimi również sarnię. Wesoło skakało w przód i w tył. Bawiło się też z psem. Ów najpierw nie rozumiał jasno, o co chodzi, i ostrymi zębami próbował dosięgnąć zwinnych nóżek. Raz nawet mu się to udało. Sarna zadrzała

i odwróciła się, stając naprzeciw niego. Opuściła głowę, uszy położyła do tyłu i ruszyła nań. Dwa razy przewaliła szczeniaka na ziemię. To wystarczyło za nauzkę. Przez jakiś czas obrażony unikał sarny, ale w końcu powrócił mu humor do zabawy i teraz już prawdziwą igraszką była ich wzajemna gonitwa.

Trzeciego dnia wieczorem kopki już stały. Ta i owa, co prawda, chwiała się krzywo, była wśród nich mała, była wielka, okrągła i wysmukła, ale mimo wszystko siano było zebrane. Piękne, zielone, chrupiące, suche siano, o lepszym nawet i nie można było zamaryć. Wysuszył je pozbawiony wilgoci sierpniowy gorąc. Nazajutrz z rana przyszedł Nátu z końmi.

Przyprowadził na lince dwa małe górskie koniki. Na grzbietach miały drewniane siodła i sznur do siana. Nátu kładł widłami trzy–cztery małe kopki na jednego konia. Zręcznie te kopki przywiązywał i już tylko łby i ogony widać było koniom spod siana. W południe obiad zjedli przy domu. I nim słońce zaszło, przy zagrodzie wyrosły już trzy spiczaste stogi. Były to piękne stogi, o kształcie takim, jak zazwyczaj tu, w krainie ośnieżonych szczytów stawiano: ostro zakończone, smukłe. Mógł z nich spłynąć nawet i najgęstszy deszcz, a przed wiatrem chroniły je gałęzie, starannie przywiązane z każdej strony.

– Teraz uważaj! – pouczał ją Nátu. – Ten tu napoczniesz pierwszy. Ten jest najslabszy, dlatego. Starczy ci go do Bożego Narodzenia, bez względu na to, jak wcześniej spadnie śnieg. Potem kolej będzie na ten. Wytrzymasz na nim do Macieja, co topi lody⁴. Jeśli zajdzie taka potrzeba, dawaj zwierzętom raczej mniej, ale przed świętym Maciejem nie napoczynaj trzeciego! Nie będzie wtedy żadnego kłopotu.

– Rozumiem – dziewczynka przytaknęła z powagą.

– Ano z Bogiem! – rzekł Nátu i uśmiechnął się.

– Czekał, odprowadzę cię do połoniny!

Ruszyli. Koni nie trzeba było prowadzić, szły same. Przy kładce zeszli do potoku i ostrożnie przebrnęli przez wodę. Pies i sarna przedostali się po kładce. Kiedy wszyscy już byli po drugiej stronie i właśnie podążali w górę po skałach, z przodu Nátu, za nim dziewczynka, następnie pies, sarna i konie, naraz uderzył ich jakiś przerażająco brzydki, świszczący, diabelski dźwięk. Był to odgłos ostry, drażniący. Dochodził z dołu. Dziewczynka zatrzymała się, nogi wrosły jej w ziemię. Także konie nadstawiły ucha.

– Co to?

Nátu odwrócił się.

– Fabryka – rzekł gorzko, a i splunął.

– A to co?

– Piła. Chodzi na parę czy na jaką inną zarazę. Panowie ją sprowadzili.

Naraz przypomniały jej się wielkie wozy zaprzężone w sześć wołów. I na nich mnóstwo tych dziwnych, lśniących przedmiotów ze stali. A więc to jest to!

Oczywiście, piła!

– Wydaje ten dźwięk wtedy, kiedy przecina drewno? – spytała z zaciekawieniem.

Nátu zaśmiał się.

– Ależ skąd! Rano, w południe i wieczorem. Kiedy zaczynają pracę i kiedy ją przerywają. Ja już i przedtem słyszałem coś takiego. Jest tam taki mały komin, to on tak gwizdże.

– Naprawdę?

– Zmiata gwizdem spokój ze świata, tak zwykł mawiać mój ojciec – zaśmiał się Nátu, po czym odwrócił się i poszedł dalej ścieżką w górę.

Dziewczynka, milcząc w zamyśleniu, podążała za nim. Myślała o starym Sándru i o spokoju, który tyle razy czuła tam wysoko, na Ulmu. I o gwizdku, o podobnym do komina dużym gwizdku, który przegania ten spokój, jak mawia stary Sándru.

Gwizdek już zamilkł. W lesie znów zaległa cisza, jak wcześniej. A jednak. Jakby mimo to coś było niedokładnie tak samo. Może i sarna to czuje, dlatego jest taka niespokojna?

I wtedy jej oczy dostrzegły nagle żółty liść. Drżał tam ponad jej głową, na brzozie. Był żółty, złotożółty. I kiedy przestraszonym wzrokiem przyjrzała się dokładniej, zobaczyła, że jest ich więcej. Tam jeden, i tam, i tam dalej też jeden. I także na tamtym drugim drzewie. I tam znów, na trzecim. Jeszcze ukryte pomiędzy zielonymi liśćmi, ale już tam są.

– Mój Boże – westchnęła cicho. Młodzieniec usłyszał to i przystanął.

– Co się stało?

Pokazała w górę na jedno z drzew.

– O, tam! Żółty liść.

Młodzieniec podążył wzrokiem we wskazanym kierunku i przytaknął z powagą.

– Nadchodzi jesień – rzekł, a jego głos był suchy, jakby mówił jedynie o pracy – któregoś dnia szron przyprószy bielą trawy tam w górze, a my przywiążemy do koni kociołki i poprowadzimy kierdel w dół z biegiem Maros...

Potem aż do połoniny więcej nie rozmawiali. Wysoko na hali, w brązowej miękkości światła zmierzchu dziewczynka zatrzymała się.

– Będę wracać – rzekła – z Bogiem, Nátu!

– Z Panem Bogiem, dziewczynko!

– Powiedz... – słowa uwięzły jej w gardle, ledwo chciały wyjść – powiedz no... wiosną znów tu wróćcie, prawda?

Młodzieniec spojrział na nią ze zdziwieniem i nieco szelmowsko, po czym roześmiał się w głos:

– No nie, no! Pewnie, że wrócimy! Jak ptaki, tak samo! Wesoły, głośny

śmiej młodzięca huknął po jarach i wszędzie przeczochnął ciszę choin.

3 Popularne imię dla psów pasterskich, pochodzące od rum. *cioban* – pasterz.

4 Według wierzeń ludowych, jeśli na świętego Macieja, czyli 24 lutego, wciąż utrzymywał się lód, wiosna miała nadejść już wkrótce, a jeśli go nie było, to zapowiadała się dłuższa zima.

Hałasująca piła zburzyła spokój. Zaczęło się to już na samym początku, kiedy opróżniono pięć dworskich domów dla bezrolnych chłopów, a ludzie, którzy mieszkali w tych domach do tej pory, wraz z rodzinami trafili pod las. Z gałęzi sklecili sobie koliby i jak dzień długi przeklinali, bo deszcz ciekł im do środka, dym gryzł w oczy, dzieciaki płakały, a kobiety kłóciły się.

Do owych pustych domów po bezrolnych przyszli obcy ludzie. Pan mechanik z rodziną, co wiecznie chodził w niebieskim płóciennym ubraniu, w czapce z daszkiem na głowie i gderał, ile razy spojrział na góry. Jego gruba żona nosiła pańskie stroje i całymi dniami beształa trójkę brudnych dzieciaków albo też wyrzekała na mieszkanie, bo podobnego do tego ponoć nigdy jeszcze nie widziała. Chodziło do nich kilka kobiet spośród tych biedniejszych, do gotowania, prania, do pomocy w tym i w tamtym. To im poskarżyła się mechanikowa, że w Kolozsvárze mieli trzypokojowe mieszkanie, z wodociągiem, gazem, i gdyby była wiedziała, że przyjdzie jej zamieszkać w drewnianym domu, jak żebrakom, to z pewnością nigdy nie puściłaby tutaj swojego męża.

Przybyło też kilku robotników do piły, byli to ludzie obcy, ponurzy, milkliwi. Mówić z nikim nie umieli, a nawet i nie chcieli. W niedzielę siadywali u Włochatouchego, w karczmie, ale i tam nie mieszały się z wioskowymi.

Potem jeden z domów urządzono na biuro, ten największy zaś trzymano tamtego lata pusty, jako że z czasem miał się doń wprowadzić pan inżynier, który wszystkim będzie komenderować. I nie tylko piłą, ale i całym lasem, mieszkającymi wysoko strażnikami leśnymi, gromadzką czeladzią.

– Bo od tej pory inny będzie tu porządek – tłumaczył mechanik – właśnie taki, jak jest w zwyczaju gdzie indziej, w dworskich majątkach.

– Chciałbym ja zobaczyć tego inżyniera – mruknął ze złością Mitru, gdy usłyszał wieść o nadchodzącej zmianie. – Las to nie kapustnik ani nawet i spichlerz, żeby można go było wprowadzić do księgi. Takiego inżyniera Pan Bóg jeszcze nie stworzył!

Wreszcie przy końcu lata, kiedy na Lisztes poczęły już żółknąć brzozy, przyjechał i inżynier. Był to człowiek o surowym wyglądzie, chudy, jasnowłosy. Chodził ze strzelbą, z zakrzywionym kijem, nosił zielone ubranie. Dokładnie tak samo chuda i tak samo jasnowłosa była też jego żona, tyle że taka nieduża, jakby zrobiono ją jako lalkę do zabawy.

Wprowadzili się do domu po bezrolnych. Ale dom, istotnie, był za ciasny dla mebli i mała inżynierowa kręciła nosem, że tak i siak i że nawet ściany strasznie śmierdzą w środku. Nic nie można było na to poradzić.

– Zbudujemy porządną leśniczówkę – już pierwszego wieczoru zapowiedział inżynier – porządną leśniczówkę z piętorkiem, gankiem, przeszkloną werandą.

Następnego dnia posłał wiadomość Mitru, w okolice Galonyi, żeby zgłosił się do niego. Dwa dni czekał nań daremnie. Na trzeci dzień Mitru wreszcie się

zjawił.

– Jesteś człowiekiem zatrudnionym w majątku? – spytał inżynier.

– Tak – odrzekł Mitru.

– Nie dostałeś przedwczoraj rozkazu?

– Mówiono coś żonie... mnie tam nie było. Usta inżyniera wykrzywiły się w gniewie.

– Od tej pory ja tu rozkazuję, rozumiesz? I albo natychmiast się podporządkujesz, albo przyprowadzę na twoje miejsce kogoś innego! Ale od tej pory ma tu być porządek!

Długi Mitru zaczerwienił się i szarpnął rzemieniem strzelby.

– Tym, kim jestem, zrobił mnie łaskawy pan baron przed dwunastoma laty. Jeśli mnie więcej nie potrzebuje, może mnie odesłać.

Z tymi słowami ruszył w kierunku drzwi.

– Stój! – inżynier zawołał za nim niemal z przestraszeniem. – Jak cię wołają?

Mitru zatrzymał się w drzwiach i spojrzał wstecz.

– Mitru Lujerán.

– No więc posłuchaj, Mitru! – rzekł inżynier i postąpił kilka kroków w kierunku mężczyzny. – O kim wiesz, że zna się na stawianiu domów, tego przyprowadź tu do mnie na jutro. Rozumiesz? Trzeba postawić kilka budynków. Materiał, jakiego potrzeba, obliczymy jutro. Będziesz mógł to drewno wyrąbać przy pomocy swoich ludzi, dostaniecie także zaliczkę. A budowa może iść płać czy to za dniówkę, czy za całość. Chcę i wam dać żyć, no. Nie przyjechałem tu jako wróg!

Na to już i Mitru stał się bardziej przyjazny, a później, kiedy wyszedł na drogę, to nawet i pogwizdywał.

Nim wysoko na hali jelenie zaczęły rykowisko, piła pracowała już w najlepsze. Drzewa wyrąbywano nad potokiem Galonya, inżynier wyznaczył całe zbocza, stamtąd w górę aż po Ulmu. Setkami spędzono tam lud wyposażony w siekiery, zbudowano dlań szalasy pod porębą i od świtu do zmroku pobrzękiwały siekiery, a na ten trzask padających choin góra odpowiadała echem. Jakby zieleń górskich zboczy obgryzały gąsienice, wrzaskliwe, popędliwe gąsienice, takie właśnie to było. Pewien przedsiębiorca Żyd przyprowadził dwieście koni pociągowych i poczęły one ściągać pnie w pobliże piły. Dolina potoku Galonya napełniła się hałasem, przekleństwami, jękami smaganych do krwi chudych koni, muchami i wonią gnoju. Co niedziela beczkami schodziła u Włochatouchego palinka, a żandarmi mieli ręce pełne roboty z nożownikami.

Na rykowisko przybył i baron. Obejrzał piłę, zjadł obiad u inżyniera, a następnie ruszył na Korbuju. Na połoninie powyżej Galonyi zatrzymał się. Był z nim Mitru.

– Co to za hałas? – zapytał.

– Wycinka – odpowiedział Mitru.

Baron jeszcze przez jakiś czas słuchał przenikającego z dołu na górę zgiełku i kiwał głową. Potem poszedł dalej.

Trzy dni byli tam wysoko. Mieszkali w namiocie, przed namiotem Mitru strzegł nocą ognia. Trzeciego dnia rankiem baron ustrzelił wielkiego byka szesnastaka, a przed południem pozbierali rzeczy.

– Przydałaby się tu chata – rzekł w zamyśleniu baron, kiedy pakunki były już na jucnych koniach.

– Możemy jakąś zbudować – zaproponował Mitru.

– Chodźmy w stronę Urszu!

Zeszli z biegiem Urszu. Było słoneczne jesienne przedpołudnie. W gęstwie Macskakó ryczały byki, ich głos rozchodził się po całej dolinie Bystrego niczym muzyka organów. Z buków opadało rude listowie, a przecież wcale nie wiał wiatr. W powietrzu unosiły się pajęczyny, a na jeżynach w jarach ucztowały stada tłustych drozdów.

Dziewczynka siedziała na ławce przed domem, kiedy po kładce przeszedł baron, w odwiedziny do niej. Patrzyła na las, jak w czystym słonecznym świetle dogorywał w czerwieni, i była smutna.

– Szczęść Boże, dziewczynko! – przywitał się baron.

– Szczęść Boże! – odpowiedziało dziecko i podniosło się z ławki.

– Jest twój ojciec w domu?

– Tata? – dziewczynka spytała ze zdziwieniem. – Nie. Nie wrócił jeszcze do domu.

Baron zatrzymał się zagniewany.

– A kiedy wróci?

– Powiadają, że za pięć lat.

– Co ty mówisz?

– Ale z tego jeden rok już prawie przeminął. Baron obejrzał się na Mitru.

– Jest w więzieniu – wyjaśnił strażnik leśny – zabił człowieka. Janku, z Piperika. Jeszcze zimą. Dostał za to pięć lat.

– Nie wiedziałem – cicho powiedział baron i spojrzał na dziecko. – A ty tu zostałeś?

– Tak.

Baron pokręcił głową, następnie wyjął pugilares i wyciągnął zeń papierowy pieniądz w niebieskawym kolorze.

– Na!

Po czym już i poszli dalej. Baron był zły.

– Chciałem mu zlecić, żeby wybudował chatę – odezwał się po pewnym czasie – tam w górze.

– I ja mogę ją zbudować – odparł Mitru.

– Ale nie taką jak stary.

W dole u inżyniera baronowi raz jeszcze przypomniła się ta kwestia. Wyjął z kieszeni czarną książeczkę i ołówkiem ze złotą końcówką zanotował: „Radca prawny niech zajmie się sprawą starego znad Urszu!”.

Potem zajechała karetą zaprzężona w cztery konie, a na koźle obok stangreta o dziwnym zaroście siedział Mitru i trzymał przed sobą poroże.

I nie padło więcej ani słowo o Tóderiku.

Kolorowe suknie drzew tylko bladły coraz bardziej. Najpierw klon zrzucił swoje wielkie, palczaste liście, które stały się lśniaco brązowe i tak ciężkie, że spadając na ziemię, stukały. Potem wyłysiały olchy. Ich małe, pokurczone na szaro liście chwycił potok i niósł je, szumiąc, sycząc, ku nieznanym brzegom. W buczynie opadanie liści było czymś ciągłym. Bez przerwy fruwały żółte, brązowe, rude motyle. I w końcu przyszedł deszcz.

Dwa tygodnie wylegiwały się chmury na górskich grzbietach. A w tym czasie wszystko wyblakło, zszarzało, a spod łachmanów rysował się szkielet lasu, nagiego, drżącego z zimna.

Najdłużej trzymały się brzozy. Wokół gnących się, białych pni tuliły się ich potargane, złocistopłowe włosy. Potem jednej nocki znikło z nich listowie. Jednej jedynej.

Tamtej nocy wysoko ponad Pietrosz pękły chmury. Rzeński północny wiatr przemiótł grzbiety gór. Niósł zapowiedź śniegu, a swoje pazury wczepił w strzępy nieba i wyskrobał spod nich gwiazdy. Rankiem zaś dachy bielity się od szronu, wszystkie.

Chłopcy Sándru zgonili stada na wielką polanę Ulmu. Hala zapełniła się beczaniem, wonią owiec, szczekaniem psów. Stary Sándru rozdzielił zwierzęta.

– Ty, Kirilla, pójdiesz w tym roku z baranami i jednorocznymi owcami do Balavásár. Kupiłem siano hrabiego. Nie jest ono zbyt dobre, ale dla skopów i jednorocznych wystarczy.

Ty, Tóder, z sześcuset wcześniej kotnymi pójdiesz do Szentiván. Są tam dwa stogi dobrego siana, w tym jeden koniczyny. Jest też ciepła obora, na wykot.

Ty, Simion, i ty, Alexa, z waszymi owcami pójdziecie w tym roku do Dedrád. Obory tam nie ma, ale siana i słomy dali Sasi dość.

Nátu, ty z wetulami zostaniesz w Ratosnyi. Staraj się, żeby nim spadnie śnieg, obgryzły hale! Potem kolejno stogi siana. Jeśli zima nie będzie długa, wystarczy. Bacz, żeby nie zmarniały, na wiosnę będziemy je sprzedawać. Szykujcie się!

Pojawiły się drewniane siodła. Grzbiety kudłatych górskich koników zapełniły się sakwami, kozuchami, kociołkami i wieloma innymi manatkami wędrujących juhasów. Górskie kuwasy o podejrzliwych oczach podskakiwały przed końmi, skamłąc nerwowo, szykowały się na nowe, ekscytujące przygody. Na podniebieniu odżyły im wspomnienia dawnych ugryzień, we mgłę pamięci zamajaczyły minione walki, ale psy, które miały iść z tym samym stadem, na czas wędrowki zawierały z sobą milczący rozejm. Chłopcy Sándru rozdzielili pomiędzy siebie juhasów, następnie przegonili cztery stada w cztery kąty polany, a sami zebrali się pośrodku przy styńie.

Było przedpołudnie, słoneczne, rześkie przedpołudnie. Szron na trawach przemienił się już w rosę i tylko Pietrosz oraz długi grzbiet Gór Kelimeńskich biało lśniły ponad choinami. Stary Sándru stanął przed szałasem. Zdjął kapelusz. Jego długimi, siwymi włosami zatargał wiatr. Bruzdowata, stara twarz była poważna, gdy złożył ręce i spojrzał w niebo.

– Boże, bądź błogosławion za pastwiska, które dałeś nam i tego roku. I za to, że strzegłeś owiec od chorób i dzikich zwierząt, i za to, że zachowałeś i nas. Spraw, abyśmy wszyscy znów mogli się zebrać w tym miejscu na wiosnę, a do tego czasu miej w opiece nas wszystkich i owce też. Amen.

No a teraz ruszajcie! – rzekł, nakładając na głowę wysmarowany tłuszczem czarny kapelusz. – Niech wam Bóg dopomoże! Ja mam tu na górze jeszcze jedną małą sprawę.

Pięciu chłopców stało tam ze zdjętymi kapeluszami, z opuszczonymi głowami. W końcu jednak nałożyli kapelusze na głowy, po kolei uścisnęli się i ucałowali nawzajem, i każdy poszedł z powrotem do swojego stada. Potem w czterech kątach hali zahuczały rogi, zadźwięczały dzwonki, psy poczęły ujadać w gorączkowym podnieceniu i trzy tysiące owiec, jak cztery ogromne białe fale, poczęło toczyć się w dół z Ulmu.

W ciągu kilku minut polana opustoszała. Nie pozostało nic, tylko samotny szałas i opuszczone zagrody. I przed szałasem bezzębny, stary kuwas, mały kudłaty

górski konik oraz samotny starzec.

Stary kuwas patrzył sennymi oczami za znikającymi w dali stadami i czekając na komendę, zerkał od czasu do czasu na swojego pana. Konik, przytupując, rżał za swoimi towarzyszami i szarpał słupem zagrody. Starzec zaś stał ze wzrokiem utkwionym przed siebie, być może rozmyślając o losach ludzi i stad.

Nareszcie westchnął. Odwrócił się powoli, naciągnął kapelusz głęboko na czoło, wziął łopatę leżącą przy słupie i ruszył w górę, w kierunku grzbietu hali.

Szedł powoli, niekiedy przystawał, jakby z kimś rozmawiał. Pies podniósł głowę, spojrzął za nim. Potem dostrzegł konia i uspokojony, zamknął senne oczy.

Stary dotarł do najwyższego punktu polany, trochę się rozejrzał w tę i w tamtą stronę, potem znowu westchnął głęboko i zaczął kopać. Przy każdym pchnięciu łopaty wydawał westchnienie. Ziemia była twarda i kamienista. Była to ciężka, twarda ziemia krainy ośnieżonych szczytów.

Wykopał w niej wąski, głęboki dół. Kiedy skończył, odłożył łopatę, wierzchem dłoni otarł spocone czoło i znów się rozejrzał. Daleko mógł stamtąd sięgnąć wzrokiem. Po Pietrosz i Góry Kelimeńskie, a z drugiej strony poza Tron Boży. I widać było grzbiety Görgény i dalej błyszczącą wstęgę Maros, jak zakręca i oddala się niknącą w mgle doliną.

Stał tam przez chwilę, po czym z wolna ruszył w kierunku lasu. Wszedł w buczynę, przeciął pas drągowiny. Na skraju gęstwiny, pośród ogromnych liści paproci, leżał świeżo wyciosany, wielki bukowy krzyż, jego drewno wciąż jeszcze było białe i przyjemnie pachnące. Starzec zatrzymał się przed nim i przyglądał mu się. Potem pochylił się ku niemu i uniósł go na ramiona.

Wielki i ciężki był ten krzyż. Starzec ugiął się pod nim, dźwigając go na szczyt. Jednak nigdzie się nie zatrzymał. Tylko szedł krokiem powolnym niczym w kościele, przygarbiony, zmęczony, stary. Poprzez drągowinę, z niej na polanę, w górę do świeżo wykopanego dołu. Stawiał małe kroki, szurając kierpcami, a lasy, góry, puste zagrody i samotny szałas tam w dole, wszystkie one przypatrywały mu się. I włókł się za nim w tej wędrówce bezbarwny i zmęczony cień, cień z krzyżem.

Starzec dotarł na szczyt, koniec krzyża ostrożnie opuścił do dołu, poprawił jeszcze, żeby krzyż stał prosto, narzucił łopatą ziemi dokoła niego i starannie ją ubił.

Kiedy z tym wszystkim był już gotów, zdjął kapelusz i wydał głębokie, bardzo głębokie westchnienie. Wierzchem dłoni otarł czoło, oczy. Chwilę jeszcze stał przed krzyżem, patrzył nań w górę, może się modlił. Nie ustami, tylko w duchu. Jak zwykli czynić przygarbieni starcy, kiedy stawiają krzyż czemuś, co należy już do przeszłości.

Wreszcie odwrócił się, wziął łopatę na ramię, wcisnął kapelusz na głowę i przygarbiony, zmęczony, powoli ruszył z powrotem ku szałasowi. Szedł, szedł

i nie odwrócił się ani razu. Nawet i wtedy, kiedy siodło z drewna zarzucił na konia, kiedy na siodle położył kozuch i sakwę, nawet jeszcze i wtedy, kiedy zamknął drzwi szałasu i ustawił przed nimi pal na straży.

Nawet i wtedy, kiedy wziął do ręki wypolerowany od ściskania długi kij do chodzenia po górach, odwiązał konia od słupa i gwizdnął na psa:

– No, Gudra...

Nawet wtedy, kiedy szedł polaną w dół, za nim koń, a za koniem pies. Nawet i spośród drzew, nawet stamtąd się nie odwrócił. Ani jeden jedyny raz nie spojrzął wstecz. Tylko szedł, szedł, aż pochłonął go las, jego i konia, i psa też.

Później, dużo później, jakiś węglarz włókł się przez polaną z tobołkiem na plecach. Zobaczył świeży, biały krzyż i zatrzymał się. Następnie doń podszedł. Zdjął kapelusz i zacinając się, odczytał napis wypalony na krzyżu: „Umarł Andrei Sándru, dla swego ojca, dla swych braci, dla swego ludu i dla gór”.

Węglarz przeżegnał się, jak się godzi, podniósł z ziemi kamień i położył go pod krzyżem. Potem znów się przeżegnał i poszedł dalej swoją drogą.

Krzyż zaś pozostał sam na szczycie polany, biały, wyprostowany. Przepływało ponad nim babie lato, a on tam tylko tak stał w ponurej samotności, a na jego białym drewnie wyraźnie odcinał się czarny napis, żeby widziały to lasy i wiedziały to wszystkie góry.

Słońce wstawało późno i wcześniej zachodziło, ale mimo wszystko wciąż jeszcze była jesień. Zapowiadała się długa ta jesień. Murawę hał na liliowo pokryło mnóstwo zimowitów i niekiedy, w okolicy południa, na wierzchołkach drzew zasiadał dzięcioł i wydawał swoje wrzaski. Lecz ów głos niósł się na próżno. I też nie przychodziła nań żadna odpowiedź. Las był już martwy.

Dziewczynka, tam u wylotu Urszu, poczuła dotknięcie samotności, zwieszającej się z Tronu Bożego w dolinę niczym martwa człowiecza ręka. Siedziała na ławce i przyglądała się owcom i kozom, jak szczypały krótką jesienną trawę; u jej stóp leżał pies Csobán, a nieopodal sarenka. Czasem pod buczyną zagdakałakura, gdy w ściółce z uschniętych liści natrafiła na glistę. Lecz poza tym panowała cisza, głęboka, czarna cisza. Nawet i potok, szumiąc, nawet i on był tylko ciszą.

Dziewczynka patrzyła na jary Urszu i dalej poza nie, niemal widziała hałę Ulmu, jakby tam była, ziewającą w pustce, drżącą z opuszczenia. Czasem dziewczynce oczy zachodziły łzami, gdy tam siedziała, taka czuła się samotna.

Márton nie przyszedł więcej, Márton Sánta. Ani Józsup, ten o woskowej twarzy. Nikt nie przychodził. Kiedy dziewczynka od czasu do czasu schodziła po coś do wioski, słyszała, że ludzie poszeptują za jej plecami, ich spojrzenia wbijały się jej w kark, i dlatego starała się, by rzadko schodzić.

Pewnego razu usłyszała, że Józsupa zabrano do szpitala. Przy karczemnym stole wbito weń nóż, a ów nóż był w ręce Mártona.

– Przez ciebie się pokłócili – rzekł Włochatouchy, który opowiedział jej o tym zajściu, i spojrzał na nią z wyrzutem – byli przecież prawdziwymi przyjaciółmi, a mimo to pokłócili się przez ciebie. Słyszałem wszystko, byłem tu, więc wiem.

Od tej pory jeszcze rzadziej schodziła do wsi.

Aż pewnego razu, kiedy już od trzech dni nie miała nawet jednego ziarenka kaszy kukurydzianej i jednak musiała pójść na dół, u Włochatouchego w sklepie spotkała Nátu. Już z daleka wiedziała, że tam jest, bo przy ogrodzeniu karczmy stał przywiązany koń, a obok niego był pies. Z rumieńcami na policzkach otworzyła drzwi.

– Szczęść Boże, Nátu!

– Szczęść Boże, dziewczynko! – młodzieniec spojrzał na nią ze zdziwieniem. – Czego tu szukasz?

– Przyszłam po kaszę kukurydzianą – odpowiedziała i roześmiała się.

Nátu opierał się o szynkwias, przed nim leżały dwie wielkie sakwy na konia, a Włochatouchy właśnie upychał w nie rzeczy.

– Masz pieniądze? – spytał młodzieniec.

– Oczywiście, że mam! – odparła z dumą i rozwiązała chustę.

– A skąd je masz?

- Te dostałam jeszcze od barona, no wiesz.
 - A jak się skończą?
 - Do tej pory przyjdzie śnieg i znów będzie można coś złapać w sidła!
- Młodzieniec zebrał rzeczy, wyniósł sakwy na konia, po czym pożegnał się:
- No to z Bogiem, dziewczynko!
 - Kiedy znów przyjdiesz?
 - Przychodzę w każdy czwartek. W Ratosnyi nie ma sklepu, wiesz.
- Dziewczynka zastanawiała się.
- W czwartek? A kiedy to będzie?
 - Od dzisiaj za tydzień – zaśmiał się młodzieniec.
 - Do tego czasu jest siedem dni?
 - Tyle.

Dziewczynka skinęła głową. Potem Nátu odwiązał konia, pstryknął palcami na psa i poszedł.

Po powrocie do domu dziewczynka wzięła nóż i wyciosała siedem trzasek, tak jak swego czasu zrobił to węglarz. Trzaski położyła na półkę i każdego poranka jedną spaliła. Kiedy już i ostatnia spłonęła, znów zeszła do wsi. Nátu jeszcze tam nie było. Kupiła kaszę kukurydzianą, po czym usiadła na ławce przy ścianie.

- Potrzeba czego jeszcze? – Włochatouchy spojrział na nią zza szynkwasu.
- Nie potrzeba – potrząsnęła głową.
- No więc?
- Czekam.

Po pewnym czasie usłyszała tam na zewnątrz odgłos końskich kopyt. Wyszła z karczmy. Pomogła nawet zdjąć sakwy.

- Ano jesteś tu? – rzekł młodzieniec i zaśmiał się.

Zaśmiała się i dziewczynka, po czym opowiedziała, co robił Csobán, pies, i małe sarnię, i reszta zwierząt, wszystkie. Mówiła nawet o klonie i o tym, że widziała w tych dniach niedźwiedzia, jak przeprawiał się przez potok Bystry. Wreszcie wyjęła zza chusty bukiecik zebranych zimowitów i podała go młodzieńcowi.

– Jest jeszcze i to – rzekła niezręcznie i zarumieniła się. Młodzieniec zaśmiał się znowu i przypiął bukiecik do kapelusza. Jakaś stara kobieta, człapiąca drogą przed sklepem, pokręciła głową. Potem weszli oboje do środka, Nátu zrobił zakupy, załadował rzeczy na konia, zamienili jeszcze kilka słów i w końcu się rozstali. A dziewczynka, tam na górze, nad Urszu, wieczorem wystrugała siedem kolejnych trzasek.

Nareszcie jednego wieczoru niebo się zachmurzyło, a pomiędzy drzewami zaświszczał zimny północny wiatr, sypiąc w okno zamarzniętymi ziarenkami białej kaszy. Na rano zebrało się jej sporo pośród traw, a ziemia stuknęła pod nogami tak, jakby uderzał w nią grad.

Tamtego dnia, tak w okolicy południa, przyszedł Mitru. Dziewczynka piłowała drewno za domem i tylko usłyszała, że pies szczeka. Nim wyszła z chaty, Mitru stał tam już w drzwiach.

– Co u diabła, masz i psa? – spytał gderliwie i kopnął nogą w kierunku szczeniaka. Ten od tego jeszcze bardziej zaczął ujadać.

– Csobán, cicho! Spokój! – rzuciła dziewczynka.

– Przyszedłem po owce – powiedział Mitru i szarpnął rzemieniem strzelby.

Oczy dziewczynki zrobiły się okrągłe.

– Po jakie owce?

– Co się należą za wypas – odparł Mitru – dwie owce. Dziewczynka tylko tak stała i patrzyła.

– Dwie owce...?

Owieczki i kozy pasły się powyżej domu. Mitru już je dojrzał.

– Całkiem tanio ci pozwoliłem – rzekł i ruszył w kierunku owiec. Pies znów zaczął szczekać.

Dziewczynka jednym susem wyrosła przed Mitru i zagroziła mu drogę. Buzię miała czerwoną od gniewu, oczy jej iskrzyły.

– Nie dam owieczek! Słyszycie? Nie dam!

Na twarzy Mitru odmalowało się raczej zdziwienie aniżeli gniew.

– Nie daasz?... – zapytał. – A jeśli wszystkie zabiorę, a ciebie wypędzę precz z tej chaty, co? Kto pozwolił, żebyście się tu sprowadzili? Co?

Dziewczynka poczerwieniała, a do oczu cisnęły jej się łzy.

– Owieczki przysłał tata i ja ich nie oddam! Mitru począł rechotać. Brutalnie, podle rzekł:

– Ten stary morderca, tak mówisz? Nie bój się, on to niczego nie przyśle! W dobrym jest miejscu! Stamtąd nie przysłała się owiec! Kto ci tak powiedział, że to on je przysłał?

Dziewczynka, zdumiona, stała przed Mitru.

– Kto? Tamten w skórzanej kurcie, tamten z miasta! To on, on przecie był u taty!

– A gdzie tam był – zaśmiał się Mitru. – Był tylko na targu, ty głupia! A z pieniędzy, które mu dałaś, kupił kozy i owce! Rozumiesz? A skąd były te pieniądze? Co? Ze skór z kuny, prawda? A kto ci pozwolił, żebyś łapała w sidła? Co? Gdybym tylko chciał, mógłbym zabrać ci wszystkie te zwierzęta! Popatrz no! I ty mi tu jeszcze pyskujesz?

Ale tego Nuca już nie słyszała. Słyszała tylko, że to nie tata przysłał kozy i owce. Słyszała tylko, że ów człowiek z miasta, tamten w skórzanej kurcie, nie był u taty, nie oddał mu pieniędzy, nie przekazał wiadomości. A to, co o tacie opowiadał, to wszystko było kłamstwem. Także wiadomość od taty była kłamstwem. To, że ją pochwalił, to też. Wszystko, wszystko było kłamstwem.

Stała tak i naraz zrobiła się bardzo blada. Zaczęła dygotać. Podeszła do zagrody, oparła się o słup i podniosła wzrok na Tron Boży. Tam w górze była mgła, mgła i chmury. Szare, bardzo szare. Jak kłamstwo.

– Wybiorę je – rzucił Mitru i znów szarpnął rzemieniem strzelby.

– Weźcie je wszystkie! – dziecko odparło cicho. – Wszystkie je zabierzcie.

Ani jednej mi nie trzeba.

Strażnik leśny spojrział nań spod kapelusza i ruszył w kierunku owiec. Złapał dwie, przywiązał im sznurek do nóg.

– Biorę te dwie! – zawołał do dziewczynki.

– Wszystkie weźcie, wszystkie!

Mitru ruszył z owcami w dół. Szarpał je za sznurek. Zaszczekał pies.

– Zawołaj psa, no! Bo go zastrzelę!

Dziewczynka odepchnęła się od słupa i krzyknęła:

– Wszystkie je weźcie! Słyszycie?! Wszystkie, wszystkie! Niech ani jedna nie zostanie! Ani jednej mi nie trzeba! Ani jednej!

Po czym wbiegła do domu, zatrzasnęła drzwi i bez sił opadła na posłanie.

Długo tam leżała. Jej łyzy do cna przemoczyły wełnę kozucha. Później wstała i wyszła. Lecz to już nie była ta sama Nuca co rano. Inna. Dziewczyna o bladej twarzy, wielkich oczach. Trochę jakby wyciągnęło ją i w krzyżu. W milczeniu naniosiła wody, drewna. Podsyciła ogień. Kozy i owce wciąż jeszcze pały się tam gdzie przedtem. Ale owieczki były tylko cztery.

Później wreszcie zaczął padać śnieg. Wszedł pies, a i kozy, i owieczki schowały się pod daszek. Rzuciła im siana i zamknęła też kury. Potem przyszła również sarna i położyła się na kozuchu. Dziewczynka usiadła przy niej, objęła ją za szyję i tak tam siedziała bez słowa, aż nadszedł wieczór, a padający śnieg przygniótł cały świat.

Owego czwartku nie zeszła do wsi. Ale następnego dnia jednak wystrugała trzaski i każdego poranka jedną z nich spaliła. Na zewnątrz leżał już śnieg, sięgał do kostek. Wieczorami schodziły łanie paść się w olszynie.

Kiedy skończyły się i te trzaski, dziewczynka jednak wyruszyła. Od czterech dni nie jadła mamałygi, a i kurom nie miała czego sypnąć.

– Zmizerniałaś, dziewczynko – zagadnął Nátu przed karczmą – a w tamtym tygodniu na próżno na ciebie czekałem!

– Nie byłam we wsi – odparła cicho.

Potem opowiedziała o zajściu z Mitru. I że to nie tata przysłał zwierzęta, i wcale też nie podał żadnej wiadomości, kłamstwem było to wszystko, kłamstwem. Opowiadała szarym, smutnym głosem. Młodzieniec słuchał jej.

– Tak to jest, a i owszem, tak to jest. – Westchnął i podniósł głowę. – Mitru zabrał dwie owieczki, tak mówisz?

– Zabrał.

– Za wypas?

– Za wypas.

– A niech go zaraza weźmie, tego łajdaka!

Nie rozmawiali długo, bo na zewnątrz było zimno, a szynk pełen ludzi. Ale nocą – już dawno było ciemno – naraz począł szczekać Csobán. Szczekał, alarmując. Dziewczynka poderwała się spod kożucha, chwyciła do ręki siekiere o długim stylisku i wychynęła za drzwi. W rozgwieżdżonej nocce ktoś szedł ścieżką w górę, a przed sobą pędził parę zwierząt.

– Csobán, cicho! – krzyknęła na psa.

Ten zamilkł. W ciszy słyhać było skrzywienie kierpców. Człowiek pogonił zwierzęta wprost ku zagrodzie. Otworzył bramkę, wpuścił je do pozostałych, a bramkę ponownie zamknął. Dziewczynka patrzyła nań z progu, marzła.

– To ty, Nátu?

– Ja.

Młodzieniec podszedł do drzwi.

– Wejdz do środka. Jest zimno.

Podsyciła ogień. Młodzieniec usiadł na ławie i w milczeniu wpatrywał się w płomienie.

– Przyprowadziłem je z powrotem – odezwał się po jakimś czasie ochryplym głosem.

– A Mitru...?

Młodzieniec zaśmiał się krótko.

– Więcej nie przyjdzie tu po nie, nie bój się!

W oczach dziewczynki zabłysła troska, ale o nic nie pytała. Tylko stała i niekiedy dokładała chrustu do ognia. Po pewnym czasie młodzieniec wstał i przeciągnął się.

– Zostanę tu do rana – rzekł – nie warto iść po nocy. Rozejrzał się i zobaczył posłanie pod półką.

– Tamto jest taty – dziewczynka zaznaczyła pośpiesznie.

– A ty gdzie śpisz? Pokazała poza palenisko.

– Zmieścimy się razem – rzekł młodzieniec i usiadł na kożuchu. Rozwiązał sobie kierpce, poluzował też pasek u spodni i położył się.

– Jest tu miejsca i dla ciebie – powiedział później, jako że dziewczynka wciąż jeszcze stała przy ogniu.

Powoli wyszukała olchowe polana, załatwiła co trzeba z ogniem, pomału i starannie, jakby krępowały ją jakieś niewidzialne pęta. Wreszcie jednak wszystko to skończyła i już nic więcej nie było do zrobienia. Bezradnie stała przed posłaniem.

– Chodź już, zmarzniesz w koszuli! – młodzieniec zawołał na nią niecierpliwie.

Bez słowa wślizgnęła się pod kożuch. Jej ramię dotknęło młodzieńca i dziewczynka od tego zadrżała.

– Zimno ci?

– Nie.

– Drżysz.

– Nie wiem.

– Ależ tak. Szczękasz zębami, słyszę.

– Takie to dziwne.

– Co?

– No, tak, razem z tobą. Młodzieniec roześmiał się cicho.

– Dzieciaku. Co ty o tym wiesz! – A później dodał: – Jakie masz gorące ciało! Jesteś chora? – A jako że dziewczynka nie odpowiadała, rzucił jeszcze: – No to śpijmy!

I po kilku chwilach już spał, głęboko, zdrowo posapując. Dziewczynka czuwała. Słuchała miarowego, silnego, męskiego sapania i miała jakieś dziwne, jakieś przerażająco piękne uczucie. Czuła, że skóra jej płonie pod koszulą, od gorąca i od chłodu przechodziły ją dreszcze, a czasem stuknęły jej zęby, jeden o drugi. Przy każdym lekkim poruszeniu się na powrót dotykała śpiącego, a to znów było jakimś wywołującym dreszcze, pięknym i strasznym uczuciem. Nie potrafiła zasnąć. Z otwartymi oczami śledziła grę ognia na belkach sufitu, to, jak blask płomieni stawał się bledszy, aż w końcu wszystko zamknęła ciemność. Gdzieś skrobała mysz. Potem wysoko w którymś z jarów beknęła łania. I była tylko cisza, i ten dziwny, wywołujący dreszcze gorąc w jej ciele. A obok niej ów śpiący mężczyzna.

Bardzo wolno upływała jej noc. Na próżno zamykała oczy, sen nie przychodził. Męczyły ją straszne i dziwne uczucia. Potem zaczęło się robić coraz zimniej. Po długim, długim czasie ostrożnie wstała i podsyciła ogień. Płomienie z trzaskiem wczepiły się w jodłowy chrust i naraz napełniły dom nerwowym, roztańczonym światłem.

Młodzieniec na posłaniu wyrwał się ze snu. Usiadł.

– Co to? Już rano?

Dziewczynka siedziała blisko ognia i szczękała zębami.

– Nie wiem – odpowiedziała cicho – nie myślę.

I wpatrywała się w jakąś ciemną plamę na swojej koszuli. Nātu podniósł się sennie. Przeciągnął się, zawiązał rzemyki u kierpców, potem podszedł do drzwi i wyjrzał na zewnątrz.

– Zaraz będzie świtać – rzekł – mogę zdążyć na poranne karmienie.

Dziewczynka wciąż jeszcze siedziała przy ogniu i wpatrywała się w plamę.

– Co ci jest?

Podszedł do niej i spojrzał jej w oczy. Odbijały się w nich przerażenie

i bezradność.

– Co to? Jesteś chora?

– Nie wiem – odparła, a zęby jej zadzwoniły – to takie dziwne... Starła się ukryć płamę, jednak młodzieniec dostrzegł ją.

– Co tam masz?

– Krew – powiedziała, dygocząc, a głos jej się załamał. Oczy w gorączce patrzyły z przestraczem, wołając o pomoc.

Młodzieniec przez chwilę przyglądał się jej w zdumieniu, w końcu zapytał:

– Tak naprawdę ile ty masz lat?

– Czternaście.

Nátu wcisnął czapkę na głowę.

– Połóż się – rzekł – i dobrze się okryj! To minie.

– Ale co to jest...?

– Stałaś się teraz dorosłą panną. No, niech Bóg ci błogosławi! Z tymi słowami już szedł do drzwi. Powoli zamknął je za sobą i jeszcze przez chwilę słysząc było tam na zewnątrz jego kroki na mrozie, aż potem i one ucichły. Dziewczynka siedziała przy ogniu z rękę przyciśniętą do piersi, a serce dziko jej waliło. Wirowały w niej słowa młodzieńca, drżała od tego i szczykała zębami.

Przez kilka dni była jeszcze słaba, w tym czasie twarz jej się wyciągnęła, oczy urosły i ocieniły je brązowe podkówki. Coś czuła w sobie, jakąś nieokreśloną zmianę, ale nie wiedziała, co to jest, i bała się tego. Była senna i zapominała o tym i owym. Lecz wszystko to trwało ledwie kilka dni, po czym naraz skończyło się, jakby przeminęło z wiatrem, podobnie jak na dworze wiatr przegania chmury. Zimowe słońce iskrzyło blaskiem i powietrze znów wyszczypało jej twarz na czerwono.

Ale coś... coś jednak pozostało z tamtej nocy. Gdzieś bardzo głęboko, zupełnie głęboko w środku coś pozostało. Niekiedy czuła to, gdy pomyślała o Nátu. Gdy pomyślała o tym, że tu był, leżał obok niej, słyszała jego sapanie, a czasem dotykała go ramieniem. Gdy pomyślała o lecie, jak razem szli ścieżką. Coś wówczas powracało, jakieś dziwne drżenie. Nie wiedziała, co to jest. Ale wiedziała, że wszystko nie jest już takie, jak było latem. Nie jest takie piękne i proste. Jest mgliste i niepewne. Jednak piękniejsze. Jakoś tak mimo wszystko piękniejsze. Nie wiedziała dlaczego i nie wiedziała, co to jest. Lecz czuła, że pięknie jest o nim pomyśleć i że ubywa trzasek na półce.

Tamtego dnia – czwarta trzaska spłonęła rano na ogniu – tak około południa zagrzmiął nad domem strzał. Strzał ten nadleciał od strony Macskakő i musiał być nieodległy, bo w ślad za jego odgłosem posypał się też szron z drzew. Dziewczynka akurat układała drewno i na ów dźwięk poderwała głowę. W tym strzale było coś złego, coś podłego. Jakoś tak w jego brzmieniu. Serce jej od tego zabiło. Czuła, że coś się stało.

Ledwie minęło kilka chwil i ciszę zburzyło ujadanie. Ostre, okrutne ujadanie. Sprzed domu wybiegł Csobán i on też począł szczeakać. Ujadanie było niedaleko, pomiędzy drzewami, i przybliżało się.

Potem w drągowinie pojawił się wąski, szary, mały cień, jakiś nieporadny mały cień, który się przybliżał. Małymi, niezręcznymi skokami, niezgrabnie. A tuż za nim biegł jakiś wielki, mroczny cień i ten cień ujadał.

Nie wiedziała jeszcze, co to jest, ale bezwiednie pochwyciła siekiere z długim styliskiem i przycisnęła ją do siebie. Serce jej waliło. Csobán, nastroszywszy uszy, patrzył pomiędzy drzewa i już nie szczeakał.

Potem ten pierwszy cień, ów mały, szary, nieporadny, dotarł do skraju polany i jednym niezgrabnym susem wyskoczył spomiędzy drzew. Była to sarna. Poznała ją. To była ta sarna. Chwiejąc się, stanęła w śniegu i spojrzała w kierunku domu. Popatrzyła na dziewczynkę. I zapłakała ze skargą. Ale wówczas już był tam za nią ten drugi. Wielki, ciemny. Jakiś pies myśliwski. Ogromnymi skokami rzucił się na sarnę. Ta uciekła raz jeszcze; był to krótki, kiepski, mały skok; rozległo się ostre, przenikliwe wołanie o pomoc, rozdzierający serce krzyk w obliczu śmierci, a potem już tylko wielki, charczący kłęb rył śnieg na skraju polany.

Csobán zawył. Od tego głosu zastygłe przerażenie puściło. Dziewczynka rzuciła się w przód po śniegu, machając siekiere z długim styliskiem.

– A pójdiesz ty, no! Csobán! Bierz go, Csobán! Bierz! Krzyczała mocnym głosem i biegła. Biegła na oślep, jak oszalała. Nim tam dotarła, sarna leżała już rozciągnięta. Jej ciało, wstrząsane śmiertelnymi drgawkami, krwawo rozszarpywał wielki brązowy pies.

Już na niego nie krzyczała, tylko doń zaraz podskoczyła. Csobán szczeakał, zjeżywszy sierść. Obcy pies puścił sarnę i cicho warcząc, wyszczerzył zęby. Potem uderzyła siekiera, akurat w jego łeb. Raz. Drugi. Trzeci. Z rozwalonego łba trysnęła ciemnoczerwona krew i mieszała się w śniegu z krwią sarny. Wielki brązowy pies wyciągnął się bez ruchu. Jeszcze mu tylko zadrzały mięśnie, jeszcze tylko uderzył nogami raz i drugi. Csobán, zjeżony, doskoczył doń i obwąchał go.

Dziewczynka odrzuciła siekiere i przykucnęła przy sarnie. Ta jeszcze żyła. Ledwo, ledwo podniosła głowę i spojrzała na dziewczynkę. Popatrzyła na nią ogromnymi, smutnymi oczami. Jakby chciała coś powiedzieć. Potem wzrok jej zmętniał, oderwał się od dziewczynki i powędrował wysoko na drzewa, na niebo... głowa szarpnęła się i przechyliła się w śnieg. Dziewczynka położyła ją sobie na kolana, ale oczy sarny więcej już na nią nie spojrzały. Nigdzie już nie patrzyły. Mrugnęły jeszcze kilka razy i potoczyły się z nich dwie wielkie, ciężkie łzy. Potem światło w nich zgasło i ogarnął je mrok, jak w oknach niezamieszkanego domu.

Dziewczynka siedziała w zakrwawionym śniegu, z głową martwej sarny na kolanach, i nie płakała, tylko wpatrywała się przed siebie. Potem słycać było kroki, Csobán zaczął szczeakać, a spomiędzy drzew wyszli ludzie. Było ich dwóch.

Tym, który biegł z przodu, był Mitru.

– Ej, do diaska z tym zakutym łbem! – wrzasnął. – Niech pan podejdzie, panie inżynierze! Proszę szybko podejść! Przepadł drogi pies! Ech, ażeby ją szlag trafił!

Nadszedł chudy, blady człowiek, pan. I on coś krzyczał, ale Csobán szczeakał jak oszalały.

– Zastrzel tego kundla! – zawołał do Mitru. Mitru zdjął strzelbę z ramienia.

Dziewczynka poderwała się ze śniegu w dzikim gniewie. Podniosła siekiere, pochwyciwszy ją w obie ręce, i krzyknęła:

– Nie ruszajcie go! Morderca!

Csobán cofał się, zjeżywszy sierść. Mitru podniósł strzelbę.

– Nie ruszajcie go! – dziewczynka skoczyła do Mitru i podniosła siekiere nad jego głowę.

– Oszalałaś?! – Mitru spojrział na nią i opuścił strzelbę.

– Strzelaj! – wrzasnął inżynier i on też zdjął strzelbę z ramienia. – Nie dość, że zabiłaś mi drogiego psa, to jeszcze śmiesz grozić?!

Podniósł strzelbę na wysokość ramienia i huknął strzał. Csobán ostro zaskowyczał tam z tyłu. Powietrze wypełniło się dymem i zapachem prochu.

– Morderca! – wysyczała przez zęby i szykowała się do uderzenia.

Wtedy ktoś złapał ją z tyłu za ramię i wykręcił je z ogromną siłą. Siekiera wypadła jej z ręki. Dziewczynka poczuła uderzenie w pierś i przewaliła się w śnieg, koziołkując. Przez kilka chwil nie mogła złapać oddechu. Przed oczami zatańczyły jej różnobarwne kręgi, nic a nic nie widziała wokół, tylko jakąś czerwoną mgłę, a w uszach jakby dzwoniły jej młoty.

Wreszcie po pewnym czasie całe to zamroczenie przeszło. Poznała drzewa, polanę, martwą sarnę w śniegu i wielkiego, nieruchomego, brązowego psa. I głos inżyniera, jak wrzeszczał:

– Kto pozwolił, żeby się tu sprowadzili?! Kto dał pozwolenie, żeby w lesie trzymali zwierzęta?! Mitru, wszystkie zwierzęta zebrać i zagonić do wsi! Nauczę ja ten motłoch porządku! Każę tę małą szmatę odesłać do aresztu dla włóczęgów, a chatę podpalamy! Dam ja im siekiere, temu szatańskiemu nasieniu morderców!

Inżynier wrzeszczał skrzekliwie, a Mitru właśnie wyganiał zwierzęta z zagrody. Kozy meczały.

– Jutro przyślę po ciebie żandarmów! – inżynier krzyczał z pianą na ustach i pięścią groził dziewczynce, bez sił opadłej na śnieg.

Po czym poszli. Z przodu potężnym, gniewnym krokiem chudy inżynier, z tyłu Mitru ze zwierzętami. Bił je długim kijem, gdy nie chciały iść. Jedna chwila i już pochłonał ich las w dole.

Dziewczynka wciąż siedziała w śniegu. W głowie jej huczało, bolało ją ramię. Długo siedziała tak bez ruchu. Czowała ziąb śniegu, rozlewający się po jej

ciele.

W końcu wstała. Ale wtedy zimna była już i ona sama. Zimna, zimna jak lód. Weszła do domu, wyniosła łopatę. Przy skrajnych drzewach wykopała dół. Ciężko to szło, ziemia była twarda. A i ramię rwało ją okrutnie. Ale i tak dół powoli się powiększył. Urwała kilka gałęzi jodły i miękko go nimi wymościła. Następnie przydźwigała tam martwą sarnę i pięknie włożyła ją do wysłanego choinami dołu. Poprawiła jej głowę, potem znów przyniosła gałęzi jodły i przykryła sarnę, delikatnie, starannie. Potem przez jakiś czas stała i patrzyła na nią. W końcu westchnęła niczym starzec i łopatą zgarnęła ziemię na sarnę. Starannie poprawiła, przyklepała kopczyk płazem łopaty. Następnie odszukała w śniegu siekierę, z suchej buczyny wyciosała surowy krzyż, taki sam, jaki widziała na cmentarzu. Wbiła go u szczytu mogiły. Potem tylko tak przed nim stała i patrzyła. Słońce podążało już w dół, a ponad maleńkim grobem wyciągnęły się cienie.

Naraz usłyszała ciche skamlenie. Poderwała głowę. Przypomniał jej się Csobán, pies. Rozejrzała się wokoło. Pies siedział skulony obok progu domu. Był ledwie taki jak mała kulka śniegu w czarne łaty. Cicho skowyczał.

Podeszła do niego. Śnieg przy progu był zakrwawiony. W zakrwawionym śniegu biedował pies, drżał i lizał sobie łapę, szczękając zębami. Na jego przedniej lewej nodze, całkiem wysoko, była wielka, brzydka rana. Pod łopatką jedynie zakrwawiona skóra przytrzymała razem mięso i kość. Jedną raną była też klatka piersiowa szczeniaka. Spod przyklejonych tam włosów wystawał nagi koniec żebra.

Naniosła do domu siana i przy palenisku zrobiła zeń posłanie dla psa. Potem ostrożnie wzięła zwierzę na ręce i wniosła je do środka. Pies nawet nie jęczał, tylko kilka razy polizał ją po twarzy gorącym językiem.

Rozpaliła ogień. Zagotowała wodę. Każdy jej ruch był wymierzony i chłodny. Ugotowała mamałygę, ile tylko zmieściło się w kociołku. Panowała chłodna, wielka, zimowa cisza. Na sianie pies, jęcząc cicho, lizał sobie ranę.

Kiedy mamałyga była gotowa, podzieliła ją na pół. Jedną część zawinęła w chustę i wetknęła do pięknego, czerwonego woreczka. Drugą połowę położyła na wielkim blaszonym talerzu, wylała na nią resztę koziego mleka i postawiła przy posłaniu psa. Pies podniósł na nią wzrok, lecz jedzenia nie tknął.

– Zjesz jeszcze – rzekła do niego. Następnie do drugiej miski naląła wody i ją też postawiła obok psa. Potem jeszcze naniosła drewna, dołożyła do ognia polan buku i olchy, owinęła sobie nogi ciepłymi gałgankami, na szyi zawiesiła czerwony woreczek, wzięła do ręki siekierę z długim trzonkiem i wyruszyła.

Drzwi starannie zamknęła i oparła o nie na zewnątrz miotłę, po czym nawet nie obejrzawszy się, podążyła ścieżką w dół. Było już ciemno, panował mglisty, zimowy mrok. Wysoko kilka samotnych gwiazd mocowało się z mgłą. Ścieżka

skrzypiała pod stopami. Nie było żadnego ruchu. Tylko gdzieś w dole wył pies, może zwęszył wilka.

Drogą we wsi szło naprzeciw kilku mężczyzn. Popatrzyli na dziewczynkę, poznali ją i ze zdziwieniem gapili się za nią. Z karczmy wytoczył się z wielkim hałasem tuzin zionących palinką robotników, pracujących przy wyrębie lasu. Wykrzykiwali ku niej ordynarne słowa i rechotali. Przyciskała do siebie siekiere i szła. Przed karczmą skręciła w prawo, gdzie droga prowadziła doliną w dół.

Wkrótce znalazła się poza wsią i wówczas już nikogo więcej nie spotkała. Tylko rzeka Maros szumiała, a po obu stronach stały pokryte śniegiem góry. Niekiedy ponad drogą przefrunęła jedna i druga sowa, miękko uderzając skrzydłami. Ciemność poruszała cienie w lesie pośród drzew. Pieńki wyrastały na wilki, krzaki bawiły się w niedźwiedzie. Później w końcu wzeszedł księżyc.

Za Disznajó, sieroco podzwaniając, dogoniły ją sanki zaprzężone w jednego konia. Człowiek ściągnął cugle.

– Gdzież to idziesz, kobieto?

Nuca zaśmiała się cicho. Pierwszy raz tamtego dnia.

– Nie jestem kobietą, tylko dziewczyną.

– Hooo! – rzucił mężczyzna i zatrzymał konia. Po czym spojrzał wstecz. – Gdzież to idziesz taką późną nocą, dziewczyno?

– Do barona.

– Do jakiego barona? – zadziwił się mężczyzna.

– No do barona. Czyj jest ten las.

– Masz na myśli barona na Vécs?

– Tak, jego.

Mężczyzna nachylił się bliżej, żeby w słabym blasku księżyca dojrzeć twarz dziewczyny.

– I to nocą?

– Co robić!

– No to chodź, wsiadaj! – rzekł mężczyzna. – Jestem z Felfalu, mogę cię zabrać do Vécs. O takiej porze nie jest dobrze samemu w drodze.

Dziewczyna wdrapała się na sanie obok mężczyzny.

– Na, masz tu kozuch, nałóż go na siebie!

– Jest ciepło.

– Jak idziesz, to tak. Ale gdy siedzisz, to nie.

Po czym wziął w ręce cugle i znów zabrzączały dzwonki konia. Jechali powoli. Sanie o drewnianych płozach cicho trzeszczały na śniegu. Ponad Maros unosiły się opary o dziwnych kształtach, a blask księżyca w pełni, iskrząc, rozsypywał się po mknącej wodzie.

– No a jakąż to sprawę masz z baronem? – zapytał mężczyzna po pewnym czasie.

Dziewczyna opowiedziała. O inżynierze, o sarnie, o wszystkim. I że zabrali zwierzęta. A nawet i o tym, że Csobán, pies, został w domu chory. Mężczyzna słuchał jej, słuchał. Niekiedy wzdychał, innym razem kręcił głową.

– Hej, a i owszem, tak to jest, tak. Ojca ty nie masz?

– Zamknęli go.

– A twoja matka?

– Sama jestem.

– Sama jedna?

– Sama jedna.

Mężczyzna popędził konia. Od strony martwej odnogi Maros poprzez dolinę uderzył wiatr. Przyniósł z sobą wycie psa.

– Chodzą wilki – rzekł mężczyzna i machnął batem w kierunku wycia psa.

Na łące przy martwej odnodze Maros w księżycowej mgłę poruszały się cienie. Ale możliwe, że były to tylko zarośla janowca.

– No cóż, nie sądzę, żebyś barona znalazła w domu – powiedział mężczyzna.

– Czemu? – wystraszyła się dziewczyna.

– Na zimę przenosi się on do miasta. Do Kolozsváru, Budapesztu, czy ja wiem.

Pod Leányvárem przebiegł drogę zając.

– Zły znak – mężczyzna pokręcił głową i znów westchnął.

– I do miasta za nim pójdę! – dziewczyna rzuciła przekornie. Mężczyzna tylko wzdychał. Później, pod lasem w Vécs, powiedział jeszcze:

– Wysłuchać zebranej przez rok nędzy biednego człowieka to dla panów tylko chwilka. A i tej żałują. No, wio!

Vécs spało już w czerni, cała wieś. Nie paliło się ani jedno światło. W blasku księżycy zamek piętrzył się wyciągniętymi wysoko wieżami i milczał, ciemny, ponury. Mężczyzna wjechał do wsi. Na zamkniętej drodze sieroce dzwonki u szyi konia zadźwięczały przestraszonym.

– No to ja wysiadam – rzekła dziewczyna – i dziękuję, że mnie tu przywieźliście.

– Czekaj! Mieszka tu mój szwagier. Możesz u nich zostać na noc. Dokąd byś teraz poszła?

Zatrzymali się przed jakąś bramą. Mężczyzna wysiadł i załomotał w płot. W środku zaszczekał rozłoszczony pies. Wreszcie po jakimś czasie w oknie rozblęskło światło. Potem słychać było odgłos rygła we drzwiach.

– Kto tu chodzi? – jakiś głos burknął ze złością.

– To ja, szwagier – odparł mężczyzna – otwórz bramę.

Ktoś przebiegł przez podwórze w samej koszuli i kalesonach. Brama otwarła się ze skrzypieniem.

– Stało się co? – jakiś mężczyzna z wąsem zapytał w przestraszeniu.

– Przywiozłem jedną dziewczynę – odrzekł ten z sań – wpuść ją do domu na noc! Idzie na skargę do barona. Dość ma kłopotów, biedaczka. No, niech Bóg da dobrą nockę!

Potem znów poczęły brzęczeć dzwonki u szyi konia.

– Wejź! – rzekł mężczyzna.

Wewnątrz ułożyli przy piecu pierzynę, a na nią koc. Potem musiała raz jeszcze opowiedzieć o zajściu z inżynierem. Mężczyzna słuchał jej. Także jego żona, z łóżka.

– Masz szczęście – rzekł, gdy dotarła do końca opowieści – baronostwo właśnie wczoraj przyjechali na tygodniowe polowanie. Z wieloma różnymi panami. W tym jednym masz szczęście. Ale w czym innym... to nie przypuszczam.

Westchnęli i zgasili kaganek.

Rano, ledwie świtało, dziewczyna była już na nogach.

– Dziękuję za nocleg. Bóg zapłać!

Wzięła siekierę pod pachę i ruszyła w górę, na zamek. Był to piękny poranek, śnieg skrzypiał pod nogami. Kiedy dotarła do bramy zamkowego ogrodu, akurat wstawało słońce. W dół drogą dla wozów szedł jakiś człowiek ze strzelbą na ramieniu.

– He! – rzucił – naganiacze zbierają się przed oficyną! Ale dziewcząt i tak nie przyjmujemy.

– Ja idę do barona – odpowiedziała zdecydowanie.

Człowiek ze strzelbą, zdziwiony, popatrzył na dziewczynę z siekierą.

– No a skąd ty idziesz?

– Znad Urszu.

– No a to gdzie jest?

– Wysoko – odrzekła dziewczyna i niepewnie pokazała ręką w kierunku wschodu – wysoko w górach, wiecie.

– No to idź!

Wolno posuwała się w górę po krętej drodze dla wozów. Wysoko przy stajniach żwawo uwijali się woźnice. Stały tam rzędem sanie, wyczyszczone na błysk, a ładnie ubrani ludzie wkładali do sań kożuchy, koce. Dziewczyna zagapiła się na nich.

– A ty czego tu szukasz, co? – zaczepił ją jeden mężczyzna z dużymi wąsami.

– Mam sprawę z baronem – odparła krótko. Woźnice poczęli się śmiać.

– No, no! Skoro tak, to idź na wewnętrzny dziedziniec!

Poszła dalej. Dotarła do bramy mostowej, której po obu stronach strzegły dwa wielkie kamienne lwy. Z podziwem popatrzyła na te kamienne lwy, na wysokie mury zamku, na wieże, na bramę z herbem, na okna w czerwono-białe pasy i na flagę wysoko na wieży.

Ktoś wyglądający na pana wyszedł z bramy.

– Gdzie jest baron? – spytała dziewczyna.

Mężczyzna w ubraniu z szamerunkiem spojrział na nią i zapytał:

– Czego chcesz?

– Mam do pomówienia z baronem.

– Wejź do środka i poczekaj!

I już się zabierał, ale Nuca zawołała za nim:

– Stańcie, no!

– Co jest?

– Powiedźcie, co to za zwierzęta? – spytała, pokazując na kamienne lwy.

Ten w ubraniu z szamerunkiem roześmiał się.

– Ano lwy.

– A na co tu one?

– Żeby strzec bramy – zaśmiał się mężczyzna. Dziewczyna wydeła usta.

– Te? Przecie są z kamienia. Nie ma baron psa, którego mógłby tu przywiązać?

Mężczyzna zaśmiał się znowu i poszedł. Na wewnętrznym zamkniętym dziedzińcu przeróżni ludzie wciąż biegali tam i z powrotem. Kamiennymi schodami w górę, kamiennymi schodami w dół; nosili tace, naczynia, podzwaniali kluczami, pokrzykiwali. Dziewczyna zatrzymała się i patrzyła na tych rozmaitych ludzi.

– Gdzie jest baron? – zapytała w końcu jednego, co tamtędy przebiegał.

– Jeszcze nie wstał, głupia, co ty myślisz! – odwarknął w odpowiedzi i pobiegł dalej.

– Poczekaj trochę, nic ci nie będzie – rzucił do niej jakiś inny. I Nuca czekała. Oparła się plecami o ścianę, twarzą do słońca, wyjęła z woreczka mamałygę i zaczęła ją sobie powoli podjadać. Później ludzie w białych rękawiczkach, w ładnych ubraniach, ponieśli na górę wszelkiego rodzaju potrawy na wielkich tacach. Wreszcie po długim czasie na szczycie schodów pojawiła się jakaś kobieta odziana w czerń i podniesionym głosem jąła wydawać rozkazy.

– Baronowa – ktoś zaszeptał w przestrychu.

Nuca schowała resztę mamałygi, otarła sobie usta, wcisnęła pod pachę siekierę o długim stylisku i ruszyła w kierunku schodów. Szła na górę po szerokich kamiennych stopniach, prosto do kobiety odzianej w czerń. Ta wciąż jeszcze wydawała rozkazy tam wysoko. Lokaje, woźnice, kucharze, komornicy, kuchciki i ludziska wszelkiego rodzaju służb bez słowa stali w dole i słuchali jej. Kilku dostrzegło obcą dziewczynę z siekierą, idącą po schodach, i w zdumieniu warknęli na nią:

– Czego tu chcesz? Oszalałaś? Dokąd idziesz?

Ale Nuca wciąż tylko szła dalej. Zatrzymała się na szczycie schodów przed

kobietą i czekała. Ta po pewnym czasie przerwała rozkazywanie i ze zdziwieniem spojrzała na dziewczynę z siekierą.

– A ty kim jesteś? – spytała surowo.

– Jestem Nuca znad Urszu – odpowiedziała dziewczyna.

– I czego tu chcesz?

– Mam sprawę z baronem.

Starsza, surowa kobieta przenikliwym wzrokiem zmierzyła ją od stóp do głowy.

– A jaką to masz sprawę?

– Potrzeba sprawiedliwości! – odrzekła dziewczyna i uniosła głowę.

– Też, a i owszem, potrzeba – odpowiedziała surowa kobieta, przytakując skinieniem głowy. Potem rzuciła do jednego z tych obiboków w białych rękawiczkach: – Poproś tu pana barona!

– Tak jest, za momencik – ten odparł, z tacą w rękach.

– W tej chwili! – wrzasnęła nań baronowa.

Lokaj pośpiesznie odstawił tacę na szczytowym słupku poręczy schodów i popędził.

– A wy na co tu się gapicie?! – baronowa krzyknęła na obiboków w dole. – Nigdy jeszcze nie widzieliście dziewczynki? Zajmijcie się swoją robotą!

Następnie znów zwróciła się do dziewczyny:

– Jesteś z wysokich gór?

– Tak.

– Dlaczego to ciebie przysłali? Dlaczego nie przyszedł twój ojciec, skoro ma sprawę?

– Jestem sama – Nuca odparła zwyczajnie – nikt mnie nie przysyłał. Nie ma w domu nikogo, tylko chory pies.

Wtedy otworzyły się drzwi i wyszedł z nich baron. Miał na sobie myśliwski strój. Ponad siwiejącą brodą łagodnie spoglądały jego oczy.

– Kto mnie szuka?

– To dziecko tutaj – odrzekła baronowa. Baron spojrzał na dziewczynkę.

– Jakbym gdzieś już ciebie widział – powiedział.

– Mieszkam nad Urszu. W tamtej chacie, wiecie. Jesienią daliście mi pieniądze!

Baron patrzył przed siebie w zamyśleniu.

– Nad Urszu, mówisz? W tamtej okrągłej chacie?

– Tak, tak!

– Stało się coś?

I dziewczyna wszystko opowiedziała. Nie szukała słów i ich nie dobierała. Opowiedziała wszystko, tak jak się zdarzyło. Z sarną, z psem, z inżynierem, ze zwierzętami. Opowiedziała i o siekierze, wszystko. Słuchał jej baron i słuchała też

baronowa. W dole słuchało jej także kilkoro ze służby.

Nareszcie baron pogładził brodę i uśmiechnął się.

– I byłąbyś mi zabiła inżyniera, co? Ty dziewczynko z siekierą!

– Zabiłabym, a jakże! – odrzekła z rumieńcem na twarzy.

– Ha, ha, ha! – zaśmiewał się baron – a co jest z twoim ojcem?

– Sami wiecie – odpowiedziała dziewczyna, posępniejąc.

– Oczywiście, oczywiście – baron uderzył się w czoło – wiedziałem, że o czymś zapomniałem. Chciałem do radcy prawnego. No, ale on tu akurat jest. Zaraz z nim to załatwię, żeby znów nie zapomnieć. Ma dopilnować sprawy twojego ojca. Czekaj no, od razu teraz mu o tym powiem. Dobrze, że przyszłaś, bardzo dobrze.

Z tymi słowami pośpiesznie zawrócił w drzwiach i więcej już się nie pokazał.

Baronowa w zamyśleniu przyglądała się dziewczynie.

– Wszystko było tak, jak opowiedziałaś?

– Tak.

– Niczego nie przemilczałaś?

– A cóż miałabym przemilczeć?

I ze zdziwieniem podniosła swe czyste, błękitne oczy na kobietę w czerni. Tamta przez dłuższą chwilę surowo zaglądała w te oczy. Wreszcie tak powiedziała:

– Oczy masz czyste. Nie kłamiesz. Idź do kuchni i poczekaj na resztę!

Następnie zwróciła się do tych wałęsających się w dole:

– Zatoszczcie się o dziewczynkę, dajcie jej, czego trzeba! No, idź!

Zaprowadzili ją do kuchni. Otoczyli niczym jakiś cud i kazali opowiedzieć wszystko raz jeszcze od początku. Cała czeladź ubolewała z przerażeniem:

– Ojej, jak on miał sumienie! Ojej, co za podłość! Dobrze zrobiłaś, że tu przyszłaś, moja duszko! Wszyscy oni tacy są, zrobią karierę i myślą, że są panami! I mogą sobie poczynać, co chcą! Mnie się ten butny inżynier nigdy zresztą nie podobał! Postąpić tak z biedną sierotą!

I tak dalej. Potem przyszli nowi i także tamtym opowiedzieli całą historię, mocno koloryzując. W końcu posadzili Nucę przy stole, postawili przed nią talerz i ten talerz napełnili wszelkiego rodzaju pańskim jedzeniem. Jeden z młodzieńców w białych rękawiczkach przyniósł nawet wino w kielichu. Kiedy już nie mogła więcej zjeść, otyła kucharka zawinęła w chustę rozmaitego jedzenia i dała jej to, tak mówiąc:

– Zabierz to, duszko, ze sobą! O mój Boże, o mój Boże, ależ ty musisz mieć ciężki los, tak sama tam w wysokich górach!

Później wszedł jakiś nieduży starszy człowiek o żółtawej brodzie, w bekieszy, i zapytał:

– Która to ta dziewczyna z wysokich gór? To ty? No to chodź! Z tymi

słowami ruszyli. Z przodu stary w bekieszy, za nim dziewczyna. Wyszli przez bramę i skręcili ku stajniom. Stały tam już zaprzężone sanie, przed nimi dwa wielkie, bułane konie, a na koźle woźnica o smutnym obliczu, w guni z wełnianego samodziału.

– Wsiadaj! – rzekł starszy mężczyzna i zrobił jej miejsce obok siebie. – No, naciągnij na siebie ten kozuch!

Nuca wsiadła do sań. Siekierę położyła przy nogach, przykryła się kozuchem.

– Możemy jechać, panie kluczniku? – spytał woźnica o smutnym obliczu.

– Możemy, synu.

I sanie ruszyły. Turkotu nie było, sanki bezgłośnie sunęły w dół po krętej drodze zamkowego ogrodu. Starszy mężczyzna spojrzał na dziewczynę.

– Jak masz na imię, moja duszko?

– Nuca. A pan? Stary roześmiał się.

– Abraham Rotter, jeśli chcesz wiedzieć.

– Niech Bóg was zachowa!

Konie biegły kłusem, wielkimi stąpnięciami, sanki ślizgały się wartko. Milczeli wszyscy troje. Czasem woźnica zakrzyknął na konie.

Słońce lśniło na przysypanych śniegiem lasach, sanie mknęły lekko i radośnie, pod kozuchem było ciepło. Rój sikorek wzleciał z drzew, wszystko było jakieś takie proste i wesołe. Tylko stary milczał, zapadnięty w siebie, z pochyloną głową. Niekiedy wzdychał. Były to ciężkie, smutne westchnienia. Dziewczyna obserwowała go przez jakiś czas, w końcu zapytała:

– Coś się panu stało?

Abraham Rotter podniósł małe jasnoniebieskie oczy na dziewczynę. Były to oczy czyste, lecz smutne.

– Przepadła mi wojna, dziecko – rzekł.

– Gdzie? Ja poszukam – dziewczyna zaoferowała się szczerze. Stara twarz z brodą uśmiechnęła się smutno.

– To było dawno, jeszcze w czterdziestym dziewiątym. Dzisiaj nie natrafisz nawet i na ślad po niej.

Dziewczyna rozmyślała nad tymi słowami. Później zapytała:

– A co to jest to, co przepadło?

– Wojna.

– A co to było?

– Gdy walczyliśmy o wolność, no wiesz.

Jechali na Leányvár. Na zasypanym śniegiem polu stado wron grzebało za pokarmem.

– A co to jest wolność?

Stary popatrzył poprzez dolinę w dal.

– Wolność jest wtedy, gdy zawsze możesz robić to, co piękne.

– I o to trzeba się bić?

– Bezustannie, dopóki człowiek żyw.

Posuwały się sanie. Po drugiej stronie widać już było mgły nad martwą odnogą Maros. Dziewczyna oparła się o siedzenie i ukradkiem obserwowała brodatego, dziwnego starca. Ten zagapił się na okrycie z kozucha, jakby coś tam dostrzegł, i od czasu do czasu ciężko przy tym wzdychał.

– A to, że przepadła, to źle?... – z uczuciem żalu spytała dziewczyna po jakimś czasie.

– Nie – stary pokręcił głową – dzisiaj już nie to jest źle. Dzisiaj już tylko to jest źle, że to ja, Abraham Rotter, przegrałem wojnę. Bo to ja ją przegrałem, rozumiesz? Nie panowie. Nie hrabiowie i baronowie oraz adwokaci. A nawet i nie chłopci. Ja sam, tylko ja. Abraham Rotter, kapitan w armii Bema, przegrałem tę wojnę. Dokumentnie ją przegrałem.

– Dokumentnie?...

– Dokumentnie.

Na jednym z przydrożnych drzew siedziała wielka, szara wrona i krakała. Stary podniósł na nią wzrok i skinął głową.

– To ja, Abraham Rotter, przegrałem tę wojnę. Rozumiesz? Ależ skąd mogłabyś to rozumieć!

Machnął ręką, po czym pogładził żółtawą brodę, na której para wydechana przez konie osadziła szron.

– Ja, tylko ja. Baron pozostał baronem, chłop pozostał chłopem, lecz Abraham Rotter więcej nie jest kapitanem, wcale nie jest już i ukrywającym się kapitanem czy choćby uwięzionym kapitanem, nie jest nawet ściganym kapitanem. Po prostu nie jest kapitanem. Jest emerytowanym dworskim klucznikiem w majątku barona. Tak to jest, kiedy naprawdę przegrywamy wojnę.

Z kieszeni bekieszy wyciągnął fajkę i woreczek z tytoniem. Nabił tę fajkę. Pod kozuchem wykrzesał iskrę, po czym popykał dymem.

– W tamtym roku był tu pewien austriacki hrabia. Przyjechał na polowanie. Niegdyś staliśmy naprzeciw siebie pod Tordą. On był kapitanem u cesarza, ja kapitanem u Bema. Baron był porucznikiem, pode mną. Tak pogoniliśmy wtedy tego Austriaka, że uciekał aż do gór Gyalu. A teraz siedział przy stole razem z baronem. Ten porucznik u mnie, tamten – kapitan po przeciwnej stronie. Tamten uciekał aż do Gyalu, ten przegrał wojnę. A mimo wszystko, widzisz, nie przegrał jej. Bo siedział tam przy stole razem z tym drugim i politykowali. Baron walnął pięścią w stół, gdy ogarnął go gniew, i wymyślał na cesarza. Potem stuknęli się kielichami. Na polowaniu chłopci szydzili zeń za jego plecami, bo wiedzieli, że to Austriak. I patrzyli nań złym okiem. Lecz kiedy od nas odjeżdżał, w bramie stałem ja. I gdy mnie mijał, dał mi napiwek. Dwa forinty.

Dotarli do Disznajó. Psy biegły przy saniach, szczekając.

– No więc dlatego, widzisz – westchnął stary – dlatego tylko ja przegrałem tę wojnę, tylko ja sam, nikt inny.

Dziewczyna niewiele zrozumiała z tej mowy, ale zza słów wyczuła żalobę i posmutniała. Na drodze kręcili się ludzie, sanie zagradzały przejazd. Targ mrowił się czernią, podobny do ogromnego mrowiska.

– Co tu jest? – przestraszyła się dziewczyna.

– Targ, jak co tydzień – odparł stary i rzucił w przód do woźnicy: – Stań gdzieś z boku!

Sanie skręciły za rynkiem i zatrzymały się przy jakimś ogrodzeniu. Starszy mężczyzna wygrzebał się spod kożucha.

– Mam tu pewną drobną sprawę z kupcami – powiedział – przez ten czas i ty możesz się rozejrzeć. Tak za godzinę pojedziemy dalej.

Po czym zagłębił się w tłum. Ludzi było mnóstwo. Hałasowali, wymachiwali rękami, popychali się. Ryczały krowy, chrumkały świnię. Woźnica narzucił na konie futrzane derki i przystanął porozmawiać z jakimiś ludźmi.

Także Nuca wygramoliła się z sań. Najpierw przysłuchiwała się tym, którzy targowali się o świnię, krowy, potem dostrzegła na placu targowym namioty i przybliżyła się do nich. W tych namiotach były rzeczy cudowne. Błyszczące łańcuszki, lśniące kółka, kolorowe wstążeczki, małe lusterka i tysiąc rozmaitych drobiazgów. Zaciekawionymi oczami oglądała całą tę masę dziwnych przedmiotów. W drugim namiocie sprzedawano kołacze. W trzecim kierpce, w czwartym krótkie kożuszki.

Przy ostatnim namiocie, na snopku słomy przycupnęła wiekowa Cyganicha. Dookoła niej stało kilkoro ludzi, w większości kobiety, nadsluchując, co też powie. Cyganka trzymała za rękę jakiegoś młodzieńca o czerwonej twarzy i przyglądała się jego dłoni.

– Jest przy domu dużo pieniędzy – Nuca posłyszała suchy, szorstki głos Cyganki – i jasnowłosa dziewczyna z miłością w sercu. Lecz mężczyzna o ciemnych włosach przysporzy kłopotu, a czarna kobieta przy nim to zguba. Uważać trzeba na wodę, bo woda jest wrogiem tej ręki...

– Mówcie o pieniądzach, babulo! – rzucił młodzieniec, szeroko szczerząc zęby.

– Jest przy domu dużo pieniędzy – powtórzyła Cyganka i splunęła przed siebie trzy razy – szczęśliwa ręka, szczęśliwy targ. Tfu, tfu. Daj dziesięć grajcarów!

Młodzieniec zaśmiał się, rzucił jej pieniądze i poszedł dalej. Jedna starsza kobieta w jedwabście czarnej chuście na głowie wyciągnęła swoją rękę.

– Powróćcie i mnie!

– Ojej, moja duszko, dużo radości, pieniędzy, zamożna starość! Mały kłopot przy ogniu, ale nie taki duży. Zamożność to rzecz pewna!

Potem jeszcze wielu innych wyciągało dłonie i każdemu Cyganka coś wywróżyła. Pieniądze, szczęśliwy targ, długie życie, wszystko, czego ludzie chętnie słuchają. Niekiedy i coś złego, ale tego to całkiem niewiele, żeby tym bardziej wiarygodne było to, co dobre.

Nuca słuchała tych wróżb z oczami szeroko rozwartymi ze zdziwienia, po czym naraz wyrwał się z niej śmiech. Ludzie spojrzeli na nią.

– A ty z czego się śmiejesz? – spytała jakaś kobieta.

– Ojej, ależ to głupcy, mój Boże, ależ to głupcy! – dziewczyna zaśmiała się w głos. – No a skądżeż można by wyczytać z ręki to, co będzie!

Niektórzy roześmiali się razem z nią, zawstydzeni, inni ze złością machnęli ręką i odeszli. Cyganka, zagniewana, poderwała się ze snopka.

– A ty czego tu się wtrącasz?! – krzyknęła na dziewczynę. – Co ty wiesz?! Zielona jesteś jeszcze, co ty możesz wiedzieć?!

– Nie awanturujcie się, no! – uspokajała ją dziewczyna. – Mnie też umielibyście coś wywróżyć?

I wysunęła ku niej dłoń.

– Wynoś się stąd, wynoś się! – krzyknęła Cyganka i odepchnęła wyciągniętą rękę. Lecz oczy jej zabłądziły na dłoń i naraz gwałtownie zamilkła. Potem sięgnęła po tę dłoń, przyciągnęła ją ku sobie, odwróciła ku słońcu. Przez kilka chwil tak oto jej się przyglądała. Zapanowała cisza. Nareszcie wypuściła rękę i z pełnym przerażenia zdumieniem spojrzała na dziewczynę. – W twoim łóżu jest śmierć, dziewczyno! Kto się z tobą położy, ten umrze!

I przeżegnała się.

– Co mówicie? – dziewczyna wpatrywała się w nią ze zdziwieniem.

Niektórzy przystanęli i nadstawili ucha. Na pomarszczonej twarzy starej Cyganki wciąż jeszcze ciemniało przerażenie.

– Wynoś się stąd, zabieraj swoją rękę! Wiąże się z tobą śmierć! Kto się z tobą położy, ten umrze! Wynoś się!

– Wariatka – rzucił jakiś człowiek i odwrócił się.

Dziewczyna poczęła śmiać się w głos, wesołym, zdrowym śmiechem.

– Oj, ale jesteś głupia! I jeszcze płacą ci za to?

Wówczas pomarszczona twarz Cyganki wykrzywiła się, jej koścista, czarna ręka uniosła się, a długi palec wskazujący zastygł w groźbie, mierząc w czoło dziewczyny.

– Masz na czole znak czarownic! Panie, wybaw mnie od wszelkiego złego! Nosisz znak czarownic!

Przez kilka chwil trząśł się tam przed dziewczyną kościsty palec wskazujący i mierzył w jej czoło. Potem Cyganka przeżegnała się szybko, po trzykroć, raz za razem, odwróciła się i wręcz biegiem znikła za namiotami.

Dziewczyna stała zdumiona, już się nie śmiała. Jej ręka bezwiednie szukała

czoła. Kilku ludzi przyglądało się jej w milczeniu. Wreszcie jakiś gruby gospodarz z wąsami roześmiał się w głos.

– Ale cię przestraszyła, co? Takie one są! Każda stara baba szuka znaku czarownic na twarzy pięknych dziewcząt. Lepiej sama by spojrzała w lustro!

Ludzie roześmiali się, zaiskrzyło parę dowcipnych uwag, nareszcie wszyscy rozeszli się za swoimi sprawami. Nuca wróciła do sań. Nie miała już ochoty chodzić po namiotach.

Bzdury – pomyślała ze złością. Ale jednak od czasu do czasu delikatnie przeciągała sobie ręką po czole, jakby szukała tam jakiegoś różka albo czegoś podobnego.

Niezadługo przyszedł i stary klucznik. Wyjął z kieszeni małe lustreczko w czerwonej ramce.

– Na, masz – powiedział – dla ciebie to kupiłem.

– Dziękuję – odparła dziewczyna i uśmiechnęła się. Zajrzała w lusterko. A stamtąd popatrzyła na nią czysta, zaczerwieniona, uśmiechnięta dziewczęca twarz. Kilka złocistopłowych kosmyków opadało spod chusty na białe czoło, ale poza tym nigdzie nie było żadnego innego znaku.

– Dziękuję – powtórzyła i zaśmiała się.

Było wczesne popołudnie, gdy dotarli nieopodal piły w Dédzie. Sanie zajęchały na podwórzu zakładu. Stary człowiek wykaraskał się spod kożuchów.

– Poczekaj tu na zewnątrz! – rzekł i wszedł do budynku mieszczącego biuro.

Minęło sporo czasu, zanim ponownie otworzyły się drzwi. Jeszcze usłyszała głos starszego mężczyzny, jak mówił:

– To surowy rozkaz pana barona, żeby temu dziecku w niczym nie zakłócać spokoju, zarekwirowaną trzodę należy oddać z powrotem, co więcej: ze strony majątku ma być staranie, żeby dziecku niczego nie zabrakło. Czy pan inżynier był łaskaw przyjąć to do wiadomości?

Ktoś coś mruknął za drzwiami, po czym Abraham Rotter zszedł po drewnianych schodach, gładząc się po żółtawej brodzie, postąpił ku dziewczynce i spojrzał na nią małymi niebieskimi oczyma.

– No to biegnij do domu, dziecko! Wszystko jest w porządku.

– A kozy? I owieczki?

– Przeprowadzą ci je z powrotem. Tylko że nie ma ich tutaj, a gdzieś w oborze. No i gdybyś czegoś potrzebowała, to zajdź do pana inżyniera! Ale siekiery nie bierz ze sobą – dodał, podśmiewając się – pięknej dziewczynie nie pasuje siekiera. No, niech ci Bóg błogosławi!

Z tymi słowami wsiadł z powrotem do sań i zawinął się w kożuchy. Woźnica o smutnym obliczu zdjął z koni derkę i zajął miejsce na koźle.

– Niech wam Bóg dopomoże – odpowiedziała cicho dziewczynka – i dziękuję za waszą dobroć!

Potem sanie ruszyły. Dziewczyna wcisnęła siekierę pod pachę, chwyciła w rękę zawiniątko od kucharki i wyszła z tartaku. Kilku robotników popatrzyło za nią spod oka. Gdzieś w okolicy domu mechanika ryczało dziecko, jego płacz przenikał poprzez hałas pił.

Przed karczmą Włochatouchego stała grupka ludzi. Nad ich głowami błyszczały dwa bagnety, łopotały kogucie pióra. Akurat przechodziła tam obok, kiedy ktoś zawołał za nią:

– Zaczekaj no, dziewczynko! – A potem jeszcze: – Może i ona mogłaby coś powiedzieć. Często bywali razem.

Sama nie wiedziała, dlaczego serce mocno jej zabiło. Wczepiły się weń jakieś lodowate szpony. Przystanąła i obejrzała się na ludzi. Grupa rozwarła się, a ze środka wystąpili żandarmi.

– Jak masz na imię?

– Nuca.

– Jak wołają twojego ojca?

– Tóderik.

– Aha. Znałaś Ignacego Sándru?

Dziewczyna spojrzała na żandarma ze zdziwieniem.

– A kto to?

Ktoś spośród ludzi odezwał się:

– No Nátu. Z którym zawsze się spotykaliście.

Dziewczyna pobladła. Czowała, że uginają się pod nią nogi. Już wiedziała, a mimo to zapytała:

– Co z nim?

– Nie wiesz? Cztery dni temu ugodzono go nożem. Tak go znaleźli pod mostem przy Zsizsy.

Przymknęła oczy. Czowała, że kręci jej się w głowie, wiruje świat, domy, droga, wszystko. Ledwie dosłyszała własny głos:

– Umarł?...

Odpowiedź przysła z daleka, ledwie było ją słyszeć:

– Pochowaliśmy go przedwczoraj. A potem żandarm zapytał:

– No więc znałaś go?

Otworzyła oczy i spojrzała na żandarma. Czego ten obcy człowiek od niej chce? Skinęła głową.

– Tak.

– Kiedy widziałaś go po raz ostatni?

– Nocką. Przed czterema dniami... tak, przed czterema dniami...

– W czwartek w nocy? – ten z kogucimi piórami spojrzał na nią surowo.

– Tak.

– Jeszcze wieczorem czy już nocą?

– Nocą. Niemal świtało, kiedy poszedł.
– Skąd?
– Ode mnie. Znad Urszu. Rozległy się pomruki.
– Wcześniej zaczynasz – zauważył ktoś. Niektórzy zarechotali. Jakaś kobieta wyrzekała w głos.

Oczy żandarma twardo wwierciły się w jej oczy.

– A więc ty byłaś ostatnią osobą, która widziała go żywego. Na powrót musiała przymknąć oczy, bo kręciło jej się w głowie. Słyszała głos Cyganki, wrzeszczący z daleka: „Śmierć jest w twoim łóżu, dziewczyno! Kto się z tobą położy, ten umrze!”. A jej kościsty palec pokazywał na czoło dziewczyny.

W końcu znów odezwał się żandarm:

– Znasz kogoś, kto żywił do niego urazę?

– Nie – potrząsnęła głową – nie znam nikogo takiego.

– Kto mógł być zazdrosny? Może przez ciebie?

Znów posłyszała głos Cyganki: „Przez ciebie, przez ciebie... kto się z tobą położy, ten umrze!”.

– Pomyśl, dziewczyno!

– Nie. Nie znam nikogo.

– Nie masz nawet jakiegoś podejrzenia? Nie mówił czegoś? Czegoś takiego, że ma wroga, albo coś podobnego?

– Nie. Nie mówił.

Żandarm westchnął ledwie dosłyszalnie.

– No nic. Dobrze już, uciekaj! Jeśli będziesz potrzebna, to cię potem jeszcze przesłuchamy. Możesz iść.

Odwróciła się w kierunku góry, ale nogi jej nie drgnęły.

– Coś ci się przypomniało? – zapytał żandarm.

– Nie. Ależ skąd.

Nareszcie poszła. Z początku jednak powoli, jak chorzy, co od nowa uczą się chodzić. Potem szybciej. Coraz szybciej. Przy moście już biegła. Ostatnie domy minęła pędem jak ktoś, kogo ścigają. Oblał ją pot, dygotała. Dysząc, zmagając się z płaczem. Wewnątrz serce waliło jej dziko jak młot. Było to takie, jakby unosił się przed nią w powietrzu kościsty, czarny palec i nieprzerwanie pokazywał na jej czoło.

– Kto się z tobą położy, ten umrze... kto się z tobą położy, ten umrze... – szemrała pod lodem woda potoku, a wyciągnięte cienie drzew pokazywały w jej stronę, wszystkie.

*

Następnego dnia przygoniono na górę zwierzęta. Przyszedł z nimi Jakub, syn Mitru. Taki niemal już młodzieniec, siedemnastolatek. Zamknął je w zagrodzie i nawet rzucił im siana. Potem zaszedł do domu.

Dziewczyna siedziała na ławce. Dymił obumierający ogień, w sianie cicho pojękiwał pies.

– Szczęść Boże! – przywitał się Jakub i zdjął czapkę z głowy. Dziewczyna skinęła.

– Przeprowadziłem kozy i owce.

Dziewczyna kiwnęła głową, nie odzywając się ani słowem. Chłopak strzepnął z czapki śnieg i przyglądał się swoim kierpcom.

– Mój ojciec nie jest winny – zaczął, zacinając się – to inżynier...

– Wiem – rzekła dziewczyna. To było pierwsze słowo, jakie wypowiedziała. Głucho, nieco ochryple, jak ktoś, kto dawno nie mówił i odzwyczaił się od rozmowy.

Młodzieniec niezdarnie podszedł bliżej i zapytał:

– Pies żyje?

– Żyje.

– Gdzie dostał strzał?

– Pod łopatkę.

Nachylił się i obejrzał psa.

– Wyliże się. Tylko będzie kulał, biedak.

Dziewczyna skinęła głową. Przez jakiś czas nic nie mówili.

– Nie jest źle tak tu samej? – nieśmiało zapytał chłopak. Dziewczyna spojrzała nań. Przyglądała mu się przez chwilę, w dziwny sposób, nie mrużąc oczu, jak ktoś, kto śni na jawie. Następnie wstała i podeszła do chłopaka.

– Widzisz coś na moim czole? Ten spojrzał na nią, zdziwiony.

– Co masz na myśli?

– Czy widzisz coś na moim czole? – powtórzyła niecierpliwie. – Jakiś znak.

Jakub spojrzał na pięknie gładkie, wypukłe czoło i potrzęsła głową.

– Nie. Nic a nic nie widzę.

– A przecież jest tam – rzekła dziewczyna i podeszła do drzwi. Otworzyła je, stanęła w progu. Słońce świeciło jej w twarz. Przymknęła oczy. – Popatrz teraz!

– Nic nie widzę – powtórzył chłopak – nie wiem, co masz na myśli.

Dziewczyna wbiegła do środka i wyniosła małe lustro w czerwonej ramce. Twarz odwróciła w kierunku słońca. Słońce zajaśniało na jej czole.

Chłopak nachylił się bliżej. Widać tam było dwie cienkie białe linie. Obie wychodziły od nasady nosa i biegły w górę pomiędzy oczami aż na czoło. Ich końce spotykały się na nim pośrodku.

– Co to?

– Znak.

– Jaki znak?

– Znak – odpowiedziała dziewczyna i zniosła lusterko z powrotem do chaty.

– Każdy to ma – uznał chłopiec – ja też.

Dziewczyna spojrzała na czoło Jakuba. Potrząsnęła głową.

– Nie. Tu nie ma takiego znaku.

Następnie usiadła z powrotem na ławce i milczała. Chłopak jeszcze trochę posterczał tam przed nią, nareszcie westchnął i naciągnął czapkę na głowę.

– No to ja pójdę. Niech ci Bóg błogosławi, dziewczyno!

– Niech ci Bóg dopomoże, chłopcze! I dziękuję, że przyprowadziłeś zwierzęta.

– Nie ma za co.

Po czym drzwi się zamknęły i została sama.

Tamtej zimy dziewczyny prawie nie widywano we wsi. Przychodziła na dół z rzadka, raz na trzy tygodnie, a i wtedy tak około zmierzchu, kiedy nikt już nie chodził drogą. Z chustą nasuniętą na czoło wsuwała się do Włochatouchego, do sklepu, wykładała przed karczmarzem skóry i nie targowała się. Co Ormianin dał, chowała do sakwy, zarzucała ją sobie na ramię i tak szła. Najczęściej prosiła jedynie o kaszę kukurydzianą. I trochę octu i oleju. Nigdy nie patrzyła na ludzi, którzy byli w szynku, jak czyniła to dawniej. Przemykała obok nich ze spuszczoną głową, w chustce nasuniętej na czoło i już biegła z powrotem po drodze pogrążonej w szarówce, z boczem w górę.

Pewnego wieczoru przy moście na Bystrym ktoś ją zaczepił:

– Dobry wieczór, dziewczynko!

Zwolniła kroku, ale nie zatrzymała się. Poznała głos. Był to Józsup, ten o woskowej twarzy.

– Dobry wieczór!

Człowiek stanął przed nią tak, że musiała się zatrzymać.

– Dawno cię nie widziałem.

– I ja ciebie.

– Byłem w szpitalu.

– Wiem.

– Przez ciebie.

– Przeze mnie? – dziewczyna ze zdziwieniem odsunęła w tył chustę. – Czemu tak mówisz, że przeze mnie?

Józsup zaśmiał się tym swoim dziwnym śmiechem.

– Bo to stało się przez ciebie, dlatego. Ale i Mártona zabrali żandarmi! Dostał osiem miesięcy!

Dziewczyna tylko tak stała i patrzyła gdzieś obok mężczyzny, w górę na las.

– Kto ci teraz rąbie drewno?

– Nikt. Sama to robię.

– No to przyjdę któregoś dnia.

– Nie trzeba – rzekła dziewczyna – potrafię i ja. Dziękuję, że pomogłeś mi tamtej zimy. Teraz jestem już wystarczająco silna.

– Jesteś wystarczająco silna? – oczy mężczyzny podle zamigotały w ciemności. – Jesteś wystarczająco silna, tak mówisz? Jeszcze zobaczymy.

Drogą w dół szła kobieta, skrzypiały jej buty z cholewami.

– Puść mnie! – powiedziała dziewczyna i postąpiła krok.

– Zaczekaj jeszcze! Śpieszysz się?

– Zimno jest.

– Mogę cię ogrzać, jeśli tylko taki jest problem.

I ręką sięgnął do jej pasa. Dziewczyna cofnęła się o krok.

– Puść mnie!

Kobieta akurat ich mijiała. Przyjrzała się im, a potem, kręcąc głową, coś zamruczała.

– Jeszcze ci zepsuję opinię – stwierdził podle Józsup.

– Mówię ci, puść mnie już!

Próbowała ominąć go z boku, ale mężczyzna zastąpił jej drogę.

– Jednego całusa jednak dasz. Jesteś mi go winna!

– Za co?

– Za szpital.

Dziewczyna teraz już rozgniewała się.

– Powiedziała ci, puść mnie!

Odepchnęła jego ramię i ruszyła. Mężczyzna z szyderczym śmiechem odezwał się za nią:

– Może potem w domu będziesz miłsza!

Nic nie powiedziała, tylko poszła. Lecz czuła, że ten człowiek stoi tam na moście i patrzy za nią. Wzrok miał podły. Przeszywający.

Następnego dnia pod wieczór, kiedy rzucała zwierzętom siana, zobaczyła go, jak szedł w górę wzdłuż potoku. Nadchodził powoli, wręcz zataczając się, jak chorzy. Słońce już znikło, a mgły przetkały wieczór szarością. Szybko oporządziła zwierzęta, zamknęła kury i wniosła do domu siekierę. Nim wyszła, mężczyzna stał już przed drzwiami.

– Dobry wieczór, piękna panno!

– Dobry wieczór i tobie!

– Nadal masz zły humor?

– Jest wieczór – odrzekła dziewczyna i weszła do chaty. Józsup wszedł za nią i zamknął drzwi.

– Właśnie dlatego. Wieczór to czas wesołości, nie wiesz o tym?

Powiedział to bardzo głośno, a z ust zalatywało mu wonią palinki. Dziewczyna nie odpowiedziała. Usiadła na ławie i pogrzebała w ogniu. Józsup wyjął z kieszeni butelkę.

– Masz tu, no – rzucił – przyniosłem, żebyś miała lepszy humor! – Podał jej tę butelkę. – Napij się!

– A niech pije sobie czort!

– Nie zwykłaś pić? – zdziwił się mężczyzna.

– Zwykłam. Mleko i wodę. Mężczyzna roześmiał się ciężkavo.

– To jest więcej warte. Zresztą we wsi mówią o tobie co innego.

– Co mówią? – dziewczyna uniosła głowę.

– Że byłaś kochanicą tego biednego chłopaka Sándru i razem chodziliście do karczmy.

Dziewczyna poderwała się z ławki.

– Kto tak mówi?!

– Kto? Wieś! – Zaśmiał się. – Jaka ładna zrobiłaś się naraz! Ha, ha, ha!
Kiedy tak się gniewasz! Ile ty masz lat?

Dziewczyna odwróciła się.

– Kto by pomyślał, że czternaście – ciągnął mężczyzna, podchodząc bliżej – wyglądasz na co najmniej szesnaście, co najmniej. No, masz tu butelkę, skosztuj tego, śmiało! No, trzymaj!

Pięść dziewczyny zamachnęła się i butelka wyleciała daleko z ręki mężczyzny. Z brzękiem upadła w kąt. Pies podniósł głowę z siana i warknął.

– Co to, masz i psa? – spytał mężczyzna, zmieszany.

– Mam. A ty wynoś się do domu!

– A gdzie ta butelka, co? Gdzie ją rzuciłaś? Szalona!

W chacie było już ciemno, świecił tylko ogień. Mężczyzna schylił się, szukał butelki.

– Wynoś się! – powtórzyła dziewczyna.

Mężczyzna odnalazł butelkę, podniósł ją do ust i pociągnął z niej duży łyk.

– Nie wszystko wyciekło. Szalona jesteś, całkiem szalona. Ale teraz chodź!

Postawił butelkę i ruszył w kierunku dziewczyny. Zataczał się.

– Czego chcecie?

– Chodź no tylko! Zobacysz.

Chwycił dziewczynę za ramię i szarpnął ku sobie. Jego ręce oplotły ją niby jakieś łykowate gałęzie.

– Puśćcie mnie! – szarpała się dziewczyna. – Czego chcecie?

– Zobacysz! – dyszał. – Chcę dobrze, ty głupia!

– Puśćcie mnie!

Mężczyzna podniósł ją w górę jak piłkę, postąpił z nią kilka kroków i rzucił na posłanie. Klęknął przy niej.

– Poczekaj no!

Dziewczyna zerwała się, ale wielkie wilgotne ręce znów ją pochwyciły. Zmagali się, dysząc. Rwało się ubranie.

– Poczekaj no tylko... zaraz złagodniejesz...

W niemej walce ryli siano posłania. Potem na moment błysnął płomień ognia i w jego żółtym świetle dziewczyna dostrzegła trzonek noża w cholewie buta. W następnej chwili nóż już był w jej ręce. Przycisnęła jego ostrze do pleców mężczyzny.

– Puśćcie mnie! – dyszała. – Jeśli mnie nie puście, wbiję go wam!

– Czarownico – wycharczał mężczyzna – nie uciekniesz, choćbyś nie wiem co zrobiła! Dostanę cię, mimo wszystko!

Nóż drgnął. Słysząc było, jak jego ostrze przeszywa ubranie.

– Ojej! – krzyknął mężczyzna. – Ojej! – Jego uścisk osłabł, ręka poszła w tył za nożem. – Zabijesz mnie, zabijesz mnie, dziewczyno! O mój Boże...

W mgnieniu oka wyslizgnęła się spod wijącego się ciała mężczyzny, poderwała się na nogi i skoczyła ku przeciwległej ścianie. W rękach kurczowo ścisnęła nóż.

– Jeśli podejdziecie tu za mną, to was zabiję! – wydyszała dziko.

Józsup nie odpowiadał. Od strony posłania słychać było tylko jakieś westchnienia, nic więcej. Dziewczyna oparła się o ścianę... Słyszała, jak bije jej serce. Potem na dłuższą chwilę zapanowała cisza. Głęboka cisza. Tylko ogień lekko trzaskał.

– Wujku Józsupie! – odezwała się cicho po jakimś czasie – wstańcie i idźcie do domu!

Nikt nie odpowiadał. Nikt się nie poruszył.

– Wujku Józsupie... bardzo proszę, idźcie do domu... Odezwał się tylko ogień, znów tylko ogień.

– Wujku Józsupie... na miłość boską, powiedzcie coś wreszcie! Stała tam, dygocząc. Żar już się spopielał i coraz bardziej ciemniało. A od strony posłania nic nawet nie drgnęło.

Po pewnym czasie nieomal na palcach podeszła do paleniska i rzuciła chrustu na żar. Ogień poderwał się z trzaskiem i obrzucił światłem całą chatę. Mężczyzna leżał na baranicy, leżał tam na brzuchu, nie ruszając się. Jakby wcale nawet i nie sapał. Oczy dziewczyny w przestrachu zastygły na nim, a następnie na nożu we własnej ręce. Nóż upadł na ziemię ze stukotem.

– Wujku Józsupie!

Powoli podeszła do niego. Uklękła.

– Wujku Józsupie... Dotknęła go.

– Wujku Józsupie... drogi wujku Józsupie!

W tym momencie mężczyzna poruszył się i podparł się na łokciach. W jego oczach zamigotało światło ognia, na twarzy usiadł jakiś krzywy, brzydki uśmiech.

– A więc mimo wszystko żal ci trochę wujka Józsupa? Co? A więc jednak kochasz go trochę? No, chodź tu, czarownico...

Wielka chuda ręka o barwie wosku wyciągnęła się ku niej, a pod rzadkim wąsem otworzyły się usta i pociekła z kącika kropla białej śliny. Dziewczyna wydała cichy krzyk, po czym poderwała się i pobiegła do drzwi. Szarpnęła za nie i już biegła jak szalona na zewnątrz w mrok, w zimowy wieczór.

Biegła bez odgłosu, bez słowa. Bez zatrzymania. W dół ku potokowi, po ścieżce, w kierunku wsi. Ale nie zatrzymała się nawet i we wsi. Pobiegła prosto do domu Józsupa. Wręcz wdarła się przez drzwi do wnętrza chaty.

– Chodźcie! – rzekła – chodźcie, zabierzcie go!

Sucha, blada kobieta popatrzyła na nią ze zdziwieniem. Wrzecziono, na którym przedła wełnę, stanęło jej w ręce.

– Czego chcesz?

Dziewczyna oparła się o stół. Złocistopłowe włosy opadały jej na twarz i ramiona. Ubranie na piersi miała porwane, spódnicę w strzępach.

– Chodźcie – dyszała – zabierzcie go, zabierzcie go! Niech nie mówią, że to ja ich wabię! Chodźcie po niego na górę, zabierzcie go!

Kobieta powoli wstała z ławki, odłożyła kądziel i wrzeczono i ze smutkiem na twarzy spojrziała na dziewczynę.

– Jest tam wysoko u ciebie? Mój mąż?

– Chodźcie, zabierzcie go, zabierzcie go!

– Jest pijany?

– Podarł na mnie ubranie. Nie wiem, czego chce. Oszałał. Chodźcie, na miłość boską, chodźcie! Niemal doszło do strasznej rzeczy!

Kobieta kiwnęła głową.

– Tak przysłaś? Bez niczego? Masz, narzucić na siebie przynajmniej tę chustę! – Po czym westchnęła. – Trudno, tacy są mężczyźni. Tacy.

Dziewczyna dygotała pod chustą. Kobieta jeszcze zrobiła w domu to i owo, po czym ruszyły.

– Bardzo jest pijany? – spytała, gdy dotarły do lasu.

– Nie wiem... mówił głupstwa i podarł na mnie ubranie...

– Wszyscy są tacy – kobieta machnęła ręką.

Było ciemno, a i zimno. Księżyc nie błyszczał, a gwiazdy wisiały bardzo wysoko. Nie rozmawiały w drodze, tylko szły. Z przodu kobieta, za nią dziewczyna. Drzwi chaty były zamknięte. Wewnątrz panowała cisza. Na progu kobieta zatrzymała się na moment.

– Zasnął – powiedziała cicho i westchnęła – tak to z nim jest, kiedy bardzo się upije. Jeśli go obudzę, zbije mnie. „Dlaczego nie masz dziecka?!” – wrzeszczy wtedy i bije mnie. A cóż ja mogę na to poradzić?

Następnie ostrożnie otworzyła drzwi. Na palenisku gorzał jeszcze żar. W sianie poruszył się pies i zawarczał.

– Csobán – cicho rzuciła doń dziewczyna. – Cicho, Csobán! Nic więcej nie było słyhać.

– Na pewno śpi – szepnęła kobieta – i jeśli go obudzę, to mnie zbije, bo nie mam dzieci, dlatego.

Westchnęła i bezradnie zatrzymała się w drzwiach. Dziewczyna podeszła do ognia i dorzuciła nań chrustu. Płomienie rozeszły się z trzaskiem i oświetliły chatę. Poślanie było puste. Każdy kąt był pusty. Na podłodze wciąż jeszcze leżał nóż. Nic więcej, tylko nóż.

– Nie ma go tu – powiedziała dziewczyna.

– To jego nóż – odezwała się kobieta i podniosła go. – Ciebie chciał nim ugodzić?

– Nie – odpowiedziała dziewczyna – chciał czegoś innego.

– Wiem – kobieta przytaknęła z powagą i znów westchnęła – tacy oni są.
Wszyscy są tacy.

– Dokąd mógł pójść?

– Do domu. Albo znów do karczmy. Pić.

– Napotkałybyśmy go po drodze.

– To prawda – odrzekła kobieta, a na jej twarzy malowała się jakaś bezradność.

Następnie podeszła do drzwi i otworzyła je.

– Józsup! Józsuuuupie!

Krzyk zgubił się w czarnej ciszy. Nawet nie powróciło jego echo.
Dziewczyna zaszczękała zębami.

– Zimno ci?

– Leżał na moim posłaniu...

– Co mówisz?

– Nic...

Milczały. Zalegała cisza.

– Poszedł gdzieś – rzekła kobieta – poszedł do karczmy.

– Możliwe – odpowiedziała dziewczyna, ale wiedziała, że to nie jest prawda.

Widziała wyłaniający się z ciemności kościsty, czarny palec Cyganki. – Śmierć jest w moim łóżu...

– Co mówisz? – kobieta nadstawiła ucha. – Słyszałaś coś?

– Nie. Nic. Spotkałam na targu jedną Cygankę. To ona mówiła takie rzeczy.

– Jakie?

– Że w moim łóżu jest śmierć. Oglądała przy tym ludziom dłonie. Można wyczytać coś takiego z ręki człowieka?

– Nie wiem – odrzekła kobieta i skierowała uwagę na zewnątrz, w ciemność.

– Cyganki zwykły mówić takie rzeczy. Tak zarabiają.

– Ale to nieprawda?

– Nie wiem. Posłuchaj no... słyszysz coś?...

– Potok...

– Jakby ktoś westchnął...

– Tak zwykły robić drzewa. Świerki.

– Źle tu u ciebie – kobietę przeszedł dreszcz i mocniej ściągnęła na siebie futrzaną bekieszę – bałabym się tu mieszkać...

– Tylko ludzie są źli...

– To prawda. No to ja pójdę. Zamknij drzwi, gdyby miał wrócić. Jest na nich rygiel?

– Jest.

– Zasuń go!

– Zasunę.

Po czym kobieta odeszła. A następnego dnia rano znaleziono Józupa niedaleko od chaty, na brzegu Bystrego, w śniegu. Natknęli się na niego żandarmi, którzy akurat zmierzali na górę do dziewczyny. Leżał tam rozciągnięty, z czapką nasuniętą na uszy, a w zamarznętej na kamień ręce miał butelkę. Na jego plecach widać było małą ciętą ranę. Lecz to nie ona go zabiła, a ziąb i alkohol.

Jeden z żandarmów został tam, drugi zaś poszedł wyżej po dziewczynę.

– Tu w dole leży martwy człowiek – powiedział, gdy do niej zaszedł.

Dziewczyna siedziała poblądła na ławce i ledwo dostrzegalnie skinęła głową.

– Znasz go?

– Wołają go Józup – odparła dziewczyna, a jej głos był bezbarwny i głuchy – pochodzi ze wsi w dole.

– Wiedziałaś, że tam leży? – zdziwił się żandarm i z powagą spojrzał na dziewczynę.

– Wiedziałam.

– Skąd?

– Powiedziała mi Cyganka w Disznajó.

Żandarm spojrzał na nią, nie rozumiejąc.

– A ona skąd wiedziała?

– Z mojej dłoni.

Żandarm pokręcił głową.

– Chodź! – rzucił surowo.

Dziewczyna nałożyła na siebie wielką chustę i poszła.

– Czy to ten człowiek? – spytał żandarm, gdy tam dotarli.

– Ten.

Nawet tam nie spojrzała, tylko powiedziała.

– Przyjrzyj mu się przynajmniej!

– I tak wiem.

Żandarmi spojrzeli po sobie.

– Chodź! – rzekł ten starszy, po czym ruszyli w dół. Z przodu żandarm, w środku dziewczyna, z tyłu drugi żandarm. Józup został tam, w śniegu.

– Który to jego dom?

Zaprowadziła żandarmów. Kobieta już stała w bramie, wręcz czekała na nich. W jej oczach bladł przestach, kąciki ust drżały, a twarz była szara niczym popiół. Lecz kobieta o nic nie pytała. Tylko tak stała, patrzyła na żandarmów i czekała.

– Dobra kobieto, twój mąż leży tam w śniegu.

– Gdzie? Mój Boże, gdzie? Od wieczora szukam go wszędzie!

– Nad brzegiem potoku, w górze. Niedaleko chaty, w której mieszka ta dziewczyna.

Kobieta spojrzała na dziewczynę i rozpacz zadrżała na jej twarzy.

– Mój Boże... co z nim?...

– Zamarzył w nocy. Umarł.

Kobieta poderwała rękę do ust. Był to gest straszny, przepełniony przerażeniem. Potem z ostrym krzykiem wyrwał się z niej szloch.

– Ojej, ojej, ojej...! O mój Boże, o mój dobry Boże! Cóżes mi uczynił, ojej, cożes uczynił! Józsup, ojej, Józsup, ojej, ojej, ojej!

Żandarmi stali tam, a pomiędzy nimi dziewczyna.

– Przywiozą go do domu! – rzekł cicho jeden z żandarmów. – Sankami, tak będzie najlepiej. Był pijany, zasnął, zamarzył. Nic się na to nie poradzi.

Kobieta krzyknęła i z malującym się na jej twarzy pomieszaniem spojrzała na dziewczynę. Wyrzuciła ku niej ramiona. Pokazała na nią.

– Oto jest przyczyna. Ta kanalia! Ta przeklęta kanalia! To ona go uwiodła! To przez nią musiał zginąć! A niech szlag ją trafi! Ojej, ojej, ojej, biada mi!

– Chodźmy! – rzucił krótko starszy żandarm.

I ruszyli. Pomędzy żandarmami dziewczyna. Chuda, pobladła, niema, jakby i ona sama była już martwa, tak wyglądała.

Na posterunku żandarmerii gruntownie wypymano ją o wszystko. Zaprotokołowano, co mówiła. O Nátu, o Józsupie. Siedziała na stołku nieruchomo, z wyprostowanymi plecami, normalnie odpowiadała na pytania, lecz jakby nie było w niej życia. Jej głos był bezbarwny, twarz zastygła jak kamień, oczy wciąż patrzyły na ścianę, jakby coś tam widziały. W końcu nie było już więcej pytań. U dołu dokumentu sierżant wyrysował atramentem krzyżyk i na tym krzyżyku musiała odcisnąć swój palec.

– O tak – rzekł – teraz możesz odejść.

Dziewczyna spojrzała nań ze zdumieniem, jednak nie poruszyła się.

– Tylko tyle?

– Co masz na myśli?

– No... – zmieszana, rozglądała się wkoło – no... nie wiem.

– Możesz odejść – powtórzył sierżant.

Na te słowa ruszyła. Powolnym, nieporadnym krokiem. Doszła do drzwi, tam przystanąła.

– Chcesz coś jeszcze powiedzieć?

– Nie... tylko...

– Tylko co?

Wahała się przez moment, po czym zdecydowanym krokiem powróciła od drzwi i stanęła przed sierżantem.

– Powiedzcie... czy to możliwe, że... że dlatego, że jestem czarownicą... umierają mężczyźni?

Sierżant roześmiał się.

– Że jesteś czarownicą, w to uwierzę, kochana. Ale od tego jeszcze się nie

umiera.

– Czy to pewne?

Zapytała o to wręcz błagalnie. Zaśmiali się żandarmi.

– Pewne – zaśmiał się i sierżant – jeden umarł od noża, drugi zaś dlatego, że był pijany. Taki jest stan faktyczny. Od tego, że dziewczyna jest piękna, jeszcze się nie umiera!

– Tylko się odradza! – zauważył jeden z żandarmów i na te słowa znów zaśmiali się w głos.

– Ale na moim czole... nie widzicie tego? Śmiech im zamarł. Spojrzeli po sobie.

– Czego, moja duszko? – łagodnie zapytał sierżant.

– Znak. – I pokazała palcem na czoło. – O, tu.

Żandarmi znów spojrzeli po sobie.

– Wariatka – ze współczuciem mruknął ktoś w kącie. Sierżant podszedł do dziewczyny i poklepał ją po policzku.

– Kto ci nagadał takich rzeczy? Co?

– Ta Cyganka... tam w Disznajó...

– Bzdury. Nie słuchaj staruch! Idź ładnie do domu, już i tak dość biedujesz.

No, idź!

Tak to było. Wróciła nie przez wieś, lecz grzbietem pastwisk, w śniegu. We wsi już do wiosny wcale jej nie widziano. Ktoś mówił raz w karczmie, że ją spotkał w Fileháza, w sklepie. To tam schodzi ze skórami z kun, do Żyda. I wydeptała ścieżkę gdzieś poprzez pastwiska, na zboczu Macskakó. Ludzie pokręcili na to głowami, po czym szybko zapomnieli o dziewczynie znad Urszu. Zawsze było coś nowego do omówienia, przecież tylu obcych ludzi przywiodła tam piła.

Zima posuwała się naprzód powoli. Na próżno wydeptywano śnieg wokół Galonyi, te brudne ślady zima wciąż na nowo zakrywała. Konie pociągowe zapadały się po brzuch, a drogę do ściętych drzew trzeba było czasem i przekopywać łopatą. Ręce robotników przymarzały do stylisk siekier, skóra pękała niczym kora starych drzew, a mróz garbował twarze na stalowo. Tu i tam jeden i drugi koń padł z wyczerpania, tu i tam jeden i drugi człowiek spił się do nieprzytomności i zamarznął, innym zaś razem na zadymionej, śmierdzącej wspólnej kwaterze poszedł w ruch nóż czy machnięto siekierą. Ludzi wynoszono i grzebano gdzieś w ziemi, pop odmawiał krótką modlitwę i było po wszystkim. Konie tyle że odsuwano z drogi, a potem ktoś zdierał z nich skórę, bo i za nią płacono palinką.

Ale na Matki Boskiej Gromnicznej niedźwiedzie już nie powróciły do gawr. I zaczęły schodzić w dół do potoku Galonya, na końską padlinę. Rano, kiedy ludzie stawali do pracy, mogli zobaczyć, jak nieśpiesznie, pomrukując, przechodziły obok z brzuchami pełnymi jedzenia. Niektóry niedźwiedź wcale nawet nie uciekał, tylko pomrukiwał groźnie, jeśli kto trafił w jego pobliże.

Nareszcie śnieg zachlupotał, rzeka Maros z gniewem poniosła w dół jego żółtą breję i rozkwitły też wierzbowe baze. Przy ogrodzeniu tartaku zaczęły wyrastać pokrzywy, i te pokrzywy znaczyły ślady człowieka także w dolinie Galonya, wszędzie, gdzie gnieździli się robotnicy, konie i brud. Na wierzchołku Ulmu i na górze Istenszéke tokować zaczął głuszec, a wtedy już tylko tam wysoko zalegał śnieg. W końcu i on znikł. A stada Sándru powróciły na halę wokół styny.

Tamtej wiosny Kirilla przywiódł w góry także swoją żonę i trójkę dzieci, żeby przyzwyczajały się do owiec. Tóder ożenił się w kwietniu i tak oto również jego żona przeniosła się wysoko w pobliże zagród. Kiedy przybyli na wielką halę Ulmu, dojrzeli na górze krzyż. Po kolei podeszli tam do niego. Oglądali go i wcale się nie odzywali, tylko brali po kamieniu i kładli go pod krzyżem. Piętrzył się pod nim już całkiem spory stosik, bo to tamtędy wiodła też droga przez połoninę, dalej w kierunku Borgó. Droga pasterzy, drwali, węglarzy i innych ludzisków krainy ośnieżonych szczytów.

No a o krzyżu żaden nie mówił. Wykonywali swoją pracę, stary Sándru robił sery, a wiosna powoli przekwitała w lato. Pewnego razu jednemu z chłopców jednak przypomniała się dziewczyna znad potoku Urszu. Chyba najpierw Simion o niej wspomniął. Czy też jeszcze żyje, czy nie? A kilka dni potem stary Sándru wziął do ręki kij i wyruszył w kierunku Tronu Bożego.

Nim dotarł w dół, do wylotu Urszu, mogło być już południe. Pszczoły brzęczały na posłonkach, a liście brzozy drżały na lekkim wietrze. Stała tam i chata wciąż, przy niej zagroda, a na polanie kilka kóz i owiec.

Potem zaszczekał pies i wychylił głowę zza daszka zagrody. Dalej, na pieńku, siedziała dziewczyna. Lecz to nie była ta dziewczyna z zeszłego roku. Jakaś inna. Wyciągnięta w krzyżu, o wydłużonej twarzy, wielkich oczach, poważna

dziewczyna. Włosy miała zaplecione i upięte w koronę. I nie zaśmiała się, jak dawniej, gdy go ujrzała. Tylko wstała z pieńka, zawołała na kulawego psa i podeszła kilka kroków bliżej.

– Szczęść Boże, wujku Sándru!

– Szczęść Boże!

Stary oparł kij, usiadł na ławce. Dziewczyna stała przed nim.

– Urosły ci owce.

– Dobrze przezimowały.

– Jesienią przyprawdź je do stada! Dla baranów.

– Dobrze.

– Kozy dają mleko?

– Co dzień doję dwie i pół kwarty.

– To wystarczy.

– Dla mnie i dla psa wystarczy. Potem zamilkli.

– Od czego okulał? – spytał później stary Sándru, pokazując na psa.

Dziewczyna opowiedziała o zajściu z inżynierem. Starzec kiwał głową, potem tylko tyle rzekł:

– Psują świat tacy.

I dziewczyna wiedziała, że myśli o tych od piły.

– Dlaczego nigdy nie przychodzisz na halę? – zapytał po pewnym czasie i popatrzył dziewczynie prosto w oczy.

Ona wytrzymała to spojrzenie. Głębokie były jej oczy, a i czyste, jak owe małe niebieskie jeziora wysoko w górach.

– Ciężko by było – odrzekła powoli.

Wzrok starego pobiegł w dal ponad drzewami. Potem Sándru spuścił głowę i przyglądał się murawie przed własnymi kierpcami.

– Wiesz. Jeden umarł. Ten, co żyje. Ale ten drugi żyć będzie przy mnie i wokół mnie, i we mnie, na zawsze. Ten, co umarł. Rozumiesz?

– Rozumiem – tchnęła dziewczyna.

– Bo są dwa rodzaje śmierci. Ta jedna, która zamyka za sobą bramę. I ta druga, która zostawia ją otwartą. Rozumiesz?

– Rozumiem.

– On zostawił ją otwartą. I dlatego myślę, że mimo wszystko powinnaś od czasu do czasu przyjść.

Dziewczyna milczała. Stary odczekał trochę, potem wstał, sięgnął po kij i powiedział:

– Jak uważasz.

– Czekaście – rzuciła dziewczyna – posiedźcie jeszcze!

Stary odstawił kij i usiadł. Na ławce obok siebie położył też kapelusz. Kilka razy pogładził rzadkie białe włosy, sięgające mu do ramion, po czym tylko tak

siedział, wpatrując się gdzieś w górę, w kierunku Tronu Bożego, tam gdzie wierzchołki drzew ginęły w niebie.

– To było tak – zaczęła dziewczyna – nocą przyprowadził te dwie owce i spał tu u mnie. Spał dobrze i głęboko. Ja czuwałam i słuchałam, jak śpi. Coś wisiało w tej nocy. To nie była nocka taka jak inne. Ja czułam, że coś w niej wisi, i dlatego nie spałam. Ale on spał. A kiedy odchodził, na niebie były jeszcze gwiazdy. Tędy poszedł, w dół. Stałam w drzwiach i patrzyłam za nim. Szedł długimi krokami, jak miał w zwyczaju, a jego kierpce skrzypiały na śniegu. Ja byłam ostatnią osobą, która go widziała, tak powiedział żandarm.

– Nie ty nią byłaś. Ten, kto trzymał nóż, ten był ostatni.

– Tak, nóż. Potem Cyganka popatrzyła mi w dłoń i powiedziała, że w moim łożu mieszka śmierć. Bo jestem czarownicą, dlatego. Na moim czole jest znak, tak powiedziała. Tego właśnie dnia dowiedziałam się, że on już nie żyje. Że jeszcze tamtej nocy... dziwna to była nocka... gdzieś chrobotła mysz, pamiętam...

Stary poruszył się na ławce.

– Powiedziałaś o Cygance. Kto to był?

– Taka jedna w Disznajó, która przepowiada przyszłość. I wtedy już wiedziałam, że dlatego to się stało. Obejrzałam sobie czoło, a na nim był ów znak. To było straszne. I im więcej o tym myślę, tym bardziej staje się to przerażające. Że to wszystko zdarzyło się dlatego...

– Nie dlatego się zdarzyło. Ktoś trzymał nóż.

– Tak, ktoś trzymał nóż, to pewne. Ale posłuchajcie! Po wielu dniach przyszedł tu inny mężczyzna. Był pijany jak świnia. Zaszedł do mnie, do chaty, wieczorem i był taki jak żółta świnia. Świnia nawet nie może być taką świnią, jaką był ten człowiek. Nie miałabym nic przeciw temu, żeby umarł, rozumiecie? Lecz potem... on umarł. Ten też. Znów była taka przeraźliwa, diabelska noc, a tego człowieka następnego dnia znaleziono martwego, tam niżej, nad brzegiem potoku, w śniegu. Nie było nawet noża, nic nie było. A jednak umarł. Bo tu na moim czole jest ów znak, dlatego... popatrzcie...

Stary machnął ręką ze znużeniem. Nie popatrzył na dziewczynę, przyglądał się murawie.

– Moje oczy są stare, nie zobaczą już czegoś takiego. Ale co się tyczy tej Cyganki, to takich nie słuchaj! Dużo plotą.

– Ale wiedzą coś takiego, czego nie wiedzą inni. Znają rzeczy tajemne.

– Coś wiedzą. Ale i to tylko w połowie. Rozumiesz? Znają tajemnice tylko w połowie i same nie wiedzą, którą część znają, i gadają bez sensu.

Wstał, westchnął i znów sięgnął po kij.

– Mimo wszystko... mogłabyś przyjść, jeśli uważasz, że na Ulmu jest jeszcze coś, z powodu czego warto przyjść aż tam. Jeśli nie z innego powodu... to... żeby choć można było o nim pomówić... rozumiesz? Jest tu jeszcze i ser,

schowaj go!

I już odchodził. Szedł właśnie tak samo jak Nátu wtedy. Tym długim, posuwistym krokiem. A i kij trzymał akurat tak samo, tyle że włosy miał białe, a postawę starca.

Następnego dnia przed południem dziewczyna poniosła wysoko na Ulmu koszyk ryb. Przed styną jakaś kobieta właśnie rozwieszała pranie, żeby wyschło. Była to wielka koścista młoda kobieta.

– Czego chcesz? – spytała szorstko.

Dziewczyna zatrzymała się. Patrzyła na szałas, na zagrody, na koryto tam w dole. Wszystko było takie jak przedtem. Jakby wcale nic się nie wydarzyło. Jakby nikogo nie brakowało na Ulmu.

– Czego chcesz? – obca kobieta surowo powtórzyła pytanie. Dziewczyna spojrzała na nią, przyglądała się jej przez chwilę, po czym cicho odpowiedziała:

– Niczego. Ja tylko kogoś szukałam, ale zabłądziłam. Wybacz, proszę! – Odwróciła się i powoli ruszyła z powrotem, z koszykiem na ramieniu. Kobieta patrzyła za nią podejrzliwie. Wówczas otworzyły się drzwi styny.

– To ty, dziewczyno?

Dziewczyna zatrzymała się i spojrzała wstecz. W drzwiach stał stary Sándru.

– Wracaj, gdzie tak gonisz?

Wróciła, postawiła kosz na ziemi i przysiadła na kamieniu w progu. Nic nie mówiła, tylko tak tam siedziała i patrzyła. Na zagrody, na rozległą, wielką halę, na las. Później nadeszły owce z pastwisk, jeden za drugim wracali bracia Sándru i juhasi.

– Witaj, dziewczyno; Bóg cię przywiódł, dziewczyno...

Ona tylko kiwała głową i siedziała na kamieniu, siedziała i siedziała. Każdy zajmował się swoją robotą, jak dawniej, tyle że więcej było o jednego obcego juhasa. Przyszły i psy, leniwie ułożyły się w cieniu szałasu, a był pomiędzy nimi także i jego pies, ten wielki pies o jasnej sierści.

– Lupu, no, Lupu...

Pies ledwie co na nią spojrzał i poszedł dalej. Łzy przysłoniły jej oczy i potoczyły się po policzkach. Wstała. Wewnątrz przy otwartych drzwiach stary Sándru robił ser.

– Nie mogę przychodzić na Ulmu, wujku Sándru – rzekła, a po twarzy płynęły jej łzy – nie mogę.

Starzec powstał od cebra, popatrzył na zalane łzami oblicze dziewczyny i ze smutkiem pokiwał głową.

– Nie wiedziałem – rzekł – wybacz mi, dziewczyno, nie wiedziałem.

– Z Panem Bogiem, wujku Sándru!

– Z Panem Bogiem, dziewczyno! Weź z sobą jeszcze choć ten ser!

Potem dziewczyna z koszem przeszła pomiędzy zagrodami w kierunku lasu.

Nikt za nią nie zawołał, nikt za nią się nie obejrzał. Tylko ta koścista, surowa kobieta zauważyła po jakimś czasie:

– Dziwne miała oczy. I te dwie linie na czole... dobrze, że odeszła. Mówią, że są takie oczy, które swym spojrzeniem odbierają owcom mleko.

Na to jeden z juhasów roześmiał się w głos. Nareszcie zaczęli sobie pogwizdywać, a gdy spojrzeli za tą dziwną dziewczyną, jej nigdzie już nie było.

Całymi dniami siedziała na ławce, trzymając przed sobą małe lusterko w czerwonej ramce. Wciąż oglądała swoje czoło. A te rozwidlające się kreski coraz bardziej się pogłębiały, twarz wciąż chudła, oczy zapadły się i zrobiły się większe.

Niekiedy poniżej, brzegiem potoku, przechodził Mitru ze strzelbą na ramieniu, jednak nie popatrzył w górę ku chacie ani jeden jedyny raz. Ilekroć przechodził w cieniu drzew, pozostawiał po sobie coś złego, ciężkiego, jakiś dziwny, niewidzialny obłok mgły, nie wiadomo, co to było, ale było tam, dziewczyna dobrze to czuła. Ten człowiek coś z sobą włókł, gdy tamtędy przechodził, coś tak mrocznego, że drzewa tuliły się do siebie, a jego cień stawał się przygarbiony. Las zaniemówił, zmieniał barwę.

W końcu jednego dnia przyszedł Márton Sánta. Był oberwany i chudy, kulawy5 chyba jeszcze bardziej niż dawniej, lecz oczy błyszczały mu wesoło, gdy stanął przed dziewczyną.

– No, znów tu jestem! I to też mam już za sobą!

Dziewczyna przyglądała mu się i myślała o Józsupie, który umarł.

– Byłem razem ze starym, słyszysz?

– Widzieliście tatę? – dziewczyna podskoczyła z ławki.

– No widziałem go! Razem rąbaliśmy drewno dla więzienia!

– Jak się ma i co robi? No mówcie! Márton wzruszył ramionami.

– Jak każdy, kto tam jest. Żyje i... żyje. Tyle.

– Kiedy wyjdzie?

– Byłoby jeszcze trzy i pół roku. Ale wypuszczają wcześniej każdego, z kim nie ma problemów. A z nim rzeczywiście nie ma. No a poza tym wznowiono też jego proces. Akurat odbywają się rozprawy. Mówią, że wstawił się za nim adwokat barona... a ty jak żyjesz?

– Sami widzicie – dziewczyna westchnęła i odwróciła się, żeby nie dojrzał jej oczu.

– Urosłaś, o tak. No i zrobiła się z ciebie panna, popatrz no tylko! Ale trochę jakbyś zeszczuplała, co? A może zakochałaś się tu w górach?

– Przestańcie pleść głupstwa!

– No, no! I w tym nie byłoby nic dziwnego.

Dziewczyna z powrotem usiadła na ławce, a przy niej usiadł Márton. Milczeli. Potem naraz mężczyzna wyciągnął czarną rękę, pochwycił dziewczynę za ramię, przyciągnął do siebie, a zarośniętą twarz wcisnął w jej twarz. Szukał ust. Dziewczyna poderwała się gwałtownie. Stała przed mężczyzną czerwona na twarzy i wydyszała:

– A więc wy też...? Wy też...?

– Cóż to – zarechotał do niej Márton – chyba znasz się już na całowaniu?

Nie odezwała się ani słowem. Zostawiła go tam i weszła do chaty. Mężczyzna roześmiał się szyderczo, nareszcie podniósł się z ławki i postąpił za nią

do chaty.

– Zostańcie na zewnątrz! – dziewczyna zawołała nań surowo. Mężczyzna zaśmiał się.

– Ależ jesteś waleczna. Widać, że nikt jeszcze nie całował ciebie tak naprawdę. Nie wiesz, co to jest.

– I wcale nie jestem ciekawa – odparła i odwróciła się plecami. Mężczyzna znów się zaśmiał. Cicho, z drwiną.

– A przecież całowania jednak musisz się nauczyć, mój kwiatuszku. Pannie wypada to umieć.

Podszedł bliżej.

– Mam cię nauczyć? Jeszcze bliżej.

– Co? Nawet nie odpowiesz?

– Idźcie sobie! – rzuciła dziewczyna i odwróciła się twarzą do niego.

Mężczyzna zaśmiał się w głos.

– Ależ trudno dostać od ciebie całusa, moja kochana! Jeszcze i łatwiej będziesz dawać!

– Idźcie sobie!

– Gdybyś tylko wiedziała, co to jest.

– Idźcie sobie! Nie słyszycie? Idźcie sobie!

– Cóż ma w tym życiu biedny człowiek? Co? Tylko pracę i cierpienie. Reszta dostaje się panom. Jedyne, w czym i biedak może mieć swój udział, to całus i palinka. Więc nie błażnij!

Dziewczyna odwróciła się od niego. Czuła wstręt, wstręt.

– No chodź!

Jego ręce oplotły ją w pasie. Znów poczuła na twarzy zarośniętą brodę. Na ustach nieprzyjemny oddech.

– Tfu! – wyrzuciła z siebie i odepchnęła go. W oczach mężczyzny pojawiły się złe błyski.

– Splunęłaś na mnie? Ty mała nic niewarta szmato, ty na mnie splunęłaś? Więc taka jest wdzięczność za to, że ci pomagałem, że dla ciebie pracowałem, że dla ciebie siedziałem w więzieniu...? Bo to dla ciebie siedziałem w więzieniu, wiesz o tym? Dla ciebie dźgnąłem nożem tego łotra, bo śmiał powiedzieć, że...

– Zamilczcie – dziewczyna odwróciła się twarzą do niego – zamilczcie!

Ale z mężczyzny już wylewały się słowa niemożliwe do powstrzymania, gorzkie:

– Tak, mam milczeć! Ale ja nie będę milczeć! Ja też jestem człowiekiem, a nie tylko inni! Nie urodziłem się wołem pociągowym, lecz człowiekiem, o tak! Choć raz w życiu i ja mam prawo, żeby przypadł mi pierwszy pocałunek! Moja żona nosiła już w sobie bękarta leśniczego z Magyaró, gdy trafiła do mojego łóża! A i przedtem wszystkie dziewczyny przychodziły do mnie z cudzego łóża!

Z pańskiego łoża! Dlaczegoż to zawsze tylko panom dostaje się świeży pocałunek i pierwszy uścisk?! Dlaczego? Pocałunek biednego człowieka nie jest taki? Uścisk biednego człowieka nie jest taki? Od biednego człowieka potrzeba tylko pracy, tylko potu, tylko chleba?! Biedny człowiek wcale nie jest człowiekiem? A jedynie zwierzęciem?

Dziewczyna stała niema i jakby zastygła, z zaciśniętymi ustami. Mężczyznę tym bardziej ogarnęła pasja.

– Oczywiście do pańskiego łoża i ty byś poszła! Tam nie byłabyś taka wybredna, co? Ale teraz nie uwolnisz się ode mnie tak łatwo! Nie teraz! Należysz mi się! Siedziałem dla ciebie w więzieniu, słyszysz? W więzieniu!

Dziewczyna milczała. Wobec tego ciemnego mężczyzny czuła gorzki gniew, wstręt, niemal nienawiść. A więc dlatego było to wszystko? Dlatego przychodził piłować drewno? Dlatego zapraszał ją do swojego domu? Dlatego, tylko dlatego? Mężczyzna podszedł do niej, całkiem blisko, i wydyszał jej w twarz:

– Chcę swojej odpłaty, rozumiesz? Odpłaty, którą jesteś mi winna!

Jego oddech był obrzydliwy. Dziewczyna odwróciła głowę.

– Zostaw mnie! Wynoś się!

– Nie jestem ci potrzebny? – wycharczał mężczyzna. – Bo nie mam na sobie pańskiej guni, dlatego?

– Nie dlatego – jęknęła dziewczyna – ale dlatego, że umrzesz, jeśli tu zostaniesz, dlatego.

Mężczyzna zarechotał grubiańsko.

– No proszę, jeszcze mi nawet i grozisz?

Po czym złapał ją i przycisnął do siebie. Ten uścisk bolał, ale nie odezwała się więcej. Wcale też się nie broniła. Ogarnęła ją jakaś gniewna przekora, jakaś gniewna, przekorna ciekawość, żeby się więc przekonać. Zobaczyć, co będzie! Myślała o Cygance i wręcz pragnęła, żeby tamta znów miała rację. Albo żeby nie miała racji, a wtedy ona sama przynajmniej będzie wiedziała na pewno, że z tamtymi dwoma wszystko było tylko gadaniem i przypadkiem. Zaciśnęła mocno usta i przymknęła oczy. Ano zobaczymy! Wszystko to nie musi być takie straszne, każdy przez to kiedyś przechodzi.

A jednak było to straszne. Paskudne, wstrętne i ordynarne. Jakby tarzała się w jakimś śmierdzącym chlewie, pośród świń.

O zachodzie słońca mężczyzna odszedł. Jeszcze przez jakiś czas leżała na kożuchu, czując, że wcale nie może się ruszyć, że ma połamane kości, że udusi się brudem, który do niej przylgnął, do całego ciała, wszędzie, wszędzie. Nawet i w środku, tam gdzie mieszkają jej myśli.

Nareszcie wstała i powoli zeszła do potoku. Wtedy na niebie były już gwiazdy, a nad olchami krążyły sowy. Rozebrała się i stanęła w potoku. Woda była letnia, niemal ciepła. Położyła się w niej, długo się moczyła. Jej ciało pokrywała

gęsia skórka, gdy wreszcie wyszła na brzeg. Czuła, że skórę ma napiętą, i naraz poczuła też, że jest młoda i zdrowa. Podniosła wzrok ku gwiazdom i zadziwiła się. Na powrót poczuła się czysta, tym się zadziwiła. Czysta, świeża, wręcz wesoła. Jakby wcale nic się nie zdarzyło.

A więc to tylko tyle – pomyślała i wykrzywiła usta. Trochę się brzydziła, gdy powróciło wspomnienie tamtego mężczyzny, czuła do niego głęboką nienawiść. Bodajbym go nigdy więcej nie ujrzała – pomyślała – nigdy więcej! Bodajby umarł!

I wstrząsnął nią dreszcz od tej myśli.

Następnego poranka wybrała się na dół do wsi. Doszła tylko do domu rodziny Sánta, tam zatrzymała się na zewnątrz ogrodzenia. Na podwórzu gospodyni łupała chrust.

– Wasz mąż w domu?

– Pracuje przy wyrębie lasu – odpowiedziała kobieta i ponuro popatrzyła na dziewczynę. – Czego chcesz od niego?

– Niczego – odparła wręcz rozczarowana i wróciła do lasu. Następnego dnia znów zeszła.

– Pracuje przy wyrębie lasu – rzekła kobieta i westchnęła. Twarz miała zmęczoną, opuchniętą i starą.

Pożałowała jej. I niemal cieszyła się, że nic się nie zdarzyło. Odprężona ruszyła z powrotem, w lesie już nawet i śpiewała.

Po upływie trzech dni znów wybrała się do wsi. Ciągnęło ją podniecenie i ciekawość. Furtka była zamknięta. Przed drzwiami stała miotła. Zaszła do sąsiada.

– Mártona wczoraj wieczorem przywaliło drzewo – powiedziano jej w sąsiedztwie.

W jaki sposób znalazła się w Disznajó, tego i sama nie wiedziała. Naraz tam po prostu była. Stała przy moście, pośrodku wsi. W dole szumiał potok, którego nazwy nie знаła. Tarła oczy, czoło. Na próżno. Stała tam ponad potokiem o nieznanej nazwie, na moście w Disznajó. Po drugiej stronie mostu rosła dzika grusza. Wisiały na niej dojrzałe, żółte ulęgalki. Pod mostem kaczki pruły wodę. Słońce ze znużeniem spadało w dół na domy, nikt nigdzie nie przechodził. Chudy cień jodły wyciągnął się na drugą stronę mostu. Było popołudnie.

– Czego ja chcę? Mój Boże, czego ja tu szukam?

Oparła się o poręcz mostu. Była zmęczona, zmęczona w sposób niedający się wyrazić. Patrzyła w wodę, jak tam poniżej biegła w dal, bezustannie biegła i biegła, a mimo to ciągle tam była. Niczym trzęsące się, śmiertelnie drżące szare ciało, które każdym swym nerwem pragnie popędzić w dal, wyrwać się z tego świata, lecz krępują je kamienie i nie może postąpić naprzód, tylko męczy się w konwulsjach, wiecznie pozostając w tym samym miejscu. Czuła napięcie w tych ogromnych mięśniach, słyszała zdławione dyszenie wody, zmagającej się

z kamieniami. Długo musiała tam tak stać, przyglądając się wodzie.

Potem naraz znalazła się przed jakąś rozpadającą się lepianką i wpadła do niej przez drzwi. W środku lepił się do surowej ściany dymny mrok, spleśniały i stęchły mrok. Nareszcie odezwał się jakiś ochryply, rozkazujący głos:

– Wejź tu!

Weszła. Przygarbiona, jakby niska strzecha przygniatała jej ramiona.

– Usiądź!

Usiadła. Na jakimś stosie miękkich szmat. Przed nią, na małym trójnogu przycupnęła Cyganka. Tam wewnątrz, w mroku lepianki, była jeszcze brzydsza. Stara, pomarszczona i czarna. Tylko białka jej oczu błyszczały przeraźliwie.

– Czekałam na ciebie – rzuciła ochryplym, nieprzyjemnym głosem – czekałam na ciebie, dziewczyno. Wiedziałam, że tu przyjdiesz po tym trzecim.

– O czym ty mówisz? – przestraszyła się dziewczyna i dotknęła czoła. – Jak trafiłam do ciebie?

– Musiałś tu przyjść po tym trzecim – powtórzyła stara. Dziewczynę przeszył dreszcz.

– O czym ty mówisz? O jakim trzecim?

Cyganka nie odpowiedziała. Powoli wstała z trójnoga, podeszła do paleniska i rozdmuchała popiół. Następnie na lichą patelnię zeszkrobała żaru, odeszła z tym na tył do półek i ten żar czymś posypała. Długo się tam grzebała. Następnie wróciła, znów siadła na trójnogu i patelnię postawiła przed sobą w taki sposób, że patelnia znajdowała się pomiędzy nią samą a dziewczyną. Z patelni unosił się jakiś dziwny, biały dym. Dym ten miał słodkawy, duszący, ciężki zapach.

– Co to jest? Co robisz? – dziewczyna zadrżała.

Cyganka nie odpowiedziała. Wpatrywała się w dym z nieruchomą, sztywną twarzą. Jej oczy wręcz świeciły w półmroku. Osobliwe i straszne było to, jak tam siedziała, i taki sam był też ten dym, to, jak wciąż się unosił, biały, o dusznym zapachu, i spowijał wnętrze lepianki. Potem nie było widać już nic więcej, tylko ten dziwny dym w kolorze mleka i gdzieś głęboko w nim świecąca parę oczu. I wówczas zachrypiał z cicha głos, który był taki, jakby to sam dym przemówił. Wypełnił całą chałupę, półmrok i wszystko, monotonną ochryplą mową, która była taka, że dziewczyna musiała od niej zamknąć oczy.

– Wiedziałam, że tu przyjdiesz. Wiedziałam to, gdy po raz pierwszy zajrzałam w twoją dłoń. Po tym trzecim. Tak to było zapisane. Czekałam na ciebie.

Nie myśl, że zawsze byłam taka brzydka i stara jak teraz. I ja była młoda i piękna. Mężczyźni odwracali się za mną, gdy szłam drogą, i mówili mi ładne rzeczy, i obiecywali kolczyki i srebrne łańcuszki na szyję. A pewnego wieczoru we trzech napadli na mnie w wierzbynie. Złapali mnie, zdarli ubranie i nawet związali. Od tamtej pory stale tak to szło. „Cyganka – mówili – nic niewarta szmata”. Już nie mówili ładnych rzeczy i nie obiecywali srebrnych łańcuszków. Tylko siłą wciągali

mnie do szopy albo wyważali drzwi, tam gdzie byłam, czy łapali mnie w lesie, gdy zbierałam grzyby i chrust. „Cyganecka” – mówili i śmiali się w głos, gdy płakałam, a potem mnie opluwali, jeśli odważyłam się ich przekląć.

O, jak ja ich nienawidziłam! Wszystkich. Tych samców. Tych przeklętych. Tych brudasów. O, jak ja ich nienawidziłam! Co roku rodziłam dziecko, to były dzieci wioski. Kobiety mnie opluwały, mężczyźni wyśmiewali się ze mnie w głos, a dzieci po kolei żywiły się moim ciałem.

Nienawidziłam ich! Nienawidziłam! Lecz nie mogłam nic uczynić, nic, rozumiesz? Zrobiłam się stara, brzydka; dzieci mnie opuściły i rzucały we mnie kamieniami. Mężczyźni mnie kopali, kobiety szczuły psami! Jesteś czarownicą, mówili. O, gdybym stała się nią tak naprawdę! O, byłaby im biada, o, po tysiackroć! Ale ja nie byłam czarownicą. To, że znam sekrety, których inni nie znają, to wcale jeszcze nie czyni ze mnie czarownicy. A przecież kiedyś tak bardzo chciałam nią być! Odrzeć im ciało od kości! Obudzić w tych ludziach taki strach, żeby od niego szczękali zębami, odebrać im krew, uwięzić dusze, a rozum rozproszyć z wiatrem! O, gdybym mogła być czarownicą choć jeden raz, jeden jedyne raz!

Ale ty, dziewczyno... gdy ujrzałam twoją rękę, wiedziałam. Ty jesteś tą, która pomścisz całe zło, jakie wyrządzili nam nikczemnicy, uganiający się za spódniczkami, obrzydliwcy, świnie... to ty nią jesteś! Jesteś czarownicą, dziewczyno! Na twoim czole jest znak i masz to wypisane na dłoni. Ty, dziewczyno, nie tyle znasz sekrety, ty te sekrety czujesz. Czujesz je i wypełniasz, nawet jeśli o tym nie wiesz, nawet wtedy. Jesteś czarownicą, prawdziwą czarownicą, jaką ja pragnęłam być. Kto się z tobą położy, spać będzie ze śmiercią. Kto ciebie zapragnie, śmierci zapragnie. Zepsujesz dusze, a pod spojrzeniem twych oczu rozum mężczyzn zniknie jak dym. Ty jesteś wielką mścicielką, która weźmiesz od nich odpłatę za całe zło, jakie kiedykolwiek wyrządzili na tym świecie dziewczętom...

Urodziłaś się w ogniu i ogień strawi też twoje ciało. Jest przy tobie zawsze niewidzialny cień i zgubiony będzie mężczyzna, który w ten cień wejdzie. Jesteś dobra i łagodna, a mimo to wiąże się z tobą zemsta i śmierć, bo jesteś czarownicą i nic nie możesz na to poradzić. Od zapachu lilii ginie mucha, która do niej wleci. Ty jesteś ognistą lilią lasów, która zabijesz mężczyzn, jeśli sobie ciebie upatrzą. Ty jesteś rzucającym urok kwiatem, od którego serca staną w ogniu i spłoną niczym trawa w żarze... śmierć jest w twoim łóżu, śmierć jest w twoim ciele, śmierć jest na twych wargach...

Z oczu dziewczyny polały się łzy. Z przymkniętymi oczami siedziała bez ruchu w tym magicznym dymie, a spod jej powiek wciąż wypływały łzy. Zachrypiły, starczy głos Cyganki umilkł na kilka chwil. Potem jej koścista, czarna ręka wyciągnęła się poprzez dym.

– Nie płacz, dziewczyno! Nic nie możesz na to poradzić. Daj tu dłoń!

Z drzeniem wyciągnęła rękę. Na skórze poczuła ciepło żaru z patelni.

– Nic nie możesz na to poradzić. Jesteś dobra i łagodna. Chcesz kochać, a rozdajesz śmierć. Nie czujesz nienawiści, a przyszłaś na ten świat jako jej narzędzie. Pozostaniesz jałowa, jak ognistoczerwona lilia, której zapach zabija muchy. Gdybyś jednak wydała na świat życie, to i to życie sama byś zabiła, a nic nie mogłabyś na to poradzić. Straszne rzeczy masz zapisane na dłoni, dziewczyno... a na to, co zapisane, nic nie możemy poradzić. Ty jesteś aniołem zemsty, którego imię brzmi czarownica... twój los jest piękny i straszny, przerażający i wspaniały... twoje życzenie jest rozkazem dla piekielnych potęg, twoje pragnienie spełni się, nim jeszcze je wymówisz... twoja nienawiść zrodzi krew i ogień, a śladem twego pocałunku rozkwitnie śmierć... twoja krew nosi w sobie zemstę pohańbionych dziewic... zmienisz w rzeczywistość przekleństwo oszukanych dziewcząt... idź... za spojrzeniem wyczujesz myśl i usłyszysz słowa, które nie zostaną wypowiedziane. Zobaczysz to, co niewidzialne, usłyszysz to, co nie wydaje dźwięku, i poczujesz to, co wcale nie ma zapachu, bo jeszcze nawet i nie narodziło się w czasie. Idź! Przyszłaś zapytać, a ja odpowiedziałam. Idź, dziewczyno! Ktoś na ciebie czeka.

Dziewczyna otworzyła oczy. Po dymie nie było śladu, w powietrzu unosił się jeszcze jedynie jakiś słodkawy zapach. Na patelni leżała już tylko garstka szarego popiołu. Stara Cyganka siedziała zgarbiona na trójnogu i spod na pół przymkniętych powiek spoglądała w ziemię, jakby już zasnęła.

– Idź, dziewczyno! Ktoś na ciebie czeka. Z przestrachem rozejrzała się wokoło.

– Czeka? Tak mówisz?

– Idź!

Mechanicznie, jakby we śnie, podniosła się ze stosu szmat. Cyganka siedziała nieruchomo na małym stołku, jej pomarszczona, stara twarz zwisała niemal do ziemi, może już i spała, może wcale i nie żyła.

Na zewnątrz właśnie zachodziło słońce. W poprzek drogi wyciągnął się przeraźliwie długi i smukły cień jodły. Dalej w potoku kilku młodzieńców kapało konia. Nadzy brodzili w wodzie, pokrzykując. Jeden z nich, potargany ciemnowłosy wyrostek, bezwstydnie siadł na grzbiecie konia i z szyderczym rechetem spoglądał w jej kierunku. Od tego wzroku poczuła się tak, jakby opadło z niej ubranie i już i ona sama stała tam naga. Odwróciła głowę. Wyrostek na koniu zaśmiał się szyderczo i zawołał do niej coś nieprzyzwoitego.

– O, bodajby zdechł... – dziewczynę przeszła gorycz upokorzenia.

W tym momencie za jej plecami powstał hałas podków i przestraszonych krzyków. Spojrzała wstecz. Koń spłoszył się od czegoś, zaczął stawać dęba i zrzucił z grzbietu owego nagiego wyrostka. Ten spadł głową w przód. Woda nie

chlapnęła, tylko coś dziwnie, głucho stuknęło. Wystawała tam z potoku ostra grań wielkiego szarego głazu. Wyrostek zanurzył się i woda poniosła jego ciało, tocząc je i nim obracając. Pozostali z krzykiem popędzili za nim. Woda była czerwona, ciemnoczerwona.

Pędem pobiegła przez wieś, nie oglądając się za siebie. Ciało jej dygotało z wielkiej gorączki, zęby szczękały. Kilku ludzi popatrzyło za nią z przestachem, gdy tak przemknęła obok nich.

Za wsią, zmęczona, opadła bez sił na skraj rowu. Dyszała niczym ścigane dzikie zwierzę. Oczy jej w przestachu biegały wokoło po polu, czegoś szukała, czegoś, co żyje. Dalej, na czubku krzewu tarniny, siedział sobie jakiś mały szary ptaszek i szczebiotał.

– Uciekaj, ptaszyno, bo i ciebie zabiję! Uciekaj ode mnie!

W tym momencie coś świsnęło w powietrzu. Ze ściągniętymi skrzydłami uderzyła skądś w dół sowa i jużniosła w szponach małego, kwilącego szarego ptaszka. Dziewczyna patrzyła za sową okrągłymi oczami, jak zaczarowana.

– Ojej! – jęknęło w niej przerażenie, a ona sama zerwała się znad rowu. Biegła i biegła, jak szalona, dysząc, przez pola, przez zaoraną rolę, by dotrzeć tam, gdzie widziała las.

Pod pierwszym drzewem padła bez sił niczym kwiat, któremu przecięto łodygę. Jej ciałem wstrząsało bezgłośnie łkanie.

– O, ja przeklęta, przeklęta! Bodajbym i ja zginęła!

Pod drzewami już szarzało. W ściółce z zeschniętych liści słyhać było ciche szmery, a nad doliną rozpostarła swe olbrzymie skrzydła samotność.

Na skraj lasu wyszła sarna i badawczo zapuściła nos w wieczór.

– Jestem samotna, sarno; och, bardzo jestem samotna... chodź tu, sarno, chodź tu do mnie... chodź tu, sarno...

I sarna powoli, bardzo powoli ruszyła. I szła. Powoli, bardzo powoli, jakby przy tym spała. Dziewczyna jak zaczarowana patrzyła na zbliżającą się sarnę, dziwnie biło jej serce.

– Chodź, sarno... chodź do mnie, sarno...

I sarna szła. Bardzo, bardzo powoli, z wyciągniętą w przód szyją, na drżących nogach. Szła. Dziewczynę oblała jakaś czuła radość, oczy jej zalśniły.

– Chodź, sarenko, chodź!

Sarna podeszła tam, całkiem blisko. Delikatnie drżały jej uszy. W końcu zatrzymała się. Kilka chwil postąpiła nieruchomo przed dziewczyną, tuż przed nią, nareszcie poczęła skrobać ziemię, po czym legła. Słyhać było jej westchnienie, gdy zamykała oczy. Oblicze dziewczyny promieniowało. Oddychała głęboko, swobodnie, zmora przeminęła. Ostrożnie wyciągnęła rękę i dotknęła sarniej szyi. Czowała, jak pod jej palcami zadrżało delikatne ciało sarny. Ale był to tylko moment, pierwszy dotyk. Podczas gdy głaskała sarnę, ta już się nie ruszała, a jedynie od

czasu do czasu strzygła uszami, usłyszawszy szmer ruchu w gęstwinie.

Po jakimś czasie dziewczyna wstała. Na ten ruch sarna zadrżała, jednak pozostała na ziemi, leżąc.

– Chodź ze mną, sarno – rzekła – chodź ze mną!

Sarna potrząsnęła głową, jakby odganiała muchy z uszu.

– Nie chcesz? – zapytała dziewczyna i roześmiała się.

Na ów głośny śmiech sarna podskoczyła, jakby dźgnięto ją nożem. Z zeszywniałą szyją przez moment natężyła uwagę, następnie spojrzała na dziewczynę, zastygła ze strachu.

– No, co się stało? – spytała dziewczyna i znów się roześmiała. Jakby ją smagnięto biczem, tak oto sarna zadrżała na ten dźwięk, po czym sadząc wielkimi skokami, czmychnęła w gęstwinę. Długo jeszcze słyhać było odgłosy jej panicznej ucieczki. Właśnie wtedy zaświeciła na niebie pierwsza gwiazda. Dziewczyna spojrzała w górę, cicho westchnęła i ruszyła w kierunku domu. Kiedy dotarła nad Urszu, zapadła już noc. Pies, skamłając niespokojnie, przykuśtykał ścieżką do niej i nie przestawał skowyczeć u jej nóg.

Miotły nie było na miejscu, a w uchylonych drzwiach migotał odblask ognia.

Z mocno bijącym sercem Nuca postąpiła dalej i zatrzymała się na progu. Na ławie przed ogniem, wsparłszy zarośniętą brodę na ręce, jak miał to w zwyczaju, przygarbiwszy plecy, siedział Tóderik, stary.

– Tata!...

Stary podniósł kudłatą głowę, w tańczącym świetle ognia przyglądał się przez jakiś czas dziewczynie, zanim odezwał się, mrużąc jak zmęczony niedźwiedź:

– No... przysłaśże?... Hę?

Dziewczyna poczuła w sercu jakieś dziwne ciepło, a oczy zaszyły jej łzami.

– Ha – Tóderik poruszył się nieco przy ogniu – kozy i owce zamknąłem. Masz nawet kury. Ha. Sprytna jesteś. I psa. Ha. W kociołku zostało trochę mamałygi, możesz zjeść.

Z wolna wstał, ziewnął i poczłapał do swojego posłania.

– I to też jest tutaj. To dobrze.

Słyhać było w ciemności, jak powoli rozwiązał rzemyki u kierpców i starannie ułożył się pod derką. Ziewnął jeszcze kilka razy, a potem dochodziło już tylko jego sapanie, nic innego. A jako że dziewczyna stała przed ogniem i nieśpiesznie podjadała resztkę mamałygi, zdało jej się, jakby tak właśnie było zawsze, każdego dnia, każdego jednego dnia, i jakby po drodze nic a nic się nie wydarzyło.

5 *Sánta* znaczy po węgiersku kulawy, kuternoga.

Tamtego lata zaczęli budować kolej w górę wzdłuż Maros. Wcześniej mówili, że tylko do Szászrégen, potem jednak okazało się, że zbudują ją wysoko, aż po Déde, a to z powodu piły barona. Okolicę po prostu zalali inżynierowie, którzy przez całe lato dokonywali pomiarów i słupkami wytyczali drogę dla parowej maszyny. Niewiele dbali o to, czyją ziemię rozcinają na dwoje. Gdzie taki inżynier wbił czerwony palik, tam od tej pory ziemia służyła już nie swemu dawnemu gospodarzowi, lecz państwu. Tak mówili.

Oczywiście nocami ludzie starali się nieco poprawiać pracę inżynierów i tu i tam przesuwali paliki. Ale wszystko to w niczym im nie pomagało, a tylko sprowadzało na kark kłopoty i żandarmów. Za inżynierami stało, niczym jakiś niewidzialny potężny bóg, państwo, i ludzie musieli się nauczyć, że jest dwóch bogów. Jeden, o którym wiedzą księża i który jest pachnącym wonią kadzidła, miłującym pokój i łagodnym Panem, oraz ten drugi, który nazywa się państwo. A ten nie jest już ani miłujący pokój, ani łagodny, ani sprawiedliwy, tylko potężny. Jego są podatki i żołnierze. I jedyne, co za to wszystko daje, to rozkaz.

Już w połowie lata zaczęto budować nasyp i mosty. Setkami przybywali niechlujni robotnicy o obcej mowie, a i po wsiach werblami ogłaszano rekrutację robotników do pracy za dniówkę. Zarobku nie brakowało, to prawda. I łatwy był to zarobek. A jednak kiedy ktoś zaczynał mówić o kolei, miejscowi stawali się gderliwi. Było to takie, jakby śladem palików owych inżynierów pełził w górę dolinę Maros jakiś niewidzialny wróg.

Tamtego lata drzewa zaczęli wycinać na zboczu Ulmu. W górę potoku Galonya przeprowadziły się baraki, stajnie, szałas i poniosły z sobą głębiej w las brud, hałas i smród. Od wylotu Galonyi, wysoko aż po Ulmu, oba stoki przedstawiały widok wyciskający z oczu łzy. Były puste i pozbawione życia. Parowa piła tam w dole pożerała olbrzymie ilości drewna potrzebnego na budowę mostów i budynków stacyjnych. W górze nad potokiem Galonya zagościła pustka. W dole jarów jeszcze jako tako rozrastały się topole, a na zbiegających w dół stokach cienkie, długie gałązki wypuszczała leszczyna. Tu i ówdzie zdarzał się buk. Lecz świerków już nigdzie nie było. I wszystko – całą tę szeroką, wielką porębę – pokryły olbrzymie chwasty, jak w jakimś opuszczonym ogrodzie niedbałego gospodarza.

Lecz w okolicy Urszu panowała tamtego lata cisza, głęboka cisza. Spokoju jarów nie zakłócał, jak wcześniej, głośny dziewczęcy śmiech. Nie było też słyhać śpiewu pod wieczór. Niekiedy odzywał się tylko dzwonek którejś owcy, a głębiej nad Urszu głucho stukiała siekiera, gdy Tóderik przygotowywał drewno na węgiel. I całymi dniami unosił się z pieców szary dym, unosił się wysoko ze zbocza Istenszéke, a czasem mglisty wieczór spychał go na Urszu, i wtedy wilgotna, chłodna woń dymu napępiała wszystko wokół samotnością.

Potem przyszła jesień. Gotowe były pierwsze mosty tam w dole. Przy

Szászrégen, jak niosła wieść, ułożono już pierwsze szyny. Stamtąd aż do Dédy ludzie kręcili się po nasypie, a na dziedzińcu tartaku leżał ogromny stos podkładów kolejowych. I od świtu do zmroku piła połykała i połykała las.

Tamtej jesieni jelenie wyniosły się znad Galonyi i tak samo z Ulmu. Usłyszeć je można było z rzadka jedynie na wysokich grzbietach, nocą, gdy lśnił księżyc, rosła cisza, a gwiazdy przesiewały śnieżną rosę.

Dziewczyna przez cały dzień przesiadywała przy owcach. Sylwetka jej wysmukłała, twarz wyszczuplała, a w wielkich niebieskich oczach tkwiły tajemnice, głębokie tajemnice. Nie odzywała się całymi dniami. Staremu to nie przeszkadzało. Tam, skąd on przybył, wszyscy byli już przyzwyczajeni do milczenia.

Pewnego poranka, może dwa tygodnie po tym, jak stary wrócił do domu, zapytał jednak:

– Masz ty jaki kłopot, dziewczyno? He?

Dziewczyna stała w progu i patrzyła na Tron Boży. Tam wysoko opary właśnie zmieniały się w obłoki, lekkie białe obłoczki, i promienie wschodzącego słońca pędziły je przed sobą, podobnie jak młodzi pasterze w złotobrazowych kierpcach pędzą stada owiec.

– A jakież miałabym mieć? – spytała cicho, nie odrywając oczu od szczytu. Nareszcie poprawiła sobie chustkę na czole i ruszyła za owcami.

Stary popatrzył za nią i pokręcił głową. Potem westchnął, wziął siekiere i ruszył w górę Urszu, dopilnować węgla.

Dziewczyna nosiła w sobie tajemnicę, która ciążyła jej niczym zimny jak lód stukilogramowy głaz, ukryty w skrzyni zamkniętej na siedem kłódek. Tamtego lata, póki owce spokojnie pasły się na polanach w jarach, dokonała sama z sobą obrachunku. Rzucony przez Cygankę czar, który zaległ jej na duszy, z wolna przestawał być straszny. Czuła, że jest skazana na wieczną samotność i że nigdy więcej nie wolno jej z uśmiechem na twarzy zbliżyć się do innego człowieka. Że musi żyć, wiecznie kryjąc się w gęstwie lasu, naprawdę tak jak czarownice, w oddaleniu od mężczyzn, i że ta myśl wcale już nie napędza jej rozpacz. Ta myśl, by w opromienionych słońcem jarach wiecznie tylko paść owce, szukać malin i grzybów czy jagód, niosła z sobą spokój.

Ale w tym złym uroku były też pasjonujące, piękne tajemnice. Podniecające sekrety, wywołujące dreszcze zabawy, którym nie umiała się oprzeć, i wciąż od nowa musiała z nimi igrać, jak z jakimś rzucającym urok, niebezpiecznym ogniem. Musiała tylko spojrzeć na wiewiórkę i chcieć, mocno chcieć, żeby ta do niej przyszła... i wiewiórka do niej przychodziła. Głupio i w przerażeniu, i całym ciałkiem dygocząc ze strachu, ale jednak do niej przychodziła i pozwalała pogłaskać się po grzbiecie. I przychodziły również sarny i jelenie, jeśli bardzo chciała tego, żeby tam przyszły, i kładły się dookoła niej, i patrzyły wielkimi,

sennymi i zadziwionymi oczyma, jakby mówiły: widzisz, taki powinien być świat. Taki powinien być człowiek. Tak powinni żyć wespół ludzie, sarny i jelenie.

W taki sam sposób zabawiała się z drozdami i również z sójkami, i było coś wspaniałego w tym, że zwierzęta, ptaki słuchały się jej myśli. Lecz były też chwile pełne smutku. Raz przyzwała do siebie drozda i drozd przyfrunął na jej rękę. Był to mały, głupi, łagodny, miły drozd. I kiedy nań patrzyła, naraz ujrzała za drozdem pewien obraz. Ciało, szarpiące się w ostrych szponach, i pokrwawione pióra. Krzyknęła i cofnęła rękę. Drozd odfrunął w przestraszu; chciała za nim zawołać: uważaj! Ukryj się w krzakach! Śmierć czeka na ciebie! Ale byłoby to daremne. Drozdy nie rozumiały jej słów, umiały jedynie słuchać jej rozkazów. Tamtego dnia była smutna. A kilka dni później w jednym z jarów znalazła wyrwane pióra. Były to pióra drozda.

Lecz Tóderik nic a nic o tym wszystkim nie wiedział. On tylko wypalał drewno w górze Urszu, na zboczu Istenszéke, nieopodal źródeł. Pilnował ognia w przyduszonych ziemią piecach, niekiedy przystawiał ucho do wilgotnej gleby i słuchał jęku ognia zamkniętego w więzieniu, i mruczał niewyraźne słowa. Myślał o tamtym drugim więzieniu, gdzie w taki sam sposób jęczą i szarpią się ludzie stłamszeni przez prawo i władzę, a tymczasem życie się w nich wypala, zdławiony żar trawi ich i spala na czarny węgiel. Powoli, bardzo powoli.

Pewnego poranka Tóderik wziął do ręki kij zamiast siekiery. Był już początek jesieni, wysoko na Dósz żółkły brzozy, liście olch, obkurczone, spadały jeden za drugim i zabierała je woda, Bóg jeden wie dokąd.

Kiedy Tóderik wyszedł na próg, dziewczyna stała oparta o zagrodę. Raptownie postąpiła doń i rzekła:

– Nie idź dzisiaj do Włochatouchego!

Tóderik ze zdziwieniem patrzył na dziewczynę.

– Co? Co mówisz?

– Nie idź dzisiaj do Włochatouchego! – powtórzyła. – Dzisiaj tam nie idź!

– Hę? Skąd to wiesz?

W głosie starca czuć było zmieszanie. Małymi oczyma podejrzliwie przyglądał się dziewczynie. Ta zaś, ze wzrokiem wbitym w ziemię, cicho powtórzyła:

– Nie idź dzisiaj na dół!

– Dlaczego?

– Nie wiem – odpowiedziała dziewczyna, a jej wzrok w udręce i zmęczeniu powędrował ponad lasami – nie wiem. Ale dzisiaj do niego nie idź! Nie dzisiaj!

Tóderik mruknął coś i ruszył. Po kilku niemrawych krokach jednak przystanął i odwrócił się w zamyśleniu. Dziewczyna wciąż jeszcze tam stała, a na jej twarzy malowało się cierpienie.

– Mówisz, żebym nie szedł? Czemu?

– Nie wiem.

Jej głos pełen był udręki. Starzec postął jeszcze jakiś czas, przyglądając się jej. Nareszcie pokręcił głową i mamrocząc coś, odszedł. W dół ku wsi.

Dopiero wieczorem wrócił do domu. Dziewczyna siedziała w progu skulona, z twarzą ukrytą w dłoniach. Słyszała, jak stary szedł w górę wzdłuż potoku. I wiedziała, że coś się wydarzyło.

Powoli szedł Tóderik. Na prawą nogę mocno utykał. Przyszedł z gołą głową, a rzadkie siwe włosy opadały mu na twarz, potargane. Oblicze miał zakrwawione, oczy spuchnięte. Skórzana kamizela zwisała porwana, koszula na ramieniu była w strzępach i także zakrwawiona. Kija nie miał z sobą. Szedł, wspierając się na zakrzywionej gałęzi.

Dziewczyna wciąż siedziała w progu, nie odejmując dłoni od twarzy, a mimo to wszystko widziała.

Tóderik pomału dowlókł się na górę do domu. Przytrzymał się ramy drzwi i przez jakiś czas stał tam nieruchomo i patrzył na dziewczynę, która chyba płakała.

– Nie płacz – rzekł po pewnym czasie, a te słowa dobyły mu się z ust z jękiem, jakby szły z jakiejś głuchej otchłani – nie płacz! Nic nie możesz na to poradzić.

Dziewczyna podniosła nań wzrok. Nie płakała, tylko twarz miała bladą, a oczy podkrążone.

– Nic nie możesz na to poradzić – stary powtórzył mrukliwie i wierzchem dłoni otarł sobie usta, z których wciąż jeszcze sączyła się krew – a teraz już i oni wiedzą. Kto o tobie coś powie, tego zabiję.

Pokuśtykał do chaty, po czym słyhać było, jak zwałił się na posłanie. Później powiedział jeszcze tyle:

– Włochatouchy kupił węgiel. Przyjadą po ten węgiel zimą, saniami, gdy noc będzie jasna, księżycowa.

Po czym niezadługo słyhać było już tylko chrapanie.

Jeszcze nawet nie świtało, gdy stary znów zaczął się ruszać. Wstał, rozpalil ogień. Ugotował tyle mamałygi, ile zmieści się w worku. Potem wziął na ramiona kozuch, do ręki siekiere.

– Pójdę wyżej – rzekł ochrypłym, mrukliwym głosem – tam będzie lepiej. Na dół więcej nie zejść. Od czasu do czasu możesz przynieść coś do jedzenia. Od czasu do czasu.

Jeszcze od progu rzucił wstecz:

– Zaliczka została u Ormianina. Mogłabyś ją przynieść. I mój kapelusz...

Już bledły gwiazdy, kiedy poszedł. Słyhać było, że przed chatą jeszcze się zatrzymał. Może żegnał się z domem. Nareszcie ruszył, człapiąc, i jego kroki z wolna ucichły.

Przed południem przyszli żandarmi. Dziewczyna już na nich czekała.

Siedziała tam w progu, tak samo jak poprzedniego dnia.

– Gdzie jest stary? – zapytali żandarmi.

Ich słowa świsnęły jak bat, po całej polanie. Pies z podkulonym ogonem obszczekiwał ich spod ściany.

– Poszedł – odparła dziewczyna, nie wstając z progu.

– Dokąd?

– Tam na dół – odpowiedziała i pokazała w kierunku wsi.

– Kiedy?

– Wczoraj.

Żandarmi spojrzeli po sobie.

– I od tamtej pory nie wrócił?

– Nie.

Naradzali się trochę, po czym szarpnęli rzemieniami karabinów i weszli do chaty. Po chwili wyszli i okrążyli dom. Pies poszczekiwał na nich. Później wrócili do dziewczyny.

– Jeśliby wrócił... – zaczął jeden. A drugi wtrącił:

– Nie wróci. Nawet i nie czekaj na niego! – Machnął ręką. – Znamy takich.

I poszli. Wiatr powiewał im kogucimi piórami, a na bagnietach karabinów zimno zabłysło słońce.

Dziewczyna jeszcze przez jakiś czas pozostała w progu, w końcu wstała i dała psu jeść, wzięła sakwę i zeszła do wsi.

W karczmie siedziało zaledwie kilku niechlujnych robotników, którzy zaszyli się w końcu długiego stołu. Byli to ci od piły. Pili palinkę i milczeli. Ormianin, poszarzały na twarzy, wychylił się przez szynkwias.

– Jeden zmarł – szepnął, a usta miał bardzo blade i drżące – drugi też się nie uchowa, jak mówią... Dziewczyna położyła sakwę na szynkwiasie.

– Za zaliczkę – rzekła – za węgiel, wiecie...

Włochatouchy wziął sakwę i pośpiesznie ją napełnił. Niczego nie ważył, tylko tak wkładał do środka. Kaszę kukurydzianą, olej, mydło, świece... aż sakwa się wypełniła.

– To nie wina starego – zaszeptał do dziewczyny, gdy oddawał jej sakwę – ja to widziałem. To nie on zaczął, o nie. Jego kłopot polega tylko na tym, że jeden od tego zmarł... a jeśli i drugi...

– Niech wam Bóg błogosławi! – pożegnała się dziewczyna i wypchaną sakwę podniosła na ramię.

– Czekaj – poderwał się nagle Ormianin – czekaj! Coś tu zostało. Zaczął grzebać w dole, za szynkwiasem. Następnie wyciągnął kapelusz. Dał go dziewczynie tak, żeby pozostali, ci, co siedzieli przy stole, tego nie widzieli.

– Bóg wam zapłać! – powiedziała cicho dziewczyna, a oczy zaszyły jej łzami. Miała w ręce kapelusz, czarny, znoszony kapelusz, stary kapelusz. Łza potoczyła

się jej po policzku.

– To nie była wina starego – Ormianin powtórzył szeptem – o nie. Ja to widziałem. Ale szkoda, że tamten od tego zmarł...

Jego wielka, owłosiona ręka dotknęła ręki dziewczyny i delikatnie ją uścisnęła.

– Musisz być odważna, dziewczynko – szepnął – takie jest życie... Byli żandarmi?

– Byli.

Ormianin westchnął.

– Takie jest życie.

Naraz dziewczynę ogarnęła jakaś czułość. Chciała temu potężnemu mężczyźnie, temu brzydkiemu, owłosionemu człowiekowi okazać serce, powiedzieć mu coś dobrego. Sama nie wiedziała, jak wyleciało jej z ust:

– Uważajcie na ogień... na ogień uważajcie! I na mężczyznę ze szramą na twarzy!...

Na te słowa Ormianin drgnął i szeroko otwarte oczy utkwił w dziewczynie.

– Dlaczego to mówisz?

– Nie wiem – odparła i zadrżała. – Niech wam Bóg błogosławi! Jakby drobne, małe igielki kłuły jej skórę, gdy w pośpiechu przechodziła przez szynk. Nie patrzyła w żadną stronę, tylko przed siebie. Ale czuła, że słowa, które wypowiedziała, pozostały w zadymionej, niskiej izbie, pozostały tam i trwały. I jakby dźgano ją nożem w plecy, w taki oto sposób czuła na sobie wzrok mężczyzny, i wiedziała, że ten człowiek siedzi pośród robotników, przy końcu stołu. Wiedziała i to, że ma na twarzy szramę.

Drżącą ręką chwyciła kłamek. Wręcz pędem pobiegła przez całą wieś. Ścigały ją słowa, które wypowiedziała, a które tam pozostały i trwały, i szykowały się na coś strasznego. I ścigał ją wzrok, który czuła na plecach. Musiała przed nim uciekać w gęstwą lasu, pomiędzy drzewa, jak najdalej, jak najdalej.

Nareszcie życie jakby znów powróciło w dawne koleiny. Rano wypuszczała owce, nosiła wodę i drewno, sprzątała w chacie, przysiadła na progu i czekała. Na co? Sama nie wiedziała. Ale czuła, że na coś czeka, że musi na coś czekać, i czekała.

Niekiedy nałapała ryb i zanosila je w górę Urszu, do pieców. Czasem niosła grzyby. Czasem jagody lub jeżyny. Stary siedział zwykle przy którymś z pieców, na pniaku. Z brodą wspartą na pięści śledził ogień wewnątrz, niekiedy usta mu się poruszały, jakby do kogoś mówił, jednak głos mu z ust nie wychodził. Dalej, pod drzewami stała świeżo sklecona koliba, zrobione naprędce prymitywne noclegowisko, jakie buduje sobie człowiek, który wie, że już nie za długo w nim pomieszka.

Ryby, grzyby, owoce, mamałygę, czy co tam zaniósła, wkładała do koliby, z ozwodnicy zdejmowała kociołek. Myła go przy źródle, następnie zanosila w nim na górę wodę, napełniała wodą także dzbanek i wszystko pięknie układała na swoim miejscu. Potem szła i ona w pobliże pieca, siadała na drugim pniaku i patrzyła na las, patrzyła na piece, na dym, jak znika, szary, pośród drzew, i czuła, że czeka. Siedział tam również stary, pochylony w przód, czarny i milczący, a gdy nań ukradkiem zerknęła, czuła, że i on na coś czeka. I także piece na coś czekały, i również drzewa czekały, i góry, i cisza, i wszystko: jednym wielkim czekaniem był świat cały, bo gdzieś coś już nadchodziło, zbliżało się i na to coś czekali oni wszyscy.

W końcu robił się wieczór i przemijał dzień.

– Dobrej nocki! – mówiła cicho i wstawiała z pniaka, a spod pieca odpowiadał na to cichy pomruk, jak kiedy z dławionego ognia na moment podskoczy gdzieś dym i uniesie wilgotną ziemię.

Potem szła cichym, lekkim krokiem w dół Urszu, żeby zamknąć owce, rozpałić ogień w chacie i pochować dzień, który upłynął na tym, że czekali na coś, co jeszcze nie nadeszło.

Niekiedy nocą budził ją hałas piłowania, a gdy wyglądała na zewnątrz, widziała pochyloną postać starego i to, jak w blasku gwiazd piłował drewno na zimę. Czuła wówczas jakieś przyjemne i łzawe ciepło, jakieś delikatne i smutne rozczulenie, że tam na dworze ktoś piłuje dla niej drewno na zimę, a jednocześnie czuła i to, że to drewno na próżno już piłowane jest w blasku gwiazd, bo ona nie będzie go już potrzebować.

Żandarmi przychodzili jeszcze dwa razy. Wypytywali o różne rzeczy, nareszcie poszli i więcej się nie pojawili. Czuła, że i to przeminęło. Przeminięło jak tyle innych spraw, a teraz pozostało już tylko czekanie.

Tymczasem jesień na dobre rozgościła się w krainie ośnieżonych szczytów. Z buków spadały rude motyle, a gdy popołudniami siedzieli przy piecach, dało się dostrzec czerwone żyły, którymi wzdłuż i wszerz poprzetykane były sklepienia

koron, sekretnie znaczące usychanie. Wysoko na Tronie Bożym odzywały się byki, a ich ryk huczał nocami nawet głośniejsz niżeli sam potok.

I przyszedł ten dzień. Dzień, w którym poczuła, że dłużej już nie wolno jej czekać.

Ów dzień nie był podobny do innych. Powietrze stało się jakieś czystsze niż kiedy indziej. Liście klonów jakby przemalowano nocą na złoto; dłuższy czas stała w proggu i ze zdziwieniem przyglądała się im, jak rozbłyły w jasności poranka, a potem płonęły w niezwykle sposób.

Nareszcie usłyszała dzięcioła, wysoko na zboczu Urszu, i był to pierwszy głos, jaki usłyszała, i wiedziała, że nadszedł ów dzień, na który musiała czekać.

Wypuściła owce, jak co dzień. Naniosiła drewna i wody. Posprzątała w chacie, nucąc przy tym dziwne, nigdy niesłyszane pieśni. Potem wyjęła czystą spódnice i czystą koszulę. Czerwoną chustkę na głowę i wyszywaną kamizeleczkę. Następnie zbiegła do potoku i wykapała się. Potem ubrała się czysto, porządnie, jak się godzi w świąteczny dzień. Wyczesła włosy i splotła je. Nakarmiła też psa; na szyi zawiesiła sobie piękny czerwony woreczek i wyruszyła. Psa odegnała do domu.

– Ty zostajesz tutaj – powiedziała doń i poszła.

Sama się dziwiła, że kroki nie niosą jej w kierunku wsi. Przeprowadziły ją po kładce, powiodły obok połyskujących złotem klonów i poprowadziły w górę Urszu. Wysoko, tam gdzie biją źródła, zatrzymała się. Namyslała się przez chwilę, jak ktoś, kto się z kimś naradza. Potem zakręciła ku piecom.

Stary siedział na pniaku. Podniósł na nią wzrok, bo nie był przyzwyczajony, żeby przychodziła rankiem. Zobaczył na niej czyste ubranie i ze zdziwienia otworzył usta.

Dziewczyna nie usiadła, jak zazwyczaj, ani nie poszła wyżej do koliby. Zatrzymała się przed starcem.

– Nadszedł ten dzień – rzekła.

– Hę?

– Nadszedł ten dzień.

Stary wciąż jeszcze przyglądał się czystemu ubraniu.

– Jaki dzień?

– Nie wiem – odparła, patrząc na starego.

– Węgiel – rzekł po pewnym czasie, a jego głos był tak obcy, jakby to wcale nie on mówił – węgiel wolno się wypala, wiesz. Ale się wypali. I wtedy będzie można go zabrać.

Słuchała wymruczanych słów i czuła jakiś lekki, niewielki ból.

Jesteśmy sobie obcy – pomyślała – nie rozumiemy nawzajem naszej mowy.

Potem nagle pochyliła się i pocałowała brudny, czarny wierzch dłoni starca.

Ten w przestachu cofnął rękę i z pełnym zdumienia przerażeniem zawisł

wzrokiem na dziewczynie.

– Co?! He?! Czego chcesz?!

Ale ona wówczas już szła, chyląc głowę jak dziecko, które wypełnia rozkaz. Lecz pewnym, świadomym, pośpiesznym krokiem. I nie spojrzała wstecz, ani jeden raz nie spojrzała wstecz na piece i na przestraszonego starego człowieka przy nich, człowieka, który pozostał tam samotny i jak spalony na węgiel pniak czekał tylko na to, by i jego pochłonęła ziemia.

Poszła w górę. Sama nie wiedziała dlaczego, jedynie czuła, że musi pójść w tamtą stronę. I szła. Słońce złotą chustą wycierało już rosę z traw. W zaroślach błyszczały jeżyny o czarnych owocach.

Ścieżką wydeptaną przez dzikie zwierzęta podążała coraz wyżej, w pośpiechu, jak ktoś, kto się boi, że czas ucieka i będzie szedł na próżno. Ponad polaną na Istenszêke wznosiły się małe, niebieskie obłoki pary i jeden za drugim znikwały w nieskończonym błękitnie nieba. Wzdłuż górskich grzbietów kwitła goryczka. W jej niebieskich lejkach brzęczały spóźnione dzikie pszczoły.

Od strony Galonyi przewalił się po górskim grzbiecie jeleni ryk. Był to głęboki, ochrypty dźwięk, dźwięk nabrzmiały od pobudzonych mocy. Wdrapała się na skałę i zobaczyła tego byka, jak za swoimi łaniami powoli podąża w kierunku świerków Istenszêke. W dole, daleko w dolinie Galonya, dudniły siekiery i odbijały się echem monotonne okrzyki pracujących przy wyrębie.

Przyglądała się bykowi, który nieśpiesznie posuwał się w górę za łaniami. Pokazując swą władzę, po królewsku, leniwie i bez wysiłku, z jakąś wielką, ociężałą siłą w ruchach. Niekiedy zatrzymywał się i z powolną chmurnością odwracał się i ryczał w dół, w dolinę Galonya, jakby posyłał tam rębaczom pełne godności, dostojne słowo króla. Jego potężne rogi głucho dudniły na drzewach, gdy z gniewem potrząsał głową, a pod dotykiem tych rogów drzewa dygotały i zrzucały wielkie skrzydła żółtych liści.

Patrzyła szeroko otwartymi oczami i czuła, jak do jej krwi wlewa się wspaniała, odwieczna siła miłości, która się tam pręży i panuje, i napęnia powietrze swym głosem. Twarz jej się zarumieniła, oczy zaogniły i miała ochotę popędzić tam do łań i wraz z nimi pobiec poprzez zarośla i skały, poprzez nieznaną gęstwinię, tylko tak pędzić, czując za plecami straszny świst owej triumfującej siły, która ryczy tak niesamowicie, że drży od tego powietrze, i która tratuje wszystko, co spotka na swojej drodze.

Trwało to godziny? Minuty? Czy jedynie w kilka chwil mignęło to wszystko?

Nagle jakaś lodowata ręka chwyciła ją za serce. Poczowała strach. Zęby jej zaszczękały. Całym ciałem wstrząsnął dreszcz. Bała się. I czuła, że ten strach odnosi się do jelenia, tam w oddali. Do życia, do ryczącej, wspaniałej namiętności. Powietrze nasyciło się niebezpieczeństwem, zupełnie jakby promieniował skądś

jakiś tajemniczy prąd. Czują to tak czysto i ostro, że aż bolało.

Zeskoczyła ze skały i poczęła biec w kierunku jelenia i łań. Na oślep, jak szalona, przez maliniak, kolczaste jeżyny, przez zarośla.

Łanie stały, obserwując w napięciu. Byk zamilkł i z podniesioną głową patrzył tam, skąd dochodził odgłos. Nareszcie jedna z łań beknęła alarmująco i z dużym hałasem popędziła w gęstwinię. Reszta za nią. A za nimi, ze zdziwieniem i gniewem, od czasu do czasu obracając w tył głowę z porożem, byk. Potem słychać było już tylko hałaśliwe ruchy, gdy łanie i jeleni przebiegały górkim grzbietem, w pokryte zaroślami jary Urszu. W końcu nie było już słychać nawet i tych hałaśliwych ruchów, tylko ciszę. Dziewczyna stała przy przesiece, tam gdzie wcześniej znajdowały się łanie i jeleni. Dyszała. W uszach łomotało jej podniecenie. Chustka zsunęła jej się z głowy, a złocistopłowe włosy, potargane, wysunęły się ze splotów.

Trzasnęła gdzieś gałąź. Dziewczyna w przestkach zwróciła głowę w kierunku hałasu i znów załomotało jej we krwi przerażenie. Drgnął w niej instynkt, żeby biec, bezrozumnie, z hałasem biec, uciekać, prosto w gęstwę, za łaniami i jeleniem... lecz nogi nawet jej nie drgnęły. Zastygła od jakiegoś paraliżu. Jakiegoś zimnego niczym lód, a mimo to palącego paraliżu. I tylko tak stała, a serce głośno jej waliło.

W końcu znów trzasnęła jakaś gałąź. I coś się poruszyło pomiędzy drzewami. Potem zapadła cisza. A w tej ciszy trzasnął gniewnie męski głos:

– A żeby cię diabli wzięli razem ze wszystkimi tobie podobnymi!

Był to dźwięczny, młody, gniewny męski głos. I w tej samej chwili jakby opadły z niej kajdany, ciężkie, straszne kajdany przerażenia: naraz wszystko wokół niej zrobiło się takie ciepłe i lekkie, powietrze, drzewa, góry, niebo błękitne jak kwiaty goryczki...

Zaśmiała się cicho, po czym miękko, niczym kwiat, któremu osłabła łodyga, usiadła pośród goryczek. Usiadła i odchyliła się w tył leniwie, wygodnie ułożywszy głowę na delikatnym aksamicie mchu, i zaśmiewała się po cichu.

Poruszyły się kamienie, pod stopami zaskrzypiała ściółka z zeschniętych liści. Potem kroki zatrzymały się. Pochyliła się ku niej jakaś twarz. Śniada, młoda twarz. Wąskie usta. Przenikliwe szare oczy. Bardzo przenikliwe oczy.

Powoli śmiech w niej zamarł. Oczy się rozwarły, stały się głębokie i poważne. I tak oto przyglądały się tamtej drugiej twarzy. Jakby gdzieś ją już widziały.

– A niech cię licho, przegnałaś mi byka!

Na ten ostry ton zadrżała i z wolna usiadła. Odgarnęła z twarzy kosmyki włosów.

– Nie wolno zabijać tego, co żyje – rzekła bardzo cicho i przy tym każde pojedyncze słowo wymawiała powoli – życie warte jest więcej niż cokolwiek

innego...

Obcy postąpił kilka kroków i stanął naprzeciw dziewczyny. Badawczo spojrzął jej w twarz.

– Kim ty jesteś?

Wielkie błękitne oczy tak samo badawczo oddały mu spojrzenie.

– Czy to nie wszystko jedno?

Młoda męska ręka w zmieszaniu bębniła w lufę strzelby. Nieco szorstko wyleciały z ust takie oto słowa:

– Chyba jednak masz jakieś imię?

– A jeśli nie mam? – spytała dziewczyna i uśmiechnęła się.

– To w takim razie ja ci je dam!

– Daj!

Już zadziorne były ich głosy i czuło się w tym zabawę i przekomarzenie się. Mężczyzna oparł strzelbę o drzewo i usiadł. Nieopodal dziewczyny. Gdyby wyciągnął rękę, dotknąłby jej. W jego oczach zamigotały zielonkawe błyski, gdy na nią spojrzął. Patrzył jej w oczy przez dłuższą chwilę.

– Goryczkooka – rzekł – posłuchaj, Goryczkooka! Przegoniłaś mi byka! Co mi dasz za to?

– Jeżynę – odpowiedziała dziewczyna i zerwała owoc jeżyny. – Masz, zjedz to, Gniewnooki!

Śmiali się.

– Czyja ty jesteś, dziewczyno?

– Lasu, chłopcze.

– A gdzie kupiłaś te swoje piękne złote włosy?

– W bożym sklepie, tam wysoko. Widzisz? Tam, gdzie drzewa przeczesują obłoki, o tam!

– No a całusa dasz czy nie?

– Nie!

– Czemu nie?

– Bo nie.

Ręka chłopaka wyciągnęła się naraz, objęła dziewczynę za ramię i przyciągnęła ją. Dziewczyna posłusznie, miękko przytuliła się do niego. Przymknęła oczy. Przeniknął ją jakiś dziwny, nigdy wcześniej nieodczuwany gorąc. Wargi nieco jej się rozchyliły, błyszcząły czerwienią niczym dojrzały owoc. Czuła jakieś bezsilne, przyjemne zmęczenie. Jak ktoś, kto długo biegł, a teraz dotarł na miejsce. Jak ktoś, kto przez długi, długi czas czegoś szukał, a teraz to znalazł. I teraz nie ma już więcej, nie ma też dalej, bo to jest cel. To jest cel, i ponieważ to jest cel, wszystko jedno, co będzie potem. Musiało nadejść i nadeszło. Nadeszło, bo musiało nadejść. Tak jak nadchodzi wieczór, gdy przeminie dzień. Jak nadchodzą gwiazdy, gdy przeminie wieczór.

Wiatr delikatnie zmierzwił listowie, ledwie co musnął tu i tam jedną i drugą gałąź, a rude liście opadały z szelestem – ich czas już minął, a życie wciąż biegło mimo.

Długo tam leżała, z przymkniętymi oczami, pośród kwiatów goryczki. Czowała, że czas stanął i nie będzie już więcej wieczoru ni ranka, nie będzie już więcej nocy ni dni, nie będzie nic, tylko to miękkie wylegiwanie się poza czasem oraz – gdzieś głęboko poza jej myślami – także to senne zmęczenie drogą przebytą do tego miejsca.

I wtedy ktoś się nad nią pochylił, z podziwem przyglądał jej się przez dłuższą chwilę i zapytał:

– Kim ty jesteś? Rusalką czy czarownicą?

Ten głos coś rozbił. Gdzieś na nowo ruszyło koło czasu i poczęło się obracać, obracać, z oszalamiającą prędkością. Oczy otworzyły jej się gwałtownie. Z przerażeniem spojrzały w pochylającą się nad nimi twarz. W ich wielkich zwierciadłach falował okropny strach, przyprawiająca o zawrót głowy głębia, znajomość strasznych sekretów. Po czym dziewczyna zakryła twarz rękoma, miotając się, wbiła się w mech i wybuchł z niej szloch. Był to jakiś charczący, walczący, straszliwy szloch, wcale nie człowieczy, tylko zwierzęcy. Okropne szarpanie się zrozpaczonej duszy w otchłani bez dna.

Chłopak w przestraszu wyciągnął ku niej ręce. Przyciągnął ją do siebie.

– Na miłość boską, dziewczyno! Co ci jest? Dziewczyno! Palcami ryła ziemię, darła mech, trawę, kwiaty goryczki. I szlochała, szlochała.

– No mów! Co ci jest?! Na miłość boską, odezwij się wreszcie! Pomału zmęczyła się tym szlochem. Wyczerpały się łzy. Ogarnęło ją jakieś tępe odrętwienie. I chłód, chłód. Usiadła.

– No mów!

Twarz miała jeszcze wykrzywioną od płaczu. Oczy zaś suche, zmatowiałe, gdy nań spojrzała. Długo na niego patrzyła bez słowa, tymi osobliwymi, głębokimi, otepiałymi oczami.

– Mów!

– Jestem czarownicą – powiedziała cicho, a usta jej zadrżały. Głos miała ochryply i dziwnie dobywał się on z głębi.

– Co mówisz? – chłopak spojrział na nią i ze zdziwieniem uniósł brwi.

– Jestem czarownicą – powtórzyła, a jej oczy z wyrazem głuchej pustki zastygły na chłopaku – kto mnie obejmie, ten umrze. Wiąże się ze mną śmierć, rozumiesz?

– Masz może jakąś chorobę? – spytał praktycznie, nieco zdumiony.

– Nie – potrząsnęła głową – jestem czarownicą. Czarownicą.

– Co masz na myśli?

– Kogo pokocham, ten umrze. Kto mnie pokocha, ten umrze.

– Bzdury!

Jednak jej oczy patrzyły nań z powagą pełną rozpacz.

– Nie śmiej się! Nie powinnam była ciebie nigdy ujrzeć. Cóż ja uczyniłam! Ojej, coś ja uczyniłam!

Dziewczyna skryła twarz w dłoniach, w rozpacz kołysała głową to w jedną, to w drugą stronę. Chłopak delikatnie pogłaskał ją po włosach. Potem chwycił jej rękę i oderwał od twarzy.

– Co to za głupi przesąd! – powiedział, a głos miał poważny. – Nie wolno wierzyć w takie głupie zabobony. Kto wie, co za Cyganka nabiła ci tym głowę!

Ręka dziewczyny kurczowo wpiła mu się w ramię. Jej uścisk wręcz bolał.

– Nie tylko Cyganka, o nie. Ja wiem, że tak jest. Trzech już pomarło! Rozumiesz? Trzech! Nic im nie było, a pomarli! To straszne! Nie powinnam była nigdy ciebie ujrzeć! Ojej, biada mi, ojej...

– Trzech umarło? – nadstawił ucha. – W jaki sposób?

– Jeden był synem Sándru, tego bacy. Wołali go Nátu. Był dla mnie dobry. I pewnej nocy został ze mną, spał na moim posłaniu. Nic a nic nie robił, tylko ze mną spał. To była dziwna nocka... powiedział, że stałam się wtedy dorosłą dziewczyną... możliwe. Lecz odszedł o pierwszym brzasku, a rano znaleziono go pod lasem, z nożem w plecach...

Drugi był jak żółta świnia. Coś takiego chciał zrobić ze mną i biliśmy się. Leżał na moim posłaniu. Był jak świnia, świnia. Lecz ja uciekłam po jego żonę, a kiedy przyszłyśmy z powrotem na górę, jego już nie było w chacie. Ale leżał na moim posłaniu. A następnego dnia rano znaleźli go żandarmi, zamarzniętego, na brzegu potoku...

Trzeci był niczym jakiś czarny kozioł. Owłosiony i śmierdzący. I on też chciał tego samego, co ten drugi. Był brutalny i pijany, i nie dawał mi spokoju. No to zobaczymy, powiedziałam. I zrobił to ze mną. A za trzy dni zważyło się na niego drzewo.

Przez kilka chwil panowała cisza. Dziewczyna kurczowo trzymała chłopaka za ramię, jakby nigdy nie chciała go puścić. Jej oczy z zabobonną trwogą zastygły na odległych górach. W końcu mężczyzna przełamał ciszę:

– Przypadek. Wszystko to przypadek.

– Nie! – dziewczyna gwałtownie potrząsnęła głową. – Nie! Jestem czarownicą. Wiem, że jestem czarownicą, i to jest straszne.

Chłopak spojrział na nią, a jej oczy pełne były bezkresnego smutku.

– Od lata na coś czekałam, a nie wiedziałam, czym jest to, na co czekam. Ale czekałam. Czekałam rankiem i czekałam wieczorem, czekałam też nocą i wciąż, i wciąż czekałam. W końcu wczoraj rano poczułam, że ten czas nadszedł. Ubrałam się odświętnie i przyszłam tu, wysoko na szczyt. Bo czułam, że muszę tu przyjść. Że po to żyłam do tej pory, żeby móc tu przyjść. Rozumiesz? I znalazłam tutaj

ciebie... I zrozumiałam, że wszystko było po to, żebym znalazła tutaj ciebie. Po to żyłam, tylko po to. I zapomniałam o wszystkim, co było... co jest...

Przeszedł ją dreszcz. Przytuliła się do chłopaka, szcękając zębami, drżąc.

– Trudno. Nie mogłam uczynić nic innego. Tak musiało być. Nie gniewasz się na mnie, prawda?

– Ależ skąd! – odparł chłopak i zaśmiał się. Lecz jego śmiech zadźwięczał fałszywie. Wymuszony był ten jego śmiech.

Oczy dziewczyny obeszły całą śniadą męską twarz. Wszędzie jej dotykały, wszędzie ją pieściły, kawałeczek po kawałeczku, jakby chciały w siebie wchłonać każdy jej szczegół.

– Nie mogło być inaczej – rzekła cicho – musiało tak być. Lecz jeśli ty umrzesz, umrę i ja. Żyłam po to, by ciebie znaleźć, a że ciebie znalazłam, to umrzemy oboje. Już nigdy, przenigdy nie opuszczę ciebie... rozumiesz? Nigdy!

Jej głos tonął w gorącym szepcie. Kurczowym uściskiem ciągnęła go ku sobie, swymi pocałunkami jakby chciała mu wyssać krew, była jedną gorączkową namiętnością, jednym dzikim pragnieniem kochania.

– Jesteś czarownicą – wydyszał mężczyzna – prawdziwą czarownicą...

Później poszli w górę na polanę Istenszéke. Szli powoli, trzymając się za ręce. Na skraju polany był namiot.

Dziewczyna ugotowała obiad. Pomyślała naczynia. Na drewnianym słupku namiotu zawiesiła wianek uwity z niebieskich kwiatów goryczki.

– Jakbyśmy od zawsze żyli tutaj razem – rzekł cicho młodzieniec. – Jakbym od zawsze ciebie znał...

– Kiedyś żyliśmy razem... kiedyś... rozumiesz? A teraz razem umrzemy.

– Gdybyś tylko nie mówiła wciąż o śmierci!

Dziewczyna w zamyśleniu spojrzała w górę na niebo. Wysoko ponad drzewami płynęła sieroca biała chmurka, zupełnie samotna.

– Gdybym tylko wiedziała... czy potem... znów będziemy razem?

– Chodź – rzucił szorstko i pociągnął ją do siebie w dół na trawę – jeśli powiesz jeszcze choć jedno słowo o śmierci, zbiję cię. Naprawdę zbiję cię!

Nieopodal źródła stała młoda brzoza. Listowie miała już żółte. Pod wieczór jej liście poczęły drzeć i niektóre opadły. W oddali ryczały byki.

Później młodzieniec zarzucił strzelbę na ramię.

– Nie odchodź – poprosiła dziewczyna – nie odchodź! Raczej pokaż mi, co trzeba zrobić ze strzelbą, żeby zabić człowieka. – Czy tak? – spytała potem. – Tak?

– Tak. Ale nie baw się nią! To nie igraszka.

– Nic nie jest igraszka – odparła poważnie dziewczyna i oddała mu strzelbę.

Potem zrobiło się chłodno i rozpalili ogień. Rozpostarli w pobliżu kozuch i położyli się na nim. Niebo wypełniło się gwiazdami, a później wzeszedł księżyc. Chłopak skłonił głowę na kolana dziewczyny, ona zaś śpiewała.

– Umiesz tylko takie smutne pieśni? – spytał po pewnym czasie.

– Popatrz na gwiazdy – odparła dziewczyna – o, tam jest wóz Pana. To tym wozem udamy się kiedyś do nieba, zgoda? Ale wcześniej jeszcze wysiadziemy na księżycu... a nuż w niebie nie wolno się całować...

Spali w namiocie, ściśle jedno przy drugim.

– Połóż mi rękę pod głowę – poprosiła dziewczyna – to i we śnie pozostaniemy razem.

Rano gonili się w pokrytej rosą trawie niczym sarny. Potem wykąпали się w wodzie źródła. Ochlapywali się nawzajem i śmiali się, a las dźwięczał ich śmiechem. Drzewa, wiewiórki, ptaki, które ich widziały, były zadziwione, i pytały się nawzajem, uszczęśliwione: czyżby powrócił początek świata? Czas szczęścia?

Dziewczyna więcej już nie mówiła o śmierci. Jednak czaił się w niej przestach, głęboko pod śmiechem i pocałunkami. I może dlatego jej śmiech był osobliwie głośny, a jej pocałunki osobliwie gorące. I wytężyła uwagę. Na każdy ruch. A nawet i na myśli.

– Nie odchodź – powiedziała, gdy młodzieniec wziął do ręki strzelbę – nie odchodź!

I on pozostał. Ryczały byki, jakby i one odurzyły się miłością. Chyba nigdy tak nie ryczały, tak dziko i w takim upojeniu.

Nareszcie rankiem trzeciego dnia dziewczyna rzekła:

– Teraz idź! Kiedy słońce sięgnie czubka tamtego świerku, zobaczę cię powracającego z głową jelenia na ramieniu. Idź!

Chłopak chwycił strzelbę i poszedł. A kiedy słońce sięgnęło czubka owego świerku, szedł w górę polaną, a na ramieniu niósł głowę jelenia o potężnym porożu.

– Skąd wiedziałas? – spytał później, zaciekawiony.

– Widziałam to – dziewczyna odparła z uśmiechem – widziałam to w twoich oczach.

– Jesteś czarownicą!

Śmiał się. Lecz dziewczyna spojrzała nań z powagą.

– Teraz już wierzysz?

W południe, naraz, młodzieniec tak powiedział:

– Muszę wracać do domu.

Po raz pierwszy mówił o sobie. Po raz pierwszy padło słowo o czymś, co stało poza nimi obojgiem.

– Czemu? – dziewczyna spojrzała nań z przestachem.

– Baron zaprosił mnie na jednego jelenia. I teraz muszę wracać.

– Baron? – oczy dziewczyny rozwarły się szeroko. – Mówisz o baronie?

– Wiosną ustrzelił u nas niedźwiedzia – wyjaśnił. – W zamian zaprosił mnie na byka.

Gdzieś pomiędzy nimi zapanowało jakieś zakłopotanie. Milczeli.

– Musisz iść? Naprawdę?

– Nie mój jest ten las. A zresztą nie mamy już co jeść.

– Och, to nic – powiedziała dziewczyna – umiem łapać ryby, a ty masz strzelbę.

– Lecz ten las nie jest mój – powtórzył.

– No to pójdę z tobą – oświadczyła po chwili dziewczyna.

W jej głosie było tyle zdecydowania, że młody człowiek poderwał głowę w przestkach.

– To niemożliwe – odparł szybko.

– Czemu?

– Bo... niemożliwe.

Rozmowa utknęła w martwym punkcie. Czuli to oboje. W powietrzu rosło jakieś napięcie. Z oczu dziewczyny popłynęły łzy i bezgłośnie potoczyły się po jej twarzy.

– Nie płacz – rzekł chłopak i delikatnie objął ją ramieniem – wrócę.

– Kiedy?

– Kiedy? No popatrzmy... od dzisiaj za tydzień. Zgodna?

– Od dzisiaj za tydzień, tak mówisz? Tu wysoko?

– Tu wysoko.

– Będziesz szedł ścieżką, po górskim grzbiecie?

– Tamtędy.

– I przy tamtych świerkach wyjdiesz na polanę?

– Tak. Dlaczego o to pytasz?

– Od dzisiaj za tydzień? Będzie padać deszcz. Ale ja zbuduję tu kolibę i będę przed nią siedzieć, i wciąż patrzeć na te świerki, aż wyjdiesz spośród nich. I ty wyjdiesz spośród nich, wiem.

– Dziwna jesteś...

– Widziałam ciebie wychodzącego spośród świerków, w deszczu, to wszystko. Nie tę kurtkę będziesz miał na sobie. Masz też inne odzienie, płaszcz, który wkładasz na deszcz.

– Mam.

– Szary?

– Szary. Skąd wiesz?

Dziewczyna roześmiała się perliście.

– Widzisz, że jestem czarownicą? Widziałam ciebie idącego tutaj, i teraz już wiem, że naprawdę wrócisz. Do tego czasu nic się jeszcze nie wydarzy...

– Już znowu myślisz o śmierci?

– Zawsze. Nieprzerwanie. To straszne. Chłopak zaśmiał się w głos.

– Nie bój się! My z rodu Éltető nie umieramy tak szybko! Dziewczyna

w zamyśleniu zmarszczyła czoło.

– Éltető? Tak powiedziałeś? Ten pan o ciemnym obliczu, którego nazywają królem lasów...?

– To mój ojciec.

– A tak... tak, tak...

– A co?

– Widziałam go raz. Dawno temu, byłam wtedy jeszcze dzieckiem. Towarzyszyło mu wielu panów, polowali. Spojrzał na mnie... a w jego oczach było coś. Jeszcze i dzisiaj czuję jego wzrok... Coś mówiło mi wówczas, że...

– Co mówiło?

– Nic. Nie pamiętam. Chodź, pobiegamy trochę, bo zdrętwiały mi nogi! Nie złapiesz mnie, wiesz?

I biegali jak sarny, poprzez polany. Jak goniące się sarny, o tak. I śmiali się w głos. I dokąd pobiegli, dziwiły się drzewa i myślały, że to wiosna.

Tamtą nockę spędzili jeszcze razem, w namiocie. Wreszcie następnego dnia chłopak zwinął namiot, spakował swój plecak i przywiązał do niego również głowę jelenia. Tylko wyleżana trawa pokazywała, że stał w tym miejscu namiot. Dziewczyna popatrzyła tam ze smutkiem.

– Czy za tydzień wciąż będzie widoczne to miejsce? Czy nie pozostanie tu ono na zawsze? Jak myślisz? Kiedy nas już nie będzie?

Chłopak zaśmiał się beztróskim śmiechem dwudziestolatka.

– A ty znowu zaprzątasz sobie głowę śmiercią? Powiedziałem już, że nigdy nie umrzemy!

Oczy dziewczyny dojrzały przydeptaną goryczkę. Delikatnie uklękła przy niej. Wzięła ją do ręki. Goryczka była martwa.

– Widzisz? I ona też.

Potem poszli. Ścieżką po górskim grzbiecie, w dół. Odprowadziła chłopaka do zbocza Korbuj. Tam się zatrzymała. Zatrzymał się i chłopak. Patrzyli na siebie.

– Nie wiem, jak to będzie bez ciebie... – rzekł chłopak nieporadnie.

Po twarzy dziewczyny przemknął smutny uśmiech.

– Często będę myślała o tobie. Wtedy będę z tobą. Jak masz na imię?

– Gáspár.

– Gáspár – powtórzyła dziewczyna – Gáspár. Dziwne masz imię. Twoje imię jest jak imię młodego drzewa. Ty sam też jesteś jak młode drzewo. Będę z tobą, Gáspárze. Zgoda? Pomyśl o mnie, a wtedy będę z tobą.

Pocałowali się. To dziewczyna przyśpieszyła pożegnanie, mówiąc:

– Teraz idź! Ktoś czeka gdzieś na ciebie. Z dobrą wiadomością. Idź! I od wczoraj za tydzień!

Potem chłopak poszedł w dół. Od czasu do czasu odwracał się i machał. Dziewczyna stała tam wysoko, na górskim grzbiecie, i słała mu dłonią pożegnanie.

W końcu drzewa wchłonęły chłopaka. I nie zostało nic, zupełnie nic.
*

Znała już samotność, odosobnienie, ale to teraz było inne. Gdy w długie, zimowe wieczory samotnie czuwała w chacie, było wokół niej wiele, wiele różności: ogień, owce, pies, potok, drzewa, góry, gwiazdy. Ale teraz nie było nic, ale to nic. Ziało wokół niej jakąś wielką pustką, a ona stała pośrodku tej pustki i nie miała na czym zaczepić oczu ni myśli. Było to osobliwe uczucie.

Nareszcie z wolna odwróciła się i ruszyła w kierunku Urszu. Szła, lecz ścieżki nie widziała. Nie widziała lasu ani słońca, niczego. Tylko tak szła.

Czy i on umrze? Kiedy? Jak?

Czuła tylko to pytanie, a odpowiedzi już nie. I to pytanie jednocześnie bolało, szarpało i oskarżało. Bo każdy może umrzeć, byleby nie on. Wszak jeśli jego nie będzie, nie będzie też słońca na niebie! Nie będzie już drzew, kwiatów! Nie będzie życia na ziemi, jeśli jego już nie będzie!

A jeśli jego zabraknie? To i mnie nie będzie. Jakżeż mogłabym być ja, gdyby jego zabrakło?

Jej myśli jakby pływały w mętnej wodzie. Nie widziała wyraźnie. Coś się gdzieś popsulo i wszystko wymieszało, radość i smutek.

Kiedy znalazła się niedaleko chaty, pies, skomląc, wybiegł jej naprzeciw, chudy i nastroszony. Owce i kozy, becząc, zebrały się dokoła niej i naraz odezwało się w dziewczynie sumienie. Stanęła. Potarła sobie czoło jak ktoś, kto budzi się ze snu.

– Csobán... przez trzy dni nie dawałam ci jeść... Kozy, owce... od trzech dni nie zamykałam za wami bramki zagrody... A gdyby przyszedł wilk...? A stary? Co on jadł przez te trzy dni? Kto mu co poniósł?

Pędem pobiegła do domu. Miotła stała oparta, tak jak ją tam wcześniej zostawiła. Otworzyła drzwi. Wilgotny, pachnący dymem mrok. Na półce kasza na mamałygę, twaróg, wszystko. Nikt po to nie sięgał.

W pośpiechu rozpała ogień. Wstawiła wodę, żeby się zagotowała. Wymieszała mamałygę. Na gęsto, tak jak lubi stary. Dokoła mamałygi ugniotła twarogu. Potem nakarmiła psa. Wybrała też kilka ryb z potoku. Następnie ruszyła z sakwą w górę wzdłuż Urszu.

Stary siedział przy piecu. Tak samo, zupełnie tak samo, jak widziała go po raz ostatni. Tak samo zgarbiony, tak samo bardzo stary.

Nie przemówiła do niego. Poszła do koliby, uporządkowała naczynia, przyniosła wody. Wyjęła z sakwy mamałygę z twarogiem, ryby. Potem i ona usiadła na pieńku, obok starego, i patrzyła na dym, jak powoli wydostaje się z ziemi okrywającej piece i rozprasza się pośród drzew.

I myślała tak: a on gdzie jest? I jeszcze tak: od wczoraj za tydzień...

Po długim, długim czasie odezwał się stary. Mrukliwie, powoli wypowiadając słowa, jakby i on sam ich nasłuchiwał, czy mówią to, co należy.

– Są tu cztery piece. Widzisz je? To sto cetnarów węgla. Akurat tyle. Ani

więcej, ani mniej. Sto. Dziesięć cetnarów to dwa forinty. Sto cetnarów to dwadzieścia forintów. Nie zapomnisz? Dwadzieścia forintów. Taka była umowa. Przyjdzie po ten węgiel Ormianin. Dwadzieścia forintów. Nie zapomnisz? Rozumiesz mnie, dziewczyno?

– Rozumiem... (Ojej, o czym stary mówi? O co to chodziło? Dwadzieścia forintów? Węgiel? Czemu?).

– To dobrze. Ormianin za niego zapłaci. To uczciwy człowiek, nawet jeśli czasem i oszuka. Ale gdy trzeba, potrafi być uczciwy. Dwadzieścia forintów. To wszystko. Rozumiesz?

– Rozumiem. (Ojej, co on mówi? Czego chce? Nic nie rozumiem, nie rozumiem...).

– Dla innych zostaje też dom. A i działka. I pole. Krowy, świnie, woły. Co tylko chcesz. Dla ciebie tylko to. Sto cetnarów węgla. Ani więcej, ani mniej. Dwadzieścia forintów.

(Dlaczego on to mówi? Dlaczego?).

– Inny człowiek jest lepszym człowiekiem. Więcej po nim zostaje. Ja nie byłem dobrym człowiekiem. Ja byłem tylko taki. Cztery piece z węglem i nic więcej.

– Tato!...

– Czekaj! Są jeszcze sidła. Znasz się na nich. Jak przyjdzie śnieg, będą wiele warte. Osiem sideł. Są tam, za kolibą. Naprawiłem je.

– Czemu?...

– Czekaj! Człowiek siada w karczmie, a gdy odchodzi, płaci.

Swoje sprawy porządkuje w taki sposób, że płaci. Człowiek żyje, a nim odejdzie, płaci. Rozumiesz? Każdy odchodzi...

– Ale...

– Czekaj! To jeszcze nie koniec. Człowiek odchodzi wtedy, kiedy nie jest już potrzebny. Nie wcześniej. Ale wtedy tak. Kiedy nie jest już potrzebny. Nim go wyrzucą z karczmy. Płaci i odchodzi. Taki jest porządek rzeczy. Ja... ja nie płacę wiele, to prawda. Sto cetnarów węgla. Cztery piece. Dwadzieścia forintów. I sidła. I chata tam w dole. To niewiele. Ale ja płaciłem i wcześniej, wiesz. Płaciłem własnym życiem. Za wiele różnych rzeczy, za wiele różnych osób płaciłem. Ale ty o tym nie wiesz. I nie potrzeba, żebyś o tym wiedziała. To była moja sprawa. Zapłaciłem. A teraz pozostało już tylko to. Chciałaś coś powiedzieć?

– Nie rozumiem... czemu... – głos dziewczyny drżał.

– Czemu? Nie wiem. Ale kto nie jest potrzebny, dobrze robi, jeśli płaci. Bo nie może wiedzieć, kiedy odejdzie. A odejdzie. Ten, kto nie jest potrzebny, odchodzi. I tak jest dobrze. I ja też nie jestem już więcej potrzebny. Chciałaś coś powiedzieć?

– Nie. Nic.

– To dobrze.

Potem tylko tak siedzieli, a z ziemi przykrywającej piece wydostawał się szary dym i powoli rozpraszał się pośród drzew.

Cienie wydłużyły się. Poza rudobrunatnymi bukami zaszło słońce. Mgła przycisnęła w dół dym. Dziewczyna wstała.

– Chcesz coś powiedzieć? – spytał stary.

– Nie... Nie, nic.

Stary zakasłał ochryple. Wieczór miał zapach dymu. Smutny, przydymiony zapach mgły.

– Dobranoc, tato!

– Dobranoc!

Tamtego wieczoru długo siedziała na progu chaty i patrzyła na gwiazdy. Myślała o słowach, które tam, przy piecach, tak ciężko wpadały w ciszę, a poza słowami niekiedy widziała twarz tamtego chłopaka i wszystko to tak się ze sobą wymieszało, tak strasznie, dziwnie i bardzo smutno.

– Pomrzemy – szepnęła – wszyscy pomrzemy...

Pies leżał u jej nóg, a w zagrodzie czasem zakaszła owca. Wewnątrz chaty płonął ogień, wieczór był jakiś taki swojski i bolała w nim myśl, że kiedyś tego wszystkiego zabraknie... Będą tu stały drzewa i patrzyły na dom, a dom będzie pusty. Dach mu się zapadnie, belki zbutwieją, drzwi wyrwie wiatr. A z zagrody pozostanie tylko jeden i drugi słupek, a kto tędy będzie przechodził, zobaczy to i powie: ktoś tu kiedyś żył. I potem pójdzie dalej. I zobaczy polanę, drzewa, potok i Tron Boży i wszystko będzie dokładnie takie samo jak teraz... tylko nikt nie będzie siedział w progu, bo ktoś, kto tu był, odszedł...

Czy drzewa będą kiedyś o nim myśleć? Czy polana i potem będzie o nim pamiętać? A ślady, jego ślady, czy będą wiedziały, kto je tutaj pozostawił? A próg, pień do rąbania drewna, kładka, ścieżka...

Noc mżyła rosą. Czuwały smutne gwiazdy. I śmierć była tak blisko, a wszystko inne tak daleko.

Już dwa dni wcześniej poszła wysoko na polanę. Miejsce po namiocie jeszcze było widać w trawie. Zniosła siekierę i piłę. Wybudowała kolibę. Było to trudne, ale się udało. Na wieczór koliba stała gotowa. Pachniała dopiero co ściętą choiną, wydzielala woń świeżą, pełną życia. Na palu ustawionym na straży dziewczyna zawiesiła wieniec, po czym pośpieszyła z powrotem, bo był już wieczór.

Nazajutrz wykonywała swoje prace, nucąc przy tym. Było jej wesoło, a i lekko. Wiedziała, że on przyjdzie, i była szczęśliwa. Ugotowała dwa pełne garnki mamałygi. Napiekła też ryb na chrupko, dużo ryb. I następnego dnia o świcie wyruszyła.

Jeden garnek mamałygi zostawiła przy progu dla psa. Owce wypuściła.

– Nocką strzegł was będzie Bóg – powiedziała do nich i roześmiała się w głos.

A przecież tamtego dnia padało. Padało, smutno, szaro. Góry skryły się za deszczem, drzewa skuliły się mruklawie, a mimo wszystko wesoły był tamten dzień. Wesoły i młody.

Poniosła sakwę i koszyk. Koszyk napełniła po drodze jeżynami. Stary leżał na swoim posłaniu w kolibie.

– Przyniosłam mamałygę! Ryby i jeżyny! Stary pokiwał głową i rzekł:

– Dzielna z siebie dziewczyna. Dzielna. I dziwnie na nią patrzył, badał jej twarz.

Wszystko wyłożyła na półkę. Chwilę jeszcze tam stała, wyglądając na deszcz. Piece dymiły, a dym mieszał się z oparami przemoczonego lasu.

– Chcesz coś powiedzieć?

– Nie, nie...

Stary westchnął i on też wyjrzał na deszcz.

– No to biegnij, dziewczyno!

– Niech Bóg tacie dopomoże!

– Daj Boże!

Mokra ziemia chlupała pod jej nogami. Deszcz cicho szumiał po lesie, jakby ponad drzewami przeciągano wszędzie olbrzymie szare chusty. Na polanach leżały mgły.

Potem usiadła w drzwiach koliby i patrzyła na świerki, skąd kiedyś on musi wyjść. Wszystko było szare, szare. Przez daszek ze świerkowego łubu przeciekała tu i ówdzie woda. Posłanie z młodych pędów choiny wydzielalo przyjemny zapach. I wszystko było tak pozaczasowo jednakowe. Nie było wiadomo, czy to poranek, czy południe, czy popołudnie...

W końcu jednak wyszedł spod świerków i miał na sobie dziwny, obszerny szary płaszcz od deszczu, i było to takie, jakby raz już, niegdyś wyszedł był stamtąd w taki sam sposób...

– Ho, ho! Hej, hej! – zawołał chłopak i pomachał kapeluszem w kierunku koliby.

Ona zaś tylko siedziała i patrzyła, a oczy jej błyszczały. Później deszcz ustał. Chmury się porwały i zaświeciło słońce.

– Czy wiesz, że naprawdę jesteś czarownicą? – rzucił raptem chłopak. – Onegdaj oczekiwano mnie tam w dole z dobrą wiadomością, tak jak powiedziałaś!

Dziewczyna tylko się uśmiechała.

– Wygraliśmy sprawę! – chłopak dalej dzielił się wieścią. – Przeniosą kolej na tę stronę Maros. Nie wytną lasu od rzeki po naszej stronie! Wiedziałaś o tym?

– Nie – dziewczyna potrząsnęła głową, uśmiechając się.

– To jak...?

– Widziałam to. Ta dobra wieść była w twoich oczach. Czekał na ciebie z tą wiadomością jakiś wysoki, jasnowłosy mężczyzna. Prawda?

– Prawda – odparł cicho chłopak – nasz adwokat... To dziwne, słyszysz...

– Jestem czarownicą – przypomniała dziewczyna z powagą – i kiedy umrzesz, to i ja umrę.

– Przestań już z tą śmiercią!

Wieczorem rozpalili przed kolibą ogień, wysoki, duży stos... Trzaskały świerki, skwierczała świeża buczyna, iskry podskakiwały, rozsypując się po nocy i zamieniając się w gwiazdy na czarnym aksamicie nieba.

– Gáspár...

– Słucham?

– Jutro chcesz mnie tu już zostawić?

– Muszę iść. Cisza.

– Mam swoje sprawy, wiesz. Cisza.

– Skąd wiedziałaś, że chcę odejść? Cisza.

– Czulaś i to?

– Ja wiem wszystko, co jest w tobie. Od dzisiaj za tydzień znów powrócisz.

– Tak.

– Nie umrzesz w tym czasie.

– Oczywiście, że nie umrę!

– Ktoś stoi za tobą... Silny, czysty, jasny. Będzie ciebie strzec. Potem długo skwierczał tylko ogień.

– Powiedz – odezwał się naraz chłopak – wierzysz w duchy?

– A co to?

– To umarli, którzy są pośród nas. Dziewczyna potrząsnęła głową.

– Tych, co umarli, nie ma już pośród nas.

– Wielu mówi, że są tutaj, tylko ich nie widzimy.

– Nie wiem. Jest tu po nich jedynie ślad... Gdy o nich myślimy. Ale oni sami...

– Pomyślałem tak, bo wcześniej powiedziałaś coś takiego, że ktoś za mną stoi.

– Tak. Silny, czysty i jasny. Niekiedy to widzę.

– I kto to jest?

– To? – głębokie oczy dziewczyny na długo spoczęły na twarzy chłopaka. – Myślę, że to nic innego jak to, że ja ciebie kocham. I na dodatek tak bardzo, że czasem można to wręcz zobaczyć, jako coś wielkiego, jasnego, co wszędzie chodzi za tobą. I jest to po to...

– Co?

– Nie wypowiem tego... bo wtedy może być i tak, że to wcale nieprawda. Ale powiedz: czy nie jest możliwe to, że na kimś ciąży przekleństwo przez długi czas... a potem nagle przychodzi coś... coś, co jest potężniejsze od przekleństwa, coś wielkiego i pięknego, coś, co jest takie, jakby było rozkazem albo też prawem... i że wtedy kończy się przekleństwo? Czy to możliwe?

– Nie wiem. Jestem senny, a ty mówisz takie dziwne rzeczy... Nadeszły wspaniałe, piękne dni. Jakby znów chciało powrócić lato. Na wątłych łodygach dzwonek nabrzmiały pąki. Znów rozwinęła się jedna i druga margerytka. Lśniło rude listowie buczyny, gdy przypiekało je słońce, a pod nogami dzikich zwierząt szeleściła ściółka z zeschniętych liści. Cudowna była jesień.

Nad brzegami potoków stały zamyślane brzozy, niczym zakochane dziewczęta, które na kogoś czekają. Niebo było bezchmurne przez całe dni. W powietrzu rozchodził się suchy żywiczny zapach, taką to wonią pociły się choiny.

Wysoko przed kolibą na Istenszéke często płonął ogień. Podczas tych wieczorów szczególnie dużo było gwiazd, a i księżyc błyszczał inaczej niż w pozostałe dni. O świcie rosa była bardziej srebrzysta, a przed południem cieplej grzało słońce. A woda, woda źródła na Istenszéke zmieniała się w pachnący balsam, gdy oni się w niej kąpali.

A inne dni? Te po prostu były. Jak te, które są po to, by wypełnić czas pomiędzy dwoma świętami. Dziewczyna zajmowała się swoją robotą, czasem szła w górę do pieców, niosła mamałygę, ryby albo grzyby, siadała na pieńku obok starego, patrzyła na dym, który unosi się wysoko i znika w nicości, i czuła, jak mija czas. Stary nie odzywał się, ona też milczała. Wiedziała, że nie muszą nic mówić, przecież przynależą do siebie. Ale smutne było to, że można już tylko tak milczeć. I smutna była jesień, smutna przy całym swym pięknie, bo gdzieś coś konało w czasie.

Pewnego poranka, jednego z tych pustych dni, które wypełniały czas, znów musiała zejść do wsi po kaszę kukurydzianą. Niosła trochę jaj i koszyk ryb i cicho nucąc, podążała w dół. Nieopodal wsi nadchodził z naprzeciwka jakiś mężczyzna. Niewysoki, suchy staruszek. Szedł powoli i rozglądał się. Poznała go. Był to ów

człowiek barona, z którym przyjechała niegdyś saniami, Abraham

Rotter.

– Szczęść Boże! – powitała go z daleka. Staruszek spojrział na nią ze zdziwieniem.

– Szczęść Boże! – odpowiedział.

– Wciąż jeszcze szukacie tego, co przepadło? – zapytała łobuzerskim, zaczepnym tonem.

Abraham Rotter popatrzył na dziewczynę, obejrzał ją, nareszcie poznał.

– No proszę, proszę! Czy to aby nie ty jesteś tą małą dziewczynką z lasu?

– To ja.

– A co ty tu robisz?

– Niosę ryby Ormianinowi. A pan co tu robi?

– Ja, moja duszyczko, wymierzam drogę.

– Jaką drogę?

– Drogę do zwózki, którą trzeba wybudować, żebyśmy mogli ściągnąć drzewo.

– Jakie drzewo? – przestraszyła się dziewczyna.

– To, moja duszyczko, które wyrąbiemy zimą. Cały ten stok, o, tu w górę aż po Urszu. A nawet jeszcze i trochę wyżej.

Postawiła koszyk. Może nie zrozumiała dobrze.

– Co będziecie tu robić?

– Wytniemy las. Taki jest rozkaz barona.

Drżały jej nogi, musiała usiąść na ziemi. Siedziała obok koszyka i patrzyła na starego człowieka, a stary człowiek na nią.

– Przynajmniej nie będzie wam tak nudno tam w górze! Słyszała? Nie słyszała? Tylko patrzyła.

– Gdzie jest baron?

– Przedwczoraj wyjechał do Budapesztu. Odbywają się zgromadzenia.

– Kiedy wróci?

– Nie wiem – stary wzruszył ramionami – może na Boże Narodzenie przyjedzie tu polować. A wy jak żyjecie? Od tamtej pory, jak słyszałem, stary wyszedł na wolność. Baron go wyratował. To dobry człowiek, tyle że... baron...

Czy dziewczyna słyszała? Nie słyszała? Tylko na las patrzyła, na las. Na okazałe, piękne świerki, miedzianoczerwone buki, a w jej oczach malował się strach.

– Wujku... wszystkie drzewa?... Tak mówicie?

– Co? Drzewa? Pewnie, że je wytną, moja duszyczko, a i owszem, wytną je. I nas wytnie kiedyś życie, i my wycinamy drzewa. One przynajmniej nie przegrają wojny, mimo wszystko. Znów wyrosną, wiesz. My przegraliśmy tę wojnę i nigdy więcej już nie wyrośniemy. Nigdy.

Kilka razy machnął ręką ze znużeniem, zniechęceniem, i poszedł dalej. Patrzył na potok, na skały, mierzył, posuwał się naprzód.

Dziewczyna gwałtownie zerwała się z ziemi, chwyciła koszyk i poczęła biec w kierunku wsi. Biegła nawet i pomiędzy domami. Kilku ludzi popatrzyło za nią ze zdziwieniem. Dzieci krzyczały.

Zdyszana wpadła do karczmy Ormianina. Pobiegnęła wprost ku szynkwasowi.

– Słyszeliście?! Chcą wyciąć las! Nie wolno dopuścić, żeby to się stało! Nie wolno! Do kogo mam iść, powiedzcie?!...

Przy szynkwasie stało dwóch mężczyzn. Także przy stole siedziało kilku.

– Co? – gapił się na nią Włochatouchy.

– Wytniemy, a i owszem – rzucił jeden z tych mężczyzn, którzy stali przy szynkwasie – ile jest lasu, wszystek wytniemy! Z tego żyjemy, moja gołąbeczko!

– Ale jeśli poproszę barona...

Przy stole brzęknęło szkło, ktoś kopnięciem wyrzucił spod siebie stołek. W blat stołu walnęła pięść.

– Jeszcze i tego ci trzeba, ty szmato! Wyduszę z ciebie życie! Był to potężny mężczyzna o szarej twarzy. Towarzysze uciszali go.

– Ależ zostaw ją! Co taka może zrobić!

– Wyduszę z niej życie! – wrzeszczał mężczyzna. – Tylko tego trzeba, żeby poszła do barona! Czy to nie baron chciał, żeby na zimę przerwać wycinę? Co?! Gdybyśmy do niego nie poszli, toby i przerwali! Moglibyśmy umrzeć z głodu! Teraz jeszcze tylko tego potrzeba, żeby ktoś do niego poszedł i poprosił, żeby nie wycinać lasu! Będzie miał wymówkę, by nam odebrać chleb!

I wówczas dziewczyna zobaczyła szramę na twarzy mężczyzny. Poznała go. Przeszył ją dreszcz. Ale jednocześnie rozparła też jakaś dziwna przekora.

– Pójdę do niego! – powiedziała odważnie i spojrzała w oczy mężczyźnie ze szramą.

– Ty!

Mężczyzna podniósł pięść i wytoczył się zza stołu. Był pijany. Jeden z jego kolegów próbował go powstrzymać:

– Zostaw ją! Chodź, napijemy się!

Ale pijany już rozpałił się gniewem. Oswobodził się z wyciągniętych ku niemu rąk.

– Zabiję ją! Zabiję! Naprawdę ją zabiję! Skręcę jej kark, jak jakiej zasranej kurze!

I z podniesioną pięścią szedł w kierunku dziewczyny.

Ta stała nieruchomo. Już nie czuła lęku. Tylko rozpierała ją przekora, wypełniała każdą kroplę jej krwi. Dziewczyna stała z oczami wbitymi w pijanego mężczyznę i tak rzekła:

– Powiem baronowi, żeby uratował przed wami las, bo jesteście złymi

ludźmi.

– Ty...!

W tym momencie, gdy chciał opuścić pięść na dziewczynę, z nieprawdopodobną zwinnością wyszedł zza szynkwasu Włochatouchy i pochwycił podniesioną rękę mężczyzny.

– Mihály!

– Puszczaj!

– Mihály, zostaw tę dziewczynę w spokoju!

– Puszczaj, ty śmierdzący Ormianinie! Oczywiście i ty trzymasz z panami!

Wyciągasz pieniądze z kieszeni biednego robotnika, choć zarabiasz tyle, że aż puchniesz. Bodajbyś zdechł!

– Pijany jesteś, Mihály, wynoś się!

– Jeśli jestem pijany, to za to płacę! Nic ci do tego! Puszczaj moją rękę!

– Wynoś się, Mihály!

– Wszystkich was zabiję, ile was jest! Puść moją rękę!

– Wezwę żandarmów, Mihály.

– Wzywaj, a niech tam! Zwalę wam ten chlew na łby! Puszczaj mnie!

Wtedy otoczyło ich już więcej mężczyzn. Złapali pijanego i pociągnęli w kierunku drzwi.

– Chodź, Mihály! Nie rób głupstw, Mihály! Miej rozum, Mihály! Zawsze tylko my gorzej wychodzimy na wszystkim. No chodź, Mihály!

Wypchnęli go za drzwi. Od jego wrzasku zadzwoniły szyby w oknach.

– Wpadniesz jeszcze w moje ręce, Ormianinie! Obedrę cię ze skóry, obedrę! Żywcem obedrę cię ze skóry!

Jeszcze i na drodze wrzeszczał. Włochatouchy otarł pot z tłustej twarzy.

– Tfu, przekłety człowiek. Wszyscy oni są tacy, wszyscy. A niech licho weźmie ten cały wyrąb lasu! Nie jest wart tego zmartwienia i przykrości taki zarobek.

Dziewczyna wciąż jeszcze stała tam przy ścianie, pobladła.

– A ty nigdzie nie idź, słyszysz?! To dzikusy, podpalą ci dom czy co. Widziałas, jacy to ludzie. A niech szlag trafi tę piłę parową, to ona przywiodła tu cały ten tłum łajdaków.

Burczał. A dziewczyna tylko tak stała.

– Czego chcesz? Kaszy kukurydzianej?

– A las... co będzie z lasem? Ormianin wzruszył ramionami.

– Jest lasów dość. Daj no worek!

– Ale to niemożliwe... żeby tam przyszli... do naszego lasu...

– Daj już ten worek!

Ormianin ze zdziwieniem popatrzył na dziewczynę.

– Nie masz worka? Powiedz no, coś ci jest? Zrobiłaś się taka blada!

Nachylił się blisko do twarzy dziewczyny, a jego życzliwe, małe oczy przyglądały się jej badawczo. Dziewczyna spojrzała nań. Prosto w jego oczy, jak ktoś, kogo zaczarowano. Potem nagle wydała krzyk i oparła się o ścianę. Oczy zasłoniła rękami.

– Ogień!... – jęknęła. – Mężczyzna ze szramą!...

Po czym cicho osunęła się na podłogę szynku i rozłożyła się na niej niczym rozdeptany kwiat.

– Jezus Maria, o Boże! – Ormianin podskoczył ku niej, schylił się i podniósł ją. – Jesteś chora? Mamy zawołać lekarza?

Spociał się z przerażenia. Lecz dziewczyna stanęła prosto, na własnych nogach.

– To nic – rzekła – to nic.

Powiedziała to cicho, nie patrząc na Ormianina. Potem ze wzrokiem wbitym w ziemię ruszyła w kierunku drzwi.

– Czekaj! Kasza kukurydziana! Twój koszyk!

Lecz ona nie odwróciła się. Poszła do drzwi, otworzyła je. Dopiero wtedy popatrzyła wstecz. Jej oczy w głębokim przerażeniu zastygły na osłupiałym obliczu Ormianina. Ruszały się jej usta. Chciała coś powiedzieć, ale z trudnością wypadł z nich tylko spazm, po czym dziewczyna szybko zamknęła za sobą drzwi.

Ormianin stał tam i także czuł jakiś zabobonny strach. Stał nieruchomo w pustym szynku i patrzył na brudne drzwi, które tak dziwnie zamknęły się przed chwilą. Opanowały go dziwne, złe przeczucia. Zabobonne przeczucia. Przeżegnał się i szybko, jak tylko potrafił, ruszył w kierunku drzwi do swojego mieszkania. Jakby w pustym szynku pojawiły się duchy.

Dziewczyna siedziała w progu. Siedziała tam od południa, odkąd przyszła do domu. Próbowwała myśleć o chłopaku, który jutro będzie przy kolibie. Próbowwała poczuć siebie w jego ramionach, starała się przypomnieć sobie jego uścisk, jego pocałunki. Daremnie. Wciąż od nowa powracał obraz szynku Ormianina i człowieka ze szramą. Wciąż od nowa.

Siedziała i siedziała. Nie rozpałała ognia, nie gotowała, nie nosiła drewna, nie jadła, tylko siedziała. Jak ktoś, kto czeka na coś nieuchronnego, na coś, czego nie da się uniknąć.

Po południu nadszedł tamtędy inżynier z ludźmi. Mierzyli las.

– He – krzyknął inżynier do dziewczyny – jest w domu ten stary morderca?!

Zamiast niej odpowiedział któryś spośród mężczyzn. Wspomniał o żandarmach.

– Na tej polanie zbudujemy barak! – znów zawołał inżynier. – Słyszysz?! Sprzątnijcie stamtąd ten dom! Zwierzęta, wszystko! Zabierajcie się stąd! W przyszłym tygodniu zaczniemy budować stajnie i budynki dla robotników! Słyszysz?!

Dziewczyna wciąż siedziała, niema, zastygła w bezruchu. Jak ktoś, kto wie, że nadchodzi coś strasznego, i nic nie można na to poradzić. Ludzie poszli dalej mierzyć. A ona wciąż siedziała i siedziała.

Patrzyła na polanę. Na zieloną murawę, na pełne powagi wielkie drzewa, na znajomą, kochaną, dawną polanę. I czuła w sobie coś takiego, jakby oglądała umarłego. Myślała o Galonyi, o stajniach, o barakach, o brudzie i hałasie, i o tamtej strasnej, bezdusznej pustce, a łzy stygły jej w oczach i nie były w stanie połączyć z tych oczu.

Patrzyła na las i widziała nagie, zbezczeszczone górskie zbocze, pokryte wszędzie krwawiącymi kikutami, odpadkami, olbrzymimi chwastami, łyse i przeraźliwie sieroce, a gdzieś w niej, w okolicy jej serca zapanował jakiś wielki ziąb, martwy, mrozący krew w żyłach ziąb. Jakoś tak wszystko się skończyło.

Wszystko się skończyło. Czuła to, widziała, wiedziała. Koniec tkwił w tej ciszy. Miał zapach. Niemal głos. Można go było poczuć, zobaczyć i usłyszeć. Że tam jest i że to koniec. Koniec wszystkiego.

Siedziała i siedziała. Nadeszło popołudnie. Nadszedł wieczór. Zebrały się wokół niej owce i kozy. Pies pojękiwał u jej nóg. Lecz ona tylko tak siedziała i siedziała.

Wzeszła pierwsza gwiazda. Druga. Trzecia. Dużo, bardzo dużo gwiazd. A ona wciąż jeszcze tam siedziała. Owce i kozy same schroniły się w zagrodzie, a bramka zagrody pozostała otwarta. I dziewczyna wiedziała, że tej bramki nikt więcej już nie zamknie. Pies, drżąc, leżał przy ścianie i obserwował. I drzwi domu stały otwarte, a chata była czarna i usta miała rozdziawione niczym umarłi, a z pieca lał się zimny mrok. Niezamieszkanym mrok. I dziewczyna wiedziała, że od

tej pory ogień już nie będzie się tam palił i nikt już nie zamknie drzwi.

Potem naraz czerwienieć poczęło niebo w kierunku wsi. Gdzieś biły dzwony, dziwnie, urywanie.

Wtedy wstała. Z zagrody wygoniła owce i kozy. Strzeliła palcami na psa. Nie weszła do chaty. Niczego z niej nie wyniosła. Nawet się nie odwróciła. Tylko poszła. Popędziła zwierzęta i poszła. Za nią włókł się pies. I pozostała tam za nią polana, a na polanie chata z otwartymi drzwiami, czarna, z rozwartymi na oścież drzwiami, za którymi niczego już nie było, niczego. Tylko jakaś chata, tyle co jakaś chata, w której kiedyś, bardzo, bardzo dawno temu ktoś żył.

Stary siedział przy ogniu, kiedy dotarła tam na górę. Gorzki dym z pieców cisnęła w dół noc. Zwierzęta przystanęły. Dziewczyna podeszła do ognia i usiadła. Nie patrzyła na starego, a i stary nie patrzył na nią. Oboje tylko tak siedzieli, a za ich plecami czasem zakaszła od dymu jakaś owca.

– Mów, dziewczyno! I ona mówiła:

– Tam w dole podpalili dom Ormianinowi. Najpierw zabrali mu pieniądze, potem go związali, a później podpalili dom razem z nim w środku...

Opowiedziała o tym, jak ktoś, kto tam był, widział to, przyglądał się temu. Po czym umilkła.

– Mów dalej, dziewczyno! I ona mówiła dalej:

– Na polanie wybudują szopy i budy dla robotników. Wytną las. Wszystek. W górę aż po Istenszéke. Potem wyrosną pokrzywy i chwasty, jary rodzić będą wraki drzew zamiast kwiatów, potok poniesie na swym grzbiecie brud, a wiatr przygoni smród gnoju.

Gdzieś daleko pośród drzew odezwała się sowa.

– Dalej, dziewczyno, dalej! I ona mówiła dalej:

– Jestem czarownicą, jak powiadają. Bo dostrzegę to, czego inni nie widzą, i usłyszę to, czego inni nie słyszą. I widzę to, co było, i widzę także to, co będzie. Czy to grzech być czarownicą? Czy to grzech?

Stary pogrzał w ogniu sękatym, czarnym kawałkiem drewna.

– Mów, dziewczyno! I ona mówiła:

– Na Ulmu każdego lata wypasają owce. Był tam jeden chłopak, wołali go Nátu. To od niego jest ten pies.

– Mów dalej, słucham.

– Była gwiazdzista noc, a ja marzłam, i weszłam w stado, do niego. A on przykrył mnie swoim kożuchem. I nocą przyszedł aż tutaj, i zamknął owce, bo bałam się o nie z powodu wilków. I nie wspomniał o tym. Ale ja wiedziałam, że to był on. Potem przyszedł do mnie i skosił trawę na siano. Znow przyszedł i je zwiózł. I narąbał drzewa. A jednej nocy został ze mną w domu...

– Słucham, dziewczyno. Mów!

– To była dziwna nocka, nigdy jej nie zapomnę. Pod ciemnością był w tej

nocy ogień, a ja marzłam. Leżał obok mnie, a mnie palił ogień i szczękały mi zęby, tak marzłam. To była dziwna nocka, dzika, dziwna noc. A on tak powiedział: teraz stałaś się dorosłą panną. I nie wiedział, że ja wtedy, tamtej nocy stałam się czarownicą. Wtedy stałam się czarownicą, tato...

Stary poruszył się, dorzucił polan do ognia. Z trzaskiem wczepił się w nie płomień.

– Słucham.

– Było jeszcze ciemno, kiedy wstał z posłania obok mnie i poszedł. I dzisiaj słyszę jego kroki, jak szedł ścieżką w dół... jego kroki były powolne, spokojne. Stawały się coraz cichsze, coraz cichsze, aż wchłonął je mrok... rano znaleźli go pod mostem martwego.

Znów odezwała się sowa. Od jej głuchego pohukiwania zatrzęsło drzewami. Jakiś mały suchy liść oderwał się gdzieś od gałęzi i z delikatnym szelestem pofrunął niżej w ciszy. Dziewczynę wchłonęła noc. Gdzieś daleko pod drzewami szumiał potok Urszu.

– Nie ma niczego dalej, dziewczyno?

– Ależ jest dalej. Pewien mężczyzna przychodził czasem ze wsi na górę. Wołali go Józsup. Ten człowiek był jak z wosku. Żółty niczym umarli. Bałam się go, nie wiem czemu. Przychodził czasem z innym, żeby narąbać drzewa. Później przyszedł do mnie sam. Robiło mi się zimno, kiedy na mnie patrzył. Potrafił tak patrzeć, że robiło mi się zimno. Raz kąpałam się w potoku i nim dostrzegłam, że nadchodzi, było już za późno. Stałam tak przed nim. A on patrzył i było w jego twarzy coś... było w jego oczach coś... myślałam, że wtedy umrę. I od tego czasu wiedziałam, że będzie coś z nim i ze mną. Potem zimą przyszedł do mnie, do chaty. Był pijany i był taki jak jakaś żółta świnia. Powalił mnie na posłanie, a ja wbiłam mu nóż w plecy, bo chciałam, żeby umarł. Potem uciekłam. Przyprowadziłam jego żonę, drobną, chudą kobietę, małą, przestraszoną kobietę... ale jego już tam nie było. Kobieta zrobiła się smutna i odeszła. A rano znaleźli tego człowieka obok potoku martwego. To nie mój nóż go zabił. Powiedzieli, że to mróz i palinka. Ale nie. Nie nóż i nie mróz, i nie palinka. On leżał na moim posłaniu... a ja już wtedy wiedziałam, że w moim łożu leży śmierć.

Nie. Jest jeszcze dalej. Trzeci był taki jak jakieś dzikie zwierzę. Chciał mojego ciała, chciał być ze mną pierwszy, a był taki jak jakieś zwierzę. I powiedziałam sobie: dobrze. Niech i ten umrze! Zacisnęłam zęby i pozwoliłam, żeby śmierć położyła na nim swoją dłoń. Chciałam, żeby umarł. I za trzy dni zabiło go powalone drzewo w lesie. Tak to było.

– Wszystko opowiedziałaś?

– Nie. Jedna Cyganka powiedziała, że jestem czarownicą. Że w moim łożu jest śmierć i że śmierć jest zawsze ze mną, a kto się ze mną położy, ten umrze, i kto mnie obejmie, ten umrze, i kto mnie pokocha, ten umrze... i kogo ja pokocham, ten

umrze...

Ale czy jakaś Cyganka może wszystko wiedzieć? Tak? Powiedziała jeszcze: „Wiąże się z tobą zemsta i śmierć, bo jesteś czarownicą, i nic nie możesz na to poradzić”. I że jest przy mnie niewidzialny cień, i zgubiony będzie mężczyzna, który stanie w tym cieniu. „Śmierć jest w twoim łóżu, śmierć jest w twoim ciele, śmierć jest na twoich wargach...”. Tak powiedziała, właśnie tak... Czy jakaś Cyganka może wszystko wiedzieć?

Powiedziała jeszcze: „Na twoim czole jest znak i masz to wypisane na dłoni”. I na moim czole jest tu ten znak, to prawda. Znak, który, jak mówiła Cyganka, niesie śmierć. Ale czy jakaś Cyganka naprawdę może wiedzieć wszystko?

Powiedziała, że wyczuję za spojrzeniem myśl i usłyszę słowa, które nie zostaną wypowiedziane. Dostrzegę to, co niewidzialne, i usłyszę to, co nie wydaje dźwięku, i poczuję to, co nie ma zapachu, bo jeszcze nawet nie urodziło się w czasie... tak powiedziała. I wszystko to prawda. Ale mimo to czy jakaś Cyganka może wiedzieć wszystko? Czy może wiedzieć wszystko?

Powiedziała, że mam na czole znak czarownic. I jest tam ten znak. Powiedziała: „Kto się z tobą położy, spać będzie ze śmiercią”. I ze śmiercią spał Nátu, ten biedak. Powiedziała: „Kto ciebie zapragnie, śmierci zapragnie”. I śmierci zapragnął Józsup, ten żółty. Powiedziała: „Ty jesteś wielką mścicielką, która weźmiesz od nich odpłatę za całe zło, jakie kiedykolwiek wyrządzili na tym świecie dziewczętom...”. I tak samo było z tym trzecim, tak samo. Powiedziała: „Urodziłaś się w ogniu i ogień strawi też twoje ciało...”.

Stary poderwał głowę na te słowa. Z przerażeniem wyteżył uwagę.

– Urodziłaś się w ogniu? Tak powiedziała?

– Tak. Czy jakaś Cyganka może wszystko wiedzieć, tato? Nigdy nie może się pomylić?

Stary spuścił głowę. Z jego ust z trudem wydobył się głos.

– Nie wiem, dziewczyno, nie wiem.

– „Pozostaniesz jałowa jak ognistoczerwona lilia, której zapach zabija muchy. Gdybyś jednak wydała na świat życie, to i to życie sama byś zabiła...”, tak powiedziała, właśnie tak... ale czy wszystko musi być dokładnie tak, jak ona powiedziała? Przecież i to nie jest prawdą, że urodziłam się w ogniu, czy nie tak?...

– Chcesz powiedzieć coś jeszcze, dziewczyno?

– Jeśli nie jest prawdą, że urodziłam się w ogniu, to mogła powiedzieć jeszcze i coś innego, co nie jest prawdą, a wtedy...

– Wszystko opowiedziałaś, dziewczyno?

– Wszystko.

Zapadła cisza. Od potoku pęzła w górę pomiędzy drzewami mgła i mieszała

się z gorzkim dymem z pieców.

– To wszystko?

– Nie. Wysoko na Tronie Bożym jest koliba. I rano ktoś będzie tam na mnie czekał. I ja pójdę tam wysoko do niego.

Stary począł cicho potakiwać.

– Na to czekałem, na to. To ważne. I dziewczyna mówiła dalej:

– I jeśli ta Cyganka nie ma racji, zostanę razem z nim. A jeśli ta Cyganka będzie miała rację, razem z nim umrę. Jeszcze tylko to zostało, nic więcej.

– To ważne, właśnie to – potakiwał stary – reszta nie, tylko to. I siedział naprzeciw ognia, i potakiwał głową, w milczeniu, ze smutkiem. I gdy tak tam siedział z przygarbionymi plecami, był stary, bardzo, bardzo stary.

Później dziewczyna cicho powiedziała jeszcze tak:

– Jeśli nie urodziłam się w ogniu, to być może jest jeszcze i coś innego, co nie jest tak, jak mówiła ta Cyganka... prawda? Może jest jakiś inny ogień, który ja mam w sobie, a który przewycięży to przekleństwo? I o którym ona nie wiedziała? Prawda?

Lecz stary już nie odpowiadał. Patrzył w ogień, wciąż tylko w ogień.

Długo, bardzo długo tak siedzieli. I żadne z nich więcej już nie przemówiło, a myśli osiadły wokół nich jak dym i jak mgła. I jak cisza ponad lasem.

A potem, po długim, bardzo długim czasie zaczęło świtać.

– Idź – rzekł raptem stary – czas przeminął. Idź, dziewczyno! – A ponieważ nie poruszyła się, dodał: – Zabierz też zwierzęta! Wszystkie. I sidła, jeśli będą potrzebne. Węgiel... on już nie tobie zostanie. Idź, dziewczyno!

Wstała z pieńka. Nogi miała zdrętwiałe, drętwota była też w jej głowie.

– Tato...

– Idź! Powiedziałaś, co trzeba było powiedzieć, a teraz wszystko jest już dobrze. Idź!

Wciąż jeszcze stała.

– Zostań z Panem Bogiem, tato!

– Niech Bóg ci dopomoże, dziewczyno!

Z trudnością poruszyły się jej nogi. Wreszcie poszła w górę pomiędzy drzewami, przed nią owce i kozy, za nią pies, a pod ich nogami szeleścił żółty dywan z liści. Nie spojrzała wstecz, tylko szła. Lecz wiedziała, że stary wciąż jeszcze siedzi tam na pniu, pochylony i nieruchomy, i nie patrzy za nią, tylko spogląda na popiół z wypalonego ognia u swych stóp.

I wiedziała, że już nigdy, nigdy więcej nie zobaczy go tak siedzącego, ani jego, ani pieców, ani Urszu... nigdy, nigdy więcej.

Szła powoli, bardzo powoli. I z każdym krokiem coś za nią pozostawało, i każdy krok był taki jak śmierć... jak kiedy ktoś odchodzi na zawsze i zostawia za sobą otwarte drzwi.

Tóderik siedział na pniu. Słyszał oddalające się kroki, słyszał cichnący szelest, a nie odwrócił się, żeby za nim popatrzeć. Po co? Nie wolno patrzeć za tym, co odchodzi. Za czasem, za życiem, za ludźmi. Nie wolno. I tak odejdą, gdy nadejdzie pora. A człowiek pozostanie sam. I kiedy wszystko już odejdzie: czas i życie, i ludzie, wtedy jest kres. Wówczas człowiek uporządkuje swoje sprawy i sam też się przygotowuje, i odejdzie w drugą stronę. Lecz nim odejdzie, jeszcze uporządkuje swoje sprawy, właśnie tak.

Już nie było słyhać szelestu. Była już tylko cisza. Ponad Tirimią niebo oblekło się krwią, a wysoko ponad lasami malutki obłoczek zapłonął różem.

Stary westchnął, po czym wstał. Odszukał kilof i łopatę i z wolna poczłapał do pieców. Przez chwilę patrzył na dym przenikający w górę z ziemi, a w tym dymie widział brudne drewniane budy, kłócących się, wrzaskliwych ludzi, powalone drzewa, nagie zbocza gór, śmieci, hałas, tłok...

Splunął. Następnie chwycił kilof i wbił go w piec.

Po kolei obłupał ziemię ze wszystkich czterech pieców. Ogień, zduszony w na pół gotowym węglu, nabrał życia. Zaskwierczał rozpalony żar. Stary rzucał łopatą ten żar pomiędzy drzewa. Ściółka z zeschniętych liści w mgnieniu oka stanęła w ogniu. Drobne języki płomieni wczepiły się w rude listowie buczyny. Z trzaskiem paliło się świerkowe igliwie. Czerwone węże ognia ruszyły, pełznąc spod drzew coraz bardziej ku wnętrzu lasu. Gdzieś z sykiem zapalił się świerk o żywicznym pniu. Kłębił się czarny dym. Oślepiające białe języki ognia uniosły się ponad korony drzew i zaświeciły prosto w oczy wschodzącemu słońcu. W kilka chwil palił się cały las. Rósł skwar. Pękały rozżarzone pnie drzew. Dym i popiół kłębiły się w powietrzu, a to powietrze było gorące niczym stopiona smoła.

Stary, dysząc, łapał powietrze. Po ciele spływał mu gorący pot, skóra na twarzy naprężyła się tak, że niemal pękała, w głowie dziko pulsowała krew. Przed oczami tańczyły czerwone koła i po kolei rozpryskiwały się niczym gwiazdy.

Miał jeszcze tyle siły, żeby dowlec się do koliby. Już i ją zaczął lizać ogień. Bez sił opadł na posłanie. Tam się wyciągnął, pięknie, jak się godzi. Ręce splótł sobie na piersi. Czuł jakieś dobre, łagodne zmęczenie, jak ktoś, kto wykonał swą pracę i udaje się na spoczynek.

– Boże, dopomóż! – wymamrotał, zacinając się, po czym zamknął oczy. Za zamkniętymi powiekami ujrzał wielkiego, czerwonego jak ogień motyla, cudownie pięknego motyla, jak unosił się pomiędzy płonących drzew coraz wyżej, coraz wyżej... potem nagle przysnął i nie pozostało z niego nic.

Ludzie, którzy o tym zajściu mówili później tam w dole, tak to opowiadali:

Tamtego poranka duża grupa mężczyzn z siekierami, piłami ruszyła w górę Bystrego, żeby rozpocząć wycinkę wysoko nad Urszu. Wielu spośród nich przez całą noc pracowało przy palącej się karczynie, starając się ugasić ogień. Ale mimo to spłonął dom, szopa, a jeszcze i sąsiednia chata. Ludzie opowiadali o Ormianie,

który spalił się w tym domu. „Z pewnością był pijany i przewrócił na siebie lampę – mówili ci mądrzejsi – i tak oto zdarzyło się nieszczęście”.

Przed ludźmi, na odległość rzutu kamieniem, podązał inżynier oraz Mitru. Było z nimi dwóch żandarmów. Ci szli z powodu Tóderika, który zabił człowieka i ukrył się w lasach. Ale Mitru widział ponoć jakiś dym w górnej kotlinie Urszu, a ów dym mógł pochodzić jedynie od Tóderika, i dlatego żandarmi chcieli zrobić z ludźmi obławę, czystkę w lesie.

Jeszcze nie dotarli do Urszu, gdy Mitru pokazał wysoko na górę.

– Tam jest ten dym – rzekł.

I rzeczywiście był tam dym, wszyscy go widzieli. Był to kłębiący się, czarny dym. Dziwny dym. Ludzie przystanęli i przyglądali mu się. I wówczas ktoś zawołał:

– Las płonie!

I wszyscy, którzy tam byli, od razu wiedzieli, że płonie las, i poczęli wołać: „Las płonie! Ludzie, las płonie!”.

Nim zdyszani pędem dotarli w górę do Urszu, cały górski stok był już jednym wielkim czarnym kłębem. Całą dolinę przykrył dym. Wtedy weszło słońce, ale było takie, jakby to czerwony księżyc wszedł za gęstą mgłą. Płonął las.

Żandarmi wygonili lud z czterech wiosek, tylko w ten sposób mogli zatrzymać ogień. Trzeba było na szerokość stu metrów wyrąbać i wywieźć drzewa przed ogniem, wykopać rów, żeby w suchej ziemi nie mógł się on dalej precisnąć. Była to ogromna praca. A mimo to spaliło się dobre tysiąc mórg lasu.

Kiedy przestało się palić, żandarmi oraz inżynier i wszyscy strażnicy leśni weszli tam wysoko, żeby przyjrzeć się sprawie. Lecz niczego nie znaleźli. Tylko wielką czarną spaloną górę. Nic innego. Od Bystrego w górę aż po Tron Boży nie stało ani jedno jedyne drzewo. A powyżej wylotu Urszu ogień przeszedł nawet i przez potok Bystry i pożarł spory kawałek zbocza Macskakő.

Z okrągłej chaty, tam u wylotu Urszu, jak mówią, pozostało tylko kilka spalonych belek. I ani śladu po ludziach. W górę aż po Istenszéke nie pozostał żaden ślad po tym, co stało się z Tóderikiem i z dziewczyną.

Wysoko na Tronie Bożym, na skraju polany, znaleziono ruiny jakiejś koliby. Dziwne to było: przed spalonymi belkami, tak na dziesięć kroków od nich, stał mały biały brzozowy krzyż. Z takich, jakie kobiety czy dzieci ciosają z białych brzozowych gałęzi. A na tym krzyżu wisiał wieniec upleciony z niebieskich kwiatów goryczki. I ani krzyż, ani wieniec nie były nawet osmalone.

Wszystko wokół nich spłonęło. Cały las. Trawa z polany. Wszystko. Ostał się tylko ten mały brzozowy krzyż, a na nim wieniec kwiatów.

A wszystko to stało się na świętego Franciszka, w dniu patrona lasów. I kiedy ludzie dochodzili do tego miejsca w opowieści, żegnali się i więcej już nic

nie mówili.

CZEŚĆ DRUGA

Chata na hali Komárnyik

A kiedy już mocno zatęsknisz za pięknem, a i za tym, by móc zapomnieć o ludziach, chodź, pójdziemy w górę wzdłuż rzeki Maros!

Przy Dédzie dolina jest jeszcze szeroka, ale gdy pozostawisz za sobą piłę nieopodal Bystrego i dotrzesz tam, gdzie zielone wody potoku Galonya wlewają się do Maros, naraz gromadnie otoczą cię góry. Rzeka jest tam już płytka i wartka. Kamienie na czysto filtrują jej wody i pośród tych kamieni zobaczyć możesz przemykające pstrągi i lipienie. Podnóże lasu schodzi aż do pędzącej wody, a ze szczelin w ogromnych szarych skałach wychyla się jedna i druga słabowita brzoźka i w znikającym lustrze podziwia swój biały pień.

Do Ratosnyi dolina coraz bardziej się zwęża i gęstnieje las po obu jej stronach. Wody Zsizsy wpadają do rzeki już w szpalerze świerków, a dalej, za Ratosnyą, koronkowy grzbiet Lisztes wypiętrza się niemal nad twoją głową.

Tutaj powietrze ma już swój własny zapach. Wiosną jest to aromat brzoź, latem – świerków, jesienią – buków. A jeśli napotkasz wiatr, poczujesz w nim poziomki, maliny, jagody, które wypełniają jary tam w górze. Gdy halą Kóbor wdrapiesz się na szczyt Andrenyásza i na wielkiej polanie zatrzymasz się przed kolibą węglarzy, ujrzysz przed sobą nasze piękne góry, wszystkie, każdą z nich. Na wschodzie Pietrosz, Cserbükk, Góry Kelimeńskie, na południu góry Ilva, Bélbor, Borszék, w kierunku zachodu łańcuchy łagodnych grzbietów Görgény, a na północy Tron Boży o płaskim szczycie.

I pod sobą, tam głęboko, dostrzec możesz Maros, jak w ciasnych przesmykach zakręca to w jedną, to w drugą stronę, podobna do wąskiej srebrnej wstążki. I dokładnie naprzeciw ciebie, pod Szerecsen, zamknięty pomiędzy dwiema górami o ostrych szczytach, wpada do Maros potok. To właśnie jest Szalárd. Wypływa gdzieś daleko w górze, na grzbietach Görgény, i z rozległego, okazałego obszaru przynosi z sobą wody trzydziestu kilku potoczków. Wokół niego, dokąd tylko sięgną twe oczy, wszędzie jest las. Tylko las. I nigdzie twój wzrok nie dojrzy zagrody leżącej w odosobnieniu, wsi, nawet w odległości, do której przebycia potrzeba by dwóch dni.

Dzisiaj, niestety, wiedzie tam już kolej. Turkoczący pociąg pośpieszny, senny pociąg towarowy wypływają dym pośród gór, sadza brudzi wody Maros, a gwizd lokomotywy z odrazą odbijają echem skały. Głębiej, u wylotu Szalárd,

jeszcze nie tak dawno był tartak. Dzisiaj znajdziesz tam już tylko ruiny kilku domów i śmieci, brud, gruz, chwasty. I mnóstwo, mnóstwo pokrzyw, które pozostają po ludziach.

Bo wiesz, jakoś tak to jest: człowiek kręci się tu i tam po świecie, niczym jakiś niespokojny dziki zwierz, i czegoś szuka. Ale ledwie to znajdzie, już chce mieć z tego zysk, i w ten sposób wszystko psuje. Bo świat nie jest po to, żeby komuś przynosić zysk. Świat jest po to, żeby był piękny, żeby był pełen spokoju, żeby był dobry. Żeby można było w nim żyć, w znoju, jednak bez zysku. Bo sensem życia jest piękno. A zysk to najbardziej niepożyteczne słowo, jakie kiedykolwiek wymyślono. Jednak dzisiaj już człowiek w tej pogoni zaszedł tak daleko, że ilekroć zobaczy coś pięknego, natychmiast się zastanawia, jaki zysk mógłby z tego mieć. I dlatego jest tak, że to, co zbuduje, mając na uwadze ów cel, to całkiem szybko też upada. Najczęściej burzy to jakiś inny człowiek, zazdrosny o ów zysk, a na miejscu tego czegoś dawnego nie pozostaje nic, tylko plama pokrzyw: wieczny ślad po człowieku.

Także u wylotu Szalárd żyli ludzie szukający zysku, mordowali las i dzisiaj już tylko pokrzywy zachowują pamięć o nich. Ile drobnych podłóści owi ludzie uronili, tyle łądyg pokrzyw wyrosło z ziemi i nadal będzie wyrastać, póki istnieć będzie świat, ku pamięci i przestrodze.

Ale to wszystko to są już nowsze sprawy. W tamtych czasach, kiedy żyli jeszcze ludzie, o których chcę ci opowiedzieć, kolej nie dochodziła w góry. Nie było również pił parowych, tylko tu i ówdzie jeden i drugi młyn wodny. Ale też i mało kto mieszkał w tamtych stronach. Ratosnya, Gödemesterháza – takie były tam wsie. I kilka zagród leżących w odosobnieniu pod Andrenyásza. A dalej już tylko ogromne lasy bez końca, na prawo i na lewo od Maros, nieznanne góry i potoki, żyjące swoim własnym, osobnym życiem. Jeśli ktoś, odważny włóczęga czy zaciekawiony myśliwy, wyruszył z biegiem takiego potoku, to w odległości czterechpięciu dni drogi od punktu wyjścia nie napotkał miejsca zamieszkanego przez ludzi.

Żyły tam tylko niedźwiedzie, wilki, jelenie, dziki, sarny i rysie. Oraz kilku ukrywających się przed spojrzzeniami obcych osobliwych ludzi. Kudłatych, małomównych znawców sekretów. Którzy może umieli czarować zwierzęta, mówili językiem drzew i kwiatów, a życie postrzegali inaczej aniżeli pozostali ludzie. O takich chcę mówić.

Może będziesz mógł nauczyć się czegoś od nich. Może postrzegali życie w sposób prawidłowy, a nie tylko z leniwego dziwaczenia gardzili wyścigiem, który człowiecze siły marnuje na zdobywanie majątku. Może była to mądrość i znajomość jakiejś tajemnicy.

Zabiorę cię na skrzydłach tej bajkowej opowieści do tamtych dawnych czasów, o których usłyszeć możesz już tylko tu i tam, przy wiecznym ognisku,

gdy zasiadają przy nim starzy pasterze i swą powolną mową zaczęły snuć niekończącą się gawędę o krainie ośnieżonych szczytów, kiedy okrywała ją jeszcze tajemnica, a w lasach nie było dróg. W pieczarach Butki żyły wywołujące zabobonny strach krwiożercze niedźwiedzie, a podczas nowiu rusalki tańczyły wokół polany Funtinel. Na Andrenyásza mieszkał biały dzik, a w jamach Szerecsen przesiadywały karły i mary.

Dzisiaj mieszkają tam już tylko sowy. I nie znajdziesz też ludzi, którzy żyli tam ongiś. Ci zniknęli. I znikło wraz z nimi wiele dziwnej wiedzy, wiele magicznych sekretów.

Lecz tu i ówdzie jedno i drugie stare drzewo jeszcze o nich pamięta. Pamiętają skały i jary. Ich śladu strzeże gdzieś las i żałuje, że owych ludzi już nie ma.

Bo wszystko z wolna przemija.

A za czasami, które przeminęły, powiewa jedynie biała chusta pamięci, podobnie jak poszarpany strzęp obłoku na kikutach starych drzew, toczonych przez szkodniki.

W owych dawnych czasach doliny Maros jeszcze nie szpeciła kolej, droga z Dédy do Szalárd zajmowała jeden dzień, a po obu stronach rzeki, do samej wody, nie było nic prócz lasu. I wąskiego zaledwie śladu na prawym brzegu Maros, śladu pozostawionego przez wozy, które tam utknęły, niekiedy dosłownie chowającego się w skalnych załomach, innym razem szukającego brodu, naginającego się podług kaprysu któregoś z potoków, co akurat był w złym humorze. Takim właśnie miejscem, nieodwiedzanym przez człowieka i lubianym przez Boga, była ta okolica.

Kiedy za Ratosnyą człowiek mijał zagrody leżące w odosobnieniu pod Andrenyásza, gdzie góry zbliżają się przeraźliwie, tam już i ta droga dla wozów była ledwie widoczna. Pozostawał z niej raczej tylko jakiś sierocy ślad, wydeptana przez ludzi, omijająca głązy i korzenie drzew ścieżka, z wahaniem pnąca się w górę, a to poprzez potężne maliniaki, a to pod wielkimi, milczącymi drzewami, i czasem wręcz wpadająca w spienione wody Maros.

Nareszcie pod Szerecsen, na wprost wylotu Szalárd, dolina znów się raptem rozszerza. „Rozszerza się” to znaczy tyle, że z lewej strony zbocze opada łagodnie i nie sięgając Maros, tworzy porośniętą murawą płaską polanę. Na tej polanie stał ongiś pański dom. Dzisiaj wiele domów wspina się tam obok, wiele domów stawianych w beładzie. Wtedy miejsca starczało ledwie dla tego jednego.

A przecież nie powstawał jako pałac. Był to brązowy dom z gankiem, zbudowany z prostych smrekowych bali, pokryty ręcznie szczypanym gontem. A w środku cztery izby. Jedna to kuchnia, druga – palarnia, trzecia – sypialnia, a także jedno wielkie pomieszczenie z pryzkami wzdłuż ściany, przeznaczone dla gości. Ganek był duży i wychodził wprost na Maros, a dalej, za Maros, można było

z niego zajrzeć w wąską dolinę Szalárd.

Na tym to ganku pan Éltető lubił palić fajkę. Całymi godzinami siedział tam sobie w milczeniu, wsłuchany w szum wody. I patrzył na lasy naprzeciw, na lasy, które nie widziały siekiery: na swoje królestwo. Bo tamte góry po drugiej stronie, wszystkie, były jego górami. Ile różnych kropel wody poprzez Szalárd spływało do Maros, wszystkie one rodziły się na jego górach. I jeszcze dalej poza nimi, na południe i na północ, też jego był ten las.

Jego? Samej ziemi, ziemi lasów, nigdy nie odczuwał jako swojej własności, jak w przypadku pól uprawnych czy łąk wokół dworu tam w dole, w Disznajó. Nie, ziemi lasów nigdy. To sam las był jego. Każdy las, gdzie człowiek nie wbił jeszcze siekiery. Tak samo jak niedźwiedź czy ryś odczuwa las, ten prawdziwy las, jako swój, nie mając przecież najmniejszego pojęcia o księdze wieczystej.

Lecz tamte lasy, po drugiej stronie, wręcz podwójnie przynależały do pana Éltető, ponieważ miał też moc, by las zachować w niezmaconej czystości, w przepięknej dzikości, taki, jak ten las stworzono.

Opowiadają, że w tamtej okolicy drzewa były cudownie piękne. Choiny takie, że trzech ludzi nie było w stanie objąć ich pnia, i jesiony, co sięgały do nieba. I cisy, może nawet liczące więcej niż tysiąc lat, za drewno z których meblarze płacili tak jak za srebra.

Niczym muchy lgnące do miodu, tak też latali za tym drewnem kupcy. Lecz pan Éltető nawet nie wdawał się z nimi w rozmowy. A i własnych strażników leśnych, mieszkających wysoko w górach, tak oto najmował:

– To jest las, możesz w nim robić, co zechcesz. Ale jeśli się dowiem, że choćby jedno jedyne drzewo ściąłeś i wywiozłeś z lasu dla kogo innego, skręcę ci kark!

Wcale też nie miał nigdy kłopotów ze swoimi strażnikami leśnymi. To prawda, że dobrze przyjrzał się człowiekowi, którego brał do siebie. A kto raz tam do niego trafił, zapewnił sobie byt na całe życie. Mógł wybudować chatę, mógł trzymać zwierzęta podług własnego upodobania, mógł kosić polany, mógł łowić ryby, mógł ustrzelić dzikiego zwierza.

I z wolna zebrała się wokół pana Éltető garstka przedziwnych ludzi. Sami doborowi, z krwi i kości prawdziwi mieszkańcy lasu. Jednakże wszyscy oni byli osobliwymi dziwakami z mnóstwem sekretów.

Pańskiego domu tam pod Szerecsen pilnował Gyerkó Garabonciásó oraz jego syn, Estevány. Ów Gyerkó Garabonciás był mężczyzną o płynnych, powolnych ruchach, w dodatku garbatym, ale ta jego ułomność objawiała się tylko tym, że wyglądał tak, jakby głowa wyrastała mu gdzieś z klatki piersiowej. Miał też wielkie obwisłe wąsy, haczykowaty, olbrzymi nos i bezzębne duże usta, w których tylko całkiem z przodu widać było jeden wielki, żółty ząb; wszystko to akurat nie budziło zaufania. Na cieniutkich nóżkach, na których dyndały białe

seklerskie portki z sukna, nosił kierpce, ogromne niby jakieś dwa pomniejsze czółna. Na tych chudych giczołach kołysało się wielkie brzuszysko, na czubku brzuszyska duża brzydka głowa, a na końcu głowy liniała czapa z baranich skór, zimą i latem jednak. Tak się przedstawiał Gyerkó Garabonciás. W jego zewnętrznym wyglądzie było niewiarygodne nagromadzenie szpetoty, ale jego małe, szare oczy iskrzyły się szelmowskim sprytem. Te oczy wprost promieniowały inteligencją.

I nikt na świecie nie potrafił gotować takiego paprykarza jak Gyerkó. Gdy na swym małym, lecz silnym koniu przybywa z Disznajó pan, żeby wypocząć, to niezależnie od tego, czy przyjeżdżał z gościem, czy sam, nie mijała nawet godzina, a przyjemnie aromatyczny paprykarz parował na dębowym stole na ganku. I nie było na tej ziemi równego mu mistrza hotelowego, który wyniańczyłby gości tak jak on. I nie zdarzyło się, by kogoś – nawet okrytego żałobą – Gyerkó nie rozweselił w kilka chwil, takim to był słynnym kawalarzem. A swojego własnego nazwiska to on też nie otrzymał w sposób naturalny, jak inni.

Powiadają, że był sierotą. W Gyergyóalfalu, po tamtej stronie gór, pasał u księdza świnię. Dostawał za to wikt i trochę ubrania. Wołali go Gyerkó, ani mniej, ani więcej. Czy było to jego imię, czy też nazwisko? Kto się tym przejmował! Sierocie, jeśli do tego jest garbaty, brzydki i pasie świnię u księdza, aż nadto jedno imię, po co dwa? I tak nie wiedziałyby, co z tym począć.

Jednakże Gyerkó wcale nie był takim zwyczajnym sierotą, postanowił bowiem, że jeszcze pokaże tym we wsi, co może osiągnąć, i że kiedyś będzie znaczył więcej aniżeli ktokolwiek inny w Gyergyóalfalu. W głębi ogrodu księdza, pod akacjami, dużo rozmyślał podczas pilnowania świń, w jaki właściwie sposób należałoby zabrać się do rzeczy. No bo trzeba przecież jakoś zacząć, jeśli człowiek chce stać się kimś wielkim. Co do tego nie może być wątpliwości. Pasąc świnię, ot tak, po prostu, nikt nie stanie się sławnym mężem, do takiego wniosku Gyerkó doszedł sam.

Nareszcie pewnego razu zdarzyło się tak, że na letni krajowy targ przyjechał z Gyergyószentmiklós pewien ormiański kuglarz. Na pastwisku dla gęsi rozbił namiot z płachty i od razu zebrały się wokół niego wszystkie wałęsające się dzieci ze wsi. Ów Ormianin miał dwa psy, a także żonę i córkę. Mieszkali w dużym wozie z desek i potrafili tyle różnych dziwnych rzeczy, zarówno Ormianie, jak i ich psy, że przekupnie nie byli w stanie się nadziwić.

Ale najwspanialsze ze wszystkiego było jednak to, jak Ormianin poprosił księdza o jego srebrny zegarek.

– Ojczye wielebny, proszę mi go dać na jedną tylko chwilkę! Ksiądz był człowiekiem skąpym, no i oczywiście zrobił mocno zatroskaną minę, gdy oddawał swój zegarek. Dostrzegł to Ormianin i zaraz też bardzo dumnie powiedział:

– Proszę się nie obawiać! Jeśli coś mu się stanie, zwrócę jego cenę

podwójnie! Słyszeliście, ludzie?

Ludzie, zaciekawieni, wydali pomruk. Wówczas Ormianin złapał wielki moździerz, wrzucił do niego zegarek, aż stuknął na dnie, po czym wyciągnął wielki tłuczek do moździerza i pach węń! Zegarek tylko trzasnął w moździerzu.

– Ojej! – zawołał ksiądz i poderwał się w przestraszu, lecz Ormianin skinął nań, mówiąc:

– Proszę zachować spokój! Teraz możecie zobaczyć największy cud świata. Tak, roztrzaskałem zegarek. Możecie go sobie obejrzeć, jest tutaj. Niech podejdzcie tu każdy, kto chce to widzieć!

Z tymi słowami postawił moździerz na środku stołu. Zwinnie podskoczył tam ksiądz, a gdy zajrzał do moździerza, twarz spocila mu się naraz i poczerwieniała. Lecz tym bardziej radowali się inni ludzie.

– No – stwierdził ktoś złośliwie – teraz to już raczej ten zegarek nie pokaże, kiedy czas na mszę! Temu to już i wieczne zbawienie nie pomoże!

I tak dalej. Tymczasem Ormianin pokręcił się trochę w tę i w tamtą stronę, nareszcie i on sam zajrzał do moździerza.

– Hejże! – rzekł. – Widzę tam jeszcze jakąś całą śrubkę! Proszę ją wyjąć, ojciec wielebny, i dobrze obejrzeć! Czy pochodzi ona z pańskiego zegarka?

– Ta, no pewnie, że z niego – ksiądz z wielkim smutkiem obracał w ręce takie małe coś z mosiądzu – to była koronka do nakręcania zegarka.

– Przyda się potem, żeby nakręcić słońce, co by się nie zatrzymało na niebie – dowcipkował ktoś z tyłu.

Wtedy znów odezwał się Ormianin:

– Niech każdy teraz uważa! Za pomocą pewnego czaru, który oprócz mnie zna tylko pewien słynny indyjski mag za morzem, ja z tych kawałków znów wyczaruję zegarek! Wierzycie?

– Wierzy ino lichy! – z tylnych rzędów zawołał doń jeden młody przystojny rzeźnik.

– Nie wierzycie mi? – zaatakował go Ormianin. – No to podejdzcie tutaj! Tu naprzód, no! Tu do mnie!

Ludzie rozstąpili się przed rzeźnikiem, który co prawda czerwony na twarzy, ale jednak odważnie wystąpił naprzód.

– Czy ojciec wielebny rozpoznał w tych kawałkach swój zegarek?

Ksiądz machnął zagniewany i rzekł:

– A niech to diabli! Kosztował mnie trzydzieści sześć forintów!

– Zapłacę zań siedemdziesiąt dwa, jeśli nie powiodą się czary! – Ormianin wykręcił się dumnie niczym paw. – No, szanowny panie, jest tu? Zajrzyjcie no do moździerza – podsunął rzeźnikowi pod nos naczynie – czy jeszcze jest w nim zegarek?

– No jest w nim, ale tylko w kawałkach! – rzeźnik zaśmiał się drwiąco.

– No a teraz proszę tu dobrze popatrzeć!

Z tymi słowami Ormianin podniósł mózdzierz i potrząsnął nim tak, że aż brzęczało w nim to mnóstwo kawałków. Następnie postawił mózdzierz na stole, wyjął z kieszeni pstrokatą chustkę i położył ją na mózdzierzu. Pochylił się nad nim, wymruczał jakieś zaklęcia, po czym podniósł go wraz z chustką, znów nim potrząsnął i przytrzymał przy uchu. Już tylko cicho brzęknęło.

Ormianin mrugnął swym wielkim czarnym okiem.

– Już zaczyna składać się w całość.

Znów potrząsnął mózdzierzem przy uchu i w napięciu nasłuchiwał. Potem jeszcze raz. Ludzie gapili się, oniemiaли. Wtedy z mózdzierza ledwie już słychać było jakikolwiek brzęk.

– Aha – rzekł Ormianin – zapomniałem w poprzek.

Potrząsnął w poprzek i przytrzymał mózdzierz przy uchu. Jego oblicze, na którym malowała się pełna napięcia uwaga, z wolna rozpuściło się.

– Aha...

Raz jeszcze potrząsnął mózdzierzem i na powrót postawił go na stole.

– No to zobaczmy!

Ostrożnie ściągnął chustkę z mózdzierza. Zajrzał do środka. Ludzie zapomnieli nawet o tym, by oddychać. Wtedy Ormianin gwałtownym ruchem sięgnął do mózdzierza i triumfalnie wyjął zeń wielki srebrny zegarek księdza.

– Proszę!

Ludzie wydali pomruk, zadziwieni. Ormianin zaś podniósł zegarek do ucha.

– Tyka – rzekł – tik-tak, tik-tak... proszę popatrzeć – wyciągnął zegarek w kierunku rzeźnika.

Lecz nagle twarz mu sposepniała.

– Jezus Maria, czegoś mu brakuje!

Zajrzał do mózdzierza, potrząsnął nim, przekręcił do góry nogami.

– Tam do licha, a co się stało z jego koronką do nakręcania?

– Przecie ma ją wielebny! – zawołał któryś spośród ludzi. – U niego została!

– No oczywiście! – Ormianin z uśmiechem szczęścia na twarzy uderzył się w czoło. – Oto zegarek, ojciec wielebny, proszę z powrotem przymocować doń koronkę!

Ksiądz, szczęśliwy, sięgnął po zegarek, obracał nim, dotykał go, przykładał do ucha, ale ten rzeczywiście chodził, nic mu nie było. Ludzie kręcili głowami, rzeźnik zaś, zawstydzony, powłókł się z powrotem na miejsce.

Ten cud widział i Gyerkó, ale od tyłu, zza płachty namiotu. Nie miał dwóch grajcarów, żeby wejść do środka, i dlatego ułożył się na brzuchu z tyłu i zaglądał do środka od dołu poprzez płachtę. W taki oto sposób dojrzał też rękę Ormianina w momencie, gdy wszyscy ludzie pochylali się nad mózdzierzem, żeby obejrzeć kawałki, jak tamten wyjął z kieszeni spodni zegarek księdza i wykręcił zeń śrubkę

koronki. Gyerkó mocno wyszczerzył zęby za płachtą, bo podobało mu się to, że Ormianin tak zręcznie wyżyma ludziom rozum, że od tego, no proszę, nawet i ojciec wielebny ogłupiał.

Tak bardzo spodobało mu się to wszystko, że wieczorem zjawił się u Ormianina. Akurat szykowano już do drogi wóz z desek.

– Ja to bym się zabrał – rzucił Gyerkó, stanąwszy przed Ormianinem.

– A ty to po co? – Ormianin zadziwił się jego słowami.

– Żebyście mnie wzięli na służącego. Czarodziej z wozem zrobił wielkie oczy.

– Ja cię, synu, nie zapraszałem!

– Wcale tego nie potrzeba – pocieszył go Gyerkó – ja i bez tego pójdę.

Ormianin popatrzył na niego tak, jakby nigdy jeszcze nie widział dziecka z garbem i przy tym szpetnego.

– No a po co?

– Żebyście mnie nauczyli tych swoich sztuczek!

Na to Ormianin zrobił minę taką jak ksiądz w kościele.

– Oj, ty mój synu drogi – zaczął z namaszczeniem – nie można się tego ot tak nauczyć! No nie można! Najpierw musisz przebyć siedem mórz, dziewięć gór ognia, i to na piechotę, a następnie przestudiować wszystkie dziewięć tysięcy dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć oprawionych w smoczą skórę ksiąg leżących na stole czarnoksiężnika z Księżycy, obciąć kosmyk z ogona księżycowego barana, ale dokładnie o północy przed nowiem, a na dodatek musiałbyś trzykrotnie owinąć się w pasie kiszkami czarnego kota należącego do wielkiego czarownika krainy Tincs-táncs! Ajajaj, synu! Póki tego nie zrobisz, uciekaj no z powrotem do swojego rodzzonego ojca!

Gyerkó wysłuchał tej mowy z wielką uwagą, a na koniec mądrze skinął głową.

– Tego też się potem nauczę, bo to bardzo ładnie brzmi. Ale ja i tak pójdę z wami, słyszycie? Bo ja nie chcę czarować jak baby na Trzech Króli, tylko nauczyć się sztuczek, jakimi wy oszukujecie ludzi. Bo żebyście tylko nie myśleli, że ja nie widziałem, jak z zegarka wyjęliście to coś do nakręcania! Ależ zręcznie to zrobiliście, że też wam ręki nie odjęło! Diabelnie sprytnie!

Ormianin gapił się w osłupieniu, w końcu roześmiał się, klepnął Gyerkó po krzywym ramieniu i zabrał go ze sobą.

No i wcale nie musiał przebyć pieszo ani siedmiu mórz, ani dziewięciu gór ognia, a nawet nie musiał się nauczyć czytać, żeby w całości przeczytać te dziewięć tysięcy dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć ksiąg oprawionych w smoczą skórę. Gyerkó wcale też nie musiał okręcać sobie wokół pasa kiszek czarnego kota wielkiego czarownika z krainy Tincs-táncs. Lecz co do chodzenia pieszo, to przeszedł obok wozu z desek nie tylko całą Seklerszczyznę, ale i dalej na południe,

aż po Banat, także pół Siedmiogrodu, a jędzowatym smokiem wystarczająco była dlań żona Ormianina. No i z pewnością wiele razy przydałoby się na kolację mięso – choćby i z owego czarnego kota. Jednakowoż w ciągu tego pół roku podpatrzył wiele różnych rzeczy z umiejętności Ormianina. I kiedy podczas jarmarku w Arad spotkał się z jednym garncarzem z Korond, wprosił się na jego wóz i aż do Gyergyó wcale się nie zatrzymywał. W domu pokazał potem swoją wiedzę i oszałamiał nią ludzi. Na jarmarku, na odpuszcie, w święta, gdzie tylko się dało.

Dopiero w Salamás przyłapali go Rumuni. Nakryli go na szelmostwie, no i oczywiście zbili Gyerkó na kwaśne jabłko, i to tak gruntownie, że został tam, rozciągnięty na ziemi przed karczmą niczym jakaś rozdeptana żaba. Zabrał go na swój wóz młynarz z Toplicy, a ponieważ nie miał go gdzie oddać, no to zabrał do swego domu tego garbatego chłopaka. Tam doszedł Gyerkó do siebie i nawet dostał pracę. Rychło też stał się popularny wśród tych, co zlecali mielenie, bo gdy oni czekali na swoją mąkę, Gyerkó zabawiał ich sztuczkami i żartami. Potrafił na przykład sprawić, że zniknął kozik, fajka, krzesiwo, z włosów dziewcząt grzebyk, wstążka, a jeśli chciał, wszystko to wyciągał z czyjś nosa albo i z ucha. Był bardzo szpetny, ale też bardzo dużo znał żartów, którymi ogłupiał ludzi. Z dalekich stron przyjeżdżali tam ludzie na mielenie, żeby móc pożartować z Gyerkó, a młynarzowi z Toplicy nigdy nie wiodło się tak dobrze jak w owym czasie.

Lecz koniec tego był taki, że Gyerkó jakimś sposobem ogłupił również córkę młynarza. Jednak w tym przypadku młynarz nie potraktował sprawy jako żartu, bo z córką powinien był ożenić się syn pewnego gospodarza z Bélbor, takiego, co miał owce. I tu poszło Gyerkó z tym ogłupianiem niemal tak samo jak w Salamás. Jednakże tym razem udało mu się wziąć nogi za pas. I jednocześnie dokonał też największej czarodziejskiej sztuczki w swym życiu: sprawił, że z domu zniknęła również córka młynarza.

Gyerkó uciekł z nią prosto do Ratosnyi. Tam żyli sobie przez pewien czas, aż w końcu garbaty mistrz żartów spodobał się królowi krainy ośnieżonych szczytów i ten wziął go do siebie na stróża domu nad Szalárd. Tu wydarzyła się ostatnia czarodziejska sztuczka: urodził się Estevány. I nie był dzieckiem ani garbatym, ani szpetnym, ale całkiem normalnym i zdrowym.

Lecz nie minął nawet rok, a żona naraz tak oto rzekła do Gyerkó:

– Słuchaj! Jeśli ja tylko tego bym chciała, żeby zostać żoną biedaka, mogłam to dostać i bez garbatego mężczyzny!

– No a czego ty chciałaś? – Gyerkó spojrzał na nią z ławki przy ścianie.

– Być żoną czarodzieja, żyć bogato, nosić dużo pierścionków, mieszkać w mieście!

– Żeby tylko nie było większego kłopotu – odparł Gyerkó z wielkim spokojem, z tymi słowami wszedł do domu, a po pewnym czasie wyszedł stamtąd z zawiniątkiem. Wcisnął je żonie w garść, pokazując w dół na drogę do Ilvy: –

Droga zaś o tam idzie i nie kończy się przed Toplicą.

W taki oto sposób Gyerkó pozostał bez żony tam, pod Szerecsen. Lecz dzieciaka nie oddał. Całymi dniami niańczył go, zrobił mu grzechotkę, karmił go letnim kozim mlekiem. Była akurat pełnia lata, pan męczył się u siebie ze zniwami, to i przez dłuższy czas nie patrzył w kierunku wysokich gór. Nareszcie jakoś tak na początku sierpnia przyjechał.

Gyerkó, a i pies przyjęli go jak się godzi; Gyerkó wziął konia, poprowadził go do stajni, wytarł wiechciem, zadał mu siana, jak zwykle. Kiedy się z tym uporał i ruszał w kierunku domu, pan stał na ganku.

- Słuchaj no! Żony nie ma w domu?
- Nie ma – odparł Gyerkó zdawkowo.
- Tam do licha! No a kto będzie gotować?
- Ja.

Po czym wszedł do kuchni, wyjął z worka mięso przywiezione przez pana i przyrządził taki paprykarz, że już lepszy być nie mógł.

– Nauczyłeś się tego od swojego kuglarskiego mistrza? – spytał pan po skończonym obiedzie, kiedy był już przy karafce z winem.

- No pewnie, że tam.
- Dobrze było. Masz tu kieliszek wina, wypij!
- Niech Bóg da panu siłę i zdrowie!
- Niech Bóg cię zachowa! No a żony to do kiedy nie będzie?
- Aż woda tam w dole zawróci, żeby po nią pójść, dotąd.
- To tak?
- Ano tak.
- Hm.

I już więcej do tego tematu nie wracali. Ale pan, ilekroć od tamtej pory przyjeżdżał w góry, czy to sam, czy z gośćmi, zawsze zamawiał paprykarz z mamałygą. A Gyerkó gotował, smażył, prał i zajmował się domem również i za żonę, przyzwoicie. Pan zaś przywoził coś w prezencie dla dziecka, a i od gości gęsto kapąły napiwki. A ludzie tam, w krainie ośnieżonych szczytów, nazwali Gyerkó Garabonciás, czyli żak czarodziej, bo powiadali, że potrafi wiele takich rzeczy, które w oczach Boga nie są całkiem czyste. Panowie go lubili, żartowali zeń, robili mu figle, a Gyerkó Garabonciás nikomu nie pozostawał dłużny z odpowiedzią. Umiał panom dogodzić.

Kiedy zaś był sam – a najczęściej był sam – wtedy siadał na schodach ganku, sadzał obok siebie małego Esteványa i tak oto patrzyli razem na Maros płynącą w dole i dalej, poza Maros, na lasy. Niekiedy Gyerkó brał też fujarkę, lichej jarmarczny instrument, i wygrywał na niej swoje uczucia, które wiatr niósł w dal, pomiędzy ciche góry. Dziwne, urywane, smutne były te melodie, które wymykały się wówczas z otworów fujarki, takie znikąd, bezpańskie melodie, dobywające się

skądciś spod garbu małego człowieka, a drzewa, które słuchały owych dźwięków fujarki, a i ptaki też, z pewnością myślały, że ten dziwny mały człowiek musi mieć na plecach garb dlatego, że inaczej nie pomieściłoby mu się serce.

Naprzeciw ganku stał most. Jedyny most, który wiódł przez Maros, nad Szalárd. Zbudował go Márton, cieśla z Ilvy. Był to most osobliwy. Márton takie oto dostał zlecenie:

– Ma to być taki most, żeby przeszedł po nim koń i krowa też, ale wóz już nie!

I taki powstał ten most. Wąski na pięć stóp, z poręczą po obu stronach. Strzeliste jesionowe słupy dźwigały go wysoko nad wodą, żeby na wiosnę, gdy ruszają lody, nie zaszkodziła mu piętrząca się kra. Długi był, wysoki i wąski. Chybotał się pod nogami, a na środku wręcz huśtał się. A jednak nigdy nie było z nim problemu. Dobrze go posadowił Márton, ów cieśla.

Po tym moście pan przechodził nad Szalárd, gdy przyjeżdżał polować. Rzeczy do jedzenia wóz z Disznajó przywoził w górę aż do Gyerkó. Tam nakładano koniom drewniane siodła, na drewnianych siodłach zręcznie umieszczano to co trzeba i ruszano.

Z przodu szedł wówczas pan, powolnym, ciężkim krokiem, ze strzelbą na ramieniu. Za nim Gyerkó, a za Gyerkó konie. Przechodzili przez most, a po drugiej stronie już po chwili znikali w lesie porastającym wąską dolinę Szalárd.

Las był tam gęsty od zarośli, dziki. Wzdłuż potoku z udręką podążała w górę wydeptana przez ludzi ścieżka, gdzieniegdzie omijając jedno i drugie powalone drzewo, niekiedy zaś przecinając potok. Była to trudna ścieżka. Czasem zdarzało się, że nocą zważyło się drzewo i zamykało drogę. Wówczas przejście trzeba było wyrąbywać siekierą w taki sposób, żeby mógł przedostać się objuczony koń. Ze zbocza jeden po drugim wpadały do Szalárd potoki, wzdłuż niektórego z nich trzeba było pójść wyżej całkiem spory kawałek, żeby natrafić na przeprawę. Ciężko się szło tą drogą, mijało dobre półtorej godziny, nim objuczone zwierzę docierało wysoko do siedliska na Cibie.

Tam, gdzie wody Nagy Ciby spotykają się z Szalárd, na obrzeżonej świerkami płaskiej polanie stało siedlisko. Składały się nań trzy budynki. Z prawej strony obszerna stajnia dla zwierząt, które tam zimowały, i dla jucznego konia. Pośrodku wielki dom, z obiegającym go dokoła gankiem i dwiema przypominającymi duże obory, obszernymi izbami. W obydwu piec do gotowania, a przy ścianach szerokie, długie posłania. Powyżej, wzdłuż ściany, półka, a w belkach olbrzymie gwoździe. Była to kwatera strażników leśnych, mieszkających wysoko w górach. I wreszcie wyżej, z lewej strony, pomiędzy dwiema starymi jodłami, pański dom. Również i ten zbudowany ze smrekowych bali, ale mały i zgrabny, a w nim jedna tylko izba. To tam zatrzymywał się pan, gdy przyjeżdżał polować. Lub jego goście.

Środkowy, wielki dom był wspólną kwaterą strażników leśnych, do której każdy przychodził, kiedy chciał, i opuszczał ją, kiedy mu się podobało. I jeśli wzywał ich pan, to tam właśnie się zbierali.

Stałym mieszkańcem siedliska był tylko Iwan, wielki ryży Moskał. On miał też pieczę nad zwierzętami, które wraz z nadejściem śniegu strażnicy leśni przyganiałi tu z różnych polan na przezimowanie. To u Iwana zbierano siano i to on przez całą zimę opiekował się zwierzętami wszystkich strażników leśnych. Na początku miesiąca Gyerkó przywoził końmi na górę ordynaryjną kaszę, a Iwan rozdzielał ją pomiędzy pozostałych, gdy jeden za drugim przychodzili stąd i stamtąd. To on otrzymywał od Gyerkó najświeższe wieści ze świata i to on podawał je dalej. Że na Lisztes ustrzelono odyńca o jednej szabli, Cyganie włamali się do piwnicy Żyda w Ratosnyi, gdzieś tam urodziło się dwugłowe cięło, a nocą w oborze leśnika w Gödemesterháza krowie mleko znów doi mara w wilczej postaci.

Iwana pan znalazł kiedyś na gościńcu. Jakoś tak to było: Wracał pan do domu z Szászrégen, podzwaniającymi saniami, przy trzaskającym mrozie, nocą. Gdzieś na zakręcie przy Leányvárze konie spłoszyły się. Uciekły w bok, charczały, niemalże wywróciły sanie. Woźnica kłął.

– Czego się wygłupiasz! – fuknął pan Éltető, zawinięty w futra z tyłu.

– Z uniżeniem, coś jest na drodze, to od tego spłoszyły się konie.

– No więc sprawdź, co to jest. Na ten czas daj no mi tu lejce! Woźnica wygrzebał się spośród okryć, zsiadł. Poszedł do przodu, przed konie. Wtedy te stały już spokojnie.

– No, co tam jest?

– Z uniżeniem, jakiś człowiek.

– Co tam robi to bydlę?

– Śpi.

– A żeby po nim nawet jego własna matka nie zapłakała! Zbudź go!

Woźnica poczał szarpać to coś tam z przodu. Po pewnym czasie odezwał się, sapiąc:

– Nie budzi się on, a niech go!

– Chyba nie umarł?

– Licho wie...

Cierpliwość pana wyczerpała się.

– Bałwan z ciebie, no chodź tu! Bierz lejce! Sam to sprawdzę. Wygramolił się z futra, powoli wysiadł z sań i poszedł do przodu. Rzeczywiście, przed końmi leżał w poprzek jakiś człowiek. Na ile można było dojrzeć w blasku gwiazd, był to potężny mężczyzna, nie za ciepło ubrany.

– He! – szturchnął tego człowieka czubkiem buta z cholewami. – Dzień dobry!

Tamten ani drgnął.

Pan pochylił się, nasłuchiwał, ale nie dochodziło nawet sapanie.

– A niech to diabli wezmą! – mruknął. – Chyba nie umarłeś?

Pochwycił go za ramię, szarpnął nim. Jakby szarpał worek z kaszą, taki był ciężki. Podniósł go i wrzucił do sań, u nóg woźnicy.

– Słuchaj, połóż no na nim jaką derkę! Żeby akurat teraz nie zamarznął, jeśli jeszcze tli się w nim życie.

Po czym powieźli go do domu, do Disznajó. Tam przy świetle lampy obejrzelik dokładniej. Tliło się w nim jeszcze trochę życia. Wlali mu palinki do gęby, natarli szorstkim gałganem, no i przyszedł do siebie. W ciepłej stajni położyli go na słomie i wlali w niego kwartę mleka. I tak go tam zostawili.

Rano zameldowano panu, że obcy stanął na nogi. Je dobrze, nic mu nie jest. Przed południem pan zaszedł do stajni i jeszcze zastał tam tego człowieka.

– No a ty kto jesteś? – fuknął na niego.

Ten wstał grzecznie. Był to wielki chudy mężczyzna o ryżych włosach, a jego szarozielone oczy smutno wlepiły się w pana.

– Ja być Iwan Boskurow.

– Jesteś Rosjaninem?

– Da.

– Jak się tu znalazłeś?

Mężczyzna z wahaniem pokazał w kierunku północy, potem ku wschodowi.

– Tam. Besarabia. Ja być Ruski, Besarabia... Pan przyglądał mu się.

– No a co ty tak leżysz nocą na środku drogi? Co?

Rosjanin spuścił głowę, bladą, jakby mu z niej odpłynęła krew.

– Ja, pan, iść daleko. Iść, iść. Nie jeść. Ludzie nie dać chleb, nie dać mamaliga. Idziesz, idziesz i nie jesz. I być zimno, i zmęczony, i siadasz na drodze, odpoczywasz...

– Hm...

– Iwan lepiej umrzeć niż żyć...

Pan spojrzał na Rosjanina, prosto w jego oczy.

– No a dlaczego ty się tak włóczysz? Dlaczego nie zostałeś w domu? Co?

Mężczyzna wytrzymał jego spojrzenie. Oczy mu nieco zwilgotniały, w końcu machnął ręką.

– Był dom, ziemia, tam Besarabia. Była żona. Teraz nie ma żony, odejść. Przyjść na zimę Rumuny z owcami... odejść... żona też odejść. Iwan jej szukać, szukać... jedna... jedna rok, jedna... nie ma... jedna rok nie ma...

Stał tam przed żłobem, chudy, skrzywiony, zrozpaczony, i trzymanym w górze wężłowatym palcem pokazywał, że jeden rok.

– Rok. Jedna.

Głowa mu zwisała, ramiona bezradnie dyndały przy ciele, jakby wcale nie

były jego. Tak oto stał w podartym, marnym odzieniu i nic więcej nie powiedział.

Pan Éltető podrapał się w głowę.

– A niech лихо weźmie tę kobietę! Zostaw ją do diaska i wynoś się do domu! Po co się włóczysz za jakąś kobietą?! Jeszcze znajdzie się inna!

Lecz Rosjanin dalej stał ze zwieszoną głową i milczał. Wychodząc, pan jeszcze tak rzekł do niego:

– Możesz zostać i odpoczywać, dopóki zechcesz. Jedz, pij i wylegaj się na słomie, aż się wzmocnisz. A nuż wróci ci wtedy rozum.

I Iwan tam pozostał.

W pierwszych dniach rzeczywiście tylko jadł i pił, i wylegiwał się na słomie. Ale potem zaczął pomagać woźnicom, no i okazało się, że zna się na wielu rzeczach. Potrafi uszyć szory, podzelować buty z cholewami, zrobić kierpce. Ale przede wszystkim bawić się z dziećmi.

Pan miał dwoje dzieci. Chłopca i dziewczynkę. Chłopiec, Gáspár, miał wówczas dziewięć lat i polował na wróble kamykami. Dziewczynka – siedem.

Iwanowi zabłysły oczy, kiedy przed stajnią zobaczył dzieci. Jeszcze tego samego dnia Gáspárowi złapał wróbla, na pętlę z włosia z końskiego ogona, Julice zaś zrobił wózek dla lalek, taki prawdziwy wózek dla lalek, z kołami, dyszlem, i nawet umocował na nim dach ze skóry. No i od tego czasu dzieci nie dawały mu odpocząć.

– Iwan! Złapmy zająca na pętlę!

– Iwan! Zrób dla moich lalek także i kołyskę! I tak wyglądał jego cały dzień.

Po dwóch tygodniach spotkali się przed stajnią, na dziedzińcu. Iwan akurat szykował paniczowi Gáspárowi pętlę. I pan powiedział do niego:

– Posłuchaj no, jak cię tam wołają!

– Iwan Boskurow! – Rosjanin wyprężył się po żołniersku. Przez te dwa tygodnie twarz mu się nieco zaokrągliła, oczy poweselały.

– Ano posłuchaj, Iwan! Jeśli chcesz, możesz tu zostać choćby i na zawsze. Potrzebny mi człowiek do psów myśliwskich. Rozumiesz? Który będzie je karmić, dbać o nie i pójdzie z nimi, kiedy wybiorę się na polowanie. Dostaniesz ubranie, wikt, a trafi się jeszcze i co innego. No?

W taki oto sposób Iwan pozostał we dworze w Disznajó.

Pan miał sześć psów myśliwskich, sześć dobranych czworonogów. Z najgęstszej trzciny potrafiły wypłoszyć lisa, tropu dzika nie porzuciły przez dwa dni. Dotąd goniły upatrzonego samca, dotąd go dręczyły, męczyły, aż gdzieś się zatrzymał i dysząc, sapiąc, z oczami nabiegłymi krwią, podjął walkę. Wtedy otaczały go, obszcze kiwały, podgryzały tu i tam i już wcale nie pozwalały mu się ruszyć, póki ktoś tam nie dotarł i go nie ustrzelił. Były to psy słynne w całym Siedmiogrodzie.

Nowy urząd spodobał się Iwanowi. Psy z dworu pana Éltető nigdy nie miały

tak lśniącej sierści, nie były tak silne i wesołe jak pod ręką Iwana. Dosłownie podkładał dla nich jedzenie z kuchni. Poszerzył im psiarnię, co tydzień przynosił świeżej słomy, a nawet i wymacywał z nich pchły, jedną po drugiej, jak mówią. Wkrótce psy pokochały go tak, że nawet Libuc, ten najbardziej nieposłuszny, zostawiał trop, posłyszawszy wezwanie w lesie, gdy Iwan wołał za nimi dziwnym, wyjąłym głosem:

– Chooodź, pieseeeczku! Chooodź tuuu, pieeesku! Pieseeeczku, chooodź!

Pewnego razu po drugiej stronie gór na Nyerges, powyżej Idecs, jeden dzik na pośmiewisko wystawił Dudása, wielkiego kudłatego czarnego mieszańca, najbardziej zawziętego dzikarza. Tego dzika żupan postrzelił w brzuch, ale źle. Odyniec zbiegł, wyratował się, umykając do skarbowej dąbrowy. Psy wszędzie goniły jego śladem, wielokrotnie nawet go zatrzymywały, lecz nie było myśliwego, który dałby radę pędzić za nim, i tak oto dzik uciekł.

Panowie zebrali się już przy saniach i szykowali się do domu. Iwan głośno pokrzykiwał na szczycie.

– Chooodź, pieseeeczku! HUUU hUUU! Pieeesku, chooodź tu... hop, hop!

I po kolei nadchodziły z powrotem, z wywalonymi jęczorami. Pierwszy Trombás, ten stary. Potem Fordíts, Bokrász, Libuc, Pillants. Wszystkie pięć były już na łańcuchu, a Dudása jeszcze nigdzie nie było widać. Iwan wciąż nawoływał:

– Chooodź, pieseeeczku! Pieseeeczku, chooodź! Lecz Dudás nie przychodził.

Zaczęło zmierzchać, na las opadała mgła. Panowie marzli.

– Jedziemy – wydał rozkaz pan Éltető. – Ty, Iwan, zaczekaj na Dudása, a ja później z powrotem pošlę po ciebie sanie do księdza w Idecs.

Wsadzili też psy do sań, po dwa, a Iwan został sam.

– Dudás, do nogi! Chodź tu, pieseczku! Lecz Dudás nie przychodził.

Gęstniał zmrok i Iwana trapiły złe przeczucia. Zszedł z górskiego grzbietu, odszukał w śniegu trop psów i ruszył nim dalej w gęstwę. W tamtych czasach las na Nyerges był nadzwyczaj gęsty, jeszcze bardziej gęsty aniżeli teraz. Ściany kotlin pokrywały kocierpka i tarnina oraz dziki chmiel. Powoli posuwał się Iwan tym śladem. Niekiedy przystawał, pokrzykiwał. Stopniowo zrobiło się zupełnie ciemno.

Daleko ponad Sóakna, w kotlinie góry Északas, natrafił na Dudása. Leżał tam pośród zdeptanych krzaków, a śnieg wokół niego był zakrwawiony. Jednak żył, tylko nie mógł chodzić. Na brzuchu miał wielką głęboką ranę i zwisła mu z niej kiszki, na śnieg.

Kiedy zobaczył Iwana, podniósł głowę i cichutko zaskowyczał.

– No, pieseczku – ucieszył się Iwan – no, pieseczku...

Ale oczy mu sposepniały, gdy zobaczył wielkie brzydkie rozdarcie.

– Łoj, Boże moj!

Po czym pochylił się, pogłaskał czarną kudłątą głowę psa, delikatnie wziął

go na ręce, niczym dziecko, i tak oto ruszył z nim z powrotem do Idecs.

Noc zbliżała się już do swego kresu, kiedy z Dudássem na rękach dotarł do domu księdza w Idecs. Poderwał woźnicę ze złości.

– Zaprzęgaj, szybko! Iść trzeba szpital! Woźnica mamrotał sennie i wlepił gały.

– Zwariowałeś, Moskalu?!

Lecz wlepiali gały także i ludzie ze szpitala w Vásárhely, gdy wczesnym rankiem Iwan zjawił się u nich z psem.

– Doktor trzeba rana szyć! – pokazywał na brzuch Dudása. Pielęgniarki klęli okrutnie.

– Człowieku, to nie jest szpital dla zwierząt! A idźże do cholery razem z tym swoim psem!

Już niemal brali się za bary, gdy nadszedł naczelny lekarz.

– Co się tu dzieje? – zapytał surowo. Iwan strzelił piętami.

– Panie doktorze, melduję, Dudása poszarpał dzik!

Myśliwym był także naczelny lekarz, a przy tym też dobrym kompanem króla krainy ośnieżonych szczytów. I on sam niejednego dzika ustrzelił przed Dudássem. Obejrzał więc psa i tak powiedział do personelu:

– Przygotować wszystko do operacji, wnieść psa, do roboty! Milczeli z rozdziawionymi gębami, żaden nawet nie drgnął.

– Co jest?! – fuknął na nich. – I on żyje! I on czuje! I jego stworzył Bóg! Jest w nim tyle duszy, co w nie wiadomo ilu ludziach! Raz-dwa, ruszać się!

Rzucali się ludzie ze szpitala. Lekarz asystent. Naczelną pielęgniarka. Że dla jakiegoś psa! Czegóż takiego jeszcze nie było w szpitalu.

Lecz wszystko zostało przygotowane do operacji. Lekarze, pielęgniarki przebrali się. Iwan wniósł psa do sali zastawionej tajemniczymi sprzętami i położył go na stole operacyjnym. Naczelnemu lekarzowi naciągnięto gumowe rękawiczki.

– Proszę go uspić, panie asystencie! Potem:

– Niech pan nie trzyma go tak nieudolnie! Na co lekarz asystent zaznaczył z sykiem:

– Przepraszam, z psem dotąd jeszcze nie miałem do czynienia.

– Nie szkodzi – naczelny lekarz odparł ze spokojem – przynajmniej nauczy się pan i tego.

Dudás, biedaczysko, czuł, że to z jego powodu jest to wszystko. Ciało dygotało mu strachem od wielu przerażających zapachów, a oczy w gorączce błagalnie podniosły się na Iwana.

– No, piesku, no... no, piesku, no... – paplał doń, starając się dodać mu otuchy, potężny Rosjanin, a oczy zaszyły mu łzami, bo i on sam bał się w tej tajemniczej sali dokładnie tak samo jak Dudás.

Psa zoperowano. Wycięto mu kawałek zamrożonych kiszek, pozostałe

pozszywano, powkładano na miejsce. Zasztyto i ranę. Była to długa, męcząca, mozolna praca. Spocił się od niej pan naczelny lekarz, zmęczył się personel.

– Uff! – naczelny lekarz otarł sobie czoło, kiedy ze wszystkim się uporał – teraz możesz go zabrać. Albo się ostanie, albo nie. Człowiek już dawno by od tego umarł. Jeśli będzie chciał sobie lizać ranę, niech sobie liże. Byle tylko nie rozerwał szwu, rozumiesz? Jeść nie dawaj mu przez trzy dni! Ale on i tak by nie jadł, wiem to. I w tym pies jest lepszy aniżeli człowiek.

Tak to było z Dudásem. Po czterech tygodniach wesoło już szedł po śladzie, nic mu nie dolegało. Lecz od tamtej pory lekarze i pielęgniarki w Vásárhely nie byli w stanie przełknąć złości.

– No, ile psów leży tam u was na górze?

– Mam jednego kota, słuchaj, boli go wyrostek!

– Poszedłbym na górę, ale nie znoszę psiego zapachu...

– Czemu nie wypiszesz sobie na drzwiach: „Dr med. canicifer”...?

I tak dalej.

Jednakże jeszcze tej samej zimy, tak w połowie lutego, Dudás odplacił za operację. Polowano na Korhány. Był tam też naczelny lekarz. Psy wpadły na stado dzików i rozbiegły się za nim. Dudás wybrał największego i dotąd go gonił, męczył, ujadał, aż zawiódł akurat tam, gdzie stał naczelny lekarz. Dzięki Dudásowi naczelny lekarz ustrzelił wtedy najpiękniejszego dzika w swoim życiu.

Iwan przysięgał, że pies zrobił to umyślnie. I mogło coś w tym być, bo tak popatrzył na naczelnego lekarza, gdy ten podszedł do zabitego dzika, tak ciepłymi, pełnymi wdzięczności oczyma, że to spojrzenie przyniosłoby honor nawet i człowiekowi.

Z Dudása zrobił się najlepszy dzikarz. Inną łowną zwierzyną więcej już w ogóle się nie interesował. Jeśli zadźwięczał jego głos, wszyscy mogli być pewni, że jest przed nim dzik. A jeśli raz już wyszedł z lasu i dalej nie szukał, można było dać sobie głowę uciąć, że nie ma tam nawet jednego jedyne dzika.

I wielką jego umiejętnością stała się nagonka. Gdy natrafił na dzika, nie rzucał się nań jak inne psy. Zatrzymywał się odeń na dwadzieścia kroków i na niego czekał, aż ktoś tam przyszedł, albo też dzikowi się znudziło i sam z siebie wstał. Wtedy Dudás znów kręcił się to w jedną, to w drugą stronę, obszczekiwał dzika to stąd, to stamtąd, i faktycznie nagoniał go. A jeśli zszedł się z dzikiem atakującym? Tego wabił. Skakał przed nim, czekał, uciekał, powracał dotąd, aż z gęstwiny wywabił go wprost na muszkę. Stał się sławnym psem i sławny stał się poprzez niego także Iwan.

Bo powiadała czeladź, że to Iwan tak go nauczył. I rzeczywiście, można było zobaczyć, jak czasem wieczorem przy ognisku siadał obok psa, brał jego głowę w swe olbrzymie, ryże garści i mrucał doń dziwne słowa, jak ktoś, kto rozumie psią mowę.

Polubiono Iwana we dworze w Disznajó. I nie było z nim żadnego kłopotu. Był cichy, uprzejmy, posłuszny. Każdą należącą do niego robotę wykonywał dobrze, a i w takiej pomagał, do której wcale go nie wzywano.

Dopiero w maju zaczęły się z nim problemy.

Dziwne to było. Kiedy przyszła wiosna, zazieleniła się trawa, pękały pąki drzew, Iwan stał się rozkojarzony. Swoją robotę wykonywał porządnie, ale jeśli powierzono mu coś innego, zdarzało się, że o tym zapominał. Niekiedy całymi godzinami przesiadywał obok psiarni, na stosie cegieł, i gapił się przed siebie. Mało jadł, wychudł. Nie śmiał się w głos do panicza Gáspára i Juliki, jak dawniej. Stał się osowiały, a stajenni mówili, że nocami wzdychał na słomie.

Pewnego dnia zniknął.

Wieczorem jeszcze porządnie wykonał to, co do niego należało, nakarmił psy, naniósł im słomy, wszystko. A rano nigdzie go nie było. Nie zjawił się ani w południe, ani na wieczór. Jako że i następnego dnia nigdzie go nie było, zarządca majątku sprawdził rzeczy w stajni, czy aby czegoś nie brakuje. Niczego, ale to niczego nie brakowało. Nie zabrał z sobą niczego poza tym, co miał na sobie. Nie wziął nawet derki, którą się przykrywał. Nawet i ona poniewierała się na słomie.

– Odszedł – pan wzruszył ramionami – to odszedł. A niech go diabli. Taki tam włóczęga.

Ale jednak trapiła go ta sprawa, widać było.

Minęło kilka dni, może nawet i cały tydzień. Nareszcie jednego dnia o świcie zjawił się we dworze jakiś człowiek z Ratosnyi, który prowadził krowy na targ w Régen, żeby je tam sprzedać. Mówił, że Wiktor z Ratosnyi, karczmarz, śle wiadomość, żeby kto przyjechał po Rosjanina, bo jest tam już od trzech dni i nic nie robi, tylko pije, wrzeszczy, rwie sobie włosy z głowy i biciem wyrzuca ludzi z karczmy. Jeśli nie dają mu więcej palinki, wtedy wszystko łamie i bezustannie żąda od nich, a i od każdego, kto trafi tam w jego pobliże, jakiejś kobiety. Wygląda na to, że pomieszało mu się w głowie. No więc niech po niego przyjadą i go zabiorą, bo ludzie nie mają odwagi podejść do karczmy, a wariata mimo wszystko nie wolno zabić, pokara Pan Bóg tego, kto podniesie rękę na wariata.

Pan akurat szycował się nad Szalárd. Była to pora na głuszce i wysoko na Magurze tokowanie szło na całego, jak ślali wieści strażnicy leśni.

– No, sprawdzę ja tamtego człowieka – rzekł.

Okolo południa przyjechał wozem pod karczmę Wiktora. Wszędzie panowała wielka cisza. Zajrzał do szynku: pusty. Zajrzał do wewnętrznej izby: nikogo. Do kuchni: nigdzie żywego ducha. Żadnego ruchu na podwórzu.

– Co, u licha! – zezłościł się. – Pomarli oni wszyscy?

Była tam jeszcze szopa oraz wozownia. Właśnie ruszał w tamtą stronę, gdy z góry odezwał się głos.

– Pst! Pst... Wielmożny panie!...

– A czego ty tam szukasz, do jasnej cholery?! Wiktor w przestkach skulił się w górze.

– Ojej, ciszej, na Boga – jęknął. – Śpi tam w wozowni! Wciągnąłem drabinę, żeby nie mógł za mną wejść. Jestem tu z całą moją rodziną! Ojej, wielmożny panie kochany, proszę uważać, bo ten człowiek oszalał, a silny jest jak byk. Synem sąsiadów, tym młodzieńcem, co go wołają Tógyer, kiedy przyszedł pomóc, tak cisnął przez płot, że tamten złamał nogę!

– Gdzie on jest, niechże zobaczę! – pan nasunął kapelusz na oczy i poszedł wprost do wozowni.

Moskal leżał tam na wznak, w słomie. Usta miał otwarte, ciekła mu z nich ślina. Chrapał. Odzienie na nim całkiem w strzępach, cała głowa krwawo potłuczona. Pan zatrzymał się przed nim i stuknął go butem.

– He, człowieku, a niech cię licho, wstawaj! Rosjanin rozwarł oczy. Były czerwone i mętne.

– Ha – wycharczał, pijany.

– Co za ha! – zagrzmał nań pan. – Wstawaj, świnio, bo inaczej wydepczę ci kiszki!

– Ha – Iwan czknął i usiadł – zabiję cię każdy, każdy człowiek... wszyscy!

– A idź do jasnej cholery z tym zabijaniem! – zezłościł się nań król krainy ośnieżonych szczytów, po czym schylił się i chwycił za ubranie na piersi mężczyzny – już mi na nogi!

Podniósł go jedną ręką jak jakiś gałgan. I dobrze nim potrząsnął.

– Ha... he... he... – chrząkał Iwan i zaczął wymachiwać rękami. Jego garść zabłądziła na kurtkę na ramieniu pana. Pochwycił go kurczowo. – Ty... ty... gdzie jest ta kobieta, słyszysz?! He? – Pochylił się całkiem blisko ku twarzy pana. Cuchnęło od niego palinką. Ochryple, grubiańsko zawołał: – He! Palinki! Dawaj palinkę, bo cię zabiję! Skręcę ci kark jak jakiemu kurczakowi!

I zaczął rwać kurtkę na ramieniu pana.

Krzaczasto zarośnięte, ciemne oblicze pana poczerwieniało. Pan cofnął się, zrzucił z ramienia szarpiącą się rękę Rosjanina. Następnie zamachnął się pięścią i z głuchym klapnięciem walnął pijanego mężczyznę w ryżą głowę. Akurat za uchem. Ten zaś tylko się rozłożył na sianie niczym wiecheć.

– Zejdź no na dół! – pan zawołał w górę do Wiktora. – I przynieś z sobą jakiś sznur!

Ze stryszku na siano klapnęła w dół drabina, a potem mały chudy człowiek zlął w dół, jak wiewiórka. Wciąż jeszcze trzął się, gdy już zniósł sznur. Był to dobry sznur na cielaki, mocny.

Pan związał Rosjanina i zaniósł do wozu. Tam cisnął go na tył, tak że głowa i nogi zwisały mu jak u ustrzelonego niedźwiedzia. Dopiero wtedy Wiktorowa żona i córka odważyły się zejść ze stryszku na siano.

– Za szkody zapłacę – pan Éltető jeszcze rzucił do nich z wozu, po czym fuknął na woźnicę: – Nie gap się, jedźmy!

Związany mężczyzna nie poruszył się nawet i wtedy, kiedy dotarli do domu, pod Szerecsen. Tylko oddychał z charkotem, a z ust ciekła mu ślina.

– Słuchaj – rzekł pan do Gyerkó Garabonciása – zanieście tę świnię do drewni i zamknijcie. Nim wrócę, możecie mu dawać wodę i mamałygę, ale nic poza tym.

Z tymi słowami zarzucił strzelbę na ramię, przeszedł przez most i ruszył w górę wzdłuż potoku Szalárd, na Magurę.

Cztery dni tam był. Kiedy wrócił na dół, Rosjanin siedział skulony w szopie. Był błydy, oberwany, chudy i smutny. Pan zatrzymał się przed nim, a wzrok miał posepny.

– No, wyspałeś się, świnió?!

Tamten grzecznie wstał i cicho odpowiedział:

– Tak, proszę pana.

I poczciwe szarozielone oczy wbił wprost w swego gospodarza.

– Wytrzeźwiałeś?

– Tak, proszę pana. Pan podszedł bliżej.

– No a co to z tobą było, co?

Iwan drgnął. Na oczy opadł mu jakiś cień posepnego smutku.

– Nic, proszę pana.

– Mimo wszystko, co to się stało?

– Nic, proszę pana.

– Nic, nic! Tylko tak po prostu uciekasz, upijasz się jak zwierzę i całymi dniami robisz burdy w karczmie! No kto ty jesteś? Człowiek?

– Tak, proszę pana. Człowiek. W tym właśnie tkwi problem. Pan umilkł. Spod krzaczastych brwi, posepnymi oczyma badawczo świdrował tego smutnego człowieka. Długą chwilę. Nareszcie odezwał się powoli, mrukliwie:

– Dobrze. Możesz wrócić. Ale jeszcze dzisiaj przysięgniesz przed księdzem, że nie będziesz więcej pił. Rozumiesz?

Iwan uniósł głowę. Uczciwie, czysto spojrzął w oczy swemu gospodarzowi i odrzekł:

– Tak, proszę pana. Przysięgnę. Na rok.

– Nie na rok. Na zawsze!

– Tylko na jeden rok, proszę pana.

– Czemu? Jeśli wytrzymasz rok, to i dłużej wytrzymasz!

– Tylko na jeden rok, proszę pana. Bo ja, na co przysięgnę, to tego i dotrzymuję. Na jeden rok.

I tak też się stało. Jeszcze tego samego dnia Iwan wrócił do domu, przysięgnął przed popem w Ratosnyi na świecę i krzyż, że więcej nie będzie pił alkoholu, ani

jednego jedynego łyka. Przez okrągły rok. Na próżno było tłumaczenie, wszystko na próżno: tylko na tyle przysiągł, na jeden okrągły rok.

No i uczciwie dotrzymał słowa. Przez cały rok nie było z nim więcej kłopotu. Rozpieszczał psy, karmił je, troszczył się o nie. Chodził z panem po lasach, a lepszego, bardziej oddanego człowieka nie dałoby się znaleźć.

Rok miał się ku końcowi i znów przyszła wiosna, Iwana na powrót wzięła jakaś dziwna choroba. Zrobił się jak odurzony, chodził niczym we śnie. Nocami kręcił się tu i tam, wzdychał. Swoją robotę wykonywał źle. I tego dnia, gdy minął rok, jednak znów zniknął. Po tygodniu ponownie się odnalazł... w szóstej wsi. I dokładnie tak samo jak za pierwszym razem.

Od tamtej pory tak to z nim jest: przez cały rok nie ma z nim żadnego kłopotu. Potem przychodzi wiosna i odbiera mu rozum. Szuka wtedy jakiejś kobiety i rusza w świat. Chodzi od wsi do wsi i bezustannie wykrzykuje jej imię. Nareszcie zmęczy się od tego, wtoczy się do karczmy i zaczyna pić. Z picia dziczeje, wścieka się, wdaje się w bójki. W końcu przewraca się i śpi dwa–trzy dni.

Pan już nawet i nie jeździ po niego. Wraca ci on sam z siebie. Wraca, idzie do popa i przysięga na krzyż, że nie będzie więcej pił przez rok. Zawsze tylko przez rok. I wiernie dotrzymuje słowa.

Później, gdy pańskie dzieci dorosły i odeszły z domu do szkół w dalekich, dużych miastach, Iwan żył już tylko i wyłącznie dla swoich psów. Powiadają, że rozmawiał z nimi. A one rozumiały jego mowę.

Mijał czas i Iwan robił się coraz bardziej mrukliwy, coraz bardziej samotny. Nareszcie kiedyś, może w ósmym roku, stanął przed panem.

– Chcę pana o coś prosić.

– No.

– Niech mi pan pozwoli pójść wysoko w góry, do strażników leśnych. Nie jest mi tu dobrze.

– Dlaczego? – zapytał pan, skonsternowany.

– Dlatego, proszę pana, że tutaj każdy kogoś ma, tylko ja nie mam nikogo. A tak nie jest dobrze. Tam będzie mi lepiej, proszę pana. Jeśli mi pan pozwoli, zabiorę z sobą także starego Dudása, tu wśród innych już i tak jest za wolny. Tam w pojedynkę będzie dobry na niedźwiedzia, na dzika, kiedy pan przyjdzie. I zabiorę też jednego szczeniaka, żeby się wyuczył od Dudása. Jeśli pan pozwoli.

Król krainy ośnieżonych szczytów nie odezwał się. Milczał, kiwał wielką czarną głową. I w taki oto sposób Iwan trafił w wysokie góry, do siedliska na Cibie, pośród strażników leśnych. Zabrał z sobą Dudása, tamtego starego, a także jednego szczeniaka, małego Dudása. Tego uczył całymi dniami. I za rok również i z niego zrobił się pies tak dobry na niedźwiedzia, na dzika, że budziło to podziw. Poza tym nauczył się też i innych rzeczy: szukać kuny, ścigać w wodzie wydrę, iść po tropie farby za postrzelonym jeleniem i dotąd przy nim ujadać, aż nadejdą

ludzie. Odszukał i zgubiony kij, zapomniany gdzieś worek. Miał tysiąc umiejętności.

W końcu stary Dudás umarł, pewnego poranka nie podniósł się z siana. Iwan go pochował, porządnie, jak się godzi. Nawet i posadził na jego mogile młodego świerczka. A do małego Dudása poprosił pana o jeszcze mniejszego Dudása, żeby go wyuczyć.

I tak sobie żył. Milcząco, w siedlisku na Cibie, ze swoimi dwoma psami. Zimą miał pieczę nad trzodą innych, ale sam nie trzymał owiec ani krów, jak pozostali. Nie zbudował koliby, nie przywiódł w góry rodziny. Dobra była dla niego i kwatery na Cibie. Skór z kuny, wydry nie sprzedawał. Oddawał je w prezencie to temu, to tamtemu. Dzieciom strażników leśnych, juhasom, kto mu się naraz spodobał.

Największą jego radością było, gdy wysoko w góry przychodził pan na polowanie. Albo panicz Gáspár! Jaki zwinny zrobił się z niego młodzieniec! W takich razach Iwan promieniał, psy wesoło podskakiwały, a potem w drogę na górę! Dzik, niedźwiedź nie zaznał spokoju.

Lecz wiosną, dokładniej z każdą wiosną, gdy tajał śnieg w górach, drzewa zaczynały się zielenić, a czas przysięgi przemijał, Iwan wariował. Zostawiał swoje psy, zostawiał siedlisko na Cibie i ruszał w świat. Włóczył się od wsi do wsi i przez bramy domów wykrzykiwał imię kobiety.

Znali go już ludzie i nikt mu nie dokuczał. A znów kiedy zaczynał pić, zostawiali go samego. Nie trzeba było trzech dni, ani nawet i dwóch. Iwan już się starzał. Wykańczało go i pół litra palinki.

Wówczas dobrzy ludzie wnosili go do wewnętrznej izby, kładli na łóżko i zostawiali, żeby się wyspał. W ciągu dwóch dni przychodził do siebie. Wstawał, szedł do domu. Po drodze wstępował do któregoś popa i składał przysięgę na świecę i krzyż. Na kolejny rok.

Potem, jak ktoś, kto ze światem doszedł do ładu, powracał spacerkiem do siedliska na Cibie, chodził po lasach z dużym Dudásem i z małym Dudásem, uczył ich, rozmawiał z nimi i wyczekiwał panów na polowanie. Latem kosił siano, zimą karmił krowy należące do innych, odbierał od Gyerkó miesięczne ordynaria oraz wiadomości i jedne i drugie rozdzielał w wysokich górach.

Tyle że twarz zrobiła mu się surowsza, ryże włosy wyblakły, zęby poczęły wypadać. Poza tym nic a nic nie działo się tam wysoko. Jedynie czas podążał naprzód, gdy na swym lśniącym grzbiecie, szemrzając, toczył go potok Szalárd z Magury w dół do Maros. Pośród starych choin, pachnących mchem i porośniętych ciszą.

6 Garabonciás – postać z węgierskich legend, żak czarodziej.

Ale obok Iwana żył w siedlisku na Cibie także stary Birtalan, człowiek od ryb. Powiadali, że wziął się tam skądś z Hargita. Był to mały chudy staruszek o białych włosach i bladej twarzy. Dwa pasma długich, mizernych, cieniutkich wąsów sięgały mu dobrze poniżej brody. Miał wielkie wyłupiaste oczy i cały ów mężczyzna przypominał jakąś dziwną chudą rybę.

Ten to Birtalan znał się na sprawie ryb jak nikt inny. Wręcz żył wraz z nimi. Może właśnie dlatego i on sam stał się taki rybokształtny. Tylko spojrzał na któryś z potoków i mówił: tu trzeba szukać. Po czym siadał na brzegu, podwijał rękaw na długiej suchej ręce, która była niczym silny korzeń drzewa, i sięgał pomiędzy kamienie. I już wyciągał pstrąga, trzymając go za skrzela.

Wiele pożytku z niego na kwaterze nie było ani dla Iwana, ani dla innych. Nie troszczył się nawet o własną krowę, całymi dniami przyglądał się potokom, godzinami sterczał nad tym czy tamtym zagłębieniem koryta i patrzył w wodę. Od czasu do czasu sięgał w nią, wyciągał jedną i drugą rybę, oglądał ją, coś do niej mówił i wrzucał z powrotem.

Pewnego razu przybył w tamte strony pewien Anglik, wszędzie znany jako sławny wędkarz, i pan Éltető zaprosił go nad Szalárd powędkować. No i przyjechał ten Anglik, przywiózł z sobą kijów, haczyków, linek, blaszanych szkatulek tyle, co mieści się na konia. Pan postawił przy nim Birtalana i wysłał ich w górę wzdłuż potoku. A potem na wieczór miał po nich przyjechać do siedliska na Cibie.

Anglik włożył sięgające ud gumowe buty, wyciągnął swoje wspaniałe haczyki, pudełeczka, siateczki, po czym wszelkiego rodzaju rzeczami do dźwigania obładował plecy Birtalana. Nareszcie wyruszyli. Anglik rzucał haczyk to tu, to tam, skakał po kamieniach niczym konik polny, jednakowoż efektu nie było. Anglik zmieniał haczyki, mrucał, kręcił głową. Przeszedł przez potok, wrócił, poszedł wyżej, jeszcze wyżej, od jednego zakrętu do drugiego zagłębienia, i rzucał haczyk do wody, i wyciągał go na pusto. Birtalan zaś tylko włókł się z tyłu, po cichu, z pakami, a nie odezwał się ani jednym słowem i wcale też nie uśmiechał się z powodu całej tej sprawy.

Pod wieczór pan dogonił ich pod Kis Cibą.

– No, Birtalan, dajesz jeszcze radę z rybami?

– Jeszcze daję, proszę pana.

– Ile ich jest?

– No będzie ich dwójeczka jak dotąd.

– A niech to piorun trzaśnie! Bo ja nie przyniosłem w worku niczego, tylko mały kawałek słoniny, żeby ryby natrzeć tłuszczem!

Birtalan spojrzał w niebo, jakby się z nim naradzał, w końcu tak rzekł:

– Przecie można nałapać, skoro trzeba.

– Oczywiście, że trzeba!

– No to mam nałapać?

– No pewnie, że tak!

Na to Birtalan położył manatki na ziemi, podwinął rękaw koszuli na chudej ręce i podszedł do potoku. Troszkę poprzyglądał się wodzie, w końcu schylił się i zaczął wyciągać ryby. O tak, o, jedną za drugą.

Patrzył Anglik, co też wyprawia ten dziwny staruszek. Nawet gębę rozdziawił. W końcu mocno zaklął w swoim własnym języku i cisnął haczykiem o ziemię.

– Pomiedzy tymi waszymi rybami to nawet i sam Pan Bóg się nie rozezna!

Rano, nim z kwatery na Cibie ruszyli z powrotem, tak oto odezwał się pan:

– Posłuchaj, Birtalan. Ten Anglik chciałby łapać ryby ręką. Tak jak ty. Mówi, że widział już, jak na Oceanie Indyjskim poluje się na rekiny, a na biegunie północnym na wieloryby, ale żeby takim sposobem łapać ryby, jak ty to robisz, tego jeszcze nigdy nie widział. No to naucz go!

Birtalan nie wiedział, gdzie jest Ocean Indyjski, a i tego nie wiedział, co to rekin. No ale mimo wszystko skinął głową.

– Możemy coś urządzić – rzekł.

Trochę pomyślał, po czym zniknął w lesie. Długi czas minął, nim znów się pojawił.

– No, idzie pan! – skinął na Anglika.

Zaprowadził go daleko w głąb Kis Ciby i posadził przy sporym zagłębieniu w dnie potoku.

– Tu pan zaczeka – wytłumaczył mu rękami i nogami – a ja popatrzę jeszcze i wyżej, co tam się dzieje.

Anglik wprawdzie nie zrozumiał, co do niego mówi staruszek o rybiej głowie, ale mimo to usiadł. Birtalan zaś poszedł wyżej o jeden zakręt i wygrzebał z kieszeni jakiś rodzaj kwiatów. Powoli zaczął je rwać rękami i posypywać nimi wodę.

Kiedy się z tym uporał, poczłapał z powrotem do Anglika.

– No, teraz pan idzie – skinął na niego i zabrał go na brzeg zagłębienia w potoku. – Sięgnie pan w głąb – pokazywał pomiędzy kamienie – no niech pan sięgnie, odważnie!

I pokazywał swoją ręką, co tamten ma zrobić.

Zadziwił się Anglik, wreszcie zaczął sięgać ręką w wodę. Obmacywał kamienie, mieszał wodę garścią.

– No, niech pan ją złapie – Birtalan pokazał raptem na rybę. Anglik spojrział tam, gdzie ledwie na piędź od jego ręki pływał sobie spory pstrąg. To znaczy właściwie nie pływał sobie, tylko stał w jednym miejscu, zwrócony wprost ku nurtowi wody, i otwierał gębę. Nieporadnie zabrał się do niego Anglik, ale mimo wszystko udało mu się go złapać. Potem płynął jeszcze jeden pstrąg i jeszcze jeden, i jeszcze jeden. Ryby nadpływały spośród kamieni, jakby niesione prądem,

gapowato, leniwie, i mało co się trzepotały, gdy je chwycił.

Twarz Anglika promieniała radością. Brał ryby w garść i wyrzucał je na brzeg, zaśmiewając się w głos. Birtalan tylko tak sobie siedział obok niego, cicho, jak ktoś, kto z tym wszystkim nie ma nic wspólnego.

No i Anglik nałapał tam za jednym posiedzeniem tyle ryb, ile mieści się w wiadrze. Birtalanowi dostał się potem taki napiwek, że kupił zań jałówkę na targu w Dédzie. Czy Anglik jeszcze kiedykolwiek próbował łapać ryby tym sposobem, to nie wyjaśniło się nigdy. Birtalan milczał na temat kwiatów i nadal pilnował ryb. Tylko wtedy je łapał, gdy potrzebne były panom na kolację albo gdy zachciało się ich strażnikom leśnym na kwaterze na Cibie. A przecież karczmarz w Ratosnyi, ów Wiktor, nieraz posyłał mu w góry wiadomość, że tyle i tyle zapłaci za cebrzyk pstrągów, lecz Birtalan nigdy nie robił pieniędzy na rybach.

Tak oto płynęło życie tam w wysokich górach. Iwan i Birtalan strzegli siedliska, a od czasu do czasu zachodził do nich ten czy tamten. Ferenc, który wraz z rodziną mieszkał na Kétág, lub też Vénség⁷ z Dószul Fulgeruj albo też wujek Árszintya, baca z Belcsuj. Lecz najczęściej jednak Dumitru, ten kulawy. Czy też, jak go inaczej zwano: Dumitru Wilk.

On właściwie nawet i mieszkał tam, w siedlisku. Bo nie miał nikogo ani też nie miał szałas, nigdzie. Tylko strzelbę, worek z wilczych skór. Czasami nie widywali go całymi dniami, tygodniami. Krył się po lasach, szukał tropu wilków. Nic więcej go nie interesowało, tylko wilki. Wtedy noce spędzał może w pieczarach skał albo też ot tak, na wolnym powietrzu, pod drzewami. Jadał surowe mięso, jeszcze też grzyby, owoce leśne. Od czasu do czasu zjawiał się wreszcie w kwaterze, u szyi zwisały mu wilcze skóry, wynosił je na strych, żeby wyschły, a sam kładł się na sianie i przez kilka dni tylko jadł i spał. Jeśli wymówił jedno lub dwa słowa na dzień, to i tak było dużo. W końcu znów szykował się do drogi, zarzucał na ramię strzelbę, u boku zawieszał sobie worek i ruszał. Z nikim się nie żegnał, tylko szedł. I przez wiele dni znów go nie widzieli.

Osobliwym człowiekiem był ów Dumitru. Chodziły z nim w parze, zupełnie jak cień, jakieś straszne, ciemne sekrety. Powiadali o nim, że był niegdyś gospodarzem, miał owce, tam daleko, w okolicy Dorna, za Górami Kelimeńskimi. Ze swoimi dwustoma pięknymi białymi owcami każdej wiosny maszerował w górę wzdłuż Dorna szukać pastwiska. Zatrzymywał się a to na jednej, a to na drugiej górze, zależnie od tego, na której hali wcześniej zazieleniła się murawa. Budował kolibę, całkiem małą, jako że nie potrzebował większej. Był tylko on oraz żona, no i dzieciak.

Dumitru i jego rodzina żyli z tych to dwustu owiec. I na wszystko starczało pod dostatkiem: co roku na nowe ubranie dla żony i dla niego. Nowe kierpce, świnie na omastę i olej na post. Kaszę kukurydzianą, kiszoną kapustę. Owce dawały wełnę, ser, jagnięta. A z pieniędzy nawet i mogli trochę odłożyć. Jako że

juhasa nie trzymali, na co. Dumitru sam chodził z owcami, przy dojeniu pomagała żona, sam też robił pachnące sery, sam ugniatał twaróg w faski ze świerkowego łu bu.

Dobrze sobie żyła rodzina Dumitru tam w wysokich górach. Latem jedli kulki z serem⁸, twarożek z owczego mleka, żentycę. Paprykarz z grzybów i owoce leśne. Zimą dobra była też mamałyga z bundzem, z kiszoną kapustą. W czasie postu ryba w oleju.

Z nikim nie mieli kłopotu, w krainie ośnieżonych szczytów panowała wolność. Człowiek mógł tam prowadzić owce, dokąd tylko chciał. Mógł swobodnie chodzić po lasach i mógł wypatrzeć sobie polanę z trawą na siano na przezimowanie.

Owego roku, kiedy przyszła wielka susza – nawet najstarsi ludzie nie pamiętali takiej: trawa nie rosła, maliny usychały niedojrzałe, owce wychudły na pastwiskach i obgryzały już wyłącznie ściernie traw – owego roku Dumitru skosił sobie siano pomiędzy Priporul Candrei a Lóhavas, na tamtym nachylnym ku Borgó szerokim górskim zboczach, gdzie pstrokacą się na przemian choiny i hale i dokąd schodzą przezimować również jelenie oraz sarny mieszkające na szczycie Bölényes.

Było to dobre siano, tyle że było go mało. Źródła wyschły i murawa nie miała wody. Kłopotem okazało się i to, że owego roku wcześniej przestawiono owce na siano, bo po gorącym lecie przyszła bardzo zimna jesień. W połowie września zaczął padać deszcz i przez cały boży miesiąc nie ustawał. Potem naraz wszystko zamarzło, a na koniec października wysokie góry okryła już biel. Trzeba więc było przerzucić się na siano, bo owce i tak już padały.

Zły to był rok ze wszech miar. Twarogu uzyskano o połowę mniej niż w poprzednich latach. Ze starszych owiec padło ze trzydzieści. Sześć zaś rozerwały wilki, te dzikie obce wilki o żółtawej sierści, które, jak mówili, zeszyły w nasze góry skądś z Bukowiny czy też z jeszcze dalszej okolicy, niesamowicie się rozmnożyły i okazały się dużo gorsze od naszych, zwykłych górskich wilków.

Pewnej nocy pojawiły się niczym złe duchy. Było ciemno choć oko wykol. Naraz zaczęły wyć psy. Dumitru wybiegł z siekierą, a i kobieta natychmiast zapaliła w ogniu żywiczną świerkową pochodnię i popędziła za nim. Ale wtedy wilki buszowały już wewnątrz zagrody, bezlitośnie goniąc owce. Ich oczy świeciły się zielono w blasku ognia.

– Hu, huu! Hu, haa! Bierz go, Gudra! Bierz go, Buzsor! – krzyczał Dumitru, a i żona, machając płonąca pochodnią, wrzeszczała na całe gardło.

W końcu jednak wilki pouciekały z zagrody, przeskakując przez wysokie na sążeń ogrodzenie, ale w paszczy każdego z nich bieliła się owca. Kłapnęły na ziemię i znikły, a wraz z nimi znikły cztery owce. Rano jeszcze dwie leżały martwe w zagrodzie i przy płocie zagrody stary, bojowy kuwas Gudra.

Zły to był rok ze wszech miar. Jakby jakieś złe duchy rzuciły urok na krainę ośnieżonych szczytów. Owce nie poprawiały się na pastwiskach, lecz wręcz marniały. Jesienią były to już w istocie same skóry i kości, a i padały, jedna za drugą. Wcześniej trzeba było zostawić pastwisko i napocząć siano.

Dumitru nałożył koniowi siodło z drewna, przywiązał doń manatki i puścił konia w drogę wraz z żoną i dzieckiem. Dzieciak miał wówczas sześć lat, nieźle już wytrzymał drogę nawet i na piechotę. Sam zaś Dumitru razem z psem o imieniu Buzsor popędził owce.

Tak oto dotarli pod Lóhavas. Zimowa koliba stała tam już gotowa, Dumitru zbudował ją jeszcze podczas sianokosów, żeby słońce trochę wysało świerkowe pnie. Tyle że trzeba było utkać w niej szczeliny mchem. Następnie wznieść zagrodę wokół siana, odpowiednio wysoką, żeby nie mógł przez nią przejść wilk. Bo z kim się nie spotkał, wszyscy mówili, że pełno ich na Lóhavas, Bölényes i na Priporul Candrei też.

Wszystko zostało zrobione. Owce pożerały siano, gołym okiem widać było, że się poprawiły. Tymczasem spadł śnieg. Najpierw na piędź, potem do kolan, aż gdzieś tak przy końcu listopada nastąpiła zima, taka prawdziwa.

Wcześniej przyszła, to pewne. Sprzed koliby śnieg trzeba było odgarniać łopatą i kopać w nim ścieżkę do paleniska, do źródła i do owiec. Całymi dniami świszcział północny wiatr, a drzewa trzeszczały od mrozu.

Około Nowego Roku ręka już niemal przymarzała do stylika siekiery. Kiedy gonili owce do wodopoju, trzeba im tam było wyrąbywać lód, a nim owce napiły się, woda znów zamarzała. W powietrzu błękitnym niczym ostrze noża wszystko błyszczowało od mrozu. Piekielnie ciężka to była zima.

Szybko ubywało siana. Owce jadły dwa razy tyle co zwykle, żeby jakoś móc się ogrzać. I to spowodowało nieszczęście.

Już w połowie stycznia Dumitru widział, że nie dadzą rady przezimować w tym miejscu. Siana było jeszcze dość na miesiąc, nie na dłużej. Dumitru zawiesił sobie worek na szyi, wziął do ręki kij i wyruszył w drogę. Siano musiał wydobyć choćby i spod ziemi. Bo jeśli nie, to będzie koniec owiec, koniec wszystkiego.

Trzy tygodnie przemierzał góry wzdłuż i wszerz. Odwiedzał wszystkie wsie, zagrody leżące w odosobnieniu. Znane sobie miejsca na przezimowanie. Nigdzie, ale to nigdzie nie znalazł siana. Mało go wyrosło, a owiec było dużo. Z zimna i głodu Dumitru szerniał i wychudł; skudłaciły mu się włosy i broda.

W końcu daleko pod Bisztricsórą, na jednej z ukrytych polan na Tárnyicy, Dumitru znalazł trochę siana. Skosił je pewien właściciel owiec z Ratosnyi, ale siana nie było dość i dlatego już jesienią powiódł owce daleko w dół, na Mezöség, do jakiegoś majątku, żeby tam przezimować. Siano pozostało bezpańskie. Niezbyt dobre, nie było go też dużo, ale do wiosny może akurat i wystarczyłoby dla stu trzydziestu zwierząt.

Dumitru wybudował więc nową kolibę na polanie na Tárnyicy i zmarznięty na kość, na wpół umarły z głodu powędrował z powrotem bezdrożami wysokich gór, w ogromnym śniegu, poprzez Bisztricsórę do Lóhavas.

Mój Boże, jakaż ciężka jest taka droga! Kto zimę zna tylko w wygodnej izbie, przy ciepłym piecu, ten nawet nie może sobie wyobrazić, jak to jest, gdy człowiek o głodzie, szczękając zębami, brnie w śniegu, zboczem w górę, zboczem w dół, pośród dzikich świerkowych borów, okrutnie daleko od miejsca zamieszkanego przez ludzi. Kiedy pot przymarza człowiekowi do skóry, a płuca rozrywa mu zimne powietrze oddechu. Kiedy przy każdym kroku człowiek zapada się na tych bezdrożach po pas, a przy tym musi uważać nie tylko na śnieg, nie tylko na mróz, ale i na samą połoninę, na bezładnie pokręcone górskie grzbiety, żeby nie zgubić się na tym pustkowiu. Bo jakżeż inne są wysokie góry zimą, ledwie można je rozpoznać! Tam, gdzie był nieprzebyty wiatrołom, tam jest gładki całun śniegu. Młoda choina zdaje się być raczej ośnieżoną skalną ścianą, a każda szczelina, którą wiatr wygrzebał w lesie, wabi ku sobie wędrowca, jakby była drogą, a w końcu prowadzi go w gęstwę nie do przebycia.

A kiedy nadejdzie wieczór! Kiedy wszystko staje się szare i śmiertelnie jednakowe, drzewa wręcz strzelają, trzeszczą od mrozu, a człowiek jest zmęczony, głodny i wstrząsają nim dreszcze od potu, co przymarzł do ciała. Człowiek zatrzymuje się w środku ośnieżonych szczytów i naraz dochodzi do niego ta przynębiająca, przeraźliwa cisza, która wraz z oparami zmierzchu opada na pogrzebane w śniegu lasy. To już nie jest cisza; to już jest sama śmierć, zabójcza, wielka samotność, która niczym jakaś ogromna trumna z kości zamyka w sobie zamrznięty świat i w nim też człowieka, który stoi tam tak śmiertelnie osamotniony, że aż krew zastyga w żyłach.

Biada wówczas temu, kto się zatrzyma i zmęczony siądzie na śniegu, żeby odpocząć! Biada mu! Do rana wyciągnąłby się martwy na złudnym łożu, jeśliby go do tej pory nie pożarły włóczące się wilki. Biada temu, kto jest zmęczony i bezradny wobec spadającej nań zimowej nocy! Kogo sparaliżuje cisza. Kogo zaczaruje szarobiały bezruch. W kim nie ma siły i woli, żeby walczyć z każdą minutą. Kto nie potrafi znaleźć najodpowiedniejszej choiny, której gałęzie, niczym namiot, sięgają w dół do śniegu, nie odgarnie spod tych gałęzi lodu i białego puchu, nie nanosi do tego legowiska, ile tylko się da, świerkowych pędów. Kto jest już zbyt słaby, by zwalić kilka drzew i zbudować przed sobą ścianę, a pod ścianą ułożyć ogromny stos i przez całą bożą noc, czuwając, strzec ognia, żeby potem rankiem jeszcze bardziej zmęczony, z oczami na czerwono przeżartymi od mrozu i dymu, lecz żyw, żyw, móc dalej powędrować poprzez krainę, którą włada śmierć, poprzez góry.

Tak oto szedł wówczas Dumitru od Tárnyicy poprzez Bisztricsórę do Lóhavas. Trzy dni zajęła mu ta droga. Przez trzy dni żuł tylko tę garstkę

zamarzniętej na kość mamałygi, jaka znalazła się jeszcze na dnie worka. Przez dwie noce czuwał nad ogniem i z gęsią skórką na plecach wysłuchiwał wilków, wyjących do siebie z jednego górskiego grzbietu na drugi. Skórę na rękach miał wygarbowaną na żółtawofioletowo. Oczy zrobiły mu się czerwone, na brodzie przymarzył szron, w żołądku ssało go z głodu i już ledwie co mógł unieść kierpce.

Lecz trzeciego dnia na wieczór powrócił do swoich z wiadomością, że jest siano dla owiec, życie może toczyć się dalej.

Przez pięć dni tylko jadł i spał. Jadł i spał. Przez pięć dni. W tym czasie skończyło się i siano w zagrodzie. Zostało go już tylko tyle, ile na swym grzbiecie zabrać może koń, jeśli zręcznie przywiązać mu to siano do siodła. Wówczas wyruszyli.

Tak oto: z przodu szedł Dumitru z siekierą w ręce. Na plecach niósł w dwóch sakwach to, co najważniejsze: kaszę kukurydzianą, twaróg, kociołek, to i tamto. Za nim owce. Za owcami żona, za żoną koń, za koniem dzieciak, a za dzieciakiem pies. Grzbiet konia obładowany był sianem, plecy żony obładowane domowymi gratami, a na plecach dzieciaka trzęsło się wiadro. Tak oto szli.

Był ranek. Poniżej w dolinach jeszcze mglisty, lecz tam wysoko już promieniejący, mroźny ranek. Gałęzie buczyny przygięły się pod szadzią. Wiatr nie wiał i w świetle słońca powietrze lśniło niby stal. Śnieg skrzypiał.

Pierwszego wieczoru dotarli do podnóża Bisztricsóry. Po drodze wiele razy trzeba było się zatrzymywać, zmieniać owce, bo te, które szły z przodu i wydeptywały ślad w śniegu, wnet słabły i pokładały się. Na stromych zboczach pod górę trzeba było czekać, aż koń odsapnie. Niekiedy trzeba było także poprawiać na nim siodło. No i też dzieciak chciał odpocząć. I żona.

Kiedy słońce znikło za mgłą, zatrzymali się. Pod jakąś skałą zrobili miejsce dla owiec i rozłożyli im jedną trzecią siana. Owce były zmęczone. Wiele z nich natychmiast legło i nie poruszyło się nawet na zapach siana.

Potem Dumitru zwałił kilka świerków i wzniósł z nich ścianę. Trochę dalej rozpalił ogień, a tymczasem kobieta przygotowała posłanie pod tą ścianą. Następnie zjedli suchą mamałygę i zawinęli się w kożuchy. Dzieciak już spał, a i oczy kobiety otwierały się z trudnością. Ośnieżone szczyty milczały zdecydowanie, nie wydając żadnego dźwięku, do świata przymarzła cisza.

Dumitru całą noc czuwał i strzegł ognia. To on zbudził żonę i dziecko, kiedy tylko począł się rozpraszać mrok.

– Wstawać, wstawać! Dzień jest krótki!

Strome jest wschodnie zbocze Bisztricsóry, okalają je brzydkie skały i gęstwa lasów. Jeden tylko ślad, pokręcony, prowadzi w górę pośród skał, poprzez zarośla jałowca, przecinając żleby, jeden jedyny ślad, który pasterze z owcami wydeptywali każdego lata, przez długi, bardzo długi czas. Tym to śladem wspinali się Dumitru i reszta.

Jednakże powoli, bardzo powoli. Niekiedy ścieżki trzeba było szukać pod śniegiem, żeby przypadkiem nie pójść w złym kierunku. W końcu coraz więcej owiec pokładało się, coraz częściej stawał koń, dzieciak wybuchał płaczem. Śnieg zaś rósł, wciąż rósł, a góra robiła się coraz bardziej stroma.

Dumitru rozpaczliwie przecierał z przodu szlak w śniegu, biegł na tył do owiec, poganiał konia, wymyślał dziecku. Kłął, dyszał, zgrzytał zębami. I na wieczór jakoś jednak dotarli na górę.

Lecz wtedy już wszystkie owce pokładały się. Dwie z nich żona doniosła na rękach. Sierść na spoconym koniu była gruba od szadzi.

Wierzchołek Bisztricsóry jest duży i płaski. Porasta go kosodrzewina i jałowiec.

– Tutaj nie możemy zostać – rzekł Dumitru, a zęby mu zgrzytnęły – musimy zejść niżej do lasu, nawet jeśli kilka owiec odpadnie.

Żona dobrze wiedziała, że ma rację, i nie odezwała się. Przecież w pobliżu nie było nawet jednego drzewa, które mogliby zwalić. Ani jednego bezpiecznego miejsca, gdzie mogliby się schować. A bez ognia nie można zatrzymać się na noc. Dalej, wciąż dalej. Dopóki oczy coś widzą. Dopóki nogi nie drętwieją przy odpoczynku.

Gęstniała też mgła. Dumitru ruszył w nią. Sakwy ciągnęły mu ramiona w dół, lecz mężczyzna twardo zacisnął zęby. Z tyłu kobieta kijem uderzała po brzuchach pełnzące owce. Dzieciak płakał. Wszystko było jednakowe, śmiertelnie dzikie i szare. Ani jednego drzewa, ani jednego krzaka, które mogłyby pokazać kierunek. Nawet gór nie było widać. Niczego. Jedynie mgłę.

Mężczyzna gwałtownie przystanął. Zaklął.

– Złe poszliśmy!

Skąła zachwiała mu się pod nogami. Zgrzytnął zębami. Zawrócili i ruszył w drugim kierunku znów prosto w mgłę, w śnieg. Owce jęczały. Żona biadoliła. Dzieciak płakał. Mgła była już tak gęsta, że przylepiła się do człowieka, do zwierzęcia. A na nią spadł jeszcze i mrok.

– A niech diabli wezmą taką pogodę!

– Matko przenajświętsza, nie opuszczaj nas! – żona miotła się pomiędzy owcami.

Zabłądzili. Odbili w tej mgłę w kierunku Dudek? Czy na połoninę Moldovánki? Nigdy się to nie wyjaśniło. W końcu Dumitru zatrzymał się jednak. Zdjął futrzaną czapę i powoli usiadł na śniegu. Kobieta tam z tyłu zrobiła to samo, tyle że przyciągnęła do siebie dziecko. Mężczyzna nie odezwał się, kobieta nie pytała. Zapadła śmiertelna cisza, słychać było jedynie sapanie owiec. I panowała nieprzenikniona ciemność. I nadal nigdzie ani jednego drzewa, ani jednego krzaka. Tylko głęboka, zasypana śniegiem, mglista, wielka ciemność.

Owce, charcząc, leżały w jednej kupie. Dzieciak już nie płakał. Zasnął

w ramionach matki. Nawet i przez sen szcząkał zębami.

Dumitru czuł, że z wolna drętwieją mu nogi, ramiona, plecy, całe ciało. Oczy poczęły mu się zamykać. Zebrał w sobie całą siłę i powstał. Sakwy pozostawił w śniegu i zataczając się, poszedł na tył do konia. Rozsiodłał go i połowę siana zaniósł na przód dla owiec. Przy tym tak powiedział do żony:

– Chodź na przód! Rozłożymy kozuchy pośród owiec. Chodź! Kobieta stęknęła:

– O mój Boże!... nie mogę się ruszyć!

Podszedł do niej. Wziął ją pod pachy, podniósł. Wtedy nagle, gdzieś całkiem blisko, zawył wilk.

Ów głos był tak przeraźliwy, że przenikał aż do kości. Koń, chrapnąwszy, zerwał się na nogi i słychać było, jak się trzęsie. Pies, skowycząc, schował się przy nich.

– Jeszcze tylko tego brakowało! – Dumitru zazgrzytał zębami. – W żadnym razie nie możemy tu zostać. Musimy dotrzeć do lasu. Musimy rozpaść ogień. Za wszelką cenę.

Uderzał owce. Ruszył naprzód z baranami, którym zabręczały dzwonki, część stada podniosła się i chwiejnie podążyła za nimi. Reszta nadal leżała bez ruchu.

Mężczyzna z baranami, koniem i psem szedł już z przodu we mgle, a kobieta wciąż jeszcze męczyła się z ociągającymi się owcami.

– Zostaw je! – ochryple rzucił wstecz.

Kobieta z płaczem potykała się, idąc po śladzie. Z tyłu pozostało co najmniej czterdzieści owiec, jakby wszystkie wrywano jej z serca. Dzieciak nawet się nie przebudził, na próżno nim potrząsała. Jeszcze i jego musiała dźwigać na rękach.

Ledwie przeszli w śniegu sięgającym po pas niecałe dwieście kroków, gdy za nimi, całkiem blisko, znów rozległo się wycie wilków. Następnie charkot, gryzienie, beczenie straszliwie przerażonych owiec.

Nogi wrosły im w ziemię.

– Jezus Maria! – kobieta przycisnęła do siebie dziecko.

Koń, chrapnąwszy, uskoczył. Upadł, znów wstał i począł biec w dół. To przywróciło przytomność Dumitru.

– Szybko! – zawołał. – Szybko!

I począł biec za koniem, upadając w śniegu, znów wstając, klnąc, pocąc się, szcząkając zębami. Jak się dało. Za nim kobieta z dzieckiem oraz pies. O owce nikt się już nie troszczył.

– Pomóż mi! Nie daję rady z dzieckiem! – jęczała z tyłu kobieta. Schwycił ją za rękę i wręcz ciągnął za sobą. Naraz ruszył wraz z nimi śnieg, najpierw powoli, następnie coraz szybciej, i poczęli spadać.

Spadli w głęboki, miękki puch. Kopali w nim rękami i nogami i w końcu

udało im się wstać. We mgle sterczała przed nimi jakaś gęsto zbita czerń. Las.

Ślizgając się, zapadając, potykając się, ruszyli w kierunku drzew. Ciężko oparli się o ośnieżony pień pierwszej choiny i dysząc, charcząc, objęli go.

Dumitru drżącą ręką chwycił stylisko siekiery i zaczął ścinać drzewo. Ciężko poruszał ramieniem. Gdzieś w piersiach czuł bolesne klucie. Kobieta, charcząc z utrudzenia, przycupnęła z dzieckiem pod drugim drzewem. Szlochała.

– Ojej, nasze owce... nasze kochane piękne owce... ojej, ojej...

Powoli, ociężałe uderzała siekiera. Nad głowami czuli ciężar zalegającej ciemności, a gdzieś tam szalały wilki, beczały owce, jakby w krainie ośnieżonych szczytów zapanowało piekło.

Mężczyzna zacisnął zęby, unosząc siekierę. Niełatwo szła mu robota. I wtedy całkiem blisko pomiędzy drzewami zarżał koń.

Było to rzenie straszliwe, rozrywające wnętrzności. Tak rzeń może tylko zwierzę, które popadło w ostateczne niebezpieczeństwo i czuje, jak śmierć chwytą je za gardło.

– O matko!... – jęknęła kobieta.

W ręce Dumitru zastygła siekiera. Poczul lodowate dotknięcie śmierci, strach pełznący mu do serca.

– Szybko wdrap się na drzewo – zaszeptał – szybko, razem z dzieckiem!

Kobieta, zataczając się, wstała, pomacała drzewo.

– Nie ma w dole gałęzi – rzuciła, szcękając zębami. – O Jezus Maria, o Boże!...

– Poszukaj innego, szybko! – ponaglał ją mężczyzna.

Kobieta zatoczyła się dalej w mrok. Szarpała za sobą dziecko. Ono zaś zapłakało żałośnie.

Dumitru rzucił się plecami do drzewa i ścisnął siekierę. Nasłuchiwał. Pies drżał u jego stóp.

Trzasnęły gałęzie.

– Jesteś w górze? Kobieta jęczała:

– Ojej, dziecko... ciężkie... ojej, pomóż, Dumitru... Mężczyzna po omacku poszedł w tamtą stronę. Kobieta mozoliła się w połowie gęstej, małej choiny. Na pierwszą gałąź już się sama wciągnęła.

– Dziecko...

Mężczyzna podniósł dziecko i podał je do góry.

– Wdrapcie się wyżej i dobrze się chwycicie... Kobieta stękała, męczyła się wysoko na drzewie.

Dumitru wrócił do rozpoczętej ścinki. Chciał zapalić ogień, duży ogień, za wszelką cenę. Może po raz trzeci uderzył siekierą, gdy pies u jego stóp począł naraz warczeć. Warczał, zjeżyła mu się sierść i dosłownie przylgnął mu do kolan.

Dumitru rozejrzał się. I wtedy dostrzegł w mroku błyszczące, zielone

punkciki. Żarzące się, zielone punkty. Które się poruszały.

Wilki! Niczym lodowata błyskawica, tak rozdarło jego umysł to rozpoznanie. Świadomość przeraźliwej bliskości niebezpieczeństwa. Także powietrze wokół niego wypełniło się drżeniem. Czuł, jak zamiera mu serce, a po twarzy płynie marznący pot. Głośno zakrzyknął:

– Hu, huu! Hu, haa! Hu, huu!

Głos samotnie, przeraźliwie samotnie miotał się w milczącym mroku. Wręcz uciekał pomiędzy drzewa, w czarną nicość. Pies szarpał się u jego nóg, skowycząc.

Oczy, te straszne zielone oczy nie znikły na krzyk. Wciąż żarzyły się tam, w ciemności. Do mózgu Dumitru przymarzył strach. Więcej już nie krzyczał. Tylko tak stał. Nieruchomo, przywierając ciałem do drzewa, ściskając stylisko siekiery.

Potrzebny byłby ogień, ogień – przemknęła mu przepelniona lękiem myśl, a wtedy naraz jakby świat runął z posad. Worek! Został tam, gdzieś na górze, przy sakwach! A w nim krzesiwko!...

Ta myśl wmarzła w niego i poczuł, że to koniec. Koniec wszystkiego.

Oczy z wolna przybliżały się. Można było poczuć, że się zbliżają. Psi skowyt przeszedł w ujadanie. Pies ujadał okropnie, ochryple.

– Przestań już, na miłość boską!

Począł macać drzewo. Szukał na nim gałęzi. Drugie drzewo. Trzecie drzewo. Wreszcie wysoko w górze stuknęła siekiera. Czy można się tam wdrapać? Z trudem. Ale trzeba!

Oczy wciąż się zbliżały. Równo żarzył się od nich mrok. Już nawet można było usłyszeć ziajanie. Jedno i drugie głębokie warknięcie. Tam dalej na drzewie kobieta modliła się drżącym głosem:

– Ojczenaszktóryśjestwniebie... Dumitru... gdzie jesteś, Dumitru?

Mężczyzna drapał pień drzewa. Wysoko ponad głowę wbił w drzewo siekierę i zaczął się podciągać w górę. Siekiera wypadła, a on sam runął na wznak, głęboko w śnieg.

Niewyraźne ciała poruszały się w jego kierunku. Żarzyły się ich oczy. Czuł ich śmierdzący oddech. Rozpaczliwie poderwał się na nogi.

– Hu, huu! Hu, huu!

I walił wokół siebie siekierą.

Potem od nowa na drzewo. Teraz już obiema rękami. Siekierę wbił w śnieg przy drzewie i stanął na niej. Paznokcie wrył w korę pnia, ręce miał porozdzierane do krwi. Na kolanie pękły mu wełniane portki. W tym momencie sięgnął ręką gałęzi.

Wczepił się w nią z całej siły. Wilki wtedy już skoczyły do psa. Ten tylko skowyczał i kłapał zębami. Kilka prychnięć, ochryple rżenie i pod nogami Dumitru poruszał się już tylko jeden ciemny kłęb, szarpał się, skowyczał. Kłapały szczęki, warczały gardła, jedno na drugie. Mrok wypełnił się zapachem krwi

i śmierci.

Z rozpaczliwą siłą Dumitru wciągnął się na gałąź. Pierś miał już wysoko, lecz nogi wciąż jeszcze dyndały mu w powietrzu. I wtedy w prawej nodze poczuł naraz ciężkie szarpnięcie i ostry ból. Z ogromną siłą coś szarpało go z powrotem w dół.

Z przerażenia wręcz podwoiły mu się siły. Ze straszliwym wysiłkiem wyszarpał nogę spomiędzy kłapiących zębów. Rwało się odzienie, kierpce, żywe mięso, wszystko, ale był w górze na gałęzi.

W dole wilk zawył ze złości i skoczył ku drzewu. W powietrzu kłapnęła mu szczęka. Upadł z powrotem. Znow skoczył, znow kłapnęła mu szczęka, Dumitru ponownie poczuł zaparowany, śmierdzący dech. Wilk znow upadł. Pod wilczymi pazurami rwała się kora z drzewa.

Ze strachem, od którego kręciło mu się w głowie, Dumitru wdrapywał się wyżej. Coraz wyżej. Wkręcał się, wciskał pomiędzy gęste gałęzie drzewa, coraz wyżej.

– Ojej... – przycisnął się do drzewa, kiedy już nie dał rady dalej – ojej...

Obiema rękami objął pień choiny i jęczał. Kobieta, tam dalej, zawołała:

– Co ci jest, Dumitru?!

– Moja noga... ojej...

– Jezus Maria, o Boże, który jesteś w niebie... – słyszał głos żony, jak tam dalej modli się, szczękając zębami.

Bolała go noga, odrętwiała. Czuł, że cieknie z niej krew. Kręciło mu się w głowie. Rozpiął sobie opasek i z trudem, dysząc, przywiązał się nim do grubszej gałęzi. Potem przywarł do niej i więcej już się nie poruszył.

Panowała śmiertelna, przeraźliwa cisza. Od czasu do czasu słyhać było tylko ziajanie i warczenie wilków. I to, jak pazurami drapały drzewo. Zimna mgła wsunęła się pod odzienie, pot przymarzył do skóry. Dumitru zaczął się trząść. Potem za jakiś czas znow rozległ się drżący głos żony. Jakby nadszedł z jakiejś ogromnej dali:

– Już nie daję rady trzymać... ojej! Zamarzają mi ręce... dziecko jest ciężkie... obudź się, obudź się, trzymaj się i ty sam, ojej, o mój Boże!

– Przywiąż się do drzewa – mężczyzna wyjęczał ochryple, a zęby mu zadzwoniły. Noga piekła go tak, jakby ognistymi zębami rwano z niej mięso.

– Nie mam czym...

– Czymkolwiek. Spódnicą!...

Zwaliła się na niego jakaś przeraźliwa senność. Zupełnie jakby oczy miał z ołowiu. W uszach coś szumiało mu głucho. Cisza z wolna poczęła wokół niego rosnać, niczym jakieś ogromne morze, falowała, szumiała i rosła, i rosła, i z wolna wszystko zakryła.

Wyrwał go ze snu krzyk. Straszny, przenikliwy kobiecy krzyk:

– Ojej, dziecko!... Ojej!...

Zaskrzypiały gałęzie i coś klapnęło w śnieg. Zacharczały gardła, kłapanęły zęby. Coś trzasnęło. Kości. A kobieta jak szalona krzyczała na drzewie:

– Dziecko! Dumitru, dziecko! Dziecko!... Ojej, ojej, ojej, dziecko!...

Potem już tylko szlochała, straszliwym kobiecym szlochem. Czuł, jakby krew zamarzła mu w żyłach. Jakby ciało zmieniło mu się w drewno, w zamarzniete drewno. Nie mógł nawet i jęknąć ani westchnąć. Oczy, wytrzeszczone, badały w dole ciemność. Tam tylko kości gruchotały. Powietrze wypełniło się warczeniem i krwią.

Wreszcie i to się skończyło. Była tylko cisza, straszna, śmiertelna, wielka cisza. Już i kobieta nie płakała tam dalej, milczała. Dumitru znów poczuł tamten zawrót głowy, ową dziwną drętwotę umysłu.

Zamarznę – pomyślał ostatnim wysiłkiem świadomości – koniec ze mną. Ze wszystkim koniec...

Potem już tylko przesuwają mu się przed oczyma gorączkowe błyski obrazów. Gorączkowe, pozbawione jakiegokolwiek związku. Widział siebie jako młodzieńca, jak pędzi owce doliną Dorna w piękny, ciepły, letni dzień i gra na fujarce. Słońce jest gorące, choiny pachną, a pędzący potok zabawnie muzykuje... Mój Boże, tak też było? Tak?

Potem jak poprowadził żonę do pierwszej koliby. Do tej najpierwszej, pięknie pachnącej świerkowej koliby, tam na zboczu Muncsel. Owce wesoło pobrękiwały dzwoneczkami, po niebie płynęły wielkie, białe pierzaste obłoki, a oni śmiali się w głos, śpiewali i na całe gardło pokrzykiwali ze szczęścia. Ileż tam było brzoź!... I jak cudownie one pachniały!... Potem jak bawiło się tam już dziecko... Jak ono biegnie za owcami, jak pędzi... i trawa jest dobra, pięknie rośnie trawa, owce dają dużo mleka, dużo... dużo... dużo...

Obudził go ból. Jakby jego noga stała w ogniu. Próbował się poruszyć.

– Ojej...

Kłuło go w kościach. Bolały zdrętwiałe mięśnie. Jakby jego ciało składało się z jednego jedyne go bolącego, krwawiącego, poszarpanego kawałka mięsa.

Świtało. Mlecznobiały brzask zasiadł pomiędzy drzewami. Do wszystkiego przywarła gęsta mgła, mgła i szadz.

Z wolna przytomniał. Najpierw zauważył swoją nogę. Ojej! W miejscu prawej stopy zwisał tylko kawałek czarnego mięsa. Tam w dole noga już wcale nie bolała, jakby była z drewna. Ale wyżej, wszędzie, cała noga. Kości, wszystko.

Przypomniała mu się noc. Przewróciło mu się w żołądku samym głodem. Od nowa gruchotanie kości, rżenie, kłapanie szczęk, czuł w nozdrzach opary o woni ścierwa. I biada mu!... Dziecko!...

– Rávika, posłuchaj...

Nikt nie odpowiadał. Panowała cisza. Zasnęła – pomyślał – śpi.

Spojrzał w dół. Pod drzewami widać było jedynie zakrwawiony, zdeptany śnieg, nic innego. W brzuchu głośno mu zaburczało. Raptem począł okrutnie marznąć.

Przypomniała mu się siekiera i to, że trzeba by jakoś rozpalić ogień. I że wyżej, nie tak daleko są sakwy.

Poruszył się. Powoli, ostrożnie. Odwiązał się i opuścił niżej. Członki poruszały mu się z trudem, a w nodze jakby łąziły mrówki. Gdzieś w środku, po kości.

Na dolnej gałęzi posiedział chwilę i badawczo zapuścił wzrok pomiędzy drzewa. Nic się nie ruszało. Robiło się coraz jaśniej. Wysoko mgła już się zażółciła, ogłaszając nadejście słońca.

Patrzył na zdeptany, zakrwawiony, przeorany śnieg. To tutaj to pies... a tam... to czapka, no proszę, mała czapeczka. Przywiózł ją jesienią z targu w Dornavatra... o, tam jego krew, małego synka, Szándiki... ojej, o mój Boże, o Boże!...

Naraz oczy zatrzymały mu się na czymś. Coś czerwieniło się w śniegu, tam dalej, pod drugim drzewem, i nie była to krew. Nie krew: gałganek. Tkana ciężka, gruba szmatka. Kobiety noszą z takich spódnice. Kobiety w dolinie Dorna tkają takie dla siebie...

– Rávika, słyszysz?! Hej, Rávika!

Nikt nie odpowiadał. Tylko cisza szczekała zębami gdzieś pośród drzew. Zeskoczył z gałęzi. Upadł. Prawa noga nie chciała być posłuszna. Podniósł się z trudem i powłókł się dalej, do tamtego drzewa. Spojrzał w górę.

– Rávika! Obudź się, Rávika!

Spomiędzy poczochranych gałęzi choiny popatrzyło mu w oczy szare, zamglone niebo. Drzewo było puste. Puste.

Co stało się potem, tego już i on sam nie pamiętał. Po kilku dniach natknął się nań strażnik leśny, tropiący kuny, w okolicy Ilvy, za Andrenyásza. Na jednej nodze, raczej czołgając się, niż idąc, włókł się w śniegu, wychudły do kości, poczerniały od mrozu, skołtuniony, zdziczały. A jego oczy! Były czerwone i patrzył nimi tak jak wściekły wilk. W ręce miał tylko małą czapeczkę, a także jakiś czerwony gałganek.

Jeden ze strażników leśnych sprowadził go na dół do Szalárd, do domu, gdzie opatrzone go po raz pierwszy. Kilka dni potem odwiedzał tamte strony pan, obejrzał mężczyznę i zawiózł go do szpitala. Doktorzy kurowali go przez dwa miesiące. Prawą nogę odjęto mu do kostki, reszta uratowała się. Nawet i to było cudem, jak mówiono, bo wdała się zgorzel i rana zamarzła.

Kiedy Dumitru wyszedł ze szpitala, pan kazał wezwać go do siebie.

– No, człowieku, dziękuj Bogu, że przeżyłeś. Nie byłeś już wart nawet złamanego grosza. Ale teraz powiedz no, do czego chcesz się zabrać.

Mężczyzna stał tam, posępny, mrukliwy, opierając się na jednej zdrowej nodze, po czym opuścił głowę. Lecz oczy mu świeciły spod kłujących brwi, a głos miał twardy i ostry.

– Zabiję wilki. Wszystkie. Pan zadziwił się.

– Co zrobisz?

Dumitru wygrzebał z kieszeni kożuska małą czapczkę i czerwony gałganek. Pokazał je panu i rzekł:

– Widzicie? Tyle zostało. Resztę zabrały wilki. Więc i ja zabiorę im życie.

– A jak ty to zrobisz, człowieku?

Dumitru podniósł głowę i wbił w pana przenikliwe czarne oczy.

– Ano tak, proszę pana, że da mi pan strzelbę, a ja, ile jest wilków na tym świecie, z każdego przyniosę skórę!

Tak oto Dumitru trafił pomiędzy strażników leśnych, mieszkających wysoko w górach. Dostał strzelbę, naboje i co tam było potrzeba do życia. Lecz na nic więcej nie polował, niczym więcej się nie interesował, tylko wilkami. Mógł się spotkać na ścieżce z dowolnej wielkości niedźwiedziem – schodził mu z drogi. Pozwalał odejść dzikowi, jeleniowi, sarnie. Nigdy na inne zwierzęta nie podnosił strzelby, tylko na wilka.

Stał się w tym mistrzem. Jeśli gdzieś w wysokich górach pojawił się wilk, to choćby skrył się w miejscu, gdzie nie pozostała jeszcze ludzka stopa, Dumitru dotąd włókł się, kuśtykał za nim, aż natrafił na jego ślad. A gdy natrafił, to już go nie porzucił, dopóty nie miał dnia ni nocy, dopóki nie przyniósł jego skóry do siedliska na Cibie. Umiał naśladować głos wilczyca szukającej pary, wycie polującego samca, skowyt szczeniąt pozostawionych samym sobie; w istocie nauczył się posługiwać językiem wilków.

Przez lata zgromadził nieprzebrane mnóstwo wilczych skór. Z czasem sam upodobił się do starego, mrukliwego basiora. Broda mu się wyciągnęła, zrobiła się bardziej spiczasta. Paznokcie urosły i zakrzywiły się do środka jak pazury dzikich zwierząt. Twarz pokrył skołtuniony, czarny zarost, z którego wyzierały jedynie roziskrzane oczy. Zrobił sobie kierpce z wilczej skóry, u boku zwisał mu też worek z wilczej skóry i wiecznie nosił w nim małą czapczkę i czerwony gałganek. I pokazywał to każdemu upolowanemu wilkowi.

– Widzisz? Widzisz?...

Niekiedy całymi dniami siedział w siedlisku na Cibie i nigdzie się nie ruszał. Wykładał przed dom wszystkie wilcze skóry, siadał pomiędzy nimi i przyglądał się im. Może nawet do nich mówił? Możliwe. Do ludzi się nie odzywał. Nawet i do swojego gospodarza mówił tyle, co: tak, proszę pana; nie, proszę pana. Był mrukliwym, dziwnym człowiekiem. Wilkiem niemal stał się już i on sam, dzikim, samotnym drapieżnikiem.

Od czasu do czasu znikał. Gdzie chodził? Dokąd się włóczył po wysokich

górach? Któż mógłby to wiedzieć! Nie pojawiał się przez wiele dni, czasem tygodni. Zabierał z sobą trochę kaszy kukurydzianej, tym się żywił. I grzybami, owocami. I jadł też mięso wilka, jak mówią. Sypiał w dziuplach drzew, w pieczarach, niekiedy w opuszczonych szałasach. I niestrudzenie przemierzał gęstwiny, szukając wilczych śladów i węsząc za nimi. A kiedy w końcu się zjawiał, idąc tym dziwnym kuśtykającym, powolnym chodem, zawsze wisiała mu przy worku świeża wilcza skóra.

Strażnicy leśni nazywali go pomiędzy sobą Lupu, Dumitru Wilk. Już tylko pod tym imieniem znali go wszyscy. A gdy ktoś natknął się na niego gdzieś w lasach, zobaczył, jak bada ziemię węchem, przeszukuje oczami, to schodził mu z drogi bez słowa, bo i tak Dumitru by się do niego nie odezwał.

Takim to dziwnym człowiekiem o popsutym rozumie był Dumitru Wilk, trzeci strażnik leśny u króla krainy ośnieżonych szczytów, mieszkający w siedlisku na Cibie.

Tak to było tam w górze.

7 Imię, a raczej przydomek, znaczący tyle co: starość, stare lata, a także starowina.

8 W oryginale mowa jest o *bálmos*, specjalności kuchni siedmiogrodzkiej; są to kulki, które przygotowuje się w ten sposób, że do wrzącego zsiadłego mleka dodaje się kaszy kukurydzianej, razem się to gotuje, intensywnie mieszając, a następnie ze zgęstniałej masy wyrabia się kulki.

Kiedy na choinie za domem tam, gdzie spały kury, wielki, jasno nakrapiany kogut Birtalana ogłosił świt, stary Birtalan klapnął w dół z pośłania, naciągnął kierpce i wyszedł do szopy oporządzić krowy. Zwlókł się też Iwan, a razem z nim poruszyły się pod pryczą psy. Przeciągnęły się, ziewnęły i wylazły z siana. Iwan otworzył drzwi, wypuścił je, a drzwi pozostawił otwarte, żeby świeże, pachnące powietrze poranka wleciało do środka. Następnie rozpałił ogień w piecu do gotowania, wyciągnął brzożową miotłę i jako tako pozamiatął. Nareszcie wziął dwa wiadra i ruszył z nimi do źródła. Źródło było nieco dalej, pomiędzy świerkami. Woda tryskała spod wielkiego omszałego kamienia i spływała w dół wąskim drewnianym korytem. Wokół niej gęstniały olbrzymie, grube liście paproci, z których co rano, gdy Iwan szedł po wodę, wyskakiwała sarna. Czasem nawet dwie. Nie bardzo były przestraszone, tyle że z przyzwyczajenia uciekały w gęstwinę, i zdarzało się, że niekiedy beknął kozioł. Tak było i tym razem.

Iwan przystanął, patrzył za nimi. Każdego ranka przystawał i patrzył za nimi dokładnie tak, jakby widział je po raz pierwszy. Następnie napełnił wiadra wodą i odstawił je na bok. Rozebrał się do pasa, umył się. Siorbnął też kilka łyków wody zimnej jak lód, po czym strząsnął z siebie lśniące krople i tak jak stał, mokry, z powrotem naciągnął koszulę.

Nim wrócił, Birtalan już wydoił krowę, a skopek stał na stole. Z półki zdjęli zawiniętą w chustę mamałygę, do ozdobionych kwiatkami kubków nalali mleka i zaczęli śniadanie. Resztkę mleka Iwan wymieszał z odrobiną letniej wody, nadrobił w to pół bochenka jęczmiennego chleba i w dużym, starym garnku wystawił dla psów.

Jeśli w domu był Dumitru Wilk, to on rąbał drewno. Jeśli nie, wówczas także i to wykonywał Iwan. Tymczasem zrobił się poranek, słońce wspięło się na niebo, a wokół siedliska, mieniąc się rosą, pachniały choiny, żdźbła traw, kwiaty. Ponad potokiem unosił się biały opar; na wielkich, zaokrąglonych u góry kamieniach siedziały pluszcze o białych gardłach i zastygłe w bezruchu obserwowały huczącą wodę.

Birtalan wypuścił trzodę na pastwisko, sam zaś poszedł w dół do potoku, siadł na dużym kamieniu, tak jak to robią pluszcze, i zaczął przyglądać się wodzie. Ta mknęła, huczała, szumiała, pieniać się przy każdym napotkanym kamieniu, wirowała, wzbierała, puszczała się biegiem: była samym życiem, wciąż zmieniającym się, wiecznie nowym, barwnym, śpiewnym życiem. Niekiedy poruszył się w niej szary cień, czasem na moment zaśniły łuski ryby, która natychmiast zniknęła wśród spienionego nurtu i kamieni. Podobnie jak w życiu człowieka, gdy na krótko błysnie radość czy pojawi się cień smutku.

Gdy Iwan skończył z drewnem, usiadł na progu, a z obu jego stron usadowiły się psy: mały Dudás i duży Dudás. On zaś, cicho pomrukując, przemawiał do nich. Psy go słuchały, lecz oczy im się z wolna zamykały, Dudás

zapadały w drzemkę, i nawet pochrapywały od czasu do czasu. Iwanowi to nie przeszkadzało. Tylko tak siedział i opowiadał im w swoim dawnym języku jakieś historie, choć może już i nie im, a sobie samemu je opowiadał. Powoli także i jego oczy się zamykały i Iwan zasypiał w progu.

Dumitru Wilk, jeśli tam był, znosił ze strychu skóry, rozkładał je w słońcu, tarł, miętosił, że aż trzeszczały, smarował je popiołem z solą i czasem którąś potrząsał, zagniewany, i kłął chrapliwym, gardłowym głosem dzikiego zwierzęcia.

Na obiad Birtalan wyjmował z wody kilka ryb i piekli je. Po południu Iwan ruszał wraz z psami w las i na wieczór przynosił grzybów, poziomek, malin. Niekiedy, jeśli mu się nudziło, chwycił siekierę i gdzieś w pobliżu zwałą nadający się już tylko do tego buk czy wyschniętą choinę i ciął je, łupał, rąbał na kawałki, następnie układał drewno w sągi, żeby wyschło na zimę. Nawlekał też grzyby na sznurek i obwieszał nimi belki. Na półce, na lichym papierze, suszył tysiącnik, szałwię, lubczyk, ziarna kminku.

Jeśli nie było już nic do roboty, wyciągał kozik i strugał kij, fajkę, drewnianą łyżkę. Do tego celu suszyło mu się już, oparte o ścianę szopy, mnóstwo drewna. Cis, dzika czereśnia, klon. Kije, drewniane łyżki, fajki gęsto przyozdabiał żłobionymi kwiatami, ptakami, zwierzętami, gwiazdami, w taki akurat sposób, jak mu to przychodziło do głowy. A gdy się z czymś uporał, przyglądał się temu przez kilka dni, radował się tym, po czym oddawał w podarunku tej czy innej osobie. On sam miał już fajkę z cisu. Miał też kij, z czereśni. Na fajce były kwiaty, a pośród kwiatów kozioł. Na kiju zaś rozmaite zwierzęta, a nad zwierzętami słońce, księżyc i kilka dziwnych gwiazd.

Poniżej siedliska, u wylotu Kis Ciby, miał Iwan także ogród. Tylko taki mały, jednak akurat wystarczający. Rodziły się tam kartofle, tytoń, marchewka. Kilka łądyg kopru i kilka słoneczników. Słoneczniki nigdy nie zdążyły dojrzeć, a mimo to każdej wiosny Iwan przynosił z młyna, w kieszeni, kilka ziaren i wysiewał je. Lubił patrzeć na kwiaty słonecznika, tylko dlatego. Niekiedy godzinami krzątał się w tym niewielkim ogródku, wrywał chwasty, kopał, podlewał. Postawił wokół niego płot, żeby ogródka nie zdeptały jelenie i sarny. Czasem przychodził tam i Birtalan, opierał się o drewniane słupki ogrodzenia i przyglądał się Iwanowi, i patrzył na ogród, lecz nie odezwał się nawet jednym słowem. Zdarzało się, że i Dumitru Wilk przywłókł się aż tam na dół. Stał i patrzył, ponuro, mrukliwie. Po czym wchodził do ogrodu, przyklękał i też wrywał chwasty. Godzinami się nie odzywał, tylko wrywał chwasty lub nosił wodę i podlewał. A jeśli w końcu jednak przemówił, to tylko tyle mrucał:

– Ogród. Hm. Tak, tak. I ja go miałem. I ja. Dawno temu. Ajajaj, dawno temu...

Zdarzało się, że z Kétág przychodził od Ferenców któryś z dzieciaków i przynosił twarożku, sera czy czego tam potrzeba na serowe kulki. W zamian

zabierał wystrugany kij, drewnianą łyżkę czy kilka jaj od kur Birtalana.

Albo schodził Vénség z Dószul Fulgeruj i opowiadał o jeleniach oraz sarnach, niedźwiedziach, głuszcach. Prosił o kilka liści tytoniu, trochę z nimi pomilczał na progu lub wewnątrz domu, zapytał, co nowego w świecie, czy pan przyjedzie na polowanie, po czym pomrukując, zgarbiony, w swych olbrzymich kierpcach ruszał z powrotem na Dószul Fulgeruj.

Iwan i Birtalan patrzyli za nim, jak odchodzi, i wiedzieli, że w takich przypadkach zatrzymuje się też u Ferenców w Kétág, swoją ładowaną od strony lufy strzelbę opiera o ścianę i siada w progu. Swój kapelusz, tak wyliniały, że aż bezbarwny, kładzie obok, czochra sobie z tyłu na karku zwisające do ramion rzadkie wyblakłe włosy i poprawia rzemyki u kierpców. Dzieci Ferencza zbierają się na zewnątrz domu, otaczają go, wszystkie sześcioro, gapią się na jego długie włosy, zlepione od tłuszczu w pancierz, na poczochną brodę, na lichą strzelbę, łataną miedzią, na jego olbrzymie kierpce, zrobione z niewyprawionej skóry dzika, i na jego twarz, owłosioną i pomarszczoną niczym pokryte pleśnią, wysuszone jabłko.

W takich razach stary lustruje dzieciaki swymi małymi, ruchliwymi oczami, od góry do dołu, i fuka na nie:

– He! Gdzie wasz ojciec?

– W pasiece – odpowiadają dzieciaki, wszystkie naraz.

– W pasiece? He! Co robi?

– Zajmuje się pszczołami – odpowiada chór.

– Pszczołami? A tak. To co innego.

Następnie stary dźwiga się, znów nakłada na głowę swój dziwny skórzany kapelusz, na ramieniu zawiesza strzelbę na sznurku i człapie do pasieki.

– He! – fuka tam do Ferencza. – Zebrały? Co?

Ferenc, chudy, pracowity, zacny Ferenc podnosi się wtedy od swoich pszczoł, zawsze rozważnymi, powolnymi, spokojnymi ruchami, podejdzie bliżej i uśmiechając się pod wąsem, jak to czyni człowiek pogodny, o czystym sumieniu, wyciągnie rękę ku staremu.

– Witajcie, dziadku, Bóg was przywiódł. No co tam słyhać?

– Co? Nic! – mruknie Vénség. – Co ma być? Przyszedłem zobaczyć, czy ludzie jeszcze żyją, czy już nie. He!

Mówi tak zawsze, gdy schodzi z Dószul Fulgeruj i wstępuje do Ferenców. Tak, dokładnie tak. Tymi słowami, od lat.

– Zajdźcie do środka! – zaprasza Ferenc.

– Nie trzeba – stary macha wówczas wielką, wygarbowaną ręką – nie trzeba! Pójdę ja już na górę, pójdę...

A mimo to za każdym razem zachodzi z Ferencem do domu. Tylko wcześniej opiera strzelbę o ścianę na zewnątrz. Kapelusz odkłada na próg,

a kierpce dokładnie wyciera o kamienne schody. Bo tutaj jest już dom, prawdziwy dom, nie taki jak siedlisko na Cibie czy inne jakie. Jest w nim kobieta i są dzieci. Czysty, porządny dom. Jego otynkowane ściany co roku bielą wapnem i są w tym domu meble, stoły, stolki, łóżka, szafy. Sienniki, poduszki, kapy z samodziału. A jeszcze nawet i firanki. To już jest ognisko domowe, nie tylko dom, jakiś dom w wysokich górach.

A przecież oprócz trojga dzieci i dwóch tobołków Ferencowie nie mieli niczego, gdy pan pozwolił im tu osiąść wraz z pszczołami. Od tamtego czasu dom, szopa, meble i jeszcze trójka dzieci – wszystko to ich dzieło. W szopie dwie krowy i trzy młode cielaki. Na podwórzu prosiak, za szopą zagroda z trzydziestoma sześcioma mlecznymi owcami. I wszystko to zgromadzili tam dzięki pracy, no i pszczołom. Sześćdziesięciu rojom pszczoł. I uczciwej pracy. Należy się za nią szacunek.

Za każdym razem stary wstępuje do tego domu właśnie tak, jak godzi się wstępować do ogniska domowego, stworzonego przez pracowitego szczerego człowieka. Którego uszanować tym, że się usiadzie, to honor.

– Szczęść wam Boże! – wita gospodynię, męczącą się w kuchni z pisklętami. To koścista, silna kobieta. Wytrzymuje pracę i dzieci. Czysta, lubiąca porządek. – Ano taka, taka właśnie powinna być żona – Vénség kiwa głową – taka.

Prowadzą go do białej izby, sadzają. Dzieci grzecznie zostają w kuchni. Gospodyni wchodzi, na glinianym talerzu przynosi miód w plastrach i świeży żytni chleb. Kładzie to na stole. Ferenc zdejmuje z półki dwa nieduże kieliszki, z oplecionego wikliną dzbanka nalewa jałowcówki i mówi:

– Na zdrowie, Vénség!

– Żyj długie lata, Ferenc!

Stary siedzi na krześle przygięty, jak nakazuje przyzwoitość. Pije palinkę, je miód, mieszają mu się w ustach smaki, przenika go przyjemne ciepło. Zapaliłby fajkę, ale nie wypada. Siedzi, milczy. Nareszcie odzywa się powoli:

– Pięknie. O tak, bardzo pięknie. To, jak wy tu żyjecie. Bardzo pięknie. Praca, rodzina, to piękne. Kiedyś i ja też... Ja też miałem dom, ziemię, rodzinę, owce. Dawno temu. O tak, Ferenc, dawno temu. Jak pięknie. O tak, pięknie.

Ferenc i jego żona spoglądają wówczas po sobie, ponad głową starego, uśmiechają się, uważając jednak przy tym, żeby on tego nie widział. Znają to już, wiedzą. To samo, tak samo, tymi samymi słowami od lat opowiada za każdym razem, gdy go posadzą w wewnętrznej izbie i poczęstują palinką, miodem. Przyzwyczajali się już. I wiedzą też, że to, co mówi, to prawda. Rzeczywiście, stary miał ongiś, każdy to wie, dom, ziemię, rodzinę. Był wielkim gospodarzem tam w dole, wiedzą o tym wszyscy. Ale coś złego stało się wokół niego. Opowiadają, że chyba zabił swoją żonę i jeszcze jednego młodzieńca, woźnicę barona. Siekierą ich zabił. Zabrali go żandarmi i dopiero po wielu latach zjawił się tu ponownie. Ale

wówczas już przygarbiony, stary, dokładnie taki jak teraz. Wcale nie poszedł z powrotem do swoich synów, którzy mieszkali w jego domu, żyli na jego ziemi. Wcale nie wrócił do domu, żeby ich choć zobaczyć. Wprosił się do pana na strażnika leśnego w wysokich górach. Tam zbudował sobie kolibę, całkiem pod niebem, dokąd tak naprawdę człowiek nigdy nie zachodzi: na Dószul Fulgeruj. Na północnym wierzchołku Villámok⁹. Gdzie i spośród niedźwiedzi ściąga tylko ten stary, a i z byków chowa się tylko ten wypędzony. Ale to stało się już wiele, bardzo wiele lat temu. Żywi się tam w górze grzybami, a od czasu do czasu ustrzeli jednego i drugiego starego niedźwiedzia, dzika pustelnika i mięso z nich gotuje, suszy i tym się żywi przez całą zimę. Zbiera jaja głuszców, znosi je na dół do Birtalana, żeby kury je wysiedziały, potem wychowuje te głuszce i tak oto okolice jego koliby pełne są oswojonych piskląt i samców tych ptaków. Raz w każdym miesiącu wyrusza w drogę, idzie w dół, odwiedza strażników leśnych, Ferenców, odbiera kaszę kukurydzianą, zamienia kilka słów, po czym wraca do siebie. Tak to już jest od lat, znają go dobrze.

Wypija jeden–dwa kieliszki jałowcówki, zjada kromkę chleba z miodem, opowiada to, co zwykle, i odchodzi. Ferencowie odprowadzają go do małej furtki, bo tak się godzi, to starszy przecież człowiek. Potem dzieci, stojąc przy płocie, patrzą za nim z rozdziawionymi buziami, jak powolnym człapaniem rusza w górę wzdłuż potoku i idzie, idzie, razem ze swoją łataną miedzią, lichą strzelbą, w dziwnym skórzanym kapeluszu, w ogromnych, włochatych kierpcach ze skóry dzika.

On zaś idzie i idzie. Jednak powolnym krokiem, nieco pochylony w przód, jak niedźwiedź. Przy tym pomrukuje, bąka coś do siebie, ale tego może wcale i nie słyszy. Przyzwyczał się już, by być samemu i mrużyć słowa, których szkoda byłoby zapomnieć.

Idzie i idzie. Potok się rozgałęzia, znów się rozgałęzia. I zwęża się, coraz bardziej się zwęża. Góry rosna, piętrzą się wysoko. Już i ścieżki nie ma, nie ma nic, tylko potok. W końcu i on pozostaje w tyle. Nieme wielkie drzewa. Nieme gęste lasy. Skały. Tu i tam wśród paproci i kamieni cicho bije jedno i drugie źródło. Po drzewach skrobią wiewiórki. Ze świerkowych wierzchołków nachyla się cisza i swymi ramionami obejmuje świat.

Czarno milczy Dószul Fulgeruj, w jego ciemnych kotlinach wiecznie panuje cień. Włada nimi zapach grzybów i woń spróchniałych drzew. Kwiaty tam nie rozkwitają, nie rodzą się poziomki. Wilgotne czarne cienie czają się przy drzewach i kamieniach. W miękkim mchu niedźwiedź stąpa bez hałasu. Sekretnymi ścieżkami przemyka ryś. Na pniach starych zwałonych drzew kwitnie pleśń. Nocami zapalają się magiczne zielone światła, a ponad milczącymi skałami bezszelestnymi skrzydłami kołują olbrzymie sowy.

Któż by, jaki człowiek szedłby tam wysoko? Czegóż by szukał? Nie ma tam

polany nadającej się do wypasu. Nie ma ukrytych kośnych łąk, pstrokatych grądów, nie ma czegoś takiego na Dószul Fulgeruj. Tylko choiny i choiny. Posepne, czarne drzewa. Posepne, czarne kotliny. Posepne, omszałe, czarne skały.

Na tamtej górze, powiadają pasterze, mieszkają błyskawice, i stąd też jej nazwa: północny wierzchołek błyskawic. Skądkolwiek nie patrzyłby człowiek na letnią burzę, wygląda to dokładnie tak, jakby naprawdę zbierały się tam wszystkie błyskawice. W takich razach Dószul Fulgeruj, północny wierzchołek błyskawic, huczy, dudni. Odpowiada mu echem ogrom skalnych kotlin, świerkowy bór buczy tak strasznie, że przechodzą dreszcze. Któż miałby ochotę przeprowadzić się tam, do miejsca pokaranego przez Pana Boga?

A mimo wszystko to właśnie tam stoi koliba Vénséga. Pomędzy trzema skalnymi ścianami, na niewielkim płaskim, osłoniętym skrawku. Całkiem wysoko w górze, u szczytu świerkowych borów. Powyżej są już tylko jałowce, no i kosówka. Z trzech stron chronią tę kolibę omszałe kamienie. Lecz przed nią świat jest otwarty. Ponad czarnymi wierzchołkami świerków daleko można stamtąd zapuścić wzrok, w dół do Maros, dalej aż po Góry Kelimeńskie. I widać tylko lasy, same lasy. Fale, zielone fale: całą krainę ośnieżonych szczytów.

Przed kolibą Vénség zbudował sobie ławkę i siada tam czasem. Zwłaszcza rankiem, kiedy nad Górą Kelimeńskimi wschodzi słońce, a spomiędzy choin podnoszą się ku niemu białe mgły, poranne modlitwy lasów. Siedzi i siedzi. Przygląda się temu ogromowi lasów, masie górskich grzbietów, jarów i potoków i przytakuje im.

Tak, ludzie są podli, to pewne. Nieczyści i bez moralności, a pełni rozmaitej nędzy. Lecz są daleko w dole. I to dobrze, że są tak daleko.

9 Węg. *Villámok* znaczy błyskawice, pioruny.

Tak oto żyli strażnicy leśni tam wysoko, pośród lasów Szalárd, w owych dawnych czasach.

Nareszcie przybywał czasem pan. Na niewielkim, ale silnym koniu, posępny, czarny. Niepokój ogarniał tego, na kogo rzucił on swymi ciemnymi przenikliwymi oczyma. Przyjeżdżał i jeśli było to latem, szedł w górę na Belcsuj czy Benedek tropić sarny. Szedł sam, mrukliwy, a i sam na własnym grzbiecie znosił kozła. Albo też przybywał jesienią, a wtedy strażnicy leśni musieli wiedzieć, gdzie ryczy najstarszy byk. I to tam pan szedł w górę. Niekiedy do Vénséga na Dószul Fulgeruj. Niekiedy gdzie indziej. Na szczyt Magury, do zakątka nad Pável.

Noce przespiał wówczas w szałasach. Ale nawet i w tych nie zawsze. Gdy było bezchmurnie, chłodno, gwiazdiście, w takich razach kazał sobie zanieść kozuch na któryś z górskich grzbietów i przez całą noc słuchał tam ryku byków. Potem rankiem brał strzelbę, wkładał do worka kawałek chleba, słoniny i odchodził, nie pokazując się do wieczora.

W takich przypadkach strażnik leśny nie mógł z nim iść. Dopiero wówczas mógł za nim ruszyć, gdy posłyszał huk strzelby. Takie to było polowanie z panem. Strażnicy leśni znali go jako człowieka małowównego, posępnego, ale tak mówili: serce ma on złote. Coś przeczuwa, tak rozmawiali pomiędzy sobą, może przeczuwa zagładę tej krainy ośnieżonych szczytów? To, że zjawią się tu piły, koleje, obcy ludzie, a pod ich ręką kraina ta zginie?

Możliwe, że mieli rację. Ostatnie żubry musiały być takie, posępne, dzikie i ponure, jak król tych wysokich gór. Może czuł i on, że jest już ostatnim z tego rodzaju i kiedy go zabraknie, ośnieżone szczyty nie będą już miały króla, który strzegłby ich spokoju i potęgi. Może widział przyszłość, wkraczając w lasy na stalowych szynach i w chaosie huczących pił. Któż to może wiedzieć.

Niekiedy, przy pięknej letniej pogodzie, przywoził z sobą także syna, panicza Gáspára. Pokazywał mu wysokie góry. Dawał do ręki strzelbę. Dzieciak miał ledwie dziesięć lat, a już wraz ze strażnikami leśnymi naganiał na niego niedźwiedzia, wysoko na Sestinie.

Póki trwała nauka, mogli widywać panicza jedynie latem. Ale w owym roku, gdy tam, po drugiej stronie rzeki przy Dédzie piła poczęła gryźć lasy, panicz Gáspár na dobre powrócił z dalekich szkół do domu. Wyrósł na dwudziestoletniego smukłego młodzieńca, śniady, wesoły. Wrócił do domu i zaczął przemierzać krainę ośnieżonych szczytów.

A to było już inne, zupełnie inne.

Kiedy szedł w górę Szalárd, wesoło pogwizdując, nawet Gyerkó Garabonciás niemal tanecznym krokiem niósł za nim plecak. Od tego gwizdania jakby i las weselał. Ponad świerkami słońce promieniało szczęściem, brzozy potakiwały, śmiejąc się, i ile tylko było kwiatów, niebieskich, białych, żółtych, czerwonych, wszystkie wychylały się z murawy.

Iwan pokrzykiwał zadowolony, psy skakały i szczekały, machając ogonami, Birtalan zaś gonił w dół do potoku, żeby była ryba – pstrąg pieczony na rożnie, na kolację.

A nazajutrz o świcie w górę na szczyt! Za niedźwiedziem, za dzikiem. Milczące zwykle jary echem odpowiadały na głosy obu Dudásy, za uciekającą dziką zwierzyną panicz biegł z jednego górskiego grzbietu na drugi, a wraz z nim strażnicy leśni. Jeśli złapała ich noc, zachodzili do którejś koliby, o ile takowa była w pobliżu. Jeśli nie, przesypiali się pod gołym niebem. Rozpalali ogień, opiekali słoninę, po czym zaczynała się rozmowa, opowieść o dawnych czasach, dawnych polowaniach i dawnej dzikiej zwierzynie, póki panicz nie zasnął, opadłszy na derkę.

Zaraz pierwszej wiosny panicz był na tokowisku głuszców, wysoko na Iszticsó. Z ustrzelonym kogutem schodzili w dół przez Komárnyik ku Sestinie. Był początek maja, na Iszticsó uparcie zalegał śnieg. Lecz od połoniny w dół poczęły tworzyć się już ciemne plamy, tu i tam strzępiły się spod śniegu szare grzbiety skał. Było przedpołudnie. Na czubkach choin drozdy o plamistych brzuchach grzały się w ciepłe słońca.

Przodem podążał panicz, za nim Iwan i oba Dudáse. Z Dószul Fulgeruj zeszły już niedźwiedzie i śladem słodkiego zapachu ścierni rozszponki wałęsały się wszędzie tam, gdzie słońce odbijało się od potoków. Schodząc w dół połoniną, panicz i Iwan szukali tropu takiego wałęsającego się niedźwiedzia samca.

Połonina była wąska, skalista, trudna. W miejscu dawnych zasp rozmiękły śnieg tu i tam wciąż sięgał po pas. Marsz utrudniały splątane zarośla jeżyn. Na samej połoninie panowała jeszcze zima.

Potem odbili z połoniny. Ominęli kilka skał, przeszli przez mały, gęsty świerczak i naraz rozpostarła się przed nimi cudownie piękna hala Komárnyik.

Panicz przystanął. Nigdy jeszcze nie był w tych stronach wiosną. Nigdy jeszcze nie widział tej wielkiej łąki, zwanej halą Komárnyik, tak pięknej. Była fioletowa od zimowitów. Całe mnóstwo kwiatów na wspaniały fiolet ubarwiło delikatną zieleń puszczej pędy murawy. W świetle słońca tu i tam stała jedna i druga samotna choina z gałęziami sięgającymi ziemi, a w dole przy źródle pokryta baziami łozina ogłaszała wiosnę, zaśmiewając się w głos.

– Pięknie tu – rzekł cicho panicz.

Nieopodal niższego skraju polany, na sięgających nieba, potężnych bukach gruchały gołębie grzywacze. Powietrze było tu już cieplejsze i sennie ocieżałe. Delikatnie falował w nim zapach nabrzmiałych pąków, żywiczny aromat wiosny.

Panicz raptem pokazał w dół na buki i rzekł do Iwana:

– Zbudujcie tam dla mnie dom. O, tam.

Tak, potem, gdy Iwan powracał w myślach do tamtej chwili, pamiętał, że i on sam czuł wtedy, że jest coś niezwykłego w tym miejscu na skraju buczyny, na

owym płaskim niewielkim miejscu powyżej źródła. Może w świetle słońca, w tym, jak tam przygrzewało? Albo w tym mnóstwie kwiatów? A może sprawiły to drzewa, gdy wszystkie patrzyły akurat na tamto maleńkie miejsce? Coś tam było, zdecydowanie było, obaj to czuli. Coś, co pragnęło, żeby w tamtym miejscu stanął brązowy dom o rześkim zapachu choin. I żeby na jego dachu lśnił gont, a przed domem była ławeczka, by ten, kto tam siądzie, mógł widzieć słońce, las, kwiaty. I wiosnę w przezroczystej srebrnej sukni, przemykającą od drzewa do drzewa i koniuszkiem palców dotykającą pąków.

– Rozumiem – odrzekł Iwan.

Stali tam jeszcze trochę, dając oczom na tej polanie odpocząć. Z buczyny wyszła sarna i zatrzymała się pośród kwiatów. Suknię miała jeszcze szarą. Spojrzała w dół, w kierunku źródła, po czym zaczęła się paść.

– Tam, Iwan, tam gdzie stoi sarna – szepnął panicz.

– Rozumiem – przytaknął Iwan.

Sarna podniosła głowę. Nasłuchiwała. Następnie powoli, podskubując trawę, odeszła z powrotem pomiędzy drzewa.

Tydzień później Iwan zwał już drzewa na hali Komárnyik. Pomóc przyszedł też starszy chłopak od Ferencá. To on okorował pnie. Do zwózki zaś i prowadzenia konia również Birtalan.

Nim buki pokryły się listowiem, drzewa były już upatrzone. Iwan powybierał je starannie jeszcze przed ścinką. Zanim przyłożył do nich piłę, wcześniej każde drzewo obchodził, stukał w nie, wachał, mierzył, oceniał. Piękne pnie się zebrały, bez najmniejszych wad.

Szczypać gont zszedł z Dószul Fulgeruj Vénség. Powstały cudownie piękne, jednakowe, ładnie pachnące cienkie gonty. Czyste i żółtawobiałe niczym rozpuszczony miód.

No i wreszcie miejsce. Całymi dniami wbijali szczapki, robili pomiary. Czy ma stać tak, czy inaczej? Żeby wschodzące słońce sięgało jego progu, ale żeby i po południu dom nie pozostawał w cieniu. Niech nie będzie zbyt blisko drzew, ale żeby jednak chroniły go one przed wiatrem, a też ich szum niech dochodzi tam nawet zimą. I żeby słychać było wodę, jak huczy wiosną, ale nie na tyle, żeby zagłuszała poranne pogwizdywanie drozdów. Czy też ryk jeleni jesienią, kiedy góry ryczą, wzdychają, bucą bezustannie całymi dniami i nocami.

Tak oto powstawał ten dom. Iwan ciosał pnie, wesoło stukała jego siekiera. Birtalan pilnował pasowania, Vénség zaś siedział w trawie i snuł dziwne opowieści. O niegdysiejszych ludziach, górskich duchach, złych i pięknych rusalkach. Tymczasem urosła trawa, rozkwitły letnie kwiaty, a wieczorami z górnego krańca polany sarny z ciekawością spoglądały w dół na budujący się dom. Tak oto powstawał ten dom.

Bywają domy, które są takie, że mieszkać w nich mogą tylko kłopot i nędza.

Człowiek ujrzy taki dom i ogarnia go jakiś dziwny niepokój. A przecież sam dom może być ładny i porządny. Pozbawiony wad. A mimo wszystko jest coś w nim, w nim czy wokół niego, coś niewytłumaczalnego. Coś złowieszczonego. Coś, co człowieka zasmuca i powoduje, że przechodząc obok takiego domu, popada w zadumę.

Przy takim domu nawet najbardziej poczciwy pies staje się zły i kąsa. Pod okapem takiego domu nigdy nie założy gniazda ptak. Na strych nigdy nie sprowadzi się popielica. Ominie taki dom i wiewiórka. Tylko szczury przemykają pod nim. Tylko dzięcioł przylatuje nań po pewnym czasie i opukuje, bada ten dom, tropi w nim wady. A w nocy na dachu takiego domu siedzą sowy.

Taki dom powstaje z bólem i w mękach, a gdy się zestarzeje i zawali, na jego miejscu wyrastają pokrzywy. Bóg jeden wie, gdzie tkwi w nim błąd. Może to w jego drewnie kryje się jakaś dusząca, pozbawiona zapachu i niewidzialna pleśń. Jakaś gorycz trująca powietrze. Może w drzewie, którego użyto do jego budowy. Ale i to jest możliwe, że błąd jest w miejscu. Pod nim w ziemi pogrzebana jest podłość i stale promieniuje ona na zewnątrz, i wydziela wciąż nowe zło. Albo też las tam jest taki. Drzewa stojące wokół takiego domu. Są ciemniejsze i posepniejsze aniżeli gdzie indziej. Jeden jedyny Bóg to wie. I to jest możliwe, że błąd tkwił w ludziach, którzy umyślili i wybudowali taki dom. To od nich przemknął w ściany jakiś ponury i zły duch. Nie można tego wiedzieć. Ale pewne jest, że bywają domy, w których mieszkają jedynie kłopot i nędza, niezależnie od tego, kto by się tam wprowadził. Domy, na widok których ogarnia człowieka jakiś niezrozumiały, dziwny niepokój i nagle bez powodu warzy mu się humor. Domy, które mają zapach samotności i czają się za nimi troski, kłopoty, nieszczęścia. Są takie domy, są.

No i bywają znów takie domy, w których goszczą spokój i radość. Jeśli człowiek ujrzy gdzieś taki dom, czuje naraz, jakby znalazł się u siebie. Dym unoszący się z takiego domu ma zapach domowego ogniska. Okna takiego domu uśmiechają się, a drzwi zapraszają do środka. Człowiek czuje w takim domu spokój, ciepło, które wszystko wokół opromieniają, niczym jakieś niewidzialne słońce.

Przed takim domem wcześniej taje śnieg, a łąka przed nim od wiosny do jesieni rozkwita kwiatami. Wokół takiego domu drzewa kłaniają się przyjaźnie i z uśmiechem zaglądają w okna. Taki dom przynosi szczęście każdemu, kto w nim zanocuje. Taki dom oswaja i czyni dobrym mieszkającego w nim człowieka. Sprawia, że ów staje się spokojniejszy, pogodniejszy, odważniejszy. Kto taki dom zbudował, będzie długo żył, a nawet i w momencie śmierci poczuje zapach opromienionych słońcem pni drzew i radość, jaka go niegdyś ogarnęła, gdy zatknął wiechę na dachu.

Takiego domu strzegą dobre duchy. Wilk z daleka go omija. Krowy dają

dużo mleka, owce rodzą zdrowe jagnięta. Piorun nie uderzy w jego pobliżu, jego gontu nie ima się iskra z paleniska. Głośny śmiech pojawia się w nim tak jak kwiaty wokół niego. Jak światło słońca na jego progu.

Taki właśnie był ten dom, który powstał na hali Komárnyik. Gdy powoli i spokojnie wznoszono jego ściany, pomiędzy ładnie pachnące bale świerkowe wbudowało się coś z ciepła promieni słońca. Z czystości błękitu letniego nieba. Z zapachu kwiatów, który unosił się tam pod drzewami niczym jakiś niewidoczny woal. Wbudowało się weń ciche gruchanie gołębi grzywaczy, gwizd drozda, gdy rankiem zataczał łuk ponad polaną, chłodne opary rosy i ten cichy, kojący szmer, jakim czasem rozmawiały drzewa, gdy po cichutku przemykał pomiędzy nimi wiatr w papuciach z mchu.

Tak oto powstawał ten dom. Nim został zbudowany, piskłeta jarzábka, kwiląc, siedziały już na drzewie, a zarośla w wiatrołomach na purpurowo zabarwiły się szarłatem. Zakochane kozły ścigały swoje partnerki po szczelinach jarów, a wieczorami niedźwiedzica kąpała swoje młode w kryształowo czystej, zielonej wodzie Sestiny.

Panicz przyszedł na górę, obejrzał dom. Podobał mu się. Dom miał dwie izby: jedną mniejszą i drugą większą. W większej kazał umieścić piec do gotowania, w mniejszej zaś zwyczajną kozę. Było tam łóżko, stół, stołki, półka na ścianie. Wszystko zrobił Iwan. To on zawiesił też pierwszy wieniec nad drzwiami. Była w tym wieńcu margerytka, a i pierwiosnka, oślepiająca czerwienią.

Dwa dni siedział wówczas panicz wysoko na hali Komárnyik. Potem nakazał strażnikom leśnym, żeby zbudowali za domem szopę dla konia i krowy.

Nim nastąpiła pora rykowiska, i to było gotowe. Wtedy w domu na hali Komárnyik panicz spędził dwa tygodnie. Około południa, kiedy byki milczały, a cisza powoli skapywała pomiędzy bukami o rudych liściach, przysiadł na ławce przed domem. Iwan nosił wodę, przygotowywał obiad, a panicz tylko tam siedział i patrzył na las.

– Tu chciałbym żyć – szepnął raz, gdy Iwan przechodził obok niego – pięknie tu i spokojnie...

Potężny ryży mężczyzna zatrzymał się przy paniczu i powiódł wzrokiem po polanie. Jesienne słońce mieniło się złotem i żółcią.

– Tylko nie samemu – rzucił cicho – nie samemu, paniczu...

– Wiem, Iwan. I ja tak myślałem.

Więcej już o tym nie rozmawiali. Rykowisko się skończyło, rozpadał się deszcz i spowił góry szarymi obłokami. Poszli na dół. Potem spadł śnieg i odciął doliny potoków.

Następnego lata, w porze polowań na kozły, znów spędzili tam razem jeden tydzień. Iwan i panicz.

– Mógłbyś narąbać szczap na zimę – rzucił raz panicz tam na ławce.

Kilka dni później zaś tak powiedział:

– Trzeba by też już skosić trawę, Iwan. Gdybym tu mieszkał i trzymał krowę i konia, co one jadłyby zimą?

I spojrzął na Iwana z jakimś dziwnym, żartobliwie smutnym uśmiechem.

Ale tydzień szybko minął. Panicza oczekiwali już tam w dole inżynierowie i adwokaci, były bowiem kłopoty z powodu kolei. Wszyscy strażnicy leśni wiedzieli, że panowie budują kolej w górę Maros i już do Dédy gotowy jest nasyp, a w Ratosnyi zaczynają stawiać most. Wiedzieli też, że mają zamiar pociągnąć kolej na drugą stronę, na lewy brzeg Maros, przewiercić skały przed wylotem Szalárd, żeby niezgrabny nasyp szpecił widok pomiędzy lasem a rzeką, a u wylotu Szalárd, tam gdzie wywiercą dziurę w górze, zaplanowali budkę strażnika. Tak to chcieli ci obcy panowie. Lecz strażnicy wiedzieli i to, że pan powiedział im: nie! Nie będzie budowana kolej na lewym brzegu Maros, nie powstanie w Szalárd dom dla obcych awanturników i nie prześwidruje góry żaden inżynier! Nie! A jeśli pan raz powiedział „nie”, to o to słowo stoczyłby walkę nawet i z samym diabłem.

Z powodu tej kolei pan i państwo wstąpili na drogę sądową. Owego lata adwokaci kursowali tam i z powrotem, inżynierowie dokonywali pomiarów na obu brzegach Maros, pomiędzy Ratosnyą i Szalárd. Takimi to sprawami kłopotał się panicz. Pożegnał się z domem na hali Komárnyik, zarzucił strzelbę na ramię, westchnął i poszedł w dół. Do siedliska na Cibie nawet nie zajrzał.

Iwan odprowadził go do mostu na Maros, wrzucił plecak na wóz, pożegnał się i powoli poszedł z powrotem do kwatery na Cibie. Przez kilka dni krzątał się w milczeniu. Nareszcie pewnego poranka załadował worek, chwycił piłę, siekiere, wziął na ramię kosę i ruszył w górę na halę Komárnyik. Trzy tygodnie siedział tam wysoko. Tylko od czasu do czasu schodził na dół po jedzenie. A po upływie trzech tygodni siano stało w stogu przy szopie, a drewnia za domem aż po stryszek napchana była szczapami buczyny.

Potem przyszła jesień. Po południu strażnicy leśni rozchodzili się na górskie grzbiety nasłuchiwać ryków i zjawiali się dopiero rankiem. Tu i tam już odezwał się jeden i drugi byk. I poszła wieść w dół do Gyerkó Garabonciása, a od Gyerkó natychmiast poniósł ją dalej Estevány, jego dzieciak, aż do Disznajó: pan i panicz mogą przyjeżdżać. Ryczą byki!

No i ryczały te byki. Pan nawet i zjawiał się w górach po pewnym czasie, mrukliwy, ponury, kilka dni siedział wysoko na Dószul Fulgeruj, ustrzelił starego szesnastaka, po czym odjechał. Lecz panicz nie przyjechał. Iwan na próżno ponownie posłał wiadomość, że ryczy wielki byk z Sestiny, nocami ryje oszronioną murawę na polanie przed domem, i że w jarze porośniętym ożynami już nawet dwa razy widział jednouchego dzika; panicz nie przyjeżdżał. Czas mijał i wkrótce ledwie jeden i drugi byk odezwał się jeszcze na szczytach, a potem i one zamilkły.

Iwan niekiedy zachodził tam wysoko, do domu, przysiadł na ławce

i siedział smutny. Dom za jego plecami stał pusty, był jakby martwy. A Iwan tylko siedział i patrzył na liście, jak opadały z drzew; na drzewa, jak robiły się coraz bardziej nagie, wręcz marzły; i na mgłę, jak spowijała kolejno doliny i podnosiła się coraz wyżej, aż w końcu zebrała się w chmury, z których lunął deszcz, odmieńając oblicze świata. Lasy trwały w złym humorze, ociążałe od pokapującej z nich wody, i wtedy Iwan więcej już nie poszedł na górę do domu. Bezczyinnie przesiadywał w siedlisku na Cibile niczym jakaś stara wyliniała wrona i żałował tego domu tam wysoko, który pozostał samotny.

Nareszcie pewnego razu przyszedł na dół jeden dzieciak od Ferenca z taką oto wieścią, że na hali Komárnyik szczeka pies. Było przedpołudnie, padał deszcz, strażnicy leśni palili fajki przy piecu.

– To niemożliwe – Iwan pokręcił głową – moje są w domu, a inni tu nie mają psa.

– A jednak to był pies – upierał się dzieciak. – Wczoraj wieczorem słyszeliśmy go po raz pierwszy, a dzisiaj rano znowu. To obcy pies, taki co szczeka i zagania.

Akurat był w domu także Dumitru Wilk. Mrukliwie pokręcił głową.

– Kto wie, co słyszałeś, dzieciaku. Nie może tam być psa. Ja to wiem.

Jednak dzieciak nie dawał za wygraną. I wieczorem Iwan wspiął się na skalisty grzbiet powyżej domu, żeby posłuchać, gdzie też szczeka ów pies.

Rzeczywiście szczekał na hali Komárnyik. Nawet dwukrotnie. Przed zachodem słońca i potem o zmierzchu, dłużej. Jak taki pies, dla którego tamto miejsce jest jeszcze obce i boi się cieni nieznanego lasu.

– Szczeka – rzucił już w progu, podniecony, gdy wraz z wilgotną mgłą nocy wszedł do domu.

Kwaterę oświetlał jedynie ogień jaśniejący z otwartych drzwiczek pieca. Birtalan i Dumitru siedzieli na brzegu pryczy i wpatrywali się w ten ogień.

– Gdzie? – zapytał Birtalan.

– Na hali Komárnyik. Przy domu.

No i więcej o tym nie rozmawiali. Później znów zaczął padać deszcz i wilgotnymi palcami cicho czyścił gonty.

Ledwie nastał świt, Iwan już ruszył w drogę. Bo trzeba wiedzieć, kto się tam wprowadził. Jaki to juhas tam wypasa, jaki to węglarz zrobił tam sobie siedlisko.

Poszedł Iwan w górę wzdłuż Sestiny i dalej – na drugą stronę na halę Komárnyik, wprost ku szczytowi. Potok obsiadła ciężka, duszna mgła. Z drzew pokapywało. Za Iwanem wlokły się dwa Dudáse. Niekiedy zapuszczały nosy w którąś ścieżkę wydeptaną przez dziką zwierzynę i z uwagą filtrowały nozdrzami mgliste zapachy lasu. Czasem w jednym i drugim jarze uskakiwały im z drogi sarny.

Kiedy Iwan dotarł do dolnego skraju buczyny, znów posłyszał tam w górze

szczekanie. Nadchodziło od strony polany.

Pośpiesznie ruszył tam wzdłuż wody spływającej ze źródła. Tu i ówdzie widział rozorane ślady po dzikach. Świeże, czarne. Psy węszyły w podnieceniu. Musiał na nie zawołać, żeby nie odeszły tym tropem.

Wreszcie widać już było jasną plamę łąki pośród drzew. I dom. Żółty, wesoły, czysty.

I wtedy naraz przystanął. Z gontów unosił się wysoko niebieski dym. Ktoś wprowadził się do domu!

Iwan gniewnie ścisnął strzelbę na ramieniu. Nadali łotrów! Co oni sobie myślą, że dla kogo powstał ten dom?!

Poryw niósł Iwana w górę po zboczu. Strażnik leśny już dotarł pod skrajne buki. Już był przy ujściu źródła. Wówczas od progu domu z jadowitym ujadaniem podskoczył łaciaty mieszaniec.

– Poczekajcie no tylko! – Iwan warknął, zagniewany, i zdjął z ramienia strzelbę. Wtedy otworzyły się drzwi. Wyszła z nich jakaś kobieta i przytłumionym głosem zawołała na psa:

– Csobán! Zostaw, nie wolno! Zostaw!

Pies umilkł i schował się z tyłu, warcząc. Warczały też Dudąse. Iwan dotarł przed dom. Wciąż ze strzelbą w ręce.

– Kim wy jesteście, he?! – zawołał do kobiety.

Ta wciąż jeszcze stała w drzwiach i patrzyła na niego zaciekawionymi oczami, przyjaźnie. Była młoda, o śniadej cerze, zdrowa. Spod czerwonej chustki na głowie wymknął jej się lśniący kosmyk złocistopłowych włosów. Było to tak osobliwe, dziwne i niespotykane, że przykuło wzrok Iwana.

– Gdzie jest twój mąż? – spytał łagodnie.

– Śpi – odrzekła cicho kobieta i uśmiechnęła się. Jej oczy były zielone jak wody źródeł wiosną.

– Jak śmieliście... – rzekł Iwan, stając przed kobietą. Głos miał zagniewany i przepełniony groźbą.

– Mówcie ciszej – kobieta przerwała mu dziwnie miękkim głosem – mówiłam, że śpi...

Iwan czuł na swojej twarzy spojrzenie owych osobliwych zielonych oczu i ogarnęło go jakieś dziwne zmieszanie. Zarzucił broń na ramię i odwrócił się.

– Chcę mówić z twoim mężem – rzekł, nie patrząc na kobietę.

– Wejdźcie do środka – odpowiedziała i odsunęła się z drzwi – czekam na was od świtu.

– Czekacie? – zdziwił się Iwan. Jego oczy spotkały się z oczami kobiety.

– Tylko ja na was czekałam. Wiedziałam, że przyjdziecie. Dziwny był jej głos, dochodzący z głębi, cichy i aksamitny. Iwan otrząsnął się jak ktoś, kto stara się uwolnić od czaru, i stanął na progu. Chciał zobaczyć tego człowieka, chciał

porozmawiać z tym człowiekiem jak mężczyzna z mężczyzną. Twardo, jak należy rozmawiać z takim, co wpycha się do cudzego domu.

Kobieta odsunęła się z drogi i Iwan wszedł do środka. Rozejrzył się. Wszystko było tak, jak być powinno. Czystość i porządek. Na piecu gotowało się jedzenie. Stół był nakryty, stołki, wszystko na swoim miejscu. Połanie równe, wygładzone, jak tam, gdzie nikt nie mieszka. Nikt na nim nie spał. Ze zdziwieniem spojrzął wstecz. Kobieta pokazała głową w kierunku wewnętrznej izby i rzuciła:

– Tam śpi, w środku.

Krew uderzyła Iwanowi do mózgu. Paznokcie wbiły się w lufę strzelby. Wrzasnął:

– W izbie panicza?! Na łóżku panicza?! A niech was szlag trafi, wy świńskie łotry!

Dwoma susami był przy drzwiach. Opuścił pięść na klamkę i pchnął drzwi, dysząc z gniewu.

– He!

Jego oczy zatrzymały się na łóżku. Nogi wrosły w ziemię. W ustach zamarło słowo. Na łóżku, tam naprzeciw drzwi, na pomiętej poduszce i wśród porozrzucanych nakryć, z zamkniętymi oczami leżał sobie spokojnie i spał panicz. Panicz Gáspár we własnej osobie.

Przez kilka chwil Iwan stał w drzwiach i się weń wpatrywał jak ktoś, kto nie wierzy własnym oczom. Nad łóżkiem, na gwoździu, wisiała strzelba. Znajomy zielony kapelusz myśliwski. Znajoma bekiesza.

Iwan powoli wycofał się i cichutko zamknął za sobą drzwi. Kobieta stała tyłem do niego i coś ustawiała na stole. Spod chustki znowu wymknął się jej i załśnił ten dziwny złocistopłowy kosmyk włosów.

Strażnik leśny powoli ruszył z miejsca. Ostrożnie stawiał stopy, szedł niemal na czubkach palców. Kierował się na zewnątrz. Był już niemal przy drzwiach, gdy kobieta odezwała się za jego plecami:

– Wujku Iwanie! Na mały fruszytek jednak usiądźcie! Rosjanin odwrócił się, zmieszany.

– Skąd znasz moje imię?

Kobieta zaśmiała się cichutko, niskim, gruchającym głosem.

– Wiem ja to. Nie bójcie się, wcale nie będę was częstować palinką! Ale macie tu kubek mleka. I trochę słoniny, i chleba. No chodźcie! Chyba nie odejdziecie od nas o głodzie?

Cięzkawo podszedł do stołu, strzelbę oparł o ścianę, kapelusz położył obok siebie i usiadł. Jego twarz była o ton czerwiejsza aniżeli innymi razy, jego oczy w zmieszaniu spoglądały na kobietę.

– Przedwczoraj przyszście tu na górę?

– Tak.

- Z której strony?
- Przez Fileháza, połoniną na Görgény.
- A tak. Yhm.

Ręka wyciągnęła mu się po kubek, bez słowa zeń siorbnał. Zjadł do tego także kilka kęsów chleba. Od razu poznał go po smaku: był to chleb z dworu w Disznajó.

- Zjedzcie do tego i słoniny – zachęcała go kobieta – jest jej dość, naprawdę!
- Dziękuję – mruknął i odciął kozikiem cienki plasterek słoniny. – Tu poniżej, w buczynie, dzisiaj w nocy były dziki – powiedział potem.
- Tak – odparła kobieta – wieczorem przechodziły dwa tu przy źródle. Csobán nawet je obszczeakał.

Iwan jadł w milczeniu. Kobieta też się nie odzywała, krzątała się przy piecu. Nareszcie Iwan wytarł kozik, schował go do kieszeni i wstał.

- Dziękuję za miłą gościnę, gospodyni.
- Na zdrowie, wujku Iwanie.

Iwan zarzucił strzelbę na ramię, wziął do ręki kapelusz.

- No a... powiedzże: polowania nie będzie?

Kobieta odwróciła się twarzą do niego i z uśmiechem pokręciła głową.

- Teraz nie, wujku Iwanie. Teraz nie.

Uśmiechała się, lecz w jej głosie był jakiś dziwny smutek. Iwan odchrząknął.

- A tak. Yhm. A do kiedyż to?

– Jutro już odjeżdża – odpowiedziała kobieta, a twarz jej się zasępiła. – Zamówił powóz do Fileháza. Na jutro.

- A tak. A tak. No dobrze. Zatem z Panem Bogiem, gospodyni.
- Z Panem Bogiem, wujku Iwanie.

Oba Dudáse już czekały na niego przed drzwiami. Nadal ostrożnie obserwował go łaciaty mieszaniec, ale już nie szczekał. Iwan delikatnie zamknął za sobą drzwi. Następnie ruszył z powrotem, w kierunku buczyny. Psy w milczeniu wlokły się za nim. Spod skrajnych drzew z krzykiem przestachu poderwał się do lotu drozd. Gdzieś wysoko, pośród szarych chmur, fruwał kruk, szum jego skrzydeł niósł się daleko ponad kapiącymi wilgocią lasami.

Zbliżało się południe, gdy dotarł na dół, do siedliska na Cibie. Po drodze psy natrafiły na kunę, kuna, uciekając z drzewa na drzewo, powiodła ich w jary Sestiny, dopiero tam udało się wziąć ją na muszkę. Była pora obiadu, kiedy Iwan z przytroczoną do worka kunią skórą powrócił do domu.

Przed kwaterą strażników leśnych stały przywiązane do słupa dwa ciemne konie Gyerkó Garabonciása, z drewnianych siodeł właśnie zdejmowano miesięczne ordynaria. Trzy worki kaszy kukurydzianej, jeden worek mąki jęczmiennej dla psów, olej, to i tamto. W sakwie kilka drobiazgów, na które dali Gyerkó pieniądze w ubiegłym miesiącu, żeby zdobył je z pomocą przekupniów na targu, gdy nadarzy

się okazja.

Wszystko wniesiono do środka, koniom zadano siana, po czym strażnicy leśni zasiedli w domu, a Gyerkó zaczął opowiadać, w pięknym porządku, po kolei, wygodnie, w trakcie jedzenia, następnie przy dymie z fajki, wszystko, co w ostatnim miesiącu zdarzyło się tam w dole. Tak to już było w zwyczaju, kiedy raz w miesiącu Gyerkó przybywał na górę z ordynariami. Bo przecież mieszkał on tam w dole, w bramie świata. Ciągnęli tamtędy ludzie udający się na targ, zatrzymywali się, żeby nakarmić, napoić zwierzęta, i przynosili też wieści. I Gyerkó wszystkie je w sobie pięknie gromadził, a kiedy nadchodził czas na ordynaria, zanosił to wszystko do siedliska na Cibie, strażnikom leśnym.

Ci zaś sadowili się wokół niego, Birtalan w kącie pieca, Dumitru Wilk z tyłu na posłaniu, Iwan na ławce. Gyerkó natomiast siedział na stołku, pokrzywiony, garbaty, z obwisłym, wielkim nosem, okrągłym brzuszyskiem, z cieniutkimi nóżkami schowanymi pod siebie, i snuł opowieści. Po kolei, jak następowały.

– Na Szeku niedźwiedź wystawił na pośmiewisko Ilię Bána, strażnika leśnego panów Bánffy. Ranny był ten niedźwiedź, a Ilia szedł jego tropem. Natrafił nań w gęstwinie, niedźwiedź zaatakował, Ilia nie mógł się uchylić. Na noszach uplecionych z gałązek ponieśli go do domu naganiacze. Jedno oko mu wypłynęło, z połowy twarzy zeszła skóra i mięso. Przepadł bark, jedno ramię. Panowie dali mu trzysta forintów, za które żona kupiła dwie krowy, prośną maciore i jeszcze dwie morgi kośnej łąki na Piperiku. Teraz tylko tym się gryzie, dlaczegóż to jej mąż ostał się żyw. Z kaleką jest kłopot, a i męczarnia.

Żyda z Toplicy znaleźli nocą w przydrożnym rowie, martwego. Napastnicy musieli wcześniej ugodzić go siekierą w głowę. Wracał z targu, skądciś z Csík. Miał przy sobie dużo pieniędzy, jak mówią.

Od leśnika z Gödemesterháza uciekła żona, na dodatek z jakimś księdzem. Karczma w Dédzie zajęła się ogniem i spalił się w tym pożarze i sam karczmarz. Musiał być tak mocno pijany, Panie, świeć nad jego duszą, że nie był w stanie uciec przez drzwi czy przez okno...

Ogień wybuchł też pod Istenszéke, w lesie. Spalił się całkiem spory kawałek. Ludzie mówią, że żył tam pewien stary człowiek, jakiś Tóderik, którego już od dawna szukają żandarmi, i że ponoć to on podpalił las. Z zemsty. I że miał córkę, która zresztą nie była dziewczyną, lecz leśną czarownicą, odbierała mężczyznom rozum, wypijała z nich krew i ich zabijała. I że od czasu tego ognia i ona znikła. Jako ślad po niej pozostał tylko drewniany krzyż, jak mówią, tam daleko, na Istenszéke, wysoko na szczycie. Ale jest to krzyż tak czarodziejski, że podczas gdy cały las spalił się do imentu, ten drewniany krzyż nawet się nie osmalił! A kto przechodzi obok niego, słyszy, jak ziemia wzdycha pod nogami. I mówią jeszcze i to, że owa dziewczyna miała włosy ze złota, z najprawdziwszego czystego złota, i że to właśnie nimi zawracała mężczyznom w głowach. Komu jeden taki włos

oddała, ten na następny dzień tracił zdrowy rozum, a na trzeci jakoś umierał. Z tego powodu spalił się też karczmarz w swoim domu. Aż dwóch przysięga nawet, że na własne oczy widzieli, jak ta dziewczyna czarownica zapłaciła karczmarzowi za twaróg jednym takim złotym włosiem. To zdarzyło się trzy dni przed pożarem. Następnego dnia Ormianin zaczął pić, kolejnego dnia pił już bez ustanku, no i trzeciej nocy podpalił z sobą dom.

No i mówią też, że ta dziewczyna miała łaciatego psa, co wabił się Csobán. Tak na oko zdawał się zwyczajnym mieszańcem, jednak w rzeczywistości nie był niczym innym, jak samym diabłem wcielonym, któremu stary Tóderik sprzedał dziewczynę jeszcze przed jej narodzinami, i tak oto pilnował jej diabeł pod postacią psa i razem wyczyniali wiele dziwnych rzeczy. Tak to opowiadają ludzie. Wiele głupstw, to prawda.

W napięciu słuchali garbatego posłańca. Birtalan wstał z miejsca w kącie pieca, podszedł do półki, kręcąc przy tym głową, następnie zdjął flaszkę z jałowcówką i postawił ją przed Gyerkó, na stół.

– Napij się jednego, żeby lepiej szła opowieść. To prawda, że wiele głupstw zdarza się na tym świecie.

Gyerkó nie kazał się prosić i dobrze pociągnął z flaszki. Kiedy jego garść wraz z flaszką walnęła z powrotem o stół, ochryplym głosem odezwał się z ławki Iwan:

– Tamten pies wabił się Csobán? Tak powiedziałeś? A dziewczyna miała włosy ze złota?

W jego głosie przeżyło się jakieś dziwne podniecenie. Pozostali zwrócili uwagę na te pytania.

– Tak, tak – zapewniał Gyerkó – i wołali na psa Csobán, tak. Czemu o to pytasz?

– Tak tylko – wyjąkał Iwan, zmieszany – coś mi się przypomniało.

Birtalan spojrzał nań i rzekł:

– Myślisz o psie, który czekał na hali Komárnyik?

– A gdzież tam – Iwan fuknął nań z gniewem, a na zaczerwienionej twarzy wyperliły mu się krople potu – nie myślę ja o niczym, a idźcie wy do cholery! Zresztą tamten pies czekał nie na hali Komárnyik, ale nad Pável, i to jacyś juhasi z Fileháza szukali na połoninie kilku zaginionych owiec. Co to was obchodzi?!

Iwan całkiem wpadł w złość. Kopnięciem wyrzucił spod siebie ławkę i ciężkim, dudniącym krokiem wyszedł na zewnątrz. Drzwi zatrzasnął za sobą. Pozostali spojrzeli jeden na drugiego.

– A temu co jest? – Gyerkó odezwał się pierwszy. Birtalan wzruszył ramionami.

– Wczoraj jeszcze nic mu nie było.

– Gdzież to jeszcze do wiosny? – mruknął Gyerkó, obrażony. – Czy może

teraz już i jesienią ogarnia go wścieklizna?

– Nie przejmuj się nim – Birtalan uspokajał garbatego – opowiadaj dalej! Co tam jeszcze?

Lecz nastrój opowieści jakoś tak zepsuł się. Izbę spowiła chmura. Także tam na zewnątrz wiatr gonił chmury ponad górami, rwał je, czarne.

– Nieopodal Dédy budują kolej – Gyerkó, zniechęcony, ciągnął meldunek. – Do Szászrégen wjechał pierwszy parowóz, a jednej kobiecie z przestrachu natychmiast urodziły się bliźnięta, tam obok stacji, na oczach maszynisty i państwa. No. Co tam jeszcze? Żandarmi złapali dwóch Cyganów z Magyaró, bo w łozinie martwej odnogi Maros podszcypywali żonę Żyda z Idecs. Żyd domagał się, żeby Cyganie teraz już na stałe wzięli do siebie kobietę, natomiast żona Żyda prosiła żandarmów, żeby nie dokuczali tym dwóm Cyganom, bo przecież nie zrobili jej nic złego, a wręcz przeciwnie. I ona jest tylko kobietą, nawet jeśli tak starą. Co zrobić, taki jest ten świat. Zresztą widziałem ja raz ową żonę Żyda, przed trzema laty, i mówię wam, że ci Cyganie zasługują na cięgi. Bo z czystej kpiny zrobili to, co zrobili. Nie mogli mieć w tym żadnego poważnego zamiaru. Bo ja jeszcze nigdy w życiu nie widziałem niewiasty, śmiem to powiedzieć, dającej się z nią porównać, tak brzydkiej i z tak wielkim brzuchem! Zacząć zaś z taką to już bezwstydnosc, za przeproszeniem...

Od tej historii nastrój nieco złagodniał. Nawet i Dumitru Wilk rozrechał się z tyłu na pryczy. Gyerkó Garabonciás zaś pociągnął jeszcze jeden łyk z flaszki z jałowcówką, zanotował, kto jakie ma życzenie, po czym odwiązał konie i poszedł. Iwan rąbał drzewo za drewniarnią. Tylko jego siekiera stuknęła, on sam zaś nie pojawił się przed domem.

Później Birtalan przeszedł się w kierunku szopy, następnie na tył obok drewniarni i zatrzymał się za Iwanem. Ten, trzymając siekiere dwiema garściami, uderzał w pnie tak, jakby bił się z nieprzyjacielem.

Birtalan spojrzął w górę na niebo. Północny wiatr zamiatł poszarpane, czarne chmury.

– Przejaśnia się – rzekł powoli – będzie mróz.

Iwan wciąż walił w drzewo. Birtalan w zamyśleniu patrzył na szerokie plecy potężnego, ryżego mężczyzny, pochylającego się nad pieńkiem do rąbania drewna.

– Csobán wołają na psa, tam w górze? – spytał naraz.

Choć ten głos był cichy, a słowa powolne, zatrzymała się od nich siekiera w rękach Iwana. Piorunem odwrócił się twarzą ku Birtalanowi, a na jego obliczu malowało się przerażenie. Siekiera pozostała tak, jak wbiła się w pień, właśnie tak.

Przez długą chwilę obaj wpatrywali się w siebie. Dwóch zdziczałych kudłatych strażników leśnych. Staruszek o twarzy leszcza i potężny ryży olbrzym. Nareszcie zduszonym głosem odezwał się Iwan. Przemówił gorączkowo, dysząc, ze śmiertelną powagą.

– To nie jest taka prosta sprawa, Birtalan... trzeba z tym uważać, rozumiesz? Bardzo trzeba z tym uważać, Birtalan... to nie jest taka sprawa, to...

Utknął. Oczy mu błyszczały, z czoła spływał pot.

– Ludzie gadają – przytaknął Birtalan – opowiadają wiele głupstw, wiesz o tym. Połowa z tego nie jest prawdą.

– Ale jeśli choćby i połowa była prawdą...? – przestraszył się ten drugi, a jego oczy w rozpaczy szukały czegoś uspokajającego na twarzy, którą miał przed sobą.

Birtalan westchnął, po czym ociężale siadł na nieporąbanym drewnie. Zdjął kapelusz i cienką, zielonkawoniebieską ręką powoli przyglądał swoje rzadkie białe włosy.

– Wiesz – zaczął – ja bywałem w tamtym domu, gdzie mieszkał ów Tóderik. Po raz pierwszy posłał mnie tam pan. To było wtedy, gdy tego człowieka zamknięto z powodu jakiejś bójkki, a dziewczynka została sama, zupełnie sama, wysoko pod Urszu, w tamtym domu.

Siedział na stercie drewna i opowiadał nieśpiesznie, zwyczajem sędziwego człowieka. Ten drugi zaś stał przed nim ze zwieszonymi rękoma i rozchyłonymi ustami, łakomie wchłaniając słowa.

– Wiesz, nigdy nie powinno być tak, żeby ludzie zostawili dziecko samo wysoko w lesie, taką maleńką dziewczynkę tak sieroco osamotnioną, nigdy! Nie dlatego, że może jej się stać coś złego. Nie. I nie dlatego, że szkodzi jej samotność. Samotność nikomu nie zaszkodzi. Samotność nikogo nie zepsuje. Nie dlatego. Ale dlatego, że ludzi pozostałych, rozumiesz, Iwan? Pozostałych zepsuło już samo to, że nigdy nie żyli w samotności. Że nie dość przebywali sami i nie mogli nauczyć się takich rzeczy, jakich uczy las i osamotnienie. Za to zajęli się innego rodzaju sprawami: kłamstwami, którymi oszukiwali się nawzajem, lękami, którymi straszili się nawzajem, i jakimś złem, które przesłoniło im oczy niczym bielmo... i tylko poprzez to bielmo są w stanie widzieć świat i resztę spraw...

Tak to jest, Iwan. No i pomyśl teraz, że jest ktoś, kto zostaje sam w lesie. Dziecko. Dziewczynka. Sama i opuszczona tam u wylotu Urszu. I reszta to widzi. I widzi to, że umie ona robić takie rzeczy, których oni nie potrafią, bo oni nie byli sami nad Urszu, żeby mogli się tego nauczyć. Za to uczyli się innych rzeczy i poprzez te inne widzą tego drugiego. Rozumiesz? Poprzez to bielmo, co bierze się ze zła, i dlatego cokolwiek przezeń zobaczą, widzą zło. Tak to było i tam, nad Urszu, Iwan. Ludzie widzieli, że jest ktoś, dziewczyna, która jest inna aniżeli oni. Która umie coś, czego oni nie umieją. I z tego bierze się to wszystko.

Kiedy po raz pierwszy byłem u niej, pokazałem, jak trzeba łapać ryby. Wiesz, ta sprawa z rybami jest całkiem prosta. Nie ma w tym żadnej magii, żadnych czarów. Tyle że... potrzeba do tego ręki. I duszy. I tego, żeby człowiek dużo był sam na sam z potokiem, a nauczy się, że potok.... to też jest coś. Nie tylko

ogrom wody, która płynie, lecz coś więcej. Coś, co jest. Co żyje. Tak, żyje tak samo jak las czy wiatr, czy... czy sam człowiek. A ponieważ żyje, trzeba poznać to życie. Lecz większość ludzi tego nie wie i w to nie wierzy, i dlatego też na próżno im pokazuję, że jest tak albo tak. Nigdy się tego nie nauczą. Mówią, że to czary, i mówią, że diabeł i jeszcze nie wiadomo co. Tacy są ludzie.

Jednak ta dziewczyna, ona od razu zrozumiała, czego chcę. A przecież wcale jej tego nie mówiłem. Tylko robiłem, a ona przyglądała się. Potem sięgnęła w wodę i po tym, jak sięgała, ja już wiedziałem, że zrozumiała to, czego ja jej wcale nie powiedziałem. Taką miała rękę. Rozumiesz, Iwan? Taką miała rękę.

A potem przyszła reszta. Nie wiem dokładnie, czym było to wszystko, co jeszcze się zdarzyło, ale pewne jest, że się zdarzyło i że wszystko to były takie rzeczy jak ta z rybami. Bo dziewczyna była sama. Zupełnie sama, Iwan. I ludzie widzieli, że jest sama, i widzieli to, co jeszcze się zdarzyło i, oczywiście, nie rozumieli tego, bo oni nie byli sam na sam z lasem. A potem zaczęli opowiadać. Tak to jest, Iwan.

Birtalan siedział na stosie drewna i więcej się nie odezwał. Iwan zaś stał przed nim, spuścił głowę i zastanawiał się. Nareszcie Birtalan westchnął i powoli wstał ze stosu drewna, nałożył kapelusz na głowę i ruszył. Po kilku krokach zatrzymał się, spojrzał na niebo i tak rzekł:

– Przejajnia się. Będzie mróz tej nocy.

Iwan też podniósł wzrok. Północny wiatr wciąż rwał chmury tam w górze, a spoza ich strzępów tu i ówdzie pobłyskiwał maleńki kawałek aksamitnego błękitu nieba.

– Będzie mróz – powiedział i on.

I wyciągnął rękę po siekierę. Kiedy Birtalan rozwarł wrota szopy, żeby zadać krowom siana i rozpocząć wieczorne dojenie, za drewnutnią znów stukała siekiera. Ale teraz już stukała spokojniej i rzadziej.

W nocy rzeczywiście przyszedł mróz. Ostry północny wiatr szorował niebo niemal do północy, wtedy ustał. Gwiazdy lśniły nowiusieńkim blaskiem. O świcie opadł szron, a ziemia cicho skrzypiała pod nogami. Kałuże pokryły się lodową powłoką, niczym wrzące mleko kozuchem.

Iwan zarzucił strzelbę na ramię i gwizdnął na psy. Słońce dotarło wtedy na grzbiet Belcsuj i swymi pierwszymi promieniami na różowo zabarwiło łąkę wokół siedliska.

Dumitru Wilka już tam nie było, zniknął jeszcze przy szarówce. Birtalan stał przed szopą i patrzył za Iwanem.

– Myślisz, że ten pies naprawdę nazywa się Csobán? Iwan odwrócił się.

– Tak – odparł zdecydowanie.

Potem szarpnął rzemieniem strzelby i poszedł.

Nim dotarł na halę Komárnyik, szron już stajał. Na czubkach gałęzi wesoło

migotały krople, a ze źródła podnosiły się w górę ku błękitnemu niebu lekkie mgły. Lecz ziemia była jeszcze zamrznięta i cicho skrzypiała.

Nie zdziwił się, gdy przed domem rozszczękał się pies.

– Csobán, nie wolno – rzucił do niego i strzelił palcami. – Csobán!

Pies przyglądał mu się nieufnie, ale już nie czekał. Od czasu do czasu zerkał w kierunku drzwi. Te były otwarte i lało się przez nie szerokim, złotym snopem światło słońca.

Nim stanął w progu, lekko odkaslnął. Z wewnątrz odpowiedział mu cichy śmiech.

– Wejdźcież, wejdźcież, wujku Iwanie, od dawna na was czekam! Już dwa razy grzałam mleko!

Kobieta stała przy stole, młoda, czysta, wesoła. Na stole parujący kubek, obok niego na glinianym talerzu chleb, słonina.

– Szczęść Boże pięknym porankiem! – rzekł Iwan, zatrzymawszy się w progu, zmieszany, i zdjął kapelusz.

– Daj Boże! Wejdźcie no dalej do środka i zabierzcie się do niego, bo wystygnie i trzeci raz!

Wszystko to mówiła z owym dziwnym, dobywającym się z gardła śmiechem. Mężczyzna postąpił dalej.

– Skąd wiedziałaś, że przyjdę tu na górę?

– Przyśniło mi się! – roześmiała się kobieta. Śmiały jej się nie tylko usta, ale cała buzia. Śmiały jej się też oczy, te zielone oczy o osobliwym spojrzeniu. Iwan, spięty, dreptał w miejscu. W rękach niezdarnie zwiślał mu kapelusz.

– Pomyślałem... sprawdzę, czy dom pozostał w porządku. Powiedziałaś, że zostaniecie tylko do dzisiaj...

Twarz kobiety zachmurzyła się.

– I tak właśnie jest – odparła ciszej, a jej oczy ześlizgnęły się z twarzy mężczyzny na podłogę – odszedł o świcie.

– A ty? – Iwanowi wyrwało się pytanie.

– Ja? – kobieta teraz już całkiem odwróciła się twarzą do niego. – Ja zostaję tutaj – powiedziała i szczerze popatrzyła mu prosto w oczy.

Na twarzy Iwana odmalowało się zdumienie.

– Sama? Tutaj na górze?

Kobieta westchnęła ledwie dosłyszalnie.

– Sama? To jeszcze nie jest takie złe, wujku Iwanie. Myślę, że tam, gdzie są ludzie, może być gorzej, jeśli człowiek zostaje sam...

– No a... do kiedy...?

Oczy kobiety wyjrzały poprzez drzwi i zanurzyły się w jesiennym słońcu.

– Do kiedy? – Cicho powtórzyła pytanie. – Któż to wie, wujku Iwanie? Któż to wie, do kiedy? Czy promień słońca tam na zewnątrz, nad łąką, wie, do kiedy?

I czy wie to drozd?

Wzięła głęboki oddech, a był on niemal jak westchnienie.

– Jakie czyste jest powietrze, wujku Iwanie. Czyste, bo przeczesaly je promienie słońca. Czujecie? A jednak jest już chłodne. Jest w tym powietrzu jesień, na próżno przeczesaly je promienie słońca. Czy w taki czas można pytać, do kiedy? Czy można na to odpowiedzieć?

Iwan pokręcił głową w ciszy.

– Osobliwa z ciebie kobieta, osobliwa. A jak będzie zima? Śnieg sięgnie okapu?

Kobieta potrząsnęła głową i momentalnie odleciał z jej oczu ów dziwny woal zadumy. Zaśmiała się. Odważnie, wesoło, jak dziecko.

– Jak sięgnie okapu, odgarnę go łopatą. Żeby tylko nie było większego zmartwienia! Usiądźcie, wujku Iwanie. Mleko wystygnie i trzeci raz, mówię.

Bez słowa siorbał mleko. Kroił cienkie plasterki słoniny, zajadał. Kobieta zajmowała się swoją robotą. Wychodziła, wracała, porządkowała.

– Musicie obejrzeć krowę, wujku Iwanie! Drugiej takiej nie ma na świecie! Mamy od niej tyle mleka, że nie dajemy rady, ja i Csobán! No a owce!...

Iwan odłożył kozik przed sobą na stół. Kozik stuknął.

– Twój pies nazywa się Csobán?

– Tak. Czemu pytacie?

– Ty jesteś tą... stamtąd, znad Urszu?

Oblicze kobiety spoważniało. Jej oczy badawczo obserwowały kudłate oblicze strażnika leśnego.

– Tak.

Milczeli oboje. Iwan sztywno wpatrywał się w podłogę, kobieta w Iwana.

– To problem?

Pytanie było ciche. Mimo to mężczyzna poderwał głowę jak ktoś, w kim ów głos dotknął duszy.

– Nie, ależ skąd! – wyrzucił z siebie szybko, poczerwieniawszy – tyle że... tyle że słyszałem o tobie...

– Ludzie...

– Nie, nie – przerwał kobiecie – wszystko jedno, co mówią ludzie. Ludzie są głupi i szaleni.

Lecz jego głos był zmieszany, a słowa utykały. Wokół ust kobiety błąkał się uśmiech pełen gorczy, jaki można zobaczyć u ludzi starych.

– Nie, wujku Iwanie. Powiedzmy to tak, jak jest. Ludzie nie są głupi i nie są szaleni. Ludzie wiedzą, co i dlaczego mówią. Tylko jednego nie wiedzą: dlaczego to, o czym mówią, dlaczego to jest tak, jak jest. Tego nie wiedzą, a zresztą wcale nawet ich to nie interesuje. A przecież...

Iwan przypatrywał się temu gorzkiemu uśmiechowi kobiety i tak pomyślał:

jaka ona jest stara. Piękna, młoda, nie ma więcej niż siedemnaście lat, wręcz jeszcze dziecko... a mimo wszystko jaka stara.

– Co chciałaś powiedzieć? – rzucił, kiedy kobieta utknęła. Ta ledwie zauważalnie zadrzała i odwróciła się.

– Nic. Nie obejrzyście krowy?

Iwan skinął głową i wstał. Czuł i on, że więcej nie mają co o tym rozmawiać. Poglaskał blat stołu i uśmiechnął się.

– O czym pomyśleliście? – zapytała młoda kobieta, spojrzawszy nań z zaciekawieniem.

– Zgadnij, jeśli potrafisz! – przekomarzał się Iwan i roześmiany, zajrzał w zielone oczy.

– Mam zgadnąć? – oczy kobiety dziwnie rozbłysły i naraz stały się ostre, przenikliwie ostre, jak lód albo jak ostrze kosy. – Mam zgadnąć? – powtórzyła pytanie niemal z groźbą i bliżej podeszła do Iwana. Oczy utkwiała w jego oczach i stała tam tak przez chwilę. W końcu roześmiała się cicho, a od tego zelżała w niej sztywność. Kobieta oparła się o stół i rzekła: – W waszych oczach można czytać, wujku Iwanie. Mam powiedzieć? Pomyśleliście o tym, że to wy sami zrobiliście ten stół. Sami wyheblowaliście jego blat na gładko, sami go polerowaliście, żeby tak lśnił. A gdybyście byli wiedzieli...

– Zamilcz! – Iwan przerwał jej niemal grubiańsko. – Naprawdę jesteś czarownicą! Naprawdę!

I spojrzął na nią z przestraczem, a i ze zdumieniem. Ona zaś śmiała się w głos tym gruchającym, ciepłym śmiechem.

– No nieprawdaż? I wy sami tak mówicie! No ale teraz chodźcie, niechże wam pokażę krowę. Chodźcie!

I lekkim, wesołym krokiem ruszyła przed nim. Gwałtowny podmuch wiatru załopotał w drzwiach czerwoną spódnicą. Dopiero wtedy Iwan dostrzegł, że jest bosa, i zobaczył, jakie małe i wąskie ma stopy.

– Słuchaj... ty nie masz butów?

Kobieta zatrzymała się, zdziwiona, i spojrzała wstecz.

– Butów? Oczywiście, że mam! I buty z cholewami, i kierpce. Ale tak jest wygodniej. No chodźcie już! Nie jesteście ciekawi naszej krowy?

Podczas gdy oglądali krowę, owce, kozy, kury i koguty, Iwan okiem starannego gospodarza zmierzył siano stojące w kopie i narąbane drewno na opał. Jeśli zima będzie długa, siana nie wystarczy – stwierdził w duchu – opału zaś w żadnym razie nie wystarczy. Ale nie wspomniał o tym. Pochwalił krowę, owce, kozy, wszystko. Potem pożegnał się.

– To ja już pójdę. Jakiegoś polecenia nie zostawił? Kobieta potrząsnęła głową.

– Nie.

I oboje wiedzieli, o kim mowa.

– No to z Panem Bogiem, młoda gospodyni. Od czasu do czasu zajrzę tu do ciebie. Żeby cię nie porwały wilki, dlatego!

Śmiał się. Szeroko, życzliwie. Młoda kobieta podeszła do niego i położyła mu rękę na ramieniu.

– My będziemy dobrymi przyjaciółmi, wujku Iwanie. Prawda? Ja to wiem!

I zajrzała mu w oczy. Poprzez oczy może wprost w serce.

– Yhm – odchrząknął Iwan – tylko to chcę powiedzieć, że o drewno to się nie martw, a i o siano, jeśli zbraknie...

– Też coś, przestańcie już – kobieta zaśmiała się w głos i żartobliwie uderzyła go piąstką w plecy – cóż z tego, że starzec, skoro wciąż taki jak dziecko!

I z tym wesołym śmiechem wbiegła do domu.

– Przypalą mi się kartofle! – zawołała z progu.

Iwan w zamyśleniu podązał w dół buczyną. Psy złapały trop, odbiegły gdzieś, nawet tego nie zauważył. Poderwało go dopiero to, że ujadają w jarze, w stronę Sestiny.

Dwa Dudáse natknęły się na stado dzików. Razem było osiem sztuk, trzy duże i pięć małych. Dogonił je daleko u podnóża Iszticsó. Ustrzelił spośród nich jednego warchlaka, reszcie pozwolił uciec. Zawołał też z powrotem psy, po czym wypatroszył dzika, zarzucił go sobie na plecy i ruszył z nim do domu. Podniecenie polowania, no i dźwiganie, wszystko to odwróciło jego myśli od domu na hali Komárnyik. Dopiero wieczorem, kiedy już siedzieli tam na kwaterze, przy piecu, a i mięso warchlaka było już sprawione jak należy, i mieli też za sobą kolację i nabite cisowe fajki, wtedy znów przypomniało mu się to wszystko, co zdarzyło się rankiem. Palił fajkę, Birtalan też palił swoją, i milczeli. Rósł wokół nich dym, a na zewnątrz ze zwykłą sennością szumiał Szalárd.

– Ano to ona – rzekł naraz i spojrzał na Birtalana. Ten skinął znad fajki.

– Od razu tak pomyślałem. Panicz?

– Dzisiaj rano wrócił do domu. Przez Fileháza.

– Aha.

Po czym więcej już się nie odezwali, tylko tak siedzieli, palili fajki, milczeli. Potem widać było przez okno, jak tam na dworze wschodzi księżyc. Był niemal w pełni, lśniący i płaski.

Później zagrział gdzieś strzał. Ledwo go było słyszeć, mimo to jednocześnie poderwali głowy.

– Dumitru – rzekł Iwan.

– On – potwierdził Birtalan – odezwał się nad Pável.

– Nie. Raczej na szczycie Benedek.

– Możliwe. O jednego basiora przecie znów jest mniej.

Potem słyszeć było już tylko cichy trzask ognia i szum potoku tam w dole,

i księżycową noc, jak nasycala sobą wysokie góry.

Niedługo potem spadł śnieg. Jelenie ściągnęły w dół, gdzie więcej było brzoź i olch, niedźwiedzie zaś zapadły w sen w skalnych pieczarach na Dószul Fulgeruj. Tylko sarny pozostały na swoich miejscach, z pełną smutku wiernością, a na zaśnieżonych połoninach polowały samotne rysie.

Śnieg padał dwa tygodnie niemal bez ustanku. Kiedy znów wychyliło się słońce, las był niczym zaczarowany pałac rusałek. Wszędzie olśniewające kolumny, łuki o koronkowych wzorach, osobliwe skrzące się kwiaty, miękkie nisze. Serca potoków biły skądś z głęбини, spod ziemi, i ledwie było je słyszeć w ciszy zalegającej na delikatnym puchu.

Wysoko, wokół hali Komárnyik, świat jakby otulił się stężalą ciszą. Kobieta codziennie odgarniała łopatą śnieg wokół domu, szopy, wokół drewni i w dół aż do źródła. Odgarniała go rano i potem znów odgarniała go wieczorem. A raniem mogła zaczynać od początku. Przez bite dwa tygodnie. W końcu zaświeciło słońce. Śnieg skrzypiał pod kierpcami, a gdy kobieta otworzyła drzwi szopy, buchnęła ze środka para.

Do popołudnia powietrze ochłodziło się jeszcze bardziej. Wieczorem drzewa tam w dole już trzeszczały od mrozu. Na rano woda w wiadrze przy piecu zamarzała do dna.

Kobieta oporządziła zwierzęta, po czym usiadła przy piecu, wzięła do ręki kądziel i zaczęła prząść. Biała nitka wełny biegła wartko, mijał czas. Słońce zaglądało przez okno, niekiedy cicho strzelił jakiś gont na dachu, przyjaźnie trzaskał ogień.

A mimo wszystko kobietę ogarnął nagle dziwny niepokój. Nie wiedziała, co to jest. Odłożyła kądziel i podeszła do okna. Polana nieporuszenie błyszczała oślepiającą bielą i daleko w górę, aż po choinę, nie przecinał jej nawet jeden jedyny ślad. Kobieta stała tam przez jakiś czas, nareszcie wróciła do ognia. Dorzuciła weń drewna, na powrót wzięła do ręki kądziel, usiadła i przędła. Lecz niepokój nie mijał. Był w niej, czuła go i nie potrafiła uwolnić się od niego.

Znów odłożyła kądziel. Podeszła do drzwi i rozwarła je. W twarz uderzyło ją ostre, dławiące mrozem powietrze. Czuła w nozdrzach ten ziąb. Zdjęła z gwoźdźcia wielką chustę, narzuciła ją na siebie i wyszła. Jakiś czas patrzyła na las, po czym poszła do szopy i sprawdziła zwierzęta. Był tam także pies, w sianie, pośród owiec.

– Możesz przyjść do domu – rzuciła mu – możesz przyjść, nie mam nic przeciwko temu.

Pies spojrział na nią, lecz nie poruszył się. Leżał tam zwinięty w kłębek i mrużył oczy.

– Nie rozumiesz?! – zawołała nań niecierpliwie. – Możesz przyjść! Jestem sama, nie rozumiesz?!

Powiedziała to głośno i nawet zdziwiła się, słysząc słowo, którego użyła. Sama? No a czy i do tej pory nie była sama? Zawsze? Przez całe swoje życie?

Kiedy czekała na tatę, przez długie zimowe miesiące tam nad Urszu? Albo kiedy już nawet i nie czekała, tylko zanosila mu na górę jedzenie, raz dziennie, raz na dwa dni, jak się trafiało, wysoko, tam gdzie były piece, węgiel? Czyż nie była zawsze sama?

Dlaczego przyszło jej to do głowy właśnie teraz? Tak nagle, właśnie teraz? Zostawiła psa w szopie. Zamknęła za sobą drzwi, oparła się o ścianę i patrzyła na las. Czyż nie dość była sama, żeby przyzwyczać się do tego? I czy tak nie było dobrze i pięknie, że była sama? I dlaczego właśnie teraz...? Dlaczego właśnie teraz wymknęło jej się z ust to dziwne słowo? Sama...

Myślała o tacie, o domu nad potokiem Urszu i o piecach tam w górze, pod Tronem Bożym, i nie czuła w sobie żadnego żalu, że to wszystko przeminęło. I na próżno mocno chciała pomyśleć o tamtym wszystkim, na próżno mocno, bardzo mocno chciała zobaczyć tamto wszystko, tatę i okrągły dom, i piece... ów obraz wciąż ginął jej we mgle, a zamiast niego pojawiała się koliba zbudowana ze świeżo ściętych gałęzi i źródło, i łąka pełna kwiatów... na próżno ten widok odpędzała, powracał wciąż od nowa, i wręcz słyszała też szum choin, świerków na Istenszêke, tam wysoko na szczycie, i od tego oczy z wolna zasły jej łzami.

Zaczęła marznąć. I wraz z tym uczuciem chłodu znów powrócił ów wcześniejszy dziwny niepokój. Ścisłej zebrała chustę i poruszyła się, żeby pójść z powrotem do domu. Nawet i już postąpiła kilka kroków, gdy nagle coś ją pochwyciło za nogi. Coś ją pochwyciło i zatrzymało. W sercu zabiło jej nerwowe podniecenie i musiała się odwrócić, i musiała popatrzeć w dół ku buczynie. Musiała. A w dole, głęboko w dole pomiędzy pogrzebanymi drzewami poruszał się w śniegu jakiś człowiek.

Czuła, jak jakaś przestraszona ręka chwyta ją za serce i jak od tego zadzwoniły jej zęby. Stała więc tylko i patrzyła na owego człowieka, jak powoli, bardzo powoli brnie w górę. Czasem po kolana zapadał się w śniegu, czasem do połowy ud. Powoli, z trudem wydeptywał sobie ślad w górę. Na głowie dziwnie kołysała mu się czapa z baranich skór, w ręce trzymał długi, prosty kij, na nim się wspierał. Człowiek zbliżał się. Można już było dojrzeć okręconą wokół jego szyi wielką niebieską chustę z wełny, pęczniący mu u boku worek, jego brodę, która ponad śniegiem zdawała się żółta.

Kobieta z wolna uspokoiła się. Strach przeminął. Poznała tego człowieka. Nawet wyszła mu naprzeciw do źródła.

– Witajcie, Bóg was przywiódł, wujku Birtalanie!

Stary zatrzymał się kilka kroków poniżej. Zdjął czapę i wierzchem dłoni otarł sobie czoło.

– A niech licha weźmie to mnóstwo śniegu! Zginie w nim człowiek. – Po czym dokładniej przyjrzał się kobiecie. – A więc jesteś tu. No popatrz, popatrz. Któż by pomyślał! Kiedy razem łapaliśmy ryby, wcale nie było ciebie widać ze

śniegu. Masz na imię Nuca, prawda?

– Tak – potwierdziła kobieta i uśmiechnęła się. – Wejdźcie, wujku Birtalanie! Zimno tu.

Weszli do chaty. Jeszcze w progu na zewnątrz stary otrzepał się ze śniegu, jak się godzi, i dopiero potem postąpił dalej. Czapę i kożuszek powiesił na gwoździu nad piecem.

– To ja wbiłem tutaj ten gwóźdź – powiedział dla objaśnienia – właśnie po to, widzisz.

Po czym wygrzebał z worka kilka ryb zamarzniętych na kamień.

– I przyniosłem coś, widzisz. Bo tu w górze ich nie ma, dlatego. Usiadł na ławce przy piecu, powolutku powiódł wzrokiem wokół i pokiwał głową.

– Czystość i porządek. To ważne, widzisz. Czystość i porządek. – Po czym westchnął i spuścił wzrok na podłogę. – Ano przyszedłem tu na górę, widzisz.

Kobieta też usiadła, wzięła do ręki kądziel. I raptem znów poczuła w sobie ów dziwny niepokój. Patrzyła na starego i czekała, żeby zaczął mówić. Bała się tego, a mimo wszystko czekała na to. Coś wisiało w powietrzu pomiędzy nimi, coś nie do opisania, coś, czego trzeba było się bać.

Birtalan milczał. Przyglądał się swoim kierpcom i wodzie, która z nich powoli spływa i zbierała się jako ciemna kałuża na deskach podłogi.

– Otóż to, otóż to – rzekł powoli – widzisz, tak to z bieli robi się czerń.

Ręka kobiety zadrżała na nitce wełny.

– Mówcie, wujku Birtalanie!

Stary podniósł na nią wzrok, po czym sięgnął do worka.

– Czekaj no, jest tu jeszcze coś dla ciebie.

Wyciągnął pakunek owinięty w papier. Rozwijał go ze starczą powolnością. W pakunku były małe kolorowe szkatułki, papierowe torebki, różności.

– Przysyłają to dla ciebie, Nuca. W papierku są kolorowe cukierki, a to tutaj to jakiś rodzaj mydła. Te tu zaś szkatułki to taka pańska przebiegłość, zamiast krzesiwka. Spójrz no! Człowiek wyjmuje taką szczapkę, następnie przeciąga nią po boku takiej szkatułki, o tak, no i... proszę! Jest ogień!

Zapałka z trzaskiem płonęła w jego palcach, przyglądali się temu oboje.

– Masz, trzymaj! Nazywa się to bezpieczna podpałka. Tak na niej wypisano. Na!

Kobieta wzięła te rzeczy i odłożyła na bok, w kąt pieca.

– Nie kładź tego przy ogniu, bo się zapali – ostrzegł ją Birtalan. Wstała, położyła wszystko wyżej na półkę i z powrotem usiadła naprzeciw starego. Od tłumionego napięcia powietrze pomiędzy nimi stawało się coraz bardziej duszne. Czowała je już w gardle. Miała ochotę krzyknąć, żeby wreszcie to wypowiedział! Jednak milczała. Rwała kądziel, podkręcała nić i przędła. Lecz w gardle czuła suchość, a czoło jej płonęło.

Birtalan znów przyglądał się kałuży na podłodze, powstałej wokół jego kierpców.

– Jest też i co innego. Wiele różnych rzeczy potrzebnych na zimę. Ale to jest jeszcze na dole w workach. U Gyerkó. Trzeba to będzie przywieźć końmi, jak udepcze się dróżka. Kasza, tłuszcz, słonina, wędzone mięso i wiele innych rzeczy. Koc, zimowa gunia, czy co tam jeszcze. Sześć pełnych worków. Przyniosą to potem na górę dwa konie. Tylko musimy udeptać ścieżkę, wiesz. Wcześniej nie da rady.

Kobieta nie wytrzymała dłużej. Kądział wypadła jej z ręki, a ona sama pochyliła się i badawczo wejrzała w twarz staroego.

– Kiedy przyjedzie?

Birtalan spojrział na nią, po czym podrapał się po głowie.

– To było tak, wiesz, że kiedy przestał padać śnieg, ja poszedłem na dół. Żeby zobaczyć, jak duży jest śnieg nad potokiem, dlatego. No więc śnieg jest duży. Duży. Lecz mimo to dotarłem na dół tak w południe. Gyerkó powiedział, żebym nie szedł z powrotem, tylko zaczekał do następnego dnia. Złapie mnie w drodze zmrok, no i tak dalej. Nie dlatego, wiesz, ale ja i tak nie miałem nic do roboty. Czekałem. Pod wieczór, akurat zaczęło zmierzchać, raptem słyszemy, że na dworze szczeka pies. „Co, u diaska – mówi Gyerkó – czyżby lichy przyniosło przekupniów targowych, w taki śnieg?!”. Wyglądamy, no a tam w śniegu szarpią się z zakrętu jakieś sanie. Od strony Ratosnyi. Konie z trudem wydeptują śnieg. Od razu poznajemy konie, no i woźnicę też. Byli z dworu w Disznajó.

– Jego nie było w saniach?

– Nie. Tylko ten woźnica. I worki, o których mówiłem. Oraz ten mały pakunek. Ten pakunek woźnica dał mi osobno. Powiada, że jemu przekazał to jakiś adwokat w Régen, który z kolei przywiózł to z Kolozsváru. A zaś tamtemu wcisnął to w garść panicz, nim wsiadł do parowej maszyny. Z nakazem, żeby to posłać na Komárnyik...

Kobieta pochyliła się w przód, chwyciła starca za ramię. Jej palce zacisnęły się kurczowo.

– Kiedy wróci, to mi powiedzcie!

Birtalan podniósł wzrok, prosto w przestraszone oczy kobiety.

– Na wiosnę. Tak powiedział woźnica.

Ręka opadła. Nareszcie kobieta wyprostowała się i siedziała tak bez ruchu. Jej oczy utkwione były w podłogę, na czole pogłębiła się jakaś dziwna zmarszczka.

– Pan wysłał go za granicę – cicho dorzucił Birtalan – tak powiedział woźnica. Za granicę. Uczyć się czy co.

Przez dłuższy czas siedzieli w milczeniu. Ogień począł przygasać, a pomiędzy belki wcisnął się mroźny zapach zimy. Później kobieta poruszyła się, westchnęła i wstała. Dorzuciła drewno do ognia. Płomień ożywił się z trzaskiem

i wnet na powrót zaczęło się rozchodzić ciepło. Kobieta postawiła garnek na ogniu, przygotowała obiad. Nakryła stół.

– Tak, tak – mruknął Birtalan i sam też westchnął – ano tak. Bez słowa jedli zupę. Tam na zewnątrz słońce odwróciło się w drugą stronę, na polanie rozciągnął się cień i także spłynął na izbę. Nareszcie Birtalan otarł sobie usta i wstał.

– Drewna masz dość?

– Tak, wujku Birtalanie.

– Masz wszystko?

– Tak, wujku Birtalanie.

– Jakby czego było trzeba, tylko powiedz!

– Niczego nie trzeba, wujku Birtalanie. Stary podrapał się po głowie.

– Bardzo cicho ty mówisz, a i bardzo łagodnie. Nie lubię tego. Wolę, kiedy białogłowy w twoim wieku są głośne.

Kobieta uśmiechnęła się smutno.

– Będę ja jeszcze i głośna, wujku Birtalanie. Może kiedy innym razem.

Stary porozglądał się jeszcze trochę, podreptał w miejscu, w końcu poszedł. Kobieta patrzyła za nim z progu. Podniecenie w niej minęło, miejsce porannego niepokoju zajęła jakaś twarda, surowa drętwa. Już nie czuła bicia serca. Myśli jej się uspokoiły. Oczy spojrzwały w górę na wierzchołki opromienionych słońcem drzew i dostrzegły wielkiego, czarnego dziecięcia.

A więc to było to – pomyślała – to...

I było wręcz dobrze, że obawa tajemniczego przeczucia, która tak naprawdę już od wielu dni wisiała wokół niej niczym jakiś niewidzialny upiorny cień, naraz przeobraziła się w rzeczywistość. Wręcz przyoblekła się w ciało, poprzez myśli stała się namacalna, wymierna.

Odjechał. Dokąd to? Co mówił stary? Wszystko jedno. Dokądś. Jeśli raz odszedł, to już wszystko jedno dokąd. Kiedy wróci? Wiosną. Wiosna. To długi czas. No a kiedy powiedzieli, że tata nie wróci przez pięć lat, a ona zaczęła czekać? Wiosna to dużo szybciej aniżeli pięć lat. Teraz jest śnieg. Kiedy on w całości stopnieje, to oznaczać będzie wiosnę. Będzie mu się przyglądać, jak maleje. Codziennie o grubość jednego palca? Czy ubywa go codziennie o grubość jednego palca? Będzie to mierzyć, tak...

Jednak... mógł przyjść, pożegnać się. Albo też... czy to dobrze żegnać się? Wiedzieć, że jeszcze jeden dzień, jeden wieczór... już tylko jeden wieczór, jedna nocka... już tylko jedna nocka... już zaraz będzie świtać... jeszcze ostatni uścisk, ostatni pocałunek... nie, nie jest dobrze wiedzieć o tym. Tak jest lepiej. Odjechał dokądś, bo z pewnością nie mogło być inaczej. Na wiosnę wróci. Nic nie można na to poradzić; wyczekiwać trzeba wiosny.

Omiotła wzrokiem rozległą pustą polanę i cichutko westchnęła. Weszła z powrotem do domu i zamknęła drzwi. Było zimno. Podsyciła ogień, potem

naniosiła drewna z drewutni, pomyła naczynia, nakarmiła zwierzęta i nim uporowała się i z dojeniem, zapadł już wieczór. Zapaliła wiszący nad stołem kaganek, zapaliła go jedną taką dziwną szczapką, którą on przysłał, i już musiała się uśmiechnąć. Bo przypomniało jej się, jak stary wypowiedział nazwę tych szczapek: bezpieczna podpałka. Nareszcie usiadła przy piecu i wyciągnęła kądziel. Trzaskał ogień, wrzeczono kręciło się w jej ręce, kaganek mrugał nad stołem i z wolna ustawiły się wokół nich sprawy świata w jakimś przyzwoitym, poważnym porządku. Krowa, owce, pies, Komárnyk, wujek Iwan i wujek Birtalan, i on, i wiosna, która nadejdzie. I wtedy naraz przyszło jej do głowy, że poprosi Iwana, żeby naliczył tyle tych małych ognistych szczapek, ile potrzeba do wiosny, i potem każdego wieczoru przy zapalaniu kaganka jedna z nich spłonie, a ona pomyśli, że znów ich o jedną mniej zostało. Jak tam nad Urszu, ongiś...

Bezpieczna podpałka – przypomniało jej się to dziwne określenie i roześmiała się wesoło, głośno.

Kilka dni później strażnicy leśni przynieśli od Gyerkó rzeczy. Zręcznie przymocowane pasami do grzbietów dwóch górskich koni. Konie z trudem wdrapywały się w śniegu, a nim dotarły na górę pod dom, ich długie zimowe włosie buchało parą z potu. Szlak przecierał przed nimi Iwan, Birtalan włókł się z tyłu, tak oto przyszli.

Najpierw zdjęli z koni worki i pownosili wszystko do domu. Konie wytarli wiechciem, zaprowadzili do szopy, a potem obaj – i Iwan, i Birtalan – zaszli do kobiety. Ta zaś stała tam pośrodku izby, z wielkimi, szeroko otwartymi oczami, i gapiła się na rzeczy, które ukazywały się z worków. Jeszcze nigdy w życiu nie widziała tylu skarbów naraz!

Bo w jednym z worków była sama kasza. W drugim – wielkie połacie słoniny, szynki, kiełbasy. W trzecim – bańka tłuszczu, pokrajany drobno, suszony makaron, kompoty. Garnki, kociołki, rozmaite naczynia. W czwartym – głowy cukru ubrane w niebieski papier, słoiki z miodem, jabłka, orzechy. W piątym – wyszywany w tulipany zgrabny kożuszek z futrzanym kołnierzem, czerwone buty z cholewami, pięknie uszyta spódnica, koszule z koronkowymi rękawami. W szóstym – lniane prześcieradła, ścierki, haftowane poduszki, obrusy, zasłonki. A pod tym wszystkim włochaciły się trzy olbrzymie białe przykrycia, ciężkie, grube koce z długim włosiem.

Izbę przykryło całe mnóstwo rzeczy. Kobieta zaś brała do ręki to to, to tamto. Klaskała, śmiała się w głos, dziwiła się, czasem wydawała głośny okrzyk, czasem z otwartą buzią dotykała którejś poduszki, któregoś obrusa, którejś sztuki odzienia. A obaj starsi mężczyźni siedzieli cicho na ławce przy piecu i niekiedy spoglądali po sobie i uśmiechali się. W pewnym momencie kobieta aż zaśmiała się na całe gardło, tam pośrodku izby, pochwyciła z ziemi kilka części ubrania i uskoczyła z nimi niczym sarna do drugiej izby. Słysząc było, jak za drzwiami

szeleszczą szmatki. Obaj starsi mężczyźni wbili wzrok w ziemię, jednak każdy z nich uśmiechał się w duchu.

Wreszcie drzwi się otwarły i stanęła przed nimi kobieta. Ta kobieta? Nie. Jakaś inna kobieta. Obaj strażnicy leśni jednocześnie unieśli głowy. Nawet rozdziawili gęby. Stała przed nimi jakaś olśniewająca młoda kobieta o wspaniałej urodzie, jakaś młoda majętna gospodyni, kobieta o błyszczących oczach, zarumienionych policzkach, w czerwonych bucikach z cholewami, w pasującej na tańce, suto marszczonej kolorowej spódnicy, w białym kożuszku wyszywanym w tulipany, w bogatej jedwabnej chuście na głowie, chuście okrywającej lśniące złotem włosy. A jak stanęła tam w progu! W pełnej krasie, w dumnej postawie, wręcz hardo, jak ktoś, kto nigdy nie chodził w inny sposób.

– No nie no! – Birtalan odezwał się pierwszy. – Ależ zrobiła się z ciebie przystojna seklerska młoda gospodyni! Tak w naszych stronach chodzą żony zamożnych gospodarzy na niedzielną sumę.

– Tak, żony zamożnych gospodarzy – przytaknął też Iwan – co mają sześć wołów, uwiązanych w oborze, dwa dobre konie, wiele cieląt, krów, owiec. Dwieście mórg ziemi, tuczniaka w chlewie. Gospodynie, przed którymi mężczyźni w pośpiechu zdejmują czapki z głów na drodze, a biedacy wstępują do ich domów jedynie tylnymi drzwiami, w pokorze...

Kobieta tam w progu wybuchnęła śmiechem.

– Szaleńcy! Dwaj starzy szaleńcy! – I śmiała się, zakręciwszy się na obcasie, klaskała i zaśmiewała się. – Dajcież spokój, dajcież spokój! Nie chcę ja być żoną majętnego gospodarza, gdzieżbym tam chciała! Dajcież spokój, dwaj szaleńcy!

I z głośnym śmiechem turlała się po rozpostartych na podłodze olbrzymich wełnianych kocach, tak jak stała, w czerwonych bucikach z cholewami, w odświętnej spódnicy, w kożuszku z tulipanami, w jedwabnej chuście, i zaśmiewała się, zaśmiewała się w głos.

Śmiali się w głos także dwaj brodaci starsi mężczyźni na ławce, śmiało się słońce tam na zewnątrz, na oszronionych drzewach, wszystko się śmiało. Nareszcie kobieta przerwała ten śmiech, usiadła na wełnianym przykryciu i zapytała:

– Powiedzcie no, czy przynajmniej jestem ładna! Co?

– Jak Najświętsza Panienska na ikonach – odrzekł Iwan z przekonaniem.

Na te słowa z kobiety znów trysnął śmiech. Lecz Birtalan podniósł kościsty, suchy palec, który był jakby z samej kości, i zapytał:

– Powiedz raczej, ile ty masz lat! Kobieta wzruszyła ramionami.

– Nie liczyłam. Chyba siedemnaście. Może szesnaście. Czy ja wiem?! Jestem!

– Tak, tak – skinął Birtalan – siedemnaście. Mogłabyś mieć i osiemnaście, i dziewiętnaście. Nawet i dwadzieścia. Lecz kto ma tyle lat, co ty, temu jeszcze nie wypada pytać, czy jest ładny, czy nie! Słyszysz czy nie?!

– A czemu nie? – oczy kobiety zrobiły się okrągłe.
– Bo w tym wieku jeszcze sama młodość jest piękna, a nie ten, kogo ona odziewa. Tak to jest.

– Tak, tak – przytaknął Iwan ze smutkiem.

Kobieta podniosła się z koca i podeszła do nich bliżej.

– Czy wy jesteście już bardzo starzy? – spytała poważnie, a jej głos pełen był współczucia.

– Bardzo? – Birtalan spuścił nos na kwintę. – Bardzo nie. Tylko starzy.

– Jakie to jest, wujku Birtalanie? Ile lat potrzeba do tego? Drobny brodaty człowiek od ryb ze zdziwieniem spojrzął na kobietę. Gryzł, żuł to pytanie i dopiero po pewnym czasie tak odparł:

– Jakie? To trudno opowiedzieć. Bo dla każdego jest inne. To i zmęczenie, i odpoczynek. I naprzód, i wstecz. Jak kiedy docierasz na górski grzbiet i widzisz wokół siebie lasy. I to zbocze, skąd przyszłaś, i także tamto, po którym musisz pójść w dół. To znaczy... mam na myśli to, że widzisz czubki drzew. Ale to, co pod nimi, to tylko sobie tak wyobrażasz. Pamiętasz to, co było, i z tego próbujesz wyobrazić sobie to, co będzie. Ano tak to właśnie jest. Ile lat potrzeba do tego? Do grzbietu? Nim dotrzesz tam, na górę? O to pytasz?

– Yhm – kobieta przytaknęła, a oczy miała poważne.

– No wiesz, tego nie da się dokładnie powiedzieć. Są grzbiety niskie i są grzbiety wysokie. Są stoki krótkie, strome, po których ciągle tylko wdrapujesz się i pocisz, i wdrapujesz się i pocisz, i wdrapujesz się i pocisz, i raptem jesteś na szczycie. A są znów zbocza powolne, łagodnie opadające, z wieloma lekko nachylonymi partiami i jedynie niewielkimi stromiznami. Po takich stokach człowiek dociera na górę wolniej, ale wygodniej. Różnie to bywa.

– A wy, wujku Birtalanie, ile macie lat?

– Ja? – Na moment starego ogarnęło zdumienie. – Czekał no! Pięćdziesiąt lat miałem... to było dawno. Sześćdziesiąt... tyle też już miałam, o tak. Doczekałem już tak z sześćdziesięciu kilku lat, wiesz. Może sześćdziesięciu pięciu...

– A wy, wujku Iwanie?

– Iwan? – Birtalan machnął ręką. – On to jeszcze młodzian. Pięćdziesiąt?

– Czterdzieści dziewięć – ochryple poprawił go Rosjanin – czterdzieści dziewięć...

I westchnął. Także Birtalan westchnął.

– Mówię, zbocza prowadzące na górski grzbiet nie są jednakowe.

Kobieta patrzyła, to na jednego, to na drugiego.

– Jacy wy jesteście starzy... jacy dziwni... Nareszcie Birtalan trzepnął się po kolanie.

– No! – rzucił i spojrzął na Iwana. – Musimy jeszcze zaprowadzić konie z powrotem na dół, do Gyerkó.

Obaj jednocześnie powstali, jednocześnie sięgnęli po futrzane czapy.

– Ano, młoda gospodyni, dużo zdrowia, sił!

– Dziękuję za waszą dobroć, wujku Birtalanie. Ale powiedzcie jeszcze, gdzie ja mam schować to całe bogactwo? Gdzie?

Podłoga domu była wprost zasłana tą masą rozmaitych rzeczy, że nawet nie było jak postawić tam nogi.

Rosjanin rozejrzył się po pokoju.

– Zrobimy na te rzeczy szafę i skrzynię. Dobrze?

– Dobrze, wujku Iwanie, dobrze!

– No, niechże Bóg ci błogosławi!

– Niech Bóg wam błogosławi! I pięknie dziękuję!

Kiedy została już sama, do wieczora porządkowała, krzątała się, układała rzeczy tu i tam. Wąchała zawartość flaszek, baniek, odgryzła koniuszki głowom cukru, skosztowała słoniny, szynki, kielbas; na tym zszedł jej dzień. Wieczorem zdjęła odświętne nowe ubranie i zniosła je do drugiej izby, do tej niezamieszkaanej. Wszystko bardzo porządnie powiesiła na gwoździu nad pustym łóżkiem, na którym niegdyś wisiała strzelba. Raz jeszcze pogłaskała jedwabistą materię ubrania, pogłaskała puste łóżko, cicho westchnęła i wyszła. Drzwi zamknęła ostrożnie, jakby zostawiała tam w środku śpiącego, jakiegoś miłego śpiącego, którego nie wolno jeszcze zbudzić.

Podeszła do okna i wyjrzała. Na zewnątrz gwiazdy lśniły, skrząc się zimno, pod nimi w bezruchu stał zaśnieżony las, wiosna była jeszcze bardzo daleko.

Dni, jeden za drugim, zlewały się. Krótkie dni, długie noce. Dojenie, karmienie zwierząt, noszenie siana, usuwanie gnoju, drewno, woda, ogień, wszystko zlewało się w jedno, jak zlewają się drobne szare perły, gdy czas nawleka je na sznur. Przy ogniu, wieczorem kądziel... ubywało wełny, mnożyły się kłębki nitek... w zimnym słońcu czasem przeszła przez polanę jedna i druga zmęczona sarna, czasem od mrozu mocno trzasnął nocą buk... tak to było. Taka to była zima, życie, prawo.

Aż w końcu przyszedł jeden wieczór. W pewien sposób już cały ten dzień był dziwny. Jakby ów wieczór poprzedzało jakieś napięte oczekiwanie. Gdy rankiem rozwarła drzwi, polana jakby stała się jakoś tak rozleglejsza. Słońce bardziej lśniące, wspanialsze. Śnieg miał zapach, jakiś taki przypominający wiosnę, dziwnie delikatny zapach. Później z okapu szopy poczęło popadywać, a niezadługo, tak w okolicy południa, przefrunęła nad domem wrona, wolno poruszając skrzydłami, i zasiadła na wierzchołku jednego z buków. Siedziała tam, opasła, spokojna, z piersią wyprężoną ku słońcu, i naraz wyciągnęła szyję, dziwnie ją wydłużywszy, i zaskrzeczała: „Kraa... kraa... kraa...”. Jej głos obiegł wysoko lasy i raptem jakby wszystko zwróciło nań uwagę. W którymś z jarów Sestiny przeraźliwie począł wołać dzięcioł. Od dołu nadszedł jakiś osobliwy, letni wiaterek

i jedno i drugie drzewo otrząsnęło się ledwie zauważalnie, a z gałęzi posypały się, plaskając o ziemię, wielkie miękkie strzępy śniegu.

Po południu buczyna była już brązowa. Przy źródle stał lód i na powłoce śniegu mrowiły się tysiące śnieżnych pchełek. Później opary podniosły się ku niebu, a świerki poczęły targać jakiś niesforny południowy wietrzyk. Coś wisiało w powietrzu, dobrze to czuła. Jakaś zmiana. Coś, co nadeszło. Nie była to wiosna, dobrze o tym wiedziała. Lecz coś, co się z nią wiąże, co jest niczym zachęta, niczym silna ręka, która wysuwa się z nicości i pokazuje, żeby się nie bać. Kobieta nie wiedziała, co to jest, jednak czuła, że gdzieś tam to jest i zbliża się, i przyjdzie.

Wałęsała się wokół domu i czekała. Później weszła do środka, nałożyła odświętne ubranie, czerwone buciki z cholewami i kożuszek w tulipany, i tak oto ubrana oparła się o ścianę domu. I czekała.

Potem słońce zaszło i nic się nie wydarzyło. Wiatr zmienił kierunek, a niebo przykryły chmury. Szybko zapadł zmrok. Nie było zimno, spod śniegu dochodziło dźwięczenie potoku.

Weszła do domu, rozczarowana. Zapaliła kaganek, usiadła w kącie przy piecu i czekała. Nagle w szopie zaczął szczekać pies. Wyprostowała się, nasłuchiwała z bijącym sercem. To tylko szczekał pies, nie było słyhać niczego innego. Trzaskał ogień.

Później jakby skrzypnęły drzwi szopy. Ale pies już nie szczekał. Wiatr zawył na strychu. Dziwnie wył, niczego innego poza nim nie było słyhać.

Kroki? W piecu jęknął ogień. Zapach dymu. Wiatr przydusił płomień, kaganek załopotał i westchnęła belka na strychu.

W końcu drzwi gwałtownie rozwarły się na oścież. Jakby to wcale nie ludzka ręka je otwierała. I stanęło w progu dwóch starszych mężczyzn o pokrytych śniegiem brodach, w ośnieżonych futrzanych czapach. A za nimi w słabym świetle kaganka widać było czarną noc, a w tej czarnej nocy wielkimi miękkimi płatkami sypał śnieg.

– Narodził się Jezus Chrystus.

– Na wieki wieków, amen.

Starsi mężczyźni weszli do środka. Było w nich, w tym, jak weszli, coś dostojnie odświętnego. Serce podeszło kobiecie do gardła i mocno waliło. Wstała, skłoniła głowę, nie odezwała się. Czuła, jak lzy przesłaniają jej oczy, a serce jakby chciało wyskoczyć z gardła. Czuła, że to chwila piękna i poważna, chwila pełna dostojności. Pamiętała, że kiedyś dawno temu słyszała już te słowa od dzieci z wioski, ale nie wiedziała, co oznaczają. Stała ze splecionymi rękoma i czekała.

Starsi mężczyźni weszli, zamknęli za sobą drzwi, zdjęli futrzane czapy i otrząsnąwszy je ze śniegu, stanęli jeden obok drugiego, uroczyście. I Birtalan tak zaczął:

Przybывая do was, niesимy новинę

*o zrodzonej tam w stajni, w żłobie dziecinie,
On to Pan jest, Jezus Chrystus, nasz Zbawiciel,
On od grzechów nas uwolni, Odkupiciel.*

A Iwan tak ciągnął:

*On na siebie wziął biedaków trudy, znoje,
marne losy sierot, gorzkie troski wdowie,
by nas z sobą w raj niebieski poprowadzić,
i na wieczność nas zbawieniem tam obdarzyć!*

Potem znów Birtalan:

*Pokój zatem niech będzie temu domowi,
rzychylność, łaska Boża jego ludowi.
Niech się dobrze bydło chowa, wszystko mnoży,
na każdego Pan błogosławieństwo złoży!*

I znów Iwan:

*Z Betlejem samego posłańcy tej wieści,
co wam w głowach nie może się wręcz pomieścić,
z szacunkiem prosimy, przyjmijcie nas w gości,
byśmy biedni pastuszkowie do wytchnienia doszli!
Amen.*

– No – odezwał się Birtalan – ściągnijmy kaftany, bo przemokną tającym śniegiem. O tak, no. Powieś go, dziewczyno, tam na gwoździu! Ty też, Iwan! Nie zabrudźmy całego domu w ten święty wigilijny wieczór. O tak, o. Jak święto, to święto.

Kobieta niemal z uniżeniem wzięła od nich pachnące wilgocią odzienie z samodziła i powiesiła je nad piecem.

– Usiądźcie, pastuszkowie, skoro przyszlście z tak daleka!

Jej głos był poważny, tak samo twarz, oczy. Poważni byli także obaj starsi mężczyźni. To nie był żart, o nie. To była poważna sprawa, piękna, poważna sprawa. Kobieta postawiła przed nimi na stole talerze, chleb, słoninę, kielbasę.

– Częstujcie się!

– Czekał! – rzekł Birtalan i począł grzebać w swoim worku. Wyjął jakąś zniszczoną, czarną książeczkę. Przerzucał w niej stroniczki. Iwan siedział obok

niego z opuszczoną głową, poważnie, nieruchomo. Następnie Birtalan począł czytać powoli, zacinając się. Pochylony, wręcz przygarbiony ponad książeczką, ciągnął kościsty żółty palec śladem jednego słowa za drugim. W żółtym świetle kaganka jego twarz była taka jak na wyblakłych obrazach w kościele. W długiej brodzie tu i tam zalśniła srebrna nitka. Jego cień wyciągnął się za nim na podłodze aż po kąt. I Birtalan czytał.

– A byli pasterze w onej krainie w polu nocujący i straż nocną trzymający nad stadem swoim. A oto Anioł Pański stanął podle nich. A chwała Pańska zewsząd je oświeciła. I bali się bojaźnią wielką. I rzekł do nich Anioł: nie bójcie się; bo oto zwiastuję wam radość wielką. Która będzie wszystkiemu ludowi. Iż się wam dziś narodził Zbawiciel. Który jest Chrystus Pan, w mieście Dawidowem. A to wam będzie za znak: znajdziecie niemowlętko uwinione w pieluszki, leżące w żłobie. A zaraz z onym Aniołem przybyło mnóstwo wojsk niebieskich, chwalaących Boga i mówiących: chwała na wysokościach Bogu, a na ziemi pokój, w ludziach dobre upodobanie...10.

Czyli: chwała na wysokościach Bogu, a na ziemi pokój, w ludziach dobre upodobanie. Amen.

Powolnymi ruchami Birtalan odłożył książeczkę, po czym łokciem szturchnął Iwana w bok.

– A teraz możemy wnieść do środka także to, co pozostało na zewnątrz.

Z tymi słowami wstali i podreptali do drzwi. Kobieta została sama. Siedziała bez ruchu w kącie przy piecu, a w głowie dźwięczały jej owe dziwne słowa i wszystko to było niczym sen. Chrystus, Bóg, pokój, dobre upodobanie11... słowa, słowa, znajomo nieznanne, o dostojnie tajemniczym znaczeniu, poza którymi gdzieś w niewidzialnym tle tego życia piętrzą się wielkie dostojne tajemnice, piętrzą się niczym góry, niczym wielkie góry, o tak... W pewien sposób wszystko to czuła, mimo że nie rozumiała poszczególnych słów, ich znaczenia. Czuła, że słowa te są tylko zasłonami, nieco nieprzejrzyście utkanymi zasłonami, które coś zakrywają, coś bardzo pięknego i bardzo potężnego, coś, co nie jest jeszcze dane oczom człowieka, by to ujrzały. Siedziała, a w uszach dźwięczały jej owe słowa i wszystko to było niczym piękny sen o głęboko tajemniczym sensie.

Nareszcie znów otwały się drzwi. Próg powolutku przestąpili dwaj przygarbieni kudłaci mężczyźni, taszcząc coś opasłego, wielkiego. Kiedy postawili to na podłodze, okazało się, że przydźwigali ogromną malowaną skrzynię.

– To zaś zrobiliśmy my sami, własnymi rękami, dla ciebie – rzekł Birtalan zachrypniętym głosem, zmiatając z wieka skrzyni jakiś paproch – żebyś nas zachowała w miłej pamięci.

Kobieta podeszła do nich.

– O mój Boże – szepnęła.

Stała przed skrzynią, a i przed dwoma starymi kudłatymi strażnikami

leśnymi, obie ręce przycisnąwszy do serca, a oczy z wolna zaszły jej łzami, sama nie wiedziała dlaczego.

– Dziękuję, wujku Birtalanie. Dziękuję, wujku Iwanie. Jesteście tacy dobrzy.

Nie rzekła nic więcej. Z oczu popłynęła jej łza i potoczyła się w dół po policzku. Kobieta szybko pochyliła się ku skrzyni, oglądała ją, gładziła. Była to ciężka, ogromna, dębowa skrzynia, cała wymalowana w czerwone tulipany na granatowym tle, z zielonymi drzewami, białymi kwiatami, rudymi sarnami, niedźwiedziami, jeleniami.

– Ja ją zbudowałem, Iwan zaś wymalował – rzeczowo oświadczył Birtalan, a przy tym odchrząknął, żeby przełknąć wzruszenie, które ich raptem ogarnęło.

– O mój Boże, jaka piękna!...

– Żebyś miała gdzie trzymać te rzeczy – tłumaczył Iwan.

– Ojej, wujku Iwanie...

– No a teraz zobaczmy, co my tu mamy do jedzenia! – Birtalan zmienił temat rozmowy i z młodzieńczym rozmachem klapnął na stołku przy stole. – Chodź, Iwan! Tam do licha, jesteśmy gośćmi pięknej młodej gospodyni, czy co?!

– Ojej, częstujcie się, częstujcie się! – również kobieta pośpieszyła do stołu.

– Czego jeszcze przynieść? Zagrzać mleka? Ugotować mamałygi z twarogiem?

Lecz jeszcze nawet i pierwszego kęsa dobrze nie przełknęli, gdy na dworze, za drzwiami znów odezwał się jakiś głos. Czysty, dźwięczny, młody głos zaśpiewał tak:

*Anioł z nieba
zszedł tutaj do was,
pasterze! Pasterze!
Pójdźcie w Betlejem,
by go co rychlej
zobaczyć. Zobaczyć.*

– Co to? – szepnęła kobieta, szeroko otwierając oczy.

Koziki stuknęły o stół. Obaj starsi mężczyźni powstali. Następnie Birtalan z wolna, uroczyście podszedł do drzwi i rozwarł je na oścież. W padającym śniegu stała tam na zewnątrz trójka dzieci, w jednym rzędzie, podług wzrostu, i tak śpiewała:

*Narodził się wam
tutaj Zbawiciel,
w żłobie On! W żłobie On!
W stajence leży,
z trzódką spoczywa,
zaiste! Zaiste...*

– Wejdźcie! – Birtalan zawołał do dzieci.

Te weszły. Stały nieśmiało jedno obok drugiego i gapiły się na kobietę.

– Jak tutaj trafiliście, co?

Odpowiedział najstarszy. Mógł mieć tak ze czternaście lat.

– Poszliśmy do was kolędować, jak zawsze. No a tam u was, w siedlisku, nikogo nie było. Ale zobaczyliśmy ślady, no tośmy tu przyszli.

– Dobrze zrobiliście – przytaknął stary – siadajcie ładnie na ławce, a co się wam należy, to dostaniecie.

Dzieci grzecznie przycupnęły na ławce, ściśle jedno przy drugim. Na kierpcach zaczął im tajać śnieg. Stary wziął kozik i z leżącej na stole słoniny odkroił trzy plastry. Potem i trzy pajdy chleba do tego. Dzieci wciąż jeszcze gapiły się na kobietę wybałuszonymi oczami.

– Naści wam – rzekł stary – jedzcie!

– Bardzo dziękujemy – najstarszy wstał, odebrał trzy pajdy chleba i trzy plastry słoniny i rozdzielił to pomiędzy swych młodszych braci. Birtalan zaczął grzebać w worku i wyciągnął trzy monety, każda po dziesięć grajcarów.

– I to jest dla was, na, macie.

Na to także Iwan zaczął grzebać w worku i również z jego worka pojawiły się trzy takie monety.

– I jeszcze to – rzekł – pięknie śpiewaliście.

– Oj, bardzo pięknie – odezwała się też kobieta spod pieca – jeszcze nigdy nie słyszałam tak pięknego śpiewu. Zaśpiewalibyście to od nowa? Dostaniecie po bryłce z głowy cukru. Zgoda?

– Dla was to my i darmo zaśpiewamy – odparł najmniejszy chłopczyk, taki jeszcze ledwie siedmioletni grubasek, i już odłożył słoninę na ławkę i wstał.

– Dla mnie, a to dlaczego? – zdziwiła się kobieta.

– Bo taka jesteście piękna, jak jaki prawdziwy anioł!

– A to ci dopiero! – Birtalan trzepnął się po kolanie.

Zaśmiał się też Iwan. Kobieta zarumieniła się i uśmiechając się, podeszła do dziecka.

– A co we mnie takiego pięknego, co?

– Wasza gunia! – odważnie oświadczył chłopczyk.

– Ha, ha, ha! – z Birtalana trysnęła wesołość.

Iwan uderzał ręką w kolano. Śmiała się również kobieta. Zdjęła ze ściany gliniany talerz i poszła do drugiej izby.

– No chodźcie – dzieciak zachęcał starszych braci – zaśpiewajmy dla niej.

Ci zaś wstali, przełknęli, co mieli w ustach, i tak zaczęli:

Anioł z nieba

*zszedł tutaj do was,
pasterze! Pasterze!*

Obie strofki, od początku do końca. Kobieta stała tam w drzwiach, z talerzem w ręce.

– Bardzo pięknie – szepnęła, nieco wzruszona – naprawdę bardzo pięknie. Dziękuję wam, dzieci.

Po czym zanosła im talerz, na którym bielily się trzy wielkie bryły cukru.

– Prawdziwy słodziutki cukier! – zapalił się maluch i porwał z talerza jeden z kawałków.

Zaraz też wszyscy siedli w milczeniu i jedli. Słysząc było tylko, jak poruszają się szczęki, no i jak płonie ogień. Kobieta wsunęła się w kąt za piecem i przyglądała się wszystkim. Coś dziwnego poczuła w tym momencie. Coś pięknego i ciepłego. Jakby ci wszyscy tutaj przynależeli do niej w pewien sposób.

Tak wygląda rodzina – pomyślała – tak właśnie to nazywają: rodzina.

I pomyślała o tym, który jest gdzieś daleko. A przecież tu byłoby jego miejsce, pośród tych ludzi. Tutaj. Przy niej. Posmutniała. Chciało jej się płakać. Dobrze byłoby zapłakać.

– No – rzucił raptem Birtalan i wytarł swój kozik o portki – i to mamy za sobą. A od tej pory dni będą już rosnać.

– Co? – kobieta, tam przy piecu, uniosła głowę.

– Dni będą rosnać. Zima będzie przechodzić. Począwszy od dzisiaj, każdego poranka o odrobinę przychylności¹² wcześniej wstanie słońce i później zapadnie wieczór. O odrobinę przychylności, każdego dnia.

Iwan przytaknął w milczeniu. Dzieciaki zajadały cukier i przypatrywały się obcemu domowi, ścianom, naczyniom i wielkiej skrzyni w tulipany, tam na środku izby. Raptem kobietę połaskotała w sercu radość. Dni będą się wydłużać! O odrobinę przychylności, jak powiedział stary! Począwszy od tego dzisiejszego wieczoru. Codziennie o odrobinę przychylności. Codziennie o odrobinę przychylności bliżej będzie wiosna. O, niech Bóg błogosławi temu, który tego wieczoru narodził się w żłóbku...

Nigdy jeszcze się nie modliła, nawet nie wiedziała, co to jest. Lecz teraz, gdy nagle pomyślała o tym tajemniczym dzieciątku, z powodu którego jest to wszystko, które narodziło się w żłóbku i którego pamięci strzegą kościoły, ogarnęło ją jakieś dziwne, pełne szczęścia wzruszenie, jakaś pokorna wdzięczność za tę przychylność, co wreszcie nadeszła z czeluści nieogarnionego i niewiadomego czasu, i każdego poranka, i każdego wieczoru nieco rozpiera zamknięcie dni, o odrobinę przychylności, akurat o tyle, co odrobina przychylności... aż ta przychylność poszerzy się i powolutku urośnie, i rozwinie się z niej wiosna! Serce

zabiło kobiecie z radości i wdzięczności, bo czuła, że naraz otwiera się przed nią jakaś tajemnica, jakby zasłona opadła z czegoś, co do tej pory było nieznanne i straszne.

– Chwała niech będzie Jezusowi Chrystusowi za tę przychylność... – wyszeptała, a jej oczy napełniły się łzami.

Dzieci wlepiły w nią wzrok, nie rozumiejąc tych słów. Iwan opuścił głowę. Birtalan chwilę pomyślał, nareszcie tak oto rzekł:

– Masz rację, młoda gospodyni. Niczego większego od tego nie ma w całym świecie.

Posiedzieli jeszcze trochę, ale żadne z nich już się nie odezwało. Dzieci w milczeniu zajadały cukier, ogień huczał. W końcu wstali, najpierw Birtalan, potem Iwan, i sięgnęli po futrzane czapy. Zdjęli z gwoździa kaftany.

– Już idziecie? – kobieta spytała ze smutkiem.

– Wszystko ma swoją porę i swój porządek – powiedział uroczyście Birtalan – i my teraz zakończyliśmy Boże Narodzenie.

Gdy wychodzili za próg, w padającym śniegu widać było postać mężczyzny, śpieszącego w kierunku lasu dziwnym, kuśtykającym chodem.

– He, Dumitru! – zawołał za nim Birtalan.

Mężczyzna nie odpowiedział. Jego potykającą się sylwetkę wchłonęła noc i padający śnieg. Birtalan i Iwan spojrzeli po sobie. Za nimi stały dzieci z otwartymi buziami, a na wołanie wyszła na śnieg także kobieta.

– Jest tu kto jeszcze? – spytała i pochyliła się w przód, żeby lepiej widzieć.

– Myśleliśmy przed chwilą... – mruknął Birtalan i podniósł sobie kołnierz na szyi.

– Myli się oko ludzkie w tym śniegu – wymamrotał Iwan. Oczy kobiety niespokojnie przeskakiwały z jednego mężczyzny na drugiego.

– Kto to jest ten Dumitru? – spytała.

– Strażnik leśny, jak i my – odrzekł Birtalan i już ruszał – mieszka z nami na kwaterze. Z Panem Bogiem!

– I on napatrzył się na biedę – rzucił Iwan z przygnębieniem i westchnął – wiele nędzy jest na tym świecie, kobieto. Z Panem Bogiem!

I poszli. Z przodu dwaj starsi mężczyźni, gęsiego. Za nimi dzieci. Szybko pochłonął ich padający śnieg.

Kobieta zaś jeszcze przez pewien czas stała w drzwiach. Śnieg sypał delikatnie, nie wydając najmniejszego szmeru. Gęsto, wielkimi płatkami. Raz zdawało się, jakby tam po drugiej stronie, na skraju lasu, coś się poruszyło. Jakiś człowiek. Ale potem nie było już żadnego ruchu, nie było nic. Mimowolnie musiała pomyśleć o mężczyźnie, którego imię brzmi Dumitru. Jaki to może być człowiek? Co się za nim kryje, jakiego rodzaju tajemnica?

Potem, gdy obchodziła dom dookoła, pod oknem coś rzuciło jej się w oczy.

Podeszła bliżej. Był to niekształtny ślad wielkiego kierpca, świeży ślad, ledwie pokryty puchem. A obok niego jakieś dziwne, okrągłe wgłębienie. Oba ślady mocno zapadnięte w śniegu, jakby ktoś przez dłuższy czas stał przy oknie. Ktoś, kto na jednej nodze miał kierpec, na drugiej zaś jakąś dziwną, okrągłą rzecz.

Stał tutaj i zaglądał do izby. Dlaczego? Dlaczego nie wszedł do środka? Dlaczego? Pytania, same tylko pytania.

Kilka jeszcze chwil pozostała tam przy oknie w padającym śniegu, spoglądając w kierunku lasu. Ale nic się nie poruszyło.

Dumitru – pomyślała – Dumitru...

Szukała smaku tego nieznanego imienia. Lecz nie było w nim nic niepokojącego. Był w tym imieniu smutek, żaloba. Wielka, ogromna, bezsilna, nieszczęsna żaloba, nic więcej.

Postała tam jeszcze przez jakiś czas, po czym powoli weszła do domu. Zamknęła drzwi. Dorzuciła drewno do ognia, uprzątnęła naczynia, zjadła. Następnie siadła przy piecu, w miejscu, gdzie zwykła, i zamyśliła się nad tym wszystkim, co się wydarzyło owego wieczoru. Widziała leżącą w zwykłym żłóbku dziecinę, noszącą imię Jezus. Widziała pasterzy i anioły, a w uszach brzmiał jej śpiew, dźwięczny dziecięcy głos: anioł z nieba... Próbowała to zaśpiewać, ale nie pamiętała dalej słów. Potem przypomniała jej się przychylność, którą małeńki Jezus Chrystus przyniósł skądś na ziemię, przychylność, która począwszy od tej nocy, każdego poranka i każdego wieczoru nieco wydłuży dzień. O małe co nieco, o odrobinę jedynie, ale jednak rozciągnie go trochę. A na końcu tych wielu odrobin przychylności nadejdzie wiosna...

Poczuła od tego jakieś radosne ciepło i roześmiała się cichutko. Potem zobaczyła na środku izby wielką piękną skrzynię w tulipany. Podeszła do niej, pochyliła się, pogłodziła ją. Następnie przesunęła ją w kąt izby, poszukała dla niej odpowiedniego miejsca, ustawiła ją. Kiedy się z tym uporała, zaczęła się rozbierać. Najpierw zdjęła jedwabną chustę z głowy, starannie ją złożyła, wygładziła i ostrożnie umieściła w skrzyni. Rozpięła odświętny serdaczek i też go tam położyła. Ściągnęła czerwone buty z cholewami. Opuściła sutą różnobarwną spódnicę. Po kolei wszystko to połknęła skrzynia. Kobieta miała na sobie już tylko płócienną koszulę z koronkowymi rękawami, wyszywaną w ozdobne wzory. Sięgała jej do kolan. Powolnymi ruchami odpinała sobie na szyi jeden guzik po drugim. Wspomnienie niegdysiejszych dotknięć przeszło ją dreszczem po całej skórze, a jej gorące ciało wręcz zapłakało z samotności.

Jej ręka już sięgała po koszulę, już podnosiła tę koszulę powyżej kolan, kiedy oczy zabłądziły na ciemne okno. Kobięcie przypomniał się ślad kierpca w śniegu. Jakby smagnięto ją po ciele ognistym biczem, twarz zapłonęła jej czerwienią, z ręki wysunęła się delikatna materia i zamiast niej kobieta pochwyciła z półki płótno i pobięła z nim do okna. Starannie zakryła zimne, czarne okienne

oko. Potem zakryła też drugie okno. Mały ciepły dom zamknął się przed światem, a bramę otworzył ku snom i wspomnieniom.

10 Łuk 2,8-14 w Biblii Gdańskiej.

11 Użyte tu w oryginale słowo *jóakarát*, tożsame z zakończeniem wcześniej odczytanego węgierskiego przekładu tekstu biblijnego, oznaczać może przychylność, życzliwość, dobrą wolę. W polskich przekładach Biblii zakończenie to tłumaczone jest jako upodobanie lub też dobra wola. W związku z odmiennością rozwiązań w języku polskim w dalszej części przekładu powieści Wasssa stosować będę upodobanie lub też przychylność, warto jednak pamiętać o biblijnym źródle tych określeń.

12 Użyte w oryginale określenie *jóakartnyi* stworzył sam autor, by krótki odcinek czasu nazwać w sposób nawiązujący do zakończenia odczytanego wcześniej urywka z Biblii.

Na Dószul Fulgeruj poruszył się starzec.

Już od wielu dni szykował się, żeby zejść z góry i sprawdzić ludzi, co żyją tam daleko w dole. Lecz tymczasem sypał śnieg. Potem trzeba było poczekać, żeby wiatr nieco omiółł drzewa z puchu. A przy tym stary musiał pilnować ognia, bo nocami, pod kożuchem broda pokrywała się człowiekowi szronem, a na wierzchołkach skrzypiących pod mrozem skał lodowato iskrzyły się gwiazdy.

Podług kija runicznego, który stał w kącie, a na którym każdego wieczoru ryl jedną kreskę – zawsze sześć krótkich i jedną długą, sześć krótkich i jedną długą – podług owego kija runicznego już i święto Bożego Narodzenia powinno było przeminąć tam w dole. I rzeczywiście, dni jakby się już odrobinę wydłużały.

Pewnego poranka stary ruszył się w końcu. Na serdak z owczych skór narzucił sięgającą kolan znoszoną sukmanę, na głowę wcisnął futrzaną czapę, na ramieniu zawiesił starą łataną miedzią strzelbę, do ręki wziął wygładzony od ściskania długi kij i wyruszył. Drzwi wcale nie podparł, bo i na co. Poza słońcem i cieniem chadzał w te strony tylko wiatr, nikt inny.

Powietrze było tak ostre, że rozdzierało płuca, ścisnęło nozdrza. Każdy maleńki kryształek śniegu mienił się z osobna. Słońce zasiadło wysoko na niebie, ponad grzbietem Iszticsó, i oślepiająco promieniowało dokoła światłem i ziąbem.

Posuwał się Vénség w dół. Powoli, spokojnie. Wydeptywał śnieg drobnymi krokami, zapadając się po kolana, czasem nawet i powyżej nich. Wydeptywał go starannie, żeby potem, kiedy trzeba będzie pójść tym śladem w górę, pozostał dobry trop. Wszystko było nieskazitelnie białe. Ni drogi, ni ścieżki, ni potoku, ni jednego jedyne go śladu, jednego jedyne go szarego znaku, niczego, ale to niczego. Jedynie zaśnieżone drzewa. Zaśnieżone skały. Zaśnieżone szczeliny.

Stary nie patrzył w żadną inną stronę, jak tylko przed siebie w śnieg. Znał już każde drzewo. Wiedział, gdzie w poprzek ścieżki zwałił się spróchniały świerkowy pień, gdzie trzeba ominąć jakąś nieforemną skałę, gdzie pochylić się pod gałęziami choin. Ileż to już razy szedł tu w mroku czarnym jak smoła, w ulewie, ileż razy. Nie patrzył w żadną inną stronę, bo i na co miałby patrzeć. W taki czas nie ma na Dószul Fulgeruj ani jednego jedyne go śladu, ani jednego jedyne go zwierzęcia, ani jednego jedyne go ptaka. Tylko śnieg i drzewa, i kamienie.

Szedł i szedł w dół. Szczelina powoli rozszerzyła się w koryto, wpadały weń wciąż nowe jary, wąskie, ciemne doliny z tej i z tamtej strony, nieme, bez żadne go tropu, zaśnieżone. Nareszcie głęboko pod śniegiem dało się posłyszeć jakieś ciche dudnienie i był to potok, pogrzebany potok.

Pierwszy sarni trop dostrzegł z daleka. Przecinał potok. Wychodził spośród świerków, a potem skręcał w górę pomiędzy opromienionymi słońcem brzoźami. Stamtąd do Kétág to już tylko jedno wzniesienie. Żona Ferenca była na zewnątrz, stała na podwórzu i z worka sypała owcom owies do koryta. Gdy zobaczyła starca, wyprostowała się.

– Szczęść wam Boże wszelkim dobrem, Vénség! Ano ruszyliście się stamtąd z góry?

W takich razach starzec nie zwykł jeszcze zachodzić do Ferenców, lecz dopiero w drodze powrotnej, i właśnie dlatego teraz tylko przystanął przy ogrodzeniu.

– Szczęść Boże, gospodyni! Ano żyjecie?

– Żyjemy, żyjemy – kobieta podeszła do płotu i przechyliła się ponad nim – ale powiedzcie no, Vénség, jaką to białogłową trzymacie wy tam wysoko, na hali Komárnyik?

Vénség potrząsnął głową jak ktoś, kto nie rozumie tej mowy.

– Gdzie? Co?

– Na hali Komárnyik, w tym nowym domu!

– Na hali Komárnyik, w tym nowym domu?

– Tam, tam. Dzieci tak mówią, były tam kolędować.

– Białogłowa, mówisz?

– Tak, tak. Nie wiecie o tym? Vénség potrząsnął głową i odrzekł:

– Nie, gospodyni, nie. Nic o tym nie wiem. Hm. Białogłowa na hali Komárnyik. Hm. Czego szuka tam wysoko jakaś białogłowa? Teraz?

– I na dodatek młoda i ładna, jak mówią dzieci – kobieta przekazywała wieści wartką mową – i nie było u niej tam na górze nikogo, tylko Iwan i Birtalan. Nosi ona zdobne odzienie, czerwone buty z cholewami, jedwabną chustę!

– Hm – fuknął stary – hm. Jedwabną chustę. Czerwone buty z cholewami. Na hali Komárnyik. Hm.

Z tymi słowami, kręcąc głową, powlókł się dalej; na ramieniu miarowo kołysała mu się strzelba o długiej lufie.

W siedlisku na Cibie na starego czekała już odłożona w sakwie kasza kukurydziana, twaróg, olej. Iwan skądś jeszcze zdobył też kapustę kiszoną, była tam i ona. I ocet w butelce. Birtalan dorzucił do tego kilka zamrożonych ryb. Starzec w milczeniu wszystko odnotował, następnie odwrócił się do nich.

– Hm – rzekł, patrząc to na jednego, to na drugiego – mówią, że na hali Komárnyik jest białogłowa. Hm. Tak mówią. Gospodyni mówi, na Kétág. Hm. Na hali Komárnyik?

– Jest – Iwan odparł zdawkowo, nie wypuszczając fajki z ust.

– Białogłowa?

– Tak.

– Hm.

Starzec w zdumieniu popatrzył na Iwana. Potem na Birtalana. Potem znów na Iwana.

– Mieszkała tam po drugiej stronie, pod Istenszéke – rzekł Birtalan. – Znałem ją od dziecka. Jej ojcem był pewien Tóderik, zabrali go żandarmi. No

a teraz przyprowadził ją tutaj panicz. No.

– Panicz?

– Ano tak.

– To co innego.

Starzec zastanawiał się jeszcze nad tą sprawą, stał w jednym miejscu i rozmyślał.

– Panicz też jest tam na górze?

– Co ty sobie myślisz!

– Tylko białogłowa?

– Tylko ona.

– Sama? Hm. Całkiem sama?

– No przecie, że tak.

– Hm!

Stał jeszcze chwilę i kręcił głową. Mruczał też coś, ale nie dało się zrozumieć słów. Nareszcie na jedno ramię zarzucił strzelbę, na drugie sakwę, wziął do ręki kij oparty przy drzwiach.

– Niechże wam Bóg dopomoże!

– Z Panem Bogiem, Vénség!

I poszedł. Powoli, człapiąc, z powrotem po własnym śladzie. Do wylotu Sestiny. Tam się zatrzymał. Stał dłuższą chwilę i patrzył na zaśnieżone ślady, które kierowały się w głąb Sestiny, i widać było tuż przed zakrętem potoku, że wiodą wprost w górę, na halę Komárnyik.

Starzec stał, w końcu coś mruknął i ruszył po zaśnieżonych śladach w głąb Sestiny.

Nim doczłapał się wysoko do domu, słońce minęło już miejsce południowego odpoczynku. Na skrzypienie śniegu począł szczekać w szopie jakiś pies. Starzec zatrzymał się, nasłuchiwał tego szczenia, po czym skierował się wprost ku szopie. Otworzył drzwi. Z siana podskoczył ku niemu łaciaty pies, ujadając, szczerząc kły.

– Dobrze już, dobrze, no, dobrze już, dobrze – Vénség uspokajał psa mruczącym głosem, a ten nawet i zamilkł. Ze zjeżoną na karku sierścią węszył w kierunku pachnącego lasem obcego człowieka. W szopie panowały porządek i czystość. Stała tam jedna krowa, przed nią siano. Dalej, w kupie, jakieś dwadzieścia owiec. Wielkie piękne owce. Młode, zdrowe. Pośród nich trzy łaciate kozy. Stary mruczał, kiwał głową. Czystość, porządek, dobrze utrzymana trzoda, o tak. Pies obwąchiwał już jego kierpce z włochatej skóry dzika.

Za plecami starego zaskrzypiał śnieg. Odwrócił się. Od strony domu nadchodziła kobieta, w ręce miała wiadro. Wcale zresztą nie kobieta, lecz dziewczyna. W zwyczajnej, porządnej guni, w jakiej w wysokich górach chodzą dziewczyny, które zimową porą strzegą stada, wszędzie wokoło na kośnych łąkach.

W kierpcach, w wełnianych onucach, owiniętych rzemykami do kolan. W kolorowym fartuchu. Z wielką chustą na ramionach. Zdziwiona, przystanęła, puste wiadro postawiła obok siebie.

– Hm. Szczęść Boże, dziewczyno. Czy kim ty tam jesteś. Hm.

– Szczęść Boże! – odpowiedziała z uśmiechem.

– Czysta szopa, dobrze utrzymana trzoda, hm. Jak być powinno, o tak. Siano? Dobrze, dobre. To dobry dom, z pewnością. Ale wiesz, to jest tak: każdy dom buduje się po coś. W jakimś celu, rozumiesz? I to coś, ów cel, plan i zamysł, to wszystko zostaje wbudowane w ten dom. Rozumiesz? Pomiędzy pnie, gdy powstaje ściana, o w taki sposób. Pomiędzy belki. Pomiędzy deski. Pomiędzy gonty. Po kolei wbudowuje się to w ten dom. Teraz tego może jeszcze nie rozumiesz, bo jesteś młoda. A ja nie umiem wypowiedzieć tego tak, żeby zrozumiał i ten, kto jest młody. Bo ja jestem już stary, dlatego. A przecież tak to jest z domami, kiedyś i ty się tego nauczysz. Gdy będziesz stara. Bo różne są domy. Nie tylko na zewnątrz i w środku, ale w pewien sposób także i pomiędzy jednym a drugim. Tak samo różne, jak i bardzo różne są plany, cele i zamysły w ludziach, którzy te domy budują. Lecz jedno jest pewne. Dziewczyno czy kobieto, czy kimkolwiek ty tam jesteś; jedno jest pewne. Że dom, który powstaje po to, żeby być ogniskiem domowym dla jakiejś rodziny, tak właśnie powstaje, i budują go ci, którzy od niego chcą dla siebie ogniska domowego, z takiego domu będzie ognisko domowe. I będzie to dobre ognisko domowe, i będzie tym ogniskiem domowym przez długie lata dla wielu: dla mężczyzny i dla kobiety, i dla dzieci, i dla dzieci ich dzieci. Lecz dom, który nie tak powstaje i nie po to powstaje, rozumiesz – i tu Vénég uniósł głowę i spojrzał kobiecie prosto w oczy – do takiego domu na próżno przychodzi kobieta, taki dom nigdy dla nikogo nie będzie trwałym spokojnym ogniskiem domowym. I takim właśnie domem jest ten tutaj.

Oczy kobiety drgnęły w przestachu.

– To bardzo dobry dom. Ładny dom – przeciwstawiła się cicho.

– O tak, tak. To dobry dom. To ładny dom. Masz rację, dziewczyno czy kobieto, czy kim ty tam jesteś. Masz rację. Ale też i na nic innego nie powstał, czy to rozumiesz? Tylko na to, by być dobrym i ładnym. A żeby ten, kto od czasu do czasu przyjdzie tu wysoko, mieszkał w dobrym domu i mieszkał w ładnym domu, kilka dni latem i kilka dni jesienią, i może jeszcze kilka dni zimą i wiosną. Żeby ten ktoś dobrze się w nim czuł, gdy zmęczony polowaniem zajdzie tu przenocować, i jeśli jest sam, i usiądzie przy ogniu, żeby pomyślał o tym, że dobrze by było mieć już gdzieś tam także i ognisko domowe, w jakimś takim domu i gdzieś tam, rozumiesz? Lecz nie tutaj i nie w tym domu. Bo ten dom powstał jedynie jako kwatera do przenocowania, i dlatego nie może stać się ogniskiem domowym, a jedynie kwaterą. Nawet jeśli żyć w nim będziesz pięćdziesiąt lat, nawet i wtedy to jedynie kwatera, i nawet i wtedy nie będzie to ognisko domowe. Jak i dla ptaka, dla

którego kwaterą jest gałąź, gdzie prześpi się nocą, w taki oto sposób. Nie jego gniazdem, a jedynie miejscem do przenocowania. Gałąź nie nadaje się na gniazdo bez względu na to, jak bardzo jest piękna i dobra. Spadną z niej pisklęta, zrzuci je wiatr, gdy zawieje. Bo to nie jest gniazdo, a jedynie kwatery. To chciałem tobie powiedzieć. Żebyś o tym wiedziała, dlatego.

Kobieta stała przy stole poblądła i nieruchoma, ze wzrokiem utkwionym w okno. Lewą ręką opierała się o stół i długo nie odzywała się ani słowem. Starzec też milczał. Siedział i patrzył w podłogę. Nareszcie podniósł się ociężale.

– Jeśli teraz poczęstujesz mnie jadłem, zjem.

– Proszę, dziadku. Tutaj na stolek. Jest tu wszystko. Proszę. Stary jadł. Powoli, z rozważaniem. Kęs cebuli. Kęs mamałygi... posilał się. Kobieta wciąż jeszcze stała wsparta o stół i patrzyła w okno.

– A jeśli ptak tak pokocha tę gałąź, dziadku, że powoli, powoli wybuduje na niej gniazdo...?

– Gałąź, która jest dobra do przenocowania, nie nadaje się na gniazdo.

– Nigdy?

– Nigdy. Gdzie drozd gwizdże, tam się nie gnieździ. Gdzie głuszc tokuje, tam nie wysiaduje. Gdzie indziej jest kwatery do przenocowania, a gdzie indziej jest gniazdo.

– Gdzie indziej jest kwatery do przenocowania, a gdzie indziej jest gniazdo... – kobieta szeptem powtórzyła te słowa i cicho przy tym westchnęła – to wtedy i ja stąd odejdę, dokąd on zechce, tam.

Starzec zjadł mamałygę, twaróg, cebulę. Wierzchem dłoni otarł sobie usta i podniósł wzrok na kobietę. Ich oczy spotkały się. Przez kilka chwil badali się nawzajem w milczeniu. Wreszcie odezwał się stary, ochryłym głosem:

– A jeśli on wcale tego nie zechce, dziewczyno? Jeśli chcieć będzie u ciebie jedynie kwatery? Na jedną i drugą noc? I niczego więcej?

Kobieta spojrzała nań ze zdumieniem, jej oczy odfrunęły, jakby w poszukiwaniu słów, co odleciały, w końcu spuściła głowę.

– To wtedy będę się starać, żeby być tą kwatery, dziadku – rzekła cicho i odwróciła się, żeby ten obcy człowiek nie zobaczył w jej oczach łez.

Stary nie odezwał się więcej, tylko tak siedział i kiwał głową. Kobieta podeszła do okna i wyjrzała w iskrzący się stężalym mrozem, biały świat. I naraz polana tam na zewnątrz zdała się tak opuszczona i tak opuszczone stały na niej choiny, i tak niezmiernie wielka samotność zaległa na domu i wokół domu.

Nareszcie Vénég wstał od stołu, poczłapał do wiadra, zdjął z półki kubek i nabrał sobie wody. Pił. Gul... gul... gul... – w niemym domu słyhać było, jak przełyka. Potem kubek stuknął o półkę.

– Bóg zapłać!

– Na zdrowie, dziadku!

Stary zdjął z gwoździa sukmanę, narzucił ją na siebie. Na głowę wcisnął futrzaną czapę, na ramię zarzucił sakwę, strzelbę, wziął w rękę kij.

– Ano z Panem Bogiem, dziewczyno. Czy kobieto, czy kim ty tam jesteś. Tylko dlatego przyszedłem, że słyszałem o tobie tam w dole. I dlatego, że chciałem ciebie zobaczyć i do ciebie przemówić. Ja mieszkam wysoko, na Dósz, wiesz, i nie jest to miejsce dla człowieka. O, nie. Lecz jeśli miałabyś jakiś kłopot, cokolwiek, rozumiesz? Na zewnątrz... czy w środku. Ja jestem na Dósz. A widzisz to drzewo tam naprzeciw, na grzbiecie? Tę wielką wyschniętą, spróchniałą choinę? Jeśli załomoczesz w nią obuchem siekiery, ja to wysoko na szczycie usłyszę i zejść tu do ciebie. Jeśli będziesz chciała o coś spytać albo będziesz chciała coś powiedzieć. Załomoczesz w drzewo, a ja tu zejść. Rozumiesz? I wtedy powiem także to, czego dzisiaj nie powiedziałem. No, niech Bóg ci dopomoże!

– Niech was Bóg strzeże, dziadku!

Kobieta odwróciła się twarzą do niego, a jej oczy pełne były łez. Stary badawczo zajrzał jej w twarz.

– Tamto drzewo, o tam. Rozumiesz?

– Rozumiem, dziadku.

– No, z Bogiem...

I poszedł. Drzwi zamknęły się za nim i już tylko śnieg coraz ciszej skrzypiał pod jego oddalającymi się kierpcami. Kobieta wciąż jeszcze stała w oknie i patrzyła na polanę, na którą popołudnie rzucało już długie niebieskie pasma cieni, zimne, samotne, niebieskie cienie.

Vénség z trudem włókł się po hali. To w zawieję, to z zawiei, wciąż tylko po niemej, nieruchomej hali. Przez jakiś czas towarzyszył mu samotny sarni trop, po czym i on pozostał w tyle, gdzieś pośród krzaków jeżyn. Starego otaczał milczący, martwy świat, zastygły, biały świat. Wydłużone niebieskie cienie drzew obojętnie zapowiadały nadchodzący zimny wieczór.

Dla starego nie było to nic nowego. Ani śnieg, w którym zapadał się niekiedy po pas, ani ziąb, który ścisnął mu nozdrza, a szorstką skórę rąk kłuł tysiącami ostrych igiełek. Ani ta pozbawiona śladów życia, zamrożona kraina samotności nie była dla niego niczym nowym, owe martwe góry i martwe drzewa, martwa cisza i martwe niebo, jednakowy, nieprzetarty, biały śnieg. Stary szedł i szedł. Przez całą połoninę, powoli, miarowym ciężkim krokiem, nie odrywając wzroku od ziemi i śladu, którym podążał.

Minął już i Iszticsó, gdy naraz wyteżył uwagę. Przystanął. Halę przecinał szeroki, duży ślad. Wychodził od strony Görgény z drągowiny i robił uskok w dół, pomiędzy jary Iszticsó. Był to ślad człowieka. Świeży ślad. Całkiem świeży.

Stary nachylił się. Wepchnął rękę w ten ślad. Śnieg był w nim wciąż miękki, nawet jeszcze nie zamarznął. Stary spojrział w dół na jar, postąpił kilka kroków dalej i wdrapał się na kanciastą skałę. W dole jaru nic się nie ruszało. Ślad zniknął pod

drzewami.

Stary wbił kij w śnieg, pchnął strzelbę nieco w tył na plecy i podniósłszy obie dłonie do ust, zawołał:

– HUUUUUUU... huuuuuuuuu! HUUUUUUUUU!...

Niski, rozciągnięty, przypominający wycie głos przeleciał łukiem ponad górskimi grzbietami. Niemal przerzucił most przez ciszę. Po czym utonął gdzieś daleko, pośród zaśnieżonych lasów. Z pobliskiego drzewa z chrzęstem zsunęła się na ziemię czapa śniegu. Potem znów była już tylko cisza. Przygarbiona pod ciężarem śniegu i mrozu cisza.

Starzec stał na skale i nasłuchiwał. I po jakimś czasie z naprzeciwna, z drugiej strony doliny Iszticsó, nadeszła raptem rozciągnięta, dłuższa odpowiedź i zdawało się, jakby to było jedynie spóźnione echo, które do tej pory cisza trzymała na uwięzi:

– HUUUUUUUUUUUUUUUUUUUUUUUUUUUUUU!...

Stary wchłonął uchem ów dźwięk, odczekał chwilę, wręcz go przeżuwał, smakował, trawił. Nareszcie powtórnie podniósł dłonie do ust, zwinął je w trąbkę i zawołał:

– Na Dóóószul FUUULGERUUUJ!... I jeszcze raz:

– Na Dóóószul FUUULGERUUJ!

Znów osypał się śnieg z pobliskich drzew. Potem od nowa wszystko pochłonęła cisza. Stary stał jeszcze przez kilka chwil i czekał. Ale odpowiedź nie nadeszła. Z wolna ruszył dalej połoniną. Szedł i szedł. Słońce siedziało już na grzbietach gór Görgény, a na wschodniej stronie nieba pojawiło się srebrne koło księżyca.

Tam gdzie wąski skalisty grzbiet Dószul Fulgeruj zbacza z wielkiej połoniny, stał w śniegu jakiś człowiek. W naciągniętej na uszy futrzanej czapie, w kaftanie z włochatej skóry, stał tam wsparty na strzelbie, bez ruchu. Vénség powoli dowlókl się do niego i stanął obok.

– Szczęść Boże, bracie Dumitru!

– Szczęść Boże...

– No a co tam?

– Z Görgény przyszło tu sześć sztuk. Poszły na Magurę.

– Hm.

– O świcie będą już ponad Ilvą, w czystym słońcu przy Nyárğa, wiem ja to. Gdzie zimują sarny, o tam. Już ja znam te ścierwa.

– Hm. Na noc do mnie zajdziesz?

– Nie. Póki księżyc rzuca blask, będę szedł. A nawet i potem. O wschodzie słońca będę na nie czekał w Nyárğa.

– Hm. Na hali Komárnyik jest dziewczyna.

– Wiem.

- Aha. Hm. Źle ona skończy.
- Co?
- Źle ona skończy.
- Hm. Czemuż to?
- Hm. Ma to wypisane. Na czole. Widziałeś?
- Hm. Pańska kochanica. Dobrze jej się wiedzie.
- Ale nie tu.
- Hę?
- To nie kochanica.
- Hę?
- Para.
- Hm.
- Uczciwa. Na wskroś. Na wskroś uczciwa kobieta. Nie dla pana.
- Hm.
- Trzeba uważać. Źle ona skończy. Źle. Ja to wiem.
- Hm, hm.
- Hm. Znak. Ma go na czole. Ja to wiem.
- Hm.
- Ano dlatego.
- No, niech Bóg dopomoże!
- Niech Bóg dopomoże!

Z tymi słowami jeden ruszył na poszarpany grzbiet Dószul Fulgeruj, drugi zaś w dół, w strome jary Iszticsó. Jednakowo powoli, wlokąc się, ani się więcej nie obejrzawszy. Po słońcu nigdzie nie było już nawet śladu. Tylko księżyc lśnił w górze, a szarówka i zastygła w lód cisza pochłonęły i ich, i przywalone śniegiem lasy, wszędzie wokoło.

Dzień znów urósł o odrobinę przychylności.

Od Ferenców przyszły na górę dzieci, znów trójka starszych, i w zsiniałych od mrozu rękach przyniosły po kawałku zastygłego w brzozowym łubie plastra miodu. I zapytały, czy czegoś nie potrzebuje, kazał im się dowiedzieć ich ojciec.

Kobieta zaprowadziła dzieci do domu, dała im do picia gorącego mleka, a też odrąbała toporem spory kawałek z głowy cukru. Żartowała z dziećmi, była wesoła. Cały ów dzień rozpoczął się jakoś tak pogodnie i dziwnie. Rano zbudziło ją stukanie siekiery. Z tyłu, w drewnutni ktoś rąbał drewno na opał. Rąbał pnie, które kilka dni wcześniej popiłowali we dwójkę z Iwanem, a których część przedpołudniami, kiedy przyjemnie przygrzewało tam słońce, sama już rozrąbywała małą siekierką. Ktoś uderzał w te pnie. A przecież wtedy słońce dopiero co próbowało wychynąć zza lasów.

Wujek Iwan – pomyślała i szybko podsyciła ogień, narzuciła na siebie ubranie i wybiegła ze skopkiem, żeby wydoić krowę i przygotować śniadanie dla strażnika leśnego.

Ale ten, kto tam z tyłu rąbał drewno, to nie był Iwan, tylko jakiś nieznajomy, brzydki, kudłaty ciemny człowiek. Przygięty, rąbał drewno powolnymi, miarowymi uderzeniami, starannie, jak ktoś, kto wykonuje ważne zadanie. I co było najdziwniejsze: Csobán siedział tam nieopodal i strzygąc uszami, przyglądał się temu człowiekowi. Nie szczekał. Ów zaś przemawiał do psa jakimiś dziwnymi, dobywającymi się z gardła pomrukami.

– Niech Bóg da dobry poranek! – przywitała go kobieta. Najpierw obejrzał się pies, dopiero potem człowiek. Stał nadal z przygarbionymi plecami i zezował spod oka, jak złodziej złapany na gorącym uczynku. Jego małe czarne oczy wprost przeszywały. Potargane włosy zwisały spod obdartej czapy z owczej skóry i przysłaniały mu czoło. Dolną część twarzy skrywała długa spiczasta broda. Niemal całe oblicze mężczyzny porastało skudłone czarne owłosienie. Patrzyła na jego samodziłowe ubranie, już bardzo znoszone i połatane, na zwisający z ramienia wielki worek z wilczej skóry i na lewą stopę obutą w ogromny włochaty kierpec, również zrobiony z wilczej skóry. Prawa noga bowiem kończyła się jakąś dziwną maczugą zawiniętą w brudne szmaty i skóry. Brzydki był ten mężczyzna, okropnie brzydki i straszny. Mimo to kobieta nie czuła żadnego lęku, stojąc tam naprzeciw niego. A nawet wręcz przeciwnie – jakby rozbłysło w niej jakieś odległe wspomnienie. Mężczyzna spojrział na nią ponuro, przez ramię.

– Hm. Ano narąbałem drewna. I co z tego! Hm.

Pomruczał, pomamrotał, nareszcie podniósł leżącą obok stosu drewna pordzewiałą, lichą strzelbę, zawiesił ją sobie na ramieniu i ruszył w kierunku lasu. Kobieta do tej chwili patrzyła nań w milczeniu. Teraz nagle przemówiła:

– Stańcie, dokąd idziecie? Chodźcie, zjedzcie coś przynajmniej!

Mężczyzna ani się nie odwrócił, tylko coś wymamrotał.

– Wujku Dumitru, stańcież no wreszcie!

Na dźwięk tego imienia człowiek zatrzymał się z wahaniem. Jeszcze przez chwilę stał tak tyłem. Następnie z wolna odwrócił się.

– Skąd je znasz? Hę? Moje imię.

– Spotkaliśmy się już, nie pamiętacie? Jednej wiosny, jak szłam po owieczki. W lesie przed Ratosnyą. Razem z tamtymi mężczyznami. Jednego zastrzelili żandarmi. Pamiętacie? Tyle że wtedy byłam jeszcze całkiem mała.

– Hm! Co mówisz?

Mężczyzna stał z jakimś dziwnym, przestraszonym zdziwieniem na zarośniętym obliczu.

– To ja, ja.

Mężczyzna jakby się ocknął. Podszedł zupełnie blisko do kobiety. Stał i przyglądał się jej.

– Hm. A czy ty wiesz, kim oni byli? To przepadnicy¹³. Tfu! Gdyby mnie tam nie było, to wtedy... z tobą... tfu! Wiesz ty o tym?

– Pewnie, że wiem. No, chodźcie! Jeszcze tylko szybko wydoję krowę, a potem dostaniecie świeżego mleka do mamałygi. No chodźcie, wujku Dumitru! Nie dajcie się prosić jak jakie stare baby!

I Dumitru Wilk został tam aż do samego południa. Siedział przy piecu i milczał. Tylko od czasu do czasu rzucał jedno i drugie słowo, w taki to sposób:

– Dobry masz piec... Albo:

– I u nas zasłonka była podobnie utkana, kiedy byłem dzieckiem... tam w dolinie Dorna...

Nagle zapytał:

– Słuchaj! Skąd ty wiesz, że jednego wtedy żandarmi...? Myślała przez chwilę, po czym tak mu odpowiedziała:

– Widziałam, wujku Dumitru. Wrócił do domu. Położyli go na skraju drogi i przykryli derką. Ale też czułam to już i wtedy, gdy siedzieliśmy tam razem przy ogniu. Było to tak jakoś w jego twarzy. W jego oczach... Nie wiem gdzie, ale było to w nim i ja to widziałam.

– Bliznę na brodzie?

– Nie, nie mówię o bliźnie. Widziałam w jego twarzy śmierć, wujku Dumitru.

– Śmierć?

– Tak.

– Hm. Wspomniałem wcześniej o bliźnie. Pamiętasz ją?

– Pamiętam. Miał ją na brodzie.

– Otóż to. No to teraz opowiem ci jeszcze coś, o czym nie wiesz. Ta blizna na brodzie tamtego mężczyzny... po mnie mu ona została. Dawno temu. Na tańcach. W dolinie Dorna. Hm. Czy to nie dziwne?

– Tak...

– Hm. Pewnie, że dziwne. Bardzo dziwne. I on kochał pewną dziewczynę, i ja. Jemu dostała się blizna, mnie zaś dziewczyna. A od tamtej pory nie ma już ani dziewczyny, ani jego. Tylko ja wciąż jestem. Czy wiesz, co dzieje się z tymi, którzy pomarli?

– Nie...

– Ja też nie. Widzisz, tego nie wiem i ja. A przecież... hm... I już się więcej nie odezwał, tylko siedział i milczał.

Później zaskrzypiał na zewnątrz śnieg i nadeszli Iwan i Birtalan z końmi, a na grzbiecie każdego konia była nieduża kopa siana przymocowana sznurem. Zdziwili się, gdy ujrzeli Dumitru, jednak nic nie powiedzieli. Zdjęli siano z końskich grzbietów i wrzucili je na stryszek w szopie. Dumitru też pomagał układać siano.

– W rogi – mówił – w rogi. Tak robiliśmy i my, kiedy z owcami zimowaliśmy wysoko w górach. W rogi, tak dom będzie cieplejszy.

Potem ugotowała im obiad i zjedli. Po obiedzie Birtalan raptem tak powiedział:

– A prawda, zapomniałem o czymś.

Z tymi słowami począł grzebać w worku i wyciągnął zeń papier z obrazkiem, który od tamtej pory stoi tam na półce i od którego od tamtej pory wciąż panuje w domu jasność.

– Tu jest, na – rzekł Birtalan. – Doręczyciel listów w Ratosnyi dał to Gyerkó. Przeznaczone jest dla ciebie.

Ona zaś tylko oglądała mały papier z obrazkiem, obracając go w palcach. Była na nim jakaś duża, wysoka wieża, a wokół niej pięknie przystrojone domy i całkiem mali, malutcy ludzie.

– Umiesz ty czytać? – spytał Birtalan.

Pokręciła przecząco głową. Skądżeż miałaby umieć?

– No, dajże tu – rzekł stary – może jeszcze trochę pamiętam litery.

Następnie stanął w progu, żeby światło sięgnęło papieru, i począł literować zapisane na nim pismo. Iwan stał obok Birtalana z uroczystą miną, zupełnie jakby był na jakimś chrzcie czy pogrzebie. Nawet i Dumitru zdjął futrzaną czapę z głowy. Wielką i tajemniczą sprawą było to, co Birtalan wyczyniał z papierem.

– Dy... ly... a... Dla... Ny... u... nu... cy... y... Dla Nucy... ny... a... na... kyo... ko... kom... komár... nyiky... nyiku... Dla Nucy na Komárnyiku! Słyszysz? To jesteś ty. I jeszcze: U... Gy... a... Ga... ra... byo... bo... garabo... aha, z tego wyjdzie Gyerkó. I tak właśnie jest. U... Gyerrr-kó Ga-ra-bon-ciá-sa. Ny... a... na... dy... nad py... po-to... nad po-to-kiem Syzy... syzy... a... ly... syzyaly... co u licha... nad potokiem Szalárd! O... u... py... A to co znowu? Oupy? No i dalej: Dy... é... dé... dy... a...

– Słuchaj, to Déda! – wykrzyknął Iwan, wielce zadowolony. Lecz Birtalan nie pocieszył się tym odkryciem.

– Déda, Déda. Ale tego oupy to w żaden sposób nie rozumiem. No, wszystko jedno. Jest jeszcze i dalej. My... a... ma... ry... o... sy... marosy... ty... o... ry... dy... tord... Marostorda... potem jeszcze jakieś kom... to znów musi być jakieś pańskie szelmostwo. Kyomy. Gyerko powinien był zapytać o to księdza. No. Tu coś jeszcze: wy... e... ę... wę... gy... ry... aha! Węg... ry! Tak, tak: Węgry! No, no, to co innego. Słowem stoi tu dotąd, że ty zamieszkujesz na Komárnyiku, nieopodal Dédy i w Marostorda, i mianowicie na Węgrzech. No, do tej pory zgadza się. Rozumiesz?

– Rozumiem – przytaknęła, wzruszona, a przecież nie była to prawda. Jakiś strasznie obcy świat czał się na tamtym papierze i napełniał niepokojem całe jej wnętrze.

– No, ale i tu jeszcze coś stoi – Birtalan obrócił papier – ano zobaczmy! Zy... my... i... ły... o... s... ś... ci... ą... zmiły... jak to idzie? Zmiło... ścia... aha! Zy... mi... ło... ścia my... y... ś... ly... i... li... myśli... posłuchaj, ktoś z miłością myśli! O, tu jest: o... ty... o... by... i... e! O tobie! Z miłością myśli o tobie!

Naraz zrobiło jej się gorąco.

– Ojej, nie mówcie! Naprawdę tak tam stoi?

– No, no, czekajże – miarkował ją stary – jest tu jeszcze coś. Gy... á... gá... sy... py... gáspy... á... ry...

– To panicz! – rozentuzjasmował się Iwan. – Panicz Gáspár! Ona wtedy już to wiedziała. Obie ręce musiała przycisnąć sobie do serca, żeby jej nie wyskoczyło z tej radości. Stała tam, coraz szybciej łapiąc powietrze, i czuła się tak, jakby miała w środku spłonąć.

– Ano on – rzeczowo stwierdził to także Birtalan. – Gáspár. Tak tutaj stoi, właśnie tak. Z-mi-ło-ścią-my-śli-o-to-bie-Gá-spár! I proszę, tu nad obrazkiem też jest coś. Tak to idzie: Py...a...ry... i... sy... Parisy... a to co u licha? Pa-risy... Paris... słuchajcie, przecie to nazwa tej wieży!

– To możliwe – zgodził się Iwan.

– To będzie to. Paris. Tak nazywają tę piekielnie wielką wieżę. Ależ jest też wysoka, niech ją diabli! Popatrz no na ludzi pod nią! Nawet i na pchły ledwie by się nadawali.

Ona zaś tylko stała, a wokół niej wirował świat. Było coś niezwykle pięknego w tym, że ów mały kawałek kolorowego papieru zachował i przyniósł aż tutaj słowa, które ktoś wypowiedział gdzieś daleko, bardzo daleko, może właśnie pod tą wieżą... Nagle owładnęło nią dziwne uczucie. Musiała przytrzymać się drzwi, bo jeszcze by upadła...

– Wujku Birtalanie...

– Co ci? Ale biała zrobiłaś się na twarzy... i jakie dziwne masz oczy...!

Wszyscy spojrzeli na nią. I Iwan, i Dumitru też.

– Wujku Birtalanie... moglibyście jeszcze raz...? Stary zaśmiał się.

– Czy mógłbym jeszcze raz? Mógłbym, duszyczko, choćby i sto razy. Nie zniszczy się od tego!

Cudowne to było, naprawdę cudowne! Że się nie zniszczyło, że naprawdę wciąż jeszcze tam było na papierze. Stary Birtalan czytał:

– Dla-Nu-cy-na-Ko-má-rnyi-ku. U-Gye-rkó-Ga-ra-bo-nciá-sa. Oupy... a niech cię lichy, znów tu jesteś?! Czekaj no, tego tu nie ma, to tylko ja tak powiedziałem. Bo to oupy... no ale zostawmy to. Déda. Ma-ros-to-rda-ky-omy. Kyomy. To też jakiś fortel. Może znaczy napiwek dla listonosza, że jak panicz wróci do domu, to listonosz dostanie napiwek. Żeby tylko nic się przez to nie stało z listem. Wę-gry. No więc do tej pory to mówi o tym, dokąd listonosz ma zanieść to pismo z obrazkiem. Żeby nie zdarzyła się pomyłka, rozumiesz? Tylko akurat tych dwóch rzeczy w nim nie rozumiem, tego oupy, no i kyomy. Ale i to z pewnością podlega pod jakiś własny urząd. To już sprawa listonosza, a nie twoja. Twoje jest to, co teraz następuje: Z-mi-ło-ścią-my-śli-o-to-bie-Gá-spár. No. Właśnie tak. A tu jeszcze nazwa wieży: Pa-ris. Trzymaj!

Długo stała tam w drzwiach, trzymając pismo z obrazkiem w ręce. Birtalan, Iwan, Dumitru po kolei pożegnali się i poszli. Nawet nie słyszała kiedy. Koni też nie słyszała. Tylko tak stała w drzwiach, trzymając w ręce pismo z obrazkiem, które z nieznannej dali przyniosło jego słowa, i wciąż od nowa je słyszała, jak z tego papieru podnoszą się do lotu, wracając echem, ale już nie starczym, drżącym głosem Birtalana, lecz świeżym, młodym głosem tamtego, szepcząc z lekkim wzruszeniem: z miłością myśli o tobie Gáspár... z miłością myśli o tobie...

Naraz spostrzegła, że stoi przed nią trójka dzieci z miodem. Ano tak to było, taki był ów dzień. I jakżeż mogła to zrozumieć ta trójka obcych dzieci o krągłych buziach, dlaczegóż to bez powodu tyle razy wybucha głośnym śmiechem, bez ładu i składu, dlaczego karmi je kielbasą, słoniną, słodziutkim cukrem, kiedy one przyszły tylko po to, żeby zapytać, czy czegoś nie potrzebuje.

Nie, bardzo dziękuje, niczego jej nie trzeba. Tak, na pewno. I śmieje się, i śmieje się, i śmieje się. Jakżeż miałyby się nie śmiać, kiedy świat jest taki piękny, taki dobry, taki wspaniały! Są na nim sami dobrze ludzie! Dobrzy listonosze, którzy na piechotę przyjdą tu z daleka, z bardzo daleka, z takim pismem. Dobrzy wujkowie Gyerkówie, którzy to pismo przyniosą z Ratosnyi, strzegąc go, jakby było ich, i dobrzy wujkowie Birtalanowie, i wujkowie Iwanowie, i wujkowie Dumitru, którzy narąbią drewna, przyniosą siana i opowiedzą jego słowa, wymalowane na tym papierze! I nieznani dobrzy Ferencowie, którzy przyślą tu na górę dobre dzieci z miodem! I jakżeż tu się nie śmiać, wręcz rozplływać się ze szczęścia, skoro świat jest taki!

Potem dzieci poszły i zabrały z sobą kielbasę, słoninę i biały cukier. A ona pozostała sama na sam z tym pismem. Usiadła przy piecu, wzięła papier do ręki i przyglądała mu się. Ten mały kawałek papieru był w jego ręce. On go trzymał, może nawet przyciskał do siebie. A co pomyślał, to tam wymalował. Jest tu, widać to. To jest ślad jego ręki. No i ten widoczek. Tam pod wieżą wielu maleńkich ludzi. Może jeden z nich to właśnie on. Stoi tam i myśli o niej. Z miłością. Tak, z miłością!

Siedziała w kącie przy piecu, patrzyła na obrazek i w środku była czystą radością i samym drżeniem. I wtedy nagle... tak, wtedy nagle coś się wydarzyło. Zaczęło się to tak jak wcześniej, tam w drzwiach, kiedy Birtalan czytał owe słowa. Obrazek począł tańczyć w jej rękach, a izba zawirowała. Musiała przyłożyć rękę do serca, bo coś tam w środku... tak... właśnie wtedy to się wydarzyło. Tam wewnątrz coś się poruszyło. Był to ruch całkiem delikatny, nieznaczny. Ale jednak był to obcy ruch. Coś tam w środku, w niej, żyło.

W pierwszej chwili zastygła z przerażenia. Błyskawicą przemknęły jej przez głowę niegdysiejsze bajdy, powtarzane dzieciom przez stare kobiety: nie jedz zielonych malin, bo ci wyrośnie w brzuchu żaba. Albo: kto napije się ze stojącej wody, zarośniętej rzęsą, temu wyrośnie w brzuchu żaba. I mówiły o dziewczynie, której wyrosła w brzuchu żmija, bo owa dziewczyna połknęła wraz z wodą żmijowe jajo. Skurczyła się ze strachu. Ma w brzuchu żabę! To ona skacze!

Ale trwało to tylko chwilę. Potem nagle rozblęsnęła w niej świadomość, tak jak ogień gwałtownie wybucha płomieniem, tak samo. Rozpoznanie. Rozpoznanie wielkiego prawa życia. I wtedy naraz opanowało ją gorące podniecenie. Przycisnęła tam, do tamtego miejsca, rękę. Nawet i wstrzymała oddech, tak oto wyteżała uwagę.

To coś tam w środku nie poruszyło się więcej. Jednak żyło. Czowała to jasno i wyraźnie. Było w niej jakieś życie, jakieś obce i mimo wszystko wcale nie obce życie. Czowała bicie własnego serca. Lecz oprócz miarowego rytmu jego uderzeń było jeszcze też i inne, całkiem cichutkie, całkiem odległe, nieznaczne drżenie. Niewiele więcej, aniżeli gdy wiosną poruszy się i zakiełkuje pod ziemią korzonek...

Dom wypełniła jakaś odświętność. Był już wieczór i na zewnątrz mrok przygiął lasy, ale jakoś tak inaczej niż zwykle. Wieczór był pełen dostojeństwa, podobnie jak ktoś, kto wie, że tej nocy gwiazdy strzec muszą rodzącego się dopiero życia, i począwszy od teraz także i każdej kolejnej nocy. I inaczej płonął ogień: podobnie jak ktoś, kto nie tylko płonie, ale też wypełnia swoje powołanie. Bo jest tu ktoś, kto wyruszył i przyjdzie, i komu potrzeba ciepła. I jakby cały świat wiedział, że począwszy od tego dnia ma zadanie. Dom, krowa, las, wszystko, co kiedyś stać będzie wokół niego, gdy już się narodzi, żeby przyjąć go w ten magiczny krąg, który zwą życiem, a który łańcuchem skuwa z sobą drzewa i ludzi,

i zwierzęta, i góry, i wszystko, wszystko.

Siedziała w rogu przy piecu, delikatnie przyciskała rękę do tamtego miejsca, gdzie drgnął pierwszy znak życia, i z wolna wezbrała w niej jakaś przepełniona szczęściem duma, jakieś ciężkie, ale też piękne uczucie. Jakby tajemne potęgi świata powierzyły jej jakiś wielce ukochany skarb, by zabrała go z sobą, wysoko na górę, i troszczyła się o niego. Skarb, którego dźwiganie jest ciężkie i męczące, jednak nadaje sens wszystkiemu, nawet i samemu zmęczeniu, i życiu, i temu, że to i tamto jest w tym życiu trudne.

Siedziała i siedziała, zapomniawszy nawet o jedzeniu. Myślała o tym, jakież będzie. Chłopiec? Mały chłopczyk? O brązowych włosach, szarych oczach, taki jak on, ten, który go jej przekazał wraz ze swym pocałunkiem?

Nie jestem sama – pomyślała i była to myśl tak piękna, że aż chciałoby się od niej wręcz zapłakać.

Zrobiło się późno. Zjadła i położyła się. Jadła z troskliwością i położyła się z uwagą. Lecz sen długo nie przychodził na jej powieki. Wyczekiwała, czy aby znów się nie poruszy. Jednak więcej się nie poruszył.

Śpi – pomyślała. I nie mogła się doczekać poranku, żeby móc komuś opowiedzieć o tej radości i o tej pięknej, wielkiej chwale, jaka się jej przydarzyła.

W końcu jednak zasnęła. I taki miała sen:

Podążała w górę po skalistym grzbiecie, a w ręce niosła jakiś dziwny, ogromny czerwony kwiat. Z obu stron stały gęste choiny i ten kwiat wciąż zahaczał o ich opadające gałęzie. Przytrzymywała przed nim rękę, by go ochronić, ale na próżno, gałęzie wciąż jednak dosięgały kwiatu i szarpały nim, rwały go, a ona z tego powodu płakała w rozpacz. I wówczas jedna gałąź jakiejś gęstej choiny pochyliła się raptem, wyrwała jej z ręki ów kwiat i odbiła z nim wysoko w górę. Ona zaś poczęła wdrapywać się na tę choinę, czepiała się jej, ręce miała pokrwawione, choina zaś unosiła kwiat przed nią coraz wyżej. Dotarła już na wierzchołek drzewa. Już gięła się pod nią korona, a kwiat czerwienił się tam na czubku. Wyciągała w jego kierunku rękę raz za razem, ale kwiat wciąż jej się wymykał. Wreszcie pochwyciła go. Ścisnęła w garści. I wówczas drzewo zatrzeszczało, a ona poczęła spadać. Gałęzie szorowały jej twarz, darły kwiat w jej ręce, a ją samą ogarnął przeraźliwy strach, że znów go jej odbiorą. I wtedy, podczas tego spadania, raptem chwyciła ów kwiat w usta i połknęła go. Wszystko pociemniało, a ona spadała i spadała...

Przebudziła się spocona, pośród porzrzuconych pomiętych poduszek. Na dworze było jeszcze ciemno. Nie mogła już zasnąć. Myślała o śnie i nękały ją jakieś niejasne, złe przeczucia. Później wstała i rozpalila ogień. Pierwsze tchnienie brzasku zastało ją już ubraną. Nakarmiła zwierzęta, uporała się z dojeniem, wysprzątała dom, nanosiła wody, ręce skostniały jej z zimna, mróz wyszczypał twarz na czerwono, jednak wszystko to nie pomogło. Dumny spokój wynikający ze

świadomości wczorajszego przeżycia jakoś tak wciąż mieszał się z przestraczem owego osobliwego snu i napełniał ją dławiącym niepokojem.

Tymczasem w pełni nastał dzień. Niebo przykrywała mgła, a na drzewach grubo zalegała szadź. Był nieprzyjemny, wilgotny chłód. Las drżał z zimna i nigdzie nie było widać słońca. Czowała, że powinna z kimś porozmawiać. O śnie i o tym drugim. O wszystkim.

Wypiła kubek gorącego mleka. To sprawiło jej przyjemność i uspokoiło ją. A jednak czuła, że gdzieś w niej pozostało jeszcze coś z owego zła i że w każdej chwili znów może wybuchnąć. Powinna z kimś pomówić, czegoś się dowiedzieć, czegoś pewnego o czymś.

Naraz przyszedł jej do głowy pewien pomysł. Narzuciła na siebie wielką chustę i pobiegła do drewnutni. Pochwyciła leżącą tam przy pieńku siekierę i ruszyła z nią przez polanę w górę, w kierunku grzbietu. Tam gdzie stała owa wielka wyschnięta choina.

Pod kierpcami kurzył się śnieg, ciężko był w nim iść. Zimna mgła wręcz ją dusiła. A las na krańcu polany stał we mgle! Pokryty szadzią i nieprzyjazny. Strasznie było wejść pomiędzy drzewa. Nawet i sam śnieg był od tej mgły jakiś taki szary, a gdy szła, z gałęzi wciąż sypał jej się na kark lodowaty szron.

Na grzbiecie samotnie stała choina. Od wielu już lat musiała tam tak stać, wyschnięta, bo nawet nie miała kory na pniu. Była szarawobiała jak zamarznęta ziemia, jak zamarznęty kamień. Pełna dziupli i dziur. Było to naprawdę wiekowe drzewo.

Zatrzymała się pod nim. Przez chwilę się wahała. Tak śmiertelnie poważna i ciężka zalegała wokoło cisza. Czy ma ją przełamać? A jeśli coś nagle runie? Góry? Niebo? Mgła? Daremnie starała się dojrzeć którykolwiek ze szczytów, którykolwiek ze stoków w czeluści pod grzbietem, wylaniało się z mgły jedynie kilka szarych świerków, nic więcej. Jak okiem sięgnąć tylko mgła; szara, nieruchoma, niema, zimna mgła.

Bała się. Myśl, że rozedrze dźwiękiem tę ciszę, budziła w niej grozę. Czowała się tak, jakby musiała wbić gwóźdź w żywe ciało, które z bólu drgnie. Ale wreszcie przypomniało jej się życie, które wczoraj poruszyło się tam w środku. I dla którego trzeba to uczynić. Ujęła w obie ręce ciężką siekierę i obuchem uderzyła w szary pień starego, spróchniałego drzewa. Raz. Drugi raz. Trzeci.

Dźwięk przeszył ciszę. Z hukiem rozrywał niewidzialne woale i wbijał się w mgłę niczym jakaś olbrzymia włócznia, którą ciśnięto w świat. Brzęczał, huczał, drażył ciszę. Zanim wessała go nicość. I znów zamknęło się nad nim niewidzialne bagno martwej ciszy.

Czekała. Potem znów trzykrotnie uderzyła w drzewo. I znów czekała. I uderzyła w nie po raz trzeci, ostatni.

Wciąż stała pod drzewem i czuła, że cisza znów zamyka się wokół niej coraz

ściślej. Poczęła drzeć. To było tak, jakby przemówiła w głos do kogoś, kogo nie ma. Jakby krzyknęła w mgłę poufne słowo, a odpowiedź na nie nie przyszła, bo tam za mgłą nie ma nikogo, tylko pustka i cisza, i śmierć.

Cisza przywarła do jej ciała. Kobieta wiedziała, że jeśli jeszcze dłużej postoi tam, na górskim grzbiecie pogrzebanym we mgle, pośród umarłych lasów, to już nie będzie w stanie się ruszyć. Jakaś niewidzialna kleista materia oblepi dokoła jej członki, przyciśnie ją jakiś ciężar nie do ruszenia i będzie tam tkwić na wieki, podobnie jak drzewa i skały. Już zebrała w sobie siłę, żeby iść z powrotem. Z powrotem do domu...

I wtedy nagle, z bardzo daleka, skądciś z najgłębszej czeluści mgły nadeszła odpowiedź. Głucho, z mozołem, cicho i z bardzo, bardzo daleka. Trach!... trach!... trach! A potem cisza.

Kobieta poczuła raptem, że jednak nie jest sama. Miała wrażenie, że posiada jakiś wspaniały, niezwykły dar czynienia cudów, bo oto uderzyła w drzewo siekierą, tu na górskim grzbiecie, w samym środku osamotnienia, a gdzieś na odległym szczycie jakiś inny człowiek w środku własnej samotności podniósł swoją siekierę i uderzył w drugie drzewo. I owe odgłosy nakreśliły łuk pomiędzy dwojgiem ludzi, poprzez mgłę i ciszę, najpierw stąd tam, a potem stamtąd tutaj.

Poszła z powrotem do domu. Wybrała sporą tłustą kurę, zarznęła ją, oskubała i wstawiła, żeby się ugotowała. Następnie zagrzała wody i dla zabicia czasu zabrała się do prania. Nim się z nim uporała i wywiesiła ubrania, żeby wyschły na sznurze rozciągniętym pomiędzy belkami, ugotowała się już kura w rosole. Mogło być tak około południa, ale nie dało się tego dokładnie ustalić, bo na zewnątrz nic nie było widać z południa, mgła zrobiła się jeszcze gęstsza, a góra całkowicie skryła się w chmurach. Kobieta wyrzała przez okno w nadziei, że może gdzieś słońcu udało się przebić przez tę wszechogarniającą szarość, i właśnie w tym momencie wysoko, u górnego skraju polany, spomiędzy drzew wyszedł Vénség, z trudem brnąc w głębokim śniegu.

Kobieta szybko postawiła na stole talerz, położyła łyżkę. Obok tego mamałygę na desce. Nawet naląa wody do kubka i ten kubek też tam postawiła. W brzozowym łubie sól. Kiedy z tym wszystkim była gotowa, już otwierały się drzwi.

– Hm. Szczęść Boże, dziewczyno! Czy kobieto, czy kim ty tam jesteś.

– Szczęść Boże, dziadku!

– Hm.

Stał tam w drzwiach, pokryty śniegiem, z rozwichrzoną brodą, z oczami zaczerwienionymi z zimna, jak jakiś stary kąśliwy niedźwiedź.

– Siadajcie, dziadku! Zdejmijcie sukmanę! Ugotowałam trochę rosółu z kury, żebyście zjedli!

– Hm.

Stary poruszył się ciężkavo, zrzucił sukmanę, powiesił ją na gwoździu, na tym samym, co poprzednim razem. Strzelbę oparł o ścianę, przy niej kij. Jego oczy podejrzliwie poszukiwały wzroku kobiety. Ta zaś nie patrzyła w tamtą stronę. Nalała rosółu, jeden talerz dla starego, drugi dla siebie.

– Jedzmy – rzekła zwyczajnie – i ja zgłodniałam. Zobaczcie, ile się dzisiaj napracowałam!

I pokazała w górę na ubrania rozwieszane na sznurze.

Stary coś mruknął i siadł z trudem. Wziął łyżkę i zaczął jeść. Widać było, że dawno nie jadł rosółu z kury. Smakował mu. Od czasu do czasu brał doń wielki kęs mamałygi.

Oboje posilali się bez słowa. Koniuszki kości starannie obgryźli, wyskali, żeby nic na nich nie pozostało. Bo mięso z kury nie jest codziennym jedzeniem, o nie! Należy to docenić.

Nareszcie skończyła się i kura, i zupa, i mamałyga. Vénség, mlaskając, odłożył łyżkę, wypił kubek wody do dna i wygrzebał ze swojego worka fajkę. Nabijał ją węzłowatymi palcami, a kobieta tymczasem wyniosła kości dla psa.

Gdy wróciła, stary kucał przy piecu i wygrzebywał żar do fajki. Potem potężnie pyknął i z fajki wyleciał kłęb gęstego, ciemnoszarego dymu. Stary wrzucił żar z powrotem do pieca, zamknął metalowe drzwiczki i wyprostował się. Popatrzył wprost na kobietę, w jej oczy.

– Ano tak. Uderzyłaś w drzewo. Oto jestem.

Kobieta pomyła naczynia, powycierała je. Vénség usiadł na ławce przy ścianie i czekał. Pykał gorzkim dymem i czekał. Kobieta odstawiła naczynia na miejsce, jeszcze wyniosła brudną wodę i wylała ją za domem. Kiedy wróciła, usiadła tam gdzie zwykle, w kącie przy piecu. Z plecami opartymi o ścianę patrzyła na starca. Ten znów się odezwał po jakimś czasie:

– Dałaś mi zjeść rosółu. Dziękuję za to. Teraz czekam, żebyś przemówiła.

– Uderzyłam w drzewo – zaczęła kobieta, zacinając się – bo coś się wydarzyło. Ale wcześniej... wcześniej muszę opowiedzieć o czymś innym. Kiedy stąd odchodziliście, powiedzieliście, że gdy znów tu przyjdziecie, wtedy powiecie też o tym, czego wówczas nie powiedzieliście. Ja nie wiem, czego wtedy nie powiedzieliście. Lecz tymczasem coś nadeszło, zobaczcie!

Z tymi słowami wstała, zdjęła z półki małe pismo z obrazkiem i podała je staremu. Ten wziął je w ręce, oglądał, obracał. Wręcz z obawą trzymał je w wielkich, zgrubiałych palcach.

– Hm. Słuchaj, ja tam ci nie wiem, co to jest.

– Pismo. Listonosz przyniósł je skądś z daleka i oddał wujkowi Gyerkó w Ratosnyi. Ale przeznaczone jest dla mnie. Jest na nim moje imię. Że dla Nucy, mówią, na Komárnyiku.

– Hm!

– Tak, tak. I stoi na nim to, że myśli o mnie z miłością! Rozumiecie? Z miłością myśli o mnie! Tam daleko, gdzie jest.

Stary milczał. Powolutku kiwał głową to w lewo, to w prawo, i dmuchał z fajki szarym dymem o gorzkim zapachu.

– Z miłością myśli o mnie! Słyszycie? Tak jest namalowane na tym papierze, odczytał to zeń wujek Birtalan, on się zna na czymś takim! Z miłością myśli o mnie!

Sposób, w jaki to mówiła, był niemal zaczepny. To, jak rzucała te słowa starcowi. Ten zaś tylko kiwał głową powolutku. Nareszcie odetchnął głęboko, a było to raczej westchnienie.

– To dobrze, jeśli gdzieś myślą tak o kimś. To dobrze. Nie jest to dużo, ale i to dobrze. Mnie by wystarczyło. Ale tobie...

Kobieta przełknęła ślinę. Rzuciła sucho, jakby mówiła o kimś innym:

– Dzisiaj już i mnie to wystarczy, dziadku. Vénség podniósł głowę.

– Hm? Dzisiaj już?

Jego oczy badawczo śledziły twarz kobiety. Na jej obliczu malowała się powaga.

– Dzisiaj już.

– Hm. To wielkie słowa!

– I z tego domu, dziadku, będzie jednak ognisko domowe, a nie tylko kwatery do przenocowania. O tym chciałam wam dzisiaj powiedzieć. Bo gdzie... gdzie kwili pisklę, to już jest gniazdo, prawda? To już nie jest tylko gałąź nadająca się na odpoczynek?...

Stała tam dumnie wyprostowana, jak ktoś, kto przekazuje wieść o zwycięstwie. Stary przyglądał się jej. Patrzył na jej twarz, jak rumieniła się od dumy, na oczy, jak lśniły od radości, podobne jeziorom o głębokich wodach, i na jej czoło. Jej czołu długo się przypatrywał. Nareszcie opuścił głowę i westchnął.

– Ano tak. To dlatego. To wielkie słowa, kobieto, tu wysoko, na ośnieżonych szczytach. Samotnie. To wielkie słowa. Ale niech Bóg da do tego siłę i zdrowie! Niech Bóg ci dopomoże, kobieto! Ano tak, tak.

Po jakimś czasie starzec wstał z ławki. Powolnymi ruchami narzucił sukmanę, na głowę wcisnął futrzaną czapę, na ramię zarzucił strzelbę.

– Już idziecie? – spytała kobieta i czuć było w jej głosie rozczarowanie.

– Hm – mruknął stary – zmienia się pogoda. Będzie nawałnica. Śnieżycy. W taki czas nie jest dobrze być na połoninie.

– Moglibyście zostać też na noc...

– Hm? Dość masz kłopotów i ty sama. Nie żebym jeszcze i ja... – Mruknął coś, po czym wyjrzał przez okno. – Zebrała się chmura. Widzisz? Zaraz nadejdzie i wiatr. Oswobodzą się diabły, rozpęta się piekło. – Sięgnął po kij. – No. Bóg ci zapłaci, kobieto, za rosół z kury! Dawno, przed wieloma laty ostatni raz ugotował

ktoś dla mnie rosół z kury. Bardzo dawno temu. Jeszcze wtedy... no, nieważne. Ale... jeszcze i to chcę ci powiedzieć: taki człowiek, co o kimś naprawdę myśli z miłością, choćby i z piekła przyjdzie do tej osoby, rozumiesz? Sam osobiście o tym powie, a nie będzie przekazywać tego przez innych. Co zaś tyczy się gniazda... Gdzie słyhać kwilenie, tam rzeczywiście jest już gniazdo. Masz w tym rację. Dla ciebie to jest gniazdo. Dla ciebie, kobieto. Ale... dla kukułki to gniazdo pozostanie jedynie kwaterą nawet i potem. Tak to jest. Hm. Ano z Bogiem...

Z tymi słowami poszedł. Przez drzwi wdarł się zapach śniegu. Kobieta postąpiła za starym ku progowi. Coś ścisnęło ją za gardło.

– Dziadku... mimo to dziękuję, że przyszliście... z tak daleka... Vénség zatrzymał się na ten głos, odwrócił się.

– Hm? Z daleka? Nie ma daleko i nie ma blisko, kiedy z miłością... no, nieważne, to nie moja sprawa. Ale jeśli znów poczujesz... uderz no tylko w drzewo, dniem czy nocą, wszystko jedno, ja zawsze usłyszę. Hm. Ano z Bogiem...

Poszedł. W górę polaną, tam gdzie ślady pokazywały kierunek. Chmury nad nim poczerniały, a drzewa skurczyły się. I wcale nie było już zimno. Wysoko na szczycie połoniny drzewa zabuczały od podmuchów wiatru. Był to wiatr południowy. W dole zatrzeszczały buki, a od strony Sestiny na grzbiecie tego wiatru coraz bliżej pchał się mroczny cień. Nawałnica.

– Dziadku! Wracajcie! Dziadku!

Nie usłyszał jej. W każdym razie nie odwrócił się. Szedł. Dotarł do grzbietu polany i zniknął pod drzewami. Wtedy nadleciał tam wiatr. Westchnęły pod nim choiny, potem zaczęły huczeć i w kilka mgnień widać było już tylko jedno białe wirowanie, gdy nawałnica wzbijała przed sobą masy śniegu. Las począł trzeszczeć i gdzieś z chrupotem zwało się drzewo. Trach!

Kobieta stała w drzwiach i zadrżała od tego ciężkiego, głuchego odgłosu. W następnej chwili wiatr świsnął na strychu, a z tyłu ze stukotem, gwałtownie otwarły się drzwi od drewnutni.

Nim oporządziła zwierzęta, starannie pozamykała szopę, drewnutnię. Świat dławił się od gęstego, ciężkiego mroku. Wiatr ciskał jej w twarz lodowymi krupami, a na górnym skraju polany drzewa w tych krupach całkiem już zginęły.

Wbiegła do domu i zamknęła za sobą drzwi. Poprzez wycie wiatru dało się posłyszeć, jak wysoko na górkim grzbiecie buczy choina. Na hałach oswobodziły się diabły, rozpętało się piekło, dobrze to powiedział stary.

Tu i tam cichutko poświsływały belki ścian. Dom przedmuchiwało zimne powietrze. Dobrze dołożyła do ognia, po czym usiadła w kącie przy piecu. Zza metalowych drzwiczek coraz to buchał dym. Lecz ogień trzaskał przyjaźnie i w kącie przy piecu było przyjemnie ciepło. Nie zapaliła kaganka, siedziała po ciemku. Tylko przenikający na zewnątrz blask ognia tańczył na brązowych

ścianach. Ten dom dawał pewne i uspokajające poczucie bezpieczeństwa.

Obronnym ruchem przycisnęła rękę do tamtego miejsca. Wytężyła uwagę. Lecz nic się nie ruszało. Tylko dzika nawałnica huczała i wyla na ośnieżonych szczytach.

Śpi – pomyślała i uśmiechnęła się łagodnie.

13 W oryginale *prepegyitok*, l. poj. *prepegyit*, od rumuńskiego *prăpădi* – u Wassa oznacza kryjącego się po lasach zbójnika, bandytę, zbója, szerzej zaś może znaczyć także nicponia, łotra, urwisa, łajdaka, kogoś, kto zniknął, przepadł.

Zima tam, wokół wód Szalárd, zdawała się nie mieć końca. Raz powietrze było kryształowo czyste, to znów walił śnieg. Gdy wiał wiatr, śnieżny całun stawał się miękki, lecz potem zastygał w jeszcze twardszy pancerz. Dnie wydłużały się o wiele, wiele odrobin przychylności, jednak w lasach nic a nic się nie zmieniało, tylko w zagrodach w południe niekiedy kapało z dachów, a sople lodu wydłużały się coraz bardziej. Potokom powrócił głos tam w środku, pod śniegiem, i czasem jakiś dzieciół siadał na suchym wierzchołku którejś z choin i wrzeszczał w słońcu.

Na początku każdego miesiąca przychodził na górę Gyerkó, przynosił kaszę, twaróg i czego tam było potrzeba, i przekazywał wieści o życiu w dole. Niekiedy strażnicy leśni schodzili do niego po coś, a co w ten czy w inny sposób nagromadzili w głowach, to razem z kaszą, solą, sianem zanosili na halę Komárnyik.

Że przy pile w Dédzie na śmierć zatłukli jednego z nadzorujących pracę, że w Ratosnyi Żyd o nazwisku Schwarz zakupił las Kondor, owe trzy tysiące mórg pomiędzy Porku a Valkaluca, i mówią, że chce w nim postawić pilę napędzaną parą, taką samą, jaką ma baron w Dédzie. Że daleko w okolicy Szászrégen gospodarze już orzą, bo nie ma tam już śniegu na roli, a jesienne siewy zielenią się tak, jakby była wiosna.

Nareszcie pewnego chłodnego, słonecznego dnia, tak koło południa, przyszedł Iwan z wielką wiadomością. U podnóża Belcsuj Dumitru natknął się na niedźwiedzi trop! Zima dogorywa! Iwan przystanął ledwie na jedno słowo, nawet nie usiadł. Śpieszył dalej w górę, na Iszticsó, żeby zobaczyć, czy aby i tam na szczycie nie poruszyły się niedźwiedzie.

Kobieta radośnie uśmiechnęła się na tę wieść. O, przecież ona to wiedziała! Wiele odrobin przychylności, co począwszy od owego specjalnego dnia wciąż bez ustanku rozpiera kraty czasu, kiedyś wreszcie pokona zimę. To pewne, całkowicie pewne. Możliwe, że dzisiaj jeszcze Iwan nie znajdzie śladu niedźwiedzia na stoku Iszticsó. Ale jutro czy pojutrze już i tam będzie niedźwiedzi trop. Bo powoli, powoli, codziennie o odrobinę przychylności... o, ta przychylność jest bardzo ważna. To najważniejsza rzecz na świecie.

Tej zimy przeszła jakąś dziwną przemianę. Ona sama wcale tego nie zauważyła. A i strażnicy nie od razu to dostrzegli, gdy od czasu do czasu przynosili jej na górę siano albo też przychodzili pomagać przy drewnie, a potem siadali na ławce przy piecu, żeby złapać oddech, i zamieniali z nią słowo o tym i o owym.

Już nawet i zewnętrznie się zmieniła. Zrobiła się jakoś tak pełniejsza. Bardziej kobieca. Jej oczy złagodniały, a głos stał się jeszcze bardziej aksamitny. I za wszystkimi jej słowami jakby kryło się coś więcej niż tylko ich znaczenie, jakieś sekrety, jakieś poważne, święte tajemnice, które czynią kobiety spokojniejszymi i bardziej pewnymi siebie i rozjaśniają im oczy. We wzroku takich kobiet widać większą pogodę i samoświadomość własnej wartości. To jest pogoda

macierzyństwa, wewnętrzny blask, który promienieje wokoło spokojem i ciepłem, podobnie jak ogień w dobrze postawionych piecach.

Pierwszy zauważył to Birtalan. Przyglądał się, przyglądał, ale o nic nie pytał. Wiele razy przychodził na górę, pomagał przy tym i tamtym, a w trakcie pracy obserwował ruchy kobiety. Potem siadał w domu na ławce, a tymczasem ogień huczał i cicho kręciło się wrzeciono, a na zewnątrz drzewa trzeszczały w okowach zimy.

Potem także Iwan coś zauważył. Ale i on nic nie mówił. Jeszcze tylko Dumitru o niczym nie wiedział. Aż do pewnej nocy. Była pełnia. Bezwietrzna cisza. Mróz. Na drzewach i polanach srebrzyście migotał śnieg. Dumitru chodził po połoninie za wilkami, a późnym wieczorem przyniosło go w stronę Komárnyika. Zobaczył dom. Stał tam w dole, w blasku księżyca, tak jakby wyszedł spomiędzy starych wspomnień, skądś z bardzo daleka. Dumitru przyglądał mu się. I nagle coś nim drgnęło.

Powoli zszedł ku domowi. Panowała cisza. Jakiś czas stał przed drzwiami, w końcu nacisnął klamkę. Drzwi puściły. Wewnątrz był mrok, a i ciepło.

– Kto to? – głos kobiety z przestachem zerwał się w ciemności. Zaskrzypiało łóżko.

Dumitru zamknął drzwi. Nie odezwał się, tylko tak stał.

– Przy piecu znajdziesz chrust – po jakimś czasie rozległ się zupełnie spokojny głos kobiety – podsyć ogień, żebym ciebie widziała. Możesz też zapalić kaganek, wisi tam pośrodku.

Było to bardzo dziwne. Ten spokój w jej głosie i to, że było ciemno, i to, że nigdzie nie było nikogo, tylko oni dwoje na ośnieżonych szczytach, w ciemnym domu. Księżyc rzucał przez okno słaby blask. Oczy z wolna przyzwyczyły mu się do ciemności i już widział piec, stół i blade zarysy łóżka w rogu.

Znów coś zatrzeszczało. Jakby ktoś siadał na łóżku. Miętko zaszeleściły poduszki.

– To wy, wujku Dumitru?

– Hm! Skąd wiesz?

Tak, naprawdę przestraszył się tego, że kobieta rozpoznała go.

– Chyba nic się nie stało? – ponownie zadała mu pytanie.

– Hm. Stało się? A co miałyby się stać?

Słowa te rzucił ku niej szorstko, gburowato. Zły był na siebie za to, że wszedł do środka i teraz stoi tam w ciemności, głupio i nieporadnie, nie wiedząc, co powiedzieć.

Znów zaszeleściły poduszki, ale teraz już bardziej miętko, jak wtedy, gdy ktoś kładzie się na nie.

– To dobrze – usłyszał spokojny głos. – Mówię, chrust jest tam przy piecu. Żar jeszcze się tli, widzę stąd. Na półce znajdziecie coś do jedzenia, jeśli jesteście

głodni. A jeśli chcecie się przespać, to duża derka jest o tam, na skrzyni.

Dumitru Wilk powoli poczłapał do pieca, poszukał drewna, przegrzebał żar, lecz nie rzucił nań chrustu, tylko kilka suchych polan buczyny. Nie potrzeba było światła. Następnie siadł na ławce, strzelbę postawił pomiędzy kolana i tak oto siedział. W tańczącym świetle, dobywającym się z podsyczonego ognia, teraz już wyraźnie widać było łóżko, a biały serdaczek kobiety wręcz lśnił na niej.

– Na półce jest mamałyga i jeszcze resztkę mięsa w sosie, wujku Dumitru...

– Hm. Nie przestraszyłaś się?

– Czego, wujku Dumitru?

– Ano... że jest noc... no i że jesteś sama, i że otwierają się drzwi i tak dalej...

Przez chwilę panowała cisza. Potem z łóżka nadeszła odpowiedź cicha i bardzo poważna:

– Nie jestem sama, wujku Dumitru. Już nie jestem sama.

– Hm? Jak to?

– Czy może bać się ptak, wujku Dumitru, gdy wysiaduje jaja w gnieździe?

I czeka, żeby wykluły się jego dzieci? Czy taki ptak może się bać?

Po tych słowach zapanowała cisza. Nareszcie mężczyzna tam na ławce raptem wstał.

– Wybacz mi – wymamrotał ochryplym głosem – wybacz mi, kobieto!

I już szedł w kierunku drzwi, i już je otwierał.

– Dokąd idziecie? Przecie jest noc! Przynajmniej prześpijcie się w ciepłe, macie tam derkę! Wujku Dumitru!

Już zamykał za sobą drzwi, ale z progu tak odpowiedział:

– W szopie, jeśli pozwolisz, na sianie... tam będzie mi lepiej... Po chwili słychać było już tylko jego kroki, odmierzane skrzypieniem śniegu, które z wolna wchłaniała nocka.

Kiedy rano kobieta wyszła na dwór, żeby nakarmić zwierzęta, nigdzie go już nie było. Tylko wyleżane siano za owcami, w kącie, wskazywało, że ktoś tam spędził noc. I przez długi, bardzo długi czas nie widziano Dumitru w okolicy hali Komárnyik.

Aż dopiero owego dnia, gdy późnym popołudniem Iwan przyszedł na górę z wieścią, że w Belcsuj pokazał się niedźwiedź. Kobieta akurat wypędziła owce, żeby je napoić. Śnieg jeszcze twardą warstwą zalegał wokoło, ale powietrze wydawało się jakby cieplejsze, a powyżej źródła ledwie zauważalnie zaczęła już oddychać cieniutka brzoźka. Owce piły wodę, kobieta zaś stała za nimi i patrzyła na brzozę, dziwiąc się, że dotychczas jej nie zauważyła. Lecz w aurze tego popołudnia było coś takiego, że właśnie wtedy należało dostrzec to niewielkie drzewko. Bo na nim była już wiosna. Nie dało się dokładnie określić, w czym to się przejawiało – może pień brzoźki był teraz bielszy albo gałązki bardziej brązowe,

i może zwieszały się bardziej miękko aniżeli do tej pory – ale w ten nieokreślony sposób widać już było na niej wiosnę. Dopóki owce piły wodę, kobieta przyglądała się brzozie.

Wtedy przyszedł Dumitru. Nadszedł z dołu, od buczyny. Kobieta tak bardzo zapatrzyła się na brzożkę, że nie posłyszała jego kroków, gdy włókł się ścieżką w górę. Zobaczyła go dopiero wówczas, kiedy już i on stał tam przy źródle, a pomiędzy nimi dwojgiem owce siorbały wodę.

Dumitru wsparł się na zdrowej, lewej nodze, a owinięty w szmaty kikut prawej nogi wyprostował dla odpoczynku. Patrzył na owce i nie odzywał się. Taszczył na plecach przewiazaną baranicę, służącą w nocy za posłanie, a na ramieniu strzelbę.

Owce skończyły pić i powoli ruszyły z powrotem w kierunku szopy. Za nimi podążył mężczyzna.

– Na noc mogłabyś je już zostawiać na zewnątrz – rzucił, gdy szli naprzód obok siebie. – W szopie jest para, niepotrzebnie przerzedzi im wełnę.

– Tylko czy nie zaziębi się krowa, jeśli zostanie sama? – zaniepokoiła się kobieta. – Noce są jeszcze bardzo zimne.

– Nie zaziębi się, o to się nie martw. Kłopot raczej w tym, że nie ma zagrody. Jak ziemia odtaje, zbudujemy ją.

Kobieta jeszcze oporządziła owce, wydoiła krowę, także i ją nakarmiła, napiła, Dumitru zaś stał w tym czasie oparty o ścianę szopy i patrzył na las. Potem poszli do domu. Kobieta podążała przodem, niosła skopek z mlekiem, a Dumitru włókł się za nią. W domu kobieta jeszcze przelała mleko do naczynia i rozpałała ogień. Tymczasem Dumitru zrzucił z pleców baranicę i rozwiązał ją. Wypadła z niej sterta wilczych skór.

– Popatrz no – rzekł do kobiety, gdy ta uporała się z ogniem – tobie to przyniosłem. Rozłóżyc na podłodze, wiesz. Dobrze będzie dziecku bawic się na tym.

Kobieta zaczerwieniła się. Po raz pierwszy nazwano słowem to, co czuła w sobie. Dumitru rozwiązywał skóry. Mógł być ich z tuzin, ściśle z sobą pozszywanych. Kiedy je rozwinął, przykrył nimi spory kawałek podłogi.

– Dziękuję, wujku Dumitru – powiedziała kobieta, wciąż jeszcze zarumieniona i zmieszana – to naprawdę bardzo piękne skóry.

Mężczyzna nic nie odpowiedział na tę pochwałę, nawet się nie uśmiechnął. Jego oblicze było ponure i pełne niepokoju. Począł grzebać w worku i wyciągnął z niego grubą woskową świecę. Jakie palą w kościołach, o taką.

– Posłuchaj, kobieto – przemówił, a jego głos był osobliwie ochryply – onegdaj ja ciebie uraziłem...

– Mnie, wujku Dumitru? – zadziwiła się kobieta.

– Czeka, nic teraz nie mów! Nie teraz! Proszę cię o przebaczenie,

przyzwocie, jak prosi się o przebaczenie drugiego człowieka, przeciw któremu się zawiniło. Czekaj, nic nie mów! Ja wiem, co mówię. Na, masz tu świecę. Weź! Proszę cię o to, żebyś, jeśli możesz przebaczyć człowiekowi, który zbłądził, zapaliła tę świecę za moją duszę i żebyś się przed nią pomodliła, tak jak jest to w zwyczaju. Żeby mnie więcej szatan nie wodził na pokuszenie, rozumiesz. Jeśli możesz mi przebaczyć, kobieto. To wtedy zrób to! Proszę cię!

Kobieta, ze świecą w rękach, bezradnie i wręcz z przestraczem patrzyła na brzydkiego ciemnego mężczyznę, który ze spuszczoną głową, przygarbiony, dukał te słowa. Nie zrozumiała jasno, o co chodzi, ale czuła, że temu smutnemu samotnemu człowiekowi ciąży na duszy poważna i wielka sprawa.

– Teraz, wujku Dumitru?

– Teraz – przytaknął krótko stary.

– Ale...

Mężczyzna odwrócił głowę.

– Ja zaś siądę tam w kącie. Nie będę ci przeszkadzał. Myśl, że wcale mnie tu nie ma.

Kobieta wciąż stała ze świecą w ręce.

– Ale... wujku Dumitru...

– Co tam?

– Ja nie wiem... jak to się robi...

Ciemny człowiek przez kilka chwil gapił się na nią bezradnie, następnie podrapał się po głowie.

– Ano... zapalasz tę świecę... potem ją stawiasz pod krzyżem... albo... pod Najświętszą Panią... – Dumitru w zmieszaniu wodził wzrokiem po ścianach. – Albo jeśli ich nie masz, no to tam... gdzie czujesz, jakby tam byli, no i potem... potem klękasz przed nią i modlisz się, aż świeca się wypali.

– Modlić się. – Z przestraczu oczy kobiety rozwarły się szeroko. – Ale... ja tego też nie umiem...

– Nie umiesz się modlić? – przestraszył się też mężczyzna. Pokręciła głową.

– Nie.

– Hm... to kłopot. Czekaj no!

Pochylił głowę. Na czole pogłębiły mu się zmarszczki, długa zarośnięta broda wydłużyła się jeszcze, sięgała niemal ziemi.

– Czekaj no... ja jeszcze potrafię to jako tako. Jako tako. Będiesz za mną powtarzać. Dobrze?

– Dobrze, wujku Dumitru.

– No to zapal świecę!

Kobieta podeszła do paleniska, wyjęła zeń płonące drewno i zapaliła od niego świecę. Z trudem się zapalała, długo trzeba było się z nią męczyć, nim knot zajął się od ognia. W izbie rozłożył się już mrok, maleńki ogieniek zamrugał w nim

żółtawo. Na zewnątrz popołudnie prześlizgnęło się w wieczór. Niebo pociemniało, przechodząc z błękitu w fiolet, i powoli zaczęła przysłaniać je szarawa mgła.

– Teraz ją postaw!

– Gdzie?

– Ano... tam, gdzie dla ciebie jest tak, jakby było coś... coś świętego...

Kobieta w zamyśleniu tkwiła pośrodku izby, ze świecą w ręce. Potem naraz podeszła do półki, gdzie stało tamto pismo z obrazkiem, oparte o ścianę. Postawiła świecę przed zapisanym widoczkiem.

– A teraz, wujku Dumitru?...

– Teraz klęknij!

Widziała już w dzieciństwie, jak ludzie klękali, i stąd wiedziała, w jaki sposób trzeba to zrobić. Powoli opuściła się na kolana.

– Złóż obie ręce! Dłońmi ku sobie. O tak.

Złożyła obie ręce i podniosła wzrok ku świecy. Płomień oświetlał obrazek, obce miasto i obcą wieżę, i ponad nimi czerwone litery pisma. Panowała głęboka cisza i ta cisza naraz jakby nappełniła się tajemniczością.

– Powtarzaj za mną – mruknął z tyłu ochryply głos – powtarzaj za mną!

Ojcze nasz...

I kobieta posłusznie powtarzała:

– Ojcze nasz...

– Któryś jest w niebie... tam wysoko...

– Któryś jesteś w niebie tam wysoko...

– Święć się imię Twoje...

– Święć się imię Twoje...

– Przyjdź królestwo Twoje...

– Przyjdź królestwo Twoje...

– Bądź wola Twoja...

– Bądź wola Twoja...

– Jako w niebie...

– Jako w niebie...

– Tak i na ziemi.

– Tak i na ziemi.

Słowa, jedno po drugim, z pomrukiem wpadały w ciszę, rozedrgane, a potem w miękkim szepcie znów ożywały na moment, wraz z migotliwym promieniem ogromnych zielonkawoniebieskich oczu frunęły ku maleńkiemu światełku i ginęły w skwierczącym żółtym płomieniu, gdzieś pomiędzy kolorowymi liniami oświetlonego obrazka. Z niezbadanych wysokości powoli puściła się w dół Osobliwa Tajemnica niczym wielkie, miękkie skrzydła sowy i okryła świat. I niczego już nie było, tylko tajemniczy żółty płomień na półce i oświetlony nieznany jej widok, i dziwny, nieznajomy zapach tlącego się knota, i wydawane

przez woskową świecę ciche skwierczenie w głębokiej ciszy. I słowa, jak z wolna i pojedynczo przecinały ciszę, wręcz płynąc i kołysząc się w gęstej, ciemnej tajemnicy, która je otaczała, aż wreszcie podnosiły się ku nieruchomemu płomykowi i poprzez ten płomyk znikają gdzieś... u kogoś poza mrokiem, dla kogo były przeznaczone.

– Amen.

– Amen... – usta kobiety powtórzyły szeptem to obce, niezrozumiałe słowo, a bliskość tajemnicy dreszczem przeszła jej ciało.

– A teraz pomyśl o tym, co powiedziałem – wymruczał z tyłu głos.

Potem była już tylko cisza. Kobieta klęczała pod świecą, przyglądając się płomykowi i oświetlonej nim dziwnej obcej wieży, a w jej głowie delikatnie i łagodnie pływały myśli o świecie, o ludziach, o Dumitru, o tym dziwnym kulawym mężczyźnie, o Vénségu, o Iwanie, o Birtalanie... i o tym gdzieś tam pod tą obcą wieżą, i o tamtym drugim, który już zaczyna w niej żyć, w jej ciele, niczym jakieś obce, a jednak wcale nie obce ciało... i gdzieś tam wysoko ponad myślami, i gdzieś tam w dole pod myślami, w głębokiej czarnej czeluści, nieruchomo i miękko unosiły się, przewalały się, piętrzyły się ogromne skrzydła sowy: Tajemnica w pewien sposób wszystko to spajająca, otaczająca i osadzająca we własnej niezbadanej delikatnej mgłę, we mgłę, której nie można ani zobaczyć, ani dotknąć, ani wchłonąć jej zapachu, a tylko poczuć, i ku której jedyny tajemniczy trop znają tylko owe pojedynczo szeptane słowa o ukrytym sensie, słowa, które poniósł płomień świecy i unoszący się z ognia dym o osobliwym zapachu, cicho i niezauważalnie zabrawszy je na swym grzbiecie gdzieś pomiędzy gęste woale ciszy.

Długo klęczała tam bez ruchu, ze złożonymi rękoma. Tylko woskowa świeca skwierczała na półce, topiła się, spływała, a niekiedy z półki na podłogę spadała jedna i druga łąza. Palił się już tylko maleńki ogarek, aż wreszcie i on się przechylił, zgasł. Zniknął płomień, dym, obrazek, wszystko. Na świat zwałił się ciężki mrok.

Kobieta poruszyła się nieśpiesznie. Najpierw opadły jej zmęczone ręce, potem ona sama podniosła się z klęczek. Z powodu jakiegoś tępego bólu zdrętwiały jej członki, ledwie mogła się ruszyć. Podobnie jak ktoś, kogo tajemnicze siły przez dłuższy czas trzymały spętanego i teraz pomału, jeden za drugim, rozwiązywały się niewidzialne rzemienie.

Podeszła do pieca. Otworzyła drzwiczki paleniska. Już tylko pod popiołem mrugało trochę żaru. Przegrzebała go i rzuciła nań chrustu. W wybuchłej jasności zdjęła z belki kaganek, naląła doń oleju i zapaliła go.

Powolnym ruchem z powrotem zawiesiła na gwoździu haczyk kaganka. Jeszcze przez kilka chwil trwała w zamyśleniu, ze wzrokiem utkwionym w mrugające światelko, jak ktoś, kto chciałby coś zapamiętać.

– Dobrze to zrobiłam, wujku Dumitru?

Pytanie zginęło w czarnej ciszy domu. Odpowiedź nie nadeszła. Kobieta odwróciła się ku ławce. Potem stała tak dłuższą chwilę, a serce waliło jej dziwnie, bardzo dziwnie.

Ławka była pusta. Nikt na niej nie siedział. Tylko ciężki, duszący zapach palonej świecy przywierał do ciemnych ścian i coś przypominał.

Zdarzyło się to w jakiś czas później, może tak o jedną zmianę księżyca.

Wysoko na kwaterę przybył na kilka dni pan i pewnego popołudnia, gdzieś daleko w górnych jarach Nagy Ciby, natknął się na wyraźny trop niedźwiedzi. W czwartym jarze znalazł też jego właściciela, który ogryzł ściernie rozszponki właśnie tam, gdzie z ogrzanej słońcem plamki wokół źródła wreszcie ustąpił śnieg. Miejsce, w którym stał niedźwiedź, znajdowało się pośród powalonych na siebie choin i mogło się zdarzyć i tak, że kula poleciała akurat nie tam, gdzie powinna. Strzał co prawda dosięgnął niedźwiedzia, ale ten tylko przygiął się, po czym straszliwie ryknął i rzucił się w maliniak. Słychać było już tylko, jak z hałasem popędził w dół jarem.

Pan obejrzał miejsce, gdzie stał niedźwiedź, posokę, sierść, wszystko było tak, jak być powinno. A ponieważ w powietrzu wisiał już wieczór, ściał myśliwskim nożem kilka świerkowych gałązek, oznakował nimi trop, wszelkie ślady, a potem poszedł z powrotem do domu. Następnego dnia miał w Ratosnyi rozprawę tyczącą kolei, i dlatego wysłał Iwana, żeby ten odszukał niedźwiedzia. I Iwan znalazł owo miejsce, świerkowe gałązki, posokę, i posłał tym tropem psy. Sam też ruszył tropem w dół, w gęstwinę.

Dość długi czas trop biegł w dół, potem skręcał w prawo, prowadził przez łagodny niewielki górski grzbiet, a za nim znów wchodził do jaru. Iwan był już w głębi tego jaru, gdy usłyszał szczekanie swoich psów. Lecz daleko w górze, gdzieś pod szczytem Benedek!

Sporo czasu mu zabrało, by nieco zbliżyć się do nich. Ale wtedy ton tego szczekania już przestał mu się podobać. Bo to nie było szczekanie, a raczej zaczepne ujadanie. Nie takie jak wtedy, gdy pies spokojnie siedzi przy zabitym czy zranionym, padłym dzikim zwierzęciu i od czasu do czasu z uniesionym łbem, głębokim, silnym głosem wyszczekuje w las sygnał: „Chodź tu, mój panie, znalazłem go, tu jest”. Głos obu psów był raczej taki jak wtedy, kiedy walczą z rysiem albo też atakuje je rozwścieczony dzik, a one zaczepnie, ze zjeżoną sierścią uciekają przed nim, obchodzą go, znów go atakują, ponownie uciekają i tocząc pianę, gniewnie ujadają na wroga.

– Czyżby ten niedźwiedź był jeszcze żywy? – zadziwił się Iwan. – Mimo że uszło z niego tyle posoki?

W końcu Iwan dotarł na Benedek, choć nie bez trudu, bo była tam ogromna, nieprzyjemna gęstwa, ledwie dało się w niej poruszać. Psy ujadły już tam przed nim, na dnie gęsto porośniętej kotliny. Ze strzelbą złożoną do strzału, szukając odpowiedniego wiatru, Iwan powoli skradał się ku nim. Całkiem osobliwe było to, że od strony ujadania nie dolatywał żaden hałas, żadna taka wrzawa, która wskazywałaby na walkę. A mimo to... głos psów brzmiał stanowczo niezwykajnie.

Iwan zbliżał się ostrożnie. I już widział starego Dudása, jak stoi tam przy

młodej choinie i wrogo ujada przed siebie, zobaczył też młodego Dudása, o dobre dwa kroki przed starym, jak gniewnie szczeka, a z pyska bryzga mu biała piana. W końcu dostrzegł, na dobre dwadzieścia kroków przed psami, przy ciemnej skale, pomiędzy powalonymi na siebie pniami drzew, ciemną sylwetkę niedźwiedzia.

Podniósł strzelbę. Lecz nie widział wyraźnie. Niedźwiedź poruszał się, jednak dziwnie. Tylko w jednym miejscu. Iwan znów opuścił strzelbę. Postąpił kilka kroków bliżej. Pod nogą zatrzeszczała mu spróchniała gałąź. Na ów trzask psy natężyły uwagę i dostrzegły go. Oba jednocześnie rzuciły się naprzód w odważnym gniewie i już były przy skale. Niedźwiedź poruszył się, jakby wstawał. Iwan podniósł strzelbę...

I wtedy nagle jakiś gniewny, zachrypnięty głos tak warknął:

– Uciekajcie do cholery, wy śmierdzące ścierwa!

I w kierunku psów poleciał odłamek skały, po czym z głośnym stukiem uderzył gdzieś w pień drzewa.

Iwan kilkoma szybkimi susami znalazł się przy psach. I już widział też niedźwiedzia. Leżał tam martwy pod skałą, a skóra na nim była w połowie zdarta. I stał przy nim ogromny kudłaty mężczyzna o wściekłym, strasznym wyrazie twarzy, w jednej ręce ściskając zakrwawiony nóż, w drugiej zaś stylisko siekiery.

– Dudás, zostaw! Do mnie!

Na ten rozkaz psy umilkły. A Iwan stał tam ze strzelbą w ręce i przyglądał się obcemu mężczyźnie. Ten zaś jemu. Złym, dzikim wzrokiem. Dzieliło ich ledwie kilka kroków.

– Co tu robisz? Co?

– He? – warknął obcy. – Znalazłem zdechłego niedźwiedzia i tyle! Co masz do mnie?!

– Do ciebie nic, ale tego niedźwiedzia ustrzelił pan i nikomu innemu nie wolno go tknąć.

– He? Każdy może powiedzieć, że to on go ustrzelił! Nie obchodzi mnie żaden pan! He! Ja go znalazłem i koniec!

Iwan przypatrywał się obcemu, który jakby szukał zaczepki. Był to duży kościsty mężczyzna w postrzępionym kaftanie z owczych skór, spod odsuniętej w tył futrzanej czapy spadały mu na czoło włosy. Oczy nabiegły mu krwią, obrośnięta szczeciną twarz była szara, szara jak popiół, a z lewej strony szpeciła ją stara blizna.

– Słuchaj, człowieku – Iwan rzekł z wolna, z przemyślanym spokojem – nie mam ja z tobą nic wspólnego, nie obchodzi mnie, skąd przyszedłeś i czego szukasz tu w lesie. Ale pewne jest to, że skórę z tego niedźwiedzia poniosę do domu dla mojego pana.

– Hm! – mężczyzna warknął gniewnie. – A jeśli ci jej nie oddam?

– To ci ją odbiorę.

– A jeśli jej nie dam?!

– Wtedy tą kulką, co jest w mojej strzelbie, położę cię przy niedźwiedziu i razem z nim możesz sobie czekać na zmartwychwstanie i na Sąd Ostateczny.

Iwan wypowiedział to cicho i spokojnie, bez jakiegokolwiek gniewu czy uniesienia, tylko ot tak, jakby mówił o tym, że jutro spadnie śnieg albo deszcz. Jedynie lufa jego strzelby podniosła się o szerokość dłoni.

Na kilka chwil mężczyzna zastygł w zdumieniu, patrząc na Iwana, wreszcie z gniewem cisnął siekierę na ziemię.

– A niech was szlag trafi! Przez was już nawet i żyć się nie da!

– Życ się da – spokojnie odparł Iwan – ale nie ze skóry niedźwiedzia, a z pracy. Zabieraj swoje manatki i wynoś się!

Mężczyzna, klnąc, podniósł ciśniętą na ziemię siekierę, następnie nędzny worek i obszarpaną sakwę. Splunął i ruszył. Po kilku krokach jednak znów przystanął.

– Ty, człowieku! Mięso też zabierasz?

– To możesz dostać.

Ten drugi coś odburknął, po czym zawrócił.

– He! – Iwan zawołał nań gwałtownie. – Stój!

– Pomógłbym ci zdzierać skórę – ten drugi rzucił z podstępą unізonością – żebyś, mój panie, nie męczył się z nią sam.

I powoli podchodził bliżej.

W ręce Iwana znów poruszyła się strzelba.

– He. Powiedziałem, żebyś się zatrzymał. A jeśli ja mówię, żebyś się zatrzymał, to się zatrzymaj, rozumiesz? Tu jesteśmy w wysokich górach, nie we wsi. Albo ja zedrę skórę, a ty przez ten czas posiedzisz na tamtym kamieniu, albo ty ją zdrzesz, a na tamtym kamieniu usiądę ja. Ale tych pięć kroków pomiędzy nami to w każdym przypadku zostanie zachowane. Rozumiesz mnie?

Mężczyzna wymamrotał przez zęby jakieś przekleństwo, ale cofnął się do kamienia i usiadł.

– Twoje szczęście, że nie mam jeszcze strzelby...

– Co mówisz?

– Nic. Skoro już tak ma być, to pracuj ty, w pojedynkę. Ja już i tak napracowałem się nad nim. Za darmo...

– No, no, nie za darmo – Iwan oddał sprawiedliwość – bo mięso dostaniesz.

Mężczyzna odwarknął coś na to, a potem więcej już się nie odzywał, tylko tak siedział. Położył obok siebie obszarpaną sakwę i siekierę o długim stylisku, nóż wytarł sobie w śniegu i schował go do opaska. Potem już tylko siedział i obserwował.

Iwan zaś strzelił palcami na psy, pochylił się do nich i coś im poszeptał do uszu. Następnie oparł strzelbę o pobliskie drzewo, wyjął nóż i zabrał się do

zdzierania skóry. Oba psy usiadły tyłem do niedźwiedzia, ze wzrokiem utkwionym w obcym mężczyźnie, i poczęły go obserwować.

Mijał czas. Iwan męczył się ze skórą, niekiedy gniewnie fukał, gdy dotarł do takiego miejsca, gdzie tamten mężczyzna zepsuł coś przy oprawianiu.

– A niech cię!... I to nazywasz zdzieraniem skóry? To tak trzeba zdejmować pazury? Bałwan! Ależ tu przeciąłeś... i po co taki bierze nóż do ręki...

I tak dalej. Właśnie oprawiał łeb, co wymaga szczególnie wiele staranności, i przykucnął tam z przygiętymi plecami, tyłem do obcego, kiedy oba Dudąse jednocześnie zawarczały. Iwanowi ani nie zatrzymała się w pracy ręka, ani nie odwrócił się na to, tylko odezwał się tak, jakby mówił do głowy niedźwiedzia:

– Usiądź z powrotem, człowieku, i nie kręć się, bo psy tego nie lubią.

Od strony kamienia doszedł jakiś niezrozumiały pomruk. Mały Dudás jeszcze szczyrzył zęby i charczał, duży Dudás już tylko od czasu do czasu warknął ostrzegawczo. Nareszcie oba psy się uspokoiły. Od tej chwili przez cały czas panowała cisza. Słysząc było jedynie nóż, jak ciął powłoki skóry.

Nareszcie Iwan był gotowy. Wyprostował się, wytarł nóż i schował go z powrotem do pochwy.

– No – rzekł – na tym mięsie jakiś czas możesz przeżyć, jeśli będziesz miał doń cierpliwość, no i zęby.

Zwinął zdartą skórę, z worka wyciągnął sznurek, obwiązał ją i zarzucił sobie na plecy. Do ręki wziął strzelbę. Mężczyzna wciąż jeszcze siedział na kamieniu, psy zaś warowały naprzeciw niego, z przymrużonymi oczami.

– To tak. Więcej spraw z sobą nie mamy. Niech Bóg ci dopomoże.

Po czym gwizdnął na psy i ruszył.

Ze szczytu Benedek do siedliska na Cibie najlepiej jest dostać się tak: trzeba podejść na połoninę i podążać nią na Komárnyk, a potem w dół. Tak właśnie szedł Iwan. Z uwalaną posoką skórą niedźwiedzia na plecach, ze strzelbą na ramieniu, za nim oba Dudąse. Szedł i szedł, a po drodze rozmyślał o tym i o owym, o obcym mężczyźnie ze strasznym obliczem, który z jakiegoś powodu musi się tak ukrywać, sam jeden w wysokich górach; o reszcie ludzi, którzy tak ukształtowali ten świat, że niekiedy tu i tam musi w nim ktoś zdziczeć; rozmyślał i powoli dotarł wysoko na połoninę, długim pofalowanym górskim grzbietem przeszedł do szczytu Komárnyk i poprzez choinę spuścił się w kierunku polany. Nigdzie się nie zatrzymywał, nie odwracał, nie spoglądał wstecz.

Na hali Komárnyk rwał się już całun śniegu. Tu i tam wychylała się zeń blada zieleń murawy. Iwan zajrzał do domu. Kobieta plotła miotłę z brzozowych witek.

– Szczęść Boże!

– Szczęść Boże, wujku Iwanie!

– Szykuje się miotła, co?

- Szykuje się, a jakże. Co tam macie na plecach?
- Skórę niedźwiedzia.
- Tu gdzieś go ustrzeliliście?
- Nie ja go ustrzeliłem. Pan, wczoraj. Starszy pan – dodał.
- A tak. Usiądźcież! Zaraz coś przygrzeję.
- Zostaw, śpiesz się. Długo mi się zeszło.

Zmarszczył czoło, bo przypomniał sobie tamtego obcego mężczyznę, ale nie wspominał o nim. Po cóż mam ją straszyć – pomyślał.

- A z mięsem co zrobiliście? – kobieta spytała raptem.
- Masz na myśli mięso niedźwiedzia? – Iwan drgnął.
- Tak... – kobieta badawczo obserwowała szczerą twarz strażnika leśnego i jednocześnie tak mówiła powoli: – Ongiś jadłam raz mięso niedźwiedzia... Tata je przyniósł, od panów... z polowania... dobry miało smak, tylko długo trzeba było je gotować... tata powiedział, że panowie tego nie jedzą... wszystko oddaliście tamtemu człowiekowi? Całego niedźwiedzia?

Od tego nieoczekiwanego pytania Iwan niemal się zachwiał. Poczzerwieniał ponad brodą i począł dukać:

- Co...? Jak...? Skąd o tym wiesz? Kobieta zaśmiała się ze swobodą.
- Nie wiem. Jest tam gdzieś w waszej twarzy... chyba w waszych oczach! Ja tylko tak zapytałam, bo to jest tam. O, nie, nie myślcie, że żałuję go tamtemu człowiekowi! To na pewno był jakiś biedny, głodny człowiek... – Powoli spoważniała. – A przecież... czuję, że... tamten człowiek... to nie był dobry człowiek, wujku Iwanie. To był jakiś podły człowiek...

– Skąd to wiesz? – strażnik leśny wlepił w nią oczy, wciąż jeszcze przestraszony. – Skąd ty wiesz o takich rzeczach, kobieto?

Ona zaś potrząsnęła głową i odwróciła się.

– Wcale nie wiem – odparła cicho. – Nic nie wiem, wujku Iwanie. Tylko tak pomyślałam. To głupstwo.

I dalej plotła miotłę.

Strażnik leśny stał przed nią nieporadnie, ze skórą niedźwiedzia na plecach.

– Potrzeba by ci mięsa?

– Nie, ależ skąd.

Jakiś czas postął tam jeszcze, nareszcie szarpnął ciężarem i poprawił sobie na ramieniu strzelbę, która przesunęła się do przodu.

– No, zobaczymy, może niezadługo coś się trafi. Ano niech Bóg ci błogosławi!

– Niech wam Bóg dopomoże, wujku Iwanie!

W progu, nim zamknął za sobą drzwi, jeszcze się zatrzymał, jakby coś mu się przypomniało. Jego ręka już ścisnęła klamkę, gdy odwrócił się, drepcząc w miejscu.

– Słuchaj... drzwi... wiesz no, na noc... ryglujesz je jednak na wszelki wypadek... nigdy nie wiadomo...

– Czego? – kobieta nadstawiła ucha, zaskoczona, a miotła wypadła jej z ręki.

– Bóg jeden wie. Tak tylko powiedziałem – strażnik leśny kręcił się, zmieszany. – Ano niech Bóg ci błogosławi!

Drzwi się zamknęły, kobieta pozostała z miotłą. Przez kilka chwil wpatrywała się przed siebie, po czym na nowo zajęła się pracą. Jednak w żaden sposób jej ona nie szła. Witki nie zginały się tak, jak powinny, wykrzywiały się na opak, pękały; nie szło jej, coś wisiało w powietrzu, jakieś nieprzyjemne, zdławione uczucie.

Później zostawiła plecenie miotły i podeszła do drzwi. Otworzyła je na oścież, żeby wpadło przez nie południowe słońce. Ona sama też pozostała w progu, oparta o ramę drzwi, a jej oczy niespokojnie przemykały po całej polanie, w górę ku choinom.

Naraz serce zabiło jej nieprzyjemnie, ostro. Mieniło jej się w oczach? Czy rzeczywiście coś poruszyło się tam w górze, pomiędzy przygiętymi gałęziami skrajnych świerków... Ciemna ludzka postać?...

Utkwiła wzrok w tamtym miejscu. Jakiś niezrozumiały przestрах jakby wtłoczył jej serce do gardła. Ale nic a nic nie ruszało się tam wysoko.

Długo tak stała i obserwowała choinę. Powoli uspokajała się. W cieplejszym już słońcu przefrunęło ponad polaną stadko sikorek, a jakiś wesoły zielony dzięcioł z wrzaskiem pomykał w górę i w dół po aksamitnie szarych pniach buków. Dalej w drągowinie goniły się dwie czarne wiewiórki, potem na znajdujące się ponad nimi drzewo przyfrunęła zamieszkująca wysokie góry pstrokatopióra sójka i zaczęła im kłótliwie wymyślać. Niebo było zielonkawoniebieskie i jego nieskończenie wysokich zwierciadeł nie zakłócał nawet jeden jedyny strzęp obłoku, a w bezwietrznej ciszy słychać było strumyki, jak żwawo podzwaniając, zbierały wodę z topniejącego śniegu. Gdzieś pośród buków zakwitła leszczyna. Gorzki zapach leszczynowych kotków unosił się w sennym powietrzu.

Powoli uspokoiła się. Później weszła do środka, żeby przygrzać obiad, i zapomniała o tym wszystkim. Po południu popędziła owce kilka razy wokół polany, pokrzykiwała im wesoło, a i Csobán, całkiem ogłupiały, skakał w przyjemnym, ciepłym słońcu, mocno się rozpędzał, rył nosem w śniegu i głośno poszczekiwał.

Potem zeszła pod źródło wyprać ubrania i wkrótce wartki stukot kijanki wesoło pobrzmiwał echem po całych lasach. Był to odgłos silny, odważny, wesoły, przywodzący na pamięć Urszu, szerokie stoki Tronu Bożego, miły szum potoku Bystrego i przyjemnie było tak sobie to wszystko przypominać w świetle słońca.

Po pewnym czasie, gdy słońce zaczęło opadać na spoczynek, zrobiło się

chłodno. Mgły splotły się na niebie, a od strony choiny ruszył w dół ostry wiatr i przyniósł zapach spróchniałych pni drzew.

Wniosła pranie do chaty, rozwiesiła ubrania na sznurze, żeby wyschły, oporządziła zwierzęta, skończyła dojenie, a tymczasem nastał wieczór. Kiedy zamykała za sobą drzwi szopy, czuła już w powietrzu ostrość mrozu nadchodzącej nocy. Polana martwo rozpościerała się w szarówce, a oczy kobiety z mimowolnym niepokojem przeleciały ponad nią, w górę ku choinie. Ta była niczym nieruchoma czarna ściana, tam wysoko. Kobietę przeszyło jakieś nieprzyjemne uczucie. Stała chwilę, wreszcie gwałtownym ruchem znów otworzyła drzwi szopy i zawołała do środka:

– Csobán! Csobán, no!

Pies, zdziwiony, sennie wylazł z siana.

– No! – skinęła nań kobieta. – Chodź!

Podeszli pod dom. Pies pytająco spojrział na swoją panią. Ta zaś otworzyła drzwi.

– No, Csobán. Możesz wejść.

Jej oczy przez niespokojną chwilę znów rwały się ku choinie. Było w tej choinie coś z groźby, w tym, jak tam stała, podobna niewzruszonej, nieporuszonej czarnej ścianie, u skraju martwej, pustej polany. Była w niej nie tylko samotność. Coś innego. Coś więcej.

Kobieta wzdrygnęła się i zamknęła drzwi. Zapaliła kaganek, z lichej derki przygotowała za piecem posłanie dla psa i zabrała się do porzuconej w południe miotły.

Ale praca jej nie szła. Tymczasem na dworze zerwał się wiatr, słyhać było las, huczący na górkim grzbiecie, a też wysoko na strychu zaczęło poświstywać. W dole niekiedy zatrzeszczał jeden i drugi buk, a gdy od czasu do czasu poryw wiatru uderzał na zewnątrz o ścianę domu, było to takie, jakby ktoś szukał drzwi, żeby wejść do środka.

Oczy kobiety bezwiednie skierowały się ku oknu, a ów martwy czarny prostokąt oddał jej spojrzenie, zupełnie jak jakieś tajemnicze oko. Wstała i zasłoniła to okno. I drugie też. Wreszcie usiadła w kącie przy piecu, ale nie pracowała.

Przysłuchiwała się wiatrowi. Był to wiatr osobliwy. Nieokrzesany. Nadchodził porywami, niekiedy niemal zupełnie ustawał i w tej ciszy tym głośniejszumięła choina na szczycie. Po czym znów tam był. Z mocą uderzał w ścianę domu. Następnie znów się zatrzymywał, jak ktoś, kto na coś czatuje. Szykuje się do skoku. Albo nadstawia ucha. Osobliwy był to wiatr.

Później znów wstała i podeszła do drzwi. Popchnęła naprzód ciężką dębową zasuwę i je zaryglowała. Tymczasem podszedł tam ze swojego kącika pies i zaczął skrobać drzwi.

– Czego chcesz? – fuknęła nań gburliwie, nerwowo. Pies cicho zaskomlał. Chciał wyjść.

Pchnęła rygiel z powrotem i wypuściła psa. Przez drzwi wpadł wiatr i załopotał anemicznym płomieniem kaganka.

– Wracaj!

I stała tam w drzwiach. Noc była czarna jak smoła. Tylko wysoko, bardzo wysoko widać było kilka bladych gwiazdek. Upiornie buczała tam w górze choina.

Pies przespacerował się, wreszcie wrócił. Nim wszedł do środka, raz jeszcze przystanął i niespokojnie spojrzął wstecz, w czyhającą za nim ciemność. Cicho zaskowyczał.

– Chodź już do środka, chodź już! – kobieta zawołała, drżąc, i szybko zamknęła drzwi za psem. Starannie zasunęła dębowy rygiel, po kolei sprawdziła też okna. Poprawiła jeszcze zasłonki, a także koce, które na nich zawiesiła. Żeby nigdzie nie było nawet jednej szczeliny.

I czuła przy tym, że dygocze.

– Co to? – spytała samą siebie. – Czy to jest to, na co ludzie mówią: „Boję się”?

Usiadła w rogu przy piecu i czekała. Czuła i wiedziała, że czeka, i było to nieprzyjemne. Czekala, bo musiała na coś czekać. Na coś, co jest straszne i złe, od bliskości czego przeszywały ją zimne dreszcze.

Na zewnątrz wiatr nie słabł. Wręcz przeciwnie. Gonty dachu świszczwały coraz przenikliwiej i wyraźnie słychać było buki tam w dole, jak charcząc, zmagaly się z niewidzialnym, czarnym wrogiem.

Nagle kobieta nasiliła uwagę. Kroki? Poryw wiatru popędził obok domu, a od niego zatańczył płomień kaganka. Wstrzymała oddech. Słychać było tylko wiatr, nic innego. A jednak wiedziała, że tam na zewnątrz ktoś jest.

Jakaś nie do opisania siła przyciągała jej oczy ku drzwiom. Jakby w klamce był jakiś magnetyzm, musiała tam wbić wzrok. Przez moment nic się nie działo. Po czym uchwyt klamki poruszył się bezgłośnie. Niewidzialna ręka powolutku naciskała tę klamkę w dół.

Serce skoczyło kobiecie do gardła. Oczy wpatrywały się w klamkę. Ta znów podniosła się powoli.

– Kto tam?! – Kobiecie wyrwało się pytanie.

Sama też w zaskoczeniu nadstawiła ucha za własnym głosem. Nie było w tym głosie ani śladu drżenia, które przepełniało całe jej ciało. Był to głos silny, dźwięczny, odważny. Nikt nań nie odpowiedział. Jakaś ręka znów nacisnęła klamkę od zewnątrz. Drzwi teraz już zastukały od tego nacisku.

– Kto tam? – spytała tym samym czystym, dźwięcznym tonem. Tam na zewnątrz odwarknął niski, nieprzyjazny głos:

– To ja. Wpuść mnie!

Szum wiatru porwał słowa, tylko ich sens wślizgnął się pomiędzy drewnianymi belkami drzwi. Kaganek znów zaczął łopotać.

– Czego chcesz?

– Noclegu. Pomyliłem drogę, nie wiem, gdzie jestem.

Czuła, że więcej nie ma co pytać. Ta prośba jest nakazem, wewnętrznym nakazem, którego należy usłuchać. Bez względu na to, czy to prawda, czy nie. Ktoś prosi o nocleg, a zatem trzeba mu otworzyć drzwi. Nawet jeśli oznacza to śmierć, także i wtedy nie można uczynić nic innego.

Wstała. Przeszła na drugą stronę pieca i podniosła małą siekierę. Przyglądała się jej przez chwilę, po czym szybko ją położyła i sięgnęła na półkę. Odszukała ręką nóż do mięsa. Uniosła go w kierunku kaganka, palcem dotknęła czubka ostrza. Przez chwilę zastanawiała się, gdzie go włożyć. Od zewnątrz znów naparto na drzwi.

– Czekaj, czekaj! Już idę.

Wsunęła nóż do fartucha, trzonek wciskając pod obrębek. Następnie podeszła do drzwi i odsunęła dębowy rygiel. Ręce jej się trzęsły i czuła, jak wali jej serce.

Drzwi się rozwarły. Wpadł przez nie wiatr i zgasił kaganek. Zrobiło się ciemno. Kobieta uskoczyła przed wiatrem, a jej ręka złapała za trzonek noża.

– Zamknij drzwi, człowieku!

Ktoś stanął tam obok niej w ciemności, jakaś ogromna straszna obcość. Coś ciężkawego, widać było zaledwie jego kontury; kanciasty, ścisły, ciemny blok w miękkim mroku nocy.

– Zamknij wreszcie te drzwi!

Drzwi trzasnęły. Wiatr pozostał na zewnątrz. Pies w swoim kąciaku zaczął warczeć głębokimi, charczącymi pomrukami.

– Zostań tam, aż zapalę kaganek!

Podeszła do pieca i otworzyła metalowe drzwiczki. Z żaru, który był tam w środku, sączyła się jeszcze nikła jasność. Kobieta nie patrzyła w kierunku drzwi, a mimo to widziała człowieka, który tam stał. Wysoki, ciężki, nieokrzesany. Zdjęła kaganek, włożyła w żar cieniutką gałązkę i poczekała, aż zapłonie jej czubek. Gdy tam tak kuciała, usłyszała, że ów człowiek poruszył się za jej plecami. Także pies znów począł warczeć.

Nareszcie gałąź zajęła się ogniem. Kobieta zapaliła kaganek i odwiesiła go na miejsce. Po izbie rozeszło się wątłe światło.

Obcy stał tam, kilka kroków od niej, i badawczo zapuszczał wzrok wokoło. Był to wysoki, kościsty, ciemny mężczyzna. Jego ostro zakończona czarna futrzana czapa sięgała belki w suficie. Na ramieniu miał obszarpaną sakwę, w ręce siekierę o długim stylisku.

W blasku kaganka kobieta rzuciła na tego człowieka jedno tylko spojrzenie

i pierwsze, co w nim dostrzegła, to była blizna. Na moment skupiła wzrok na długiej czerwonej kresce, która na szarej jak popiół, kościstej twarzy błysnęła spomiędzy kudłatego zarostu. Coś w kobiecie zadrżało. Ale była to tylko chwila. Po czym naraz owładnął nią wielki, ogromny spokój. Ten gwałtownie nadeszły, przyjemny spokój był tak dziwny, że roześmiała się odeń w głos.

Mężczyzna ze zdziwieniem rzucił jej spojrzenie.

– Z czego się śmiejesz?

– Nic, nic – odparła, wciąż jeszcze śmiejąc się – coś mi się przypomniało. Połóż sakwę, człowieku, i usiądźże o tam, na ławce. Przygrzeję ci coś do zjedzenia.

Podeszła do pieca, przegrzebała żar, dołożyła doń drewna. Mężczyzna wciąż jeszcze stał tam głupkowato, zdetonowany przez ten śmiech, i gapił się.

– Co tak rozdziawiasz gębę? No usiądźże wreszcie! Na pewno się zmęczyłeś. Jak trafiłeś w te strony?

Mężczyznę w sposób widoczny zmieszał ów pełen wyższości ton, z jakim przemawiała do niego kobieta. Nie był na to przygotowany. Zaczął coś dukać i nieporadnie umieścił sakwę przy ścianie. Zdjął też futrzaną czapkę z głowy i także ją położył na sakwie. Obok oparł siekiere.

– Ano... to było tak... niechże tu położę i czapkę... no, leż tu, do cholery, bo inaczej nawet własna matka nie będzie po tobie płakać... to było tak, wiesz, że... że wycinaliśmy las skarbowy tam daleko, powyżej Görgény... powiedz no, a gdzie twój mąż?

Tymczasem kobieta zdjęła z półki resztkę mamałygi, postawiła na ogień mleko w garnku, żeby się zagrzało, i rzuciła przez ramię:

– Już się położył, tam w drugiej izbie. Miał dzisiaj służbę. No i co tam było na Görgény?

Mężczyzna kątem oka zerknął na drzwi do wewnętrznej izby i rzekł nieco ciszej:

– Ano... wycinaliśmy las, wreszcie to się skończyło i puścili nas do domu... czym zajmuje się twój mąż?

– Jest myśliwym. A ty gdzie mieszkasz, że tędy idziesz do domu?

Obcy znów powędrował wzrokiem w kierunku drzwi.

– W Salamás, wiesz, przy Toplicy. I pomyślałem, będzie krócej, jeśli pójdę połoniną. Nie wiedziałem, że tu jeszcze leży śnieg...

– Na Görgény nie ma już śniegu?

– Nie.

– To dziwne.

Mężczyzna trochę się zmieszał.

– Ano szedłem połoniną, wiesz, i zrobił się wieczór. I bałem się, że w tym mroku pomylę drogę, i zobaczyłem dom... powiedz no, mieszkają tu w pobliżu jeszcze jacyś inni ludzie?

Kobieta mieszała mamałygę i uśmiechała się.

– Z połoniny zobaczyłeś dom?

– Tak, stamtąd.

– A przecież z połoniny go nie widać. Mężczyzna w zakłopotaniu pocierał sobie nos.

– No dobrze, przecież mówię, że się zgubiłem! Trafiłem w las i naraz zobaczyłem dom. Ma się rozumieć. A bo co?

– W ciemności?

– W ciemności?! – Mężczyzna ledwie był w stanie zdławić wściekłość. – Przecie chyba pali się u ciebie kaganek? Świeci daleko na zewnątrz! He! No popatrz!

Tymczasem kobieta najpierw postawiła na stole talerz i położyła łyżkę, następnie przyniosła mamałygę i mleko. Z wesołym zdziwieniem zwróciła się w kierunku mężczyzny:

– Naprawdę? Tak mówisz? W tych oknach się świeci? Kto by pomyślał!

Mężczyzna popatrzył na przysłonięte kocami okna i w gniewie, jaki go ogarnął, począł chrząkać.

– Czort jeden wie... gdzieś indziej wydostawało się światło, czy ja wiem... czort jeden wie, do diabła!...

– Chodź, zjedz – śmiała się kobieta.

Z zagniewaną twarzą podniósł się z ławki i podszedł do stołu. Pod jego ciężkimi krokami zadudniła podłoga.

– Chodź ciszej, bo obudzisz mojego męża – ostrzegła go kobieta.

– No i co z tego?! Przynajmniej trochę sobie pogadamy.

– Nie lubi, gdy zakłóca mu się sen. Robi się wtedy zły i grubiański.

– Do diabła!... A kto lubi nocą włóczyć się po tych bandyckich lasach... co?

Stółek zatrzeszczał pod nim, gdy siadał. Mężczyzna zjadł kilka kęsów mamałygi i siorbnął mleka.

– No... a powiedzże... czy twój mąż nie ma jakiej strzelby na sprzedaż? Kupiłbym strzelbę, wiesz, z tego, co zarobiłem... zdobędzie się nią przecie to i owo do domu... trochę mięsa... co?

Kobieta przysiadła z powrotem w rogu przy piecu, stamtąd obserwując mężczyznę.

– Strzelby na sprzedaż? Nie ma.

– A może twój mąż wcale nie ma strzelby?

– Ależ ma. Ma strzelbę.

Mężczyzna rozejrzał się wokoło i rzucił:

– Gdzie? Nie widzę.

Kobieta pokazała brodą w kierunku drzwi.

– W środku. U wezgłowia łóżka.

- Aha, tam. No a co to za strzelba?
- Ja przecie nie wiem, jaka to strzelba. Wchodzą do niej naraz dwa naboje. Mężczyzna rozdziawił gębę ze zdziwienia.
- Wchodzą do niej naraz dwa naboje? Tak mówisz?
- Tak, tak.
- To musi być porządna strzelba.
- No pewnie, że porządna. Pańska.

Mężczyzna pożerał mamałygę. Milczał przez chwilę. Nareszcie gwałtownie odwrócił się do kobiety i zapytał:

– Wyniosłabyś mi tamtą strzelbę, żebym na nią popatrzył? Wierz mi, nigdy jeszcze nie widziałem takiej strzelby! Tak po cichutku, wiesz, żeby się nie obudził... Żebym tylko popatrzył.

Tyle nieskrywanej podstępności było na obliczu tego człowieka, że kobieta najchętniej plunęłaby mu w twarz. Jednak czuła, że teraz trzeba uważać na słowa, teraz najbardziej trzeba uważać.

– Ojej! – rzekła z udawanym przestraczem. – Gdzieżbym tam ja się odważyła do niej dotknąć! Boże uchovej! Wiecznie jest naładowana, mój mąż trzyma ją tak przy sobie nawet i w nocy. Człowiek ledwie ją tknie, a ta już wypala! Gdzieżbym tam ja miała odwagę tknąć ją!

Mężczyzna pokręcił głową i gniewnie coś burknął. Po jakimś czasie odłożył łyżkę.

– Słuchaj no, kobieto. Upiekłabyś kawałek mięsa? Mam go przy sobie. I ty będziesz mogła zjeść.

– Możecie go upiec. Macie tam ogień.

Mężczyzna ciężkavo podniósł się, podszedł do rzuconej na ziemię sakwy i wyciągnął z niej spory kawałek surowego mięsa.

– Tu masz, na.

Poniósł go tam do kobiety, przystając przed nią.

– Masz. Daję ci.

Kobieta nie wyciągnęła ręki po mięso. Podniosła wzrok na mężczyznę. Przenikliwie, ostro popatrzyła mu w oczy.

– Na, masz. Za darmo je daję! – Zaśmiał się ordynarnie. – Jeśli w domu nie byłoby twojego męża, jeszcze bym za to o coś poprosił. Ale tak... innym razem!

Kobieta wciąż patrzyła mu w oczy. Przenikliwie, poważnie, surowo. Mężczyzna zmieszał się pod tym spojrzeniem. Poczzerwieniał.

– Co tak dziwnie patrzysz? Co?

Nie spuszczać zeń wzroku, tak odparła:

– Mięso z niedźwiedzia trzeba gotować, a nie piec. Drobne oczka mężczyzny poczęły wartko mrugać.

– Ha? Co? Co ty mówisz... Dlaczego myślisz, że?...

– Wiem.

– Co?

– Strażnika leśnego, który to mięso z niedźwiedzia zostawił ci dzisiaj w południe, zwą Iwan i chodzi on z dwoma psami. A ty nie przyszedłeś z Görgény i nie jesteś drwalem, lecz przyszedłeś z Dédy i jesteś mordercą, Mihály. To ty zabiłeś Ormianina i to ty podpaliłeś dom wraz z nim, a potem zabiłeś też innego człowieka, i z tego powodu szukają ciebie żandarmi. Taka jest prawda, Mihály.

Te poważne słowa wypowiedziała powoli i spokojnie, lecz swych oczu ani na moment nie oderwała od oczu mężczyzny. Ten zaś stał przed nią poblady, poszarzały, gęba mu się rozwarła, jednak słowa z niej nie wyszły. Trzęsła mu się broda. Mięso wypadło mu z ręki i głucho łupnęło o podłogę.

– Diablica!... – wycharczał. – Jesteś diablicą!...

Kobieta stanęła tuż przed nim – oko w oko. Wyraz jej twarzy był twardy i surowy. Oczy zielonymi błyskami wwierały się w oczy przerażonego mężczyzny.

– To ty jesteś diabłem, Mihály. A ja mam nad tobą władzę. Czujesz moją władzę? Gdybym chciała, mogłabym cię zabić!

W jej ręce błysnął nóż. Czubek ostrza przytknęła do piersi mężczyzny.

– Widzisz ten nóż? Mogłabym ci go wbić. I nic nie mógłbyś przeciw temu uczynić. Nawet nie możesz podnieść ręki! Ani się poruszyć! Spróbuj się poruszyć! Nie możesz!

Potężny mężczyzna stał tam, trzęsąc się, szary jak popiół. Próbował się poruszyć, ale jakby jakieś niewidzialne więzy krępowały mu członki. Tylko charczał i z przerażeniem człowieka, na którego rzucono urok, wlepił wzrok w groźne oczy kobiety. Na czoło wystąpił mu pot.

– Mogłabym cię związać i tak zanieść na dół żandarmom. Ale nic mi do ciebie, Mihály! Nie ma takiej potrzeby, żebym cię ukarała, bo to ty sam siebie ukarasz! Masz w oczach swój los. Widzę to! Sam sobie założysz pętlę na szyję, gdy przyjdzie pora, i długie miesiące wisiał będziesz na drzewie, aż kruki obedną mięso z twych kości, a robaki pożrą cię do reszty!

– Ojej, o mój Boże! – jęknął mężczyzna – o mój Boże!...

– Nie żał mi ciebie, Mihály... – Zabrzmiało to jak świst ostrza tnącego powietrze. – Ty też nie żałowałeś Ormianina, gdy w śmiertelnych drgawkach konał pod tobą... ścisłałeś mu gardło obiema rękami, widzę to... masz na rękach znak i tam pozostanie on na zawsze, aż pożrą cię robaki...

– Ojej, ojej! – dyszał mężczyzna – ojej, ojej!...

Kobieta gwałtownie cofnęła się, nóż rzuciła na stół tak, że głośno stuknęła, i krzyknęła na mężczyznę:

– Ale teraz już dość! Odejdź! Mężczyzna stał, dygocząc.

– Odejdź!

Kobieta pochyliła się w przód i przenikliwie wejrzała mu w oczy.

– Rozkazuję ci! Rozumiesz? Roz-ka-zu-ję-ci! Rusz się i idź! Mężczyzna poruszył się ociężale, odwrócił się w kierunku drzwi i zaczął iść sztywnym krokiem, jak ślepiec.

– Stój!

Mężczyzna przystanął.

– Nałóż czapkę, zabierz sakwę i siekierę!

Mężczyzna jak w transie podszedł do ściany, podniósł z ziemi czapkę, sakwę i siekierę. I rozdygotany, pobladły, martwo stał w miejscu.

– Nałóż czapkę na głowę! Mężczyzna usłuchał.

– Sakwę na ramię!

Mężczyzna zarzucił sakwę na ramię.

– Czekaj!

Podniosła z ziemi mięso, podeszła z nim do mężczyzny i wepchnęła mu je do sakwy.

– A teraz posłuchaj mnie, Mihály. Rozumiesz, co mówię?

– Rozumiem – wyjąkał mężczyzna.

– Wyjdiesz za próg, pójdziesz w górę na połoninę, tam skręcisz w lewo i dotąd będziesz nią szedł, wciąż połoniną, aż wszędzie słońce. Powtórz to za mną!

I mężczyzna zaczął mówić, zacinając się, niczym dziecko w szkole.

– Wyjdę za próg... pójde w górę na połoninę... skręcę w lewo... i dotąd będę szedł... wciąż dalej połoniną... aż wszędzie słońce...

– I w chwili, gdy wszędzie słońce, zapomnisz o wszystkim, co wydarzyło się od zachodu słońca aż po jego wschód!

– I w chwili... gdy wszędzie słońce... zapomnę o wszystkim... co wydarzyło się od zachodu słońca aż po jego wschód... – powtórzył tonem człowieka pozbawionego czucia.

– Wynoś się!

Mężczyzna poruszył się tak, jakby jego nogi napędzane były jakimś mechanizmem. Sztywno, niczym lunatyk podszedł do drzwi, otworzył je i wyszedł w noc. Drzwi pozostały za nim otwarte.

Wiatr jakby nieco zelżał. Ale tam wysoko jeszcze buczała choina i jakiś zabłąkany poryw wiatru omiótł polanę.

Kobieta powoli podeszła do drzwi. Czowała w sobie jakieś ogromne zmęczenie. Wyjrzała w noc. Nic nie ruszało się w ciemności. Tylko tam w górze drzewa jęczały na wietrze.

Nieśpiesznie zamknęła drzwi. Pragnęłaby zastanowić się nad tym, co się wydarzyło, lecz nie potrafiła zebrać myśli. Gdzieś w niej kłębiła się miękka mgła i wszystko sobą przykrywała. Ledwie jeden i drugi strzęp majaczył z tego, co się wydarzyło.

Czuła tylko tyle, że jest potwornie zmęczona. I że jest u siebie. I że ten jej dom stoi tu pośrodku świata bezpieczny, spokojny i przed wszystkim chroniony.

Powlokła się do pieca i dorzuciła do ognia. Następnie zaczęła się rozbierać. Potem zdmuchnęła ogień kaganka i wślizgnęła się do łóżka.

Już nawet i nie pomyślała o tym, że trzeba by zaryglować drzwi. Naciągnęła na siebie koc z długim włosiem, a zmęczenie, podobne wielkiej, mrowiącej się, brzęczącej, mętnej mgle, opadło na jej myśli i wcisnęło ją w miękkie poduszki snu.

Kiedy rankiem przebudziła się, w izbie wciąż jeszcze było ciemno. Ale pies piszczał już przy drzwiach i cicho je drapał. Z wolna opadał z niej sen, jak poranna mgła z lasów. Upłynąć musiał jakiś czas, zanim całkiem się obudziła. Wtedy poderwała się z łóżka i pobiegła wypuścić psa.

Gdy rozwarła drzwi, jasność dosłownie uderzyła ją w twarz. Słońce świecące oślepiającym blaskiem wdarło się do izby. Kobieta zaskoczona uniosła rękę, żeby osłonić oczy.

Potem przypomniało jej się, że wieczorem zawiesiła koce na oknach. I nagle stanął jej przed oczami i sam wieczór, i wszystko, co się wydarzyło. Jakby jakaś migocząca, ostra igła przebiła gdzieś mglistą powłokę jej pamięci, bo oto ujrzała naraz wszystko wyraźnie, trzeźwo i jasno w niemal namacalnej bliskości.

Powoli podeszła do okien i ściągnęła z nich koce, rozsunęła zasłonki. Izba wypełniła się zdrową pogodną jasnością. Kobieta rozpałała ogień, ubrała się, zjadła trochę tego, co zostało z wieczoru, po czym poszła do szopy. Przy pracy czas upływał wartko, a myśli niepozobierane błąkały się dokoła niej. Kiedy ze wszystkim się uporała i już nie miała do czego się wziąć, oparła się o ścianę szopy, twarz wystawiła na słońce, głęboko wciągnęła przyjemne, cieplejsze powietrze i po chwili podniosła wzrok ku niebu. Wysoko ponad lasem kołysało się kilka małych, puszystych obłoków, już całkiem wiosennych. U węgła szopy wyływała z topniejącego śniegu niewielka żyłka, a gdzieś w dole, w buczynie zagruchał gołąb grzywacz.

– Grzywacz! – Ucieszyła się tym odgłosem. – To już wiosna! Jakiś czas stała tak, oparta o ścianę szopy, i z wolna ponownie wypłynęło z pamięci wszystko, co wydarzyło się wieczorem. Czysto, wyraźnie i zwyczajnie. Nie mogłaby zobaczyć tego w inny sposób, samej siebie razem z tamtym mężczyzną, bo przecież świeciło słońce, w lesie gruchał grzywacz, a powietrze pachniało świeżością i wilgocią topniejącego śniegu.

Cóż takiego zaszło? Uporządkowała owe wydarzenia, kierując się zwykłym rozsądkiem: przed południem był tu wujek Iwan. Rozmowa zesłała na niedźwiedzia i tamtego mężczyznę. Ale jakżeż to było? Czy to wujek Iwan pierwszy wspomniął o owym człowieku? Nie. To ona pierwsza powiedziała o nim. Skąd o nim wiedziała? Powiedział to ktoś? Tak, ktoś to powiedział. Kto? Jakiś głos. Nawet i nie głos, a jakieś przeczucie. Kiedy pojawiło się to przeczucie? Gdy spojrzała w oczy wujkowi Iwanowi. To w jego oczach był tamten człowiek, tam wewnątrz, tak. Był tam, trzeba go było tylko wyczytać stamtąd. Mężczyzna, niedźwiedź, zdzieranie skóry i mięso, wszystko. Czy była tam też twarz tego człowieka? Nie. Jego twarzy tam nie było. Tylko... sam człowiek, oprócz twarzy. Był on tam już wtedy w oczach wujka Iwana.

No a potem? Aha. Wujek Iwan tak powiedział: „Rygluj na noc drzwi”. I może to była ta przyczyna, że ów ktoś, kogo zobaczyła w oczach wujka Iwana,

pozostał z nią nawet i potem. To te słowa zatrzymały go. Bo te słowa tam pozostały. Niewidzialne, a jednak pozostały. W szczelinach podłogi czy też pomiędzy belkami albo w powietrzu... ale gdzieś tam pozostały. To z ich powodu nie powstała miotła. To z ich powodu cały ów dzień był taki... Jaki? Taki mglisty, pochmurny, duszny, jakoś tak posępny. Że gdy nadszedł wieczór i wiatr...

Tak. Gdy nadszedł wieczór i wiatr. Czy już wtedy wiedziała, że ów człowiek przyjdzie? Wiedziała. Skąd? Tak, wiedziała, ale skąd? Nie było nikogo, więc z niczyich oczu nie mogła tego wyczytać. A jednak wiedziała. Jaka jest prawda. Może w powietrzu było i to, niewidzialne jak słowa? Możliwe. Albo może to raczej wiatr... Tak, może w wietrze było to, że przyjdzie.

Dobrze. To było w wietrze, i dlatego wiedziała. Dobrze. Ale co wiedziała? Tylko to, że przyjdzie, czy także i to, co się wydarzy? Nie, nie wiedziała tego, co się wydarzy. Tego nie. Wiedziała tylko tyle, że tamten przyjdzie. I że jest zły. Wiedziała o tych dwóch rzeczach, o niczym innym. To było w wietrze. Dobrze. No ale co potem?

Potem przyszedł tamten. Siedziała w kącie przy piecu, na dworze szumiał wiatr... szumiał osobliwie, podstępnie. I nagle musiała spojrzeć na drzwi. I wiedziała, że tamten stoi na zewnątrz pod drzwiami i powoli kładzie rękę na klamce. Tak. A kiedy klamka się poruszyła, od razu wiedziała, że on tam jest naprawdę...

Potem go wpuściła. Czemu? Bo powiedział, że prosi o nocleg, a kto prosi o nocleg, tego trzeba wpuścić. Takie jest prawo w krainie ośnieżonych szczytów. No dobrze, ale skoro już wiedziała, że on nie dlatego przychodzi...? Że to tylko kłamstwo, które z sobą przyniósł? Trudno. Mimo wszystko wpuściła go, bo musiała go wpuścić, dlatego. Bo o tamtej jednej rzeczy wiedziała jakoś tylko tak... nie umysłem, a czymś innym... wiedziała poprzez własne przecucia, a więc nie była to wiedza oczywista, pewna. Podczas gdy ta druga rzecz, to, że jakiś człowiek jest nocą poza domem, zgubił się w wysokich górach i prosi o nocleg, to była namacalna, zwyczajna pewność. To weszło do jej głowy przez uszy, za pomocą słów, które wyrzekł tamten mężczyzna. Zatem musiała to przyjąć do wiadomości i jej głowa przyjęła to do wiadomości, a ponieważ takie jest prawo, że w podobnych wypadkach trzeba otworzyć drzwi, no to je otworzyła.

Potem ów mężczyzna wszedł. Tak, dokładnie tak to się wydarzyło: wiatr zgasił kaganek i zrobiło się ciemno. Wówczas bardzo się przestraszyła. Dobrze to pamiętała: przestraszyła się tak, że odskoczyła w bok pod ścianę i chwyciła za nóż. Złękła się naraz i tej ciemności, i tego mężczyzny. Dlaczego? Ano tak: dlaczego? Właściwie dlaczego?

Jakoś tak to było: do izby wkroczyło zło, a od niego zrobiło się ciemno. Zrobiło się ciemno i ta ciemność napełniła się złem. Jakimś nienazwanym złem, którego nie sposób wyrazić słowami. O tym złu to znów była ta jej druga wiedza...

Tak. Szybko podeszła do pieca i otworzyła w nim drzwiczki, żeby przynajmniej ogień dał nieco światła. Następnie zapaliła kaganek. Tymczasem mężczyzna postąpił od drzwi naprzód. Wyraźnie słyszała jego kroki, gdy podchodził bliżej. Dosłownie dzwoniły jej zęby ze strachu. Czy już wtedy wiedziała coś z tego, co miało się wydarzyć? Nie. Wiedziała tylko to o tym złu, że jest tam za nią, w izbie, i zbliża się.

Potem zrobiło się jasno i spojrzała na owego człowieka. I w tym momencie rozpoznała go. Rozpoznała go tak czysto i wyraźnie, jakby dopiero co wczoraj stali naprzeciw siebie u Włochatouchego, w karczmie w Dédzie. Poznała go i raptem wyparował z niej strach. Nie został po nim nawet ślad. Jakby tego strachu wcale tam nie było przy niej przez cały dzień, tak właśnie wyparował on z niej w tamtej jednej chwili.

Tak, ale dlaczego?

Dlaczego? Dlatego, że wtedy już znała tego człowieka. No dobrze, ale tym bardziej powinna była się go bać! Przecież teraz już w sposób pewny wiedziała, że oto stoi przed nią tam w izbie samo zło!

To prawda. A jednak wydarzyło się też coś innego. Właśnie to, że teraz już wiedziała coś pewnego. Zwyczajną, pełną rozsądku, a pozbawioną jakiegokolwiek tajemniczości wiedzą. Wiedziała poprzez swój umysł, jasno i wyraźnie, że stoi przed nią pewien zły, podły człowiek z Dédy, który ma na imię Mihály i który zabił Włochatouchego, Ormianina...

Tak. Ale o tym... skąd o tym wiedziała? Że go zabił? Że to on go zabił? Czy to znów była tamta druga wiedza?

Tak, to znów była tamta druga wiedza. To wiedziała już i w karczmie w Dédzie i nawet wówczas powiedziała o tym Ormianinowi. To znów była tamta dziwna, druga wiedza. Jak też i później, gdy zajrzała w oczy owego człowieka...

Tamta bajka, że jej mąż i tak dalej... to była taka dowcipna przebiegłość. Z jej pomocą chciała tego mężczyznę odpędzić od domu. I nawet jej się to udało. Czy raczej udałoby się, gdyby...

No tak, tu zaczyna się tamta druga rzecz. Człowiek jadł i mówił. Ona siedziała i przyglądała mu się. Patrzyła nań i gdy tak mu się przyglądała, spoza człowieka po kolei wychylały się obrazy. Jeden podlejszy od drugiego. Jeden ohydniejszy od drugiego. Powoli, pojedynczo, wszystko to, co było poza człowiekiem. Potem mężczyzna wziął mięso i stanął z nim przed nią. I wtedy mocno wejrzała mu w oczy. Z bliska. Mocno. Tak mocno, że już niemal i ona sama była w tamtych drugich oczach. Więcej: naprawdę w nich była. Czowała, jasno i wyraźnie czowała, że całą swoją wolą, całą swoją mocą jest w tamtym człowieku. Tylko jeszcze o tym nie wiedziała, a jedynie czowała to. Wiedziała dopiero wtedy, gdy zobaczyła w nim tamten drugi obraz, tamten straszny obraz...

Jakżeż to było? Aha. Była już głęboko w oczach mężczyzny, już widziała

wszystko, co było. Widziała owe wydarzenia tak jasno i wyraźnie, jakby działały się na jej oczach. I wtedy... wtedy te przepelnione podłością i złem oczy stały się nagle jak zwierciadło o przytłumionym blasku. Zwierciadło, którego nigdy nie myto. I w tym lustrze ukazało się naraz drzewo. Sękaty, na wpół uschnięty buk, potrafiłaby go odmalować, tak wyraźnie go pamięta. Za nim były skały i świerki. A na tym buku wisiał człowiek i bił powietrze nogami w śmiertelnych drgawkach, po czym naraz zrobiło się cicho i już tylko tak wisiał. A potem nadciągnęły kruki...

Tak. I wówczas wiedziała, że wszystko to musi powiedzieć. Wszystko. I zaczęła mówić.

W jednej chwili w oczach mężczyzny zagościło bezmierne przerażenie. Tak rozpaczliwe przerażenie, z jakim jeszcze nigdy nie spotkała się w życiu. I wiedziała, że to przerażenie musi nadejść, bo ono żyło w tym człowieku, mieszkało w nim, było to jego wewnętrzne przerażenie, które nosił w sobie, choć nie był tego świadom. I teraz nagle wybuchło z niego. Pod wpływem słów, które ona wypowiedziała. I wtedy już była pewna, że nad tamtym człowiekiem ma władzę.

Ale czy naprawdę o tym wiedziała? Wiedziała. Oczywiście, tyle że tą inną drugą wiedzą, ale jednak wiedziała. I żeby się upewnić, natychmiast to wypróbowała. Kiedy stanęła przed nim z nożem, wtedy. I przekonała się, że naprawdę ma nad nim władzę.

Tak to było. Co do reszty, to przyszło już samo. Czowała, że musi zebrać w sobie całą siłę, ową wewnętrzną siłę tkwiącą w człowieku, która pozwoli jej rozkazać. I po prostu rozkazała. A mężczyzna usłuchał.

Czy w ciemności znalazł połoninę? Czy skreślił na niej w lewo? I czy szedł nią aż do wschodu słońca? Tego oczywiście nie można wiedzieć. Ale możliwe, że tak właśnie się stało. W każdym razie odszedł i więcej nie wrócił.

Ale nie to jest ważne... ważne jest to, że znów coś się z nią stało. Coś, co przypominało to, co w owym czasie... Cyganka i cała ta reszta... śmierć i to wszystko... słowem, to, co na nowo przywraca tamto słowo: czarownica. A przecież od jesieni... od tamtej pory... od tamtej pory nic a nic się nie wydarzyło, nie było po tym ani śladu, i już uwierzyła, że to przeminęło. Że więcej tego nie będzie. Że to, co przyszło jesienią, w pewien sposób wybawiło ją. A jednak nie...? Wciąż jeszcze...? Nie pomogło nawet i to, że teraz przyjdzie ktoś, kto już tu jest i żyje? A jednak mimo wszystko byłoby to prawdą...? Jest czarownicą? A jeśli to nie są czary, to co w takim razie?

Ależ chwileczkę, przecież on nie umarł! I samo to już wystarczająco dowodzi, że nie jest czarownicą! Albo nawet jeśli nią była, to teraz już nią nie jest! Odkąd przyszła ta sprawa, to wielkie uczucie, czy jak ma to nazwać, od tamtej pory wszystko jakby się zmieniło!

No ale w takim razie co to było wczoraj wieczorem? Dwa rodzaje wiedzy

i to, że miała władzę... cóż to takiego? Czy to możliwe, żeby człowiek w połowie był czarownicą, a w połowie nie? Czy to możliwe? I przecież on żyje! I także ten drugi, który przyjdzie!

Co też mówiła ta Cyganka...? „Nie wydasz na świat... ale jeśli mimo wszystko byś wydała...”.

Nie, takie Cyganki wszystkie są szalone. Są szalone i kłamią! On też tak powiedział. I tata tak powiedział. Cyganki są szalone i kłamią. Jakżeż mogłoby tak być, żeby ona... żeby ona sama zabiła tego, któremu daje życie z własnego ciała, z własnej krwi... daje życie z własnego życia?! Głupie są Cyganki, wszystkie! Podłe i głupie, skoro mówią takie rzeczy! A to, że kłamała, to widać choćby po tym, że on wciąż żyje... i pozostanie żywy, na zawsze! Póki żyć może człowiek, aż dotąd!

Stała oparta o ścianę szopy, w czystym, zdrowym, wczesnowiosennym słońcu i porządkowała w sobie te sprawy. I pomagało jej słońce, tym swoim cieplejszym już, czystym światłem, którym promieniowało. I pomagało zielonkawobłękitne niebo swoją głębią i wysokością, i tymi miłymi obłoczkami, które wiodło ku nieskończoności, powoli, spokojnie i z tak wielką, głęboką mądrością, jakby to tylko jakiś bardzo staranny i bardzo porządny boski chłopiec bawił się tam w górze pięknymi, czystymi stateczkami z papieru. No i pomagały jej też lasy i ptaki, i śnieg, i podzwaniające strumyki, i wszystko, co tylko znajdowało się wokół niej, zgodnie ze swym własnym jasnym, rozsądnym i wesołym prawem. A mimo wszystko...

Co prawda udało jej się uspokoić samą siebie i udało jej się uporządkować te sprawy, niezależnie od tego, jak były osobliwe i niezwykajne. Jednak...

Gdzieś coś mimo wszystko pozostało. Całkiem niewiele, ale pozostało. Jakaś tajemniczość w tle spraw. Jakiś sekret niewyjawiony. Jakaś przyczajona troska. Jakiś cień za sprawami. W pięknym, wielkim, czystym i prostym świetle jakaś mgiełka. Która nie jest zwyczajna i nie jest całkiem czysta. Która spowija cieniem to i owo... coś pozostało mimo wszystko.

Wówczas, oparta o ścianę szopy, jeszcze tego nie zauważyła. Stojąc tam z twarzą wystawioną ku słońcu, wierzyła, że wszystko uporządkowała, i czuła się wesoło i lekko, a wspomnienie minionego wieczoru pozostało tylko niby jakiś dziwny smak w jej ustach. Dopiero później, kiedy weszła do domu i roznieciła ogień, i ugotowała obiad... I wciąż od nowa przypominało się jej... że tu stał i tam stał, i było to i było tamto...

I wieczorem, gdy znów się ściemniło i nie było już zdrowego światła słońca ani zielonkawobłękitnego nieba, tylko szare opary spowijające lasy tajemnicą, i rozsiadły się cienie, i wszystko się zmieniło, przybrało niezwykajne i wykoślawione kształty... wtedy znów był tam sekret i powietrze wokół siebie napełniał jakimś ciężkim i pełnym troski przecuciem, czymś, co nie miało korzeni

w ziemi, a jedynie w mroku, w owym ponurym cieniu, który czai się za dziwnymi sprawami. I nie można było uczynić nic innego, jak tylko siedzieć nieruchomo w rogu przy piecu aż do późnej, bardzo późnej nocy i gryźć się, głowić się nad tymi tajemnicami i nad cieniami czatującymi wszędzie po kątach izby, w nocy, w wietrze, wszędzie. Z wieczoru na wieczór stale tylko tak siedzieć i wiecznie tylko myśleć o tych samych rzeczach, i zadręczać się nimi, wciąż od nowa, aż zamkną się oczy, a w głowie spowolni się mechanizm zegara i zmęczenie pokona przecucia i troski.

– Błada jesteś, kobieto – rzekł Birtalan, gdy pewnego dnia znów przyszedł na górę z sianem – bladą masz twarz, a i wychudłaś!

Na hali Komárnyik już w pełni panowała wówczas wiosna. Śnieg jeszcze tylko tu i ówdzie białymi plamami przypominał o zimie, a murawę polany na fioletowo pokryły zimowity, tworząc delikatny jedwabisty kobierzec.

Birtalan badawczo wejrzał w twarz kobiety i pokręcił głową.

– To nie dla młodego, nie dla kobiety, tu wysoko, samotnie. Zawsze, zawsze tylko samotnie.

Był tam też Iwan. Wrzucał siano na stryszek, podczas gdy oni dwoje stali przy koniach. Na moment przerwał pracę i wspierając się na widłach, w zamyśleniu patrzył na kobietę.

– Nie boisz się tu wieczorem, sama?

Kobieta spojrzała nań, lecz nie zdziwiło jej to pytanie.

– Myślicie o tamtym mężczyźnie?

Iwan poderwał głowę i poczerwieniał.

– Skąd wiesz?

W oczach kobiety błysnął jakiś znużony uśmiech.

– Wszystko, o czym myślicie, wujku Iwanie, jest w waszych oczach. Nie wierzycie? Teraz dużo myślicie... o jednej kobiecie... a przecież to stara sprawa...

Iwan opuścił głowę i odwrócił się. W milczeniu nabijał siano na widły. Birtalan szturchnął kobietę i dał znak głową. Kobieta cicho westchnęła i weszła do chaty.

Później, kiedy już skończyli z sianem, także Iwan i Birtalan postąpili za nią do środka. Obiad już czekał na nich na stole. Po jedzeniu Birtalan zapalił fajkę i zaczął mówić o tym i o tamtym. Iwan ze zwieszoną głową siedział na ławce, wpatrywał się w podłogę i milczał.

Nareszcie dym z fajki skończył się i Birtalan powstał.

– No przecie moglibyśmy już pójść – powiedział. – Trzeba jeszcze oporządzić zwierzęta i tak dalej...

Rosjanin nie poruszył się.

– No to idź! – odparł ponuro. – Ja też potem pójdę. Jest tu jeszcze coś. Dogonię cię, idź.

Birtalan odszedł. I pozostali w domu tylko we dwoje, Iwan i kobieta. Przez długi czas żadne z nich się nie odezwało. Kobieta siedziała tam gdzie zwykle, w rogu przy piecu, Iwan trochę dalej, na ławce. Drzwi były otwarte i wlewała się przez nie wiosna, a wraz z nią czysta, wolna od trosk pogoda ducha i rozsądne myśli. Z pieca zaś promieniowało ciepło gotowanego obiadu i gdzieś nad ich głowami kołysał się letni aromat jedzenia. Wreszcie po pewnym czasie przemówił Iwan. Nie spojrzał na kobietę, nawet nie podniósł głowy, jakby słowa kierował jedynie ku deskom podłogi.

– Powiedziałaś, że jest to w moich oczach. Możliwe. Lecz ja myślę raczej, że jest gdzieś głębiej, całkiem wewnątrz, pod skórą, ciałem i kośćmi, tam gdzie jest sam człowiek... wszystko jedno. Wy i tam potraficie zajrzeć. Ja znam podobne kobiety. Tam za górami, u nas, jeszcze są takie...

Kobieta wytrzymała uwagę. Nozdrza drgnęły jej nerwowo.

– Wujku Iwanie... wy też w to wierzycie? Że jestem czarownicą?

Rosjanin podniósł teraz głowę. Przez jakiś czas badawczo przypatrywał się kobiecie, po czym przejechał ręką w dół po skudłaczonej brodzie.

– Wiesz, to wszystko jedno, jak się je nazywa. U nas nazywali takie wieszczkami. To wszystko jedno. Tam, gdzie ja żyłem, też była niedaleko taka jedna jak ty. Szpetna była, biedaczka, a i garbata. Lecz potrafiła zajrzeć poza ludzkie oczy, tam gdzie jest sam człowiek, razem ze swoją przeszłością i przyszłością.

– Myślicie, że i ja...?

– To była mała, niepokazna wieś, tam gdzie ja żyłem. Ot taka, że niemal pomieściłaby mi się w garści. Tak też ją trzymały góry: w garści. Była to smutna wioska. Ludzie w niej biedni i nieszczęśliwi. Obciążeni chorobami i złą wolą. Domy ciemne, okna małe i nie dawało się ich otworzyć. Ledwie tuzin takich domów, to była cała wieś. I jeden niepokazny, spiczasto zwieńczony, drewniany kościółek. Ze starego, czarnego drewna toczzonego przez szkodniki. Na ścianach tego kościółka same straszne obrazy: święci we krwi i mordercze diabły. A za nim wąski cmentarzyk; to była nasza wioska...

Kobieta więcej nie pytała. Podciągnęła nogi pod siebie i słuchała. Na dworze gruchały gołębie grzywacze, a wiatr przynosił skądś zapach wierzbowych kotków.

– W tej wiosce żyłem ja i Marija. Takie imię nosiła ta garbata dziewczyna. Nas było w domu sześcioro rodzeństwa. Czterech chłopaków, dwie dziewczyny. Ja byłem najmłodszy. Mój ojciec miał mały kawałek ziemi na zboczu góry, rodził się tam owies i hreczka. Żyliśmy bardzo nędznie. Ale wszyscy tak tam żyli. Mój ojciec najczęściej był poza domem, woził drzewo swoimi dwoma końmi, i widywaliśmy go bardzo rzadko. Ziemię uprawiała moja matka. Mieliśmy jedną krowę, do niej pożyczaliśmy od sąsiada drugą i tak oto oraliśmy ziemię. Kiedy orał sąsiad, to my jemu pożyczaliśmy naszą krowę. Córką owego sąsiada była Marija. Garbuska.

Ja byłem w domu najmłodszy. Mój ojciec po kolei zabierał moich starszych braci, gdy tamci podrosli i gdy od czasu do czasu pojawiał się w domu ze swoimi dwoma końmi. W takich razach przynosił mojej matce trochę pieniędzy i coś do ubrania dla nas. „Nie pomieścimy się wszyscy w tej wąskiej dolinie” – powtarzał. I po kolei zabierał ich wszystkich trzech. Jeden został najmitą u jakiegoś majątnego gospodarza, na nizinie, na ziemi Rumunów, drugi – woźnicą u Żyda, co miał sklep, trzeci zaś trafił do miasta. Żaden z nich już nie powrócił, nigdy więcej ich nie

zobaczyliśmy. Tylko mój ojciec przynosił niekiedy wieść, że dobrze im się wiedzie, i że to i tamto... aż wreszcie mój ojciec umarł.

To stało się tak, że przez dłuższy czas nie wracał do domu. Potem w końcu nadeszły konie i wóz, a obok wozu przyszedł jakiś obcy starzec z brodą. Nie musiał długo wypytywać, gdzie jest nasz dom, bo konie znały drogę. Zatrzymały się przed stajnią i zarżały. Moja matka wyszła z chaty, zobaczyła wóz, konie i obcego starca i zaczęła płakać. O nic nie spytała, tylko zaczęła płakać. Ja byłem wtedy już sam jeden przy matce, bo tymczasem także dziewczęta zabrano z domu, i tylko tak tam stałem i patrzyłem, jak moja matka płacze.

Obcy starzec podszedł do matki, zdjął z głowy futrzaną czapę i tak stał przed nią, nie wyrzekłszy ani jednego słowa, a moja matka płakała. Nareszcie konie zaczęły się szarpać w szorach i wtedy moja matka przestała płakać, podeszła do nich i zaczęła je wyprzęgać z wozu. Ja też jej pomagałem. Obcy starzec zaś usiadł na ławce u naszych drzwi, położył obok siebie futrzaną czapę i patrzył, jak wyprzegamy konie.

Gdy uporaliśmy się ze wszystkim i wóz był już w szopie, moja matka poszła z powrotem do chaty. Po chwili wyniosła talerz zupy z kaszą gryczaną i kromkę owsianego chleba i podała to starcowi. Ten mruknął coś, przeżegnał się i powoli zjadł i zupę, i owsiany chleb. Potem talerz postawił obok siebie na ławce, otarł brodę i wąsy, nałożył na głowę futrzaną czapę i wstał. Moja matka przez cały ten czas stała tam obok niego w drzwiach i patrzyła, jak je. I przy tym cicho płakała, ale był to już tylko taki płacz starych kobiet.

Kiedy ów mężczyzna nałożył futrzaną czapę na głowę i wstał z ławki, moja matka przestała płakać i zapytała go: „Gdzie?”. A starzec podał nazwę jakiejś wsi. Matka kilka razy kiwnęła głową i powtórzyła tę nazwę, ale gdy ją wymawiała, to o niej wcale już i nie pamiętała. „Niech wam Bóg błogosławi!” – rzekł starzec. „Niech Bóg wam dopomoże!” – odparła moja matka. Nareszcie starzec odszedł.

Tak to było, kiedy umarł mój ojciec. Ja byłem takim niedojrzałym młodzieńcem, a w naszym sąsiedztwie mieszkała Marija, owa garbata dziewczyna. I ona była najmłodsza, i ja byłem najmłodszy. I ona została sama jedna przy matce, i ja zostałem sam jeden. Razem pilnowaliśmy kóz latem i razem nosiliśmy z lasu chrust i grzyby. Marija była garbata i na jedno oko zezowata, biedaczka, ale za to była dziewczyną bardzo dzielną, pracowitą i żwawą, a i czystą. I moja matka oraz jej matka już dawno ułożyły sobie, że kiedyś Marija przeprowadzi się do nas i potem razem będziemy obrabiać obie ziemie.

Osobliwą dziewczyną była Marija. Jeszcze kiedy byliśmy małymi dzieciakami, jednego razu, gdy w lesie zbieraliśmy grzyby, tak powiedziała: „Nie idź do domu, Iwan. Ojciec cię zbije”. „Mojego ojca wcale nie ma w domu” – odrzekłem. „Wszystko jedno – upierała się Marija – jednak ciebie zbije”. „Ale skoro nie ma go w domu?!”. „Mimo wszystko”. Kiedy wyszliśmy z lasu, już

z daleka dostrzegłem wóz ojca na naszym podwórzu. „Widzisz – powiedziała Marija – nie idź do domu, Iwan”. Ale ja poszedłem do domu. Choćby dlatego, żeby ona nie miała racji. Mój ojciec był w chacie i wcale mnie nie widział, kiedy się tam zakradłem. Jadł i mówił o różnych rzeczach, matka milczała i od czasu do czasu kręciła głową, kiedy ojciec opowiadał coś niemożliwego i tak trzepał językiem. Także moje rodzeństwo było tam wokół niego, w całości, to znaczy ci, co jeszcze byli w domu, bo w tym czasie jeden mój starszy brat i jedna moja starsza siostra już nie mieszkali z nami.

Przysłuchiwałem się i ja i naraz mój ojciec rzucił do mnie od stołu: „Ej ty, dzieciaku, jak ci tam na imię, ty! Wyjmij z mojego worka fajkę i przynieś ją tutaj! Jest tam za twoimi plecami, na gwoździu, ciamajdo!”.

Przysunąłem tam zydelek, stanąłem na nim i poszukałem fajki w worku mojego ojca. I ją znalazłem, i ją wyjąłem. Była to ładna czarna gliniana fajka, jeszcze i dzisiaj ją pamiętam. Trzymałem ją w rękach tak ostrożnie, jakby była zrobiona z żaru. A gdy chciałem zejść z zydelka, ten się przechylił, a ja z fajką w ręce upadłem jak długi na ziemię. Fajka zaś uderzyła o kant skrzyni i potłukła się. Ojciec w wielkiej złości zerwał się od stołu. „He, moja droga fajka! – zawołał. – Obedrę cię ze skóry, dzieciaku!”. Po czym chwycił za leżącą tam gdzieś drewnianą łyżkę i natychmiast mocno mnie nią zbił.

Tak oto zaczęła się ta sprawa z Mariją. Potem mówiła też o innych rzeczach. O tym, kto wykradł z kurnika tłustą kaczkę. O tym, że ktoś będzie chory albo akurat umrze. O tym, czy dany człowiek powróci z roboty, czy też nie. Przepowiadała burzę, suszę, wiatr. Jak czyjś koń kopał, to trzeba było tylko wezwać tam Mariję. Ona popatrzyła na zwierzę, pogłaskała je po chrapach, coś doń mówiła i zwierzę więcej już nie kopało. Była sławna w okolicy i mówili: będzie z niej wieszczka. A kto chciał coś wiedzieć, przynosił jaja, mąkę gryczaną, weinę czy co tam miał.

Wiesz, człowiek czasem naprzód postanowi, że będzie tak i tak, i bardzo jest z siebie zadowolony, jak pięknie i mądrze ułożył swoje sprawy. A potem jednak nie tak się dzieje. Coś się zdarzy i nic nie będzie tak, jak człowiek najprzód to sobie postanowił. A człowiek nic a nic nie może na to poradzić. Jakaś niewidzialna potęga inaczej układa sprawy. Popi mówią, że to święci i diabły. Święci zmieniają zło w dobro, diabły zaś zmieniają dobro w zło. Tak mówią popi, tam daleko, pośród naszych gór. Ale ja myślę, że to ani święci, ani diabły. Coś całkiem innego.

I myślę, że wewnątrz człowieka, dokąd zajrzeć potrafią tacy jak Marija i ty, wszystko jest już zawczasu ułożone. Tylko człowiek o tym nie wie. Próbuje tego i owego. Ale na koniec wszystko dzieje się jednak tak, jak tam w środku już zawczasu to było. Jest to może takie jak łańcuch, jak taka krata brony, gdzie jeden element równa do drugiego, do jednego zęba dopasowuje się drugi ząb, i jest to prawo dopasowania. Jeden człowiek przekazuje to drugiemu, ojcowie swoim

synom i tak dalej, a ponieważ dziad czy pradziad robił to czy tamto, to z wnukiem czy z prawnukiem może dziać się tak i tylko tak. Jak kratownica w bronie, wiesz. Jak kiedy jeden ząb uderzy w grudę i podniesie się lub też zapadnie, i wygnie się, i z tego powodu coś się zdarzy ze wszystkimi następującymi po nim częściami kratownicy. I nie można tego uniknąć. Nic nie można przeciw temu zaradzić. Na próżno chce się wyskoczyć z szeregu w ten czy w inny sposób. Nie można. Bo przeciw temu prawu nic nie można zaradzić. To prawo wiąże części i zęby kratownicy w bronie, a one muszą postępować jedne śladem drugich. Jakoś tak.

Na krańcu sąsiedniej wsi mieliśmy kawałeczek łąki kośnej. Był to spadek po matce mojego dziadka, który pochodził z tamtej wsi, i na tamtą małą łąkę chodziliśmy dwa razy do roku, kosiliśmy ją, suszyliśmy skoszoną trawę, wieczorem zagrabialiśmy w kupę dla ochrony przed rosą, przesypialiśmy się tam, a rano trawę znów przetrząsaliśmy, przewracaliśmy i wieczorem zawoziliśmy do domu. Na te dwa dni zawsze cieszyłem się z góry, gdy nadchodził ich czas, bo były to dwa bardzo miłe dni. Po pierwsze człowiek musiał pójść daleko od naszej wsi, a iść daleko to była rzadka rzecz dla nas, którzy zawsze tylko siedzieliśmy w domu. Mogliśmy zobaczyć obcych ludzi i obce domy, a potem przez cały dzień chodzić przy sianie, a to też było przyjemne. No i później, w nocy, wśród tej trawy, no wiesz... przynosiliśmy w worku kartofle, kiedy trawa była już zgrabiona, w kopkach, na skraju lasu rozpaliliśmy ogień i w żarze piekliśmy te kartofle. Potem człowiek kładł się na plecach przy ogniu i spoglądał w gwiazdy.

Ciekawe, że i moja matka była w takich razach całkiem inna niż w domu. W domu ledwie wymówiła jedno czy drugie zdanie, a i ono składało się z czegoś takiego: pobiegnij tam, zrób to i tak dalej. Cały dzień pracowała przy domu, robiła to i tamto, przygarbiona, znużona, w złym humorze... ale tam daleko, na łące była inna. Tam, kiedy wieczorem kopki stały już razem, nie miała nic więcej do roboty. W domu zawsze wynajdywała sobie jakieś zajęcie, ale tam na łące nie. Siadała przy ogniu i z zakrzywionym kijem w ręce pilnowała kartofli, które piekły się w żarze. I wtedy mówiła. Opowiadała dawne historie o dziewczętach i młodzieńcach, o mężczyznach i kobietach, a także o tym, co dawniej przydarzyło się jej samej, i czasem cicho naśmiewała się z tych wspomnień. Na przykład, jak to Sfiridon chodził za jej starszą siostrą i nocą psy obszczekały go w dole poniżej ogrodów, a od tego obudził się w chacie stary i myślał, że to chodzą złodzieje... albo też na weselu Safiriki, kiedy teść tak się upił, że myślał, iż to on jest panem młodym i za wszelką cenę chciał Safirikę wciągnąć do wewnętrznej izby... o takich to rzeczach opowiadała, wiesz. I gdy o tym opowiadała, na nowo to też przeżywała, znów była młoda i tak dalej.

To ciągnęło się dotąd, aż upiekły się kartofle i powolutku je zjedliśmy. Do tego czasu wygasł także ogień, a my rozkładaliśmy się na trawie, naciągaliśmy na siebie kaftany i zaczynaliśmy przypatrywać się gwiazdom. Nad łąką przefruwały

sowy, a z lasu dolatywały głosy, czasem trzasnęła gałąź i takie tam... i wtedy moja matka zaczynała opowiadać tajemnicze historie, od których człowiekowi przebiegają ciarki po plecach. O marach w wilczej postaci, które o północy przykucają na płotach i psują krowom mleko; o złych duszach, które pod postacią sów sfruwają na podwórza domów i jeśli hukają, to ktoś tam umrze; o czarnych kotach i czarnych psach, w których żyją dusze zmarłych i sieją wokół zepsucie; o zjawach, które przy pełni księżyca tańczą na skraju lasu i wabią za sobą ludzi, a kto wówczas wnijdzie tam głębiej, tego nigdy więcej nikt nie zobaczy... o takich rzeczach opowiadała moja matka. Znała bardzo wiele podobnych historii, a każda z nich kiedyś się wydarzyła, moja matka podawała też imiona ludzi, którym to się przytrafiło, a także skąd ci ludzie pochodzili.

I tak oto pokochałem tamten mały kawałek naszej łąki kośnej. Jednego lata, akurat w porze, kiedy trawa nadawała się do koszenia, mojej matce spadło na nogę drzewo. Robiliśmy akurat wycinkę wysoko w gromadzkim lesie. Nie złamało jej tej nogi, ale bardzo ją obilo. Noga mocno spuchła i moja matka przez kilka dni nie mogła chodzić i wypadło to akurat w porze pokosu. Pogoda była piękna, czyste niebo, nigdzie ani śladu chmur, i pewnego dnia matka tak do mnie powiedziała: „Idź, Iwan, i sam zrób co trzeba z tym sianem, tak jak potrafisz. Najwyżej zostań tam choćby i trzy dni! Kto wie, jak długo utrzyma się ta ładna pogoda, a ja w ciągu tygodnia raczej nie za bardzo będę się mogła ruszyć”. I tak oto w końcu poszedłem sam. Zaprzągłem dwa konie do wozu, to było już po śmierci mojego ojca, położyłem na wóz kosę, grabie, widły, sznurek, drąg, wszystko, co tylko było potrzebne, i ruszyłem w drogę. Jeszcze dobrze przed wschodem słońca.

Byłem już wtedy kawalerem. Nawet puszczał mi się wąs i było postanowione, że tej jesieni się pobierzemy. Marija też chciała ze mną pójść, ale i oni mieli trochę kośnej łąki powyżej chaty i to też trzeba było akurat wtedy skosić. Dlatego matka jej nie puściła. Marija prosiła, żebym poczekał jeszcze dwa dni, a ja chętnie bym poczekał, już choćby i dlatego, żebyśmy z Mariją mogli być we dwoje tam przy sianie nocą, ale tego z kolei nie chciała moja matka. „Do tego czasu może nadejść deszcz” – powiedziała i miała w tym rację. No i tak oto poszedłem sam.

Poniżej naszej łąki, od niej tak na dobry rzut kamieniem, stał dom. Kiedy pracowaliśmy w górze przy sianie, chodziliśmy tam po wodę i żeby napoić konie. I w tamtym domu też była dziewczyna. Akurat w tym wieku co ja. Alija. Tak miała na imię.

Wiesz, ta dziewczyna tyle że akurat tam była. Lecz nigdy na mnie nawet nie spojrzała. Ani ja na nią. Była tam i to wszystko. Jeśli sprowadziłem na dół konie, żeby je napoić, albo też zszedłem z dzbankiem po wodę, a ona przypadkiem była na podwórzu, no to mówiłem jej: „Szczęść Boże!”. I ona także mówiła: „Szczęść Boże!”. I na tym kończyła się nasza rozmowa.

I wtedy też nie inaczej się zaczęło. Kiedy przyszedłem na łąkę, właśnie wstawało słońce. W dole przy domu skrzypiała studnia, pojono bydło. Wyprzągłem konie, uwiązałem je z tyłu do wozu, po czym chwyciłem kosę i zabrałem się do roboty. Gdy przeszedłem pierwszy rząd, rzuciłem koniom sporą wiązkę skoszonej trawy, następnie zacząłem ostrzyć kosę. Osełka wesoło dźwięczała mi w ręce, poranek był piękny, ładnie pachnący, wyraźnie pamiętam go jeszcze i dzisiaj. Nawet i to pamiętam, że nad głową przefrunęło mi stado dzikich gołębi, z szumem skrzydeł, a ja spojrzałem za nimi ponad kosą. Potem skosiłem jeszcze kilka rzędów. Trochę zgłodniałem, wyjąłem więc worek i coś przekąsiłem. Pamiętam, że do owsianego chleba matka dała mi także kiełbasy z koziny, a ta kiełbasa była bardzo słona. Może właśnie dlatego po wodę zszedłem wtedy wcześniej aniżeli zazwyczaj.

Alija stała na podwórzu i sypała ptactwu ziarno z fartucha. Kiedy zaszedłem na podwórze z dzbankiem w ręce, spojrzała na mnie. Wydawało mi się, jakby uśmiechnęła się lekko. „Szczęść Boże!” – przywitałem się z nią, jak zazwyczaj, i poszedłem do studni. „Szczęść Boże, Iwan! – odparła – twoja matka nie przyszła?”. „Zbiła sobie nogę – odpowiedziałem – spadło na nią drzewo”. „Ojej, naprawdę?”. „Tak, no i nie może chodzić!”. „Złamała ją?”. „Nie, tylko spuchła jej ta noga”. „Chwała Bogu! To szybko wydobrzeje”. „I ja tak myślę”. Tyle rozmawialiśmy. A tymczasem wyciągnąłem wody z ich studni i napełniłem sobie dzbanek. Następnie wróciłem do mojej pracy. Kiedy zacząłem tam wysoko przy skraju lasu ostrzyć kosę, Alija wciąż jeszcze stała na podwórzu. Jej czerwona spódnica i czerwona chustka błyszcząły w słonecznym, czystym poranku.

Do południa skosiłem więcej niż połowę trawy. Wtedy odwiązałem konie od tyłu wozu i zaprowadziłem na dół, żeby je napić. Alija stała przy studni. Kiedy z końmi dotarłem do koryta, ona wyciągnęła wodę ze studni i wlała ją do koryta. Znów chciała spuścić wiadro, a ja powiedziałem do niej: „Daj no, ja to zrobię”. „Myślisz, że nie udźwignę wiadra wody?” – spytała i zaśmiała się do mnie. Piękny miała śmiech. Bardzo lubiłem ten jej śmiech. Wiesz, są ludzie, którym śmiech przynależy do twarzy. Taka była też Alija. Kiedy się śmiała, na policzkach robiły się jej małe dołeczki, po dwa z lewej i z prawej strony. Jeden akurat powyżej brody, drugi poniżej oczu, blisko nosa. Czubek nosa zaś delikatnie podnosił jej się w górę i właśnie to nadawało temu śmiechowi taki przyjemnie wesoły wyraz. No i jeszcze jej włosy. Wiesz, miała takie całkiem jasne włosy, że gdy poświeciło na nie słońce, człowiek mógł pomyśleć, że... że są one z takich cukrowych nitek, które przekupnie sprzedają na jarmarku, z takich całkiem cieniutkich błyszczących nitek cukrowych...

„To nie dla dziewczyny – odparłem. – Daj no, ja to zrobię”. „No a co jest dla dziewczyny?” – spytała i znów się do mnie zaśmiała tym iskrzącym, dziwnym śmiechem, a spod chustki wysunął się jej kosmyk włosów w kolorze cukru i opadł

jej na twarz. Jednak nie dała mi wiadra. Ale wtedy już i ja chwyciłem za studzienny żuraw. „Zaraz ci pokażę, co jest dla dziewczyny” – odparłem i zacząłem cisnąć w dół drąg. A ona opuściła wiadro i też chwyciła za drąg. Razem cisnęliśmy go w dół. Jej ręka dotknęła mojej. Alija nachyliła się do mnie tak blisko, że czułem w nozdrzach ten świeży, czysty zapach, jaki dobywał się z jej skóry. I śmiała się: „No pokaż, no niechże zobaczą!”. Wiadro dawno już było w dole przy wodzie, a my wciąż jeszcze cisnęliśmy drąg w dół. „No niechże zobaczą!” – śmiała mi się w twarz.

Wtedy z szopy odezwał się gospodarz: „Alija, nie wypędziłaś jeszcze kóz!”. Nie powiedział tego ani grubiańsko, ani surowo, tylko tak po prostu, jak człowiek mówi do córki, która o czymś zapomniała. Alija wypuściła drąg i odskoczyła od studni. Jeszcze zaśmiała się do mnie, po czym poszła tam, gdzie była koziarnia.

Zaprowadziłem konie z powrotem do wozu i wyłożyłem się w cieniu na skraju lasu. Przekąsiłem, napiłem się wody z dzbanka, potem wyciągnąłem się na plecach i patrzyłem w niebo, które było czyste i błękitne, i myślałem o tym, czego właściwie chciała ode mnie tamta dziewczyna przy studni.

Naraz dosłyszałem obok jakiś szmer. Jakby ktoś bosą stopą chodził po skoszonej trawie. Usiadłem. Stała przy mnie Alija, a w ręce trzymała coś zawiniętego w chustkę. „Smażyliśmy langosze z ziemniaków – rzekła, a jej twarz zrobiła się przy tym czerwona. – Moja matka przysłała mnie z nim, żebyś zjadł go na zdrowie”. Wziąłem od niej chustkę. „Naprawdę przysłała cię twoja matka?” – spytałem. Alija jeszcze bardziej poczerwieniała, nareszcie zaczęła się śmiać i odrzekła: „Dziwne zadajesz pytania”. Z tymi słowami usiadła obok mnie pod drzewem. „Nikt mnie nie przysłał, przysłałam sama z siebie. Moja matka i mój ojciec zwożą siano z łąki. I sama usmażyłam też langosza”.

Powoli zjadłem placek. W tym czasie nie zamieniliśmy ani słowa. Ona siedziała obok mnie i wpatrywała się przed siebie, ja zaś patrzyłem na langosza. Potem oddałem jej pustą chustkę. „Dziękuję, Alija, placek był bardzo dobry”. „Smakował ci?” – spytała. „Bardzo mi smakował”. Przez chwilę patrzyliśmy na siebie. Potem naraz znów zaczęła się śmiać. „Z czego się śmiejesz?” – spytałem. „Z tego, że jednak nie umiesz pokazać tego, co jest dla dziewczyny! Tylko tak pleciesz!”. „Jak to nie umiem?”. „No nie”. „Czemu tak myślisz?”. „Bo inaczej już byś i pokazał!”. I śmiała się. „A może boisz się mnie?”. „Ja?!”. To już mnie rozzłościło. Złapałem ją za szyję, przyciągnąłem do siebie i pocałowałem w twarz. Nie krzyczała, jak inne dziewczęta w takich razach, tylko śmiała się, w końcu odepchnęła mnie od siebie. „Tylko tyle umiesz?”. Wtedy już i we mnie zawrzała krew. „Przyjdź tu wieczorem, to wtedy pokażę ci i resztę”. Zaczerwieniła się lekko, ale mimo to nadal się śmiała. „Zostaniesz tu i na noc?”. „Tak”. „Sam?”. „Sam”. Poderwała się gwałtownie z mojego boku i bez słowa poczęła biec w dół ku domowi. Wcale nawet nie spojrzała wstecz. Myślałem, że zobaczyła swojego ojca

albo swoją matkę, jak wracają z łąki. Ale nikogo nie było widać.

Po południu obróciłem trawę, przetrząsnąłem ją, po czym bliżej wieczoru, kiedy powietrze zaczynało już pachnieć rosą, zebrałem ją w kopki, jak zwykle się robić. Gdy znów zszedłem z końmi do studni, na podwórzu nie było nikogo. Nabrałem wody także i do dzbanka, pokrzątałem się jeszcze przy koniach w nadziei, że gdzieś zobaczę Aliję, ale ona nie wychodziła. Wróciłem na skraj lasu, oporządziłem konie, nazbierałem suchych gałęzi, rozpałiłem ogień, a tymczasem całkiem zrobił się wieczór. Potem włożyłem kartofle w żar, one się upiekły, po kolei zjadłem je, wreszcie z kopek siana urządziłem sobie legowisko, blisko koni, i położyłem się na nim.

Przyglądałem się gwiazdom. Nawet i dzisiaj to pamiętam: w lesie cicho pohukiwały sówki, takie niewielkie jak pięść, których dużo jest w tamtych stronach. Gdzieś w oddali słowik wywodził swoje trele. Konie obgryzały trawę i ten jednostajny odgłos uspił mnie.

Ze snu wyrwało mnie to, że coś ruszało się obok mnie. To była Alija. Spowita w ciemną, wielką chustę pochylała się nade mną. Mogła pomyśleć, że śpię. Oddychała cicho, a ja słyszałem w ciszy, jak bije jej serce.

Kiedy potem podniosła się z miejsca przy moim boku, gwiazdy poczynały już blednąć, a wszystko wokół nas pokryte było rosą. Nie powiedziała ani słowa, tylko mnie pocałowała, dysząc gorąco, i odeszła. Niemal biegiem.

Rano, gdy sprowadziłem konie na dół, żeby je napoić, zobaczyłem tylko jej ojca. Zamieniliśmy kilka słów o sianie, o owsie, o pogodzie, jak zazwyczaj w takich razach. Lecz na próżno wypatrywałem dziewczyny, nigdzie nie udało mi się jej zobaczyć. Tamtego przedpołudnia skosiłem już całą trawę. Rozrzuciłem kopki, przetrząsnąłem je, słowem mocno się napracowałem. W południe znów zszedłem z końmi. Alija stała przy studni, jakby tylko czekała na mnie. Nalała koniom wody do koryta. Zajrzałem jej w twarz i chciałem powiedzieć coś miłego, ale ona unikała moich oczu. Dopiero kiedy konie już się poiły, odwróciła się ku mnie i spytała: „Wieczorem wracasz do domu?”. „Nie – odpowiedziałem jej – dopiero jutro wracam do domu”. Oczy jej rozbliły, ale o nic więcej nie zapytała. Ja też nie miałem co powiedzieć. Poprowadziłem konie z powrotem na skraj lasu.

Wieczorem znów przysłała. Już na nią czekałem i z daleka zobaczyłem, jak nadchodzi w ciemności. Została ze mną do rana. Kiedy odchodziła, zapytała: „Teraz już ożenisz się ze mną, Iwan, prawda?”. „Ożenię się” – odrzekłem. I odeszła.

W południe zaproszono mnie do domu. Posadzono przy stole, dano jeść. Jej matka zapytała, jak żyjemy, ile mam rodzeństwa i tak dalej. Jak to jest w zwyczaju w takich razach. Kiedy powiedziałem, że mój ojciec już nie żyje, a i wszyscy moi bracia i siostry wyprowadzili się z domu i tylko ja sam jeden jestem z matką, wtedy spojrzeli po sobie, jej matka i jej ojciec. Później to oni sami posłali do mnie Aliję,

żeby mi pomogła zebrać siano i załadować je na wóz.

Kiedy dotarłem do domu z sianem, był już wieczór. Moja matka siedziała na zewnątrz, na ławeczce przed domem, z obwiązaną nogą, i czekała na mnie. „Zawołaj Mariję – powiedziała – obiecała, że przyjdzie pomóc ci zrzucić siano”. Gdy moja matka wymówiła to imię, coś mnie w środku ścisnęło. Przez cały tamten czas nie myślałem o niej, lecz teraz nagle zaczęło mnie coś trapić. Poczułem, że nie jestem w porządku i że stało się coś, co nie jest przyzwoite.

Moja matka raz jeszcze powiedziała mi, żebym zawołał Mariję, ale nie zawołałem. Zacząłem odwiązywać sznur z drąga podtrzymującego siano. Pomyślałem, że raczej sam je zrzucę. Bałem się rozmowy z Mariją.

Ale jej nie trzeba było wołać. Już szła z widłami w ręce. „Szczęść Boże, Marija!” – powitałem ją i starałem się, żeby mój głos był przyjacielski. Ona skinęła głową i odpowiedziała cicho: „Szczęść Boże!”, po czym natychmiast zabrała się do siana. Pracowaliśmy w milczeniu. Moja matka siedziała wyżej na ławce i od czasu do czasu upominała nas, że to trzeba tak czy inaczej. Nareszcie skończyliśmy. Wepchnąłem wóz do szopy, uporządziłem konie. Długo grzebałem się w szopie, umyślnie, żebym tego dnia już nie musiał spotykać się z Mariją. Lecz kiedy w końcu wyszedłem z szopy, ona stała tam przed drzwiami. Widać było, że czekała na mnie. Moja matka weszła już do domu. Nikogo nie było na podwórzu, tylko my dwoje.

„Iwan, najlepiej będzie, jak wszystko opowiesz”. Tak zaczęła. Jeszcze i dzisiaj mam w uszach te słowa, wypowiedziane w ciemności cichym, czystym głosem: „Iwan, najlepiej będzie, jak wszystko opowiesz”.

Strasznie mnie ugodziły jej słowa. „Cóż takiego?” – spytałem, gwałtownie zmieszany, i zacząłem się pocić. „Nie tak, Iwan. Jesteśmy zbyt dobrymi przyjaciółmi, żeby można to było w taki sposób. Czy ja mam ci opowiedzieć?”. Spuściłem głowę i nie byłem w stanie wydusić z siebie ani jednego słowa. I wówczas to ona zaczęła mówić. Ona, Marija, ta z lekkim zezem, ta garbata dziewczyna, która powinna była zostać moją żoną, bo tak uzgodniły nasze matki i wiedzieliśmy o tym już od dawna. I opowiedziała. Wszystko dokładnie tak, jak się wydarzyło.

Nie umiem ci powiedzieć, co czułem, gdy tak stałem tam przed nią w ciemności, a ona cicho, prosto, niemal jak dzieci w szkole, mówiła i mówiła. To było tak, jakby pokazywali jakiegoś brzydkiego, nagiego trupa, mówiąc: to jesteś ty, Iwan. A przy tym było to takie jak w dawnych opowieściach mojej matki o duchach i o marach w wilczej postaci, które kucają na płotach i odbierają krowom mleko. Bo wszystko opowiedziała właśnie tak, jak było. Jak było. Kiedy skończyła, staliśmy w milczeniu naprzeciw siebie. „Tak było?” – zapytała po chwili. „Tak” – odparłem, i było to pierwsze słowo, jakie wymówiłem, i nie poznałem własnego głosu. „Widzisz – powiedziała Marija – ja wiem o tobie

wszystko, Iwan. Wiem i to, że ta dziewczyna ciebie nie kocha”. „To nieprawda! – rzuciłem. – W tym nie masz racji, Marija, nie masz racji”. „To cię boli? – spytała ze smutkiem. – A przecież tak jest, Iwan. Tamta dziewczyna nie kocha ciebie, tylko młodzieńca. Młodzieńca, który jej potrzebuje i którego też ona potrzebuje. To wszystko”. Długo tak tam staliśmy naprzeciw sobie, w ciemności. „Nie masz racji, Marija – powtarzałem, kręcąc głową – z całą pewnością nie masz racji”. Ona przez jakiś czas nie odzywała się, tylko tak stała przede mną, jakby się zastanawiała albo jakby na coś czekała. W końcu westchnęła: „Mogłabym powiedzieć jeszcze i o innych rzeczach, ale i tak w to nie uwierzysz. Teraz w to nie uwierzysz. Przyjdzie jednak taki czas, kiedy sam z siebie dowiesz się o wszystkim. Teraz nie mamy sobie już nic więcej do powiedzenia. Ale wtedy... wtedy znów mnie odnajdziesz, Iwan. Niech Bóg ci dopomoże!”. Z tymi słowami odwróciła się i odeszła. Tak to się stało pomiędzy nami.

Jeszcze tej samej jesieni pop złączył nas ślubem, Aliję i mnie. Najpierw było tak, że to ona przyjdzie do nas, ale potem jej rodzice uzgodnili jednak z moją matką, żebym to ja do nich poszedł, bo tam był większy majątek, a Alija nie miała rodzeństwa. I że stamtąd będziemy przychodzić obrabiać ziemię mojej matki, gdy będzie taka potrzeba.

Moja matka opłakiwała mnie, biedaczka, jak zmarłego, jak to zwykle bywa. Bardziej aniżeli mojego ojca, kiedy umarł. Na naszym weselu była i Marija, biedna schowała się ze swoim garbem w jakimś kąciku i stamtąd na nas patrzyła. Później, kiedy ludzie byli już trochę podchmieleni, jeden po drugim podchodzili do niej i wyciągali dłonie, żeby z nich wyczytała im przyszłość. Marija zaś żartowała z ludźmi, ale czasem to i owo powiedziała całkiem poważnie. Jednak tak te słowa mieszała, że ludzie nie do końca rozumieli, co im mówiła. Robiła to umyślnie, znałem już jej sposoby. Zaciemniała trochę to, co widziała w nadchodzącej przyszłości, żeby ludzie mogli porozmyślać nad jej słowami i żeby każdy mógł je wytłumaczyć tak, jak mu się podoba.

Naraz wstaje od stołu Alija, podchodzi tam i wyciąga ku niej dłoń. „No a w mojej ręce, co widzisz?”. „Tak, tak! – zawołało kilku stojących tam przy nich. – Posłuchajmy, co przyszłość przyniesie pannie młodej”. Otoczyli je i zapanowała cisza. Ja też słyszałem, jak Marija z wolna powiedziała: „Radość przyniesie dziecko, radość zabierze drugie. Na zawsze pozostaniesz wierna miłości; nawet jeśli zmienią się twoje dnie, nie zmienią się twoje noce. Kiedy wyruszysz w wielką drogę, pójdiesz z tym, kogo kochasz”. Nawet i dzisiaj wyraźnie pamiętam każde jej słowo. Ludzie pomrukiwali, śmiali się, Alija też się śmiała. Lecz mnie dobry humor zwarzyło jakieś trudne do opisanie uczucie. Kiedy Marija spojrzała na mnie i nasze oczy się spotkały, zawładnęła mną jakaś tajemnicza obawa, tam, przy weselnym stole. Na próżno piłem palinkę, dobry humor więcej już mi nie wrócił. Ani tamtego dnia, ani następnego. I jeszcze przez wiele, wiele dni ścigał mnie jej

wzrok, to, jak wtedy na mnie spojrzała, i to, co wtedy powiedziała, i tamta nienazwana obawa, wylewająca się na mnie z jej słów.

Ale potem jednak wszystko toczyło się tak pięknie i zwyczajnie. Dobrze razem żyliśmy, w naszym domu panowała zgoda, ziemia dobrze rodziła, kozy dobrze się kociły, w niczym nie dosięgała nas krzywda. Po półtora roku urodziła się nam córeczka. Trochę dłużej trzeba było na nią czekać, ale przecież Pan Bóg nie daje wszystkim jednak. O tym, co wywróżyła Marija, żadne z nas już od dawna nie myślało, a ta dziecina naprawdę przyniosła nam radość, dokładnie tak, jak przepowiedziała Marja. Jakby to samo słońce spłynęło na nasz dom, taka ona była. Nazwaliśmy ją Alijusia. Włosy miała akurat takie jak Alija, a kiedy się śmiała, na jej twarzyczce robiły się dołeczki, i nie było takiej chwili, żeby się nie śmiała. Raz przyniosłem jej z lasu jelonka rogacza... no ale zostawmy to, nie o tym chciałem ci opowiedzieć.

Słowem, tak to było. Czekaliśmy na następne dziecko, lecz nie przychodziło. Jeden rok, dwa lata, trzy lata. Nie przychodziło. Alija poszła do Tirusor, do popa, który sływał z tego, że czynił cuda i tak dalej... zaniósła mu proskurę, a także pieniądze oraz utuczoną kaczkę, a pop Aliję okadził, nakazał modlitwy, powiedział, co ma jeść i tak dalej... i za dwa miesiące już wiedzieliśmy, że przyjdzie drugie dziecko.

W tamtym czasie Alija zaczęła robić się dziwna. Gdy człowiek odezwał się do niej, stawała się rozdrażniona. Mówiła rzeczy, jakich nie mówiła nigdy wcześniej. Gdy ją dotknąłem, wybuchała płaczem. Innym razem wpadała w złość i wymachując rękami, krzyczała coś takiego, że jeśli nie jestem z niej zadowolony, to mam sobie iść, poszukać innej kobiety. Czasem naprawdę bardzo mnie złościła, i gdyby nie jej matka i jej ojciec, którzy nas godzili, to z pewnością wiele razy bym ją zostawił. Ale oni zawsze tak mówili: „To z powodu dziecka, które nosi. Trzeba być cierpliwym”. Ano byłem ja cierpliwy.

Nareszcie urodziło się to dziecko. Nie w dziewiątym miesiącu, a w siódmym. I nie było to dziecko żywe, lecz dziecko martwe.

Musieliśmy zawezwać starą babicę Szavétę, a i tak Alija o mało co nie umarła od tego dziecka. A potem długo chorowała, a babica Szavéta przynosiła jej różne zioła. Nareszcie wydobrzała. Jednak to nie była już ta Alija, która tam przy studni nabierała wody dla moich koni i która w tamte dwie noce przyszła do mnie pod las, na siano. To była już inna Alija. Czasem pytałem ją, co jej jest, lecz ona tylko potrząsała głową i odpowiadała, żebym nie zadawał głupich pytań, bo nic jej nie jest. A przecież coś jej było. Nie tylko ja to widziałem, widziała to także jej matka i widział to także jej ojciec, i wszyscy.

Alijusia miała wtedy już cztery latka. I gdyby nie ona, to chyba nie dałoby się wytrzymać tego życia u nas w domu. Miała cztery latka. I była jak te aniołki, co je w kościele malują. Była dobra, miła i łagodna. I wesoła, zawsze wesoła.

Tamtej jesieni pędzono przez naszą okolicę stada owiec. Te kierdele przyszły z Mołdowy, a ludzie, którzy je pędzili, mówili, że tam u nich w dole była latem taka susza, że wypaliło całą trawę i nie mają nic dla owiec. Szukali siana na przezimowanie.

U nas we wsi siana mieliśmy dużo. A ponieważ na wiosnę sporo zwierząt wyginęło od zarazy, wystarczyło siana nawet i na sprzedaż. Jeden taki człowiek ze stadem wykupił je całe, wydzierzawił od popa kawałek pastwiska, w jeden róg naznosił tego siana, wybudował zagrodę, kolibę, i tam został. Był to młody Rumun, wołali go Vaszile, kawaler, człowiek samotny. Przyszło z nim tak ze sto pięćdziesiąt owiec. Jak później opowiedział, owce nie były jego, tylko ojca. On był ledwie juhasem przy swoim ojcu, razem z czterema braćmi. I jak przyszedł ten rok i nigdzie nie było trawy, ojciec podzielił owce na pięć stad i każdego z braci posłał z jednym kierdelem, żeby gdzieś przezimowali. Tak oto trafił do nas ów Vaszile.

Pastwisko popa było akurat pod lasem, przy skraju naszej łąki kośnej. Gdzie z Aliją, podczas tamtych dwóch nocy... słowem tam było to pastwisko, które wydzierzawił ów człowiek ze stadem. Siano zniósł na kupę akurat przy naszej łące. Tam wybudował zagrodę i kolibę. Potem zaszedł do nas i poprosił, żebyśmy mu pozwolili przypędzać owce do naszej studni, żeby je tam poić.

Z początku moi teściowie nie chcieli o tym słyszeć. Mówili, że tak dużo owiec zadepcze wszystko wokół domu, i mieli rację. Lecz ja stanąłem po stronie tego człowieka ze stadem, bo rzeczywiście nie miał gdzie poić owiec. Nie było w pobliżu innej wody, tylko nasza. Nie bez trudności, ale w końcu się ugodziliśmy. Za korzystanie ze studni człowiek ze stadem obiecał trzy owce maciorki, dziesięć funtów twarogu i sześć funtów sera, a także trzy kwarty kwaśnej serwatki.

I tak to ów Vaszile trafił w nasze sąsiedztwo. Spadł śnieg, mijała zima, nie działo się nic szczególnego. Owce dwa razy na dzień schodziły do studni, deptać rzeczywiście deptały wszystko dookoła, i ogród, i rolę, no ale przecież z góry wiedzieliśmy, że tak będzie. Innych kłopotów z nim nie mieliśmy. Przy końcu zimy zaczął się wykot owiec, niezadługo potem Vaszile przyniósł pierwszy ser i pierwszy twaróg, które należały się za studnię, zgodnie z umową.

Ja tamtej zimy nająłem się u jednego Żyda do wożenia drewna. Pomyślałem: zarobię trochę pieniędzy. Podjąłem się stu sążni. Dość daleko musiałem wozić to drewno, aż do piątej wioski. To tam mieszkał ów Żyd. Ale dobrze płacił za transport. To było tak: rankiem wyruszałem, do południa miałem drewno załadowane, w nocy przyjeżdżałem z nim do Żyda, rano drewno zrzucałem, rozliczaliśmy się, dostawałem pieniądze, a po południu byłem już w domu. W ten sposób w jednym tygodniu mogłem zrobić trzy transporty. Liczyłem, że nim przyjdzie pora wiosennych prac w polu, skończę z drewnem, a za te pieniądze kupię świeżo ociealoną krowę.

No i dlatego też niewiele widziano mnie w domu tamtej zimy. Wracałem

wieczorem, rano wyruszałem i tylko co drugą noc spałem we własnym łóżku. Wiem, że mnie brakowało, ale cóż, potrzebowaliśmy pieniędzy, no i krowy. A zresztą Alija też nigdy nie poprosiła, żebym nie szedł. Rano dawała mi mój worek, a w nim znajdowało się wszystko, co było mi potrzebne do następnego wieczoru. A kiedy następnego dnia wieczorem wracałem do domu, zmęczony i zmarznięty, już czekała przed domem i pomagała wyprząc konie, a potem dawała mi kolację i zaraz też słała mi łóżko. I nigdy się nie skarżyła. Brała pieniądze, które przynosiłem, i odkładała je do pozostałych. Starzy też nic nie mówili... czy mogłem wiedzieć, że coś się szykuje?

Tylko że raz...

Później wiele razy przypomiinałem sobie tamten czas, a i dzisiaj wiele o tym myślę. W taki sposób, wiesz, jak kiedy tkaczki prują splot, żeby znaleźć miejsce, gdzie popełniły błąd. I ja chciałbym znaleźć swój błąd. Bo pewne jest, że go gdzieś popełniłem.

Ten Vaszile był bardzo zręcznym człowiekiem. Porządnym, pracowitym, przyzwoitym. Żył tam w kolibie, przy owcach, a owce miał piękne, zadbane, zagroda też była porządna i czysta, porządna była również koliba... Gdy czasem spotykaliśmy się na podwórzu, kiedy zszedł z owcami, żeby je napoić, pierwszy mnie pozdrawiał: „Szczęść Boże, gospodarzu!”. Wiedział, co to przyzwoitość. Ja zaś odpowiadałem: „Szczęść Boże, juhasie!”. Poza tym o niczym innym nie rozmawialiśmy. Żadnych spraw z sobą nie mieliśmy.

Pewnego dnia wróciłem do domu trochę wcześniej niż zazwyczaj. Żyd szykował się o świcie na jakiś targ i już w nocy odebrał drewno. Zapłacił też za nie. I o wschodzie słońca mogłem wyruszyć do domu.

Zima miała się wtedy już ku końcowi i drogi tonęły w błocie. Puściłem konie, żeby szły, jak chcą, bez pośpiechu, nie było powodu, żeby je poganiać. Droga była ciężka, a i tak wcześniej przyjechaliśmy do domu. Żona nie czekała na podwórzu. Nikogo nie było na podwórzu. Zajechałem wozem, zsiadłem, wziąłem się do koni. Wychodzi z domu mój teść. Podchodzi do mnie, witamy się, zaczyna mi pomagać przy wyprzęganiu. Nic się nie odzywa, tylko pomaga. Ja nie pytam, dlaczegoż to Alija nie wyszła mi pomóc, a i on nie kwapi się do rozmowy. Wyprzęgamy konie, wycieramy je wiechciem, oporzadzamy przyzwoicie. Wtaczam wóz do szopy i ruszam w kierunku domu. Mój teść idzie za mną.

„Wcześniej dzisiaj przyjechałeś” – odzywa się naraz. Stopą byłem już wtedy na progu. Odwracam się na to. „Tak – mówię. – Żyd i tak dalej...”. „Tak, tak” – odpowiada mój teść i coś pomrukuje. Czuję, że chce jeszcze coś powiedzieć, więc czekam. Staliśmy tam, ja w progu, mój teść za progiem. „Alija nie wróciła jeszcze do domu” – rzuca jak ktoś, kto stara się, żeby jego słowa nie wydawały się ważne. „Nie wróciła do domu? – pytam. – Skąd nie wróciła do domu?”. I naprawdę się zdziwiłem, bo kiedy wyruszałem, nie było mowy o tym, że Alija gdzieś się

wybiera. „Ano – rzecz mój teść – tu tylko poszła, no do tej, jakżeż ona się nazywa... tu tylko, do tej swojej dawnej koleżanki, wiesz... na końcu wsi, jakżeż ona się nazywa...”. I podał jakieś imię, imię kobiety, która mieszkała za wsią, ponad łąką.

Zdziwiłem się, bo Alija nie zwykła przedtem chodzić do tej kobiety, nigdy też nie wspominała, że ma tam jakąś koleżankę. Lecz zdziwiłem się tylko trochę, tylko tak, jak kiedy człowiek zwróci uwagę na jakąś drobną niezwykłą rzecz, że no proszę, to i tak się zdarza? Ale zaraz wszedłem do domu i więcej o tym nie myślałem. Moja teściowa nakryła do stołu, przygotowała jedzenie, wzięła ode mnie worek, była samą przymilnością i tak się krzątała, i tak się starała, że dopiero to mnie zdziwiło. Popatrz, popatrz – pomyślałem w duchu – to taka jest moja teściowa, popatrz, popatrz. Tak bardzo mnie lubi. Wtedy przypomniało mi się, że w worku mam szklane lustreczko, które przywiozłem niewiastom od Żyda, i rozejrzałem się po izbie, gdzie by też je powiesić. Moja teściowa widziała, że się rozglądam, i myślała, że szukam żony, bo naraz ze strasznym pośpiechem zaczęła mówić: „Nie wiem, gdzie podziewa się ta dziewczyna, posłałam ją do popa z kilkoma jajami, żeby poprosiła go o zmówienie modlitwy za mojego starszego brata, a jej ciągle jeszcze nie ma... ojej, ojej, ta dzisiejsza młódź, oni ruszają się tak powoli, że to okropne!”.

Popatrzyłem na teścia, który właśnie pojawił się na progu, a on spojrzał na moją teściową, oczy naraz potwornie nabiegły mu krwią i zaczął krzyczeć na nią: „Czyż ci nie mówiła, że pobiegnie jeszcze do tej, jakżeż ona się nazywa, do tej swojej dawnej koleżanki, tam ponad łąkę, przecież mówiła...” i tak dalej. A moja teściowa, że no oczywiście, oczywiście... taki to już jest człowiek, kiedy się starzeje, że o wszystkim zapomina.

Dla mnie dziwne było, że naraz oboje tyle gadają o córce, kiedy ja ich wcale o nic nie pytałem. Dziwna była też owa koleżanka, no i że Alija musiała pójść do popa z powodu starszego brata mojej teściowej, który zmarł już przed trzema laty i z którym nigdy się nie lubili. Wszystko to było trochę dziwne, ale nie na tyle, żebym musiał się nad tym zastanawiać. Poprosiłem teściową o mój worek, wyjąłem z niego lusterko i zawiesiłem je na pustym gwoździu. Teściowa klasnęła w ręce i nie mogła się nachwalić mojego lusterka, zachwycała się nim tak bardzo, że zaczęło mi od tego huczeć w głowie. Wtedy pomyślałem sobie, że chyba tu nie wszystko jest w porządku.

Zjadłem to, co moja teściowa przede mną postawiła, i akurat zacząłem nabijać sobie fajkę, gdy otwarły się drzwi i wbiegła Alijusia, nasza córeczka. Przybiegła prosto do mnie, bo bardzo mnie kochała, dwoma malutkimi ramionkami pochwyliła mnie za szyję i tak oto krzyczała swoim cieniutkim głosikiem: „Tatusiu, tatusiu, jakie słodkie owieczki ma wujek Vaszile! I czarne, i białe też! Jedną białą da mnie, tak mówi. Da mi jedną białą!”. Naprawdę nie myślałem nic

złego, kiedy ją zapytałem: „To stamtąd wracasz? Od wujka Vaszile?”. „Tak – swiergotała Alijusia – byliśmy z mamusią i jadłyśmy żentycę i kulki serowe, i to było takie dobre, tatusiu! I takie piękne są te owieczki, tatusiu, ty takich nigdy jeszcze nie widziałeś, na pewno!”. Wszystko to wydawało się całkiem niewinne, to, co mówiła córeczka, a ja ją zapytałem: „A mamusię gdzie zostawiłaś?”. „Jest tu i ona – odpowiedziało dziecko – rozmawia z wujkiem Vaszile za szopą”.

Powtarzam, wszystko to wydawało się całkiem niewinne i ja wcale bym niczego złego nie pomyślał, gdyby moja teściowa nie zaczęła krzyczeć na dziecko: „Co ty tu za kłamstwa opowiadasz, słuchaj, zaraz ci tu dużym nożem utnę język, popatrz, popatrz, co ty tu za kłamstwa opowiadasz! Czy to nie ja powiedziałam, żebyście w drodze powrotnej zajrzały do juhasa, co? Czy to nie ja powiedziałam, żebyście przyniosły trochę twarogu na wieczór, co? Ty kłamczucho, utnę ci język! Gdzie jest duży nóż?”.

Ze zdziwieniem patrzyłem na teściową, bo to, co wygadywała do mojej córeczki, nie miało żadnego sensu. „Przecie nie kłamała” – wziąłem w obronę Alijusię, która ze strachu całkiem się we mnie wtuliła i przerażonymi oczyma śledziła swoją babkę, kiedy ta złapie za duży nóż. „Oczywiście, oczywiście – burczała moja teściowa – chowa się do swojego ojca, oczywiście. To mężczyźni zawsze psują dzieci. Tacy są mężczyźni, wszyscy oni tacy są”. I zaczęła ciskać naczyniami jak ktoś, kto się bardzo gniewa. Mój teść się nie odezwał, tylko wziął swoją futrzaną czapę i wyszedł z izby. „Nie bój się, Alijusia! – pocieszałem dziecko. – Babcia się nie gniewa, tylko tak udaje”. Moja teściowa coś na to odburknęła i zerknęła na mnie z ukosa, lecz widziałem po jej twarzy, że naprawdę się nie gniewała, tylko raczej zachowywała się jak ktoś, kto jest przestraszony.

Wtedy weszła do izby Alija. Twarz miała zarumienioną od pośpiechu i jej pierwsze spojrzenie padło na mnie. Coś było w jej oczach, jakby chciała coś powiedzieć. Jeszcze nawet nie zdołaliśmy otworzyć ust, ani ona, ani ja, kiedy jej matka na nią napadła: „No! Oddałaś popu jajka? Odmówi modlitwę za mojego starszego brata?”. Alija zatrzymała się w drzwiach jak ktoś, kto się czemuś bardzo dziwi. „Co...? Popu...? Tak, tak, wszystko będzie tak, jak mama sobie życzy”. „No a u tej twojej koleżanki, tam ponad łąką, wykluły się już pisklęta?”. „Co? Tam? Tak, tak! Właśnie zaczynają się wykluwać”. Moja teściowa w sposób widoczny uspokoiła się. „No a twaróg przyniosłyście od Vaszile? Wiesz, twaróg, o którym mówiłam!”. Na dźwięk imienia Vaszile Alija jakby jeszcze bardziej poczerwieniała. Ale możliwe, że nie tak było. Możliwe, że dopiero dzisiaj tak myślę, że poczerwieniała. Bo Alija całkiem spokojnym głosem odparła: „Twaróg? Nie. Dopiero jutro może dać, tak powiedział. Wczorajszy i dzisiejszy musi zanieść popu za pastwisko”. „No dobrze – westchnęła moja teściowa – ale innym razem nie wałęsaj się tyle, wiesz, że tego nie lubię”.

Gdy dzisiaj tak sobie to wszystko przypominam, miałbym ochotę dotąd

walić głową w jakie drzewo, aż mi ta głowa pęknie. Bo na nic, ale to na nic, się zdała moja głowa, na nic w świecie. Nie zapłonęła we mnie nawet iskra podejrzenia, a powinienem chwycić za kij i porządnie obić nim najpierw moją żonę, potem moją teściową, a na koniec owego Vaszile. Wówczas nie stałoby się nic złego. Byłbym tam i dziś, w tamtym domu, w zgodzie, w spokoju, jak się godzi. Lecz ja tego nie zrobiłem, i to było nieszczęście.

Nic ja nie zrobiłem. Nadal woziłem drewno Żydowi, każdą drugą noc przesyślałem w domu, i byłem jak tokujący głuszc: nic nie widziałem i nic nie słyszałem. Aż w końcu pewnego dnia... nieszczęście było gotowe.

Wiozłem Żydowi ostatni transport drewna. Wtedy nastąpiła już wiosna, kozy pognaliśmy w las, tu i tam można też było orać, a kierdele ruszały do domu. Także Vaszile dał nam owce, ser, twaróg, porządnie, wszystko, co się należało, i szykował się do drogi. W domu było umówione, że po ostatnim transporcie drewna zaczniemy orkę. Kiedy więc o świcie ruszałem wozem, Alija jak zawsze pomogła mi zaprzęgać, wyniosła mój worek, a nie była ani bardziej miła, ani mniej bez humoru aniżeli innymi razy. Gdy wyjechałem na drogę, usłyszałem jeszcze, że wysoko pod lasem juhas pokrzykuje na swoje owce. Wiedziałem, że tego dnia rusza i on, i jeszcze o tym pomyślałem, pamiętam to całkiem wyraźnie, że no, ostatni raz popędzi teraz w dół owce, żeby je napić na naszym podwórzu. Można będzie zaorać to, co zdeptane, i tak dalej, chwala Bogu, uwolniliśmy się i od tego.

W drodze spotkałem jeszcze kilka kierdele, pędzono je już ze wszystkich stron. Wracały z powrotem na swoje pastwiska. Jak to wiosną. Zawiozłem Żydowi drewno po raz ostatni, rozliczyliśmy się, Żyd był z mojej pracy zadowolony, nawet oblał to ze mną i tak dalej... w końcu ruszyłem wozem do domu. Słońce pięknie świeciło, było przedpołudnie, na południowych zboczach ludzie wszędzie już orali i ja też rozmyślałem o tym, gdzie mamy następnego dnia zacząć orkę, na którym kawałku. Czy u mojej matki, czy u nas, pod lasem, czy przy tarninie, pod owies czy pod hreczkę... Jeszcze i dzisiaj, gdy o tym myślę, jest we mnie to miłe, spokojne uczucie, którego wtedy doświadczałem, tam na wozie, po długiej ciężkiej pracy w zimie. Byłem zadowolony, że wszystko porządnie wykonałem, i przeliczałem sobie pieniądze, które zebrały się u żony, i ceny na targu, jakie tu i tam słyszałem od ludzi... i że kupimy taką i taką krowę... i odświętne buty z cholewami dla żony, i to i tamto... i że teraz już będziemy orać i siać, i że wszystko postępuje pięknie i dobrze, zgodnie z własnym porządkiem... było to wspaniałe uczucie, dawało spokój i radość z uczciwego życia. Czułem, że jestem kimś na tej ziemi pośród ludzi. Człowiekiem, który sumiennie pracuje na swoje życie, który powoli gromadzi dobra, zachowując przy tym uczciwość i przyzwoitość, z którym przystają porozmawiać inni ludzie i słuchają, co on ma do powiedzenia, bo to człowiek, który jest coś wart, ma rodzinę, dom i majątek, i porządnie pracuje, tak jak się godzi... no ale nie o tym chciałem mówić.

Było już popołudnie, całkiem późne popołudnie, gdy wróciłem do domu. Już z daleka, z dołu przy wierzbach, gdzie droga skręca ku naszej chacie, zobaczyłem, że kierdel wyprowadził się z pastwiska popa. Zagroda była rozebrana, koliba też, całe drewno ładnie ułożone w jeden stos... cieszyłem się z tego. Pamiętam, że zbudziło się we mnie takie przyjemne ciepłe uczucie, że no proszę, nie ma już zagrody, nie ma już kierdela, nie ma już Vaszile... było to takie miłe uczucie zadowolenia.

Podjechałem pod dom. Obejście stało puste. Spodziewałem się, że na odgłos wozu wyjdzie na dwór Alija i pomoże mi wyprzęgać konie i tak dalej. Ale nie wyszła. Nikt nie wyszedł. Sam wyprzęgłem konie, sam zaprowadziłem je na miejsce, porządnie wytarłem wiechciem, rzuciłem im siana, powiesiłem szory... wóz wepchnąłem do szopy... i wciąż jeszcze nikt nie wychodził z domu. „Chyba nie zdarzyło się jakie nieszczęście? – zaniepokoiłem się. – Czyżby zachorowała córeczka?”. Tak, zdecydowanie zakłuła mnie ta pierwsza myśl, że „nieszczęście”, a potem ta druga, że „córeczka”. Nawet nie była to myśl, raczej uczucie, które gdzieś z jakiejś głębiny naraz gwałtem przedarło się do góry i całkowicie mnie zmroziło. Ciekawe, że gdy pomyślałem o nieszczęściu, to bałem się tylko o moją córeczkę. A przecież mogłem pomyśleć o tysiącu różnych rzeczy, wszak tyle jest odmian nieszczęścia. Ale nie. Ja pomyślałem tylko o niej, o Alijusi. I gdy pośpiesznie ruszyłem ku drzwiom chałupy, przemknęło mi przez myśl wszystko: że niedawno widziałem ją na stryszku z sianem i że mogła stamtąd spaść. Że raz widziałem w jej ręce małą siekierę, więc może się nią skaleczyła. Że mogła też skoczyć na widły, które są w sianie. Mogła ją kopnąć krowa. Wiele różnych rzeczy przemknęło mi przez myśl, nim zrobiłem tych kilka kroków od wozowni do drzwi domu.

Kiedy wszedłem do środka, moja teściowa siedziała przy piecu, mój teść zaś – na ławce. Nikogo innego w izbie nie było. „Szczęść Boże!”. „Szczęść Boże! – odpowiedział mój teść z ławki. – Ano przyjechałeś, Iwan”. Nie pytał, lecz stwierdzał. Jak ktoś, kto już od dawna czeka na kogoś z ważną wiadomością i nim miałby zacząć ją przekazywać, stwierdza: „Ano przyjechałeś, Iwan”.

Teściowa nic się nie odezwała. Nie powiedziała ani szczęść Boże, ani nic innego. Tylko siedziała przycupnięta w rogu przy piecu, ze spuszczoną głową, w czarnej chustce głęboko nasuniętej na oczy, i milczała. „Alija gdzie jest?” – spytałem i słyszałem, że głos mi się załamuje.

Nie wiem, dlaczego zapytałem akurat o to. Mogłem przecież zapytać o tysiąc innych rzeczy. Mogłem zapytać: „Co się stało?”. „Kto zachorował?”. Czy Bóg jeden wie o co. Ale ja zapytałem, gdzie jest Alija. Nie rozmyślałem z góry nad tym pytaniem, nie tak, że no, teraz zapytam ich o to i o tamto. Nie. To pytanie wyszło ze mnie tak raptownie, że i ja sam się zadziwiłem. To pytanie wyrwało się ze mnie w przestkach, tak, w przestkach. Było to pytanie pełne lęku, nawet załamał mi się

od niego głos. Chyba wtedy już wszystko wiedziałem. Tam w środku, pośród moich uczuć. Tylko moja głowa jeszcze nic nie chciała wiedzieć.

Przez jakiś czas nikt nie odpowiadał na moje pytanie. Nareszcie teść spojrzął na moją teściową i tak rzekł: „Powiedz ty!”. A potem znów: „No, powiedz!”. „Gdzie jest Alija?” – zapytałem ponownie i ruszyłem w kierunku teściowej. Ona podniosła głowę, a na jej twarzy malował się przestach. Wyciągnęła przed siebie rękę, jakby bała się, że ją uderzę. „To nie moja wina, przysięgam na żywot Pana, Iwan, przysięgam na Matkę Przenajświętszą i na wszystkich świętych, to nie jest moja wina!”. Zatrzymałem się przed nią i krzyknąłem: „Gdzie jest Alija?!”. „Powiedziała wczoraj rano, że pójdzie do twojej matki po nici, tak powiedziała, tak mi dopomóż Bóg... zabrała z sobą też dziecko, żeby mogło zobaczyć twoją matkę, po to, żeby mogło zobaczyć twoją matkę, tak powiedziała...”.

Opanował mnie jakiś przeraźliwie zimny spokój. „Kiedy wyszła?”. „Wczoraj rano”. „I jeszcze nie wróciła?”. „Nie. Ale możliwe, że twoja matka zatrzymała ją tam z jakiegoś powodu... pomóc, czy ja wiem co... prawda, że to możliwe, Iwan?”. „Oczywiście – odparłem – cóż innego mogłoby być? Nic innego być nie może, tylko to”. Lecz w duchu wiedziałem, że to nieprawda i że ci dwoje tutaj też to wiedzą. I że stało się coś strasznego. „Dać ci jeść?” – spytała mnie teściowa. „Dajcie” – odrzekłem i odwiesiłem mój worek na miejsce, futrzaną czapę też, i usiadłem przy stole.

Moja teściowa w milczeniu krzątała się przy jedzeniu, lekko przy tym wzdychając. Teść siedział na ławce, zgarbiony, tak jak siedzą starcy, i dopiero wtedy dostrzegłem, jaki jest już stary. „Zawsze mówiłem, że będzie z tego nieszczęście, widzisz, kobieto, zawsze to mówiłem. Sama widzisz. Nie posłuchałaś mnie. Tak, tak. Teraz mamy je tu. Widzisz, mamy je tu. Sama widzisz”. W taki oto sposób burczał mój teść tam na ławce, a teściowa nie odzywała się jednym jedynym słowem, tylko z wielkim staraniem stawiała przede mną jedzenie. „Widzisz, sama widzisz. To ty nie chciałaś, żebym powiedział Iwanowi, a teraz mamy je tu. Mówiłaś: to minie, to minie. A teraz mamy je tu...”. „Zamilcz już – fuknęła nań moja teściowa – zamilcz już, na miłość boską!”.

Ja zaś jadłem. Chyba jeszcze nigdy nie posilałem się z takim staraniem i z taką uwagą jak wówczas. Była zupa z fasolą i mamałygą. Jeszcze dziś pamiętam jej smak. Wszelką moją myśl skierowałem na to jedzenie, żebym przynajmniej, póki trwa posiłek, nie musiał zastanawiać się nad innymi rzeczami. Jakbym mógł w ten sposób odepchnąć to nieszczęście dalej od siebie. Jakbym mógł chociaż na jakiś czas zmienić to, co się zdarzyło, w to, co się nie zdarzyło. Zjadłem wszystko do ostatniego ziarnka fasoli. Do czysta wybrałem zupę z talerza. Zjadłem też mamałygę do ostatniej garsteczki. Moja teściowa siadła z powrotem przy piecu i czułem, że przygląda mi się za moimi plecami. Teść siedział ze zwieszoną głową i już nie burczał, a tylko wzdychał od czasu do czasu. Cisza była taka, że każdy

hałas, jaki robiłem przy jedzeniu, wręcz roznosił izbę.

Nareszcie i to się skończyło. Wstałem. Zdjąłem z gwoźdźca mój worek, czapę, wziąłem z kąta kij. „Co chcesz zrobić, Iwan?” – spytała teściowa w przestrachu i obie ręce złożyła przed twarzą jak do modlitwy. Spojrzałem na nią. „Co? Pójdę do mojej matki i przyprowadzę Aliję z powrotem”. Teściowa naraz zaczęła płakać. Skryła twarz w dłoniach i płakała skamlącym płaczem starych kobiet. Teść zaś walnął pięścią w ławkę i rzekł z przyganą: „Widzisz, kobieto, widzisz! Tak to jest, gdy chcesz być najmądrzejsza, sama widzisz!”.

Nie słuchałem ich, tylko wyszedłem z chałupy. Na podwórzu jeszcze rozejrzałem się wokoło, jakbym szukał kogoś, kto schował się dla żartu i trzeba go znaleźć. Przerażliwie puste było nasze obejście. Jakbyśmy tam nigdy nie mieszkali. Jakbyśmy nie gromadzili tu przez te długie lata owoców całej naszej harówki, pełnej trosk, starań, oraz wiele, wiele drobnych rzeczy, pochodzących z pracy naszych własnych rąk... potwornie puste było nasze obejście, gdy wtedy objąłem je wzrokiem. W końcu ruszyłem do mojej matki.

Kiedy dotarłem do rodzinnej wsi, było już ciemno. W naszym domu palił się kaganek. Wszedłem do środka. Matka siedziała przy piecu i przędła. Wrzeciono stanęło jej w ręce, gdy mnie ujrzała. „Gdzie jest Alija?”. Matka spojrzała na mnie ze zdziwieniem i rzekła: „Co mówisz?”. „Gdzie jest Alija?”. Pokręciła głową: „Twoja żona?”. Zapytałem po raz trzeci: „Gdzie jest Alija?”. „Nie wiem, synu... tutaj jej nie ma... dawno nie byliście u mnie...”. Dopiero wtedy dostrzegłem, jak bardzo zestarzała się moja matka.

Stałem przed nią w futrzanej czapie na głowie, z kijem w ręce, i przyglądałem się jej. Siedziała przede mną staruszka o żółtej twarzy, chuda i malutka, z wrzecionem w dłoniach. I pomyślałem: to moja matka. I patrzyłem na jej pomarszczone, stare ręce, jak znużona trzymała w nich na podolku wrzeciono, i patrzyłem na jej pomarszczoną, starą twarz i na małe niebieskie oczy pośród zmarszczek, oczy, którymi mnie obserwowała, z zaciekawieniem i trochę smutno, i pomyślałem: to moja matka.

„Posłałeś ją tutaj, do mnie?” – spytała po pewnym czasie. „Nie – odparłem – o nic nie pytajcie! Nie teraz”.

Patrzyłem na izbę. Poznałem stół, ławkę, szafę... piec, skrzynię... butelki na parapecie... i pomyślałem: tu byłem dzieckiem. Tu, w tej izbie. I pomyślałem: jakie to dziwne. Nie wiem, jak długo mogłem tam tak stać. Moja matka przyglądała mi się ze smutkiem, a ja przyglądałem się tej izbie, gdzie byłem dzieckiem, i kobiecie, która była moją matką...

Nagle otworzyły się za mną drzwi. Matka spojrzała tam... i jej twarz zrobiła się taka, jakby zobaczyła Aliję, tam za moimi plecami, w progu. Odwróciłem się szybko. Z radości krew nabiegła mi do twarzy. Ale w progu stała Marija, garbata i zezowata Marija, ta z naszego sąsiedztwa.

Wiesz, od tamtej pory nie za często ją widywałem. Od tamtej pory, gdy razem zrzucaliśmy siano. I od czasu, gdy na naszym weselu wyczytała z dłoni mojej żony tamte rzeczy. Co prawda spotykaliśmy się niekiedy, ale tylko tak... z daleka. Kiedy obrabialiśmy ziemię mojej matki i podeszliśmy z pługiem pod ich ogród... albo kiedy kosiliśmy owies, a na sąsiednim polu oni też kosili owies. I tak dalej. Pozdrawialiśmy się wtedy: „Szczęść Boże, Marija!”, „Szczęść Boże, Iwan!”. Ale nic więcej. Tyle wiedziałem, że przychodziło do niej coraz więcej ludzi, także obcych, z daleka, i że przepowiedziała już wiele różnych rzeczy. Nazywali ją wieszczką, i nawet pop pojawiał się u niej kilka razy; co więcej, wiedziałem również o takim wypadku, kiedy Marija powiedziała popu, kto mu ukradł zboże, lecz zastrzegła sobie, żeby temu złodziejowi nic się nie stało, jeśli zwróci wszystko, co ukradł. Ano tyle wiedziałem o tym, co zdarzyło się od tamtej pory. I teraz raptem stała tam naprzeciw mnie.

Kiedy ją zobaczyłem, moją pierwszą myślą było: nic się nie zmieniła. Była dokładnie taka jak wtedy. Jak dawniej, kiedy jeszcze było tak, że ona i ja... patrzyła na mnie tym samym poważnym łagodnym spojrzeniem, tak samo trzymała głowę, ramię za karkiem miała tak samo wykoślawione od garbu, dokładnie w takim samym dziwnym miejscu znajdowało się jej lewe oko, patrzące nieco krzywo, nieco tajemniczo w bok... także odzienie miała na sobie to samo, co dawniej... to była moja pierwsza myśl. Druga zaś, że muszę odejść, natychmiast, wszystko jedno, dokąd, ale muszę odejść z tego domu, w którym ona jest.

Nawet i dzisiaj nie umiem wytłumaczyć, czemu tak było. Ale tak to było. I ruszyłem ku drzwiom.

Myślę, że moja matka nie zrozumiała, co zamierzam. Z pewnością myślała, że czekałem na Mariję i że wychodzę jej naprzeciw, bo roześmiała się cicho i zamruczała: „Tak, tak. Ano właśnie. A jednak”. Lecz Marija... ona zdawała sobie sprawę z tego, co zamierzam. Pobladła, a gdy chciałem ją wyminąć, złapała mnie za ramię. „Nie tak, Iwan. My mamy ze sobą do pomówienia”. „O czym?” – spytałem ją szorstko. „O wielu rzeczach. Chodź!”. I wyszła przede mną za próg, a ja postąpiłem za nią.

Na dworze było ciemno. Na podwórzu Marija chwyciła mnie za rękę i tak poprowadziła przed drzwi szopy. I gdy chwyciła mnie za rękę, ja już wiedziałem, że właśnie tam chce mnie zaprowadzić. „To tu przerwaliśmy naszą rozmowę, Iwan – rzekła, kiedy dotarliśmy tam, gdzie swego czasu razem zrzucaliśmy siano – i tu też musimy ją dokończyć. Widzisz, ja już wtedy wiedziałam, że tak będzie”.

Wówczas zrodziła się we mnie jakaś przekora, tam, w tym ciemnym obejściu, w jej obecności. Może tę przekorę wywołało rozgoryczenie, nie wiem. Ale tak powiedziałem: „Kłamiesz, nic nie wiedziałaś! I teraz też nic nie wiesz!”. Ścisnęła moją rękę. „Nie mów w ten sposób, Iwan. I ty dobrze wiesz, że nie masz racji”. Wiedziałem, oczywiście, że wiedziałem. Ale była we mnie ta przekora i nie

popuszczała. „No to co wiedziałaś, no? I co wiesz teraz? Posłuchajmy! Powiedz!” I ona powiedziała.

Nie pamiętam już dokładnie wszystkich słów, które wypowiedziała tam w ciemności. Ale pewien fragment przypominam sobie całkiem wyraźnie. Tak powiedziała: „Pamiętasz, Iwan? Powiedziałam jej: radość przyniesie pierwsze dziecko, radość zabierze drugie. Czy nie tak było? I powiedziałam: na zawsze pozostaniesz wierna miłości. Nawet jeśli zmienią się twoje dni, nie zmienią się twoje noce. Kiedy wyruszysz w wielką drogę, pójdiesz z tym, kogo kochasz... Czy nie tak powiedziałam, Iwan, nie tymi słowami? I czy nie powiedziałam ci, tu, na tym miejscu: tamta dziewczyna kocha nie ciebie, lecz młodzieńca? Młodzieńca, który jej potrzebuje i którego i ona potrzebuje. Czy nie tak powiedziałam, właśnie tak?”. A ja milczałem, nie wydusiłem z siebie nawet jednego słowa. Tylko tak przed nią stałem i milczałem.

A ona ciągnęła: „I teraz powiem ci też to, czego nie wiesz: wczoraj rano przy dojeniu raptem zatrzymała mi się ręka. Widziałam ciebie, jak stałeś na skraju rowu, w którym płynęła czarna woda, a za tym rowem mężczyzna i kobieta pędzili owce, a pomiędzy nimi dwojgiem szła dziewczynka. I tą kobietą była twoja żona, a tą dziewczynką twoja córeczka. Trwało to wszystko tylko chwilę. Lecz ja wiedziałam, że los się dopełnił. I moją pierwszą myślą było: teraz Iwan powróci do mnie! I bez względu na to, jak nieładnie to brzmi, wybac mi, bo taka jest prawda, ucieszyłam się, Iwan. Jednak potem przypomniał mi się ów obraz, który zobaczyłam. Rów, a w nim czarna woda. I zrozumiałam, że nie mam powodu do radości. Bo to znaczy tyle, że ty odejdziesz, daleko. Będziesz długo, bardzo długo biegł, biegł brzegiem rowu z czarną wodą. Będziesz na tym rowie szukał kładki, po której mógłbyś przejść przez czarną wodę do tych, co pędzą owce. Pobiegniesz daleko, bardzo daleko... Lecz nigdy nie znajdziesz tej kładki, bo kładki nie ma. Ale ty w to nie uwierzysz. Dopiero kiedyś, po długim, bardzo długim czasie, zrozumiesz, że to ja miałam rację, i wtedy powrócisz do mnie... możliwe, że już nie ciałem, bo wtedy nasze ciała będą już stare. Ale powrócisz do mnie inaczej... a mnie i tak też będzie dobrze... Więc odejdz, Iwan. Patrz, przyniosłam ci tu w tej chustce trochę pogaczy¹⁴ na drogę. Nie jest ich dużo, ale na jakiś czas wystarczy. Ktoś przecież musi wyprawić w drogę tego, kto ma wyruszyć... nieprawdaż? No a teraz już odejdz, Iwan. Z Panem Bogiem, Iwan!”

Tak to było. I ja odszedłem. Jeszcze tamtej nocy, jeszcze w tamtej godzinie, natychmiast. Nawet nie wstąpiłem już do mojej matki ani do naszego domu. Odszedłem jak ktoś, kto zwyczajnie odchodzi.

Tygodniami krążyłem śladem kierdeli, przeszedłem pastwiska, wszędzie, gdzie tylko posłyszałem, że żyją tam gospodarze ze stadami owiec. Na próżno. Nigdzie nie natknąłem się na nich. Wiesz, to, co powiedziała Marija o czarnej wodzie, okazało się prawdą, dokładnie tak, jak powiedziała. Począwszy od tamtego

dnia jakaś czarna woda oddzielała mnie od drugiego brzegu, od drugiego brzegu życia, gdzie ludzie pędzą swoje owce, razem kierują własnymi, małymi, spokojnymi sprawami, razem jako rodzina, pracując i zmagając się z trudnościami, ale zawsze razem, w zgodzie i spokoju, porządnie, jak się godzi. Lecz ja nigdy nie dostanę się na tamten drugi brzeg. Czy to zły urok? Czary? Zabobon? Nie, nie. To tylko prawo. Tak samo, jak mówiłem wcześniej o kratownicy brony, o w taki właśnie sposób. Jeden ząb potknie się o grudę, po nim potyka się następnie cała reszta. Mój dziad ożenił się z moją babką... tak oto owa kośna łąka stała się nasza. Tak poznałem Aliję... tak zostawiłem tę drugą... dlatego ta zostawiła mnie, bo ja zostawiłem tamtą... i tak bez końca. I widzisz, okazało się, że to Marija miała rację. I dalej też to ona będzie miała rację... w tym, co powiedziała na ostatku: że kiedyś to zrozumie. Bo przecież ja już dawno to rozumiałem! Tyle że człowiek... Jak to człowiek... niezbyt chętnie przyznaje się do tego, że rozumiał. No i też... jakżeż miałbym tam teraz wrócić? Po tylu, tylu latach?

Żeby ludzie gapili się na mnie i mówili: tak, tak, ano to jest tamten Iwan... ano właśnie...

No i też, wiesz... gdy tak siedzę sam jeden przy ogniu i zastanawiam się nad tymi sprawami, to wydaje mi się, że przy tym ogniu siedzi ze mną także Marija i patrzy na mnie tymi swoimi łagodnymi poważnymi oczami, i mówi: ano tak, Iwan, ano tak. I wiesz... myślę, że wtedy ona naprawdę siedzi tam koło mnie. Nie ciałem, oczywiście, ale w inny sposób. Tak, jak wówczas to powiedziała: „w inny sposób”. Bo ona jest wieszczką, a wieszczki... Ano tylko to chciałem ci rzec. Dziękuję, że mnie wysłuchałaś.

Przez otwarte drzwi zakradł się wiatr i na paluszkach obszedł izbę dookoła. Na wielkiej dębowej skrzyni poruszył się obrus. Wiatr miał zapach bazi. Na dworze gruchały gołębie grzywacze.

Kudłaty ryży strażnik leśny wstał z ławki. Z trudnością się ruszył, jego oczy w zmęczeniu prześliznęły się przez drzwi ku wiośnie. Sięgnął po strzelbę.

Kobieta zerwała się ze swojego miejsca w rogu przy piecu. Stała przed nim. Oczy jej dziwnie błyszczały.

– Powiedzcie, wujku Iwanie... czy można być i wieszczką, i czarownicą?

– Co masz na myśli?

– Ano tak, że... zagłada się ludziom w oczy i widzi się... widzi się to, co było, i to, co będzie... i że ten wzrok rzuca też urok, i ten oddech jest oddechem śmierci, i zginie ten, kto... kto jest przy takiej kobiecie?

Iwan pokręcił głową i rzekł:

– Nie rozumiem, o czym mówisz. Zły urok to nie jest coś takiego, co wiąże się z jakimś człowiekiem i zawsze tylko z nim. Mara w wilczej postaci i zmory, i coś takiego, o czym swego czasu opowiadała mi matka, nocą na naszej łące, tego wszystkiego nie ma. Nie ma i czarownic.

– No to jak to może być...

– Zły urok, wiesz, to dzieje się inaczej. Tak samo jak ze mną, także i z innymi. To w prawie tkwi zły urok. W jakiś sposób trafia on do prawa i wówczas już w nim jest. Jak w kracie, w kracie brony owa gruda. Rozumiesz? Nie umiem tego lepiej wytłumaczyć.

– Rozumiem – kobieta przytaknęła cicho i wyjrzała przez drzwi – rozumiem, wujku Iwanie, dziękuję.

Ponad polaną leniwie przeleciała wrona. Zaszumiały jej skrzydła. W dziobie trzymała patyk. W górze niebo było głębokie i błękitne jak gwiazda dzikiego hiacyntu w porannej rosie.

14 W oryginale *pogácsa* – specjalność kuchni węgierskiej, rodzaj ciastek, bułeczek pieczonych z różnymi dodatkami, np. serem, skwarkami, ziemniakami.

Wiosny nie dało się już zatrzymać. Na próżno chmurzyło się czasem niebo, na próżno powracał śnieg. Nawet jeśli rankiem polana budziła się w bieli, potrzeba było tylko wiatru, żeby rozproszył chmury i zaświeciło spoza nich słońce, a do południa znów pyszniły się w jasnozielonej murawie fioletowe zimowity.

Wiosna niezwyciężenie postępowała naprzód. Popołudniami spod buczyny wiatr przynosił na górę słodkawy zapach kwitnących krzaków szakłaka, a skraj buczyny pełen był przebiśniegów, niebieskich hiacyntów i liliowych psizębów. Kiedy zapalały się gwiazdy, ponad polaną z furkotem przelatywały pary słońek, a powietrze napełniało się jakimś odurzającym słodko-cierpkim zapachem.

Pewnego poranka kobieta stała w progu, gdy zza buczyny właśnie wstawało słońce. Na razie zapowiadały to jedynie rdzawoczerwone ognie na niebie. W chłodnym powietrzu świtu unosiły się jakieś delikatne wonie, a kobieta, chłonąc je, patrzyła na polanę, urzeczona widokiem wielu zimowitów skąpanych w porannej rosie.

I wtedy posłyszała głuszca. Czysto, wyraźnie zabrzmiały w ciszy owe dźwięki: „Tak... tak... tak... szyszy, szyszy, szyszy, szyszy!...”. A potem dostrzegła i samego ptaka – czarnego, z rozłożonym wachlarzem, jakby wyciętego nożem z ciała lasu. Siedział tam na czubku choiny i wyciągnawszy szyję, witał słońce. „Tak... tak... tak... szyszy, szyszy, szyszy, szyszy!...”.

Poczuła w sercu jakąś osobliwą radość. Miała ochotę zakrzyknąć do ptaka, zaśmiać się w głos i zawołać na cały świat, że tak, tak, nadeszła wiosna! Koniec śniegu, chłodu, ciemności, rodzi się nowy świat, nowe życie, wiosna! A potem pierwszą jej myślą było: czy oni tam w dole wiedzą już o tym? Że odezwały się wielkie głuszce? Że ogłosiły przebudzenie wiosny?

Od wielu dni nikt nie zaglądał na górę. Z pewnością nie wiedzą. Trzeba im o tym powiedzieć, o tak. Żeby przekazali to jeszcze dalej na dół, żeby i tamci się dowiedzieli... Zdumiała się tą myślą. Któż miałby się dowiedzieć? Kogo obchodzi, co dzieje się wysoko w górach? Kto ją obchodzi, czy on o tym wie, czy też nie? Nawet jeśli... ale dlaczegoż by nie? Tak jak listonosz przyniósł z Ratosnyi tanto pismo z obrazkiem, tak samo może drugi zabrać tam, skąd przyszedł ów pierwszy. Wujek Birtalan go napisze... listonosz zanieś... przecież to całkiem proste!

Już i ogarnęła ją radość. Szybko uwinęła się ze zwierzętami, po czym podparła drzwi miotłą i ruszyła. Kiedy zza węgła domu spojrzała wstecz, na miotłę, przyszło jej do głowy, że jeszcze nigdy nie opuszczała tego domu. Ani razu od jesieni. No ale skoro nadeszła wiosna!

To, że nie знаła drogi przez las, nie niepokoiło jej ani przez moment. Wcale o tym nie myślała. Z naturalnym instynktem mieszkańców lasu podążała w dół pośród drzew, podśpiewując, niekiedy odłamując jedną i drugą gałąź, która wyciągała się ku jej twarzy, lub przystając na chwilę, by podziwiać białe plamy przebiśniegów i niebieskie hiacynty. Strumyk wypływający ze źródła z wolna rósł

w potok, góra po obu stronach stawała się stroma, a słońce rzucało złote pasma pomiędzy drzewa. Szła wesoło, lekko. Na jednej polanie z jeżynami stała sarna i popatrzyła na nią ze zdziwieniem. Sarna była zacielona, widać było jej duży brzuch. Kobieta przystanęła i bezwiednym ruchem pomacała siebie.

– Ja też – powiedziała do sarny.

Sarna zastrzygła uszami i skoczyła pomiędzy drzewa.

Ścieżka prowadziła ku szerszemu potokowi. Drozdy krzątały się w słońcu, na kotkach leszczyny brzęczały pszczoły. Pełna krasy, szkarłatna plama krzaczka szakłaku napełniała dolinę potoku barwą i zapachem. Podbiegła doń i spróbowała urwać jedną gałązkę. Z trudem oddzielała się ta ukwiecona gałązka. Kobieta pochyliła się ku niej i zębami odgryzła łykowate włókna. Usta napełniły się jej gorzkawymi sokami wiosny.

Nagle jej oczom ukazało się siedlisko. Polana poniżej niego była już cała w świeżej, wiosennej zieleni. Kilka łaciatych krów szczypało trawę. Brązowe ściany domów lekko nagrzały się na słońcu.

Przez kilka chwil badawczo przyglądała się siedlisku, jak ktoś, kto się z kimś zapoznaje. Ale było to przyjemne, łagodne odczucie, polana i ponad nią budynki, i kilka pasących się krów. Nie było nic, co psułoby ten obraz, domy stały tam u podnóża góry i patrzyły w dół na potok; potok rzucał się na kamienie z pianą, piana była biała, jakby pod wodą toczyło się w dół wiele drobnych, ładnie pachnących pieńków brzozy.

*

Machając trzymaną w ręce, ukwieconą gałązką, ruszyła w kierunku domów. Człowieka nigdzie nie widziała. Najpierw poszła do najwyższej położonego małego domku, ale tamten dom spał. Za swymi zamkniętymi okiennicami strzegł stanu niezamieszkania, na jego schodach nie było czuć śladu stopy. Gdy dotarła do dużego domu, z boku, zza szopy wyskoczył jakiś czarny pies. Nie szczekał, tylko przyglądał jej się z zaciekawieniem i powoli zbliżał się, wietrząc.

– Dudás! – zawołała na psa. – Dudás, nie wolno!...

Pies ledwie zauważalnie pokręcił czubkiem ogona, przystanął i ziewnął.

Potem znów pokręcił ogonem, przeciągnął się i legł przy progu. Sennie i leniwie odszukał oczami potok, przeciągnął po nim wzrokiem i zatrzymał się na jednym miejscu. Kobieta skierowała wzrok śladem oczu psa. W dole, niemal u zakrętu, pośród gęstych olch jakby ktoś siedział na brzegu potoku.

Zajrzała jeszcze do szopy, do drewnutni, ale i tam nie było nikogo. Wówczas zeszła ku wodzie. Rzeczywiście, ktoś siedział tam pomiędzy olchami. Na wielkim krągłym kamieniu, pochylony w przód, i patrzył w wodę. Poznała go nawet od tyłu. Był to Birtalan.

Z wolna podeszła i stanęła za jego plecami. Cicho, niemal na palcach. Stary nie poruszył się, wciąż wpatrując się w wodę, jakby zapomniał o całym świecie. Już chciała go przywitać: „Szczęść Boże, wujku Birtalanie!”, gdy to on przemówił, nie odwracając się, nie odejmując wzroku od wody:

– Już i tam w górze kwitną krzewy? To już naprawdę wiosna, kobieto. Tylko ta duża ryba tutaj... na próżno jej to mówię...

– Skąd wiedzieliście? – zdziwiła się kobieta. – Przecież nie mogliście mnie widzieć.

Jej oczy padły na lustro wody i spotkały się na nim z układającą się akurat w szelmowski uśmiech twarzą starego.

– Ajajaj, moja duszko, potok! Potok zdradza wiele różnych rzeczy. Ale czy widzisz tamtą wielką rybę, o tam? Tę wielką z zielonym grzbietem? O tam, w cieniu kamienia, gdzie kończy się tamta gałąź? Wciąż stoi na czatach. Poluje na drobne rybki. Na próżno jej mówię, że zima przeminęła, może już sobie poszukać owada. Nie wierzy. Takie one są, te wielkie ryby, widzisz sama. Jak ludzie, kiedy urosną. I urosnie im apetyt. Nie wierzą, że mała rybka to też ryba i nie po to ona jest, żeby ją zjedli, gdy jest wiosna.

Stała za starym, słuchała jego słów i przez jakiś czas przyglądała się wielkiej rybie z zielonym grzbietem, która rzeczywiście tkwiła tam, w cieniu kamienia, i polowała.

– Dlaczego jej nie złapiecie? – spytała.

– Teraz się nie da – pokręcił głową stary – teraz stoi na czatach, a w takich razach jest czujna. Teraz się nie da.

Naraz zawładnął nią jakiś tajemniczy, skory do żartów czort. Zaczepnym

tonem rzuciła:

- Nie da się? Mam pokazać, że się da? Stary dalej kręcił głową.
- Tej się nie da. Stoi na czatach, uważa. Jeśli się ruszę, zniknie.
- Ta?

Była w jej głosie jakaś czupurna zaczepność. Kobieta powoli postąpiła naprzód i wbiła wzrok w rybę. W jej łeb. Szukała oczu. I chciała, żeby ta się nie ruszała. Chciała tego mocno, zebrawszy całą swoją wewnętrzną siłę. I z wolna, nie zdejmując wzroku z ryby, ruszyła naprzód, weszła do wody, jeszcze dalej i dotknęła rybiego grzbiecie. Ryba się nie poruszyła. Kobieta kilka razy pogłaskała ją wzdłuż po grzbiecie, po czym pochwyciła gwałtownie za skrzela i wyciągnęła z wody.

- Proszę, wujku Birtalanie.

Stary patrzył na nią, jednak nie był zdziwiony. Tylko zamrugał swoimi małymi niebieskimi oczyma i wziął rybę, obejrzał ją.

– Wcale się nie rzuca, jakby zdechła. A przecież żyje. Znam ja to. Czasem i mnie się udawało, dawniej. Ale z rzadka. Dużą masz wolę, kobieto. Masz w sobie dużą wolę.

Następnie ruszyli w górę, ku siedlisku.

– Głuszce odezwały się w górze – kobieta rzuciła nowinę – przyszłam, żeby o tym powiedzieć. Żeby...

– Zniosę tę wieść na dół do Gyerkó – odparł stary – żeby on przekazał ją dalej, do pana, zgoda? Dobrze, że przyszłaś tu na dół.

Kobieta pomyślała, że może tak i on... ale bała się wypowiedzieć tę myśl. Stary jakby wyczuł, co przyczaiło się za milczeniem.

– Panicz, ten to już dawno by tu był. On już... no cóż. Jest daleko, to dlatego.

- Wujku Birtalanie...

– Co?

– Powiedźcie mi... tamten człowiek, co chodzi z pocztą... czy on już poszedł z powrotem?

– Co mówisz?

– Tamten człowiek, który w Ratosnyi dał wujkowi Gyerkó to pismo z obrazkiem...

– Masz na myśli Bilibóka?

– Tak on się nazywa? Nie wiedziałam. On teraz... gdzie jest?

– Bilibók? On, moja duszko, jest w Ratosnyi.

– Naprawdę? Jeszcze nie poszedł z powrotem?

– A dokąd to?

– No... do tamtego miasta, gdzie jest ta wieża, wiecie... skąd tamto pismo, wtedy...

– Bilibók? Ten to chodzi co najwyżej do Dédy, no i może raz w roku do Régen. Dalej to już nie.

– Szkoda. To szkoda.

– A dlaczegóż to?

– Bo pomyślałam... że i my moglibyśmy posłać przez niego takie pismo... moglibyśmy poprosić tego Bilibóka...

– Masz na myśli list?

– Tak, list! Ja bym powiedziała, a wujek Birtalan by napisał... A potem byśmy go oddali Bilibókowi, żeby go poniósł dalej.

Stary przystanął i ze zdziwieniem popatrzył na kobietę.

– Słuchaj... Ano możemy to zrobić.

– Ale jeśli ten Bilibók...

– Bilibók musi go zanieść tylko do Dédy, stamtąd już kto inny poniesie go dalej, nie bój się. Człowiek pošlini i przyklei tam taki znaczek, a za jego cenę ci, co z tego żyją, zanoszą list dokądkolwiek.

– To pewne?

– No pewne, nie inaczej.

– I moglibyście go napisać?

– Ano... dawno już nie próbowałem. Ale chyba tak...

– Spróbujmy, wujku Birtalanie! Spróbujmy! Stary podrapał się po głowie.

– Ale, ale, czekajże! To nie całkiem jest tak. Do tego potrzebnych jest przecie wiele różnych rzeczy. Po pierwsze specjalny papier. Następnie ołówek. Następnie...

– Nie da się bez tego?

– Bez tego? Nie.

– To kłopot. Widzicie, sami widzicie, stale tylko jakiś kłopot.

– Ale poczekajże, toć ja i tak mam w tym tygodniu sprawę w Ratosnyi. No to kupię u Żyda wszystko, co potrzeba. I następnym razem przyniosę to z sobą do ciebie na górę. I tak musimy jeszcze raz przywieźć siana, tam wysoko później urośnie trawa. I wtedy go napiszemy.

– Tylko czy... czy do tej pory nie będzie już za późno, wujku Birtalanie?

– Za późno? Czemu miałoby być za późno?

– Ano... do tej pory tamtym ludziom może się to znudzi albo trafi im się jakie inne zajęcie. I już więcej nie przyjdą w te okolice. Czy ja wiem?...

– Nie bój się.

– Nie można by tak, że ja teraz powiem wam to, co trzeba napisać, a wy potem zanieście na dół to, co ja powiem, i tam u tego Bilibóka zapiszecie to na tym papierze, o w taki sposób?

– Co? No przecie, że można... tak też można. No przecie, że można.

– No to powiem, zgoda?

– Czekaj, najpierw zajdź do nas. Upieczemy tę rybę, zjemy ją i potem wszystko pięknie powiesz. Chodź!

Poszli do domu. Stary rozpałił ogień, następnie upiekli rybę.

– Wujka Iwana nie ma? – spytała tymczasem kobieta. Birtalan machnął ręką i odrzekł:

– Iwana? Naszło go. W taki czas zawsze go nachodzi.

– Co takiego?

– Co takiego? Wiesz, jakaś taka choroba. Każdy człowiek ma jakąś chorobę. Jakaś taką wewnętrzną chorobę, rozumiesz? Jeden taką, drugi inną, co ich tak czasem nachodzi. Pora jego choroby jest właśnie teraz.

– Leży gdzieś?

– Nie, ależ skąd. To sprawa innego rodzaju. Kiedy wiosną ujrzy pierwszy kwiat, wtedy go nachodzi. Przypomina mu się jedna kobieta, wiesz. To stara sprawa. Potem rusza w drogę. Po kolei zachodzi do domów i szuka tamtej kobiety. Ludzie już to wiedzą i dają mu spokój. W końcu siada gdzieś w karczmie i zaczyna pić. Nigdy nie pije gorzałki, jednak raz do roku, w taki czas pije, aż wpadnie pod stół. Potem wraca do domu, no i na tym koniec. To stara sprawa, nie trzeba o niej wiedzieć. Nie trzeba jej wywlekać. Takie coś przyklei się już do człowieka, nosi to z sobą ten, kto to ma. To choroba.

Nie pytała więcej. Zobaczyła przed sobą Iwana, jak siedział na ławce i mówił, mówił słowa, powoli i ze smutkiem, a za słowami, gdzieś strasznie głęboko, piekło go zepsute życie, świat, co się zawalił, i dom, i łąka, i kobieta... Spuściła głowę i nie odezwała się więcej. A kiedy stary się odwrócił, szybko otarła sobie oczy.

Potem zjedli rybę.

– No to teraz możesz powiedzieć – odezwał się stary, zapalając fajkę – tylko mów powoli, żebyś zapamiętał słowa.

I kobieta tak powiedziała:

– Napiszcie mi, że przekazuję mi z hali Komárnyik takie oto wieści: przesyłam mi wyrazy uszanowania tam, gdzie jest. Na choinie powyżej domu odezwał się już głuszczyk i rozkwitły kwiaty. I napiszcie jeszcze, że zima była bardzo długa i że dziękuję mi za pismo z obrazkiem, które przysłał mi przez tamtego Bilibóka. Strzegę tego pisma, przechowuję je na półce i modlę się przed nim codziennie, odkąd wujek Dumitru nauczył mnie, jak się modlić. I napiszcie, że zima była bardzo długa, lecz teraz już się skończyła i już nawet owce mają wykot, i... i napiszcie, że ja też już czekam, żeby stamtąd powrócił... i że... możliwe, że tam wszystko jest dużo piękniejsze aniżeli tutaj, ale tu jest już wiosna, to mi napiszcie, że jest wiosna i... napiszcie o kwiatkach i o ptakach, i że wieczorami... napiszcie, że wole oczko uwiło sobie gniazdo w drewnie na opał i że teraz skądinąd muszę brać drewno, i że już tylko jego tu brakuje... to mi napiszcie, wujku

Birtalanie. Że już tylko jego jednego tu brakuje.

- Napiszę – przytaknął stary, pykając z fajki – napiszę, nie bój się.
- I to, że jest wiosna.
- To też.
- I jeszcze, że dziękuję za pismo z obrazkiem, które mi przysłał.
- I jeszcze to, że długa była ta zima w samotności, prawda?
- Tak, tak! Ale teraz już się skończyła i że głuszec...
- Napiszę o wszystkim, nie bój się.
- I o wolim oczku.
- O nim też, o nim też.
- I że... że już bardzo na niego czekamy. Dom i polana przed domem...

i drzewa... i wszystko...

- Napiszę, kobieto, napiszę.

Jeszcze trochę posiedzieli na progu, lecz już nie rozmawiali, tylko patrzyli na lasy, błyszczące w promieniach słońca, a Birtalan palił fajkę. Nareszcie kobieta powstała gwałtownie.

- No to ja już pójdę.
- Idź! Napiszę o wszystkim, nie bój się!
- Bóg wam zapłać!
- Niech ci Bóg dopomoże, kobieto!

Po kilku krokach przystanąła i rzuciła wstecz:

- Gdzie mieszkają ci, co mają dzieci? Te, które przyniosły miód?
- O jeden potok dalej niż tam, gdzie zeszłaś.

Poszła. Delikatnie kołysząc biodrami, rąbek jej pstrokatej spódnicy rytmicznie uderzał o nagie łydki, a jej małe kierpce niemal unosiły ją w powietrzu. Była szczęśliwa. Myślała o tamtym nieznanym Bilibóku, który zanieś pismo w jakimś wielkim, okropnie wielkim worku, i że ten Bilibók to człowiek o poważnej twarzy, z jasnymi włosami, wysoki, taki naprawdę porządny, i niech go dobry Bóg zachowa w zdrowiu, w sile, żeby mógł przebyć tę drogę. Potem jej myśli powędrowały ku dobremu Bogu, który musi zachować w zdrowiu i sile takiego Bilibóka z powodu tej drogi i tego pisma, i tutaj powstało w jej myślach jakieś zamieszanie, bo w żaden sposób nie potrafiła sobie wyobrazić owego dobrego Boga. A przecież musi gdzieś być, wszak ludzie bezustannie o nim wspominają i dla niego przeznaczona jest modlitwa, a także świeca. Mówią, że jest wysoko w niebie. Może tam, gdzieś ponad błękitem? Może akurat w samym słońcu? Nie, to niemożliwe. Wówczas nocą Boga by nie było, a przecież Bóg zawsze musi być, żeby strzec dobrych ludzi. No a na ptaki to kto uważa? A na kwiaty? I na nie też dobry Bóg?...

Zatrzymała się przed przebieśnięciem. Schyliła się, przyglądała mu się. Od czego przebieśnięcie jest właśnie takie? Od czego jest taki biały? Od czego zielona jest

jego zieleń? Od czego wychyla się spod ziemi? I to też robi dobry Bóg? Ktoś musi to wszystko robić, na pewno. Bo jakżeż ten kwiat mógłby sam z siebie wyrosnąć spod ziemi? Skąd wzięłyby się ptaki? I kto by te ptaki nauczył tylu rozmaitych pięknych dźwięków? I kto by im wymalował pióra na tyle różnych pięknych kolorów, pióra ptaków i płatki kwiatów, i drzewa, i promienie słońca, i wszystko, jeśli nie dobry Bóg? Dobry Bóg, który mieszka gdzieś tam wysoko, za błękitnym niebem, i bezustannie strzeże, by nic złego nie przydarzyło się dobrym ludziom. Żeby Bilibók mógł zanieść pismo i żeby głuszcze poczuły wiosnę, i żeby kwiaty rozkwitły, i żeby ptaki zaczęły śpiewać, i żeby z wiatrem niosły się cieplejsze już, przyjemne wonie... dobry Bóg musi mieć strasznie dużo spraw, a mimo to jak to jest, że potrafi czuwać nad tym wszystkim? Któż inny, jeśli nie dobry Bóg, byłby w stanie robić to wszystko?

I gdy stała tam przed przebiśnięciem, poczuła raptem, że odkryła jakąś cudowną wielką tajemnicę. Oblał ją od tego gorąc. Jakby otwarła się gdzieś jakaś niewidzialna brama i przez tę bramę wejrzeć mogła w tajemnicę tajemnic, tam gdzie mieszka przyczyna i cel, istota wszystkiego, gdzieś tam wysoko, poza błękitem nieba.

– Bóg... – wymówiła cicho owo tajemnicze słowo, którego używała przez tyle czasu, nie zdając sobie sprawy, jaki jest jego sens, i oto teraz nagle coś to słowo rozjaśniło i naraz stało się ono potężne, wielkie i wspaniałe, pełne siły i blasku, dni i gwiazd, drzew i kwiatów, i ptaków, i dzielnych, dobrych Bilibóków, którzy w wielkich workach dobrodusznie noszą od jednego człowieka do drugiego słowa, jakie przesyłają sobie nawzajem ludzie, którzy zostali sami.

– Bóg... – wymówiła cicho i spojrzała w górę na niebieskie i wysokie niebo, i poczuła coś bardzo pięknego. Zaczęła się śmiać cichym, szemrzącym, pełnym szczęścia śmiechem, i wesoło pomachała w górę ku dalekiemu błękitowi, jak ktoś, kto pozdrawia kogoś znajomego, drogiego, zaufanego, którego przez długi czas szukał i wreszcie ujrzał go przed sobą.

Poszła dalej, podśpiewując. Jeszcze nigdy nie czuła się tak lekka, wręcz unosiła się w wiosennym słońcu. Ponad potokiem przefrunął żółty motyl z taką lekkością, jakby i on uszczknął coś z tej tajemnicy.

Przy kaskadzie na Kétág znalazła się naprzeciw domu. Przystanęła. Przyglądała mu się, zapoznawała się z nim. Przerwała nucenie. Jakoś tak obco stał tam ten dom, pomiędzy potokiem a lasem. Miał płot, bramę, a to czyniło go takim, jakby stał na skraju wsi. Bezwiednie szukała oczami pośród drzew wsi, do której ten dom przynależy. Bo nie przynależał on do lasu. Z lasem nie miał nic a nic wspólnego. Był obcy.

Zbliżała się doń powoli. Bała się tego domu. Wszystko, co żyło w jej wspomnieniach w związku ze wsią, naraz pojawiło się wokół niej niczym upiory. Podłe słowa. Zawiść. Knowania. Krzyki, kłótnie. Karczma. Wzdrygnęła się od tych

wspomnień. Może gdyby słońce nie świeciło tak pięknie i ciepło, gdyby nie było wiosny, wesołej, lekkiej aury, ominęłaby ten dom z daleka. Rzuciłaby się przed nim w las, jak dzika zwierzyna, i uciekłaby z powrotem w obronną gęstwę na Komárnyik.

Było zachęcające i pogodne wiosenne popołudnie. Co prawda przed bramą zatrzymała się jeszcze na moment, ogarnęło ją jakieś wahanie, jednak w końcu otworzyła ją.

Na ciche skrzywienie począł szczekać pies, gdzieś u węgła szopy. Ale nie wybiegł naprzód, słychać było tylko brzęk łańcucha i to też tak bardzo przypominało wieś. W drzwiach pojawiła się gospodyni. Surowa, chuda, koścista kobieta. Przybyłej przyglądała się spod czarnej chustki na głowie, ściągawszy brwi.

– Szczęść Boże wszelkim dobrem!

– Szczęść Boże!

Po czym stały tak naprzeciw siebie. Niczym dwaj wrogowie, o tak. Od strony szopy wyszło kilkoro gapiących się dzieci.

– Przyszłam, żeby was poznać – powiedziała szczerze i przyjaźnie – i żeby podziękować za miód, coście go przysłali zimą.

Ta druga kobieta stała w drzwiach nieporuszona.

– Spodziewasz się dziecka?

Zadrzała. Nie od słów, lecz od głosu, którym tamta wypowiedziała te słowa. Zaczerwieniła się.

– Widać?

– Widać. Będziesz miała ciężki los. Ciężki los ma każdy, kto nie postępuje cnotliwie i nie jest mądry.

Jej słowa raniły. Podniosła głowę i odważnie spojrzała w twarz surowej kobiety.

– Nie wierzę ci, żebyś miała mieć ciężki los. Prawo jest takie, że jeśli kogoś kochamy, to powinno być dziecko. Ty też masz dzieci.

Teraz już mówiła do niej na ty. Już nie miała szacunku dla tej obcej kobiety. Była ona już tylko jakąś kobietą, jedną spośród wielu, które mieszkają po wsiach.

– Nie przyrównuj się do mnie – odpowiedziała ta druga, a w jej głosie było gniewne przywołanie do porządku – mnie z moim ślubnym mężem połączył ksiądz!

– Jeśli go kochasz, to wszystko jedno. A jeśli go nie kochasz, to nie pomoże tu nawet ksiądz.

– Fuf! – odparła surowa kobieta z twarzą wykrzywioną od gniewu i splunęła przed siebie – tfu!

Wtedy nadszedł z pasieki Ferenc. Na rękach miał wielkie, niezgrabne, skórzane rękawice, a na głowie jakiś dziwny hełm zrobiony z siatki.

– Szczęść Boże, młoda gospodyni! To ty mieszkasz sama tam wysoko na górze? A niech to, potrzeba do tego odwagi. Niechże ci się przyjrzę!

Kobieta w czarnej chustce tam w progu coś burknęła i weszła do domu.

Naraz wyparowało całe nieprzyjemne uczucie. Mężczyzna, tam pod hełmem z siatki, był dobrym człowiekiem. Promieniował czystą przychylnością i zgodą.

– Szczęść Boże, wujku Ferencu! Cóż to za dziwną rzecz macie na głowie?

Już i śmiała się.

– Zajmuję się pszczołami – wytłumaczył Ferenc – potrzebne jest do tego coś takiego.

– Pszczołami? Czy mogłabym obejrzeć pszczoły? Jeszcze nigdy ich nie widziałam.

– Oczywiście, że tak! Chodź!

Poszli na tył do pasieki. Ferenc pokazał plastry, budowę uli, wytłumaczył, jak żyją pszczoły, jakie są pracowite, uległe, jakie rządzą nimi prawa.

– Jak ludzie – zadziwiła się kobieta – dokładnie takie jak ludzie! Jak ludzie żyjący we wsi.

– Nie – Ferenc pokręcił głową – ludzie są samolubni, a te tutaj nie są samolubne. Ludzie są zawistni, a te nie są zawistne. Ludzie knują jedni przeciw drugim, te zaś pomagają sobie nawzajem w pracy. To tacy powinni być ludzie, jeśliby wszyscy byli prawdziwymi chrześcijanami. Ale gdzież im do tego!

– A jednak są takie jak ludzie, wujku Ferencu. Pracują, pracują, aż od tego umierają. Po co?

– Żeby gromadzić.

– Dla innych?

– Dla następnych.

– Ale i one znów tylko gromadzą, dużo więcej, aniżeli potrzebują, wciąż tylko gromadzą, gromadzą i już same nie wiedzą po co. Jak ludzie, tak właśnie.

– Sensem ich życia jest praca. Po to żyją.

– A czy to nie jest smutne, wujku Ferencu? Ja, jeśli nad czymś pracuję, robię to po to, żeby żyć. Te zaś żyją tylko po to, żeby wiecznie móc pracować nad czymś, co już nawet i nie ma sensu. I koniec końców wcale nie żyją, tylko pracują i pracują. Aż umrą, dotąd. Jak ludzie, co żyją po wsiach i miastach, i przez całe swoje życie tylko pracują, gromadzą wokół siebie mnóstwo różnych rzeczy i nawet nie mają czasu, żeby móc cieszyć się życiem. Bardzo to musi być smutne tak żyć, wujku Ferencu.

Ferenc westchnął i nie mówił więcej o pszczołach.

– Chodź – rzekł – zajdźmy do domu!

Powoli podeszli pod dom. Tam kobieta zatrzymała się.

– Ano z Panem Bogiem, wujku Ferencu! I dziękuję za miód, coście go przysłali zimą.

– Zajdź do środka, gdzie ci tak śpieszno?

– Idę do domu.

– Nie odchodź w taki sposób! Wejdz, siądź na chwilę! Pokręciła głową i odparła:

– Nie wejdę, wujku Ferencu. Tamte pszczoły mnie nie ugryzły. Ale tu, a i owszem. Niech Bóg wam błogosławi!

I poszła w kierunku bramy. Ferenc stał smutny przed domem i więcej się nie odezwał. Spuścił głowę i nad czymś się zastanawiał. Wreszcie zawołał na jednego z synów. Ale kobieta była wtedy już za bramą.

Jednakże ledwie odeszła wzdłuż wody w dół na dobry rzut kamieniem, ktoś przygnał za nią, dysząc. Zdziwiona, odwróciła się. Był to jeden z dzieciaków, taki z dziesięcioletni może chłopczyk. Niósł jakąś rzecz zawiniętą w brzozowy łub.

– Mój ojciec to przysyła – wydyszał chłopiec – trochę miodu. Zmieszana, wzięła od dziecka miód.

– Czekaj no – rzuciła naraz, kiedy chciał już ruszać z powrotem – lubicie ryby?

– My, o tak, i to nawet bardzo – odpowiedział dzieciak.

Spojrzała w dół na potok. Dzieciak w lot pojął jej spojrzenie.

– Teraz, póki śnieg leży w górze, nie da się złapać. W śnieżnej bryi ryby nie biorą.

Uśmiechnęła się, ale nic nie powiedziała. Przysiadła, zrzuciła kierpce, podwinęła rękaw koszuli. Dzieciak popatrzył na nią ze zdziwieniem.

Powoli weszła do wody. Przyglądała się kamieniom, wirom, i naraz sięgnęła w wodę i wyrzuciła trzepoczącą rybę. Jeszcze jedną. Znów jedną. Dzieciak, pokrzykując, zbierał je na brzegu.

– Wystarczy? – zapytała po pewnym czasie. Dzieciak zdjął koszulę, wrzucił do niej ryby.

– Nauczyliście się tego od wujka Birtalana?

– Od niego.

Wyszła na brzeg, wciągnęła kierpce. Dzieciak stał tam przy niej z zawiązaną koszulą w ręce, jeszcze trzepotały w niej ryby.

– Podobacie mi się – rzekł dzieciak z powagą – lecz moja matka mówiła, że z was jest wszetecznicą. Ale moja matka jest bardzo surowa i ja nie wierzę w to, co o was mówiła.

– Dlaczego w to nie wierzysz? – spytała, spoglądając nań z uśmiechem.

– Bo moja matka mówiła, że z was jest wszetecznicą i będziecie mieć dziecko z jakimś obcym człowiekiem. A to przecież nie jest prawda?

Powoli wstała z ziemi. Pogłaskała chłopca po lnianej głowie.

– Twoja matka nie wie, co mówi. Ale teraz biegnij już, zanieś te ryby! A jeśli potrzeba będzie więcej, chętnie nałapię ci ich i innym razem.

Powoli szła w górę po stoku. Ogarnęło ją jakieś dziwne zmęczenie. Czy nadeszło ono tak nagle od usypiających, dusznych woni wiosny, czy było ono w powietrzu? Czy też spowodował je tamten ogrodzony dom i słowa tamtej kobiety? Albo też coś innego? Nigdy jeszcze nie czuła takiego osobliwego, ciężkiego zmęczenia. Coś ciągnęło ją w dół ku ziemi. Dobrze byłoby usiąść na mchu i odpocząć od tego wszystkiego, od powietrza, słów, ludzi i od tego ciężkiego zmęczenia. Ale mech pod stopami chlupał wodą, las był mokry i nie miała odwagi przysiąść.

Sarna znów stała tam, gdzie przed południem, w tamtej małej szczelinie. Popatrzyła na nią, po czym opuściła głowę i powolnym, znużonym, ciężkawym krokiem weszła w gęstwinę. Kobieta przystanąła gwałtownie. Sarna też to czuje? Takie samo dziwne zmęczenie? Sarna też?

Patrzyła za sarną, jak ta oddalała się w zarośla. Szary, wielki brzuch wręcz ciągnął ją ku ziemi. A więc to dlatego sarna tak chodzi? Dlatego jest taka zmęczona? Czyżby więc i ona sama dlatego? Pomacała swój brzuch i poczuła, jak bardzo jest już wypukły, i naraz zrozumiała, że to stąd bierze się owo całe zmęczenie, z tej ciężkiej, wielkiej wypukłości. Dźwigam kogoś w sobie – pomyślała i było to osobliwe uczucie. Ciekawe, jak długo jeszcze? I właściwie jak to będzie?

Kocącą się owcę widziała już niejedną raz, kozę też, i tak mniej więcej pamiętała, w jaki sposób to się odbywa. Choć nigdy nie zwracała na to szczególnej uwagi. Nie interesowało jej to, bo przecież było rzeczą naturalną, że z ciała owiec wychodzą jagnięta i z ciała kóz łaciate kozłatka.

Ciekawe, jak będzie duże, gdy przyjdzie na świat? I czy już wie, że jest we mnie? I... i właściwie jakie to jest... gdy wychodzi? Czy to bardzo boli? Owcom w takich razach tylko błyszczały oczy, ale kozy stękały też i... i były zakrwawione...

Kłębiły się w niej pytania, gdy tak powoli dźwigała siebie ku górze. Myślała o sarnie, która razem ze swoim wielkim brzuchem mieszka tam w gęstwinie, i o pozostałych zwierzętach, owcach, kozach, zającach, lochach, które wszystkie chodzą na wiosnę z takimi dużymi brzuchami. O wiewiórkach. Następnie o ptakach, które gorączkowo wiją już gniazda, żeby mogły w nich przyjść na świat pisklęta. Przechodziła obok brzoź i poczuła w nozdrzach ten słodkawy zapach pączków, jaki od nich płynął, i pomyślała, że drzewa też już puszczają pąki, wydają nowe gałązki, korzenie wypuszczają nowe odnogi, w ogrzanej próchnicy kiełkują nasiona... i nagle pojęła, że taki jest porządek świata. To jest prawo wiosny: zakwitnąć życiem, przekazać życie, wydać kogoś na świat.

Było to pełne powagi, piękne uczucie. Czuła, że wszyscy są jednacy, są sprzymierzeńcami, mają wspólny cel, las, zwierzęta, ptaki i ona sama. Poddają się pewnemu prawu i na jeden i ten sam rozkaz noszą w sobie życie.

Szła powoli. Głaskała ręką pnie drzew, jak człowiek głaszcze swoje rodzeństwo, i wypełnił ją jakiś spokój i zadowolenie, bo miała pewność, że bez względu na to, jaka okaże się ta tajemnicza, nieznana jeszcze chwila, ktoś tam w górze, na wysokościach błękitnego nieba, będzie czuwał, żeby tym, co służą prawu, nie przytrafiło się nic złego.

Mijały dni. Niebywale szybko zazieleniła się murawa, krzaki okryły się listowiem, a i buki puszczały już pąki. W powietrzu brzęczały pszczoły i rozmaite inne owady, cieplejsze już wiatry powiewały jasnozieloną, jedwabistą suknią brzoź, a w łagodnej aurze wieczoru sowy włóczyły się w parach.

Birtalan przyszedł na górę z końmi, raz jeszcze przywiózł siana, żeby zwierzęta miały co jeść nocą, bo w ciągu dnia pasły się już na polanie.

To on przyniósł wieść o tym, że w górach był pan, nawet i ustrzelił trzy guszce na płasni Iszticsó, po czym znów poszedł na dół. Był w złym humorze – opowiadał Birtalan – kłopot jest z koleją, znowu. Państwo wygrało proces i jednak pociągną stąd wzdłuż Maros szyny, na próżno tyle wydał pan na adwokatów. Nawet i górę przewiercą, jak głosi nowina, tam pomiędzy Korbuji a Szalárd, i pociągi będą sapać tu u stóp lasów.

Kobieta słuchała Birtalana i wierzyła, i nie wierzyła w to, co mówił. Niewiele się nad tym głowiła. Że przewiercą górę? Szalone są te pańskie ludziska, nawet i tego można się po nich spodziewać. I że przez tę dziurę parowy wóz powiezie ludzi? Dlaczegoż by nie, jeśli znajdzie się taki, co doń wsiądzie. Dużo bardziej interesowało ją, co stary załatwił z Bilibókiem. I szybko też podjęła ten temat.

– No a to pismo, wujku Birtalanie?

– Oczywiście, pismo – odrzekł stary i podrapał się po głowie – ano był z tym pewien problem, wiesz. Bo ołówek to dostałem. A i pocztowy papier załatwił Bilibók. I z napisaniem też nie było większego kłopotu, chociaż jedna i druga litera, wiesz, wyszła mi już z głowy. Ale i Bilibók pomógł. Jednakże na końcu zapytał, dokąd ma być przeznaczony ten list! I na to ja już nic nie potrafiłem odpowiedzieć!

– Nie potrafiliście odpowiedzieć? – zadziwiła się kobieta. – No przecież dla niego jest przeznaczony!

– Dobrze, dobrze, ale dokąd? Bo zapisałem tam mianowicie, że: Wielmożny Panicz Gáspár Éltető. Ale Bilibók upierał się, że to nie wystarczy. Bo, mianowicie, trzeba dopisać tam też miasto, w którym się znajduje, a i nazwę ulicy. Ano tego to ja w żaden sposób nie umiałem dopisać. Bo ja tego nie wiem, dlatego.

– Miasto? – bezradnie zastanawiała się kobieta. – Nie można by pokazać Bilibókowi tego obrazka, żeby mu co wpadło na myśl?

– Obrazka? – Birtalan zdumiał się tym pomysłem. – Widzisz, o tym nie pomyślałem! Pokaż no ten obrazek!

Wbiegła do domu tak żwawo, jak tylko potrafiła. I przyniosła obrazek z wieżą.

– Tylko żebyście go przynieśli z powrotem!

– Czekaj no! – rzekł stary i wziął do ręki obrazek. Odwrócił go w kierunku światła i tak oto mu się przyglądał. – Słuchaj, no przecież jest tu jego nazwa, o tu. Py... a... pa... ry... i... risy... Paris... tak się nazywa to miasto, widzisz.

– No nieprawdaż! – uradowała się kobieta. – To już możecie tam dopisać!

– Potrzeba by jeszcze tylko nazwy ulicy. Bilibók powiadał, że i ona jest potrzebna. Bo każda ulica ma swoją nazwę, wiesz. Jak u nas psy. Bo przecie jest ich wiele, dlatego.

– Ano dopiszcie, że tam, gdzie jest ta wieża.

– Wieża? Można i tak.

– No to teraz już naprawdę mogą go znaleźć.

– To możliwe. Oczywiście, wieża.

– Macie tu pismo, które zrobiliście? Od razu moglibyście to dopisać!

– Pismo? Ono zostało u Bilibóka. Ale nie szkodzi, bo się tego wyuczę. Tego Pa-ris. Pa-ris. Pa-ris. Pa-ris... a wieży to i tak w żadnym razie nie zapomnę. Pa-ris.

Kilka jeszcze razy wymruczał to obce słowo o dziwnym brzmieniu, po czym odwiązał konie, by ruszyć w drogę powrotną.

– Cielić się będzie jedna z krów – wyjaśnił – i muszę być w domu, wiesz. Paris. Już nie zapomnę.

Podczas gdy stary grzebał się z końmi, kobieta stała przy nim z poważną twarzą.

– Wujku Birtalanie!

– No?

– Moglibyście dopisać jeszcze i to, żeby przyjechał do domu.

– Dobrze, dopiszę i to jeszcze.

– Bo... bo... – zarumieniła się i dodała ciszej: – Wcale jeszcze nie wie, że...

– Nie wie?

– Nie.

– Ano trzeba mu o tym napisać. No, zostaw to mnie, napiszę i o tym. Paris. Nie zapomnę.

– Ale jak mu o tym napiszecie?

– O czym?

– No o tym... bo przecież Bilibók i inni, co będę nieśli to pismo...

– Hę? I co z tego! Przecie chyba i ich samych matka nie wyłowila z potoku siecią! Co? Zostaw to mnie, napiszę ja o wszystkim. Paris. Ważne, żebym tego nie zapomniał. Paris.

Nareszcie Birtalan odszedł. Długo jeszcze stała u węgła szopy i patrzyła za nim, dopóki i konie nie zniknęły w buczynie. Czuła, jakby częśćka jej samej szła

tam ze starym i nieustannie szeptała mu do ucha owo tajemnicze słowo, żeby go nie zapomniał, żeby to słowo zaniósł na dół tamtemu Bilibókowi, żeby je mogli rzucić na papier i żeby ów papier mógł z jej słowami wyruszyć ku nieznanemu, dalekiemu miastu, aż do stóp owej wieży, która jest na obrazku, i żeby mógł tam odnaleźć tego, dla kogo słowa te przeznaczone. Było to nabożne, piękne uczucie, gdy myślała o tym, że jej słowa na jakimś papierze pójną aż do tamtego dalekiego miejsca, a tam znów obudzą się do życia i opowiedzą wszystko to, co ona czuje tu, wysoko na szczycie. Było to nabożnie piękne uczucie.

– Boże! – westchnęła w kierunku nieba – strzeż Bilibóka i innych, których imion nie znam, i dopomóż im, żeby i oni dopomóc mogli ludziom.

I z pełnym szczęścia uspokojeniem poczuła, że nie może przytrafić się nic złego, bo tajemniczy Bóg kocha Bilibóków i wszystkich, którzy czynią dobro.

Tym większy ogarnął ją przestach, gdy rankiem następnego dnia ujrzała Birtalana, nadchodzącego w górę drągowiną. Z workiem, kijem, kapeluszem, jak ktoś, kto przychodzi z dalekiej drogi.

– Wujku Birtalanie! Chyba nie stało się co złego?

– Złego? Nie, to nie to. Ale wiesz, krowa ciężko się cielila i kiedy jej pomagałem, zapomniałem o tym słowie i wyszło mi ono z głowy. Wiem, że to było jakieś bari... bari...

– Paris – poprawiła go szybko.

– O to, to! Paris! No widzisz! Cóż, głowa starego człowieka nic już nie jest warta. Paris. Paris. Oczywiście. No, niech Bóg ci błogosławi! Idę w górę na połoninę, a stamtąd w dół, prosto do Ratosnyi. Do południa u Bilibóka rzucę to słowo na papier i wtedy już nie będzie z nim więcej kłopotu. Niech Bóg ci błogosławi!

Przez kilka dni nikt nie przychodził.

– Wygląda na to, że się udało – kobieta uspokajała samą siebie – jeśli byłby jakiś kłopot, przyszedłby tu na górę.

Nareszcie pewnego popołudnia, może tak piątego dnia, od strony połoniny nadszedł Dumitru. Ciągnął za sobą nogę, był mrukliwy, chudy i czarny. Kobieta siedziała w trawie powyżej źródła. Wokół niej pasły się owce, w iskrzącym się słońcu podskakiwały jagnięta i kozłeta, a tam, gdzie ona siedziała, murawa pełna była fiołków.

Dumitru zatrzymał się przy kobiecie i zaczął przyglądać się owcom.

– Szczęść Boże, wujku Dumitru!

– Hę? – szorstko odburknął kulawy mężczyzna. – Tamtego barana, o tam, trzeba wymienić, słyszysz? Nie nadaje się do trzymania. Ma koślawy zadek. Nie widzisz?

Kobieta nie słuchała tego.

– Powiedźcie mi, czy wujek Birtalan wrócił już do domu z Ratosnyi?

– Hę? Birtalan? A czy ja to wiem?! Przed trzema dniami był w domu.

– No to już wrócił. Nic nie mówił?

– Hę? Niby co miał mówić?

– O piśmie.

– Pismo? To bieda. I ja miałem pismo o owcach, o dwustu sztukach, i co ono było warte? O koniu też miałem pismo. Co ono było warte? Kiedy się ożeniłem, wtedy też dali pismo. Kiedy ochrzcili mojego syna, wtedy też. Pismo, pismo. Hm. Co ono jest warte?

Milczeli. Gdzieś w dole, w bukowym lesie, odezwała się kukułka. Zakukała trzy razy.

– Na Magurze są dwa wilki – rzucił później – chcą się tam szcenić. Przebiegłe. Ale ja poczekam, aż będą młode. Dopiero wtedy. Ścierwa. Wtedy zobaczą, co to jest. Mówię to dlatego, żebyś do tego czasu uważała na owce. Tak na wszelki wypadek. Ale jeszcze miesiąc. Potem więcej ich już nie będzie. Ani ich, ani ich młodych. Ja ci to mówię.

Postał tam jeszcze chwilę, lecz się nie odzywał, tylko patrzył na owce. W końcu poszedł.

Po kilku dniach przyniosło w tamte strony Iwana. Twarz miał wychudzoną i zapadniętą. Kobieta nie mówiła nic o tym, o czym rozmawiali ostatnim razem. I nie wypytywała, gdzie też Iwan się podziewał przez tak długi czas. Jakby był u niej na górze dopiero wczoraj czy przedwczoraj, tak z nim rozmawiała. Obejrzeni owce, kozy, omówili, gdzie trzeba by je wypasać latem, a który kawałek zostawić na pokos i tak dalej.

– Prawda – rzucił Iwan mimochodem. – Birtalan przesyła ci wiadomość, że sprawa z tamtym pismem jest załatwiona. Zabrał je z sobą Bilibók.

Od tej wieści kobieta poczuła taki nagły przypływ dobrego humoru, że miała ochotę skakać niczym kozłeta.

– Ojej, wujku Iwanie, lepszej już wieści nie moglibyście mi przynieść!

Rosjanin spojrział na kobietę i uśmiechnął się smutno.

– Niech przynajmniej tobie przyniosę dobrą wieść, skoro mnie taka się już nie trafi. – Nim poszedł dalej, dodał jeszcze: – Znów minął rok.

Kobieta spojrzała nań ze zdziwieniem.

– Teraz?

– Dla mnie teraz – odparł Iwan – dla mnie o takiej porze jest nowy rok. Dlaczego? Może kiedyś dowiesz się tego. Niech Bóg ci błogosławi!

Kobieta o nic nie pytała, bo wiedziała, co Iwan ma na myśli. Ten zaś poszedł. Na ramieniu zwiślała mu strzelba, za nim wolno podążały oba Dudáse i wkrótce pochłonął ich las.

Tak oto mijały dni. Szybko i wcale nie jednostajnie. Każdy dzień miał jakiś podarunek, na który można było czekać, począwszy od chwili, gdy wstało słońce.

Raz ktoś przyszedł i powiedział kilka słów, które już tam zostały i zapuściły korzenie. Raz narodziło się nowe jagnię albo też nowe kozłátko. Raz przeciągały skrajem polany jelenie i zatrzymały się, zdziwione, i długo przyglądały się domowi. Pewnego wieczoru poniżej źródła pojawił się niedźwiedź, a pies od tego niemal oszalał. Niedźwiedź stał, kiwał swoim wielkim mocnym łbem i pomrukując groźnie, przyglądał się psu skowyczącemu w przestkach, przelękłym owcom, domowi i kobiecie tam przed chatą. A raz przyfrunął na polanę czarny bociek. Sztywno stawiał swoje szczudlaste czerwone nogi i co chwila sięgał w trawę długim czerwonym dziobem. Każdy dzień przynosił jakiś podarunek. Piskłeta wolego oczka wykluły się z jajek w malutkim gnieździe, ukrytym w stosie drewna. Na stryszek sprowadziła się popielica i czasem, gdy było cicho, wychynęła spomiędzy belek i zeszła na dół, do izby. Przebiegła wzdłuż półki, pozbierała okruchy i ruchliwymi, błyszczącymi oczkami uważnie rozejrzała się wokoło. Każdy dzień miał jakiś podarunek.

Nareszcie pewnego dnia, tak około południa, zjawił się Vénség. Na jednym ramieniu miał wypchaną sakwę, na drugim przewieszoną strzelbę, a w ręce długi kij do chodzenia po górach. Przyszedł, siadł na ławce przed domem, kapelusz położył obok siebie, sakwę na ziemi, strzelbę i kij oparł o ścianę, i siedział. Kobieta poszła nakopać bulw świerżabka i gdy wróciła, ujrzała starego, siedzącego na ławce. Zachodni wiatr gonił po niebie deszczowe chmury, gdzieniegdzie prześwitywało słońce, choiny buczały na połoninie, a cień był zimny jak jesienią.

– Szczęść Boże!

– Szczęść Boże!

– Nakopałam bulw świerżabka – powiedziała kobieta, pokazując zawartość fartucha. – Znalazłam takie jedno miejsce, gdzie jest ich dużo.

Stary zerknął do fartucha.

– O, całkiem sporo – rzekł. – Tam gdzie rośnie czarny bez, tam trzeba szukać.

– Wiem.

Kobieta weszła do chaty, oczyściła bulwy i nastawiła zupę. Gdy znów wyszła przed dom, zaczęło mżyć. Ponad połoniną wiatr mocował się z czarnymi strzępami chmur. Stary wstał z ławki i wziął do ręki sakwę.

– Wniosę ją – rzucił – jest w niej kasza, kasza ordynaryjna. Tu przemoknie.

Zabrał też strzelbę i kapelusz. Kobieta zeszła z dzbankiem do źródła, a gdy wróciła, stary grzał się przy piecu, na ławce.

– Pada – rzekła kobieta, strząsając z włosów krople wody.

– I to jest potrzebne – mruknął stary i wyjrzał przez drzwi. Gęstymi, wielkimi kroplami szła przez polanę ulewa, zaciągnęła zasłonę przed choinami i z dudnieniem waliła w gonty. – Dobrze, gdy człowiek ma dach nad głową, pewnie, że dobrze.

Kobieta popatrzyła na starego ze zdziwieniem, jednak nie odezwała się. Vénség powolutku ciągnął dalej:

– Wiele już deszczów przeżyłem. Wiele. Bywało, że całymi dniami mokłem w lesie pod gołym niebem. To nie jest przyjemne. Odzienie i skóra człowieka robią się wilgotne, usta gorzknieją, a i myśli stają się cierpkie niczym zapach przemokniętego ubrania. To nie jest przyjemne. Ale długo żyłem i tak, że siedziałem w małym domku, przy piecu, wysoko na Fulgeruj. W małym domku, który sam zbudowałem. Przy piecu, który sam postawiłem. Siedziałem, palił się ogień, drzwi były otwarte, a na dworze padało i padało. Przez drzwi wnikął wilgotny zapach lasów, po dachu spływał deszcz, na zewnątrz było zimno i wszystko ociekało wodą. A ja siedziałem w domu przy piecu, ogień grzał mi plecy, i wszystko wokół mnie było suche i ciepłe, a na dachu, na gontach grał deszcz... i to był bardzo miły deszcz. I było tak spokojnie, tu trzaskający ogień, a tam na dworze deszcz. To było tak miłe, pełne spokoju uczucie, że mam dach nad głową i z czterech stron chronią mnie ściany... człowiek nigdy, przenigdy nie odczuwa czegoś takiego tak wyraźnie jak wtedy, gdy pada deszcz.

– To prawda – kobieta przytaknęła cicho i drewnianą łyżką zamieszała zupę.

Po czym więcej się nie odzywali, tylko słuchali deszczu i poprzez otwarte drzwi patrzyli na przemoczoną halę, na chmurę tuż nad choiną, a od czasu do czasu kobieta przegrzebywała kawałkiem drewna ogień.

– Chodźcie – powiedziała, gdy zupa była gotowa – zjedzmy! Stary podniósł się z ławki i usiadł na stołku, przy stole. Wziął do ręki łyżkę.

– Trybula? – spytał i powąchał zupę w talerzu.

– Tak – odparła kobieta – trybula z bulwami świerzębka.

– Dobrze. Dobrze robi na krew i na humor. Siorbali zupę, podjadali do niej mamałygę.

– Jeszcze jeden talerz, Vénség?

– Daj, jeśli jest.

– Jest.

– Widzisz – rzucił naraz stary pomiędzy jedną a drugą łyżką zupy – jesteśmy tutaj tak, jakbyś była moją synową. Albo żoną mojego wnuka. Bo i nią mogłabyś być.

Później zaś:

– Człowiek sądzi, że bardzo mądrze ułożył sobie los. Jednak losu nie można sobie ułożyć. Coś nagle przyjdzie, jednego dnia, kiedy wcale się tego nie spodziewasz, i wszystko się wywraca. I koniec. Koniec. Losu nie można sobie ułożyć. To los ustawia człowieka.

– Wy nie macie rodziny? – spytała kobieta.

Stary wziął do ust garść mamałygi i powoli ją przeżuł, a potem siorbnął zupy. Jadł. Jakby wcale nie słyszał pytania. Nareszcie odłożył łyżkę obok talerza.

– Wiesz, człowiek gdzieś się rodzi. Tam jest rodzina. Zobaczy kogoś, poczuje, że go kocha, zamieszka z nim pod jednym dachem, urodzą się im dzieci. To jest rodzina. Później okazuje się, że na próżno żyją pod jednym dachem, każde z nich ma swoją osobną drogę. Każdy człowiek, wiesz, ma własną drogę, po której musi iść. Nie można z niej zboczyć. Człowiek myśli, że ci, co żyją pod jednym dachem, też mają wspólną drogę. Ale to nie jest tak. To nie zależy od wspólnego dachu, a od dróg. Dach nie przytrzymuje razem dróg, jeśli one nie tak rozpoczęły swój bieg, by przez długi czas móc iść obok siebie.

– No to co je przytrzymuje razem?

Stary z wolna powstał ze stołka. Wyciągnął z worka fajkę, woreczek z tytoniem i usiadł z powrotem przy piecu.

– Nic. Jeśli one nie tak rozpoczęły swój bieg, to nic.

Kobieta myła naczynia, stary zaś nabił fajkę, następnie wygrzebał trochę żaru, włożył go do główki i dmuchnął wielkimi kłębami szarego dymu. Na dworze wciąż jeszcze padało. Nie była to już ulewa, a tylko deszcz. Jakby z nieba zwieszały się niezliczone cienkie nitki pajęczyny. Deszcz cicho szemrał na gontach, a ponad murawą na hali snuła się mgła.

Kobieta wylała wodę po myciu naczyń i wróciła do środka. Wszystko odłożyła na swoje miejsce, po czym usiadła w rogu przy piecu, spoglądając przez otwarte drzwi. Vénség powolutku wyjął fajkę z ust.

– Byłem też u Ferenców – rzucił ciężko, jak to przed trudną rozmową.

Kobieta milczała. Przyglądała się choinom, jak z przygiętymi gałęziami, niemo stały w deszczu.

– Ferenc mówił, że ich odwiedziłaś. Obejrzałaś pszczoły. Posłał za tobą dziecko z miodem, a ty za ten miód dałaś ryb. Ale do domu nie zaszłaś. Gospodyni...

– Nie, nie gospodyni... – wtrąciła gwałtownie, jakby chciała kogoś usprawiedliwić – lecz płot... zaczęło się przy płocie. Był taki jak we wsi.

– Zaczęło się przy płocie – przytaknął stary – o, tak. I był taki jak we wsi. Możliwe, że masz rację. Bo to, co gospodyni mówiła o tobie dzisiaj rano, gdy tam zaszedłem, to rzeczywiście było takie jak we wsi. Ale w tym, co mówiła, w tym było też i coś innego. Czy ty zastanawiałaś się nad tym, co z tobą będzie?

Kobieta spojrzała nań ze zdziwieniem i odparła:

– Co ze mną będzie? A co ma być? Vénség zaciągnął się kilka razy.

– O to właśnie chodzi, widzisz. A co ma być? Bo teraz żyjesz jeszcze tak, jak żyjesz. Jesteś sama. Ale potem przyjdzie dziecko. I co wtedy zrobisz tu, w wysokich górach, z dzieckiem? Bez mężczyzny?

– Nie jestem bez mężczyzny – powiedziała z powagą. Stary znów kilka razy pociągnął z fajki.

– O to właśnie chodzi, widzisz, o tym chciałem z tobą pomówić. O tym,

o czym trzeba pomówić. To poczuła też i gospodyni tam w dole, tyle że ona... jest kobietą. A przed jej domem jest płot, tak jak to powiedziałaś. Bo możliwe, że wszystko jest tak, jak ty myślisz, i panicz naprawdę ciebie kocha, tak jak mężczyzna kocha kobietę. Ale nawet i wtedy. On jest paniczem.

– To przeszkoda? – spytała kobieta, a głos jej lekko zadrżał.

– Przeszkoda.

Vénség wyjął fajkę z ust, podniósł z podłogi gałązkę i pogrzebał nią w dogasającym tytoniu w fajce.

– Co ty o tym wiesz, jak żyje panicz. Nawet i ja tego nie wiem. A przecież ja już widziałem takiego. Ja już widziałem tamten inny rodzaj człowieka, który nazywają paniczem, ja już go widziałem z bliska. I on jest człowiekiem akurat takim samym jak my. To prawda. Ale tylko tak, jak i kruk jest wroną. Jest wroną i mimo wszystko wroną nie jest. Bo widzisz, wrony, te żyją razem, w stadzie, albo też i samotnie, ale jednak razem. Znają nawzajem swoje życie, swoje prawa, wszystko. A co taka wrona wie o kuku? Niekiedy zjawia się on z daleka. Zawsze fruwa na odległość strzału, wyżej aniżeli reszta, aniżeli wrony, zawsze siada na czubku najwyższej choiny, a potem odchodzi gdzieś w dal. Co taka wrona wie o kuku? Co ty wiesz o panach? Zjawiają się z daleka, fruwały wyżej, siadają wyżej, a potem odchodzą w dal. Czy ty wiesz, w jaki sposób żyją? O czym rozmawiają, jakie mają kłopoty, jakie radości, jakie tęsknoty, czego chcą? Czy ty to wiesz? Czy ja to wiem?

Widzisz, miałem ja dom, rolę, woły, żonę, dzieci. Żyłem tak jak inni ludzie. Uważałem się za człowieka zamożnego, bo pośród pozostałych, którzy tam żyli, w tamtej wsi, ja znałem najwięcej. Potem przyszedł pewien człowiek. Nawet nie był prawdziwym panem. Był jedynie takim w połowie panem. Takim sługą-panem. Nazywali go: koniuszy. Chodził w jasnych butach z cholewami, w pańskiej guni. Skrobał sobie nożem owłosienie z twarzy, niczym panowie. Koniuszy.

Ze stadniny barona kupiłem kiedyś żrebaka. Drogi był. Żrebakowi nie podobało się u mnie czy co. Złe jadł, zmarniał. Przestraszyłem się, że ma jakąś chorobę, i z tego powodu poszedłem do barona. „Wracaj do domu – powiedział baron – wyślę do ciebie pana koniuszego, żeby obejrzał żrebaka”. Tak to powiedział: pana koniuszego. I w kilka dni później rzeczywiście przyszedł do nas pan koniuszy. W jasnych butach z cholewami, w pańskiej guni, z twarzą bez zarostu, i obejrzał żrebaka. Nawet i powiedział, co mam robić, po czym wstąpił do naszego domu. Żona poczęstowała go pogaczami, ja przyniosłem mu wina z piwnicy, uszanowaliśmy go tak, jak się godzi.

„No, przyjdę znów za jakiś czas – rzekł – i przyniosę pewien środek, który trzeba podać żrebakowi”. I rzeczywiście przyszedł powtórnie, przyniósł też jakąś buteleczkę. I podaliśmy ten środek żrebakowi. Znów zaszedł do domu, znów

przyniosłem mu wina z piwnicy. Na trzeci dzień wracam ja wieczorem z lasu do domu i mówią mi, że znowuż był u nas pan koniuszy, podał żrebakowi jakiś środek, a i dzieciom przyniósł kolorowych cukierków, żonie pachnącą wodę... no dobrze. Żrebakowi faktycznie zaczęło się poprawiać. I od tego czasu koniuszy bywał u nas w domu przynajmniej raz w tygodniu.

Żonie podobały się jasne buty z cholewami, pańska mowa, pachnąca woda, gładka twarz, wszystko. Dlaczegoż miałyby się jej to nie podobać? Ja przez cały dzień pracowałem w polu, a gdy wracałem do domu, byłem spocony i brudny, a na twarzy wyrosła już mi broda. Buty z cholewami naciągałem na nogi tylko w niedziele, ale to były takie wielkie, pomarszczone chłopskie buty z cholewami, nie zaś takie jasne, nadające się do jazdy konnej. Ano podobało się jej.

Pewnego dnia mówi do mnie jeden z sąsiadów: „Słuchaj, często przychodzi do ciebie ten człowiek od barona”. „A niech przychodzi – odpowiadam – skoro ma ochotę”. „Ale właśnie nie wtedy przychodzi – ciągnie sąsiad – kiedy i ty jesteś w domu, tylko kiedy ciebie w domu nie ma, wtedy”. „No przecie nie może wiedzieć, kiedy jestem w domu” – ja na to. Mój sąsiad był już starszym człowiekiem. Wołali go wuj Minya. Nie dał za wygraną i któregoś dnia rzekł: „Ty, ten w tych żółtych butach z cholewami przychodzi do twojej żony!”. Ja wtedy już wiedziałem, że z moją żoną jest jakiś kłopot, ale myślałem: co wiatr z sobą przyniesie, to z sobą i poniesie. Powiedziałem wujowi Minyi tak: „Co ci do tego? To moja sprawa, nie twoja!”. Człowiek czasem powie coś takiego. „Dobrze, dobrze – odparł wuj Minya – ja tylko mówiłem”. „To nie mów!”. No. Taki to jest człowiek.

Kochałem moją żonę. Tak jak kocha się tego drugiego człowieka, z którym chce się razem żyć i coś zbudować. Wiedziałem, że ta sprawa trudna jest i dla niej, nie tylko dla mnie. Jeśli tamten byłby człowiekiem z takich jak ja, wtedy powiedziałbym: „A niech tam, odejź z Bogiem, kobieto, za tym innym! Bądźcie szczęśliwi!”. Ale to nie był człowiek z takich jak ja. Był inny. Nie wiem, co myślała w duchu moja żona, a czego nie myślała. Ale po prostu oszalała, to było po niej widać. No a ja, pewnie, że słyszałem, że ten w jasnych butach z cholewami miał swoje drogi jednocześnie i w inne strony, a mianowicie do córki aptekarza w Szászregén, wytwornej panienci, i pewnego dnia usłyszałem i to, że z tamtą panienką już nawet wyznaczyli datę ślubu.

Mocno się zezłościłem z tego powodu. Bo na to, że moja żona zakochała się w innym, na to ani ona nie mogła nic poradzić, ani ja, ani tamten drugi. Jeśli się kochają, niech odejdą. Niech kobieta będzie szczęśliwa. Bo ja pragnąłem tego, żeby moja żona była szczęśliwa, wiesz. Była zacną kobietą, zasługiwałyby na to. Jeśli nie ze mną, to z kim innym. Ale niechby była szczęśliwa.

No ale kiedy usłyszałem, że ten w jasnych butach z cholewami szykuje się do małżeństwa z córką aptekarza, to zalała mnie gorzycz. Z powodu żony, wiesz.

W tamtym tygodniu był w Toplicy krajowy jarmark. Na tym jarmarku chciałem kupić owce i już najprzód wszyscy wiedzieli, że wyjadę. I rzeczywiście ruszyłem w drogę. Po południu. Ale tylko do lasu. Tam zboczyłem z drogi i pociągnąłem wozem aż do węglarzy. Zachowywałem się tak, jakbym miał tam jakąś sprawę. Wyprzęgłem konie, rzuciłem im siana, porozmawiałem z węglarzami, aż zrobiło się ciemno. Wtedy konie powierzyłem jednemu człowiekowi, a sam wróciłem do domu pieszo.

W wewnętrznej izbie palił się kaganek. To była biała izba, tam nie mieszkaliśmy, była tylko dla gości. Wszyscy spaliśmy w kuchni. Także dzieci. Lecz tam nie palił się kaganek, a tylko w wewnętrznej izbie.

Pies mnie poznał i nie czekał. Drzwi do sieni były zamknięte na klucz, jednak ja dobrze już znałem ten zamek, można go było otworzyć i kozikiem. Wszedłem do środka. Na zewnątrz lśnił księżyc i gdy wchodziłem do sieni, przez drzwi wpadł też blask księżycy i oświetlił siekierę opartą o ścianę.

Wtedy jeszcze o niczym nie myślałem, że zrobię to czy tamto. Ale kiedy zobaczyłem siekierę przy ścianie, to, jak blask księżycy zaiskrzył na jej ostrzu, pochwyliłem ją w rękę. Była to porządna, ciężka siekiera. Następnie otworzyłem drzwi do kuchni. Dzieci spały. Słyszałem, jak sapią. Przeszedłem przez kuchnię i przed drzwiami do wewnętrznej izby przystanąłem na moment. Żona akurat zaśmiewała się. Wiesz, tak... jak kiedy kobietę łaskoczą... bardzo miło umiała się śmiać.

Nacisnąłem klamkę. Nawet nie zamknęli drzwi.

Jakby to sam diabeł wstąpił tam do nich. Tak właśnie się zachowywali. Żona wcisnęła głowę pomiędzy poduszki, a ten drugi, koniuszy, tylko gapił się na mnie z gębą rozdziawioną niczym żaba. Stałem w drzwiach. „Ubierzcie się – rzuciłem – oboje!”. Najpierw poruszył się mężczyzna. Naciągnął na siebie spodnie, zapiął guziki, ale trzęsły mu się ręce, widziałem to. „Ty też się ubierz!” – krzyknąłem na żonę.

Nie płakała. Nie odezwała się ani jednym słowem, tylko zaczęła się ubierać. Poczekalem, aż będą gotowi. Aż tamten naciągnie też swoje jasne buty z cholewami. I to był błąd. Bo dzisiaj już wiem, że to był błąd. Bo póki stał tam przede mną z bosymi stopami, póty można było z nim porozmawiać. Póty był tylko bosym przestraszonym człowiekiem. Ale gdy miał już na sobie te jasne buty z cholewami, naraz znów stał się panem. Już nie trzęsły mu się ręce. Już nie stał tam jak złodziej złapany na gorącym uczynku, o nie. Znów stał się koniuszym.

„Posłuchajcie – rzekłem i podszedłem bliżej do stołu – zrobimy umowę!”. „Co?” – spytał koniuszy. „Umowę! – powtórzyłem. – Kobieto, wyjmij papier i ołówek. Ty się znasz na literach”.

Żona, biedaczka, nie odezwała się ani jednym słowem. Gdybym powiedział jej wtedy, skocz do studni, skoczyłaby. Była też blada jak ściana. Tak bardzo

biedaczki żałowałem, że pękło mi serce. Nieważne.

Słowem, żona wyjęła z szuflady papier oraz ołówek. „Usiądź przy stole!” – rzekłem. Usiadła tam. „Pisz!” I ona pisała dużymi, okrągłymi literami, jak uczono ją w szkole, pisała to, co mówiłem. „Ja, niżej podpisany koniuszy barona, przed Bogiem i prawem zobowiązuję się, że ta i ta kobieta, którą uwiodłem moją miłością i z którą zostałem złapany na gorącym uczynku, przyznaję przed Bogiem i ludźmi, zostanie moją prawowitą małżonką i będę z nią wiernie dzielił moje życie. Tak mi dopomóż Bóg!”.

Żona, biedaczka, zapisywała to posłusznie. „No – mówię, kiedy pismo było gotowe – teraz to podpiszcie!”. „Niby ja?” – koniuszy spojrzał na mnie zdziwiony. „Wy, no a kto?!”. „A cóż to za błazenada?” – odpowiada. „Błazenada czy nie błazenada – przerywam mu – to się teraz nie liczy. Proszę to podpisać!”. A on na to, że nie upadł na głowę. Nie? No a na co? „Słuchajcie” – zaczął tamten i dalej, że tak i siak... „To nic – mówię – proszę to podpisać!”. Skoro zakręcił kobiecie w głowie, to niech będzie wobec niej mężczyzną. Wtedy on zaczyna się awanturować, że tak i siak, co ja sobie myślę, on jest panem, nie może się żenić z byle kim. „Ale z panią aptekarską to już tak?” – pytam. „Z nią tak – mówi tamten – ona ma odpowiednią dla mnie, pańską rangę”. „A honor to już nie przynależy do pańskości, co? – pytam dalej. – Można tak: jednej zawrócić w głowie, a z inną się ożenić?”. „A co ty o tym wiesz?” – pyta on już rozszłoszczony. I to, i tamto. I ja mówię mu, co wiem.

Moja żona, biedaczka, aż do tamtego momentu nie wypowiedziała nawet jednego słowa, tylko tak siedziała i patrzyła przed siebie. Dopiero później raptem wybuchła płaczem. Rzuciła się na stół i tak łkała, że aż przykro było słuchać. Położyłem jej rękę na ramieniu. „Nie płacz – proszę – ja to wszystko naprawię. Nie płacz!”. Ale ona nie przestawała płakać, biedaczka.

„No” – mówię temu w jasnych butach z cholewami – podpiszecie to czy nie?”. „Nie”. „Nie?”. „Nie”. Pokazuję mu siekierę, którą przez cały ten czas trzymałem w ręce. „Teraz też nie?”. „Nie”. „A niech czort porwie ciebie i twojego ojca! – krzyczę. – Nie potrzebujesz tej kobiety?”. „Nie”. „To dlaczego, do diabła, tak podle zepsułeś jej życie?!”. Ten zaczyna grzebać po kieszeniach, że niby da dwadzieścia forintów na zgodę.

Tak to było, wiesz. Te dwadzieścia forintów trzymał w ręce, gdy go uderzyłem siekierą. I tam też zostało, w jego ręce, nawet żandarmi nie mogli ich z niej wyjąć. Ale żona, wiesz, tego to nigdy nie zapomnę. Poderwała się z krzykiem i rzuciła się na tego w jasnych butach z cholewami. Na tego ostatniego łajdaka, który się jej zapał przed momentem, słyszała to na własne uszy. Rzuciła się na niego, kiedy padł na ziemię, i tak rozpaczliwie szlochała, że nie mogłem już tego słuchać. „Ty – mówię – oplakujesz go, tego ostatniego?”. „Morderca! – krzyczy. – Morderca! Zabijcie i mnie! Zabijcie i mnie, skoro jego umieliście zabić!

Bo tylko jego kocham, zrozumcie to, tylko jego kocham!”.

Tak to było. Stałem tam przed nią i patrzyłem, jak obejmuje i całuje na podłodze tego zakrwawionego, brudnego człowieka z rozplataną głową. I tak pomyślałem: mnie teraz zabiorą żandarmi, a ona zostanie tu sama. Jakie po tym wszystkim będzie miała życie? W duszy z jednym umarłym, który jej się zaparł, i z drugim, który zabił tego, który był dla niej najukochańszy na świecie. I samotna. Na ustach wszystkich, odtrącona, nieszczęśliwa. Może nawet i oszaleje, pomyślałem, i będzie chodziła żebrząc. A dzieci we wsi będą ją obrzucać błotem i wykrzykiwać za nią brzydkie rzeczy. Takie miałem myśli. Potem powoli uniosłem siekiere. Żona, biedaczka, była odwrócona tyłem do mnie, nie mogła tego zobaczyć. Leżała na ziemi, tam obok umarłego, i wstrząsał ją szloch, i całowała zakrwawione usta umarłego.

Tak to było. Wtedy już podwórze zapełniło się ludźmi. Sień też. Pamiętam, że kobiety krzyczały, a dzieci piszczaly. Odsunąłem ludzi z drogi i z siekiere w ręce ruszyłem stamtąd. Lśnił księżyc. A z siekiery kapala krew. Nim nastał świt, byłem na posterunku żandarmerii. Kiedy siekiere kładłem przed sierżantem, zaświeciło na nią słońce i na jej ostrzu dostrzegłem włos. Był to długi, brązowy włos. Zakrwawiony. Zdjąłem go z ostrza siekiery i schowałem w obecności sierżanta. Mam ten włos i dzisiaj. Zrobiłem później w kolbie strzelby otwór, tam go schowałem, żeby go nie zgubić. Spójrz! Zakleiliśmy go woskiem. Tak to było, widzisz, o tak. Dlatego o tym mówię.

Vénség zamilkł. Na dworze wciąż jeszcze padał deszcz. Tymczasem wygasła mu fajka. Nieśpiesznie wytrząsnął z niej popiół i schował ją z powrotem do worka. Kobieta wyjrzała przez drzwi, ale nie widziała nic z tego, co było na dworze. Jej oczy błędziły gdzieś w oddali.

– Ano tak – rzekł stary i westchnął, ale nie głęboko, raczej tylko tak z przyzwyczajenia – tak to jest z panami. Inne jest ich życie i inne jest nasze. Jest coś pomiędzy nami, jak jest coś i pomiędzy wroną i krukiem. A przecież to nawet nie był prawdziwy pan. Tylko taki sługa-pan. A mimo wszystko. Ano po to ci o tym opowiedziałem, żebyś nad tym pomyślała.

Zbierał się z wolna. Na ramię zarzucił sakwę, strzelbę, na głowę wcisnął kapelusz.

– Jesteś jeszcze młoda. Bardzo młoda. Ładna. Zręczna. Możesz dostać takiego, który... no, dobrze. Niech Bóg ci błogosławi! Nie dlatego to mówię, że... Jeśli czegoś będziesz potrzebowała, tylko uderz w drzewo!

Kobieta siedziała nieporuszona w kącie przy piecu. Patrzyła, jak stary powolutku wygramolił się za drzwi, spojrzął w górę, na niebo pokryte deszczowymi chmurami, chwycił kij oparty o ścianę i ruszył ku połoninie. Patrzyła, jak wolno przeszedł przez polanę, aż zniknął pomiędzy smutnymi, przemoczonymi choinami. A potem patrzyła już tylko na deszcz, jak wraz z nimi spływa na świat

szarość i zgryzota.

Później wstała i podeszła do półki. Stała przed obrazkiem, przyglądała się obcej wieży i obcym domom, a po twarzy zaczęły jej płynąć łzy.

Sarny poczerwieniały. Rogi zrobiły się im bardziej błyszczące. Ucichły wody, a na buczynie rozpostarły się jasnozielone kopuły. Na polanach, w miejscach nasłonecznionych zakwitły pierwsze złocienie. Nadeszło lato.

Pięknie rosła murawa. Iwan był kilka razy na hali Komárnyik, wypatrył na niej część nadającą się na pokos, powbijał w ziemię paliki wokół wyznaczonej łąki kośnej i przy tym opowiedział to i owo, czego o sprawach związanych z życiem tam w dole dowiedział się od Gyerkó. Że już pod Ratosnyą budują nasyp dla kolei, przerzucają mosty przez Maros, a inżynierowie przychodzą nawet i pod Szalárd, wszędzie. Że w Dédzie żandarmi złapali jednego człowieka, który zeznał też o śmierci Ormianina, i teraz szukają mordercy, ale nigdzie nie mogą go znaleźć, bo z powodu innej sprawy jeszcze zimą uciekł z tamtej okolicy. Że krowie pomocnika drogomistrza w Ratosnyi mara w wilczej postaci odebrała mleko, a przecież drugiej takiej mlecznej krowy jak tamta nie było w całej okolicy. I że sam Bilibók widział ową marę w wilczej postaci, jak w nocy siedziała na płocie zagrody tego pomocnika drogomistrza, i teraz tamtą szopę pop codziennie okadza dymem z kadzidła i kropi święconą wodą, żeby owa mara więcej nie odważyła się tam wejść.

Tymczasem ostrzygł też owce, a na to strzyżenie przyszli również Dumitru, Birtalan i Vénség, potem zjedli barani paprykarz z kluseczkami i połowę wełny ponieśli na dół do Gyerkó, żeby ten sprzedał ją jakiemu Żydowi, co tam zabłądzi, i kupił za nią to i owo, co będzie potrzebne dla dziecka. Iwan zaś zaczął budować krosno, na którym będzie można potem utkać wełnę, tę, która została.

Kobieta cały dzień polegiwała na polanie, pilnowała owiec oraz kóz i krowy, żeby nie przechodziły paść się za oznakowaną palikami miedzą, i w tym czasie przyglądała się błękitnemu niebu, drzewom, przemykającym kędzierzawym obłokom, a jeśli padało, deszczowi, i rozmyślała o rozmaitych sprawach. Przy niej leżał Csobán, pies, i od czasu do czasu, gdy akurat taką miała ochotę, uprawiała z nim osobliwą zabawę. Spoglądała na leżącego psa i myślała o tym, że na skraju lasu stoi niedźwiedź. Bardzo się nad tym skupiała, a pies robił się raptem niespokojny, podrywał głowę, w końcu podnosił się i ze zjeżoną sierścią ujadał na las, dopóki nie spłoszyła go śmiechem. Wtedy się dziwił i wstydził, zwieszał łeb i kładł się z powrotem na swoje miejsce. Ale od czasu do czasu zerkał jeszcze ukradkiem w stronę lasu, jak ktoś, kto nie jest pewny, czy śnił, czy rzeczywiście coś widział.

Czasem to już nie była zabawa. Gdy któraś z kóz przeszła paść się za palikami, kobieta tylko spojrzała na psa i nakazała mu oczami, żeby z powrotem przygonił tę kozę. I pies podrywał się z ziemi i wykonywał rozkaz. Kiedy padało, nawet nie wychodziła ze zwierzętami. Siedziała wówczas w progu i stamtąd na nie uważała, a jeśli któreś przekroczyło miedzę, zawracała je wzrokiem. Już nawet to jej nie dziwiło, było jakieś takie naturalne. Jak naturalne było i to, że naprzód

wyczuwała, gdy ktoś nadchodził, Iwan, Birtalan czy Dumitru. Czy Vénség. I naturalne było też to, że patrzy na nich, zagląda im w oczy i wie, dlaczego przyszli. Czy dlatego, że chcieli coś powiedzieć? Albo tylko dlatego, że tędy wiodła ich droga? A widziała w ich oczach również i to, gdzie przedtem byli, co się z nimi działo, i niekiedy widziała także i to, czego oni sami nie mogli wiedzieć.

Tak też było z Dumitru, gdy rankiem szedł z połoniny i był w złym humorze. Już z daleka czuła w nim tę złość. Pasła wtedy zwierzęta na polanie, a on przeszedł w pobliżu niej i nie przystanął. Nawet się nie przywitał, nie spojrzął w tamtą stronę. Jak jakiś stary, samotny, pobity basior, tak szedł w dół. Musiała za nim zawołać:

– Wujku Dumitru! Nie znaleźliście go?

– Hę? – Mężczyzna zawahał się i przystanął. – Co mówisz?

– Nie znaleźliście tego wilka?

– Hę! Skąd wiesz?

– A przecież jest tam. Czekaćcie no! Nie ma tam w pobliżu skał?

Mężczyzna o ponurym obliczu zawrócił kilka kroków. Zatrzymał się.

– Hę? Skał? Ano są.

– Wpadł w szczelinę pomiędzy dwiema skałami, to w niej leży – rzuciła to tak, jakby właśnie stała tam nad nim i go widziała. – A z tej szczeliny wystaje jakiś krzak, to on go zakrywa. To przez ten krzak nie znaleźliście go.

I rzeczywiście widziała to w tej chwili. Skały, szczelinę, zielony krzak w szczelinie, a pod nim chudego martwego wilka.

– Jest tam w pobliżu i wyschnięty pień. Już prawie biały. Pełen dziur, które zrobiły w nim dzięcioły.

Dumitru podszedł jeszcze bliżej.

– Skąd wiesz? – spytał z niedowierzaniem. Na to trudno było odpowiedzieć.

– Pójdźcie z powrotem, wujku Dumitru, a zobaczycie, że mówię prawdę. Wilk jest chudy i wcale nie taki jeszcze duży. Ma zakrwawiony brzuch.

I zaśmiała się przy tym.

– Zgadza się – odrzekł z powagą Dumitru, a jego oczy badawczo przyglądały się kobiecie – mała wilczyca, chuda, bo karmi. Dwa tygodnie za nią chodziłem. Jej małe wszystkie już zebrałem, tylko ona jedna została. Wreszcie przyszła na moje wołanie. Na płacz szczeniaka, wiesz. Dostała w brzuch. Przewróciła się, ale potem uszła.

– Jest tam w szczelinie.

– Czekaj! To było wczoraj wieczorem. Przewróciła się; pomyślałem, że tam zostanie. Ale nim przedarłem się przez maliniak, już jej nie było. Krwi też ledwie co. Ściemniało się, no i nie mogłem dalej szukać. Spałem tam na jej tropie. W nocy przyszedł mały kapuśniaczek, zmył krew. Do tej pory jej szukałem, ale nigdzie jej nie było.

– Jest tam, mówię, w szczelinie. Pod krzakiem.

– Byłaś tam? Znalazłaś ją?

– Nie.

– No więc?

– Pójdźcie tam z powrotem, bo jest tam. Poszukajcie białego pnia z dziurami. Niedaleko od niego jest szczelina. Wystaje z niej krzak. Myślę, że to czarny bez.

– Hę.

Mruknął coś jeszcze, ale tego nie dało się zrozumieć. Stał, przyglądał się kobiecie. Nareszcie ruszył z powrotem ku połoninie. Po południu zjawił się ponownie. Przy worku zwisała mu pokrwawiona wilcza skóra.

– Słuchaj. Ale skąd ty o tym wiedziałaś? Skąd o tym wiedziałaś?

– Nie wiem – odparła kobieta i wzruszyła ramionami. I rzeczywiście nie wiedziała.

Te rzeczy przychodziły jakoś tak, z nieznanej i tajemniczej mgły, i trwały tyle, co bańka mydlana. Nic po nich nie zostawało. Jakby z jakiejś nieznanej mgły coś się wyciągnęło i potem na powrót się w niej schowało. W jakiejś nieznanej, tajemniczej mgle.

Z początku zastanawiała się nad tym. Próbowwała tak i siak wytłumaczyć te zjawiska. Na próżno. Każde wytłumaczenie, jakie sobie wymyśliła, żałośnie kulało i czegoś mu brakowało. W końcu przestała szukać wyjaśnienia, ale starała się te zjawiska obserwować, porządkować. Kiedy przychodzą, jak się zaczynają, jak się układają. Zauważyła, że są ich dwa rodzaje: jeden jest wtedy, gdy to ona sama czegoś chce. Chce, żeby stało się to czy tamto. Na przykład żeby pies poderwał się na nogi i zaszczekał. Wtedy musi całą siłę wzroku skupić na psie i musi bardzo mocno chcieć, żeby on poderwał się na nogi i zaszczekał. Owo bardzo mocne pragnienie to jest właśnie to, co w takich razach zmusza psa do poderwania się i zaszczekania. Ona nań tylko patrzy i chce. Kiedy to pragnienie stanie się tak silne, że poczuje, jakby w jej głowie roilo się całe mnóstwo mrówek, wtedy pies podrywa się i zaczyna szczekać. To jest jeden rodzaj tajemnicy. Drugi zaś jest wtedy, gdy popatrzy na kogoś tak po prostu, nie żeby czegoś odeń chciała czy też przyglądała mu się jakoś szczególnie. Tylko nań popatrzy. Wejrzy mu w oczy. I naraz jakby coś ją w środku uderzyło. Wszystko jest tylko takim małym uderzeniem, gdzieś tam wewnątrz. Nawet nie tyle uderzeniem, ile drgnieniem. Gdzieś coś drgnie. Potem zaczyna się coś na jej karku, jakieś mrowienie, i powoli biegnie w dół, wzdłuż pleców. I wtedy już widzi obraz. Jakiś obraz. Nie w oczach tego człowieka. Gdzieś w sobie samej, wewnątrz siebie. Ale tak, jakby tam faktycznie była, w tamtym miejscu, tak wyraźnie i czysto wszystko widzi. I wtedy już wie, w tamtym momencie już wie, że było tak. Albo będzie tak. Nie w taki sposób, że może było tak albo może będzie tak. Lecz ze zdecydowaną pewnością. To było. To będzie. Tak samo, jak białe oddziela się od czarnego, o w taki sposób. Niekiedy trwa to tylko jedną chwilę, niekiedy dłużej. Czasem tylko błysnie jakiś obraz i już

zostaje po nim jedynie wspomnienie. Kiedy indziej jest tam gdzieś w niej przez dłuższy czas i dochodzą doń nowe obrazy, wciąż nowsze i nowsze, a owo mrowienie od karku w dół po plecach trwa dalej i przy każdym nowym obrazie pojawia się nowe uderzenie czy nowe drgnienie tam w środku... aż naraz się kończy. I wówczas czuje się tak, jakby obudziła się z głębokiego snu, wręcz ze zdziwieniem musi się rozejrzeć wokoło, żeby wiedzieć, gdzie jest, i trwa to jakiś czas, zanim znów powróci do rzeczywistości. I wtedy zostaje jej w głowie jakieś senne znużenie, jakby źle spała w nocy, czy coś podobnego.

Próbowała i to też czynić swoją wolą. Kiedy przyszedł Iwan czy też ktoś inny. Wejrzeć mu w oczy i chcieć, żeby pojawiły się obrazy. Zobaczyć, skąd on przychodzi lub dokąd idzie. Wówczas rzadko się to udawało. Tylko na moment coś zabłysło, ale było rozmazane i nie dało się zobaczyć tego wyraźnie. W końcu to przerywała i rozmawiali. Albo siedzieli przy owcach i milczeli. I naraz, zupełnie nieoczekiwanie, jakoś tak spotykały się ich oczy i dopiero wówczas... To uderzenie wewnątrz niej... i oto był tam obraz. Wyraźnie, jasno, żywo. Może właśnie wtedy ta druga osoba myślała o tym samym, i dlatego?... Możliwe. Ale nie była tego pewna. Pochodzenie tajemnicy przykrywał zagadkowy mrok. Była tam tylko tajemnica. Lecz skąd przychodziła, dlaczego i w jaki sposób, tego nie można było wiedzieć.

Poddała się zatem i nie głowiła się nad tym dłużej. Wokół panowało lato z jego własnym spokojem, pozostającym w harmonii z tym jej wewnętrznym spokojem, który niosło ze sobą macierzyństwo, i ten dwojaki spokój całkiem ją przepelnił. Dużo jadła, owce dawały sporo mleka, pod dostatkiem było twarogu, sera, była serwatka, żentyca, dodawała też koziego mleka, jeśli nie starczało, nawet i krowa jeszcze całkiem nie przestała dawać mleka, a i Iwan przynosił na czas kaszę kukurydzianą, trafiały się już grzyby w lesie, hala pełna była polnego szczawiu, purpurowego przenętu: jeść było co, więc i dużo jadła. Zajęć wiele nie miała, musiała tylko wydoić łącznie dwadzieścia siedem owiec i kóz, no i zrobić ser. Większość dnia mogła przeleżeć w trawie, podczas gdy zwierzęta szczypały wokół niej murawę, i to było piękne, tak sobie leżeć pośród nich i patrzeć w błękitne niebo czy na kędzierzawe chmury i słuchać wiatru, jak przebiega pomiędzy drzewami. To było piękne, pełne spokoju i wyciszenia. Czas zatrzymał się tam wysoko, na hali Komárnyik. Był tylko poranek, przedpołudnie, południe, popołudnie i wieczór. I noc. I potem znów poranek, przedpołudnie, południe... Jakby wciąż powracał ten sam dzień, z tym samym wschodem i z tym samym zachodem słońca. Z tymi samymi zajęciami: dojeniem, pędzeniem, pilnowaniem zwierząt, żeby nie zadeptywały trawy; rozpaleniem ognia, zbieraniem chrustu, przynoszeniem wody, jedzeniem, leżeniem, wpatrywaniem się w słońce, zabawą z psem i kozłętami. Jakby wciąż powracał ten sam dzień. I dobrze tak było. Czas zatrzymał się nad halą Komárnyik.

Aż nadszedł pewien poranek.

Już i samo przebudzenie było dziwne. Jakby ktoś przestąpił próg. Kobieta zerwała się. Usiadła na łóżku. Patrzyła. Słyszała bicie własnego serca. Był jeszcze półmrok, ledwie świtało. Drzwi były zamknięte. Izba pusta. Siedziała przez kilka chwil bez ruchu i nasłuchiwała. Tylko serce głośno jej biło. A oprócz jej serca, całkiem cichuteńko, biło jeszcze to drugie, maleńkie serduszko. Potem poruszyła się na półce popielica i skrobiąc pazurkami, szybko przemknęła w górze po belkach.

Kobieta uśmiechnęła się. Położyła rękę tam, gdzie biło to drugie, maleńkie serduszko, i zliczała ciche, drżące uderzenia. To nic – pomyślała – źle leżałam.

Wstała, ubrała się. Zeszła ku wodzie, lecz wiadro wyślizgnęło jej się z ręki. Przy dojeniu przewrócił się skopek. Przed szopą potknęła się o kamień i omal nie upadła. Potem naraz zaczął szczekać pies. Wybiegła, ale na dworze nie było nikogo. Pies szczekał w kierunku lasu, jednak na próżno zapuściła tam wzrok, nic się nie ruszało. Uspokoila psa i weszła do środka. Po pewnym czasie pies ponownie zaszczekał. Znowu wybiegła, ale i tym razem nic tam nie było. Wtedy już wiedziała, że ten dzień nie jest taki jak inne.

Nie chodziło o to, że zbudziła się w przestkach, że wyślizgnęło się jej z ręki wiadro, przewrócił się skopek, potknęła się o kamień i że pies obszczekiwał to nic. Takie rzeczy przydarzały się nieraz, tyle że każda z osobna i kiedy indziej. Ale tak razem?! I już samo to, że wybiegła, kiedy pies zaczął szczekać, nawet dwa razy. Tak, wyraźnie czuła, że ten dzień ma coś w zanadru. Coś skrywa.

Wszystko o tym świadczyło.

Zerwał się chłodny północny wiatr. Gdzieś na górskim grzbiecie zatrzeszczało drzewo i ów trzask jakoś dziwnie pobrzmiwał echem po całym lesie. Wrony opuściły swoje gniazda i zbite w stado krążyły nad choiną, ciskając się to tu, to tam, jak jesienią, przed śniegiem. Później jakiś duży ciemny ptak wyfrunął wysoko z choiny i w prostej linii przeciągnął ponad halą. Tylko raz i drugi zamachał skrzydłami. Wrony całym stadem rzuciły się za nim i dziwnie ostro zakrakały.

Coś było z dźwiękami tego dnia. Jakby zrobiły się ostrzejsze i czystsze niż zwykle. I kolory też. Wiatr przygnał z północy ciężkie, granatowe chmury. Nagle zaczął padać z nich śnieg, zrazu drobny ostry śnieżek, potem wielki miękki puch, bardzo mokry. Słońce świeciło jeszcze na wschodzie, ponad Górami Kelimeńskimi, ale mimo to wszystko było takie, jakby nastał wieczór – mroczne. Jakby ziemię przykrył jakiś olbrzymi czarny cień, który wkrótce wchłonął także i słońce. A śnieg sypał nieprzerwanie. I dał się posłyszeć wiatr na górskim grzbiecie, od którego zaszumiały świerki.

Raptem wszystko się odmieniło. Wiatr uciekł wraz z chmurami na południe, odsłaniając czyste, zielonkawobłękitne niebo, na którym znów świeciło słońce. Co

prawda powietrze wciąż było rześkie, halę nadal pokrywała warstwa śniegu gruba na palec, złocenie stały ze zwieszonymi główkami, a gałęzie buków przygięły się ku ziemi pod ciężarem białego puchu, ale minęło niewiele czasu i już nic nie pozostało z niezwykłości tego poranku. Tylko na trawie srebrzyło się tysiące kropel wody, jak gdyby murawę pokryła nocą wyjątkowo obfita rosa. Ostre słońce kłuło w oczy. Lasy pociły się w ciepłe białą mgłą i niemal słychać było ich ciężki oddech. W kilka chwil powietrze stało się duszne od unoszących się oparów, a spragniona ziemia zachłannie piła wodę.

Kobieta wygoniła zwierzęta. Wysoko w rogu kośnej łąki stała sarna i spoglądała w dół. Lśniła złotem na tle ciemnych świerków. Długo tam stała bez ruchu, jakby las rzucił na nią urok.

Kobieta wróciła do domu i przez jakiś czas obserwowała zwierzęta, siedząc w progu. Lecz tlił się w niej jakiś niepokój. Co chwila podrywała się bez wyraźnego powodu, a czasem stawiała za węglem i spoglądała w dół ku buczynie. Czuła, że musi tam popatrzeć. Ale na ścieżce nie było żadnego ruchu. W końcu złapała wytarty barani kozuch i poszła z powrotem na łąkę. Rozłożyła baranicę na murawie i legła na niej. Pies umościł się obok, ale nie spał. Z uniesioną głową obserwował wszystko dookoła, jakby na coś czekał.

Tylko owce były spokojne jak zawsze. Monotonnie szczypały trawę, nie patrzyły w żadną stronę i niczym się nie przejmowały. Krowa od czasu do czasu oganiała gzy ogonem, kozłeta podskakiwały, jagnięta biegały w przód i w tył, i całe to mnóstwo owych codziennych widoków powoli ją uspokoiło. Wyciągnęła się na kozuchu, na plecach, dłonią osłoniła oczy od słońca i zatopiła się w owej brzęczącej letniej ciszy.

Zbudziło ją szczekanie psa.

Momentalnie usiadła, serce biło jej głośno. Pies patrzył w dół i szczekał. Ścieżką szedł w górę jakiś człowiek, już minął buczynę i przy źródle skierował się ku chacie. Widać było z daleka, że to jakiś pan. Na głowie miał zielony kapelusz, jego odzienie było w ciemnym kolorze, a na ramieniu błysnęła czarna lufa broni.

Kobieta siedziała na kozuchu, serce waliło jej jak szalone, lecz ona sama nie ruszyła się. Mężczyzna podszedł do chaty, zajrzał przez drzwi, może nawet i coś powiedział, ale tego nie było słychać tak daleko. Następnie odwrócił się w progu i spojrzał w górę, ku zwierzętom. Pies wciąż ujadł.

– Cicho! – krzyknęła z rozdrażnieniem, po czym powoli wstała, podniosła z ziemi kozuch, przewiesiła go sobie przez ramię i ruszyła w dół. Już nie waliło jej serce. Była spokojna i poważna. Nawet nie przyszło jej do głowy, żeby biec, a przecież pełna była radości, aż po same czubki palców. Cieszyła się każda cząstka jej ciała, ale ta radość była radością poważną i spokojną, w pełni świadomą. I kobieta niosła w sobie tę radość, temu jedynemu, dla którego przeznaczony był ów podarunek.

Także mężczyzna, tam w dole, ruszył w górę. Wcześniej oparł strzelbę o ścianę, położył kapelusz na ławce i tak oto nadchodził. Na jego zaczesanych do tyłu, lśniących, czarnych włosach migotało słońce. Na gładko wygolonej, osmalonej młodej twarzy malował się uśmiech, a z szarych oczu tryskała szelmowska wesołość.

– Serwus, rusałko!

Jego głos mocno zagrział na całej hali. Odważnie, młodzieńczo, jak wczesnoporanny wiatr, co smaga drzewa.

Krok kobiety nie zrobił się szybszy. Szła dalej tak samo spokojnie i poważnie. Jej oczy patrzyły z powagą w tamte wesołe szare oczy. Zatrzymała się przed mężczyzną i tylko tyle powiedziała:

– Ano przyjechaliście.

Lecz w tych dwóch słowach było całe ciepło jej serca, wszelka radość i spełnione szczęście.

Przyglądali się sobie. Mężczyzna nieco zaskoczony, zdziwiony. Kobieta badawczo, upominając się i zbierając ze znajomego oblicza ślady dawnych wspomnień.

– Słuchaj... Urosłaś! Jesteś teraz jakaś taka inna niż...

– Niż kiedy mnie zostawiliście, to chcieliście powiedzieć, prawda?

– Niż kiedy widziałem cię po raz ostatni – mężczyzna szybko poprawił słowa.

Kobieta uśmiechnęła się ledwie zauważalnie.

– Ile to już czasu? Pół roku? Więcej. Mężczyzna spoważniał.

– Musiałem wyjechać. To wszystko stało się nagle. Mój ojciec tak chciał. Nie miałem czasu, żeby się z tobą pożegnać.

– Nawet i lepiej się stało – przytaknęła kobieta – pożegnania zawsze są smutne.

Szli obok siebie, powoli, w dół ku chacie. Mężczyzna od czasu do czasu zerkał ukradkiem na kobietę. Ta spokojnie oddawała mu wtedy spojrzenie. Lecz nie rozmawiali.

Na progu chaty mężczyzna przystanął i spojrzał wstecz na halę. Westchnął głęboko.

– Bywałem w wielu miejscach. Widziałem wiele różnych rzeczy, które były piękne. Ale nigdzie nie było tak pięknie jak tutaj. Tu nawet i powietrze jest inne.

– Opowiecie potem o tych wszystkich pięknych rzeczach, które widzieliście, prawda? A kiedy będziecie o tym opowiadać, to i ja to zobaczę.

– Och... nie wiem. Dla ciebie może to wcale nie byłoby piękne.

– Czemu? Coś, co jest piękne...?

– Wiesz... nie dla każdego wszystko jest jednakowo piękne. Jeśli przyprowadziłbym tu kogoś z tamtych miast, może on też nie postrzeżałby tego

tutaj jako czegoś pięknego. Powiedziałby na to, że jest prymitywne.

– A to co?

– Że brakuje wielu rzeczy, wiesz. Do których człowiek przywykł. – Głęboko, mocno westchnął. – Ale teraz jestem tutaj. Na wieczór przyniosą na górę moje rzeczy. Zostanę co najmniej dwa tygodnie.

Kobieta weszła do chaty. Zdjęła z ramienia kozuch, odwiesiła go na miejsce.

– A potem znów wyjedziecie? – rzuciła pytanie. Mężczyzna ze zdziwieniem odwrócił się ku niej.

– Co? Niestety, nie mogę zostać dłużej. Człowiek ma też inne zajęcia. Majątek, procesy i mnóstwo innych spraw. Ciesz się, że o nich nie wiesz. Chętniej i ja żyłbym tutaj na górze, jak ty, i polowałbym przez całe życie...

Odwróciła się bez słowa i podeszła do pieca. Przegrzebała żar pod popiołem, rzuciła nań chrustu. Mężczyzna podszedł do niej.

– No chodź tu, niechże cię obejrzę! Nawet nie pocałowałaś mnie jeszcze!

Objął jej ramiona i pocałował w usta. Kobieta miękko oddała ten pocałunek, lecz obie dłonie w bezwiednej obronie przycisnęła

– Nie ściskajcie mnie tak...

Mężczyzna oddychał ciężko. W oczach pojawiły mu się zielone iskierki.

– Co tak kaprysisz... chodź... Uwolniła się szybkim ruchem.

– Gáspár... uważajcie!

– Co?

– Nie wolno.

Szare oczy pociemniały. Ze zdumieniem patrzyły na kobietę.

– Słuchaj... chyba nie?... Skinęła głową.

– Tak, Gáspár.

Przez kilka chwil patrzył na nią z zaskoczeniem. Jego oczy przebiegły po zdeformowanej figurze kobiety.

– Nawet nie zauważyłem. Myślałem, że to twoje ubranie jest takie dziwne. Słuchaj... o tym nie pomyślałem. A teraz... przy tym... oczywiście nie można?

– Co sobie myślicie!

Niemal z gniewem rzuciła tych kilka słów. I sama się ich przestraszyła. Ujęła to łagodniej:

– Żyje! Nie wierzycie? Połóżcie tu rękę!

Chwyciła wahającą się dłoń mężczyzny i przycisnęła ją sobie do brzucha.

– Czujecie? Biję jego maleńkie serduszko! Czasem on nawet i kopie!

Mężczyzna zabrał rękę. Wręcz z przestachem zapytał:

– Kopie?

– Jeszcze jak!

Zaległa pomiędzy nimi dziwna, nieprzyjemna cisza. Kobieta była zakłopotana. Mężczyzna odwrócił się i rozejrzał po izbie.

– A to co? – zapytał, pokazując na skrzynię.
– Iwan ją zmajstrował i wujek Birtalan – wytłumaczyła kobieta, rozluźniona tym, że wreszcie przełamała się ta osobliwa cisza – są w niej ubrania i wszystko inne.

– Dostałaś jesienią to, co przysłałem? Koce, wszystko?

– Tak, oczywiście.

– A co to tam na półce?

– To? Nie poznajecie?

– Aha. Widzę. A więc dostałaś. Pisałem to nocą, dużo wtedy wypiliśmy. Ale myślałem, że i tak nie dostaniesz. Z powodu adresu.

– Dostałam – cicho odpowiedziała kobieta, a w jej głosie było rozczarowanie. Przez chwilę myślała, czy ma powiedzieć, czy nie, w końcu jednak powiedziała: – I ja posłałam takie jedno.

– Co?! – mężczyzna odwrócił się gwałtownie i z przestraszeniem utkwiał w niej wzrok.

– Takie... takie pismo.

– Jak?

– Ja powiedziałam wujkowi Birtalanowi słowa, on zaś zaniósł je na dół do Ratosnyi i razem z Bilibókiem rzucili je na papier. Napisali na nim także miasto. O to, co jest na obrazku. I tę wieżę.

Na twarzy mężczyzny pojawił się grymas niezadowolenia.

– Nedorzecznosc – rzekł i odwrócił się. Otworzył drzwi do wewnętrznej izby i zajrzał do środka. – Otwórz okno, żeby przewietrzył się ten pokój. Na wieczór możesz też trochę napalić. Do tej pory przyniosą tu na górę rzeczy. Celowo tak zarządziłem – dodał ze złością – żebyśmy w tych pierwszych godzinach mogli być sami. No, wszystko jedno. Teraz pójdę na Iszticsó, zostawiłem tam jesienią silnego kozła. Będę tu z powrotem po zmroku.

– Nawet nie zjecie?

– Jeśli możesz dać mi coś na szybko.

– Przygotuję.

– No to pośpiesz się!

Wybiegła po drewno. Rozpaliła ogień. Następnie przyniosła wody. Ruszała się żwawo. W piecu wnet buzował ogień i niezadługo poczęła wrzeć woda. Wsypała do niej kaszy kukurydzianej, następnie przygotowała twaróg. Tymczasem mężczyzna wyszedł. Przespacerował się wokół domu, pogwizdując, po czym przysiadł na zewnątrz na ławce, w słońcu.

– Słuchaj! To tam w górze oznakowaliście na pokos?

– Tak! – odrzyknęła kobieta.

– Nie wchodzi tam zwierzęta, kiedy są same?

– Jest pies.

- Jak go tego nauczyłaś?
- Nie trzeba go było uczyć, sam to rozumiał.
- Ciekawe.

Mężczyzna siedział jeszcze jakiś czas na dworze, wreszcie wszedł do domu. Kobieta mieszkała już wtedy mamałygę. Powąłęsał się po izbach, potem stanął obok niej.

- Co gotujesz?
- Mamałygę.
- Aha. Szybko będzie?
- Szybko.

Wyjęła garnek, wysmarowała go tłuszczem, po czym zaczęła nakładać doń mamałygi i twarogu. Jedną warstwę mamałygi, jedną warstwę twarogu. Znow jedną warstwę mamałygi, znow jedną warstwę twarogu.

- Robisz mamałygę z twarogiem?
- Tak.
- Dawno tego nie jadłem.
- W tamtym mieście tego nie robią? Mężczyzna roześmiał się cicho.
- Tam? Nie.
- No to co tam ludzie jedzą?
- Ajajaj. Tysiące różnych rzeczy. I tak nie znasz tamtych potraw, na próżno bym ci mówił. Długo to jeszcze potrwa?
- Chwilkę.

Wstawiła garnek na ogień. Twaróg topił się, skwiercząc. Żółty tłuszcz przykrył wierzch garnka.

- Mięsa nie ma, prawda?
- Nie ma.
- No to będzie. A ty jak zdobywasz mięso?
- Raz ubiłam jagnię. Ale to było jeszcze wtedy, kiedy strzygliśmy owce. A raz koguta. Także w zimie zjadłam koguta.

- A innymi razy co jadłaś?
- Mamałygę.
- Zawsze tylko mamałygę?
- No nie zawsze. Bo są też grzyby, no i ryby, i bulwy świerżabka, i to i tamto. Ale najczęściej to mamałygę.
- I nie znudziła ci się?

Kobieta spojrzała nań ze zdziwieniem.

- Nie rozumiem, co macie na myśli. Przecież wszyscy jedzą mamałygę.
- Mężczyzna nie odezwał się więcej. Stanął w drzwiach i patrzył na halę. Po pewnym czasie zapytał:

- Mleka jest dość?

– Krowa jeszcze daje. No i są też owce i kozy.
– Wymienimy ją na świeżo ocieloną. Owce dużo dają?
– Te tak. I kozy też, tylko że dużo potrzeba dla koźląt. Pod każdą jest dwójka.

– Czemu nie ubijesz któregoś?

– Ubić? Szkoda by było.

Mamałyga z twarogiem przypiekła się. Kobieta postawiła na stole talerz, przy nim położyła widelec.

– Gotowe – rzekła. Mężczyzna wszedł, usiadł.

– Ty nie jesz?

– Potem.

– Czemu?

– Myślę, że taki jest zwyczaj.

– Nie wszędzie – odparł krótko mężczyzna i zabrał się do jedzenia.

Kobieta zeszła z dzbankiem po wodę, wróciła na górę i postawiła dzbanek na stole.

– Wina, palinki, czegoś takiego oczywiście nie ma. Pokręciła głową.

– Nie ma.

– No, na wieczór już będzie.

Skończył jeść, napił się z dzbanka i wstał.

– Dobrze było – rzekł.

– Smakowało? – spytała kobieta i uśmiechnęła się. Odpowiedział jej uśmiechem. Teraz po raz pierwszy uśmiechnął się tak jak dawniej.

– Bardzo. Dawno nie jadłem czegoś tak dobrego. I dawno nie piłem tak wyśmienitej wody.

– Niech wam będzie na zdrowie!

– Dziękuję. Jak ty właściwie masz na imię?

– Ja? Rusalka. Czarownica. Wiele miałam imion.

– Dobrze, dobrze. Ale to prawdziwe?

– Nuca.

– No to dziękuję ci, Nuca, za obiad. Jak przyjdzie Iwan, powiedz mu, że poszedłem na Iszticsó. Wszystko wypakujcie, rozłokujcie, a Iwan niech zostanie do rana, gdzieś tu może się przespać. Rozumiesz? Będę miał dla niego dyspozycje. No to niech Bóg ci błogosławi, Nuca! Sprawuj się dobrze! Jeśli usłyszycie strzał, niech Iwan wyjdzie mi naprzeciw połoniną!

Z tymi słowami wziął kapelusz, strzelbę i poszedł. Wesoło, sprężyście, lekkim krokiem. Ani jeden raz nie spojrzął wstecz, ani jeden jedyny raz. Kobieta podeszła do drzwi, stamtąd spoglądała za nim. Trochę smutna, trochę przestraszona, jak ktoś, kto nie rozumie, co się stało, nie rozumie, dlaczego jest smutna, tylko czuje wewnątrz siebie, że coś nie jest tak, jak być powinno. I że jest

to smutne, smutniejsze od wszystkiego w świecie.

Kiedy nadszedł Iwan z koniem, akurat zaganiała owce na wieczorne dojenie. Oczy miała troszeczkę czerwone, jakby płakała. Rosjanin popatrzył na nią, ale nic nie powiedział. Zamknęli owce w zagrodzie, następnie zdjęli z konia bagaże.

– Zostawże! – rzucił Iwan. – Sam to wszystko pownoszę. Kobieta przekazała mu wiadomość, następnie wróciła do owiec. Nim uporała się z dojeniem i znów wypuściła zwierzęta, żeby się popastry, słońce siedziało już na górskim grzbiecie i całe było zakrwawione od ran odniesionych tam, na wierzchołkach choin. Iwan układał rzeczy w wewnętrznej izbie. Kobieta dodała do mleka kłagu, potem zaszła do Iwana.

– Mogę w czymś pomóc, wujku Iwanie?

– Te, o tutaj, możesz zabrać – strażnik leśny pokazał na stos rzeczy na podłodze. Były tam flaszki, różnej wielkości pudełka, opakowane w papier rozmaitości.

– Te wszystkie?

– Tak, tak. To wszystko to jedzenie.

Po kolei przeniosła pakunki na półkę. W drugiej izbie Iwan przygotował łóżko, nanosił drewna, rozpalił ogień.

– Panowie lubią, jak w izbie płonie ogień – wytłumaczył.

– Tak, nawet i mówił, żebyśmy napalili na wieczór.

– A widzisz? Wiem ja to. Znam ja ich zwyczaje.

Powiedział to tak, jakby mowa była o jakimś osobliwym, rzadkim żyjątku, które jest inne aniżeli człowiek. Ma wyjątkowe zwyczaje, właściwości, które trzeba przeniknąć, naturę, którą zna tylko ten, kto się nim zajmował.

Kobieta obeszała wewnętrzną izbę. Tu i tam coś poprawiła, wytrzeptała z kurzu zasłonki, zdjęła pajęczynę z kąta przy suficie, a przy tym z ciekawością przyglądała się odzieniu zawieszonemu na gwoździach, bieliźnie ułożonej na półce, pomacała je, nawet i powąchała. Miały dziwny, obcy zapach. Nie zły czy nieprzyjemny; miały zapach przyjemny, miły, ale obcy. Straszliwie obcy.

– Co to za zapach? – spytała Iwana, który akurat przyglądał się ogniu.

– Pański.

– Jest i taki?

– U panów tak. Tak właśnie oni pachną.

Pomyślała, że dlaczego nie zauważyła tego jesienią, owego osobliwego, obcego zapachu? Bo jesienią go nie czuła. Jesienią był inny. Tak, jesienią wszystko było inne.

Usiadła w progu i patrzyła na las. Po pewnym czasie wyszedł też Iwan i przysiadł na ławce. Zapalił fajkę. Dym z fajki, niebieski i kędzierzawy, unosił się w górę pośród wieczoru.

– Wujku Iwanie!

- No?
- Nie zauważyliście czegoś?
- Czegóż to?
- Że... zrobił się inny?

Strażnik leśny milczał przez dłuższą chwilę, patrzył przed siebie w ziemię i tylko pykał cicho z fajki.

– Wiesz, pan, dopóki jest dzieckiem, dopóty nie zauważasz po nim tak bardzo, że jest panem. To przychodzi później. Ja już to znam. Często nie potrzeba do tego nawet jednego roku. Ani nawet i pół roku. Już i miesiąc wystarczy. Tylko dziecko wyjedzie gdzieś daleko, do jakiegoś takiego diabelskiego miasta, gdzie żyją sami wrażliwi, rozpieszczeni panowie, całkiem inna jest ich mowa, całkiem inne są ich zwyczaje aniżeli u normalnego człowieka, wyjedzie tam i za miesiąc wraca... i już nie jest dzieckiem. Już go nie poznajesz. Inną ma mowę, inne są jego zwyczaje aniżeli przedtem. Inne są jego radości aniżeli przedtem. Inaczej myśli i inaczej mówi, aniżeli myśli, i nigdy nie wiesz, czego możesz się po nim spodziewać. Tak to jest z panami. Już ja ich znam. I pomiędzy nimi jest zły człowiek i jest dobry człowiek, a zły człowiek czasem jest też i dobry, a dobry człowiek czasem jest też i zły, dokładnie tak jak i pośród nas. Tylko różnica jest taka, że jak dobry pan zrobi co złego, to ludzie gadają o tym dużo więcej, aniżeli gdy jakiś zły pan zrobi co dobrego. Albowiem dobro zawsze jest jednakowe, bez względu na to, czy czyni je chłop, czy pan. Ale zło, ono u pana zawsze wywołuje wiatr większy aniżeli u ludzi takich jak my. Tak to jest. Trzeba o tym wiedzieć.

– A... a nie może być tak... że taki pan, taki człowiek w rodzaju pana, wiecie... żeby on znowu był taki... wiecie, ot tak tylko, powoli, na powrót... taki, jaki był przedtem, nim wyjechał tam daleko...?

Iwan pokręcił głową. Jego głos był smutny i współczujący.

– Nie, kobieto, czegoś takiego nie ma. Takiego pana nie ma. Jeśli ktoś jest panem, to już nim jest. Od tego nie ma odwrotu. Nawet jeśli straci swój majątek, nawet jeśli chodzi w łachmanach, to mimo wszystko jest panem. Jest inny niż my. W głosie. W mowie. W tym, co robi. W tym, jak myśli. We wszystkim. Z daleka go rozpoznasz, nawet jeśli przebierze się za chłopą, nawet wtedy. Już i głowę nosi inaczej. A to, co mówi, i to, co robi, to ty zrozumiesz jedynie z trudem. Wiele razy wcale nie zrozumiesz. Właśnie dlatego, że jest panem. I na to żadne z was nic nie może poradzić i ani to jego wina ani twoja. Jest panem. To wszystko.

Słońce spadło za świerki, już tylko jego krew czerwieniała na niebie. Wiatr przemknął przez halę, przynosząc z wilgotnych kotlin zapach mchu. Szarówka rozwinęła ponad lasem swe miękkie sowie skrzydła. W powietrzu brzęczały komary.

Kobieta wstała powoli. Z oka szybko coś sobie wytarła, ale możliwe, że to był tylko komar.

– Zamknę zwierzęta – powiedziała.

Iwan nie odezwał się więcej, tylko siedział na ławce, palił fajkę i patrzył, jak czerwona spódnica kobiety z wolna zlewa się z delikatnymi barwami hali. Wreszcie pokręcił głową i westchnął. A potem dalej palił fajkę, tkwiąc nieruchomo na ławce niczym posąg rezygnacji, i był smutny jak zapadający zmierzch.

Było już ciemno, gdy panicz dotarł z powrotem do domu. Nocka pełna była gwiazd, lecz księżycy ani śladu. W chacie paliły się oba kaganki. Jeden w wewnętrznej izbie, drugi w pierwszej izbie. To tam, w kuchni, siedzieli Iwan i kobieta. Iwan na ławce, kobieta w rogu przy piecu. Nie rozmawiali, tylko tak właśnie siedzieli, kiedy otwarły się drzwi.

– Ależ jest piekielnie ciemno – panicz rzucił od wejścia – wygląda na to, że księżyc późno wschodzi.

– Dopiero koło północy – rzekł Iwan i wstał z ławki.

– No, przyniosłeś wszystko?

– Z uniżeniem, przyniosłem.

– Dobrze. Nakryjcie stół, otwórz butelkę wina i bierzmy się do kolacji! Dajcie chleba, słoniny, kielbasy. Głodny jestem.

Z tymi słowami wszedł do wewnętrznej izby. Iwan zdjął z półki jedną z butelek i zaczął wyciągać z niej korek. Kobieta przygotowywała stół. Postawiła na nim dwa talerze. Iwan uporał się z korkiem, wino postawił na stole, po czym zaczął szperać na półce. Odkroił kozikiem kawałek słoniny, kawałek kielbasy i położył to na jednym z talerzy. Ukroił też kilka kromek chleba i ładnie umieścił je obok siebie na drugim talerzu.

– Daj jeszcze jeden talerz, nóż i widelec! – powiedział Iwan. Kobieta postawiła na stole dwa talerze. Jeden w jednym końcu, drugi naprzeciw tamtego.

– Jeden wystarczy – odezwał się Iwan.

– Drugi dałam dla was, wujku Iwanie.

– Dla mnie? – Rosjanin w osłupieniu przyglądał się przez chwilę kobiecie. – Tak nie można. Na nas przyjdzie kolej dopiero wtedy, kiedy panicz skończy. Daj kieliszek.

– Nie ma kieliszka.

– No to kubek.

Coś było nie w porządku. Kobieta czuła to wyraźnie. Jakby do chaty przybył jakiś obcy człowiek, obcy niemal tak jak ktoś, kogo należy się lękać.

Panicz wyszedł z wewnętrznej izby. Był w samej koszuli. Wesoło rozejrzał się dokoła.

– Całkiem miły tu nastrój – powiedział – tylko te lampy są nieco smutnawe. Musimy je wymienić na większe.

Usiadł do stołu i zaczął jeść. Iwan podszedł tam i nalał wina do kubka.

– Co to? Nie ma kieliszka?

– Z uniżeniem, nie ma.

Panicz zdziwiony spojrzał na kobietę i rzekł:

– A ty z czego pijesz wodę?

– Z dzbanka – kobieta odparła gniewnie i odwróciła się. Coś ją wewnątrz bolało, gdzieś głęboko w środku, bolało w sposób nie do wysłowienia. Pomyślała

o tym, jak jeszcze jesienią oboje bardzo cieszyli się z kaganka, oraz o tym, że pili wtedy wodę z jednego dzbanka i nawet nie przyszło im do głowy, że można by z kieliszka.

– Musimy przynieść też kieliszki, Iwan, nie zapomnij o tym!

– Tak jest, z uniżeniem.

– No a wy nie jecie? Zjedzcie i wy! Jest tu wszystko. I weźcie z półki jeszcze więcej, jeśli trzeba. Iwan, otwórz i dla was butelkę wina!

– Z uniżeniem, mamy czas.

Kobieta słuchała tej rozmowy i wydawało się jej, że słowa dochodzą z daleka, z jakiegoś odległego świata, a ona nie może ich zrozumieć, bo nie zna owego odległego świata. Przycupnęła tam gdzie zazwyczaj, w rogu przy piecu, skuliła się jak ktoś, kto marznie, i tylko przypatrywała się wszystkiemu, jakby była tu obca. Iwan przeszedł do wewnętrznej izby, słychać było, że otwiera drzwiczki od piecyka i dokłada drewna do ognia. Kiedy wrócił, w ręce miał strzelbę panicza, kilka szmat i wycior.

– Z uniżeniem, oddany był z niej strzał? Panicz obejrzał się.

– Nie. Wystarczy, jeśli wyczyścisz z zewnątrz.

Iwan zaczął wycierać strzelbę szmatami, starannie, dokładnie. Panicz jadł z apetytem, zadowolony, wesoły, jak ktoś, kto wie, że wszystko wokół niego jest w jak najlepszym porządku, a on sam jest szczęśliwy, że może być tam, gdzie jest.

– Z uniżeniem, nic nie było na Iszticsó?

– Widziałem dwie siuty i jednego młodego kozła. Stary nie wyszedł z gęstwiny, a przecież jest tam, wiem o tym. Widać to było i po młodym kozle, bo był nerwowy. Na małej łące są też świeże ślady, zryte przez dziki.

– Mieszka tam locha z warchlakami.

– Widziałem. Ale był tam także jeden większy ślad. Całkiem duży.

– To prawdopodobnie będzie jednouchy odyniec, z daleka, z Fulgeruj. Ma zwyczaj czasem tam przychodzić.

– W drodze do domu pogoniłem coś na poloninie. Wydaje mi się, że to były łanie.

– Z uniżeniem, to możliwe. Wychodzą na murawę. Przysłuchiwała się tej rozmowie. Rozumiała każde pojedyncze słowo, ale sens tej rozmowy do niej nie docierał, jakby ci dwaj mówili obcym językiem. Czuła wewnętrzne drżenie. Jakby pozostała sama gdzieś pośród zimnych i wilgotnych skał.

Panicz skończył jeść. Wypił wino, znów sobie nalał i znów wypił. I siedział tam syty i zadowolony.

– Słuchaj, Iwan! Pomiędzy pakunkami znajdziesz galaretkę z pigwy. Taką okrągłą i płaską, wiesz.

– Tak, z uniżeniem, jest tu.

Iwan ostrożnie odłożył strzelbę, wytarł ręce i podszedł do półki. Zdjął

stamtąd coś płaskiego, okrągłego, zawiniętego w papier i położył to przed paniczem.

– Możesz już zebrać ze stołu. No i zjedzcie i wy! Weź dla was, co tam potrzeba, otwórzcie też butelkę wina! Czekał, przedtem podaj mi moją cygarnicę, została w kieszeni kurtki.

Iwan krzątał się bez słowa. Panicz odkroił sobie plasterek słodkości, następnie zapalił brązowy pręt z tytoniem. Wygodnie odchylił się w tył i dmuchał dymem. Jego oczy odszukały kobietę.

– Zimno ci? – zapytał naraz.

– Nie, skądże.

– Siedzisz tam tak, jakby ci było zimno.

Spojrzał na nią w zamyśleniu. Ich oczy się spotkały. Wszystko to trwało jedynie moment, ale w tej właśnie chwili w kobiecie coś drgnęło. Owo dziwne, magnetyczne uderzenie.

– Kury dobrze ci się niosą?

Pytanie przyszło już z oddali, wcale też nie dało się pojąć słów. Jej oczy wniknęły w szare, zamyślane oczy panicza, w istocie rozplynęły się w nich, na karku poczuła owo osobliwe mrowienie i naraz ukazały się obrazy, mętne i obce, szybko, bez ładu i składu, wreszcie pełne migotliwych rzeczy, luster, miękkich przykryć na podłodze, obrazów i z tysiącem nieznanymi wspaniałości oraz z szerokim, wielkim różowym łóżem, a na tym różowym łóżu leżała kobieta, niczym nieprzykryta, w cienkiej jak woal koszuli, a ta koszula była dokładnie tak różowa jak łożo i jak jej ciało... jakaś ciemna kobieta, z długimi rozpuszczonymi włosami, czarnymi oczami, nabrzmiałymi, czerwonymi wargami, a jej oczy i usta śmiały się zalotnie, wabiąc, wyciągała nagie białe ramiona, jakby chciała nimi kogoś objąć, a jej usta rozwarły się, błysnęły z nich bielą zębów, i kobieta wypowiedziała jedno słowo, jedno słowo, którego nie można było dosłyszeć, lecz mimo wszystko trzeba było je natychmiast pojąć: Gáspár...

To było tylko mgnienie. Ów dziki szmer zbiegł jej z karku, wzdłuż pleców, po czym wszystko pociemniało i ta ciemność zaczęła wirować, z piekielną prędkością kręciły się w niej gwiazdy i księżyce, coraz prędzej, wokół jednego jedyne punktu centralnego, a tym centrum stały się mięsiste czerwone usta kobiety, i nagle księżyce, gwiazdy i sama ciemność poczęły spadać ku środkowi jednym strasznym spadaniem, coś głucho dudniło, iskrzyły czerwone światła, aż w końcu wszystko oblekł czarny nieprzenikniony mrok.

Kiedy oprzytomniała, poczuła, że leży wyciągnięta, na plecach. Ktoś przecierał jej skronie chłodną, wilgotną szmatką. Z bardzo, bardzo daleka doszły ją słowa:

– To już, a i owszem, wiąże się z kobietami w taki czas – mrucał jakiś głos, długo zaś po nim inny westchnął:

– Ajajaj... tego się nie spodziewałem, a niech to diabli!... Otworzyła oczy. Leżała na łóżku, wyciągnięta, podobnie jak leżą umarli. Jej pierwsze spojrzenie padło na kaganek, który zwieszał się spomiędzy belek. Jego światło oślepiło ją.

– To... jest smutnawe?... – zapytała, lecz słowa wypadły jej z ust, zacinając się, i zrozumiała, że nie mają żadnego sensu.

Pochyliła się nad nią brodata twarz Iwana.

– Co mówisz, duszyczko? Coś cię boli?

– Nie, skądże.

Znów przymknęła oczy.

– Zaśnij, odpocznij sobie! – wymruczał głos Iwana. Ktoś okrywał ją kocem.

– Trzeba ją zostawić, żeby sobie odpoczęła. No cóż, tak to już jest w taki czas.

Czuła, że ten głos ma rację. Trzeba odpocząć, odpocząć. Spać dobrym, głębokim snem, o niczym nie myśleć. Powieki jakby się jej skleiły. Gdzieś wyzwoliło się jakieś wielkie, ogromne zmęczenie i powoli rozlało się po całym jej ciele. Było niczym ciemna woda powodzi, która ją zakrywała, unosiła z sobą, kołysała, aż wreszcie i ona sama poczęła się w tej wodzie łagodnie zanurzać. Jeszcze jakby jakiś osobliwy wiatr przyniósł z oddali strzępy słów, głos wydawał się znajomy, lecz już nie wiedziała, do kogo może należeć.

– Spisałem tu wszystko. Jutro zanieziesz to na dół, do Gyerkó. Masz tu też pieniądze. Niech Gyerkó zajdzie pojutrze do Toplicy, tam może to wszystko kupić. Rozumiesz? Jak Gyerkó wróci, przyniesiesz te rzeczy na górę. Czekać, zapiszę jeszcze dwie lampy, największe, jakie tylko Gyerkó dostanie. Kieliszki już zanotowałem. Wino, smalec, mydło do mycia, mydło do prania, tutaj na górze, jak sądzę, nie ma czegoś takiego... no i jeszcze... jakiś prezent dla niej... licha wie, co to miałoby być... mam w tym do Gyerkó zaufanie...

„Zaufanie... zaufanie...” – jeszcze kilka razy zabrzączało to gdzieś z wielkiej dali, podobne znikającemu echu, po czym wszystko utonęło.

Kiedy się obudziła, było ciemno. Przez okno zaglądała gwiazda, jakby patrzyła wprost na nią, do niej mrugała. Miała dziwny blask. Była jak oko, które widzi w ciemności.

Długo leżała bez ruchu i obserwowała tę gwiazdę. Z czeluści pamięci z wolna wylaniały się na powrót rzeczy, związki i obrazy. Pojawiały się, hałasowały wokół, wypełniały izbę. Przygniatały ją, pod ich zimnym, wielkim ciężarem ledwie już mogła oddychać.

Raptem poruszyło się dziecko. Było to jedynie kilka drobnych ruchów, ledwie wyczuwalnych. Lecz od nich naraz wszystko się zmieniło. Ucisk zelżał, obrazy pochowały się gdzieś daleko. Ustąpiły miejsca przyszłości.

Wyobraziła sobie dziecko, jak biega po polanie za owieczkami. I ono ma na imię Gáspár. I to właśnie zwiąże ich dwoje – dziecko. Na próżno będzie wówczas

odchodził dokądkolwiek, koniec nici zostanie na hali Komárnyik, w jej ręce. Od czasu do czasu powróci, i wtedy będzie tu, w domu. Już nigdy się stąd nie oderwie. Nawet jeśli nie może w pełni być jej, bo urodził się panem, a panowie mają inne prawa, to jednak zawsze pozostanie trochę także i jej, i może tak też będzie dobrze, skoro nie może być inaczej.

Nim uporowała się z tą rezygnacją, na dworze poczęło świtać. Bledniejąca szarówka połknęła gwiazdy. Posłyszała ruch za domem. Wstała, wyszła. Przed szopą Iwan siodłał konia.

– Lepiej się czujesz? – zapytał.

– Nic mi nie jest, wujku Iwanie – odparła i weszła do szopy. Kiedy doła krowę, słyszała, jak Iwan odchodził z koniem. Zniosła mleko do chaty, rozpałała ogień. Na półce było jeszcze kilka jaj, zebrała je, ukroiła kilka plasterów słoniny i zrobiła jajecznicę. W wewnętrznej izbie poruszył się panicz.

Nim nakryła do stołu, już wyszedł. W samej koszuli, potargany, z ręcznikiem na ramieniu, z przyborami do mycia w ręce.

– Dzień dobry, Nuca!

– Dzień dobry!

– Lepiej się już czujesz?

– Nic mi nie jest.

Panicz zszedł do źródła, umył się, nareszcie wrócił. Pachniał świeżo, mydłem, jego gładko zaczesane mokre włosy błyszcząły, gdy siadał do stołu. Wcześniej pociągnął łyk z manierki z palinką i dopiero potem zaczął jeść. Jadł z dużym apetytem. Kobieta przyglądała mu się. Usiadła na brzegu łóżka i tak nań patrzyła z tyłu, jak jadł. Na jego gładko zaczesane włosy, czystą pańską rękę, delikatnie tkaną koszulę opinającą mu plecy, i czuła, że tam przy stole siedzi człowiek z innego świata. Było to uczucie nieco smutne, ale taka była prawda, i trzeba ją było przyjąć taką, jaka jest.

Panicz skończył jeść, pochwalił jajecznicę, mleko, po czym wstał od stołu, wszedł do wewnętrznej izby, włożył kurtkę i kapelusz, zawiesił na ramieniu strzelbę i znów wyszedł.

– Do południa wrócę – rzucił od progu – ale teraz to już na pewno przyniosę jakieś mięso.

– Przyda się – odpowiedziała kobieta, wycierając zmyte naczynia.

Potem jeszcze patrzyła za nim przez otwarte drzwi, gdy w blasku pierwszych promieni słońca, w odpływającej srebrzystej mgłę podążał polaną powoli i bez wysiłku, z jakąś sprężystą pewnością w chodzie, jak ktoś, kto wszędzie na tym świecie jest u siebie.

Potem została sama. I to nawet nie było złe, bo przecież tyle jeszcze rzeczy miała do zrobienia: wydoić owce i kozy, wypuścić je do wody, pognać na łąkę, uporządkować chatę, nanosić wody i drewna, same ważne sprawy, które wszystkie

należą do tego, kto jest u siebie i panuje nad tym jako gospodarz.

To ja jestem tutaj gospodarzem – pomyślała w duchu – a on jest gościem.

Nie mogła się nie uśmiechnąć na tę myśl, bo było to dziwne. Czowała jednak, że nawet i za całą tą dziwnością kryje się prawda, nieco smutna prawda.

W południe panicz rzeczywiście przyniósł obiecane mięso. Miał na plecach wielkiego kozła z Iszticsó. Natychmiast powiesił go na choinie za domem, oprawił, odpiłował rogi, rozebrał mięso. Csobán stał przy nim, strzygł uszami i chwycił, kłapiąc, rzucane mu skrawki mięsa.

Panicz sprawił się świetnie, nawet żaden strażnik leśny nie powstydziliby się takich umiejętności. Kiedy już i rogi gotowały się na piecu, a skóra, starannie natarta popiołem, trafiła na stryszek, jeszcze zrobił porządek ze strzelbą, następnie zrzucił z siebie koszulę i zszedł do źródła. Tam zupełnie się rozebrał i długo się mył. Zabrał z sobą także małe lustreczko i ogolił twarz. Kobieta przypatrywała mu się z progu jak ktoś, kto obserwuje zwyczaje obcego człowieka. Szczupłe, umięśnione męskie ciało swym doskonałym pięknem obudziło w niej wspomnienia niegdysiejszej jesieni, ale wspomnienia te były spokojne i piękne i nie zakłócało ich ani pragnienie, ani gorycz.

– Możesz ją uprać – rzekł panicz, rzucając w kąt zdjętą z siebie brudną koszulę, gdy przyszedł na górę od źródła, ze starannie ogoloną twarzą, z kroplami wody błyszczącymi na piersi. – To nic pilnego, Iwan przywiezie potem mydło do prania.

Na chwilę wszedł do wewnętrznej izby, a kiedy pojawił się znowu, był w świeżej, ładnie pachnącej koszuli, taki czysty, że kobieta nawet nie śmiała by go dotknąć.

Na obiad usmażyła mu wątrobę sarny. Potem panicz położył się, trochę odpoczął, nareszcie znów wziął strzelbę na ramię i poszedł. Wrócił dopiero po zmroku.

Nazajutrz też wyruszył o świcie, w południe wrócił do domu, umył się, ogolił, zjadł, odpoczął i dalej w las, aż do zapadnięcia zmroku. I tak było co dzień, przez cały ten czas. Był tam, a jakby go nie było. Był gościem, który od czasu do czasu wydawał dyspozycje, zachodził do domu zjeść, przespać się, umyć się, ale poza tym nic go nie obchodziło. Niewiele słów zamieniali ze sobą, wieczorami oboje byli śpiący i zmęczeni, a za dnia brakło na to czasu. Niekiedy panicz przynosił sarnę, jarzabka, grzybów tyle, ile zmieściło się w kapeluszu, kobieta zaś czasem zbierała kwiaty i ozdabiała nimi wewnętrzną izbę, kiedy indziej stawiała na stole poziomki.

Czwartego dnia przyszedł Iwan z zakupami. Zawiesili nowe lampy, wszystko wypakowali osobno, ułożyli to, co do jedzenia, wino, osobno mydło, olej do lamp i całą resztę. Wśród zakupionych rzeczy znalazły się też kolorowe cukierki oraz grzebień, małe lustreczko, małe nożyczki, te panicz wręczył kobiecie, ona

pięknie za nie podziękowała i na tym się skończyło. Wieczorami w izbach było jaśniej, jedzenia mieli pod dostatkiem, ale o tym już nie rozmawiali. Niekiedy przychodził na górę Iwan. Towarzyszył paniczowi tu czy tam, omawiał z nim różne sprawy związane z dziką zwierzyną, zbędne mięso zanosił na dół do siedliska lub do Ferenców, oprawiał zwierzęta, czyścił strzelbę, ubranie, buty panicza, po czym znikał na kilka dni. Raz był na górze i Birtalan, przyniósł ryby, dwukrotnie pojawił się Dumitru, swoim zwyczajem burczał coś o wilkach, które przyłazą tu z Görgény, a raz zawitał nawet Vénség z Dószul Fulgeruj i opowiadał o wielkim niedźwiedziu i o rysiu. Lecz wszyscy wkrótce odchodzili, a oni na powrót zostawali w chacie tylko we dwoje.

Tak ósmego czy dziewiątego dnia rozpadało się. Już od samego rana była straszna duchota i ani odrobiny wiatru. Słońce prażyło. Drzewa zastygły w bezruchu. Nareszcie po południu pojawiły się ponad Görgény czarne chmury i nawet gdzieś daleko zagrzmiało. Wtedy już wszystkie owce zbiły się w kupę w cieniu na skraju lasu i nie miały ochoty dalej się paść.

– Będzie burza – rzekł panicz – już od rana nie ruszała się dzika zwierzyna. Jeśli przeszłaby silna ulewa, na wieczór mogłaby się zrobić doskonała pogoda na tropienie zwierzyny.

Nie poszedł, jak zwykle, tylko wyniósł przed dom koc i wyciągnął się na nim.

Kobieta krzątała się, wykonywała swoją robotę. Chmury coraz bardziej pęczniały, grzmoty przybliżały się.

– Nie przyjdiesz tu do mnie? – spytał nagle panicz.

– Mogę przyjść – powiedziała i przysiadła w rogu koca, u nóg panicza. Ten objął ją za ramiona i pociągnął w dół ku sobie. Pozwoliła. Wyciągnęła się delikatnie i podniosła wzrok na niebo. Panicz pochylił się nad nią i zajrzał jej w oczy.

– Zrobiłaś się taka poważna, Nuca.

Kobieta nie oddała mu spojrzenia. Jej oczy w dalszym ciągu wędrowały wysoko po niebie. Milczała.

– Pamiętałem ciebie jako wesołą dziewczynkę. Piękną wesołą dziewczynkę. A w miejsce wesołej dziewczynki znalazłem poważną kobietę.

– Zbrzydłam? Już się wam nie podobam?

Lecz tylko słowa pytały, oczy w dalszym ciągu wypatrywały czegoś na niebie. Panicz przyciągnął ją ściśle ku sobie, jego ręka wśliznęła się pod koszulę i chwycił jej pierś.

– Głuptasku. To nie ode mnie zależy... nie czujesz tego?

Oczy kobiety z wolna zeszyły z nieba w dół i odszukały spojrzenie mężczyzny.

– A więc kochać... można tylko tak? – zapytała ze zdziwieniem.

Panicz osłupiał, zmieszał się, twarz mu spoważniała.

– Nie rozumiem... co mówisz?

Kobieta usiadła. Odsunęła od siebie ręce mężczyzny i poważnie wejrzała mu w oczy.

– Powiedźcie... to, że kogoś kochamy... to znaczy tylko to?

– Nie, skądże... tylko wiesz... – Na jego twarzy widać było zakłopotanie. Usiłował szybko znaleźć jakiś pomost pomiędzy słowami, który pomógłby mu pokonać tę przepaść. – Jeśli człowiek jest młody i zdrowy, to są w jego ciele pragnienia, które...

– To co innego. Ale miłość?

– No ta przecież i tak jest. Tyle że...

– Tyle że?

– Ach, ależ jesteś głupia! No nie rozumiesz, że tylko święci i starcy są w stanie żyć w niewinności?!

Lecz daremna była ta udawana złość, nie zmylił kobiety. Trzymała się śladu, podobnie jak dobry gończyk.

– Co to znaczy żyć w niewinności?

– Doprawdy, głupia jesteś. No że tego nie robisz!

– A jeśli tego robię, to wtedy nie ma także i miłości? – kobieta z uporem powróciła do pytania.

– Ależ skąd, jest. Ale i to jest potrzebne. Kobieta kręciła głową w zamyśleniu.

– Nie, coś tu nie jest w porządku.

– Co nie jest w porządku? – spytał panicz z irytacją.

– Jesienią byliście wobec mnie dobrzy, mili i kochaliście mnie. Potem odeszliście. Powiedzieliście, że wkrótce wrócicie, a nie wracaliście długo. Bardzo długo.

– Słuchaj, no przecież już mówiłem...

– Nic nie mówcie! Kiedy już trzeba coś mówić, to lepiej, żeby człowiek nic nie mówił. Bo widzicie, wtedy, jesienią, też były dni, kiedy nie zdarzało się pomiędzy nami coś takiego. A mimo wszystko byliście wtedy inni aniżeli teraz. Teraz jesteście tacy, jakby między nami coś zaszło. W tym czasie, gdy się nie widzieliśmy.

– Głupstwa opowiadasz.

Głos mężczyzny był ochryply. Oczy przyglądały się chmurom, które już w połowie przysłoniły niebo. Ponad choinami na połoninie błyskało się raz za razem, a odgłosy piorunów pobrzmiwały zwielokrotnionym dudnieniem. Kobieta z wolna pochyliła się w przód i wbiła wzrok w oczy mężczyzny.

– Jak nazywa się tamta kobieta? – spytała, cedząc słowa. Panicz wzdrygnął się i zrobił wielkie oczy.

– O jakiej kobiecie mówisz?

– Która leży w różowym łożu, przed jej łożem jest biała niedźwiedzia skóra, a koszula na jej ciele prześwituje niczym pajęczyna, o tak...

Wzrok panicza zastygł, jakby zobaczył ducha.

– Skąd o tym wiesz?

Twarz miał czerwoną, a głos z charkotem dobył mu się z gardła. Kobieta uśmiechnęła się smutno.

– Widzę to w waszych oczach. Teraz też ją widzę. Leży tam na łożu, nie ma na sobie przykrycia i jest dużo piękniejsza aniżeli ja... widzę jej ciało i czuję, że jest gorące... podaje usta do pocałunku, a nad jej piersią widać maleńką szramę, małą białą kreseczkę...

Panicz wzdrygnął się i z przestrachem poderwał się z koca.

– Jesteś czarownicą!

W tym momencie na niebie ponad nimi huknął silny grzmot. Nisko nad halą przemknął wiatr i przyniósł z sobą cierpki zapach dartego listowia. Wysoko na połoninie poczęły buceć świerki. Ogromne chmury połknęły słońce i mrok przydusił lasy. Sowa ze ściągniętymi skrzydłami wpadła w buczynę. Kilka przestraszonych gołębi grzywaczy z szumem przecięło zgęstniałe powietrze. Gdzieś w przerażeniu trzasnęło drzewo. Kilka ciężkich kropel spadło na polanę.

– Chodźmy do środka – rzucił panicz i chwycił za róg koca. Kobieta podniosła się z wolna, zgarnęła z czoła kilka kosmyków włosów, a twarz wystawiła do wiatru.

– Chodźmy! – ponaglił panicz, zbierając koc z ziemi.

Krople spadały coraz gęściej. Błyskawica przecięła chmury, a jej śladem zaraz poszedł ostry huk. Owce biegły w dół polaną, za nimi pędziła kłusem krowa, a na końcu gnał pies.

– Hoo, hoo, stój! – kobieta zawołała ku zwierzętom. – Hoo, hoo, stój!

Po czym ruszyła, żeby otworzyć im drzwi szopy.

Kiedy przyszła do chaty, w halę z dziką furią waliła już ulewa, zaciągając przed polaną szarą zasłonę wody. Ponad Fulgeruj grzmiało niebo i błyskawica następowała za błyskawicą.

Kobieta dotarła do progu przemoczona do suchej nitki. W chacie było ciemno. Rozpaliła ogień, żeby się wysuszyć. Z wewnętrznej izby wychynął panicz i usiadł przy stole. Kobieta szeroko rozwarła drzwi, żeby nie było tak ciemno. Wlewał się przez nie zapach burzy i chłodny wiatr. Przyjemny był ogień.

Przez jakiś czas siedzieli w milczeniu, wyglądali przez drzwi. Panicz przy stole, przed nim butelka wina i kieliszek. Kobieta w rogu przy piecu. Ulewa powoli uspokajała się. Wiatr łagodniał, niebo się przecierało, grzmoty słychać było już tylko z oddali, gdzieś od strony Gór Kelimeńskich. Deszcz padał jednostajnie, z nieba jakby zwieszały się szare sznurki, hala zniknęła we mgle...

Panicz pierwszy przerwał milczenie:

– Naprawdę widziałaś to w moich oczach?

– Tak.

Potem ponownie, po długiej ciszy:

– Wiesz, to było tak...

– Trzeba o tym mówić?! – kobieta przerwała mu gwałtownie. Panicz spojrział na nią ze zdziwieniem.

– Oczywiście, że trzeba. Skoro i tak już wiesz.

– Wolelibyście, żebym nie wiedziała?

– Tak.

Odpowiedź nadeszła w sposób zdecydowany. Kobieta spuściła głowę i cicho westchnęła.

– Czekaj – zaczął panicz – teraz już trzeba o tym pomówić. Nalał sobie kieliszek wina i wypił jednym haustem.

– Słuchaj, to stało się tak... Zacznę całkiem od początku, dobrze? Kiedy stąd wyjechałem...

Deszcz nie ustawał. Przez otwarte drzwi wiatr wtaczał do chaty zapach mokrego lasu, w mroczniejszej izbie płonął ogień, cicho potrzaskując, a słowa jedno za drugim kroczyły przez tę przemoczoną szarówkę i na swych przygarbionych plecach przynosiły obcy świat. Kobieta przycupnęła w kącie przy piecu i słuchała wolno snutej opowieści, spokojnego głosu, a poprzez tę mowę widziała obrazy, które w sposób smutny, wręcz straszny, były obce, świat, który nie był jej, którego praw nie rozumiała, jego język był obcy, zwyczaje dziwne, a sposób myślenia nie do pojęcia. Rozpostarł się przed nią ów obcy świat, straszliwy w swych rozmiarach, a ona tylko tak siedziała, przycupnięta na jego brzegu, nawet już i nie rozumiała słów, wcale też na te słowa nie uważała, z tego wszystkiego tyle tylko rozumiała, że zdecydowaną i nieubłaganą pewnością, że mężczyzna, który siedzi tam przed nią przy stole, przynależy do innego świata. To tam trzymają go jakieś nieuchwytnie korzenie, to tam przynależy on sam, jego odzienie, mowa, sposób myślenia, to z tamtego świata pochodzi jego koszula, wygolone na gładko oblicze, mydło, którym myje ręce, wszystko pochodzi z tamtego świata, który się z nim wiąże. I że tu, na hali Komárnyik, jest gościem jedynie, rzadkim gościem, który przybył z daleka, podobnie jak tamten czarny bociek z czerwonym dziobem i czerwonymi nogami, co wiosną przyfrunął na polanę.

Reszta już jej nie interesowała. Wcale też nie zwracała uwagi na słowa. Przymknąwszy oczy, słuchała tylko melodii mowy i czuła, jak więźnie w przygniatającej ją żałobie. Wiedziała, że taki jest los i że nic nie można nań poradzić, można go jedynie znieść. Przyjąć do wiadomości i dźwigać jak coś, czego nie da się zmienić. Tak jak dźwigać trzeba zimę, chłód, pracę, życie. Wcale

też nie zauważyła, że mężczyzna przerwał opowieść, przez jakiś czas patrzył przed siebie, potem napełnił kieliszek winem aż po brzeg i wypił. I wcale też nie zdziwiła się z powodu jego słów, kiedy znów się odezwał:

– No więc tak to jest, Nuca. A teraz, skoro wszystko wyjaśniliśmy sobie bez ogródek, powiem i to, jakie mam wyobrażenie co do przyszłości. Ty będziesz żyła tu wysoko w tym domu, otrzymasz ode mnie porządne zaopatrzenie, wszystko, czego będzie ci trzeba, strażnicy leśni będą mieć staranie, żeby niczego ci nie brakowało. A ja od czasu do czasu przyjdę tu na górę na polowanie i wtedy będziemy żyć naszym osobnym życiem, w tym innym, piękniejszym, czystszy i prostszym świecie. Potrzebna mi jesteś tutaj wysoko niczym taka dająca odpoczynek, czysta, cicha wyspa, gdzie mogę się czasem schronić... rozumiemy się, Nuca?

– Rozumiem wszystko – kobieta odpowiedziała cicho, a jej głos był przytłumiony.

– Posłuchaj, gdybym zabrał cię z sobą na dół do tamtego świata, cóż byś tam poczęła? – próbował się usprawiedliwić. – Nawet byś nie wiedziała...

– Zostawmy to! – kobieta przerwała mu, wyraźnie znudzona, i wstała.

– No i też dziecko...

– Zostawmy to! Dobrze?

Przegrzebała żar, następnie rzuciła nań nowego drewna. Mężczyzna w milczeniu siedział przy stole i wyglądał przez drzwi. Na dworze padał i padał deszcz. Drobnny, uporczywy, szary.

– Prawda, Nuca, że nie ma między nami gniewu?

– Gniewu? – kobieta roześmiała się. – Przestańcie już...

– No to chodź, wypij kieliszek wina!

– Wiecie, że nie lubię.

– Ale teraz! Jeden kieliszek na zgodę.

– No dobrze. Ale tylko jeden łyk.

– No to przynajmniej jeden łyk!

Wyciągnął ku niej kieliszek. Kobieta liznęła napój.

– No a teraz pocałuj mnie!

Ich wargi zetknęły się na dłuższą chwilę. Kobieta owładnął jakiś delikatny zawrót głowy, coś w nim przypominało o jesieni. Jej ręka pogłaskała włosy mężczyzny. Nareszcie kobieta usiadła z powrotem przy piecu.

– Powiedz... bardzo jest teraz tobie źle? Mam na myśli, czy jest ciężko, tak, z dzieckiem...

– O, gdzie tam – zaśmiała się kobieta – gdzie tam! Cieszy mnie.

Spojrzył na nią ze zdziwieniem i zapytał:

– Cieszy cię? Myślałem...

– Taki jest porządek rzeczy, żeby tak się stało. Czyż nie? Panicz nie odezwał

się więcej. Siedzieli w milczeniu, a na zewnątrz padał deszcz i na jego cieniutkich nitkach opuścił się wieczór.

Potem więcej już nie rozmawiali o tych sprawach. Kładąc się, panicz tak powiedział:

– Słuchaj... chciałbym, żebyś położyła się przy mnie, jak dawniej...

Kobieta zarumieniała się z radości, lecz potrzęsnęła głową.

– Nie – odrzekła – teraz jestem brzydka. Teraz nie.

Nazajutrz deszcz padał nieprzerwanie. Panicz do południa powalał się po domu, po południu już nie wytrzymał. Zrzucił strzelbę na ramię.

– Wyjdę gdzieś – rzucił – a nuż coś się poruszy.

Dotarł do domu wieczorem, przemoczony. Nawet i jego bieliznę trzeba było powiesić nad piecem, żeby wyschła.

Kolejny dzień też zaczął się deszczem. Jednak około południa chmury przetańczyły się i po kilku minutach wyrzało słońce. Panicz ruszył ku Sestinie, jednakże później niebo znów się zachmurzyło i pod wieczór już na powrót zaczęło mżyć. Na Sestinie widział tylko jednego dzika, ale nim zdjął z ramienia strzelbę, ten uskoczył. Panicz wrócił do domu przemoczony i w złym humorze.

W nocy nadszedł wiatr. Świszczał na strychu i zawzięcie szorował niebo. O świcie ustał. Powietrze było chłodne i czyste. Kiedy kobieta otworzyła drzwi, u górnego skraju polany jakaś sarna wszczęła alarm.

Kobieta przeszła do wewnętrznej izby.

– Wstawajcie! Czekają na was sarny! Panicz sennie usiadł na łóżku.

– Co? Co mówisz? Zaśmiała się do niego.

– Czekają na was sarny. Wypogodziło się!

Panicz w pośpiechu zakończył śniadanie. Gdy wyszedł ze strzelbą za próg, słońce przeczesywało czubki świerków wysoko na połoninie. Poranek był chłodny, przyjemnie pachnący. Z drzew jeszcze kapła woda, z lasów podnosiły się mgły.

– Idę w stronę Pável – rzekł – w taki czas wszelka dzika zwierzyna szuka polan.

– Tylko żebyście mi wrócili na obiad!

Zaśmiali się do siebie. Nareszcie panicz poszedł.

Tamtego przedpołudnia na skraju łąki kośnej rozkwitły pierwsze dzwonki. Kobieta zebrała je, wmieszała w nie złocenie i drżączki, i postawiła w dzbanku na środku stołu. Śmiała się od nich cała izba.

W południe nadszedł panicz. Przyniósł na plecach kozła. Ledwie z nim załatwili, ledwie usiedli do obiadu, wszedł Iwan.

– Z uniżeniem, przyniosłem list.

Panicz przebiegł wzrokiem ten list, twarz mu spoważniała, po czym list złożył i wcisnął go do kieszeni.

– Zjedz, Iwan, potem poskładamy rzeczy, duża część i tak tu zostaje,

i ruszymy. Na wieczór muszę być w Dédzie.

– Wyjeżdżacie? – spytała kobieta i poczuła, że blednie.

– Niestety – panicz odparł krótko i wszedł do wewnętrznej izby. Zabrali niewiele rzeczy, Iwan zmieścił je w plecaku, panicz zaś wziął jeszcze strzelbę i już wychodzili.

– Kiedy mogę się was spodziewać z powrotem? – kobieta spytała w progu.

– Z powrotem? – panicz spojrział na nią ze zdziwieniem, po czym roześmiał się. – A tak! Wiesz, to będzie takie trochę dłuższe tropienie zwierzyny. Nie wiem, kiedy znów będę tu mógł przyjechać, ale chciałbym tu być, kiedy na sarny można będzie zapolować na wab. Z Panem Bogiem!

– Niech Bóg wam dopomoże! – powiedziała cicho kobieta i pozostała tam, gdzie stała, w progu.

Po kilku krokach panicz raptem zawahał się i zawrócił. Z kieszeni wyjął skórzany portfel.

– Czekaj – powiedział – zostawię ci tu pięćdziesiąt forintów. Kup, czego ci będzie trzeba. No i koniecznie dziecku, wiesz. Co do krowy, to nie frasuj się, przyślę ci inną, świeżo ocieloną. Serwus!

I kobieta pozostała tam w progu, z pieniędzmi w ręce.

Kilka dni później przyszedł na górę Iwan, miał z sobą kosę, i wziął się do trawy. Świeciło słońce, pokos ścielił się gęsto, oselka wesoło stuknęła na hali, a kobieta, szykując obiad, przymknęła oczy i myślała o tym, jakże byłoby inaczej, gdyby to jego kosa stuknęła tam na dworze... jakże byłoby pięknie. I z jakąś piekącą goryczą czuła, że tak byłoby prawidłowo i tylko tak wszystko mogłoby być naprawdę w porządku. Ale cóż, skoro on jest panem... Panowie, niestety, nie koszą.

Później zaniósła obiad na skraj polany. Siedli pod choiną, Iwan jadł, kobieta zaś patrzyła na skoszone rzędy, na olśniewające słońce, na chybotliwie fruujące motyle. Ogarnął ją jakiś dziwny smutek i bezwiednie westchnęła.

Iwan podniósł na nią wzrok, ale jadł dalej. Po pewnym czasie tyle rzekł:

– A i owszem, a i owszem. Tak to jest z panami, sama widzisz. Jakby tym zdaniem zamykał długą rozmowę. Kobieta w milczeniu potakiwała głową.

– No a poza tym Birtalan poszedł do Dédy po krowę. Będzie tu z nią jutro.

– Powiedźcie, wujku Iwanie – spytała kobieta – czy panom jest tak dobrze, z takim życiem? Z tym mnóstwem dziwaczności, grymaśnych zwyczajów, z tą pogonią i w ogóle z tym wszystkim? Czy jest im dobrze z tym, jak żyją?

Rosjanin dłuższą chwilę zastanawiał się nad tym pytaniem. Minęło trochę czasu, zanim odpowiedział. Wcześniej zjadł obiad, następnie zapalił fajkę, wyciągnął się na trawie i dopiero wtedy.

– Widzisz, nad tym i ja wiele rozmyślałem. Ale sądzę, że nie jest dobrze. Tyle że nic innego nie mogą uczynić. Takie jest ich życie, urodzili się w tym, jak

konie na parady rodzą się w szorach, i muszą biec. Urodzili się w tym. Pośród wielu dziwnie zdobnych rzeczy, wielu dziwnych zwyczajów, i nie mogą ich z siebie zrzucić, bo wtedy pozostali wykluczyliby ich spośród siebie. A przecież każdy z nich chciałby żyć zwyczajnie i robić coś zupełnie innego aniżeli to, co musi robić. Jednak boją się siebie nawzajem, dlatego tego nie uczynią. Panowie, wiesz, żyją bardzo dziwnie. Wszystko mają, a mimo to trapi ich tysiąc razy więcej trosk aniżeli prostych ludzi. Niektórzy z nich ledwie już sobie radzą z tak wieloma troskami. Kiedy ich widzisz, mogłabyś pomyśleć, że do jutra ich rodziny w domu nie będą już miały co jeść albo... czy ja wiem... jakież to kłopot mógłby zrodzić się z tego, że jeszcze jeden dzień poświęciliby na to, żeby cieszyć się lasem i wolnością. Bo bardzo lubią wolność i las. Jednak ledwie się w nich trochę rozluźnią, już gonią z powrotem. Wręcz łkają, tak nieprzyjemne jest dla nich to, że muszą wracać. Ale wracają. Powiadają: mus. Czeka nadzupan albo też minister, albo czy ja wiem kto. I tak to mówią, jakby od tego zależało ich życie czy też to, co będzie jeść ich rodzina w domu. Po czym od stangreta albo lokaja dowiadujesz się, że na tamten dzień przyjeżdża do nich tylko jakiś inny pan, dlatego za wszelką cenę trzeba wracać. To, wiesz, u nich jest już jak jakaś choroba, z którą się urodzili. Człowiek tak naprawdę może ich tylko żałować. Żeby z takim majątkiem żyli tak jak ostatni sługa, któremu wolny czas pan odmierza w minutach. No to na co mają cały ten majątek? Skoro nie mogą żyć w sposób wolny, skoro nie mogą cieszyć się wtedy, kiedy chcą, ani nie mogą uczynić tego, co sprawia im przyjemność?! Jedni drugich męczą, mówię ci, jedni drugich! Ino czort wyznaje się na nich. Ano tacy są panowie.

Wzruszył ramionami, nareszcie wziął kosę i zaczął ją ostrzyć. Na drugi dzień rzeczywiście przyszedł Birtalan z nową krową. Było to piękne zwierzę o wielkich wymionach; mucząc, szło przez połoninę, bo to tamtędy, od strony Fileháza przybył z nią Birtalan. Krowa muczała nawet jeszcze i w szopie i coraz to odwracała się w kierunku drzwi, bo poprzedniego dnia rzeźnik odebrał jej cielę.

– Od tej będziesz miała tyle mleka, że nawet nie będziesz wiedziała, co z nim robić – rzekł Birtalan, kiedy przywiązywali krowę.

– To dobrze – kobieta ucieszyła się i poklepała niespokojne zwierzę po zadzie.

– Kiedy spodziewasz się dziecka? Kobieta wzruszyła ramionami.

– Skąd mam wiedzieć?!

– Co mówisz? – zdumiał się Birtalan. – No chyba wiesz! Przecie każda kobieta to wie!

– Skąd?

– No... posłuchaj, to jest dziewięć miesięcy, jak u krowy.

– Naprawdę? – rzeczywiście ucieszyła się tym odkryciem. – Czekaście no! Jak też idą miesiące?

– Zależy, od kiedy liczyć.
– Ano... powiedzmy od końca rykowiska.
– Rykowisko. Więc to będzie październik. Listopad, grudzień, styczeń, luty, marzec, kwiecień, maj, czerwiec, lipiec... słuchaj, przecie niewiele to już zostało! Mamy teraz połowę czerwca.

– Niewiele? – kobieta wytężyła uwagę. – Ile?

– Ano... trzy tygodnie, coś takiego... to zależy.

Kobieta w zamyśleniu popatrzyła w dal i uśmiechnęła się.

– To dobrze, wujku Birtalanie.

– Czemu dobrze?

– Bo to już nudne, wiecie, chodzić z takim wielkim brzuchem. Stary mruknął jeszcze, że co nie ma nudnego początku, to niech i końca nie ma takiego, po czym poszedł do Iwana, który akurat kończył pokos. Tam usiadł i patrzył, jak rzędy kładą się pod kosą. Później także kobieta dołączyła do nich. Przyniosła ze sobą widły, żeby przewracać skoszoną trawę. Wtedy i Birtalan znalazł jakieś widły i wziął się do roboty. W milczeniu pracowali wszyscy troje, w trzech różnych miejscach. Pierwszy skończył Iwan. Zszedł do chaty, umył się przy źródle i przysiadł w cieniu odpocząć. Wkrótce także Birtalan skończył na swojej części, chwilę posiedział, popatrując na kobietę, wreszcie podniósł się i ruszył do pasących się zwierząt. Przymocował krowie sznur do rogu i zaczął ją prowadzić. Na dole krowę uwiązał przy drzewie i usiadł razem z Iwanem na ławce przed domem. Długo tam siedzieli i o czymś rozmawiali.

Kobieta skończyła ostatnia swoją robotę. Kiedy zeszła na dół, obaj mężczyźni powstali z ławki.

– No to ja zabiorę tę drugą krowę – powiedział Birtalan.

– Jutro znów obróć siano – rzekł Iwan – a na wieczór zbierz je w kopki! Jeśli utrzyma się ładna pogoda, pojutrze zajdę tu na górę z końmi i siano zwieziemy. Jeśliby przyszedł deszcz, uważaj, żeby kopki były spiczaste, a i przyciśnij je gałęziami, żeby wiatr ich nie rozniósł.

– Nie bójcie się! – uspokoiła go kobieta.

– Utrzyma się pogoda – ocenił Birtalan.

Pożegnali się i poszli. Pogoda rzeczywiście utrzymała się. Na trzeci dzień Iwan przyprowadził konie i zwieźli siano. Było pięknie zielone, pachnące i suche. Po prostu lepsze już być nie mogło. Kiedy już całe było w kupie, Iwan fachowo zmierzył je wzrokiem.

– Przejimujesz na nim. Tak. Bez względu na to, jak rychło nastanie zima.

Długo dreptał w przód i w tył, widać było, że jeszcze coś chce powiedzieć. Wreszcie zebrał się na odwagę i zapytał:

– Słuchaj, czy mam pomówić z pszczelarzami, tam w dole? Z Ferencami? Żeby cię do siebie wzięli, aż urodzi się dziecko... mimo wszystko, gospodyni...

– Co wy myślicie?! – przestraszyła się kobieta. – Do tamtego domu?
– Ale... – spróbował jeszcze Iwan. Kobieta protestowała. Kręciła głową.
– Nie, wujku Iwanie. Nie do tamtego domu. To nie jest taki dom. Tam... jest ogrodzenie!

– Ale... sama? Jak ty to sobie wyobrażasz, sama?

– Co?

– No... wydać na świat dziecko i tak dalej...

– O – odparła kobieta, śmiejąc się – przestańcie już... No a sarny, a one to jak...? Przestańcie już!

– Słuchaj, to co innego. One są sarnami. Lecz kobieta wciąż tylko śmiała się.

– Przestańcie już, przestańcie!

Z tym słowami poniosła widły na miejsce, a Iwan pozostał sam przed szopą.

Minęło kilka dni od tamtej pory i nic się nie wydarzyło. Kobieta wesoło wykonywała swoją robotę, tylko schylać się było ciężko. Także przy dojeniu, a i gdy rozpalala ogień. A kiedy nosiła wodę ze źródła, bolały ją plecy. I jak nie miała już więcej zajęć, tylko tak sobie siedziała, wówczas nieustannie powracała w niej ta myśl, jakie to właściwie będzie...

Pewnego popołudnia znów zaszczekał pies. Kobieta spojrzała w dół, ku buczynie i zobaczyła Vénséga nadchodzącego z sakwą, strzelbą, kijem, jak zwykle, gdy niósł ordynaria wysoko na Fulgeruj. Ale za nim szedł jeszcze ktoś. Odziany na czarno. Jakaś kobieta.

Poznała ją dopiero wtedy, kiedy już dotarli przed dom. Była to żona Ferenca.

– Szczęść Boże! – stary przywitał się i zsunął sakwę obok ławki na ziemię.

– Szczęść Boże, Vénség!

– Szczęść Boże! – powtórzyła cicho także tamta kobieta, żona Ferenca.

Stary oparł o ścianę strzelbę oraz kij, zdjął zniszczony czarny kapelusz i położył go na sakwie, po czym usiadł. Olbrzymie włochate kierpce wsunął pod ławkę, przyglądził spoczone siwe włosy i spośród brody wymruczał coś o skwarze, o górze, o starości. Wyschnięta, surowa kobieta wciąż stała, a jej wzrok badawczo penetrował otoczenie domu, potem przez otwarte drzwi zajrzał do środka i jednym spojrzeniem ocenił porządek, czystość, wszystko.

– Ano to jest ten dom – powiedziała jak ktoś, kto coś stwierdza, a to jest wyrok. – Dobry dom, tyle że daleko. Bardzo wysoko na górze. A tam, co to za zwierzęta?

– Moje.

– Twoje? Wszystkie? Owce też? I Krowa?

– Tak.

– Myślałam, że tylko kozy są twoje.

Patrzyła na pasące się zwierzęta z obrażoną miną, jakby miała im za złe, że były własnością jakiejś takiej, co żyje samotnie pośród lasów i spodziewa się

dziecka kogoś, kto nie jest jej mężem. A jednak sprawiedliwie przyznała:

– Ładne zwierzęta. Zwłaszcza krowa. Radzisz sobie z nimi sama?

– Oczywiście.

Odpowiedź była butna, niemal wroga. Stary, tam na ławce, uznał, że nadszedł czas, żeby się wtrącić.

– Hę. Zajęć to jest, co? Ale to dobrze, że są. Ile daje krowa, hę?

– Co dzień doję z niej dwa pełne skopki.

– Hę. Dwa skopki? To ładnie. To dobrze. Ale i taka jest ta krowa, widać to po niej. Dobra rasa. Mówił Britalan, że pochodzi od młynarza z Magyaró, któremu spalił się młyn, od tamtego. Dlatego też ją sprzedał, ano właśnie dlatego. No a wełnę to już uprzędałeś?

– Teraz nie można. Dopiero zimą. Wyprałam ją, wycesałam, suszy się na strychu. Ale prząść to będzie można dopiero zimą.

– No. Bo szykuje się tam na dole krosno. Iwan i ten drugi... Atmosfera, którą wytworzyła tamta obca kobieta, rozluźniła się. Nuca cicho zwróciła się do niej:

– Siadajcie, proszę!

– Dziękuję – żona Ferenca odparła sucho i usiadła na ławce obok Vénséga.

Nuca weszła do chaty, nałożyła na talerz sera, twarogu i mamałygi i wyniosła im to.

– Proszę! Częstujcie się!

Vénség od razu zaczął jeść. Powoli smakował twaróg i ser.

– Dobrze – rzekł – i twaróg jest dobry, i ser też. Znasz się na tym, jak widzę.

Zarumieniała się od tej pochwały. Surowa kobieta tylko skubała jedzenie i nic się nie odzywała.

Nuca siadła na progu. Patrzyła na tych dwoje, na starego i na kobietę, i zastanawiała się, czego właściwie chce ta zła, obca kobieta. Po co przyszła? Nie znajdowała wytłumaczenia, i to ją niepokoiło. Czuła niebezpieczeństwo za czarną chustką kobiety, taką samą czarną chustką, jakie widziała i u innych kobiet we wsi, które znała i które źle zapisały się w jej pamięci.

Kiedy talerz zrobił się pusty, stary powstał z ławki. Sięgnął po kapelusz.

– Hę – spojrzał na nią jakimś osobliwym, czułym wzrokiem – zajrzę jeszcze nad Pável. Coś tam jest. Hę. Sakwę zostawię tu tymczasem. No.

– Zostawcie, zostawcie! – rzekła Nuca i podniosła się z progu, chwyciła pusty talerz, sakwę i wniosła je do chaty.

– Hę! – przestraszył się stary. – Powinnaś była ją zostawić. Nie dźwigaj! No dobrze, no.

Mruknął coś jeszcze, nałożył kapelusz na głowę, wziął na ramię strzelbę, do ręki kij, skinął głową żonie Ferenca i ruszył, nie oglądając się. Poszedł w górę polaną. Przy zwierzętach jeszcze się zatrzymał, obejrzał krowę, po czym podążył

dalej. Wysoko pochłonął go las.

Nuca patrzyła za nim z progu. Tamta druga kobieta siedziała na ławce, cała w czerni, chuda i surowa. Nagle odwróciła się w jej stronę. Oстрым wzrokiem zlustrowała ją od stóp do głowy.

– Kiedy ma przyjść dziecko? – spytała szybko, zimno, rzeczowo. W jej słowach nie było cienia życzliwości.

Nuca wzdrygnęła się ledwie zauważalnie, tylko tak, jak czasem zdrzy się od własnych myśli. Łagodnie i ze zdziwieniem spojrzała na surową kobietę i tak odpowiedziała:

– Kiedy Bóg zechce.

Po wyschniętej twarzy kobiety przemknął drwiący grymas. Brwi się ściągnęły.

– Nie mów o Bogu! Chrześcijanin księdza prosi o błogosławieństwo, żeby mieć dziecko. Wiąże się przysięgą w kościele, nie w lesie. Nie mów ty o Bogu! Pytałam, kiedy spodziewasz się dziecka.

Jej słowa siekły boleśnie, niczym uderzenia bata. Nuca wyprostowała się, krew nabiegła jej do twarzy. Spojrzała tamtej kobiecie prosto w oczy, płonąć gniewem. W końcu tylko dumnie podrzuciła głowę i tyle odrzekła:

– Z kim nie mogę mówić o Bogu, temu nic i do mojego dziecka. Na bladym, woskowym czole żony Ferenc'a utworzyły się zmarszczki. Patrzyła na nią zdumiona, osłupiała, niemal z poważaniem.

– Co mówisz? Że ty...

– Mówię, że ja nie zrobiłam wam nic złego. Więc nie wiem, czemu tu do mnie przyszliście!

Żona Ferenc'a gwałtownie powstała z ławki. Z sutej, wypłowiałej spódnicy strząsnęła okruchy mamałygi.

– Nie o to chodzi – rzekła ciszej, jednak jej głos w dalszym ciągu pozostawał bezlitośnie chłodny – jutro albo pojutrze zbierz swoje rzeczy, czego tam akurat będziesz potrzebować, i przyjdź do nas na dół! Możesz spać w szopie z sianem, jest lato. Aż urodzi się dziecko. Na ten czas Iwan przeniesie się tu na górę i zajmie się zwierzętami. Pomożesz mi w praniu i we wszystkim. Skoro już tak się z tobą stało, ano tak się stało. Tylko dlatego, że wychowano cię bez moralności, człowiek nie może pozostawić ciebie na zagładę. No.

Wszystko to wypowiedziała jednym tchem, słowa potoczyły się z jej ust jak zimne metalowe kuleczki i rozsypały się wokół w słonecznym letnim popołudniu. Nuca obserwowała ją ze zdziwieniem. Odczekała jeszcze kilka chwil, jakby się nad czymś zastanawiała, nareszcie cicho, melodyjnie poczęła się śmiać.

– Z czego się śmiesz, co? – Kobieta wlepiła w nią wzrok pełen zdumienia.

Wciąż śmiała się.

– Jakżeż miałabym się nie śmiać – powiedziała wesoło – skoro

przychodźcie tu do mnie, wymyślacie mi tak, jakbym ukradła wam jaką kurę, a na koniec okazuje się, że przyszliście dlatego, że chcecie mi pomóc.

Kobieta, zbита z tropu, nie znajdowała słów, żeby natychmiast odpowiedzieć.

– Coś takiego?! – burknęła ze złością. – Mimo wszystko jesteś ludzką istotą. Niemal dzieckiem jeszcze. Człowiek nie może pozostawić ciebie na zagładę tutaj, w lesie. Tylko dlatego...

Nuca przerwała jej ze śmiechem:

– Przestańcie, ciociu, przestańcie! W żaden sposób nie możemy się zrozumieć, jak widzę. Wy znacie inny język i ja też znam inny. Więc zostawmy to! W każdym razie dziękuję, że dlatego przyszliście, a zabierzcie z sobą trochę twarogu i sera dla dzieci, na pewno będą im smakować. Czekać, włożę to do czegoś.

Z tymi słowami wesoło obróciła się w drzwiach, wciąż jeszcze śmiejąc się w duchu. Wszystkie ser i twaróg, które znalazła na półce, położyła na duży gliniany talerz i wyniosła tamtej kobiecie.

– Proszę, ciociu. Talerz może przynieść na górę wujek Iwan, jak kiedyś będzie szedł w tę stronę. Nic pilnego. Zjedzcie na zdrowie!

Kobieta, zachmurzona, wzięła talerz. Tylko w jej oczach na moment pojawiła się radość, gdy popatrzyła na ser i twaróg na talerzu, bo było tego sporo. Lecz jej twarz nadal pozostawała niewzruszona i oschła, wręcz wroga.

– Kiedy wujek Iwan ma przyjść na górę?

– Co? Nic pilnego. Kiedy akurat będzie w tych stronach. Mam talerzy dość. Są jeszcze trzy oprócz tego.

Kobieta uczyniła niecierpliwy gest.

– Słuchaj, nie o tym mówię. Kiedy Iwan ma przyjść na górę? Tu wysoko, zamieszkać, z powodu zwierząt? Póki ty będziesz u nas, na dole...

– Z tego powodu wujek Iwan nie musi przychodzić tu na górę.

– Jak to? No a zwierzęta? Słuchaj, nie możesz ich tam zabrać, nie mamy ani dość siana, ani łąki, nie myśl sobie, że...

– Nic ja sobie, ciociu, nie myślę. Nie bójcie się! Zwierzęta nie zejną na dół na wasze pastwisko. Ani zwierzęta, ani ja – odparła Nuca z uśmiechem.

Kobiecie na moment głos uwiązł w gardle. Stała i się gapiała z na wpół otwartymi ustami.

– Co? Nie chcesz pójść na dół?

– Nie.

– Co? No a czego chcesz?

– Niczego.

– A czemu? Co? Mój dom nie jest dla ciebie dość dobry?

– Nie.

– Słuchaj no ty! A czemuż to? Co?

– Bo jest przed nim ogrodzenie. I dlatego, że pomiędzy tobą a mną też jest płot. To wszystko.

– Słuchaj no – kobieta łykała powietrze – słuchaj no... co ty sobie myślisz, że ja po to przyszedłam tu wysoko, na sam szczyt góry? Do tego paskudnego ogromnego lasu? Co? Żeby tak po prostu? Żeby nawet tyle wdzięczności nie było w tobie? No a kimże ty jesteś? Czymże ty jesteś? Taką małą nieczystą wszeteczną, niczym innym, niechże no każdy to zobaczy! I jeszcze śmiesz tak mówić! Zamiast skulić się, uszanować samą siebie, a i też być samą wdzięcznością za to, że, no proszę, odezwała się do ciebie porządna kobieta! Tfu, tfu, a niechże cię nędza trafi, ty śmieciu! Ty! Bierz ty ten swój talerz, bo jak nim cisnę o ziemię, to rozpadnie się w drobny mak! Co za bezczelność! Tfu! Że też ziemia nie rozstąpi się pod tobą, ty bezwstydnico jedna!

Coraz mocniej nakręcała się w gniewie. I podczas gdy z narastającym gniewem pluła wokół słowami, w kącikach jej bezkrwistych wąskich ust zbierała się ślina. Nuca zaś stała w progu, z rękoma splecionymi nad brzuchem, i ze zdziwieniem patrzyła na podnoszącą krzyk kobietę, której wysuszona, żółta twarz z wolna szarzała na popiół. Na wyciągniętą ku niej rękę z talerzem, którego Nuca nie zamierzała przyjąć z powrotem, tylko tak stała i dziwiła się.

– No pójdziesz czy nie?! – gniewnie wrzasnęła na nią Ferencowa.

– Powiedziałam już, ciociu, że nie pójde. Ale nie trzeba się gniewać.

– No to zdechnij tu! – bluźnęła z nienawiścią tamta, a talerz, który trzymała w ręce, cisnęła na ławkę. – Taka to i na nic innego nie zasługuje! Taka ostatnia szmata, niewdzięczne ścierwo, tfu, tfu, tfu!...

I już szła w dół, prędko, jakby ją kto gonił, burcząc i plując. Nuca zawołała za nią łagodnie:

– Ciociu! Ser i twaróg mimo wszystko możecie zabrać! Dzieci się ucieszą, a ja dam z dobrego serca, naprawdę!

Jakby wbito jej igłę, tak gwałtownie odwróciła się tamta kobieta.

– Co?! – krzyknęła. – Jeszcze śmiesz odzywać się do mnie?! A kimże ty jesteś? A czymże ty jesteś? Niewdzięcznicą, ostatnim zerem, taką...

Nuca pokręciła głową i weszła z progu do chaty. Nawet i drzwi zamknęła. Z zewnątrz jeszcze przez dłuższy czas dochodził wrzask kobiety, ale już coraz bardziej odległy, aż w końcu wchłonęła go cisza. Nuca siadła na ławce i rozmyślała. Od czasu do czasu kręciła głową. Wreszcie westchnęła, poprawiła chustkę na głowie, wstała i podeszła do drzwi. Rozwarła je na oścież. Łagodne światło popołudniowego słońca wlało się do izby. Na skraju polany cicho zadźwięczał dzwonek na szyi krowy i ten głos, czysty i spokojny, popłynął ponad lasem, ku nieskończoności jasnoblękitnego nieba. Spojrzała w dół, ale ścieżka była już pusta. Następnie dostrzegła na ławce talerz z serem i twarogiem i ponownie cicho westchnęła. Potem raz jeszcze pokręciła głową i ruszyła w górę, do swoich

zwierząt.

Siedziała tam w trawie przy owcach i przypatrywała się małemu dzwoneczkowi, chwiejącemu się na cieniutkiej łądźce, kiedy znad potoku Pável powrócił Vénség. Wyszedł z choiny, kierując się wprost ku chacie, ale spojrzał w górę, w stronę zwierząt, i dostrzegł kobietę. Zatrzymał się, trochę pomyślał, po czym powlókł się tam do niej. Nic nie powiedział, tylko westchnął i usiadł. Głowę wsparł na ręce i przez jakiś czas przyglądał się owcom, jak szczypią trawę.

– Poszła? – zapytał wreszcie.

– Poszła.

Znów milczeli dłuższą chwilę.

– Iwan... kiedy ma przyjść na górę? Kobieta spojrzała nań.

– Nie pójdę ja na dół do tamtego domu, dziadku.

– Hę?

– Nie pójdę.

Stary więcej nie pytał, tylko z głową wciąż wspartą na ręce przyglądał się owcom.

– Tak myślałem – mruknął po pewnym czasie.

– Ogrodzenie – rzekła kobieta.

– Wiem.

Nareszcie stary podniósł się, stękając, zawiesił sobie na ramieniu strzelbę i chwycił w rękę kij.

– I co teraz będzie?

Kobieta spojrzała nań ze zdziwieniem.

– A co ma być?

Stary mruknął coś i popatrzył przed siebie w ziemię.

– No to ja pójdę – oznajmił w końcu – na dole jest sakwa. Ruszył w kierunku domu. Kobieta poszła za nim. Dotarli do chaty w dole.

– Hę! Tu ją zostawiłem, przy ławce!

– Przecież wniosłam ją do środka – przypomniała kobieta, po czym weszła do chaty i wyniosła sakwę. Jej wzrok padł na ławkę i na talerz. – Przyda się tam na górze, dziadku – rzekła i włożyła do sakwy ser i twaróg.

Stary się nie odezwał, tylko w zamyśleniu patrzył przed siebie.

– Zostaw, nie dźwigaj! – rzucił, kiedy kobieta chciała mu pomóc zarzucić sakwę na ramię. Sam podniósł ciężar i szarpnięciem poprawił go sobie na plecach.

– No. Hę. A jak poczujesz, że się zaczyna, uderz w drzewo, rozumiesz? Ale uderz, rozumiesz? Żeby tylko nie stało się co złego. Ano dlatego. Niech ci Bóg błogosławi!

I nie odwróciwszy się, ruszył wolno w górę, ku połoninie. Kobieta stała przed drzwiami, patrzyła za oddalającym się, przygarbionym starcem i jakoś tak przypomniał jej się tata, kiedy szedł w górę Urszu, do pieców. Tak właśnie się

ruszał, o tak. Z wolna ogarnęło ją jakieś przyjemne, ciepłe wzruszenie, a od tego uczucia oczy zaszyły jej mgłą.

*

Nuca z zaciekawieniem obserwowała siebie. To było tak, jakby obserwowała jakieś obce ciało. W jaki sposób to nadejdzie? Kiedy się zacznie? Skąd właściwie wiadomo, że to już się zaczyna? Daremnie wysilała pamięć, potrafiła sobie przypomnieć tylko to, jak kozy i owce kładły się, błyszcząły im oczy, one same zaś ciężko dyszały, niekiedy też jęczały, a potem naraz już tam były koźlęta i jagnięta. Ale co wtedy czuły? Skąd wiedziały, że mają się położyć? Skądciś musiały to wiedzieć, bo wszystkie bez wyjątku kładły się w taki czas. Ani jedno jedyne koźlę, ani jedno jedyne jagnię nie narodziło się podczas wypasu. Lub gdy owce czy kozy szły do wody, do pojenia. Wszystkie rodziły się w zagrodzie, w sianie. Skąd owce i kozy wiedziały w taki czas, że mają pozostać w sianie? Czy może po prostu nie mogły już wstać? Czy więc przychodzi coś takiego, że po prostu nie można wstać? Ale w takim razie czemu stary powiedział: „Jak to poczujesz, uderz w drzewo”? Czy wtedy można jeszcze pójść na górę aż do tamtego miejsca i uderzać siekierą, skoro się czuje, że to już nadchodzi?

Same pytania, na które nie było odpowiedzi. Na które odpowiedź otrzyma dopiero wówczas, gdy nadejdzie jej pora. Nie bała się tego, co ją czeka, bo przecież nie miała powodu, żeby się bać. Nie było nic szczególnego ani przerażająco niezwykłego w tym, co było przed nią. Co roku przechodzi przez to każda owca i każda koza i nawet najgłupsze zwierzę potrafi to zrobić, tak proste i naturalne musi być to wszystko. Tyle że było to jeszcze przed nią, to wszystko. Było przed nią, piętrząc się w samym środku przyszłości niczym jakaś wielka, szara skała na zboczu góry, skała, która tam jest, nie można jej przetoczyć na bok, odepchnąć, ale też i nie ma takiej potrzeby. Jest tam, a więc trzeba się na nią wdrapać. Wprawdzie z dołu nie widać na niej żadnej ścieżki, a nawet i nie można sobie wyobrazić, jak się zabrać do tego wdrapywania, ale to nie szkodzi. Bo przecież dotychczas wszystkie się na nią dostały, wszystkie kobiety i wszystkie krowy, i wszystkie owce, i myszy też, wszystkie. Tyle że człowiek zastanawia się nad tym, jak to właściwie będzie i tak dalej. Jednak o lęku wcale ale to wcale nie ma mowy, bo dlaczegóż to trzeba by się bać tego, co naturalne?

Tak oto mijały dni. Pogoda utrzymywała się wspaniale, za dnia lasy dyszały w skwarze, wieczorami zaś nadchodziły z dołu przyjemne, chłodne wiatry, przynosiły zapach potoków i w pewien sposób przypominały Urszu.

Nareszcie pewnego dnia, kiedy akurat chciała zanieść wodę do chaty i nachyliła się nad źródłem, żeby podnieść pełne wiadro, coś ją nagle zakłuło. Był to ostry, przeszywający ból. Na moment pozostała tak przygięta i pomyślała: to jest to. Teraz. Jednak potem nie miało to dalszego ciągu. Ostrożnie podniosła wiadro z wodą. Wręcz czekała, żeby znów poczuć ów osobliwy ból. Ale nic nie czuła. Tylko jakieś takie ciężkie wydało się jej to wiadro, cięższe niż zwykle. Z instynktownym pośpiechem zaniosiła je do chaty. Żeby na wszelki wypadek była w domu woda. A reszta, to się potem okaże.

Gdy stanęła w progu, znów przeszył ją ból. Teraz już nie ustępował. Zakłuło ją wielokrotnie, raz za razem, miarowo. Towarzyszyły temu nieprzyjemne skurcze.

Szybko postawiła wiadro i usiadła na ławce. W przestrachu obserwowała ból. Czy aby teraz zaraz będzie tu dziecko? Czy aby jednak nie powinna się położyć, jak robiły to owce? Skurcz odpuścił, po czym chwycił znowu. Znów odpuścił. Znów się zaczął. Znów i znów.

Przeszła do łóżka i wyciągnęła się na nim na plecach. Co pewne, to pewne – pomyślała. Żeby dziecko nie uderzyło o podłogę, jeśli nagle przyjdzie na świat. Lecz dziecko nie przychodziło. Przychodził tylko bolesny skurcz, po czym znów mijał i na powrót przychodził. Nagle zupełnie minął.

Leżała wciąż bez ruchu. Ciężko oddychała i przypomniawszy jej się, że tak samo dyszały zawsze i owce. Czekala. Ale nic się nie wydarzyło. Ból też już więcej nie nadszedł. Skąd właściwie będzie wiedziała, że już się urodziło? – przemknęło jej przez głowę pytanie. Niepewnie poszukała ręką na derce przykrywającej łóżko, czy aby przypadkiem nie ma tam już dziecka. Ale nie było go tam. Jej ręka dotknęła brzucha. Nadal był wypukły. Czyli nic się jeszcze nie wydarzyło.

Ale w takim razie co to było? Ten skrzęcający, kurczowy ból? Chyba tylko jakiś znak? Jakies ostrzeżenie? Napomnienie, że uwaga, bo oto nadchodzi...? Tak niepokojąca stała się naraz cisza. Samotność. Jakby przyszło skądś jakieś złowroźne ostrzeżenie, żeby uważała. A ona nie wie, na co ma uważać. Nic nie wie. Nawet tyle, ile wie owca czy koza.

Raptem owładnął ją strach. Zaczęła szczełukać zębami. Poczula, jak zalewa ją fala gorąca, a jednocześnie coś mroziło jej serce.

Przypomniała sobie o drzewie, wysoko na górskim grzbiecie. Przypomniało jej się tak, jak tonącemu przypomina się ta jedyna łódka, która jest tam gdzieś w pobliżu. Musi dotrzeć do drzewa! Za wszelką cenę! Musi tam dotrzeć!

Ostrożnie, z trudem podniosła się z łóżka. Uważała na każdy ruch, żeby w żadnym razie nie przyspieszyć tego czegoś, czego nadejście oznajmił wcześniej jakiś tajemniczy i złowieszczy znak. Stąpała z taką ostrożnością, jakby chodziła po lodzie. Z kąta za piecem wyciągnęła siekierę. Wyszła z chaty. Na zewnątrz iskrzyło słońce, niebo było błękitne i wspaniale czyste. To ją nieco uspokoiło. Lecz w zieleni drzew było coś niezwykłego. Jakby barwy stały się żywsze. Powietrze drżało. A kraniec polany i zwierzęta pasące się tam były tak daleko, jakby znajdowały się nie na tym świecie.

Pospiesznie przeszła przez polanę. Dyszała. Miałyby ochotę pobiec, ale nie mogła. Czula się niezmiernie ciężka, i to uczucie przestraszyło ją. Chciała dotrzeć do drzewa za wszelką cenę, nawet i za cenę własnego życia, jeśli będzie trzeba, nim...

Strach deptał jej po piętach, wręcz słyszała za plecami niewidzialne kroki. Z rozpaczliwym wysiłkiem przebijała się przez gęstwiny. Po całym ciele spływał

jej pot, lecz wciąż jeszcze szczękała zębami.

Wreszcie znalazła się tam wysoko przy wyschniętym drzewie o białym pniu. Jakiś dzięcioł odfrunął zeń z wrzaskiem. W dole falowały zielone plecy jarów, woda potoków, szeroki, falisty, zielony świat, a dalej za nim spowity w jasnoniebieskie opary Dószul Fulgeruj. Jego nieforemny, kanciasty skalny grzbiet wręcz kaleczył łagodnie opadający nań nieboskłon.

Chwiejnie powlokła się do drzewa. Rozerwała sobie koszulę na szyi, bo czuła, że zaraz się udusi. Słyszała własny charkot, gdy z trudem chwytiała powietrze. Był to upiorny dźwięk.

Zebrała całą swoją siłę i pochwyciła siekierę w obie ręce. Odwróciła ją obuchem. Następnie nim uderzyła. Raz. Drugi raz. Trzeci raz. Wiele razy. Wiele razy. Już nie słyszała dudnienia drzewa, tylko je czuła. Coś dudniło, bębniło, huczało tam w środku niej. Jakby przy każdym uderzeniu rozrywało się na strzępy jej własne ciało, każde uderzenie cięło gdzieś nową ranę, i cały świat, cały zielony, falisty, głęboki i wysoki świat stawał się jednym wielkim hukiem, dudniącym, ryczącym, rozrywającym na tysiące kawałków, takie właśnie to było.

W końcu nie miała już więcej siły. Osunęła się obok drzewa, a siekiera wyslizgnęła jej się z rąk. Runęła na nią głucha, odurzona cisza. A w tej ciszy czysto i ostro zakłuł ją ból. Był to ten sam ból, co wcześniej, w domu. Ten sam okrutny, kurczowy ból. Przyszedł, minął, przyszedł, minął.

Już tu jest – pomyślała i naraz znów miała zupełnie jasną głowę – a więc już tu jest. A więc to jest to. A ja leżę tu sama, w lesie. Jak kozy, jak łanie.

I raptem ogarnął ją jakiś dziwny, głęboki smutek. Nie bojaźń, tylko smutek. Jak u kogoś, kto nagle zdaje sobie sprawę z tego, że jest sam. Czuje czystą samotność, która nań opada, i naraz całkiem wyraźnie i jasno czuje, że przecież zawsze był sam. Przez całe swoje życie. Tyle że dotąd nie zauważał tego. Lecz teraz... teraz nagle samotność jest tuż obok. Wręcz namacalnie. Wystarczyłoby, żeby wyciągnęła rękę, a mogłaby nią dotknąć jakiejś pozbawionej życia, zimnej i lepkiej czerni, która rozpościera się wokół niej, nieporuszona, z każdej strony, okrąża ją i zamyka, a poza nią nie ma już nic, i to właśnie jest samotność.

Nie była to bojaźń, tylko jakiś dojmujący i trzeźwy smutek. Jakieś chłodne rozpoznanie, jakby w ostrym świetle stanęło jej przed oczami, całkiem blisko i wyraźnie, to, że „jestem sama”. Sama. W tym całkowicie nieznanym, wielkim świecie zupełnie sama, sama jedna.

Bóle z wolna na powrót zaczęły ustawać. Skurcze złagodniały. Serce też już tak nie waliło. Ustało i dyszenie. Wszystko ucichło, uspokoiło się. Świeciło słońce, na listkach jagodowych krzaków błyszczała jeszcze jedna i druga kropla porannej rosy. Była już tylko cisza, wszędzie wokoło. Przygniatająca lasy cisza i samotność.

Naraz ponad ciszą przeciągnął łukiem jakiś odgłos. Jakiś brzęczący, przytłumiony dźwięk. Jedną nogą stał na Dószul Fulgeruj, drugą gdzieś

w nieskończoności. Ale jedną na Dószul Fulgeruj, wyraźnie i pewnie, niczym sama rzeczywistość. I kołatał w ciszę. Trach. Trach. Trach.

Ów dźwięk jakby rozłupał niewidzialną szklaną powłokę, gdzieś wysoko, pomiędzy niebem a ziemią, która zamykała świat w samotności. I naraz ta samotność zelżała. Pękła niczym nieprzyjemna, trująca bańka.

Kobieta usiadła. Przyglądała sobie włosy, sprzed oczu zdmuchnęła kilka kosmyków. Pomyślała o starcu, który tam gdzieś, poza lasami, uderza teraz obuchem siekiery w drzewo. Dlatego, że i ona uderzyła w jakieś inne drzewo, tutaj. Niemal widziała go z siekierą w ręce, jak śledzi uchodzący dźwięk. Jakby stał tam, na tej drugiej górze, tata.

Uśmiechnęła się. Czuła, że nie jest już sama. Jak i pod Urszu nie była sama, gdy wiedziała, że gdzieś wysoko na zboczu góry dymią piece, a przed tymi dymiącymi piecami siedzi pochylony stary i obserwuje odgłos zdławionego dymu.

Powoli wstała, wzięła do ręki siekiere i ruszyła z powrotem do chaty. Była spokojna. Na polanie jeszcze jakiś czas postąa i poprzyglądała się zwierzętom. Czuła wokół siebie spokój i czuła, że ktoś już nadchodzi, powoli, wlokąc się, nadchodzi gdzieś połoniną. I miłe było to, że nadchodzi.

Potem poszła w dół do domu. To i owo jeszcze uporządkowała. Miała zwyczajne i trzeźwe myśli. Przypomniało jej się, że dziecku potrzebne będzie coś, w co się je zawinie, jak zwykle się robić z niemowlętami. Otworzyła wielką skrzynię, pogrzebała w niej dłuższą chwilę. Wyciągnęła starą koszulę, rozerwała ją na pół, następnie znalazła jeszcze też i większy kawałek płótna i ładnie to naszykowała. Skrzynię zamknęła i wszystko położyła na jej wieku, żeby było pod ręką. Co jeszcze może być potrzebne? Zastanawiała się, jednak nic nie przychodziło jej do głowy. Dołożyła do ognia sporo drewna z bukowych korzeni, wstawiła wodę w wielkim garnku, wreszcie poczuła, że nic już więcej nie ma do zrobienia.

Posłała sobie łóżko, rozebrała się jak zazwyczaj, do koszuli, i położyła się. Owce też tak robią w taki czas – pomyślała. Po czym przymknęła oczy i czekała.

W pełni już było południe, gdy przybył stary. Kij oparł jeszcze na zewnątrz, o ramę drzwi, dopiero potem wszedł do środka. Jego oczy natychmiast odnalazły kobietę w łóżku.

– He! Jest co?

– Jeszcze nic, dziadku. Jeszcze nie ma. Witajcie, Bóg was przywiódł!

– To dobrze.

Zdjął z ramienia strzelbę, starannie oparł ją w kącie, zdjął też kapelusz. Następnie poczłapał do łóżka.

– Jak dużo ci zostało?

– Nie wiem, dziadku – odrzekła kobieta i spojrzała nań zamglonymi oczami.

– He! – mruknął stary. – Skurcze miałaś?

- Miałam już i wiele razy. Jednak zawsze mijały.
- Hę! Nie bój się! Wszystko to minie. Tylko trzeba wyczekać końca.

Z tymi słowami wrócił do ognia, przyjrzał mu się, położył nań kilka szczap, przyjrzał się wodzie, coś pomruczał.

- Hę. Masz jakieś większe naczynie? Jakąś misę? Co?
- A to po co? – kobieta spytała słabym głosem.
- Po co? Ano dla dziecka! Przecie chyba na nie czekamy, nie na księdza!
- Jest w wewnętrznej izbie, pod łóżkiem. Jest tam taka drewniana balia.
- Stary wyniósł drewnianą balię i postawił ją przy piecu.
- Dobra będzie?
- Pewnie, że dobra.
- Wystarczająco duża?
- Nawet i dla świni, a co dopiero dla dziecka.

Wyciągnął z worka oselkę, przyjrzał się jej, najpierw ją wymoczył, następnie wyciągnął z opaska strasznie długi nóż i zaczął go ostrzyć. Ostrzył go z powolną, staranną fachowością. Kobieta z przerażeniem wlepiła oczy w ten potwornie wielki nóż. Czowała, że to dla niej, lecz nie rozumiała po co. Rączka noża była czarna, z wielkimi błyszczącymi zdobieniami. Nie wytrzymała długo bez słowa.

- Co robicie, dziadku?
- Hę. Sama widzisz. Ostrzę nóż.
- A to po co?
- Po co? Żeby był ostry. Ano po to.
- A na co miałby być ostry?
- Hę. Bo będzie potrzebny. Dlatego.
- Dla mnie?
- Przecie że nie dla biskupa.

Po czym dalej ostrzył nóż. Ostrzył go i ostrzył. Od czasu do czasu sprawdzał ogień, po czym dalej ostrzył.

- Jeśli jesteście głodni... tam na półce...
- Dobrze, dobrze. Mną to ty się nie frasuj! Będziesz ty miała dość kłopotu i sama z sobą.

I ostrzył nóż, ostrzył. Poza otwartymi drzwiami las świętował lato w brunatnych blaskach. Do wnętrza chaty dochodził głos dzwonka krowy. Dzyń, dzyń... dzyń. Dzyń, dzyń... dzyń...

Nie miała odwagi więcej pytać. Czowała, że to i tak nie miałyby sensu. Przez to, co jest przed nią, trzeba przejść. Owce też przez to przeszły i kozy też, więc i ona przez to przejdzie. Trzeba czekać. Trzeba wyczekać końca.

Po pewnym czasie bóle znów powróciły. Jeszcze silniejsze. Wciąż silniejsze. W istocie rozrywały jej ciało. Przeszywały ją skurcze i nie chciały ustać. Przygryzła wargi, żeby nie krzyknąć z bólu. Na próżno. Ból nie mijał. Jeszcze

silniejszy. I jeszcze silniejszy.

– Ojej, biada mi...

Tylko akurat ten jeden jęk wyrwał jej się z ust. Tam na ławce stary nadstawił ucha.

– Jest co?

– Ojej...

– No, no. Może już co czujesz?

– Ojej, biada mi... ojej, o mój Boże... ja tego nie wytrzymam, dziadku, tego już nie...

– Nie, do licha! Czemu miałybyś nie wytrzymać? Hę? Mruknął coś jeszcze, po czym otworzył drzwiczki od pieca i wsadził nóż w gorejący żar. Z wolna poczłapał do łóżka. Kobieta jęczała, miotała się tam, ból wyginał jej ciało w pałąk, twarz wykrzywiła się od męki.

– No niechże zobaczę, no, niechże zobaczę!

Później, gdy wracała do tego myśłami, zdawało jej się, jakby trwało to w nieskończoność. Całe dnie, całe tygodnie, może nawet cały rok. Czas zatrzymał się i nie było końca. Wciąż nowy i nowy ból napinał jej ciało w męce, wszystko było jednym przeszywającym, potwornym bólem, łóżko, izba, opromieniona słońcem polana poza otwartymi drzwiami, starzec, jak czasem tam podchodził i mruczał coś, coś mówił lub o coś pytał, to było zupełnie wszystko jedno, bo i tak nie rozumiała jego słów... Była tylko jedna, spleciona, niekończąca się męka, jakby ona sama płonęła pośród czerwonych płomieni, a te płomienie uderzały coraz wyżej i wyżej, więcej już nie można było wytrzymać, już nie można było, już trzeba było od tego umrzeć, pęknąć, oszaleć, a stary to siedział na ławce, to był przy łóżku, już nawet i nie można było wiedzieć, co też on robi... wreszcie gwałtownie przyszło coś okropnego, coś straszego... jedna chwila... jedna chwila bez końca... słyszała własny głos w krzyku... to było straszne... świat pograżył się w jakiejś czerwonej mgle i wszystko zanurzyło się w tej mgle, i tonęło, tonęło... i naraz całkiem utonęło w miękkiej i łagodnej głębinie.

Pamiętała tylko tyle, że bóle nagle ustały. Wszystko było jednym hałasem i w tym hałasie gdzieś bardzo, bardzo daleko jakby zapłakało jakieś dziecko, cieniutkim głosikiem. Zaczęła nasłuchiwać. Obraz wokół niej stawał się wyraźniejszy. W nogach łóżka stał stary, a w jego ręce groźnie błysnął ten potwornie wielki nóż. Poczowała niemożliwe do opisanego przerażenie.

– Ojej! Tylko go nie zabijcie!

Kudłata twarz starego wlepiła w nią oczy, po czym zmarszczki na tej twarzy poczęły się śmiać.

– Ha, ha, ha! Ha, ha, ha!

Stary podszedł do pieca, odłożył duży nóż, chwycił garnek i wlał wodę do balii. Domieszał do niej zimnej wody z wiadra i wsadził rękę, żeby sprawdzić, czy

jest dość letnia. Rękawy koszuli miał podwinięte, a na przedramieniu widać było żyły, nabrzmiałe na grubość palca.

Następnie podszedł do łóżka, coś stamtąd podniósł i ostrożnie włożył to do balii. I w tej chwili to coś zaczęło potwornie rzępolić, równie nieprzyjemnie jak nienaoliwione koło.

Wiedziała, że to dziecko.

Owładnęły ją jakiś wielki, bardzo wielki spokój i pogoda. Opuściła głowę na poduszkę i zamknęła oczy. Wokół ust, napuchniętych jeszcze od wspomnienia bólu, pojawił się ów osobliwy uśmiech spełnionego macierzyństwa.

Słyszała jeszcze, jak woda pluszcze w balii, a stary burczy w ten rzępolący płacz:

– Hę. Co tak ryczysz? Co? Przecie chłopak jesteś! O tak, chłopak! Chwat! No nie, no, cóżeś się tak rozbeczał?

Jeszcze przebiegło jej przez myśl: „chłopiec”. Mgliście poczuła coś pięknego, po czym zatrzasnęło się nad nią zmęczenie. Zasnęła.

*

Jakaś dziwną zmianę przeszedł świat. Nie zewnętrznie, na powierzchni rzeczy, lecz gdzieś w środku. Łąka, chata, ogień, krowa, drewno, woda, wszystko nadal wyglądało tak samo jak i przedtem. A jednak nastąpiła zmiana. Jakaś całkiem poważna i ważka zmiana. W środku, w istocie spraw. Wokół sensu rzeczy.

Tak, stało się to, że zmienił się sens rzeczy. Pewną ważkość otrzymało w nich samo sedno i zgodnie z tą wewnętrzną ważkością rzeczy uporządkowały się wokół punktu centralnego. Przedtem? Była tam i chata, i łąka, był ogień i krowa, i wszystko, ale jakoś tak były one tam bez ładu i składu, każda rzecz z osobna albo też w kupie, zależnie od tego, jak je człowiek widział. Łąka była piękna i dawała pastwisko oraz siano, dom był piękny i można było w nim spać i palić ogień, i gotować, z krową wiązała się praca, ale za to krowa dawała mleko... wszystko to tam było, lecz nie miało większego znaczenia, choć wypełniało przestrzeń i czas, a gdyby zabrakło jednego czy drugiego, można by tego nawet nie zauważyć.

A teraz nagle świat się odmienił. Rzeczy otrzymały ważkość i uporządkowały się. W kole, wokół punktu centralnego. A tym punktem centralnym było dziecko. Dom: chroni dziecko przed wiatrem i przed deszczem. Trzeba sprawdzić gonty na dachu, żeby jesienią nie nakapało do środka deszczu. Szczeliny pomiędzy belkami trzeba wypełnić mchem, żeby nie mógł przez nie wniknąć wiatr, a potem zimą także chłód. Ogień: trzeba grzać na nim wodę dla dziecka, gotować, żeby jeść, ważne, by było dość mleka. Krowa, owce: wszystkie one dają pożywienie, a pożywienie jest ważne, bo jest tu dziecko, i ono też musi jeść, dużo, jak najwięcej, żeby urosnąć, nabrać siły, żeby mieć rumiane policzki i śmiać się w głos. Także i sam czas uporządkował się podług tego samego: to i tamto trzeba zrobić z dzieckiem, to i tamto trzeba zrobić dla dziecka, to i tamto trzeba zrobić po to, żeby było później dla dziecka.

Potem gdy Vénség odszedł i została sama z niemowlęciem, rzeczy nabrały naraz ważności. Płótno, naczynia, woda, ogień, wszystko. Później przyszli strażnicy leśni: Birtalan, Iwan i Dumitru, i przynieśli pięknie wyciosaną kołyskę, była w niej nawet poduszka, i kolejno podchodzili do kobiety, z wielką powagą, podawali jej rękę, co jest w zwyczaju czynić jedynie przy bardzo rzadkich i uroczystych okazjach, i ze wzruszeniem mruzcili coś o Bogu i szczęściu. Ona poczerwieniała z dumy i wzruszenia, bo po raz pierwszy w jej życiu zdarzyło się, że ktoś jej podał rękę. Z obawą wkładała dłoń w niezdarnie wyciągane ku niej ciężkie, chropowate ręce i wręcz z pokorą skłaniała głowę przy każdym uścisku, i tylko to wychodziło jej przez usta: „Bóg zapłać... Bóg zapłać...”.

Następnie strażnicy leśni po kolei podchodzili do dziecka, oglądali je, tfu, tfu, spluwali na podłogę, „żebym tylko nie zauroczył ciebie” – mówili i chwalili, że jest takie czy inne.

– Tylko taki malutki – powiedziała kobieta niemal ze wstydem, bo nigdy jeszcze nie widziała tak drobnego dzieciaczka.

Wszyscy trzej spojrzeli na nią jednocześnie, zdumieni, niemal zagniewani.

– He? – fuknął Dumitru pierwszy, chrapiąc niczym dzik. – Ten jest dla ciebie malutki? Ten? He! A może spodziewałaś się, że przyniesie ze sobą od razu strzelbę i pójdzie wysoko na Magurę szukać niedźwiedzia, co? He. Malutki. Jeszcze co!

– Każdy niemowlak jest takiej wielkości – rzeczowo tłumaczył Iwan.

– Słuchaj, ciesz się z niego! – upomniał ją także i Birtalan.

– Ale czy nie widzicie, jaki jest brzydki i pomarszczony? – kobieta starała się złagodzić pochwały, jak się godzi.

– Ten? – warknął Dumitru. – Pomarszczony jest...

– Myślisz, że ty to może byłaś piękniejsza? – Birtalan pokręcił głową z przyganą.

– Niektóry to nie tylko, że jest pomarszczony, ale nawet siny, jak śliwka – dorzucił swoje Iwan – a głowę ma tak spiczastą jak ryby. Po tym już i teraz widać, że to człowiek. Czego ty chcesz?

Ale nie siedzieli za długo, boć przecie bywali już wśród ludzi i wiedzą, co nakazuje przyzwoitość. Tyle że odsapnęli na ławce, nie żeby zabrać dziecku sen, po czym już i szykowali się do drogi.

– W tygodniu przyniesiemy na górę także kaszę – odezwał się Iwan.

– Jeśli czego potrzeba, tylko powiedz! – rzekł z kolei Birtalan. Kobięcie przypomniały się pieniądze.

– Czekajcie no!

Podeszła do skrzyni, odszukała mały czerwony woreczek, który dostała jeszcze swego czasu od Włochatouchego, i wyciągnęła zeń pieniądze.

– Piękny woreczek – Iwan skinął głową z uznaniem.

– Nada się dla dziecka, jak będzie pilnować owiec – ocenił Birtalan.

Kobieta dała pieniądze Birtalanowi.

– Co ma z tym być? – ten zapytał.

– Jak któryś z was pójdzie na jarmark, kupcie dziecku, co potrzeba.

– Słuchaj, ale co?

– Ano... to, co potrzeba. Czy ja wiem?! Gunię. Kierpce. I takie tam.

Birtalan przyglądał się pieniądzom w swej ręce.

– Słuchaj, to jest strasznie dużo pieniędzy.

– Należą do dziecka.

– No dobrze. Co zostanie, przyniosę z powrotem.

Po czym ruszyli. Dumitru, zanim wyszedł, wygrzebał z worka nowiuteńką fujarkę i wręczył ją kobiecie, mocno skrępowany.

– Zrobiłem ją dla dziecka. Schowaj! Kiedyś, jak będzie pilnować owiec, wtedy... He. Niech Bóg ci błogosławi!

Następnego dnia przyszli na górę dwaj chłopcy od Ferenca. Przynieśli miód. Weszli do chaty, wzruszeni, przywitali się cicho i położyli na stole podarunek.

- Wasza matka go przysłała? – kobieta spytała ze zdziwieniem.
 - Nie – odpowiedzieli obaj jednocześnie i zaczerwienili się – nasz tata.
- Postawiła przed nimi twarogu i sera.
- Jedzcie!

Obaj chłopcy jedli łąpczywie. Gdy skończyli, włożyła im do worka spory kawałek sera.

– Zabierzcie to dla waszego taty! I powiedzcie, że przesyłam mu uszanowanie i dziękuję za podarunek.

Dzieci coś wyjąkały i poszły. Przez kilka dni nikt nie przychodził. Tylko dziecko było przy niej, no i chata, łąka, krowa i owce, normalna, zwykła praca. Ale zwłaszcza dziecko. Nareszcie przybył Iwan z kaszą. Przyniósł i inne rzeczy. Malutką gunię, malutki kozuszek, malutkie buciki z cholewkami. Koszule i dużo cienkiego płótna na pieluchy. I jeszcze kolorowy dzwoneczek.

– To nie jest z tamtych pieniędzy – powiedział – to ja przyniosłem dla małego, żeby się nim bawił.

Wsadzili mu dzwoneczek do rączek, ale był na to jeszcze za głupiutki.

– Kiedyś będzie się nim radować! – Iwan pocieszał kobietę. – Teraz jeszcze jest za mały. Dopiero za jakiś czas.

Wróciła także garść pieniędzy, te schowała z powrotem do czerwonego woreczka, również ubranka, zręcznie poskładane, włożyła do skrzyni. Iwan wniósł kaszę, wygnał konia, żeby się popasał, i usiadł przy kołysce, na ławce.

– W przyszłym tygodniu zaczynają wiercić górę – rzekł – pomiędzy Korbuly a Szalárd. Szaleni ci inżynierowie, niech Bóg ma nas... szaleni.

Potem opowiedział jeszcze o tym i owym, co wydarzyło się na dole, pośród ludzi, wniósł kilka koszy drewna, żeby miała pod ręką, i poszedł. Kiedy był przy źródle, odwrócił się i rzucił jeszcze, że w dole przy Sestinie chodzi wielki kozioł, goni już kozy, i dobrze by było, gdyby wkrótce przyszedł panicz, bo minie ich czas, to znaczy saren.

Czas zaś płynął nieubłagalnie. O świcie można było usłyszeć dochodzący z buczyny płacz jednej i drugiej skarżącej się siuty, kiedy indziej zaś zobaczyć, jak przeganiały się po hali, dysząc, po czym i to się skończyło. A on nie przychodził, żeby zobaczyć dziecko.

To trochę bolało. Ale tylko tak, jak boli jakieś stare wspomnienie chwil, które były piękne i szkoda, że już nie powrócą. Zdarzało się, że gdy siedziała na ławce przed chatą, karmiąc dziecko, i przebiegała wzrokiem po hali, a wszystko było takie piękne i spokojne, słońce, pasące się zwierzęta, pies z wywieszonym językiem wylegujący się w trawie, myślała o tym, gdzież on teraz może być. Wtedy na moment pojawiał się przed nią ów obraz, który niegdyś widziała: różowe łóżko, a w nim kobieta, a to przepelniało ją smutkiem. Czy tam, u tamtej kobiety jest piękniej niż tutaj? Powietrze jest czystsze? Słońce świeci jaśniej? Drozdy

gwizdzą weselej? Dzwonek wydaje miłszy dźwięk? Lecz wszystko to jakoś tak zeszło już na drugi plan, tyle że czasem przychodziło jej do głowy, a potem znów odpływało. Najważniejsze było teraz dziecko. I wszystko tylko w związku z tym maleństwem uzyskiwało wartość. On także. Jakoś tak o nim myślała: ojciec dziecka. Czy przyjdzie ojciec dziecka? Kiedy przyjdzie? Co powie? Jak to będzie, gdy znów przestąpi próg i spojrzy na kołyskę?

Czas oczekiwania wydłużał się. Sarny pochowały się w gęstwinie, przestały się przeganiać. Noce były już chłodne, ranki wstawały mgliste, a rosa do południa połyskiwała na trawie przetrzebionej przez pasące się zwierzęta. Lasy pograżyły się w jakiejś osobliwej ciszy. Lato dobiegało kresu. Dało się to wyczuć w powietrzu, można to było zobaczyć i na bukach, wprawdzie jeszcze zielonych, ale jakby zmęczonych i pograżonych w smutku – wiedzących, że już wkrótce zaczną ronić liście.

Na brzozie powyżej źródła pojawił się pierwszy żółty liść. Mięiste liście barszczu rosnącego poniżej źródła były jeszcze soczyście zielone, posłonki nadal kwitły obficie, a ich gorzkawy zapach ospale kołysał się na wietrze. Jednak tam na brzozie był już ów żółty listek. W miejscach wiatrołomów maliny dojrzewały na czerwono, a już i na krzakach jeżyn zaczęły pojawiać się kolorowe plamy.

Kiedy indziej może i zatrzymałaby się przed brzozą i długo przyglądałaby się temu pierwszemu zwiastunowi jesieni. I poczułaby jakiś łagodny smutek, a w nozdrzach wspomnienie cierpkich, więdnących zapachów, ale teraz tylko spojrzała na ów żółty liść i pomyślała: nadchodzi jesień. I pomyślała też o tym, że trzeba zatkać mchem szczeliny w ścianach, a i zebrać drewno na zimę.

Niedługo potem przyszedł na górę Iwan z piłą i zwałił kilka nadających się na opał buków. Także parę starych uschniętych świerków, których drewno zajmuje się ogniem nawet od najmniejszej iskry i pali się z trzaskiem. Przez kilka dni piłował tam wysoko, kobieta zanosila mu jedzenie i podczas gdy Iwan jadł, siadała obok niego na powalonym pniu i opowiadała o dziecku. Że dzisiaj było to i że było tak, a Iwan słuchał jej i od czasu do czasu potakiwał kiwnięciem głowy albo też o coś pytał. Pozostał tam na górze także i przez kilka nocy, lecz nie chciał zejść do chaty, tylko spał na sianie, na stryszku w szopie. Potem poszedł na dół, a następnego dnia wrócił na górę z koniem i z jego pomocą poprzyciągał za dom pocięte pnie.

Potem zaczęła się systematyczna praca, która trwała może i ze dwa tygodnie. Iwan piłował za chatą, kobieta pomagała mu, jeśli nie miała innego zajęcia, a kiedy była pora jedzenia, zapraszała go do chaty. Niekiedy karmiła też dziecko na słońcu, siedząc na pniu, obok Iwana, i myślała o tym, że właściwie tak powinno wyglądać całe jej życie. Ojciec dziecka piłowałby drewno, ona pomagałaby mu albo siedziałaby na pniu i karmiłaby dziecko, a potem zawołałaby go na posiłek, kiedy jedzenie byłoby gotowe, wieczorem zaś siedzieliby na ławeczce, patrzyli na halę

pograżającą się w mroku i cicho rozmawialiby o dziecku śpiącym już grzecznie w kołysce. Czują, że to jest to, czego brakuje na Komárnyiku, owego cichego, powszedniego życia we troje. Razem, mężczyzna, kobieta i dziecko. Ze wspólnymi planami i wspólnymi radościami. Bez niepotrzebnych słów, bo i tak wiedzą o sobie wszystko. Bez tajemnic, czysto, zwyczajnie, tak jak piękne i spokojne jest życie, o tak właśnie.

Na brzozie, tam powyżej źródła, przybywało żółtych liści. Dwa, trzy, cztery... potem więcej, wciąż więcej. Czerwienić się poczęły tu i tam również buki i dojrzały już jagody. Drozdy spały się na nich ogromnie, a ile razy przyszedł z Dószul Fulgeruj Vénség, zawsze wiedział coś o niedźwiedziach, które całymi dniami pożerały jagody wokół połoniny.

Nareszcie jednego dnia Iwan przyniósł w kapeluszu dojrzałych jeżyn i oznajmił, że poprzedniego wieczoru na Belcsuj odezwał się pierwszy byk. W sumie ryknął tylko kilka razy, ale nie potrzeba nawet i dziesięciu dni, a odezwał się wszystkie.

Coś w niej zadrzało na tę wieść. Czy było to tylko wspomnienie, czy coś innego? Przygotowanie do czegoś? Radość, przecucie?

– Ciekawe, czy w tym roku przyjdą na górę strzelać do byków – powiedziała ot tak, niby całkiem obojętnie, a przy tym nie patrzyła na mężczyznę, tylko z niezwykłą pieczołowitością przykrywała dziecko w kołysce.

Iwan spojrzał na nią niemal ze zgorzaniem.

– Jakżeż mieliby nie przyjść?! Takiego roku jeszcze nie było. I pan, i panicz też. Obydwaj. Czasem przyprawdzają także gości.

Od tego zabiło jej serce. Potem więcej o tym nie rozmawiali. Iwan porąbał jeszcze pozostałe drewno, zapełnił nim drewutnię, a wieczorami i o pierwszym brzasku szedł wysoko na połoninę i czasami wracał z wiadomością, że „jeden odezwał się na Iszticsó” lub „ryczy już także i ten z Sestiny”.

Nareszcie pewnego poranka powrócił z połoniny czerwony z emocji. Cały promieniał.

– Nad Pável też odezwał się jeden, a wysoko na Benedek dwa. Także z Iszticsó słychać było ryk. Idę na dół do Gyerkó, żeby zaniósł panu tę dobrą wieść.

Zebrał swoje rzeczy, jakie tam były, siekierę, piłę, worek, kij, i szykował się do drogi. Tymczasem kobieta zawołała go do chaty na śniadanie i akurat siedział przy stole, gdy wysoko u skraju polany pojawił się Vénség.

Iwan wyszedł mu naprzeciw do progów.

– No?

– He?

– Jest co?

– Ano jest. Osiemnastak.

– Ryczy?

– He? Czy ryczy? No przecież się nie modli.

Iwan jakby odmłodniał. Szybko wrzucił coś na ząb i ruszył. Vénség jeszcze zawołał za nim:

– Zamelduj też o dwóch niedźwiedziach!

– Gdzie? – odwrócił się Iwan.

– He? Gdzie. Ano na stoku Fulgeruj. W jeżynach. Tamte dwa wielkie, co były tam i zeszłego roku. Małych mrówkojadów – tu machnął ręką z lekceważeniem – tych to jest cała kupa.

Jakby napili się palinki, tacy byli radośni i ożywieni. Stary posiedział jeszcze trochę na zewnątrz na ławce, zjadł talerz zentycy, potem obejrzał dziecko w kołysce i zbierał się do drogi.

– Tylko dlatego przyszedłem – rzekł na odchodnym – że wczoraj po południu usłyszałem siekierę i pomyślałem, że dzisiaj jeszcze będzie tu Iwan, wiesz, mógłby zanieść tę wieść na dół. Choć akurat zmienia się księżyc – tu podniósł wzrok na niebo, w istocie obszukiwał je oczami – i przyjdzie też deszcz, ale nie myślę, żeby potrwał dłużej niż trzy, cztery dni. Przynajmniej schłodzi powietrze. A do tego czasu nadejść mogą już i panowie.

Trzy, cztery dni – pomyślała kobieta i owładnęło ją podniecenie. Krzątała się, nie mogła sobie znaleźć miejsca. Zrobiła wielkie sprzątanie w wewnętrznej izbie, nanosiła tam drewna oraz wody, po południu nazbierała kwiatów, była już i goryczka, wypełniła nią kilka dzbanków, a przy tym znalazła też boczniaki. To znów przypomniało jej tatę, a i dom nad Urszu, i westchnęła.

Grzyby na wieczór ugotowała w sosie paprykowym, jak należy. Smaczne były. I na powrót przypomniały jej Urszu. Ale nie tylko grzyby. Wszystko. Powietrze, opary zbierające się ponad polaną, jesień, jak przybliżała się, schowana za plecami lata.

Następnego dnia słońce wstało jeszcze jak należy. Zaświeciło na próg, kiedy kobieta wychodziła zająć się zwierzętami. Ale w powietrzu czuć było wilgoć i zanim uporała się z dojeniem, słońce skryło się za chmurami.

Wypuściła owce z zagrody, wygoniła i krowę, rzuciła kurom trochę pęczaku, a już zaczął siąpić deszcz. Przyszedł z wolna, podstępnie i niezauważalnie, aż w końcu na dobre się rozpadał.

Ledwie zdążyła zrobić wszystko przy dziecku, nadszedł Birtalan.

– Byłem nad Pável – rzekł – nasłuchiwać. Ale nic nie było. Ten deszcz, wiesz.

Przysiadł na ławce.

– Co robi dziecko?

– Śpi. W nocy długo płakało.

– Płakało? – zafrasował się Birtalan.

– Bolał je brzusek.

– Trzeba mu nań położyć ciepłej mamałygi.
– Już kładłam. Połam go też naparem z kminku, na gorąco.
– To dobrze. No a znasz ty kurację zakwasem z pszenicy?
– Pewnie, że znam.
– No to dużo wiesz – stary mrugnął chytrze – a to jest potrzebne. Kto chce wychować dziecko, temu jest potrzebne. Ano skoro tyle wiesz, to czy potrafisz powiedzieć, czemu człowiek akurat oczy nosi najdalej od ziemi, po której musi chodzić?

Kobietę zadziwiło to pytanie. Nareszcie zaczęła się śmiać. Lecz Birtalan nie śmiał się.

– No, bo jeśli tego nie wiesz, to jak chcesz wychować dziecko? Kobieta znów roześmiała się w głos.

– Powiedzcie to raz jeszcze!

– Czemu człowiek akurat oczy nosi najdalej od ziemi, skoro to właśnie po niej musi chodzić? – stary powtórzył pytanie, a jego rybie oczy z chytrym wyczekiwaniem obserwowały kobietę.

– Ano dlatego, żeby nie dostrzegł nimi tego całego brudu, w który i tak musi wdepnąć!

– Dobrze – Birtalan przytaknął z zadowoleniem i pogładził się po rzadkiej brodzie. – No to powiedz jeszcze: czego jest więcej, miłości czy potoku?

– Potoku. Bo jego to nigdy nie zabraknie.

– A czego jest mniej: radości czy troski?

– Troski – kobieta odparła po krótkim namyśle – bo jeśli jej byłoby więcej, to życie nie byłoby piękne.

– Ano tego nie wiesz dobrze – Birtalan pokręcił głową – tego jeszcze nie wiesz dobrze. Bo żadnego nie jest ani więcej, ani żadnego nie jest mniej. Radość kończy się troską, a troska radością. Czyli akurat jest ich jednako wiele.

– Ale radość ma większą wartość! – kobieta znów roześmiała się w głos. – Nocek też jest tyle co do liczby, ile dni, sami widzicie. A mimo wszystko to dnie znaczą życie, a nie nocki!

Stary szelmowsko zmrużył oczy i węzłowatym kciukiem pokazał w tył, w kierunku kołyski.

– Czyżby? No a te to kiedy powstają?

– Przestańcie już – kobieta zaczerwieniła się – nie każda nocka z tego się składa.

Birtalan podśmiewał się na ławce, cicho mruczając coś pod nosem. Padał deszcz, cienkimi strużkami zmywając gonty.

– Posłuchaj no – rzekł potem poważnie – posłuchaj, bo to musisz wiedzieć, skoro chcesz wychować dziecko. Z rozumem. Na człowieka. Nie tylko na takiego, co dzieli włos na czworo, lecz na mężczyznę. – Podniósł palec i tłumaczył. – Ile

jest nocek, tyle jest dni. Ile jest radości, tyle jest troski. Do każdego dnia potrzebna jest nocka i do każdej nocki potrzebny jest dzień. Każdej nocy robią na tym świecie dużo, dużo dzieci, żeby za dnia ludzie mieli na co pracować i po co żyć. Od każdej troski człowiek trochę rośnie tu w środku, tu w środku – kilka razy stuknął się palcem w cherlawą pierś – tutaj w środku, rozumiesz. Człowiek jest jak drzewo, które rośnie i pokrywa się listowiem. Czegoś się uczy. Jak drzewo poprzez własne listowie. Wchłaniać w siebie więcej światła, póki świeci słońce, a i coś zeń odkładać w liściach... rozumiesz? Bardziej cieszyć się radością, rozumiesz? I coś z niej odkładać. Człowiek musi się na tym znać. I tu przydaje się troska, żeby go tego nauczyć. Jest jej akurat tyle samo, co radości. Akurat tyle samo. Tak samo jak dni i nocek. Różnica jest tylko taka, że porządek dni i nocy ułożył Pan. Ale porządku radości i troski nie ułożył. Te akurat tylko wydzielił, tak samo jak człowiek wydziela owcom siano. Że tyle dostanie się z tego i tyle z tamtego. Tu są ordynaria. To radość. I to, co trzeba za nią zapłacić. To troska. Tyle się należy. Czy się podoba, czy nie. Tyle się należy i nie da się przed tym uciec. No a teraz, kto nie podzieli ich jednako, lecz najpierw skończy radość, temu na koniec pozostanie tylko troska. Tak to jest. Trzeba je zjeść! I tę, i tamtą. I mamałygę, i twaróg. Kto ich obu rozumnie nie wymiesza, lecz najprzód poje twarogu, temu na koniec zostanie pusta mamałyga!

Ostatnie zdania wypowiedział podniesionym głosem, niemal wykrzykując, ale nawet pomimo to oczy mu od nich załśniły wilgocią. Następnie spuścił głowę, rękawem koszuli przeciągnął pod nosem i wstał. Chwycił też swój kapelusz z ławki.

– No, pójdę ja.

Kobieta spoważniała, stała przy kołysce i patrzyła na Birtalana.

– Ale jeśli człowiek – odezwiała się powoli – ale jeśli człowiek stale je tylko mamałygę, wciąż mamałygę i mamałygę... i zadawała się choćby i zapachem twarogu... podczas gdy w tym czasie inni, inne kobiety jedzą sam twaróg, bez mamałygi... to co wtedy będzie z tym twarogiem, co człowiek zaniedbał, żeby go zjeść? Czy on pozostanie dla dziecka?

Birtalan już nałożył kapelusz na głowę, także i strzelbę zarzucił na ramię, ale stał jeszcze i patrzył w zamyśleniu na kobietę.

– Kto stale je tylko mamałygę – odparł z wolna, w zamyśleniu, ostrożnie – wciąż tylko mamałygę, umyślnie... a twaróg odkłada... ten musi uważać, żeby twaróg w końcu się nie zepsuł... Co zaś tyczy się innych – gwałtownie machnął ręką i dziwnie się uśmiechnął, i smutno, i drwiąco – nie trzeba zazdrościć temu, kto stale je tylko sam twaróg. Mamałygę, wiesz, każdy musi zjeść! Wiem ci ja to, wiem... mnie możesz uwierzyć. Mamałyga, ta się nie psuje. Ta, nie.

Ruszył. Kobieta nie zawołała za nim. Po kilku krokach odwrócił się raz jeszcze.

– Ją, a i owszem, trzeba zjeść, aż do ostatniego okrucha. Nawet i na starość czy kiedy człowiek jest zmęczony jak pies, a i samotny jak pies, nawet wtedy. Ją trzeba zjeść. Nie przyjdzie śmierć, dopóki człowiek nie podniósł do ust i tego ostatniego gorzkiego okrucha. Tak to jest.

Z tymi słowami powlókł się w dół obok źródła, w mżącym szarym deszczu. Kobieta patrzyła za nim z progu. Jakie dziwne rzeczy dzisiaj mówił – myślała, spoglądając za nim. Szedł tam, ze spuszczoną głową, jak ktoś, kto przygląda się wodzie albo ziemi pod swoimi stopami. Ale czuła, że ten stary człowiek nie na to patrzy. Patrzy na życie. I na ową dziwną ścieżkę, jaką wytycza w nim ślad jednego człowieka.

*

Deszcz nie ustał do wieczora. Padało całą noc i następnego dnia. Las przysłoniła gęsta mgła. Powietrze było przesycone wilgocią, a drzewa mrukliwe. Trzeciego dnia wieczorem przez połoninę przemknął wiatr. Od niego nocka zrobiła się chłodniejsza. Później pojawiły się gwiazdy. Rankiem na murawie polany srebrzył się szron, ze skał Fulgeruj zeszła na potoki mgła i osiadła na nich biała jak mleko. Wierzchołki drzew płały się już w słońcu, niebo było błękitne i czyste. Z tyłu za chatą z delikatnym stukotem spadały bukowe orzeszki, a w ślad za nimi jeden i drugi rudobrzawy liść opadał nieśpiesznie niczym martwy motyl. Brzoza, ta nad potokiem, drżała w swej żółtej szacie, choć nie czuło się nawet najlżejszego tchnienia wiatru.

Kiedy kobieta wykonała wszystkie prace i nakarmiła dziecko, stanęła w progu. Słońce opromieniło teraz polanę, a dalej poza nią, na górskim grzbiecie, oświetliło klon, który zalśnił czystym złotem. W powietrzu unosił się już cierpki zapach jesieni, a poranne słońce było tylko letnie, łagodne i przyjemne, bo nie miało już w sobie mocy.

Potem nagle usłyszała byka. Ryczał daleko za połoniną. Dwa razy, trzy razy. Potem długo była cisza. I naraz byk znów się odezwał, już całkiem blisko, na górskim grzbiecie. Przeciągle, wręcz smutno, jak ryczą byki, gdy szukają łąni. Odezwał się tylko raz. I gdzieś daleko na Sestinie odpowiedział mu drugi.

Kobieta stała w progu, słuchała głosów i dziwnie biło jej serce. Przeżywała coś pięknego. Przyglądała się jesieni i powoli wypełnił ją jakiś osobliwy, lekki smutek.

Raptem znów odezwał się byk. Teraz jeszcze bliżej, w choinie. Jego głos jak fala przetoczył się przez ciszę i rozpląnął się ponad doliną. Zwierzęta przestały się paść i z łbami uniesionymi w kierunku głosu obserwowały las. Nareszcie na górny skraj polany wyszedł byk. Słońce rzuciło blask na jego brązowawoszary grzbiet. Zalśniły czubki rogów. Byk przystanął, spojrzął w dół ku chacie, na gapiące się zwierzęta. Przez kilka chwil stał tak bez ruchu, po czym wyciągnął głowę do przodu i z dławionym charkotem ryknął w ciszę. Z pyska buchała mu para, wyraźnie było ją widać.

Owce ruszyły pędem, z przestachem odezwały się ich dzwonki. Byk sennie skierował ku nim głowę, powoli odwrócił się i z powrotem wszedł w las. Minęło sporo czasu, zanim znów dał się słyszeć jego głos, ale już cicho, gdzieś zza górskiego grzbietu, widocznie byk z powrotem opuszczał się w jary.

Później od strony połoniny przyszedł Vénség. Usiadł na ławce przed domem, skórzany kapelusz położył obok siebie. Twarz miał poważną.

– Ryczą – powiedział – wszędzie ryczą. Jeśli panowie dzisiaj wyruszą, na wieczór będą w siedlisku. Na rano i ja tam zejdę. No a potem zobaczymy. Wszędzie jest dużo byków.

Odпочął, zjadł coś, obejrzał dziecko i ruszył z powrotem na Fulgeruj.

A rano, kiedy wstawało słońce, był na dole, w siedlisku na Cibie. Z komina domu panów szedł w górę dym. Okiennice były otwarte, jednak nikt się jeszcze nie pokazał. Vénség zaszedł na kwatery strażników leśnych. Wszyscy siedzieli na ławce przy piecu. Iwan, Birtalan, Dumitru. Usiadł obok nich. W piecu płonął ogień, przyjemne było jego ciepło. Iwan nalał jałowcówki do kieliszka i podał staremu.

– Żyj długo! – mruknął Vénség i jednym haustem wychylił zawartość kieliszka. Następnie otarł sobie usta, wąsy, brodę i oddał kielich. – Jaki jest plan? – zapytał.

– Nie wiem jeszcze – odparł Iwan.

– Słyszałem, że ten gość zostaje tu, w domu – powiedział Birtalan. – Będzie chodził na Belcsuj i na Kis Cibę.

– Tam jest jeden spory szesnastak, na Kis Cibie – mruknął Dumitru – a na Belcsuj jest jeden czternastak. I chodzi tam jeszcze też wielki niedźwiedź.

– Niedźwiedź – burknął Vénség – co ty tam mówisz o niedźwiedziu! A tamte dwa u mnie na górze to co? Hę. To są niedźwiedzie! Takich jeszcze nie widziałeś!

Iwan rozdał im słoninę i chleb. Dobry, świeży pszenny chleb. Panowie go przywieźli. W takich razach należy się i strażnikom leśnym. Jedli bez słowa. Po pewnym czasie Birtalan wyszedł, ale wkrótce wrócił.

– Już wstali – rzekł – jedzą śniadanie. Chodźcie!

Wszyscy czterej zebrali się powoli i pomaszzerowali przed dom leżący powyżej. Panowie siedzieli na werandzie, przy stole, i jedli. Trzech ich było. Pan, panicz i jakiś chudy, jasnowłosy obcy. Strażnicy leśni ustawili się w szeregu przed werandą i zdjęli z głów kapelusze.

– Szczęść Boże dobrym porankiem! – przywitał panów Vénség w imieniu wszystkich strażników leśnych, jako że to on był pośród nich najstarszy.

– Witajcie, ludzie! – odpowiedział pan. – Jedliście?

– Tak, proszę pana – rzekł Iwan, bo przygotowanie posiłku należało do jego zadań.

– No to posłuchajmy! – powiedział pan i rozparł się w wiklinowym fotelu. Twarz miał surową, czarne wąsy niemal zasłaniały mu usta, oczy patrzyły chmurnie. Siedział tam z odkrytą głową, w jego czarnych włosach nawet z daleka można było dostrzec liczne srebrne nitki. – No, zacznij ty, Vénség!

I Vénség zaczął. W postawie pełnej szacunku, trzymając w ręce swój sfatygowany skórzany kapelusz, mówił bez pośpiechu, ważąc każde słowo. Długie rzadkie siwe włosy rozczochrał mu poranny wiatr.

– Po pierwsze, są dwa niedźwiedzie. Tamte dwa z zeszłego roku. Jednego widziałem w jeżynach pod wielką skałą, i to nawet dwukrotnie, drugi chodzi przez połoninę od strony Görgény. Tego to tylko ślady widziałem, no i odchody. Ten niedźwiedź, proszę pana, zostawia tam tego tyle, co pełen kapelusz! Trop ma na pięć i dwie stopy. No. I jest tam też jeszcze osiemnastak.

– Widziałeś go?

– Nie. Jedyne słyszałem jego głos z gęstwiny. Na połoninę nie wyszedł jeszcze ani razu. Są tam w jego pobliżu i dwa inne, te ryczą jak szalone. Jednego widziałem. Dwunastak, ale cienki.

– No a jeszcze?

– Także w malinowym jarze ryczy jeden, ale tam nie poszedłem, żeby go zobaczyć. Sądząc po głosie, to i on nie jest młody.

– Dobrze. A ryś?

– Latem chodził jeden, ale od tamtej pory nie zauważyłem.

– Dzik?

– Była jedna locha z warchlakami, ale się schowała. Jednouchy odyniec mieszkał tam przez całe lato, ale teraz przeszedł na buczynę, tę na Görgény. Czasem wraca. No jak to dzik.

– Dobrze – skinął pan – teraz kolej na ciebie, Birtalan.

Birtalan opowiedział o Nagy Cibie, Kis Cibie, Belcsuj. Potem Dumitru – stamtąd w dół, całkiem aż po Maros, a za nią do Peszkócy. Na koniec Iwan – o Iszticsó, Kétág, Sestinie, Komárnyiku. Kiedy mieli to za sobą, pan wydał komendę:

– Birtalan, ty zostaniesz tutaj z panem hrabią! Spróbujecie szesnastaka, na Kis Cibie, albo tamtego z Belcsuj. I niedźwiedzia, oczywiście. Dumitru, ty zaczekasz na dole u Gyerkó, aż przyjedzie pan podstarości. Będzie tu, jak sądzę, jutro albo pojutrze. Poprowadzisz go w górę do koliby na Korbuly, rozumiesz? Nieważne, jakiego byka ustrzeli, aby tylko był byk. Trochę ciężko się rusza. Najlepiej, jeśli będziesz go zawsze ustawiał na czatach. Daj mu ustrzelić i dzika, w jarach PISOJ to nie będzie trudne. Iwan, ty z paniczem pójdziesz na Komárnyik. Stary, ty już wiesz. Magurę obserwowałeś?

– Jeszcze tam nie byłem, proszę pana.

– Któregoś dnia i tam poślę cię na jedną noc. Gdzieś tam jeszcze musi być tamten stary uwsteczniający się byk. Jeśli tylko zimą nie pożarły go wilki.

– Na Magurze nic nie wskórały tej zimy – mruknął Dumitru – tropiłem je.

– Dobrze. No to szykujcie się! Za godzinę ruszamy. Iwan, rozdziel pomiędzy nich palinkę.

– Tak jest, proszę pana.

Strażnicy leśni na powrót włożyli kapelusze i poszli. W siedlisku rozdzielili pomiędzy siebie palinkę, którą przywiózł im pan, napełnili nią bukłaki, a to, co zostało, schowali na zimę. Dobra będzie, gdy nadejdą mrozy. Potem założyli koniom drewniane siodła i zaczęli wynosić z domu bagaże.

Pan i panicz wyruszyli razem w górę wzdłuż Szalárd. Hrabia patrzył za nimi z werandy, a został tam również Birtalan oraz Dumitru. Ojciec i syn podążali obok siebie. Byli jednakiego wzrostu, tyle że pierwszy szeroki w barach, z krzaczastym

zarostem, drugi zaś szczupły, gładki na twarzy. Ale ich odzienie zrobione było z tego samego płótna, tak samo nieśli strzelbę na ramieniu, a też rytm ich kroków był jednaki. Nie rozmawiali, szli w milczeniu. Za nimi, w należytej odległości, podążał Vénség. Za nim następowały konie, a za końmi Iwan. Za Iwanem zaś, ściśle śladem jego stóp, psy.

Z obu stron las przybierał już rozmaite kolory. Tu i tam jeden i drugi klon był już całkiem żółty, zieleń buków pstrzyły rdzawe plamy. Na stromym brzegu potoku niebieszcila się goryczka i kilka spóźnionych dzwonków. Szumiał potok, a w górze na błękitnym niebie krążyły myszołowy.

Nareszcie przy Sestinie rozdzielili się. Panicz odbił w prawo, pan zaś podążył dalej. Śladem pana włókł się Vénség z jednym z koni, za paniczem Iwan prowadził drugiego. Konie niespokojnie rżały i podrzucały łbami. Przed zakrętem pan przystanął na chwilę i popatrzył za swoim synem. W tym momencie obejrzał się też panicz. Pozdrowili się podniesionymi rękoma, po czym każdy zniknął w innej dolinie.

Kobieta akurat karmiła dziecko, gdy w dole w drągowinie posłyszała rzenie. Siedziała na dworze przed domem. Przyjemnie, letnio przygrzewało tam przedpołudniowe słońce. Pies zerwał się spod drzewa i nasłuchiwał. Znów zarżał koń.

Z bijącym sercem powstała z ławki. Dziecko też przerwało ssanie i sennie zwiesiło główkę. Szybko weszła z nim do chaty, włożyła je do kołyski, przykryła i ponownie wyszła przed dom. Wtedy już widać było pomiędzy drzewami małego szarego górskiego konia, jak z obładowanym grzbietem wspinał się ścieżką. Przed nim Iwan z dwoma psami. A przed Iwanem, dobrych dwadzieścia kroków przed nim...

Oczy jej zapłonęły, gdy stała tam u węgła domu i patrzyła w dół na ścieżkę, którą powoli nadchodziło dwóch mężczyzn i koń. Plecy jej się wyprostowały, twarz rozgorzała. Ramiona drgnęły do uścisku, stopy zniecierpliwily się, pragnęły wybiec mu naprzeciw, chciała śmiać się w głos, śpiewać...

Ale tylko tak stała przy chacie, bez ruchu, wysmukła, z podniesioną głową, płonącym ciałem, z dostojnością spełnionej kobiety, i czekała.

– Witajcie, Bóg was przywiódł!

Tylko tyle powiedziała, kiedy panicz dotarł na górę i stanął przed nią. Resztę mógł wyczytać z jej rozszarpanych oczu, ust, z jej twarzy. Wesoło, wręcz ze zdziwieniem obejrzał ją od stóp do głowy. I jego oczy błyszczały.

– No, ryczą już byki? – zapytał.

– Ryczą – odpowiedziała kobieta i uśmiechnęła się przy tym. Panicz podszedł bliżej.

– Co się z tobą stało? Nie jesteś taka jak...

W tym momencie w chacie zapłakało dziecko. Nie był to prawdziwy płacz,

tylko jakieś takie kwilenie. Od tego paniczowi słowa uwieźły w gardle. W mgnieniu oka twarz mu poczerwieniała, oczy jakby się spłoszyły, kobieta zaś stała i uśmiechała się.

– Oczywiście, oczywiście – wyjąkał nieco zbity z tropu i uciekł wzrokiem. Ale powoli ruszył w kierunku drzwi. Kobieta szła za nim i wciąż się uśmiechała. Tym osobliwym, dumnym uśmiechem.

Weszli do chaty. Panicz postąpił krok ku wewnętrznej izbie, jednak potem zatrzymał się bezradnie. Jego oczy zastygły na kołysce. Po chwili wolno podszedł tam i zajrzał do środka. Dziecko już nie kwiliło. Spokojnie leżało w pieluszcze i przezrzystymi błękitnymi oczętami gapiło się w górę. Panicz przyglądał mu się, z wahaniem i widocznym zakłopotaniem na twarzy. Kobieta stała obok niego i wciąż się uśmiechała.

– Chłopiec? – spytał cicho.

– Oczywiście – kobieta przytaknęła, niemal urażona. Panicz znów spojrział na dziecko.

– Widzi już?

Kobieta zaśmiała się cicho.

– No oczywiście! Chyba nie jest kociątkiem?! Panicz zawstydził się nieco.

– Ale mówić to jeszcze nie potrafi?

– Ojej, co za pytania potraficie zadać – kobieta śmiała się w głos – o mój Boże, jakież głupie... Panicz znów się zaczerwienił.

– Jedno tylko lichy wyznaje się na tych rzeczach – rzucił zmieszany – jednak kształty ma już całkiem prawidłowe, jak u człowieka. A oczy błękitne!

Kobieta znów zaśmiała się w głos.

– Z czego się śmiejesz?

– Z niczego – odpowiedziała i odwróciła się. Lecz w duchu wciąż jeszcze chichotała.

Panicz wszedł do wewnętrznej izby, zawiesił na gwoździu strzelbę, kapelusz, kurtkę. Kobieta wyszła pomóc Iwanowi. Kiedy po pewnym czasie wróciła, taszcząc na ramieniu jeden ze skórzanych worków, na progu nogi wrosły jej w ziemię. Panicz stał pochylony nad kołyską i mówił coś żartobliwie do dziecka. Przy tym kręcił głową. Kobieta stała na progu, a serce mocniej jej zabiło ze szczęścia. Ciężki skórzany worek ześlizgnął jej się z ramienia i mocno stuknął o kamienny próg.

Panicz wyprostował się, jak złodziej przyłapany na gorącym uczynku. Twarz mu nabiegła krwią. Ale wtedy kobieta jednym susem znalazła się już przy nim i obiema rękami objąwszy go za szyję, z cichym buczeniem, które w połowie było śmiechem, a w połowie płaczem, przylgnęła mu do piersi. Także w paniczu coś drgnęło. Jakieś wielkie utajone ludzkie uczucie, i przytulił do siebie kobietę. Spletli się ściśle jedno z drugim. Słowo nie padło, tylko tak stali w objęciach, przy

kołysce, a ich serca były razem cudowną radością.

W następnej chwili rozległy się kroki. Ramię panicza szarpnęło się i wypuściło kobietę. Ona też odjęła swoje ramiona i z oczami błyszczącymi od łez, z twarzą rozpaloną spojrzała w górę na oblicze mężczyzny, a ten wzrok pełen był wdzięczności i miłości.

Na progu pojawił się Iwan z drugim skórzanym workiem na ramieniu. Panicz w zmieszaniu odsunął się w bok i zaczął kasłać, wysilając się, a od tego kasłania twarz mu jeszcze bardziej poczerwieniała. Kobieta pochyliła się nad kołyską, plecami do drzwi, i odgarnęła z twarzy niesforne kosmyki.

Iwan spokojnie przeszedł przez całą izbę i położył worek pod półką, w kącie.

– W tym tu jest jedzenie – rzekł – w drugim zaś odzienie. Wniosłaś go do środka?

Kobieta poderwała się.

– Worek? Czekałcie, zostawiłam go na zewnątrz.

– Zostaw – wtrącił się panicz – za ciężki on dla ciebie. Ja go wniosę.

Chwycił worek z progu. Dostrzegłszy zdziwienie na twarzy Iwana, zaczął mówić dużo i szybko, by ukryć zmieszanie.

– Słuchaj no, Iwan, puść się z koniem na Fulgeruj, po tamtego drugiego, żeby Vénség nie musiał schodzić z tego powodu. Oba konie zaprowadź na dół, niech będą w pogotowiu, gdyby potrzebował ich pan podstarości czy pan hrabia. Wystarczy, jeśli wrócisz tu z powrotem jutro w południe, rozumiesz?

– Tak, proszę pana.

– Weź z sobą coś do jedzenia z tamtego worka, żebyś nie musiał tracić czasu. Bo nim dotrzesz na Fulgeruj i tak dalej...

– Tak, proszę pana.

I po kilku minutach Iwan szedł już w górę, ku połoninie. Za nim koń i dwa psy.

A w wewnętrznej izbie chaty stało naprzeciw siebie dwoje rozplómiionych ludzi. Wręcz bił od nich blask, niczym od słońca tam na zewnątrz, ponad jesiennymi lasami. I nigdzie nie było nikogo, kto mógłby im przeszkodzić. Dom spokojnie grzał się w słońcu, dziecko spało w kołysce, a na polanie spokojnie pasły się owce, niekiedy cicho odzywały się ich dzwonki. Pomędzy owcami sztywno przechadzał się pobudzony baran i każdą z nich brał pod uwagę.

Tamtej jesieni rykowisko było szczególnie udane. Nastaly pogodne dni, ale słońcu jakby brakowało już mocy i powietrze nawet w południe nie nagrzewało się tak jak kiedyś, a rzeński chłód poranków przynosił ze sobą jakiś nowy, surowy zapach. Może sprawiały to mgły, które już wczesnym wieczorem zaczynały podnosić się znad potoków i aż do samego przedpołudnia siedziały w krzywiznach jarów. Albo też drzewa, bo pachniały już jesienią, pnie miały chłodne, a listowie na gałęziach zegnało się ze światem wspaniałymi kolorami. Albo może powodowały

to kamienie, wielkie skały, wydychając chłód, woń pieczar i grzybów, a także wilgotnego mchu, który przywarł im do boków i nigdy nie wysychała na nim rosa.

Na próżno wysilały się ciemnoniebieskie lejki goryczki, żeby las uwierzył w lato: las już im nie wierzył. W głębinach jarów, w cieniu kotlin ziemia była już gotowa na przyjęcie pierwszego szronu. A powietrze było czyste i chłodne niczym stal, jakby wiatry odcedziły z niego ostatnie krople lata.

Dobre było to rykowisko. Jeszcze nawet w południe byki nie odpoczywały, tyle że pomoczyły się w błocie, tam gdzie kąpie się dzika zwierzyna, a ich porykiwania słychać było to tu, to tam, w głębinie jarów lub w drągowinie. Kiedy zaś słońce poczynało się skłaniać ku zachodowi i mgła ruszała w górę wzdłuż potoków, odzywały się wszystkie naraz. Powietrze falowało koliście, ziemia jęczała. Wieczorem byki porykiwały już z górskich grzbietów, na polanach, na płasniach hal, dopóki tylko trwała noc, bez przerwy waliły ich racice, stukały wieńce i ryczały gardła. Od tego wszystkiego powietrze aż drżało. A odurzone byki ryły przejętą dreszczami ciszę nocy. Piękne było to rykowisko.

Kobieta całymi dniami nuciła na hali Komárnyik. Od jej głosu rozkwitł dom, a życie nappełniło się zapachem. Krowa dawała więcej mleka. Lżejsze było wiadro pełne wody. Ładniej płonął ogień. A te wieczory! Jaka miękka była ich aksamitna czerń, jak mile łaskotała! Izbę wypełniał zapach świeżych świerkowych pędów i w piecu wesoło huczał ogień, na łóżku tańczyły zaciekawione świetlne duchy. A te gwiazdy! Opuszczały się aż po same czubki choin i zagłądały w okno, by uczyć się miłości.

Codziennie o świcie panicz ruszał w drogę. Kobieta szybko dawała mu do wypicia kubek mleka lub kieliszek palinki, wedle jego życzenia, wkładała mu do worka chleb i słoninę, a potem stała w drzwiach i spoglądała za nim, dopóki nie zniknął pośród drzew. Później oporządzała krowę – owiec już nie trzeba było doić – sprzątała dom, zajmowała się dzieckiem, a kiedy uporała się z domowymi zajęciami, słońce stało już wysoko ponad drzewami i obejmowało polanę swym ciepłym światłem. Wtedy szła przeszukiwać gniazda kur, zbierała zniesione jaja, nastawiała obiad, po czym siadała na ławce przed domem i czekała.

Piękne było to czekanie. Przyjdzie z tej strony czy z tamtej? Co widział? Przyniesie coś? Jaki będzie miał humor? Niekiedy wystawiała na słońce także kołyskę, a ciche gaworzenie dziecka zlewało się z dzwonkami owiec, szemraniem źródła i wiatrem myszkującym w buczynie. Niekiedy ponad polaną przelatywała jakaś sójka zachwycająca kolorami, z oddali zaś niósł się ryk byków, jakby to jęczała cisza albo też i lasy.

Nareszcie około południa pojawiał się skądś, z daleka machali do siebie, panicz opowiadał, że było to, tamto, tymczasem już i gotowy był obiad, zjadali, potem rozścielali na trawie koc i wylegiwali się na nim. Kobieta kładła wtedy głowę na ramieniu mężczyzny i gryząc w zębach łodygę trawy, patrzyła w niebo,

które było błękitne i jakby utkane z czystego spokoju. Nareszcie po jakimś czasie panicz budził się, brał strzelbę i wracał do lasu. Dopiero ciemną nocą zjawiał się na powrót. Wtedy już miło huczał ogień, czekały na niego gotowe kolacja i łóżko.

Od czasu do czasu przychodził Iwan, pomagał przynieść dzika, oprawić kozła, oskubać jarzabka, pomagał przy tym i przy tamtym. Opowiadał, że tu było to, a tam – tamto. Pan podstarości zranił dwunastaka, Dumitru przybiegł po Iwana, dwa dni szukali z psami tego byka, ale się nie znalazł. Hrabia ustrzelił odyńca na Belcsuj i przestrzelił jednego byka. Był to piękny, wielki byk, mówił Birtalan, tyle że hrabia pośpieszył się ze strzałem.

Jednej i drugiej nocy Iwan zostawał tam na sianie, po czym wracał, bo nie można było wiedzieć, kiedy potrzebne będą gdzieś psy, żeby odszukać zranioną zwierzynę. Czasem nie przychodził na górę nawet i przez dwa dni. To były dla kobiety prawdziwie piękne dni. We dwoje, razem z nim. I nigdzie, ale to nigdzie nikogo. Jak wtedy, tamtej przeszłej jesieni, wysoko na Istenszéke.

Niekiedy zdawało jej się, że to wciąż była ta sama jesień. Jakby tylko śniła o tym, że od tamtej pory przeminął rok i tyle się zdarzyło, i że przez cały rok byli daleko od siebie, i stali się sobie już niemal obcy. Czuła, jakby wszystko pociągnęło się dalej od miejsca, w którym się wtedy urwało. Tyle że razem wyśnili dziecko, a teraz to dziecko gaworzy tu w kołysce, którą wyciosali Iwan z Birtalanem. Tyle że... to już nie jest Tron Boży, lecz Komárnyik. Nie koliba sklecona z gałęzi, lecz prawdziwy dom, wielka piękna chata, która jest ich domem. Lecz reszta, wszystko to, co wypełnia te zewnętrzne kształty, jest wciąż takie samo. Takie samo uczucie i taki sam ogień. Taka sama radość i takie samo odnalezienie siebie nawzajem. Nawet i słowa takie same, a jeszcze i ruchy jednakie, że aż przenika dreszcz.

Raz w południe, kiedy się tam wylegiwali, zapytała:

– Czy to możliwe, że rok przeminie, a potem wypadnie jak ogniwo z łańcucha i wszystko pociągnie się dalej od miejsca, w którym się przed rokiem urwało? Czy to możliwe?

– Co? – panicz mruknął sennie. – Czy ja wiem?

Z tymi słowami odwrócił się na drugi bok. Był zmęczony.

To miało miejsce tamtego dnia, kiedy natrafił na wielkiego byka z Iszticsó. Ryk zwierzęcia wiele już razy słyszał w gęstwie kotlin, ale w żaden sposób nie mógł dostać się w pobliże byka. Rzadko się on odzywał, a i wtedy nie ryczał porządnie, a tylko pomrukiwał raz i drugi, jak to czynią bardzo stare byki. Jednak tamtego poranka głos byka rozległ się na płasni Iszticsó. Było to wcześniej rano, przed pierwszym brzaskiem. Nim panicz tam dotarł, ryczały w tym miejscu już tylko dwa inne, młodsze. Stary skrył się gdzieś w jarach. Panicz długo nasłuchiwał, ale już nie usłyszał jego głosu. Długo się za nim uganiał pośród skał i później niż zwykle dotarł z powrotem do chaty. Tylko zjadł, po czym położył się spać. Kobieta

dała mu spokój. Więcej doń nie mówiła.

Ledwie się zbudził, natychmiast skoczył na nogi. Poszedł z powrotem na Iszticsó. Wrócił późno, w złym humorze. Co prawda przed zmierzchem byk kilka razy ryknął w gęstwinie, jednakże z niej nie wyszedł.

– Jeśli się da, obudź mnie, jak będzie jeszcze ciemno – rzekł panicz – chcę być tam jutro wcześniej.

Z tego powodu kobieta wiele razy podrywała się w nocy, obserwowała gwiazdy, lecz za każdym razem byłoby nazbyt wcześnie. W końcu naraz przebudziło ją to, że ktoś rusza się po pokoju. Był to panicz. Zapalił lampę. Na dworze dopiero poczynały blednąć gwiazdy.

Panicz wypił kieliszek palinki; włożył do worka chleb, słoninę, i poszedł. Jeszcze nie wszystkie gwiazdy zgasły, gdy znalazł się wreszcie na płasni Iszticsó. Ciemność w dolinach ustąpiła miejsca mlecznej mgłę ścielącej się nad potokami. Do wschodu słońca daremnie czekał. Wszędzie ryczały byki, a tuż przed sobą, na owym płaskim kawałku, miał porywczego dwunastaka z trzema łaniami, jednak stary nigdzie się nie pokazywał. Wreszcie kilka minut po wschodzie słońca usłyszał jego głos. Byk wydał kilka pomruków na wschodnim grzbiecie Iszticsó. Panicz w pośpiechu rzucił się w kierunku tego głosu, nie troszcząc się o to, że spłoszy dwunastaka, nie troszcząc się też i o drugiego byka, który właśnie wyszedł na górę z jaru, w jeżynach panicz niemal wpadł na młodego niedźwiedzia, który z przestachu i zaskoczenia uciekł w dół stoku, fukając i plując, i wywołując taki hałas, jakby na kawałki chciał połamać cały las przed sobą. Panicz nie troszczył się o nic, tylko biegł. Był to dziki pęd. Gdzieś uskoczył dzik, pochrzäkując, jego czarny bok mignął na moment pośród drzew. Paniczowi nawet nie przyszło do głowy, żeby go ustrzelić. Chciał wielkiego byka. Wiedział, że wszystko zależy jedynie od paru chwil. Byk przechodzi teraz grzbietem i tam pozostanie przez krótki czas na otwartej przestrzeni, po czym znów zniknie w gęstwinie.

Popędził i jeszcze zdążył go zobaczyć. Byk był już na dnie przeciwległego jaru i wraz ze swymi łaniami chował się właśnie w choinie. Mógł nań rzucić ledwie jedno spojrzenie. Na jego wieniec, jak piętrzył się po obu stronach, jakby byk nosił na głowie dwa rozrosłe drzewa, taki on był. Tej odległości strzelba nie dałaby rady. A wiedział myśliwy także i to, że pójść za nim nie wolno. Mała jest szansa na to, że w gęstwinie dostanie go na cel, a jeśli byk poczuje, że za nim chodzą, wyprowadzi się ze swymi łaniami, i wtedy na pewno już nie dostanie go tej jesieni. Zatem tylko nań patrzył. Wszystko to trwało zaledwie kilka chwil, podczas których mógł zobaczyć, jak jelen z wolna wkracza pomiędzy drzewa, ale nawet i owych kilka chwil wystarczyło, żeby tamtego popołudnia z kozuchem i workiem wyruszyć z hali Komárnyik.

Nie wrócę na noc do domu – postanowił – będę spał tam, nieopodał byka.

Na grzbiecie Iszticsó poszukał sobie miejsca na przenocowanie. Ognia nie

rozpalał. Siedział w ciszy i czekał.

Około zachodu słońca w gęstwie zachodniego zbocza byk zaryczał kilka razy, po czym znów zamilkł. Kiedy rozbrły gwiazdy, naraz znów się odezwał poniżej połoniny, na północnym stoku.

Panicz, zawinięty w kozuch, czuwał przez całą noc. Słyszał, jak stary byk przyszedł w górę na płasń Iszticsó i długo tam ryczał w jednym miejscu. Tak po północy umilkł. Kilka mniejszych byków wciąż hałasowało, jeden z nich podszedł całkiem blisko, można było nawet poczuć jego woń i drżenie powietrza, gdy ryczał pełnią płuc. Lśnił księżyc, bliski pełni, i w jego blasku panicz zobaczył ciemne kontury zwierząt, jak tu i tam poruszały się w wiatrołomie. Lecz stary znowu milczał.

Powoli upływała noc. Długa już o tej porze roku, a dłużąca się szczególnie temu, kto spędza ją na czekaniu.

Kiedy na wschodzie niebo poczęło się rozstępować, a po drzewach wionęło chłodem, stary znów się odezwał. Był to jedynie taki ziewający ryk, kiedy byk podnosi się z legowiska, przeciąga się i zapuszcza wzrok w mglistą szarość świtu. Głos nadszedł z płasni Iszticsó.

Było jeszcze ciemno, panicz nie mógł się poruszyć. Wciąż tylko czekał i w napięciu nasłuchiwał. Stary teraz już częściej porykiwał. Jeszcze przez jakiś czas w górze, tam gdzie jest płasko, potem, gdy gwiazdy coraz bardziej bledły, ruszył z wolna w dół po wschodnim stoku.

Wówczas panicz wychynął z kozucha, chwycił strzelbę i zbiegł jarem leżącym z tyłu za nim. Jakieś ogromne zwierzę w strasznym pędzie puściło się poniżej w ciemności, ale nie przejmował się tym. Biegł. Po drugiej stronie znów w górę, na wschodni stok. Musiał wybrać długą okrężną drogę, bo nie można było zrobić inaczej. Wymagał tego wiatr.

Nim dotarł pod wschodni grzbiet, niebo na wschodzie mocno już czerwieniało. Powietrze powoli oczyszczało się z oparów i pojedynczo ukazywały się drzewa. Widać było już tylko gwiazdę poranną, ale i ją ledwie co. Wszędzie po górskich grzbietach grzmiały rozwścieczone byki. Był to poruszający serce, przepiękny poranek. W jeżynach myszkował niedźwiedź. Taki młody niedźwiedź, czarny, z wydłużonym nosem. W dole, na dnie jaru, jakaś locha przeganiała swoje warchlaki, cicho pochrzając.

Panicz dotarł na górski grzbiet. Przystanął. Było cicho, tylko gdzieś daleko jęczały wszystkie lasy. Dobrą chwilę stał tam bez ruchu. W końcu powoli ruszył naprzód. I wtedy przed nim, w zagłębieniu przeciwległego jaru stary zaryczał niskim gardłowym głosem.

Panicz ostrożnie skradał się naprzód. Nawet nie trzasnęła gałąź, nie zaszeleścił liść. Tylko nagle lelek kozodój wzbił się skądś do lotu, po czym z przenikliwym skwirem rzucił się w dół w buczynę. Wtedy wstało słońce

i purpurą zabarwiło cały grzbiet. Łagodny wiaterek przywiał wilgoć znad potoku.

Nareszcie szeroki, porośnięty jeżynami jar panicz miał niemal u swych stóp. W rudawym świetle słońca osobliwie lśniła rosa na plamistych liściach ożyn.

Najpierw zobaczył łanię. Stała tam pośród krzaków jeżyn i wypatrywała czegoś w dole. Po chwili ujrzał jeszcze dwie. Dalej czwartą. Wszystkie spoglądały w dół. Potem pomiędzy powalonymi na siebie pniami dostrzegł piątą. I wtedy obok porośniętego grzybami pniaka poruszyło się coś szarego, wielkiego. Ze skłębionego chaosu spróchniałych gałęzi oddzieliła się głowa i mignęła biała korona wieńca.

Powoli, dostojnie byk postąpił kilka kroków. Już wyraźnie było go widać. Przy każdym kroku jego ciężki wieniec wychylał do tyłu głowę. Byk przystanął. Mrukliwie, ledwie dosłyszalnie ryknął jeden raz, a z pyska buchnęła mu gęsta para. Nagle ruszył z kopyta, tratując wszystko na swojej drodze niczym toczący się po zboczach głaz, i rzucił się na łanię.

Ta cicho jęknęła i uskoczyła w bok. Potem powolnymi, zabawnymi susami ruszyła w górę. Od czasu do czasu zatrzymywała się i spoglądała wstecz. Niemal zalotnie. Wtedy także i byk przystawał, odwracał głowę w kierunku czerwonej kuli słońca i ryczał nań ochryple. Po czym znów rzucał się za łanią.

Ta dotarła już na górski grzbiet. Na jej brązowy zad padło słońce i tym swoim pocałunkiem wydusiło z niej białą mgiełkę. Byk szedł za łanią powściągliwym, dostojnym krokiem. Na drodze stanęła mu gałąź młodego buku. Nie ominął jej, tylko raz poruszył w tamtą stronę wieńcem, a młode drzewo z trzaskiem złamało się wpół od tego uderzenia.

W tym momencie łania zobaczyła człowieka przyczajonego obok skały. Nogi wrosły jej w ziemię. Szyja wyciągnęła się, uszy poszły wprzód jak dwie duże łyżki, chrapy rozděły się. Raptownie cała zamieniła się w słuch. W żywy pomnik uwagi, tam wysoko, na górskim grzbiecie, w białych oparach i rudawych promieniach słońca.

Byk też się zatrzymał. Głowę z wolna, leniwie, z nieznającą lęku samoświadomością, zwrócił w tamtą stronę, gdzie najwyraźniej łania coś zauważyła. Lecz wtedy jego łopatka była już na muszce.

Strzał przeciął ciszę na dwoje. Jar wypełnił się czarnym dymem i gorzkim zapachem prochu. Wielki byk zachwiał się, jeszcze jakby chciał ruszyć ku Iszticsó i z trzaskiem zwałając drzewa, miażdżąc gałęzie, runął w jar. Łanie w przerażeniu popędziły za nim. Jeszcze przez kilka chwil słychać było czyniony przez nie hałas, aż nagle zaległa cisza. Niezwykle głęboka, wielka cisza. I dopiero po jakimś czasie na powrót zaczęły dochodzić z oddali głosy byków, ryczących wszędzie, ale to wszędzie, gdzie górskie grzbiety zlewały się z horyzontem.

Panicz stał tam bez ruchu, a serce wciąż waliło mu z podniecenia. Jeszcze czuł bezpowrotną wspaniałość tego momentu. Wreszcie podszedł do miejsca, gdzie

wcześniej stał byk. Pochylił się. Jego oczy nerwowo przeszukiwały liście ożyn i naraz ogarnął go jakiś przyjemny spokój. Krew! Na jeżynach widać było ciemną plamę posoki. I także niżej, tam, dokąd popędził byk. I jeszcze dalej, wszędzie. Krew. Ciemna, prawie czarna krew. Dużo krwi.

Załadował strzelbę i powoli, ostrożnie ruszył tym tropem w dół. Drogę znaczyła też zryta ziemia, potargane pędy jeżyn. I wszędzie krew zmieszana z kroplami rosy.

Nie musiał iść daleko. W dole, na skraju jeżynowych zarośli, pomiędzy powalonymi pniakami, leżał potężny byk. Już nie żył. W jego znieruchomiałych oczach ostatni raz odbiło się łagodne światło poranka; pysk miał nieco otwarty, jakby jeszcze chciał zaryczeć, ale wyciekła z niego już tylko krwawa piana. Wieńcem byk zahaczył o młodą choinę i kiedy padał, również i ją pociągnął za sobą.

Panicz zatrzymał się przed nim. Serce mocno biło mu z radości, ale jednocześnie ogarnęło go jakieś dziwne, smutne uczucie i powoli zdjął z głowy kapelusz. Po czym odłamał piękną świerkową gałązkę, zanurzył ją w ciemnej krwi byka i przypiął sobie tę gałązkę do kapelusza. Następnie usiadł na jednym z pieńków, wyciągnął worek i zaczął zajadać.

Był już mocno zaawansowany w oprawianiu, gdy wysoko na płasni Iszticsó odezwał się jakiś róg. Wydał cienki, wibrujący głos. Góry odbijały go z oddali.

Panicz nadstawił ucha. Następnie odłożył nóż, wyjął ze strzelby nabój i dmuchnął w lufę. Akurat taki sam dziwny, rozbujany, zabawny dźwięk, jak i ten pierwszy, wyleciał także i z jego strzelby i ostro przeciął ciszę. Panicz dmuchnął cztery–pięć razy. Po czym na powrót położył strzelbę i dalej pracował.

Ze skórą już skończył i właśnie zmagął się z głową, gdy wysoko na górskim grzbiecie zagrzmiął okrzyk.

– Hej, ho, ho!

– Hej, ho, ho! – odpowiedział.

A po kilku chwilach już zatrzeszczały w górze gałęzie i spomiędzy drzew ukazał się pan. Strzelbę miał na ramieniu, przy boku worek. Podszedł, obejrzał wieniec.

– Piękny. Osiemnastak. Naprawdę piękny. Gruby.

– Uperlony – powiedział panicz.

– Tak, z różą. Kolor też ma dobry. Rozstaw szeroki. Gratuluję ci go, synu!

Panicz wziął na kark łeb z wieńcem, na ramię owinięty w skórę comber i powoli ruszyli w górę, obok siebie, ojciec i syn.

– To pierwszy?

– Pierwszy.

– Onegdaj też słyszałem strzał.

– To był dzik. A przedtem kozioł. A ojciec?

– Jednego i ja ustrzeliłem. Nie jest taki piękny jak ten. Dziesiątak, ale gruby. Stary, z uwsteczniwym porożem.

– Wiem o jednym takim nad Sestina. No a ten żółty niedźwiedź?

– I on tam chodzi. Zostawiłem mu padlinę.

– A ten szary, o którym opowiadał Vénség?

– Jeszcze nie udało mi się go napotkać. Chodzi tu niedźwiedź?

– Trzy młode. Dzików jest więcej. Jednouchy jeszcze żyje?

– Ustrzeliłem go przedwczoraj. Brakowało mu też jednej szabli.

– Musiał być bardzo stary.

– Był stary i chudy.

– Dobrze jest w tym roku rykowisko.

– Dobrze.

Byli już wysoko na górskim grzbiecie. Słońce bezlitośnie wysysało soki z bukowych liści, które rudobrazowymi chmarami opadały przy lada podmuchu. Jeszcze jakiś czas szli razem, po czym wysoko na upłazie stary zatrzymał się.

– No, ja tu odbiję. Przyszedłem tylko na twój strzał, bo i tak byłem tu, na połoninie Gergely.

Syn też przystanął. Podali sobie ręce. Mocno splotły się ich palce.

– Któregoś dnia może odwiedzę cię, synu, i spędzę tam noc. Od ciebie bliżej jest na halę Gergely, a to tam chodzi jeden mój dobry byk.

Syn zaczerwienił się.

– Przyjdźcie, ojczy, chętnie was ugościmy.

– Ugościmy? Z kim ty tam jesteś?

– No... mam na myśli... Stary roześmiał się.

– Gołowas! Sądzisz, że przede mną da się co ukryć? Jak myślisz, kto się troszczył o twoją niewiastę, kiedy byłeś daleko? Kto posyłał na górę kaszę i słoninę, i inne rzeczy? Co? Jak dla ciebie, to ona mogła być i umrzeć z głodu!

– Ale...

– Zamilcz! W tych dniach przyjdę i obejrzę tę niewiastę. Tam wysoko, na Fulgeruj, stary dużo o niej opowiadał. Zrobiłem się ciekaw. No, do tego czasu życzę ci dobrego polowania!

– Dobrego polowania – wyjąkał panicz, zakłopotany – całuję rączki!15.

– Serwus!

Z tymi słowami rozeszli się w dwie różne strony. Jeden z huczącą głową i zawstydzony, w dół połoninę, tam gdzie świerki skrywają wielką polanę na Komárnyiku. Drugi spokojnie, podśmiewając się w duchu, w górę na południowy wschód, a potem w głąb gęsto zarośniętych jarów, gdzie rosną grzyby o zapachu pleśni i olbrzymie paprocie, mech tłumy hałas kroków, a przygięte ku sobie, potwornie stare drzewa cedzą ciszę i światło.

W domu na Komárnyiku oboje natychmiast wzięli się do głowy byka.

Kobieta pomagała z dużą wprawą. Zdarli z czaszki skórę, przepiłowali tę czaszkę jak należy, następnie kości wsadzili do wody spływającej ze źródła, żeby się wymoczyły. Usiedli tam obok i przyglądali się im. Był to przepiękny wieniec. Macali go, dotykali, mierzyli jego długość, grubość, korony. Tam też napotkał ich Iwan, kiedy przyszedł tak około południa. Przysiadł się do nich, przyglądał się wieńcowi, chwalił go, na koniec podzielił się nowinami.

Podstarości ustrzelił jednego byka, dziesiątaka, i wczoraj już zszedł z Korbuly. Dziś rano wyruszył z powrotem do Vásárhely. W sumie upolował dwa dziki i jednego byka. Bardzo był zadowolony i dał ładny napiwek i Dumitru, i Gyerkó, choć Dumitru nie był zeń zadowolony i narzekał, że człowieka chodzącego tak niezdarnie to on jeszcze nie widział na tym świecie, cud, że dał radę zrobić tak, żeby podstarości w ogóle coś ustrzelił. Hrabia upolował szesnastaka z Kis Ciby. Teraz chce poszukać jeszcze tego niedźwiedzia z Belcsuj. Wątpliwe jednak, czy mości panu to się uda. Bo znów z nim kłopot jest taki, że kaszle, powiada Birtalan. Co kwadrans: khy, khy! No a tak to nie można czatować na niedźwiedzia. Gyerkó mówi, że tam po drugiej stronie na Ilvie jeden z baronów Bánffy ustrzelił niedźwiedzia, jakiego jeszcze nikt tu nie widział. Niedźwiedzia z kołnierzem. I widzieli też jednego białego byka, całkiem białego, na Porkuj powyżej Ratosnyi. Podobno zobaczył go strażnik leśny barona na Vécs, i teraz poszedł tam i sam baron. Licho wie, co z tego jest prawdą.

Takie wieści przyniósł Iwan. Po południu wygotowali wieniec, oczyścili go z błon i wystawili na słońce, oparłszy o ścianę chaty. Przyjemnie było nań popatrzeć, tak piękny był ten wieniec.

Panicz wykapał się, ogolił i przez całe popołudnie spał. O spotkaniu na Iszticsó nic kobiecie nie powiedział. Jakoś tak trudno byłoby mówić o tym. Pod wieczór poszedł nad Pável. Zabrał z sobą także Iwana. Ledwie odeszli, gdy do chaty przybiegł zdyszany starszy dzieciak od Ferenców z wiadomością, że wujek Birtalan przekazuje, że Iwan ma przyjść z psami na dół, bo na Belcsuj zranili do krwi jednego niedźwiedzia.

– Jak wrócę do domu, to powiem – kobieta obiecała dziecku, po czym dała mu jeść i po jakimś czasie dzieciak ruszył z powrotem.

Wieczorem kobieta przekazała wiadomość. Iwan zjadł kolację i poszedł, żeby już o świcie mogli być na Belcsuj. Dzięki temu przez dwa dni Nuca i panicz znów mogli zostać sami wysoko na Komárnyiku.

Drugiego dnia wieczorem na Pojána Vurfu huknął strzał. Tak około zachodu słońca. Kto tylko posłyszał go, poderwał głowę. Vénség na Dószul Fulgeruj, przed kolibą. Iwan na grzbiecie Nagy Ciby, schodząc w dół. Dumitru na zboczu PISOJ. Kto tylko posłyszał go, poderwał głowę. Bo ten strzał zabrzmiał obco.

Po zmroku, gdy pan pokazał się z jarów i usiadł przy ogniu przed kolibą, żeby piec słoninę, stanął przed nim Vénség.

– Był jeden strzał – powiedział. – Hę? Na Pojana Vurfu.

– Słyszałem go.

– Hę? Słyszałeś go, panie. To dobrze.

– Czemu? – zapytał pan. – Z pewnością chodził tam panicz. Albo Dumitru, a zresztą czy ja wiem?

– Hę! – rzucił stary, z naganą kręcąc głową. – Nie masz, panie, ucha. Bo tamta strzelba nie była panicza. Ani Dumitru. Ani Iwana. Ani Birtalana. Ani twoja, panie, ani moja. No to czyja ona była? Hę?

Nad tym i pan się zamyślił. Po czym następnego dnia znów rozległ się jakiś strzał, a niezdługo po nim jeszcze jeden. Wyraźnie było słyhać: strzelba odezwała się gdzieś pod Pojana Vurfu. A około południa Dumitru Wilk już był tam na Dószul Fulgeruj zameldować: pod Pojana Vurfu zrobiło sobie siedlisko ośmiu mężczyzn. Pięciu ma strzelby, trzech jedynie siekiery. Mieszkać muszą w którejś z nor w skałach Vurfu. Ustrzelili kozę. Pierwszym strzałem ją zranili, drugim, kilkaset kroków dalej, powalili. Skórę zostawili, zabrali tylko mięso. Musieli być głodni, bo wkrótce spośród skał unosił się dym i zapach spalonego mięsa. Wszyscy oni noszą kierzki i nie za bardzo znają się na lesie. Przynajmniej tak to pokazują ich ślady. Tyle zameldował Dumitru Wilk.

W tym samym czasie także Iwan był wysoko na hali Komárnyik. On nie wiedział o kozie, tylko o strzałach. I o tym, że w skałach Vurfu siedlisko mają ludzie z bronią. I tak oto zdarzyło się, że wczesnym popołudniem na zachodnim skraju płasni Iszticsó, tam gdzie połonina rozgałęzia się w kierunku Vurfu, spotkali się ojciec i syn.

– Dokąd idziesz? – zdumiał się stary.

– Na Vurfu. A ojciec?

– Ja też.

I poszli dalej razem. Za nimi podążali z wolna Iwan i Dumitru. Od czasu do czasu zamieniali cicho kilka słów.

– To nie są dobrzy ludzie.

– Przepadnicy.

– Wiem.

– Będzie z nimi kłopot, zobaczysz! Kłopot.

– Możliwe.

– Słyszałeś o Bandilli?

– Słyszałem.

– Ano widzisz!

Wielki ogrom świerków z biegnącymi stożkowato w górę skalistymi szczytami: oto jest Vurfu. Na jego zachodnim stoku znajduje się wielka polana, Pojana Vurfu. Rozpościera się z niej widok na Görgény. Biegnie stamtąd w dół wiele małych, wąskich jarów, porośniętych malinami i jeżynami. Pośród skał Vurfu

zimą ma swoje legowisko niedźwiedź, a latem rodzą się tam rysie. Według pasterzy z Görgény na Pojána Vurfu mieszkają mary: nocami często widać na niej chwiejące się ognie.

Ale wielu spośród pasterzy z Görgény wiedziało i o tym, że owe ognie to nie mary. Lecz ci milczeli. Bo o czymś takim nie jest dobrze wiedzieć. Nie jest dobrze wiedzieć o sprawach tych, których od lat poszukują żandarmi, którzy nie mają ani domów, ani nikogo i niczego własnego na tym świecie. Którzy pomiędzy ludźmi są jak wilki pomiędzy zwierzętami. Bo przecież są i tacy. Niecni, nieczyści ludzie. Raz tu, raz tam. Tu podpalili jakiś dom, a tam kogoś załukli. Nie można było wiedzieć nawet i tego, jak się nazywają, skąd pochodzą. Poruszają się bez śladu, podobni diabłom. Przepadnicy.

Skąpi starzy chłopci, których domy stoją w pobliżu lasu, każdej nocy trzęsącymi się rękami macają pochowany w siennikach majątek: czy jest tam jeszcze? Ojej, żeby tylko jakoś nie odkryli go przepadnicy!

Kto za swoje owce dostał na krajowym jarmarku dobrą sumkę i spóźniony włókł się do domu przez lasy, z pęczniącym portfelem pod koszulą, tu i tam widział przerażające cienie pomiędzy drzewami i naraz serce, mocno bijąc, podchodziło mu do gardła. Ojej, tylko niech Bóg strzeże wszystkich przed przepadnikami!

Kto w stodole młócił zboże, a zobaczył w swojej bramie żebraka o ponurym obliczu, z obszarpanym tobołkiem na ramieniu, biegł do niego w przestrachu, zacnym słowem zapraszał do stołu, stawiał przed nim mamałygę, twaróg i jeszcze palinkę, jeśli miał. Zapytał, skąd przychodzi i dokąd idzie. I obchodził się ze słowami tak, jakby rozmawiał z księdzem. Bo nie można było wiedzieć, czy aby pod żebraczą gunią nie kryje się przepadnik, na którego czekają w jakiejś ciemnej skalnej kotlinie jego towarzysze, a który poniesie im wieść, gdzie i do kogo warto zawitać nocą. I biada temu, kto przyjął takiego złym słowem! Na którego taki się zezłościł! Temu nocą przepadnicy podpałał stodołę. Ci ukrywający się, nieczyści ludzie. Dla których noc nigdy nie była dość ciemna ani las nigdy dość gęsty. Ci oto przepadnicy zrobili sobie siedlisko pośród skał Vurfu, dokąd człowiek nie zaglądał.

Wybrali sobie największą jaskinię. Wypełnili ją mchem, świerkowymi gałązkami. Na to rzucili poszarpane koce, kozuchy i gotowe było noclegowisko. Takie dla przepadników: mroczne, usmolone, o zawilgłym powietrzu. Na skalnych ścianach kwitła wkoło pleśń, a oni nawet jej nie zdrapywali. Nie wyganiali też nietoperzy. Na co?! Pomieszczą się razem!

U wylotu jaskini rozpalali ogień, piekli na nim mięso. Gotowali doń mamałygę, kaszy kukurydzianej było dość. Wiele różności mieli w leżących wszędzie wokoło sakwach. Rzeczy złupionych tu i tam.

Pogoda była piękna, słoneczna i niebieski dym unosił się pośród skał prosto w górę. Po śladzie tego dymu natrafił na nich tamtego dnia król krainy ośniezonych

szczytów.

Akurat przepadnicy jedli mięso. Każdy trzymał w jednej ręce kość, w drugiej mamałygę. Raptem posłyszeli hałas. U wyjścia do jaskini stanął pan z ręką na strzelbie. A za nim panicz oraz Iwan i Dumitru.

Przepadnicy podskoczyli. W ich oczach malował się przestach i dziki gniew. Lecz wtedy już u wylotu jaskini zagrział głos pana:

– Stać! Kto się poruszy, dostanie kulę w łeb!

Słowa groźby echem rozeszły się po jaskini. Przepadnicy zastygli w bezruchu.

– Kto sięgnie po broń, tego zastrzelę – ciągnął ciszej, a przy tym w ogóle nie było widać na jego twarzy gniewu, tylko raczej jakąś wesołą pogodę – tego zastrzelę jak wściekłego wilka, o tak. Nie przyszedłem, żeby atakować. Ale kto mnie zaatakuje, ten umrze. Który spośród was jest tu głową?

Do przodu postąpił mężczyzna o długiej jasnej brodzie, z opaskiem.

– Ja.

Jego głos zabrzmiał głucho, lecz bez lęku. Patrzył na pana przymrużonymi, zwężonymi oczami. Ten zmierzył mężczyznę od stóp do głowy.

– Czy to aby nie ty jesteś tym, którego wołają Bandilla?

Twarz mężczyzny poczerwieniała ledwie zauważalnie. Przekornie podrzucił głowę.

– Ja.

– No a czy ty wiesz, kim ja jestem?

– Wiem.

– Dobrze. W takim razie wiesz i to, co znaczy, jeśli ja coś powiem.

Jaskinię wypełniło wrogie milczenie. Z oczu mężczyzn biła nienawiść. Ręka pana spoczywała na spuście strzelby, a czarna lufa strzelby zwieszała mu się z ramienia tak, że jej ślepe oko patrzyło na mężczyzn. Tak samo stał też panicz. Tak samo Iwan i Dumitru.

– Posłuchaj uważnie – głos pana zadudnił głucho w czarnej czeluści jaskini – nic mi do tego, jakie sprawy macie tam na dole z ludźmi i z prawem. Załatwiajcie je sami razem z tymi, których jest to zadaniem. Ale mój las to nie jest siedlisko dla bandytów! Daję wam czas do jutra wieczór, żebyście się stąd wynieśli. Nawet i czort nie będzie szukał waszych śladów. Ale kogo spośród was od pojutra rano gdziekolwiek i kiedykolwiek zobaczę w moim lesie, tego zastrzelę jak wałęsającego się wilka. Zrozumieliście?

Bandilla stał nieporuszony, a za nim przepadnicy. Tylko oczy im iskrzyły.

– Zrozumieliście? Zrozumiałeś, Bandilla?

– Powiedziałeś, panie, wyraźnie. Nie mamy powodu, żeby nie zrozumieć.

– To dobrze – pan zsunął strzelbę z ramienia i opuścił ją obok siebie na ziemię. – Dumitru, mój worek!

Z tymi słowami, jakby po prostu był u siebie w domu albo w którejś ze swoich kolib, sam jeden, oparł strzelbę o ścianę jaskini, rzucił na ziemię skórzaną kamizelę i siadł na niej. Tak uczynił i panicz. Dumitru zaś odwiązał worek i wyciągnął zeń jedzenie. Chleb, pieczonego jarząbka i bukłak z winem. Patrzyli przypadnicy i nie wierzyli własnym oczom. Także Bandilla osłupiał na moment. Nareszcie uśmiechnął się, dziwnie, gorzko, i skinął na swoich ludzi.

– Usiądźcie i jedzcie!

Pan pociągnął z bukłaka, po czym podał go synowi. Ten też zeń pociągnął. Kiedy oddał go z powrotem, pan skinął na Bandillę.

– Chodź! Wypij toast za nasze zdrowie!

Bandilla podszedł tam powoli, wziął bukłak. Przyglądał mu się, stojąc bez ruchu. Po czym spojrzał na pana swoimi dziwnymi, zielonkawoniebieskimi oczami.

– Żyj, panie, wiele lat! Ludzkim jesteś człowiekiem, dlatego. Wypił. Tylko jeden łyk, nieduży. Akurat tak, jak wypada przy toaście. Następnie położył bukłak na ziemi obok pana. Otarł sobie wąsy, zsunął z czoła długą, spiczasto zakończoną baranicę i westchnął.

– Lecz mimo wszystko, panie, kiedy niekiedy musimy jednak tu wrócić. Nawet jeśli nie akurat tutaj, to gdzieś w te lasy.

– Co powiedziałem, to powiedziałem – pan odparł cicho i nawet nie spojrzał na mężczyznę.

– Jeśli będziemy mieć sprawę gdzieś w okolicy Görgény... tylko tędy będziemy mogli przejść.

Pan niecierpliwie zmarszczył brwi.

– Czy ty słyszysz, Bandilla?! O jednym i tym samym człowiek nie mówi dwa razy. Podaj mi chleb, Gáspár!

Więcej już nie patrzył na przypadników. Jakby ich tam w ogóle nie było. Wszyscy jedli bez słowa. Panicz, Iwan, Dumitru. Nawet i dwa psy Iwana obgryzały przed jaskinią jakieś wyrzucone tam kości. Przepadnicy też jedli. Jedyne Bandilla stał nieruchomo za panem i nie jadł. Tylko wyglądał na zewnątrz ponad lasy, w dal, gdzie na koronach zielonych świerków i rudych buków złotym blaskiem lśniło słońce. Nareszcie westchnął ledwie dosłyszalnie.

– Szkoda, panie. Z tobą pragnąłbym żyć w pokoju.

Pan jadł, nic się nie odezwał. W środku, w mroku jaskini przypadnicy cicho szeptałi. Bandilla spojrzał w ich stronę, a jego twarz poczerwieniała. Wyprostował się. W oczach rozbłyły mu dziwne ognie.

– I nie boisz się nas? Ani trochę? Mnie, Bandilli?

Także jego głos był teraz inny, wyzywający, wrogi. Były to słowa innego człowieka, nie tego, który wcześniej stał tam i wyglądał na zewnątrz, na lasy.

Iwanowi kęś stanął w ustach i strażnik leśny wlepił wzrok w Bandillę.

Dumitru coś warknął, nie dało się tego zrozumieć. Panicz jadł dalej, ale w jego oczach iskrzyły ogniki.

Pan nie zwrócił na to uwagi, jakby tego w ogóle nie usłyszał. Wytarł swój nóż i wsadził go z powrotem do pochwy. Raz jeszcze pociągnął z bukłaka, po czym wyjął fajkę, woreczek z tytoniem i nabił główkę fajki.

– Dumitru! Iwan! Macie tytoń?

– Ta...

– No, macie tu woreczek. I przypomnijcie mi, jak wrócimy do koliby, żebym wyjął tytoń z dużego worka i wydał go wam. Jest go dość.

Bandilla stracił cierpliwość. Podszedł naprzód i zatrzymał się tuż przed panem.

– Nie boisz się? Co?

Pan najpierw skrzesał ogień, pykając, podsycił płomień powstały w główce fajki i dopiero potem podniósł wzrok na mężczyznę. Zmarszczył brwi i wypuścił wielkie pierzaste kłęby dymu.

– Oszalałeś czy co?

Bandilla zaśmiał się ochryple. Ochryple i niecznie.

– To ty, panie, oszalałeś, skoro siadasz tu pośród nas. Albo nas zastrzel, albo zostaw nas w spokoju! Co by było, gdybyśmy ciebie teraz pochwycili, zabrali ci strzelbę i wszystkich was powiesili na którymś drzewie? Co?

Pan westchnął, po czym stanął naprzeciw przepadnika. Twarzą w twarz. Nie sięgnął po strzelbę, tylko wyjął fajkę z ust i utkwiał w mężczyźnie swoje przepastne, ciemne oczy.

– Ty! Ty, Bandilla! Czy ty myślisz, że ja na ośmiu takich łotrów potrzebuję strzelby? Rozmawiałem z wami w taki sposób, w jaki rozmawiałem, bo i wy jesteście ludźmi, a nie zwierzętami. Ale ponieważ jesteście zbójami, a nie porządnymi ludźmi, nie macie czego szukać w moim lesie. Rozumiesz? To wszystko. Co powiedziałem, to powiedziałem. A teraz idziemy.

Z powrotem wsunął fajkę do ust i akurat miał podać Iwanowi worek, kiedy Bandilla uczynił znak krótkim skinieniem głowy, i w tym momencie przepadnicy podskoczyli z ziemi i otoczyli pana oraz panicza. I także Iwana i Dumitru. Nie sięgnęli po broń, tylko ich otoczyli, z ponurymi, groźnymi minami. Bandilla ostro zaśmiał się w głos.

– Nie przestrasz się, panie! Chciałem ci tylko pokazać...

Nie dał rady dokończyć tego zdania. Pan już przy pierwszym słowie powoli wyjął fajkę z ust i zawiesił ją sobie przy pasku. A w następnej chwili niespodziewanym i błyskawicznym ruchem chwycił prawą ręką za szeroki opasek Bandilli, podniósł mężczyznę wysoko, że aż głową uderzył w sklepienie jaskini, i cisnął go pomiędzy przepadników. Pod ciężarem rzuconego między nich człowieka dwóch od razu się zważyło. Trzeciego zaś natychmiast złapał lewą ręką

i wywalił go z jaskini na zbity łeb, aż ten potoczył się pomiędzy skały. Jednocześnie pięść panicza dosięgła stojącego najbliżej mężczyznę. Cios był tak silny, że ów bez słowa rozłożył się jak długi. Drugiego zaś panicz szarpnął za ramię, ku sobie, i obejmując go w pół, wyrzucił z jaskini. Iwan walnął w brzuch tego, który stał za nim, tak że tamten padł głową na skałę, i już miał strzelbę w dłoni. Także w ręce panicza mignęła czarna lufa broni. Dumitru zaś wyciągnął swój długi na dwie piędzi, ciężki, ogromny nóż do oprawiania wilków i warknął na mężczyzn, obrażony:

– He? No, co jest?!

Wszystko to wydarzyło się w jednej chwili. Nim Bandilla podniósł się i również przypadnicy oprzytomnieli, już były wymierzone w nich dwie strzelby, a dziko błyszczące oczy Dumitru i jego nóż nie wróżyły nic dobrego. Tylko pan w dalszym ciągu stał bez broni, pośrodku jaskini, ze spokojnym, wręcz obojętnym wyrazem twarzy. W ręce znów miał fajkę i pykał z niej wielkimi niebieskimi kłębami dymu.

Przypadnicy podnosili się pośród jęków, przekleństw, dławionych obelżywych słów. Oblicze Bandilli pociemniało z gniewu i wstydu. Jego zaciśnięta pięść sięgała do opaska po nóż. Pan zaś powiódł po nich wzrokiem znad fajki i pomiędzy dwoma pyknięciami, z nieco uniesionymi brwiami, tyle rzekł:

– A ja tylko chciałem wam pokazać, że się nie przestraszę. No. Dobranoc!

Zarzucił strzelbę na ramię i nawet nie spojrzął wstecz na zdumionych ludzi. Spokojnie, nie śpiesząc się, wyszedł z jaskini i ruszył w dół pomiędzy skałami. Za nim panicz, Iwan i Dumitru. Słońce właśnie się opuszczało, a jego ognistoczerwony blask podpalił las.

Przez kilka chwil przypadnicy stali tam w osłupieniu. Nareszcie Bandilla podniósł jedną ze strzelb i skoczył do wylotu jaskini.

– He! – krzyknął w dół. – Tego też się nie boisz, że cię zastrzelę?! I podniósł strzelbę do strzału.

Pan odwrócił się spokojnie. Nawet nie poruszył ręką w kierunku własnej strzelby. Spojrzał w górę na stojącego przed jaskinią mężczyznę, który ze swojej broni właśnie mierzył mu w głowę.

– Nie – odparł bezbarwnym, pozbawionym emocji głosem – bo gdybym uważał ciebie za takiego łotra, co zdolny jest strzelić człowiekowi w plecy, to nie wdawałbym się z tobą w rozmowę, tylko posłałbym na ciebie żandarmów.

Z tymi słowami poszedł dalej i więcej się nie obejrzał. Bandilla jeszcze przez chwilę trzymał lufę przy twarzy.

W końcu powoli opuścił broń. Pokręcił głową i cicho przeklął. Jakiś czas stał przed jaskinią, wsparty na strzelbie, z dziwnym, smutnym uśmiechem na twarzy, i patrzył za odchodzącymi.

Ci byli już daleko. Szli w milczeniu. Z przodu pan, ponuro spoglądając przed

siebie. Na płasni Iszticsó zatrzymał się. Robiło się już szaro. W dole w jednym z jarów ryczał byk o cieniutkim głosie, przeciągle, brzydko.

– Pójdziemy do ciebie, Gáspár. Na Fulgeruj już za daleko, w drodze złapałby nas zmrok. Prześpimy się u ciebie. Przynajmniej zobaczę też dom.

Panicz poczuł gorąc oblewający mu kark. Jednak przełknął ślinę i posłusznie odpowiedział:

– Jak ojciec uważa.

– Chodźmy!

Nim rozbłyły gwiazdy, byli na hali Komárnyik. W chacie paliła się już lampa, a kobieta stała w drzwiach. W jasnym prostokacie wejścia jej cień odcinał się czernią. Musiała posłyszeć kroki z daleka, bo pochyliła się w przód, jak ktoś, kto nasłuchuje.

Kiedy w wydostającym się na zewnątrz świetle lampy ujrzała przed sobą pana, niemal zastygła w kamień. Z przestrachu przez chwilę nawet nie potrafiła się poruszyć, tylko tak stała, niemo się weń wpatrując. W końcu szybko odsunęła się z drzwi i skłoniła głowę, zmieszana. Głos dźwięczał jej niepewnie, kiedy powiedziała:

– Całuję rączki...

Poczerwieniała od tych słów, bo nigdy jeszcze nikomu ich nie mówiła. Pan, przestępując próg, z ciekawością przyglądał się jej.

– Serwus!

Jego oczy na jedną sekundę zagłębiły się w jej oczy. Kobieta nie odwróciła się i nie spuściła wzroku. Wytrzymała to spojrzenie. Pan wszedł do chaty i rozejrzał się.

– No, no – rzucił – proszę, proszę!

Panicz stał za nim, zakłopotany. Weszli też Iwan i Dumitru. Kobieta pośpiesznie nakryła stół. Postawiła na nim dwa nakrycia. Pan zobaczył kołyskę i podeszedł tam. Pochylił się.

– Chłopiec? – zapytał i odwrócił się ku kobiecie.

– Tak.

– Niech rośnie duży!

Kobieta zarumieniała się z radości. Panicz wprowadził ojca do wewnętrznej izby, gdzie położyli strzelby, worki, kapelusze, i znów wyszli. Wtedy na stole parowało już jedzenie. Usiedli. Kobieta nalała wina do kieliszków. Iwan i Dumitru zajęli miejsca na ławce przy piecu.

– Zjedzcie i wy! – odezwał się do nich pan, po czym zwrócił się do kobiety:
– Gdzie nauczyłaś się gotować paprykarz z kurczaka?

– Nigdzie ja się nie uczyłam.

– Dobry. Skąd macie kurczaki?

– Mam. Na wiosnę posadziłam kwokę na jajach, nawet i dwie. Pan milczał.

Kiedy skończyli kolację, spojrzął na kobietę.

- Skąd pochodzisz?
- Mieszkaliśmy pod Istenszéke.
- Pod Istenszéke?
- Tak.

Oczy pana badawczo przyglądały się twarzy kobiety. W jego pamięci coś drgnęło.

- Chyba nie w tamtym okrągłym domu?
- Tam.

Pieść pana uderzyła w stół.

– No to przecież ja ciebie już widziałem! Już jak tu wchodziłem, twoja twarz wydała mi się znajoma. Tyle że wtedy byłaś jeszcze mała. Z twoim ojcem co się stało?

Ramiona kobiety poruszyły się ledwie zauważalnie. Podniosła wzrok ku lampie.

– Odszedł – odpowiedziała cicho, po czym odwróciła się i zaczęła przestawiać naczynia.

Pan pokiwał wielką, kudłatą czarną głową.

– Zaczynam człowiekiem być twój ojciec, zaczynam człowiekiem. Jakżeż on się nazywał?

– Tóderik.

– Tak, tak. Tóderik. Wiele razy wołałem go tu na strażnika leśnego. Szkoda, że nie chciał przyjąć. Szkoda.

Kobieta przełamała śmiechem pochmurniejący nastrój.

– Zamiast niego ja przyszłam!

– Zgoda – powiedział pan i wstał od stołu – niewiasty za strażnika leśnego jeszcze nie było w moim lesie.

Kobieta posłała w wewnętrznej izbie także drugie łóżko. Położyła nań świeżą pościel, poduszkę z miękkim puchem. Prędko udali się na spoczynek. Gdy szykowali się do snu, pan jeszcze tyle powiedział do syna, w wewnętrznej izbie, jak już i zamknęli drzwi:

– Wiesz, Gáspár, że w twoje sprawy nigdy się nie mieszam. Teraz też tego nie czynię. Ale tyle ci powiem, że ta niewiasta nie jest zabawką. Zajrzałem jej w oczy. Rozumiesz? To nie jest kochanka. To kobieta. Nawet jeśli ci się znudzi, bo przecież nie nadaje się dla ciebie, wcześniej czy później musi ci się znudzić, tej kobiety nie można ot tak odprawić, rozumiesz? Z nią trzeba się obchodzić jak równy z równym. No ale i ja się tym zajmę.

Byli już w łóżkach, kiedy raz jeszcze powrócił do tematu kobiety.

– Posłuchaj, Gáspár! Obiecuj mi, że bez względu na to, co będzie się działo z tą kobietą i z tym dzieckiem, będziesz miał o nich staranie, jeśli ja bym już nie

żył, nawet i wtedy. Obiecuj mi to!

– Obiecuję, ojciec – odpowiedział panicz ochryple. Po czym zgasili lampę.

W drugiej izbie także kobieta wkrótce się położyła. Iwan i Dumitru poszli na tył do szopy z sianem. Zrobili sobie tam legowisko, ale sen nie od razu spłynął na ich powieki. Rozmawiali przyciszonymi głosami. Iwan tak zaczął:

– Ty!

– Hę!

– Dobrze przyjrzałeś się tym ludziom? Tam w jaskini.

– Co? No pewnie.

– Tego ze szramą widziałeś?

– Hę? Taki wysoki. Kościsty.

– Ten.

– Co z nim?

– To on tam był. Przy niedźwiedziu. Wtedy.

– Hę.

– Nie podoba mi się ten człowiek.

– Co?

– Nie żeby co...

– Przepadnik...

– Dlatego.

– Hę.

– Lepiej by się stało, gdyby pan tam nie poszedł.

– Lepiej.

– Bo jeszcze...

– A i owszem...

– No, dobranoc!

– Hę. Dobranoc!

Po czym już tylko szeleściła słoma, jak się w niej mościli. Oba psy już spały u ich stóp, posapując.

Rankiem następnego dnia pan poszedł z powrotem na Fulgeruj. Kobieta jeszcze przygotowała mu śniadanie, potem usiadła na ławce i karmiła dziecko. Kiedy pan skończył jeść, wziął kapelusz, strzelbę i stanął przed kobietą.

– Dziękuję za serdeczną gościnę – rzekł – tylko uważaj na dziecko!

Kobieta ze zdziwieniem podniosła na niego wzrok i nie odezwała się. Byli w domu jedynie we dwoje.

– Skoro już jest, to trzeba na nie uważać – dodał, jakby objaśniając – płynie w nim dobra krew. No, niech Bóg ci błogosławi!

– Całuję raczki! – kobieta odpowiedziała cicho i popatrzyła za nim, jak wychodził za drzwi. Właśnie wtedy od źródła nadszedł na górę panicz, świeżo umyty, mokry. Na progu pożegnał się z ojcem.

- Jak długo jeszcze ojciec zostanie tu wysoko?
- Jeszcze tylko trzy–cztery dni. A ty?
- Nie wiem.
- A zatem serwus!
- Całuję rączki!

Słysząc jeszcze było, jak pan zawołał na Dumitru, po czym obaj ruszyli w drogę.

Podczas śniadania panicz opowiedział o zajściu z przepadnikami, które miało miejsce poprzedniego dnia. Później przyszedł Iwan i rozmowa zesłała na inny temat. Nareszcie poszedł i Iwan. Na dworze gwizdnął na swoje psy i wyruszył z nimi w dół, do siedliska na Cibie. Niezadługo także i panicz chwycił strzelbę, zarzucił ją sobie na ramię, wcisnął kapelusz na głowę.

– Nie pójdę już daleko – rzekł – późno jest. Zajrzę nad Pável, tamten czternastak, wiesz...

Kobieta została sama. Zajęła się dzieckiem, a potem resztą, ale wszystko szło nie tak, jak powinno. Jakby jakaś dziwna, obca drzazga wbiła się pomiędzy jej myśli. Nie mogła się oprzeć temu, by bez ustanku nie powracać pamięcią do tego, co usłyszała rano. O tamtych ludziach na Vurfu. A z tymi myślami wiązało się jakieś nieprzyjemne uczucie. Na próżno usiłowała je odpędzić, zajmowała się czymś innym, starała się myśleć o tym i o owym. Na próżno. Wciąż powracała myślą do tych ośmiu mężczyzn z Vurfu, a towarzyszące temu tamto nieprzyjemne, przynębiające uczucie obudziło w niej jakieś złe przeczucia.

Przestraszyła się. Czyżby znowu coś czuła? – pomyślała. Czy stanie się coś złego? Bała się. Na szczęście wkrótce nadeszło południe i wrócił panicz. Niczego nie widział, czternastak nie ryczał nad Pável.

– Po południu pójdę na drugi grzbiet Sestiny – powiedział – tam bez ustanku ryczy jakiś stary byk o silnym głosie. Muszę to sprawdzić.

Zjadł, trochę odpoczął i znów poszedł. Kobietę na powrót ogarnął lęk. Czuję coś – zmagala się z tą myślą, która jątrzyła jak wbita drzazga – czuję coś, a to, co czuję, nie jest dobre.

Pracowała tylko tak, aby zbyć. I od czasu do czasu bez żadnego powodu podchodziła do drzwi i wyglądała na polanę, jakby kogoś oczekiwała. Było bezwietrzne, nieco cieplejsze popołudnie. W lasach unosiły się lekkie, niebieskawe mgły, a dzwonki pasących się zwierząt niosły się czysto i daleko.

Wcale się nie zdziwiła, gdy naraz dostrzegła dwóch mężczyzn, idących w dół halą. Tylko trochę ścisnęło ją za serce, jakby przytłoczył ją cień zwiastujący jakieś niebezpieczeństwo.

Mężczyźni mieli na sobie gunie, jakie noszą pasterze z wysokich gór. Zarzucone na ramiona, długie, sięgające poniżej kolan sukmany, czarne okrągłe kapelusze o szerokim rondzie, siekiery i sakwy. Szli powoli w kierunku chaty.

Kobieta stała w drzwiach i czekała na nich. Jednego poznała już z daleka. Był to Mihály, człowiek ze szramą na twarzy. Ale ten drugi, gdy się zbliżyli, wydał się jej całkiem osobliwy ze swoimi jasnoniebieskimi oczami, płową jak len brodą i czupryną, z wysokim jasnym czołem i prostą postawą. Może to przez kontrast z tamtym, który szedł obok przygarbiony, ze szramą jaśniejącą pośród skudłonego owłosienia i oczami nerwowo myszkujejącymi wokoło.

Nadeszli, zatrzymali się przed progiem.

– Szczęść Boże, gospodyni!

– Szczęść Boże!

– Twój mąż w domu?

– Nie.

Mówił ten wysoki, niebieskooki mężczyzna. Drugi stał przy nim, kościsty, ponury, i nie przestawał rozglądać się dokoła. Wydawał się zakłopotany, gdy tak gapił się na chatę i na kobietę.

– Dokąd poszedł?

– Do lasu.

– Jaki ma fach?

– Jest myśliwym.

– Aha. Służycie panu, co?

– Tak.

– No niechże więc zobaczymy, co jest w środku!

Odsunęła się przed nimi na bok, tamci zaś weszli do chaty. Rozejrzeli się wokoło. Blondyn z ciekawością, ten drugi z ogromnym zdumieniem, zmieszany.

– Ładnie tu sobie żyjecie, jak widzę – rzekł blondyn z uznaniem – macie wszystko.

– Wy może nie macie? – kobieta rzuciła to pytanie nieco ostro. Ten spojrzał na nią. Przez chwilę przyglądał się jej w zamyśleniu.

– Nie mamy – odpowiedział, a w jego głosie był smutek. Po czym gwałtownie podniósł głowę i wyzywająco zapytał: – Wiesz, co z nas za jedni?

– Wiem – zwyczajnie odparła kobieta.

– No? – zdziwił się blondyn.

– Przepadnicy.

Przez chwilę w milczeniu patrzyli sobie w oczy. Ten ze szramą mruknął coś. Jasnowłosy mężczyzna pierwszy odwrócił głowę, zakłopotany.

– Ano jeśli możesz, to daj nam jeść! – powiedział.

Z tymi słowami niezdarnie podszedł do stołu i usiadł. Sakwę zsunął obok siebie na ziemię, na niej położył siekiere. Zrzucił z ramion sukmanę, a spod sukmany ukazała się strzelba o krótszej lufie. Tę oparł o stół.

Kobieta wciąż jeszcze stała bez ruchu. Czowała coś dziwnego. To coś było w niebieskich oczach tamtego jasnowłosego człowieka. Jakby już kiedyś widziała

tamte oczy. Ale gdzie? Kiedy?

– No? Może nie masz czego dać? – mężczyzna warknął od stołu. – Bandilla nie prosi dwa razy! Nie znasz jeszcze mojego imienia?

– Ruszaj się, ruszaj – fuknął na nią gburowato także i ten ze szramą – nie czekaj, żebym nauczył ciebie szacunku trzonkiem siekiery, ty szmato!

– Zamilcz – rzucił doń Bandilla od stołu. – Siadaj! Coś da, jeśli ma rozum.

Ten ze szramą burknął jeszcze pomiędzy zębami jakieś przekleństwo i usiadł. I on położył na ziemi sakwę i sukmanę. Nie miał strzelby.

Kobieta poruszyła się z wolna. Wzięła z półki talerze i jedzenie. Postawiła to przed nimi. Mężczyźni zaczęli jeść. Ten ze szramą od czasu do czasu podnosił wzrok na kobietę. Czoło miał zmarszczone, widać było, że mocno nad czymś myśli. Kiedy skończył jeść, rozparł się na stołku.

– Słuchaj! Słuchaj, kobieto! Czy ja ciebie gdzieś już nie widziałem?

Wzruszyła ramionami.

– To wy musicie wiedzieć. Mężczyzna pokręcił głową.

– Do diabła, nie rozumiem. To zaczęło się już tam wysoko, na połoninie. Już tam wiedziałem, że trzeba iść w tę stronę i że będzie tu polana, a na niej chata. Do diabła! A przecież nie pamiętam, żebym kiedykolwiek przychodził w te strony.

– Może w dzieciństwie i już zapomnieliście – kobieta odparła z wesołą drwiną.

– Możliwe. No a kiedy zobaczyłem tę chatę... do diabła, będzie, jak mówiłaś. Może w dzieciństwie. Ale nie pamiętam, no... tylko jakby... do diabła! A od kiedy tu mieszkacie?

– Od roku.

– Od roku? A przedtem kto tu mieszkał?

– Nikt.

– Nikt? Jak to? Dom stał pusty?

– Dom zbudowano w tamtym roku.

– A przedtem?

– Przedtem nie było tu domu.

Mężczyzna głupkowato wlepił w nią oczy.

– To pewne, kobieto?

– Ano pewne – kobieta zaśmiała się – wiem ja to.

– Do czorta, a niech to diabli!...

W kołysce zapłakało dziecko. Obaj mężczyźni spojrzeli tam jednocześnie.

– Jest i dziecko? – spytał Bandilla.

Kobieta podeszła do kołyski i wzięła dziecko na rękę. Ono umilkło. Małą, różową bezzębną buźką poczęło ciamkać. Kobieta rozpięła koszulę i usiadła z tyłu na ławce. Bandilla oparł się łokciami o stół i z opuszczoną głową gapił się przed siebie. Drugi wstał i zaczął się rozglądać po izbie.

– Słuchaj, macie tu dużo różnych rzeczy, dużo różnych rzeczy. W tamtej skrzyni co trzymasz? Hę?

Bandilla wstał gwałtownie. Szorstko zawołał na drugiego:

– Nie przeszkadzaj, bydlaku! Nie widzisz, że karmi?

Zawiesił na szyi strzelbę, narzucił na siebie sukmanę, podniósł na ramię sakwę. Ten drugi warknął coś i też zaczął się zbierać do drogi.

– Nie jesteście bardzo biedni – Bandilla zwrócił się do kobiety.

– Ano nie!

– Te owce, tam na zewnątrz, i krowa... macie też jeszcze i co innego?

– O tak! I to ile!

– Czego?

– Czego? Ano lasów, no i gór, i powietrza, i ogrom potoków, i mnóstwo kwiatów. A wyrzycie no na dwór! Gdzie tylko widzicie słońce, całe jest nasze. I błękitne niebo. Co mam jeszcze powiedzieć?

Bandilla w zamyśleniu patrzył na kobietę. Jak tam siedziała na ławce, zdrową, osmaloną pierś podając dziecku. Nareszcie westchnął.

– Nic nie mów! Niech ci Bóg błogosławi, gospodyni! Dziękujemy za serdeczną gościnę.

– Niech wam Bóg błogosławi!

Ruszył ku drzwiom. Ten drugi zachłannymi oczami wciąż myszkował po izbie.

– Słuchaj! Co jest w tamtych flaszkach? Czy aby nie palinka? Hę?

– Chodź! – fuknął nań z progu Bandilla.

Ów gniewnym szarpnięciem poprawił sakwę. Idąc ku drzwiom, dobrze jeszcze przyjrzał się kobiecie.

– Do diabła, ty! Tylko chciałbym wiedzieć, gdzie ja ciebie już widziałem?

Kobieta popatrzyła mężczyźnie ze szramą otwarcie, prosto w oczy i krótko, cicho tylko tyle odrzekła:

– U Włochatouchego, Mihály.

Mężczyzna drgnął i sposepniał z przestachu.

– Co?... Co mówisz?... – wyjąkał z przerażeniem. Kobieta patrzyła nań spokojnie, zimno.

– Pamiętasz ogień, Mihály? Ślad twoich palców pozostał na gardle Ormianina...

– Hę!...

Z gardła mężczyzny wydobyło się jedynie rżenie. Rękami zasłaniał sobie oczy, jakby chciał odpędzić marę.

– Mihály! Do diabła z tym twoim łajdackim łbem! Jeśli położysz na czymś rękę, rozwalę ci go! – ostrzegł Bandilla i dodał: – Wychodź stamtąd!

Mężczyzna rzucił się w kierunku drzwi i niemal wypadł przez próg. Na jego

paskudnej gębie, w wytrzeszczonych, rozbieganych oczach malowała się zabobonna trwoga. Jeszcze z progu spojrzął wstecz na kobietę i popędził w górę polaną, ten drugi ledwie mógł za nim nadążyć.

Kiedy wieczorem panicz wrócił do domu, kobieta siedziała na ławce i wpatrywała się w dal. Gdy otworzyły się drzwi, zerwała się niemal z przestrachem. Potem postawiła na stole kolację, posłała łóżko. Ani słowem nie wspomniała o tym, co się wydarzyło.

Po kolacji panicz wypił swoje wino, następnie zapalił cygaro i póki je palił, opowiadał, co widział na Sestinie, gdzie ryczał byk, gdzie tego dnia chodził, a także o tym, że znalazł też całkiem nowe, zryte przez dziki miejsca oraz ślady rysia, trop pięknego, wielkiego rysia, wysoko na przeciwległym górskim grzbiecie. Kobieta w milczeniu słuchała opowieści, krzątając się przy tym, posprzątała naczynia, wszystko. Potem panicz wstał, podszedł do drzwi i otworzył je. Wlał się przez nie chłodny mrok jesiennej nocy. Poprzez czerń bezksiężycowego nieba gdzieś bardzo wysoko usiłowało się przebić kilka osieroconych gwiazd.

– Ciemno jak w niedźwiedziej paszczy – mruknął panicz – późno już wschodzi księżyc.

W ciszy słyhać było dochodzące z dołu szemranie źródła. Gdzieś w oddali ryczał byk. Jego głos jakby wydobywał się z podziemi.

– Ryczy nad Pável – nasłuchiwał panicz – albo na grzbiecie Benedek. Tylko ten jeden. Ten czas przeminął.

Po czym zamknął drzwi.

– Ten czas przeminął – powtórzył i westchnął. Wygasły ogarek cygara rzucił pod piec i przeciągnął się. – Chodź – powiedział do kobiety i ruszył ku wewnętrznej izbie.

Drzwi zostawił otwarte. Słyhać było, jak zrzuca z nóg ciężkie, juchtowe buty. Po pewnym czasie zatrzeszczało łóżko.

– Nuca! Nie idziesz?

Kobieta stała nieruchomo pod lampą i z opuszczoną głową patrzyła w podłogę. Jakie to dziwne – pomyślała – akurat pod lampą!...

Ale jej ręka bezwiednym ruchem już rozwiązywała z tyłu sznurek u fartucha i fartuch z cichym szelestem upadł na ziemię. Westchnęła, podniosła głowę i zajrzała w lampę. Z drugiej izby dobiegł ją urażony głos:

– Nuca! Co ty tam robisz tak długo?

Kobieta uśmiechnęła się, lecz uśmiech ten był jakiś blady, smutnawy. W końcu zdmuchnęła płomień w lampie.

Tamtej nocy coś wydarzyło się ze światem.

Jeszcze wieczorem słońce zaszło porządnie, nic złego mu nie było. Może tylko o jeden ton było czerwiejsze, to wszystko, ale nawet i to zobaczyć mogli tylko tacy ludzie jak Vénség na Dószul Fulgeruj czy Birtalan w dole na Cibie,

którzy widzieli już wiele różnych rzeczy i od pewnego czasu dostrzegali także to, co niewidzialne.

Jednak rankiem szarówka nie chciała się przetrzeć. Mgła przywarła do ziemi, do drzew, i tak trwała. Drobny deszczyk cieniutkimi strużkami spływał z gontów, dym przysiadł przy domu i powracał przez otwarte drzwi.

Tam na zewnątrz powietrze zrobiło się gorzkie, mokre i szare. Niemal galaretowate niczym stary, gnijący grzyb. Drzewa zaś przytłoczone wszechogarniającym smutkiem. Polana pozbawiona życia i pusta. I wszystko, ale to wszystko, było takie, cały las, i wszystkie puste polany, łyse górskie grzbiety i ziewające mgłą jary. Nigdzie żadnego ruchu. Sarny, jelenia czy niedźwiedzia. Jakby zwierząt w ogóle nie było na ziemi. Może z wyjątkiem dzików. Tylko one w taki czas myszkują gdzieś w mroku bukowych lasów. Ryją nosami nasiąkniętą deszczem ziemię i wypatrują czegoś pomiędzy drzewami, jakby szukały śladu tego, co jeszcze wczoraj tu było, a dzisiaj nie ma już nigdzie.

Panicz stanął w progu chaty i na nic nie miał ochoty. Tylko patrzył na deszcz, na cienkie szare nitki snujące się z nieba. Tylko patrzył na łąkę, niby na jakieś wielkie otwarte bezzębne usta, i czuł bijący z nich na świat nieprzyjemny zapach nudy. Tylko tak stał i słuchał deszczu, i czuł, że coś dobiega kresu.

Kobieta cicho kręciła się po chacie. Czasem zapłakało dziecko, zabrzączał garnek. I te odgłosy były takimi nudnymi, z biedą kojarzącymi się hałasami. Tak, coś przeminęło. Byki już nie ryczą, także niedźwiedzie pochowały się w gęstwinie. Coś bezpowrotnie przeminęło.

Jakiś czas postać oparty o ramę drzwi, nareszcie wszedł do wewnętrznej izby i rzucił się na łóżko. Kobieta wniosła tam ogień, po czym wyszła, cicho zamknawszy za sobą drzwi.

Usiadła w rogu przy piecu i wyglądała przez otwarte drzwi. Jak szybko wszystko przemija – pomyślała – wszystko, co piękne. Patrzyła na deszcz i wiedziała, że coś dobiega kresu. Coś się skończyło, ale zamiast tego jeszcze nie zaczęło się coś innego. Znała to. Kiedy przemija jesień, a zima wciąż każe na siebie czekać. Mieniający się kolorami świat blednie i nic go już nie ożywia. Śnieg dopiero szykuje się gdzieś za górami i jeszcze nawet nie narodził się wiatr, który przegoni niedbałe duchy jesieni, zmiecie ogrom pozostałych rupieci, śmieci, odpadków i w miejsce kwaśnych mgieł zaleje lasy iskrzącym się, czystym powietrzem. Takie to jest, tak. Kiedy jednej nocy nieoczekiwanie umiera jesień i jej rozkładające się truchło leży niepochowane w wysokich górach.

Westchnęła, zamknęła drzwi i rzuciła na ogień świerkowych polan, żeby płomień z trzaskiem wzbił się wysoko. Wiedziała już, że w taki czas to jedyna rzecz, którą człowiek może uczynić. Rozpalić wielki ogień, położyć się przed nim na wełnianym kocu i spróbować spać. Lub też wspominać lato i to, co było piękne.

Panicz przez cały boży dzień nie ruszał się z domu. Następnego dnia już nie

wytrzymał. Zawiesił na ramieniu strzelbę i wyszedł w deszcz. Lecz las był obcy i nieprzyjazny. Z drzew kapało. Ziemia pod stopami wręcz chlupotała. W połowie wysokości pni ożyły przyczajone tam mchy, wypełniły się wodą, zrobiły się obślizgłe niczym przegniła gąbka i przywijały do drzew mgłę. Niebo, jednobarwne i nieprzyjazne, szorowało o drzewa brzuchem. Niemal czuło się, jak je gniotło, wykrzywiało im korony. Wyciskało z nich gorzkie mgły. Buki utraciły kolory. Brzoza, pobladła, zwiesiła głowę z rezygnacją, jakby szykowała się na śmierć. Przyjemnie pachnąca zielona krew choin spłynęła gdzieś w spleśniałe czeluści korzeni, a drzewa bez tej krwi stały się szare i posepne. Na ich pozbawionych życia gałęziach wisiały potargane gałgany porostów, niby strzępy niegdysiejszych sztandarów. I siąpił, siąpił deszcz. Kapała, kapała z drzew woda. Nigdzie żadnego ruchu. Nigdzie żadnego ptaka. Zwierzęta pochowały się, jedynie tu i ówdzie jakaś wyłupiastooka, czarno-pomarańczowa salamandra siedziała na pachnącym próchnicą, przemoczonym pniaku i wlepiła swoje ślepawe oczy w smutny, zamglony świat. Może w przemoczonym wietrze szukała zapachu wczorajszych kwiatów?...

Do chaty przyniosło panicza z powrotem późnym popołudniem. Był przemoczony. Z kapelusza, z ubrania ciekła mu woda. W butach chlupało. W złym humorze siadł przy ogniu i mało mówił. Następnego dnia wcale już nie wyszedł, tylko siedząc przy piecu, patrzył na deszcz. Był rozdrażniony, gdy odezwano się do niego lub gdy zapłakało dziecko. Talerz nie był dla niego dość czysty. Wino miało zapach octu. Jedzenie też mu nie smakowało. W kątach izby doszukiwał się śmieci, a na suficie pajęczyny.

Kobieta z milczącą uległością krzątała się wokół niego. Niekiedy również żartowała, śmiała się w głos. Lecz żarty były wymuszone, a śmiech dźwięczał fałszywie.

Trawa na polanie poszarzała. Krowa nie pasła się, tylko smutna stała pod drzewami i z przymkniętymi oczami przeżuwała wspomnienia o ładnej, zielonej murawie. Opadło jej też mleko. Trzeba ją było przestawić na siano.

Pod wieczór panicz nie mógł już znaleźć sobie miejsca. Kręcił się tu i tam. Wiele razy stawał w drzwiach i spoglądał w dół, tam gdzie wydeptana na szaro ścieżka zakręcała pośród buków.

– Mógłby przyjść Iwan – mruknął – a niech go lichy! Kobieta to usłyszała i zrobiła się jeszcze smutniejsza. Nareszcie rankiem czwartego dnia przyszedł Iwan. Przyprowadził z sobą konia.

– Pan przesłał wiadomość do Gyerkó – zameldował – żeby panicz przyszedł na dół, bo przyjeżdżają goście do Disznajó.

Na tę wieść panicz wyraźnie się ożywił. Żwawo zbierał swoje rzeczy. Iwan wyszedł, żeby oporządzić konia.

– Nuca! Przyjdź no tu! – zawołał panicz z wewnętrznej izby. Kobieta

posłusznie podniosła się z miejsca przy piecu. Powolnym, zmęczonym krokiem poszła do drugiej izby. Stała tam.

– Słucham.

Panicz wpychał ubrania do skórzanego worka. Podniósł wzrok i zobaczył smutną, bladą twarz kobiety.

– Nie smuć się – rzekł – jak spadnie śnieg, znowu wrócę. Na niedźwiedzia. Muszę znaleźć tamtego wielkiego na Iszticsó. Wkrótce przyjdzie śnieg, nie smuć się!

– Nie smucę się – kobieta uśmiechnęła się, a jej oczy napełniły się łzami.

Panicz wyprostował się znad worka i przyciągnął kobietę ku sobie. Pocałował ją. Lecz ten pocałunek był chłodny, miał smak mgły. Pomiędzy ich dwoje wniknął wiatr ze szczelin w belkach, a deszcz dzwonił na gontach. Kobieta nie oddała pocałunku. Jej usta były uległe, lecz zamknięte i chłodne. Panicz wypuścił ją.

– Jeszcze spisujemy, czego potrzebujesz na zimę – powiedział i wziął papier i ołówki.

Naraz wszystko zrobiło się takie konkretne. Odgłos deszczu tam na dworze i słowa o odzieniu, o jedzeniu, o zimowych troskach. Kobieta westchnęła.

– Mam ci zapakować coś do jedzenia?

– Nie trzeba, skądże.

Wyszła. Otworzyła zewnętrzne drzwi i przystanęła w progu. Na polanie wiatr pędził kłęby mgły. W powietrzu skraplała się woń przemoczonych drzew.

Spod ściany, drżąc, podniósł się pies i stanął przed nią, cicho jęcząc ze skargą. Pochyliła się ku niemu i pogłaskała go po przemoczonej sierści. Jej usta coś szeptały, lecz pies tego nie zrozumiał.

15 W oryginale *kezit csókolom* – całuję rączki – bardzo uprzejme, wyrażające duży szacunek węgierskie powitanie lub pożegnanie.

Któż zna tajemnicę wiatrów tam wysoko, w krainie ośnieżonych szczytów, któż ją zna? Któż zna te zapadłe kotliny, gdzie owe wiatry kryją się w taki czas, wraz z upływem jesieni, pod wilgotną szubą deszczu, w szczelinach skał, przyczajone obok przemokniętych pni drzew? Któż je zna?

Człowiek myśli, że to już koniec świata. Każde życie powoli więdnie i pada, podobnie jak liście z potarganych drzew. Gasną światła i barwy. Z każdym dniem gęstnieje szarzyzna, chmury stają się coraz cięższe i człowiek myśli, że to koniec świata.

Po czym raptem zjawiają się wiatry. Któż to wie skąd? Któż to wie, w której kotlinie czaiły się do tej pory, pod którą skałą cierpliwie znosiły mgły i deszcze, które tam padają? A przecież wreszcie się zjawiają.

Lecz są już inne, jakżeż inne!

Nadchodzą któregoś wieczoru. Albo kiedy jest już nocka. Nie wiadomo skąd i kiedy. Raptem zaczyna gwizdać strych. Człowiek w ciemności siada na łóżku i zamienia się w słuch. I nagle do jego uszu dochodzi z daleka szum świerków. Wtedy już można wiedzieć: to one, wiatry.

Kilka chwil i trzeszczą buki. Jęczą, wzdychają. Potok wyje w głos, jary zgrzytają zębami. Skrzypią okapy w chacie, szaleje ogień w piecu. Chłodne ostrza tną przestrzenie pomiędzy belkami i wydmuchują na środek izby starannie powtykany tam mech. Człowiek czuje, że na zewnątrz coś się oswobodziło. Rozpętało się i teraz galopuje poprzez góry, obala drzewa w drągowinie i zmusza jary do płaczu, przeczesuje przemoczoną wełnę choin i batem wybija mgły z kotlin. Huczy, świszcze przez calutką noc.

Człowiek nie może uczynić nic innego: wstaje, rozpala ogień i myśli o tym, żeby drewna było w środku dość aż do rana. Jeśli przy tym wyrzy na dwór, nawet i w największej ciemności zobaczyć może, jak ołowiane chmurzyska w przestrachu cwałują w dal po niebie. Tu i tam rozbłyśnie pojedyncza gwiazda. Tylko tak na jeden moment, gdy śladem czarnego bicza wiatru gdzieś pęknie zmięty płaszcz chmur. W taki czas w powietrzu jest już też jakiś nowy, świeży zapach, zapach zimy.

Człowiek wycofuje się do domu, starannie zamyka drzwi, żeby wichura nie mogła otworzyć ich gwałtem. Poprawia również okna. Następnie rozpala duży ogień, kładzie się na plecach na łóżku, naciąga na siebie wełniany koc i wsłuchuje się w las, jak z jękiem zdaje on wiatrowi sprawę ze swego życia. I człowiek myśli wówczas, jak dobrze, że ma dach nad głową. Jak dobrze, że wznosił wokoło siebie ściany ze świerkowych bali. Jak dobrze, że jest piec, a w piecu ogień. I łóżko, suche posłanie, ciepły, miły koc z wełny. Jakie dobre jest to wszystko i jak wielką jest sprawą. I człowiek zasypia spokojnie, pięknie, z zadowoleniem.

Rankiem budzi go chłód. Do domu wdziera się szron. A po rozpaleniu ognia, gdy człowiek wygląda na dwór, tam na zewnątrz świt ściele się bielą. Po mgle nie

ma nawet śladu. Ziemia stuka pod nogami. Drzewa są twarde, nieruchome. Ostro i czysto brzmi na dworze każdy dźwięk: odgłos siekiery, wiadra, skrzypienie drzwi, wszystko. Woda źródła dźwięczy niemalże jak stal.

A potem człowiek dostrzega niebo: jak jest wysoko! Jakie jest szerokie, przestronne, przewiewne. Najpierw tylko perłowe. Wreszcie od wschodu poczyna żółknąć, od zachodu błękitnieje, a na koniec robi się zielonkawoniebieskie. Potem słońce zasiada na Górach Kelimeńskich, to dawno już niewidziane słońce, które jakąś tajemną siłą wszystko wprawia w ruch. Na czubkach gałęzi pojawiają się krople. Trawa z trzaskiem zrzuca z siebie okowy szronu. Pod drzewami ziemia zaczyna chlupotać od wielu zakatarzonych liści.

Nareszcie ponad domem przefrunie pierwszy ptak. Kruk. Frunie wysoko, bardzo wysoko. Szumią jego skrzydła, wyraźnie można je usłyszeć. Kra, kra! – odzywa się, a to jego krakanie spada na lasy, jak sygnał do pobudki, wydawany przez jakiś tajemniczy zegar.

Dzięcioł z wrzaskiem wlatuje na wierzchołek najwyższej choiny i stamtąd rozgląda się wokoło. Jaki jest ten nowy świat? Jaki? W drągowinie zaczynają ruszać się sarny i powoli wychodzą na nasłonecznione miejsca. Także i z ich szarych sukien unoszą się obłoczki pary, figlarne, białe, lekkie. Z kryjówki w choinie wychyla się niedźwiedź i poprawia sobie mrukliwy humor, rozweselając się na nasłonecznionych skrawkach ożyn, pokąsanych szadzią. Tam, gdzie dochodzi słońce, jelenie zbijają się w chmary, i nawet dziki wesoło ruszają ku dębinom.

Takie to jest, takie. Gdy wreszcie odnajduje się wiatr i robi porządek po lasach. Porządek okrutny i zimny, lecz lśniący czystością. Mgła, wilgotny, pachnący mchem mrok muszą zginąć, tak samo jak i kwiaty, które jeszcze się uchowały. Wiatry wymiatają ostatnie wspomnienia jesieni. Bo teraz już zaczyna się coś zupełnie nowego, wie o tym wszystko: drzewa, zwierzęta, skały, wszystko. Coś zupełnie nowego. Zima.

W okolicy południa powietrze jeszcze nieco się ogrzewa. Ziemia chlupie pod nogami, mokre trawy przywierają do siebie. Na czubkach palców drzew migoczą krople. I znów zaczyna parować ziemia. Z głębi jarów, spod skał, z porośniętych paprociami niecek północnych stoków wzbijają się gromadnie lekkie białe mary, rosną, splatają się w kłębowisko i nim słońce ruszy na spoczynek, już okrywają też część jarów, ciemnych drągowin buków, omszałych zapadlisk. Szarówka skrada się i można by pomyśleć, że znów zacznie padać. Głęboka, lepka szarozna przykrywa niebo, drzewa, wszystko. Potem coś nawet i mży. Mgła czy deszcz, nie da się tego wiedzieć z pewnością. A nocą człowiek znów posłyszysz wiatry.

Tak to idzie. Całymi dniami trwa zmaganie mgły z wiatrem. Wygląda to na zabawę, a przecież jest śmiertelnie poważne. To uporczywe i rozpaczliwe starcie, trwająca całe dnie, niekiedy tygodnie, walka. W końcu zwyciężają wiatry. Nie

może być inaczej, takie jest prawo.

Mgły zdają sobie sprawę z tego, że wszystko się skończyło. Unoszą się wyżej, na wieczór ciemniej ich kolor, robi się gniewnie granatowy. W dole nad potokami zalega wówczas cisza. Nie poruszy się ani jedna gałąź. Lecz wysoko na górskich grzbietach szumią świerki. Po połoninie chodzi wiatr, północny wiatr. Wtedy już staje się jasne, że spadnie śnieg. To czuje się w powietrzu.

Sarny zbijają się w stada, jeleń szuka gęstwiny choin. Dzik kopie sobie legowisko u stóp rozłożystego buku, a niedźwiedź chowa się pod skałą. Ryś odwiedza swoją ukrytą jamę. Nawet wiewiórki wiedzą, co nadchodzi, bo to jest prawo, a także porządek, porządek rzeczy.

W taką noc panuje szczególna cisza, inna niż zwykle. Usłyszeć można jedynie wiatr, czasami pośród choin, i wysoko, na połoninie. Gdy człowiek stanie w drzwiach, czuje, że mrok ma nowy zapach. Zapach śniegu. I czuje opadające mu na twarz zimne drobinki. Tej nocy drzewa śpią głęboko, miękko i spokojnie. A o poranku wysokie góry przykrywa biała pierzyna.

W owym roku śnieg na hali Komárnyik dość długo kazał na siebie czekać. Wciąż tylko deszcz i deszcz. Mgła i mgła. Wreszcie pewnej nocy nadszedł wiatr i kobieta wiedziała, że teraz już nie potrwa to długo.

Tymczasem zachorowało dziecko. Z gorączki twarzyczkę miało czerwoną, ciężko charczało. Przydałby się ktoś, kto już z wieloma dziećmi miał zmartwienie. Kobieta tam wysoko na hali Komárnyik bezradnie czekała dwa dni. W końcu nie mogła uczynić nic innego, ruszyła z dzieckiem do Ferenców.

Dzień był straszny, wietrzny. Powietrze surowe, nieprzyjazne.

Wyruszyła w tę drogę przed południem. Dziecko okutała w grubą chustę, na ramiona narzuciła sobie wielką szarą sukmanę. Siąpił deszcz. Raczej była to mgła aniżeli deszcz. W górze północny wiatr pędził chmury, strzelając batem. Choiny jęczały.

Podparła drzwi, ustawiając przed nimi miotłę. Krowie rzuciła siana, ile tylko zmieściło się na widłach, i ruszyła. Psa odpędziła z powrotem.

Dziecko płakało. Było grymaśne. Malutkie oczęta błyszczały mu w gorączce. Przycisnęła dziecko do siebie pod chustą i wręcz biegła z nim w dół zboczem Sestiny.

Ciężka jest droga do Kétág w taki czas, pośród śliskich kamieni, wzdłuż wezbranych potoków. Ciężka. Mimo wszystko kobieta dotarła tam w południe. Ferencowie akurat zjadali obiad, gdy zaczął szczekać pies.

– Idź, sprawdź, co to! – powiedział Ferenc do starszego syna. Ten podniósł się i wyjrzał przez okno.

– Jest tu ta kobieta – rzekł, kiedy się odwrócił, a w jego głosie było lekkie podniecenie.

Tak to powiedział: ta kobieta. Nie zaś: jakaś kobieta. I w tej chwili wszyscy

niemal jednocześnie odłożyli łyżki. Ferenc patrzył na syna, który wyglądał przez okno. Chuda, surowa kobieta gapiała się na męża, a na jej twarzy malowało się zdumienie i nieukrywane oburzenie. Reszta dzieci z pełnym ciekawości przestraczem wlepiła oczy to w matkę, to w ojca.

– Idzie tu – znów odezwał się chłopiec przy oknie.

– Tu? – kobieta nie kryła wrogości. – Tu?!

Ferenc powoli podniósł się od stołu i ruszył ku drzwiom.

– Tylko żebyście mi jej tutaj nie zapraszali, do mojego domu! Żebyście mi jej nie zapraszali! – wysyczała, a jej oczy ciskały błyskawice.

– Jest jakiś powód, że tu przychodzi. Przy takiej pogodzie – cichym, spokojnym głosem odrzekł Ferenc i już otwierał drzwi.

Do kuchni wwiało zapach mokrego lasu i już można było dojrzeć kobietę z hali Komárnyik, jak właśnie wchodziła na ganek. Strząsnęła z głowy przemoczony kołnierz sukmany, a spod chusty, która zsunęła jej się na tył głowy, ukazały się lśniące, jasne jak len włosy, grubym warkoczem wijące się dokoła głowy niczym jakiś dziwny, błyszczący srebrem wąż.

Nie zatrzymała się na ganku, tyle że na gwoździu przy drzwiach powiesiła ociekającą sukmanę.

– Dziecko jest chore – powiedziała i podeszła do Ferenca. Oczy miała wielkie i przestraszone, a gdy spojrzała nimi na mężczyznę, zabłysła w nich pełna troski ufność. Wtedy za Ferencem zobaczyła też pozostałych.

– Dzień dobry! – przywitała się bojaźliwie.

– Szczęść Boże! – odrzekł Ferenc. – Wejdz do środka!

Nikt inny nie odpowiedział na jej powitanie. Dzieci gapiły się na nią z rozdziawionymi buziami, przestraszone, gospodyni, chuda, wroga, stała z rękoma podpartymi pod boki.

Nuca rozwinęła dziecko z wielkiej chusty.

– Ma wysoką gorączkę, to widać – rzekł Ferenc i pochylił się nad dzieckiem.

– Tak, już od przedwczoraj. Nie znam się na tym wystarczająco. Wy macie dużo dzieci, może mi powiecie, co można...

Ferenc spojrział w tył na żonę.

– Terka, moja duszko...

Sucha, koścista kobieta gniewnie przygryzła wargi i odwróciła się.

– Chodź no tu, spójrz na nie...

Twarz poczerwieniała mu gwałtownie.

– No chodź tu szybko, a niech cię licho, bo jak ci przyłożę, słyszysz czy nie!

Ferencowa porywczo zakręciła się na pięcie i szybkim krokiem podeszła do nich. Zamaszystym ruchem sięgnęła po dziecko. Nuca z bezwiedną obawą przytuliła je do siebie i w geście obrony wyciągnęła przed siebie rękę.

– Cóż to? – bartnikowa fuknęła na nią gniewnie, a w jej surowym głosie

pobrzmiwał ton wrogości. – Dajesz czy nie? No to czego chcesz?

– Daj jej! – odezwał się cicho Ferenc.

Rzuciła jedno spojrzenie na spokojne, przyjazne oblicze mężczyzny, po czym podała dziecko drugiej kobiecie. Ta złapała je, położyła na stół, wręcz brutalnie, jak pakunek, i zaczęła je odwijać. Usta jej się wykrzywiły.

– Na co takiej dziecko! – ze złością zasyczała pod nosem, po czym stukając butami, jak żołnierz, przeszła do drugiej izby. Długo tam szperała. Słysząc było, jak otwiera szafę, wyciąga szuflady. Ferenc stał pośrodku izby i nie śmiał spojrzeć na Nucę.

– Usiądź! – odezwał się do niej cicho.

Rozejrzała się, w końcu siadła na ławce przy ścianie. Chłopcy, jeden za drugim, chyłkiem wymknęli się z kuchni. Tylko najstarsza dziewczynka pozostała przy stole i gapiała się na dziecko.

Gospodyni wróciła. W dłoni trzymała gruby biały gałgan. Na nikogo nie patrząc, podeszła do dziecka i zręcznymi ruchami zawinęła je w ten gałgan. Kiedy się z tym uporała, zwróciła się do Ferenc.

– Położyłam mu na piersi natłuszczony materiał – powiedziała ostrym, podniesionym tonem – jak minie pół dnia, trzeba dać nowy. Tu jest do tego łój.

Z kieszeni fartucha wyciągnęła coś zawiniętego w papier i rzuciła to na stół.

– Nie wolno go tknąć wodą, póki nie minie mu wysoka gorączka. Oczywiście jego matka, zamiast przy nim siedzieć, zadaje się z panami, przeprowadza się wysoko w lasy. Dla takiej to nie dziecko, a... Boże, wybacz mi, niemal to wymówiłam!

I nawet nie spojrzawszy na Nucę, popędziła do wewnętrznej izby, zatraskując za sobą drzwi.

Nuca wstała z ławki i podeszła do dziecka. Wzięła je na ręce i na powrót zawinęła w wielką chustę. Ferenc w zakłopotaniu dreptał przy niej, a dziewczynka przyglądała się jej przestraszonymi oczyma.

– Dziękuję, że mu pomogliście – rzekła cicho i spojrzała na Ferenc.

Ferenc, zaczerwieniwszy się, począł kasłać.

– Taką ma naturę, wiesz, nie trzeba się tym przejmować. Jednak serce ma dobre.

Nie odezwała się. Wyszła przez otwarte drzwi od kuchni i nałożyła na siebie przemoczoną sukmanę.

– Niech wam Bóg błogosławi, wujku Ferencu! I jeszcze raz bardzo dziękuję. Może jeszcze kiedyś będę mogła odwdziaczyć się za to...

– Nie mów tak! Dobra z niej kobieta, wiesz, tylko...

– Niech wam Bóg błogosławi, wujku Ferencu!

I już szła. Mężczyzna w zmieszaniu spoglądał za nią z progu. Zaszczekał pies na łańcuchu. Wysoko powyżej Kétág, na górskim grzbiecie szumiały świerki.

Wiatr niósł zapach śniegu.

Szła pośpiesznie, ani jeden raz nie spojrzała wstecz. Nim dotarła do wylotu Sestiny, już także i wzdłuż potoku zerwał się wiatr. Nadszedł od północy, w górę po Szalárd. Był to wiatr drapieżny, podle syczący. Obgwizdywał skały, chwycił szum potoku i bawił się nim jak piłką.

Pośpiesznie wspinała się zboczem w górę. Kiedy dotarła do buczyny, już smagał ją po twarzy śnieg. W powietrzu jakby unosiły się ostre stalowe igielki; wiatr niemal poziomo miotał śniegiem w jarze. Drzewa trzeszczały, skrzypiały. Ptak, zwierzę, nigdzie nic się nie ruszało.

Czuła, że musi się śpieszyć. Już niemal biegła w górę po stoku. Gdzieś z tyłu za nią mocno trzasnęło i runęło drzewo. Nawet się nie obejrzała. Pomiędzy kamieniami gnały mętne wody, niekiedy kobieta brnęła w nich po kostki. Nie miała czasu na omijanie. Musiała się śpieszyć.

Raptem zrobiło się ciemno. Chmury, ślizgając się na brzuchach, koziołkowały poprzez górskie grzbiety. Były niebieskawoczarne, brudne, ogromne. Z połoniny dochodziło w dół biadanie choin.

Wiatr porwał skądś ptaka. Był to jakiś czarny ptak, wrona czy kruk. Wiatr porwał go w górę, obrócił nim, rzucił w dół, znów porwał do góry, po czym cisnął w drzewa. Z powodu tego czarnego ptaka kobieta zadrzała zabobonnie i mocniej przytuliła do siebie dziecko.

Dyszała od tego biegu. Oblał ją pot. Oczy w przestkach szukały ścieżki pomiędzy trzeszczącymi drzewami. Ale było już zupełnie ciemno. Podążała w górę, potykając się pośród powalonych pni, oberwanych konarów. Śnieg sypał coraz gęściej.

Nim dotarła wysoko na polanę, padał już tak gęsto, że ledwie dawała radę trzymać oczy otwarte. Z trudem brnęła w kierunku domu. Murawa była śliska; kobieta omal nie upadła. Wreszcie była u celu. Pies ze skomleniem wybiegł ku niej spod szopy i chlapiąc, podskakiwał dokoła kobiety. Skowyczał, warczał, jakby chciał jej coś powiedzieć. Nuca nie zwróciła nań uwagi, była przemarznięta.

Już stała pod okapem. Oblało ją przyjemne, ciepłe uczucie. Własny dom. Ogień, mleko, łóżko, ciepło. Własny dom.

Jej ręka wyciągnęła się w ciemności po miotłę, żeby zabrać ją sprzed drzwi, lecz jej nie znalazła. Nie było tam miotły. Dopiero wtedy kobieta zauważyła, że przez okno sączy się na zewnątrz jasna poświata.

Na moment zawahała się, niczym dzikie zwierzę, gdy poczuje obcy trop. Nasłuchiwała. Przez drzwi dochodził hałas rozmowy. Popatrzyła w okno, lecz było zapotniałe. Śnieg z sykiem walił w ścianę chaty. Wysoko w górze buczały choiny.

Pchnęła drzwi zdecydowanym ruchem. W twarz uderzyło ją zaparowane ciepło woniejące samodziąłem. Płomień w kaganku począł łopotać. Dostrzegła tylko tyle, że w izbie są ludzie. Szybko zamknęła za sobą drzwi. Była w środku.

I dopiero wtedy rozejrzała się.

Dom pełen był ludzi, parujących mokrych sukman, przemoczonych kierpców. Naliczyła ośmiu mężczyzn. Wszyscy na nią patrzyli z szyderstwem na gębach, rechocząc i szczerząc zęby. Dwóch spośród nich natychmiast rozpoznała. Tego, który siedział pośrodku za stołem, w samej koszuli. Był to wysoki mężczyzna o niebieskich oczach i jasnej brodzie. I tamtego ze szramą. Pozostałych nigdy jeszcze nie widziała.

– No, wróciłaś do domu, ty mała szmato! – warknął na nią niski czarny mężczyzna o plugawej gębie. – Mam nadzieję, że cieszysz się ze znakomitych gości? He?

Pozostali zarechotali w głos. Siedzący przy stole nie śmiał się wraz z nimi, tylko utkwiał w jej twarzy swoje przenikliwe niebieskie oczy. Kobieta na moment zawahała się, po czym podniosła głowę i postąpiła naprzód.

– Sama jesteś? – spytał któryś.

– Nie – odpowiedziała spokojnie i rozwinęła dziecko z chusty. Pytający sięgnął po strzelbę opartą o ścianę.

– Kto jeszcze jest tam na zewnątrz? – zapytał znowu z groźbą w głosie.

– Twój brat.

– Kto?

– Czort.

Kilku zaczęło rzeć, a ten dociekliwy ciskał w nią zdławionymi przekleństwami, ale strzelbę na powrót oparł o ścianę. Tymczasem kobieta wyjęła dziecko z chusty i położyła je na stole. Było tam kilka butelek i kieliszków, wszystkie je odsunęła na bok.

– Wypiliśmy palinkę twojego kochanka – odezwał się wreszcie siedzący przy stole blondyn z brodą.

– Udławcie się nią!

Kilku głośniej warknęło. Jeden podszedł i położył jej rękę na ramieniu.

– Będiesz ty jeszcze grzeczniejsza, kochana, będziesz ty jeszcze grzeczniejsza.

Kobieta niecierpliwym ruchem strząsnęła z ramienia rękę mężczyzny.

– Idź do diabła! Nie widzisz, że mam robotę przy dziecku?

– Co? – inny zarechotał grubiańsko. – Chłopska woń dokucza twojemu wybrednemu noskowi? Masz robotę przy dziecku, mówisz? Przy tym pańskim bękarcie? No niechże zobaczą, jakie to dzieci robią panowie!

Wyciągnął ku dziecku wielką owłosioną łapę. Chwycił je, podniósł ze stołu. Dziecko zaczęło płakać. Kobieta z rozplomienioną twarzą skoczyła ku mężczyźnie.

– Połóż je, świni! Połóż je!

– Czemu? – przepadnik zaśmiał się szyderczo. – Przecie i to jest taki sam dzieciak jak każdy inny! Ty, on się zafajdał! Czyżby i te pańskie robiły pod siebie

w tym samym kolorze, co chłopskie?

Pozostali zarżeli. Któryś zaś zakrzyknął:

– Nie żałuj go, zamiast tego zrobimy inne!

Oczy kobiety miały zielone błyskawice. Palce jej się zakrzywiły niczym pazury rysia, gdy rzuciła się na przepadnika. W mgnieniu oka odebrała mu z rąk dziecko. Ono zaś krzyczało na całe gardło.

– Nie wstydzisz się?! Tfu! Jeśli któryś z was jeszcze raz dotknie mojego dziecka, wydrapię mu oczy! Ty baranie, ty wieprzu, nie widzisz, że jest chore?

Od tych słów i mężczyźni ucichli.

– Chore? – wyjąkał niezdarnie mężczyzna o ciemnym obliczu. – No to czemu nie mówisz? Ale mimo wszystko poczekaj, bo i ty dostaniesz za swoje!

– Chore? – zapytał także ten siedzący przy stole. – Co mu jest? Kobieta robiła coś przy dziecku, wcale na nich nie patrzyła.

– Co mu jest, co mu jest! Przychodźcie tu jak bydlęta i rzucacie się na dziecko. Widać, że z was przepadnicy. Darmozjady, poganie!

Niebieskie oczy mężczyzny pociemniały.

– No, no! Tylko nie klnij na przepadników!

– Jakżeż nie?! – odparła kobieta.

– Nie boisz się nas?

– Boi się was ino nędza! Odsuńże się z drogi, ty wielki bydlaku! Nie widzisz, że mi przeszkadzasz?

Wyjęła ze skrzyni czystą szmatkę, wyciągnęła też łój i zmieniła okład na piersi dziecka. Przepadnicy przyglądali się.

– Na co to? – spytał ten niebieskooki.

– Na co? – burczała kobieta. – Na diabła! Na was!

Ten o niebieskich oczach, tam u szczytu stołu, zaczął się śmiać.

– Ty się nas nie boisz?

Kobieta skończyła z dzieckiem, podniosła je ze stołu i ruszyła z nim w kierunku ławki.

– Już mi się wynoś – fuknęła na jednego z przepadników – przeszkadzasz, nie widzisz? Muszę je teraz nakarmić.

Mężczyzna, pomrukując, usunął się na bok. Kobieta rozpięła koszulę i podała dziecku pierś. Przepadnicy przyglądali się.

– Na co się gapicie? Lepiej dołóżcie do ognia i niech któryś przyniesie drewna i wody! Skoro już tu jesteście, niechże przynajmniej będzie z was jakiś pożytek!

Kilku głośno warknęło, inni ze śmiechem pokręcili głowami. Wówczas odezwał się ten siedzący przy stole. Jego głos nakazał ciszę.

– Dość tych bzdur! Posłuchaj no, kobieto! Nie tak dawno, kiedy byliśmy tu we dwóch, ugościłaś nas po ludzku, to prawda. Ale kłamałaś!

– Czegoś takiego nie mówcie! – kobieta na ławce wyprostowała się.
– Kłamałaś. Skłamałaś, że masz męża, który jest myśliwym, i że służycie panu. Prawda?

– To jest prawda.

– No a my dowiedzieliśmy się o tobie, że nie masz męża! Jesteś zwyczajną małą wszeteczną, pańską szmatą, niczym innym! I...

– Czekaście – przerwała mu kobieta, a twarz miała czerwoną od gniewu – powiedzcie no: jeśli kobieta pokocha mężczyznę i pójdzie za nim tam, dokąd on ją zabierze, i żyje tam, żyje tak, jak tego od niej wymaga ów mężczyzna... to czy ta kobieta ma męża, czy go nie ma?

Jej słowa zabrzmiały ostro, a po nich na kilka chwil zaległa cisza. Nareszcie któryś przy drzwiach fuknął głośniejsze:

– Co ty jej tu dajesz opowiadać, Bandilla! Wydaliśmy na nią wyrok, no i gotowe. Niech Bóg nas strzeże przed mową kobiet, gdy raz dorwą się do głosu.

Kilku burknęło potwierdzająco. Bandilla walnął w stół.

– Zamilczcie! Posłuchaj, kobieto! My nie mówimy, że ta, która nie zapłaciła księdzu taksy za ślub i bez księdza zamieszkała z mężczyzną, jest szmatą. Ale ty nią jesteś! Bo sprzedałaś się panu, który ciebie tu utrzymuje niczym jakie zwierzę i kiedy ma na ciebie ochotę, przychodzi na parę dni, żeby się połajdaczyć! Nie poszłaś na towarzyszkę do jakiegoś porządnego chłopca, z takich jak i ty, lecz do pana, na szmatę! Bez względu na to, co powiesz! I dlatego postanowiliśmy, że ciebie ukarzymy. Tak jak na to zasługujesz, o w taki sposób. Potrzeba ci kochanka? Ano dostaniesz i ośmiu naraz! I kiedykolwiek choć jeden z nas trafi w te strony, u ciebie spędzi noc! Zrozumiałaś? A jeśli nie będziesz trzymać języka za zębami... Przygwoździmy ciebie do drzwi twojej własnej chaty, tak jak dzieci robią z nietoperzami! Zrozumiałaś, kobieto?

Siedziała na ławce pobladła, lecz z podniesioną głową. Dziecko ssało, pomlaskując. Po tamtych słowach zaległa cisza. Słysząc było wiatr na zewnątrz, jak zmagął się z wieczorem.

– Zrozumiałaś czy nie? Hę!

Na ten brutalny okrzyk kilku poruszyło się. Z wyrazem groźby na gębach postąpili bliżej w stronę kobiety.

– Odpowiedz – warknął na nią Mihály, ten ze szramą – jak nasz herszt pyta, to trzeba odpowiadać!

Kobieta wzruszyła ramionami.

– Co mam odpowiedzieć? Wy się już sami przygwoździliście, a teraz chcecie przygwoździć każdego, kto jeszcze żyje tak, jakbyście wy chcieli żyć. Co mogłabym wam odpowiedzieć?

Kilku znów warknęło:

– Uważaj, co mówisz, kobieto!

Bandilla spojrział na nią z uniesionymi brwiami.

– Co masz na myśli, mówiąc, że „wy się już sami przygwoździliście”?

Kobieta zaśmiała się szyderczo.

– Mam was wziąć po kolei? Ano zacznijmy! Spójrz no mi w oczy, ty tu!

Rzuciła to do stojącego najbliżej. Był to przysadzisty mężczyzna o czerwonej twarzy, który patrzył na kobietę fałszywie. Przez kilka chwil ich oczy wpiły się w siebie nawzajem. Nareszcie mężczyzna, burcząc, odwrócił się.

– A idźżeż ty, czego ty chcesz? Kobieta znów zaśmiała się szyderczo.

– Odwracasz głowę? Za późno! Mogłeś ją odwrócić wtedy, gdy zobaczyłeś wóz stojący na skraju lasu... Wracając z jarmarku, co? I tamten woźnica też wracał z jarmarku. Miał jakiś problem z wozem i przykucnął przy nim, kiedy ty...

Mężczyzna już przy pierwszych słowach poderwał głowę, niczym przestraszony dziki zwierz. Z iskrzącymi oczami krzyknął na kobietę:

– Zamilczcie wreszcie, a niech cię czort weźmie! Skąd o tym wiesz?... Ty!...

Pozostali obserwowali w napięciu. Także Bandilla. Kobieta poprawiła dziecko na rękach i mówiła dalej:

– Mam milczeć? Posłuchałbyś raczej własnej matki i żony, kiedy błagały z płaczem, żebyś nie zabierał tego, co należy do kogoś innego, a starał się żyć z porządnej pracy! To było w takiej małej, niskiej chałupie, prawda? Tu piec, tam ciemna ława z szufladą, nad nią malowany obraz, jakiś święty czy coś takiego... w kącie łóżko... w nim dwoje dzieci... stół, nad stołem kaganek, pali się trochę krzywo... jakaś kobieta w koszuli płacze... jakaś staruszka klęczy na ziemi, za podłogę mieliście klepisko ubite z gliny, to twoja matka... a ty stałeś w drzwiach z siekierą w ręce i właśnie ruszałeś, żeby upatrzeć sobie...

– Diablica – wydyszał mężczyzna – diablica! Skąd o tym wiesz?

– Skąd? Jest to na twojej gębie! I na waszych, pozostałych, na wszystkich! Jest to na waszych gębach, w waszych ślepiach, trzeba to tylko wyczytać! I wy chcecie mnie sądzić? Wy? Tfu!

Izba napełniła się porywczymi głosami, gniewnymi gestami. Ktoś rzucił się ku kobiecie.

– Co o nas wiesz? Hę? Co wiesz?

Kobieta spojrzała nań zielonymi, pałającymi ogniem oczyma. Zobaczyła jedynie szramę, a nie twarz. I już i mówiła dalej:

– O tobie, Mihály? Czyż nie mówiłam, że ślad twoich palców pozostał na gardle Ormianina? Nie mówiłam, że wrony obedrą mięso z twych kości? Że będziesz wisiał na sznurze, na buku...

– Zamilcz! – wycharczał mężczyzna i z podniesioną pięścią skoczył ku kobiecie.

W tym momencie od stołu jak uderzenie bata świsnął głos Bandilli:

– Stój!

Mężczyzna zatrzymał się z kulakiem uniesionym w powietrzu gotowym do uderzenia. Bandilla wstał, wsparł pięść o stół. Oczami zwężonymi w szparki lustrował kobietę.

– Odważna jesteś, kobieto. Nie boisz się nas?

– Nie.

Dziecko w jej ramionach poczęło grymasić. Nie chciało już więcej ssać. Kobieta zapięła koszulę i wstała.

– No już, wynoś się, znów stoisz mi na drodze! – krzyknęła na jednego z mężczyzn. Zniosła dziecko do kołyski.

– Czy ty wiesz, kobieto, jak mnie wołają? – spytał Bandilla tam przy stole.

– Jak ciebie wołają! Przyszedłeś jako János, wynoś się, choćby nawet i jako Pista. Co mnie to obchodzi?!

– Wołają mnie Bandilla, słyszysz, kobieto?!

Kobieta poprawiała coś przy chorym dziecku, o nic więcej nie dbała.

– No i dobrze. Tak ciebie wołają. Rośnij duży!

Kilku zarechotało w głos, inni kręcili głowami i przeklinali. Bandilla przymrużył oczy. Jego spojrzenie przeszywało.

– Nigdy jeszcze nie słyszałaś mego imienia? Kobieta wyprostowała się znad kołyski.

– Słyszałam, a i owszem. Było tu u mnie niedawno dwóch ludzi. Przyszli z lasu, zmęczeni i głodni, to dałam im jeść. Jednego spośród nich tak właśnie wołali. Ale to był człowiek, który umiał zachować się z szacunkiem, podziękował za to, co dostał.

Przepadnicy stali w ciszy jak makiem zasiał i patrzyli to na swojego herszta, to na kobietę. Czekali, co będzie. Twarz Bandilli była nieprzejednana.

– Mówisz, kobieto, o szacunku? Już ja ciebie nauczę, co to szacunek. Wydaliśmy na ciebie wyrok, a od wyroku, który my wydamy, nie ma odwołania! Chodź!

Podszedł do kobiety i chwycił ją za ramię.

– Pójdziemy tam – skinął głową w kierunku drzwi do wewnętrznej izby – we dwoje.

Kobieta stała przy kołysce, pobladła. Palce Bandilli wpiły jej się w ciało. Jego uścisk bolał.

– Chodź! Nie czekaj, żebym zaciągnął ciebie do środka za włosy.

– Tylko jeśli weźmiemy i dziecko – kobieta odrzekła cicho, a głos jej zadrzał – nie zostawię go z tymi tu.

– Ano bierz je!

Kobieta złapała kołyskę i zaczęła ją taszczyć. Przepadnicy stanęli tam wkoło i rechotali drwiąco. Dochodziły ją nieprzyjemne, brzydkie słowa, ohydne uwagi.

– Co się tak dla niego wysilasz! Zrobimy ci dzisiaj lepsze! Będzie miało

ośmiu ojców, a nie tylko jednego!

Bandilla otworzył drzwi. Z pustej, ciemnej izby popłynął na zewnątrz ziąb. Kobieta wtargnęła kołyskę. Bandilla zamknął drzwi. Znaleźli się w ciemności.

– Zapal lampę!

– Nie mam czym.

– Na! Trzymaj!

Krzesiwko wydobyło iskrę. Knot zajął się ogniem.

– A teraz rozbieraj się!

Bandilla stał w drzwiach, na rozstawionych nogach, i przyglądał się kobiecie. Ta zaś zatrzęsała się pod lampą.

– Nie zrozumiałaś? Rozbieraj się!

– Zimno tu – powiedziała, drżąc.

Mężczyzna spojrzął na piecyk. Stał w kącie izby, zimny.

– To prawda. Idź, przynieś ognia!

Kiedy wyszła, przepadnicy akurat rozdzielali pomiędzy siebie koce. Jeden z mężczyzn grzebał w skrzyni. Z przestachu całym jej ciałem wstrząsały dreszcze, gdy przechodziła pomiędzy nimi. Jeden wyciągnął za nią rękę i brutalnie złapał ją za pierś.

– Zostawcie mnie!

Przepadnik zarechotał ordynarnie.

– Panowie nie tak to robią, co? Do tego, duszyczko, musisz się już przyzwyczaić!

Odszukała łopatę, wygrzebała na nią żaru i poniosła go do drugiej izby. Wręcz odetchnęła z ulgą, kiedy mogła za sobą zamknąć drzwi. Bandilla stał przy kołysce i przyglądał się dziecku.

Wkrótce zapłonął ogień. Kobieta zamknęła drzwiczki piecyka i wyprostowała się. Bandilla wciąż stał przy kołysce.

– Śpi już – rzekł, a głos miał przyciszony.

Kobieta podeszła bliżej. Dziecko rzeczywiście spało.

– Może minie mu choroba.

– Na pewno minie. Do kogo je nosiłaś?

– Jest tu jedna gospodyni, tam niżej...

– Bartnikowa?

– Tak, ona.

– Dobra jest dla ciebie? Pokręciła głową.

– To nie jest dobra kobieta.

– Czemu nie jest dobra?

– Nie wiem... ma przed sobą ogrodzenie... to znaczy przed domem, to mam na myśli. Tam w dole przed domem. Może to dlatego...

Bandilla przez kilka chwil przyglądał się jej w zamyśleniu. Ogień już głośno

buzował w kozie.

– Teraz już możesz się rozebrać – rzekł raptem.

Kobieta zrobiła niezdecydowany ruch. Bandilla przymrużył oczy.

– Jeśli ja coś mówię, kobieto!...

Spuściła głowę i z wahaniem zaczęła się rozbierać. Po kolei opadało z niej odzienie. Mężczyzna przyglądał się.

– Koszulę też. Nie słyszysz? A potem:

– Rozpuść włosy! O tak. Całkiem je rozpuść!

Kobieta stała przed piecykiem. Na jej brązowej skórze zaśniło żółte światło lampy. Rozpuszczone włosy gęsto opadały aż po pas, niczym jakiś osobliwy złoty płaszcz. Mężczyzna przyglądał się jej, a oczy dziwnie mu błyszczały.

– Piękna jesteś, kobieto. Twoje włosy... kiedyś dawno temu była jeszcze jedna kobieta, która miała takie włosy... Na imię było jej Elena...

Kobieta nadstawiła ucha.

– Elena? Tak powiedzieliście?

– Czemu pytasz?

– Nie wiem – kobieta zadrżała – mojej matce też było Elena, tylko dlatego...

Mężczyzna westchnął.

– Z pewnością wiele Elen jest na świecie. Ale takiej... twoja matka jeszcze żyje?

– Nie.

– A twój ojciec?

– On też nie.

– Skąd pochodzisz?

– Mieszkaliśmy nad potokiem Urszu, powyżej Dédy, aż... gdzie wcześniej, tego nie wiem...

Mężczyzna podszedł bliżej. Ciężko dyszał, a jego oddech był gorący.

– Jak na ciebie patrzę, to jakbym widział Elenę, kiedy... było tam jezioro, wiesz, na jego brzegu stały białe brzozy... w tym jeziorze zawsze się kąpała...

Kobietę przeszedł dreszcz. Od tego głosu? Czy od spojrzenia? Kłębiły się w niej dziwne, mętne uczucia. Podniosła głowę i spojrzała w oczy mężczyzny. Twarze obojga były oddalone od siebie ledwie o piędź. Ciężkie ręce mężczyzny poruszyły się w kierunku nagiego ciała kobiety, jego palce wykrzywiły się zachłannie.

– Białe brzozy na brzegu jeziora, tak mówiliście? Ręce zatrzymały się w powietrzu.

– Czemu o to pytasz?

– Do jeziora wpadają trzy potoki, a ponad jeziorem stoi biały brzozowy krzyż, prawda?

Oczy mężczyzny rozszerzyły się ze zdumienia.

– Skąd to wiesz? – wycharczał. – Skąd to wiesz, kobieto? Kobiecie zaszcękały zęby, a przecież nie czuła zimna. Jakaś dziwna gorączka wywoływała to drżenie w środku; i kobieta mówiła, dysząc, jak ktoś, kto śni:

– Powyżej jeziora stoi chata... wokół niej jest zielona murawa, a w trawie kwiaty... w dole brzozy i jezioro... ponad jeziorem krzyż, a wysoko ponad krzyżem góry... pod krzyżem moja matka, Elena...

Mężczyzna z wolna podniósł rękę i kilka razy przeciągnął nią po czole. Wargi mu zadrżały.

– Tóderik...?

– Nad Urszu... na koniec ogień...

Wiatr rzucił się na dom w nowym ataku. Na strychu zaskrzypiały okapy, dziko załopotał ogień.

– Nucuka... tak nazywała ciebie twoja matka...

Przez kilka chwil tylko tak stał. Nareszcie odwrócił się, nie patrząc na kobietę. Chwiejnie postąpił ku drzwiom, wyszedł. Drzwi za sobą zamknął. W drugiej izbie rozległy się głosy. Pomrukiwania, warknięcia, cicha ochrypła mowa. Potem zaskrzypiały drzwi. Zatupały nogi. Słysząc było dławione przekleństwo. W końcu nastąpiła cisza. Potem znów zaskrzypiały drzwi.

Kobieta stała przy kozie, z rozpuszczonymi włosami, wciąż jeszcze bez odzienia, i drżała na całym ciele. Dziecko w kołysce poruszyło się i cicho zakwiliło. Ten słaby głosik jakby przełamał jakiś nieczysty urok. Szybko pochwyciła z podłogi koszulę i włożyła ją na siebie. Dorzuciła drew do ognia. Potem kołyskę przysunęła do łóżka, podniosła ciężki wełniany koc i wślizgnęła się pod niego. Grube przykrycie podciągnęła po samą brodę, lecz nawet i wtedy zęby jej szcękały, tak bardzo trzęsła ją febra.

Lampa cicho skwierczała, kiedy niekiedy załopotał w niej płomień, gdy poprzez szczeliny w belkach ze świstem wbił się do wewnątrz wiatr. Nie wiadomo było, ile czasu tak upłynęło. Dużo? Mało? Nie było czasu. Była tylko jakaś mętna, kłębiąca się gorączka, myśli goniły jedna drugą, a mimo wszystko stały w bezruchu, niczym nieprzejezdane skały, co odgradzają od człowieka niebo. Był tylko wiatr na dworze. Drżące światło lampy. Migoczący ogień w piecyku.

Potem z wolna otwały się drzwi. Stanął w nich jakiś człowiek. Powoli wszedł do środka. Światło lampy z drżeniem padało mu na twarz.

Kobieta przyglądała się tej twarzy. Błademu, wysokiemu czole, jasnej brodzie. Próbowiła je sobie przypomnieć. Gdzieś całkiem z tyłu, w duchu, w czeluści wspomnień... na próżno. Może jeszcze jego oczy... te czyste, jasnyniebieskie oczy... ta dziwna w nich osowiałość, może to... jakby już kiedyś, gdzieś...

– Posłałem ich do szopy na siano – mężczyzna rzekł cichym, zmęczonym głosem – żeby ich tu nie było...

Kobieta przymknęła oczy. Słyszała, jak mężczyzna podchodzi do kozy, sprawdza ogień, i siada obok. Słyszała też jego westchnienie. Potem na długo zaległa cisza. Po jakimś czasie mężczyzna znów się poruszył, wstał i zgasił lampę. Na izbę opadł mrok, jednak był on poprzecinany żółtymi smugami światła. Płomienie z trzaskiem łopotały w piecyku. Mężczyzna znów sprawdził ogień i dołożył też drewna, po czym siadł przy ogniu.

Kobieta przekręciła się w łóżku na bok, w kierunku ognia. Pod wpływem jej ruchu łóżko lekko zatrzeszczało. Wierciła się jeszcze, w końcu nastąpiła cisza.

I wtedy odezwał się Bandilla, tam przy ogniu. Mówił szeptem, nieco ochryple, a jednak słowa twardo sypały mu się z ust, jak słowa człowieka, który przyzwyczał się, by mówić mało i zawsze tylko tyle, ile potrzeba. Słów zanadto nie dobierał, jednak pomiędzy zdaniami robił przerwy, żeby lepiej zebrać myśli. Zdawało się, jakby to, co powiedział, z lekkim stukotem uderzało w ściany, belki, podłogę, we wszystko. W świat cały. Z cichym, wrogim stukotem. Atakując niemalże, o tak. Kobieta naciągnęła na siebie koc i milczała.

– Nie wiem, co opowiadał ci o mnie twój dziadek. I o twojej matce. I o tym, jak to się stało, że twoja matka trafiła tam pod krzyż. Nie wiem. Ale dzisiaj to już obojętne, bez względu na to, co mówił.

Elena. Tak jest wyryte na tym krzyżu. Na tym brzozowym krzyżu tam ponad jeziorem, na krzyżu, który i ty jeszcze pamiętasz. Elena. Piękna była twoja matka. Taka jak ty, a może nawet i piękniejsza.

Elena. Kiedy ją poznałem, było lato. Ty wiesz, nie muszę mówić, jak to jest, gdy wszystkie brzozy naraz zaczynają się zielenić, a ich zapach kołysze się na wietrze tak... tak jak dźwięki fujarki. Ty to wiesz.

To ja zbudowałem tamten dom ponad jeziorem, tam gdzie stoją brzozy, te piękne brzozy. Akurat tam, dlatego że... zresztą wszystko jedno, to nie jest ważne. Do jeziora wpadały trzy potoki i było w nim dużo ryb. Leżąc wieczorem na brzegu, słyszało się, jak skaczą: plusk... plusk... a jeśli lśnił księżyc i twoja matka przyszła tam kąpać się... ale czekaj, nie o tym chciałem ci opowiedzieć. Skąd wiesz, że do tamtego jeziora wpadały trzy potoki? Pamiętasz to?

Kobieta poruszyła się na łóżku.

– Nie wiem – odpowiedziała szeptem, a jej głos był nieco zachrypnięty – może i pamiętam... a może tylko zobaczyłam to w waszych oczach. Jezioro i trzy potoki, i wszystko...

– W moich oczach? Dziwne to, co mówisz. Ale możliwe. W oczach człowieka jest wszystko, co... ale nieważne. Mam ci opowiedzieć o tym, o czym trzeba opowiedzieć?...

Twój dziadek miał młyn wodny, niżej w dolinie. Ja miałem wtedy owce. Może z sześćset owiec, nie pamiętam już, zresztą to nie jest ważne. Były to piękne owce. Twój dziadek chciał, żebyśmy zostali młynarzami. Ja nie chciałem zejść z góry.

Dziwnym człowiekiem był twój dziadek. Powiedz no: on nazywał siebie twoim ojcem, prawda?

– Tak...

– Tak. Tak myślałem. Dziwny to był człowiek. Chciał, żebym został młynarzem. Czemu? Bo nie miał innego dziecka, tylko twoją matkę. Postawił warunek: tylko wówczas będę mógł ożenić się z jego córką, jeśli zacznę pracować we młynie. Powiedz no, uwierzyłaś mu, że to on jest twoim ojcem?

Kobieta znów się poruszyła. Słysząc było, jak odsuwa z siebie przykrycie, jak się unosi i wspiera na łokciu.

– Nie wiem – odparła po dłuższej chwili – nie wiem... czasami...

Mężczyzna tam przy ogniu podniósł wzrok w kierunku łóżka. Drzwiczki kozy oświetliły mu twarz czerwonym blaskiem. Broda mu zaśniła, zupełnie jakby była ze złota, a oczy zrobiły się głębokie, granatowe.

– Czasami...?

– Czasami było coś... jak to powiedzieć... coś, co... Mężczyzna opuścił głowę i przytaknął kilka razy.

– O tak. Dziwny to był człowiek. On chciał młyna, a ja gór. Nie z powodu owiec, myślę, nie tylko z powodu owiec. Po prostu chciałem gór, jeziora, brzozy tam wysoko. A nie młyna.

W końcu zakazał Elenie zbliżać się do mnie. Twojej matce. Lecz ona uciekła do mnie. Wtedy zbudowałem dom tam wysoko. Ponad jeziorem, przy brzozach.

Ja go budowałem, twoja matka zaś stała na brzegu jeziora i śpiewała. Bardzo ładnie potrafiła śpiewać. Myślę, że nikt nie potrafił śpiewać tak jak ona. Ale to nie jest ważne, nie o tym chciałem mówić. Chciałem domu, tak, domu.

No i powstał. Udał się nad podziw. Był żółty, całkiem żółty, a gonty na nim muzykowały, gdy przyświecało tam słońce. Powstał z dobrych choin. Ramy okienne zrobiłem z brzozy, takie też drewno wziąłem na ganek. Pozostawiłem na nim korę. Była nieużyteczna, ale ładna. Biała.

Wiesz, przyjemnie było popatrzeć na ten dom. Jak tam stał. Wokoło niego brzozy, z tyłu choina, wielka ciemna choina. Poniżej jezioro. Niebieskie. Ciemnoniebieskie. I ten dom. Miło było nań popatrzeć.

Trzymałem juhasa, to on chodził z owcami. Dobrze żyliśmy. Ładnie. Potem urodziłaś się ty.

Zamilkł, pogrzebał w ogniu. Przez otwarte drzwiczki piecyka sypnęły się wokoło iskry. Kobieta na łóżku cicho westchnęła i wcisnęła głowę w poduszkę.

– Nie żeby było coś złego pomiędzy nami. Ładnie żyliśmy, nie kłóciliśmy się. Twoja matka cały dzień śpiewała, krzątała się tu i tam. Ja miesiłem twaróg albo też wyplatałem werezkę na ryby, więcierz, robiłem to i tamto. Czasem szedłem w górę na pastwisko sprawdzić owce. Kłamie ten, kto mówi, że nam się nie układało. A jednak coś było. Zaczęło się wtedy, kiedy ty się urodziłaś.

Dzisiaj już nie wiem tak dokładnie, jak to było. Może ja coś powiedziałem. Czy też ona tylko wyobraziła sobie, że to powiedziałem, bo poczuła, że o tym myślę. Nie wiem. Zresztą to wcale nie jest ważne. Nie jest ważne, co człowiek mówi w takich razach. Wystarczy, jeśli coś czuje. To już wystarczy. To już jest tyle, jakby wypowiedział.

Chciałem, żebyś była chłopcem.

Nigdy tego nie wypowiedziałem, ale tak było. Chciałem, żebyś była chłopcem. Tak to sobie wyobrażałem, wiesz, że będę miał syna i kiedyś razem z nim... zresztą wszystko jedno, dzisiaj to już nie jest ważne. Wcale o tym nie mówiłem, jednak ludzie jakoś tak to czuli. Nawet i babka, Masza Nászta, która pomogła ci przyjść na świat. Nawet i ona powiedziała to tak, że jednocześnie spoglądała w ziemię jednym okiem: „Dziewczynka. Ano dziewczynka. Dziewczynka”.

Twoja matka, ona nigdy o tym nie mówiła. Ale myślę, że wiedziała o tej sprawie. O tym, że oczekiwałem chłopca. Nie pokazywała tego ani ja tego nie pokazywałem i nikt, kto nas widział, nie mógł wiedzieć, że tu coś zaszło. To znaczy, powiedzmy to tak: coś zaczęło się dziać. Coś się rozpoczęło. Już wtedy, kiedy się urodziłaś i nie byłaś chłopcem, lecz dziewczynką.

To dziwne, wiesz. W człowieku nic się nie zmienia i nigdzie nic się nie zmienia. A mimo wszystko. Człowiek idzie na górę do owiec i wychodzi mu naprzeciw po łące juhas. Jego oczy wiszą na twojej twarzy. Obserwuje cię. Czeka, żebyś powiedziała: „No, urodził się!”. Albo: „Wciąż jeszcze nic nie ma”. Czeka i nie pyta, tylko obserwuje twoją twarz.

A ty się nie odzywasz. Bo jeśli odezwałabyś się sama z siebie, z dumą i pełnią radości, to tak musiałabyś powiedzieć: „No, urodził mi się syn!”. Albo: „Przyszedł na świat mój syn”. Albo tylko tyle: „Chłopiec!”.

Ale to nie chłopiec, i dlatego nie możesz tak powiedzieć. Milczysz. I on też milczy. Lecz mimo wszystko chciałby się czegoś dowiedzieć, i dlatego po długim czasie jednak pyta: „Nic jeszcze nie ma? Nic?”.

I wtedy przełykasz ślinę, i mówisz: „Nie, jest, urodziła się dziewczynka”. „Dziewczynka?” – pyta tamten i życzy dużo szczęścia. A potem więcej o tym nie mówicie.

Nie wiem, czy zrozumiesz to, co chcę powiedzieć. Coś zaczęło się pomiędzy nami. Tylko ot tak, poza słowami. Nie wiem, czy to zrozumiesz. Chciałbym wręcz, żebyś nie rozumiała. Lepiej by ci było, gdybyś nie wiedziała, jak to jest, kiedy coś zaczyna się w taki sposób, bez rozpoczynania, tylko ot tak.

Kobieta na łóżku cicho westchnęła. Było to westchnienie ledwie dosłyszalne, a mimo to mężczyzna podniósł głowę. Zesztywniały nadstawił ucha w kierunku łóżka i ze smutkiem kilka razy kiwnął głową.

– Ty też to wiesz. No to wszystko jedno. Ano tak.

Pewnego razu Elena powiada: „Pójdę z dzieckiem na dół do młyna”. „Czemu?”. „Żeby ludzie je zobaczyli i pochwalili, bo jest piękne. Ty nie dość je chwalisz”. To były te pierwsze słowa, które w taki sposób stanęły pomiędzy nami. Zatrzymały się. Jak kiedy nóż skądś upadnie i zatrzymuje się, wbity w podłogę. Wyciągniesz go, ale pozostanie tam jego ślad. Na zawsze tam pozostanie. Ano takie były także i te słowa.

I któregoś dnia w końcu też poszła na dół do swojego ojca. Zabrała dziecko i poszła na dół. Nic przeciw temu nie powiedziałem, po co. Niech idzie, jeśli ma ochotę.

Na wieczór wróciła. I o niczym innym nie mówiła, tylko o młynie i ludziach, których tam widziała. Że to mówili. Tamto mówili. Wszyscy chwalili dziecko. Takie ma oczy, takie ręce, taką buzię. Włosy, wszystko. Głupie to było, wiedziałem o tym, bo przecież wtedy jeszcze niczego nie było po tobie widać, byłaś taka jak to tutaj, jak każde małe dziecko, jeszcze w pieluszkach. Ale ludzie, no cóż. „Tfu, tfu, żebym ciebie tylko nie zauroczył!”. Wiesz ty, jak coś takiego idzie. Spluwają i życzą szczęścia. Jeden mówi, że to wykapaną matka; drugi, że to babka była taka, i czy ja tam wiem, co. I przy tym spluwają, i mówią różne rzeczy, a myślą co innego, aniżeli mówią. A przecież nikt ich wcale nie prosi, żeby kłamali. A mimo to. To dla nich zabawa, czy co. Co zrobić, tacy są ludzie.

Ano, jak mówię, wróciła z tymi słowami. I jeszcze z czymś. Że ojciec nie gniewa się na nią. Nie. Zaprosił ją do domu, poczęstował miodem, nawet i posadził. Ano właśnie tak.

Od tej pory często schodziła do młyna. I zawsze przynosiła stamtąd jakiś podarunek. Raz to, raz tamto. Raz od swojego ojca, raz od kogoś innego. I opowiadała, co też nowego mówiono o dziecku. Nareszcie jednego dnia przyszedł do nas na górę, do domu, jej ojciec. Tóderik.

Tóderik. Ty już nie mogłaś go znać takim, jakim ja go znałem. Tamtego butnego Tóderika, którym był. Młynarza Tóderika. Dla którego człowiek był człowiekiem tylko wówczas, gdy miał młyn albo coś innego. Co przynosiło pieniądze, dużo pieniędzy. Tamten Tóderik szanował jedynie pieniądze, człowieka – nie.

Mówię, przyszedł do nas na górę, do domu. Przyszedł, obejrzał chatę. Machnął ręką, jak miał to w zwyczaju. „Do czegoś takiego to nawet i własnego juhasa bym nie wsadził” – powiedział. Czemu to powiedział? Z pewnością wiedział czemu. Nic nie mogłem mu odpowiedzieć, bo przecież przyszedł do nas w odwiedziny, był gościem. Milczałem, lecz... w środku było mi ciężko. Bo wiedziałem, że nie ma racji. Piękny był ten dom, tam nad brzegiem jeziora.

Wszedł, usiadł. Wszystko obejrzał, na wszystko machał ręką i coś mówił. Bundz był dla niego nie dość tłusty, twaróg z krowiego mleka – gorzki, owczy twaróg – źle wymieszany. Na wszystko umiał coś znaleźć. W końcu wysłał swoją

córkę z izby: „Wyjdź, Elena – rzekł – muszę pomówić z twoim mężem”.

Twoja matka wyszła i pozostaliśmy we dwóch. Wiedziałem, że powie coś złego, i przygotowałem się na to. Lecz mimo wszystko nie na to, co powiedział. Bo tak powiedział, co do słowa. Słyszę nawet ten jego ton, jakim to wtedy powiedział: „Bandilla, dziewczynę wydam za Jákobuca, karczmarza w Ilisora”.

Tylko tak na niego patrzyłem, jak tam stał przede mną, i nie wiedziałem, czy mam go zabić, czy śmiać się zeń w głos. Dzisiaj już bym wiedział. Ale wtedy tylko śmiałem się w głos.

„Przecie z niej już żona, nie panna” – odpowiedziałem mu. Tylko machnął ręką. Dziecko, to się nie liczy, bo przecież jest panną, nawet i tak. No a poza tym to my przecież wcale nie mamy ślubu. Karczmarzowi i tak się nada, a ona też nie ma nic naprzeciw. „Kto?” – spytałem. „Kto? Ano Elena!”. Skoczyłem do drzwi, otworzyłem je. „Elena! – zawołałem. – Elena!”.

Weszła. Z dzieckiem na rękach. Weszła, stanęła w drzwiach. Była blada. Patrzyła to na mnie, to na ojca. „Elena – odezwałem się – posłuchaj, co mówi twój ojciec!”. I to, i tamto. Ona tego słuchała, nareszcie twarz jej poczerwieniała, całkiem poczerwieniała. „Odpowiedz – powiedziałem do niej – co z tego jest prawdą?”.

Nie odpowiedziała, tylko usiadła na ławce i zaczęła płakać. Płakała i płakała. „Widzisz – rzekł jej ojciec. – Boi się ciebie, dlatego nie odpowiada”. „Boisz się mnie? – spytałem. – Boisz się?”. Na to też nie odpowiedziała, tylko płakała i płakała.

Zdjąłem z gwoźdźca kapelusz, nałożyłem go na głowę. Wziąłem też worek i kij. Pamiętam każdy ruch, który wtedy zrobiłem. Jakby działa się to dopiero co. Na jej ojca wcale nawet nie spojrzałem. Tylko do niej się zwróciłem: „Elena, posłuchaj! Pójdę na górę do owiec, do domu wrócę dopiero jutro. Do tej pory zastanów się! Jeśli chcesz iść, to idź! Masz czas do jutra. Dobrze się zastanów, Elena!”. Z tymi słowami poszedłem.

Pamiętam dobrze, przy progu leżała siekiera, jeszcze ją chwyciłem i odłożyłem stamtąd na bok. Po czym poszedłem w górę po stoku. Pomiędzy brzozami. Pomiędzy tamtymi brzozami, wiesz.

Jak to powiedzieć? Człowiek w takich razach idzie, idzie i idzie. I myśli wciąż tylko o jednym i tym samym, wciąż tylko o jednym i tym samym. Gdziekolwiek by nie spojrzał, niczego nie widzi. Człowiek wciąż tylko powtarza w duchu to samo, stale to samo. I idzie, i idzie. Zatrzymuje się, siada. Rozpala ogień. Je, pije, wstaje, znów idzie. Człowiek nie wie, co też robił wcześniej, i właściwie dlaczego wstał, i dokąd chce pójść. Jak to powiedzieć? Świat wokół człowieka jakoś tak zatrzymuje się. Zatrzymuje się. Upływa czas, postępuje dzień, księżyc, gwiazdy, a mimo to jakby wszystko stało. Człowiek idzie, idzie i idzie. Aż wraca tam, skąd wyruszył.

Dotarłem z powrotem następnego dnia po południu. Nie od razu poszedłem do chaty, przystanąłem w górze pośród brzóz. Jakbym miał tam jakąś sprawę, jakbym coś oglądał, o tak. A tymczasem ukradkiem obserwowałem dom.

Stał tam, a dokoła niego nie było żadnego ruchu. Czułem, jakoś tak naraz całkiem wyraźnie czułem, że jest pusty. Że jest całkiem pusty. I wiedziałem, że czułem to także i wtedy, gdy szedłem w dół po stoku. Ten chłód, to zło. To, że jest pusty.

To niemożliwe, mówiłem sobie, przecież przyszła za mną z miłości, nie sprowadziłem jej przemocą. Przecież to ona chciała domu tu wysoko, nad jeziorem, pośród brzóz, gdzie po raz pierwszy... słowem, próbowałem zmusić się, żeby uwierzyć, uznać rozumem, że to, co czuję, nie jest prawdą, nie może być prawdą. To niemożliwe, dom nie może być pusty. A jednak... Wiedziałem, że tak jest. Widać to było po chacie. Nie umiem powiedzieć, jak i po czym, ale było to widać.

Poszedłem niżej. Myślę, że bardzo wolno schodziłem po stoku. Od czasu do czasu przystawałem i nasłuchiwałem. Chciałem usłyszeć jakiś szmer, jakiś szelest z chaty. Wszystko jedno co. Jakiś niewielki odgłos, świadczący o tym, że dom żyje. Lecz nie było żadnego odgłosu. Nie mogło być, bo przecież już wtedy wiedziałem, że dom jest pusty.

Drzwi nie były podparte, tylko o tak, na wpół przymknięte, jakby ktoś właśnie ukradkiem przemknął przez nie do wewnątrz... albo na zewnątrz. Zaszedłem do środka. Powiesiłem na gwoździu kapelusz, worek, oparłem kij w kącie. Dopiero wtedy rozejrzałem się wokoło. A dom był pusty. Pusty.

Zamilkł. Przez kilka chwil wpatrywał się w dal. Ogień w kozie począł przygasać, na izbę opuścił się mrok. Na strychu gwizdał wiatr. Od jego wyjącego, sierociego głosu dom przeszywały dreszcze.

Mężczyzna sięgnął po drewno, przegrzebał węgle. Cisnął na ten żar kilka polan. Płomień ożywił się z trzaskiem. Mężczyzna zostawił drzwi piecyka otwarte. Na ścianach izby tańczyło żółte światło. Bandilla westchnął i ze spuszczoną głową zagapił się w ogień.

– Wiesz, jakie to jest, kiedy dom jest pusty? To jest straszne. Człowiek stoi w nim i czuje, że dom nie żyje. Nie żyje. Umarł. Jest pusty.

Ściany są zimne i... brak na nich czegoś. Rzeczy są tam wszystkie, ale... nie mają sensu. Są zbędne. Obce. Tak, to właśnie to: obce. Wszystko jest obce: stół, który sam zbudowałeś, ławka, łóżko, na którym... Wszystko. Półki, naczynia, próg. Pęknięcia w belkach, pajęczyny, mnóstwo tych zwyczajnych drobnych znaków, które są w takim domu i które sprawiały, że dom był dotąd ciepły, był ogniskiem domowym, poprzez to, że one tam były... Nie wiem, czy zrozumiesz to, co chcę powiedzieć. Dom naraz staje się zimny. Zimny tak, jakby nigdy nie mieszkał w nim człowiek. Jakby wcale nie można było w tym domu mieszkać, tak zimny. Człowiek wręcz słyszy, jak poruszają się w nim duchy. Grzebią w duszach belek.

W pewien sposób jest to takie, jakby w tym domu był wróg, nieznany, zły wróg. Tak: zły. Zły i straszny jest taki dom, który jest pusty. Który jest pusty nie tak, że niczego w nim nie ma, lecz jest pusty tak, że w nim coś było... rozumiesz? I raptem jednak nie ma. Nie ma. Nie wiem, czy to rozumiesz, ale tak to jest. Człowiek miałby ochotę ten dom podpalić i przy tym ogniu wyć niczym wilk.

Nie wiem, czy to rozumiesz. Ale nieważne. Twoja matka odeszła, poszła za męża, jak zwykle się mówi, za karczmarza z Ilisora, Jákobuca.

W kącie zatrzeszczało łóżko. Kobieta cicho jęknęła. Mężczyzna, tam przy ogniu, obserwował te dźwięki. Lecz nie usłyszał już nic więcej, tylko wiatr trzęsący strychem i ciężkie miotanie się buczyny na zewnątrz. Machnął ręką i wyciągnął ją w kierunku ognia.

Ten Jákobuc to był człowiek nic niewart. Słabowity, o woskowej twarzy, nic niewart. Lecz pieniędzy miał tyle, ile tylko nakraść potrafi karczmarz w takiej wiosce, jaką była Ilisora. Gdzie na cotygodniowym jarmarku gromadziła się połowa krainy ośnie żonych szczytów.

Słabowity, mizerny człowiek, nic niewart. Całymi dniami skakał po karczmie, kłaniał się i zgarniał pieniądze. Jeśli dawaliby mi cały świat... wiesz? Cały świat. Każdą wioskę i każdą dolinę, nawet i wtedy nie. Nawet i wtedy nie chciałbym tego jego fachu. Ale nie o tym miałem mówić.

W tamtych czasach Tóderik bardzo się przechwalał. Po kolei wszystkim, co przychodzili do niego zmielić zboże, opowiadał, jak bardzo szczęśliwie urządziła się jego córka, Elena, twoja matka. Nic nie ma do roboty, tylko całymi dniami przelicza pieniądze. Tak się chwalił. Całymi dniami przelicza pieniądze. Ludzie w to wierzyli i rozdziawiali gęby. Nieśli dalej wieść o tym, jak bardzo szczęśliwie urządziła się twoja matka. Ano tak. Bardzo szczęśliwie, a i owszem.

Zaśmiał się gorzko. Trzepnął się dłonią w kolano, wstał, przeciągnął się. Zachrupotały kości. Podszedł do okna, stanął przed nim. Kobieta leżała na łóżku bez ruchu.

Stał przy oknie i wyglądał w noc. Gdzieś zatrzeszczało drzewo. Na niebie, pomiędzy pędzącymi jak oszalałe chmurami, kiedy niekiedy zajaśniała gwiazda. Polana była biała. Gdzieś tam szumiały choiny.

Po jakimś czasie mężczyzna wrócił na miejsce przy piecu i usiadł. Pogrzebał w ogniu. Gdy znów się odezwał, jego głos był nieco twardszy.

– Wiesz, myślę, że tak bardzo mnie wzięło dzisiaj na wspominki przez to, że tamta nocka była właśnie taka jak i ta tutaj. Taka sama. Pod naporem wiatru szumiały choiny na Dealu Rós. Buczały. Wiesz, jakie to jest? Oczywiście, że wiesz. Jakby ktoś dmuchał w długi, ogromny róg z kości. Człowiek czuje, jakby był sam jeden na świecie. Siedzi przy ogniu, tak jak teraz, a na Dealu Rós bucza choiny. Trzeszczą, jęczą drzewa. Wcale nawet nie drzewa, nie. Już nie tylko drzewa. Wszystko. Ziemia. Jezioro, potoki. W taki czas jęczy cały świat, a wiatr,

wiesz, napiera na dom. Człowiek czuje, jak ten wiatr się wysila. Świszcze w górze na strychu, jakby goniły się czarownice, łopocze ogień, pojękują belki, syczy, gwizdże każde najmniejsze pęknięcie... a człowiek siedzi przy ogniu sam.

I wtedy siedziałem tak samo jak i dzisiaj. Właśnie tak samo. Wiatr hulał w domu na przestrzał, bo już o ten dom nie dbałem. Od pięciu miesięcy żyłem samotnie, tam w tej chacie ponad jeziorem. Od pięciu miesięcy. Wiesz, jak to długo? Nieważne. Siedziałem tak samo jak i teraz. Wiatr wionął do środka śniegiem. Słyszałem, jak szumi góra, i słyszałem też wodę w jeziorze, jak wierciła się, niespokojna niczym ciężko chory człowiek. Słyszałem trzeszczenie domu, jak człowiek słyszy nieznanego wroga. Tak, bardzo byłem samotny.

Pamiętam, w kącie zwiisał z belki pęcherz świni. Jakoś tak tam został. Jeszcze od wiosny. Włożyliśmy do niego kilka ziaren kukurydzy i tak powiesiła go tam twoja matka, żeby wysechł. Miał być dla ciebie, żebyś mogła się nim bawić. No i został tam. Uderzał weń wiatr. Raz po raz bił nim w belkę i ziarna kukurydzy tak w nim grzechotały, jakby bawiły się nim myszy. Stukał i brzęczał. Stukał i brzęczał. Bez przerwy. Jeszcze i dzisiaj go słyszę. Pogoda była właśnie taka jak i teraz. Nadchodziła zima.

Siedziałem przy ogniu. Było późno? Wcześniej? Nie wiem. Naraz otworzyły się drzwi i weszła twoja matka.

Weszła. Stała. Była taka, jakby to wcale nie była ona. A, powiedzmy, jej wspomnienie. Tak, wspomnienie. Wiesz, jak kiedy człowiek siedzi przy ogniu i wsłuchuje się w wiatr, który dmie w choiny na Dealu Rós, i rozmyśla o tym, co było. Co było piękne. Nie wiem, czy to znasz, jak kiedy człowiek tak się o kimś zamyśli. Kto... kto jest już jedynie taki, jaki był. Był. I człowiekowi ot, tak przychodzi do głowy: tu stał, tu siedział, tu leżał. Tu powiedział to, a tam tamto. Tutaj się śmiał... Tutaj... wszystko jedno, nie to jest ważne. Człowiek siedzi przy ogniu i myśli o kimś, kto był. Widzi go. Jak się krząta. Siada. Śmieje się. Je. Śpiewa. Jak wchodzi przez próg...

Tak, spróbuj to sobie wyobrazić: na Dealu Rós szumią choiny. Jest noc. Brzydka, bardzo brzydka noc. Człowiek rozmyśla... i wtedy naraz jednak otwierają się drzwi i wchodzi. Wchodzi. Staje. I tylko tak stoi. Nie tak jak ktoś, kto nadszedł z długiej drogi, w kozuchu, w wielkiej chuście, nie. Tylko o tak. W jednej sukience. Jak kiedy człowiek krząta się po domu. Wchodzi i wychodzi. O tak. Tylko tak. I przystaje. Na rękach dziecko. A człowiek siedzi przy ogniu, siedzi i patrzy... patrzy i patrzy... a wiatr szumi, świszcze pomiędzy belkami, dmucha śniegiem i na Dealu Rós buczą choiny.

Pierwsze, co zobaczyłem, to było to, że z jej odzienia kapie woda. Dziwne to było. Kapała woda. Na podłogę upadały wielkie szare krople. Zbierały się. Zebrały się. Zrobiła się z nich kałuża. To kapanie to była pierwsza rzecz, jaką z niej tak naprawdę zobaczyłem. Nie z tego, kim był ten, o kim ja myślałem... nie. Z tego,

kto jest. I kto przyszedł.

„To ty, Elena?” – zapytałem. „Ja” – odrzekła. A z jej sukienki kapąła woda, miała taki przemoknięty zapach. I z tego wiedziałem naprawdę, że to ona, że nie śnię tego.

Nie wstałem od ognia, a ona nie podeszła bliżej. Tylko tak stała, na rękach trzymała ciebie, a z jej sukienki kapąła woda.

„Mogę zostać?” – spytała.

„Możesz”.

Tyle tego było. I jeszcze przez jakiś czas stała tam w jednym miejscu, a ja przyglądałem się kałuży na podłodze, temu, jak z kierpców Eleny rozpuszczał się śnieg i z jej sukienki kapąła woda. Potem Elena podeszła do łóżka. Położyła dziecko, jak myślę, przykryła je kocem. Nie wiem, bo nie patrzyłem w tamtą stronę. Lecz sądzę, że przykryła ciebie. Przykryła. Ciebie. Twoja matka, Elena. Która wróciła tamtej nocy, tamtej okropnej, strasznej nocy wróciła od karczmarza z Ilisora i weszła do domu, który kiedyś razem zbudowaliśmy.

Przykryła ciebie, po czym podeszła do ognia i usiadła obok mnie na ławce. Siedziała i siedziała. Dołożyłem drewna do ognia, dużo drewna, żeby pręcej wyschło na niej ubranie. Ona wciąż tylko tak siedziała. W końcu jednak zaczęła płakać, ukryła twarz w dłoniach i płakała, płakała i płakała.

Tak to było. Tamtej nocy wreszcie dowiedziałem się wszystkiego. Tóderik, stary, pożyczył pieniędzy od karczmarza. Nie chciał ich zwracać i tak oto oddał mu własną córkę zamiast pieniędzy. Dziewczynie obiecano to i tamto. Jaka jest dziewczyna? Uwierz. Podoba jej się to. Karczmarz robił z siebie durnia, skakał, jak chciała. Ja nie skakałem. Ano tak to było.

Nareszcie i karczmarz więcej już nie skakał, jak już ją dostał. Nie. Obchodził się z nią jak z jakąś służącą. Bił ją. Ten karczmarz, ten Jákobuc o woskowej twarzy, ten cherlawiec, to zero. Bił Elenę, twoją matkę. Bił ją.

Wiesz, i ja ją raz zbiłem. Zaraz trzeciego dnia, po tym jak przyszła do mnie na górę pod brzozy. Dlaczego? Mój Boże! Powiedziałem jej, żeby przyniosła świeżej wody do mamałygi, bo z taką wodą, co stała, mamałyga nie będzie dobra. Nie chciała przynieść. Pyskowała. Ano zbiłem ją. Jak człowiek bije dziecko. Zbiłem ją, no. Lecz to było inne. To zbiłem ja ją. Ja mogłem to zrobić, nie wiem, czy to rozumiesz. Ja mogłem to zrobić i ona o tym wiedziała. Lecz ten Jákobuc nie miał prawa, żeby ją bić. Bo nic nie był wart ten Jákobuc i poszła za niego tylko dla pieniędzy, a nie dlatego, że był mężczyzną. Karczmarz powinien był o tym wiedzieć, ale nie wiedział. I bił Elenę, twoją matkę. Nie raz, za coś, nie. Codziennie. Nie to, że ją raz zbił, on ją stale bił. Takim człowiekiem był ten Jákobuc, złym, nic niewartym.

Tamtego dnia znów się wziął do tego, tak opowiadała Elena, twoja matka. Batem, w karczmie, przy wszystkich. „Wziąłem ciebie za pieniądze! – krzyczał na

nią. – Za pieniądze ciebie wziąłem i zrobię z tobą, co zechcę!” I bił ją. Batem.

Uciekła. Złapała dziecko na ręce i pobiegła z nim. Prosto do swojego ojca, do Tóderika, do młyna. Od Ilisora do młyna to pół dnia drogi. Porządnie biegła, wnet tam dotarła. Poszła do swojego ojca. No oczywiście. Ano dokąd miałyby pójść?

Lecz Tóderik bał się karczmarza. Obawiał się, że straci przez niego swój młyn, dom, majątek. Zamknął przed córką drzwi. „Wynoś się z powrotem! – krzyknął na nią. – Wynoś się z powrotem do swojego męża!”.

Cóż mogła uczynić twoja matka? Padał śnieg, dął wiatr, już i ciemno było, noc. W jednej sukience ona, w jednym ubranku i dziecko. Przemoczeni, na wietrze, w śnieżycy, nocą. Cóż mogła uczynić? Przyszła na górę do mnie, do tego domu.

Długo musiała iść stokiem pod górę. Bo było ciemno i mocno dmuchał wiatr. Walił, gęsto walił śnieg. Długo musiała iść, musiała marznąć, wiem. Musiała mieć ciężką drogę, wiem. Ciężką drogę na górę do mnie, tamtej nocy. Z powrotem do tego domu, z którego odeszła w taki sposób. Ciężką. Jak ją znam, przyszła dla ciebie, nie dla samej siebie. Dla dziecka, tylko dla ciebie. Elena, twoja matka, była dumną kobietą. Ciężką musiała mieć drogę od młyna w górę, do mnie.

Ja nie mówiłem jej o tym ani o niczym innym, co zaszło. Wcale też o nic nie pytałem. To ona o tym opowiedziała, a ja wysłuchałem. Potem rozebrała się i położyła się do łóżka. Ja zaś rozpałem ogień, mocny. Położyłem nań grubych polan buczyny. Potem wyszedłem. I tamtej nocy zabiłem Jákobuca, karczmarza. Tam w dole, w Ilisora.

Ciężko byłoby opowiedzieć wszystko tak, jak się zdarzyło. Ciężko, a zresztą i nie warto. Czy ty wiesz, jak łatwo umiera człowiek? Jak niewiele do tego potrzeba? Nie wiesz, nieważne. Żałowałem w życiu wielu już różnych rzeczy, które zrobiłem. Ale tego jednego – nigdy. Bo ten karczmarz z Ilisora, ten Jákobuc, był człowiekiem o złych oczach. Człowiekiem o złej twarzy. Musiał umrzeć. Bił twoją matkę.

Ano tak. Nastął już ranek, nim na powrót dotarłem do domu. Twoja matka jeszcze leżała w łóżku. Twarz miała czerwoną, płonęła jej niczym ogień. A przecież w chacie było zimno. Kiedy wszedłem, usiadła na łóżku. Zakasłała. „Gdzie byłeś?” – spytała. „Nigdzie”. Tylko tak na mnie popatrzyła i więcej się nie odezwała. Oczy miała błyszczące i wielkie. Ogromne. Otrzeptałem śnieg z nóg i rozpałem ogień. „Tam w dole śnieg też jest taki duży? – spytała. – Tam w dole też, w dolinie Ilisora?”. „Tam też” – odrzekłem. Po czym zająłem się ogniem. Ona wstała i podeszła do mnie. Jej dłoń była gorąca, piekła, gdy chwyciła mnie za rękę. „Przebac mi – rzekła i znów zaczęła płakać – nie wiedziałam na pewno, kim jesteś. Przebac mi, Gavril!” I płakała.

Tak, tak to jest, widzisz. Największym problemem jest to, że nigdy nie wiemy o sobie nawzajem w sposób pewny, kto kim jest. Ludzie schodzą się,

przystają razem, rozchodzą się, mieszają się, a nigdy nie wiedzą w sposób pewny, kim jest ten obok. Kim on jest? Tak, widzisz, to jest największy problem na świecie. Jedynie czasami dowiadują się o sobie nawzajem prawdy. Czasami. I tylko wówczas, gdy jest już za późno.

Słyszysz ten wiatr? To choiny. One wszędzie bucą tak samo... Słyszysz, co mówię?

– Słyszę – odpowiedziała szeptem kobieta.

Mężczyzna dołożył nowego drewna do ognia. Płomień oświetlił izbę. Oczy kobiety błyszczały w ciemności podobnie jak oczy kota. Mężczyzna znów nasłuchiwał.

– Wiatry – rzekł – wiesz, wiatry. Od tamtej pory, ile razy je słyszę, zawsze mi się to przypomina. Tamta noc. Tak buczały choiny i na Dealu Rós. Słyszysz je? He!... O tak właśnie. Choiny wszędzie bucą tak samo. Tylko buki są inne. Jeden robi to tak, drugi inaczej. Ile różnych drzew, tyle odmiennych głosów. Brzozy, te płaczą. Właśnie jakby płakały. O tym długo nie wiedziałem. Kiedy pochowałem twoją matkę, wtedy po raz pierwszy posłyszałem, że brzozy płaczą.

Doktor, którego na plecach, w śniegu, przyniosłem z doliny Dorna, powiedział, że w jej płucach powstało zapalenie. Nie wiem. Możliwe, że miał rację. Nie wiem. Obiecywałem mu wszystkie moje owce. Dom. Wszystko. Co tylko miałem, wszystko. Nawet i ubranie, które miałem na sobie. Powiedziałem, że nic a nic w świecie nie jest mi potrzebne, nic, jedynie ona. Elena, twoja matka.

Doktor wzruszył ramionami, zapisał coś na kawałku papieru i poprosił, żebym zabrał go z powrotem w dolinę, bo jest zajęty. Nie potrzebował moich owiec, mojego domu, niczego nie potrzebował, tylko trochę pieniędzy. A następnego dnia Elena umarła.

Wiesz, jakoś tak to jest: jeśli jesteś w wielkim, ale to wielkim kłopotcie, jeśli bardzo, ale to bardzo potrzebujesz, żeby ktoś ci pomógł, wtedy ludzie zawsze są zajęci czym innym. Na próżno mówisz, że ty sam nie potrzebujesz z całego świata niczego innego, tylko tego. Na próżno wszystko im za tę pomoc obiecujesz, ludzie nie potrzebują tego wszystkiego. Nikt nie potrzebuje tego wszystkiego, co ofiarowujesz w zamian za tę jedną rzecz. Potrzebują tylko czegoś całkiem niewielkiego i są zajęci czym innym. Doktor też nie potrzebował niczego, ani moich owiec, ani mojego domu. Tylko trochę pieniędzy i żebym zabrał go z powrotem do doliny. Za nic w świecie nie chciał tam zostać. Jest zajęty, tak powiedział. A twoja matka następnego dnia umarła.

Nie mówię, że ten doktor był łajdakiem, bo nim nie był. Był taki jak każdy człowiek, który żyje z tego, że umie coś, czego inni nie umieją. Nie mówię, że był złym człowiekiem. Ten, kto szyje kierzce, też nie jest zły, dlatego że dla siebie samego robi kierzce lepsze aniżeli dla ciebie. Ale możliwe, że żona lekarza by nie umarła. Mimo to nie mówię, że ten doktor był łajdakiem, dlatego że odszedł i że

pozwoił Elenie umrzeć. Nie mówię tego. Ale... jeśli tego doktora zaatakowałby w lesie niedźwiedź, a ja bym to zobaczył z daleka, nie pobiegłbym tam. Tylko zawołałbym do niego, żeby zrobił to czy tamto. I poszedłbym dalej. Jak i on wtedy poszedł dalej. A przecież wiedział, że śmierć stoi już na progu naszego domu.

Jednak nie wolno o tym dużo rozmawiać. Lepiej, jeśli człowiek o tym nie rozmawia. Umarła. O czym tu mówić? Człowiek siedzi przy niej i widzi. I nie może pomóc. Tylko tak siedzi i widzi: jeszcze się rusza. Jeszcze patrzy. Jeszcze chce coś powiedzieć. A potem naraz więcej już się nie rusza ani nie patrzy, ani nie chce powiedzieć... nigdy więcej nie będzie chciała niczego powiedzieć. Coś się zatrzymuje. Zatrzymuje się. I tyle.

Czy myślałaś już o tym, co by to było, gdyby tak kiedyś zatrzymało się słońce na niebie? Zatrzymało się i więcej się nie poruszyło? Wszystko by się zatrzymało: potok, wiatr, rosnące trawy, nogi człowieka, wszystko. Ptak w powietrzu. Ryba w wodzie. To, co człowiek myśli, i wszystko inne też. Co by to było? Tak oto czasem i ja nad tym rozmyślałem: nie stałoby się nic więcej aniżeli wtedy, gdy umiera jakiś człowiek. Ktoś. Wcale zresztą nie jakiś człowiek, o tak tylko: jakiś człowiek. Ktoś, kto do ciebie przynależy. Kto jest wszystkim. Kto znaczy więcej ponad wszystko. I myślę, że to jest trochę tak, jak gdy nadchodzi koniec świata.

Czekaj! Nie o tym chciałem. O czym to? A tak, chciałem mówić o wietrze. Słyszysz go? Nie, to nie to. To są buki. Tutaj nie ma brzoź, prawda? Nie ma, oczywiście, że nie ma. Brzozy, te na wietrze płaczą. Całkiem inaczej aniżeli pozostałe drzewa. One płaczą. Posłyszałem je po raz pierwszy wtedy, gdy kopałem grób dla twojej matki.

Czy kopałaś już grób, sama pośród lasów, dla kogoś, kogo kochałaś? Nie, oczywiście, że nie. Jakżeż mogłabyś go była kopać? Nie daj Boże, nigdy nie daj, żebyś kiedykolwiek dowiedziała się, co to jest. Musisz odmierzyć: cztery kroki wzdłuż, dwa kroki wszerz. Tyle znaczy człowiek. Wszystko jedno, kim jest, jakim jest człowiekiem. Starym, młodym. Kochanym czy podłym. To wszystko jedno. Cztery kroki wzdłuż, dwa wszerz. Tyle zostaje z człowieka, gdy umrze.

No a jeszcze łopata. Jak ją wpychasz w śnieg, a poprzez śnieg w ziemię. Ślizga się, grzęźnie. Ślizga się, grzęźnie. Rzucasz ziemię, ziemia jest czarna. Śnieg biały. Rzucasz czarne na białe i coraz więcej jest czarnego, coraz więcej.

Wtedy po raz pierwszy zapłakały brzozy. Wtedy po raz pierwszy posłyszałem, jak odmienny mają głos na wietrze, odmienny od jakiegokolwiek innego drzewa. Płakały. A ja kopałem dół, tam ponad jeziorem, naprzeciw domu, kopałem, a ten dół stawał się coraz głębszy. Tylko tak kopałem i kopałem. Jak się kopie. Ogród, kartofle, czy ja wiem co. Studnię. Jak się kopie i tylko tak się kopie, i nie myśli o niczym.

Wreszcie dół był gotowy. Głęboki, czarny. Wylazłem z niego, stanąłem na

wietrze. I wówczas przypomniało mi się naraz: w tym będzie leżeć. Teraz już na wieki wieków. W tym. Nie w łóżku, nie na mchu w choinie, nie w trawie pod brzożami, nie pośród kwiatów nad brzegiem jeziora. Nie. Nigdy więcej. Nigdy. Tylko zawsze tutaj, w tej czarnej dziurze. W niej.

To jest najstraszniejsze, wiesz, jak człowiek o tym pomyśli. Ale zostawmy to! To tylko moja sprawa, ciebie ona nie dotyczy. Przerwałem tam przy brzożach, prawda? Że płakały...

Powyżej, pod połoniną był klon. Piękne, proste drzewo. To z niego zrobiłem trumnę dla twojej matki.

Ściałem go. Rozpłatałem. Pięknie pękał. Piękne było to drzewo. Trumna powstawała przez całe dwa dni. Ciebie wtedy już nie było w domu. Zaniósłem cię na dół do matki juhasa, żeby się o ciebie troszczyła.

Nareszcie położyłem ją do trumny. Pięknie ją ułożyłem. Namościłem pod nią świerkowych gałązek, dużo. Żeby miękko jej się leżało. Byłem sam. Zmierzchało już. Wszystko było białe i szare. Zimne. Bardzo zimne.

Chwyciłem trumnę, zarzuciłem ją na ramię, wyniosłem. Ciężka była. I drewno było surowe... no i czy wiesz, jak ciężko jest tak nieść kogoś z domu? W trumnie? Nieważne. Wyniosłem. Z trudem udało się opuścić ją do dołu. Na koniec wziąłem łopatę i zacząłem ten grób zasypywać ziemią.

Wiesz, jak to jest? Bach, bach!... ziemia ciężko pada na trumnę. Bach, bach! I myślisz o tym, że to na nią rzucasz ziemię... Zmarzniętą, czarną ziemię. Na nią. Bach, bach! Bach! Jakby... to były kroki. Kroki. Jakby ktoś... odchodził coraz dalej. Coraz dalej. Bach, bach! Coraz więcej ziemi, więcej gęstszej, czarnej ziemi jest pomiędzy wami. Pomiedzy tobą a nią. Coraz więcej. Bach, bach! Bach, bach! Coraz więcej. Pot spływa ci po całej twarzy, a mimo to zęby ci szczękają. Trzonek łopaty trzęsie ci się w rękach. Bach, bach! To najstraszliwszy odgłos, jaki istnieje na świecie. Nigdy nie będziesz mogła go zapomnieć. Bach, bach! Rośnie czarna ziemia, zmniejsza się dół, a ktoś odchodzi coraz dalej i dalej. Po czym słyszysz już tylko jego kroki: bach, bach, bach! Jak zamarznięta ziemia dudni śladem łopaty.

Zmierzchało i nigdzie nie było nawet jednego człowieka. Tylko śnieg i nieruchome drzewa. I dom z czarnymi oknami, z rozwartymi drzwiami, z rozwartymi ustami, niczym nieboszczyk. Ten umarły dom...

Tam mnie złapali żandarmi, przy grobie. Prowadził ich Tóderik. „Czy to ty zabiłeś karczmarza z Ilisora?”. „Ja”. Cóż innego mogłem powiedzieć, tam przed grobem, który właśnie wtedy skończyłem zakopywać. „Co tu robisz?” – zapytali żandarmi. „Nie widzicie?”. „Ktoś ci umarł?” – zapytali znowu. Tóderik tylko stał i patrzył. Pomiedzy nami był grób. Pokazałem na Tóderika. „To on jest mordercą – rzekłem – tu leży jego córka. To jego powieście! Mnie już nie warto. Mnie już zabił ten człowiek”. Po czym zaszedłem do chaty. Żandarmi poszli za mną, związali mnie. Pozwoliłem. Pozwoliłem, żeby zabrali mnie z sobą.

Nocą uciekłem. Nie było to trudne. Nic nie jest trudne, gdy człowiek ma już wszystko poza sobą. Do tego potrzeba jedynie woli, niczego innego. Uciekłem. A nim nastał świt, podпалиłem młyn, ten Tóderikowy. Właśnie ten młyn.

Czemu to zrobiłem? Trudno byłoby powiedzieć. Czemu zabiłem karczmarza? Czemu? Życie człowieka pełne jest pytań: czemu. Zrobiłem to, bo musiałem to zrobić. Bo nie mogłem uczynić nic innego.

Podпалиłem młyn. Szukałem Tóderika, ale jego tam nie było. Podłożyłem ogień pod dach. Palił się ten młyn jak słoma.

Już świtało, gdy dotarłem na górę do domu. Świtało. Drzwi były zamknięte. Przed drzwiami zobaczyłem siekierę. Podniosłem ją i ruszyłem z nią nad brzeg jeziora, tam gdzie stały takie piękne, proste, młode brzozy. Wtedy wyciosałem ten krzyż. Ten krzyż, który i ty pamiętasz.

Dlaczego? Wiesz, ja z Bogiem nie mam wiele wspólnego. On robi swoje, tak jak chce, i ja też robię swoje, tak jak potrafię. Tyle że czasem krzyżują się nasze ścieżki. On kładzie mi coś pod nogi, a ja się o to potykam. To wszystko. Potem idziemy dalej. Nie mam ja wiele wspólnego z Bogiem. Jeśli ja byłbym mrówką, to on byłby niedźwiedziem, który czasem, może tylko tak z nudy, ciska mi coś na drogę, którą idę. Pniak czy kamień, a ja nie mogę pójść dalej, tam gdzie chciałem. Tyle jest pomiędzy nami. To, że jednak wyciosałem wtedy krzyż, to było coś innego. Coś całkiem innego.

Wiesz, jak to jest, kiedy człowiek uważa, że świat jest dobry? Dobry. Piękny. Człowiek jest jeszcze młody i myśli, że świat istnieje dlatego, że jest piękny, i dlatego, że dobrze jest w nim żyć. I że wszyscy są dobrzy i wszystko jest dobre: ludzie, wiosna, las, wiatr, wszystko, wszystko. I że to wszystko jest na to, żebyś widziała i czuła to, co człowiek czuje wtedy, gdy zobaczy coś pięknego albo pomyśli o czymś dobrym. Ano tak to było i z nami. Ze mną i z twoją matką. Tak to było.

Znasz te świty tak u początku lata, prawda? Kiedy zieleń jest jeszcze świeża, a powietrze to same zapachy. Kiedy wszystkie kwiaty, każdy z osobna, przynoszą barwy i wonie. Cały świat jest jakiś taki lekki, mogłabyś bawić się nim na opuszkach palca, jak drzewa bawią się białymi mgiełkami albo też promieniami słońca, gdy te opadają na wysrebrzoną rosą murawę polan. Znasz te świty, prawda? Ano jakoś tak widzieliśmy świat wtedy, na samym początku. My dwoje. Ja i twoja matka.

No i, jak mówię: jeśli ja byłbym mrówką, to wówczas Bóg byłby niedźwiedziem, który toczy skały i ciska pnie drzew. Czasem w gniewie, czasem z nudy. Ano przede mnie cisnął wielką skałę. Wielką. Świat nabrał od niej ciemnej barwy. Wszystko się zepsuło. To, co było piękne, zrobiło się brzydkie, a to, co dobre, stało się złe. I ja dlatego wyciosałem wtedy ten krzyż, żeby pokazać Bogu, co uczynił. Żeby i on to zobaczył. Bo ten krzyż z całą pewnością zobaczy. Musi go zobaczyć. I przypomni mu on jego własnego syna, dlatego. Syna, z którym uczynił

tak samo jak i z innymi. Jak z każdym, z kim skrzyżowała mu się ścieżka, i pośród mrówek wymierzał los niedźwiedzią stopą. Bo ja od tamtej pory nienawidzę Boga, musiałem ci o tym powiedzieć. Nienawidzę go. Nienawidzę go tak, że bardziej już nie można. Dlaczego stwarza świat pięknym, skoro znajduje upodobanie w tym, żeby wszystko na powrót zepsuć? Wszystko, co dla człowieka piękne, dobre i sprawia mu radość? Co mu szkodziliśmy, ja i twoja matka? Co mu szkodzili inni ludzie? Co może mrówka szkodzić niedźwiedziowi?

Ale zostawmy to! Wyciosałem krzyż, tam wysoko, ponad jeziorem, i wbiłem go u szczytu grobu. Żeby i w tamtym miejscu pozostał ślad Boga, skoro tam był. Żeby pozostał jego ślad. Żeby każdy mógł zobaczyć: był tam i zrobił to i tamto. Bóg. Ten ogromny czarny niedźwiedź, który włóczy się ponad światem tak, że nie można wiedzieć, kiedy, gdzie... ale naraz jednak nastąpi na człowieka i świat stanie się ciemny, ślepy i głuchy. Brzydki i cuchnący padliną. Wszędzie, gdzie tylko skręci jego trop. Ano ten krzyż wyciosałem na jego tropie, brzozowy krzyż, biały, piękny, prosty, tam gdzie mnie zdeptał. Zrobił ze mnie kalekę, niczym niedźwiedź z mrówki.

Potem poszedłem z powrotem do chaty. I raptem spostrzegłem, że unosi się z niej dym. I natychmiast wiedziałem, kto tam jest, w domu. Wszedłem, a w ręce miałem siekiere, którą wyciosałem krzyż.

Tóderik siedział na łóżku, opasywał nogę rzemykami od kierpca. Tylko tak znieruchomiały mu ręce, znieruchomiały oczy, otwarte pozostały usta, i patrzył. Patrzył. Wcale zresztą nie na mnie. Na siekiere. Lecz to już nie był ten, który wieczorem przyprowadził żandarmów. To nie był ten Tóderik młynarz. Ten wyrachowany, przebiegły, dumny Tóderik. Nie. Na skraju łóżka siedział smutny starzec, przygarbiony, zmęczony, i patrzył na siekiere. Była to twarz Tóderika, lecz spojrzenie już inne. Natychmiast je rozpoznałem. Było ono jak u człowieka, jak u mrówki, zdeptanych przez niedźwiedzia.

Położyłem siekiere. Następnie przysunąłem do łóżka stołek i usiadłem naprzeciw Tóderika. Przez jakiś czas patrzyliśmy na siebie. Potem wreszcie zapytał. Stękając, powoli. Wiedziałem, że o to chce zapytać. O Elenę, o swoją córkę. Czekałem na to pytanie.

Potem ja opowiedziałem mu wszystko, co zaszło. Wszystko. Od samego początku do samego końca. Był ranek, kiedy zacząłem, a nim skończyłem, minęło już niemal i południe. On nie przerywał. Nie powiedział ani jednego słowa. Tylko tak siedział na łóżku, z na wpół obwiązany rzemykami od kierpca na jednej nodze, i milczał. Ja zaś siedziałem na stołku i mówiłem. Mówiłem i mówiłem. Opowiedziałem wszystko, co było i co dało się opowiedzieć w tej sprawie, w sprawie naszej trójki.

Wreszcie gdy skończyłem i nie miałem już nic więcej do powiedzenia, wstałem ze stołka, wziąłem mój kozuch, sakwę, siekiere i ruszyłem w drogę. Kiedy

wychodziłem z domu, on jeszcze i wtedy siedział tam i milczał.

Ano tak to było. Daleko stamtąd odszedłem, żeby więcej nie widzieć. Ani jego, ani domu, ani Dealu Rós, gdzie tak bucza choiny. Lecz choiny wszędzie bucza, wszędzie tak samo. Człowiek wciąż je słyszy i słyszy. Nawet jeśli nie chce, także i wtedy. Stale. Słyszysz je?

Panowała cisza. Jakby na zewnątrz ustał wiatr. Milczała buczyna, milczał też strych, nie jęczał już nawet i ogień. Tylko wysoko na połoninie cicho buczały jeszcze choiny. Ich szum przenikał w dół poprzez śnieżycę, w dół aż do chaty.

Słyszysz je? Bucza. Bucza i tutaj, bucza wszędzie. A przecież od tamtej pory nie byłem tam, gdzie jest jezioro i krzyż. Mimo to bucza. Może to człowiek nosi w sobie owo buczenie, niewykluczone...

Panowała cisza. Mężczyzna tam przy piecu pochylił głowę. Ogień już ledwie płonął. Rozpadały się i żarzące się węgle. W kątach izby panował mrok. Mężczyzna nasłuchiwał.

– Śpisz?

– Nie – cicho odparła z łóżka kobieta – nie śpię. Mężczyzna westchnął.

– To dobrze. Nie wiedziałem, że jeszcze kiedyś ciebie spotkam. Nie wierzyłem w to. Lecz skoro już tak się stało, to musisz wiedzieć, co było i jak ta sprawa przedstawiała się dawniej. I opowiedziałem wszystko. Długo jeszcze tam mieszkaliście z Tóderikiem, w tamtym domu?

– Nie wiem... pamiętam tylko tyle, że był jakiś dom i jezioro, i brzozy. I biały krzyż. Potem stamtąd odeszliśmy. Później mieszkaliśmy w wielu różnych miejscach... a na koniec tam, nad Urszu...

Mężczyzna przytaknął. Kilka razy ze zmęczeniem przeciągnął ręką po zarośniętej brodzie twarzy.

– Ano i on nie wytrzymał. Tego buczenia, tam wysoko na Dealu Rós, tych choin. Albo nie wytrzymał czegoś innego, wszystko jedno. Ano i on. Wiesz, możliwe, że tam raz jeszcze powrócę i obejrzę... dom, jezioro, krzyż. Brzozy. Możliwe. Często mam wielkie pragnienie, żeby tam pójść, jednak tam pójść i obejrzeć. Może kiedyś jeszcze tam i pójde. Ale to nie jest pewne. Nic nie jest pewne, póki człowiek żyje.

Westchnął, wstał. Wolnym krokiem przeszedł do drugiej izby. Drzwi zostawił za sobą otwarte. Po ciemku odszukał sukmanę, zdjął ją z gwoździa, zabrał spod ściany strzelbę, na głowę nałożył futrzaną czapę. Podeszedł do drzwi, otworzył je. Śnieg sypał gęsto, bardzo gęsto. Ale nie było ciemno. Gdzieś tam pośród chmur wahał się już brzask.

Wiatr ani nie drgnął. Wielka, bardzo wielka cisza opadła na świat. Biała, miękka, spokojna wielka cisza.

Mężczyzna wyszedł na śnieg i cicho zamknął za sobą drzwi. Kiedy rankiem kobieta wychynęła z łóżka, narzuciła na siebie odzienie i poszła do drugiej izby,

dom był pusty. Tylko na stole stało kilka pustych butelek, przewróconych pustych kieliszków. Na dworze wciąż jeszcze sypał śnieg. Biała była cała polana i biały był także las.

Poszła do szopy. Tam też nikogo nie znalazła. Tylko w sianie widać było, że spali na nim ludzie. Lecz na dworze nie można było nigdzie dostrzec jednego jedyne go śladu. Jakby wszystko to jej się tylko przyśniło.

Później śnieg ustał i około południa wyszło też słońce. Jednak dawało już tylko sam blask, bez ciepła.

Na nic nie miała ochoty. Tylko tak siedziała w rogu przy piecu, a w głowie wciąż jej wirowały słowa, które mówił tamten człowiek, tamten człowiek... mój ojciec, półszepem wypowiedziała te dwa słowa o dziwnym smaku i wręcz zadrżała od własnego głosu. Mój ojciec... człowiek, który tam siedział i opowiadał. Moja matka... która jest tam pod krzyżem. Miała na imię Elena. Piękne miała imię...

A gdzieś pośród myśli panowała mgła, a i zamęt.

Później poderwało ją to, że na dworze jest jakiś ruch. Tupanie na progu, jak kiedy człowiek strząsa śnieg z nóg. Za oknem świat lśnił oślepiającą bielą, a na kłamce ktoś położył dłoń. Czyżby to on wracał? Tamten człowiek?

Otworzyły się drzwi. W progu stanął Vénség i mrużąc oczy, zajrzał do chaty.

– Hę. Szczęść Boże! Ano żyjesz jeszcze, kobieto, żyjesz jeszcze? Odetchnęła wręcz z ulgą.

– Szczęść Boże, dziadku! Czemuż to miałabym nie żyć? Ano żyję!

Stary strząsnął z siebie śnieg i wszedł do środka. Strzelbę oparł o ścianę i poczłapał do kołyski.

– No a ten tu? Hę?

– Choruje, biedaczek – rzekła kobieta – ale już mu lepiej. Dziś rano zjadł całkiem porządnie.

– To najważniejsze, wiesz, to najważniejsze. Żeby jadł. Charczał, co? Tak ze środka?

– Tak.

– Kładź mu na piersi gałganek z łojem, to jest najlepsze.

– Kładłam już.

– Hę? Kto ci o tym powiedział?

– Gospodyni u Ferenców...

– Byłaś tam u nich? Co?

– Wczoraj.

– Hę. Gospodyni... ano tacy są ludzie, no. Rozmaici. Ale żaden dużo gorszy od drugiego, wierz mi! Tylko tak się zachowują. No. Najważniejsze, że już je. Łój masz?

– Mam.

– No to dobrze.

Stary siadł na ławce. Zjadł, co dostał, i trochę jeszcze odpoczął.

– Schodziłem całe góry, wiesz. W taki czas rusza się niedźwiedź, a i dzik. I jeśli przyjdą panowie, zapytają: „No, gdzie jest trop?”. No i trzeba to wiedzieć.

Chwilę milczał.

– A ty co robisz przez cały dzień? He? – zainteresował się.

– Ano... jest zajęcie i z dzieckiem, i ze zwierzętami... a potem siadam i rozmyślam.

Stary pokręcił głową.

– To nie jest dobre. Kiedy człowiek jest jeszcze młody, to nie jest dobre. Ale Iwan i tak już ma przynieść na górę krosno, no a przy tym lepiej będzie rozmyślać. Kiedy rusza się ręka, inaczej ruszają się też myśli. He? Tak to jest.

Chwilę jeszcze posiedział, nareszcie wziął strzelbę i ruszył w powrotną drogę. Na progu coś mu się przypomniało, bo się odwrócił.

– He. Jacyś ludzie... Byli tu u ciebie? Kobieta oblał raptem gorąc.

– Jacy ludzie?

– Ludzie. Musiało to być o świcie. Są ich ślady tam pomiędzy drzewami. Tu już nie widać, ale tam, w lesie jeszcze się uchowały.

– Nie widziałam ludzi – odparła kobieta i szybko pochyliła się nad kołyską, jakby miała coś do zrobienia przy dziecku.

Stary mruknął coś pod nosem i poszedł. Wkrótce słońce zniknęło za połoniną, a od mrozu poczęły trzeszczeć belki. Okna pokryły się kwiatami ze szronu, a potem gwiazdy opuściły się w dół, niemal sięgając czubków drzew.

Zdawało się, że na jakiś czas zima zakończyła to, co miała do zrobienia. Również następnego dnia było ładnie i na trzeci dzień też. Śnieg sięgał jedynie po kostki i nie dochodził nań nowy. Czasami na polanę zaglądały łanie, podziwiały dom i znikwały.

Trzeciego dnia po południu przyszedł na górę Iwan z koniem. Przywiózł krosno. Był to piękny warsztat tkacki z drewna klonowego, ozdobiony wyrzeźbionymi kwiatami, gwiazdami i różnymi dziwnymi zwierzętami. Niczego nie brakowało. Płochy i wszystko inne zmieściło się na drewnianym siodle. Oprócz krosna koń dźwigał jeszcze sakwę kaszy i w skórzanym worku resztę rzeczy.

Kiedy Iwan wniósł do chaty ten skórzany worek, kobieta zapytała:

– To panicz przysyła?

– Tak – odrzekł Iwan – polują tu z panem na Belcsuj już od wczoraj.

Kobieta otwarła szeroko oczy. Poczula w środku jakieś dziwne uderzenie, może wcale i nie uderzenie, tylko jakby coś pękło i z nieprzyjemnym odgłosem wciąż drgało tam wewnątrz. Jak w cymbałach, kiedy pęka struna, o tak.

– Co? – spytała. – Gdzie?

Iwan spojrzał na nią zmieszany. Nie od razu znalazł słowa. A przecież z pewnością szykował się do tej odpowiedzi.

– Wiesz, na ten śnieg wszystko zebrało się w dole. Niedźwiedź, dzik, wszystko. Pełno ich jest na Belcsuj i na Pisoj, i na Korbuly. To tam polują pan z paniczem.

Kobieta wciąż stała i patrzyła.

– I...?

– Tu na górę teraz nie przyjdą. Połoninę schodził i Dumitru, i Vénség, jednak nie znaleźli tropów.

Nie, coś tu nie było w porządku. Czula to. Albo w niej, albo w Iwanie, albo w słowach, albo gdzie indziej. Ale gdzieś coś nie było w porządku, bo nie rozumieli się nawzajem. Ona dopytywała się o niego, o ojca dziecka, a Iwan opowiadał o niedźwiedziach i dzikach. Co niedźwiedzie i dziki mają do tej sprawy? Do panicza i do nich obojga, i do tego, co jest pomiędzy nimi? Nie, czula, że ona i Iwan mówią o czymś innym, i dlatego nie mogą się wcale zrozumieć.

Ustawili krosno pomiędzy piecem a łóżkiem, wzdłuż ściany, wypróbowali, czy dobrze się porusza i tak dalej, kobieta nawet je pochwaliła, że jest takie ładne, bo wiedziała, że Iwana to ucieszy. Nareszcie Iwan opróżnił skórzany worek i zaczął się szykować do drogi.

– Mam tam napalić? – spytała, pokazując w kierunku wewnętrznej izby.

Iwan wlepił wzrok w kobietę i niecierpliwie potrząsnął głową.

– Mówiłem już, że nie przyjdzie na górę, no. Panowie polują w dole.

– No dobrze, ale... spać gdzieś jednak trzeba, wujku Iwanie.

– Spać? – Iwan potarł twarz jak ktoś, kto jeszcze nie całkiem się obudził. –

Ano mówię, że są w dole, w siedlisku, u nas...

Kobieta wciąż jeszcze nie rozumiała. Jakoś nie umiała, nie chciała zrozumieć.

– No dobrze, ale... gotować dla niego jednak trzeba... a i prac...

– To w takich razach sprawa Birtalana – mruknął Iwan. Wziął pusty skórzany worek i ruszył z nim na zewnątrz. – Muszę się śpieszyć, bo a nuż coś ustrzelili i trzeba będzie przywieźć to koniem.

Kobieta wyszła za nim. Przypatrywała się, jak do drewnianego siodła przywiązywał pusty skórzany worek. A nawet jeszcze i pomogła. Iwan ruszył z koniem.

– Czekajcie, wujku Iwanie! – zawołała za nim, wręcz z przestraczem. – Powiedzcie mu, że dziecko chorowało, ale chwala Bogu, nic mu już nie jest! Powiedzcie, że kładłam mu na piersi gałganek z łożem.

– Dobrze, dobrze, powiem – obiecał Iwan i poszedł w dół. Stała tam i patrzyła za nim. Nie patrzyła: wlepiła oczy. W osłupieniu, jak ktoś, komu przydarzyło się coś strasznego i niezrozumiałego. Potem wędrowała wzrokiem już tylko po śladach, po osieroconych w śniegu śladach, które prowadziły w dół i znikwały w pozbawionym życia, mroźnym, zimowym lesie, zabierając z sobą coś, czego brakuje i bez czego dom i świat stały się naraz puste.

Długo tam stała, zmartwiała, jak ktoś, kto o coś pytał i nie otrzymał odpowiedzi. Oprzytomniała, gdy poczuła, że marznie. Słońce już tam nie przygrzewało, chata znalazła się w cieniu. Kobieta weszła do środka, usiadła. Ujęła twarz w dłonie i tak oto rozmyślała. On jest tutaj. I nie przyszedł na górę. Śpi u strażników leśnych, na dole. Dlaczego? Iwan powiedział: niedźwiedzie, dziki. Lecz on tego nie może wiedzieć, to tylko takie starcze gadanie. Gniewa się za coś? Żle coś zrobiła i teraz gniewa się na nią? Ale nawet i wtedy... przynajmniej z powodu dziecka... Nie, czuła, że zgubiła trop. Po prostu nie ma odpowiedzi, odpowiedź zgubiła się albo też zgubiło się coś innego, nie wiadomo.

Siedziała i siedziała. I z wolna uświadomiła sobie, że coś się urwało. Drganie tego czegoś usłyszała wtedy, gdy Iwan powiedział, że już od wczoraj poluje tam w dole. Coś wtedy pękło. Wtedy? Czy już dawniej, tylko wcześniej tego nie zauważyła?

Siedziała i siedziała, aż zrobił się wieczór. I wieczór ten był tak sierocy i pozbawiony życia w tym samotnym domu jak nigdy dotąd. Potem zaczęło płakać dziecko. Było głodne. A w szopie zaczęła muczeć krowa. Kobieta westchnęła i na powrót stanęła w koleinach życia.

Minęły dwa dni i nie było żadnego ruchu wokół domu. Nikt też nie przyszedł. Raz słyhać było strzał, gdzieś z oddali, ale nie dało się określić, z której strony. Stanęła w drzwiach i przez dłuższą chwilę nasłuchiwała. A nuż znowu zagrzmi. Przynajmniej ten dźwięk ją z nim połączy w pewien sposób, ponad

dolinami i górskimi grzbietami. Od niego, ku niej. Stamtąd, gdzie jest, tam, gdzie na niego czekają. Lecz nie doleciał więcej żaden odgłos strzału. Panowała cisza, pozbawiona życia, chłodna cisza. Tylko od czasu do czasu gdzieś pośród choin pomstowała jakaś sójka, a na buku za chatą wiewiórka skrobała pazurkami. Ale i te odgłosy były jakieś takie bezpańskie i opuszczone.

Trzeciego dnia wieczorem siedziała przy piecu. Patrzyła przed siebie i rozmyślała. Wciąż o tej jednej sprawie, wciąż o niej. O tym, co pękło, zgubiło się i bez czego dom zrobił się pusty, a życie w nim pozbawione sensu. Potem naraz jednak – całkiem dziwnie – tknęło ją przeczucie. Że musi się zerwać i otworzyć drzwi. I musi przez nie wyjrzeć.

W pierwszej chwili przestraszyła się tego przeczucia, bo przyszło ono tak gwałtownie, jak zazwyczaj przychodzi nieszczęście. Słyszała walenie własnego serca. W końcu wstała i podeszła do drzwi. Otworzyła je. Na dworze była już szarówka, na polanie leżała zamarznęta mgła. A w tej szarówce szedł w górę jakiś człowiek ze strzelbą na ramieniu.

Cicho krzyknęła, lecz się nie poruszała, nadal stała w otwartych drzwiach, choć wrzała, kłębiła się w niej radość, a z oczu trysnęły jej łzy.

– Serwus! – rzucił panicz, kiedy zatrzymał się przy niej na progu. – Na Kis Cibile zraniłem wielkiego niedźwiedzia i jego tropem poszedłem aż do grzbietu Vurfu. Mocno krwawi.

Do ubrania przymarzł mu śnieg, twarz miał szarą od mrozu i ze zmęczenia. Nie zatrzymał się dłużej na progu, tylko minąwszy kobietę, wszedł do chaty. Strzelbę zawiesił na gwoździu, z futrzanej czapy strząsnął śnieg i podszedł do ognia.

– Zimno jest – rzekł – jutro pójdę dalej tym tropem. Na pewno zaległ gdzieś w skałach Vurfu.

Kobieta wesoło uwijała się wokół mężczyzny. Zapaliła lampę, potem zdjęła z niego bekieszę i rozwiesiła ją, żeby wyschła. Następnie przykucnęła przed nim i zaczęła rozsznurowywać mu ośnieżone juchtowe buty. Panicz właściwie dopiero wtedy spojrzał na nią po raz pierwszy.

– Co ci jest? – zapytał.

– Mnie?

– Masz takie dziwne oczy. Jakbyś płakała. Kobieta zaczęła się śmiać.

– Gdzież tam! Właśnie teraz?!

Buty juchtowe, grube wełniane portki rozłożyła, żeby wyschły, na jego zmarznęte stopy naciągnęła ciepłe włochate łapcie, w wewnętrznej izbie rozpałała ogień, naniósła tam drewna, po czym zaczęła przygotowywać kolację. A przy tym nawet i nuciła.

– Możesz dać coś do jedzenia? – spytał panicz, kiedy zobaczył, że przestawia naczynia. – Niestety, niczego z sobą nie przyniosłem, nie liczyłem się

z tym...

Tych kilka słów jakoś tak uderzyło kobietę. Sama nie wiedziała dlaczego. Więcej już nie nuciła. Później wyjęła dziecko z kołyski, żeby zmienić mu pieluchę. Panicz spojrział tam ze swojego miejsca przy ogniu.

– Jak widzę, rośnie – powiedział.

– A przecież chorował – kobieta odparła cicho – ale chwala Bogu nic mu już nie jest.

– A tak, Iwan coś mówił. U małych dzieci to częste, jak sądzę.

I więcej już nie rozmawiali o dziecku. Na kolację usmażyła słoniny z jajkami, bo wiedziała, że bardzo to lubi. Szybko się uwinęła. Panicz usiadł do stołu. Nim zabrał się do jedzenia, podniósł głowę i spojrział w kierunku półki.

– Najpierw daj trochę palinki! To mi dobrze robi. Kobieta zaczerwieniła się.

– Dałabym – wystękała – ale...

– No to nieważne! Pamiętałem, że zostało tu jeszcze kilka butelek.

– Tak... tylko...

Na to jąkanie się kobiety ze zdziwieniem podniósł głowę.

– Co?

– Wypiłam... – wyjąkała i czuła, jakby dom zawirował wokół niej.

Panicz roześmiał się wesoło.

– Aha! Niech ci będzie na zdrowie! Oczywiście, tu sama, a jeszcze i mróz.

No nieważne, przyślę tu na górę Iwana z dzbanem jałowcówki, ta się nadaje na zimę. A jak się skończy, to tylko powiedz, i znów go napełnią.

Strasznie się zawstydziała, że musiała kłamać. I to w taki sposób. Usiadła z tyłu na ławce i już się nie odezwała. Panicz zjadł kolację, po czym wygrzebał z kieszeni cygaro i zapalił. Wyciągnął nogi na stołku.

– Ciepło jest już tam? – spytał i ziewnął.

Kobieta otworzyła drzwi do wewnętrznej izby, zajrzała do środka.

– Przyjemnie ciepło – odrzekła.

– No to zapal lampę, położę się. Jestem zmęczony jak pies. A jutro też będę miał ciężki dzień. Byleby tylko do tego czasu nie przyszła śnieżycą!

Znów ziewnął. Kobieta zapaliła lampę w drugiej izbie, posłała tam łóżko. Wróciła. Panicz odłożył na wół wypalone cygaro, ziewnął i wstał.

– Dobranoc! – powiedział. – Byleby tylko do jutra nie przynieśli diabli śnieżycy!

Przeszedł do wewnętrznej izby i zamknął za sobą drzwi. Kobieta przez jakiś czas zajmowała się naczyniami. Naraz poczuła, że jest sama. Zdumiała się tym uczuciem. A więc jest sama? Przecież tu, w drugiej izbie... dzielą ich tylko drzwi...

A jednak. To uczucie pozostało. Jakieś zimne, pozbawione życia uczucie. Że jest sama. Usiadła, zebrała myśli i zmierzyła się z tym uczuciem, jak człowiek,

który podejmuje wyzwanie wroga. I wtedy raptem coś zrozumiała. Tak, samotność jest już tu, w niej. Wokół niej, wszędzie. Trzeba z nią podjąć walkę. Teraz, natychmiast. Może to jedyna i zarazem ostatnia okazja. Trzeba przywrócić to, co było. Teraz, póki nie jest za późno. Zdobyć to na powrót, wywalczyć sobie przy użyciu wszelkiej kobiecej broni. Póki można. Póki jest ku temu sposobność.

W pośpiechu skoczyła po balię, jakby ścigał ją niewidzialny nakaz. Nerwowymi rękoma napełniła ją ciepłą wodą. Odszukała w skrzyni tamto odłożone mydło, tamto pachnące, które dostała w ubiegłym roku, kiedy jeszcze...

W pośpiechu zrzuciła z siebie ubranie. Śpieszyła się, śpieszyła. Stała w balii. Oblała się, namydliła całe ciało, myła się tak, jakby szykowała się do ślubu. Rozpuściła włosy. Roztrzaskała je, wycesała. Już wytarta stała naga pod lampą i przyglądała się sobie, swojej napiętej śniadej skórze, i z dumą pomyślała, że jest piękna. I poczuła się szczęśliwa.

Na palcach przekradła się pod drzwi. W środku panowała cisza. Usłyszała tylko trzask ognia. Nacisnęła klamkę, drzwi puściły. Ciemno było wewnątrz, jedynie przez szpary w drzwiczkach kozy wydobywały się pasma żółtego światła i tańczyły po całej izbie. Postąpiła dalej, na palcach, serce głośno jej biło.

Nic się nie poruszyło, tylko ogień wciąż cicho trzaskał. Od strony łóżka dochodził miarowy oddech, znak, że ktoś śpi smacznie, głęboko.

Przemknęła na palcach aż do łóżka. Ciepło piecyka wręcz prażyło jej skórę, a mimo to po całym jej ciele przebiegały jakieś dziwne dreszcze. Przy łóżku zatrzymała się. Przez szczelinę w drzwiach piecyka właśnie zaświecił żółty płomyk i można było dojrzeć odwróconą ku ścianie głowę śpiącego mężczyzny.

Przez kilka chwil niepewnie stała przed łóżkiem. Czowała się jak ktoś, kto gdzieś wyrusza i nagle napotyka nieoczekiwaną przeszkodę. Nie, to wejście, to wszystko nie tak sobie wyobrażała. Szykowała się na coś wielkiego, na święto, jakie rzadko się w życiu zdarza. Które jest takie, jak kiedy podczas jednej nocy wiosna przechodzi w lato i od tego na nowo rodzą się kwiaty, i raptem wszystko znów się rozpala, wszystko, co pozostało jeszcze na ziemi wspomnieniem minionych letnich dni. Wyobrażała to sobie tak, że naraz to, co było do tej pory, przestanie istnieć, a cała historia potoczy się dalej od miejsca, w którym się urwała... może jeszcze tam, na Tronie Bożym, gdy razem wykąпали się w źródle, żeby dla siebie nawzajem być piękniejszymi i świeższymi... Nie, nie liczyła, że tak to się ułoży.

Stała tam bezradnie, w końcu ostrożnie przysiadła na skraju łóżka. Przez jakiś czas siedziała bez ruchu. Potem podniosła rękę i powoli pogłaskała mężczyznę po włosach. Już nawet i samo to dotknięcie sprawiło jej przyjemność. Lecz oddech w dalszym ciągu pozostawał miarowy, śpiący nie obudził się.

Spróbuję czar – zaświtała jej myśl. Przymknęła oczy. Zebrała w sobie całą siłę, ową szczególną wewnętrzną siłę, którą znała już tak dobrze, i zaczęła pragnąć,

żeby się obudził. Jak już tyle razy pragnęła tego czy tamtego i zawsze się udawało. Obudź się... obudź się... czuła, jak owa wewnętrzna siła napina się, jak ta wola niemal pęka... obudź się, obudź się, obudź się...

Naraz mężczyzna mocno westchnął i poruszył się. Mruknął coś, może jakieś imię, nie dało się tego dokładnie zrozumieć, i przewrócił się na drugi bok.

Naprężona wola pękała, w jej miejscu pozostała pustka. Wielka, ogromna pustka. Posapywanie tam na łóżku znów się pogłębiło, stało się bardziej wyrównane. Śpiący nie obudził się.

Nie mam nad nim władzy – pomyślała. Ta prawda przejęła kobietę zdumieniem. Nie mam już władzy, nie mam... nie mam.

Ogień w piecyku przygasł. Już nie oświetlał łóżka. Śpiąca głowa pogrzyżyła się w mroku.

Jeszcze jakiś czas siedziała na skraju łóżka, jednak o niczym już nie myślała, tylko tak siedziała. W końcu zaczęła marznąć. Czuła, że jest naga, i to uczucie wręcz bolało jak poniżenie. Z wolna podniosła się z brzegu pościania i powlokła się do drugiej izby. Światło lampy spowodowało, że zaszczękała zębami. Jakby to drżące żółte światło we własnej marnej rzeczywistości odsłoniło całą jej żalną nagość.

Szybko narzuciła na siebie koszulę. Przez moment stała pod lampą i całkiem wyraźnie i jasno czuła, że wszystko się skończyło. Jest sama. Nieznany, straszny wróg zwyciężył. Nie ma już dla niej pomocy. Jest sama!

Nie płakała. Tylko jakiś bolesny grymas wykrzywił jej twarz, gdy podniosła wzrok na lampę i zdmuchnęła płomień. Potem dorzuciła do ognia, następnie podeszła do kołyski, wyjęła stamtąd śpiące dziecko i zaniósła je do łóżka. Ostrożnie ułożyła małego na poduszce i legła obok, naciągając na siebie wełniany koc. Dziecko oddychało cicho, urywanie. Była tu jednak odrobina ciepłego życia.

Westchnęła i zamknęła oczy. I wtedy gdzieś w środku, pod powiekami, a może jeszcze głębiej, poruszyły się łzy i poczęły cieknąć, i lały się, lały się, i powoli przemoczyły poduszkę do cna.

Późno musiała zasnąć, bo nie obudził jej, jak zazwyczaj, pierwszy brzask. Wyrwało ją ze snu grymaszenie dziecka. Małeństwo było głodne, chciało jeść. Szybko zerwała się z łóżka, rozpałała ogień. W izbie zrobiło się już jasno. Ledwie się ubrała, wnet usłyszała ruch także i w wewnętrznej izbie. Otworzyły się drzwi.

– Wyszły już moje buty juchtowe? Czekaaj, przyjdę tutaj ubrać się, tu jest cieplej.

Przyszedł w koszuli, w spodenkach, potargany. Ubierał się przy piecu. Kobieta przygotowywała śniadanie, ale ukradkiem ciągle zerknęła w tamtą stronę. Starła się wryć w pamięć każdy jego ruch. Jak naciąga grube wełniane portki. Jak sznuruje juchtowe buty. Jak włosy opadają mu na czoło. Jak sięga po schnącą bekieszę. Dopiero później, kiedy mężczyzna nałożył już i futrzaną czapę na głowę i sięgał po strzelbę, ogarnęło ją zdumienie: Mój Boże – pomyślała – przecież to jest

tak, jakbym się z nim żegnała! Jakbym to wszystko chciała przechować w sobie, żeby pozostało mi po nim wspomnienie! Takie to jest!

Panicz zarzucił strzelbę na ramię, podszedł do drzwi, otworzył je i wyrztał na zewnątrz. Powietrze było mroźne, jakieś szare, jakby do nieba przymarzła mgła. Słońca nigdzie nie było widać.

– Byleby nie rozpadał się śnieg, dopóki go nie znajdę – rzucił, odwracając się ku kobiecie. – No to z Panem Bogiem, muszę się śpieszyć.

Kobieta w osłupieniu stała przy stole.

– Śniadanie... – rzekła cicho.

– Oczywiście, niemal bym zapomniał. Trzeba też coś zjeść.

Z powrotem zawiesił strzelbę na gwoździu, zdjął także futrzaną czapę, ale bekieszy już nie. Pośpiesznie siadł przy stole i w istocie pochłaniał jedzenie. Kobieta bez ruchu stała obok i przyglądała mu się. Wiedziała, że to wcześniejsze uczucie nie było przypadkowe. Wiedziała już o tym ze śmiertelną pewnością. To jest pożegnanie.

Panicz skończył jeść i wstał.

– Serwus – rzucił – teraz już biegnę. Jeszcze zaczniesz padać śnieg, a wtedy koniec.

Już miał strzelbę na ramieniu, futrzaną czapę na głowie i już szedł w kierunku drzwi. W tym momencie ręce kobiety samoistnie poruszyły się i gwałtownie wyciągnęły się ku odchodzącemu.

– Gáspár!

Był to okrzyk krótki, zdławiony, jakby połknięty. Krzyk kogoś, ktoś tonie i woła o pomoc. Jeszcze po raz ostatni. Panicz ze zdziwieniem spojrział wstecz z progu.

– Co tam?

To pytanie wyrwało mu się wręcz ze złością. Ramiona kobiety opadły.

– Nic – odrzekła – życzę wam szczęścia. Panicz zmarszczył brwi.

– Myśliwemu nie życzy się szczęścia. Nie jestem przesądny, ale naucz się tego! Serwus!

Z tymi słowami poszedł. Drzwi pozostały otwarte, a kobieta mogła przez nie dojrzeć, jak pośpiesznie podąża w górę po śniegu, przez całą polanę. Gdzieś głęboko, głęboko jakiś głos wciąż szeptał: „Dobrze mu się przypatrz, dobrze mu się przypatrz, widzisz go po raz ostatni...”.

A ona stała, jakby tam skamieniała, i patrzyła, i patrzyła na niego, i wiedziała, że widzi go po raz ostatni w tym życiu. Jeszcze i wtedy na niego patrzyła, kiedy wcale już go tam nie było. Kiedy już dawno pochłonęła go w górze choina. Jeszcze i wtedy widziała, jak wielkimi krokami, ze strzelbą na ramieniu idzie i idzie... i nigdy więcej nie powróci.

A potem poczał gwałtownie wirować na dworze puch, drobny, biały puch.

Najpierw z rzadka, potem gęściej. I w końcu całkiem zakrył tam w górze choinę, w której on zginął na zawsze.

Dopiero gdy dziecko zaczęło grymasić, dopiero wtedy zauważyła, że wciąż jeszcze stoi pośrodku izby i przez otwarte drzwi wbija wzrok w śnieżycę. Izba się wyziębila. Nie palił się ogień. A na dworze sypał i sypał śnieg, jakby wszystko chciał zakryć, wszystko to, co było.

Kiedy później Iwan zaszedł do chaty, znalazł kobietę siedzącą w rogu przy piecu, z dzieckiem na rękach. Gapiła się przed siebie w ziemię. Koszulę miała rozpiętą, pierś wystawała jej odkryta, a przecież dziecko już spało, wcale nie ssało.

Na powitanie ledwie co uniosła oczy, ale się nie poruszyła. A jej twarz... jakby wyciosano ją z szarego kamienia, z szarego lodu, taka ona była.

– Nie ma tu panicza?

– Nie ma.

– Wcale go i nie było?

– Był.

– Dokąd poszedł?

Kobieta poruszyła ręką i uczyniła nią ruch w górę, w kierunku połoniny.

– Tam.

– Przyjdzie tu z powrotem?

– Nie.

Iwan przez jakiś czas patrzył na kobietę, wreszcie pokręcił głową i wyszedł. Próbował odnaleźć ślady, lecz już nie można było ich rozpoznać pod śniegiem. Naraz jednak gwałtownie otwarły się za nim drzwi.

– Wujku Iwanie!

Odwrócił się. W drzwiach stała kobieta, a jej twarz była straszna. Kobieta ciężko dyszała. W jej oczach dygotało przerażenie.

– Wujku Iwanie! Słyszeliście?

– Co takiego?

– Strzał. Słyszeliście go?! Rosjanin potrząsnął głową.

– Nie, wcale, duszyczko. Nic ja nie słyszałem.

Kobieta jeszcze przez kilka chwil stała w drzwiach, pochylona w przód, z tym wykrzywionym, strasznym przerażeniem na twarzy, i wytrzeszczywszy oczy, zastygła ze wzrokiem utkwionym w padający śnieg. Nareszcie wypadł jej z ust jakiś zniekształcony dźwięk, kobieta zachwiała się w tył i zatrzasnęła za sobą drzwi.

Iwan stał osłupiały. Potem jakby ktoś zaszlochał w chacie. Iwan podszedł tam powoli, zajrzał do środka. Kobieta leżała na ziemi, na gołej podłodze. Paznokciami ryła nieoheblowane drewno, niczym miotające się zwierzę, i szlochała jakimś bezdźwięcznym, rżącym, strasznym szlochem.

Tego dnia Iwan powrócił do siedliska na Cibile dopiero na wieczór. Schodził

połoninę aż po Vurfu i z powrotem, jednak śnieżycą przykryła już wszelkie ślady. Na jego pokrzykiwania znikąd nie nadeszła odpowiedź. Iwan wrócił do siedliska na wieczór i krew uciekła mu z twarzy, gdy posłyszał, że panicz jeszcze się nie pojawił. Widział przed sobą kobietę, całkiem jak żywą, tam, na hali Komárnyik, jak stała w drzwiach, z twarzą wykrzywioną z przerażenia, i mówiła o jakimś strzale. I potem jak tam w chacie szlochała, i targała, gryzła podłogę, i nic nie można było z nią zrobić.

Pan był spokojny.

– Natrafił na niedźwiedzia, oprawił go i tak dalej, no i zszedł mu czas. Z powrotem do domu trafi nawet i w śnieżycy. Na rano tu będzie.

Iwan nic się nie odezwał, ale jego spojrzenie było ponure, a oblicze szare. Tego wieczoru siedzieli wszyscy w kwaterze strażników leśnych. Vénség, Birtalan, Dumitru, Iwan. Zjedli i milczeli. Siedzieli na ławce, czterech obok siebie, i milczeli. Patrzyli w ogień. Na belce ponad nimi z drzeniem płonął kaganek, a wielką, przypominającą oborę pustą izbę wypełniał mrok.

I wszyscy coś czuli, i wszyscy coś wiedzieli. Coś strasznego. Lecz o tym nie mówili. Tylko tak siedzieli. Czterech kudłatych, pachnących wilgocią starców, czterech do nikogo nieprzynależących, mieszkających w lesie, zdziczałych strażników leśnych. Siedzieli. Milczeli. Opłakiwali żałobnie.

Także i następnego poranka panicz nie przyszedł. Pan czekał na niego do południa, po czym i on ruszył na Komárnyik. A wraz z nim czterech mężczyzn. Już nie sypał śnieg. Co prawda słońce jeszcze nie świeciło, lecz śnieg nie sypał. Świat był spokojny, biały. Biały niczym jakiś wielki cementarz. Nic się w nim nie ruszało. Ani ptak, ani zwierzę. Choćby jedna nawet gałąź. Las był martwy. Śnieg sięgał powyżej kolan.

Kobietę znaleźli w chacie, przy piecu, z dzieckiem na rękach. Była cicha. Uprzejmie wstała, gdy pan przekroczył próg. Na pytania odpowiadała cicho, nie patrząc jednak na pytającego. Przez ten cały czas, kiedy u niej byli, wpatrywała się w podłogę. I odpowiadała szeptem, cichym, bezbarwnym głosem. Tak, panicz był tu. Przyszedł o zmierzchu, mówił, że zranionego niedźwiedzia tropił aż do Vurfu. Tak, do Vurfu. Tak powiedział. Na pewno. Przespał się, zjadł śniadanie, po czym natychmiast ruszył w drogę. Nie powiedział dokąd, tylko tyle, że poszuka niedźwiedzia. Śpieszył się, obawiał się śnieżycy. Nie, gdy ruszał, jeszcze nie sypało. Dopiero potem. Nie tak długo potem, tylko trochę.

Strzał? Tak, słyszała jakiś strzał. Z całą pewnością. Kiedy był tu wujek Iwan. Nie, to był strzał, z całą pewnością. Nie wie, z której strony, ale to był strzał. A potem więcej już niczego nie potrafiła powiedzieć.

Pan poszedł w górę na połoninę, a połoninę aż do Vurfu. Za nim strażnicy leśni. Nawoływali. Nikt nie odpowiadał. Tam zaskoczyła ich noc. Schowali się przy skale, rozpalili ogień, wielki ogień. Pan siedział ponuro na swojej bekieszy,

nie spał, tylko tak siedział i przez całą noc nie odezwał się ani jednym słowem. Czterej strażnicy leśni strzegli ognia. Oni też nie rozmawiali.

Rano po kolei przeszli górskie grzbiety. Pokrzykiwali, nasłuchiwali. Następnie rozdzielili się po jarach. Iwan posłał psy, żeby szukały, Dumitru zbadał każdą gęstwinię, Vénség przepatrzył niedźwiedzie jaskinie. Nic nie znaleźli. Choćby jednego jedynego tropu. Czegoś, na co mogliby zwrócić uwagę. Niczego. Martwe było Vurfu i białe. Był tylko śnieg i cisza. Śnieg i cisza.

Jeszcze jedną noc spędzili przy skale. Jeszcze przez jeden cały boży dzień przemierzali, przeszukiwali skalne kotliny Vurfu. Daremnie. Wówczas ruszyli z powrotem. W chacie na hali Komárnyik palił się już kaganek. Kobieta siedziała w tym samym miejscu, przy piecu. Tak samo wstała uprzejmie, gdy pan wszedł do chaty. Tak samo odpowiedziała na wszystkie pytania, szeptem, z oczami wbitymi w podłogę, szeptem, cichym, bezbarwnym głosem, pobladła. I o nic nie pytała, tylko odpowiadała.

Potem poszli dalej, w dół na kwaterę. A następnego dnia pan pojechał do domu. Czterej strażnicy leśni odprowadzili go do wylotu Szalárd. U Gyerkó czekały już na niego sanie. Nie pożegnali się z nim ani on nie pożegnał się z nimi. Następnie czterej mężczyźni ponownie ruszyli w drogę po wydeptanych śladach, z powrotem w las.

Szli bez słowa, jeden śladem drugiego. Milczeli. Patrzyli w śnieg. Tylko tak szli i szli. Wreszcie, wlokąc się, wrócili z powrotem. Na kwaterę wstąpili jeszcze wszyscy czterej. Zjedli coś, siedli na ławce przy piecu i milczeli. Nareszcie pierwszy poruszył się Vénség. Wcisnął na głowę futrzaną czapę, narzucił na ramiona sukmanę, wziął w rękę strzelbę.

– Hę. Ano tak.

Wstał też Dumitru. Ponuro rozejrzał się wokół.

– Ano już nie tylko wilki. Także i niedźwiedzie. Niedźwiedzie...

– Hę! – fuknął Vénség. – Niedźwiedzie? To nie niedźwiedzie.

– No a kto?

– Hę. Ja to wiedziałem. Ja to mówiłem.

– Hę.

– Kiedy poszliśmy na Vurfu. Jesienią. Mówiłem, że będzie kłopot.

Trzy pary oczu w przestkach spojrzęły na starego. Trzy pary posępnych, osłupiałych oczu. W końcu strażnicy leśni po kolei spuścili głowy.

– Kobieta wiedziała – mruknął Iwan – kobieta.

– Co?

– Słyszała strzał.

– Ty go nie słyszałeś!

– Ale ona go słyszała. Ona wiedziała już wtedy. Vénség tylko stał w drzwiach i kiwał głową.

– Wtedy się dowiedziała, wtedy. Gdy usłyszała strzał.
– A jeśli to nie był strzał – próbował Birtalan – Iwan go nie słyszał.
– Hę. Jeśli kobieta go słyszała, to był strzał. To on był. I ja to przepowiedziałem już wtedy.
– Hę. A ja to może nie? Iwan, kiedy spaliśmy na sianie, po Vurfu? Hę?
– Przepowiedziałeś – przytaknął Iwan – tak, przepowiedziałeś.
– Hę!
– To nie niedźwiedzie. Nie – burknął Vénség, po czym z wolna odwrócił się i poczłapał za próg. Na dworze podniósł wzrok ku niebu. Było szare, zamglone i nieprzyjemne. Mruknął coś i przygarbiony ruszył powoli, w górę wzdłuż potoku, w kierunku okrytych szadzią choin na Dószul Fulgeruj.

Wkrótce również Dumitru opuścił kwaterę. On podążył w górę po Nagy Cibę, a przy Benedek odbił ku skałom Vurfu. Nareszcie ruszył też Iwan z dwoma psami. Na kwaterze pozostał tylko Birtalan, sam. Jakiś czas przesiedział przy ogniu, pogrążony w myślach i bardzo, bardzo stary. Nareszcie wstał nieśpiesznie, podszedł do drzwi, otworzył je i wyszedł na próg. Wyjrzał na nieme lasy krainy pokrytej śniegiem, pokiwał głową w ich stronę i wymruczał niezrozumiałe słowa. Potem westchnął, rękawem kaftana otarł nieco wilgotne niebieskie oczy i poszedł do szopy, żeby wypuścić zwierzęta do pojenia.

Tamtej nocy jedna limba pod połoniną miała zły sen. Sąsiednie choiny słyszały, jak pojękiwała i wzdychała, a przecież tamtej nocy wcale nie chodził wiatr. Panowała cisza, mglista, zamarznięta, zimowa cisza, i od nieruchomego mrozu drzewom wyrosła spod skóry szadz.

Tylko limba pojękiwała od czasu do czasu i wtedy jakby coś w niej pękało. I te ciche, ostre odgłosy pęknięcia słyszeć było z połoniny hen daleko. To mgła niosła te odgłosy, a niżej, w dole polany, na strychu chaty, cicho na to pęknięcie odpowiadał przyciosany w belkę pień. I on też kiedy niekiedy potrzaskiwał, gdy pomiędzy szczeliny sięgały palce mrozu, i od tych trzasków drżał cały dom pogrążony we śnie. Dom spał. Jego okna były ciemne. W jego piecu żar ukrył się pod popiołem. Dom spał i tej nocy czasem przechodził go dreszcz, jak kogoś, kto śni o ciemnych sekretach.

Z choiny wyszedł jakiś człowiek. Przystanął i spojrział w dół ku chacie. Stał tam długi czas, nasłuchując jęków limby, i słyszał poprzez mgłę, jak na strychu domu od czasu do czasu trzeszczała tamta chora belka. Wokół nie było żadnego ruchu. Tylko te odgłosy. Las spał, nie oddychając, jak umarli. Noc przymarzała do grzbietów gór. Kilka słabych gwiazd sączyło światło poprzez mgłę i gdzieś tam mógł być także księżyc, bo nie było ciemno. Polana rozpościerała się przed mężczyzną w bladym brzasku, kontury drzew były czarne i czarny był w dole dom, a człowiek myślał o tym, że takiej barwy musi być też i tamten świat, w którym żyją umarli.

Stał tam jakiś czas, nareszcie z wolna ruszył ku chacie. Szedł cicho, śnieg był puszysty i sięgał po kolana. Na progu znów przystanął i nasłuchiwał. W chacie panowała cisza. Tylko na strychu czasem zatrzeszczała belka. Ponad polaną przefrunęła sowa. Leniwie, bezgłośnie. Mężczyzna spojrzął za nią, w końcu położył rękę na klamce.

Drzwi jęknęły. Cicho skrzypnęły zawiasy. Gdzieś w ciemnym kącie jakby coś się poruszyło. Mężczyzna zamknął za sobą drzwi i nasłuchiwał. Dookoła niego wszystko było pogrążone w mroku, tylko prostokąty okien wydawały się nieco bledsze. Panowała cisza.

Mężczyzna zrzucił z siebie sukmanę, oparł coś o ścianę i powoli podszedł do pieca. Wyciągnął ku niemu ręce, ale piec nie wydawał już wiele ciepła. Mężczyzna pomacał za drewnem, następnie otworzył drzwiczki pieca i przegrzebał popiół. Jeszcze znalazł pod nim żar. Położył nań drewna i zaczął rozdmuchiwać. Niezadługo podskoczył stamtąd żółty płomień.

Mężczyzna przysiadł na ławce przy piecu i tylko tak siedział. Ogień trzaskał, swym tańczącym światłem nieco rozjaśniając izbę. Można było dojrzeć to i tamto. Stół, krosno, łóżko w kącie.

- Śpisz? – wreszcie zapytał mężczyzna.
- Nie śpię – kobieta odparła cicho z łóżka.
- Dziecko jeszcze chore?
- Nie. Chwała Bogu, już nie.
- To dobrze.

Po pewnym czasie znów się odezwał:

- Słyszałem o tym, co się stało. I później znowu:
- Pomyślałem: jesteś sama. Pomyślałem: teraz to już naprawdę musisz być sama.

Potem, jako że kobieta tam na łóżku wciąż jeszcze nie odezwała się ani słowem, tak rzekł:

- Człowiek mimo wszystko... musi trochę przynależeć do kogoś... bez względu na to, kim się stał... rozumiesz?
- Rozumiem – odpowiedziała i cicho westchnęła.

Więcej nie rozmawiali. Może oboje zasnęli. Mężczyzna na ławce, kobieta zaś w łóżku. Gdy zaczęło świtać i przez okna przeniknął brzask, mężczyzna poruszył się. Znów podsyzył ogień, dołożył doń drewna, po czym odszukał przy drzwiach swoją sukmanę.

- Z Panem Bogiem – rzekł szeptem, ochryple.
 - Niech wam Bóg dopomoże... – cicho odpowiedziała kobieta tam na łóżku.
- Mężczyzna wyszedł za drzwi i słychać było, jak pod jego kierpcami skrzypi śnieg.

Gdy zrobiło się już całkiem jasno, wstała też i kobieta. Nakarmiła dziecko,

zmieniła mu pieluchę, sprzątnęła w chacie i poszła do zwierząt. Wydoiła krowę, rzuciła jej siana, jeszcze przez jakiś czas posiedziała na skraju żłobu, rozmyślając.

Kiedy przyszła z powrotem do domu, na ławce przy piecu znów siedział mężczyzna. Lecz był to Dumitru.

– He.

– Szczęść Boże, wujku Dumitru.

– He. Zgasł ci ogień. Rozpaliłem go. No.

Potem więcej się nie odezwał, tylko wyciągnął nad ogień węzłowate czarne pięści. Z jego wielkiego kierpca, zrobionego z wilczej skóry, topił się przymarznięty tam śnieg i przed strażnikiem leśnym zbierała się na podłodze ciemna kałuża. Jego kaftan z wilczej skóry sechł na gwoździu, wisiał tam również jego worek o wytartej sierści. Dalej futrzana czapa.

Kobieta krzątała się po domu. Bez słowa, w ciszy. Dumitru niekiedy pojękiwał i macał końcówkę kikuta nogi.

– W taki czas bierze ją czort, wiesz. Kiedy jest mróz. Jakby chodziły po niej tysiące mrówek, tak swędzi. Ale nie tamta część, która jest, a ta, której nie ma, rozumiesz? Mógłbym podrapać, tylko nie ma czego...

I z gniewem uderzał w kikut zawinięty w wilczą skórę. Raptem spojrzał na kobietę.

– Ten człowiek nie pochodził z tych stron.

– Który? – przestraszyła się kobieta, a w jej oczach błysnął niepokój.

– Który był tu u ciebie. Nosił rowkowane kierpce, jak ci po tamtej stronie gór.

Kobieta więcej się nie odezwała, tylko zagapiła się na ogień.

– Miał rowkowane kierpce. Pod sukmaną niósł strzelbę. Ten człowiek nie chodził z dobrym zamiarem.

– Dlaczego tak myślicie? – drgnęła wręcz z przestraczem.

– He? Dlaczego? Przystawał w wielu miejscach i rozglądał się. Zawsze przy drzewie. Do skraju lasu szedł w górę, a tam za drzewami skręcił na Fulgeruj. Przy zwałonym buku stał dłużej. Wspierał się na strzelbie, tak oto stał. Patrzył w tę stronę.

– Możliwe – kobieta westchnęła i podeszła do półki, żeby wziąć coś na obiad.

– Znałaś tego człowieka już i wcześniej?

– Tak.

– Przepadnik?

– Tak.

Dumitru mruknął coś, po czym długi czas się nie odzywał. Kobieta zaczęła gotować, naczynia leciały jej z rąk.

– Ich hersztem jest Bandilla – rzekł później Dumitru – znałem go. To nie był

zły człowiek.

– Znaliście go? – kobieta nadstawiła ucha.

– Znałem. Mówię, to nie był zły człowiek. Mieszkał kiedyś tam pod Dealu Rós.

Umilkł i zaczął patrzeć w ogień. Ten obumierał, już nie płonął. Dumitru schylił się z jękiem i począł rozdmuchiwać żar.

– Położyłaś tu zawilgłego drewna, to dlatego źle się pali. Jak chcesz gotować, nie bierz zawilgłego drewna, bo nie nadaje się do tego.

Kobieta nie zwracała nań uwagi. W zamyśleniu robiła coś przy garnkach.

– Słowem, znaliście go.

– Znałem. Kupowałem wtedy od niego owce. A kiedyś zamieniliśmy się też trykami. Tylko że ja żyłem wtedy po drugiej stronie Dealu Rós. Ano znałem go. Prawy był z niego człowiek. I dobry gospodarz owiec.

– Był z niego dobry człowiek, tak mówicie?

– Jeśli człowiek kupował od niego owcę, mówił szczerze: ta ma taką wadę, tamta inną. Albo że ta nie ma żadnej wady, żadnej. A co powiedział, to tak też było.

Kobieta zaczęła nakrywać do stołu. Zdjęła garnek z pieca, lecz ręce jej się trzęsły.

– No a jak w końcu został jednak... przepadnikiem?

Choć stała odwrócona do niego tyłem, stary mimo wszystko nadstawił ucha na ten ton. Podejrzliwie przyglądał się plecom kobiety, nareszcie machnął ręką i wytarł kierpcem kałużę na podłodze.

– Człowiek nie może tego wiedzieć. Powiadali, że opuściła go żona i poszła za jakimś karczmarzem. On zaś tego karczmarza zabił. Potem podpalił młyn teścia. Nawet jeśli było tak, jak powiadali, to mimo wszystko człowiek nie może tego wiedzieć. Tego, co naprawdę było i jak było. Człowiek co najwyżej może zobaczyć, że stało się to i to. Tak i tak. Ale co to jest, co się stało, a i dlaczego tak się stało, i jak? To może wiedzieć tylko ten, komu to się przydarzyło. Często nawet i ten nie. Często. Świat pełen jest spraw, których nie możemy pojąć, których nie możemy wiedzieć. Dlatego nigdy nie wolno o kimś mówić, że jest takim czy innym człowiekiem, bo zrobił to i to. Nie, kobieto, tego nigdy nie wolno mówić. Bo nie można wiedzieć, co porusza ludźmi. Co to jest, co ich popchnie tu czy tam. Jeden zostanie przepadnikiem. Inny może właśnie kuratorem, któremu nawet ksiądz podaje rękę. A możliwe, że więcej wart był właśnie tamten, który został przepadnikiem. Możliwe. Coś się zdarzy i wszystko odwraca się w tę czy w inną stronę. Całe życie. Człowiek nigdy nie może tego wiedzieć, bo to, co człowiek widzi, to jest nic. Wielkie rzeczy, te dzieją się tak, że nie może ich zobaczyć nikt inny, tylko ten, dla którego one są przeznaczone. Ano dlatego tak mówię.

Kobieta naląła do talerza zupy, po czym rzuciła coś cicho, odwrócona.

Dumitru jęknął, wstał z ławki i podszedł do stołu. Jego małe, podejrzliwe oczy zmierzyły kobietę od stóp do głowy, po czym strażnik leśny usiadł i zaczął jeść. Kobieta stała przy oknie i wyglądała na polaną. Słysząc było tylko ogień w piecu i ten cichy hałas, z jakim Dumitru siorbał zupę.

Nareszcie uporał się z jedzeniem i otarłszy rękawem koszuli usta i brodę, znów popatrzył na kobietę. Ta zaś wciąż jeszcze stała przy oknie.

– To był Bandilla?

– Kto? – kobieta drgnęła i odwróciła się w przestkach.

– Ten, który tu był?

– Tak – odparła po krótkim namyśle i na powrót odwróciła się do okna.

Dumitru jeszcze przez kilka chwil przyglądał się przygiętym plecocom tam przy oknie, po czym opuścił głowę i zaczął badać własne kierpce.

– Słyszałaś strzał. Panicz nie wrócił. Był u ciebie Bandilla. Hej. Kobieta w przerażeniu odwróciła się i wytrzeszczyła oczy na Dumitru.

– Ojej! O czym wy myślicie?

Dumitru ze spokojem popatrzył na przestraszoną kobietę.

– O tym, że ja teraz ruszę tym tropem i będę nim szedł dotąd, aż...

Kobieta spuściła głowę, postąpiła kilka kroków bliżej i stanęła przed Dumitru.

– Nie – rzekła – nie trzeba.

– Dlaczego?

– Bo... to mój ojciec.

Dumitru siedział na stołku i milczał. Kobieta zjadła. Potem posprzątała naczynia, wzięła dziecko na ręce i zaczęła je karmić. Wtedy poruszył się też Dumitru. Wstał, nałożył na siebie kaftan z wilczej skóry, futrzaną czapę, wziął worek, zawiesił strzelbę na ramieniu i obróciwszy się twarzą ku kobiecie, rzekł:

– Ano tak to jest, sama widzisz. Człowiek nigdy nie może wiedzieć, co jak i co dlaczego. Ano tak to jest.

Z tymi słowami powlókł się na zewnątrz i powoli kuśtykając, zniknął pośród zimowych lasów.

Przez długi czas nikt więcej nie przychodził. Dnie mijały, zlewały się. Kobieta siedziała, wciąż siedziała przy piecu i wyglądała przez okno na las pogrzebany w śniegu, dokąd ktoś odszedł na zawsze, a od tamtej pory świat okrył się czernią. Właściwie dlaczego? Dlaczego? Dlaczego musiało się tak stać? Czy to możliwe, że tamta jesień była nazbyt piękna, piękna, gorąca i prawdziwa, a za wszystko, co piękne i prawdziwe, trzeba zapłacić taką cenę? Czy raczej z innego powodu? Skończyło się, bo wszystko, co piękne, musi się kiedyś skończyć, a jeśli człowiek uparcie chce to zachować dla siebie, wówczas tak oto...! Żeby jednak bezwzględnie skończyło się?

Na próżno rozmyślała, na próżno. Tymczasem nadeszły mrozy i śnieżyce, i znów mrozy, i znów śnieżyce. Raz przyszedł na górę także Iwan z koniem, przyniósł kaszę, był w złym humorze, a i bardzo się postarzał. Opowiadał, że pan postradał rozum z powodu syna, jak mówią. Siedzi w domu w Disznajó i nigdzie się nie rusza, nie chodzi nawet polować, każdego od siebie odgania... postradał rozum z całą pewnością. Nie ma już nikogo, kto przemierzałby lasy, komu można by meldować o sprawach niedźwiedzi i dzików, nie ma. Po tym wszystkim pan może nawet i sprzeda krainę ośnieżonych szczytów, nastaną tu ludzie z siekierami, i proszę, u wylotu potoków lada dzień gwizdać już będzie kolej parowa.

Tak opowiadał Iwan, po czym wrócił z koniem na dół. I znów nie było żadnego ruchu na hali Komárnyik przez całe, całe dni. Aż wreszcie przyszedł człowiek, który musiał przyjść.

Kobieta przeczuwała to już na wiele dni naprzód, tam w chacie na hali Komárnyik. Na wiele dni naprzód, przesiadując w rogu przy piecu, czuła, wiedziała, chciała, żeby on przyszedł. Może już od pierwszej chwili chciała tego spotkania, tylko nie wiedziała o tym. Może od tamtej pierwszej chwili, gdy usłyszała strzał, którego nie usłyszał nikt inny.

Długo nie wiedziała o tym, że tego chce. Tylko tak siedziała i gapiła się przed siebie, i próbowała myśleć zimno i trzeźwo o tych sprawach, ale nie udawało jej się. Nareszcie kiedyś, całkiem niezauważenie, drgnęło gdzieś w niej przecucie: „Chcę, żeby przyszedł! Żeby stanął tu przede mną i żebym spojrzała mu w oczy! I żebym powiedziała mu w twarz coś strasznego, zemstę, przekleństwo, największą podłość, jaka się we mnie zrodzi. Niech przyjdzie! Chcę tego!”.

Z początku był to tylko domysł, jakieś przecucie. Potem z wolna rozjaśniło się to. Wzmocniło. Stało się bardziej świadome: „Tak, właśnie tego chcę. Chcę być podła wobec człowieka, który był podły wobec mnie. Niech przyjdzie! Niech stanie tu przede mną! Chcę tego!”. I potem przez całe dni, przez całe tygodnie, póki na dworze sypał śnieg i cisnął mróz, tylko tak siedziała, przygarbiona, gapiąc się w dal, i myślała o tym, że tego chce. I myślała o tym, że on musi przyjść. I wyteżała całą swoją moc, i chciała tego. Przez całe dni, przez całe tygodnie, póki na dworze bez końca sypał śnieg i cisnął mróz.

W końcu jednego wieczoru coś w niej zabiło. Zaparło jej od tego dech. Jakby coś ścisnęło ją za gardło. Zły, ponury domysł. Instynkt. Przeczucie. Ktoś nadchodzi. Jest już w drodze i niebawem nadejdzie.

Wszystko doprowadziła do porządku. Dom, dziecko, zwierzęta. Potem siadła przy piecu i zaczęła czekać. Czekwała. Na dworze zmierzchało. Zajaśniały gwiazdy. Nie zapaliła lampy. Gdy ogień się wypalał, dorzucała doń świeżego drewna. I siedziała, i czekała. Przez długi, długi czas. Na zewnątrz powoli odwróciły się konstelacje gwiazd, wzeszedł księżyc, twarz miał krzywą, kolor zaś blady i diabelski. Długo czekała. Wreszcie na zewnątrz dał się słyszeć jakiś szmer. Skrzypiał śnieg. Coraz głośniejszy. Ktoś nadchodził, a pod jego krokami skrzypiał zamrożony śnieg. Potem to skrzypienie ustało. Ktoś stanął na progu. Kobieta siedziała i coś w niej drżało. Milczała.

Nareszcie otworzyły się drzwi i ktoś wszedł do środka. Jego ciemna, zwalista sylwetka na moment zarysowała się w wydobytym z mroku prostokącie drzwi. Potem człowiek ten zamknął za sobą drzwi. Te stuknęły i ktoś stanął w ciemnej izbie.

– Podejdź bliżej! – odezwała się kobieta, a jej głos był niski i rozkazujący. – Od dawna czekam na ciebie. Dlaczego szedłeś tak wolno?

– Co? – człowiek tam w ciemności drgnął. – Gdzie jesteś? Czemu nie zapalisz lampy? He?

– Podejdź bliżej! – odparła kobieta i poruszyła się. Schyliła się, otworzyła drzwiczki pieca i rzuciła na ogień kilka suchych świerkowych polan. Mężczyzna postąpił ku niej kilka kroków. Płomienie dziwnie oświetliły izbę. Kobieta pozostawiła drzwiczki pieca otwarte.

– Masz tu stołek, siadaj! – rzuciła rozkazującym, twardym tonem i ustawiła stołek naprzeciw otwartych drzwiczek pieca.

Mężczyzna znów postąpił krok.

– He? Zapal lampę! Żebym cię widział.

– Nie ma oleju. Siadaj, skoro mówię.

Mężczyzna mruknął coś i zdjął z głowy futrzaną czapę. Cisnął ją na stół. Obok oparł strzelbę, rozpiął kaftan z owczych skór. Kobieta cofnęła się w kąt przy piecu, to stamtąd obserwowała mężczyznę. Czowała jakąś dziką, chłodną determinację, gorzki, podły gniew. Mężczyzna znów warknął:

– Daj mi palinki!

– Najpierw usiądź! Tam na stołku!

– Daj mi palinki! – krzyknął mężczyzna. – Nie ty tutaj rozkazujeś, tylko ja!

– Nie krzycz, głupcze, dziecko się obudzi. Wszystko dostaniesz, tylko usiądź. Czy nie mówiłam już, że czekałam na ciebie?

Wypowiedziała te słowa niemal szeptem, a jej głos brzmiał osobliwie, wręcz lubieżnie, jak u kobiety, która siebie oferuje. Mężczyzna uciszył się.

– Czekając na mnie? – spytał podejrzliwie.

Łopoczące płomienie oświetliły szramę na obliczu mężczyzny. Nic innego, jedynie tę szramę. Kobieta wcale się nie zdziwiła, gdy ją dostrzegła. Jakby z góry wiedziała, że ten, kto przyjdzie, będzie miał na twarzy szramę.

– Czekałam na ciebie, Mihály... jak panna młoda na swego oblubieńca, o tak...

Ten głos był gorący i sypały się zeń dławione iskry. Gęba mężczyzny poczerwieniała; usiadł na stołku stojącym naprzeciw otwartych drzwiczek pieca.

– Ale skąd wiedziałaś...? – zapytał głupekowato i także i jego głos był zduszony, ochryply.

Patrzyła ze swego miejsca w mroku na oświetlone oblicze mężczyzny ze szramą, na tę brzydka, koścista gębę z kępkami owłosienia, i usta zwięziły się jej w nienawiści, i wręcz szyderczo wyszczerzyły się zęby. Lecz mimo to jej głos buczał miękko:

– To moje serce, Mihály...

Mężczyzna zarechotał niecnie. W jego małych oczach błysnęły przebiegłość i okrutne pragnienie.

– Mówić to ty potrafisz, ty mała szmato! Zaraz zobaczymy, jak umiesz obejmować, ty! Ty małe ścierwo! Daj mi palinki!

Oczy kobiety świeciły zielono w ciemności.

– Dostaniesz, Mihály, wszystko, co tylko chcesz... wszystko...

– Nie mów stamtąd! – zarechotał mężczyzna. – Chodźże bliżej, niechże trochę wezmę cię w ręce...

Kobieta poruszyła się z wolna. Nieśpiesznie podeszła do przodu. Jej oczy wbiły się w oczy mężczyzny. Potem stała tam przed nim, tuż przed nim. Oczy mężczyzny zrobiły się mętne i nie potrafiły uwolnić się od wzroku kobiety.

– Chodź – wycharczał, a jego ręce niezdarnie wyciągnęły się w kierunku ciała kobiety – chodź...

– Czekaj, Mihály! Przyniosę ci palinki...

Zdjęła z półki kieliszek. Nalała doń wody z dzbanka i zaniósła to mężczyźnie. Powoli, niczym kot, podeszła z tym kieliszkiem bliżej, a jej oczy na powrót głęboko wbiły się w oczy mężczyzny.

– To jałowcówka, Mihály... tylko panowie taką piją... to jałowcówka, masz...

Mężczyzna łapczywie złapał za kieliszek. Podniósł go do nosa. Kobieta stała tuż przed nim i jej głos gruchał, lecz oczy świeciły zimno niczym zielononiebieskie ostrze stali.

– Czujesz jej zapach, Mihály? Jest w niej ogień i siła... ogień słońca i siła choin... czujesz to? Nie wypijaj jej naraz, bo jest bardzo mocna, tylko o tak, po jednym łyku, ostrożnie... pali ci gardło, ale krew staje się od niej bardziej

ognista... czujesz to, Mihály?

Mężczyzna drżącą ręką podniósł kieliszek do ust i zeń pociągnął. Ostrożnie. Twarz mu poczerwieniała. Odchrząknął.

– Ho, ho!... to, a i owszem... I mlasnął językiem.

– Pij, Mihály!... Doleję ci jeszcze, jest dość... czujesz jej siłę? Mężczyzna wychylił napój. Odchrząknął, mlasnął i wyciągnął pusty kieliszek.

– Nalej jeszcze, szmato... nalej, a niech cię diabli! Kobieta ponownie napełniła kieliszek wodą.

– Pij, Mihály, pij... to czysta jałowcówka, pij...

I Mihály pił. Potem jeszcze jeden i jeszcze jeden kieliszek. Już siedział na stołku przewalony w bok, oczy miał mętne, usta brzydko mu obwisły, jak u kogoś trafionego apopleksją. Kobieta wciąż stała przed nim, a oczy jej lśniły.

– Upiłeś się, Mihály... jesteś pijany... kręci ci się w głowie... czujesz to? Wszystko się kręci, miesza, a w środku pali cię gorzałka... czujesz, Mihály?

Mężczyzna ciężko charczał i zaczął czkać jak pijani. Jego mętne oczy głupkowato patrzyły na kobietę.

– Chodź do łóżka... chodź...

Kobieta dziko, dziwnie zaśmiała się w głos.

– Potrzebujesz mnie, Mihály? Tak? Potrzebujesz mojego pocałunku? Mojego uścisku? Mojego ciała? Czekaj, Mihály, rozbiore się dla ciebie...

W otwartych drzwiczkach piecyka płonął ogień. W jego świetle mężczyzna siedział z rozdziawioną głupkowato gębą i wzrokiem utkwionym w kobiecie, która powoli, miękкими ruchami, po kolei zrzucała z siebie odzienie. Na jej skórze tańczył drżący rudy blask ognia, powietrze napełniło się jakimś lubieżnym gorącym, a w ciemnych kątach izby przyczały się duszne sekrety.

– Piękna jestem, Mihály? Spójrz, jaka jestem piękna! Młoda i piękna... w sam raz do miłości... spójrz, Mihály, spójrz... chcesz mnie... tak?

Mężczyzna jęknął na stołku i ręka wyciągnęła mu się za gładkim ciałem kobiety, lecz go nie sięgnęła.

– Czekaj, Mihály... teraz nie możesz się ruszyć... nie możesz się ruszyć, rozumiesz? Nie możesz... teraz trzeba zaśpiewać... najpierw zaśpiewać, a dopiero potem... rozumiesz? Trzeba zaśpiewać!

– Co mam zaśpiewać? – wycharczał mężczyzna. – Co?

– Jakąś pieśń żałobną, Mihály, to, co zwykło się śpiewać na pogrzebie... bo przecież to był pogrzeb, prawda? A jeszcze nikt nie zaśpiewał... zaśpiewaj, Mihály, jakąś pieśń żałobną, bo jesteśmy na pogrzebie...

I mężczyzna zaczął śpiewać. Falszywie, ochryple, zacinającym się, niskim głosem zaczął śpiewać pieśń żałobną. Z rżeniem dobywały mu się z ust smutne dźwięki i napełniały dom drzeniem. Kobieta stała naga w rozedrganym świetle ognia i przyglądała się mężczyźnie. Jej oczy miały zielone błyskawice. Wreszcie

zaczęła się śmiać, ostro, dziko.

– Teraz coś wesołego, Mihály! Pogrzeb już się odbył, nadchodzą zaślubiny! Twoje zaślubiny, Mihály, zaśpiewaj coś wesołego! Chcemy zatańczyć, Mihály, nim pójdziemy do łóżka! Coś wesołego, wesołego!

I odurzony mężczyzna ze szramą, tam na stołku, zacinając się, zakrzyknął głosem podobnym do wycia: „Ojojjoj!”. Po czym zaczął jakąś dziką pieśń do tańca, pieśń z krainy ośnieżonych szczytów. Strzelał palcami, wybijał rytm nogami, ruda głowa kiwała mu się to w jedną, to w drugą stronę, a z jego ust niezdarnie dobywały się koszmarnie wrzaski, zniekształcając słowa piosenek.

– Zatańcz, Mihály, zatańcz! Uderz w syrbę! Raz tylko żyjemy i już nigdy więcej!

I wstając, Mihály kopniakiem wywrócił stołek, głośno zakrzyknął i rozpoczął taniec. Mocno podskakiwał, aż dudniła podłoga, uderzał dłońmi po kostkach nóg i jednocześnie ochryple pokrzykiwał. Pot spływał mu po twarzy ciężkimi kroplami, mężczyzna dyszał, w kącikach jego ust pojawiła się piana, oczy lśniły w gorączce, a on walił w podłogę, tańczył, tańczył, charczał i wrzeszczał.

Kobieta stała przy piecu i przyglądała mu się. Z oczyma płonącymi nienawiścią, z lekko rozchylonymi ustami, w których zęby błyskały bielą jak u drapieżników.

W końcu mężczyzna przerwał taniec. Stał chwiejnie pośrodku izby i ciężko rzeził. Głos kobiety przeciął ciszę sykiem:

– Zmęczyłeś się śmiertelnie, Mihály... czujesz to? Nie ma w tobie ani odrobiny siły... Przewrócisz się, Mihály... uważaj... teraz rozłożysz się na ziemi jak długi! Teraz!

I ten kawał mężczyzny począł się kiwać, aż wreszcie z łoskotem runął na ziemię. Leżał tam i rzeził. Ogień oświetlił mu gębę. Na skudłonej czerwonej gębie – szramę. Z ust pociekła mu ślina. Kobieta jak żbik, jednym susem znalazła się przy nim. Przyklękła, pochyliła się nad mężczyzną.

– Wcale nie możesz się ruszyć, Mihály... ramiona masz jak z kamienia, głowę z ołowiu... nogi z ciężkiego żelaza... wcale nie możesz się ruszyć... na próżno chcesz, nie możesz... a przecież jestem tu obok ciebie, Mihály... popatrz na moje ciało, jakie jest piękne... popatrz... mogłabym być twoja, lecz ty nie możesz się ruszyć... czujesz, jaka gładka jest moja skóra, jaka miękka? Widzisz moje usta? Tu są, całkiem blisko, mógłbyś je pocałować... przyjrzyj się dobrze, Mihály... po raz ostatni widzisz ciało kobiety... jestem tu, a nie możesz po mnie sięgnąć... chce mnie każda kropla twojej krwi, ale nie możesz się ruszyć... a przecież jestem tu, spójrz... jestem tu, całkiem blisko... i jestem piękna, prawda? Spójrz na moje ciało... nigdy jeszcze nie widziałeś tak pięknego, nigdy jeszcze nie pragnęłaś kobiety tak jak teraz, a mimo to nie możesz mnie objąć i nigdy więcej nie obejmiesz ciała kobiety, bo umrzesz, Mihály, rozumiesz? Umrzesz, nim wzejdzie

słońce...

Głos kobiety buczał, zdławiony, w drzwiczkach pieca ogień podrygiwał w rzucającym urok pląsie, mężczyzna zaś rzeził na ziemi, oczy miał wytrzeszczone, żyły nabrzmiały mu na czole, i mógł jedynie patrzeć, rzezić, a w kącikach jego ust zebrała się spieniona ślina.

– Ojej... – jęknął. – Ojej... choć raz... choć raz...

– Błagaj, Mihály, módl się! Żebym się nad tobą zlitowała i pozwoliła ci ten jeden jedyny raz, byś dotknął mego ciała...

I mężczyzna tam na ziemi, jękając się, zacinając, począł się modlić.

– Dalej, Mihály, dalej! Spójrz, jestem tu i potrzebujesz mnie, spójrz...

I mężczyzna modlił się. Charcząc, z wytrzeszczonymi ślepiami. Nagle kobieta roześmiała się w głos. Ostрым, okrutnym śmiechem. Potrząsnęła włosami.

– Dość, Mihály, dość tej zabawy! Wstań!

Poszła za piec. Podniosła z ziemi sznur, mocny sznur do siana. Mężczyzna podniósł się z trudem, pomału, jęcząc. Chwiejnie stał pośrodku izby i z obłędem w oczach gapił się w ogień.

Kobieta podeszła doń miękkimi, kocimi krokami, zrobiła ze sznura pętlę i tę pętlę zawiesiła mężczyźnie na szyi.

– Posłuchaj, Mihály! – Głos kobiety był ostry i rozkazujący, a przy tym ona sama z natężeniem wpatrywała się w oczy mężczyzny. – Ruszysz w drogę i pójdziesz tam, gdzie go zabiłeś. Rozumiesz? Tam, gdzie leży on, ten, którego zabiłeś. Pójdziesz tam i znajdziesz w tamtym miejscu drzewo. I wdrapiesz się na to drzewo, a koniec tego sznura mocno przywiążesz do najgrubszej gałęzi. Rozumiesz? Koniec tego sznura przywiążesz do najgrubszej gałęzi. I zeskoczysz z drzewa. Zrozumiałeś, Mihály? Wynoś się!

Mężczyzna zaczął się trząść i z wolna ruszył ku drzwiom. Otworzył je, wyszedł na zewnątrz. Drzwi pozostały za nim otwarte. Widać było przez nie, jak sztywno, niczym lunatycy ruszył w górę zaśnieżoną polaną. Na szyi miał powróż, którego koniec znaczył za nim ślad w śniegu. Wreszcie wchłonęła go noc.

Świt zastał kobietę, jak czuwała w rogu przy piecu. Kiedy pierwszy promień słońca rozciągnął się na polanie, poruszyła się, wyprostowała, przeciągnęła się, później chwyciła stojącą w kącie siekiere i ruszyła wysoko na górski grzbiet, ku wyschniętej choinie. Obuchem siekiery uderzyła w nią trzy razy, po czym zaczekała. Następnie znów w nią uderzyła i znów zaczekała. Ponad błyszczącymi od szadzi czubkami choin, poza wymalowanymi na różowo dolinami, pośród ośnieżonych szczytów właśnie wtedy przecierały się ciemnofioletowe mgły wokół Fulgeruj.

Jeszcze i trzeci raz uderzyła w drzewo i zaczekała. I wówczas z oddali głucho nadeszła odpowiedź.

Było już niemal południe, kiedy pokrytym śniegiem górskim grzbietem

przybył do chaty Vénség. Kobieta i wtedy siedziała w rogu przy piecu i karmiła dziecko.

Stary wszedł, przystanął. Pierwsze, co zobaczył, to była strzelba na stole. Strzelba panicza. Obok niej obca futrzana czapa, a na ziemi sukmana. Nic się nie odezwał, tylko tak stał. Patrzył to na strzelbę, to na kobietę. I wtedy kobieta przemówiła cichym, bezbarwnym głosem:

– Dziadku, od drzwi biegnie w górę po śniegu trop. Nie można go zgubić. Na końcu tego śladu znajdziecie powieszzonego na drzewie człowieka. To tam trzeba szukać, pod śniegiem.

– Hę! – fuknął stary i stał. – O kim ty mówisz?

Kobieta nie odezwała się, tylko pokazała na strzelbę. Vénség podszedł do stołu, przyjrzał się strzelbie, potem kobiecie. Dłuższą chwilę. Po czym powoli wyszedł z chaty i odszukał w śniegu ślad.

Po dwóch dniach przyszli na górę żandarmi, a był z nimi pan. Wdrapali się na Vurfu, pomiędzy skaliste jary, dokąd poprowadził ich Vénség. Na wyschniętym ułamanym buku wisiał tam jakiś człowiek, jego głowę napoczęły już kruki i wrony. A pod nim, zagrzebany głęboko w śniegu, leżał panicz. Dostał strzał w plecy. Obok niego na wpół obdarty ze skóry, olbrzymi niedźwiedź. W ręce panicza jeszcze był nóż, którym oprawiał niedźwiedzia.

Vénség wiedział tylko tyle, że zobaczył kruki krążące nad Vurfu, i dlatego tam poszedł. Ujrzał człowieka powieszzonego na drzewie, a pod drzewem strzelbę panicza. Potem natrafił i na samego panicza. Strzelbę natychmiast zniósł na kwaterę na Cibie, a Iwana posłał do Gyerkó, żeby zameldował o sprawie. Tyle wiedział stary, nic więcej.

Żandarmi przyglądali się powieszonemu mężczyźnie, kręcili głowami i dziwili się. Potem wydobyli ze śniegu zamrożone ciało panicza i ponieśli je z sobą na dół. Dopiero tam w dole przypomniało im się, że ów mężczyzna pozostał na drzewie. Ale wtedy był już wieczór, i dlatego machnęli na to ręką. Z takiego powodu już nie warto było wracać.

Czarną metalową trumnę wywiozły z lasu do Gyerkó sanie. Potem z przodu szły sanie z trumną, a za nimi na drugich saniach jechał pan, ponury i sam. A strażnicy leśni ze zdjętymi futrzanymi czapami stali u wylotu Szalárd i patrzyli za tą parą sań, dopóki nie zniknęły na zakręcie.

16 Syrba – szybki taniec górali karpackich.

Potem długo, długo nic się nie działo. Tylko zima ciężko przycisnęła góry; łąnie obgryzały pędy topoli, tu i tam jeden i drugi wałęsający się dzik przeorał sobie ścieżkę poprzez potoki, a czasami słychać było dziecięcia, jak opukiwał jakieś bardzo stare drzewo. Nic więcej się nie działo, nic. Czas przymarzył do lasów, były co prawda dnie i były noce, niekiedy wiatry i niekiedy śnieżyce, lecz czas jednak się zatrzymał, tak samo jak zatrzymała się woda w potokach pod lodem, tak samo jak zatrzymuje się serce i życie zastyga wokół niego w bezruchu.

Od czasu do czasu, bardzo rzadko, przychodził na górę Iwan z koniem i przynosił kaszę. Siadał wtedy na ławce przy piecu i nie śpiesząc się, opowiadał to i tamto, czego od Gyerkó dowiedział się o sprawach ludzi mieszkających w dole. Lecz wszystko to mówił ot tak, żeby coś mówić, bo wszystko to było tak odległe i obce tam wysoko, pośród zasypanych śniegiem, niemych lasów, że nie mogłoby nikogo interesować. Niekiedy także i kobieta dorzuciła jedno i drugie słowo, nie jakieś ważne, a raczej tylko po to, żeby i ona coś powiedziała, a może i po to, żeby usłyszeć własny głos i nie zapomnieć słów. Bardzo rzadko zjawiał się skądś również Dumitru, oglądał w szopie owce i mówił o nich to i tamto, po czym znów odchodził. Zdarzało się, że trafiał w tamte strony z połoniny Vénség, zachodził do chaty, przysiadł, nie odzywał się jednym nawet słowem, tylko tak siedział i patrzył w ogień, zjadł, co dostał, i znów odchodził. Takie dni też były. Że ktoś przychodził i w domu rozlegała się mowa albo i nie rozlegała się mowa, lecz mimo wszystko ktoś tam był i zostawiał znak na tym dniu, i w pewien sposób znaczył czas. Jednak rzadkie były takie dni i wokół domu mieszkała najczęściej jedynie cisza, nieruchoma zimowa cisza.

No i było tam jeszcze dziecko. I dobrze, że było, bo dawało zajęcie i niekiedy płakało, niekiedy gaworzyło, a te dźwięki mimo wszystko oznaczały życie w chacie.

Nareszcie – wręcz niezauważalnie – dni wydłużyły się, słońce na niebie grzało mocniej i wycalaływo sople z okapów chaty. Śnieg tracił swój blask, tu i tam przeświecała spodeń ziemia, a Iwan, kiedy przyszedł z kaszą, przyniósł wieść, że tam w dole gospodarze już orzą i sieją.

Rozwinęły się bazy, a pewnego dnia zjawił się pan. Tak naprawdę przyszedł polować na głuszca i szykował się na Iszticsó. Lecz nie miał ochoty na polowanie, był mrukliwy i znużony, i dotarł z Iwanem jedynie do chaty na hali Komárnyik. Kobieta ugotowała obiad, starała się mu dogodzić, lecz pan tylko siedział na ławce i wciąż spoglądał na kołyskę, a w niej na dziecko. Ono zaś stało już wtedy na własnych nóżkach i czystymi niebieskimi oczętami uśmiechało się do pana.

– Karmisz go jeszcze? – spytał pan po pewnym czasie. Kobieta potrząsnęła głową.

– Straciłam pokarm. Już dawno. Pan spojrział na nią.

– Źle wyglądasz – rzekł, po czym zamilkł.

A przecież kobieta nie była chuda. Tylko stała się jakoś tak smuklejsza, bledsza. Twarz jakby się jej wydłużyła, oczy zrobiły się ogromne i podkrążone. A wokół ust pojawiły się dwie nowe bruzdy: to zima je tam wyżłobiła. Dwie gorzkie bruzdy. A na czole jeszcze ów dziwny znak, jakby ktoś go tam wrył głęboko.

Owego dnia pan nie poszedł na Iszticsó, pozostał na hali Komárnyik do wieczora. Wieczorem udali się z Iwanem na dół. Następnego dnia pan znów pojawił się na górze. Był sam. Wszedł do chaty, usiadł i znów zaczął się przyglądać dziecku.

– Ma już imię? – spytał.

– Gáspár – cicho odpowiedziała kobieta.

Pańskie oblicze pociemniało, a on sam opuścił głowę i więcej się nie odezwał. Kobieta przyglądała się opuszczonej głowie. Ile już srebrnych nitek jest w tych czarnych włosach! Jak ponad krzaczastymi wąsami mizernie wystają kości policzkowe, a ile srebrnych nitek jest już i w tych wąsach! I jakie przygięte ma plecy, gdy tak tam siedzi, jaki jest smutny i przygarbiony! I jak głęboko zapadają mu się oczy, gdy spogląda nimi na dziecko. Pan się postarzał – pomyślała kobieta i cicho westchnęła.

Siedział tam znowu do późna. I wciąż przyglądał się dziecku. Nareszcie wieczorem, kiedy ruszał z powrotem, rzekł:

– Małego Gáspára wezmę do siebie, kobieto. On jest wszystkim, co mi zostało po synu. Wezmę go do siebie, zrobię z niego człowieka, pozostawię mu po sobie nazwisko i wysokie góry. Dobrze go pilnuj, kobieto.

I wyszedł. Kobieta zaś pozostała z tymi słowami. Przeżuwała je i rozważała. Badala to, co kryło się poza nimi. Niekiedy ogarniał ją strach, że aż zastygała w niej krew, innym razem radowała się nimi tak, że miała ochotę tańczyć i śmiać się.

Rankiem pan znów tam był. Przyszedł z Iwanem, z końmi. Wszedł do chaty, mówiąc:

– Szykuj się, kobieto, sprowadzę ciebie razem z dzieckiem na dół. Na południe zamówiłem powóz. Twoje rzeczy zwiozą teraz konie, a potem poślę po nie wóz. Szykuj się!

Kobieta stała jak ktoś, na kogo runęły niebiosy.

– Dokąd? – spytała nieporadnie.

– Dokąd! – burknął pan. – Do mnie, do Disznajó. Tam jest miejsce mojego wnuka, nie tu, na tej górze. Pośpiesz się, kobieto, zbierz wszystko!

Ona zaś tylko stała, pobladła i trzęsa się.

– Co się tak gapisz? Powiedziałem, ruszaj się!

Wtedy przemówiła. Głos jej nieco drżał, lecz słowa czysto dźwięczały, padając u stóp pana.

– Nie gniewaj się, panie, tu nam lepiej.

Pan gniewnie zmarszczył brwi.

– Gdzie jest lepiej, to ja wiem. Szykuj się i nie gadaj! Za pół godziny ruszamy.

Ale kobieta wciąż stała. Teraz już odważnie wyprostowana.

– Nigdzie nie pójde, panie.

Oblicze pana poczerwieniało, jego oczy zapłonęły gniewem.

– No to zostaniesz tutaj. Ale dziecko zabieram.

I ruszył w kierunku kołyski. Kobieta skoczyła ku kołysce, pomiędzy dziecko a pana.

– Nie możesz tego zrobić, panie! Dziecko jest moje!

– Ale to mój wnuk!

– Ale to mój syn!

Tak oto stali naprzeciw siebie. Ręce kobiety kurczowo wbiły się w wyrzeźbione drewno kołyski, ręka pana zaciśnięta była w pięść. Nareszcie pięść rozluźniła się. Głowa pana skłoniła się.

– Posłuchaj, kobieto – wymruczał ochryłym głosem, lecz ten pomruk całkiem wypełnił dom – musisz zrozumieć. To dziecko jest ostatnim z rodu Éltető. Krew z mojej krwi. I z niego musi być pan, jak i jego przodkowie wszyscy byli panami. Zrozum więc, kobieto. Musisz z tego dziecka zrezygnować. Musisz. Rozumiesz? Nie ma nikogo innego, kto dalej poniósłby to nazwisko, gdy ja już umrę. Nie ma nikogo innego. Musisz to zrozumieć.

– Ja też nie mam nikogo innego – odparła kobieta, usta jej się zwięziły, a owe dwie gorzkie bruzdy głęboko wryły się w jej twarz – i ty musisz to zrozumieć, panie. Nie mam nikogo i niczego innego, tylko jego.

Słysząc kroki i w progu pojawił się Iwan. Pan jeszcze przez chwilę stał przed kobietą, wreszcie odwrócił się i podszedł do drzwi. W progu odwrócił się. Jego twarz była bardzo stara.

– Zastanów się jeszcze nad tym, kobieto! To dziecko to mój wnuk i ostatni z rodu. Zastanów się nad tym!

I wyszedł z chaty. Na dworze powiedział coś do Iwana, a potem słysząc było, jak konie ruszyły ścieżką w dół.

Kobieta długo stała bez ruchu przy kołysce i wpatrywała się w drzwi. I jakby jakaś zła, czarna chmura opadła wokół niej na świat, jakaś ciężka od ciemnych niebezpieczeństw, wielka chmura, tak przerażające i posępne zrobiło się naraz wszystko.

Po południu przyszedł na górę Birtalan. Usiadł na ławce, przez jakiś czas milczał, nareszcie tak zaczął:

– Posłuchaj! Pan przekazuje ci taką wiadomość: jeśli pójdziesz z nim na dół do Disznajó, możesz żyć we dworze przy dziecku. Nadal się o nie troszczyć,

dostaniesz dobrą zapłatę, wszystko. Jak dziecko będzie większe i trafi do szkoły, dostaniesz od pana dom, do tego też ziemię i wszystko, czego potrzeba. Będziesz mogła tam żyć do końca swych dni.

Kobieta z uporem potrząsnęła głową.

– Nie oddam mojego dziecka. Nikomu go nie oddam.

– Chce go wychować na pana. Wielkiego pana.

– A czy pan jest szczęśliwszy od innych ludzi? Na to mi odpowiedzcie, wujku Birtalanie: czy od tego moje dziecko będzie szczęśliwsze?

– Tego to ja nie mogę wiedzieć, moja duszko – odszepnął Birtalan i już się więcej nie odezwał. Tylko tak siedział, siedział smutny na ławce, w końcu wstał i poszedł.

Upłynęło wiele dni i nikt nie przychodził. Tymczasem zazieleniła się trawa, na skraju buczyny rozkwitły przebiśniegi, a czasem w południe fruwały przed chatą piękne żółte motyle. Dzwonki owiec odzywały się tam dalej na polanie, a w jędrnej trawie podskakiwały jagnięta. Czasem kobieta wynosiła dziecko do jagniąt, a ono ze śmiechem wyciągało ku nim rączka i gaworzyło szczęsnymi słowami: – Ba! Ba! Ba! Da! Da!

A jagnięta z błyszczącymi oczami podziwiała dziecko i lizały je po rękach.

Zdarzyło się to jednego popołudnia, niemal pod wieczór. Owce pasły się wysoko przy końcu polany, kiedy raptem zaczął szczekać pies. Kobieta wyjrzała z chaty, akurat karmiła dziecko kaszą kukurydzianą na mleku. Z lasu wyszedł jakiś mężczyzna i skierował się ku owcom. W ręce miał długi kij, na głowie czarny kapelusz z podwiniętym rondem. Wyglądał na kogoś w rodzaju juhasa. Poszedł prosto ku owcom. Pośród owiec była tam i krowa. Pies stał pośrodku polany i ujadał na obcego człowieka.

I wówczas mężczyzna zamachał kijem w ręce i zaczął pędzić zwierzęta w las.

– Juuj! – zawołał na nie. – Póódzieesz! – i tym kijem uderzył krowę w zad, i ją także pognął za owcami. Pies zaś szczekał jak oszalały.

– Hej! Ty! – kobieta zawołała z progu. – Co ty tam robisz?! Lecz ów człowiek jakby wcale tego nie słyszał, tylko dalej zaganiał zwierzęta w las i po chwili zniknął z nimi za drzewami. Teraz już tylko ich głosy dochodziły z głębi lasu.

Kobieta wbiegła do chaty, pochwyciła z kąta siekierę i zaczęła biec w górę polaną. Pies, szczekając, gonił przed nią. Mężczyzna musiał znać się na pędzeniu, bo był już dobrze w górze, niemal na połoninie, kiedy go dogoniła.

– Oszalałeś?! – rzuciła się do niego, zdyszana, z siekierą w ręce. – Dokąd pędzisz moje zwierzęta?!

Mężczyzna, wielki, smukły młodzieniec, z szerokim opaskiem, spojrzał na nią, wyszczerzywszy zęby.

– Przestraszyłaś się, he?

– Czego chcesz? Oszalałeś?

– Ano oszalałem – drwiąco zaśmiał się młodzieniec.

– I dokąd to byś je pognął?

– Moja babka wyprawia sobie teraz wesele. Dla niej bym je zabrał.

– O mój Boże, ty jesteś szalony!

– Przecież to ja mówiłem, że tak, jestem szalony!

– Ojej, a niech ci zgryzota zeżre sumienie, przynajmniej pomóż mi zebrać je do kupy.

– Hu huuuu! HUUUU! – młodzieniec zawołał na całe gardło. – Hej, ho, ho!

I jak oszalały począł kijem walić w stado, żeby owce jeszcze bardziej

rozbiegły się w przestrachu.

– Zamilczże natychmiast! – rozzłościła się nań kobieta i chwyciła siekiere w obie ręce. – Na co i te doprowadzasz do szaleństwa?

Młodzieniec zarechotał, wydał kilka głośnych okrzyków, nareszcie ruszył w górę ku połoninie, posyłając kobiecie jeszcze kilka ordynarnych żartów. W końcu pochłonął go las.

– Do licha z tą twoją szaloną głową! – gderwała w złości kobieta, starając się spędzić w jedną gromadę zwierzęta rozpierzchnięte w gęstwinie.

Z trudem udało jej się zebrać je razem. Pies też pomagał. Dwa najmniejsze jagnięta musiała nieść na rękach, bo nie były już w stanie biec za swoją matką. Wreszcie wszystkie były w kupie. I krowa, i owce, i kozy, i jagnięta. Z wielkim mozolem wypędziła je z lasu i na powrót wszystkie znalazły się na polanie, a że nastał już wieczór, więc pogoniła je prosto do zagrody. Krowę uwiązała w szopie i poszła do chaty po skopek do dojenia.

Po drodze ogarnał ją niepokój. Było jakoś dziwnie cicho. Jakiś taki niemy wydawał się dom. Niepokój w niej narastał i mroził krew w żyłach. Kiedy postawiła nogę na progu, już wyraźnie czuła ciszę, która płynęła z chaty. Ta cisza wręcz uderzyła w nią, była czarna i miała trupią woń.

Drzwi zastała na wpół otwarte. Pchnęła je do środka i zatrzymała się. Dom, niemy i pusty, zastygł naprzeciw niej niczym przerażone oko, z którego uszło życie. Kołyska stała tam... i nikogo w niej nie było.

Zrobiła się już noc, gdy kobieta wbiegła do kwatery strażników leśnych na Cibie. W domu był tylko Birtalan. Siedział na ławce i sennymi oczami patrzył w ogień. Kaganek już się nie palił, jedynie ogień.

Kobieta wpadła przez drzwi. Twarz miała dziką, oczy rozżarzone, a włosy potargane i opadłe na twarz.

– Gdzie jest moje dziecko?!

Birtalan patrzył na nią ze zdumieniem.

– Gdzie jest moje dziecko?! – krzyknęła kobieta i w kącikach jej ust pojawiła się biała piana.

– Dziecko? – zdziwił się Birtalan. – Co z nim?

Kobieta jak pomyłona wrzeszczała w otwartych drzwiach:

– Ukradliście moje dziecko! Oddajcie mi moje dziecko! Gdzie schowaliście moje dziecko?!

Birtalan tylko kręcił głową.

– Nie wiem, kobieto, nie wiem, o czym mówisz i czego chcesz, nie wiem.

– Gdzie jest pan?! Chcę się zobaczyć z panem!

– Nie było go tu, kobieto. Od czasu, jak chodził do ciebie na górę, nie było go tu.

Kobieta przez kilka chwil stała tam jeszcze w drzwiach, w podartym ubraniu,

potargana, z wykrzywioną twarzą, z wytrzeszczonymi, martwymi oczyma, aż w końcu runęła na próg i poczęła szlochać i lamentować. Birtalan przyniósł wody, kazał jej wypić. Potem dał jej palinki. Mówił do niej. Kobieta powoli uspokoiła się. Usiadła. Spojrzała na Birtalana, a w jej oczach była rozpacz i błaganie o pomoc.

– Naprawdę nie wy zabraliście moje dziecko?

– Tak mi dopomóż Bóg! – odpowiedział Birtalan.

– Wujek Iwan?

– On teraz... przecież wiesz. To jego czas.

– Dumitru?...

– Dumitru?... – Birtalan machnął tylko ręką i westchnął. – Kobieto, kobieto, chyba nie myślisz, że choćby jeden spośród nas, coś takiego... na rozkaz albo za pieniądze... chyba tak nie myślisz...

Siedziała w progu. Plecy oparła o ramę drzwi i wpatrywała się w dal. Długo tak tam siedziała. Na dworze była noc, a niebo pełne gwiazd. W środku zaś cicho trzaskał ogień.

Nareszcie się podniosła. Nie patrząc na Birtalana, nie patrząc na nic. I nie odezwała się ani jednym słowem, tylko wyszła w noc. Widać jeszcze było, jak ruszyła w dół, w kierunku potoku. Po czym rozplynęła się w ciemności.

Czeladź z Disznajó opowiadała później, że pewnego wiosennego dnia przyszła do dworu jakaś kobieta. Włosy miała potargane, ubranie podarte, a także i na twarzy widać było, że jest szalona, biedaczka. Domagała się jakiegoś dziecka. Wołała, krzyczała i za wszelką cenę chciała mówić z panem. Gdy o tej sprawie powiadomiono pana, zdjęty litością posłał jej przez lokaja garść banknotów. Lokaj przysięga, że było tam co najmniej pięćset forintów, o ile nie więcej. Cały majątek. Ale cóż, pan też nie jest w pełni rozumu od czasu, gdy zdarzyło się tamto z jego synem.

Lokaj przekazał kobiecie te pieniądze. Wcisnął jej w garść. „Na – powiedział – to posyła ci pan. Możesz sobie za to kupić chatę, ziemię, krowę, wszystko”. Kobieta utkwiała wzrok w pieniądzach, po czym zaczęła tak wrzeszczeć, że aż nieprzyjemnie było tego słuchać, a wszystkie te cenne i piękne banknoty porwała na tysiąc drobnych kawałków. I krzyczała, i rzucała się na ludzi z zębami i pazurami, jakby zupełnie oszalała.

Nie można było uczynić nic innego, jak tylko ją związać i zatkać jej usta, żeby nie mogła krzyczeć. Wreszcie ktoś pobiegł po żandarmów. Ci ją obejrzel i tak powiedzieli: to jakaś biedna wariatka. Zabrali ją z sobą, może z dzień potrzykali zamkniętą w piwnicy, aż odeszła jej złość, i puścili ją wolno, żeby sobie poszła.

Tak to opowiadała czeladź z Disznajó. Podobno jeszcze przez kilka dni kręciła się tam w pobliżu, ale gdy ktoś się do niej odezwał, uciekała w przestרחu. Potem nikt więcej już jej nie widział.

Jacyś przekupnie opowiadali raz, że kiedy owej wiosny odbywał się w Ratosnyi krajowy targ owiec, jakaś szalona kobieta włóczyła się tam pośród przekupniów i wciąż szukała wysokiego młodzieńca, którego imienia nie знаła. Później przysiadła na skraju drogi i przepowiadała ludziom przyszłość. Młodzieńcy zabrali ją z sobą do karczmy Wiktora i poili palinką, aż się upiła. Wtedy zaczęła tańczyć i śpiewać, i zdarła z siebie odzienie, i przed całym światem pokazywała się nago, aż kilku wyprowadziło ją za szopę Wiktorów. Potem w karczmie doszło do wielkiej bijatyki i kilku nawet zmarło od noża. A szczególnie właśnie ci, co tamtą szaloną kobietę wyprowadzili za szopę. Ale wtedy jej już tam nie było.

Jednak wszystko to opowiadali tylko przekupnie, dlatego wcale nie jest pewne, że rzeczywiście tak się wydarzyło. Bo przekupnie rzadko mówią prawdę.

CZEŚĆ TRZECIA

Czarownica z Funtinel

Na placu przed nowiutkim budynkiem dworca w Ratosnyi tłum stał w ciszy i powadze. Głośne słowo nie padało. Jakby zgromadzili się na pogrzeb, tak tam stali liczni mieszkańcy krainy ośnieżonych szczytów, owi ciężkawi ludzie o silnych rękach. Patrzyli na szlak, którym podążali panowie, na błyszczącego w blasku letniego poranka długiego węża ze stali, który w sposób straszliwy i niepokojąco prosty wyciągnął się ku Dédzie i przedzierając się przez wioski, zagrody leżące w odosobnieniu, potoki, orne pola i ukwiecone kośne łąki, wszystkie je po drodze tratował. Ludzie stali, patrzyli nań i czekali. Kilku obcych mężczyzn poprawiało ostatnie wstążeczki na wzniesionej ponad szynami potężnej zielonej bramie paradnej, pod drabiną jakiś przypominający żołnierza pan w czaku krzyczał w podnieceniu, a ludzie wiedzieli, że tamci wszyscy przynależą do kolei, tego zaś, co przypominał żołnierza, nazywają panem naczelnikiem stacji. Pomędzy budynkiem dworca a wsią szumiała rzeka Maros, słońce odbijało się na nowiutkich mostach. Od strony tartaku Schwarza wiatr niósł żywiczną woń świeżo pociętych desek, niebo oślepiało błękitem, i tylko wysoko nad szczytami snuły się resztki porannej mgły.

Tłum czekał. Z tyłu na łące płonęły wielkie ogniska i dolatywała stamtąd woń spalonego mięsa. Czeladź barona piekła tam wołu. Dalej za ogniskami zebrani w jednej kupie stali robotnicy od piły, obcy niechlujni, brudni ludzie o niespokojnym wzroku, chude kobiety, dzieci o wygłodniałych twarzach, i patrzyli na skwierczące mięso i beczkę na wozie.

Pan naczelnik krzyczał, wydawał dyspozycje, zabrano drabinę spod paradnej bramy, gdzieś jeszcze przystrajano budynki, biegali kolejarze, biegali też mężczyźni od piły, czasem pojawiał się i pan Schwarz, w biegu, z krzykiem i w podnieceniu, na ile tylko pozwalała mu jego drobna brzuchata postura, i wszyscy oni byli tacy, jakby szykowali się na coś ogromnie, potwornie przerażającego.

Tylko mieszkańcy wysokich gór tkwili na placu nieporuszeni, spokojni, w ciszy i w oczekiwaniu. I zbierało się ich więcej i więcej. Ludzie przybyli także z zagród położonych w większym oddaleniu. Każdy z tym poważnym, nieco zatroskanym, jednak spokojnym i pełnym godności wyrazem twarzy, jak człowiek, który przybywa na pogrzeb lub widzieć się z panem. Ktokolwiek nadchodził,

najpierw zatrzymywał się poza tłumem, rozglądał wokoło, szukał kogoś wzrokiem, w końcu do tej osoby podchodził, rzucał kilka słów lub słuchając, potakiwał i razem z pozostałymi stał i czekał cierpliwie, zatroskany, cichy, spokojny i pełen powagi.

Jeden za drugim przybyli też kapłani z trzech wiosek, w towarzystwie żon. Stańli osobno wraz ze swymi kudłatymi końmi i małymi, rozklekotanymi wozami, mocno się pokłonili panu Schwarzowi, naczelnikowi stacji, a nawet i kolejarzom, lecz nie ruszyli się ze swego sąsiedztwa. W końcu dotarł tam również nowy dowódca żandarmerii, w towarzystwie dwóch żandarmów; wszyscy trzej w gali, z bagnetami, przechadzali się pomiędzy ludźmi, srogo na nich spoglądając.

Słońce powoli podnosiło się coraz wyżej na niebie, w górę ponad Lisztes, i powietrze zaczęło się ocieplać. Wreszcie gdzieś w oddali odezwał się stłumiony, przeciągły gwizd. Z budynku dworca wybiegł na plac naczelnik, czerwony na twarzy, i coś zawołał, żywo gestykulując, a na to wszyscy kolejarze, ilu ich tam było, poczęli biegać tam i z powrotem. Z budynku wyprowadzili ubraną w białą sukienkę małą dziewczynkę, szturchali ją, popychali, tłumaczyli jej, pokazywali, wcisnęli w ręce duży bukiet kwiatów i tak ją straszili bez ładu i składu, że ta już bliska była płaczu. Naczelnik stacji zdjął ze spiczastej głowy owo dziwne czako, otarł sobie czoło, nałożył czako z powrotem, znów je zdjął, drżącymi rękoma poprawił je tak, by leżało prosto, wygładził kurtkę, krzyknął. Przytoczył się tam i pan Schwarz, coś objaśnił i wszyscy przyglądali się leżącej poniżej dolinie.

Gdzieś po drugiej stronie, na skraju kośnych łąk w Jód, rozwrzeszczał się jeden młody pasterz:

– Hejjj, ho, hoooo! Oto diabeł, ho, hoooo! Ludzie, ho, hoooo! Patrzcie, hejjj! Jedzie wóz panów, ho, hoooo! Hejjj, ale ci on szpetny, ho, hoooo! Niczym diabeł, ho, hooo! Czarny jak panowie na jarmarku, ho, hoooo! Hejjj, ho, hoooo! Hejjj, diabeł, że ho, hoooo! Dymi mu ze łba, a ogon ma długi, że ho, hoooo! Hejjj, ho, hoooo! Hejjj, ho, hoooo!

To pokrzykiwanie przewaliło się ponad całą doliną i wszyscy ludzie odwrócili głowy w dół, ku Dédzie. I zobaczyli, jak na końcu nasypu ukazało się coś czarnego i oto nadjeżdżało coraz bliżej, i już było to słychać, a i też widać wyraźnie. Nadjeżdżał czarny, ciskający dymem, jakiś wielki szpetny mechanizm, jakaś okropna, bezbożna maszyna, co pluća czarnym dymem, a jej dudnienie powoli napępniało dolinę, napępniało powietrze, napępniało świat, ludziom uszy, rozum, i było to naprawdę takie, jakby to sam diabeł zamocowany na kołach nadjeżdżał w górę wzdłuż Maros.

Wszyscy to widzieli, a nikt nie wymówił jednego nawet słowa. Wśród ludzi panowała grobowa cisza. Tylko ów szpetny, czarny wóz rósł coraz bardziej, tylko on stukał i dudnił, i buchał, i rzygał okropnym, brudnym, czarnym dymem wprost w bezchmurne, błękitne niebo. Gdy tak nadjeżdżał, pławiąc się w słońcu, i coraz

bardziej rósł, i coraz bardziej się przybliżał, dudniąc, był jak jakiś wielki brudny robak, który wpełzł pomiędzy góry stworzone z piękna i czystości, robak wstrętny i niebezpieczny, jakieś groźne czarcie zwierzę, które strawi wszystko, co piękne, i zesześci wszystko, co czyste.

Nagle dobył się zeń przenikliwy gwizd, wóz zaczął zwalniać i wreszcie stanął. Akurat pod paradną bramą. Teraz już dobrze można było mu się przyjrzeć: to przekłete narzędzie składało się z czterech kawałów. Z pierwszej części buchały dym i para, a wielkie, lśniące popychadła poruszały jego kołami. Reszta tylko tak za tym pędziła. Lecz było to coś jednakowo brudnego, czarnego i niemile obcego.

Z części środkowej wyłonił się baron i zatrzymał się przy schodkach. Za nim stało kilku panów, wśród nich inżynier z Dédy.

Naczelnik stacji oraz pan Schwarz popchnęli ku nim ubraną na białą dziewczynkę, ta wręczyła bukiet kwiatów i wyjąkała coś. Wyjąkał coś również naczelnik stacji, na koniec kilka słów powiedział także baron. Wszystkiego tego nie można było usłyszeć z powodu hałasu czynionego przez maszynę. Nareszcie panowie wysiedli. Baron podaniem ręki przywitał się z naczelnikiem o spiczastej głowie i chudej, bladej twarzy, następnie z panem Schwarzem, i postąpił kilka kroków w kierunku ludzi, którzy stali tam w milczeniu, z szacunkiem, w zatroskaniu i smutku, wciąż przyglądając się sapiącemu czarnemu wozowi. Wtedy z miejsca przy rogu budynku wystąpili naprzód trzej duchowni i podeszli do barona. Chcieli się do niego zwrócić, lecz baron stanął już przed ludźmi, objął ich wzrokiem i przemówił:

– Ludzie – zaczął i podniósł głos, żeby wszyscy mogli go usłyszeć – dzięki rządowemu wsparciu powstała oto nasza kolej i od dzisiejszego dnia jest ona do usług dla was wszystkich. Nie tylko ułatwia podróżowanie, ale daje też sposobność, żebyście wszystko, czego potrzebujecie, mogli kupować po niższych cenach, a i żebyście mieli dostęp do lepszego towaru. Kolej pomoże wam taniej dostarczać na targowiska te produkty rolne, które przeznaczycie na sprzedaż, a dzięki temu osiągać większe dochody. Dzięki kolei rozpoczyna się w waszych wioskach piękniejsza i lepsza epoka. Choć na razie tylko dotąd udało się zbudować tę linię o ogólnokrajowym znaczeniu, to jednak miejmy nadzieję, że wkrótce pokonamy przeszkody i to znaczące narzędzie krzewienia kultury i dobrobytu będziemy mogli pociągnąć dalej. Oby Bóg dał, żeby ten pociąg, który od tej pory będzie tu przyjeżdżał każdego dnia, wszystkim wam przyniósł szczęście i dobrobyt. Teraz zaś biegnijcie do ognisk i do beczki, jedzcie i pijcie, bo podczas tego dzisiejszego radosnego święta wszyscy jesteście moimi gośćmi.

Tyle powiedział baron, po czym odwrócił się do kapłanów, którzy z przyklejonymi uśmiechami kłaniali mu się i w imieniu swych wiosek żarliwymi słowami składali podziękowanie za pociąg, który z pewnością jest zrządzonym przez Boga błogosławieństwem dla ludzi.

Wszyscy grzecznie wysłuchali od początku do końca obu przemówień, po czym uchylił kapeluszy i z pełnym poważania okrzykiem „niech żyje łaskawy pan baron” bez słowa poczęli się rozchodzić.

Lecz dziwne, doprawdy dziwne było to rozchodzenie się. Tłum rozbił się na małe grupki, ale ludzie ze spuszczoneymi głowami ruszyli nie w kierunku wielkiej łąki, gdzie płonęły ogniska, a przeciwnie, na drogę, a stamtąd we wszystkie strony ku wioskom, zagrodom leżącym w odosobnieniu i domom stojącym samotnie.

Baron tego nie zauważył, bo rozmawiał z duchownymi i panami, którzy z nim przybyli. Lecz zauważył to naczelnik stacji, kolejarze oraz ludzie od piły, i zaczęli zaczepiać rozchodzących się.

– Dokąd idziecie, hę? Oszaleliście! Tu na łące piecze się mięso, a tam jest dużo dobrego wina! Tutaj chodźcie, tutaj!

Ale nikt ich nie słuchał. Także pan Schwarz spostrzegł, że jest problem.

– Czy oni poszaleli?! – krzyknął do swoich ludzi. – Dokąd oni idą?! Nie zrozumieli, głupcy, co powiedział baron?!

Wtedy dostrzegł pośród ludzi Mitru, baronowego strażnika leśnego znad Galonyi, który rozmawiał właśnie z jakimś starcem o siwych włosach, z opaskiem. Podbiegł do nich.

– Ty, Mitru! Prędko przygoń tu ludzi z powrotem!

Lecz Mitru nie ruszył się z miejsca, tylko obojętnie wzruszywszy ramionami, patrzył na małego, krępego Żyda.

– Skoro oni nie chcą przyjść... – rzekł.

– Co? – pan Schwarz osłupiał. – Nie chcą? Czemu? Długi Mitru ponownie wzruszył ramionami.

– Oni tylko wiedzą. Tacy to ludzie. Nie chcą.

– Głupcy – mamrotał czerwony z irytacji, niski gruby kupiec korzenny i pulchnymi białymi dłońmi nerwowo ocierał sobie czoło sperlone tłustym potem – może baron miałby nieść za nimi jedzenie na srebrnej tacy? A niech ich tam szlag trafi! Człowiek chce dla nich dobrze, a im to też się nie podoba. He! – krzyknął do wałęsających się na łące muzykantów. – Zagrajcie coś wreszcie i przestańcie się gapić! A nuż muzyka przyprowadzi z powrotem tę gromadę baranów!

Ale nieszczęśni Cyganie z Magyaró mogli sobie grać aż do utraty tchu. Spośród tych, co odeszli, ani jeden nie wrócił. Rozeszli się, jak rozchodzą się po pogrzebie ci, którzy co prawda uszanowali zmarłego, bo tak nakazywała grzeczność, lecz nie byli z nim aż w takiej komitywie, żeby brać udział w stypie.

Baron coś zauważył, bo zwrócił się do popa z Ratosnyi:

– Ojciec wielbny, przemówcie do swoich wiernych; wydaje się, że nie zrozumieli tego, co powiedziałem. Dzisiaj wszyscy są moimi gośćmi.

Siwiejąca głowa popa skłoniła się lekko, po czym na jego twarzy pojawił się wyraz lisiej przebiegłości, a usta wykrzywiły się w lepkiem uśmiechu.

– Łaskawy panie baronie, proszę im nie mieć tego za złe. Wszyscy oni są bogobojnymi, zacnymi, porządnymi ludźmi, ale...

– Ale co? – baron nerwowo podniósł głowę.

– Ale nie lubią tych nowych rzeczy, które przychodzą tam z dołu – pop z uśmiechem patrzył na barona.

– Nie lubią? Czego nie lubią?

– Ani pił, ani ludzi, którzy z tymi piłami przyszli. Są hałaśliwi, lubią narzekać, bić się, tak mówią o nich tutejsi. Dopóki nie było piły, nie było i bijatyk, mówią. Niepotrzebni byli także żandarmi. Teraz jest piła, są bijatyki, są żandarmi. Po tej kolei też nie spodziewają się niczego lepszego.

Baron machnął ręką i ruszył w kierunku budynku dworca. Trzej popi pokłonili się nisko. Panowie podążyli za baronem. Na łące, wokół ognisk wałęsało się kilku ludzi. Byli robotnikami od piły.

Panowie przechodzili właśnie obok Mitru i tego drugiego człowieka.

– Niech żyje łaskawy baron! – zawołał Mitru.

Stojący obok niego starzec w milczeniu podniósł kapelusz. Baron spojrzał nań i przystanął. W jego oczach rozbłysło ciepło, gdy rozpoznał postawnego starca.

– Czy to ty, Árszintya? Ty też przyszedłeś na dół?

– Tak, panie – odrzekł stary – przepędzamy dzisiaj owce z Secus na Funtinel, dlatego. No a skoro już tu byłem, przyszedłem obejrzyć i to.

– No a co powiesz na pociąg?

– Szpetny i brudny – starzec odpowiedział bez namysłu. – Boję się, panie, że razem z nim przyjdą tylko szpetne i brudne rzeczy.

Panowie w osłupieniu patrzyli na mężczyznę z opaskiem. Baron uśmiechnął się.

– No a my też jesteśmy brzydki i brudni? Co? Árszintya! Stary stał tam ze zdjętym kapeluszem, ale z podniesioną głową i w wyprostowanej postawie. Był o pół głowy wyższy od barona, a jego białymi, sięgającymi ramion włosami targał wiatr. Czyste, niebieskie oczy bez jednego drgnienia patrzyły na wielmożę na Vécs.

– Za pozwoleniem, panie, żyj długo! Ale i brudna woda ma czystą powierzchnię. Brud pokazuje się dopiero wtedy, gdy wszystko wylejemy.

Panowie zaśmiali się na tę mowę. I baron ze śmiechem poklepał starego Árszintyę po ramieniu.

– Nie szkodzi, stary. Jeszcze się na tym nie znasz. Zobaczysz kiedyś, ile korzyści wiąże się z tym pociągiem. To wielka sprawa, stary, wy tego jeszcze nie pojmujecie waszymi umysłami, jaka to jest wielka sprawa!

– No przecie, że wielka, nie mówię nie – rzekł Árszintya – nie trza do tego konia, a idzie. Nie trza do tego i wołu, a ciągnie. Ale pytanie jest takie: co on stąd zabierze i co potem w to miejsce przyniesie? Jeśli w miejsce spokoju i zgody

przyniesie jeszcze więcej spokoju i zgody, a w miejsce prawdy i sprawiedliwości jeszcze więcej prawdy i sprawiedliwości, to dobrze. Lecz jeśli przyniesie mniej albo w ogóle nic a nic nie przyniesie, tylko zabierze, albo i przyniesie tylko coś takiego, co zepsuje świat, to niechże szlag trafi i tego, kto to wynalazł!

Słyszając to, panowie wręcz osłupieli. Pan Schwarz pocił się i sapał za plecami barona. Zapadła cisza. W końcu baron roześmiał się.

– Masz rację, stary. Postaramy się, żeby przynosił same dobre rzeczy. No a teraz uciekaj do ogniska, jedz i pij. Dzisiaj i ty jesteś gościem tego pociągu.

Z tymi słowami już i postąpił dalej, a z nim panowie. Lecz starzec odezwał się za nim cicho, wręcz pokornie:

– Dziękuję, panie, niech Bóg da ci długi żywot! Ale ja tego nie będę jadł i nie będę pił.

– Dlaczego? – baron zawahał się i stanął, wbijając wzrok w starego.

– Bo ja mam co jeść, panie, a i wody, której mogę się napić, dość jest na gorze. Na wesele zaś człowiek niech idzie tylko wtedy, gdy zna pana młodego.

Baron pokręcił głową i poszedł dalej w kierunku budynku dworca. Panowie z tyłu za nim. A stary Árszintya nałożył na głowę sfatygowany czarny kapelusz i zwrócił się do Mitru:

– Słowem, nie ma problemu z twoimi owcami. Ale mówię, jeśli byś tamtą jedną wymienił, policzyłbym ci o dwa funty twarogu więcej. No, niech Bóg ci dopomóż!

I powolnym, miarowym krokiem ruszył drogą w kierunku wioski. Pośrodku nowego, pachnącego choiną, drewnianego mostu jeszcze się zatrzymał, przyjrzał się podporom, po czym pokręcił głową, mruknął coś i poszedł dalej. Długim, prostym kijem mocno postukując przed sobą na drodze.

W dolinie leżącej za wsią czekał już na niego zbity w kupę kierdel. Sześćset dwadzieścia dwie mleczne owce, gromadzkie owce. Koło nich czterech juhasów, wspartych na kijach. Dalej dwa objuczone konie i psy. Przy juhasach wałęsało się też kilku ludzi, gospodarzy ze wsi, gospodarzy zagród leżących w odosobnieniu. Przyglądali się owcom.

– Widać, że dobre było twoje pastwisko, dziadku Árszintya!

– Nie za wcześnie przechodzicie na Funtinel?

– Czy aby wystarczy tam trawy do jesieni?

O takie rzeczy dopytywali się ludzie, kiedy do nich przyszedł. Ale raczej tylko wypowiadali w ten sposób własne myśli, bo ani jeden z nich nie zamierzał podawać w wątpliwość poczynań starego Árszintyi. Wypasem owiec gromadzkich zajmował się od trzydziestu kilku lat i lepiej aniżeli on nikt nie może wiedzieć, kiedy trzeba zmienić pastwisko, kiedy trzeba zrobić to czy tamto z owcami. Stary wcale też nie odpowiedział na te pytania, tylko stanął przed kierdelem, obejmując wzrokiem zwierzęta i ochryłym, starczym głosem zakrzyknął:

– Hu, huuuu-na! Hu, huuuu!

Na znajomy głos owce poderwały głowy, powstał pośród nich ruch. Juhasi pobiegli na swoje miejsca, a stado, tłocząc się, ruszyło za starym w kierunku Andrenyásza.

– Niech wam Bóg poszczęści! Dobrej drogi! – wołali za nimi ludzie, a kierdel szedł powoli w górę, pośród leżących w odosobnieniu zagród na Andrenyásza, przy dolnym zaś skraju hali Kóbor – w las.

Stary Árszintya podążał przed kierdelem długim miarowym krokiem, trzymając w ręce tęgi kij. Nie spojrział wstecz ani razu, nie miał po co patrzeć w tył. Znał krok, jakim trzeba było iść przed stadem. Nie tylko go znał, może już nawet i nie potrafiłby kroczyć inaczej, jak tylko tak powoli, miarowo, spokojnie. Podczas długich dziesięcioleci kroki te dopasowały się już do ruchu owiec, nie były ani szybsze, ani wolniejsze. Były akurat takie, jakie powinny być kroki pasterza, za którym faluje w górę po stoku kilka setek owiec.

Także juhasom nie były potrzebne słowa napomnienia, dobrze znali porządek. Dwaj młodsi szli z boku, jeden z prawego skraju, drugi z lewego skraju kierdela. Niekiedy mocno pokrzykiwali, gdy jakaś owca zatrzymywała się, by poszczypać trawę. Wtedy też potrzęsali w powietrzu kijami, ale to akurat robili raczej tylko z przyzwyczajenia aniżeli dla postrachu. Dwaj starsi juhasi postępowali z tyłu, za stadem. Za nimi szły dwa konie z bagażami, a za końmi psy. Taki był porządek, gdy stado się przenosiło.

Ciągnęli w górę halą Kóbor. Wokół nich piętrzyły się ciemne szczyty Andrenyásza, ogrom skał i lasów, pośród których dzwonki owiec pobrzmiwały niepewnie. Nim słońce dotarło na miejsce południowego spoczynku, byli już wysoko na górskim grzbiecie. Panował gorąc. Psy wywaliły ozory, konie spocły się pod ciężarem bagaży.

Stary nie zatrzymywał się ani na chwilę, wciąż szedł wyżej i wyżej. Góry jakby się zmniejszyły, lasy opuściły się niżej, błękit nieba zaś rozciągał się bez granic. Po obu stronach ścieżki stromo biegły w dół skaliste zbocza, jary porośnięte jeżynami i malinami. Potem grzbiet się poszerzył, spłaszczył. Kierdel podążał buczyną pod potężnymi drzewami, których pni nie objęłoby nawet i trzech ludzi. Niezadługo drzewa poczęły rzednąć i naraz przed wędrującym rozpostarła się polana Funtinel, zielona, rozsloneczniona, wielka, szeroka, porośnięta murawą przestrzeń na wypłaszczeniu gór. Wokół niej wiekowe buki. A ponad wierzchołkami drzew oko sięgnąć mogło w dal wysoko aż po szczyt Pietrosz, dokąd prowadziła ścieżka, dalej do Gór Kelimeńskich i poprzez nie aż do szczytów Görgény.

Árszintya przystanął na polanie. Na moment zatrzymały się za nim i owce, po czym rozbiegły się po murawie. Piękna była tu trawa, stary przypatrywał się jej z zadowoleniem.

Dwaj starsi juhasi poszli naprzód z objuczonymi końmi i potem we trzech ze starym ruszyli ku zagrodzie. Dwaj młodszy zostali z owcami.

Tam, gdzie dolny skraj polany skłaniał się w dół ku wodzie Ilvy, znajdowała się zagroda. Była to stara zagroda, z mocno powbijanymi w ziemię palami, w środku z bujną trawą od dużej ilości owczych odchodów. Obok zagrody stał szałas, w którym robiono ser, i było też miejsce do spania z oddzielnym, niskim jednospadowym daszkiem. A poniżej zagrody, w odległości ledwie stu kroków szemrała czysta woda wypływająca ze źródła na Funtinel i spływała dalej strumieniem ujętym w sześć długich koryt, jedno koryto po drugim, tak że tworzyły się małe, wesołe kaskady. Za ostatnią kaskadą strumień z cichym szumem zniknął w choinach Ilvy.

Árszintya i dwaj juhasi podeszli do zagrody. Nasamprzód zdjęli z grzbietów koni ładunek. Przytwierdzone do drewnianych siodeł kocioł, cebrzyki, wiadra oraz inne narzędzia, potrzebne do wyrobu sera. Następnie kozuchy, sakwy, kaszę kukurydzianą i mnóstwo różności. Konie puścili wolno, żeby się pasły. Po czym weszli do szałasu, żeby uszykować wszystko jak należy.

Pierwszy postawił stopę na progu stary Árszintya.

– Boże, dopomóż! – wymamrotał wezwanie zgodnie z prastarym obyczajem, po czym stanął w drzwiach i rozejrzał się wokoło. Był tam stół, ławka, były też na swoim miejscu półki, niczego, ale to niczego nie brakowało. Lecz mimo wszystko coś przykuło jego wzrok. Poślanie w kącie było świeże. Świerkowe gałązki ledwie na nim zwiędły. Ktoś niedawno mieszkał w tym szałasie. Nie tylko zaszedł na jedną noc, jak jest w zwyczaju, ale mieszkał przez wiele dni. A nim odszedł, jeszcze i wymiótł śmieci, a miotłę oparł o ścianę. Była to nowa miotła z brzozowych różeg, świeżo zrobiona.

– Jest coś? – zapytał jeden z juhasów i stanął w progu za starym.

Stary nic się nie odezwał, tylko wskazał na poślanie.

– Ktoś tu spał – rzekł juhas, zajrzawszy do środka.

– Nie – stary Árszintya pokręcił głową – nie. Ktoś tu mieszkał. Nie mogli dalej zajmować się tą sprawą. Trzeba było wszystko rozlokować i zagonić owce do dojenia. Roboty było dość. Później jeden z juhasów zobaczył w dole przy źródle coś białego. Był to duży kawałek obrębnego grubego płótna domowego wyrobu, coś takiego, czego mieszkańiec krainy ośnieżonych szczytów używa jako chusty do wycierania się. Leżało to na trawie przy źródle tak, jakby ktoś to rozłożył, żeby wyschło.

Nie mieli czasu porozmawiać o tym. Trzeba było skończyć dojenie, a potem znów wypędzić zwierzęta, poprawić to i owo przy zagrodzie, wymienić jedną i drugą chwiejącą się żerdź, roboty było dość. Dopiero gdy już nastał wieczór i ze wszystkim się uporali, i leżeli na kozuchach wokół ognia, zaczął jeden z juhasów. Ten najmłodszy, imieniem Toma.

– Kto, do licha, mógł tu sobie zrobić siedlisko? Co?
– Jakiś myśliwy – rzekł stary – tak zwykli robić panowie latem.
– Mógł to być i przepadnik – wtrącił jeden ze starszych juhasów. Lecz Toma było odmiennego zdania.

– Panowie przed odejściem nie zamiatają w chacie, a przepadnik nie używa chusty do wycierania się.

– Ktokolwiek to był, musiał odejść w takim pośpiechu, że aż zapomniał tu chusty – dorzucił ktoś inny.

Później stary wszedł do szałas, żeby położyć się spać. Wokół ognia pozostało tylko czterech juhasów. Noc była cicha, łagodna. Lśniły gwiazdy. Skądś od strony skał na Szerecsen zmaćił ciszę głos wielkiej sowy. Naraz odezwał się Kosztáké, ów najstarszy młodzieniec, który pierwszy po starym przekroczył próg szałas. Dziwnym, zduszonym głosem rzekł:

– A jednak ten, co tu miał siedlisko, nie był ani myśliwym, ani przepadnikiem.

Było w jego głosie coś, na co pozostali nadstawili ucha.

– No to kto to był? – spytał Toma, ten najmłodszy.

– Niewiasta.

– Niewiasta? Co? Skąd wiesz?

Młodzieńcy w podnieceniu unieśli się na kozuchach i podparli się na łokciach. Oczy zaślniły im pożądliwie w blasku ognia, bo to słowo, ta myśl o kobiecie rozpałyły im wyobraźnię.

– Ależ tak, niewiasta – Kosztáké wyszeptał tajemniczo – i do tego wcale nie byle jaka niewiasta! Hę! Spójrzcie no tu!

I ostrożnie wyjął coś ze swego opaska. Rozwinął to i podstawił im pod nos. Młodzieńcy wybałuszali oczy, jednak niczego nie dostrzegli w ręce Kosztáké.

– Co ty głupców z nas robisz, przecie nic tam nie ma – burknął któryś.

– A niech to z tymi waszymi oczami! – fuknął kudłaty młodzieniec. – No nie widzicie?

I trzymając coś w węzłowatych palcach, pomachał im tym przed oczyma. Była to jakaś dziwna, cienka nić, długa, cienka nić, dziwnie błyszcząca w świetle ognia.

– A to co, u licha? – zadziwili się młodzieńcy.

– Co? Ano wciąż jeszcze nie widzicie? Włos, słuchajcie, złoty włos, z prawdziwego złota. Taki, jakie mają rusalki na Butce, które przy pełni księżyca tańczą nago na polanach, gołe jak je matka zrodziła!

Młodzieńcom słowa uwięzły w gardłach. Wytrzeszczonymi oczyma gapili się na owo cienkie, błyszczące dziwo, tam pomiędzy dwoma palcami Kosztáké.

– To włos, naprawdę? Pokaż go!

– Uważaj no! Tylko go nie zgub!

Po kolei brali go do ręki. Oglądali. Unosili w kierunku ognia. Był naprawdę ze złota, błyszczał. I był to włos, prawdziwy włos.

– Ty, gdzie go znalazłeś?

– Gdzie? Ano posłuchajcie! W szałasie. Na posłaniu. Ano dlatego tak mówię. Oddajcie go z powrotem, hę! Ja go znalazłem, mój on jest.

Młodzieńcy w milczeniu gapili się w dal. Wokół ognia zalegała cisza. Nocka napełniła się tajemniczością, w ciemności ponad ich głowami na niewidzialnych motyli skrzydłach unosiły się wspomnienia dawnych bajek, które tu i tam opowiadali starzy ludzie. Przy zimowym ogniu, ongiś. O rusałkach na Butce, które przy pełni księżyca wychodzą spośród skał i z gracją tańczą na murawie głęboko ukrytych polan, a kto te rusałki zobaczy, ten przemieni się w drzewo albo w zwierzę żywiące się trawą. Jak stało się to również z tym czy z tamtym, wtedy i wtedy, dawnymi, bardzo dawnymi czasy...

Milczeli, a wokół nich cisza drżała jak ktoś, kto widzi rusałki.

– Czyżby w szałasie mieszkała rusałka? – cichym, rozmarzonym głosem zapytał po pewnym czasie Toma, ten najmłodszy. – Nie do wiary, nie do wiary...

Kosztáké mruknął coś, po czym wstał, chwycił swój kozuch i schował się pod jednospadowy daszek. Po kolei poszli jego śladem i pozostali. Najdłużej pozostał przy ogniu Toma. A przecież już od dawna ogień nie płonął, już i żarzące się węgle zgasiła chłodna rosa nocy, a Toma wciąż jeszcze tam siedział. Potem gdzieś u górnego skraju polany podniosła alarm sarna. Spod zagrody zaszczekał na nią jeden z psów, a od tego wszystkie się poderwały i też zaczęły szczekać.

– Cicho tam! – fuknął na nie młodzieniec, po czym podniósł się i czym prędzej poszedł pod daszek na posłanie.

Nie można było dokładnie wiedzieć, kiedy to się stało. Później wzeszedł też księżyc, a jego upiornie biały blask zajaśniał na śpiących młodzieńcach. Pierwszy przebudził się Toma. Przebudził się nagle, nie wiedząc, z jakiego powodu. Przed zagrodą siedział wielki czarny pies – na pierwszy rzut oka można go było wziąć za starego Csobána, ale jednak to nie był on – i z uniesionym łbem spoglądał w księżyc, wyjąc osobliwym, niskim głosem. Pozostałych psów nie było słychać, jakby zapadły się pod ziemię. Tylko ten wielki czarny pies siedział przy zagrodzie i wył do księżyca.

Toma usiadł. Czuł, jak bije mu serce. Czuł, że się przestraszył, lecz nie wiedział jeszcze czego. W blasku księżyca twarze trzech pozostałych młodzieńców przypominały oblicza umarłych.

Chciał zawołać na psa, bo w pierwszej chwili myślał, że ten, co tak wyje przed zagrodą, to Csobán. Jednak w końcu zobaczył, że to nie Csobán, a jakiś obcy pies, większy i czarniejszy od Csobána. I jak tak z podniesionym łbem wył do księżyca, oczy miał czerwone, a z pyska dobywał mu się niebieski płomień. Wszystko to było osobliwe, to przebudzenie i ten księżyc, i ten obcy czarny pies.

Toma czuł, że przebiegają mu po ciele dreszcze i szcękają mu zęby. Wyraźnie to sobie potem przypominał, że jakaś niewytłumaczalna siła ściągała jego wzrok w dół ku korytom. Nawet i musiał obrócić się na drugi bok, żeby tam dojrzeć. Ale wcale nie obrócił się sam z siebie, obróciła go jakaś czarodziejska siła. I wtedy naraz było tak, jakby przemienił się w kamień. Albo w drzewo, jak w dawnych bajkach. Przy korytach, dokładnie pomiędzy drugim a trzecim, tam gdzie woda spada najobficiej, stała rusałka i pryskała wokół siebie wodą.

Następnego dnia, kiedy o tym wszystkim opowiadał, przysięgał, że tak było: przy największej kaskadzie kąpała się rusałka. Była naga, jak ją matka zrodziła, a na jej długich złotych włosach lśnił księżyc. Błyszczały też krople wody, kiedy się opryskiwała, jakby obsypywała siebie mnóstwem lśniących pereł. Nareszcie jednak odezwała się. Nie głosem, to właśnie było w tym straszne. Jakoś tak inaczej przemówiła. Ale mimo to usłyszał we własnym uchu, jak zapytała: „Pasterze, gdzie się podziała moja chusta do wycierania?”

Toma przysięgał, że tak było. Rusałka tam w dole przy kaskadzie odwróciła się ku niemu i choć nie można było usłyszeć jej głosu, zapytała: „Pasterze, gdzie się podziała moja chusta do wycierania?”. A on nie mógł uczynić nic innego, musiał podnieść się z kozucha, zdjąć chustę z gwoździa i ponieść ją tam do rusałki.

Gdy później wracał do tego myślami, to jakby owego czarnego psa nie było już wtedy przy zagrodzie. Nie słyszał jego wycia. Panowała cisza. Słyszał jedynie własne kroki, jak szedł po trawie w dół, i odgłos wody w dole.

Rusałka stała pomiędzy drugim a trzecim korytem, przy kaskadzie, i czekała na niego. Szedł, jak idą umarli albo jak lunatycy. Nic nie czuł, a głowę miał wewnątrz chłodną i pustą. Podszedł do niej całkiem blisko i zatrzymał się. Rusałka spojrzała nań, jej oczy paliły.

– Daj no mi tu, dobry pastuszk, tę chustę.

Czuł, że ręka mu się wyciąga, choć nią nie poruszył, i w jego ręce była chusta. Rusałka wzięła od niego chustę. Wcale nie było czuć jej ręki, taka była lekka, kiedy wyciągnęła ją po chustę. Pod pachą rusałki mienił się złoty puch.

– Dziękuję ci, pastuszk.

A on tylko tak stał nieruchomo, niczym przemieniony w kamień albo w drzewo, jak to bywa w bajkach.

– Co mi się tak przyglądasz, pastuszk? Piękna jestem? Podobam ci się?

Właściwie dopiero wtedy po raz pierwszy usłyszał głos rusałki. Był to głos cichy, gruchający, a w ślad za nim wyleciały jej z ust malutkie bąbelki tłumionego śmiechu. Usta miała czerwone, zęby błyszcząły jej bielą, ciało zaś było takie, jakiego nawet we śnie nie ujrzy mężczyzna.

– Podobam ci się, pastuszk? Odpowiedz! I on odpowiedział:

– Tak.

Słyszał też własny głos, bezbarwny, głuchy. A mimo wszystko było to takie

jak we śnie.

– Chciałbyś mnie objąć? Tak? Odpowiedz!

I on znów odrzekł tym bezbarwnym, głuchym głosem:

– Tak.

Rusałka poczęła się śmiać, dziko potrząsając głową, a jej długie złote włosy migotliwie zafalowały w blasku księżyca. Nareszcie podeszła do niego, całkiem blisko, miękko i bez hałasu, jakby wcale nie dotykała ziemi stopami, i pochyliła się ku jego twarzy. Tak blisko, że czuł zapach jej skóry, jakiś osobliwy i odurzający zapach, który był niczym woń brzoź i posłonków w ocienionych kotlinach.

Pochyliła się ku niemu tak blisko, że przeżącą się piersią musnęła jego rękę, a ten dotyk sparzył mu skórę jak gorejący żar, drgnął odeń i całe ciało przeszył mu ból.

– Głupi pastuszek – szepnęła rusałka, a jej głos brzmiał jak jakaś osobliwa, wywołująca dreszcze muzyka – i ja ciebie požądam, bo jesteś młody i ładny. Ale nie wolno, wiesz, bo ten, kto mnie obejmie, umrze, głupi pastuszkule... Raczej śpij i o mnie śnij, śpij i śnij, śpij, śpij...

Tyle wiedział Toma z tego, co zdarzyło się tamtej nocy na Funtinel. I przysięgał, że wszystko do tego momentu tak właśnie było, co do słowa. I niczego więcej nie pamiętał. Pozostali byli w stanie dodać do tego to, że kiedy się przebudzili, wszyscy trzej niemal jednocześnie, Csobán skamlał u ich nóg i powarkując, nadstawiał ucha w kierunku koryt. Gdy tam popatrzyli, z początku niczego nie dojrzel, choć Kosztáké wydawało się później, że przypomina sobie i to, że wielkiemu czarnemu psu buchał z pyska płomień, a ciało nagiej kobiety błyszczało w blasku księżyca zupełnie tak, jakby pokrywały je rybie łuski, jej złote włosy zaś długo za nią powiewały, i nawet jeszcze w dole, pośród ciemnych drzew świeciły przez jakiś czas.

Ale dwóch pozostałych nic z tego wszystkiego nie widziało. Tylko tak gapili się w dół w księżycową noc, na koryta, na mieniącą się wodę i poniżej na czarny las. Nareszcie po pewnym czasie nieco dalej od kaskady, pomiędzy drugim a trzecim korytem zobaczyli na ziemi coś nieruchomego. Miało to inny kolor aniżeli trawa i nie lśnił na tym blask księżyca, choć trawa była już wtedy pokryta rosą i wszędzie lśniła. Zdawało się, jakby leżał tam jakiś pień albo też płaski odłam skały. Lecz wszyscy wiedzieli, że nie ma tam ni pnia, ni odłamu skały. I dlatego wszyscy przyglądali się temu nieruchomemu czemuś i czuli, że serca biją im głośnie. I nie wiedzieli dlaczego. Potem chcieli zbudzić również Tomę i spostrzegli, że jego miejsce jest puste.

Csobán wciąż jeszcze skamlał u ich nóg i on też ciągle popatrywał w kierunku koryt. Patrzył na to coś, co tam leżało, i z powodu tego czegoś był niespokojny. Najpierw oprzytomniał Jákob, który podług wieku następował po Kosztáké.

– Musimy sprawdzić – rzekł – a niech to zgryzota, musimy sprawdzić, co to tam jest.

Po czym chwycił swój kij i wstał. Gwizdnął na psy. Te, szczekając, poderwały się spod ściany zagrody i wraz z Csobánem poczęły biec w dół ku korytom. I coraz mocniej szczekały. Na to wstał również Kosztáké, a także Jonica. Chwycili kije i poszli za Jákobem. Lecz obaj czuli, że się boją. Było coś niezwykłego, tajemnego i strasznego w tej czystej, księżycowej nocy.

No a to coś, co leżało w trawie przy kaskadzie, to był Toma. Najpierw myśleli, że coś mu się stało. Może właśnie umarł. Ale on tylko spał. Na pierwsze potrząśnięcie otworzył oczy.

– Co? Co to? – zapytał, rozglądając się wokoło jak ktoś, kto widzi diabły i aniołów. Ano tak to było.

Tamtej nocy na powieki juhasów sen już nie przyszedł. Zawinięci w kozuchy leżeli na posłaniu pod daszkiem i ledwie mieli odwagę, żeby choćby szeptać. Wierzyli i zarazem nie wierzyli w to, co Toma mówił o rusałce. Jednak Toma zaklinał się, że jednego nawet słowa nie skłamał, wszystko jest prawdą, tak jak opowiedział. A później także i Kosztáké zaczął sobie przypominać, jakby rzeczywiście widział tamtego czarnego psa, galopującego na skraju lasu i niosącego na swym grzbiecie jakąś kobietę o nagim ciele pokrytym łuskami... Nie mogli już zasnąć. Leżeli tam i drżeli, i nawet na jeden moment nie spuszczały wzroku z koryt.

Na szczęście wnet poczęło świtać. Blask księżycy zastąpiła mglista szarówka poranka. Naraz wszystko zdało się bardziej rozsądne. Zaczęli zastanawiać się nad całą tą sprawą. Czy Toma aby nie śnił? I czy aby nie chodził we śnie, podobnie jak lunatycy? Po czym wszystkim przypomniła się owa chusta do wycierania. Popatrzyli na gwóźdź, na którym powiesili ją wieczorem. Wszyscy czterej popatrzyli tam jednocześnie i naraz zaparło im dech. Jakby jakaś zimna jak lód ręka ścisnęła ich za gardła, o tak właśnie. Chusty nie było.

Potem zaczęli jej szukać. A nuż spadła albo zabrał ją któryś pies. Lecz chusty nigdzie nie było. I na próżno począł już świtać trzeźwy poranek, ze śmiertelną pewnością wiedzieli wszyscy czterej, że rusałka rzeczywiście tam chodziła.

Ciężko szła tego dnia praca. Ich myśli nie usiedziały przy owcach. Zwłaszcza Toma był milczący, a podczas dojenia często przystawała mu ręka. Nie dało się długo utrzymać tej sprawy w tajemnicy. Chyba Jonica był tym, który o wszystkim opowiedział staremu. Sędziwy Árszintya uśmiechał się z powątpiewaniem, wreszcie pokręcił głową.

– Toma przejadł się wieczorem mamałygi z twarogiem, to od tego śniły mu się takie głupstwa.

Lecz wszyscy młodzieńcy zgromadzili się wokół niego i zapewniali go

o nagiej białogłowie, pokrytej rybią łuską, i o czarnym psie, i że zniknęła też chusta. Árszintya tylko się naśmiewał i z lekceważeniem machał ręką.

– Może ruszałek nie ma, wujku Árszintya? – zapytał Kosztáké.

– No, no! Tego nie mówię. Ale takich z rybimi łuskami i z czarnym psem to w żadnym wypadku nie ma. Już od trzydziestu kilku lat przychodzę tu na Funtinel i co prawda też widywałem raz i drugi nagą białogłową, ale z tymi nie było niczego tajemniczego. No. Czemuż więc teraz raptem miałyby być inaczej? Ty zaś, Toma, nie jedz tyle na wieczór. A gdyby mimo wszystko przyśniło ci się coś takiego, to uciekaj na jeden dzień na dół do wsi, do dziewcząt. Wszak to ci dolega.

Tak zapatrywał się na tę sprawę stary Árszintya.

Minął dzień. Wieczorem, gdy skończyli z owcami, bez słowa zasiedli przy ogniu. Nie rozmawiali o tym, ale wszyscy czterej myśleli o jednym i tym samym. Powietrze było parne, a i cieplejsze już. Wiatr nie zawiął nawet jednym podmuchem. Z doliny Ilva dochodził w górę szum potoku.

– Pojutrze będzie deszcz – rzekł stary i tamtego dnia szczególnie wcześniej wstał od ognia i schował się do szałas.

Zostali sami, we czterech przy ogniu. Wieczór z wolna przeszedł w noc, zagęściły się gwiazdy na niebie, a na lesie rozpostarła się miękka czarna chusta. Panowała cisza. Czterej młodzieńcy siedzieli przy ogniu, żaden się nie odezwał. Lecz ich oczy z drżeniem zerkwały czasem w dół ku korytom, jakby kogoś oczekiwali z tamtej strony. Od czasu do czasu w zagrodzie poruszyła się i zakaszlała jakaś owca. Niekiedy też zadźwięczał cicho dzwonek. Psy spały.

Gdy ogień przygasał, dorzucali doń nowego drewna. I siedzieli wokół niego, nie odzywając się nawet jednym słowem. Wiele, bardzo wiele czasu musiało tak upłynąć, nie dało się określić ile. W drżącym świetle gwiazd na polanę spływała chłodna rosa. Nareszcie na wschodzie u spodu nieba pojawiła się jasna plama, która wciąż rosła. Wyłoniły się z niej zarysy poszarpanych szczytów. I powoli na wierzchołku Pietrosz zasiadł księżyc, podobny do jakiegoś ogromnego czerwonego jaja. Powstał zupełnie osobliwy brzask. Wyraźnie widać było kolibę, pojedyncze pale zagrody, koryta w dole i mieniącą się w korytach wodę. Widać było całą wielką pustą polanę i czarny skraj lasu, i czarne wierzchołki jednej i drugiej choiny, jak dźgały one księżyc.

Nie wiadomo, który pies to rozpoczął, ale raptem jednak wszystkie siedziały przed zagrodą, z uniesionymi pyskami gapiły się w księżyc i wyły. Ich głos był upiorny i wywoływał ciarki na plecach. Niekiedy nad psami kołowała sowa, lecz wcale nie było słyhać jej skrzydeł.

Tylko tak nadlatywała i odlatywała. Nadlatywała i odlatywała.

– Cicho tam, do cholery! – Kosztáké fuknął na psy i rzucił w nie kawałkiem drewna. Psy umilkły. Nastąpiła cisza. Tylko księżyc siedział na szczycie Pietrosz, czerwony, i próbował się podnieść z wolna. I wtedy naraz postyszeli śpiew.

Nie dało się określić, skąd dochodził. Nawet i tego nie można było wiedzieć, czy był tam gdzieś naprawdę, czy nie, czy to tylko cisza, nocka i księżyc razem odgrywały coś, co napawało zabobonnym strachem. Toma pierwszy go usłyszał.

– Słyszycie go? – wyszeptał i w przestrachu wyteżył wzrok. Wszyscy go słyszeli. Drżący blask ognia i blady księżyc zaśniły naraz odbiciem w czterech parach osłupiałych oczu. Młodzieńcy wstrzymali oddech. Gdzieś śpiewała kobieta. Bez słów, jakąś nieznaną pieśń. Jakąś pełną bólu, rozdzierającą serce, smutną pieśń, której nigdy dotąd nie śpiewały kobiety.

– Ojej – jęknął Toma, ten najmłodszy – ojej...

Psy z uniesionymi łbami siedziały przed zagrodą i nasłuchiwały. One też posłyszały, jak gdzieś z czarownego świtania u kresu nocy popłynęła owa pieśń. Jednak nie czekały. Tylko tak siedziały i strzygąc uszami, wsłuchiwały się w ten głos.

Ktoś śpiewał. Lecz nie wiadomo było gdzie. Czy blisko, czy daleko? Gdzieś w górze na polanie? Czy pośród lasów? Albo ponad drzewami? Na księżycu? Nie dało się tego powiedzieć. Czasem zdawało się, jakby ów śpiew nadchodził z zagrody, z całkiem bliska. Innym razem jakby z promieniami księżyca niósł się z nieskończonej dali, gdzieś z najciemniejszych czeluści lasów lub z wyraźnie zarysowanego szczytu Pietrosz, albo może z samego księżyca. Gruchał cicho i ze skargą, jakby ktoś wyszeptywał w noc swoją zgryzotę, a ta, przemieniona w pieśń, płynęła w dal jak woda niewidzialnego potoku wijącego się pomiędzy czarnymi brzegami ciszy. Ktoś gdzieś śpiewał.

Nareszcie Toma wstał. Nic się nie odezwał, tylko wstał i można było zobaczyć, że trzęsą mu się kolana. Nie sięgnął po swój kożuch, tylko stał wyprostowany i wsłuchiwał się w ów głos. Potem ruszył.

– Dokąd idziesz? – jeden z młodzieńców rzucił za nim w przestrachu.

Toma nie odpowiadał, tylko szedł. Minął zagrodę i w blasku księżyca można było zobaczyć, że przeciął polanę, kierując się w stronę lasu.

– Toma! Toma! – zawołali za nim, lecz on nie odwrócił się, tylko szedł. Szedł i szedł, a w końcu zginął w nocy.

Patrzyli za nim zastygli w przerażeniu. Po czym więcej nie rozmawiali, tylko siedzieli wokół spopielatego ognia i nasłuchiwali. Jeszcze przez jakiś czas słyszeli ów osobliwy śpiew. W końcu przepadł on w ciszy. Nie wiedzieli, kiedy się skończył, bo jakby wcale się nie skończył, tylko ucichł z wolna, aż w końcu słyhać go było, jak dźwięczał i gruchał już tylko w ich uszach, mózgach, struchlałych sercach, i naraz poczuli, że panuje cisza, głucha, ślepa cisza.

Spojrzeli po sobie. Nie odezwali się, tylko przez dłuższą chwilę patrzyli na siebie i czekali, żeby ów śpiew znów się odezwał. Lecz ten więcej się nie odezwał. Wszędzie wokoło była tylko cisza i noc, i księżyc, wspinający się coraz wyżej, i wilgotne opary nocy, szerokim kołem gromadzące się wokół księżyca.

Do rana siedzieli tam w milczeniu i czekali. Lecz ów głos nie powrócił. I nie przyszedł też Toma. Bliżej świtu zebrała się mgła, która przesłoniła księżyc. Nie rozproszyła się nawet i później. Wreszcie trzeba było wypuścić owce, a Tomy wciąż nie było.

Kiedy stary Árszintya wyszedł z koliby, las okrywała szara mgła. Poprzez tę mgłę słońce żarzyło się niczym wielka czerwona kula. Juhasi akurat pędzili owce do wody. Było ich tylko trzech.

– Toma gdzie jest? – zapytał później, gdy zabierać się mieli do dojenia.

W mieszanii i zacinając się, opowiedzieli mu o tym, co zdarzyło się nocą. Stary gniewnie machnął ręką i coś mruknął. Wzięli się do dojenia. Lecz Toma nie zjawił się nawet i potem. Skończyli doić, wygonili owce, żeby się pały, a Tomy nadal nie było. Mgły po kolei unosiły się, rozpraszały się po niebie, słońce przygrzewało gorąco, a Toma nie wracał. Nadeszło południe. Trzej młodzieńcy bez słowa zajadali łyżkami żentycę, przygryzając do niej mamałygę, i unikali wzajemnych spojrzeń. Milczał również stary. Dopiero kiedy odstawił przed sobą na ziemię gliniany talerz, rąbkim koszuli wytarł łyżkę, wówczas zapytał:

– W którą poszedł stronę? Młodzieńcy spojrzeli po sobie.

– W kierunku Sztrug, chyba... – niepewnie rzucił jeden z nich.

– Zgadza się – potwierdzili dwaj pozostali – w kierunku Sztrug, tam.

Stary westchnął, podźwignął się z ziemi, odszukał swój kij i ruszył w drogę. Tak w połowie polany raz jeszcze spojrzął wstecz i gwizdnął na psa.

– Csobán, no! Chodź, Csobán, no! Po czym obaj zniknęli w lesie.

Później młodzieńcy wygnali owce. Umyślnie popędzili je w kierunku Sztrug, żeby wcześniej móc zobaczyć starego, jak będzie wracał. Stali tam obok siebie, wsparci na kijach, pod skrajnymi bukami, i obserwowali las. W półmroku drzew czaiła się jakaś dziwna tajemniczość. Niekiedy cicho zadźwięczał dzwonek owcy, ale nawet i on jakoś tak nie całkiem wyraźnie, spokojnie, jak zazwyczaj.

Słońce poczynąło przechylać się już w dół, a i zbliżała się pora wieczornego dojenia, gdy na skraju lasu ukazał się stary. Wyszedł zeń trochę wyżej aniżeli to miejsce, gdzie na niego czekali. Był sam. Za nim włókł się pies.

Nie podszedł do nich, tylko kiwnął, żeby z powrotem zagonili owce, i ruszył prosto ku zagrodzie. Gdy dotarli z owcami na dół, czekał na nich przy bramie zagrody. Pomógł zamknąć zwierzęta, a kiedy i to było gotowe, odezwał się do Jonicy. Oblicze miał bardzo poważne.

– Słuchaj, Jonica. Po dojeniu zejdiesz do wioski. Przekażesz baronowi wiadomość, żeby przysłał na górę ludzi, którzy znieśliby Tomę. I dasz znać jego rodzicom.

W młodzieńcach zastygła krew. Twarze im poszarzały i tylko patrzyli na starego, a z ust nie dobyło się im ani jedno słowo.

– Jest tam pod wielką skałą, na Sztrug. Pies na niego natrafił. Spadł i połamał

się.

Następnego ranka wraz z Jonicą przyszło z wioski na górę czterech ludzi oraz ojciec Tomy. Towarzyszyło im również dwóch żandarmów. Zaszli ze starym Árszintya na Sztrug i pod wielką skałą znaleźli Tomę. Leżał na omszałych kamieniach, pośród paproci. Upaść musiał z wysoka, bo bardzo się potłukł. Podnieśli go, przywiązali do drągów i zabrali na polanę Funtinel. Tam żandarmi spędzili razem młodzieńców i ci musieli opowiedzieć wszystko, co wiedzieli. Ze zmarszczonymi czołami słuchali żandarmi opowieści o rusałce i śpiewie, a niekiedy gniewnie młodzieńcom przerywali. Lecz tamci nie umieli powiedzieć nic więcej.

– Na skutek nieostrożności doszło do wypadku – stwierdził ostatecznie starszy żandarm i dał rozkaz do wymarszu. Ludzie w milczeniu podnieśli nosze i pochód ruszył w dół poprzez Funtinel i halę Kóbor. Z przodu szli dwaj żandarmi, z tyłu ze zwieszoną głową ojciec Tomy.

Przez cały dzień młodzieńcy w milczeniu wykonywali swoje prace. Także stary w ciszy krzątał się przy serach. O Tomie słowo nie padło, jednak to o nim ciągle myśleli. Po południu przyszło na górę kilku ludzi ze wsi. Po ser, owczy twaróg. Gospodarze od owiec, na których w tym tygodniu przypadała kolej. Od nowa i wciąż od nowa musieli im opowiadać o tym, co zdarzyło się z Tomą. Ludzie kręcili głowami, mruzcili coś, a niektórzy z nich przypominali sobie dawne historie, jakie ongiś opowiadali dziadowie i starzy pasterze, wypasający owce na Pietrosz, a w tych opowieściach zdarzały się podobne rzeczy. Ktoś przypominał sobie nawet i to, że wuj Minya, który z trzymanym latem, zimą pod gołym niebem stadem rogacizny chadza wysoko na płasń Brádu, mówił przed kilkoma laty, zimą, w karczmie, że daleko pośród skał Butki i dziś żyją mary oraz podobne dziwne i tajemnicze istoty, które czasem straszą śmiertelnego człowieka. I że to, a i owszem, nie jest niemożliwe.

Tamtego wieczoru rozpadało się. Już po południu niebo zachmurzyło się, zrobiło się jednobarwnie szare, a tak około zachodu słońca zaczęło mżyć. Świat stał się nieprzyjaźnie wilgotny i młodzieńcy ściągnęli pod daszek nad miejscem do spania, zawinęli się w kożuchy i słuchali, jak deszcz stuka w poszycie z łubu. Noc była gęsta i ciemna, niema i nieruchoma. Sen z trudem przychodził na ich powieki. Raz zaczęły też szczekać psy i Kosztáké wychynął z kożucha, wstał i zawołał na nie tak, jak się woła, gdy zagrodę trzeba obronić przed niedźwiedziem.

– Ho, hooo! Biegnij! Bierz go! Ho, hooo! Ho, hooo!

Psy, ujadając, popędziły w kierunku Sztrug, ale niezadługo powróciły i w ciszy grzebały sobie legowisko pod okapem daszka. Także Kosztáké położył się na powrót. Panował nieprzenikniony mrok i nieprzerwanie padał deszcz.

– Szczekały w stronę Sztrug – po jakimś czasie odezwał się Jonica.

Młody podniósł się na łokciu, na kożuchu.

– Myślisz, że...?

Nie wymówił tego, lecz obaj starsi wiedzieli, o czym myśli młody. Nie odpowiedzieli na to. Leżeli w milczeniu i słuchali deszczu. Nareszcie po kolei zasnęli. Nic więcej nie zdarzyło się tamtej nocy.

Następnego dnia padało bez przerwy. Wszystko było przemoczone i nieprzyjemne.

Jeszcze i kolejnej nocy mżyło, ale było to już raczej tylko opadanie mgły. Rankiem chmury jednak się rozbiły i w końcu zaświeciło słońce.

Okolo południa przybył nowy juhas, którego wioska najęła na miejsce Tomy. Był to wesoły, smukły młodzieniec, wołali go Gligor. Cisnął swój tobołek pod daszek i pogwizdując, obejrzał owce oraz zagrodę. Stary Árszintya objaśnił mu porządek, a na koniec jeszcze tak powiedział:

– Tylko żeby mi tu nie było żadnego łażenia nocą, rozumiesz? Nawet jeśli coś usłyszysz, zatkaj sobie uszy i śpij!

Młodzieniec roześmiał się i rzekł rozbawiony:

– Nic się nie bójcie, wujku Árszintya! Dla mnie to przyśpiwywać może tyle białogłów, ile tylko jest ich na świecie, wszystkie! Najwyżej jaką złapię, rzucę na trawę, no i gotowe! Ajajaj, białogłowy, białogłowy! A rusałek nie ma, to tylko takie bajki!

Stary nie odezwał się więcej, milczeli też młodzieńcy. Powietrze było nadzwyczaj czyste, słońce ciepło przygrzewało, góry wszędzie stały w błękicie, nawet i te bardzo oddalone. Widać było, że deszcz już nie powróci. Także i wieczorem wszystko wskazywało na to, że utrwali się dobra pogoda. Po zachodzie słońca powietrze trochę się oziębiło, powiał też chłodny wiaterek, a nim rozblęły gwiazdy, pojawiła się rosa.

Znów we czterech leżeli pod daszkiem. Trzej milczeli, jednak Gligor, ten nowy juhas, długo wiercił się pomiędzy nimi. Pogwizdywał sobie, nareszcie zaczął opowiadać rozmaite zabawne historie, które zdarzyły się tam w dole, we wsi, i wcale mu nie przeszkadzało, że sam jeden śmieje się z własnych opowieści. Później w końcu również i on ucichł i niezadługo już spał, głośno pochrapując.

Kosztákégo pierwszego przebudził ów głos. Było ciemno, jeszcze nie było widać księżyca. Tyle że gwiazdy siały w noc odrobinę jasności. Kosztáké usiadł, nasłuchiwał. Śpiew słyhać było całkiem wyraźnie. Był to ten sam dziwny, gruchający, miękki głos, ta sama beżmiernie smutna melodia, jak wtedy. I dochodziła od strony Sztrug.

Potrząsnął młodzieńcem leżącym obok.

– Słyszysz go? – zapytał szeptem.

Po czym wszyscy trzej siedzieli rozbudzeni i wsłuchiwali się w śpiew, cicho sączący się ku nim poprzez noc. Tylko Gligor wciąż jeszcze chrapał.

– Potrząśnij nim, żeby przestał. Jonica gniewnie potrząsnął śpiącym.

- He! He? Co?
- Cicho bądź! Nie słyszysz?
- Co?

Śpiew miękko falował ku nim. Jakby to sama ciemność śpiewała gdzieś pośród lasów.

- To to? – spytał Gligor i usiadł na swoim kozuchu.
- Tak.
- Ta rusałka?
- Cicho bądź...

Gligor roześmiał się gburliwie i wstał. Szarpnął nieco paskiem przy portkach, po czym wyszedł spod daszka.

- Gdzie idziesz? – Kosztáké rzucił w przestrachu.
- Gdzie? Przyprawdzą wam tę białogłową. Wciśniemy ją tu pomiędzy siebie, żeby grzała. Zobaczymy, co potrafi taka „rusałka”...

Z tym samym gburliwym śmiechem ruszył w kierunku lasu. U węgła zagrody jeszcze się zatrzymał, nasłuchiwał, skąd dolatuje głos.

- Nie szalej, Gligor! Wracaj! Pomyślże o Tomie!

Na przełęcznione okrzyki juhasów odpowiedział jedynie szyderczym wybuchem śmiechu, i po chwili jego wysmukłą postać pochłonął mrok nocy.

Siedzieli pod daszkiem we trzech, osłupiali. Kosztáké cicho zaklął. Wszyscy wsłuchiwali się w ciszę. Niegłośny śpiew dochodził jeszcze przez jakiś czas, ale już jakby z dużo większej dali, i melodia była samą tajemnicą i niepokojem, to wabiąco miękka i smutna, to poszarpaną niczym skaliste grzbiety Sztrug, pod którymi czatuje przybrana w czerń śmierć. Naraz pieśń się urwała. W ciszy słyszeli jedynie własne oddechy i od czasu do czasu cichy kaszel jednej i drugiej owcy.

Siedzieli, nasłuchiwali i czekali. Czas wtulił się w ciszę i nie można było powiedzieć, czy upłynęło go dużo, czy mało. Raptem poruszył się Kosztáké i wstał.

- Gdzie idziesz? – przestraszyli się dwaj pozostali.
- Powiem staremu – Kosztáké odrzekł ochryple i ruszył w kierunku koliby.

Otworzył drzwi. – Wujku Árszintya! Wujku Árszintya!

Stary drgnął na posłaniu.

- He!... Co się stało?
- Gligor, ten nowy, odszedł.
- A gdzież to?
- Za śpiewem. Jak Toma, tak samo.
- A niech to diabli!

Przez kilka chwil panowała cisza, nareszcie stary zaczął się grzebać. Potem stanął przed młodzieńcem w drzwiach.

- Znów to słyszeliście?
- Tak.

– Gdzie?

– Na Sztrug. Jak wtedy.

Stary wcisnął kapelusz na głowę i odszukał kij pod ścianą.

– Na Sztrug, mówisz? Tam poszedł ten chłopak?

– Tam.

Stary gwizdnął.

– Csobán! No, Csobán! Chodź! Pies wychynął spod zagrody.

– Mam pójść i ja, wujku Árszintya?

– Nie trzeba.

– Ale...

– Nie trzeba – stary fuknął niecierpliwie, po czym ruszył w drogę. Jeszcze przez jakiś czas widać było, jak podąża obok zagrody, za nim pies. Nareszcie i on znikł w ciemności. Wokół Pietrosz nieznacznie poczęło przebijać blade lśnienie. To księżyc, gdzieś tam, za górami, zapowiadał swoje przyjście.

Stary powoli wszedł pomiędzy drzewa. W lesie panowała nieprzenikniona ciemność, drzewa raczej tylko się czuło, aniżeli widziało. Pies niespokojnie węszył wokoło.

– Szukaj go, Csobán, szukaj go...

Las zaczął kłonić się ku dołowi. A tam daleko w dole słychać było potok. Niekiedy zatrzeszczała gałąź. Gdzieś z hałasem popędziło zwierzę. Stary z wolna podążał w dół. Macał drzewa, obserwował gwiazdy, przenikające pomiędzy koronami drzew. Dwa razy nawet i zawracał. Wreszcie natrafił na górski grzbiet.

– Szukaj go, Csobán, szukaj go... Pies cicho skamlał.

Kiedy wyszli z lasu i dotarli do skał, wschodził księżyc. Był wklęsnięty niczym zmiażdżone jajo, z którego wyciekło życie. Drzewa przeredziły się i w bladej poświacie skały wyciągnęły się niby członki jakiegoś martwego olbrzyma. Ciemne i twarde. Grań była wąska i śliska od rosy. Stary ostrożnie posuwał się naprzód. Niekiedy przystawał i nasłuchiwał. Niekiedy zachęcał psa.

– Szukaj go, Csobán, szukaj go... Szukaj go, Csobán, szukaj go...

Pies węszył z nosem przy ziemi, nareszcie znalazł trop. Dotarli do ogromnej skały. Wtedy księżyc opuścił już szczyt Pietrosz i swym białym blaskiem ośnieżył nagie skalne osuwiska. Gdzieś odezwała się sowa, jej głos przeszył ciszę dreszczem.

Pies okrążył ogromną skałę i po jednej z bocznych grani ruszył w dół. Od czasu do czasu zatrzymywał się, czekając na swojego pana. Skamlał cicho.

– Szukaj go, Csobán, szukaj go... Szukaj go, Csobán, szukaj go...

Potykać się, mijali rumowiska. Pod nimi ziewały czarne otchłanie, idąca z nich woń wilgotnego mchu wypełniała powietrze. Nareszcie pies jednak się zatrzymał. Nasłuchiwał z uniesionym łbem, cicho powarkując.

Stary podszedł doń i położył mu rękę na głowie. Wyteżył słuch. Gdzieś

spośród skał przenikały ciche głosy. Teraz już to on szedł przodem, a pies za nim. Ostrożnie, żeby gdzieś nie poruszył się jakiś kamień, żeby stawiany po omacku krok nie pobłądził w czeluść.

Sforsowali kilka bloków skalnych, ominęli rumowisko i dotarli na mały ostry grzbiet, w który wczepiło się kilka karłowatych sosen. I wtedy naraz wyraźnie usłyszał rozmowę. Tam pod górskim grzbietem, całkiem blisko.

Spojrzał w dół. Księżyc rzucał swój blask w małą, wąską kotlinkę, której spód zapchany był ciemną sosnową gęstwiną, powyżej zaś piętrzyły się ostre skalne ściany, ich poszarpane kontury sięgały w górę aż po niebo. To stamtąd szedł głos, z dołu.

Árszintya ostrożnie spuszczał się w kotlinę. Pod jego nogami poruszył się kamień, zaczął się toczyć i ze stukotem uderzył na dole w skałę. Rozmowa ucichła. Po czym gdzieś odezwał się głos kobiety, cicho, lecz wyraźnie i pewnie.

– Na prawo. Tam, gdzie jest ta mała brzoza. To tam prowadzi ścieżka.

I nic więcej. Stary odszukał brzozę. Była tam ścieżka, w samej rzeczy. Łukiem skręcała w dół w kotlinę i dlatego, nim jeszcze dotarł do jej środka, już zobaczył kobietę, która się odezwała. Siedziała u wylotu szerokiej jaskini, księżyc rzucał blask na jej twarz. Dalej, oparty o skałę, stał młodzieniec, przygarbiony jak ktoś, kogo przycisnął ciężar bezmiernego zmęczenia.

Stary Árszintya dotarł na dół przed jaskinię. Za nim pies. Tam zatrzymał się i przyglądał się kobiecie, a kobieta jemu. Wydawała się młoda. W każdym razie, gdy księżyc rzucał blask na jej twarz, nie widać było nawet śladu zmarszczek. Tylko oczy miała wielkie i głębokie i było w nich, w tym, jak patrzyły, coś osobliwego. Coś, od czego człowieka przechodzą ciarki po plecach. Była bosa, a jej ubranie wyglądało na mocno znoszone. Głowy nie przykrywała chustka i potargane włosy w sposób nieokiełznany spadały jej z ramion, niemal po pas całkiem przykrywając kobietę. I błyszczały w blasku księżyca, dziwnie, jakby to wcale nie były włosy, a całe mnóstwo cieniutkich jak włos złotych nitek. Obiema rękoma obejmowała kolana i tak oto siedziała przed czarnym otworem jaskini i przyglądała się.

– To z jego powodu przyszliście? – spytała tym czystym, miękkim i melodyjnym głosem, który jakby całą skalną kotlinę napełnił na kilka chwil muzyką.

– Tak – odrzekł Árszintya – to z jego powodu przyszedłem. Nie chcę, żeby i jego spotkało to, co...

Kobieta przerwała mu. Jej głos był nieco twardszy:

– Usiądź! Jesteś sędziwym człowiekiem, zatem usiądź! Przykro mi z powodu tego, co zdarzyło się z tamtym drugim, jednak nic na to nie poradzę. Usiądź, starcze, nie znam twojego imienia.

– Dziękuję – odparł stary – nie usiądę. Przyszedłem tylko po tego chłopaka.

Zabiorę go z powrotem, bo nie ma tu czego szukać. Czemu śpiewasz nocami i czego tu właściwie szukasz?

– Czekaj! Ten chłopak nie może jeszcze odejść. Mamy z sobą sprawę do załatwienia. Powiedz no – gwałtownie odwróciła się ku młodzieńcowi, a jej głos zrobił się ostry niczym nóż – powiedz no temu staremu człowiekowi, jaką to sprawę mamy z sobą do załatwienia!

Młodzieniec tam przy skale jęknął.

– Mów! Rozkazuję ci!

Jej słowa były jak uderzenie bata. Gligor przygarbił się pod nimi i zaczął dukać:

– To było tak... że... że ja ukradłem owce i... i po to je ukradłem, żeby ona pobiegła za mną i... i żebym wywabił ją daleko od domu i... a w tym czasie Juon dziecko...

Młodzieniec czknął i umilkł. Widać było w blasku księżyca, jak oczy kobiety miotają iskry.

– Powiedzże – wysyczała – no powiedzże...

– Ukradł – wystękał młodzieniec – ukradł dziecko z chaty...

– Dokąd?! Dla kogo?!

– Pan... zaczepił nas jednego wieczoru na drodze. „Chcecie zarobić? – zapytał. – Tysiąc forintów”. Tak to było...

– Gdzie je zanieśliście?

– Nie wiem... Juon... ja tylko trzecią część tych pieniędzy... ja tylko...

– Świnie! Nikczemnicy! Łotry! Ukradliście mi dziecko, moje dziecko! Kto to jest ten Juon? Gdzie on mieszka? Odpowiadaj!

– Juon z Piperika... jest ze stadem wołów wysoko na Moldovánce...

Słowa z trudem dobywały się z ust młodzieńca. Jego twarz była żółta jak u umarłych. Oczy kobiety paliły, gdy nań patrzyła, twarz miała dziką, usta wąskie, okrutne i podłe. Potrząsnęła energicznie głową, potargane pasma jej długich włosów, niczym mnóstwo wijących się złotych węży, zawirowały wokół niej.

– Na co więc zasługujecie? Powiedz to ty sam, młodzieńcze! Na co zasługuje ktoś, kto kradnie kobiecie jej jedyne dziecko, kobiecie, która nie ma nikogo i niczego, tylko to jedno jedyne dziecko, na co zasługuje ktoś taki?!

Młodzieniec jęczał boleśnie jak ktoś bardzo chory. Głowę zwiesił na piersi, opuścił ramiona, kolana mu drżały. Stary Árszintya pomyślał chwilę, po czym powoli odwrócił się i ruszył ścieżką z powrotem w górę.

– Dokąd idziesz, starcze? – zapytała kobieta. – Starcze, którego imienia nie znam, dokąd idziesz?

– To wasza sprawa – odrzekł cicho, ochryple, wcale się przy tym nie zatrzymując – mnie nic do tego.

Szedł w górę wąską ścieżynką, ledwie widoczną w słabym blasku księżyca.

Miał opuszczoną głowę, ponieważ wciąż baczył na drogę, za nim włókł się Csobán, pies. Z górskiego grzbietu Árszintya raz jeszcze spojrzął wstecz. Jednakże z wysoka nie było już widać ani kobiety, ani młodzieńca. Tylko tę niemą skalną kotlinę, oświetloną zimnym blaskiem księżyca. Starzec westchnął i powoli, macając kijem, wspinał się dalej, tam gdzie wysoko za skałami ciemniała drągowina.

Trzej młodzieńcy czekali na niego przed kolibą. Właśnie naradzali się już, co powinni zrobić, gdyby i stary przepadł. Nareszcie posłyszeli jego kroki, a niezadługo także zobaczyli, jak nadchodził polaną w dół. Był sam.

Wyszli mu naprzeciw do zagrody. Milczeli, choć pytania same cisnęły się im na usta. W podnieceniu czekali, co powie. Nie znalazł go? Znalazł? Ale już...

Stary nie zatrzymał się przed nimi. Nawet na nich nie spojrzął, tylko ich minął bez słowa. Pozostali tam we trzech przy zagrodzie, z nogami wrośniętymi w ziemię. Stary odezwał się do nich dopiero z drzwi koliby. Ochryple, surowo.

– Co tu tak stoicie? Wynoście się spać, jest noc. Nic wam do sprawy tamtego.

Z tymi słowami wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi. Trzej młodzieńcy popatrzeli po sobie. Nareszcie pierwszy drgnął Kosztáké i powolnym krokiem ruszył z powrotem pod daszek nad miejscem do spania. Dwaj pozostali poszli jego śladem. Położyli się i zawinęli się w kożuchy. Ale długo leżeli bezsennie, gapiąc się w pobladłą noc. Z gwiazd opadała rosa, a potem gdzieś daleko hukać zaczęła sowa.

– Ptak śmierci – szepnął Jonica i przeżegnał się. Przeżegnali się i dwaj pozostali. Potem któryś z psów zaczął wyc cicho, przeciągle. To jego wycie wciąż się nasilało. Wkrótce do pierwszego psa dołączyły pozostałe i ich głosy napełniły noc trwogą.

Żaden z młodzieńców nie zawołał na psy i to złowieszcze, upiorne wycie bez odzewu znikło w czarnej ciszy lasów.

Słońce zasiadło na Pietrosz i rzuciło swym blaskiem w otwór jaskini. Kobieta poruszyła się na posłaniu z gałązek choiny i mchu, wpełzła na słońce. Z głową wspartą na ręce leżała tam przez jakiś czas i zapuszczała wzrok w kotlinę poniżej, gdzie z czarnej gęstwy choiny gramoliły się na zewnątrz białe kłęby mgły, rozpraszające się następnie w ciepłych promieniach słońca. Poranne słońce szybko ogrzewało zawilgłe skalne ściany, a i powietrze stało się już przyjemnie ciepłe po wilgotnym chłodzie jaskini. Kobieta przeciągnęła się jak kot, leniwie i sennie, i zagapiła się na lasy. W dole, pod zakrytym przez gęstwinę stromym skalistym zboczem szumiał potok. Niekiedy jakby zmieniał melodię, nagle robił się cichszy, to znów głośniejszy, podług tego, jak wcześniej zbudzony wietrzyk igrał z głosem.

Naraz mocno zaburczało jej w brzuchu. Poczowała głód. Było to znajome uczucie, łączące się z owymi niewielkimi, podobnymi do ukłuc bólami żołądka. Rozejrzała się wokoło, jednak z wczorajszych grzybów nic już nie zostało. Podniosła się, odrzuciła w tył włosy, wzięła do ręki leżący przed jaskinią długi leszczynowy kij i stanęła na skraju skalistej krawędzi. Z kotliny płynął w górę wilgotny zapach pleśni. Rzuciła wstecz na jaskinię jeszcze jedno spojrzenie, jak ktoś, kto się żegna. A przecież nie miała z czym się żegnać. Była to jedynie pusta jaskinia, a w niej puste posłanie. Patrzyła na nią obojętnie, jak dzikie zwierzę, które podnosi się ze swego legowiska i raz jeszcze się odwraca, czując, że więcej tu nie przyjdzie. Potem, skacząc ze skały na skałę, ruszyła w dół.

Omiijając strome osuwiska, dotarła na dół, na skraj gęstwy paproci. W jednym miejscu przystanęła i przez dłuższą chwilę spoglądała w kierunku skalnej rozpadliny. Czuła, że ktoś tam leży, i zdziwiła się. Czyżby mimo wszystko dotarł aż tutaj? I widziała przed sobą smukłego młodzieńca, jak z podłym i pełnym radości z cudzego nieszczęścia rechothem pędził owce tam, w choinie powyżej hali Komárnyk, pokrzykując na nie, żeby jeszcze bardziej je wystraszyć, i śmiał się szyderczo, a przecież wiedział, że właśnie wtedy poniżej w chacie ktoś wyjmuje z kołyski dziecko i zabiera je...

Czuła dziki gniew. Miałaby ochotę podejść do urwiska, zajrzeć w nie i splunąć w twarz temu, który tam leży. A jednak wszystko to, co wydarzyło się na hali Komárnyk, w pewien sposób było już takie, jakby zdarzyło się dawno, dawno temu, może nawet i nie w tym życiu.

Stała tam przez kilka chwil, w końcu wściekłym ruchem odwróciła głowę od ciemnej czeluści i ruszyła w dół poprzez paprocie. Pomagając sobie giętkim, długim kijem, zręcznie przeskakiwała kamienie i zwalone pnie. Zwarte konary choiny targały jej włosy, niekiedy także ubranie zaczepiało o jakąś gałąź i z cichym trzaskiem rwała się tkanina, lecz kobieta nie przejmowała się tym wszystkim. Szmer potoku słyhać było coraz bliżej. Z miejsca u stóp starej sosny uszedł młody niedźwiedź, pomrukując, sierść mu się nastroszyła na czarnym grzbiecie, a spomiędzy drzew raz jeszcze spojrzał wstecz, burcząc coś.

Nareszcie dotarła na dół do potoku. Zielonawobrazowa woda Sztrug wartko płynęła w dół pośród stromych skał, pieniać się przy tym obficie. Kobieta tyle że obmyła sobie twarz w tej wodzie i już szła dalej. W cieniu wąskiej doliny potoku powietrze było chłodne i przesycone wilgocią, a niebo zasłonięte przez drzewa. Jakby już nadeszła szarówka, mglista, pachnąca grzybami szarówka. Kobieta podążała dalej w dół z biegiem wody. Tu i tam znajdowała pod drzewami mleczaje. Zrywała je i zbierała do fartucha. Niektórego grzyba nadgryzła.

Strumienie z wciąż nowych i nowych jarów pędziły w dół z prawej i z lewej strony. Wreszcie korony choin rozwarły się gwałtownie i rozbłysło błękitne pasmo nieba, pasmo to poszerzyło się, rozsunięły się też skały i poniżej ukazała się żółta od słońca dolina potoku Ratosnya.

Tam, gdzie woda Sztrug z hałasem wpada do Ratosnyi, kobieta z kocią zręcznością zsunęła się ze skał i poczuła pod stopami zroszoną murawę dolinnej łąki. Od strony jarów Zimbru wiatr niósł zapach malin, i wtedy znów przypomniało jej się, że jest głodna. Szybko nałamała trochę wyschłego chrustu, z kieszeni spódnicy wyjęła krzesiwko i wzniciła iskrę. Wnet płonął ogień. Rzuciła nań w środek spory kamień, po czym zeszła do potoku i złapała kilka ryb. Zanim wróciła, kamień zrobił się gorący. Położyła na nim ryby, a przy nich mleczaje. Kiedy skończyła jeść, słońce stało już wysoko. Ciepłe światło zraszało rozległą dolinę Ratosnya, a na niekształtnych kamieniach potoku pluszcze grzały sobie w słońcu białe piersi.

Kobieta rozebrała się i wykąpała się w chłodnej wodzie potoku. Długo się w niej chlapała. Wreszcie wylazła na wielki płaski głaz i położyła się na nim na brzuchu, tak jak to robią jaszczurki. Słońce mocno tam przygrzewało, lekki wiaterek od czasu do czasu gładził jej skórę. W dolinie panował spokój i bezruch. Tylko niekiedy przelatywał nad nią jeden i drugi ptak i leciutko szeleściły srebrzyste skrzydła ważek. Cieplesza woń nadbrzeżnych kwiatów mieszała się ze świeżością huczającej wody. Kobieta przymknęła oczy i o niczym nie myślała. Miłe było słońce, nagość, cisza taka, że aż dzwoniło w uszach, samotność. Już prawie zasypiała.

Raptem wyrwał ją ze snu ludzki głos. Podniosła głowę. Kilka kroków od niej, za spienioną wodą, pod nadbrzeżnymi olchami stał jakiś człowiek. Gruby, mały jegomość o nalanej twarzy. Miał na sobie pańskie ubranie: obszerne spodnie opinające opasły brzuch, koszulę w paski, szelki, na ramionach kurtę, na głowie zaś dziwny kapelusz ze słomki. Na obliczu owego jegomościa rozsiadł się niegodziwy uśmiech. Szczerząc zęby, mężczyzna znowu coś powiedział. Jego słowa nie dochodziły poprzez szum wody.

– O co chodzi? – spytała kobieta i odwróciła się na bok, żeby dosłyszeć jego słowa.

Grubasek zrobił z dłoni trąbkę i przyłożywszy ją sobie do ust, tak oto

zakrzyczał poprzez wodę, celując swoim grubym palcem wskazującym w jej kierunku:

– Nie marznie ci ubranie?!

Kobieta omiotła siebie wzrokiem, a potem znów wlepiała oczy w owego małego jegomościa. Nie rozumiała, czego od niej chce.

– Nie rozumiem! – odkrzyknęła do niego ponad wodą. Grubasek zarechotał i skinął na nią.

– Chodź tu na tę stronę! Kobieta usiadła.

– Czemu?

– Coś ci powiem.

Bez namysłu zsunęła się z głazu i przeszła wodą. Z tysiącem lśniących kropel wody na skórze wdrapała się na brzeg po drugiej stronie.

– Co mi chcecie powiedzieć? – spytała, przystając przed owym obcym człowieczkiem.

– He, he, he! – odpowiedział tamten, na powrót szczerząc się obleśnie – he, he, he! Nie jest ci zimno?

Kobieta spojrzała nań ze zdziwieniem.

– Ciepło jest.

– He, he, he! – zarechotał grubas – z dobrego płótna zrobione jest twoje ubranie, he, he!

I miękkimi, tłustymi paluchami uszczypnął napięte ciało kobiety.

Ta tylko nań patrzyła.

– Czego chcecie?

– He, he, he! – nie przestawał rechotać tamten. – He, he, he! – i znów ją uszczypnął.

– Wariat – rzekła kobieta i odwróciła się, żeby pójść z powrotem na głaz. Grubas z obawą postąpił za nią. Usta mu się obśliniły, twarz poczerwieniała.

– Ty – rzekł, sapiąc przy tym ciężko – chodź... dostaniesz forinta!...

Kobieta odwróciła się i wlepiała wzrok w grubasa. Potem energicznie potrząsnęła głową, aż rozsypały się jej włosy, i poczęła się zaśmiewać.

– Wy?... Wy?... Przecież od tego waszego brzucha... Brzuch macie akurat taki sam jak ta, co spodziewa się dziecka! Ha, ha, ha!

Grubas jeszcze bardziej poczerwieniał. Podszedł do niej i chwycił ją za ramię.

– Ty... – sapał urywanie – wiesz, kim ja jestem? Ja jestem bardzo wielkim panem! Ja jestem pan Schwarz, wiesz o tym? Do mnie należy tu ten las, cały, jaki widzisz! I wszystko, co w nim! Ty też! Chodź, dostaniesz forinta, no.

Kobieta wciąż śmiała się w głos, dziwnie, wyzywająco.

– Ja też? Mówicie, że ja też? Skoro więc i ja jestem wasza, to czemu prosicie? – Jednym szarpnięciem wyswobodziła sobie ramię. – Jeśli jestem wasza,

to pokażcie to!

Pan Schwarz znów ją złapał. Teraz już wczepił się w kobietę dwiema rękami.

– Potrafię i tak – wydyszał i zaczął ją ciągnąć za sobą.

Kobieta nie protestowała. W jej oczach zaigrały dziwne, szelmowskie ogniki.

Raptem zatrzymała się.

– Czekajcie – powiedziała – nie tak. Pójdźcie o, tam, gdzie jest moje ubranie. I wy też zdejmijcie z siebie odzienie.

Mały gruby mężczyzna rozdziawił gębę i ponownie popatrzył na kobietę, szczerząc zęby w ów odpychający sposób.

– Co mówisz?

– No idźcie.

Pan Schwarz jeszcze raz i drugi ścisnął kobietę, następnie z poczerwieniałą twarzą ruszył w kierunku ubrania, które rozłożone było na powalonym pniu olchy.

– Tylko żebyście mi się pośpieszyli! – kobieta rzuciła za nim, cicho chichocząc.

Pan Schwarz, posapując, począł rozdziewać się z ubrania. Odwrócił się plecami do kobiety, która wciąż jeszcze stała na brzegu wody i patrzyła w jego stronę, śmiejąc się. Z trudem szło to rozbieranie się, ale w końcu się udało. Mężczyzna miał jakiś dziwny, zakłopotany wyraz twarzy, gdy z powrotem odwrócił się ku kobiecie.

– He, he, he!... no to teraz... he, he, he!...

– No to teraz złapcie mnie, jeśli potraficie! – kobieta odrzekła ze śmiechem i w jej oczach igrało tysiąc szelmowskich diablików, gdy spoglądała na brzydkiego człowieczka.

– He, he, he! – tamten zarechotał i podszedł bliżej, ostrożnie stąpając, bo kamyki kłuły go w stopy.

Kobieta uskoczyła przed nim, po czym znów się zatrzymała, wabiąc go.

Mały grubas poczłapał za nią niezdarnie jak kaczka.

– No, nie, no. No nie żartuj sobie...

Jakiś czas wabiła go tak, posuwając się w górę brzegiem potoku, po czym nagle przebiegła obok niego i popędziła z powrotem do ubrań. Pochwyciła z ziemi i swoje, i także to należące do pana Schwarza, i przebiegła z nimi przez wodę. Po drugiej stronie wdrapała się na głąz i stamtąd zawołała na przeciwległy brzeg:

– Chodź tu, panie Brzuchaczu! Złap mnie, panie Brzuchaczu! Ha, ha, ha! Żeby być taką brzydota! Żeby mieć taki wielki brzuch! Nie wstydzisz się, ty mały człowieczku z takim wielkim brzuchem?!

I zaśmiewała się. Siedziała na skale wysoko ponad wodą i wciąż się śmiała. Pan Schwarz gniewnie dreptał na swoich krzywych nogach po drugim brzegu.

– Wracaj tu! Odebrało ci rozum? Wracaj tu! Co to za głupie żarty!

Jego słowa zagłuszał huczący potok, zaledwie ich strzępki docierały poprzez wodę do kobiety.

– Do ciebie należy ten las, tak powiedziałaś! I wszystko, co w nim jest! No to pokaż, mały panie Brzuchaczu, jakim jesteś wielkim panem! Ojej, ale jesteś brzydki, o mój Boże, ale brzydki!

Pan Schwarz, tam na drugim brzegu, zaczął się wściekać.

– Poczekaj no! – pogroził. – Poczekaj no tylko!

Po czym ostrożnie wsadził do wody jedną nogę. Drugą też. Niezręcznie poruszał się po gładkich kamieniach. Kobieta machała nogami na głazie i chichotała, drażniąc go. Pan Schwarz był już pośrodku potoku, woda sięgała mu do pasa. Chwiał się niezdarnie, ponieważ nurt wody był tu silny, no i raptem jednak, bęc, grubas rozłożył się w potoku niczym wieprz parzony wrzątkiem. Prychając, starał się znów stanąć na nogi, ale nieustannie ślizgał się na kamieniach. Długo się tam męczył w gniewie i rozpacz, nim udało mu się wdrapać na wielki okrągły głaz.

– Poczekaj – wysapał rozzłoszczony – poczekaj no tylko!... Podniósł wzrok na głaz, lecz kobiety już tam nie było. Niepewnie kręcił głową wokoło. Nigdzie jej nie było.

– Hę! Ty! Gdzie jesteś?!

Tylko woda huczała dokoła niego, a wysoko ponad skałami opromieniona słońcem choina jakby śmiała się szyderczo.

– He! – wrzasnął pan Schwarz w przestrachu. – Przynieście tu z powrotem moje ubranie! Moje ubranie! Mo-je-u-bra-nie!

Na przeciwległym brzegu pokazali się zza olch jacyś ludzie. Na owe okrzyki przystanęli i z zaciekawieniem popatrzyli w kierunku potoku. Było ich czterech. Pan Schwarz zrazu spoglądał na nich w osłupieniu, starając się szybko skryć pod wodą swą nagość, ale po chwili począł machać w ich kierunku.

– Na pomoc! Ludzie! Ukradli mi ubranie! Na pomoc! Mężczyźni spojrzeli po sobie, jakby się naradzali, po czym ruszyli ku potokowi. Za nimi pojawiło się też dwóch żandarmów.

– Żandarmi! Żandarmi! – pan Schwarz krzyczał w wodzie.

Żandarmi szybko pokonali odległość dzielącą ich od brzegu. Poblyskiwały im bagnety, powiewały kogucie pióra na czakach. Podeszli aż do samej wody i wlepili wzrok w pana Schwarza.

– Pan się kąpie, panie Schwarz? Kąpie się pan? – zapytał jeden z nich, uśmiechając się.

– Kąpie się czort! – odkrzyknął pan Schwarz z wody. – Ukradli mi ubranie!

– Kto taki?

– Jedna kobieta! Tu je zaniósła, o! – odrzekł, pokazując na głaz.

Żandarm spojrzał surowo we wskazanym kierunku, lecz nikogo ani niczego tam nie dostrzegł.

– Czy to aby pewne, panie Schwarz, że tam je zaniósł?

– No oczywiście, że pewne! Nawet i naśmiewała się ze mnie!

– He! Ty! Przynieś z powrotem ubranie! – krzyknął żandarm w tamtą stronę, lecz ani głaz się nie poruszył, ani nic nie poruszyło się na przeciwległym brzegu. – He! – wrzasnął żandarm. – Wzywam cię w imieniu prawa, żebyś przyniosła z powrotem ubranie!

Mężczyźni obserwowali, także żandarmi nasłuchiwali, jednak odpowiedź nie nadchodziła. W bezruchu milczały skały i las.

– Tego to już nawet i stu żandarmów nie przyniesie – mruknął jeden z mężczyzn z tyłu za żandarmami. Żandarmi spojrzeli po sobie bezradnie.

– Czy zna pan sprawcę?

Huk wody pochłonał ich słowa. Pan Schwarz szybko podniósł dłoń do ucha.

– Co?!

– Czy zna pan sprawcę?! – rozdarł się żandarm.

– Nie! To była jakaś kobieta! Nigdy jej nie widziałem!

Żandarmi wzruszyli ramionami. Pan Schwarz, tam w wodzie, zaczął już robić się siny.

– Zdobądźcie jakieś ubranie! Woda jest zimna! – zawołał w rozpacz.

Jeden z tyczkowatych żandarmów odpiął od swej torby zwinięty deszczowiec.

– O, macie tu – potrząsnął nim – proszę spokojnie wyjść na brzeg!

Pan Schwarz ruszył z miejsca. Niezdarnie człapał w wodzie, ślizgając się. Na jego twarzy malowało się zmieszanie, wstyd i gniew, usta mu zsiniały od zimnej wody. Żandarmi stali na brzegu w powadze, odwróciwszy głowy. Czterej mężczyźni z wybałuszonymi oczami gapili się na wielki, obwisły pański brzuch i niejeden pokręcił głową. W końcu pan Schwarz jakoś jednak dotarł na brzeg i trzęsącymi się rękoma naciągnął na mokre ciało szorstki wojskowy deszczowiec. Sięgał mu on do ziemi, a i ręk nie było widać z obszernych rękawów. Jedyne na brzuchu nieco się naprężył. Ludzie zarechotali. Jeden z żandarmów wyciągnął z torby notatnik do sporządzania protokołów i poślinił ołówkę.

– Słowem, z imienia nie zna pan osoby podejrzanej?

– Zna ją tylko zgryzota, a żeby ją tak zagryzła – odrzekł pan Schwarz w deszczowcu, szczękając przy tym zębami.

– To kłopot. Zatem proszę ją jakoś opisać. Podać znaki szczególne.

– Kobieta młoda, z długimi włosami, jasnymi jak złoto...

– Upiętymi w kok?

– Nie. Rozpuszczonymi. O tak, o, całkiem aż po pas. Potargana.

– Tak. I co jeszcze? Jakie miała na sobie ubranie?

– Ubranie?... To... tego nie wiem... nie miała na sobie ubrania...
Ołówek w ręce żandarma zatrzymał się. Ludzie spojrzeli po sobie znacząco.
– Nie miała na sobie ubrania? Była naga, czy to chce pan powiedzieć?
– Tak... to znaczy...
– Naga kobieta ze złotymi włosami!... Na Funtinel też tak mówili... – wyszeptał jeden z mężczyzn stojących z tyłu.

Żandarm obejrzał się.

– Co mówicie?

– Przypadek Tomy, no a teraz ten drugi – odparł mężczyzna, w zamyśleniu patrząc na żandarma – tamta kobieta, która nocami śpiewa na Sztrug... czarownica, czy co...

– Bzdury! – warknął żandarm, po czym zwrócił się do pana Schwarza. – Spiszę protokół w domu, teraz idziemy w innej sprawie.

– Coś się stało?

– Na Sztrug znów jakiś człowiek złamał kark.

Żandarmi szarpnęli rzemieniami u strzelb i ruszyli w drogę. Mężczyźni w milczeniu poszli za nimi. Mały grubas pozostał tam przy potoku, bosy, w sięgającym do ziemi deszczowcu, i gapił się za nimi, aż skryły ich skały na Sztrug. Wtedy na powrót odwrócił się w kierunku potoku i z niepokojem na twarzy podniósł wzrok na głąz, gdzie po raz ostatni widział nagą kobietę o złotych włosach. Ale nikogo tam nie było. Tylko słońce rzucało pod drzewa żółte plamy, a liście brzozy drżały bezgłośnie. Jakiś czas jeszcze stał w miejscu i zastanawiał się, czy powinien przejść na drugą stronę i poszukać tam owej tajemniczej kobiety i swojego ubrania. Jednak powstrzymał go jakiś dziwny strach. Przypomniało mu się, co mówili mężczyźni. Nareszcie powoli, ostrożnie stąpając, ruszył z biegiem potoku w dół, oglądając się trwożnie od czasu do czasu i rąbkami długiego deszczowca zaczepiając o wystające kamienie.

Kobieta zaś już wtedy zbierała sobie maliny pod Zimbru, wysoko w nasłonecznionym jarze. Od czasu do czasu zaśmiewała się cicho, gdy przypominał się jej ów brzydki, brzuchaty człowieczek w potoku. Czy od tamtej pory odnalazł już ubranie? Czy wciąż jeszcze go szuka?

Dużo malin było tam pod Zimbru, pięknych, czerwonych malin o dużych dojrzałych owocach. Z niejednego krzaku już nawet opadały. W gęstwie maliniaka buszowały tłuste drozdy, zbierające opadłe owoce. Wysoko na grzbiecie jaru hałasowało w zaroślach jakieś wielkie zwierzę, z pewnością niedźwiedź. Tu i tam pośród malinowych zarośli wiły się szersze płaje wydeptane przez dziką zwierzynę, w mchu widać było ślady racic.

Wnet najadła się do syta, po czym już tylko tak poskubując, pięła się w górę ścieżkami dzikich zwierząt. Tropy te poprowadziły ją nad Valkalucę. Kanciasty grzebień Zimbru pozostał w tyle i niezadługo głęboko pośród drzew dał się słyszeć

strumień Valkalucy. Nim do niego dotarła, słońce było już na miejscu swego południowego odpoczynku. Napiała się wody z potoku, smaczna była. Następnie położyła się pod klonem, w półcieniu, i wkrótce już spała głęboko, zdrowo.

Nim się przebudziła, słońce poczęło się już kłonić ku zachodowi. Znów napiała się wody i pośpiesznie podążyła w górę, wciąż trzymając się wody. Pod wieczór była już wysoko na połoninie. Na Secus znalazła pusty szałas pasterzy, przenocowała w nim. Na kolację upiekła trochę grzybów, nic więcej nie było. Rankiem poszła dalej, na Zsizsę. Powyżej hali Zsizsa, tam gdzie ścieżka rozgałęzia się, przystanąła i zaczęła rozmyślać. Długo stała i patrzyła w kierunku Ulmu. Hen w dole cicho szumiała woda Galony. W głowie kobiety kłębiły się dawne wspomnienia i owo głęboko pogrzebane imię: Nátu. Nareszcie ruszyła ku Ulmu. Powoli, ostrożnie, jak ktoś, kto boi się, że spotka obcego. Powyżej hali Ulmu zatrzymała się na górskim grzbiecie i nasłuchiwała. Lecz naokoło panowała głęboka cisza. Nigdzie nie było słychać dzwonek stada. Ostrożnie zeszła na skraj lasu i ponownie przystanąła, przyczajona za pnem szerokiego buku. Uderzała ją martwota pustej hali. Wokół styny murawa rosła wysoko, zagroda ziała pustką, a na szczycie ponuro wznosił się ku niebu krzyż.

Kobieta stała tam przez dłuższy czas i czuła się tak, jakby miała przed sobą starą, zarośniętą mchem mogiłę, o której ludzie już zapomnieli. W końcu powoli przecięła halę. Wyrosnięta murawa z cichym szelestem kłoniła się pod jej stopami, łaskocząc nogi. Usiadła na progu styny, tam gdzie niegdyś siadywał stary Sándru. Kij oparła obok siebie i patrzyła na bezpieczną halę i ogarnął ją jakiś osobliwy smutek, uczucie straszliwego osamotnienia i zawodu, jakby przyszła tu po to, żeby z kimś porozmawiać i zobaczyć się z ludźmi, którzy ongiś tu byli... a nie znalazła nikogo. Pusta styna, opuszczona zagroda. Może pomarli już wszyscy ludzie, którzy wtedy żyli? – pomyślała. A więc naprawdę zostałam sama, zupełnie sama...?

Słońce powoli wędrowało w górę po niebie, na dolny skraj hali wyszła sarna, popasała się, napiała się ze źródła i z powrotem skryła się w lesie. Kobieta zaś siedziała i siedziała, a z oczu płynęły jej łzy, i nie rozumiała dlaczego.

Naraz gdzieś jednak powstał jakiś ruch. Posłyszała głosy. Z dołu nadchodzili ludzie, na ramionach pobłyskiwały im kosy. Na skraju hali zatrzymali się i te kosy poczęły ostrzyć. Obco, wręcz boleśnie zabrzmiał dźwięk osełki na opuszczonej hali. Później jeden z mężczyzn zebrał tobołki pozostałych i podszedł do domu.

Zobaczył kobietę. Na jego twarzy malowało się zdziwienie.

– Szczęść Boże! – rzekł, gdy tam dotarł.

– Szczęść Boże! – odparła kobieta.

Mężczyzna położył tobołki przy domu i stojąc obok nich, niepewnie przyglądał się kobiecie.

– Dobra jest trawa na siano – zaczął.

– Widzę.

– Dobrze jest to lato.

– Yhm.

– Nie jesteś stąd, prawda?

– Ależ nie, stąd.

– Skąd? Z lasu?

– Z lasu. To ja jestem tą czarownicą. Nie słyszałeś jeszcze o mnie?

Mężczyzna głupekowato wyszczerzył zęby.

– He!...

– Mam ci przepowiedzieć przyszłość? Komu ja przepowiem śmierć, ten umrze. Kto mnie pocałuje, i ten umrze. Umrze każdy, kto znajdzie się blisko mnie. Mam ci przepowiedzieć przyszłość?

Mężczyzna zmieszał się i zaczerwienił. Nie wiedział, czy ma się śmiać, czy brać te słowa na poważnie.

– He!... – bąknął ponownie, jednak nic więcej nie wyszło mu z ust. Z lękiem w oczach przyglądał się przycupniętej na progu dziwnej kobiecie w obszarpanej guni, z potarganymi złotymi włosami.

– Czemu myślisz, że twoja żona jest chora? – spytała kobieta raptem, a spojrzenie jej zielonych oczu przeszywało mężczyznę. – Nic jej nie dolega, nie wierz jej! Nie boli jej w krzyżu, mówi tak tylko wtedy, gdy ty jesteś z nią. A teraz obejmuj ją jeden młodzieniec, chłopak o gładkiej twarzy, któremu jeszcze nawet nie rzucił się wąż, i przy nim nic jej nie dolega. Weź raczej tęgi kij...

Mężczyzna słuchał w osłupieniu.

– O czym ty mówisz? – wychrypiał. – Skąd o tym wiesz?... Kobieta zaśmiała się w głos.

– Jestem czarownicą, czyż nie mówiłam? Mam powiedzieć i to, że żona ciebie porzuci i sam zostaniesz w tym domu? I mam powiedzieć jeszcze i to, że kiedyś do ciebie powróci, ale wtedy już naprawdę będzie chora i to ty ją pochowasz? I będziesz płakał przy jej trumnie, a przecież wcześniej spluwałeś na wspomnienie jej imienia?...

– Szalona jesteś – rzekł mężczyzna gburowato. – Czego tu szukasz, raczej to powiedz!

Kobieta popatrzyła na niego w zamyśleniu i powoli pokręciła głową.

– Dziwni jesteście wy wszyscy, którzy mieszkacie tam w dole, naprawdę dziwni. Przysięgacie na kłamstwo, a od prawdy wpadacie w gniew. Nieszczęśni jesteście i dziwni.

– Powiedz, czego tu szukasz!

W głosie mężczyzny zabrzmiała groźba.

– Czego tu szukam? A ty czego tu szukasz? Wszyscy czegoś szukamy, człowieka. Może starych śladów, które przeminęły z wiatrem. Może dawnych słów, które zmyła woda. Kiedyś każdego lata mieszkał w tym domu pewien stary

człowiek, ale zmył to deszcz i przeminęło to z wiatrem...

Mężczyzna spojrzał na nią łagodniej. W jego oczach pojawiło się nawet współczucie.

– Myślisz o starym Sándru, dobra kobieto?

– Tak go wołali, tak. Ale czy to nie wszystko jedno, jak kogoś wołają?

– Stary zmarł tamtej zimy. Jego synowie rozeszli się ze stadami w cztery strony świata i więcej już tu nie przychodzą. Od tamtej pory halę dzierżawi wioska na łąkę kośną, od łaskawego pana barona...

Kobieta pochyliła głowę. Słuchała tych słów i kiwała głową.

– A więc to dlatego – rzekła cicho – a więc to dlatego. Widzisz, jaka czarna jest trawa? I także drzewa, jak umarli, wszędzie... i zagroda... stale rozwarta niczym usta martwego człowieka... widzisz? Nie rozumiałam, dlaczego wszystko tu jest takie. Ale teraz już rozumiem. Przychodził tu stary Sándru i szukał swych owiec...

Mężczyzna przełknął ślinę i podszedł bliżej.

– Dobra kobieto... – zaczął, a jego głos wyrażał samo współczucie i szacunek.

Kobieta podniosła głowę.

– Czemu mówisz do mnie „dobra kobieto”? Myślisz, że odszedł mi rozum i jestem kobietą szaloną, której należy się szacunek? Mówiłam już, człowieku, że jestem czarownicą, wraz z którą jedną ścieżką chadza śmierć. Nie podchodź do mnie bliżej, jeśli chcesz swego dobra!

Podierała się z progu i chwyciła za oparty o ścianę długi kij do wędrowania po górach. Jej głos szeptał, a mimo to był taki, jakby sypał się zeń żar, wszystko wokół siebie parząc z sykiem.

– A może chcesz, żeby i twoje ślady znaczyła czarna trawa? Taka jak tutaj? Spójrz, jakie czarne są te trawy... tylko dlatego, że kiedyś było mi tu dobrze i było mi miło siedzieć na progu tego domu... i ten, który był mi miły, umarł... i ten, który był dla mnie dobry, umarł... i wszędzie za mną wyrastają czarne trawy... skoście więc te czarne trawy, ale siana z nich nie używajcie do karmienia zwierząt, raczej je spalcie... bo śmierć jest w tych czarnych trawach, które wyrastają wszędzie tam, gdzie przejdę...

Mężczyzna stał nieporuszony i w przerażeniu gapił się na kobietę, z której ust z sykiem wypadały te szeptane słowa, z której oczu wзираła taka straszliwa, gorzka boleść, że mężczyzna aż zadygotał. Kobieta zamilkła i zwiesiła głowę, wydawała się bardzo zmęczona. Nareszcie poruszyła się z wolna, nie spojrzała więcej na mężczyznę, ale raz jeszcze popatrzyła wstecz na opuszczoną stynę, na zagrodę i nieśpiesznym krokiem ruszyła w kierunku lasu. Szła i szła. A osłupiałemu mężczyźnie zdawało się, jakby w ślad za nią trawy i kwiaty rzeczywiście czerniały i wszystko wokół niej spowijał cień. Z tego cienia

pobłyskiwały tylko jej długie, potargane włosy, a miały taki kolor, jakby to wcale nie były włosy, a jakiś widmowy, blady płomień, który oddalał się coraz bardziej, migocząc zwodniczo pośród drzew, zupełnie jak błędne ognie w niegdysiejszych opowieściach. Mężczyzna przeżegnał się i w pośpiechu wrócił do swych towarzyszy.

Tamtej nocy kosiarze nie mieli odwagi spać w opuszczonym domu. Rozpalili wielki ogień na skraju polany, tam gdzie rozpoczęli koszenie, i pełnili przy nim straż po dwóch na zmianę, żeby nie zasnąć. Czuwający opowiadali sobie o budzących zabobonny strach dawnych wydarzeniach, a od czasu do czasu żegnali się, mrużąc modlitwę: „i ode złego zbaw nas, Panie!”. A ich oczy z lękiem nieustannie przeszukiwały mrok, tam gdzie widać było kontury lichej styny, samotnej w oprószonej gwiazdami, milczącej nocy.

Kobieta zaś była już wtedy daleko. Do południa dotarła na halę Cégér, a po południu już na Bradulcu oferowała pasterzom świeżo nałapane ryby, cały fartuch. Oni zaś z przychylnością kupili je od niej. Widzieli, że mają do czynienia z nieszczęsną kobietą, która ma też nie całkiem po kolei w głowie, i rozmawiali z nią z należnym szacunkiem. Ugościli ją zentycą, świeżą mamałygą, zawiązali jej tobołek z lichej chusty i napełnili go bundzem, owczym twarogiem, plackiem kukurydzianym. Zatrzymywali ją i na noc, ale kobieta wciąż powtarzała, że do wieczora musi jeszcze dotrzeć na Moldovánkę, bo ma tam kogoś, kogo szuka. Dziwna była jej mowa. Raz można było sądzić, że to jej mąż jest w górze na Moldovánce, innym zaś razem mówiła o dziecku. Wreszcie powiedziała też coś takiego, że wysoko na Moldovánce ma się spotkać z diabłem. Dziwne rzeczy mówiła, niekiedy pasterze spoglądali po sobie za jej plecami i z ubolewaniem machali ręką. I każdy z nich coś jeszcze wepchnął jej do tobołka. Kiedy wyruszała od nich w drogę, tak powiedziała:

– Dobrzy z was ludzie. Myślicie, że odszedł mi rozum? Nie, dobrzy ludzie, to nie mnie odszedł rozum. Coś innego odeszło z tego świata. Ale co to jest, tego nikt z nas już nie wie, ani ja, ani wy.

Pasterze milczeli, opuścili głowy i nie śmiali się. Psy też na nią nie czekały, ani kiedy przyszła, ani kiedy odchodziła.

Z wolna podążała połoniną jak ktoś, komu droga nie jest pilna. Niekiedy pochylała się i zrywała jakiś kwiat, i wpinała go sobie we włosy. A jeden z juhasów zaklinał się, że na jej ramieniu siedział wielki biały motyl i nie odfrunął stamtąd nawet i wtedy, gdy weszła pomiędzy drzewa.

Po zachodzie słońca dotarła ponad Moldovánkę. Na górskim grzbiecie przystanęła i nasłuchiwała. Nareszcie posłyszała odgłos siekiery. I raz zadźwięczał też dzwonek o niskim tonie. Wiedziała, że jest na miejscu. Gdzieś tam pod nią znajduje się polana, a na polanie stado wołów, przy tym stadzie zaś mężczyzna, który ma na imię Juon. Może akurat ten, którego siekiera odezwała się przed

chwilą. Wręcz widziała go przed sobą, jak stoi tam przy stadzie wołów. Duży, szeroki ciemny mężczyzna. Ma czarną brodę i zwichrzone czarne wąsy. Także jego oczy są czarne i małe, a spojrzenie niczym u diabła. Jego ręka jest włochata, czoło niskie i podłe. Gęba wielka i wychodzą z niej tylko same brzydkie słowa, przekleństwa, grubiaństwa. Jego pies czai się z podwiniętym ogonem, a zwierzęta pędem uciekają przed nim. To może być tylko taki człowiek, bo tylko taki potrafił uczynić to, co uczynił ów człowiek.

Rozwałę mu łeb jego własną siekierą – pomyślała i poczuła dzikie pragnienie, żeby zobaczyć krew, dużo krwi, usłyszeć gruchot kości, rżenie, duszenie się krwią. Żeby zobaczyć wytrzeszczone w przerażeniu oczy tamtego człowieka, jego wykrzywioną twarz. Oblał ją gorąc dzikiego, okrutnego podniecenia. Miała ochotę z wrzaskiem popędzić w dół przez las, tam na polanę i własnymi pazurami wydrapać serce temu człowiekowi, żywcem rozszarpać mu ciało, żeby go bolało, żeby krzyczał i błagał o litość. Żeby jego śmiertelny wrzask rozszedł się echem po wszystkich lasach. Dopiero teraz poczuła naprawdę, jak bardzo nienawidzi człowieka, tamtego podłego, okrutnego, zdziczałego, ciemnego człowieka, który to potrafił zrobić, który wcale już nie jest człowiekiem, tylko samą ucieleśnioną podłością, diabłem samym.

Dyszała na myśl o zemście. Pięści mocno jej się zacisnęły, paznokcie wbiły się w dłonie. „Ty jesteś wielką mścicielką!” – przypomniały jej się słowa Cyganki, ongiś, tamtego dnia w ciemnej cygańskiej lepiance. Wtedy nie rozumiała tych słów, wtedy jeszcze były one dalekie i obce. Za to teraz! Za to dzisiaj! Tak – pomyślała i potrząsnęła głową, i pogroziła pięścią w dół ku polanie – tak, ja jestem wielką mścicielką i zemsta, którą z sobą niosę, będzie straszna!

Niczym polujący żbik, tak oto skradała się lasem w dół. Bezszelestnie. Pośród drzew rozpraszala się już szarówka. Gdzieś, bijąc skrzydłami, poderwał się do lotu wielki ptak. W gęstwinie przemykały cienie. Na polanę dotarła przy źródle. Woda szemrała cicho, lecz jej odgłos był nerwowy, pełen buntu, napięcia. Powyżej widać było potężną zagrodę, stały w niej nieruchomo białe woły o wielkich rogach, wyglądały, jakby były wyciosane z kamienia. Obok zagrody znajdował się szałas. Świeżo sklecone, niskie schronienie przed deszczem i wiatrem dla człowieka, który przychodzi na górę ze stadem jedynie na kilka tygodni, a potem znów odchodzi. Przed szałasem wielki biały pies, a na niebie, blada i drżąca, pierwsza gwiazda, Zmierzchnica 17, jak zwą ją ludziska.

Kobieta stała tam przez chwilę, przyglądając się temu obrazowi, jakby chciała na zawsze móc go zapamiętać i zapamiętać też tę noc. W końcu wyszła z lasu i ruszyła w górę ku szałasowi. Szła powoli, wpatrując się w wielkiego białego psa, który leżał przed wejściem do szałasu. Pies drgnął, nerwowo poderwał łeb i rozejrzał się wokół. Dostrzegł kobietę. Postawił uszy, lecz nie zaszczekał, tylko usiadł i gapił się na nadchodzącą.

I wtedy z wnętrza szałasów poderwał się raptem dźwięk fujarki. Był to głos miękki i lekki. Jakby wyfrunął stamtąd złotożółty miękkości ptaszek i bijąc skrzydłami, ruszył na poszukiwanie noclegu pośród gwiazd. Kobieta zawahała się, przystanąła i wsłuchiwała się w ten dźwięk. Był pełen smutku, a mimo to lekki. Czysty, a mimo to przytłumiony od tajemnic.

To nie jest tamten ciemny człowiek – pomyślała – to musi być juhas, jakiś młodzieńca o niebieskich oczach i jeszcze nawet bez wąsów. Twarz ma niczym mleko. Tamten ciemny mężczyzna może nawet go i nie słyszy. Wcale też nie ma do tego słuchu, z pewnością.

Zebrała się w sobie i poszła dalej. A fujarka wciąż dźwięczała, niekiedy w sposób urozmaicony, z zakrętami, potem znów miękko, przeciągle, jakby jakiś niewidzialny smutek malował dźwięki na czarno. I niosła się, niosła się ta melodia z szałasów, i rozlewała się ponad polaną, wiele tysięcy małych, niewidzialnych puszków frunęło ponad nieruchomymi wołami w zagrodzie, ponad niemymi lasami, osiadając na wszystkim, jak migocząca, delikatna pajęczyna... tak, w tych dźwiękach był czar, kobieta czuła to, jakiś piękny i pełen spokoju czar. To z serca młodzieńca płynęły owe westchnienia, a fujarka przekazywała je nocy. Z serca chłopaka, który jest jeszcze dzieckiem, i kobieta niemal widziała przed sobą, jak młodzieniec o twarzy dziecka siedzi samotnie w ciemnym szałasie i gra na fujarce, i myśli o czymś, co jest piękne... Uśmiechnęła się, bo poprzez ten falujący głos fujarki przemówiło do niej serce młodzieńca. Tamten podły, ciemny człowiek z pewnością gdzieś poszedł – pomyślała – młodzieniec jest sam i dlatego ma odwagę myśleć o tym, co piękne. I cieszyła się, że młodzieńca, który gra na fujarce, znalazła w samotności.

Pies ani nawet nie warknął, gdy go mijała, tylko zaciekawiony przyglądał się jej żółtymi oczami. Przed wejściem do szałasów kobieta przystanąła. Wewnątrz było ciemno i pachniało baranicą. A z mroku czysto i lekko lały się to słodko, to smutno brzmiące dźwięki. Postąpiła krok naprzód i ręką uchwyciła się surowego świerkowego drąga, podtrzymującego dach. Do ręki kleiła jej się żywica o milej woni.

Raptem fujarka umilkła w środku. Na moment zaległa głęboka, głucha cisza. Po czym kobieta odezwała się szeptem:

– Szczęść Boże, młodzieńcze! Czemu przerwałeś? Bardzo ładnie umiesz to robić.

– Szczęść Boże, dziewczyno – odrzekł z wnętrza przyjemny męski głos, brzmiący jednak wcale nie tak młodo, jak tego oczekiwała – wejdź dalej! Kaganka co prawda nie mam, ale dobrzy ludzie nawet i w ciemności nie czują strachu.

– Jesteś sam? – spytała i rozejrzała się w szałasie.

Jej oczy poczęły przyzwyczajając się do mroku. Z boku przy wejściu widać było kilka leżących tam narzędzi, dalej miękkie kontury ułożonej na ziemi

baranicy, a przy niej mężczyznę.

– Sam – odrzekł, kobieta zaś weszła dalej. – Chodź, siadaj tutaj. Tu, na kozuchu. Jadłaś?

– Tak – odpowiedziała i usiadła na kozuchu – a zresztą mam z sobą jedzenie.

– Czego szukasz tutaj wysoko? Sama jesteś?

– Szukam jednego człowieka. Ale rób to dalej!

– Co?

– To, co wcześniej. Z fujarką. I to, co przy tym czujesz.

– Gdzież tam! – głos mężczyzny był zakłopotany, wręcz zawstydzony.

– Nie, nie! To było bardzo ładne, naprawdę! To, co czułeś, i to, jak o tym opowiedziałeś...

Rozmowa utknęła. Jakoś tak ciężko zaciążyła pomiędzy nimi cisza. Ponownie przerwał ją mężczyzna.

– Skąd przychodzisz? I kim jest ten, kogo szukasz? W tej okolicy to już nie tak bardzo można znaleźć ludzi, jedynie tam niżej...

Głos kobiety posmutniał.

– Szukam jednego brzydkiego, ciemnego mężczyzny, wiesz. Takiego o podłych oczach, podłym czole. Strasznie podłego i brzydkiego. Ale mówmy o czymś innym! Czy tutaj mieszka jakiś Juon z Piperika?

– Tak.

– To dobrze. A teraz dalej graj na fujarce, bo jestem zmęczona i chciałabym zasnąć. A tu przy tobie jest dobrze. Twoja jest ta baranica, młodzieńcze?

– Moja. Możesz się nią okryć, ja nie potrzebuję. Nocka jest ciepła.

– Ciepła. No to graj na fujarce! A mnie przyśni się to, o czym myślisz.

Legła na kozuchu, przeciągnęła się i przykryła się jednym jego końcem. Przez jakiś czas panowała cisza. Potem mężczyzna znów zaczął grać na fujarce. Z początku dźwięki drżały cicho i nieśmiało, ale w końcu stawały się coraz czystsze i niosły się coraz wyżej. Odważnie i wesoło frunęły na zewnątrz w rozgwieżdżoną noc, niekiedy gwałtownie smutniały, cichły, po czym znów się wyswabadzały, wywodząc trele. I nocka nappełniła się tonami, gwiazdy zraszały wszystko muzyką i wszędzie, ale to wszędzie słuchały tego lasy, pogrążone w nabożności.

Nareszcie nastał poranek. Kobieta otworzyła oczy i poczuła, że jest sama. Pierwsze, co ujrzała, to żółty snop światła słonecznego, jak poprzez na wpół rozwarte drzwi promieniało do wnętrza szałas. Jeszcze przez kilka chwil pozostała tak w bezruchu, leżąc, na obcym kozuchu. Ten poranek miał w sobie jakiś osobliwie piękny spokój. Powietrze było świeże i rześkie, jakby dopiero co wyszło z kąpieliska choin. Gdzieś zagruchał gołąb grzywacz.

W końcu usiadła i rozejrzała się po szałasie. Rzeczy w ładnym porządku stały jedne obok drugich, w kącie i na półce oraz zawieszane na gwoździu przy

drzwiach. Proste, zwyczajne rzeczy, jakich potrzebować może człowiek zajmujący się pasterstwem w wysokich górach.

Szukała oczami czegoś, co mogło należeć do tamtego człowieka, do owego podłego, ciemnego człowieka. Czegoś, co jest podłe i ciemne. Lecz niczego takiego nie znalazła w szalasie. Były tam jedynie proste, zwyczajne i czyste rzeczy, i czuła, że należą one do mężczyzny z fujarką.

Wstała i wyszła na próg. Zagroda wietrzyła się z szeroko rozwartą bramą, niebo było błękitne i czyste, pastwisko puste i jeszcze pokryte rosą, a na rosie wyraźniej widać było szeroką ścieżkę, którą wydeptało stado wołów, owa ciemnozielona ścieżka prowadziła aż do choiny i znikwała w lesie.

Jestem sama – pomyślała i nawet i poczuła, że jest sama.

Nie czaiła się w pobliżu żadna podłość, ranek był bez cienia, a więc ów zły człowiek jeszcze nie wrócił do domu. Było to miłe uczucie, być tak samej przed szalasem kogoś, kto jest czysty i prosty i gra na fujarce.

Jakżeż oni mogą żyć z sobą w zgodzie? – zastanawiała się. We dwóch, sam na sam przy stadzie? Ten dobry i ten zły.

Przeciągnęła się, po czym wolnym krokiem zeszła do źródła. Pokryta rosą murawa delikatnie ugiwała się pod jej stopami. Źródło okalał mech, giętki, gruby kobierzec, a nieopodal stało kilka starych świerków. Z ich konarów zwieszała się wyhodowana z porostów broda, a na wierzchołku jednego z nich siedział mały pstrokatopióry dzięcioł i wpatrywał się w słońce.

Woda była czysta i szczypiąca, żywiej poruszyła się w jej ciele krew. Kobieta wyszorowała się, a potem legła na mchu, żeby wyschnąć. Było zupełnie bezwietrznie. W ciepłym powietrzu frunął gdzieś jedynie ospały trzmiel. Poniżej dolina Secus wydychała przezroczyście, niebieskawe opary.

Przez jakiś czas przyglądała się niewielkiemu niebieskiemu kwiatkowi, który wychynął z mchu. Był niewielki, ledwie dało się go zauważyć. A przecież wisiało na nim tyle niebieskich lejeczków, całkiem drobnych, jasnoniebieskich, jak niebo latem, w słoneczny dzień.

Jaki piękny – pomyślała – a człowiek wcale go nawet nie zobaczy. Przejdzie obok, nastąpi nań. Świat jest pełen pięknych rzeczy. Choćby ten mech, jaki on jest piękny. Niczym jakiś gęsty las, z drzewami o dziwnych kształtach...

Potem zobaczyła na mchu mrówkę. Była to malutka żółta mrówka, a targała ogromną igłę z wielkiej choiny. Utykała z nią, męczyła się.

Dokąd może ją nieść? Jak wielką ma w sobie wolę! Ileż woli jest na świecie, na dole i w górze, i wszędzie. Rozmaitej, rojącej się tu i tam woli, i każda posuwa coś naprzód... ale dlaczego i po co, któż to wie?...

Przebudził ją niski dźwięk dzwonka. Z lasu wyszły wielkie białe woły i wolno schodziły w dół do wody. Przy każdym kroku rozbrzmiewał dzwonek na szyi wielkiego zwierzęcia o szerokich rogach.

Nim stado dotarło do wodopoju, ubrała się. Woły obstąpiły koryta, nosy zwiesiły w wodę i piły w milczeniu. Za nimi, na wzgórzu stał jakiś człowiek wsparty na kij. Z ciekawością podniosła nań wzrok, a jej oczy szukały jeszcze i drugiego, lecz daremnie. Był tam tylko ten jeden.

Spotkali się potem przy szałasie. Woły pasły się rozproszone po polanie, niektóre pokładły się w cieniu i spokojnie przeżuwały. Wielki biały pies spał wyciągnięty za węgiem szałas. Mężczyzna siedział na progu i jadł. Kroił kozikiem słoninę i chleb. Był to mężczyzna krępy, o okrągłej głowie. Krótko przycięte włosy przypominały szczecinę; łysiał już. Tryskająca zdrowiem twarz była czerwona. Oczy niebieskie i wesole. Jadł słoninę i w zamyśleniu patrzył na kobietę, jak niespiesznie szła ku niemu.

– Szczęść Boże!

– Szczęść Boże, dziewczyno! Chodź, częstuj się!

Mężczyzna zrobił miejsce obok siebie na progu. Kobieta stała przed nim i przyglądała mu się z ciekawością, badawczo. Zmieszało go to spojrzenie.

– Co mi się tak przyglądasz? Chodź, zjedz!

Kobieta bez słowa usiadła obok niego. Jedli w milczeniu. Nareszcie mężczyzna wstał, wszedł do środka po dzbanek, napił się i podał go też kobiecie.

– Gdybym nie wiedziała, że to ty grałeś w nocy na fujarce, nie uwierzyłabym – powiedziała cicho kobieta, oddając dzbanek.

Mężczyzna mruknął coś i z powrotem odstawił dzbanek w cień. Po czym stanął obok kobiety na progu. Ta wciąż jeszcze siedziała i gapiła się w choiny.

– Szukasz Juona, tego z Piperika?

– Tak.

– Ano ja nim jestem.

Kobieta nie drgnęła. Nadal przyglądała się choinom.

– Wiem – odparła ze znużeniem.

Długo nie odzywało się żadne z nich. Mężczyzna stał oparty o ramę drzwi, kobieta siedziała na progu. I oboje patrzyli w dal.

– Znasz halę Komárnyik? – spytała nagle kobieta i podniosła nań wzrok.

Mężczyzna drgnął.

– Tak... to znaczy słyszałem o niej... jest gdzieś powyżej Görgény, prawda?

– Byłeś tam kiedy?

– Nie.

Przez chwilę panowała cisza, przyczaiła się i nadstawiła uszu. Nareszcie przemówiła kobieta. Szeptem, a jednak twardo.

– Kłamiesz, Juonie z Piperika.

Mężczyzna zadrżał i poczerwieniał. Przez chwilę stał nad kobietą tak, jakby chciał na nią skoczyć.

Lecz kobieta wcale nań nie patrzyła. Wpatrywała się w dal. Nareszcie

mężczyzna opuścił głowę i westchnął.

– Masz rację. Czekaj, opowiem wszystko.

Przysiadł na progu całkiem blisko kobiety. Łokcie wsparł na kolanach, ujął twarz w obie dłonie, oczy zaś wbił w ziemię przed swoimi nogami.

– Widzisz, to było tak. Mój ojciec był wójtem, wyczyniał podłe rzeczy i spalił mu się dom. Jego majątek poszedł na adwokatów i na palinkę. Moja matka wyprowadziła się z nami, dziećmi, na Piperik. Zbudowaliśmy tam wtedy chatę. Zbudowała ją moja matka, sama jedna, a my jej pomagaliśmy.

Miałem wówczas dziesięć lat, mój starszy brat dwanaście, młodszy brat siedem. Tylu nas było. I nasza matka. Pracowała na nas tak, jak jeszcze nigdy nie widziałem, żeby człowiek tak pracował. Dniem i nocą. Dniem i nocą. I nic nie było dla niej zbyt ciężkie. I nic nie było dla niej zbyt męczące. Na nas pracowała.

Wycinała drzewa jak mężczyźni, orała, siała, bronowała, kopała i toczyła z naszej ziemi kamienie, żeby mogło urodzić się więcej owsa, żeby można było na nim zarobić więcej pieniędzy, a za te pieniądze żeby można było posłać do szkoły mojego starszego brata. Chciała z niego zrobić pana za wszelką cenę. Żeby choć jeden z nas mógł być panem, powtarzała zawsze, i żeby mógł żyć tak jak panowie.

Ojciec już nie żył tamtego roku, kiedy mój starszy brat trafił do miasta. Moja matka zawiozła go do szkoły. Po powrocie do domu jakby odmłodniała. Oczy jej lśniły, a ręce nawet na jeden moment nie ustawały w pracy. Ja nająłem się w wiosce do pasienia świń, mój młodszy brat zaś został w domu do pomocy.

Mój starszy brat od czasu do czasu przyjeżdżał do domu, trochę u nas posiedział, po czym znów wracał do miasta. Nosił inne niż my ubranie, nie pracował z nami, nie pomagał matce w domu, tylko kręcił się tu i tam, jadł, spał, w końcu prosił o pieniądze i wyjeżdżał. Nasza matka była wówczas szczęśliwa, wydobywała pieniądze choćby i spod ziemi i patrzyła na mojego starszego brata tak, jakby był co najmniej księdzem.

Upłynęło tak kilka lat. Mój starszy brat coraz rzadziej przyjeżdżał do domu, a jeśli już przyjechał, potrzebował coraz więcej pieniędzy. Matka posłała mojego młodszego brata do kamieniarzy w Dédzie. Przez kilka miesięcy pracował tam od poniedziałku do soboty wieczór, aż raz zwała się nań skała i go zabiła.

Kiedy powiadomiliśmy o tym moją matkę, bardzo się przestraszyła. Nie płakała, tylko ogarnęło ją wielkie przerażenie i tak powiedziała: „Jak teraz zdobędziemy pieniądze, które twojemu starszemu bratu obiecaliśmy na świętego Michała?”

Ja byłem najęty w wiosce, nie mogłem stanąć w miejsce mojego młodszego brata, żebyśmy zebrali te pieniądze. Ano poszła tam moja matka i to ona zaczęła pracować w Dédzie jako kamieniarz. Na dwa dni przed świętym Michałem przysypało ją osuwisko. Wykopali ją spod niego i nawet zabrali do szpitala, ale kamienny pył na zawsze odebrał jej wzrok. Kiedy wróciła do domu, trzeba było

prowadzić ją za rękę, bo nic nie widziała. Lecz mój starszy brat dostał swoje pieniądze, nawet więcej, niż się spodziewał, bo za ten wypadek kamieniarz wypłacił mojej matce odszkodowanie.

Od tego czasu nasze życie stało się bardzo ciężkie. Matka żyła w domu sama, ślepa. Tyle że żyła. Jedzenie gotowałem ja, wieczorem, jak wracałem do domu od świń, żeby miała na cały następny dzień. Drewno rąbałem nocą, robiłem to i tamto, jak się dało, ale ciężko było. I mnie, i jej.

Do wiosny nie zobaczyliśmy mojego starszego brata. Nareszcie jednego dnia przyjechał. Obejrzał naszą matkę, w końcu wyszedł do mnie na pastwisko dla świń. „Słuchaj – rzekł – nasza matka naprawdę nie widzi?”. „Nie”. „To i pracować nie może?”. „Nie”. „To i pieniędzy nie macie?”. „Nie”. „To kłopot”.

Spytałem go, dlaczego to taki duży kłopot, skoro przez tyle lat wciąż się uczył i teraz to już mógłby wyżyć ze swojej wiedzy. „No to powiem ci prawdę – odparł mój starszy brat – ja niczego się nie uczyłem”. „No to co tam robiłeś w mieście?”. „Zostałem kupcem i ożeniłem się”.

Musiałem popatrzeć nań tak, że się przestraszył, bo położył mi rękę na ramieniu.

„Posłuchaj – rzekł – człowiek przeżywa swoje życie tak, jak umie. Ja umiałem tylko tak”. „A czym handlujesz?” – zapytałem. „No – odrzekł – czym się da. Teraz akurat zbieram złom dla pewnego jegomościa”. „No to przecież z pewnością masz pieniądze”. Mina mojego brata bardzo pokwaśniała. „Ano mam, mam – rzekł – ale wiesz, utrzymać dwoje dzieci i żonę... no a taka kobieta z miasta, wiesz, ona nie będzie pracować jak tutejsze kobiety, tyle że ugotuje i upierze, ale już porąbane drewno to trzeba kupować za pieniądze, no i ubrania, i wszystko inne. Wiesz, takie damy jak moja żona ubierają się całkiem inaczej aniżeli tutaj...”.

Takie rzeczy mówił mój starszy brat. Potem odjechał. I od tamtej pory więcej go nie widziałem.

Kiedyś, kilka tygodni później, matka zapytała pewnego wieczoru: „Słuchaj, właściwie jak daleko posunął się twój starszy brat w nauce? Dużo mu jeszcze zostało?”. „Nawet już i skończył” – odpowiedziałem. Matka bardzo się uradowała. „Naprawdę? – spytała. – A ja nic o tym nie wiedziałam? No to teraz już gotowy pan, nieprawdaż? O mój dobry Boże, że też pozwoliłeś mi dożyć i tego! Ojej, chwała ci, mój dobry Boże! No a powiedzże, jak on żyje i co robi? No opowiadaj!”.

I ja zacząłem opowiadać. Kłamałem tak, że od tego przechodziły mnie ciarki po plecach. Że ma urząd i pensję, i tak dalej. Wziął za żonę pańską panienkę, je przy stole nakrytym obrusem, jeździ powozem jak panowie. Pan Bóg z pewnością przebaczy mi te kłamstwa, bo moja matka, biedaczka, coraz bardziej od nich kraśniała i cieszyła się jak dziecko, a jej ślepe oczy błyszczały, jakby znowu tliło

się w nich życie.

No i od tamtej pory o niczym, ale to o niczym innym nie mówiła. „Ciekawe, co teraz porabia twój starszy brat? Co je? W jakim łóżku śpi? Z pewnością w jedwabkach!” I tak dalej. I wciąż wyrażała wdzięczność dobremu Bogu za to, że odebrał jej wzrok i za cenę jej oczu z mojego starszego brata uczynił pana.

Wiesz, u nas tam wysoko, na Piperiku, nie za często bywają ludzie. Mijają tygodnie, nim ktoś tam zabłądzi. A i ten po co przychodzi? Szuka w brzezynie dyszla do wozu albo tropi kunę. Ale nie po to, żeby zajść do samotnej ślepej staruszki i z nią porozmawiać.

I tak to moja matka siedziała tam sama od rana do wieczora i nie robiła nic, tylko rozmyślała. Nad swoim synem, który stał się panem. I naraz tak oto rzekła: „Mimo wszystko twój starszy brat mógłby mnie odwiedzić, słyszysz? Mógłby przyjechać pańskim powozem, przez całą wieś, żeby go widzieli. A potem mógłby opowiedzieć o tym, jak żyje. No bo mimo wszystko...”

Nigdy tego nie wypowiedziała, ale ja wiedziałem, że ją to bolało, bo nie tak sobie wyobrażała ową pańskość mojego starszego brata. Myślała, że wszyscy będą o tym wiedzieć i wszyscy będą to widzieć, a ona sama odmłodnieje, pławiąc się w sławie swego syna. Ale się nie skarżyła. Długo dusiła w sobie ten żal.

Już trzeci rok tak żyliśmy: ona ślepa, a ja przy świniami. Zapłata, jaką dostawałem od wioski, była za duża, żeby umrzeć, ale na życie dla dwojga ledwie już starczała. Bo wiesz, pastuch jest pastuchem tylko od wiosny do jesieni. Od świętego Jerzego do świętego Michała. Od świętego Michała do świętego Jerzego niechże sam zadba o to, z czego ma żyć. Normalnie to jest tak, że póki on zajmuje się pasaniem, to rodzina w tym czasie gromadzi w domu wszystko na zimę. Okopuje kukurydzę na jednym kawałku, kosi, zbiera zboże na innej części i odkłada w domu zapasy na życie jak pszczoły i mrówki. Pasterz przynosi jedynie przyszwę do butów z cholewami oraz niedzielną gunię i omastę, i pieniądze na to i na tamto.

U nas było całkiem inaczej, bo moja matka nie mogła już chodzić do pracy. Przez cały dzień tylko siedziała na łóżku, a jeśli była ładna pogoda, siedziała na ławce przed domem. Ja musiałem postarać się o wszystko i jeszcze też dać sobie radę z robotą wokół domu. Zaczęło być u nas bardzo cienko.

Pewnego razu niedźwiedź zabił naszą krowę. To było tak, że ja o świcie, nim wyruszyłem pozbierać świnie po wsi, doilem ją i wypuszczałem, żeby się pasła. A ona potem przez cały dzień skubała sobie trawę, a jeśli chciało jej się pić, szła w dół do wody, nie było z nią żadnego kłopotu. Wieczorem, gdy wracałem do domu, już tam stała przed szopą, dobrze najedzona, i czekała. Tak to zawsze szło. Była to dobrze ułożona, dzielna krowka. Aż tu jednego wieczoru nie czekała przed szopą.

Szukałem jej przez całą noc, ale dopiero o świcie ją odnalazłem. Zabił ją

niedźwiedź. Wciągnął w gęstwiny, połowę zjadł, połowę porzucił. Nie mieliśmy więcej krów.

Wieczorem, gdy znów wróciłem do domu od świń, moja matka tak mówi: „Trzeba by napisać list”. „A to do kogo?” – pytam. „Do twojego starszego brata. Z pewnością przysłałby pieniądze, żebyśmy mogli kupić krowę”. Ja na to nic się nie odezwałem, ale moja matka następnego dnia na powrót poruszyła ten temat. Że teraz już kolej na mojego starszego brata, żeby nam pomóc, bo my jemu dość pomogliśmy. A bez krowy nie da się żyć.

I ja to wiedziałem, że bez krowy nie da się żyć, zwłaszcza zimą. Lecz daremnie łamałem sobie nad tym głowę, nie wiedziałem, skąd mam wziąć tyle pieniędzy, ile taka krowa kosztuje. Moja matka zaś codziennie pytała: „Czy wysłałeś już list do twojego starszego brata?”. Kiedyś w końcu odpowiedziałem na to: „Przestańcie już, w niedzielę poproszę Bilibóka, żeby ten list napisał”.

Nigdy jeszcze nie pilnowała dni tak jak w owym tygodniu. Gdy wieczorem wracałem do domu, pytała: dzisiaj jest taki a taki dzień tygodnia, prawda? Jeszcze tyle i tyle zostało do niedzieli. W niedzielę rano zaś ledwie wyczekała, aż się uwinę ze wszystkim wokół domu, i już mnie ponaglała: „Idź już, idź, napiszcie ten list. Zanieś coś Bilibókowi, żeby ładnie go napisał”.

Poszedłem, pozbierałem świnie po wsi, w niedzielę wyganiałem je dopiero po kościele, i do wieczora siedziałem z nimi nad brzegiem wody, łamiąc sobie głowę, w jaki sposób mógłbym zaradzić naszej nędzy. Wieczorem moja matka powitała mnie takimi słowami: „No, napisaliście ten list?”. „Napisaliśmy” – odrzekłem. „Zanieś go Bilibók?”. „Zanieś”. Moja matka tak od tego odmłodziła, że radość brała, jak się na nią patrzyło. Jej twarz się zaokrągliła i nabrała rumieńców. „Zobaczysz – powiedziała – twój starszy brat przyjedzie pańskim powozem, a za nim parobek będzie pędził krowę, którą dla nas kupi. A drugiej takiej krowy nie będzie w całej wsi”.

Tak oto moja matka cieszyła się z góry na tę krowę, a i na to, że z mojego starszego brata zrobiła pana. Potem mijały dni, a ona każdego wieczoru zastanawiała się, gdzie teraz ten list się znajduje. Dzisiaj już pewnie go dostał. Przeczytał go. Dowiedział się o naszej nędzy i sam sobie złorzeczy, że myślami nie był z nami przez tak długi czas. „Ojej, żeby tylko nie zadręczał się tym zbyt mocno – biadoliła moja matka – przecież ja rozumiem, on nic nie może na to poradzić. Tam w mieście, pośród wielu panów, człowiek łatwo zapomina...”.

Następnego dnia tak rzekła: „Teraz już każdego dnia możemy się go spodziewać”. I zaczęła czekać na mojego starszego brata. Minął tydzień. Nic nie mówiła, tylko czekała. Minęły dwa tygodnie. I teraz nic nie powiedziała, ale ja widziałem po jej twarzy, że czeka. W trzecim tygodniu robiła się coraz smutniejsza. Już tylko tak siedziała na łóżku i ledwie drgnęła, gdy odezwałem się do niej. Twarz jej zeszczipiała. Postarzała się moja matka w tym tygodniu.

Do niedzieli nic nie powiedziała. W niedzielę zapytała: „Który to tydzień, jak napisaliście ten list?”. „Piąty” – odpowiedziałem. Moja matka w milczeniu, zapatrzona przed siebie, przytaknęła głową, po czym zaczęła płakać. A ja tamtej nocy poszedłem przez góry do Dédy i ze stajni popa wykradłem najładniejszą krowę.

Świtało, kiedy dotarłem z tą krową. Moja matka już nie spała, gdy zaszedłem do domu. „Gdzie byłeś?” – spytała. „Przyprowadziłem krowę, którą mój starszy brat kupił dla mojej matki” – odrzekłem. „O czym ty mówisz?” – matka poderwała głowę. „Przyprowadziłem tę krowę – odparłem – mój starszy brat przysłał mi wiadomość, żebym po nią poszedł, ponieważ on sam nie może przyjechać, bo ma dużo pracy. Do Dédy przyprowadził ją pewien przekupień. I oto teraz jest tutaj”.

Mojej matce wręcz zapało dech z radości. Po czym zaczęła płakać jak dziecko, wciąż powtarzając: „Wybacz mi, mój drogi, dobry synu, że w ciebie wątpiłam. Wybacz swojej matce!”. Potem musiałem ją poprowadzić do krowy, żeby mogła ją pomacać. Wymiona, ogon. „Nie ma drugiej takiej krowy w całej wsi, prawda?” – spytała i zaśmiała się przy tym. „Nie ma” – przytaknąłem, bo naprawdę nie było drugiej takiej krowy w całej wsi.

Z powodu tej krowy matka na powrót całkiem odmłodziła. Sama ją doiła, sama ją oporządzała, przez cały dzień chodziła, potykając się, na ślepo, wokół krowy. Z początku bałem się, że komuś się nią pochwali i rzecz się wyda. Lecz na szczęście nikt tamtędy nie chadzał i tak oto nie miała komu pochwalić się swoją radością. Ta radość tak postawiła moją matkę na nogi, że znów sama zaczęła gotować, nosić wodę, rąbać drewno. Nawet i na ślepo znajdowała wszystko, czego potrzebowała.

Mieliśmy kilka pięknych miesięcy we troje, z krową. Nareszcie nadszedł dzień świętego Michała, otrzymałem to, co mi się należało za wypas świń, i mogłem się rozejrzeć za resztą. Zebrałem drewno na zimę, popracowałem u gospodarzy za dniówkę, no i poradziłem sobie. Na Boże Narodzenie kupiłem mojej matce odświętne ubranie, buty z cholewami, chustkę na głowę. Kiedy jej to dawałem, zapytała: „Twój starszy brat to przysłał?”. „On” – odpowiedziałem. I moja matka uradowała się.

Wiesz, później wiele nad tym rozmyślałem. Ale w końcu uznałem, że tak było dobrze, bo gdybym się przyznał, że to wszystko ja dla niej kupiłem, wtedy powiedziała by, że no proszę, mój starszy brat nawet nie pomyślał o niej. I od tego zrobiłaby się smutna. A tak to się cieszyła. I w ogóle nie przyszło jej do głowy, że i ja mógłbym jej coś kupić, bo przecież żyliśmy razem i byliśmy ubodzy. Tak było dobrze.

Niekiedy myślałem i o tym, żeby się ożenić. Ale gdzież bym znalazł niewiastę, która przyszłaby ze mną wysoko na Piperik i tam przez cały dzień miała baczenie na jakąś ślepą staruszkę? No i nie ożeniłem się. Następnego roku zamiast

do świń nająłem się do stada wołów, bo z tym wiąże się większa zapłata, i moja matka od świętego Jerzego do świętego Michała znów została na Piperiku sama. Ale nie było źle, bo miała krowę, którą jakoby przysłał mój starszy brat, i dobrze sobie z nią radziła, żyły we dwie. Przemineło też i to lato, a o moim starszym bracie żadna wieść nie nadeszła. Po świętym Michale moja matka tak mówi: „Trzeba by napisać jeszcze jeden list”. „A po co?” – pytam. Tylko coś pomruczała i więcej się nie odezwała. Ale po kilku dniach wróciła do tego: „Przecież mimo wszystko jest moim synem, a ja od tak dawna go nie widziałam”. Po czym raz jeszcze tak powiedziała: „Nie myśli on już o mnie, z pewnością zrobił się z niego wielki pan”.

Ano tak to było. Widzisz, wszystko to są takie sprawy, o których człowiek nie rozmawia, ale one mimo to są gdzieś tam wokół niego i żyją wraz z nim. My też nie mówiliśmy o moim starszym bracie, tygodniami nawet nie wspomnieliśmy jego imienia. A jednak żył tam wraz z nami, w myślach mojej matki, i można było to odczuć. Nareszcie kiedyś, tak w połowie zimy, rzekła jednego wieczoru: „Twój starszy brat mógłby przysłać kilka owiec. Choć ze dwadzieścia, trzydzieści. Z wełny utkałabym odzienie i moglibyśmy jeść bundz, owczy twaróg, żentycę. Mielibyśmy twaróg na zimę. Jagnięta wszystkie byśmy zachowali, jedynie na Wielkanoc ubilibyśmy jedno, i tak oto stalibyśmy się gospodarzami z owcami. Mógłby to uczynić twój starszy brat, gdyby o nas myślał”.

Coś na to odrzekłem, jak to w takich razach człowiek coś tam odpowiada. Lecz mowy mojej matki nie brałem na poważnie. Gadanie starej kobiety, myślałem, zapomni. Ale nie zapomniała. Coraz częściej do tego wracała. Nie słowami, bo słowa, te są tylko takie jak owe małe kamyki, które widzisz na powierzchni ziemi, a które pokazują jednak, że niżej pod ziemią są wielkie, ogromne głazy. „Także i na Zielone Świątki zjedlibyśmy jedno jagnię – rzuciła – ale więcej to już naprawdę nie”. Ja najpierw nie zrozumiałem, o czym ona mówi, lecz w końcu wpadłem na to, że w jej myślach żyją owce, które powinien przysłać mój starszy brat. Bardzo głęboko w niej żyły, jak skały pod ziemią, i nic nie mogłem na to poradzić. Nareszcie raz tak powiedziała: „Ciekawe, kiedy twój starszy brat przyśle te owce”. „Przed świętym Jerzym nie może ich przysłać” – odparłem i tak oto cała rzecz została przypieczętowana. Od tego momentu moja matka liczyła się z tymi owcami jak z czymś, co istnieje. Przez całe dni głowiła się, gdzie będzie się je pasać. Którą polanę mamy zostawić na siano. A i o psie pamiętała. Chciała, żebym postarał się o jakiegoś dobrze ułożonego psa, który pomoże w pilnowaniu owiec, bo ona jest ślepa i bez psa nie będzie w stanie się nimi zająć.

Dotąd to powtarzała, aż przyniosłem jej psa. Był to starszy pies, zwierzę ciche, dobrze ułożone. Mądre. Dwa tygodnie pracowałem u pewnego gospodarza z owcami, żeby mi go dał. On miał aż trzy psy. Młodego mógłbym dostać i taniej,

lecz co mielibyśmy począć z młodym psem? Moja matka potrzebowała starego psa, który zna się już na owcach. Ano zdobyłem go dla niej. Ale o owcach wciąż jeszcze nie myślałem poważnie.

Na trzy tygodnie przed świętym Jerzym moja matka tak mówi: „Słuchaj, mógłbyś zabrać się do zagrody”. „Do jakiej zagrody?” „No do tej, w której zamkniemy owce, jak nadejdą”. Od tej pory nie dawała mi spokoju. Że ja na świętego Jerzego odejdę ze stadem wołów, a ona zostanie tam sama i nie będzie zagrody. I tak oto zrobiłem w końcu tę zagrodę. Myślałem, że na łapu-capu sklecę jakieś ogrodzenia i to w zupełności wystarczy. Tyle żeby moja matka słyszała, że pracuję. Ale nie tak się stało. Bo moja matka siedziała tam przy mnie przez cały dzień i własną ręką macała żerdzie, które wbijałem w ziemię, i tak mówiła: „Ta będzie za cienka, ta będzie za niska”. I tak dalej. Musiałem uszykować normalną, porządną zagrodę, żeby się uspokoiła. Od tego czasu całymi dniami siedziała przed zagrodą i czekała na owce.

Już tylko jednego tygodnia brakowało do świętego Jerzego i łamałem sobie głowę, jak to będzie, gdy świętego Jerzego przeminie, owce nie nadejdą, a moja matka zostanie sama z pustą zagrodą. Łamałem sobie głowę i już nawet i nad tym rozmyślałem, skąd mógłbym ukraść kilka owiec, żeby ta zagroda nie była pusta. I wtedy... jednego wieczoru szliśmy drogą we dwóch z pewnym młodzieńcem, a z naprzeciwka szedł pan. „Chcecie zarobić? Tysiąc forintów...”. Tak to było. I dwie trzecie pieniędzy dostało się mnie. Następnego dnia pobiegłem na targ w Szászregén i kupiłem sześćdziesiąt pięć ładnych owiec. I ubrania dla mojej matki, i inne rzeczy. I wciąż jeszcze pozostała góra pieniędzy. I potem pogałem owce do domu, a moja matka czekała na mnie obok zagrody i śmiała się, i znów była całkiem młoda. Położyłem przed nią ubrania i wręczyłem jej pieniądze. Nie pytała, kto je przysłał, a ja nic nie mówiłem. Macała ubrania i cicho śmiała się do siebie.

Nazajutrz było świętego Jerzego i ja przyszedłem tutaj na górę ze stadem wołów. Ano tak to było, kobieto.

Umilkł. Słowa rozsypały się ponad lasami i rozprysły się w ciszy. Pozostała po nich czarna czeluść, tam, pomiędzy dwojgiem ludzi, gdy tak siedzieli obok siebie na progu i patrzyli w ziemię, w zdeptaną ziemię, a ich odzienie stykało się.

– I co teraz będzie? – zapytał mężczyzna po dłuższej chwili i podniósł głowę. Popatrzył na kobietę.

– Nie wiem – ta odpowiedziała, a jej głos był taki, jakby nadszedł z bezdennej głębin. I nie patrzyła nigdzie, tylko przed siebie w ziemię.

Po jakimś czasie mężczyzna poruszył się i wstał.

– Muszę popędzić stado na połoninę – rzekł.

Począł trochę, ale kobieta nie odezwała się ani nawet nie drgnęła.

Nareszcie ruszył. Woły same z siebie zaczęły już iść, gdy go zobaczyły.

Sennie powlókł się za nim pies. Słońce ciepło przygrzewało, niebo było błękitne i bezchmurne, a kobieta siedziała nieruchomo na progu.

Siedziała tam jeszcze i wtedy, gdy stado powróciło przed wieczorem. Mężczyzna napoił woły, zamknął za nimi bramę zagrody i podszedł do kobiety. Przystanął przed nią, przyglądając się jej. Ona wciąż jeszcze wlepiła wzrok w ziemię.

– Chciałbym o coś zapytać, kobieto – mężczyzna przemówił ochryple. Kobieta milczała. – Nie musisz odpowiadać od razu. – Kobieta uczyniła ręką jakiś nieznaczny ruch, lecz wciąż jeszcze nie podnosiła wzroku. – Powiedz – spytał mężczyzna – nie chciałabyś zostać moją żoną?

Kobieta wzdrygnęła się i gwałtownie powstała. Wręcz z lękiem spojrzała na mężczyznę.

– Co mówiłeś?

Mężczyzna, zaczerwieniwszy się nieco, przestępował z nogi na nogę.

– I ty jesteś sama... i ja jestem sam. I mocno zgrzeszyłem przeciw tobie. Naprawiłbym to...

Kobieta znów się wzdrygnęła.

– Szalony jesteś – wyszeptała – nie wiesz, co mówisz! Odwróciła się i dziwnie się zaśmiała. Mężczyzna stał zakłopotany.

– Myślisz, że... nie byłbym dla ciebie dobry?

Zamiast odpowiedzi kobieta podniosła ramiona i splotła dłonie z tyłu, na karku. Przeciągała się miękko jak kot.

– Nie wiesz, co mówisz! – powtórzyła z gniewem. – Na Boga, człowieku, nie wiesz, co mówisz! – Po czym gwałtownie odwróciła się ku niemu i mocno wejrzała mu w oczy. – Wiesz, po co tu przyszłam? Po to, żeby ciebie zabić!

– No to zabij mnie – mężczyzna odrzekł obojętnie i wzruszył ramionami.

– Chodź – kobieta zawołała nań raptem – zabiję cię. Chodź!

I ruszyła w dół, w kierunku źródła. Mężczyzna posłusznie poszedł jej śladem. Słońce udało się już na spoczynek, jeszcze tylko jego promienie łagodnie igrały na niebie. Od zagrody wołów woń zwierząt buchała ciepłem. Była to woń pełna spokoju. Murawa poczęła się rościć.

Pod choinami kobieta stanęła i odwróciła się.

– Zatrzymaj się! Zostań tutaj!

Mężczyzna zatrzymał się. Kobieta poszła do źródła i zaczęła się rozbierać. Jej osmalone słońcem ciało miękko jaśniało w szarym zmierzchu.

– Piękna jestem? – spytała, potrząsając włosami tak, że wydawało się, jakby na jej ramionach tańczyły lśniące złote węże.

Mężczyzna wlepił w nią wzrok.

– Piękna jestem? – zapytała raz jeszcze, a usta jej się nieco rozchyliły i spomiędzy czerwonych warg błysnęły drobne ostre zęby.

Mężczyzna jęknął ciężko.

– Tak – rzekł i po tym słowie przełknął ślinę.

Kobieta roześmiała się cicho, dziwnie, po czym zaczęła ochlapywać się wodą dla zabawy. Grube krople zbiegały w dół po jej skórze, mieniać się i laskocząc, a smukłe ciało kobiety jakby wykonywało jakiś dziwny, magiczny taniec, wilo się, uciekało i poddawało się, drżało i obiecywało...

Nareszcie się ubrała. Mężczyzna wciąż jeszcze tam stał w bezruchu, z wytrzeszczonymi oczyma.

– Teraz ciebie zabiłam – rzekła – rzuciłam czar i ty umrzesz. Mężczyzna jęknął, na jego czole wyperlił się pot. Chciał coś powiedzieć, lecz suchy język nie słuchał go.

– Chodź! – rzuciła kobieta i ruszyła z powrotem w kierunku szałas.

Nie odezwali się do siebie. Potem zjedli. Tymczasem nastał wieczór. Z głębokich lasów wypełzła na polanę ciemność. Miękka biała plama wołów złała się z mrokiem, a niebo napełniło się gwiazdami.

– Teraz wejdź do środka i zagraj na fujarce!

Mężczyzna bez słowa zniknął w mroku szałas. Jeszcze przez jakiś czas słyhać było, jak się tam grzebie, po czym zapadła zupełna cisza. Wreszcie odezwała się fujarka. Cicho, łagodnie i nieskończenie smutno. Niekiedy nabierała impetu, a potem w środku wesołego, dzikiego rytmu nagle utykała, więzła niczym gołąb schwyty w czarną pułapkę nocy, z której nie było wyzwolenia.

Ponad polaną krążyły sowy, daleko na połoninie podnosiła alarm sarna, a fujarka płakała. Jakaś gwiazda poczęła biec po niebie i w końcu spadła. Potem wzeszedł księżyc i swą bladą poświatą nasączył lasy. Fujarka płakała.

Nareszcie kobieta z wolna poruszyła się na progu, wstała i zaczęła iść w kierunku wyznaczonym przez księżyc. Pod jej stopami miękko ugięła się pokryta rosą trawa. Przed nią poderwał się do lotu lelek. Pochłonał ją las. A fujarka wciąż jeszcze płakała.

Na połoninie pojawiły się jelenie. W blasku księżyca dziwnie wydłużały się ich kształty. Pod jakimś spłoszonym ptakiem zadrżała gałązka. A gdzieś daleko w dole wciąż jeszcze płakała fujarka.

17 Węg. *pásztorcsillag*, dosłownie Gwiazda Pasterzy, to dawna ludowa nazwa Wenus, jako że pojawienie się i potem zniknięcie Wenus na niebie wyznaczało pasterzom czas czynności wykonywanych przy wypasanych owcach lub innych zwierzętach; w języku polskim rozpowszechniły się osobne nazwy: Jutrzenka oraz Gwiazda Wieczorna.

Świtało. Po obu stronach połoniny stała mgła, gęsta i biała. Było całkiem bezwietrznie i cicho, tylko gdzieś daleko w dole modlił się potok.

Gdzie ja jestem?

Kobieta stała na skalistym grzbiecie połoniny i próbowała się zorientować. Wszystko było takie osobliwe. Tam jakieś drzewo: bez gałęzi, okaleczone. Kilka ciemnych pni, wilgotna woń sadzy. Nigdy niewidziane drzewa, nigdy niewidziane pnie, a jednak wszystko jakoś tak znajome.

Gdzie ja jestem?

Szara otoczka świtu pękała. Do życia budził się poranek. Ponad górskim grzbieciem przeleciał zygzakiem lelek. Gdzieś odezwał się jakiś inny ptak. W jarze tonącym we mgle trzasnęły gałęzie. Zatupotały racice. Rozległ się ostrzegawczy głos sarny. Chłodny wiatr załopotał zasłoną mgły. Odcięły się z niej drzewa. Osobliwe, wysokie, okaleczone, czarne. Umarłe drzewa. Same umarłe drzewa. Stały tam we mgle, upiorne i martwe, jakby strzegły krainy umarłych. Umarły las.

Kobieta stała, przyglądała się, a serce ścisnęło jej jakieś dziwne, lodowate uczucie. Co to jest? Co to za drzewa i co to za czarne pnie? I co to za dziwne skały, i co to za mgła?...

Hen w dole, skryty we mgle szumiał potok, ale tak, jakby płynęła w nim czarna woda.

Podmuchi wiatru wzmógł się, zbijał mgły coraz bardziej w dół. Błękit nieba otworzył się i gdzieś za górami szykowało się słońce. Lecz zbocza gór po obu stronach były nagie i czarne. Tylko gdzieniegdzie umarłe drzewa wznosiły ku górze swe kalekie ramiona, tu i ówdzie przycupnęły czarne, niedopalone pnie, a pokryte sadzą skały posępnie garbiły się pod niewidzialnym ciężarem. Kobieta jakby stała na połoninie umarłych, na tej czarnej połoninie, z której wiedzie ścieżka wydeptana przez opuszczających życie do umarłych lasów i umarłych jarów, w dal, ku temu tajemniczemu nieznanemu.

Raptem jej oko zatrzymało się na żywej, zielonej plamie. Nieco niżej, w pierścieniu surowych skał i czarnych okaleczonych drzew, ta zielona plama wręcz lśniła. Wręcz uśmiechała się. Był to skrawek życia. Polana.

Dotarła tam jednocześnie ze wschodzącym słońcem. Wszystko wokoło miało zapach zastarzałego popiołu, zły, gorzki zapach. Lecz na murawie polany mieniła się rosa, pośród traw jaśniały kwiaty i gaworzyło źródło. Przy źródle samotnie stała sarna i ze smutkiem popatrywała ku niej. W pewnej chwili odwróciła się i wskoczyła pomiędzy czarne skały i okopcone, okaleczone resztki drzew.

Kobieta przecięła polanę i właśnie chciała pochylić się nad źródłem, żeby się napić, kiedy spostrzegła krzyż. Był to cienki, mały brzozy krzyż, biały i sierocy. A na nim wyschłe wspomnienie niegdysiejszego wianka.

Kobieta stanęła w osłupieniu, ze wzrokiem zastygłym na tym wianku. I naraz poznała też wszystkie góry. Macskás, Ulmu, okolice Galonyi. I rozpoznała odgłos

potoku w dole, brzmiały właśnie tak, jakby płynęła w nim czarna woda, i wiedziała, że to Urszu.

Podeszła do krzyża i usiadła przy nim. Siedziała i patrzyła na spalone, nagie zbocza gór i od czasu do czasu przymykała oczy, żeby móc zobaczyć także i tamte lasy, które żyły gdzieś w niej, w czeluściach pamięci, zielone i potężne, i piękne, które istniały już tylko tam.

Długo tak siedziała. Słońce powoli wspięło się na niebo, a powietrze oczyściło się i ogrzało, i w tym przesyconym światłem, czystym powietrzu spalone, okaleczone drzewa zdawały się jeszcze czarniejsze, a okopcone zbocza gór jeszcze bardziej martwe.

Wreszcie po jakimś czasie wstała spod krzyża i ruszyła spalonym lasem w dół. Odszukała szeroki jar, w szerokim jarze źródło Urszu i tak pomyślała: Tutaj stał wielki klon... tu były jeżyny... tu zbierałam maliny... tu złapałam kunę...

Potem szła w dół, wzdłuż potoku, a woda miała czarny kolor i wszystko było czarne.

Kładka jeszcze tam leżała ponad wodą, ale już porósł ją mech i nigdzie nie było widać ścieżki, i nie było tam też drzew, tylko polana, a na polanie jakiś zwęglony, czarny stos. I wszystko było tak przerażająco obce i tak inne, jakby od tamtej pory upłynęły tysiące lat i nikt już nie wiedział, że w miejscu tych szarych, okaleczonych drzew stały kiedyś pokryte liśćmi piękne buki, a ów smutny, ciemny stos był kiedyś domem, domem, przez którego próg wchodzili i wychodzili ludzie...

Doszła tylko do kładki, przejść przez nią nie miała odwagi. Stała i patrzyła ponad potokiem Bisztra na drugą stronę, na ów dziwny, obcy stos tam na polanie i czuła się tak, jakby w niej też coś się wypaliło, jakby i ona sama pełna była szarego popiołu i kłujących, okaleczonych drzew, i pustych, ponurych skał, bo od tamtej pory minęły tysiące lat, nigdzie nie ma już niczego i nigdzie nie ma już nikogo, jest tylko ona, sama jedna.

Nareszcie odwróciła się i odeszła. Szła i szła z powrotem zboczem w górę. Tu była kiedyś ścieżka, jej ślady zapewne jeszcze gdzieś tam widać... ogień wypalił te ślady, deszcze je zmyły, śniegi wyszorowały, ale tu i tam przecież musiało coś pozostać... tylko trzeba by odszukać. Ale już i szukać nie warto.

Przysiadła na zwęglonym, starym, niedopalonym drzewie i myślała: Tu były piece... a gdzieś tutaj szałas... I było tak, jakby gdzieś tam siedział również Tóderik, i też patrzył na zwęglony las, i kiwał głową, jak to miał w zwyczaju.

Wysoko ponad Urszu przeleciał wielki dzięcioł, zaszeleścił skrzydłami. I on był czarny.

Raptem kobieta poderwała się i popędziła z powrotem w dół do potoku. Wbiegła do wody. Gorączkowo szukała ryb, lecz jej ręce poruszały się niezdarnie i w pośpiechu. Ledwie udało się kilka złapać. Podskakujące ryby wepchnęła do

fartucha, przemokła od nich spódnica, a kobieta zadrżała.

– Stary Sándru czeka na mnie na Ulmu – wyszczękała zębami jak w febrze – stary Sándru czeka na mnie na Ulmu, obiecałam mu ryb... i jest z nim Nátu i pozostali...

Było jej zimno, a przecież słońce ciepło przygrzewało na pozbawionych roślinności zboczach. Wręcz biegła w górę starą ścieżką, a przecież jej ślad ledwie było widać tu i tam pośród zwęglonych szczątków na wpół spalonych pni.

– Stary Sándru czeka na mnie na Ulmu... stary Sándru czeka na mnie na Ulmu... – dyszała do siebie i śpieszyła się, jakby przed czymś uciekała albo uciekała do kogoś, kto od dawna czeka, i ona musi dotrzeć tam na czas.

W górę, w górę wzdłuż wypalanej doliny potoku Urszu, w górę na nagi górski grzbiet, a za nim znów w dół, po okopconych skałach, nadpalonych, okaleczonych drzewach, biegnąc, dysząc, z niemymi, zimnymi rybami w fartuchu, z jakąś przeraźliwą, pełną lęku gorączką w głowie i w sercu, że trzeba się śpieszyć, śpieszyć, żeby tylko nie było za późno, żeby tylko nie stało się tak, że nikt, ale to nikt nie będzie na nią czekał na Ulmu...

Dopiero w dole nad Galonyą uspokoiła się nieco. Tam świat już na powrót był zielony, zielony i spokojny. Potok rzucał się i ciskał we własnym łóżysku, olchy chyliły się ku niemu, zielone. Na krągłych kamieniach jak dawniej siedział pluszcz i wpatrywał się w wodę. Tylko las był inny. Na zboczu Ulmu brakowało drągowiny, góra była naga, niczym rozebrany człowiek. Gdzieś w jarach zieleniły się maliniaki i zarośla ożyn, nieliczne wątle choiny i buki stały osamotnione i wszędzie z biegiem potoku Galonya i także wzdłuż całego Ulmu brudne, wyłożone balami drogi pokazywały kierunek w dół, dokąd obcy ludzie zwozili drewno. W połamanych krzewach, pośród poranionych pni pobrzmiwało jeszcze echo zwózki, jęk koni, przekleństwa odgrażających się ludzi, a przecież nieme było Ulmu, całkiem nieme. Wielka niema poręba. Poranione drzewa, krwawiące pnie, kalekie krzewy. I jary tak ograbione, że niemal nagie. Wszędzie tylko cisza. I śmierć. Jakby góry zostały stratowane przez straszliwe ludzkie hordy. I pozostało jedynie świadectwo spustoszenia. Nic więcej. Tylko cisza, cisza zniszczenia. Nic więcej. I to, że ponad zniszczeniem, poza ciszą, wysoko na szczycie Ulmu, ktoś na nią czeka.

Nareszcie dotarła tam na górę. Kilka starych buków, miękki brunatny cień, jedna sarna. I znów jedna sarna. Po czym hala, ta stara.

Skoszona trawa, kopki. Na lewo, w górze, krzyż.

Dom. Zagroda. Puste. Kopki. I w dole woda wypływająca ze źródła. I cisza. I wszędzie pustka.

Stała pod skrajnymi bukami i dyszała. Kilka razy przetarła dłonią czoło.

Przecież... ja już tu byłam, oczywiście... Wczoraj? Przedwczoraj?... Przed miesiącem?... Czy przed rokiem?... Nie ma tu nikogo, oczywiście... nie ma

starego Sándru, tak powiedział tamten mężczyzna, i nie ma nikogo innego, a trawy wyrastają czarne...

Jej ręka z wolna puściła fartuch, ryby wypadły na trawę. Osunęła się obok nich, przysiadła. Kłuły suche ściernie skoszonej murawy i wszystko było takie puste. Rozwarte okrągłe oczy zeszywniałych w bezruchu ryb, hala i zagroda na hali, i dom, i koryta poniżej domu. I pusty był daleki błękit nieba, i niewidoczne powietrze, i cień tam w środku pod bukami, i wszystko było puste, wszystko, co widoczne, i wszystko, co niewidoczne. Puste i tylko puste. Jak okrągłe oczy martwych ryb na suchych ścierniach skoszonej murawy.

Wyciągnęła się na ziemi, na wykoszonej na pusto trawie pustej hali, obok martwych ryb o pustych oczach, przycisnęła twarz do pachnącej wilgocią ziemi i płakała. Sama nie wiedziała, jak to się zaczęło, po prostu naraz poczęły płynąć jej łzy, palące, gorące, i już nie można było ich zatrzymać. I dobre to było, że nie można było ich zatrzymać, że lały się i lały, moczając jej twarz i wsiąkając w ziemię. Dobre to było. Było to takie, jakby gdzieś w środku, w zmaconym świecie uczuć pękła jakaś tama i lało się na zewnątrz wszystko, co się w niej nagromadziło i kłębiło, jak jakaś straszliwie wielka czarna powódź o zapachu sadzy i zniszczenia.

Płakała i płakała. I powoli wszystko stawało się łżejsze, łagodniejsze, smutniejsze. Jak po burzy, kiedy uspokajają się błyskawice, odchodzą w dal grzmoty i już tylko pada deszcz. Pada i pada, cicho i smutno, i już nie jest on straszny czy przeraźliwy, tylko żałośnie łagodny, jakby chciał obiecać, że nadejdzie pocieszenie.

Płakała, jednak coraz spokojniej. Łzy już nie lały jej się z oczu, a jedynie rosily ciepło i przyjemnie. Już nie szczękały jej zęby, już nie wstrząsał nią szloch. Tylko tak tuliła się do ziemi i płakała. A ziemia była ciepła i ciepło grzało słońce, i gdzieś w oddali słychać było kukułkę.

Nagle zachrzęściły kroki na trawie. Poderwała głowę. Skrajem polany szedł mężczyzna. Miał na sobie pańskie odzienie, na ramieniu strzelbę, przy boku worek. Był młody, miał śniadą twarz. Szedł wprost ku niej.

– Szczęść Boże, dziewczyno!

– Szczęść Boże!

Kobieta pozostała w pozycji siedzącej. Mężczyzna spojrzał na nią, przymrużywszy oczy.

– Płaczesz? Coś ci się stało? Kobieta otarła oczy.

– Mnie nie.

– No więc?

– To światu coś się stało. Nie nadaje się do tego, żeby żyli w nim ludzie.

– Czemu?

– Bo to, co piękne, przemija, a w jego miejsce przychodzi jedynie to, co brzydkie.

Obcy popatrzył na nią w zamyśleniu.

– Masz rację – odrzekł, a jego głos przepelniała gorycz. Znajomy był ten głos. Kobieta wyteżyła uwagę. Przyglądała się krągłej, śniadej twarzy, zawadiackiemu wąsikowi, na koniec wejrzała w ciemne oczy i w tym momencie wszystko jej się przypomniało.

– Oczywiście, ty też szukasz tego dawnego Ulmu. Mężczyzna w zdumieniu podniósł głowę.

– Co mówisz?

– Szukasz ognia, przy którym siedzieli twoi bracia i twój ojciec... Daremnie go szukasz, już nawet i ślad po nim zmyły deszcze i rozwiały wiatry...

Obcy postąpił bliżej.

– Skąd wiesz?

Głos miał ochryply, przytłumiony. Kobieta wstała powoli, otrzepała fartuch i ponownie spojrzała mężczyźnie w oczy. Przez chwilę zagłębiała się w owych ciemnych, zmąconych oczach, po czym skinęła głową.

– Szukasz czegoś, czego nie ma. Chciałbyś powrócić na porzuconą niegdyś drogę, a tymczasem drogę tę zarosły trawa i mech. To ty sam z niej zszedłeś, bo owa ścieżka była dla ciebie nazbyt wąska, a teraz nie masz już przed sobą żadnej ścieżki, tak samo jak i ja. Tyle że ja jeszcze długo, jak myślę, będę się błąkać, na ciebie zaś czeka już gęstwina, z której więcej żadne tropy nie prowadzą na zewnątrz.

– O czym ty mówisz?! – zawołał mężczyzna, chwytając kobietę za rękę. – Znasz mnie?

– Myślę, że masz na imię Indrei – odpowiedziała kobieta, uśmiechając się.

– Oczywiście, już sobie ciebie przypominam – westchnął mężczyzna i wypuścił jej rękę – kiedyś widziałem ciebie tutaj, przy owcach...

– Tak – przytaknęła kobieta – przy owcach. Dawno to było.

– Trzy lata temu.

– Dawno temu.

Stali i przyglądali się sobie.

– Chodź – kobieta rzuciła nagle, pochwycając dłoń mężczyzny – chodź! My jeszcze mamy z sobą do pomówienia. Chodź!

Poprowadziła go pod dom.

– Widzisz – rzekła – oto dom. Powiedzmy, że to jest nasz dom, i powiedzmy, że ty jesteś juhasem, a ja jestem twoją żoną, i tutaj mieszkamy. A owce są tu w zagrodzie, widzisz, i teraz rozpalimy ogień, i coś zjemy, bo jesteśmy głodni. Ty nie jesteś głodny?

– Ależ tak – mężczyzna odpowiedział i uśmiechnął się.

– No widzisz. I nie naśmiewaj się z tego, bo prawdą jest, że to tylko zabawa, ale czyż i całe życie nie jest zabawą? Ja ciebie znam jako tego „młodego Sándru”,

i teraz, młody Sándru, biegnij i nazbieraj drewna, żebyśmy mogli rozpalić ogień. A ja przyniosę ryby.

Wkrótce przed domem zapłonął ogień i upiekli ryby. Mężczyzna przygotowywał kolację, kobieta siedziała na progu. Młody Sándru wyjął z worka słoninę, chleb i zjedli. Tymczasem zaszło słońce i na Ulmu opadł wieczór. Pokazały się sowy. W mroku ledwie majaczyła zagroda, a za nią pusty dom. Miał zapach pleśni i grzybów. Sierocy zapach opuszczonego domu.

– Widzisz – odezwała się naraz kobieta – ty powiedziałeś, że to już trzy lata, jak siedzieliśmy tu razem przy ogniu, a ja powiedziałam, że to było dawno. Widzisz, taka jest między nami różnica. Ty jesteś już taki jak ludzie tam w dole i czas liczysz tak oto: jeden rok, dwa lata, trzy lata... A przecież to zupełnie wszystko jedno, ile zim i ile lat przeminęło od tamtej pory. Było to dawno, bardzo dawno temu. Nie przed trzema laty, tylko dawno. Rozumiesz? Może istnieć coś, co od wielu, wielu zim i od wielu, wielu lat zawsze jest takie samo i nie zmienia się, a nie mówimy o tym, że było dawno. Lecz to, co się zmienia, odchodzi, nawet jeśli było wczoraj, nawet i wtedy było dawno temu. To, co umarło, było dawno temu...

Potem siedzieli przy ogniu i milczeli. Sowa odfrunęła w buczynę po sen i jedna po drugiej rozbłysły gwiazdy.

– Teraz opowiedz mi, co chcesz – nagle odezwała się kobieta.

Młody Sándru opuścił głowę. Przez jakiś czas w milczeniu wpatrywał się w ogień, po czym z wolna zaczął opowiadać:

– Ty wiesz, dlaczego ja byłem tu wtedy... dawno temu. Masz rację, ważne są nie te trzy lata, które upłynęły od tamtej pory, lecz to, że było to dawno temu. Że od tamtego czasu wiele rzeczy się zdarzyło i wiele rzeczy przeminęło. Wszystko przeminęło.

Mój ojciec zrobił ze mnie pana. To on chciał, żebym był panem, nie ja. Ja tego nie chciałem. Ja chciałem zostać tu przy owcach, jak reszta. Lecz mój ojciec... tak, jeśli mój ojciec czegoś chciał, to na to nic nie można było powiedzieć. Stałem się panem.

Czy ty wiesz, co to jest pan? Jakiego rodzaju człowiekiem jest ten, którego tak nazywają? Nie myślę tu o baronie czy panu Éltető, czy innych takich, bo ci są czymś więcej, aniżeli znaczy owo słowo. Pan, tam w dole, oznacza takiego, co chodzi w miejskim ubraniu, wyglansowanych butach, śpi w łóżku z kołdrą i tak dalej. Znaczy to, że sadzają cię za biurkiem i wykonujesz pracę, jaką ci wyznaczają, i dostajesz za to określone wynagrodzenie, o którym z początku sądzisz, że to strasznie dużo, jednak potem okazuje się, że to niestety bardzo mało. Bo od momentu, gdy usiadłeś za biurkiem i nazywają cię panem, nie jesteś już swoim własnym panem. Robisz nie to, co chcesz, lecz to, co ci nakazują. W urzędzie twoi przełożeni, w czasie wolnym zwyczajnie, które wiążą się z tytułem pana. Nie możesz jadać tam, gdzie chcesz, tylko tam, gdzie jedzą pozostali. Nie możesz poruszać się

piechotą, a tylko powozem, i nie możesz nieść w ręce bagażu, tylko musisz go oddać komuś innemu do dźwigania. Raz musisz udać się tu, raz tam. Do tej rodziny, do tamtej rodziny. Zapraszają cię do siebie ludzie, którzy nie mają ci nic do powiedzenia, a musisz do nich pójść i musicie wynudzić się przez cały wieczór tylko dlatego, że wszyscy jesteście panami. Na próżno polubisz swoje stare ubranie, nie możesz go więcej nosić, jeśli ma już wytarte łokcie. I co wieczór musisz pójść do kasyna i grać w karty nawet wtedy, gdy nudzi cię ta gra, i musisz wypić, nawet jeśli nie masz ochoty na picie. A wszystko to kosztuje, dużo kosztuje, i gdy pierwszego otrzymujesz wynagrodzenie, do piętnastego nic już z niego nie zostaje, i przez dwa tygodnie w dalszym ciągu musisz żyć pośród ludzi w taki sposób, jakbyś kieszenie miała pełne pieniędzy, bo wszyscy wokół ciebie tak żyją. A przecież i tamci są równie biedni jak i ty, i wszyscy wiedzą to o sobie nawzajem, a jednak nie wypada, żebyście o tym mówili. To właśnie oznacza owo słowo: pan.

Kto się w ów krąg dostanie, ten musi być taki jak reszta. Tak jak w trzodzie czarnych świń miejsce jest tylko dla czarnych świń, tak samo i pośród panów miejsce jest jedynie dla pana. Kto nie jest taki jak reszta, tego spośród siebie wygryzą. Ano tak to było i z moim nazwiskiem. „Sándru” – mówiłem, gdy podawałem rękę, a ludzie przyglądali mi się z tego powodu. Bo takiego imienia nie ma pośród panów, takie imię jest tylko w krainie wysokich gór i we wsiach leżących pod ośnieżonymi szczytami, i w podobnych miejscach. Z takim imieniem wiążą się kierpce i portki z samodziału, i wyciągnięta koszula, i szeroki opasek. Nie zaś pański ubiór. I dlatego też ludzie przyglądali mi się z tego powodu i kręcili głowami. No więc zacząłem im mówić „Sándor”, wtedy ludzie więcej już mi się nie przyglądali i nie kręcili głowami. To było wszystko. A jednak z tego powodu zagniewał się na mnie mój ojciec.

A przecież to on chciał, żebym był panem. Jednakże on wolałby, żebym był panem w kierpcach i z opaskiem. A takiego pana nie ma. Nie ma na tym świecie rzeczy w połowie, są tylko rzeczy zupełne. I jeśli człowiek czegoś chce, to musi chcieć tego w zupełności.

Zostałem starostą i wziąłem za żonę dziewczynę, która miała ziemię. To była pańska panienska, która zresztą nie poszła za mąż za mnie, a za urząd starosty, i stąd wzięło się nieszczęście. Bo już i samo to było złe, widzisz, że nie pozostałem tym Sándru w kierpcach, skoro przyszedłem na świat jako ten Sándru w kierpcach. Człowiek powinien pozostać tym, kim się rodzi. Już i samo to było złe, że podjąłem się takiej pańskości, która była wszystkim, tylko nie tym, czym wyobrażał ją sobie mój ojciec. Juhas przy swoich owcach większym jest panem aniżeli urzędnik na swoim urzędzie. Nie stałem się panem, przynajmniej ja sam nigdy tej pańskości nie odczuwałem. Stałem się jedynie sługą przebrany w maskaradowy kostium, sługą, którego to tu, to tam szarpano w urzędzie i poza urzędem, pracującym za dniówkę wyrobnikiem akt i głupich zwyczajów,

a ponieważ byłem zbyt słaby, żeby wybić się z tego pańskiego mułu, to i utonąłem w nim, a muł zamknął się nad moją głową.

Kiedy nadeszła wieść, że umarł mój ojciec, powiedziałem mojej żonie tak: „Ubierz się na czarno i chodź!”. „Kto umarł?” – spytała moja żona. „Mój ojciec”. Moja żona popatrzyła na mnie, po czym wyrzała przez okno. „Dokąd chcesz iść?” – spytała. „Na pogrzeb mojego ojca – odrzekłem. – Ubieraj się szybko, bo dałem już znać woźnicy, żeby zaprzęgał”. Moja żona zaczęła stukać nogą w podłogę. „Nie pójdę” – powiedziała. „Jak to?”. „Nie możesz ode mnie oczekiwać, żebym poszła na pogrzeb jakiegoś starego Wołocha”. Dobrze przyjrzałem się mojej żonie. „A jeśli ten stary Wołoch to mój ojciec?”. „No i co z tego – odparła – to i tak stary Wołoch!”. „A ze mną to możesz żyć?”. „Po co pytasz?”. „Bo ja jestem synem tego starego Wołocha!”. Moja żona wzruszyła ramiona i zostawiła mnie tam. I na pogrzeb mojego ojca pojechałem sam.

Wiesz, ten pogrzeb... to był wielce osobliwy pogrzeb. Kiedy przyjechałem, mary stały już na zewnątrz, przed domem, i był tam też ksiądz, i dużo, bardzo dużo ludzi. Wielu szanowało mojego ojca, dlatego. Była zima, a ja przybyłem tam saniami z dzwonkami, we dwa konie, z woźnicą odzianym w kozuch. Kiedy wysiadłem z sań, ludzie bez słowa rozstąpili się przede mną, a ja ruszyłem ku marom.

Trumna była już zamknięta. To dobrze, że była zamknięta. Bo tak to nie był mój ojciec, tylko jakaś trumna. I gdy myślę o moim ojcu, widzę nie pogrzeb i nie trumnę, tylko tu wysoko tę zagrodę i ogień, i wszędzie mnóstwo, mnóstwo lasów. I gdy myślę o moim ojcu, czuję w nozdrzach woń owiec, a w ustach smak żentycy, i widzę wtedy rozgwieżdżone niebo ponad pastwiskami i twarz mego ojca, jak pochyła się nad ogniem i rzuca doń chrust, i widzę, jak czerwony płomień wzbija się wysoko, i słyszę, jak w zagrodzie kaszle któraś owca... ale czekaj, nie o tym chciałem mówić.

U szczytu trumny stali moi bracia, jeden obok drugiego. A w nogach trumny ksiądz. I ludzie rozstąpili się przede mną, starostą, a ja stanąłem tam przed trumną. Z początku chciałem podejść do moich braci. Potem jednak dostrzegłem coś na ich twarzach i nie podszedłem do nich. Zatrzymałem się z boku trumny, a ludzie odsunęli się ode mnie. Ksiądz zaczął już swoje sprawy, a ja stałem tam sam, z boku trumny, i nikogo przy mnie nie było. Ludzie ścieśnili się wokół moich braci, jakby chcieli pokazać, że wraz z nimi przynależą do czegoś. Tylko przy mnie nikt nie stał. Tylko do mnie nikt nie przynależał. Przestrzeń wokół mnie była szeroka, pusta, a ja stałem tam sam. I byłem starostą, który przyszedł na pogrzeb starca.

Nareszcie ksiądz rozpoczął pożegnanie, tak jak to jest w zwyczaju. Wyjął jakiś papier i zaczął go odczytywać. Ale zaraz na początku zmieszał się, spojrzął na mnie i tak powiedział: „I słowami kochającego ojca żegnam przede wszystkim mojego syna Andrása, szanownego pana starostę, którego niech Bóg obdarzy

długim żywotem”. „Niech żyje” – mruknęli wokół mnie ludzie, a było to takie, jakbym znalazł się nie na pogrzebie, a na wyborach starosty. I miałem ochotę zawołać w głos, tak bardzo coś mnie przeszyło, jakiś niedający się nazwać ból, i spoglądałem na moich braci, lecz oni stali ze spuszczoneymi głowami i nie patrzyli na mnie, a ich twarze były takie, jakby wyciosano je z drewna.

Nie wiem, czy to zrozumiesz? Ja, chłopak w kierpcach, poszedłem na pogrzeb mojego ojca i stałem tam tak, jak starosta. Szanowny pan starosta. Nie wiem, czy to zrozumiesz. I też nie odprowadziłem trumny na cmentarz. Wsiadłem do sań i pojechałem do domu. Dotarłem z powrotem późnym wieczorem. W domu było już ciemno. Wszedłem do naszej sypialni, zapaliłem lampę, zbudziłem moją żonę i tak jej powiedziałem: „Wynoś się do domu!”. Nie od razu zrozumiała, o co mi chodzi. „Wstań, spakuj się i wynoś się do domu!” – powiedziałem do niej raz jeszcze. Tylko tak patrzyła na mnie. „Nie rozumiesz? Ubierz się, zbierz swoje rzeczy i wynoś się z powrotem do swojego pańskiego ojca. Mój ojciec był tylko starym Wołochem w kierpcach”.

Od tej pory moje życie nie było już życiem. Ludzie dziwnie mi się przyglądali, i w urzędzie, i gdzie indziej też. Nigdzie już nie bywałem. Rodzina mojej żony trąbiła przeciwko mnie po całym świecie. Kiedy odwołano mnie z urzędu starosty, to nie żałowałem tego. Czułem, że jestem inny, ni taki, ni siaki, i nie przynależę ani tu, ani tam. Dla tych w kierpcach jestem panem, dla panów zaś – tym w kierpcach. Tam gdzie powinienem być Indreim Sándru, byłem Andrásem Sándru, a tam gdzie byłoby miejsce dla Andrása Sándru, tam pozostałem Indreim Sándru. Ni taki, ni siaki. A ludzie, co są ni tacy, ni siacy, nie mają czego szukać na tej ziemi.

Ogień palił się łagodnie i lśniły gwiazdy. Panowała cisza.

– Dlatego tu przyszedłeś? – zapytała później kobieta. Młody Sándru przegrzebał żar.

– Wiesz – rzekł – kiedyś, dawno temu, pokochałem dziewczynę. Ja byłem młodzieńcem, ale jeszcze takim smarkaczem, dziewczyna zaś była ode mnie starsza. Jak to w takich przypadkach bywa za pierwszym razem. Dziewczyna poszła za mąż za kogoś innego. Bardzo byłem smutny tamtego lata i chciałem umrzeć. Daleko pod halą Cégér znalazłem pewne miejsce, wiesz, takie miejsce do umierania. Trzeba było wspiąć się na strome skały i tam w górze, pośród tych skał, znajdowało się małe zagłębienie, a to zagłębienie przykrywał zielony mech. Był miękki, dobrze było na nim leżeć. I jak człowiek położył się tam, zobaczyć mógł całe, ale to całe lasy, wiesz, ogrom lasów, zupełnie, jakby cały świat składał się tylko z lasów i z nieruchomego błękitnego nieba w górze. I gdyby człowiek tam umarł, to ani inny człowiek, ani nawet zwierzę nigdy by na niego nie natrafił, i człowiek leżałby tam nieruchomo do końca świata, w górze, gdzieś w połowie drogi ponad lasami i pod nieskończonym błękitnym niebem, i byłoby to

odpoczywanie.

Wtedy pewnego popołudnia leżałem tam wyciągnięty na mchu, wpatrywałem się w niebo i w lasy, wsłuchiwałem się w ciszę i w końcu zamknąłem oczy, i chciałem umrzeć. Leżałem tam tak do następnego poranka i nie umarłem. Jednak pięknie było tam tak leżeć, wysoko ponad lasami, i wiedzieć, że dookoła nie ma niczego, tylko lasy, i że nikt nigdy... było to smutne i piękne. I panowała wielka, ogromna cisza. Tyle że wtedy jeszcze nie umiałem umrzeć. A ty? – zapytał później.

– Ja? – odparła kobieta i roześmiała się dziwnie. – Ja nigdy nie umrę. Ja jestem czarownicą.

– Co umiesz?

– O, znam wiele, wiele czarów i umiem rzucać urok. Potrafię też powiedzieć to, co było, i to, co będzie.

– Wszystko to nie jest ciekawe. Nic innego nie umiesz?

– Umieję. Umieję zadać ludziom śmierć pocałunkiem.

– To chodź – Sándru wyciągnął po nią rękę – zadaj mi śmierć pocałunkiem!

– Czeka! – rzekła kobieta i poderwała się z ziemi – kiedy ja całuję, musi być wielki ogień i zniszczenie i coś musi się skończyć na zawsze. Bo ja jestem czarownicą.

Odbiegła do kopek i powróciła z wiązką suchego siana. Cisnęła je przy szalasiu. Potem znów przyniosła wiązkę i wrzuciła ją przez drzwi do koliby. Mężczyzna przyglądał się jej.

– Co chcesz zrobić?

– Czeka!

Ukręciła wiecheć z siana i podeszła z nim do ognia. Włożyła w żar. Wiecheć zajął się płomieniem.

– Co chcesz zrobić? – spytał młody Sándru, a zęby mu zaszczękały.

– Chcę ognia – odpowiedziała kobieta – żeby nie było zimno temu, kto mnie całuje.

Dziwnie, strasznie błyszcząły jej oczy. Z płonącym wiechciem podbiegła do szalasu, najpierw podpaliła nim kupkę siana po prawej stronie, potem kupkę siana po lewej stronie, a na koniec wiecheć rzuciła przez drzwi do koliby. Płomień z trzaskiem przebiegł po stosach siana i jednocześnie w trzech miejscach zapłonął wielki ogień. Stara styna stanęła w oszalałym przepychu tańczącego blasku, płomienie popęzły w górę po suchych balach choiny i wczepiły się w gont. Wszystko trzeszczało, trzaskało, powietrze napełniło się sykiem i odgłosami niewielkich trzasków, rozgorączkowany popiół wzbijał się wysoko, a w rozświetlonym wnętrzu domu wyraźnie widać było spróchniałe półki i posłanie, i miejsce na naczynia do robienia sera, i haczykowate gwoździe w ścianie.

– Cóżżeś uczyniła, kobieto?! – krzyknął na nią młody Sándru i wstał, i podszedł bliżej do ognia. Zatrzymał się tuż za plecami kobiety, nieruchomym wzrokiem wpatrując się w oświetlone półki, wielkie haczykowate gwoździe i posłanie i myślał o tym, że kiedyś żył w tym domu ojciec... stary człowiek... – Cóżżeś uczyniła, kobieto?!

Kobieta stała tam na wprost ognia, smukła i wyprostowana, z wysoko ponad głowę uniesionymi ramionami, a jej głos, gdy wymawiała te słowa, cicho, nisko i głucho, a jednak z jakąś zabobonną, przerażającą siłą, wziął górę nad krzyczącym trzaskiem oszalałego ognia.

– Płoń... domu starego Sándru... domu spokoju i zgody, czasów, które przeminęły, płoń! Wszystko przemija, trawa zarasta zagrody, mech zakrywa ścieżki, płoń, domu starego Sándru, płoń... Niech ogień strawi ślady umarłych czasów, żeby nic a nic nie pozostało... Płoń, domu starego Sándru, czas przeminął... Niech twego progu nie przestąpi obcy człowiek, niech nowe wiatry nie gwizdzą pod starym gontem, niech umarłe i minione czasy rozwieją się z dymem... płoń, ostatni ogniu starego Sándru, płoń i raz jeszcze rzucaj światłem aż do gwiazd!...

Głos, miotając się, odszedł z dymem, pochłonął go trzask belek. Powietrze żarzyło się. Czerwony blask ognia głęboko rozdzierał mrok polany. Z lasu pokazały się sowy i niemo poczęły kołować nad płonącym domem. Kiedy niekiedy płomienie oświetlały ich bijące w górze skrzydła.

Kobieta odwróciła się. W jej oczach gorzały ciemne ogniki. Usta załśniły jej wilgocią; kobieta odrzuciła włosy w tył i zaśmiała się w głos.

– Teraz możesz mnie pocałować, młody Sándru!

Po kolei rozpiniała na sobie odzienie i każdą rzecz odrzucała daleko w czarną noc. Ogień płonącego domu dodawał jej skórze magicznego rudego blasku.

– Boisz się mnie, młody Sándru? Niech śmierć, której szukasz, zadam ci pocałunkiem!

Ramionami objęła mężczyznę za szyję i wtuliła się weń. Było to upojne, dzikie lgnienie, młody Sándru zadrżał pod nim. W tym momencie dom mocno trzasnął i zawalił się. Skwierczące węże wzbily się wysoko, poleciały iskry. Po czym obejmując się, załopotwały ognie i zginęło pod nimi wszystko, co kiedykolwiek istniało.

Już jedna po drugiej poczęły gasnąć gwiazdy, gdy mężczyzna poruszył się. Podniósł się, odszukał swój worek i strzelbę.

Pogrzebał w worku.

– Chcesz trochę palinki? – mruknął szeptem. – Tu jest manierka. Rosa bije chłodem. Nie jest ci zimno?

– Nie – kobieta odrzekła ledwie dosłyszalnie. Jednak jej ciało pokrywała gęsia skórka. W szarówce poranka czuć było przenikliwy chłód.

– Niech Bóg ci dopomoże – rzekł mężczyzna, a głos miał ochrypły – o wchodzie słońca chcę być tam na skale.

– Odprowadzę cię do lasu – powiedziała kobieta, wstając.

Szli obok siebie bez słowa. Kroki mężczyzny były ciężkie. Pod bosymi stopami kobiety nie rodził się najmniejszy szelest. Niczym jakiś jasny wąski cień, tak oto szła obok mężczyzny, w szarzejącej już nocy.

Tam na szczycie sztywno stał krzyż. Młody Sándru zatrzymał się.

– Czy wiesz, co jest napisane na tamtym krzyżu? – spytał, a głos miał pełen gorzkości.

– Nie wiem.

– Umarł Indrei Sándru...

Poszli dalej. W czarnym cieniu lasu kobieta przystanęła. Nie odezwała się, tylko przystanęła. Przystanął też mężczyzna.

– Niech Bóg ci dopomoże, kobieto! Z Panem Bogiem!

Twarz kobiety była niema. Mężczyzna stał przed nią jeszcze chwilę, w ciemności nie było widać jego oblicza. Po czym ruszył. Jeszcze przez jakiś czas można było dojrzeć jego sylwetkę, ruch tam, gdzie szedł, wreszcie wchłonął go las. Pośród drzew wciąż było ciemno. Kobieta stała w bezruchu i wsłuchiwała się w jego oddalające się kroki, dopóki nie ucichły w oddali. Potem wróciła do spalonego domu. Pod pachnącym sadzą popiołem żar jeszcze się tlił i oddawał ciepło, przywołując wspomnienia letnich dni z przeszłości, którą już pogrzebano. Tu i tam wzbijał się jeszcze pojedynczy płomyczek, walczył z rosą, po czym ginął. Niebo poczęło się rozjaśniać na wschodzie i z mroku oddzieliła się mgła, i rozłożyła się po całej hali, biała niczym mleko. W wilgotnym powietrzu utrwalił się zapach spalenizny.

Kobieta odszukała porozrzucone odzienie i ubrała się. Księżyc bladł na niebie, podobny do smutnej twarzy zmarłego. Nie było już gwiazd. Na miejscu domu dymił jedynie wielki czarny stos.

Powoli weszła na szczyt i stanęła pod krzyżem. Wokoło panowała cisza i bezruch. Martwo leżała mgła, choć pierwsze promienie słońca przemiały już wierzchołki drzew.

Spojrzała wstecz. Na czarny stos, który kiedyś był domem, na pustą zagrodę, i pomyślała o starym Sándru, który kiedyś tu żył, był mądry, pogodny i dobry.

I pomyślała o jego synach, którzy z nim byli, po kolei o każdym z nich... O Nátu i o tym, jak szli przez las, tamtego poranka po burzy... i o tym, że wszystko przeminęło. I widziała przed sobą dom nad Urszu i Tóderika, i raz jeszcze przeszła wspomnieniem po kolei przez wszystko, co było i co przeminęło. Umarło, jak w końcu umiera wszystko, co żywe.

Stała tam pod krzyżem i nagle gdzieś w oddali, w okolicy hali Cégér, huknął strzał. Zabrzmiało głucho, aż zadrżały odeń drzewa, a gdzieś daleko odezwał się lelek.

Kobieta spojrzała w górę na krzyż. Właśnie wtedy dotarł tam pierwszy promień słońca i swym czerwonym blaskiem rozjaśnił wyryty w drewnie ostry, niezgrabny napis.

– Umarł Indrei Sándru – kobieta wyszeptała bardzo cicho i powoli splotła ręce. – Tak, wszystko umiera. Ty już wiedziałeś o tym z góry, bo jesteś znakiem Boga...

Przez kilka chwil stała tam jeszcze i patrzyła na lśniący w słońcu drewniany krzyż. Nareszcie opuściła głowę, odwróciła się z wolna i ruszyła w dół, w las, więcej się nie oglądając.

Ślepa staruszka siedziała na górnej polanie Piperika i w zamyśleniu uderzała w ziemię długim sękatym kijem. Jej uszy w sposób wyostrzony odnotowywały szmery: ciche dyszenie psa, pasące się owce, jak jednostajnie szczypały trawę, dwa dzwonki, które odzywały się od czasu do czasu, raz jeden – takim niskim dźwiękiem „dong-dong”, raz drugi – bardziej urywanie, jakoś tak „ding-

-ding”. Takie to były hałasy. I niekiedy jeszcze pojedynczy ptak, a potem już nic. Czekala, żeby poniżej w dolinie rozbrzmiał wioskowy dzwon, bo po tym wiadomo było, że jest południe. A wtedy trzeba wstać, zawołać psa i ruszyć w dół za owcami.

Z początku trudne to było. Nim przyzwyczała się do ścieżek, nauczyła się dotykiem rozpoznawać drzewa, które gdzie stoi i przy którym trzeba skręcić w tę, a przy którym w tamtą stronę. Na szczęście pies umiał wszystko, prawdziwym cudem było to, że wszystko wiedział. Przy dojeniu zawsze przeliczała zwierzęta – po każdej wydojonej owcy odkładała na bok jedną cienką szczapkę i nigdy, ale to nigdy nawet jednej nie brakowało.

Stara kobieta siedziała na trawie, niewidzące oczy zwróciwszy ku słońcu, i rozmyślała o tym, że no proszę, jej syn stał się panem. Panem, któż to wie, jak wielkim panem. Jeździ powozem i śpi w łóżku obłożonym w jedwabie, i jeśli chce, może przystanąć, żeby porozmawiać choćby i z samym panem starostą, a nawet z żandarmami. Jej własny syn. I wyobraziła sobie powóz, którym jeździ, i dom, w którym śpi, i czuła jakiś przyjemny spokój, niemal szczęście.

Raptem pies zaczął warczeć. To była rzadka rzecz, bo pies warczał tylko wtedy, gdy widział zbliżającego się człowieka. Staruszka podniosła głowę i nasłuchiwała. Słyszała jedynie owce, skubiące trawę, i od czasu do czasu dzwonek. Były to zwyczajne hałasy. A jednak pies warczał.

Nareszcie dosłyszała ciche kroki. Przybliżyły się niemal bezgłośnie. Staruszka nadstawiła ucha. Po murawie nadchodził ktoś bosy. Krok miał lekki.

– Przestań! – zawołała na psa. Pies więcej nie warczał.

Teraz już całkiem wyraźnie słyszała te kroki. Słyszała już i szelest spódnicy. A więc to kobieta – pomyślała – albo dziewczyna. I nasłuchiwała.

Kroki zatrzymały się.

– Szczęść Boże!

Był to przyjemny, ciepły głos. Niski, dźwięczny, a mimo wszystko jakoś tak przytłumiony. Staruszka wchłonęła odgłosy, porozdzielała je, popróbowwała i dopiero potem odpowiedziała:

– Szczęść Boże!

Przez chwilę panowała cisza. Po czym znów odezwał się ów obcy głos:

– Mogę przysiąść?

– Miejsce jest.

Słysząc było szelest odzienia i szmer trawy, jak ta druga siadała. Szedł od

niej także jakiś świeży zapach. Woń lasów, potoków i mchu. Staruszka zwróciła na to uwagę.

– Skąd przychodzisz? – spytała.

– O... z daleka... z gór... no i... słowem, z daleka... Staruszka z lękiem wyteżyła uwagę.

– A dokąd to zmierzasz?

– Tutaj. Do was.

Staruszce drgnęły powieki.

– Nie rozumiem – wyjąkała – mówisz, że...

– Przysłał mnie wasz syn – wtrąciła ta druga – najął mnie, żebym doglądała owiec, aż...

Niewidoma obserwowała dźwięki. W pewien sposób były one inne aniżeli wcześniej.

– Który mój syn?

– No... pan!

– Ojej, ojej, to dlaczego od razu tak nie mówiłaś! To przecie co innego, ano witaj, moja duszko, Bóg cię przywiódł! Ojej, ojej, że też mój drogi, dobry syn o mnie pomyślał! Widzisz, jaki to nadzwyczaj dobry syn! Nie dość, że uczynił mnie bogatą, dając mi te owce, to jeszcze teraz i ciebie tu przysyła, żebym nie była sama... Ale – dodała, poważniejąc nagle – zapłaty, moja duszko, nie mogę ci dać...

Obcy głos roześmiał się ciepło.

– Wcale i nie trzeba. Załatwił to już wasz syn, pan.

Przyjemny miała śmiech. Młody i piękny. Staruszka wsłuchiwała się weń przez chwilę, po czym klasnęła w rękę.

– No widzisz, widzisz, jaki to syn! Jaki to wspaniały syn! Nie na darmo go wychowałam, nie na darmo tyle na niego wydałam, nawet i mój własny wzrok za niego oddałam... jednak, chwała niech będzie Bogu, nie było to daremne! Co za syn, co za syn!... Pomarszczona, stara twarz była samym śmiechem, niewidzące oczy napęłniły się łzami i gdy stara kobieta kręciła głową to w jedną, to w drugą stronę, spod czarnej chustki wysunęło się jej kilka siwych kosmyków. W tym momencie poniżej w dolinie odezwał się dzwon. Pies poderwał się, owce też stanęły w gotowości.

Staruszka odszukała kij.

– Teraz musimy pójść do domu – rzekła – jest południe. Powstały obydwie. Owce ruszyły już same. Poszły w dół. Staruszka macała kijem ścieżkę przed sobą, pies miał owce na oku, i tak oto szli.

– A i owszem, dobrze, że przysłaś – niewidoma odezwała się po pewnym czasie – trzeba by już oddzielić jagnięta, a ja sama nie mogłam tego zrobić. Już dawno trzeba by je oddzielić.

- To późne jagnięta.
- Wszystkie wykociły się po świętym Jerzym. Ale ładne, prawda?
- Ładne.
- Mój syn wie, jakie kupować. I ma na to pieniądze. Opowiesz mi potem o nim, prawda? Jak masz na imię? Jesteś jeszcze panną, co? Twój głos...
- Wołają mnie Nuca.
- Nuca... Nuca... dobre imię. Proste. Czyste.

Dotarły na dół do chaty. Owce pobiegły do wody, staruszka zamknęła bramę do zagrody i zniosła pod skopek okiennicę do dojenia. Był tam też zydelek.

– Widzisz, tak to zwykłam robić. Tędy owce mają wejść do środka jedynie pojedynczo i tylko jeśli je wcześniej wydoiłam. W ten sposób mogę je też przeliczyć.

- Dojeniem zajmę się ja.
- Nie – odparła niewidoma – dojenie i potem należeć będzie do mnie. Ty możesz robić resztę. Paść, oddzielić jagnięta, no i co tam jeszcze jest. A dojenie i ser ja będę robić. Ja jestem bacą, a ty juhasem.

– Tak też będzie dobrze – odpowiedziała Nuca i roześmiała się.

– Miło się śmiejesz – zauważyła niewidoma – lubię twój śmiech. Ładna jesteś, prawda?

- Nie wiem – odrzekła i znów się roześmiała.
- Jakie masz włosy?
- Brzydkie. Koloru miedzi.
- Koloru miedzi? To ładne. Czerwone jak miedź czy bardziej złote?
- Złote.
- To bardzo ładne. A oczy?
- Zielone, jak u kotów. Widzę nimi i w ciemności.
- Hm – staruszka pokręciła głową i więcej się nie odezwała. Już i nadchodziły owce z pojenia. – Nuca, w sieni znajdziesz cebrzyk. Mogłabyś go trochę umyć. Owcami nie musisz się zajmować, pies uważa, żeby na każdą przyszła kolej.

Po dojeniu zjadły bundzu z mamałygą. Potem staruszka siadła w progu.

– Chodź – rzekła – usiądź tutaj, tu jest ciepło. I opowiedz o moim synu! Jak on żyje? Skąd go znasz? Co robi? No chodź!

I Nuca posłusznie przysiadła na progu obok niewidomej. Podciągnęła kolana pod brodę, objęła je rękoma, przymknęła oczy i tak opowiadała:

– Ma piękny, duży dom w mieście i żyje tak, jak żyją panowie. Nosi pańskie odzienie, pańskie obuwie. Śpi w łóżku z kołdrą. W urzędzie to on wszystkim rozkazuje, a gdy go nie ma w urzędzie, to wtedy idzie zjeść do pańskich miejsc, tam gdzie chodzą sami panowie. Żyje podług pańskich zwyczajów, pije wino, nawet wtedy, kiedy nie jest spragniony, je mięso, nawet wtedy, kiedy nie jest

głodny, odwiedza innych panów w ich domach i gra z tymi panami w karty, i przygrywa mu muzyka, i tak oto żyje... I ma powóz, i dwa piękne bułane konie, i woźnicę w kozuchu. A jego żona ma dużo ziemi...

– To on ma i żonę?

– Ma, ma. To prawdziwa pańska panienska, dużo ma ona ziemi. Chodzi w jedwabiach i nawet w dni powszednie je tylko gotowane kluski...

– Ma i żonę – niewidoma kręciła głową – nawet nie wiedziałam, o tym wcale nie wiedziałam...

– Ma też ładne ubranie myśliwskie i strzelbę o lśniącej lufie, a kiedy idzie polować, strażnicy leśni niosą za nim rzeczy... rozmaite ubrania, rozmaite rzeczy do jedzenia, rozmaite rzeczy do picia...

– A czy ma dziecko?

– Dziecko? Nie, dziecka nie ma.

– Szkoda... ale jeszcze może mieć, prawda?

– Może, oczywiście, że może! I będzie miał! Pięknego małego chłopczyka, o brązowych włosach, brązowych oczach, który będzie chodził w malutkich bucikach z cholewkami i w malutkim kaftanie, i będzie miał na imię Gáspár...

– Gáspár? Czemu akurat Gáspár?

– Ojej, tak tylko mi się powiedziało. Stara kobieta wyteżyła uwagę.

– Co ci się stało, Nuca? Jest coś w twoim głosie, coś...

– To nic, to nic. Nie rozmawiajmy o dziecku! Kiedy idzie na polowanie ze strzelbą na ramieniu, to kroczy tak, że człowiek myśli o jeleniach, o dumnych bykach, a jego oczy lśnią i jego twarz nabiera życia...

– Nuca! Ty zakochałaś się w moim synu!

Młoda kobieta umilkła. Oczy jej się rozwarły i wręcz malował się w nich lęk.

– Ty zakochałaś się w moim synu, Nuca!

Staruszka powiedziała to ze smutkiem, a młoda kobieta obok niej na progu milczała. Patrzyła przed siebie w ziemię. Niewidoma czekała.

– To tak, to tak – rzekła później i westchnęła – no to nie mówmy o nim. Ma żonę, powiedziałaś. O tym nie wiedziałam. O tym nie. Myślałam, że jednak mimo wszystko, gdy będzie się żenić... to... nawet jeśli jest panem... mimo wszystko jest moim synem. Myślałam... – nie dokończyła zdania.

Obydwie kobiety umilkły. Po pewnym czasie Nuca powstała z progu.

– Wygonię owce – rzekła cicho.

– Idź – przytaknęła niewidoma – tak, idź. Jeśli utrzyma się taka pogoda, jutro trzeba by kosić. Umiesz kosić?

– Umiem.

– No dobrze. Pokażę ci. A teraz idź, ja chcę jeszcze pomyśleć nad tym, co mówiłaś.

Nuca otworzyła bramę i owce, tłocząc się, wybiegały z zagrody. Pies patrzył

ze zdziwieniem, niekiedy zerkał w kierunku domu, lecz niewidoma siedziała tam w progu nieporuszona. Owce zaczęły iść w górę na pastwisko, a kobieta podążyła za nimi, pies zaś ze zdziwieniem powłókł się z tyłu.

Następnego dnia Nuca zabrała się do siana. Z początku ciężko szło to koszenie, ale w końcu nabrała wprawy. Uporała się z tym w trzy dni. Obróciła trawę, zagrabiła; piątego dnia na wieczór siano stało w kopkach. Szóstego dnia wybudowała zagrodę dla jagniąt i dzięki temu można je było oddzielić.

Któregoś wieczoru zapytała:

– Nie trzeba by sprzedać trochę bundzu i owczego twarogu? Jest tego dużo.

– Czemu nie? Jeślibyś zniosła to na dół – odrzekła niewidoma. I następnego dnia Nuca zniosła na dół tyle sera i twarogu, ile zmieściło się w sakwie. Poszła z tym prosto do karczmy Wiktora. We wsi ludzie oglądali się za nią, bo była nową twarzą. Kilku przypominało sobie, jakby gdzieś już ją widzieli, lecz nie wiedzieli gdzie.

Wiktor obejrzał bundz i owczy twaróg, powąchał, następnie skosztował i tak powiedział: „Kupuję”. I od tej pory raz na tydzień kobieta schodziła z wypchaną sakwą do Wiktora, a mały, chudy karczmarz odbierał, co przynosiła. W karczmie zazwyczaj byli też i inni oprócz Wiktora, Anyiszia, otyła, wesoła żona karczmarza, wozacy, drwale, robotnicy od piły. Ten i ów pytał czasem:

– Służysz u tamtej ślepej kobiety? A ona odpowiadała na to:

– Tak.

Z początku czerwieniła się, kiedy o to pytali, bo słowo „służyć” brzmiało w ustach ludzi jakoś tak poniżająco. Jednak potem przywykła do tego. A w trzecim tygodniu przyniosła na górę na Piperik dwa prosiaczki.

– Urosną na serwatce – powiedziała do niewidomej, a staruszka pomacała prosięta i bardzo się ucieszyła.

Od czasu tamtej rozmowy na progu kobiety już w taki sposób ze sobą nie mówiły. Jeśli nie było nic do roboty, to po prostu siedziały obok siebie i milczały. Nareszcie jednego wieczoru, kiedy obie już się położyły, stara kobieta tak rzekła:

– Ja nie mówię, żebyś o nim opowiadała, jeśli to dla ciebie trudne. Ale jeśli chcesz, to opowiadaj.

Tamtego wieczoru padał deszcz. Z okapu spokojnie pokapywały krople, z dworu przedostawała się do chaty woń wilgotnego lasu.

– Kornel lubił takie deszczowe wieczory – powiedziała staruszka.

– Kto to jest Kornel? – spytała Nuca.

– Kornel? Przecie to mój syn, od którego przyszłaś. Nawet nie wiedziałaś, że ma na imię Kornel?

I zaśmiała się dziwnie, sucho.

– Panom nie mówi się po imieniu. Tylko mówi się: pan.

– Tak, tak – niewidoma odrzekła po pewnym czasie – lubił taką pogodę.

Mówił, że w taki czas można poleniuchować. Teraz też lubi leniuchować?

– Nie wiem. Panowie inaczej leniuchują aniżeli my. Wciąż się kręcą, nawet i wtedy, kiedy nic a nic nie robią...

Od tej pory co wieczór, kiedy się położyły, niewidoma zaczynała mówić o swoim synu, który stał się panem. Jaki był w dzieciństwie. Co robił albo co mówił. Zrobił to czy tamto. Już wtedy widać było, już wtedy było wiadomo, że będzie panem...

Czasem pytała: jaki jest ten jego dom? Jaka jest jego żona? Jakie są ubrania, które nosi? Czy jest wesoły? Czy lubi to albo tamto? O czym mówi, kiedy nie jest w urzędzie? Jaki jest ten urząd?

I wówczas Nuca opowiadała. Mówiła, że dom jest wysoki, zbudowany z samego kamienia, z szeroką, dużą werandą, z dużymi drzwiami, dużymi oknami, jest w nim tyle i tyle pokoi... a w tych pokojach same drogie rzeczy... Wyobrażała sobie jakiś dom, jakiś piękny, wielki pański dom, coś takiego jak dwór w Disznajó, i opowiadała. Po czym przywoływała w pamięci ubrania, które tu i tam widziała na panach, i opowiadała. I wszystko w taki oto sposób. Opowiadała, opowiadała, co tylko jej się przypominało, a stara kobieta w drugim łóżku wzdychała, a czasem cmokała w zdumieniu i podziwie, niekiedy zaś cicho się zaśmiała, uradowana, że no proszę, to jej własny syn, Kornel.

Nuca była tam już szósty tydzień, kiedy jednego wieczoru zapytała:

– Powiedzcie... macie też jeszcze i drugiego syna, prawda? Niewidoma westchnęła.

– Masz na myśli Juona? On jest ze stadem wołów, wysoko na pastwisku. To spokojny, dobry chłopak, tylko... wiesz, on to nigdy nie mógłby zostać panem. On jest pastuchem. Ano pastuchem...

I więcej nie rozmawiały o Juonie.

Mijał czas. Wokół wsi pokoszono owies, młode jarząbki wyrosły i zaczęła kwitnąć goryczka na Piperiku. Pewnego popołudnia, kiedy Nuca zeszła z serem, Anyiszia, gruba karczmarka, zawołała ją na bok.

– Słuchaj – szepnęła do niej – w niedzielę panowie robią tu u mnie zabawę. Potrzebowałabym kilku takich zręcznych dziewcząt jak ty. – A ponieważ Nuca nic na to nie odpowiedziała, dorzuciła jeszcze: – Ci panowie bardzo dobrze płacą. To dżentelmeni, mają gest.

W następnym tygodniu znów zawołała ją na bok.

– Słuchaj! Znasz pana Schwarza?

– Który to?

– To ten sprytny, dziarski dżentelmen. Ten od piły.

– I co jest z nim?

– Potrzebowałby kogoś. Na noc, wiesz. Tylko musiałabyś pójść do niego do tartaku i powiedzieć, że to ja ciebie przysłałam... to szczodry pan, nie pożałujesz...

– Zobaczą – odparła kobieta i poszła.

Tydzień później Anyiszia znów wróciła do tego samego tematu.

– Słuchaj, ano nie poszłaś.

– Nie.

– A dlaczego nie, ty głupia? Masz kogoś innego?

– Mam.

– Hm. Tyle że ten płaci srebrnymi pieniędzmi, a i nie cuchnie kierpcami, jak ci tutejsi...

Kiedy Nuca znów zeszła do wsi, karczmarka zaprosiła ją do wewnętrznej izby.

– Usiądź trochę – powiedziała do niej – no usiądźże! Masz tu piwa, napij się!

Wyszła, znów weszła. Była samym uśmiechem i serdecznością. Nuca chciała iść.

– No poczekajże jeszcze, tylko trochę. Napij się! Czy wiesz, że jesteś bardzo ładna? Tylko potrzeba by ci jakiegoś zręczniejszego odzienia, trochę pachnącej wody... widać, że zadajesz się z jakimś nędznym dziadem. Zostaw go, naraję ci kogoś, kto cię ubierze tak, jak należy. Ciężko jest służyć u tej staruszki?

– Doprawdy nie.

– Hm. A przecież ja miałabym dla ciebie lepsze miejsce. Gdzie tylko dla pozorów miałabyś jakieś zajęcie. I dostawałabyś też większą zapłatę. Ty, ten pan Schwarz to bardzo bogaty człowiek! Słuchaj, on ma pieniędzy jak lodu! A jaki to wytworny pan! Nie miałabyś u niego innego zajęcia, jedynie wynieść to, przynieść tamto... żyłabyś jak dama!

Otworzyły się drzwi i ktoś wszedł do środka. Z powodu opuszczonych zasłonek panował w izbie półmrok, nie dało się dobrze dojrzeć twarzy wchodzącego. Był to jakiś prawdziwy pan.

Anyiszia odwróciła się i poczęła uśmiechać się szeroko.

– No, panie Schwarz, oto i dzika ptaszyna. Proszę ją obłaskawić!

Po czym zaśmiała się również do kobiety i wyszła. Zamknęły się za nią drzwi. Ów pan stał tam jeszcze i słychać było, że zamknął drzwi na klucz. Kobieta siedziała na stołku wyprostowana i nasłuchiwała. Nie bała się. Była ciekawa. Mężczyzna postąpił naprzód.

– No, moja gołąbeczko, czy naprawdę jesteś taka dzika, jak mówią?

Miał odpychająco przesłodzony głos. Kobieta spojrzała nań, po czym wstała i podeszła do okna. Odciągnęła na bok zasłonkę. Potem zaczęła się śmiać głośno, z całego serca.

– O ho, ho, a więc to wy? To wy, grubasku? Ha, ha, ha! Może znów chcecie się kapać?

I zaśmiewała się. Pan Schwarz wybałuszył oczy na kobietę. Od tamtego wspomnienia oblicze mu spurpurowiało.

– No proszę – rzucił i przy tym jeszcze gwizdnął – a więc to ty! No proszę! Poczekajże, no! Przynajmniej nakażę zaraz żandarmom, żeby cię pochwycili. Akurat są tu we wsi.

Na słowo „żandarmi” spoważniała.

– Czego chcecie?

Mały gruby mężczyzna podszedł do niej bliżej.

– Czego ja chcę? No a kradzież ubrania? Przecież ty jesteś złodziejką, ukradłaś mi ubranie! Mogę spowodować, że zamkną cię przynajmniej na pół roku! Poczekaj no!

I podszedł jeszcze bliżej. Mimowolnie kobieta zaczęła cię cofać.

– Czegoś takiego nie mówcie – odezwała się całkiem przestraszona – ja waszego ubrania nie ukradłam, ależ skąd. Jest tam za skałą, w jamie. Nie znaleźliście go?

– Oczywiście. Nie ujdzie ci to na sucho – odgrażał się pan Schwartz i znów postąpił krok – każdy może tak powiedzieć!

– No to chodźcie, zaprowadzę was tam i pokażę! Jeszcze i teraz musi tam być! Wcale go nie szukaliście? No to jak poszliście do domu? Ha, ha, ha, o mój Boże... – rzuciła i znów zaczęła się śmiać. Potrząsała głową i zaśmiewała się. Nareszcie ruszyła ku drzwiom. – No to chodźcie! Niechże wam pokażę, gdzie je wetknęłam.

– Czekajże – grubasek obcesowo chwycił kobietę za ramię – teraz nie uwolnisz się tak łatwo. Zresztą drzwi są zamknięte, a klucz w mojej kieszeni. Teraz nie uwolnisz się tak łatwo.

– Czegóż więc chcecie? – kobieta zapytała raczej z ciekawością aniżeli z przestachem.

– Czego? No a jak myślisz? Ty mała szmato! My z sobą mamy jeszcze porachunki. Chodź no tu!

Złapał ją w pasie drugą ręką, przyciągnął ku sobie i zaczął ścisnąć. Kobieta nie broniła się, tylko cicho naśmiewając się, patrzyła w nałaną, czerwona twarz człowieczka. Ten zaczął ją popychać w kierunku łóżka. Kobieta zaparła się nogami.

– To tak nie będzie dobrze – rzekła.

– Co? Dlaczego? – wysapał grubas, a od wysiłku nabrzmiały mu na czole żyły.

Kobieta giętko, ale stanowczo trwała w miejscu i nie poddawała się.

– Bo ja jestem silniejsza od was – odrzekła spokojnie, a w jej oczach zaigrała radość zabawy.

– A niech cię diabli! – fuknął grubas i brutalnie wpił rękę w ciało kobiety – ano zobaczymy!

Mocowali się. Mężczyzna dziko dysząc, natarczywie, kobieta zaś sprężyście,

giętko, jak żbik. Mężczyzna stawał się coraz bardziej grubiański. Wreszcie kobieta miała tego dość i jednym szybkim, pełnym pasji ruchem cisnęła małego grubasa w kierunku łóżka, tak że mężczyzna przewrócił się na nie, a stary mebel mocno zatrzęszczał.

– No widzicie – rzuciła, wygładzając na sobie ubranie.

Pan Schwarz kłął, dysząc. Ze wstydu i gniewu był purpurowy.

– Poczekaj no tylko, poczekaj! – wysapał, przysiadając na skraju łóżka – jeszcze nigdy nie widziałem takiej kobiety jak ty. Takiej dzikiej i takiej głupiej. Ależ to straszne!

Jego oblicze było tak zawstydzone i zropaczone, że kobieta pożałowała go.

– Nie smućcie się – odezwała się łagodnie – tak jest lepiej, dla was też.

– Co? Jeszcze i drwisz sobie ze mnie?! – warknął grubas. – No to uważaj! Mówię ci, uważaj! Ze mną nie jest dobrze zaczynać! Ja...

– Kto mnie obejmie, ten umrze.

– Co?

– Kto mnie obejmie, ten umrze – kobieta powtórzyła spokojnie, lecz w jej głosie czaiła się jakaś wywołująca ciarki groźba. – Tak to jest, grubasku. Ja jestem czarownicą. A teraz dajcie tu ten klucz, żebym mogła sobie pójść.

– Nie dam – mężczyzna odburknął z uporem – póki nie przyjdiesz tu posłusznie i ładnie, i nie... dotąd nie dam.

Kobieta pokręciła głową.

– A więc nie wierzycie w to, co mówię? Że jestem czarownicą?

– Że jesteś czarownicą, w to uwierzę. Ale nie bój się, od tego nie umrzesz ani ty, ani ja. A może tak jestem brzydki, że w żaden sposób...?

Smutny miał głos, gdy zadawał to pytanie. Kobieta podeszła bliżej.

– Nie rozumiecie? To naprawdę tak jest. A ja nie chcę, żebyście...

– Posłuchaj – przerwał jej grubas, ciężko przy tym sapiąc – zapłacę ci pięć forintów. Albo jeśli trzeba, to nawet i dziesięć. Dla mnie pieniądze się nie liczą. Ale widzisz, czasem potrzeba, bo... posłuchaj, pańskie panienki wyśmiewają się ze mnie, mówią, że jestem brzydki. No a czy ja mogę poradzić coś na to, że jestem brzydki? I gruby? Mimo wszystko i ja jestem człowiekiem... akurat takim samym człowiekiem jak inni... ja też mam pragnienia... ja też... trzeba to zrozumieć...

Spokojnie siedział na skraju łóżka, ze spuszczoną głową, wpatrując się w podłogę. Kobieta podeszła do niego i łagodnie dotknęła ramienia brzydkiego człowieczka.

– Cóż mam począć? – zapytała cicho. – Jeśli będę dla was dobra, umrzecie. Uwierzcie, tak to jest. Do tej pory każdy jeden umarł. I ja też nic nie mogę na to poradzić, tak to już jest.

Spojrzał na nią ze zdumieniem.

– Mówisz to poważnie?

– Mówię to poważnie. Już zaraz na samym początku tak to się zaczęło. Wtedy nie wiedziałam, co to jest. Wreszcie powiedziała mi Cyganka.

– Cyganka?

– Tak. Powiedziała: „W twoim łożu, dziewczyno, jest śmierć. Kto ciebie obejmie, ten umrze. Bo jesteś czarownicą, dlatego. Bo to ty jesteś wielką mścicielką, która pomścisz się na mężczyznach za wszystko, co przeciw nam uczynili...”. Tak to powiedziała Cyganka, tak...

Mały gruby człowieczek wzdrygnął się i wstał. Przygładził sobie włosy. Oblicze miał zmieszane i załknione.

– Dziwne rzeczy opowiadasz, kobieto – rzekł – to, o czym mówisz, to jakieś zabobony. Cyganki co prawda mówią wiele różnych rzeczy, ale mimo wszystko... wybac mi, jeśli uważasz, że ciebie skrzywdziłem, no i masz tu...

Wygrzebał z kieszeni pieniądze i cisnął go na stół, po czym wyciągnął klucz, szybko podszedł do drzwi, otworzył je i wyszedł, nawet się nie obejrzawszy. Drzwi zostawił za sobą otwarte.

Kobieta odszukała sakwę, zarzuciła ją sobie na ramię i dostrzegła jeszcze, jak w szynku Anyiszia z szerokim uśmiechem współniczki zwróciła się ku przechodzącemu w pośpiechu mężczyźnie i zapytała:

– No?...

Tamten zaś machnął ręką i ze zwieszoną głową opuścił karczmę. Anyiszia patrzyła za nim ze zdziwieniem.

Nuca wygładziła na sobie fartuch i także opuściła izbę. Pieniądz pozostał na stole. Anyiszia i ją chciała o coś zapytać, lecz Nuca nie patrzyła na nią. Z podniesioną głową, sprężystym krokiem, kołysząc biodrami, przeszła przez szynk. Przy stole siedziało dwóch mężczyzn, ci odwrócili się za nią. Jeden z nich o coś zapytał, odpowiedział na to Wiktor z szynku, po czym wszyscy zarechotali. Lecz ich słów Nuca już nie dosłyszała, była na zewnątrz, na drodze.

Któregoś dnia Nuca rąbała drewno przy szopie. Staruszka właśnie doła owce. Było południe. Raptem począł warczeć pies. Niewidoma podniosła głowę, jej ręka zatrzymała się na wymieniu owcy. Pies szczekał już gniewnie. Także Nuca podniosła głowę tam przy szopie. Siekiera stanęła jej w ręce. Kośną łaką zmierzali w górę ludzie.

– Nuca – odezwała się staruszka na zydlu do dojenia – jesteś tu?

– Tak.

– Co się dzieje?

– Nadchodzą ludzie.

– Tutaj?

– Nie wiem.

– Co za jedni?

– Mężczyźni. Jest pośród nich także jeden wyglądający na pana.

– Wyglądający na pana? – Staruszka puściła owcę i wstała. – Czy to nie idzie Kornel?

– Nie – odparła Nuca po pewnym czasie – to tylko jacyś mężczyźni. Niosą długie kije, a na tych kijach mają czerwone szmatki. I niosą także różne inne rzeczy.

– A ten pan?

– To inżynier z Dédy. Znam go. I jeszcze jeden staruszek. Tego też znam. To ludzie barona.

Niewidoma westchnęła i z powrotem usiadła na zydelku. Przyciągnęła sobie do kolan kolejną owcę. Pies też już nie czekał, tylko uważnie przyglądał się ludziom. Ci przeszli obok chaty.

– Szczęść Boże! – pokłonili się w kierunku domu.

– Szczęść Boże! – odpowiedziała kobieta przy szopie.

– Szczęść Boże! – mruknęła niewidoma.

Tylko inżynier nie przywitał się. Surowo powiódł wzrokiem po owcach, po psie. Był chudy i w złym humorze. Jego oczy na moment spoczęły również na kobiecie, która rąbała drewno, jednak nie wyrzekł powitania. Podążyli dalej, w górę. Tylko mały staruszek oddzielił się od pozostałych i podszedł do chaty.

– Dałabyś mi kubek wody, młoda gospodyni?

Jego głos był zmęczony, zmęczony był i ten drobny mężczyzna. Krótką białą brodę przerzedził mu czas. Kobieta bez słowa weszła do domu i wyniosła kubek wody.

– Proszę.

– Bóg ci zapłać! – Staruszek wypił wodę. Kubek oddał z powrotem. – Bóg ci zapłać, młoda gospodyni! – powiedział raz jeszcze.

Kobieta spojrzała nań i uśmiechnęła się.

– Wciąż jeszcze nie znaleźliście tego, co przepadło? Staruszek poderwał głowę niemal z lękiem.

– Ty mnie znasz?

– Spotkaliśmy się już – odrzekła kobieta, wciąż uśmiechając się – tyle że to było bardzo dawno temu.

– Ty mnie znasz? Abrahama Rottera? – zdumiał się starzec, a jego małe niebieskie oczy w zamyśleniu badały twarz kobiety. – Skąd? Co zaś tyczy się tamtej sprawy, o którą pytałaś – dodał z wielkim smutkiem – to musisz wiedzieć, że tego nie da się odnaleźć. Bo ja przegrałem nie tylko tamtą wojnę, na której od początku do końca bili się też inni i też ją przegrali. Ja przegrałem jeszcze nawet i moją własną wojnę. Ale skąd ty o tym wiesz?

– I ja utraciłam to, co wy – odrzekła kobieta i już się nie uśmiechała – ale ja nazwałabym to inaczej. Nie tak.

– A jak?

– Nie wiem – gwałtownie potrząsnęła głową i odwróciła się, żeby z powrotem zanieść kubek do chaty – jeszcze się nad tym nie zastanawiałam.

Stary Abraham Rotter stał i patrzył za kobietą.

– Jakoś tak wydajesz mi się znajoma. Gdzie myśmy się już spotkali?

– Spotkamy się jeszcze – kobieta odpowiedziała z progu, po czym weszła do chaty. Kiedy znów wyszła, starego już tam nie było.

I tamten dzień minął tak jak pozostałe. Nuca wyгнаła owce, rozłożyła się na murawie, a pod drzewami z wolna rozciągnął się cień. W koronach brzoź lśniły już żółte plamy, klon na skraju polany zrzucał liście. Niebieskie kwiaty goryczki już przekwitały, a wiatr od czasu do czasu czochrał drzewa, przynosząc zawilgłą woń opadłego listowia i jesiennych mgieł.

Słońce już się kłoniło i owce coraz częściej podnosiły głowy, a i pies spoglądał na nią raz i drugi, ona jednak nie ruszała się.

Czekała. Ktoś miał przyjść, ktoś, kto jest smutny i samotny niczym drzewa, z których opadają liście. I czekała.

Nareszcie posłyszała kroki, usiadła. Stokiem szedł w dół ów staruszek. Kiedy poznał kobietę, przystanął, po czym podszedł do niej.

– Nie znasz tu gdzieś w pobliżu jakiejś koliby? – zapytał. – Robimy pomiary na Zsizsy, a inżynier mnie zostawił robotę. Poszedł sobie do domu, jemu to łatwo. Pomyślałem, że prześpię się na hali Ulmu, ale tam dom spłonął. Ludzie rozpalą ogień i prześpią się przy nim. Lecz ja jestem już bardzo stary i od rosy bolą mnie kości. Znasz tu gdzieś jakąś kolibę?

– Chodźcie! – powiedziała kobieta i ruszyła za owcami. Niewidoma w niepokoju stała przed domem.

– Już na ciebie czekałam. Myślałam, że coś się stało.

– Będziemy mieć gościa dziś wieczorem – odezwała się do niej Nuca – to stary człowiek, który na Zsizsy pracuje dla inżyniera. W sieni...

– Dla mnie może być i na stryszku nad szopą – wtrącił żywo stary – byleby tylko był dach...

– Można, oczywiście – mruknęła niewidoma i siadła przy okiennicy zagrody, żeby rozpocząć dojenie.

Nuca naszykowała w sieni worek z sianem i położyła na nim koc. Później, kiedy już nie było nic do zrobienia, zasiedli we troje przy stole. Jedli owczy twaróg, bundz, mamałygę. Staruszek wyjął ze swojego worka słoninę i chleb. Poczęstował tym niewidomą. Ta ciamkała z rozkoszą, żując niezwykajne kąski.

– W tym roku i my będziemy mieli słoninę – rzekła z dumą. – Chowamy dwa prosiaki, kupiliśmy je za ser... owce przysłał mój syn, który jest panem w mieście, ma tam duży dom i urząd... a wy co robicie w lesie?

– Przegrałem wojnę – Abraham Rotter odparł sucho. – Najpierw była to tylko mała przegrana, później coraz większa. Wreszcie trafiłem tutaj. Rozkazuje mi

inżynier, a przecież on nawet nie był żołnierzem i wojny nie widział. To zły człowiek.

– Inżynier? – zapytała kobieta.

– Ciężką robotę zwała zawsze na mnie. A przecież ja jestem już stary... i... przegrałem wojnę, no.

– Ajajaj – westchnęła niewidoma i bezzębny ustami żuła i żuła słoninę.

Potem poszli spać. Kobieta jeszcze zapaliła kaganek i powiesiła go w sieni dla starego, żeby widział.

– Słuchaj – spytał staruszek – czy to twoja matka albo teściowa, ta w środku?

– Nie.

– No a kto? Jesteś na służbie?

– To niewidoma staruszka, która ma ciężkie życie.

– A ty?

– Ja jestem jej coś winna.

Po drugiej stronie, na Lisztes zaryczał byk.

– Słyszysz? – zapytał stary. – To pierwszy. Kobieta skinęła głową.

– Dobranoc!

Zamknęła za sobą drzwi.

Nazajutrz mgła dłużej zalegała na łąkach. Kiedy staruszek odszedł, była już tak gęsta, że można by sądzić, iż lada chwila zacznie padać. Jednak potem się przejaśniło. Mgła ściągnęła w dół i długo jeszcze zalegała nad potokami.

– To już jesień – rzekła niewidoma, kiedy wstała – czuję jej zapach.

– To już jesień – przytaknęła kobieta – ryczy byk tam po drugiej stronie.

W ciszy wyraźnie słychać było teraz charkot byka, dochodzący z Lisztes.

– Panowie idą na polowanie – powiedziała staruszka i swoje niewidzące oczy zwróciła w kierunku tego głosu. – I Kornel jest z nimi.

Potem wszystko szło zgodnie ze swoim porządkiem. Lecz w powietrzu czuło się coś niedobrego, coś przerażającego i okrutnego. Nie było tego widać, jednak tam było. Kobieta czuła to i siedząc w górze z owcami, całą swoją uwagę koncentrowała na domu.

Ale przed południem nic się nie wydarzyło. W południe przyszedł na górę od strony wsi pewien człowiek. Staruszka doiła owce. Mężczyzna podszedł tam.

– Szczęść Boże!

– Szczęść Boże!

Coś było w jego powitaniu. Obie kobiety podniosły głowy. Niewidoma niespokojnie wpatrywała się przed siebie, podejrzewając coś. Druga zaś stała w progu i wiedziała, co powie ów człowiek. A powiedział tak:

– Ano... o Juonie niczego nie słyszeliście?

– O moim synu?

– O nim.

– Jest wysoko w górach ze stadem wołów.
– Nie – odparł powoli mężczyzna – nie ma go wysoko w górach ze stadem wołów.

– A gdzie jest?

– Przedwczoraj przyszedł na dół z Bradulca juhas. Powiedział, że stado zostało samo sobie. Nie ma przy nim człowieka. Wczoraj w kilku byliśmy tam wysoko. I rzeczywiście, trzoda została sama sobie.

– A mój syn? – zapytała niewidoma i czuć było w jej głosie strach.

– Juhasi z Bradulca mówili, że już od jakiegoś czasu był dziwny. Opowiadał o jakimś czarze i o jakiejś kobiecie.

– O kobiecie? Mój syn?

Mężczyzna podrapał się po brodzie.

– Tak. O jakiejś kobiecie, która nagusienka tańczyła w wodzie. Jak powiadają, już od jakiegoś czasu nie miał on jasnego rozumu. Wciąż tylko siedział i grał na fujarce, a nie troszczył się o stado. W końcu odszedł.

– Gdzie?

– Tego nie wiadomo. Odszedł. Porzucił stado i poszedł sobie. Może gdzieś się jakoś zabił.

– Ojej, o mój dobry Boże!... Mężczyzna pogrzebał kijem w ziemi.

– Ano tylko dlatego tu przyszedłem. Niech wam Bóg błogosławi!

– Ojej, o mój Boże, o mój Boże!...

Mężczyzna odszedł. Niewidoma chwyciła wymię owcy i zagapiła się w dal.

– Nuca... jesteś tu?

– Tak.

– O mój Boże, o mój Boże!...

Po czym dalej doiła owce. I od czasu do czasu powtarzała: „Ojej, o mój Boże, ojej, o mój Boże!”. Nuca nieruchomo siedziała w progu i patrzyła w górę, tam gdzie piętrzyły się szczyty.

Po dojeniu staruszka weszła do domu, położyła się na łóżku i zaczęła płakać. Dziwnie zawodziła. Tak, jak płaczą bardzo stare kobiety.

Na wieczór znów przyszedł staruszek. Wysłuchał opowieści o całej tej sprawie, po czym usiadł przy starej kobiecie i długo tak tam pozostał. Żadne z nich nie przemówiło nawet jednym słowem, tylko tak siedzieli, a wokoło był wieczór. Nareszcie staruszek ziewnął i wstał.

– Ty też przegrałaś wojnę – rzekł do niewidomej. – Tak to jest. Wyszedł do sieni i położył się. Długo jeszcze grzebał się tam, słyhać było, jak wiercił się na sienniku. Niekiedy mocno wzdychał.

– Mój Boże, mój Boże... – szeptała wówczas i kobieta w izbie. – Mój Boże, mój Boże...

Następnego dnia staruszek nadszedł już w południe. Wydawał się jeszcze

mniejszy, bardziej pomarszczony i smutny.

– Przegnał mnie inżynier – oznajmił – no bo robota wolno postępuje, ja jestem stary i tak dalej. Taki człowiek niech umiera, tak mi powiedział, niech umiera i niech nie żyje innym na karku, na złość. Tak mi powiedział.

Usiadł na progu i zapatrzył się przed siebie. Kobieta wyniosła mu tam jedzenie.

– Widzisz – powiedział stary – jeszcze i to utraciłem. Przegrałem i tę wojnę. Teraz nie ma już nic więcej.

– Czego nie ma więcej?

– Tego, co mógłbym utracić.

– To dobrze.

Przez chwilę zastanawiał się, po czym przytaknął ze smutkiem.

– Możliwe, że masz rację. Gdybym miał gdzieś taką małą chatę, tak wysoko w górach, daleko od ludzi, i całymi dniami mógłbym przed nią siedzieć, to wtedy może byłoby i dobrze. Ale tak... człowiek jest sam. A to nie jest dobrze.

Niewidoma była w domu. Dochodziło tylko jej wzdychanie. Nuca przyciszyła głos.

– Ona też jest sama – powiedziała i skinęła w kierunku chaty.

– Możliwe, możliwe – przytaknął staruszek, jednak bez większej uwagi.

– Ja dziś wieczorem odejdę – rzekła nagle kobieta – czy zrobilibyście dla mnie to, żeby tu zostać?

– Co?

– Będziecie wyganiać owce na pastwisko, rąbać drewno i tak dalej.

Stary Abraham Rotter wpatrywał się w dal.

– Mogę to zrobić – odpowiedział z wolna – mogę to zrobić. Do czasu, aż wrócisz.

– Do czasu, aż wrócę – przytaknęła Nuca z uśmiechem.

Potem minęło popołudnie. Kobieta opowiedziała staremu, gdzie jest siano, które to pastwisko, pokazała drewno, wszystko.

– Ona wcale nie musi o tym wiedzieć – rzekła – wystarczy, jeśli dowie się jutro. Jest niewidoma... i straciła obu synów.

– Dobrze – obiecał stary – ale jutro i tak się dowie.

– Lepiej, jeśli dopiero jutro...

– Zgoda.

Nastał wieczór. Z lasu wychynał chłodny wietrzyk i rozsypał wokół chaty jesienne wonie. Gdzieś znów zaryczał byk.

Zapalili kaganek, zjedli. Potem staruszka położyła się, jak zazwyczaj. Oni dwoje zaś wyszli do sieni.

– Ano tak – zaczęła kobieta – ja teraz odejdę.

– Idź śmiało – rzekł staruszek – nic złego się nie stanie.

– Niech wam Bóg błogosławi!

– Niech ci Bóg dopomoże!

Na zewnątrz niebo było rozgwieżdżone. Panowała cisza, tylko owce posapywały w zagrodzie. Nuca zatrzymała się na moment i rozejrzała się jak ktoś, kto się żegna. Z chaty dochodziło wzdychanie ślepej staruszki: „Mój Boże... mój Boże...”. Westchnienia staruszki napełniały Nucę bezbrzeżnym smutkiem. Tak wzdycha jesienią wiatr – pomyślała – a od tego żółkną drzewa.

Nareszcie ruszyła w górę. Z początku powoli, potem coraz szybciej. Naprzeciw niej szedł z gór chłodny wiatr, przynosząc zapach pożółkłych liści.

Na hali Kóbor odezwała się łania. Potem słyhać było, jak po wyschlłym wiatrołomie z hałasem porusza się i dyszy byk. Stary Árszintya, owinięty w kozuch, siedział przed kolibą i wyczekiwał świtu. Świt nadchodził powoli. Lasy spowijała tak gęsta mgła, że nie było widać gwiazd, i wciąż jeszcze panowała ciemność. Na Andrenyásza pomrukiwał byk, z jarów Ilvy dochodziły w górę przeciągłe porykiwania: wszędzie już rozpoczęło się poranne rykowisko. Jednak na Funtinel nocka jeszcze nie odpuszczała.

Árszintya wsłuchiwał się w głosy. W sapanie owiec w zagrodzie, w ryk byków w oddali i w głos starej sowy ze Sztrug, kiedy rzucała w ciszę swoje: „Uuuuu... uuuuu... uuuuu...”.

Wiele już razy w tym życiu tak siedział i wiele razy wsłuchiwał się w te dźwięki, którymi rozbrzmiewała kraina ośnieżonych szczytów, gdy kolejny raz przemijało lato. I któż znów przyjdzie tu z owcami na górę halą Kóbor, na świętego Jerzego w przyszłym roku? Może już ktoś inny? Życie człowieka jest jak ten żółty liść, który w niewidzialny sposób wiąże z drzewem promienie słońca, aż potem w końcu...

Coś poruszyło się w szarówce. Mgła przyniosła dźwięk. Ledwie dosłyszalny odgłos, jakby ktoś stąpał boso po pokrytej rosą murawie. Starzec wyteżył słuch. Ktoś szedł halą w dół.

Ktoś? Psy nie czekały, ale ktoś nadchodził bosą stopą po murawie. Nareszcie w jednym miejscu mgła drgnęła i z szarówki wyłoniła się jakaś postać. Postąpiła bliżej. Zatrzymała się. Jej odzienie pachniało wilgocią.

– Szczęść Boże...

Poznał kobietę po głosie.

– Szczęść Boże... to ty, co na Sztrug?...

– To ja.

Ten głos był pozbawiony blasku, szary niczym jesienna mgła ponad halą. Stary zwrócił na to uwagę.

– Siadaj – rzekł – zmęczona jesteś. Możesz wejść do koliby. Możesz się położyć. Masz tu kozuch.

– Dziękuję – odrzekła cicho kobieta i wzięła wyciągniętą ku niej baranicę. Potem zniknęła w szałasie. Jeszcze przez jakiś czas słyhać było, jak się tam mości, po czym ciszę mąciły już tylko byki porykujące na górskich grzbietach i posapywanie owiec. Nic więcej.

Stary Árszintya wstał i powoli zszedł do zagrody. Oparł się o słupek i przyglądał się śpiącym owcom. Pięknie jest, gdy owce tak śpią, wtulone w siebie, w przyjemnych, ciepłych oparach, tłuste, ładne, zadbane owce. I nie ma znaczenia, czyje to stado. Tam wysoko owce należą do tego, kto na nie baczy, kto jest z nimi dniem i nocą. Kto z nimi żyje, z nimi i z wysokimi górami. Pięknie jest żyć razem z wysokimi górami i ze zwierzętami i szkoda, że wszystko przemija. Każde lato się

skończy i owce na powrót zejdą w dolinę, a człowiek, który miesiącami żył wraz z nimi, podąży za stadem, na hali zaś pozostanie opuszczona koliba i pusta zagroda. W dolinie gospodarze zabiorą swoje owce, a człowiek zostanie sam. Pójdzie do któregoś ze swych wnuków, zabierze z sobą to, co zgromadził latem, wtuli się w jakiś kąt i będzie żyć... żyć i czekać, aż znów przyjdzie dzień świętego Jerzego... ale czy on doczeka jeszcze świętego Jerzego?

Árszintya wciąż stał oparty o słupek, a na duszy zaległ mu jakiś trudny do zniesienia ciężar. Wysoko w górze niebo poczęło jaśnieć, hala z wolna wyłaniała się z szarówki, a lasy odsłaniały swoje mroczne wnętrza. Ponad zagrodą bezgłośnie przemknął lelek, któryś baran podniósł głowę, a na jego szyi zadźwięczał dzwonek.

Stary Árszintya wydmuchał nos i podszedł do bramy. Owce poruszyły się, wstały. Brama zaskrzypiała. Na ten odgłos jeden z juhasów śpiących pod daszkiem ocknął się, usiadł, przetaił z oczu sen i ziewnął. Owce w tłoku przeciskały się przez otwartą bramę na zewnątrz. Juhas podniósł się, wcisnął na głowę kapelusz, wziął do ręki kij.

– Nie jest jeszcze za wcześnie? – zapytał sennym głosem.

– Musimy je nakarmić w porę – odpowiedział starzec i westchnął – po wschodzie słońca trzeba z nimi ruszać, żebyśmy do południa mogli dotrzeć na dół...

Owce wydostały się z zagrody i teraz kłębiły się na pokrytej rosą murawie. Jeden pies wychynał skądś, ziewając, i chcąc nie chcąc, z czystego przyzwyczajenia, ruszył za młodym juhasem.

Stary pozostał przy zagrodzie. Popatrzył za owcami, a dalej za nimi na las, jak powoli rozdziawał się z mgły. Wszędzie wokoło charczały byki, a gdzieś w oddali, jeszcze nawet i za grzbietami Ilvy, głucho zagrzemiał strzał.

Później Árszintya rozpalili ogień. Ostatni ogień w tym roku, tam wysoko na Funtinel. Może ostatni ogień w tym życiu. Któż to może wiedzieć. Najpierw powoli, z rozważą ułożył chrust. Dał podeń zeschniętych liści. Potem zniecił iskrę. Płomień obudził się, wczepił się w chrust i trzaskał. Mgła przydusiła dym.

Tymczasem całkiem się rozwidniło. Murawa na hali mieniła się srebrzyście, a tam w górze pobrzmiwały dzwonki owiec. Niebo ponad mgłą było zielonkawo-niebieskie i gdzieś już wstawało słońce. Stary Árszintya ugotował mamałygę z resztek kaszy kukurydzianej, a tymczasem wstali też dwaj pozostali juhasi i poczęli znosić rzeczy na stertę.

Wkrótce i kobieta wyszła z koliby. Rozejrzała się wokoło i podeszła do ognia. Juhasom robota stanęła w rękach. Gapili się na nią z rozdziawionymi gębami.

– Chodź, zjedz! – zawołał do niej stary.

Kobieta usiadła przy ogniu. Powoli połykała gorącą mamałygę, czasem zagryzając ją serem.

– Co robicie? – zapytała, pokazując na rzeczy zniesione na stertę.

– Dziś jest świętego Michała – cicho odpowiedział starzec – świętego Michała, ano tak.

– Tak, oczywiście...

Potem nie rozmawiali, tylko jedli. Po kolei podeszli do kotła również juhasi i wygarnawszy zeń swoją część, na powrót ściągnęli pod daszek.

– Przyszłam – kobieta odezwała się po pewnym czasie. A jako że stary nie od razu odpowiedział, dorzuciła: – Wzywaliście mnie, dlatego.

– Pomyślałem, że dobrze by było, gdybyś przyszła, zanim odejdziemy stąd na dół... bo potem już...

– Wzywaliście mnie – powtórzyła kobieta.

Árszintya spojrział na nią. Przyglądał się jej przez dłuższą chwilę, nareszcie skinął głową.

– Można by to i tak powiedzieć. Jednak ja tylko pomyślałem o tym, że...

– Wszystko jedno – przerwała mu kobieta. – Przyszłam, sami widzicie.

Czyste błękitne oczy starca badawczo śledziły twarz kobiety.

– Wiem, bywa tak, że człowiek to przeczuje... był tu pewien mężczyzna, szukał ciebie i zostawił wiadomość...

– Jaki mężczyzna? – kobieta podniosła głowę.

– Wysoki. Powiedział, że pochodzi z Dealu Rós, i mówił o jakimś jeziorze, gdzie stoją brzozy... powiedział, że ty już będziesz wiedziała...

– Kiedy tu był?

– Kiedy? Czeka! Księżyc był wtedy w nowiu. Ale nie tym ostatnim razem. Poprzednim. Tak, to było wtedy. Przyszedł na wieczór, przespał się tu, a rano odszedł. Był to rosły mężczyzna, miał z sobą strzelbę i siekierę. Gdy odszedł, juhasi zaczęli gadać, że ten człowiek...

Kobieta uczyniła niecierpliwy ruch ręką.

– I co mówił?

– Że czeka na ciebie na Butce, tak powiedział.

– Kiedy?

– Powiedział tylko, że czeka. Nie mówił kiedy.

Już tylko żar dawał ciepło. Nikt nie dorzucał nowego chrustu. Od strony Sztrug powiał wiatr i pognał mgłę w dół. Zza Pietrosz podniosło się słońce i oświetliło wierzchołki choin na Andrenyásza.

Siedzieli w milczeniu i więcej nie rozmawiali. Juhasi układali rzeczy w stos. Cicho pobrzmiwały dzwonki owiec. Nad halą unosił się smutek pożegnania. Jakiś chłodny, sierocy smutek, szary jak popiół w miejscu niegdysiejszych ogni, zduszonych jesienną rosą. Wysoko na połoninie czerwieniły się już buki.

Nagle gdzieś zarżał koń. Zaczęły szczeakać psy. Z buczyny opuszczali się na halę ludzie i szły w dół konie z drewnianymi siodłami. Akurat wtedy pierwsze

promienie słońca przemiotły całą murawę i napełniły światłem krople rosy.

Stary Árszintya westchnął i powstał ze swego miejsca przy wygasłym ogniu.

– Ano tak – rzekł – dobrze, że przysłaś i że jeszcze mogłem powiedzieć ci to, co pozostawił tu dla ciebie tamten człowiek. No a teraz ruszamy.

Kobieta też się podniosła. Popatrzyła w stronę zbliżających się ludzi i ogarnął ją jakiś dziwny niepokój.

– Niech wam Bóg dopomoże – rzuciła szeptem, pośpiesznie. – I dziękuję.

– Nie ma za co. Niech i tobie Bóg dopomoże!

Nie oglądając się, kobieta ruszyła na Sztrug. Lecz czuła za plecami zagrodę i kolibę, i szeroką, wielką halę, ale też i halę Ulmu, i zagrodę na Ulmu, i każdą halę, i każdą zagrodę wszędzie w górach, gdzie tylko żyją ludzie, a potem stamtąd odchodzą, a zagrody pozostają puste i osamotnione.

Dalej, ponad skałami Sztrug przystanąła na chwilę. Naprzeciw niej, na szczytach gór leżało słońce i oblewało lasy światłem i ciepłem. Tu i tam błyszcziała żółcią jedna i druga brzoza. Cicho szeleściła miedzianoczerwona kopuła buczyny i od czasu do czasu z szelestem spadał pojedynczy liść. Głęboko w dolinie potoku kłębiła się jeszcze mlecznobiała mgła, a wszędzie po jarach ryczały byki, stękając, charcząc, wykrzykiwały w jesień swe pragnienia.

Minął dopiero rok... – pomyślała kobieta i zobaczyła przed sobą halę Komárnyik. Minęły dopiero dwa lata... – pomyślała i spojrzała tam, gdzie stał Tron Boży, gdzieś za grzbietem Porku, i serce ścisnęło jej się z bólu.

Czuła się potwornie samotna, tam w górze, ponad skałami Sztrug, samotna w tej jesieni. Jakby nigdzie na świecie już nie żyli ludzie. Tylko drzewa, a i tym opadały liście. Tylko góry, a i te szykowały się do zimy. Tylko zwierzęta, a i te wszystkie znają siebie nawzajem... Od strony Ratosnyi ciszę przeciął gwizd piły parowej. Kobieta wzdrygnęła się i przypomniała jej się ludzie, którzy jeszcze zostali. I tym cięższa stała się ta samotność.

Wytarła z oka łzę i z wolna ruszyła w stronę wielkiej połoniny. Szła z opuszczoną głową. Pod jej stopami chrzęściło listowie buków. Przy dużej skale weszła na wydeptany przez woły, szerszy płaj, który prowadził w kierunku Pietrosz. Szła naprzód powoli. Jesienne powietrze ociepliło się i po kolei umilkły byki. W ciszy słychać było jedynie szelest opadających liści i stukanie dzięcioła.

Na płasni Brádu wuj Minya zwoływał w kupę jałowiznę. Jego pokrzykiwania pobrzmiwały echem, bydło muczało, koń rżał. I to były odgłosy przenosin.

Nie poszła w górę aż do pastwisk, zeszła ze ścieżki w jary Brádu, w dół do potoku, a po drugiej stronie znów w górę. Za grzbietem Dealu Brád już sterczała w czerni Butka.

Puszcza, gdzie nie postąpiła ludzka stopa. Skalista, dzika. W wąskich kotlinach olbrzymie paprocie i zapach pleśni. Stare, okryte porostami choiny. Ciemna,

strasznie ciemna, czarna puszcza, gdzie kryją się jedynie bardzo stare niedźwiedzie pustelniki, byki, koczające się rysie. Niema, czarna góra, milcząca niczym grób nawet i w czas rykowiska. Kryjąca ślady stóp, grzebiąca tajemnice. To cmentarzysko krainy ośnieżonych szczytów, Butka. To tam ściąga z lasów dzika zwierzyna, żeby pomrzeć.

Kobieta szła z boczem Butki w górę. Niekiedy przystawała, nasłuchiwała.

Stopy miękko zapadały się w mchu, ponad olbrzymimi choinami świeciło słońce, gdzieś tam wysoko widać było też mały skrawek nieba, błękitnego i czystego, lecz wokół niej panował wilgotny mrok i cisza.

Powoli posuwała się w górę. Z mchu wypełzła aksamitna żmija, ostrzegawczo wysuwając rozwidlony czarny język. U stóp drzew gniły śluzowate grzyby. Nuca od czasu do czasu przystawała. Nasłuchiwała, obserwowała mech, drzewa, wonie.

Na pewnym wąskim, niewielkim górskim grzbiecie znalazła ślad siekiery. Nie był całkiem świeży, ale mech zachował jeszcze ledwie widoczny obrys jakiegoś kierpca, wskazujący, że ktoś szedł w górę. Podążyła tym śladem. Górski grzbiet stawał się coraz ostrzejszy, drzewa skarłowaciały i zagaściły się. W tyle pozostał mech, a z gęstwiny szydlerczy uśmiechały się nieprzyjazne skały. Z kamiennych rumowisk w kotlinach jaskrawą plamą odcinały się czerwone jagody dzikiego bzu.

Raptem kobieta przystanąła. Z uniesioną głową wciągnęła powietrze, nozdrza jej zadrżały. Poczowała woń zawilgłego popiołu z wygasłego ogniska. Przez kilka chwil Nuca szukała kierunku, z którego dolatywała ta woń. Po czym odbiła z grani.

Przedzierała się poprzez gęstwinę iglastych zarośli niemal bezgłośnie, tylko czasem zatrzeszczała jakaś gałązka. Pełzła po skałach w dół, wdrapywała się po stromych osuwiskach i od czasu do czasu przystawała, wciągała powietrze i szukała owej woni. W końcu skały rozszerzyły się gwałtownie. Drzewa się przerzedziły. Pośrodku gęstwy rozsiadł się szeroki jar, który porastały zarośla jeżyn i malin, pluskało w nim źródło, a przy źródle stało kilka żółtych już o tej porze topól. Jar skierowany był na wschód i słońce nappełniło go światłem, błyszczały liście topól i mnóstwo czerwonych plam jesieni na listowiu ożyn, a powyżej źródła, na łagodnej, małej stromiźnie siedział jakiś człowiek, świeciło nań słońce, trawę wokół niego pokrywała jeszcze rosa, a on rzeźbił kij.

Kobieta powoli przeszła przez jeżyny, od czasu do czasu zrywając ten i ów dojrzały czarny owoc. Człowiek zobaczył ją już z oddali, lecz się nie ruszył. Tylko kij położył obok siebie, a kozik na powrót wcisnął sobie za pas. Kobieta dotarła do niego na górę. Nie spojrziała w twarz mężczyzny, tylko wydukała westchnienie, siadła przy nim na trawie. Dobrze i ciepło przygrzewało tam słońce, a powietrze przepelniał usypiający zapach ożyn. Czuła, że zamykają jej się oczy.

– Przyszłam – wyszeptała i wyciągnęła się na miękkiej trawie.

– Czekałem na ciebie – odpowiedział mężczyzna dokładnie takim samym ściszym głosem.

Po pewnym czasie dorzucił jeszcze:

– Ano tak, widzisz, tak postąpili i z tobą...

W tym głosie była gorycz. Kobieta przymknęła oczy i słuchała odgłosów lasu, i jakoś tak dobrze było leżeć sobie leniwie, czuć ciepło słońca i wiedzieć, że ktoś siedzi tam przy niej. Mój ojciec – pomyślała – jakież to dziwne słowa: mój ojciec...

Mężczyzna zaś opowiadał, powoli, nie śpiesząc się. Niekiedy robił przerwę, jakby czekał, żeby się wtrącono, lecz kobieta leżała z przymkniętymi oczami, może już na w pół spała i tylko od czasu do czasu docierał do niej jakiś strzępek jego opowieści.

– Nie mówię, że takie życie jest w sam raz dla ciebie... jest smutne i trudne... człowieka stale ścigają... ale trzeba jakoś żyć... i mimo wszystko lepiej tak aniżeli samotnie...

Powiew wiatru przemknął gdzieś pomiędzy drzewami, daleko, bardzo daleko dzwonił potok, świat zlał się w jedno wielkie letnie brzęczenie, a potem nie było już więcej nic.

Kiedy się zbudziła, już nie przygrzewało tam słońce. Powietrze miało ostry, świeży zapach. Gdzieś w oddali ryczał byk.

– To już wieczór? – zapytała i usiadła. Bandilla wstał.

– Chodź – rzekł – weź ten kij, wyrzeźbiłem go dla ciebie. Wzięła do ręki kij. Rzeźbił to – pomyślała – kiedy zobaczyłam go siedzącego tutaj. Myślał o mnie i rzeźbił to. Poczula przyjemne wzruszenie.

Ruszyli w górę jarem. Nuca bez słowa szła za Bandillą, w ręce trzymając kij. Przyglądała się rzeźbieniu na nim. U góry zakończenie kija uformowane było w głowę psa. Zostawili za sobą polankę. Przedzierali się przez zarośla jeżyn, potem brnęli w górę kamiennym rumowiskiem. Dwie ściany jaru zbiegały się tutaj stromo, w istocie zamykając jar. Wysoko piętrzył się nagi skalny szczyt. Za kamiennym rumowiskiem nie było już nic, tylko zarośla sosny. A ponad nimi piętrzył się nagi skalny szczyt.

Bandilla odważnie ruszył w zarośla. Prowadziła w nie ścieżka, zygzakiem. Lecz wszystkiego było ledwie kilka kroków, po czym gęstwa rozwarła się i kilka kroków dalej ukazało się wejście do jaskini. I w półkolu skały o stromych ścianach, wysokie, nie do przebycia.

– Tu jest jaskinia – powiedział Bandilla – albo, jeśli tak się bardziej podoba: kwatera, gdzie się schodzimy, kiedy coś się dzieje. Swoją drogą, jest nas teraz tylko sześciu, ty jesteś siódma.

Jaskinia była głęboka, a przy tym obszerna. Wyglądała na suchą, ani mech,

ani pleśń nie pokrywały jej ścian. Daleko w głębi panował mrok. Przed wejściem leżała kupa czarnego popiołu, a po obu stronach ułożono w stos drewno na opał. Wewnątrz jaskini zrobiono posłania z młodych sosnowych pędów, były na nich koce i baranice.

– Ano tak. No to teraz coś zjemy.

Wszedł do jaskini. Z dużej białej chusty wyjął bundz i słoninę. W misce przyniósł mamałygi.

– Jedz – rzekł – jest dość. Już i samo to, że nie głodujemy, też coś znaczy.

Masz kozik?

– Nie mam.

– No to czekaj!

Znów zniknął w jaskini. Kobieta usiadła na kamieniu, plecy oparła o skalną ścianę. Widać było jedynie błękit nieba, no i z przodu zarośla i skały, więcej nic.

Bandilla wyszedł, w ręce miał mały, zręczny scyzoryk na cienkim łańcuszku.

– W sam raz dla białogłowy – powiedział – możesz go sobie zawiązać na szyi, żeby nie zgubić.

Kobieta wzięła od niego nożyk i roześmiała się. Był to ładny, nieduży scyzoryk.

– Gdzie go zdobyliście? Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Już od dawna jest tu w rzeczach.

Zjedli. A potem, jako że zaczęło robić się chłodniej, Bandilla rozpałił ogień. Później przyniósł duży koc.

– Idź, nałam do niego sosnowych gałązek, żebyś miała na czym się położyć.

Cztery razy napelniała ten koc młodymi pędami choiny. Tymczasem Bandilla układał je starannie, tak jak trzeba, żeby posłanie było sprężyste i miękkie. Na dwie piędzi wysokie wyszło to posłanie wewnątrz jaskini.

Ogień płonął wesoło. Ściany jaskini odbijały ciepło, a powietrze wypełniło się zapachem świeżych pędów choiny.

– Ładnie tu – powiedziała kobieta i zaśmiała się. Bandilla uśmiechnął się do niej.

– Ładnie, gdy człowiek nie jest sam. Samemu nie jest dobrze.

– Długo byliście sami?

– Długo. – Szczere oblicze mężczyzny sposepniało. – Długo byłem sam.

Człowiek myślałby, że i do tego można przywyknąć, jeśli długo jest się samemu. Ale nie. Do tego nigdy nie da się przywyknąć. Wiesz – ciągnął, siadając obok Nucy – zawsze pragnąłem, żeby była przy mnie kobieta. Taka jak ty. Wtedy nie byłbym sam. Ale... – Nie wypowiedział tego dalej. Przez kilka chwil zapatrzył się w dal, w końcu zaczął się śmiać. – Wielka szkoda, że jesteś moją córką!

– Czemu?

– Czemu? Pytasz, czemu? Jesteś dorosłą kobietą i zadajesz takie pytanie? Na

mój honor, szkoda, że jesteś moją córką!

– A może wcale nią nie jestem?... A może...

– Zamilcz! – mężczyzna ofuknął ją gburowato i więcej już się nie śmiał. – Jesteś taka, jak była Elena – powiedział później. – Bóg mi świadkiem, jesteś taka sama jak ona! I ona tak plotła, kiedy naszedł ją dobry humor, co tylko jej ślina na język przyniosła, i nie dbała ani o Boga, ani o ludzi, ani o przyzwoitość, o nic, tylko tak plotła i śmiała się. Nawet i oczy masz takie jak ona, i usta też. I nos. I czoło. I włosy. Czemu nie zaplatasz włosów, nie nosisz ich upiętych wysoko, jak dorosłe niewiasty?

Kobieta potrząsnęła długimi, potarganymi kosmykami.

– Daj mi do tego grzebień! Daj lustro! Albo nożyczki, żebym mogła je przyciąć. O, dość czesze je las...

– Oczywiście, oczywiście... – mruknął mężczyzna i umilkł. Nastął wieczór. Niebo pociemniało i zlało się z pogrążoną w mroku ziemią. Rozbłysła jedna gwiazda. Druga. Bandilla powstał nieśpiesznie, wyciągnął spod ściany jaskini żywiczną gałąź i włożył ją w ogień. Czarna świerkowa żywica z sykiem zajęła się płomieniem i rozjarzyła się pachnącym białym blaskiem.

– Chodź za mną – rzekł i ruszył w głąb jaskini.

W tylnej ścianie ział otwór. Można go było dostrzec jedynie w świetle pochodni. Był tak duży, że wygodnie przejść mógł przezeń człowiek. Bandilla wcisnął się w dziurę.

– Chodź za mną – powtórzył – i uważaj na głowę.

Blask pochodni oświetlił zygzakowaty, zakrzywiony korytarz, który prowadził w górę. Trzeba było się nim wdrapywać, ale zaledwie kilka kroków, po czym korytarz znów się poszerzył. Był niczym obszerna niska izba. Stało tam kilka skrzyń, ustawionych na pniakach. Skądś szedł niewidzialny ciąg powietrza, załopotala w nim pochodnia.

– Tu – rzekł Bandilla i otworzył wieko jednej ze skrzyń – trzymamy kaszę. Długo nie da się jej przechować, ale kilka tygodni postoi. Tam na drągu wiszą wędzone słoniny, mięso. Tu jest cebula, sól i takie tam. A teraz chodź tutaj!

Otworzył wieko większej skrzyni i przytrzymał nad nią pochodnię. Leżały tam jedne na drugich kozuchy i koce.

– Wybierz sobie baranicę i koc. Nie ten, czekaj, jest lepszy. O tamten, wyciągnijże go! O widzisz, ten będzie dobry. Wyjmij też tamtą kamizelę z kożuska, przyda się już. I tamten biały włochaty wełniany koc. Tamten, tamten. A tam pod spodem są ubrania. Niestety, nie ma pomiędzy nimi takich, które nadawałyby się dla białogłowy, no ale będzie i to. Mówiłem, żeby przynieśli. Jak nastanie pełnia, wszyscy tu przyjdą.

Kobieta włożyła na siebie kamizelę z kożuska, była miła, miękka i ciepła. Następnie zarzuciła na ramię baranicę i koc.

– Czekaj – rzekł Bandilla – boso też nie możesz zostać. Tu jest para dobrych kierpców. Albo czekaj, te są mniejsze. Masz tu do nich rzemyki. Tam znajdziesz coś na onuce. O tak. Jeśli rzeczy są trochę wilgotne, wysuszysz je przy ogniu. No, chodźmy! Czekajże, jeszcze ta butelka...

Potem przez wąski otwór wrócili do zewnętrznej jaskini. Płonął ogień, było przyjemnie ciepło. Kobieta ułożyła na posłaniu kożuch i koc. Postawiła obok kierpce. Bandilla dorzucił drewna do ognia. Płomienie oświetliły jaskinię, zajaśniały na rudej brodzie mężczyzny i rzuciły jego smukły cień na szarą, kamienną ścianę z tyłu. Zapach świeżych gałązek i blask ognia sprawiły, że w jaskini zrobiło się niemal przytulnie. Kobieta siadła przy ogniu i z uśmiechem wpatrywała się w płomienie.

Dziwne jest życie człowieka – pomyślała – dziwne. Wcześniej osierocony i osamotniony, niczym pobity, wygoniony ze stada wilk, a potem trzeba tylko ognia, jaskini i jednego człowieka, i już jest tak, jakby od dawien dawna, od zawsze, tutaj i tak...

Bandilla wziął butelkę. Wyciągnął z niej korek. Napił się, następnie podał ją kobiecie.

– Na, dzisiaj uczymy to, że tu jesteś.

– Co to?

– Palinka. Ze śliwek. Trzymaj!

– Nie potrzebuję.

– No a czego potrzebujesz?

– Wody.

– Wody? Tej musisz przynieść ze źródła. Jest tu w kącie dzbanek. Palinki nigdy nie pijesz?

Kobieta wstała, chwyciła dzbanek i wyszła. Nocka była ciemna, tylko gwiazdy świeciły wysoko na niebie, maleńkie, odległe. Od skał wiało chłodem. Odszukała ścieżkę i przecisnęła się przez ścianę gęstych zarośli. Jar był już jaśniejszy, widać było drzewa i źródło pod topolami. Nim wróciła, Bandilla leżał już na swoim posłaniu. Ogień u wylotu jaskini palił się wolniej, zwęglało się w nim kilka grubych polan buczyny. Kobieta przemknęła obok niego i odstawiła dzbanek na miejsce. Potem i ona sama położyła się. Świeże pędy choiny giętko poddały się pod jej ciężarem, wnet miała przyjemnie ciepłe gniazdo, miękkie i pachnące. Bandilla tam u przeciwległej ścianie cicho pokastywał.

– Mimo wszystko lepiej, gdy człowiek nie jest sam – rzekła powoli.

– Wiesz, wiele rozmyślałem nad tym, że trzeba by gdzieś pobudować dom, zdobyć owce, woły, i żyć z kimś we dwoje, jak inni ludzie. Ale już za późno. Żandarmi, wiesz, wcześniej czy później znajdą człowieka, jeśli gdzieś osiadzie. A przecież wraz z upływającym czasem... nawet jeśli już nie z kimś innym, to z własnym dzieckiem... chciałoby się żyć w zgodzie i spokoju...

Ogień palił się cicho, trzaskało świeże drewno. Gdzieś w oddali odezwała się sowa: Uuuuu... uuuuu... Mężczyźni słowa uwięzły w gardle. Westchnął.

– Bo takie jest to życie, wiesz, każdego rodzaju, tylko nigdy nie jest spokojne. Przekonasz się jeszcze i ty. Gdy nastanie pełnia, zjawią się i pozostali, a wtedy zobaczysz...

Słowa rozplynęły się w ciszy i znikły gdzieś w mroku jaskini. Zamknęło się za nimi milczenie. I to milczenie wypełniły drobne hałasy nocy: ogień, odgłos sowy, ciche szelesty, kiedy ktoś przekrecał się z boku na bok... I myśli, które przed zaśnięciem jeszcze przychodzą do głowy dwojgu samotnym ludziom, o tym, jakie jest życie.

Gdy nastąpiła pełnia księżyca, ściągnęli wszyscy.

Pierwszy pojawił się kulawy Teofil, na dwa dni przed pełnią, pewnego cudownie pięknego popołudnia, kiedy słońce żarzyło się tak, jakby to było lato, i lśniły drzewa, a każdy liść na nich był czystym klejnotem. Kobieta akurat zbierała ożyny, gdy zobaczyła mężczyznę, który nadchodził jarem w górę. Był to mały, wąły człowieczek, prawa noga dziwnie mu się wyginała na zewnątrz i stąd mocno kulał. W ręce miał jedynie siekiere, nic więcej. A na ramieniu – obszarpaną sakwę.

On też dojrzał kobietę w zaroślach jeżyn i na moment przystanął z wahaniem. Potem jednak ruszył dalej.

Kobieta nzbierała pełen fartuch ożyn, po czym poszła w górę do źródła. Tymczasem dotarł tam i mężczyzna, usiadł na ziemi, położył obok siebie sakwę i siekiere, zdjął też z głowy wysmarowany kapelusz.

– Szczęść Boże, kobieto!

– Szczęść Boże, mężczyzno!

Mężczyzna uśmiechnął się z zakłopotaniem.

– Przywitałbym ciebie i po imieniu, ale nie wiem, jak cię wołają.

– Ja też odezwałabym się do ciebie po imieniu, ale i ja nie wiem, jak ci na imię.

– Mówią mi Teofil – odrzekł nieśmiało mężczyzna – kulawy Teofil, jako że moja noga, jak widzisz...

Kobieta też usiadła i wyciągnęła fartuch ku mężczyźnie.

– Mnie zaś na imię Nuca, jak mówią, a to zebrałam dla ciebie...

– Dziękuję, Nuca – powiedział mężczyzna i zagarnął garścią jeżyny.

– Na zdrowie, Teofilu!

Ukradkiem obserwowała kuternogę. Był to mężczyzna chudziutki, sama skóra i gnaty. Kości ostro wystawały mu z twarzy. Wąsy i brodę miał jakieś wyblakłe i bardzo przerzedzone, tak że zdawało się, iż to raczej brud na jego twarzy. Równie wyblakłe były też jego włosy, zmierzwione, wilgotne od potu i przyklejone do głowy. Nuca miała ochotę zajrzeć mu w oczy, lecz on odwrócił wzrok. Płynął z tego człowieka jakiś żalorny smutek.

Powoli zjadł ożyny, po czym zaczął grzebać w sakwie.

– Ja też coś ci przyniosłem – powiedział i wyciągnął stertę ubrań – masz tu, na.

Był to kobiecy strój z czerwono-czarnej tkaniny, z takich, jakie noszą hen za górami. Rzeczy z porządnego samodziálu. Suta spódnica, haftowany fartuch, wyszywany czarnymi szklanymi paciorkami serdaczek. Do tego spodnia sukienka z białej bawełny, czerwona chustka na głowę.

– Dobrze będzie?

– Dziękuję ci, Teofilu...

Mężczyzna pokasływał w zakłopotaniu.

– Nie dlatego to przyniosłem, żebyś mi dziękowała. Ale dlatego, że myślałem, że będzie ci to potrzebne, no... i widzę, że dobrze myślałem, bo to, co masz na sobie...

Zmrużywszy oczy, zlustrował kobietę od stóp do głowy. Ta zarumieniała się.

– A i owszem, nieco liche, no ale...

– Jak pomyślę o tym, że inni tuzinami trzymają takie w skrzyniach, a dla ciebie nawet i to jedno...

W głosie mężczyzny była gorycz. Kobieta spojrzała na Teofila i spotkały się ich oczy. Głęboko wejrzała w te obce oczy. Były brązowe i zmęczone. Wejrzała w nie z przenikliwością. Pod jej wzrokiem mężczyzna zmieszał się i chciał odwrócić głowę, lecz nie mógł. A od tego zmieszał się jeszcze mocniej i twarz poczęła mu się oblewać czerwienią.

– Teofilu... nie myśl tyle o tamtej dziewczynie. Nie jest warta tego, żebyś o niej myślał. I dobrze zrobiłeś, że odrzuciłeś precz topór, owego wieczoru tam za stodołą, i pozwoliłeś, żeby tamta dziewczyna uciekła... ale nóż... szkoda, że i jego nie odrzuciłeś precz, kiedy tamta stara kobieta...

– Zamilcz! – mężczyzna warknął na nią w przerażeniu. – Zamilcz, na miłość boską! Co ty opowiadasz?!

– Choć tamta stara kobieta zasługiwała na to, co dostała. Przez nią stało się to wszystko, bo nienawidziła ciebie, i to ona zmusiła tamtą dziewczynę...

Mężczyzna z oczami szeroko rozwartymi w przestrachu wlepił wzrok w kobietę. Na czole wyperlił mu się pot.

– Kim ty jesteś? Czym ty się zajmujesz, że wiesz o takich rzeczach?...

Kobieta roześmiała się i odwróciła głowę.

– Niczym, tyle że akurat pomyślałam sobie o tym. Ale... – tu znów spoważniała, a jej głos zrobił się cichszy, bardziej ponury – o tym, co o mnie pomyślałeś... o tym więcej nie myśl... dobrze?

– Czemu? – mężczyzna zapytał ochryple i zaczerwienił się. – Skoro wiesz już o tylu rozmaitych rzeczach, to i o tym możemy porozmawiać. Czemu?

– Bo nie każda kobieta jest do tego.

– Czemu? Bo jestem kulawy? Czy może dlatego, że mam brzydką gębę?

Głos mężczyzny wyostrzył się nieprzyjaźnie. Kobieta spojrzała nań przez ramię, przypatrywała mu się przez kilka chwil, wreszcie pokręciła głową.

– Nie staraj się być za wszelką cenę złym człowiekiem! Tobie może się to udać jedynie w połowie, zresztą ty sam dobrze o tym wiesz, bo przez całe życie zawsze udawało ci się tylko w połowie. A przecież być jakimś człowiekiem w połowie, ni takim, ni siakim, to uczucie trudne do zniesienia. Bądź człowiekiem dobrym, wtedy możesz być taki i w pełni.

Mężczyzna zerknął na nią, mrugając nerwowo powiekami, i w przestrachu poderwał się z miejsca obok kobiety. Chwycił sakwę i siekiere.

– Jesteś czarownicą – mruknął – na miły Bóg, czarownicą... Kobieta zaczęła się śmiać.

– Widzisz, to już i wcześniej mogłam ci powiedzieć!

Kulawy Teofil mruknął coś jeszcze, lecz więcej nie spojrzął na kobietę. Ruszył pod górę. W pośpiechu kuśtykał chorą nogą i wciąż pomrukiwał i kręcił głową.

– Twój kapelusz! – zawołała za nim kobieta. – Został tu twój kapelusz!

Lecz mężczyzna nie zatrzymał się. Nawet się nie obejrzał. Podążał w górę jeszcze szybciej aniżeli przedtem. Jakby uciekał przed tym głosem.

Kobieta znów się zaśmiała, wstała, wzięła pozostawiony tam kapelusz i poszła z nim z powrotem w jeżyny. Wnet napełniła go owocami. Kiedy z kapeluszem pełnym ożyn dotarła na górę, obaj mężczyźni siedzieli u wylotu jaskini i cicho rozmawiali. Gdy Teofil spostrzegł, że nadchodzi, umilkł, a twarz mu o ton pociemniała.

– I ten dom można by kupić, tak mówisz? – Bandilla ciągnął rozmowę.

– Ja nie mówię, że można by go kupić – zachnął się Teofil – ja tylko mówię, że ten dom jest na sprzedaż, bo wdowa wyprowadza się stamtąd.

Bandilla badawczo przyglądał się mężczyźnie.

– Może miejsce jest nie dość bezpieczne? Blisko tam do posterunku żandarmerii?

– W tamtych stronach jeszcze nigdy nie widziano żandarma. Najbliższy posterunek jest o półtora dnia drogi.

– No więc?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Nic. Obejrzyjcie go i zróbcie, jak uważacie. Ja nic nie mówię, tylko to, że jest. Mnie się on podoba. Ale nie chcę, żeby na mnie spadła wina, gdyby stało się coś złego.

Kobieta dotarła do nich i postawiła na ziemi, pomiędzy mężczyznami, kapelusz pełen jeżyn. Bandilla przerwał rozmowę.

– To moja córka – powiedział, ruchem brody wskazując na kobietę – o której mówiłem.

– Niech żyje długo! – odburknął Teofil. Kobieta wyjęła spod pachy ubranie.

– Przyniósł mi to ten człowiek, spójrz, jakie piękne!

Przez oblicze chudego mężczyzny przemknął cień sprawiającego przyjemność pojednania.

Bandilla obejrzał ubranie, wziął je do ręki, pomacał.

– Dobrze – rzekł – porządne. O czymś takim myślałem, właśnie o czymś takim.

– Zaraz je włożę! – dodała kobieta – a to liche wyrzucę za jakąś skałę, żebym go więcej nie widziała...

Poszła z powrotem do źródła. Rozebrała się, obmyła. Jeszcze docierały tam ostatnie promienie słońca, nawet i miały w sobie ciepło, można więc było się osuszyć.

Przyglądała się własnemu ciału. Wyszczuplało, odkąd widziała je po raz ostatni. W biodrach sterczały kości, kolana nie były już tak krągłe jak dawniej. Także ramiona zrobiły się bardziej kanciaste. Piersi jakby się skurczyły.

– Czy to tak wygląda, kiedy człowiek zaczyna się starzeć? – zapytała samą siebie raczej z ciekawością aniżeli ze smutkiem i szybko zaczęła zliczać, ile też może mieć lat. W żaden sposób nie wychodziło jej to dodawanie. Gdzieś około dwudziestu – pomyślała – dwadzieścia lat... czy naprawdę jestem już taka stara?

Raptem wzdrygnęła się. Poczowała na sobie ludzki wzrok, ciekawskie, pożądlive oczy. Nie złe, ale też i nie dobre. Oczy mężczyzny, wygłodniałe, zaślepione. Patrzące jedynie na skórę, na ciało, nie na człowieka.

Nie spojrzała wstecz, tylko zaczęła się ubierać. Szybko narzuciła na siebie ubranie. Spróbowała uczesać się palcami, ale bez powodzenia. Po pewnym czasie nie czuła już tego obcego wzroku. Odwróciła się. Jar był pusty. Pusty w górę aż po gęstwiny kryjącą jaskinię. Ale tam z boku, powyżej maliniaka, ledwie widocznie poruszała się jeszcze gałąź choiny, jakby odfrunął z niej ptak albo też zakołysał nią powiew wiatru. Jednak nie było tam podmuchu ani nigdzie nie było widać ptaka. Kobieta uśmiechnęła się i pokręciła głową. Co zrobić, tacy są mężczyźni, tacy. Dziwni, ale właśnie tacy.

Kiedy na powrót dotarła na górę do jaskini, był tam tylko Bandilla. Zamyślony siedział na kamieniu. Kobieta przystanęła przed nim.

– Ładne mam ubranie?

Bandilla przyjrzał się jej od stóp do głowy, skinął głową, po czym zapytał:

– Ze starym co zrobiłaś? Wiesz – dodał ze zmarszczonym czołem, widząc zdziwienie kobiety – musimy uważać, żeby tu w pobliżu nie zostawić żadnego śladu. Kiedyś może tędy przechodzić któryś ze strażników leśnych...

– O, o to nie trzeba się bać. Wepchnęłam je zwinięte za skałę i jeszcze nawet też cisnęłam na nie trzy kamienie. Pochowałam je...

Bandilla skinął w zamyśleniu.

– To dobrze... ale czemu mówisz, że je pochowałam... Czemu tak?

– Bo... to jest tak, jakbym pochowała... nie tylko samo ubranie.

– A co?

– Czy czasami nie bywa tak, jakbyśmy chowali coś, co było? Jakbyśmy grzebali tego kogoś, kim byliśmy?

– Możliwe – westchnął Bandilla – możliwe, że masz rację... Kobieta starała się szybko zmienić temat.

– No a teraz uduszę mięsa, tego wędzonego, na wieczór. Dobrze?

Lecz mężczyzna nie odpowiedział, tylko tak siedział na kamieniu, patrzył

przed siebie w gęstwinę i może nawet nie dosłyszał tych słów.

– A i owszem – mruknął – z pewnością masz rację. Grzebiemy. To jest właśnie to, co zawsze czułem, ale nie przychodziło mi do głowy to słowo, żebym mógł się tak wyrazić...

Kobieta przygotowała mięso oraz cebulę, wymyła żeliwny kocioł, następnie rozpałała ogień. Powiesiła nad nim wodę na mamałygę, rozpuściła słoninę. Już w pełni gotowała się mamałyga i dusiło się też mięso, kiedy z gęstwiny wykuśtykał Teofil. Skały wilgotniały w szarówce, w jaskini panował już mrok czarny jak smoła, i tylko blask płomieni drżał na ścianach. Bandilla wciąż jeszcze siedział na kamieniu i nie ruszał się.

– Zobacz, zrobiłem coś dla ciebie – kuternoga rzucił szeptem, podchodząc do kobiety.

Trzymał w ręce jakąś białą rzecz. Kobieta odebrała ją od niego i z zaciekawieniem uniosła w kierunku ognia. Było to coś takiego jak grabie i zostało zrobione właśnie tak, jak zazwyczaj robi się grabie. Tyle że te były maleńkie i miały gęste zęby.

– Co to? – zdziwiła się kobieta, obracając owymi dziwnymi grabkami.

– Nie widzisz? Grzebień. Do twoich włosów, no.

Spojrzała na mężczyznę, ich oczy spotkały się na moment.

– Skąd wiedziałeś? – zapytała, a w jej głosie była zadziorność. Mężczyzna odwrócił się i ciężkavo powlókł się na tył jaskini. To stamtąd, z ciemności przyszedł głos. I w nim była zadziorność.

– No cóż, człowiek wypatrzy to i tamto... no cóż...

– Kto dużo patrzy, ten w końcu oślepie – krótko odparła na to kobieta i zaczęła mieszać mamałygę.

– Człowiek tak czy siak oślepie, no to niech przynajmniej patrzy, póki może – z głębi jaskini doleciała mrukliwa odpowiedź.

Potem zjedli kolację. Przyjemny zapach duszonego mięsa napełnił jaskinię. Obaj mężczyźni jedli bez słowa, wręcz z nabożeństwem. Dopiero kiedy strawa już się skończyła, odezwał się Teofil:

– Zawsze inaczej smakuje, jak przyrządzi białogłowa. Dawno nie jadłem takiej mamałygi. Moja matka gotowała ją w taki właśnie sposób. Ale to było już dawno temu.

Bandilla nic nie powiedział, tylko wstał i poszedł się położyć. Teofil ostrożnie dołożył do ognia polan buczyny, żeby trzymały ciepło. Kobieta pomyślała naczynia na zewnątrz jaskini.

Kiedy wróciła, nikt już nie siedział przy ogniu. Z głębi jaskini doleciał ją głos Bandilli:

– Obejrzymy ten dom. I jeśli będzie dobry...

Drugi coś odburknął, a ta mrukliwa odpowiedź nadeszła z drugiej strony.

Kobieta weszła do środka, uszykowała sobie posłanie i zaczęła się rozbierać. Za plecami słyszała cichy szelest i z tego wiedziała, że kuternoga zrobił sobie posłanie za jej własnym. Szybko wślizgnęła się pod kozuch.

– Mówiłeś, że na wschodnim czy na południowym stoku Cibles? – zapytał Bandilla po pewnym czasie.

– To wschodni stok – Teofil odparł z ciemności. – Powyżej Fiád, w dolinie Fekete.

– A tak, a tak. W Telcsu już bywałem. I także w Romuli. Dawniej kupowałem tam owce.

– No to pomiędzy nimi. Tam, gdzie jest młyn, trzeba odbić w dolinę. To jest potok Fiád. A wioski rozproszone są po dolinie. Ma ona długości tyle, co pół dnia drogi.

– Aha.

Po czym już tylko trzaskał ogień, a nieza długo z tyłu, od strony posłania kuternogi dochodziło chrapanie.

Następnego dnia obaj mężczyźni siedli na skraju gęstwiny i wypatrywali czterech pozostałych. Siedzieli tam przez cały dzień, cicho rozmawiając i czekając.

Tamci jednak nie nadeszli. Bandilla i Teofil kładli się spać w złych humorach.

– Chyba się nic nie stało? – zapytał Bandilla przed zaśnięciem. Teofil coś mruknął pod nosem. Nawet ogień palił się jakoś tak, jakby był w złym humorze. W jarze stała mgła, wilgoć przenikała aż do wnętrza jaskini, aż do posłania kobiety, a od tej wilgoci kozuch wydzielał gorzki barani odór.

W końcu następnego dnia ludzie nadeszli. Najpierw dwóch, tak około południa. Jednym z nich był Simion Drák, drugim zaś Nikodem Bumbu. Simion Drák – ciemny, wysoki mężczyzna o ostrych rysach, z przenikliwymi oczami i gładką czarną brodą, w której tu i ówdzie lśniły już srebrne nitki. Rzadko się śmiał, a uśmiechnąć się to już wcale nie potrafił. W przeciwieństwie do niego jego towarzysz, dobry Nikodem Bumbu, nic nie robił, tylko się uśmiechał. Gdyby nęcza nie pchnęła go kiedyś w szeregi przepadników, to sadło i brzuch już z pewnością urosłyby mu na domowym wikcie. A tak to był ledwie zażywny. Niski, łysy, szeroki w ramionach, o okrągłym obliczu, a przy tym pogodny. Od czasu do czasu golił sobie gębę scyzorykiem, i dlatego skórę pokrywał mu nie zarost, lecz liczne skaleczenia. Na jego czarnym kapeluszu o szerokim rondzie pyszniło się olbrzymie sówie pióro, spod sukmany wystawała kolba krótkiej strzelby i uderzała o ziemię, gdy szedł z boczem w górę.

Kobieta poszła nazbierać boczniaków i minęło już nawet południe, nim dotarła z powrotem. Czterej mężczyźni posilali się przy źródle. Kiedy wyszła z lasu, wszyscy ku niej spojrzeli. Bandilla coś powiedział, a pozostali skinęli głowami. Gdy zbliżała się do nich poprzez krzaki jeżyn, od czasu do czasu

poskubując owoce, doleciał ją głośny śmiech. Wtedy jeszcze nie wiedziała, że był to śmiech Nikodema Bumbu, usłyszała tylko tyle, że któryś spośród czterech mężczyzn tam przy źródle śmieje się w głos, szeroko, mocno. Był to dobry śmiech, czuło się w nim człowiecze serce.

Kiedy do nich dotarła, przywitała się:

– Szczęść Boże!

Czarny mężczyzna z brodą spojrział na nią, uniosł brwi i coś mruknął. Drugi, ten o okrągłej twarzy, tęgi, wyszczerzył zęby i tak odpowiedział:

– Szczęścić szczęści, ale czym?

– Teraz grzybami – odrzekła kobieta i pokazała swój fartuch.

– Ha, ha, ha! – ucieszył się ten o okrągłej twarzy. – A są wśród nich grzyby trujące rozum? Bo bez żartów i głupstw życie nic a nic nie jest warte! Ha, ha, ha!

Wtedy odezwał się Bandilla:

– Nuca. Ci tutaj to Simion Drák i Nikodem Bumbu.

– Niech Bóg ich zachowa! – odparła z powagą i po kolei przyjrzała się obydwóm.

W tym z czarną brodą było coś wrogiego. Nie byłaby w stanie powiedzieć, co i w jaki sposób, bo było to tylko pewne odczucie. Lecz to, jak spojrział na nią przenikliwym wzrokiem, a potem odwrócił głowę, jak usta zacisnęły mu się tak wąsko, że znikły pomiędzy brodą a wąsami, jak szczecina brwi wygięła mu się łukiem w górę, jak na czole nabrzmiały mu dwie żyły, a pomiędzy nimi głęboko wryło się kilka krótkich, surowych linii, we wszystkim tym było coś nieprzyjemnego. Wręcz przyjemnie było spojrzeć potem na tego drugiego. W jego wielkie brązowe, cielejące oczy, które szczerze i pogodnie oddawały spojrzenie, w jego nalaną twarz, która była brzydka, a mimo to przyjazna, i w której można było czytać, całkiem tak samo, jak w przezroczystej wodzie liczyć kamienie leżące na dnie.

– No popatrz – przemówił Nikodem Bumbu – mamy i córkę. Wcale nawet nie zapracowałem na nią, a mimo wszystko jest!

Kobieta uśmiechnęła się do niego.

– Czemu nie powiecie na głos tego, o czym pomyśleliście!

– No a o czym to ja pomyślałem, ty mała ropucho? – Nikodem Bumbu wyszczerzył do niej zęby w odpowiedzi.

– O tym, że gdybyście byli młodszy, to co byście zrobili – roześmiała się kobieta. – Ajajaj, ileż to rzeczy jest w oczach człowieka! Niezłym typem musieliście być w młodości!

– Ano i byłem niezłym typem – grubas wyciągnął się, na ile tylko mógł, lecz jednocześnie wzrok mu spoważniał. – No a powiedzże, co jeszcze widzisz w moich oczach?

Kobieta zaśmiała się i potrząsnęła głową.

– Nie teraz, innym razem.

Ugotowała paprykarz z grzybów, do tego napiekła słoniny. Jeszcze nawet nie całkiem było to gotowe, kiedy nadeszli Anton i Ksawery Dán, ksiądz. Ten był z nich wszystkich najmłodszy. Choć odzienie miał obszarpane i byle jak połatane, to jednak widać było po nim, że kto je nosił, przynależał kiedyś do stanu panów. Oczy księdza płonęły dziwnym ogniem, twarz miał szczupłą, niemal przezroczystą, czarne włosy – długie i zmierzwione. Z brody sterczały mu sztywne kępki owłosienia. Anton był wysokim i smukłym starcem, najstarszym spośród nich wszystkich. Długie białe włosy opadały mu na ramiona, spaloną słońcem, pobrużdżoną twarz okalała biała broda i białe wąsy. Brak mu było jednego oka, niegdyś wybił je niedźwiedź.

Kobieta wyniosła z jaskini jeszcze dwie drewniane łyżki i bez słowa wręczyła je ostatnio przybyłym. Stary Anton popatrzył na nią swym jedynym okiem.

– Ciebie już znam – rzekł – jeszcze z tamtego domu.

– Tak – odpowiedziała kobieta i powiodła wzrokiem po pozostałych – wy tam byliście i ten z czarną brodą i... nikt więcej...

– Jest nas już tylko trzech spośród tamtych, którzy... będzie już rok... ja... Simion i twój ojciec. Reszta... – stary machnął ręką.

– Diabli ich wzięli – burknął ponuro Simion Drák i pierwszy zanurzył łyżkę w paprykarzu z grzybów.

Jedli w milczeniu, łapczywie. Kobieta stała nieco dalej i przyglądała się tym sześciu mężczyznom. I gdzieś w środku, w swoich odczuciach, zaczęła ich sortować.

Jakoś tak:

Przede wszystkim jest tu Bandilla, który mówi, że jest moim ojcem. Możliwe, że tak jest, tego nie mogę wiedzieć. Lecz to człowiek czysty, i dlatego jest mi bliski. No i bliski jest mi też ten starzec o białych włosach, którego zwał wujek Anton. I jeszcze bliski jest mi ten grubas o cielejących oczach, który myśli tylko o żartach i głupstwach, i który wszystkie te wariackie myśli ma wypisane na twarzy. Dalej... no, jeszcze ten biedny kuternoga. Ten Teofil. I on nie jest złym człowiekiem, tyle że... nieważne. Nie jest złym człowiekiem. Ale ten ciemny, ten Simion Drák to zły człowiek. Jest w nim coś podłego. Trzeba na niego uważać. No i jeszcze ten obcy... tak, obcy. Właśnie to w nim jest, obcość. Nie przynależy do tych tutaj. Nie przynależy do nas. Czego tutaj chce? Coś kryje się za nim. I za pozostałymi, za każdym z nich, coś się kryje, ale za tamtymi są zwyczajne, smutne sprawy. Zwyczajne i smutne. Lecz za tym obcym jest coś mętne. Niepokojącego. Cały ten człowiek jest niepokojący. Mętne są jego oczy, oblicze, głos. Czego on tutaj chce?

– Dobrze było – pierwszy odezwał się Nikodem Bumbu i oblizał łyżkę, po

czym rozparł się i beknął mocno – i mamałyga była dobra, i paprykarz też. Niech Bóg długo zachowa twoje ręce, młoda gospodyni.

– Młoda gospodyni? – Ksawery Dán, ksiądz, podniósł głowę. – Myślałem, że to panna!

A jego rozplomienione oczy z ciekawością zlustrowały kobietę od stóp do głowy.

– Ano taka jeszcze panna, a już młoda gospodyni – Simion Drák, ten czarny, roześmiał się niecnie i on też odłożył łyżkę – no przecie że księdza to widzi teraz pierwszy raz w życiu.

– Ale co innego to widziałaś dość, co? – zapytał Ksawery Dán, a jego pięknie wygięte w łuk usta wykrzywiły się w szyderyczym uśmiechu. Kobieta dopiero teraz dostrzegła, jakie piękne usta ma ten człowiek, a mimo to jaka brzydka i okrutna jest jego gęba.

– Nie świntusz, księżu! – zawołał nań grubas – nie jesteś w kościele, gdzie białogłowy przychodzą się spowiadać.

– A przecie takiej leśnej młodej gospodyni przydałby się czasem ksiądz!

– Masz na myśli siebie, co? – zarechotał Simion Drák. – Przydałby się, ale, oczywiście, na niej!

Była to rozmowa podła i obraźliwa. Kobieta bez słowa odwróciła się i wyszła z jaskini. Jeszcze doleciało ją, jak stary Anton zawołał na nich:

– Zamknijcie gęby, hę!

– Też coś – odburknął Simion Drák – nie bój się, to nie jest taka kapryśna panienska! A zresztą Pan Bóg nie stworzył jej dla rozumu!

Na to ktoś roześmiał się w głos, brzydko i ostro. Kobieta dotarła już do gęstwiny i nie obejrzała się. Jednak wiedziała, że nie może się tak śmiać nikt inny jak tylko ten, który nazywa się Ksawery Dán, a na którego pozostali mówią „ksiądz”.

Kiedy wróciła, mężczyźni szykowali sobie posłania i przy tym głośno spierali się o coś. Głos Simiona Dráka daleko przebijał z jaskini:

– Ja zaś mówię, żebyśmy przedtem poszli na tych na Dealu Brád, łupy przynieśli tutaj, a potem możemy jeszcze przed świtem rozprawić się i z tymi na Bisztricsórze.

– Dealu Brád jest za blisko – rozważnie przemówił stary Anton – z psami mogą natrafić na nasz ślad, a wtedy odkryją też i to miejsce. Trzeba pójść dalej.

– Wysokie góry pełne są panów, możemy w nich przebierać – pogodnie wtrącił się do dyskusji Nikodem Bumbu.

W tym momencie dołączyła do nich kobieta. Wszyscy na nią popatrzyli. Ksawery Dán, z oczami lśniącymi w gorączce, tak do niej zawołał:

– I tobie przyniesiemy pański zegarek ze złota, dobrze?! Wzruszyła ramionami i się nie odezwała. Zebrała łyżki, naczynia i ruszyła z nimi w kierunku

źródła. Jeszcze doleciało do niej, jak Bandilla swoim spokojnym głosem powiedział:

– Zrobimy tak, że pierwszej nocy załatwimy panów na Bisztricsörze i Cserbükk. Drugiej nocy odwiedzimy szczyt Ilvy i Hideg Kelemen. Trzeciej nocy Dealu Brád oraz Krángę i wtedy więcej już tu nie wrócimy, tylko przeczekamy dzień ukryci nad Valkaluçą. Następnej nocy puścimy się stamtąd przez Zsizsę i Moldovánkę, w dół powyżej Kolibicy, i tamtędy przejdziemy dalej, w Góry Rodniańskie...

Tyle usłyszała, lecz nie obeszło jej to. Zeszła do źródła, umyła, co było do umycia, po czym rozłożyła się na murawie. Popołudnie dobiegało już kresu, po niebie płynęły sobie białe pierzaste obłoki, a pośród nich wysoko w górze szybował orzeł.

Niewiele czasu upłynęło w ten sposób i naraz posłyszała kroki. Usiadła. W dół nadchodził kulawy Teofil z dzbankiem.

– A to co, a to co? – zapytał. – Leżymy sobie niczym pańskie panienki? Uważaj, jeszcze wpełźnie ci pod spódnicę jaka jaszczurka!

Kobieta spojrzała na wyszczerzone w uśmiechu, chude oblicze mężczyzny i pokręciła głową.

– Już znowu, Teofilu, chodzi ci po głowie coś złego. Powiedz raczej, co to za człowiek, którego zwiecie księdzem?

– Ten? – Teofil zmarszczył czoło, udając ważnego. – Ten, moja duszko, rzeczywiście jest księdzem, i to jakim księdzem! Powiada: „Inni księża to wszyscy podlece, bo urągają Bogu i religii”. Ja nie wiem, czym urągają, a czym nie urągają, bo ja się na tych rzeczach nie znam. Ale tyle jest pewne, że ten Ksawery Dán zabrał się do jakiejś nowej religii i głosił w kościele coś zupełnie innego aniżeli pozostali księża. A z tego powodu miał wiele kłopotów. W końcu przyjechał do niego sam biskup. To zdarzyło się gdzieś w Mołdowie. I skończyło się to tak, że pokłócił się z własnym biskupem, tam w kościele, i świecznikiem z ołtarza tak tego biedaka walnął, że rozwalił mu głowę. Umrzeć biskup co prawda nie umarł, ale i tak przyszli po księdza żandarmi, a on przed nimi uciekł. Od tamtej pory ścigają go tam w Rumunii. Ja nie wiem, jak wygląda ta sprawa z religią, a jak ona nie wygląda, ale wiesz, ja myślę, że ten tutaj nasz ksiądz ma taki kłopot, że nie jest w pełni rozumu. Bo skoro ktoś mógłby żyć jak ksiądz, a żyje jak przepadnik przez to tylko, że inni księża nie mówią w kościele tak, jak on by tego chciał... ano taki człowiek, wiesz, musi mieć jakiś problem z własną głową... no. Tylko mu o tym nie mów, bo od tego dziczeje i zaraz zaczyna wykrzykiwać o Bogu i o innych sprawach, a my już nie jesteśmy w stanie tego wysłuchiwać...

Po czym Teofil napełnił dzbanek wodą i poszedł z powrotem do pozostałych. Na odchodnym popatrzył jeszcze na nagie łydki kobiety i ze smutkiem pokręcił głową.

– Ty, przynajmniej nie pokazuj swoich nóg, nie pokazuj ich! Później gdzieś po przeciwnej stronie, na grzbiecie Bisztricsóry, zaczął ryczeć byk. Słońce schowało się już za skały, powietrze poczęło się oziębiać. Kobieta wstała z murawy i ruszyła w górę ku jaskini. Kiedy dotarła do zarośli, ktoś jej zagroził drogę. Był to Ksawery Dán, ksiądz.

– Chodź – rzucił szeptem i pochwycił ją za rękę – chodź... Oczy mu płonęły, a jego uścisk bolał. Kobieta spróbowała oswobodzić rękę, lecz się jej nie udało.

– O co ci chodzi? – ksiądz wyszeptał w gorączce i pochylił się ku niej tak blisko, że swym gorącym oddechem owionął jej twarz. – Bóg stworzył nas po to, żebyśmy żyli... pragnienia to zamknięta w nas wola Boga, tak naucza prawdziwa religia, tyle że księża popsuli tę prawdziwą religię... no chodźże!...

– Puśćcie mnie! – kobieta gniewnie szarpała ręką. – Ja nie wiem, co to za religia i czego chce Bóg, a czego nie chce, ale wiem, że wcale nie pragnę, żebyście mi ściskali rękę i mnie ciągnęli.

Ksiądz objął kobietę w pasie drugą ręką i przycisnął do siebie.

– Głupie kobiece zwierzę... nie czujesz, jak twoje pragnienie płonie dla mnie? Nie czujesz ognia, który trawi cię w środku, żeby móc połączyć się z moim ogniem?

– Czuje ino lichy, ja tam nic nie czuję. Puśćcie mnie!

– Jesteś zwierzęciem, kobiecym zwierzęciem – dyszał ksiądz – o tępym umyśle, jak wszystkie nasze kobiety. Sama nawet nie wiesz, co czujesz, i sama nie wiesz, czego chcesz i po co jesteś na tym świecie... chodź, niechże cię nauczę, bo tak to jesteś zwierzęciem, niczym innym, tylko zwierzęciem... Bóg twoją duszę...

– Zwierzęciem to jesteś ty sam! – kobieta teraz już naprawdę rozgniewała się i wolną pięścią tak zdzieliła księdza w pierś, że biedak zaczął kasłać.

Uścisk wokół jej pasa zelżał. Jednym szarpnięciem uwolniła też przegub.

– Obejmuj sobie szubienicę! – wysyczała, oczami miotając iskry, i zostawiła za sobą zdumionego mężczyznę. Ten przygryzł wargi.

– Poczekaj, czarownico!... Kobieta odwróciła się na ścieżce.

– Teraz powiedziałaś prawdę! I uważaj!

Ksawery Dán późno wrócił do jaskini. Był już wieczór, pozostali skończyli jeść i szykowali się. Brali sukmany, strzelby, siekiery, na ramiona puste sakwy. Ksiądz wciąż jeszcze miał zagniewane oblicze, gdy podszedł do nich. Bez słowa odszukał swoją siekiere. Kobieta częstowała go jedzeniem, ale otrzymała jedynie spojrzenie pełne gniewu.

– Pości dzisiaj nasz ksiądz. Przygotowuje swoją duszę do grzechu – rzucił Nikodem Bumbu i głośnie zarechotał.

Zaraz też mężczyźni ruszyli w drogę. Z przodu szedł Bandilla, za nim stary Anton, potem ksiądz, Nikodem i Simion Drák. Teofil kuśtykał na samym końcu. Czterej z nich mieli strzelby: Bandilla, Anton, Nikodem i Simion Drák. Dwaj

pozostali ponieśli z sobą siekiery. Jeden za drugim pojedynczo znikali w gęstwinie.

Kobieta została sama.

Później wzeszedł księżyc. Był wielki i okrągły. Nuca usiadła przy ogniu u wylotu jaskini i przez jakiś czas przyglądała się księżycowi. Potem zrobiła się senna i położyła się. Ale nie mogła zasnąć od razu. Jeszcze raz i drugi wstała i dołożyła drewna do ognia. Nasłuchiwała, lecz wszędzie, ale to wszędzie panowała cisza. Tylko z bardzo rzadka hukala gdzieś w lesie poniżej sowa. A księżyc w pełni wspiął się coraz wyżej po niebie.

W końcu zasnęła. Miała dziwne i mętne sny, gdy raptem zerwała się ze snu. Chciała przypomnieć sobie owe sny, lecz doleciał ją hałas na zewnątrz w zaroślach. Usiadła. Księżyc nie rzucał już blasku przed jaskinię, było ciemno. Wracali mężczyźni.

Nadchodzili z trudem, obładowani. Nie rozmawiali, tylko czasem pomrukiwali jeden do drugiego. Ognia nie podsycili. W głębi jaskini zrzucili rzeczy na stos, po czym znów odeszli. Kobieta czekała na nich, czuwając. Długo musiała czekać, bo poczęło już świtać, gdy powrócili, stękając pod wielkim ciężarem. Teraz też nie przemówili ani słowem. Cisnęli wszystko na jedną kupę z tyłu jaskini i położyli się. Przez jakiś czas słyhać było, jak sapiąc, wydawali z siebie zmęczenie. Nareszcie odezwał się szeptem jakiś głos:

– Widziałeś, jak ten gruby się trząsał? Żeby człowiek tak się trząsał, to jeszcze nie...

Był to głos kulawego Teofila. Odpowiedział nań pomrukiem głos starego Antona:

– To jakiś wielki pan, tak mówił chłopak. Może jaki minister...

– Ależ sobie zbrukał z tego wielkiego przestרחu swoje ministerskie gacie – burknął z tyłu Nikodem.

– A niechby zdechł i on, i cały jego rodzaj, wszyscy! – zaskrzypiał w przeciwległym kącie jakiś nieprzyjemny głos. – Trzeba było wywlec mu kiszki i zdeptać je.

Był to głos Ksawerego Dána, księdza. Po nim nikt więcej już się nie odezwał.

Kiedy wzeszło słońce i zaświeciło u wylotu jaskini, a kobieta wychynęła z kożucha, sześciu mężczyzn wciąż jeszcze spało. Spali głęboko. Niejeden pochrapywał z otwartą gębą.

Bezgłośnie wymknęła się na zewnątrz, zeszła do źródła i umyła się. Potem zaczęła zbierać jeżyny i nim się najadła, słońce szeroko już opromieniało cały jar. Szła właśnie z powrotem, gdy ktoś cicho gwizdnął. Podniosła wzrok. Wysoko na skraju gęstwiny stał człowiek. Nawet i z daleka poznała go, był to Simion Drák, ów ciemny mężczyzna. Machał na nią.

– Co się tak włóczysz! – ofuknął ją brutalnie, gdy dotarła doń na górę. –

Chcesz nam sprowadzić na kark panów? Co? Żandarmów? Strażników leśnych? Masz tu dzbanek, przynieś wody, a potem żebym aż do wieczora nie widział ciebie łażącej na zewnątrz! Bierz dzbanek!

W kobiecie zawrzała krew.

– Bierzcie go sobie sami! I sami przynieście, czego wam trzeba!

– Do diabła! – rzucił mężczyzna i postawił dzbanek na ziemi. Wielką ciężką łapą chwycił kobietę za ramię, odwrócił ją ku sobie i potrząsnął nią.

– Do diabła! Ja nie jestem kościelnym paniczykiem, ze mną tak nie rozmawiaj, słyszysz? Skoro jesteś z nami, musisz się posłuchać bez jednego słowa, kiedy któryś z nas czegoś od ciebie chce! Co ty sobie myślisz, trzymamy ciebie tutaj od parady? Ty szmato! Bierz dzbanek i wynoś się z nim!

– Nie pójdę!

– Ej nie, do...!

Mężczyzna zamachnął się i pięścią walnął kobietę w twarz. Od tego uderzenia zakręciło jej się w głowie, zachwiała się. Zanim złapała oddech, dostała w głowę jeszcze jeden cios i jeszcze jeden. Zamknęła oczy i poczuła, że świat wokół niej wiruje. Spadała w otchłań. Coś pochwyciło ją za ramię, szarpnęło w górę i poczuła jeszcze, że unosi ją w powietrze. Z nosa lała jej się ciepła krew. Wszystko okryło się mgłą. Niesiono ją w górę. Po chwili mocno plasnęła o ziemię. Trzasnęły krzaki. Zabolały ją plecy, głową uderzyła o coś twardego. Musiał to być pień albo kamień. W następnym momencie, sapiąc, zważyło się na nią jakieś wielkie ciało.

Nie mogła nawet drgnąć. Zacisnęła usta i tylko tak myślała: Bodajbyś zdechł, bodajbyś zdechł, bodajbyś zdechł!...

Wreszcie mężczyzna puścił ją.

– O tak, no! – rzucił, a jego głos był obraźliwy i szyderczy. – Myślę, że trochę wbiłem ci tę nauczkę. Następnym razem będziesz już wiedziała, jaki jest porządek. Gdybyś się dobrze zachowywała, dałbym ci coś. A tak zostaniesz z tym, co dostałaś.

Kobieta otworzyła oczy i spojrzała w górę. Czarny mężczyzna stał nad nią i paskudnie krzywiąc gębę w szyderczym grymasie, potrząsał trzymanym w ręce cienkim złotym łańcuszkiem. Wyrośnięte krzaki malin wokół nich zjeżyły się. A ona patrzyła na mężczyznę i nie odzywała się.

– No? Straciłaś głos? Wstawaj!

Nie drgnęła, tylko wciąż patrzyła. Lecz jej oczy były takie, że mężczyzna nie wytrzymał ich spojrzenia.

– Ano zdychaj tu! – warknął i odwrócił się. – Teraz przynajmniej wiesz, z kim możesz zacząć, a z kim nie...

Z tymi słowami odszedł, pozostawiając za sobą zdeptane krzaki malin. Potem zaległa cisza. Kobieta została sama. Długo leżała tak w bezruchu, czując we

krwi galopujący ogień zemsty. Każdy nerw wołał w niej o śmierć tego mężczyzny, a ona nie panowała nad bezwładem ciała, jakby była z drewna. On musi umrzeć – pomyślała – musi umrzeć, bo dotąd wszyscy umierali. I niech to będzie straszna śmierć, żeby krzyczał w męce i zgrzytał zębami...

Wciąż leżała na ziemi, ale zemsta – podobnie jak wielki czarny nietoperz, który rusza w noc i już nie da się go zatrzymać na tej drodze – nieubłaganie podążała za Simionem.

Nareszcie kobieta wstała. Bolały ją plecy, w głowie jeszcze jej szumiało. Kości przeszywał ból. Powlokła się w dół do źródła i zmyła sobie krew z twarzy. Długo moczyła twarz w zimnej wodzie. Później tylko siedziała i wpatrywała się w dal.

W pewnym momencie posłyszała kroki. Przyszedł na dół Bandilla z dzbankiem.

– Chodź na górę – rzekł poważnie – nie siedź tutaj na zewnątrz! Ludzie są niespokojni. Że może ich zdradzisz, czy co. Nie znają ciebie jeszcze. Chodź na górę!

Szła za nim w milczeniu. Mężczyźni siedzieli u wylotu jaskini. Ogień nie płonął.

– Mam coś ugotować? – spytała Bandillę.

– Nie możemy rozpalać ognia. Ten dym...

Nie rozpalili ognia. Zjedli chleba i do tego słoniny oraz wędzonej kiełbasy. Wystarczyło z łupów. Następnie porozkładali zrabowane rzeczy i zaczęli się dzielić. Były tam wszelkie rozmaitości. Pańskie odzienie, juchtowe buty myśliwskie, kurty, bielizna. Przeróżne wiktuały. Butelki z winem, bukłaki z palinką. Okrycia podbite futrem. Było też i pięć strzelb. Dwie bardziej liche, te należały wcześniej do strażników leśnych, ale trzy były prawdziwymi, wspaniałymi pańskimi strzelbami. Jedną zatrzymał sobie Simion Drák, drugą ksiądz. Trzecią Bandilla przyznał Antonowi, jako że jego była już marna. Następnie trzeba było podzielić się nabojami. No i potem drobiazgami.

Teofil, kuternoga, podszedł raptem do kobiety.

– Spójrz, Nuca – szepnął – przyniosłem to dla ciebie.

Trzymał w ręce niewielki futerałik ze skóry, a w tym skórzanym etui był stalowy kieliszek, łyżka, widelec i nóż.

– Weź! – Teofil wyciągnął to ku niej.

– Co mam za to dać?

– Nic. Jeśli nie chcesz, to nie dawaj. I zaczerwienił się.

Kobieta wzięła od niego ów skórzany futerałik i uśmiechnęła się z wdzięcznością.

– Dziękuję, Teofilu. Zachowam go na pamiątkę.

Mężczyzna odchrząknął w zakłopotaniu, po czym wrócił do pozostałych.

Simion Drák obracał w ręce złoty zegarek, do którego przynależał również złoty łańcuszek.

– Wiecie, ile to jest warte? – zapytał butnie i wyniośle. – Majątek! Rozumiecie? Cały majątek! A ja, jak znam siebie, подарuję to kiedyś jakiejś białogłowie, a i owszem!

– Może za jakiś majątek znajdzie się jeszcze i taka, co go od ciebie przyjmie – gruby Nikodem złośliwie zarechotał.

Gęba Simiona Dráka pociemniała od gniewu.

– Kto się ze mnie naśmiewa, wnet dostanie za swoje... – warknął i wcisnął zegarek w opasek.

– Dobrze by było, żebyśmy wszystko rozlokowali – powiedział do nich Bandilla. – Może zanieśmy te rzeczy do składu, żeby tu było miejsce.

Ktoś odpowiedział:

– Tu pomiędzy posłaniami też się jeszcze zmieszczą.

Zaczęli się kłócić. Wtedy odezwała się kobieta. Osobliwie ostrym głosem:

– No to połóżcie je o tam, w ką! Mężczyźni spojrzeli na nią.

– Przecież tam śpi Simion Drák!

– To miejsce będzie puste – odparła kobieta.

Było w jej głosie coś takiego, że mężczyźni spojrzeli po sobie. Simion Drák spurpurowiał. Już miał wybuchnąć, ale Bandilla go uprzedził. Surowo krzyknął na swoją córkę:

– Nie mów takich rzeczy, bo to wcale nie jest potrzebne. Zajmuj się swoimi sprawami i milcz! Zbierzcie rzeczy, zaniemiemy je do składu.

Mężczyźni bez jednego słowa wykonali jego polecenie. Tylko Simion Drák stał osobno i oglądał swoją nową strzelbę. Kobieta złapała kozuch i położyła się na nim przed jaskinią. Słońce już tam nie świeciło. Powietrze było czyste i rześkie.

Mężczyźni skończyli robotę i położyli się. Z rzadka zamieniali słowo. Zawładnął nimi jakiś przygnębiający nastrój. Później Bandilla wyszedł na zewnątrz i usiadł na ziemi obok kobiety.

– Czemu tak powiedziałaś wcześniej? – spytał naraz, bez żadnego wstępu.

Kobieta wzruszyła ramionami.

– Bo wiem.

– Co wiesz?

– Że ten człowiek umrze.

– Czemu?

– Bo musi umrzeć.

– Skrzywdził ciebie?

Kobieta popatrzyła na Bandillę.

– A jeśli bym powiedziała, że tak, to co byś uczynił?

– Wysłuchałbym was obojga i rozstrzygnął sprawiedliwie. Jego oczy były

szare i twarde niczym gład. Kobieta uśmiechnęła się gorzko i pokręciła głową.

– Rozstrzygnąłbyś sprawiedliwie? Sprawiedliwości nie ma. Jest tylko to, że jeden chce tego, bo to jest dla niego dobre, a inny chce czegoś innego, bo tamto jest dla niego dobre. No i są wielkie prawa, do których wszyscy muszą się stosować. I takim prawem jest to, co powiedziałam.

– Że Simion umrze?

Bandilla w milczeniu patrzył przed siebie, nareszcie wstał i wszedł do jaskini. Słysząc było jego głos, gdy przemówił:

– Dzisiejszej nocy ktoś musi tu zostać.

– Czemu? Czemu? – zapytało kilku.

– Żeby nas nie okrzyli. Ktoś musi zostać wysoko na górskim grzbiecie, tam gdzie ścieżka odbija do nas. Tym kimś będziesz ty, Simion.

Na moment zapanowała cisza, po czym rozległ się ochryply głos Simiona:

– Nie rób ze mnie błazna, Bandilla, nie jestem dzieckiem. Co to za głupota, że ktoś musi zostać na górskim grzbiecie? Głupi by się uśmieł. Jeśli chodzi ci tylko o to, żeby mnie trzymać z daleka...

– Zrobisz, jak zechcesz – Bandilla przerwał mu surowo i krótko – ja tylko chciałem dać ci sposobność...

– Jeszcze tylko tego brakowało, żebym przestraszył się z powodu jakiegoś babskiego gadania... – warknął Simion.

Więcej już nie rozmawiali. Leżeli. Był taki, co spał, był taki, co jadł. Czas płynął powoli. W końcu zaszło słońce. Pociemniało. Mężczyźni przyszykowali się, usiedli na zewnątrz u wylotu jaskini, posilali się i czekali na księżyc.

Kiedy wzeszedł i na skały opadła srebrzysta, blada poświata, Bandilla podniósł się, zarzucił strzelbę na ramię. Na to wszyscy powstali. Ruszyli. Simion Drák umyślnie został ostatni. Grzebał w sakwie, jakby miał jakiś kłopot. Gdy inni odeszli już na tyle, że nie mogli go posłyszeć, zwrócił się do kobiety.

– Co mam ci przynieść, ty mała czarownico?

Kobieta wciąż jeszcze siedziała na kozuchu z ramionami splecionymi pod kolanami i rozmyślała. Z wolna poruszyła się na te słowa. Odwróciła głowę i popatrzyła na mężczyznę. Księżyc załśnił na ich twarzach. Wtedy spojrzeli na siebie po raz pierwszy od tamtej pory.

– Już nie będziesz mógł niczego przynieść, Simion – z wolna odparła kobieta – ostatni raz widzisz mnie i jaskinię, i ludzi, i ten las... ostatni raz, Simion.

Na ciemnej, zarośniętej gębie mężczyzny zastygł szydery uśmiech. Przez moment w osłupieniu patrzył w przepastne oczy kobiety, które w blasku księżycy były jak dwa jeziora, zielone i tajemnicze. Poniżej na dnie jaru sowa odezwała się niskim głosem: Uhuuuu... uhuuuu...

Mężczyzna wzdrygnął się.

– Zobaczymy – odburknął ochryple i szarpnął rzemieniem strzelby –

porozmawiamy sobie jutro!

Kobieta nie odezwała się, tylko na niego patrzyła tymi swoimi oczami, dziwnymi, rzucającymi urok, i spokojnie kiwała głową. Mężczyzna splunął przed siebie na ziemię i ruszył za pozostałymi. Jeszcze przez moment słychać było od strony ścieżki cichy szelest, gdy przechodzili górskim grzbietem. Wreszcie i ten dźwięk wchłonęła cisza.

Kobieta siedziała tam jeszcze chwilę i patrzyła w księżyc. Powietrze ochłodziło się, wokół księżycy zebrały się mgły. Później zrobiło jej się zimno i schowała się do jaskini. Położyła się, przykryła się i długo leżała w ciemności z otwartymi oczami. Później może nawet i przysnęła na trochę. W każdym razie kiedy usłyszała strzał, zdawało się jej, że to on ją obudził.

Strzał zabrzmiał głucho w oddali. I choć ten dźwięk ledwie wniknął pomiędzy skały, to było tak, jakby od niego noc pękła na dwoje. Nuca z bijącym serca usiadła na posłaniu. Nasłuchiwała. Ale niczego więcej nie było, tylko cisza.

Niczego więcej nie było? Ta cisza się mrowiła i rzucała, ściagały się w niej cienie i obrazy, była w niej śmierć i pełne lęku drżenie. Była to przeraźliwa cisza. Jakby w mękach wiła się noc, niebo i ziemia, i wszystko. Księżyc stał już wysoko, przed jaskinią czał się mroczny cień.

W końcu coś jakby załopotało w mroku. Musiał to być powiew wiatru, jednak drzewa na zewnątrz nie zaszeleściły... Albo przez jaskinię przemknął wielki czarny nietoperz, a jego skrzydła wzmaciły powietrze pachnące pleśnią... Takie to było.

Simion – pomyślała – Simion Drák.

Przez kilka chwil siedziała niemal jak zaczarowana, w bezruchu, i wyteżała wzrok za tym odlatującym cieniem. Wreszcie położyła się z powrotem, naciągnęła na siebie kozuch i zamknęła oczy.

Ale nie spała. Upłynęło dużo, bardzo dużo czasu, a ona wciąż jeszcze nie spała, tylko leżała nieruchomo na plecach, jak w trumnie. Nagle postyszała lelka, który zachrypniętym głosem wieścił świt. I w końcu dobiegł ją hałas od strony ścieżki.

Czekała nieruchomo, z zamkniętymi oczami. Ludzie wchodzili do jaskini pojedynczo. Liczyła kroki. Jedne... drugie... trzecie... czwarte... piąte... i już nikt więcej nie przyszedł. Mężczyźni byli milczący. Posapując, rozładowali łupy i położyli się. I wciąż jeszcze nie przychodził po nich nikt więcej. Tylko ostry, zimny powiew wiatru przyniósł z dworu do jaskini gorzką woń ostygniętego popiołu. Odezwała się sowa, tak że aż przechodziły ciarki: Uuuuuuuuu... uuuuuuuuu... Ten głos wdarł się do środka, jakby to on był tym szóstym.

Kobieta cicho westchnęła i przewróciła się na drugi bok. Po chwili już spała głęboko.

Kiedy się obudziła, przed jaskinią świeciło słońce. Mężczyźni kręcili się już

na posłaniach. Jeden wiązał kierpce, inny grzebał w kieszeniach albo też drapał się po głowie. Gdy kobieta się poruszyła, wszyscy popatrzyli w tamtą stronę. Ręce na moment zastygły, a oczy podniosły się na nią w przestraszu.

– Dzień dobry! – kobieta powitała ich półgłosem. Wygramoliła się z kozucha, poprawiła na sobie ubranie i wstała.

– Dzień dobry! – mruknięto w odpowiedzi stąd i stamtąd.

Po czym mężczyźni, zakłopotani, umykali oczami z powrotem do rzemyków przy kierpcach czy do czego innego. Kobieta wyszła. Na zewnątrz przeciągnęła się w słońcu, a potem zeszła do źródła, umyła się i zaczęła podjadać ożyny. Po pewnym czasie przyszedł na dół Nikodem Bumbu. Też obmył sobie twarz, napił się i też wszedł w jeżyny. W końcu dotarł do kobiety.

– Słuchaj – rzekł z wolna – powiedz no... skąd wiedziałaś, że...?

Kobieta wyprostowała się i spojrzała na tęgiego mężczyznę.

– Co się z nim stało?

Nikodem Bumbu mrugnął kilka razy powiekami w zmieszaniu i podrapał się po tysej głowie pod kapeluszem o szerokim rondzie.

– Ano wiesz... jakby to diabli nadali. Wszystko szło dobrze. Zaskoczyliśmy panów w namiocie, twój ojciec wycelował w nich strzelbę, w tym czasie Teofil pilnował dwóch strażników leśnych, a my pozbieraliśmy, co się dało. Przed wszystkim strzelby, które wisiały na drzewie. Wszystko szło dobrze i gładko, nawet nie było żadnej wymiany zdań pomiędzy nami a tamtymi dwoma panami, którzy leżeli w namiocie. Tyle że kiedy z tego starszego chcieliśmy ściągnąć przykrycie, poprosił, żebyśmy mu je zostawili, bo ma chore kości i jak zmarzną, to zazwyczaj bolą. Ano zostawiliśmy mu to przykrycie, a niech tam. No i potem, gdy już ze wszystkim byliśmy gotowi, twój ojciec daje znak, że się wycofujemy. No więc zostawiliśmy ich tam. Twój ojciec poszedł z przodu, za nim wujek Anton, za wujkiem Antonem ksiądz, potem ja, potem Teofil, a na samym końcu Simion. Wszyscy byliśmy obładowani. Szliśmy przez polanę w stronę lasu. Księżyc pięknie lśnił, zupełnie jakby to był dzień. No i raptem strzał: bum! Z tyłu od strony namiotu. Simion Drák głośno krzyczy tam z tyłu: „Biada mi!”. I pada. W pośpiechu sięgaliśmy po strzelby, ale twój ojciec zawołał na nas, jak to on, twardo: „Ludzie! Nikogo nie zabijamy!”. Teofil i ksiądz podskoczyli do Simiona, podnieśli go i pobiegliśmy do lasu. Żaden strzał już nie padł. Za to Simion, biedak, wrzeszczał tak, że przykro było słuchać. W lesie pośród drzew położyliśmy go na ziemi i sprawdziliśmy, co mu jest. Kula weszła w plecy, a wyszła przez brzuch. Musiało go bardzo boleć i trzeba mu było położyć koce na głowę, żeby nie zdradziły nas jego jęki. Bo wtedy już tam wysoko pokrzykiwali strażnicy leśni, a z grzbietu Ilvy odkrzykiwano im w odpowiedzi, i pokrzykiwano też od strony Zavaros Kelemen. Zewsząd, jakby cała kraina ośnieżonych szczytów sprzysięgła się przeciwko nam. Ano tak to się stało. Wreszcie Simion Drák przestał jęczeć pod

kocami. Sprawdziliśmy, a on już nie żył. Zawlekliśmy go pomiędzy skały, wsunęliśmy w rozpadlinę i przytoczyliśmy nań kilka głazów. Ano tak. Ale ty... skąd ty wiedziałaś o tym już wczoraj?...

– Wiedziałaś – kobieta wysyczała przez zęby, lecz nie spojrzała na Nikodema, jej wzrok pobiegł daleko w las, pomiędzy drzewa.

Tęgi mężczyzna w zakłopotaniu sterczał przed nią, poskubując liście ożyn.

– Czy ty widzisz to, co ludzie mają wypisane na czole? – zapytał wreszcie półgłosem, z szacunkiem.

– Więcej, Nikodemie. Ja widzę i to, co jest za ludzkimi oczami. Rzeczy ukryte.

Mężczyzna mrugał powiekami i przestępował z nogi na nogę. Potem zdjął kapelusz i kilka razy przejechał dłonią po łysej głowie.

– A we mnie co widzisz? – zapytał z wielką pokorą. Kobieta podniosła głowę, spojrzała nań i zaczęła się śmiać.

– W tobie, Nikodemie? O, ty jesteś tak zacnym człowiekiem, że bardziej zacnego od ciebie to już nie ma. Spójrz no mi w oczy! O tak... – Głos jej spoważniał. – Ale najpierw powiedzże, Nikodemie, dlaczego pozwoliłeś, żeby ten wóz wjechał na most? Wiedziałaś, że most się zawali...

– O Jezus Maria i święty Józefie! – wrzasnął mężczyzna i chciał odwrócić głowę. Twarz mu poszarzała, oczy w przerażeniu uciekły w bok. Lecz kobieta obiema dłońmi pochwyciła jego twarz i siłą zwróciła ją ku sobie. Przestraszone brązowe oczy jak zaczarowane wpatrywały się nieruchomo w jej oczy.

– Trzeba ci było tylko zawołać: „He, zatrzymaj się!”. Ale ty nie zawołałeś. Czemu? Na wozie była kobieta i dziecko. Posłuchaj, Nikodemie! To była twoja żona i twoje dziecko!

– Biada mi! – jęknął mężczyzna – biada mi, biada!...

– Ona powiedziała, że jesteś ohydny człowiekiem i już ciebie nie potrzebuje. Potrzebuje kogoś innego. I porzuciła ciebie. I więcej nie wróciła do twojego domu. Zabrała też dziecko. A wóz, na którym siedziała z dzieckiem wtedy, gdy spotkaliście się przy wodzie, był wozem tego drugiego mężczyzny. Nawet nie spojrzała na ciebie z tego wozu. A ty nie powiedziałeś, że woda podmyła most... ano to jest cała twoja wina, Nikodemie. Przecież ciebie nawet nie szukają żandarmi. Spokojnie mogłeś sobie żyć w domu! Dlaczego zostałeś przepadnikiem?

– Żandarmi? – mężczyzna wystękał z trudem. – Że nie szukają mnie żandarmi, tak mówisz? No a ci tutaj, w środku – rzekł i mięsistym, krótkim palcem stuknął się kilka razy w pierś – ci tutaj, w środku, to kto?

Kobieta pokręciła głową i delikatnie przeciągnęła dłonią po dziobatej twarzy mężczyzny.

– Nie myśl tyle o tym wozie, Nikodemie! Pomyśl o tym, że gdy śmierć siedzi już komuś na ramieniu, to most pod tym człowiekiem i tak może się zarwać,

nawet jeśli do tego człowieka zawołasz i go ostrzeżesz. Ludzie umierają nie wtedy, kiedy zdarza się im coś przypadkiem... To czy tamto dzieje się wtedy, kiedy oni muszą umrzeć. Tamta kobieta musiała umrzeć. I tamto dziecko też musiało umrzeć. Czy to jest smutne, czy nie jest smutne, to wszystko jedno: śmierć była już z nimi, nosili ją za swymi oczami albo na czołach. Most zarwał się pod nimi nie dlatego, że ty im o tym nie powiedziałeś... nie, Nikodemie! Ty nie mogłeś im o tym powiedzieć, bo ten most musiał się zarwać, dlatego... rozumiesz?

Mężczyzna spuścił głowę i wpatrywał się w ziemię przed swoimi kierpcami.

– Czemu trzeba o tym mówić? – zapytał ze smutkiem. – Widzisz, człowiek żyje tak, jak żyje, i o pewnych sprawach próbuje zapomnieć. I czasem jest już niemal tak, jakby zapomniał. Człowiek odchodzi daleko, tam gdzie inne są góry i drzewa, i inni są ludzie, i już nic więcej nie przypomina mu tego, o czym nie jest dobrze pamiętać. Robi to czy owo, żartuje i śmieje się w głos i tak dalej... i nie myśli o tym, co było. A jeśli człowiek nie myśli o tym, co było, to wtedy jest już tak, jakby tego nigdy nie było. Czemu trzeba było mówić o tym teraz?

– Ty tego chciałeś – odparła ze znużeniem kobieta, a jej ręce machinalnie gmerały przy fartuchu. – Chciałeś wiedzieć, co jest za twoimi oczami. Ano to jest.

Łysy, tęgi mężczyzna stał załamany, smutno potakując głową.

– Nic więcej nie ma? – zapytał powoli.

– Ależ jest.

– A co?

– Gdybym powiedziała, nie uwierzyłbyś.

– Powiedz!

– Mam powiedzieć?

– Powiedz!

Kobieta podniosła głowę, wpatrując się w mężczyznę. Usta miała wąskie i szare. Rzuciła te słowa jak ciężkie odłamki ołowiu do wody bez dna, z której niczego już nie można wyłowić z powrotem.

– To ja ciebie zabiję, Nikodemie, gdy nadejdzie czas.

Z tymi słowami odwróciła się i ze spuszczoną głową pośpiesznie ruszyła na powrót ku jaskini. Mężczyzna pozostał tam i patrzył za nią, szeroko rozwartymi oczami, w osłupieniu, jak ktoś, kto ujrzał ducha.

Tamtej nocy przepadnicy nie ruszali się z miejsca. Leżeli w milczeniu, jedli i znów tylko leżeli. Nawet nie rozpalali ognia. Kiedy wzeszedł księżyc, kobieta wyszła z jaskini i usiadła na skale przy zaroślach. Spoglądała w jar. Las był piękny i tajemniczy. Blask księżyca srebrzyście przetykał materię mgieł, w ciszy słychać było, jak oddychają drzewa.

Po jakimś czasie na ścieżce zaszeleściły kroki. Nadchodził Ksawery Dán, ksiądz. Dojrzał kobietę, przystanął. Poświata księżyca jeszcze bardziej wyostrzyła rysy jego chudej twarzy. Oczy dziwnie mu błyszczały. Podszedł bliżej.

– Nie gniewaj się na mnie – wyszeptał jakimś osobliwym tonem – nie wiedziałem, że jesteś świętą kobietą.

– Kim jestem? – podniosła głowę niemal z przestachem.

– Nie gniewaj się na mnie – powtórzył ksiądz – nie wiedziałem, kim jesteś. Sądziłem, że jesteś tylko zwykłą kobietą...

– I tak właśnie jest – odparła; zerwała liść z krzaka jeżyn, włożyła go do ust i bawiła się nim – jestem tylko zwykłą kobietą.

– Nie, nie – ksiądz wyrzucił z siebie w pośpiechu – teraz już to wiem. Ty należysz do tych, którzy mają wgląd poza sprawy. Którzy widzą Boga. Gdybym wcześniej to wiedział, nie skrzywdziłbym ciebie...

– Nie skrzywdziłeś mnie.

– Ale...

– To nic. Mężczyźni tacy są. Przyzwyczaiałam się już. Spójrz, jaki dzisiaj jest księżyc. Ma wokoło pierścień. Wczoraj też miał pierścień, ale nie taki duży. Nadchodzą deszcze.

– Tak – powiedział ksiądz i westchnął – nadchodzą deszcze. Biedny ten Simion, tam pod głazami...

– Dlaczego mówisz, że biedny? – kobieta spytała raptownie i zwróciła nań wzrok. Jej oczy były wielkie i dziwnie głębokie, gdy odbijał się w nich księżyc. – Dlaczego mówisz, że biedny ten Simion? Kto umarł, nie jest już biedny.

– Wcale nie dlatego tak mówię, jednak tam pomiędzy głazami... jak pies...

– Pies też nie jest biedny, gdy już tak leży... zresztą jemu to wszystko jedno, czy pośród głazów, czy nie pośród głazów... jesteś księdzem, a nie wiesz o tym?

Ksawery Dán przysiadł na kamieniu u stóp kobiety. Westchnął.

– W seminarium uczono nas, że kto jest dobrym chrześcijaninem, ten będzie zbawiony. A kto jest dobrym chrześcijaninem? Ten, kto jest grekokatolikiem, porządnie płaci podatek na kościół, co niedziela chodzi do kościoła, spowiada się i przyjmuje komunię. Kogo grzebie ksiądz, komu grób kopią w obrębie cmentarza, a nad tym jego grobem śpiewają...

Kobieta zaczęła się śmiać, cicho, niemal bezgłośnie. Ksiądz opuścił głowę i zaczął uderzać nogą w kamień pod stopami. Kamień poruszył się i z cichym turkotem stoczył się w zarośla ożyn.

– Tak, wiem, można się z tego śmiać. My też czuliśmy, że w życiu nic nie jest takie proste. Jednak... wiesz, człowiek mimo wszystko przynależy do czegoś, co jest wspólne... jak to ująć, do jakiejś takiej wspólnej zagrody, której żerdzie powstały z dawnych zwyczajów i praw, a które, choć niewidzialne, silniejsze są aniżeli jakakolwiek inna zagroda... może właśnie dlatego, że nie są widzialne.

– Skrzynia... – kobieta powiedziała półgłosem.

– Jaka skrzynia?

– Nie zauważyłeś? Ludzie tam w dole nie potrafią żyć bez skrzyni. Najpierw

robią taką małą i mówią na nią: kołyska. Potem robią taką dużą i mówią na nią: dom. I w niej żyją. I żyją w zwyczajach i w prawach, i przez tę skrzynię nie mogą się ruszyć. A na tę ostatnią mówią: trumna. I myślą, że bez tych skrzyń nie mogliby być ludźmi. Z jednej skrzyni do drugiej. Wciąż tylko z jednej skrzyni do drugiej. A na koniec do ziemi, a i tam zawsze tylko w skrzyni. Na tym polega całe ich życie. Dlatego są tak zgorzkniali i dlatego czynią tyle zła, bo są zgorzkniali. Skrzynia nigdy nie pozwala im ruszać się tak, jakby chcieli. Nie mogą się ruszać swobodnie... Rozumiesz?

Ksiądz ze zdziwieniem spojrział na kobietę.

– Gdzie się tego nauczyłaś? Mówisz tak, jakbyś...

– Gdzie się nauczyłam? – kobieta zaśmiała się. – Mój Boże, no a gdzież człowiek uczy się widzieć i czuć? Gdzie? Gdzie uczy się rozróżniać, co jest ładne, a co brzydkie? Człowiek istnieje. I to wszystko.

– Widzisz – ksiądz rzekł po pewnym czasie – jakoś tak było i ze mną. Uwierało mnie to mnóstwo głupoty. Jak ty to mówisz: skrzynia. Czuję, że to, czego uczymy ludzi w kościele, nie jest dobre. Nie jest dobre, nie może być dobre, bo nawet i my sami nie wierzymy w to całkowicie. A czy wolno nam nauczać czegoś takiego, w co sami nie wierzymy?

– Nie. Czegoś takiego nie wolno nawet wypowiadać.

– No widzisz, właśnie na tym polegał problem. Każdej niedzieli musiałem wygłaszać w kościele całą masę takich rzeczy, w które nawet ja sam nie wierzyłem. Nie tylko że nie wierzyłem w nie! Ale o czym po części wiedziałem w sposób pewny, że nie jest to tak, jak ja mówię. No a czegoś takiego nie da się długo wytrzymać. I ja nie wytrzymałem. Pewnego razu zacząłem mówić to, co wiedziałem. Potem zacząłem mówić to, w co wierzyłem. Ludzie dziwowali się, ale podobało im się. Widziałem na ich twarzach, że podobało się im to, co mówiłem, bo i oni już przywykli, tak jak przywykli ich ojcowie i dziadowie do tego, że słyszeli od księży wciąż to samo. A to, co ja mówiłem, było dla nich czymś nowym w kościele, i na to zwrócili uwagę. Było czymś nowym, a jednocześnie nienowym, bo było tym, co im także przychodziło niekiedy do głowy, gdy w ogóle zastanawiali się nad takimi sprawami. Ale pozostałym księżom nie podobało się to, co głosiłem. Pisali stąd i pisali stamtąd, aż w końcu przyjechał biskup...

Wiesz, nie stałoby się nic złego, gdyby biskup powiedział po prostu tak: Ksawery, mój synu, posłuchaj, ty nie mówisz tak, jak ja lubię, a ponieważ w kościele to ja rozkazuję, więc zabraniam ci przemawiać w kościele. Tak powinien był powiedzieć biskup, a wtedy ja wyszedłbym pod drzewa i tam mówiłbym ludziom o Bogu i o tym, co ja wiem o Bogu. Niestety, biskup tak nie powiedział. I pozwolił, żeby ludzie weszli do kościoła, i pozwolił, żebym rozpoczął ceremonię. A kiedy ja zamiast ceremonii zacząłem po prostu mówić, jak miałem to w zwyczaju, zerwał się z miejsca, podbiegł do mnie i zaczął drzeć na mnie szatę,

i zaczął krzyczeć, że to, co robię, jest bluźnierstwem i hańbą, i nie wiem, czym tam jeszcze, i że każe żandarmom aresztować mnie i zamknąć w domu wariatów, i każe mnie powiesić, i każe mnie ukamienować, i nie wiem, co tam jeszcze. Na próżno zwróciłem się do niego grzecznie: „Z przeproszeniem, ojcze biskupie, to jest sprawa moja i tych ludzi, a jeśli ludzie chętnie słuchają tego, co ja mówię, to najwyżej wyjdźcie, skoro nie podoba się wam taka mowa. A nasze sprawy my potem ładnie załatwimy”. Lecz daremnie przemówiłem doń tak grzecznie, nawet mnie nie wysłuchał. Dalej rwał na mnie szatę w obecności ludzi i tak mnie przeklinał, jak człowiek nie przeklina nawet ostatniego wyrobnika. No i w końcu nie wytrzymałem, a że akurat miałem pod ręką świecznik, to...

Widzisz, człowiek nigdy nie może wiedzieć, co z czego się wywodzi. A to, że wcześniej powiedziałem: „biedny ten Simion”, to w istocie nie wynikało z tego, że duszy Simiona Drąka w jakikolwiek sposób należałoby żałować z powodu tego, że jego ciało leży pod skałami i rozniosą je, kawałek po kawałku, robaki... lecz dlatego, że kiedyś i moje ciało będzie gdzieś tak leżeć, w gęstwie nieznanego lasu, całkiem samotne, zapadłe w skały porośnięte mchem i pleśnią, i nikt nie pomyśli wtedy o mnie... ano dlatego, widzisz.

W powietrzu zapiszczał nietoperz, wilgotny powiew wiatru przemknął jarem w górę, pogmerał w opadłych liściach klonów i przyniósł chłodny zapach mgły. Mężczyzna gwałtownie powstał i położył dłoń na ramieniu kobiety.

– No a teraz posłuchaj, nie gniewaj się, od pół roku nie widziałem kobiety i... ja też jestem człowiekiem i jeszcze nie umarłem, jak Simion. I jeśli...

– Chcesz umrzeć? – zapytała kobieta i podniosła wzrok na zakłopotane oblicze księdza.

Ten zaśmiał się.

– Ani mi się śni! Wręcz przeciwnie! Chciałbym żyć, ale to bardzo!

– To nie dotykaj mnie! Kto mnie pocałuje, ten umrze.

– Co ty mówisz?! – wykrztusił ksiądz, nieco speszony.

– Kto mnie pocałuje, ten umrze. To powiedziałam.

– To... to prawda?

– Prawda.

Nastąpiła cisza. Ksawery Dán przetarł dłonią czoło, jakby chciał coś stamtąd zetrzeć.

– Jesteś świętą kobietą – szepnął z zabobonnym lękiem i zdjął rękę z ramienia kobiety. – Simion Drák też...?

– Nie tylko Simion. Wszyscy, co tylko byli do tej pory. Kogo kochałam. Kogo wcale nie kochałam, kto tylko... wszyscy...

– Jesteś świętą kobietą – wyszeptał ksiądz i schyliwszy się, ucałował rąbek jej odzienia.

*

Następnego popołudnia zachmurzyło się. Poranna mgła nie opadła – jak zazwyczaj – na potoki, lecz na dłużej zakotwiczyła na grzbietach gór, aż w końcu z wolna gdzieś się rozproszyła. A po południu napłynęły chmury.

Pod wieczór zaczęło siać. Było bezwietrznie. Na górę dochodził szum wszystkich potoków wokół Butki. Deszcz najpierw mżył delikatnie jak mgła. Potem stawał się coraz bardziej intensywny. Wkrótce nie było już widać gór tam naprzeciwko, tylko strugi deszczu i drzewa żałośnie ociekające wodą, jakby zasmucone tym, że coś się skończyło.

Ściemniło się gwałtownie. Niemalże w jednej chwili. W mroku już nie było słyhać żadnego innego dźwięku, tylko monotony szum padającego deszczu.

Mężczyźni wynieśli rzeczy z tylnej komory na przód jaskini. Pakowali, wiązali, dzielili ciężar. Pracowali przy świetle żywicznej świerkowej pochodni, na ich twarzach odkładała się czarna sadza nieba, a od tego stali się jeszcze bardziej mrukliwi. Również kobieta związała swój kożuch i koc. Dostała też jakiś zdobyczny deszczowiec. Resztę jedzenia, kilka naczyń włożyli do jednej sakwy.

– To też ty musisz ponieść – rzekł Bandilla, wręczając jej tę sakwę.

Nareszcie ruszyli w drogę. Powoli, jedni śladem drugich posuwali się przez mokrą, czarną gęstwinę, wprost na górski grzbiet. Tam wysoko mogli iść już nieco szybciej. Wnet dotarli do wielkiej połoniny i płajem do przepędzania stad trzody skręcili na Pietrosz. Była to droga nudna, jednostajna, męcząca. Deszcz lał bez ustanku. W kierpcach chlupotało, odzienie z samodziału przemokło i wydzielalo przykry zapach, ramiona bolały pod ciężarem. Z ust idących jedynie z rzadka padało jakieś gderliwe, obelżywe słowo, czasem ostre przekleństwo, gdy ktoś potknął się o wystający korzeń albo zsunął mu się z ramion ładunek. Szli w milczeniu i w trudzie.

Nim poczęło świtać, pastwisko na Pietrosz było już za nimi. Na brzydkim skalistym górskim grzbiecie Bandilla zatrzymał się.

– Tam poniżej jest jaskinia – rzekł, pokazując na zbocze porośnięte kosodrzewiną – przeczekamy w niej dzień. A tam po drugiej stronie jest już potok Fekete.

Opuścili się w kosówkę. Teraz jedynie bardzo powoli i ostrożnie można było posuwać się naprzód. Wśród gęstych zarośli tu i ówdzie straszyły rozpadliny, a deszcz wciskał w nie opary świtu.

Wreszcie dotarli do jaskini. Była mniejsza aniżeli tamta na Butce i głęboko ukryta pośród kosodrzewiny. Mężczyźni z westchnieniem ulgi zrzucili z siebie ciężary i sami zwalili się tam obok. Potem siedzieli bez słowa. Tymczasem nastał świt, lecz deszcz nadal padał i wszystko było takie, jakby na powrót miało zmierzchać.

Najbardziej zmęczony był ksiądz. Rozłożył się na plecach i nie drgnął nawet wtedy, gdy kobieta przygotowała na ogniu śniadanie. Zaniósł mu gorącą

mamałygę. Ksiądz spojrział na nią ze zdziwieniem.

– To ty możesz się jeszcze ruszać? Przecież dźwigałaś tyle, co mężczyzna. Nie urwało ci ramienia?

– Człowiek wiele wytrzyma – odrzekła kobieta z uśmiechem – jeśli tylko chce.

Choć ramię ją bolało, nie czuła większego zmęczenia. Rozdzieliła stawę, sama też zjadła, po czym wzięła dzbanek i poszła poszukać wody. Długo jej nie było. Kiedy wróciła, mężczyźni już spali. Rozpaliła ogień, siekierą ścięła kilka sękatek, wyschłych pni kosówki, wtargnęła je do jaskini, rozwiązała zapakowany kozuch i położyła się na nim przy ogniu. Później zasnęła. Gdy się przebudziła, Bandilla stał już u wylotu jaskini i rozmawiał ze starym Antonem.

– Deszcz popada jeszcze kilka dni – powiedział.

– Tak, tak – rzekł starzec, kiwając głową. Długie siwe, potargane włosy zwieszały mu się do ramion, jego chuda twarz przypominała głowę sępa.

– Zmyje ślady koni, gdy przeprowadzimy je przez granicę.

– Mimo wszystko lepiej będzie pójść z nimi w górę potokiem. Ostrożność nie zawadzi.

– To prawda.

Rozmawiali przyciszonymi głosami, lecz zrozumiała każde słowo. Potem ruszyli się i pozostali. Znów podsycili ogień, zasiedli wokół niego, posilali się i patrzyli na deszcz.

Nie wiadomo, kiedy nadszedł wieczór, po prostu nagle tam był. Deszcz padał nieprzerwanie, tak jak wcześniej, ale na spowity szarówką dzień runął mrok.

– Ruszamy – zdecydował Bandilla.

Znów pozbierali ładunki, każdy wrzucił na ramiona swój własny ciężar i poszli. Z przodu Bandilla, za nim stary Anton, następnie ksiądz, Nikodem, kobieta, a na samym końcu Teofil kuternoga. Wolno i z trudem posuwali się w dół kosodrzewiną. Ścieżki nie było, nawet płaja wydeptanego przez dziką zwierzynę. Niekiedy potykali się o sękate gałęzie kosówki, czasem drogę zagradzała im gęstwa nie do przebycia i musieli zawracać kilka kroków. Droga była naprawdę trudna. Ludzie powarkiwali, kto upadł, ciskał zduszonym przekleństwem. A deszcz lał się im na karki, przemoczone były drzewa, zarośla, przemoczony był cały świat. Ciężko im się szło z boczem Pietrosz w dół.

Jedynie grubego Nikodema jakoś jeszcze podtrzymywało na duchu jego pogodne usposobienie.

– Nie rozdziawiaj tak gęby – rzucił do księdza, kiedy ten przystanął przed nim z wahaniem – bo przypadkiem wyleci ci któryś ząb i nie znajdziesz go w tej ciemnicy!

Innym zaś razem:

– Jeśli jeszcze raz się ożenię, to tutaj przyprowadzę teściową. Stąd na pewno

nie trafi z powrotem do domu.

Albo też:

– Ciemno jak u niedźwiedzia w zadku...

Nareszcie kosodrzewina się skończyła. Weszli w las, pomiędzy drzewa. Choć i tu panowała ciemność, to mimo wszystko lżej było iść. W tyle pozostały także skały. Górski stok opadał łagodnie. W końcu znaleźli się w dole przy potoku. Bandilla zatrzymał się.

– Ano tak – rzekł. – My z Antonem pójdziemy na drugą stronę i spróbujemy zdobyć konie. Poczekajcie tu na nas. Ognia nie rozpalajcie, blisko jest granica.

Zdjęli ładunki i położyli je pod wielką rozgałęzioną choiną, po czym usiedli tam obok. Bandilla i Anton zniknęli w mroku. Reszta siedziała pod drzewem, z którego kapąła woda, kilka kroków od nich huczał potok, zagłuszając szum deszczu. Rozwiązali kozuchy, okryli się nimi. Kulawy Teofil chrapał. Ksiądz wzdychał. Nikodem zaczął cicho opowiadać. O swojej młodości, kiedy w jego wiosce zdarzyło się to i tamto. Opowiadał o rzeczach wesołych, czasem zaśmiewając się z własnych żartów. Ale tylko on się śmiał, sam jeden. Po jakimś czasie i to mu się znudziło, i odtąd siedzieli w milczeniu i czekali, aż Bandilla i Anton przyjadą „z tamtej strony”.

Dużo czasu tak upłynęło. Potem zaczął mówić ksiądz i powiedział, że strażnicy graniczni zastrzelili kiedyś człowieka, który przeszedł granicę. Bo przejść ją wolno tylko z takim papierem, dlatego. Kto idzie bez tego papieru, o tak, poprzez lasy, tego zastrzelą strażnicy graniczni. To są żołnierze i jest ich sporo po tej i po tamtej stronie. Mieszka ich razem cała grupa i to nazywa się „posterunek”. Co dwie godziny wyrusza dwóch ludzi i obchodzą całą granicę. A jak coś zobaczą, natychmiast strzelają.

– U diabła tam strzelają – wtrącił się Nikodem – no to z czego żyliby przemytnicy, co? Mój starszy brat też był przemytnikiem, stąd niósł worek cukru, a stamtąd przynosił tytoń. Żołnierzy znał już osobiście, szedł wprost do nich, a ci go uczyli, w którym miejscu najlepiej przejść. W tamtą stronę dawał jeden–dwa funty cukru tym po drugiej stronie, a w drodze powrotnej wiązkę tytoniu tym po tej stronie, i nie było żadnej przewiny czy wpadki. Żołnierz to też człowiek, on też musi z czegoś żyć.

– U nas, a i owszem, zabili raz człowieka – upierał się ksiądz.

– Raz! Raz sznur od dzwonu tak szarpnął dzwonnikiem, że wyrzuciło go przez okno i zginął na miejscu. To zdarzyło się, kiedy mój dziad jeszcze był dzieckiem. A mimo to od tamtej pory dalej dzwonią w każdym kościele i nikomu nie dzieje się nic złego.

Czas mijał powoli. Przemoknięte kozuchy zaczęły cuchnąć baranym smrodem. Potok huczał jednostajnie, a ciemność przylgnęła do świata niczym lepki muł.

Czekanie się przedłużało. Nagle doszedł ich jakiś hałas. Wszyscy jednocześnie podnieśli głowy. Stukot o kamienie. Znow. Przez hałas potoku ledwie dało się to dosłyszeć.

– Koń – szepnął Nikodem, a wszyscy w podnieceniu wlepili oczy w ciemność.

Stukot przybliżał się. Już był tam przed nimi, a wciąż jeszcze nic nie było widać. Nareszcie coś się poruszyło w mroku i zaczęło sunąć ku nim potokiem w górę. Cichy gwizd. Odpowiedź. Coś się zatrzymało.

– Szybko, rzeczy! – jakiś zduszony głos warknął od strony potoku.

Podskoczyli z ziemi. Pozbierali ładunki i znieśli je do potoku. Stały tam pośrodku, po kolana w wodzie, dwa konie. Dwa konie o ciemnej maści. Jeden zaczął parskać. Ktoś przy jego głowie szarpnął za uzdę z powroza. Koń umilkł.

Bez słowa podeszli przez wodę do koni. Na grzbietach zwierząt były drewniane siodła. Pośpiesznie przywiązali do nich tobołki.

– Gotowi?

– Tak.

Konie ruszyły środkiem potoku w górę. Jednego prowadził Bandilla, drugiego Anton. Od czasu do czasu końskie podkowy postukiwały na jednym i drugim kamieniu, niekiedy konie potykały się, ślizgały. Trzeba było iść z nimi powoli, ostrożnie. Tamci czterej, na brzegu potoku, wlekli się obok.

Wyżej potok rozgałęział się. Bandilla wyprowadził konie na przeciwległy brzeg. Ze spotniałej sierści zwierząt buchała para. Przeszli także i pozostali ludzie. Następnie Bandilla ruszył przed zwierzętami w górę. Wciąż brzegiem potoku. Reszta w milczeniu podążała z tyłu. W mroku nic nie było widać, jedynie jakieś poruszające się kształty, nic nie było słyszeć, jedynie szum potoku i chlupoczącą w kierpcach wodę. I gdy czasem potknął się koń.

Byli gdzieś powyżej Báránykő, kiedy na połoninie poczęło świtać. Bandilla, tam na przodzie, zatrzymał się.

– Kto zna to miejsce? – rzucił ochryple do tyłu.

– Ja znam – odpowiedział z tyłu Teofil.

– Znasz w pobliżu coś takiego, gdzie moglibyśmy przeczekać dzień?

Mężczyzna zastanowił się.

– Znam.

– Można tam dojść z koniem?

– Można.

– No to prowadź!

Teofil pokuśtykał na przód i znow ruszyli. Świt przywitał ich mgłą i dokuczliwą mżawką. Z choin zwieszały się strzępy chmur.

Przez jakiś czas podążali połoniną. Na jednej z polan Teofil odbił w lewo. Posuwali się płajami wydeptanymi latem przez woły, następnie skręcili w buczynę.

Niezdługo znaleźli się przy jakiejś ukrytej polance, całość nie była większa od wioskowej działki. W górnej części polany stał wałący się szałas, a murawa wszędzie poryta była przez dziki. Teofil przystanął.

Bandilla podszedł do szałasu i zajrzał do środka, po czym skinął na ludzi, a ci zaczęli zdejmować z koni ładunki.

Potem rozpalili ogień. Oba konie spokojnie pasły się już na polanie, deszcz siąpił, przez lichy gont szałasu woda wlewała się do wnętrza.

– Nie jesteś zmęczona? – zapytał ksiądz, gdy podczas pieczenia słoniny siedział obok kobiety.

– Zmęczona? Nie. Tylko brudna. Nie ma w pobliżu jakiegoś potoku?

– Na miłość boską, nie wystarczy ci już tej wody? – Nikodem Bumbu roześmiał się w głos. – Przecie ja już przemokłem do suchej nitki i przynajmniej przez miesiąc nie będę miał chęci na wodę!

– Jestem brudna – powtórzyła kobieta – a to jest bardzo złe. Czuję, że skóra lepi mi się od brudu. Nie ma tu nigdzie wody?

– Ależ jest – uspokoił ją Teofil. – Czekaj, zaprowadzę cię tam. I tak muszę zejść z końmi, żeby je napoić.

Zjedli. Nareszcie Teofil złapał konie i ruszył z nimi w buczynę. Kobieta podążała za nimi. Niebawem byli przy źródle. Woda spływała sobie w dół, lecz wokoło zalegało lepkie czarne błoto.

– Musimy je napoić niżej – rzekł Teofil.

Buczyna wydawała się opuszczona. Olbrzymie stare drzewa stały mokre i posępne, skapywał z nich deszcz, a pośród nagich gałęzi utkwily chmury.

Niezdługo ziemia stwardniała na kamień. Tu i tam ciemniały skały. Zatrzymali się w odpowiednim miejscu.

Póki konie piły wodę, kobieta umyła sobie ręce i twarz. Potem czekała. Konie piły przez dłuższą chwilę.

– Teraz idź – powiedziała do mężczyzny, kiedy konie przestały już pić – chcę się wykąpać.

Mężczyzna bez słowa ruszył z końmi w drogę powrotną. Kobieta rozebrała się i weszła do wody. Naraz jednak podniosła głowę. Rozejrzała się wokoło. Lecz nigdzie nic się nie ruszało. A przecież wyraźnie czuła, że ktoś jest w pobliżu i ją obserwuje.

Pośpiesznie dokończyła się myć i szybko się ubrała. Gdy podążała w górę, spostrzegła raptem konie. Na powalonym pniu siedział przy nich Teofil.

– Czekałem na ciebie – powiedział zmieszany.

Kobieta popatrzyła na niego, wejrzała mu w oczy. Mężczyzna poczerwieniał.

– Co mi się tak przyglądasz?

– Niedobrze zrobiłeś, Teofilu. Sam sobie tym zaszкодziłeś.

Mężczyzna odwrócił się w zakłopotaniu, wydmuchał nos. Po chwili szli już

w górę przez las. Z przodu kobieta, tuż za nią mężczyzna. Z tyłu konie.

– Gniewasz się, że poczekałem na ciebie?

– Nie.

– Człowiek musi do kogoś przynależeć...

Jakiś czas szli w milczeniu, końskie kopyta głucho dudniły na ziemi.

– Człowiek musi do kogoś przynależeć – kobieta podchwyciła te słowa – tak, człowiek musi do kogoś przynależeć, to wszystko... I pomyślała o tych, którzy siedzieli w szałasie i czekali na ich powrót, i o biednym, kulawym, chudym mężczyźnie, który szedł za nią z końmi, i o całej tej smutnej drodze, i o całym tym smutnym życiu. Tak, człowiek musi do kogoś przynależeć...

Tamtej nocy przedostali się przez dolinę Borgó, a dzień przeczekali gdzieś nieopodal źródła Beszterce. Następnego dnia o brzasku byli już powyżej wód Radny.

Gdy nastał ranek, Bandilla powybierał z ładunków rzeczy na sprzedaż i zrobił z nich osobny pakunek.

– Pójdę na dół do Óradny – rzekł – do Żyda. Wy zaś wieczorem ruszcie dalej, a jutro o świcie spotkamy się na połoninie, pomiędzy Irtványosem i Valeą Sztruga. Anton, ty znasz to miejsce.

– Znam.

Każdy wyjął jeszcze coś z własnej kieszeni, jakąś rzecz na sprzedaż. Jeden złoty zegarek, drugi srebrną cygarnicę, trzeci jeszcze coś innego. Bandilla wziął od każdego to, co tamten dał, po czym zarzucił sobie na ramię nowy ładunek i ruszył w dół, ku Óradnej. Strzelbę zostawił, poniósł z sobą tylko siekiere.

Do zmroku zaszyli się w opuszczonej pasterskiej kolibie. Z nastaniem ciemności ruszyli dalej. Tamtego wieczoru deszcz nieoczekiwanie ustał, powiał chłodny wiatr i rozproszył chmury. Później nawet rozbłysły gwiazdy.

Po północy pastwisko pokryło się szronem, a kałuże na połoninie wypełniły się lodową skorupą. O świcie wszystko było białe, koniom z pysków i ludziom z ust buchała para.

Słońce wstało rozpromienione. Niebo było zielonkawoniebieskie i oślepiająco czyste. Nareszcie wszędzie, ale to wszędzie widać było góry. Na szczytach leżał śnieg. Z drzew opadały zamrożone liście, żółte i brązowe, i chrzęściły pod stopami. Tu i ówdzie łanie grzały się w słońcu, a pokrytą szadzią murawę znaczyły świeże tropy niedźwiedzia.

Pomiędzy Irtványosem a Valeą Sztruga czekał już na nich Bandilla. Najpierw rozliczył się z handlu i każdemu oddał to, co mu się należało. Na koniec podzielił się wiadomością.

– Kawalek drogi szedłem z jednym węglarzem. Mówił, że żandarmi zatrzymują wszystkich na drogach i każą ludziom pokazywać papier. A kto go nie ma, tego prowadzą na posterunek i dotąd tam trzymają, aż wyjaśni się, co to za

jeden i co go tam sprowadza...

Ludzie słuchali tej wieści w milczeniu.

– Tylko w dole na drogach? – przytomnie zapytał Anton.

– Tylko w dole na drogach.

– No to dzisiaj moglibyśmy pójść i za dnia. Do jutra dotarlibyśmy do Romuli.

Trochę odpoczęli, zjedli, pozwolili koniom się popaść i zaraz wyruszyli. Nazajutrz wczesnym rankiem byli w Romuli.

Nie puścili się w dół do wsi. Zrobili sobie siedlisko wysoko na Górze Koguciej, w pustej stynie. Cały dzień leżeli, jedli. Zostali tam także na noc. Rano Bandilla podszedł do Teofila.

– Jak daleko jest tamten dom?

– Ano... Powyżej Fiád, w dolinie Fekete...

– Dotrzemy tam do wieczora?

– Tak.

– No to my we dwóch pójdziemy tam i porozmawiamy z gospodynią. Wy zaczekacie tutaj.

Jeszcze tylko trochę zjedli, zapakowali prowiant do worków i zbierali się do drogi, gdy raptem poruszyła się kobieta.

– Idę z wami – rzekła.

Spojrzeli na nią, ale nie zaprotestowali. Do południa byli już na grzbiecie Fiád.

Spod wielkiej kopulastej skały Teofil pokazał w dół na dolinę.

– To tam to potok Fiád. A tam po drugiej stronie to dolina Fekete.

W dole widać było las, a w lesie domy, rozproszone. Jak długa dolina Fiád, wszędzie były lasy, w lasach polany, a na polanach domy.

– Popatrzcie, kościół! – dodał.

Naprzeciw nich, na leżącym po drugiej stronie górskim grzbiecie wystawała z choiny szara wieża drewnianego kościoła. A wokoło niej nigdzie w pobliżu ani jednego domu.

– Dziwny kościół – mruknął Bandilla – bez domów, tylko tak... w lesie...

Kobieta przyglądała się szarej wieży górującej ponad choiną, i wiedziała, że kiedyś jeszcze pójdzie do tego kościoła.

– A tam o, ta druga, to dolina Fekete – powtórzył Teofil, pokazując nieco wyżej. Dolina była szeroka, głęboka i całkowicie porośnięta lasem. Ciągnęła się w górę aż do podnóża Ciblesa.

– Nie ma w niej polany? – zapytał Bandilla, trochę nieswojo.

– Tylko jedna. Na niej stoi ten dom. Ale stąd go nie widać. Zeszli w dół. Las rzedł, mijali kolejne polany, niekiedy jakiś samotny dom, ale to już nie były takie chaty jak w krainie ośnieżonych szczytów, zamieszkane latem przez tego czy

innego samotnego węglarza albo służące tylko do tego, żeby strażnicy leśni i panowie myśliwi przespali w nich jedną noc. Były to porządne siedliska ze stodołą, szopą na wóz i zagrodą dla owiec. I dochodził z nich czasem dziecięcy płacz i kobiecy głos, a niekiedy nawet śpiew. Tyle że i te domy zbudowano z drewna, z poszarzałych od starości świerkowych bali, i ręcznie szczypano gont na ich dachy.

Jakiś czas podążali w górę doliną, wzdłuż potoku Fiád. Potok był szeroki i niósł dużo wody, obok wiła się grząska droga, a na obu brzegach tu i tam leżały polany i na każdej stał dom, do domu zaś prowadziła z drugiego brzegu kładka.

Niewielu ludzi napotkali. Ci mijali ich bez żadnego zainteresowania i z obojętną przychylnością mówili: „Szczęść Boże”. Tacy tam żyli ludzie.

Niebawem dotarli do doliny Fekete. Otwierała się ona na prawym brzegu potoku i dość gwałtownie pięła się ku górze. Ta mroczna dolina zdawała się jednym zwartym, choinowym gąszczem. Wypływał z niej też mały potoczek i w cieniu drzew był taki, jakby płynęła w nim właśnie czarna woda¹⁸.

W milczeniu podążali tą choiną w górę. Drogi dla wozu nie było, tylko wąska, wijąca się ścieżka. A i ta niezbyt wydeptana. W jednym miejscu kobieta pobiegła w dół do wody. Kobieta przystanęła na brzegu i długo wypatrywała czegoś pomiędzy kamieniami. Nareszcie wróciła na ścieżkę.

– Są w niej ryby – powiedziała, kiedy dogoniła mężczyzn. Popołudniowe słońce porzuciło już dolinę i teraz wysoko na przeciwległym górskim grzbiecie oświetlało świerki. Pod drzewami zalegała nieprzyjemna woń pleśni. Niekiedy ścieżka omijała jedną i drugą niezgrabną skałę. Kamień był tu szary i mokry. Dolina chłodna, a las dziksz i chłodniejszy aniżeli poniżej, nad potokiem Fiád.

Szli dość długo, zanim dolina zaczęła się poszerzać. W końcu rozwarła się gwałtownie i oto mieli przed sobą polanę.

Przystanęli wszyscy troje. Była to szeroka, łagodnie wznosząca się polana, wszystkiego może z dziesięć mórg. Trochę powyżej jej środka stał dom. Był to stary drewniany dom, jednak obszerny i przyjazny. Przód zdobiła mu weranda, z tyłu widać było stodołę i szopę na wóz. Potok brał swój początek przed domem, tam było jego źródło, a potem woda mknęła wzdłuż całej polany.

Kobieta postąpiła kilka kroków naprzód, oparła się o skrajną choinę i stamtąd przyglądała się domowi. Patrzyła nań nie oczami, bo przecież oczy mówiły tylko tyle: dom położony na polanie. Odbierała ten dom poprzez własne odczucia. A te mówiły jej, że ten dom to dobry dom. Czysty i suchy, z dobrą aurą i przyjaznymi oknami. Na którego próg słońce rzuca światło o wschodzie. Taki dom, który nie jest obcy, ponieważ żyje razem z ziemią, z polaną i z lasem, i wokół którego ziemia i las mają czysty, zdrowy i miły zapach, a owo niewidzialne promieniowanie, dobywające się z ziemi i z drewna i dające dobre albo złe sny, słodkie albo gorzkie trawy, tu na tym miejscu promieniuje dobrem i spokojem,

zgodą. Daje dobre sny i rodzi słodkie trawy.

Obaj mężczyźni z tyłu poruszyli się.

– Ano oto i on – rzekł Teofil.

– Dobrze położony – ocenił Bandilla.

Kobieta spojrzała na nich, gdy do niej dołączyli.

– To dobry dom – powiedziała, akcentując każde słowo. Ruszyli w górę ku domowi. Bandilla pochylał się od czasu do czasu i przyglądał się murawie.

– I słońca dochodzi tu dość – stwierdził. – Ta łąka musi dawać dobre siano.

Na werandzie poruszył się stary kudłaty pies o płowej sierści; zszedł po schodach i zaczął szczekać ochryłym, gardłowym głosem.

Na odgłos szczekania pojawiła się skądś gospodyni, leciwa i mocno sterana kobieta. Stała zgarbiona obok psa i mrużąc oczy, patrzyła w kierunku nadchodzących.

– Szczęść Boże!

– A niech poszczęści, niech poszczęści!

Przypatrywała im się podejrzliwie. Pies przestał szczekać i powłókł się z powrotem na werandę.

– A dokąd to?

– Ano tu tylko – odpowiedział Bandilla, westchnął i usiadł przy schodach na murawie. Obok przysiadł Teofil. Tylko Nuca wciąż stała i patrzyła na dom i na las.

– Tutaj? – starowinka ze zdziwieniem podniosła głowę. – Do mnie?

– Słyszeliśmy, że ten dom jest na sprzedaż.

– Dom? Ano na sprzedaż. Ano tak.

– Co do niego przynależy?

– Ano... ta łąka, co ją masz tu przed oczami, no i ten las, o tam, aż po górski grzbiet.

– A dalej?

– Dalej też, aż po górski grzbiet.

– I w dół?

– W dół? Ano dotąd, aż idzie on w dół, wszystek.

– I w górę?

– W górę? Tego nie wiem. Skąd niby miałabym wiedzieć! – wybuchła nagle.

– Ja jestem tylko biedną, starą kobietą, nie mam ni męża, ni dziecka, nikogo, i zabijam się tu w tym lesie... ano skąd niby miałabym wiedzieć, co jest tam w górze?! Któż miałby ochotę drapać się tam?

– Zwierzęta są?

– Jedna krowa. Ale tę zabieram – dodała szybko. – Pójdę na dół do mojej młodszej siostry, do Telcs, i krowę ze sobą zabieram.

– Kiedy pójdziecie na dół?

– Teraz. Nim spadnie śnieg. Jedno lichy niechże sobie tu zostaje, kiedy jest

śnieg. Tu śnieg jest taki, że... ajajaj. I nigdy więcej nie przyjdę tu na górę. Nigdy, przenigdy. Tak mi dopomóż Bóg! Tfu, tfu! A do czorta z tymi lasami!

– No a ile za niego chcecie?

– Hę? Za co?

– Ano za ten dom. I za resztę, która do niego przynależy.

Staruszka bezradnie mrugała oczami.

– Ile ja chcę? Ha! Ile to ja chcę! I ja muszę z czegoś żyć, a za dniówkę to ja już nie mogę pójść, a i pracować też nie. Ile to ja chcę?

Pomyślała, nareszcie wymieniła pewną sumę. Bandilla wysłuchał jej, potem spuścił głowę i nie odezwał się ani słowem. Po jakimś czasie wstał i obszedł dom wokoło, zajrzał do stodoły, do szopy, wszedł na werandę, zajrzał też do domu. Po chwili wyszedł i z powrotem usiadł tam gdzie przedtem.

– Daję za niego tyle i tyle – powiedział.

Staruszka podniosła głowę i poczęła machać ręką.

– Ajajaj, ajajaj...

Weszła do domu. Minęło trochę czasu, zanim znów wyszła i przystanęła na werandzie. Wtedy już i kobieta siedziała, nieco dalej od mężczyzny, lecz wciąż patrzyła na las.

– To wasz syn? I synowa? – zapytała staruszka.

– Córka – Bandilla odpowiedział półgłosem.

– Aha. A to wasz zięć. Aha. Z daleka jesteście?

– Z daleka.

– I tutaj chcecie się przenieść?

– Tak tylko czegoś szukamy...

– Aha. Aha. Ano posłuchajcie mnie, dobry człowieku: niech będzie tyle, no!

Bandilla potrząsnął głową.

– Podąłem cenę, gospodyni. Stodoła się wali, szopę na nowo trzeba kryć dachem... drogi nie ma, tylko jakaś ścieżka...

Nadchodził wieczór. Z Ciblesa opuścił się chłodny wiatr, miało się na śnieg. Staruszka ściągnęła na sobie chustę.

– Ajajaj... ciężko, ciężko.

Na powrót weszła do domu. Z wnętrza doleciał trzask ognia. Polanę poczęła skrywać mgła.

– Wejdźcież do środka, skoro już tu jesteście – rzuciła staruszka przez drzwi.

Bandilla wstał, także Teofil. Weszli do domu. Nuca wciąż jeszcze patrzyła na las. Potem zeszła do źródła i długo wsłuchiwała się w wodę. Przyjemnie szemrała. A w lesie mieszkał spokój. Ci, którzy tu żyli, żyli w zgodzie i pokoju – pomyślała – kosili łąkę, paśli zwierzęta, ścinali drzewa i o nic więcej nie dbali. Kto tutaj żyje, ten o nic więcej nie dba, takie tu powietrze...

Kiedy za innymi weszła do domu, zastała tamtych już przy jedzeniu.

Staruszka i dla niej postawiła na stole gliniany talerz z krupnikiem. Kudłaty pies o płowej sierści rozłożył się przed piecem.

Meble pamiętały dawne czasy. Stół, dwa stołki, ławka, szafa, łóżko. Stare, z plamami od zatłuszczonych rąk, popękane. Ale nawet i teraz ich widok przywoływał na pamięć sosny, z których je zrobiono. Ktoś zmajstrował je bardzo starannie. Z pewnością tu przed domem – pomyślała kobieta – a była wtedy wiosna i ponad polaną, bijąc skrzydłami, przefrunęły grzywacze.

– Dużo jest tu grzywaczy, prawda? – spytała nagle, zwracając się do staruszki. – Mam na myśli, wiosną. I latem też?

– Co takiego? Czego?

– Takich dużych gołębi, wiecie. Mają na szyi biały pasek i tak biją skrzydłami.

Staruszka machnęła ręką.

– Ano możliwe, nie mówię nie, wiele jest różności. Człowiek nie ma na to czasu, żeby się im przyglądać.

Chciała z powrotem odwrócić się ku palenisku, lecz kobieta złapała ją za ramię.

– Spójrzcie no tu na moment!

– Co? Jak? Co mówisz?

Oczy Nucey na kilka chwil przenikliwie zagłębiły się w oczach staruszki, mrugających ze zmieszania.

– Czemu myślicie, że to zrobił wasz szwagier? To nie był wasz szwagier. Wasz mąż... był takim niskim barczystym mężczyzną, prawda? Poślizgnął się na skale i spadł... szukał kun, prawda?... zimą... w śniegu i lodzie... nie było w pobliżu niego nikogo. Tego nie zrobił wasz szwagier, uwierzcie, i nie myślcie o tym tyle. Ludzie umierają, gdy przychodzi ich czas, nic nie można na to poradzić... Ale szwagier was szanuje i jeśli pójdziecie na dół, dostaniecie od niego podarunek...

Staruszka stała tam oniemiała, jakby zobaczyła ducha. Ręce poderwała ku twarzy, wytrzeszczyła oczy i zbladła.

– Ty!... Biada mi!... Kim ty jesteś i skąd wiesz o takich rzeczach? Biada mi, biada!

Kobieta uśmiechnęła się.

– Nie bójcie się, nic więcej nie wiem. Reszta wcale mnie nie interesuje. Powiem jeszcze tylko tyle, żebyście tamtych pieniędzy nie szukali dłużej w sienniku, bo ich tam nie ma. Sami je położyliście na górze, na strychu za belką. Z tyłu za ostatnią belką. Tam popatrzcie, bo muszą tam być.

Staruszka, zegnając się, zaczęła się cofać w kierunku drzwi do sieni.

– I ode złego zbaw mnie, Panie... i ode złego zbaw mnie, Panie... – mamrotała zszarzałymi ustami... Naraz ręka zastygła i nie dokończyła znaku

krzyża. – Co mówisz? Belka na strychu?... Jezus Maria i święty Józefie, a i owszem, masz ty rację, świętą rację! Przecie to ja sama zaniósłam je tam na górę, bo tutaj, w lesie, człowiek nigdy nie może wiedzieć, czy kto nie nadejdzie i co będzie... i wyszło mi to z głowy, no popatrz, co zrobić, starzeje się człowiek... – Utknęła i wlepiła wzrok w kobietę, która wciąż jeszcze uśmiechała się. – Ale słuchaj! Skąd ty o tym wiesz? Jezus Maria i święty Józefie!

– No przecie jest to w waszych oczach – zaśmiała się kobieta – tylko trzeba z nich wyczytać. No a teraz myślicie o tym, jak by się nas pozbyć. To naprawdę nieładnie z waszej strony, że chcielibyście nas odesłać w noc. Ależ my możemy przespać się i w stodole, zgoda? No i nie bójcie się już, że ukradniemy wam krowę. Ha, ha, ha, ha!

Staruszce wyrwał się krzyk, obiema rękami złapała się za głowę i tak oto wyleciała przez drzwi, niczym jakaś przerażona mysz. Kobieta śmiała się w głos, Teofil gapił się z rozdziawioną gębą, Bandilla zaś w milczeniu kręcił głową.

– Tak nie będzie dobrze – rzekł półgłosem, z troską – mocno przeraziłaś tę starowinę, nie dobijemy z nią targu.

– Targ jest już taki, jakbyśmy go dobili – odpowiedziała kobieta, przerywając śmiech. – Oddałaby nam ten dom i za mniej, byleby móc zeń odejść.

Poczekali jeszcze trochę, żeby stara kobieta wróciła, lecz ona nie wróciła. Później zbrali się i poszli do stodoły. Kiedy wychodzili na werandę, zdawało się im, jakby ktoś czaił się za węglem domu. W obórce przy stodole znaleźli krowę, obok krowy siano. Położyli się na nim. Obaj mężczyźni wnet zasnęli. Nuca jeszcze przez jakiś czas nie spała, pogrążona w myślach. Próbowwała uporządkować własne odczucia, ale to jej się nie udawało w żaden sposób. Co się tyczyło domu, polany, lasu, zdecydowanie promieniowały dobrem. I kobieta wiedziała, że spędzi tu pewną część swojego życia i nie będzie to ani najtrudniejsza, ani najgorsza jego część. Ale mimo wszystko coś gdzieś było. Jakiś głos, który tak oto szeptał: przed wieloma, wieloma laty wyruszyło zło i tu, na tej polanie, kończy się jego droga. Jest jeszcze daleko, lecz oto zmierza w tę stronę i nic nie można przeciw niemu uczynić, bo już wówczas, gdy wyruszało, jego zamiarem było dotrzeć tutaj. I na próżno dobra jest ziemia, woda, las, dom. Na próżno są tu wiosną gołębie grzywacze i na próżno jest tu wiele innych rzeczy, które są dobre. Nadejdzie dzień, kiedy wszystko to pogrąży się w cieniu. Zgorzknieje ziemia, trawa, woda. Pociemnieją drzewa, rośliny będą cuchnąć zgnilizną, bo pewnego dnia zstąpi na tę polanę zło. To zło, które dawno, dawno temu wyruszyło po to, żeby tutaj przybyć. I nie da się przed nim uciec, bo takie było prawo, żeby i oni tu przyszli. Prawem jest to, że staruszka sprzeda im ten dom i odejdzie. Wszystko, co zdarzyło się dotychczas, jest prawem i prawem jest wszystko, co jeszcze się zdarzy.

Minęło sporo czasu, zanim kobieta zasnęła. We śnie widziała wielkiego czarnego ptaka, który krążył nad polaną, krążył i krążył, coraz niżej. Biegła za nim

i odganiała go, ale na nic się to zdało. Wielki czarny ptak wciąż krążył, choć w ogóle nie poruszał skrzydłami, i opuszczał się coraz niżej, aż w końcu przysiadł na polanie. I w tym momencie wszędzie, ale to wszędzie poczerniały trawy i poczerniały też wszystkie drzewa, i zapanowała jakaś osobliwa wielka cisza, a w tej ciszy skądś z daleka tak oto przemówił jakiś głos: wszystko to było daremne...

Z mocno bijącym sercem usiadła na sianie. Jaśniał już poranek. Teofil, usadowiony na żłobie dla krowy, wiązał rzemyki u kierpców.

– Mówiłeś coś? – zapytała, a serce wciąż mocno jej biło.

– Tylko tyle, że wszystko to było daremne.

– Co masz na myśli?

– Ano to, że staruszka pewnie już się do nas nie odezwie.

– To wcale nie jest takie pewne – mruknął Bandilla i podniósł się z siana. Jednakże i on był w złym humorze.

Zeszli do źródła obmyć twarze, ręce. Nad polaną zaległa gęsta mgła. Murawę pokrywał szron, skrzypiał pod nogami.

Byli już gotowi, gdy z domu wyszła staruszka. Na ich powitanie cicho odpowiedziała:

– Niech Bóg darzy was wszelkim dobrem, ludzie! No, przespaliście się?

– Przespaliśmy się.

– Ranek już chłodny. W środku jest ogień. Możecie wejść, ja tymczasem wydoję krowę.

Weszli do chaty i usiedli przy palenisku. Wyciągnęli worek, kozik i zaczęli się posilać. Wkrótce wróciła i stara kobieta. Z mlekiem. Była zatroskana. Raz po raz zerkała ukradkiem w ich stronę, ale nic się nie odzywała. Nareszcie jednak przemówiła:

– A czy ty wiesz, że pieniądze rzeczywiście były pod tą belką? Nic a nic nie brakowało. To cena za wołka. Ano ja sama je tam położyłam, bo to pewniejsze aniżeli w sienniku. Ale... skąd ty o tym wiedziałaś, młoda gospodyni? Skąd ty mogłaś o tym wiedzieć?

– Mówiłam, że to było w waszych oczach – odparła z uśmiechem Nuca.

– Mówiłaś, mówiłaś – mruzczała dalej stara kobieta – ale czegoś takiego to ja jeszcze nie widziałam, słyszysz? Żebyś ot, tak powiedziała... i że szwagier, i mój mąż, biedaczek... ajajaj... a może ty, kobieto, masz taką magiczną moc widzenia, co? Słyszałam ja o takich, co patrzą w popiół, i czy ja wiem, w co tam jeszcze, i przepowiadają przyszłość...

– Nie – odrzekła po prostu – ja tylko zaglądam ludziom w oczy i mówię, co było w przeszłości.

– Hm, hm... i naprawdę dobrze zajrzałaś wczoraj? Czy to aby pewne, że mój mąż...?

– Pewne.

– Hm, hm. Ze skały, tak mówisz. Bo że szukał kun, to prawda. Była zima, to też prawda. I było dużo skał... Ale szwagier...

– Spójrzcie no mi raz jeszcze w oczy – odezwała się Nuca, wstając z ławki. Postąpiła kilka kroków ku staruszce. Ta w przestkach wyciągnęła ręce przed siebie.

– Nie zaczarujesz mnie? W ropuchę, czy co? Na pewno?

– Popatrzcie no mi w oczy! – odrzekła z powagą.

Stara kobieta z wolna opuściła ręce i niepewnie, z podejrzliwością zamrugła oczami, po czym uniósłszy powoli głowę, spojrzała w tamte wielkie zielone oczy.

– Pomiedzy tobą a twoim szwagrem jest gniew – kobieta powiedziała powolnym, rzeczowym tonem – z powodu owcy, którą twój szwagier dał za taniec z panną młodą, miała być ta owca zakocona, a nie była.

– Nie, nie sądz tak, to nie z powodu tej owcy! – staruszka podniosła rękę w geście sprzeciwu.

– Zaczęło się od tej owcy. Potem poszło dalej z powodu działki, gdy umarł twój teść. Chciałaś, żeby to wam przypadł tamten dom we wsi, a twojemu szwagrowi ten tutaj. Ale podział odbył się inaczej.

– Posłuchajcie – staruszka w podnieceniu zwróciła się ku mężczyznom – mój mąż był starszym synem. Było ich tylko dwóch braci. Komu należał się wybór? Temu starszemu! Czyż nie mam racji? Zamiast tego pociągnęli losy. Ale przysięgam, że Jonica oszukiwał! Dobry Boże, tak mi dopomóż!

– Wy nie mieliście dzieci. Twój szwagier miał ich aż kilkoro. Chciał, żeby i ta ziemia została dla jego dzieci...

– Nie, to nie było tak! Chciał namówić mojego męża, żebyśmy jego starszego syna, gdy się ożeni, wzięli tu do nas, jakby był naszym własnym dzieckiem. Żebyśmy przenieśli się na tył do stodoły, a jemu oddali ten dom. No a czyż można żądać czegoś takiego? Niechże to on przekaze swój dom, w końcu przecież to jego syn! No i powiedzcie, ludzie, zaklinam was na wasze dusze, czyż można żądać czegoś takiego? Co? Można?

– Nie można. Czegoś takiego nie można – nieśmiało wystękał Teofil i spojrzał na Bandillę, jakby prosił o zgodę na odezwanie się. Lecz Bandilla opuścił głowę i milczał.

– Nie, nie – staruszka potrząsnęła głową – czegoś takiego nie można było od nas żądać. Nie, nie. Czegoś takiego to nie.

– Z tego powodu doszło też między wami do sprzeczki.

– No a jakżeż miałoby jej nie być, do diabła?! Przychodzi tu na górę, wypina pierś, mówi, że tak i siak. Powiadam do mojego męża: „Słuchaj, Jakubie, twojemu młodszemu bratu odebrało rozum”. „Jak to odebrało mi rozum, jak to?” – podskakuje szwagier. Bo strasznie był z niego swarliwy człowiek, takiego to wy

jeszcze nie widzieliście. Swego czasu pobił własnego ojca!

– Może i wam groził.

– No pewnie, że tak. Mówi: „No i nie dasz, Jakubie, tego domu?”. „Nie, Jonica – odpowiada mój mąż. – Póki ja żyję, nie. A potem będzie, co będzie”. „No to ja to potem załatwię” – rzucił szwagier i z tymi słowami poszedł. Bardzo zły. Co to znaczy, że ja to potem załatwię? Co to jest? Pytam was, ludzie, co to jest, jak nie groźba? No!

– To było jesienią. Zimą zdarzyła się ta sprawa z waszym mężem. Nie wracał. Wy na niego czekaliście. Był wieczór.

– Zgadza się. Czekałam i był wieczór. Brzydki wieczór. Wiatr trząsał domem i walił śniegiem w okna. Naniosiłam drewna do środka, przygotowałam jedzenie i czekałam. Siedziałam przy ogniu i czekałam. Palił się kaganek. Na dworze wiatr huczał tak, że przykro było go słuchać, a te lasy tu wokoło, wiecie, kiedy one zaczynają buczeć... ajajaj. Czekałam. Lecz, nie wiem, miałam jakieś złe przeczucie. Tak mnie ścisnęło w środku. O mój Boże! Czekałam. Nareszcie jednak dolatuje coś do moich uszu. Na zewnątrz otwierają się drzwi do sieni. Skaczę ja do tych drzwi, otwieram... wchodzi mój szwagier. Ale cały w śniegu, cały. Wąsy, broda... „A co to – pytam – to ty?”. „Ano kto ma być? Co?”. „Mój mąż”. I mówię, że no proszę, jeszcze przed południem poszedł szukać kun i nie wrócił. „Ano pewnie diabli go wzięli – mówi mój szwagier – dobrze mu tak”. I zaczyna kłąć na mojego męża, że taki i siaki skąpiec. „Słuchaj – mówię – przyszedłeś tu po to, żeby wyklinać mojego męża?”.

– „Po to – odpowiada – i żeby ci powiedzieć, że bez względu na to, co zrobisz, ten dom i tak dostanie się mojemu synowi!”. „Po moim trupie!”. „Ciebie też diabli wezmą, za twoim mężem” – mówi on, po czym trzaska drzwiami i odchodzi. No i powiedzcie teraz ludzi, co on miał tutaj do roboty w nocy? Na co tu w nocy czatował? Przysięgam, to on zabił mojego męża, przysięgam! Ale też pokarał go dobry Bóg, oj pokarał! Dwóch jego starszych synów pogrzebał śnieg, gdzieś po drugiej stronie powyżej Ilosvy, jak chodzili za niedźwiedziem. Pokarał go Pan Bóg!

– Wasz mąż poślizgnął się i spadł ze skały. Widzę, jak szedł i jak zleciał w dół.

– No to czego szukał tutaj szwagier tamtego wieczoru?

– Nie wiem. Może przyszedł po to, żeby pogodzić się z wami. Może...

– Pogodzić się? No, no! Nie tak to człowiek zaczyna!

– Wiecie, często błędne i winne są tylko słowa. Człowiek chce dobrze, a słowa jakoś tak inaczej się układają i robi się z nich całkiem co innego aniżeli to, czego chciał człowiek. Słowa niekiedy padają z ust tak, że człowiek wcale nawet nie pomyśli o nich, tylko je wypowie. I kłopot gotowy. Wam to się nigdy nie przydarzyło?

Stara kobieta mruczała pod nosem w zamyśleniu. Opuściła głowę i kiwała nią to w jedną, to w drugą stronę.

– Hm, hm. I pewne jest to, co mówisz, że mój mąż...?

– Pewne.

– Hm, hm. Ale jak dokładnie wszystko wiesz, jak dokładnie. O szwagrze! I owcy też, i że... hm, hm. Przecie możliwe, możliwe, ja nie mówię, ale wiesz... hm, hm...

Bandilla z wolna podniósł się z ławki. Sięgnął po swój worek, zawiesił go sobie na szyi. Wstał też Teofil i wziął do ręki kapelusz.

Staruszka zwróciła uwagę na ten ich ruch.

– A... co to? Szykujecie się? Ile też mówiłeś, człowieku? Ile byś dał?

Bandilla wymienił kwotę, po czym nałożył kapelusz na głowę.

– Ale jeśli nie jest na sprzedaż, no to nie jest na sprzedaż, z tego powodu nie ma o co się gniewać. Ano niech wam Bóg błogosławi!

Stara kobieta przestraszyła się.

– Czekać no, czekać! Nie mówię ja jednym nawet słowem, że go nie sprzedam. Nie, nie. Tylko, wiesz...

Dobili targu. Staruszka jeszcze ugotowała obiad, zjedli go, następnie ruszyli razem na dół. Z przodu szła staruszka, pędząc przed sobą krowę. Na ramieniu niosła sakwę. Resztę rzeczy nieśli za nią Bandilla i Teofil. Kudłaty pies o płowej sierści stał przy schodach i spoglądał za nimi ze smutkiem. Jego nikt nie wołał.

Poniżej w dolinie Fiád odwiedzili dwóch gospodarzy, którzy mieszkali blisko siebie, i w ich obecności jeszcze raz dobili targu. Bandilla wypłacił pieniądze, staruszka je odebrała, raz jeszcze przeliczyła i powiedziała: „Zgadza się”. Na to obaj gospodarze przytaknęli z powagą i rzekli: „Słyszeliśmy to i widzieliśmy”. I podali ręce nowemu właścicielowi. Po czym Bandilla ruszył w dół do Telcs z dwoma synami owych gospodarzy, jeszcze młodzieńcami, żeby po szczęśliwie dobitym targu postawić im w karczmie palinkę, jak to jest w zwyczaju, kiedy ktoś kupuje ziemię. Żeby młodzieńcy pamiętać mogli ten targ, nawet jak kiedyś będą już starcami o białych włosach, nawet i wtedy.

Nim wyruszył z młodzieńcami, rzekł do Teofila:

– Ty idź na Górę Kogucią! – Następnie zwrócił się do Nucy: – Ty idź z powrotem do domu!

I Teofil ruszył w górę, po drugiej stronie Fiád, Nuca zaś z powrotem w dolinę Fekete. Było popołudnie, kiedy dotarła do domu. Słońce już nie świeciło na polanie. Wielki kudłaty pies o płowej sierści leżał na werandzie, ale wstał, gdy posłyszał kroki. Chciał zaszczekać, potem jednak rozmyślił się. Z niepokojem w oczach patrzył na kobietę.

Ta podeszła do niego i wejrzała mu w oczy. Potem położyła dłoń na szerokiej głowie psa.

– Piesku – wyszeptła – a więc od tej pory przynależymy do siebie. Rozumiesz, piesku?

Pies ze znużeniem zamerdał ogonem i na powrót położył się tam gdzie przedtem.

Nim weszła do domu, raz jeszcze spojrzała wstecz. Poniżej szeroko rozłożyła się polana i wszędzie stały drzewa, nieruchomo, jakby strzegły odpoczywających źdźbeł trawy. Dalej pośród drzew był już mrok, czarny cień. I od tego czarnego cienia naraz przypomniał jej się czarny ptak ze snu, ptak, który krążył, aż wreszcie sfrunął na ziemię. Całkiem bezwiednie podniosła oczy ku niebu. Ale ponad górskimi grzbietami unosiły się tylko jesienne opary, ptaka nigdzie nie było widać.

Lecz mimo to wokół domu było coś, czego jeszcze wczoraj nie zauważyła. O czym do tej pory wiedzieć mógł jedynie ów kudłaty pies o płowej sierści i być może jeszcze też stara kobieta, która sprzedała ten dom i tę ziemię, żeby móc stąd odejść. Było tam życie w pojedynkę. Opuszczenie. Samotność. Gdzieś w cieniu drzew. Może w murawie polany albo w cichym szemraniu źródła, tam w dole. Jednak gdzieś tam to było i od tego cisza nabrała ciężaru.

Bandilla przyprował z Telcs owce. Żeby były zwierzęta, które zjedzą siano, jak powiedział. Dwadzieścia owiec. I przywiódł też krowę, taką małą, szarą, brzydką, ale dającą dobre mleko. Nadeszli i mężczyźni z końmi. Obejrżeli wszystko i spodobał im się dom i polana.

Wtedy Bandilla tak powiedział:

– Posłuchajcie mnie! Ten dom i to, co w nim i dookoła niego, nie należy ani do mnie, ani do nikogo innego, lecz do nas wszystkich. Dotąd było tak, że wspólnie pracowaliśmy, i odtąd też tak będzie. Tyle a tyle było pieniędzy, tyle dałem za ziemię i za dom, tyle za krowę, tyle za owce, tyle zapłaciłem w karczmie, kiedy opijaliśmy udany targ. Tyle zostało. To wszystko. W porządku?

– W porządku – odpowiedziała reszta.

– Ale zostało mało pieniędzy – zauważył ksiądz.

– Czy siano będzie dość dla tylu zwierząt? – zatroskał się Nikodem.

– Pieniądzy, które zostały – odpowiedział Bandilla – wystarczy akurat na to, żebyśmy spokojnie przezimowali. Na co nam potrzebne pieniądze? Na olej, kaszę kukurydzianą, na to i owo. Na to wystarczy. Siano zaś jest dość, na stryszku w stodole znalazłem siano jeszcze i z zeszłego roku. No a teraz musimy wziąć się do roboty i naprawić to, co trzeba naprawić.

Jak ich było pięciu, wszyscy mężczyźni przystąpili do pracy. Zbudowali zagrodę dla owiec, naprawili stodołę, szopę na wóz, połatali gont na dachu. Przez dwa tygodnie bez przerwy stukła siekiera, pobrzmiwała piła, a okolica domu napełniła się świeżą żywiczną wonią. Potem spadł śnieg. Nikodemowi pierwszemu przyszło do głowy polowanie.

– Idźcie – zgodził się Bandilla – ale niech w pobliżu nie padnie strzał, który mógłby sprowadzić nam na kark strażników leśnych czy żandarmów. Idźcie na drugą stronę Ciblesa albo poprzez połoninę, w kierunku Mármaros.

Odtąd chodzili polować. Nikodem, stary Anton i ksiądz, we trzech. Tylko Bandilla i kuternoga zostawali w domu. Wykonywali robotę, jaka była, spokojnie, wygodnie, czasem przesiadywali przy żłobie zwierząt albo też wieczorem przystawali, oparci o słupek zagrody, i myśleli o tym, że dobrze jest tak. Tak żyć: troszczyć się o owce, konie, krowę. Naprawiać coś przy domu, zwałać drzewa. To jest życie. Reszta to jedynie przymus. Zło, którego nie da się uniknąć.

Nuca gotowała, prała i to ona doiła krowę. Mieszkali tak oto: jedyne łóżko w izbie oddali kobiecie. W środku spali tam jeszcze Bandilla i Anton, zrobili sobie posłania z siana, przy ścianie. Pozostali we trzech spali poza domem, w stodole na sianie, bo nocki były już chłodne, a w sieni nie było paleniska.

Ci, którzy chodzili polować, przynosili czasem jakiegoś dzika, kawałek niedźwiedzia albo też sarnę. Wtedy jedli mięso. Innymi zaś razy nie było nic więcej, tylko mamałyga lub ryby, które kobieta łapała poniżej w potoku. Po kaszę kukurydzianą i omastę Teofil udawał się z koniem na dół do Telcs raz na dwa tygodnie. Przynosił wtedy olej do kaganka, no i co tam jeszcze było potrzeba. Na górę do nich nikt nie przychodził, a i oni nie szli do nikogo, bo przecież nie mieli nic do czynienia z nikim i z niczym, jedynie z lasem.

Tym bardziej czymś niezwykłym było to, że pewnego przedpołudnia – śnieg na polanie sięgał już po kolana, a i chwycił ostry mróz – ścieżką w górę nadchodziła kobieta. Nawet zaszczekał na nią pies. Na to szczekanie wyjrzał z szopy Teofil i to on pierwszy zobaczył tę kobietę. Wyglądała na żonę majątnego gospodarza. Miała na sobie buty z cholewami i krótki kożuszek z owczych skór, na głowie czarną chustkę, musiała już być nieco starszawa, lecz jeszcze nie stara. Miała tak około czterdziestki.

No popatrz – pomyślał Teofil – ta jeszcze nie wie, że to my jesteśmy tutaj. Przyszła w odwiedziny do tamtej staruszki.

Lecz ona nie przyszła w odwiedziny do tamtej staruszki. Pies szczekał na werandzie, kobieta zatrzymała się pod schodami.

– He! – zawołała. – Jest kto w domu? Bandilla otworzył drzwi.

– Szczęść Boże! – kobieta przywitała się uprzejmie.

– Szczęść Boże!

– Znachorka w domu?

– Kto?

– Ano tamta kobieta, o której mówią, że zagląda w przeszłość i... i że przepowiada przyszłość...

Bandilla w zamyśleniu przyglądał się obcej kobiecie. Nareszcie usunął się z drzwi.

– Wejdźcie!

Gdy do izby weszła obca kobieta, Nuca gotowała akurat obiad. Sarninę w sosie. Stary Anton też tam siedział przy ogniu. Ksiądz ciął ze świeżej skóry dzika rzemyki do kierpców. Wszyscy podnieśli wzrok, gdy obca kobieta weszła do środka.

– Szczęść Boże! – przywitała się nieco zmieszana i rozejrzała się wokoło.

– Szczęść Boże! – odpowiedzieli wszyscy jednocześnie, z lekkim zdziwieniem.

Bandilla też wszedł za nią.

– Ciebie szuka – powiedział do córki.

Ta odłożyła warząchew, wytarła ręce w fartuch i podeszła do obcej kobiety.

– Mnie?

– Tak – odpowiedziała obca kobieta i spuściła głowę. – Mówią na dole, że jesteś znachorką, która widzi prawdę. I dlatego przyszłam do ciebie.

– Kto tak mówi? Że ja...?

– Wszyscy. Ludzie. Że staruszka, która tu mieszkała...

– A tak, a tak.

Wejrzała w oczy obcej kobiecie. Oczy tamtej były łagodne, brązowe, ale zmęczone i zatroskane. Troska i zmęczenie odbijały się w nich tak czysto, jak w wodzie małych jezior schowanych pośród paproci odbijają się obłoki.

– Przyszłaś z powodu syna, prawda? – zapytała. Ta druga wzdrygnęła się w przestachu.

– Skąd wiesz?

– Twój syn odszedł. Dawno temu. To już dwa lata? Trzy?

– Trzy.

– Odszedł jak ten, co na wieczór ma wrócić.

– Poszedł tylko do Romuli, kupić kozy. Na jarmarku jeszcze widzieli go ludzie, a potem już nikt więcej... ojej, o mój Boże, gdybym choć wiedziała...

– Twój syn żyje.

– Co mówisz?! O mój Boże, wysłuchaj moich próśb!

– Twój syn żyje. Popatrz mi w oczy i mocno o nim pomyśl. Najmocniej, jak tylko potrafisz. Nie tak, że o mój synu, o mój synu... lecz tak, żebyś go i ujrzała przed sobą, jak widziałaś go wtedy, gdy szedł kupić kozy.

– Ojej, o najświętsza Mario Panno, jak miałabym to zrobić...

– Stoi tam na podwórzu. Ty wyniosłaś mu worek. On powiedział tak: „Wrócę do domu inną drogą, zajdę jeszcze do kogoś...”. Ty na to odpowiedziałaś: „To raczej już i wcale nie wracaj!”. Po czym weszłaś do domu. Tak było?

– Ojej, biada mi, ojej...

– On stał jeszcze przez chwilę na podwórzu, chciał za tobą pójść. Ale w końcu ruszył na górę. Wysoko na szczycie... czekaj, jest tam jakiś dom, za

którym rosną wielkie topole?

– To leżąca w odosobnieniu zagroda Stenki – jęknęła kobieta i przeszły ją ciarki – tam mieszka ta dziewczyna, Florika...

– Czarna, prawda? Czekala tam na twojego syna pośród topoli. Dlaczego nie chciałaś, żeby twój syn ożenił się z tą dziewczyną?

– Z tą dziewczyną Stenki? Z tym obdarciuchem? Jest ich siedmioro rodzeństwa, a ona z nich najstarsza. Nie, nie. Nie po to ciulałam pieniądze, żeby mój syn chował za nie dziadów. Jest tu dziewcząt dość. Są i majątne, i ładne, i zręczne. Dziad z dziadem, gospodarz z córką gospodarza, taki jest porządek rzeczy. Nie, nie. A zresztą tamten Stenka nawet i nie jest z nas. Bóg jeden wie, skąd przyszedł tu w młodości. Wcale też nie potrafił przemówić ludzkim językiem. Potem zbudował sobie dom tam wysoko, na państwowym, i zaprowadził do niego głupią córkę Styopu, nawet się nie pobrali, do dzisiejszego dnia... nie, nie mów o tamtej dziewczynie! Mów o moim synu! Żyje? Mówisz, że żyje?

– Żyje. I jeśli chcesz się czegoś o nim dowiedzieć, idź do tamtego domu, za którym rosną topole.

– Do Stenki? Tam? Ojej...

– Zapytaj o to tę dziewczynę! Ja nie mogę ci tego powiedzieć. To ona musi ci to powiedzieć.

Obca kobieta stała w zmieszaniu i gapiła się przed siebie.

– Ano żyje... Chwała niech będzie za to dobremu Panu Bogu... co też ja się przez niego napłakałam całe te trzy lata... ale gdzie jest? I dlaczego odszedł? I co robi?

– Musisz o to zapytać tę dziewczynę, dobra kobieto.

Jeszcze jakiś czas stała tam i gapiła się przed siebie. W izbie panowała cisza, mężczyźni siedzieli z opuszczonymi głowami, jakby wcale nic a nic nie słyszeli. Nareszcie kobieta sięgnęła do fartucha i wyjęła zeń kilka jaj. Bez słowa położyła je na stole, po czym ruszyła w kierunku drzwi.

– Bóg zapłać! – rzekła półgłosem. – Bóg zapłać... Poszła. Z okna widzieli, jak podążała ścieżką w dół. Świeciło słońce, śnieg iskrzył wokoło.

– Świętą jesteś kobietą – ksiądz odezwał się szeptem i odłożył surowe rzemyki do kierpców – wybac, jeśli czymś zgrzeszyłem przeciw tobie...

Kobieta tam przy palenisku ze zdziwieniem spojrzała na księdza, po czym roześmiała się.

– Nie róbcie sobie żartów! A może wydaje się wam, że to ja powinnam jej powiedzieć, że jej syn jest sługą w wielkim mieście i zbiera pieniądze? I że szykuje się już z powrotem? Nie. Niech no tylko pójdzie tam na górę do tej dziewczyny i pogodzi się z nią! Niech sama naprawi to, co zepsuła.

– Świętą jesteś kobietą – powtórzył ksiądz, wstając z ławki. Oczy dziwnie mu lśniły. – Jeśli więcej takich ludzi byłoby na tej ziemi, dałoby się jeszcze

naprawić ludzką sprawę.

– Uciekaj! – kobieta burknęła gniewnie i odwróciła się z powrotem ku sarninie w sosie.

Potem przez długi czas nic się nie wydarzyło. Spadł wielki śnieg, wiatr zawiął potoki. Mróz był ostry, aż belki domu trzeszczały nocą, a gwiazdy przymarzały do nieba.

Kilka dni przed Bożym Narodzeniem jakaś stara kobieta złapała kulawego Teofila na drodze, jak wracał z Telcs do domu.

– Ty – zatrzymała go – kuternoga! Czy to aby nie ty jesteś mężem tej kobiety tam wysoko?

Teofil gniewnie spojrzał na starą kobietę o spiczastym nosie. Marzły mu ręce, dlatego był zły.

– Nie jestem ja niczym mężem – odparł – tylko mną wszyscy rządzą, nawet i ten ziąb.

Stara kobieta mrugała oczami w zakłopotaniu.

– Przecie mówili, że ty jesteś tym, co przychodzi z koniem, stamtąd z góry, z doliny Fekete...

– A jeśli bym nim był, to o co by chodziło? – Teofil rzucił ze złością, chuchając sobie w garści.

– To wtedy poprosiłabym ciebie, żebyś podszedł na górę tu, do tego domu, bo mieszka w nim moja córka, która była u was z powodu syna. Złożyła ją choroba, inaczej to ona sama poszłaby do was na górę, a tak...

I stara kobieta trajkotała i trajkotała.

Teofil marzył, ale zwyciężyła ciekawość, więc jakoś przeprowadził konia po lodzie i poszedł z kobietą do jej domu. Był to duży ładny dom, bogaty. Za nim spora stodoła, w zagrodzie z sześćdziesiąt baranów. Tyle że na wszystkim brakowało śladu męskiej ręki. Stara kobieta dreptała za Teofilem i wciąż nie zamykały jej się usta. Raptem tak zapytała:

– Ty, kulawy człowieku, posłuchaj! Nie śpiesz się tak, bo przecie ja ciebie nie dogonię. Odpowiedz mi na to: nie powiedziałaaby ta twoja kobieta, tam w górze, co dolega mojej krowie? Od trzech dni nie je, opadło jej też mleko, a ja się nią tak przejmuję, że mało nie umrę. Bo jakież ona miała mleko, słuchaj... dobrze bym zapłaciła, Bóg mi świadkiem...

Na to Teofil już przystanął i odwrócił się do kobiety strasznie zły.

– Posłuchajcie wy! Myślicie, że macie tu do czynienia z lekarzem od krów? Przecież to święta kobieta, słyszycie?

– Czekaj, nie mów tak – stara kobieta przestraszyła się – ja, a jakże, wierzę...

– No i wiercie! – Teofil ze złością szarpnął uzdą konia i ruszył dalej.

– Wierzę, skarbie, wierzę – stara kobieta w przestachu udawała świętą – o,

niech Bóg da jej długi żywot i niech jej błogosławi... o, niech Bóg obdarzy ją długim żywotem...

Potem w domu na górze ugoszczono Teofila. Kazano mu też zdjąć kaszę kukurydzianą z konia i zrobiono dla niego miejsce w stodole. Wyciągnięto palinkę, pieczonego kołacza. A kobieta, która swego czasu była u nich wysoko, rzeczywiście leżała w łóżku, pośród mnóstwa poduszek, i miała bladą twarz. Ale jej oczy, te były całkiem odmłodniałe.

– Słuchajcie – zachwycała się spośród poduch – powiedzcie jej, że codziennie składam Bogu dzięki za tę chwilę, w której poprowadził mnie do niej. Bo czy wiecie, że te Stenki to wcale nie tacy źli ludzie? Czy wiecie, jacy oni są pracowici? Jacy porządni? Nie ma tam u nich jednego nawet pyłka, który nie leżałby na swoim miejscu. Dobrze doglądają zwierząt, utrzymują w czystości podwórze, czysty jest i dom, i wszystko. A czy wiecie, gdzie jest mój syn? W Kolozsvárze służy u jednego Żyda sklepikarza! Najał się do niego tu, w Romuli, przed trzema laty i zebrał już tyle pieniędzy, że może za nie kupić krowę, kilka owiec i jeszcze zostanie dość na co innego! Ano posłuchajcie: cały długi tydzień gryzłam się, wreszcie poszłam na górę do Stenków. Jednak poszłam, no. Widzi mnie dziewczyna, wybiega mi naprzeciw, wprowadza do domu. A tam stary Stenka. Sadzają mnie. Mówię tej dziewczynie, że no proszę, tak i tak. To i tanto powiedziała mi wieszczka w dolinie Fekete. Dziewczyna klaszcze w ręce. Że jak to jest możliwe, bo poza nimi dwojgiem wiedział o tym tylko sam Pan Bóg! I potem opowiada, że tak, a i owszem, tak właśnie jest: oni chcieli się pobrać, a ponieważ ja się nie zgadzałam, no to mój syn odszedł, żeby na służbie zebrać te pieniądze, co potrzebne są do małżeństwa. Czasem nawet i pisze przez sklepikarza, że wszystkich pozdrawia i że dobrze mu się tam dzieje, gromadzą się pieniądze i tak dalej. „A kto wam odczytuje te listy?” – pytam. No i posłuchajcie! Ta dziewczyna odpowiada, że ona i jej ojciec! Że oni znają pismo! No posłuchajcie! Takimi to ludźmi są te Stenki! Tylko żeby do tej pory przeszła mi ta choroba, a niech diabli wezmą te moje kości... nie tylko że w jeden dzień zważyło mnie z nóg, to jeszcze żebym od tamtej pory wcale nie mogła wstać? Ale chwała dobremu Bogu, że odnalazł się mój syn. Niech mu będzie chwała, chwała...

Tak oto wylewała się mowa z kobiety. Teofil wysłuchał wszystkiego od początku do końca, przy tym zjadł i napił się, i czasem tyle tylko wtrącał: „he” albo „o”. Kiedy wreszcie wszystkiego był syty, a i ogrzał się przy ogniu, szarpnął opaskiem i wstał ze stołka. Że musi iść, bo w dolinie Fekete leży duży śnieg, za to czasu do wieczora nie za wiele zostało. Na to chora usiadła w łóżku i zaczęła dyrygować starą kobietą. Że tam o, tego kołacza, i szybko, jeszcze trochę słoniny z wędzarni, i dwie kwarty mąki pszennej do tamtej sakwy, tak, do tamtej, kiedyś przyniosą ją z powrotem, jak będą w tej okolicy... no i jeszcze kilka jaj do mąki... i tak ze dwie garści suszonych śliwek... No i jeszcze tamtą flaszkę palinki... o tak,

no, żeby była na święta... i niech powie wieszczce, że sama by to zniosła na górę, gdyby nie powaliła jej ta choroba, i żeby Bóg jej błogosławił i tak dalej...

Wreszcie Teofil wyruszył z tego domu. Wszystko włożył na konia, pomagała mu przy tym, jak potrafiła, także i stara kobieta. Raptem jednak zaczyna bardzo ostrożnie:

– Gdybyś mimo wszystko wspomniął jej o krowie... Teofil spojrzał na nią, ale już nie tak gniewnie.

– Bóg mi świadkiem, kochany synu, dobrze bym zapłaciła – odważyła się stara kobieta, widząc ten jego wzrok – co tylko chcecie, wszystko bym dała. Kurę, jeśli trzeba... czy co mam obiecać? Moja kochana, piękna krowa, wiesz, mam ci ja zgryzotę z jej powodu...

– Tu jest ta krowa? – Teofil pchnął palcem w kierunku stodoły.

– Jest wyżej, u mnie. Ale tylko o, tam, widzisz tamten dom? Ja mieszkam tam, tutaj jestem teraz tylko dlatego, że moja córka jest chora. A nuż mógłbyś ją teraz zobaczyć... nie pożalowałabym palinki za twój trud...

Palinka podziałała. Teofil podszedł do drugiego domu i obejrzał krowę. Krowa stała sama jedna, smutna, w małej ciemnej szopie, żłób przed nią wypchany był samym dobrym sianem, ale ona wcale go nie tykała. Nawet i nie przeżuwała. Tylko tak stała ze zwieszoną głową i ciężko sapała.

Teofil obejrzał ją ze wszystkich stron, pomacał, jak zwykle się w takich razach, po czym podrapał się po głowie i tylko tyle umiał na to powiedzieć: „hm, hm...”.

– No zobaczymy – w końcu przemówił pocieszająco, byleby tylko coś powiedzieć.

Stara kobieta nawet i z tego się ucieszyła, niemal siłą wciągnęła go do domu, ugościła palinką i ledwie wypuściła.

I tak oto był już ciemny wieczór, nim Teofil dotarł na górę w dolinę Fekete. Śnieg skrzypiał mu pod nogami, zarost na twarzy przykrył szron. Teofil najpierw tylko zrzucił rzeczy na werandę, po czym oporządził konia. Kiedy wszedł do domu, wszyscy mężczyźni, we czterech, siedzieli za stołem. Akurat jedli kolację. Kobieta stała przy palenisku i gdy Teofil wszedł do środka, spojrzała wprost na niego. Białe światelko kaganka opadło na oblicze Teofila. Mężczyzna z dwiema sakwami na ramieniu zatrzymał się i zastanawiał się, jak zabrać się do opowiadania, kiedy kobieta tam przy palenisku roześmiała się cicho.

– Tamta kobieta, Teofilu, poczęstowała cię palinką z radości, że odnalazł się jej syn. Mam powiedzieć, co posłała w podarunku? No, popatrzże mi w oczy, zaraz powiem i to...

Teofil tylko tak stał i gapił się. Tamci czterej przy stole przerwali jedzenie i spojrzeli po sobie.

– Ty – powiedziała powoli, poważniejąc – dlaczego tamta kobieta leży

w łóżku? Przecie nic jej nie dolega! Czekaj no... nie widziałeś tam czegoś... czekajże... jakiejś skóry... tak, jakiejś skóry zwierzęcia rozłożonej na podłodze... przed łóżkiem... nie?

– Przed łóżkiem nic nie ma na podłodze – mężczyzna potrząsnął głową.

– Musi być – odpowiedziała, nieruchomo wpatrując się przed siebie – musi tam gdzieś być. Skóra zwierzęcia. Nie wiem, z jakiego to zwierzęcia, ale ze zwierzęcia. Włochata skóra. Nie takie to zwyczajne zwierzę... to coś takiego, co się rzadko zdarza...

– Nie wiem – Teofil wzruszał ramionami – nie widziałem.

– Ciekawe...

Odwróciła się i więcej nie zajmowała się mężczyzną. Wykonywała swoją robotę, nosiła do domu wodę, drewno. Tymczasem Teofil opowiedział wszystko pozostałym, obszernie, drobiazgowo, co i jak było, i po kolei wyciągał podarunki. Przy tym opowiedział też i o starej kobiecie, i o krowie, a wtedy raptem znów odezwała się Nuca tam z tyłu:

– Ano chora jest krowa, oczywiście. Trzeba by ją zabrać do innej szopy, a tam, gdzie jest teraz, podnieść kratę z desek. Pod kratą jest źródło, to właśnie czuje krowa.

Mężczyźni umilkli, spojrzeli po sobie. Żaden nie odezwał się choćby jednym słowem. Później Teofil wziął kołacz, przekroił go i pierwszy kawałek zaniósł Nuce.

– Ten pierwszy należy się tobie – rzekł ze wzruszeniem – i niech Bóg da ci do tego siłę i zdrowie, i niech cię długo zachowa dla nas wszystkich.

– Teofilu... – wyszeptła z zakłopotaniem, też nieco wzruszona, i wzięła kołacz. Później mężczyźni wyjęli butelkę palinki, ale tego kobieta już nie piła. Ano pili mężczyźni, w pięciu. Dobrze się czuli i długo jeszcze siedzieli przy stole, z głowami wspartymi na rękach. Nikodem Bumbu opowiadał najrozmaitsze rzeczy z dawnych czasów, to, co w dzieciństwie zasłyszał od swych dziadków, o kobietach, które czyniły czary, widziały cielęta w krowich brzuchach i przepowiadały przyszłość. Potem o widmach i marach w wilczej postaci, które krowom odbierają mleko, a na owce rzucają urok, aż te stają się jałowe. Tego wieczoru późno poszli spać.

Kobieta już od dłuższego czasu siedziała senna na skraju łóżka, kiedy pierwszy ruszył się Teofil.

– No – rzekł i przeciągnął się, aż zatrzeszczały mu kości – ja dzisiaj już przeszedłem swoje. Nie zaszkodzi mi i wyspać się.

Ziewnął też Nikodem i wstał. Poruszył się również ksiądz. Wolnym krokiem podszedł do Nuce i zatrzymał się przed nią.

– Święta kobieto, módl się za nami – rzekł półgłosem. Kobieta przestraszyła się tych słów.

– Co mam robić? – spytała, szeroko rozwierając oczy.
– Módl się za nami, grzesznymi duszami.
– Dajcie już spokój – odparła gniewnie – nie umiem ja czegoś takiego. Choć raz ktoś mnie tego uczył... – W zamyśleniu zapatrzyła się w dal, twarz zrobiła jej się łagodna i pełna żalu, nareszcie kobieta machnęła ręką. – Dawno to było. Idźcie spać, wypali się olej w kaganku.

Następnego dnia Teofil nie mógł znaleźć sobie miejsca. Kręcił się tu i tam, robił to i tamto, ale piekła go ciekawość. Wreszcie po południu już tego nie wytrzymał. Narzucił na siebie kożuszek, wepchnął pod pachę siekierę o długim stylisku i ruszył w drogę. Poszedł na dół do doliny Fiád, z powrotem do domu, gdzie leżała w łóżku tamta kobieta. Na podwórzu nie było nikogo. Wszedł do domu. Gdy stanął w progu izby, kobieta spojrzała nań z łóżka, zdziwiona. W środku nie było nikogo innego.

– Szczęść Boże! – rzekł Teofil, zatrzymawszy się w drzwiach, i zaczął przyglądać się izbie.

Kobieta odpowiedziała na jego powitanie, po czym tylko tak patrzyła.

– Szukacie czegoś? Coś tu zostało?

– Nie ma tu w izbie jakiejś skóry? Jakiejś włochatej zwierzęcej skóry? – zapytał, bo niczego takiego nie dostrzegł na podłodze.

Nawet i kilka razy musiał powtórzyć to pytanie, nim kobieta tam w łóżku zrozumiała, o co chodzi.

– Skóry? – rzekła. – Włochatej skóry? Czekaście no... tam za szafą jest wyprawiona skóra cielęca na buty z cholewami. Ale ona nie jest włochata. No i... oczywiście! Musi tu być pod łóżkiem!

– Co?

– Skóra z jakiegoś borsuka! Złapali go synowie mojego szwagra i przynieśli mi ją w podarunku, może tak ze trzy tygodnie temu najdalej. Cisnęłam ją pod łóżko. Co macie zamiar z nią zrobić?

Teofil podszedł do łóżka, położył się na podłodze, na brzuchu, i wyciągnął spod łóżka borsuczą skórę.

– To od tego jest ta choroba – powiedział.

– Co? – niemądrze zadziwiła się kobieta.

– Choroba.

Teofil poniósł skórę do drzwi i wyrzucił ją do sieni. Kobieta tam w łóżku wciąż tylko tak się gapiła.

– To ona tak powiedziała? – zapytała cicho.

– Ona. No a staruszka gdzie jest?

– Tam w drugim domu. Ale niezadługo przyjdzie z powrotem.

– No to ja pójdę, żeby zastać ją w domu. Niech wam Bóg błogosławi! I teraz już możecie wstać z łóżka, nic wam wcale nie dolega.

– Na pewno?

– Na pewno. Ona tak powiedziała. Skórę zaś zabiorę, żeby wcale nie było jej tu w domu.

Wyszedł. Podniósł skórę z ziemi w sieni, po czym wcisnął ją do swojego worka. Następnie ruszył w górę do drugiego domu.

W drodze napotkał starą kobietę. Tylko nos widać jej było spod wielkiej chusty.

– Chodźcie z powrotem – rzekł – przeniesiemy krowę.

– Co zrobicie? – przestraszyła się stara kobieta.

– Przeniesiemy krowę tu, do waszej córki. Zła jest dla niej szopa, tam gdzie stoi.

Stara kobieta złodowaciała.

– Skoro do tej pory nie była zła, to dlaczego raptem teraz miałyby być zła?

– Ja tego nie wiem, ale tak jest. No chodźcie!

I poszedł naprzód, w sposób tak zdecydowany, jak ktoś, kto za wszelką cenę urzeczywistni dobro. Stara kobieta kuśtykała za nim, popłakując. Teofil poszedł wprost do szopy, odwiązał krowę od żłobu, a koniec sznura wcisnął starej kobiecie w garść.

– Macie tu, na, trzymajcie to i prowadźcie ją! Tylko żebyście mi potem wrócili, bo musimy jeszcze coś wyjaśnić. Macie czekan? A łopatę?

Stara kobieta pokazała narzędzia, po czym odprowadziła chorą krowę. Zwierzę poruszało się z trudem, jakby miało skurcze w nogach. Teofil zaś wziął się do roboty, podniósł kratę z desek i zaczął pod nią ryc w wilgotnej ziemi. Najpierw czekanem, potem łopatą. Po trzecim pchnięciu łopaty trysnęła z ziemi woda. Akurat wtedy nadeszła z powrotem stara kobieta.

– Człowieku, posłuchaj, człowieku! Posłuchajże, jakie dziwy! Moja córka stała na zewnątrz, karmiła kury na podwórzu i nic jej nie dolegało! O Jezus Maria i święty Józefie, człowieku!

– Nie gadajcie tyle, tylko podejdźcie no tutaj – polecił z dumą Teofil – co tu jest w środku?

Stara kobieta zajrzała do wykopanej dziury.

– Woda.

– Ano sami widzicie! I to też przepowiedziała! Że pod krową jest źródło, to od tego krowa choruje. No i proszę, macie tu źródło!

Z tymi słowami pchnął łopatę w kąt szopy, wcisnął na głowę kapelusz i wyszedł.

– Człowieku, człowieku! – zachwycała się stara kobieta. – Zaczekajże, no dokąd tak pędzisz, na miłość boską?! Powiedz, co mamy dać? Nie odchodź tak z pustymi rękoma!

– To już wasza sprawa – Teofil odpowiedział z lekceważeniem i wartko

pokuśtykał z powrotem w dolinę Fekete.

Szybko rozeszła się wieść. Już następnego dnia przyszła tam wysoko do domu młoda kobieta z ledwie kilkutygodniowym dzieckiem na rękach.

– Wciąż tylko płacze i płacze – skarżyła się – płacze bez ustanku i tak mu leci z kiszek, że to aż straszne...

– No przecież ja nie jestem doktorem! – przestraszyła się Nuca.

– Doktorzy nic nie potrafią, doktorzy leczą tylko panów... któż inny mógłby pomóc, jeśli nie ty...

Nuca patrzyła na dziecko i na młodą kobietę, i kręciła głową. Dziecko płakało w wielkiej chuście, w oczach kobiety był smutek.

– Czemu nie mieszkasz z mężem? – spytała raptem. Młoda kobieta zaczerwieniła się.

– Nie pójdę do niego z powrotem – odparła – dopóki on sam nie przyjdzie do domu mojej matki i nie poprosi mnie o przebaczenie. Nie, nie, do tej pory nie wrócę...

– Nawet i dla dziecka?

– Jak on mógł mi to zrobić! Cała kraina ośnieżonych szczytów miała nas na językach. Że podczas gdy ja leżę chora po dziecku, on z Cygankami zabawia się w karczmie... Nie, nie. Dopóki on sam nie przyjdzie, żeby poprosić o przebaczenie, nie zrobię nawet jednego kroku! Żeby mu się tam dom zawalił na głowę!

– Dziecko dopóty nie będzie zdrowe, dopóki nie wrócisz do męża.

Uparte, smutne oczy patrzyły na nią w przestkach.

– Naprawdę tak mówisz?

– Naprawdę tak mówię. Mężczyzna – dodała z uśmiechem – jest, jaki jest. Tych spraw nie wolno brać w taki sposób. Biegnij do niego z powrotem... zrobisz to? Dziecko wyzdrowieje i znów wszystko będzie piękne. Zobaczysz.

Młoda kobieta odeszła ze łzami w oczach, z opatulonym w chustę chorym dzieckiem. Dziecko płakało. A za trzy dni przyszedł na górę jej mąż z sakwą, wyjąkał tyle, że to on jest ojcem dziecka, które przyniosła tutaj matka, i położył na stole małą faskę z twarogiem, kilka jaj i oskubaną kurę.

I potem przychodzili ludzie, jeden człowiek za drugim. Ten z tym, tamten z tamtym. I powoli ruszyła w górę doliną Fekete wszelka troska doliny Fiád, szła i szła, powoli, lecz bez ustanku, i przynosiła swoją skargę o tysiącu odgałęzieniach, o tysiącu powikłaniach, i napełniała dom kaszą, jajami, twarogiem, drobiem.

Tymczasem przeminęło i Boże Narodzenie. Dziwne to było Boże Narodzenie. Siedzieli przy stole, nad ich głowami zwieszał się na pokrzywionym drucie kaganek, sennie plując światłem. W milczeniu jedli kołacz, pili miód i każdy z nich osobno pograżył się we własnych wspomnieniach, tkął i plótł w duchu nitki wspomnień wiodące ku dawnym Bożym Narodzeniom. Nareszcie Nikodem Bumbu

zaczął jakąś długą opowieść, w której mowa była o jego dziadku i o pewnym Bożym Narodzeniu, ongiś, kiedy on jeszcze jako dziecko śpiewał wśród pozostałych, a jego dziadek zapalił dwadzieścia cztery świece i modlił się, a ktoś czytał na głos z wielkiej księgi, i ten ktoś chodził boso nawet i po śniegu, i nosił szary habit, i miał tylko kij oraz sznur przewiązany w pasie, i mówili o nim „święty”, i robił on to i tamto...

Była to rozwlekła historia i nikt się jej nie przysłuchiwał, jednak Nikodem Bumbu opowiadał ją i opowiadał, a przy tym skwierczał knot kaganka, ludzie zaś tam przy stole opuścili głowy.

Kobieta siedziała osobno, z tyłu przy palenisku, i wpatrywała się w płomienie, a na dworze wiatr huczał i walił śniegiem, wielki kudłaty pies o płowej sierści leżał u jej stóp i spał. Siedziała tam i tak myślała: mijają teraz ledwie dwa lata. Od Ferenców przyszły na górę dzieci i zaśpiewały przed drzwiami. I był tam wujek Iwan, i wujek Birtalan, i Vénség, i śpiewali razem z dziećmi. I przynieśli podarki, a świat był tamtego wieczoru tak piękny i tak ciepły, że można by wierzyć, że na zawsze już taki pozostanie.

Przypomniało jej się także i to, co ugotowała tamtego wieczoru. I jaki zapach miało powietrze, gdy wyszła po wodę. I że stały tam na hali Komárnyik drzewa... czy i teraz tak tam stoją? I dom? I jest też źródło? I wszystko inne?

Ta myśl rozdarła gdzieś wśród wspomnień ranę, której nikt jeszcze do tej pory nie dotykał. Rana poczęła krwawić, wielkie czarne krople spadały w ciszę i gdzieś coś bolało.

Na dworze buczał wiatr, a przy stole opowiadał Nikodem, opowiadał i opowiadał, i nikt nie zwracał uwagi na jego słowa... i takie to było Boże Narodzenie.

*

18 Dolina Fekete, po polsku Czarna Dolina.

Wiosna nadeszła wcześniej niż zazwyczaj.

Pierwszy poczuł ją Ksawery Dán, ksiądz. Ze zwisających z okapu sopli lodu spadały w słońcu krople wody, jedna za drugą, a na wierzchu kaszowatego śniegu jakby mrowiły się puszyste białe pchełki. Pewnego dnia w południe ksiądz tak powiedział:

– Poszedłbym.

Teofil, który w pobliżu ciosał trzonek do wideł, wlepił oczy w księdza.

– Gdzie?

– Nie wiem. Gdziekolwiek.

I następnego ranka poszedł. Nic nikomu nie mówił, związał baranicę, zarzucił na ramię sakwę, chwycił strzelbę i kij i poszedł. Do wieczora nie wrócił. Ani następnego dnia. Ani na trzeci dzień.

Tego trzeciego dnia niebo zachmurzyło się, zerwał się cieplejszy, południowy wiatr i zaczął padać deszcz. Tysiące strumyków orało śnieg, a od tego mnóstwa wody potoki wręcz huczały. Padało przez całe dwa dni. Po czym wiatr odwrócił się, pod wieczór zaczął podszczypywać, niebo wypogodziło się. Nocą przywarła do ziemi skorupa lodu. Lecz rankiem wzeszło słońce i poczęło ten lód roztopiać. Nie było nawet tchnienia wiatru. W ciszy szumiały jedynie potoki. I słychać było też, jak trawy na polanie wychodziły spod lodu na wolność i prostowały się.

Później przyszły z dołu trzy kobiety, każda chciała coś wiedzieć, i z ich sakw pojawiły się kury oraz mąka i jaja. Nikodem nawet je rozśmieszył, a kiedy odeszły, tak powiedział:

– No, gdyby jeszcze raz dane mi było być kawalerem, wziąłbym sobie za żonę taką wieszczkę! O tak, taką! A potem całym dniami tylko leżałbym sobie na brzuchu, bo wieś utrzymałaby nas oboje!

Tak się przypocholebiał. Natomiast po południu zaciążyła w powietrzu jakaś senność. Jakieś takie letnie znużenie. Pies wyległ na werandę i wyciągnął się na słońcu. Nikodem siadł na schodach, ale już nie żartował. Wreszcie wieczorem, kiedy wszedł do domu, rzekł:

– Ksiądz miał rację. Trzeba by coś robić.

I następnego ranka poszedł i on. Zostali już tylko we trzech. Bandilla, stary Anton i Teofil. Oraz Nuca. Kilka dni później stary Anton tak zagadnął:

– Głuszec już z pewnością tokuje tam w górze.

Z tymi słowami chwycił strzelbę i poszedł. I nie powrócił ani tamtego dnia, ani następnego. Ani potem.

– Co zrobić – rzekł jednego wieczoru Bandilla – mają to we krwi. I ja mam to we krwi, tak czuję. Ale ja zostanę tutaj.

Westchnął, lecz został. I został też Teofil. Doglądali zwierząt, naprawiali to i owo wokół domu, zawsze było coś do zrobienia. Tymczasem w pełni rozkwitła

wiosna. Śnieg zniknął już nawet i z północnych stoków, wyciągnęły się żdźbła traw, rozkwitły pierwsze kwiaty i pojawiły się pierwsze motyle.

Nuca też czuła ów dziwny niepokój, który pognał gdzieś tamtych trzech mężczyzn. On wisiał w powietrzu. Sprawiał, że chciało się iść bez celu, byleby iść. Szukać czegoś, co nie ma nazwy, o czym nawet nie można wiedzieć, czym jest, czego może wcale i nie ma.

Dużo chodziła po lesie. Zapoznawała się z nowymi górami, nowymi wodami, drzewami, ścieżkami. Pewnego dnia – było to ciepłe przedpołudnie, w nagrzanym powietrzu unosił się jakiś przyjemny zapach – kiedy tak sobie wędrowała, zobaczyła nagle górującą nad drzewami szarą wieżę. Nuca trzymała w ręku bukiet świeżo zerwanych kwiatów i ze względu na nie miała już wracać, ale właśnie dostrzegła tę wieżę i przypomniała sobie, że już kiedyś ją widziała. Stała wówczas z Teofilem po drugiej stronie Fiád, a mężczyzna powiedział, że tam jest kościół. Pamiętała też, że już wtedy wiedziała, że wróci w to miejsce.

Ano ruszyła w kierunku kościoła. Wcześniej musiała się opuścić do wąskiego potoku, a za nim wspiąć się jarem. W dole, wzdłuż potoku stało kilka domów, jasne gonty dachów przeświecały przez drzewa. Potem, kiedy Nuca szła w górę, domy znikły i znów był tylko las.

Dotarła wysoko na górski grzbiet, lecz nigdzie nie widziała kościoła. Znalazła tam tylko ścieżkę, dość szeroką i wydeptaną. Ruszyła nią tak na chybił trafił. I nagle las rozwarł się, pomiędzy drzewami zajaśniała mała okrągła polana, a na niej, pośrodku, stał kościół. Stary i poszarzały.

Trochę ciężkawy, jako że jego ściany zbito niegdyś z nieobrobionych pni. Lecz wiosenne słońce chyba sypnęło na tę polanę cały swój blask. Trawa wręcz się żarzyła i płonęły w niej kwiaty. Pod drzewami znajdowało się również kilka mogił z prostymi drewnianymi krzyżami. A na trawie porastającej mogiły pasła się sarna.

Przez kilka chwil Nuca z kwiatami w rękach znieruchomiała, jakby nogi wrosły jej w ziemię, i patrzyła na osamotniony kościół. Miała wrażenie, że przeszła długą, bardzo długą drogę po to, żeby tu dojść, że od miesięcy i lat wciąż szła przez góry i lasy, przez czas i zdarzenia, żeby wreszcie tu dotrzeć.

Stała i patrzyła, jakby pierwszy raz zobaczyła kościół. Jakby na całej ziemi nie było innego kościoła, tylko ten jeden tutaj. Szary, ciężkawy, jeden jedyny pośród lasów i samotny na ziemi, ale na swej smukłej i ostrej wieży ma znak Boga skierowany ku górze.

W pewien sposób jakby to sam Pan Bóg mieszkał w tym domu, a ona musiała tyle przejść przez góry i przez lata, żeby w końcu dotrzeć na polanę, na której On mieszka.

Sarna poszła teraz paść się dalej pośród drzew. Było całkiem bezwietrznie. Gdzieś odezwał się drozd, ale ciszej niż zwykle. A kobieta, z bukietem kwiatów w rękach, z wolna ruszyła przez polanę w kierunku kościoła.

Szła bosy. Pod jej stopami delikatnie kłoniła się murawa. Ze wszystkich stron wiodły tam ścieżki i wszystkie one zbiegały się przed kościołem, podobnie jak płaje wydeptane przez dziką zwierzynę zbiegają się przy dobrych źródłach. Tyle że tutaj źródło nie tryskało z ziemi, a jakoś tak było w powietrzu, w ciszy, która otaczała kościół. Ale było tam na pewno.

Zatrzymała się przed wydeptanym progiem kościoła. Drzwi były otwarte. Zajrzała do środka. Panował tam miękki półmrok, poprzecinany pasmami światła słonecznego, pięknie zabarwionego dzięki kolorowym szybom w oknach. Kilka ciemnych obrazów, zacierających kształty. Łagodne oblicza. Dziwny, ciężki zapach. Ławki.

Powoli weszła do środka. Stąpała tak ostrożnie, że śladem jej kroków nie powstawał najmniejszy szmer. Trzymała przed sobą kwiaty jak ktoś, kto przyniósł podarunek i tak oto prosi, by go wpuszczono.

Gdzieś w drewnie zachrobotał kornik. Obrazy, wszędzie obrazy. I ciężkie ciemne sztandary, oparte o ścianę w kącie. Czyżby i ci przegrali wojnę, jak ów mały brodaty staruszek, Abraham Rotter?

Cicho zatrzeszczała deska w podłodze. I naraz stał tam człowiek w błękitnym płaszczu, wokół jego głowy kłębiła się jakaś lśniąca mgła, a on patrzył prosto na nią. Prosto w jej oczy.

Czy był to obraz? Czy żywy człowiek? Jego oczy żyły. Czują ich spojrzenie. Nigdy jeszcze nie czuła czyjegoś wzroku tak mocno jak w przypadku tego człowieka.

Miał niebieskie oczy, przenikliwe niebieskie oczy. Ona też w nie wejrzała, jednak tamte oczy miały większą moc aniżeli jej własne, i poczuła, że ona sama nie jest przed tymi oczami niczym więcej jak tylko kroplą wody ze źródła. Niebieskie oczy wejrzały w nią głęboko, bardzo głęboko. I nawet coś powiedziały, ale jeszcze nie potrafiła zrozumieć co. Czują tylko, że mówiły o męce i dobroci, i o tym, że nie można uczynić nic innego, jak tylko kochać.

Długo tam stała. Wreszcie powoli położyła kwiaty u stóp człowieka o niebieskich oczach.

W tym momencie coś się poruszyło. Cisza pękła na dwoje. Zadudniły kroki. O ściany uderzył ludzki głos. Mięśnie kobiety drgnęły do ucieczki, jednak tam w drzwiach ktoś już stał. Ktoś w czerni. Ich oczy spotkały się. Lecz tamte oczy nie były niebieskie.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! – rozległ się niski, dźwięczny głos i człowiek w czerni zdjął kapelusz i wszedł do środka.

Za nim nadciągnęli ludzie, ciężkawy tupiąc nogami. Jeden po drugim zdejmowali kapelusze i postępowali dalej. Żegnali się, siadali w ławkach. Nadeszły też kobiety, pochylone, w chustkach na głowach. Jakiś człowiek dudniącymi krokami wszedł po schodach przy wejściu wysoko, aż na wieżę, i niezadługo tam

w górze zadźwięczał dzwon o czystych tonach. I powoli nadchodzili kolejni ludzie. Po dwóch, po trzech, zegnali się i siadali. Był pośród nich taki, którego znała. I ten był u nich na górze... i tamten... ta kobieta z powodu męża, tamta z powodu dziecka, a tamten w sprawie żony... same kłopoty, troski i smutki, same ponure sprawy. I dopiero teraz przychodzą tutaj? Czemu wcześniej nie przyszli do tego człowieka o niebieskich oczach? Czemu szli do niej, do biednej, prostej kobiety, skoro tu jest ktoś, kto jest po stokroć większy i po stokroć potężniejszy, i kto naprawdę wszystko wie i umie, i wszystko może uleczyć?...

Drgnęła. Ów niski, dźwięczny głos przemówił teraz przy jej uchu:

– To ty przyniosłaś te kwiaty?

– Tak.

– Gdzie mieszkasz? Jeszcze cię dotąd nie widziałem.

– W dolinie Fekete.

– Tak? W dolinie Fekete? W takim razie, jak myślę, jesteś tą, o której już słyszałem to i owo. No popatrz, popatrz! I przysłaś tu i przyniosłaś kwiaty?

Wygolone na gładko śniade oblicze uśmiechało się, lecz w oczach brakowało uśmiechu. Ta twarz była młoda, krągła i bez jednej zmarszczki. Jednak w oczach malowała się starość, rozterka i podejrzliwa srogość. Kobieta wzdrygnęła się i bezwiednie cofnęła się o krok.

– Idź, usiądź w ławce! Tam po drugiej stronie, pośród kobiet. Ktoś zrobił jej miejsce obok siebie. Usiadła. Czowała spojrzenia ludzi, ale nie był to zły wzrok. Niektórzy szeptali do siebie. Posłyszała nawet słowa: „To ta wieszczka... wieszczka...”.

Mężczyzna w czerni wdział jakiś strój, następnie zapalił cztery wysokie woskowe świece. Gdzieś w górze jakiś człowiek zaczął śpiewać. Nie było go widać, tylko z wysoka szedł w dół jego chrypiący głos. Mało subtelny był ten jego głos.

Bije swoją żonę – pomyślała Nuca i nawet sama zadziwiła się tą myślą.

Ludzie uklękli, tylko ona pozostała w pozycji siedzącej. Ktoś z przyganą spojrział na nią z boku. Zaczerwieniła się i skuliła w ławce, żeby zrobić się mniejsza. Człowiek w czerni tam z przodu zaczął mówić w jakimś obcym języku i przy tym wykonywał rozmaite gesty.

– Patrz na mnie i rób to, co ja – szepnęła do niej kobieta, która się trochę przesunęła, robiąc jej miejsce obok siebie.

Była to starsza kobieta w czarnej chustce na głowie. Odzienie miała nieco znoszone, jednak czyste i schludne. Wyglądała na jedną z tych uboższych kobiet. Jej okrągłą śniadą twarz znaczyły już zmarszczki, ale oczy wciąż były młode. Brązowe, mądre, życzliwe oczy. Całkowite przeciwieństwo tamtych poprzednich. Tamtych starych oczu, mieszkających w młodej twarzy. Nucę znów przeszedł dreszcz, gdy o nich pomyślała. Było w nich coś, jednak nie potrafiła odgadnąć co.

Miała ochotę zobaczyć je raz jeszcze. Bała się ich jakimś nieznanym lękiem, a mimo to pragnęła, aby dane jej było wejrzeć w nie. Im więcej o nich myślała, tym bardziej odczuwała to, że są przerażające, i tym bardziej pragnęła w nie wejrzeć.

Człowiek w czerni tam z przodu odwrócił się twarzą do ludzi i zaczął mówić. Teraz już można było zrozumieć jego słowa. Niskim, dźwięcznym głosem wypełnił drewniany kościółek, wręcz rozpieął jego ściany.

Nuca z trudem nadążała za tą mową. Nie odnajdywała związków, sens spraw ginął czasem w jakiejś mgle i nie mogła go stamtąd wydobyć. Ów człowiek mówił o grzechu, który pod postacią węża podąża wszędzie śladem człowieka. Bardzo ją to zdziwiło, bo nie potrafiła zrozumieć, jaki związek z ludzkimi grzechami może mieć zwykłe zwierzę. Następnie mówił o różnych grzechach i wypowiedział też coś takiego: „rozpusta”, „zabobon”.

Nareszcie ktoś tam w górze raz jeszcze zaśpiewał i nastąpił koniec. Ludzie tłoczyli się do wyjścia. Pociągnęli ją z sobą. Przy drzwiach pewien stary człowiek o niekształtnej twarzy trzymał małą metalową puszkę i wszyscy wrzucali do tej puszki pieniądze. Nuca nie miała przy sobie pieniędzy. Zatrzymała się, zaczerwieniona. Stary człowiek spojrzął na nią.

– Nie mam przy sobie pieniędzy, ale powiedzcie, gdzie mieszkacie, to zaniosę je tam...

Stary tylko skinął głową, żeby ustąpiła miejsca innym. Ze spuszczoną głową, zalękniona, czym prędzej wydostała się za drzwi. Na dworze świeciło słońce. Wszystko było inne. Lśniła murawa i uśmiechały się kwiaty.

Jedni ludzie zbili się w małe grupki. Inni ruszyli ścieżkami do domów. Ktoś rzucił:

- Dobrze będzie siano w tym roku... Ktoś powiedział do swojego sąsiada:
- Popatrz, to ta wieszczka, która przepowiedziała Girgucom, że...
- Słuchaj, jutro będziemy zwozić drewno z Dósz! – ktoś głośno zawołał za jednym z odchodzących.

Przeszkadzały jej te rozmaite rozmowy. Chciała być sama; czuła, że ma wiele do przemyślenia. Powoli ruszyła w stronę lasu. Nie ścieżką, tylko o tak, przez murawę.

Raptem zawahała się i przystanęła. Czuła, że musi się obejrzeć, musi spojrzeć wstecz. Coś jej to nakazywało. Z wolna odwróciła głowę. Jej oczy spotkały się z oczami tamtego człowieka w czerni. Stał w drzwiach kościoła i przyglądał się jej. Jego wzrok ją przeszywał. W końcu podniósł rękę i skinął na nią.

- Wróć tu! No wróćże!
- Jej nogi okazały posłuszeństwo, lecz serce biło w przestkach.
- Chodź ścieżką, kobieto – głośno przemówił ksiądz, tak, żeby usłyszeli go również ludzie stojący w pobliżu – nie depcz trawy kościoła.

Po czym półgłosem, rozkazująco wymamrotał:

– Bądź tu jutro po południu! Rozumiesz? Mam z tobą do pomówienia.

Było coś w jego oczach, lecz nie mogła wyczytać co. Było w nich coś, od czego przechodziły ciarki. Coś, czego należało się obawiać.

– Dobrze – odpowiedziała cicho i spuściła głowę. I wiedziała, że tu przyjdzie.

A potem podążyła jedną ze ścieżek, aż dotarła do lasu. Tam szybko weszła pod drzewa. Nie odwróciła się, choć czuła, że ktoś stoi przed kościołem i czeka, żeby spojrzęła wstecz.

Nie pamiętała później, w jaki sposób dotarła do domu, naraz po prostu stała przed werandą. Wielki pies o płowej sierści, leżący tam, gdzie zazwyczaj, podniósł głowę i ziewnął. Kobieta odwróciła się i spojrzęła na las. Świeciło słońce, w powietrzu panował spokój, niebo było niebieskie i czyste. Lecz mimo wszystko czuła, że coś jest inaczej. Gdzieś pośród drzew przyczaiła się tajemnica. W błękitie nieba, w powietrzu, nie wiadomo gdzie, jednak była tam. W ciszy postukiwał dzięcioł, szybko, nerwowo. I nawet owo stukanie uciekało po czubkach drzew, tak jak ucieka ktoś, kto się boi, kto się śpieszy, lecz nie wie dokąd.

Następnego popołudnia zjawiła się na polanie przy kościele. Sama nie wiedziała, dlaczego tam poszła. Jednak musiała pójść, nie mogła postąpić inaczej. Słońce stało jeszcze wysoko, mieniły się żółtą traw, a kwiaty szeptem potakiwały na wietrze, który szedł od strony Cibles, przynosząc z sobą jedwabisty pył kwitnących choin oraz zapach wydychany przez zakochane drzewa.

Pod skrajnymi choinami Nuca zatrzymała się. Polana była pusta. Drewniany kościółek stał szary i samotny. Jego drzwi były otwarte, jak zawsze, ale czuło się, że tam w środku nie ma nikogo, są tam jedynie chłodny półmrok i owa ciężka woń zwiędłych kwiatów, przyniesionych przez ludzi odzianych w odświętne ubrania.

Stała tam jakiś czas i patrzyła na kościół i polanę. Nie odczuwała już żadnego niepokoju. Wokół niej unosił się w powietrzu raczej jakiś letni smutek, jakieś milczące pogodzenie się z czymś nieodwracalnym, z tym, co ma nadejść, a co na razie da się jedynie przeczuć, choć już dawno zrodziło się w czeluści czasów i oto zbliża się, i nie można tego zatrzymać.

W letnim cieniu choiny poczuła wreszcie znużenie. Legła na miękkiej murawie, przymknęła oczy i wsłuchiwała się w drzewa, wzdychające cicho i miłośnie. Gdzieś brzęczał owad, a trawa miała usypiający zapach szaławii i ten zapach w pewien sposób przypominał Komárnyk po sianokosach.

Nagle usłyszała szmer. Polaną ktoś nadchodził, a śladem jego kroków cicho szumiały żółtą traw. Wiedziała, kto to idzie, i nie otwierała oczu. Kroki zatrzymały się. Przez kilka chwil panowała cisza.

– Śpisz? – zapytał niski, dźwięczny głos mężczyzny.

– Nie – odpowiedziała i otworzyła oczy. Spojrzęła na człowieka w czerni.

Nie uśmiechała się, ale też się nie bała, tylko przyglądała się jego twarzy, która się uśmiechała. Oczom, które były śmiertelnie poważne, a w ich śmiertelnej powadze malowała się tajemnica, przed którą nie było ucieczki.

– No to chodź!

Z tymi słowami ruszył w las, pełen buty i pewności siebie, jak zwycięzca. Kobieta podniosła się z ziemi, cicho westchnęła, wygładziła sobie odzienie i posłusznie podążyła za mężczyzną.

Później, gdy siedzieli obok siebie w zaroślach, mężczyzna tak zaczął:

– Słuchaj! Właściwie to powinienem kazać żandarmom, żeby cię zaaresztowali.

Kobieta patrzyła przed siebie w zamyśleniu. Może nawet i nie dosłyszała tych słów, każdego z osobna, a jedynie poczuła ich sens. Skinęła głową.

– Jesteśmy wrogami – szepnęła. Mężczyzna roześmiał się w głos.

– Co masz na myśli?

– Jesteśmy wrogami. Ty i ja.

– Przez to, co wcześniej powiedziałem?

Mężczyzna śmiał się. Kobieta podniosła głowę i wejrzała mu w oczy. Jego oczy nie śmiały się, śmiały się tylko usta, twarz. Oczy nie. Oczy były posępne.

– Nie. Wiedziałam o tym od pierwszej chwili. Odkąd ciebie zobaczyłam. Twoje oczy...

– Posłuchaj – mężczyzna zaczął tłumaczyć z powagą – to, co ty tu uprawiasz z ludźmi, to znachorstwo. Coś podobnego robią stare Cyganichy, z korzeniami i różnymi takimi zabobonami. Prawo tego zabrania.

Oczy kobiety rozwarły się w zdumieniu.

– Jakie prawo?

– Prawo państwa. Cudów nie ma, więc kto czymś takim bałamuci łatwowiernych ludzi, ten ich oszukuje. Dlatego też prawo ściga znachorów takich jak ty. Ja na ciebie nie doniosę, ale uważaj...

– A więc to tak... – wyrzekła półgłosem, przed siebie, jak ktoś, kto dowiedział się czegoś, co do tej pory pozostawało tajemnicą.

– Słyszysz zresztą, że jesteś sprytna – rzekł mężczyzna i znów się roześmiał – rozumiem historię z tym młodzieńcem, który zniknął. Przypadkiem dowiedziałas się od Stenków o tej sprawie. Zgoda. Ale jak umarł mąż tamtej staruszki? Jeśli ktoś może to wiedzieć, to tylko sam Pan Bóg. W każdym razie dobrze zrobiłaś, że pogodziłaś ją ze szwagrem. Jesteś mądrą kobietą, jak widzę. Ale co się tyczy tamtej choroby od borsuczej skóry, tego to już nie rozumiem. Dlaczego trzeba było tak zrobić?

– Nie mówmy o tym!

– Ależ jednak pomówmy o tym! Popatrz, ja ukończyłem szkoły, ale nigdy nie słyszałem, żeby ktoś zachorował od borsuczej skóry. Pytałem o to i lekarzy, ale

oni śmiali się z tego. Więc wytłumacz mi to!

Było w jego głosie coś, co zwróciło uwagę kobiety i obudziło w niej sprzeciw.

– Co mam powiedzieć?

Jej głos zabrzmiał teraz już jak wyzwanie do walki. Na to mężczyzna zarechotał i podle rozbłysły mu oczy.

– Czemu zachoruje ktoś, kto trzyma borsuczą skórę pod łóżkiem?

– Ja nie wiem, czemu zachoruje, i nigdy też nie mówiłam, że zachoruje. Ja tylko wiem to, że właśnie od tego była chora ta kobieta. A czemu, to już nie moja sprawa.

– No a czyja?

Jego głos był już ostry i zaczepny. Usta kobiety wykrzywiły się.

– Ty powinieneś wiedzieć to lepiej aniżeli ja.

– Co? Czemuż to, co?

– Bo tam już zaczyna się Bóg.

Człowiek w czerni przestał się śmiać. Jego twarz nabrała twardego wyrazu, usta zaś wykrzywiły mu się w okrutnym grymasie.

– Boga to ty zostaw w spokoju! Nie wiesz, kim on jest, więc zamilcz.

– Nie wiem, kim on jest? – Nuca roześmiała się. – A czyż istnieje ktoś taki, kto nie wie, kim jest Bóg? Widzi błękitne niebo, drzewa, kwiaty i nie wie, kim jest Bóg? Na własnej skórze czuje promienie słońca i wiatr, i deszcz, w nozdrzach wiosnę, w uszach potoki, widzi wieczory, widzi poranki, gwiazdy nocą i wszystko wokoło, i nie wie, kim jest Bóg? Ha, ha, ha, ha! A czyż istnieje i ktoś taki?

– Z czego się tak naśmiewasz? – mężczyzna fuknął na nią ostro. – Zamilcz! Niech mi tu nie opowiada o Bogu jakaś znachorka o złej sławie, rozpustnica jedna!

Kobiecie utknęło w uchu owo nieznane słowo. Spotkała się z nim po raz drugi, w obu wypadkach wyszło ono z ust tego człowieka.

– Rozpustnica? Co to znaczy? Raz już mówiłeś o tym, ale wtedy też nie wiedziałam.

– Rozpustnicą jest taka białogłowa, która uprawia miłość z każdym. Teraz już wiesz?

– Która uprawia miłość z tobą?

– Nie ze mną, tylko z każdym.

– Słowem z tobą też. A może z tobą nie? Tej, która robi to z tobą, nie nazywają tak?

– Głupia jesteś – mężczyzna znów fuknął i wstał z ziemi. Strzepnął z ubrania igły choiny, które tam przywarły.

Kobieta roześmiała się. Podniosła suchą szyszczkę i rzuciła nią w mężczyznę. Trafiała go prosto w nos. Mężczyzna ze złością wyciągnął rękę za szyszczką, lecz jej nie sięgnął.

– Zbiję ciebie, ty! Uważaj, bo ciebie zbiję!

– Znachorkę czy rozpustnicę? – zaśmiała się kobieta. Mężczyzna coś odburknął i rzucił się ku niej. Lecz ona jednym zręcznym ruchem wymknęła mu się z rąk i już była na nogach, po czym przemknąwszy jak jaszczurka, ruszyła biegiem w dół przez gęstwinę. Mężczyzna pobiegł za nią z hałasem.

– Stój, zatrzymaj się, no zatrzymaj się!

Kobieta biegła w dół lasem, cicho chichocząc. Niekiedy czekała na tego, który ją ścigał, żeby w ostatnim momencie znów wymknąć mu się z rąk. Igrała z nim. Wabiła go. Potokiem w dół. Stromizną w górę. Znów w dół. Znów w górę. Mężczyzna ciężko już dyszał, charczał, oczy przesłoniła mu jakaś dziwna, dzika mgła, ręce zacisnęły się w pięści, zęby niekiedy zgrzytały z wściekłości.

Naraz znaleźli się na górskim grzbiecie, który biegł w dół z Cibles i zwany był w tamtych stronach Ördöghegy, Diabelska Góra. Kobieta skakała z kamienia na kamień, mężczyzna zaś mknął jej śladem. Potykał się, upadał, wstawał, znów pędził. Twarz otarło mu któreś drzewo, kolano uderzyło w skałę. Mimo to wciąż gnał za kobietą jak szalony.

Górski grzbiet urwał się raptownie. Kobieta stała na skraju wąskiej grani. Pod nią, w czeluści, od której kręciło się w głowie, widać było czarne wierzchołki choin, a dalej poza urwiskiem, w odległości dobrych pięciu kroków, chyliła się ku otchłani wątła brzoza, na wpół już wyrwana, na wpół jeszcze kurczowo wczepiona w pęknięcia skały tam naprzeciwko.

– Mam ciebie teraz! – wycharczał mężczyzna i wyciągnął rękę, by pochwycić kobietę.

Ona zaś roześmiała się w głos, po czym jednym susem przeskoczyła ponad urwiskiem, a jej ręce chwyciły się skrajnych gałęzi pochylonej w przód brzozy. Brzoza zatrzęszczała, pękło jej kilka korzeni i drzewko, jęknąwszy pod ciężarem, jeszcze mocniej pochyliło się ku otchłani.

– A żebyś tak zdechła, a żebyś tak zdechła! – mężczyzna, stojąc na skale po drugiej stronie, wycharczał w tak dzikiej wściekłości, że aż zazgrzytały mu zęby i patrzył, wytrzeszczonymi, nabiegłymi krwią oczami, na kobietę, która na cienkiej gałęzi brzozy huśtała się ponad śmiercią.

Ona zaś roześmiała się szyderczo.

– No chodź! Skocz i ty! Zobaczmy, czy i ciebie Bóg zachowa, czy nie. Bo mnie zachowuje, sam widzisz.

– Bodajbyś zdechła!

– Jeśli chce, żebym umarła, to przecież drzewo się urwie. A jeśli tego nie chce, to się nie urwie!

Z tymi słowami poczęła się huśtać na gałęzi brzozy. Znów pękło kilka korzeni. Poleciały w dół pokruszone kamyki i mech. Lecz drzewo wytrzymało ciężar.

– Chodź tutaj, człowieku w czerni, skoro wierzysz w Boga! Mężczyzna jak skamieniały stał kilka chwil na skalnej krawędzi i wlepił wzrok w kobietę huśtającą się ponad przepaścią. Wreszcie zachwiał się jak ktoś, komu zakręciło się w głowie. Obiema rękami przysłonił sobie oczy, odwrócił się i przygarbiwszy ramiona, niepewnym krokiem ruszył z powrotem po górskim grzbiecie. Śmiech kobiety pobrzmiwał za nim niczym szyderczy dzwon. Nuca huśtała się i śmiała. Była szczęśliwa, bo czuła, że zwyciężyła.

Dwa dni potem przyczłapała na górę do doliny Fekete starucha o lisiej twarzy. Chyłkiem podeszła nieopodal domu i chciała rozmawiać z wieszczką, ale wyłącznie w cztery oczy. Tak powiedziała Teofilowi, który akurat wtedy zszedł na dół ze zwierzętami, żeby odpocząć w południe.

Nuca wyszła z domu. Stanęły z boku, u węgła domu. Starucha o lisiej twarzy nachyliła się do niej i bezzębnymi ustami wyszeptała:

– Ksiądz ojczulek przekazuje ci, że czeka na ciebie w kościele dziś wieczorem... Nie pożałujesz – dodała – dobrze zapłaci, wiem ci ja to...

Nuca bez słowa odwróciła się i z powrotem weszła do domu. Następnego dnia starucha znów tam była.

– Ksiądz ojczulek bardzo się na ciebie gniewa i przekazuje ci, żebyś dziś wieczorem zjawiała się tam, bo jak nie...

– Tam, ciociu, jest ścieżka na dół – odparła Nuca – a śpieszcie się, bo wasza kura właśnie zniosła jajo i dzieci sąsiadów mogą je ukraść.

W niedzielę zaś ksiądz w drewnianym kościele skarcił z ambony „wieszczkę”. Ze świętego gniewu piana wystąpiła mu na usta, a od jego grzmiącego głosu drżały liche malowane okna. Przeklinał zabobony i grzechy rozpusty, i oszukańcze znachorstwo, i bezbożne czary, które wyczynia owa kobieta z doliny Fekete, i piekielnymi mękami zagroził każdemu, kto pójdzie do niej po radę. Powiedział też, że w starym, dobrym chrześcijańskim świecie palono taką na stosie, ale i teraz są jeszcze żandarmi i jeśli nie skończą się te grzeszne konszachty, to nakaze, żeby ową czarownicę zakuli w żelazo i zabrali do więzienia, a wraz z nią wszystkich, którzy o radę zwracają się do niej zamiast do kościoła Pana Boga.

Mniej więcej coś takiego mówił ksiądz. O tym wszystkim dowiedział się Teofil, gdy we wtorek zszedł z koniem do Telcs i wracając potem doliną Fiád na górę, napotkał ludzi, których już znał. Ze strachem opowiedzieli mu o kazaniu księdza, a i to jedynie z życzliwości, żeby tam wysoko, w Czarnej Dolinie bardziej uważano.

W Teofilu rozgorzał gniew. Wielkimi krokami pokuśtykał ścieżką w górę, koń ledwie za nim nadążał. Nuca rozwieszała na słońcu pranie, żeby szybciej wyschło. Kiedy usłyszała o całej tej sprawie, tylko tyle powiedziała:

– To mój wróg, wiedziałam o tym od pierwszej chwili. Każdy na tym świecie, Teofilu, ma jakiegoś wielkiego wroga. Wielu nigdy się z nim nie spotka.

Ja się spotkałam.

– Podpalę mu dom tak, żeby w nim spłonął – burknął kuternoga – zabiję go!
Kobieta uśmiechnęła się smutno.

– Przestań, Teofilu. Z tym jednym każdy sam musi się uporać, jak już się z nim spotka. Może i ja od tego umrę, a może i on. Zależy, kto z nas silniejszy. W pierwszej walce ja byłam silniejsza.

– Biliście się? – przestraszył się Teofil.

– Nie tak – roześmiała się Nuca – nie tak, jak myślisz. To była inna walka. Trudniejsza. Ale ty tego i tak nie zrozumiesz.

Kazanie księdza odniosło jednak skutek. W tamtym tygodniu nikt nie przyszedł na górę do doliny Fekete, żeby prosić o radę. Ludzie bali się. Nie Boga, bo wiedzieli, że ten nie ma z tym nic wspólnego. Bali się języka księdza. No i żandarmów.

W tamtym tygodniu kobieta ściśle pilnowała dni. Każdego dnia pytała: jaki dzisiaj dzień? Ten i ten, prawda? A w niedzielę rano wdziała czyste ubranie. Rozpuściła włosy, wyczesła je. Nie włożyła na głowę chustki, tylko wieniec uwity z białych złocieni. Potem poprosiła o pieniądze.

– Dokąd idziesz? – zdziwił się Bandilla.

– Idę do kościoła.

Bandilla nie odezwał się więcej. Spuścił głowę, westchnął i wszedł do domu. Następnie wyniósł dwie srebrne monety.

– Jedną daj za mnie! – rzekł półgłosem, jakby wstydził się czegoś.

– Mam ciebie odprowadzić? – zapytał Teofil, a oczy dziwnie mu załśniły.

– Nie, Teofilu, pójdę sama.

– Ale gdyby cię coś spotkało... Nuca spojrzała nań, kręcąc głową.

– Powiedziałam już, Teofilu. Z tym trzeba uporać się samemu, od początku do końca. Tylko samemu.

– Jesteś bardzo piękna – ze smutkiem rzekł kuternoga.

Idąc lasem, zebrała jeszcze bukiet kwiatów. Rozkwitały już i dzwonki, te wielkie, błękitne. A w miejscu, gdzie musiało być jakieś źródło, znalazła także małe, czerwone kwiaty. Ich płomiennoczerwone kiście gęsto powtykała sobie w rozpuszczone długie włosy. Było duszne przedpołudnie. Powietrze stało nieruchome, ciężkie, panowała duchota. Wręcz słychać było drzewa, jak w niej dyszały. Gdzieś w oddali, za górskimi grzbietami Mármaros, jakby coś zagrzmiało. Ale możliwe, że był to tylko przenikający przez ciszę, przytłumiony huk dalekich potoków.

Nuca była jeszcze w lesie, kiedy rozległ się dzwon. Dziwnie ciskał się jego głos po lesie, w podnieceniu, jakby to ptak, jasnoniebieski ptak o czystych piórach bił skrzydłami gdzieś pośród czarnych drzew. I chciał się wzbić wysoko, lecz skrzydła miał ciężkie – coś uniemożliwiało im ruch.

Nim wyszła na polanę, wokół kościoła nie było już ludzi. Z wnętrza dochodził śpiew człowieka o chrypiącym głosie, ale po chwili zapadła cisza. Nuca powoli przeszła przez wysoką trawę aż do drzwi kościoła. W progu przy wejściu, jak poprzednio, stał ów stary człowiek o surowej twarzy, z metalową puszką w ręce, ale nie obejrzał się. Nikt się nie obejrzał. Mężczyźni i kobiety siedzieli w ławkach, bogobojnie pochyliwszy głowy, a tam z przodu ksiądz w zdobnej szacie pokazywał jedynie plecy. Robił swoje pomiędzy czterema płonącymi świecami, niskim, melodyjnym głosem wypowiadając obce słowa. Ponad nim wystawał obraz człowieka w błękitnym płaszczu, z lśniąca mgłą dokoła głowy, a błękitne oczy na łagodnej twarzy tego człowieka patrzyły wprost ku drzwiom, jakby mówiły: czekałem na ciebie, kobieto.

Gdy zatrzymała się w drzwiach, za plecami ludzi, serce zabiło jej trochę mocniej. Ale potem wejrzała w te przenikliwe, spokojne błękitne oczy i naraz poczuła, że nie jest sama. Był tam w pobliżu ktoś jeszcze. Ktoś, kto jest silniejszy od wszystkich. I to przepełniło ją poczuciem bezpieczeństwa.

Stała w drzwiach i czekała. W kościele panował chłodny półmrok, a na pochylone ku ławkom głowy kolorowe okna rzuciły osobliwe pasma światła. Gdzieś w oddali, za górami zagrzmiało. Ponad trawami przemknął wiatr, słychać było jego szum. I słychać było drzewa, jak pod nim westchnęły.

Ksiądz, tam z przodu, zwrócił się twarzą do ludzi. Oblicze miał posępne i surowe, jego dłonie przylgnęły do siebie w modlitewnym geście, usta rozwarły się, by wypowiedzieć słowo, i wówczas ponad pokornie przygiętymi głowami wiernych jego oczy dostrzegły kobietę. Ksiądz wbił wzrok w drzwi, jakby ujrzał ducha. Nuca zaś stała tam z podniesioną głową i uśmiechała się.

Na długo zapadła cisza. Kilkoro spośród wiernych poszło śladem osłupiałego spojrzenia księdza i obejrzało się. Popatrzył w tył także i ów stary człowiek, stojący w wejściu z metalową puszką, i zlustrował kobietę od stóp do głowy.

Wszystkie oczy skierowały się na nią. A ksiądz wciąż jeszcze milczał.

Wówczas z wolna ruszyła środkiem, mijając po kolei wszystkie rzędy ławek, na wprost człowieka w czerni. Szła powolnym, miękkim krokiem, tylko odzienie lekko jej szeleściło. Długie, rozpuszczone złocistopłowe włosy delikatnie falowały za nią, a wianek na jej czole wręcz rzucał blask. W rękach trzymała bukiet kwiatów, nie patrzyła ani na prawo, ani na lewo, tylko prosto przed siebie, ponad głową człowieka w czerni, w tamte pełne zachęty, przenikliwe błękitne oczy.

Za jej plecami głowy pochylały się ku sobie. Rodziły się szept. „Piękna jest niczym anioł” – całkiem dosłyszalnie wymamrotała jakaś staruszka.

Złożone w modlitewnym geście dłonie księdza rozdzieliły się gwałtownie. Ksiądz uniósł je przed siebie w geście protestu. Usta mu się wykrzywiły, twarz pociemniała z wściekłości.

– Zatrzymaj się, ty grzeszna kobieto! – zagrzmiał takim głosem, że aż

zadrzały szyby w lichych oknach. – Odejdź z tego poświęconego przybytku, córko szatana!

Po tych słowach zaległa cisza przepelniona zdumieniem. Ludzie zeszywnieli w osłupieniu. Kobieta nawet nie zadrzała, tylko szła dalej. Była już przy pierwszych rzędach, ledwie kilka kroków od księdza, gdy jej czysty, dźwięczny głos melodyjnie przeciągnął ponad głowami ludzi:

– Na próżno mnie wzywałeś, człowieku w czerni, żeby się kochać, nie do ciebie przyszedłem. Przyszedłem do tego, do którego należy ten dom. I kto ciebie odgoni od siebie, gdy nadejdzie po temu czas, jak zwykle się czynić ze złym sługą.

Owe słowa przetoczyły się w ciszy po całym kościele i jakby towarzyszyły im olbrzymie organy, jako że na dworze zagrzmiała nadchodząca burza. W ludziach zadrzały dusze. Czuli, że dzieje się wokół nich jakaś straszliwie wielka rzecz. Ksiądz podniósł rękę do czoła, oczy wyszły mu z orbit, brzegi warg zbieleły. Kobieta zaś powoli postąpiła dalej, minęła księdza, jakby wcale go tam nie było, i położyła bukiet kwiatów pod obrazem z człowiekiem o błękitnych oczach. Przez chwilę stała tam nieruchomo, po czym podniosła nań wzrok.

– Ludzie! – wrzasnął ksiądz. – Będziecie znosić taką hańbę?! Zabijcie tę czarownicę, ukamienujcie ją, spalcie w ogniu stosu, jak czynili to wasi chrześcijańscy przodkowie!

Ale nikt się nie poruszył. Ludzie siedzieli w ławkach jak skamieniali. Okna zaciągnęły się mrokiem, w obrębie ścian kościoła zrobiło się wręcz ciemno. I słychać było wiatr i buczące pod nim drzewa tam na zewnątrz. Gdzieś w tylnych ławkach jęknęła jakaś staruszka:

– Ojej, biada nam, ojej!...

Kobieta zaś tam przed obrazem odwróciła się do ludzi.

– No – rzekła – zabijcie mnie, ukamienujcie!

Powiodła wzrokiem wokoło, ale nikt się nie poruszył. Wtedy wyskoczył naprzód ksiądz z twarzą wykrzywioną z wściekłości i podniósł pięść.

– Ano ja ciebie zabiję! – wrzasnął. Kobieta stała nieporuszona.

I w tej samej chwili potwornie mocno zagrzmiało niebo. Ściany kościoła zadrzały, jedno z okien potłukło się i z brzękiem wleciały do środka kawałki szkła, a ponad głowami ludzi przeleciał wiatr i czuć było w powietrzu nadchodzącą burzę. Pięść księdza zatrzymała się w górze. Jego twarz poszarzała niczym popiół, oczy w przestraszu szukały niewidzialnego wroga. Na kościół runął duszny mrok. Tę ciemnicę oślepiającym blaskiem przecięła błyskawica i jednocześnie z nią pękły na dwoje skały pod kościołem, huknęło w sposób tak ogłuszający, jakby powietrze, ściany, rzędy ławek doznały wstrząsu, z poruszonego sufitu posypał się na głowy ludzi pył, a olbrzymi, ciężki dębowy krzyż, tam przy ołtarzu, drgnął i z głuchym łoskotem zwałił się, grzebiąc pod sobą księdza.

Ludzie podskoczyli z ławek. Rozległy się okrzyki przerażenia. Ulewa

z łoskotem waliła w dach kościoła. Łomotało potłuczone okno i bez ustanku grzmiała wokoło ciemność.

Tylko Nuca stała nieruchomo i uśmiechała się. Nareszcie powolnym krokiem, dokładnie tak samo, jak przyszła, ruszyła w kierunku drzwi. Ludzie w przerażeniu rozstępowali się przed nią. Wielu modliło się w głos i żegnało się drżącymi rękoma. Nikt nie miał odwagi podejść do księdza, żeby wyciągnąć go spod krzyża.

Kobieta powoli przeszła obok wszystkich poruszonych z miejsca ławek. Przy drzwiach stał zbity tłum. Ludzie z pobielającymi ustami przyglądali się niebu. Odkryte głowy zwichrzył im wiatr. Ulewa lała się tak, że do połowy polany niczego nie było przez nią widać.

Stary człowiek, który trzymał metalową puszkę, wspierał się o ramę drzwi, pobladły, i mamrotał modlitwę. Nuca dotarła do niego. Ludzie rozsunęli się przed nią na boki i przyglądali się jej z wielkim lękiem w oczach.

– Nadstaw puszkę! – powiedziała do starego człowieka.

Po czym słychać było dwie srebrne monety, jak jedna za drugą stuknęły w dno puszek. Stary człowiek skinął głową i coś wybąkał. Kobieta stanęła w drzwiach. Jej długimi, rozpuszczonymi włosami załopotał wiatr. Wypadło z nich kilka małych czerwonych pierwiosnek i pofrunęło daleko pomiędzy ludzi.

Zatrzymawszy się w progu, Nuca spojrzała w górę. W tej samej chwili, jakby tylko od samego jej spojrzenia, czarne chmury rozsunęły się, ciemność ponad kościołem pękła i z nieba poleciało w dół pasmo ostrego, oślepiającego światła, prosto przed próg.

Ludzie, którzy widzieli to z wnętrza kościoła, do końca swych dni żegnali się, ilekroć im się to przypominało, i przysięgali, że ulewa rozstała się przed progiem kościoła, a kobieta przeszła przez polanę w promieniach słońca, podczas gdy po jej prawej i po jej lewej stronie deszcz lał jak z cebra. Tak oto odeszła z kościoła, przy tej fatalnej pogodzie, złotą ścieżką, z rozpuszczonymi, mieniącymi się włosami, z kwietnym wiankiem na głowie, uśmiechając się, a ponad nią błyszczała tęcza. A gdy kobieta dotarła do lasu, ołowiana zasłona ulewy zamknęła się za nią, znikło słońce i tęcza, wiatr zaś dalej ciskał się wściekle jeszcze przez długie, długie godziny.

Tak opowiadali to ludzie i żegnali się przy tym, jak się godzi, gdy mowa jest o świętych sprawach.

Cała okolica ruszyła w górę do doliny Fekete, do świętej kobiety. Każdy, kto tylko miał jakiś kłopot, troskę czy biedę, chciał widzieć świętą kobietę. Wszyscy oczekiwali od niej wyzdrowienia, pomocy, cudu. Nie tylko z Fiád; z Telcs, z Romuli, a nawet i z daleka, zza gór przychodzili ludzie, wszyscy, którzy coś słyszeli i na własne oczy chcieli zobaczyć kobietę, przed którą rozstępuje się ulewa i która mówi o przeszłości i przepowiada przyszłość.

I kobieta rzeczywiście opowiadała o przeszłości każdemu, kto tylko tę przeszłość chciał znać. Wiele razy mówiła też coś takiego, od czego ludzie się czerwienili i pośpiesznie rozglądali się wokoło, czy aby i kto inny tego nie posłyszał. W zmieszaniu przestępowali z nogi na nogę i ledwie mogli się doczekać, żeby odejść. Wielu osobom przepowiedziała też przyszłość. Lecz nie wszystkim. Jednemu tak powiedziała: „Nie szukaj czegoś, co Bóg ukrył przed twoimi oczami. Człowiek wszystkiego dowie się w porę i nikt nie umrze ani o minutę wcześniej, ani o minutę później, nim nadejdzie jego czas. Idź do domu, zajmuj się swoją robotą i staraj się być czysty i uczciwy, bo dla takich ludzi śmierć jest lżejsza”.

A gdy ów człowiek odchodził, patrzyła za nim dłuższą chwilę i smutne były jej oczy, bo widziała, że za tym człowiekiem podążają kłopoty i nieszczęścia, i że nic nie można na to poradzić. Lecz komu powiedziała: biegnij do domu, bo jutro stanie się to czy tamto... lub komu powiedziała: pójdź tu albo tam, a znajdziesz to i to... temu rzeczywiście zawsze przydarzało się to i rzeczywiście znajdował to, o czym mówiła. I niosła się dalej górami i dolinami wieść o tym, że święta kobieta z Czarnej Doliny potrafi wejrzeć w życie ludzi i przepowiedzieć przyszłość. I szli ludziska w górę doliną Fekete, i przynosili w sakwach kury, wypasione kaczkę, twaróg, słoninę, mąkę.

O księdzu z Fiád powiadano, że jeszcze tamtej niedzieli, gdy wydarzyła się ta historia, najął wóz i gdzieś odjechał. Głowę obwiązał sobie białą chustą, bo miał ranę od uderzenia powalonym krzyżem, i tak oto odszedł. Od tamtej pory o nim nie słyszano. A był taki, co przysięgał, że kiedy wyciągano księdza spod krzyża, wyraźnie widziano wystające spod czarnej szaty nogi, a te nogi nie były takie, jak u ludzi, lecz takie jak u kozy. Zakończone kopytami. Bo to wcale nie był ksiądz, tylko sam diabeł wcielony, i dlatego zwał się na niego krzyż Pana. Lecz byli także i rozsądniejsi, którzy na taką mowę kręcili głowami i mówili, że tamten krzyż był już lichy, spróchniały u podstawy, i dlatego zwał się go wiatr.

Wiele różnych rzeczy mówili ludzie, ale nikt nie wiedział, gdzie leży prawda. Jednak pewne było to, że nikt nie widział, żeby ksiądz wrócił, i przez trzy kolejne niedziele kościół pozostawał pusty.

Przez te trzy tygodnie Teofil wręcz promieniał.

– A jednak to ty zwyciężyłaś! Ajajaj! – powtarzał. – Wielkiego, sławnego wroga diabli wzięli! Niepotrzebnie tak się go bałaś.

– Jeszcze nie zwyciężyłam, Teofilu – odpowiadała wówczas kobieta, potrząsając głową – to się jeszcze nie skończyło, ja to wiem.

I rzeczywiście, to się nie skończyło. Na początku czwartego tygodnia w górę doliną Fekete nadeszli żandarmi.

Zbliżało się południe. Pod werandą siedziało sobie na murawie kilkoro mężczyzn i kobiet, czekających, aż Nuca upora się w domu z gotowaniem i wyjdzie do nich. Obok ludzi leżały sakwy. Słońce ciepło przygrzewało, na

przeciwnym skraju polany Teofil kosił trawę, akurat skończył rząd i szykował się z powrotem do domu, gdy w dole na ścieżce pojawili się żandarmi.

Było ich dwóch. Jeden młodszy, drugi starszy. Na wetkniętych w karabiny bagnetach pobłyskiwało słońce. Pobłyskiwało nerwowo, niebezpiecznie. Mężczyźni tam pod werandą zeszywnieli, a kobiety zbiły się w kupę. Ktoś wskoczył do domu.

– Idą żandarmi!

Nuca była w domu, sama. Wyjrzała przez drzwi, po czym skinęła na jedną z kobiet.

– Za szopą znajdziesz ścieżkę. Pobiegnij nią wysoko na połoninę! Napotkasz na niej mojego ojca z owcami. Powiedz mu, żeby tam został.

Kobieta pomknęła. Teofil przez kilka chwil głupkowato stał po drugiej stronie, na skraju skoszonej trawy, i przyglądał się idącemu w górę żandarmom, po czym z wolna przeszedł wzdłuż rzędu, jakby tylko czegoś szukał, i zniknął w lesie.

Żandarmi byli już blisko. Błyskały im bagnet, powiewały kogucie pióra na czakach. Ludzie w milczeniu siedzieli przed werandą, kobiety niespokojnie szeptały jedna do drugiej. Wielki płowy pies podniósł się z podłogi werandy i zaczął ujadać. Ktoś rzucił do niego półgłosem:

– Nie szczekaj, ty głupi! To są strasznie wielcy panowie... Lecz pies nadal szczekał. Aż mu się piana toczyła z pyska, tak ujadał. Nigdy jeszcze nie widział pobłyskującego bagnetu, czeka z koguciami piórami, munduru. No pewnie, że szczekał.

Żandarmi dotarli na górę. Zatrzymali się przed werandą i służbiście szarpnęli rzemieniami karabinów.

– A cóż wy tu macie do roboty?! – fuknął na ludzi starszy żandarm o wielkich czarnych wąsach i groźnej minie.

– Przechodziliśmy tędy, ano teraz odpoczywamy. Tyle to chyba wolno?

Tymczasem ten drugi, młodzieniec z podkreślonym wąsem, przyglądał się sakwom kobiet.

– Co w nich jest? Co?

– Ano jedzenie, a co ma być.

Jedna młoda gospodyni o ostrym języku rzuciła zaczepnie:

– A może myślicie, że w każdej schowane jest dziecko, co to zrobiliśmy je w sekrecie, żeby sąd się nie dowiedział.

Niektórzy zaśmiali się. Padały swawolne uwagi, każdy dodawał coś od siebie. Młody żandarm zaczerwienił się, starszy nerwowo szarpnął rzemieniem karabinu.

– Która to ta kobieta?

Ludzie spojrzeli po sobie znacząco.

– O jaką kobietę pytacie? – niewinnie zainteresował się starszy garbaty

mężczyzna. – Bo białogłów, tych jest ci tu pod dostatkiem.

– Która mieszka w tym domu. Ta znachorka!

Teraz już wszyscy patrzyli na kalekiego starca, żeby to on odpowiedział, skoro już zaczął. On zaś wykręcił głowę i spojrzał wstecz na dom.

– A i owszem, mieszka w tym domu jedna kobieta – odrzekł z wolna – ale czy to znachorka, czy nie, tego my nie możemy wiedzieć. Z pewnością będzie w środku, jak myślę, skoro tu mieszka, w tym domu...

Kroki żandarmów dudniły na schodach, gdy w drzwiach pojawiła się Nuca. Najpierw zawołała na psa, który wciąż jeszcze ujadał na werandzie, następnie zwróciła się do żandarmów:

– Kogo szukacie?

– Znachorki – odrzekł ten z wielkimi wąsami, przystając na werandzie. Zmierzył kobietę od stóp do głowy.

– A to kto? – kobieta ze zdziwieniem spojrzała na żandarma.

– Znachorka, która mieszka tu, w tym domu – odparł surowo. – Słuchaj no, nie udawaj, że nie wiesz! Na pewno i ty byłaś u niej po jakiś lek, żeby nie mieć dziecka, co?

Usta kobiety wykrzywiły się ledwie dostrzegalnie.

– Tu w tym domu ja mieszkam.

Żandarm podniósł głowę.

– No nie no! A więc to ty? Myślałem, że natknę się tu na jakieś stare babsko, a popatrz no... hm!

Młodszy, tam z tyłu, podkręcił wąsa.

– Wcześniej zaczynasz, skarbie! Kobieta zastygła w drzwiach.

– Czego chcecie ode mnie?

– Dowiesz się i tego – mruknął ten starszy i odwróciwszy się do ludzi, wrzasnął na nich: – Czego się tu gapiecie?! Dość było odpoczywania, już mi się stąd wynosić! I żebym nikogo nie widział, jak odpoczywa przy tym domu! Rozumiecie?! No, wstawać, hę, ruszać się, do licha z tymi waszymi zakutymi łbami!

Mężczyźni niechętnie usłuchali rozkazu. Z ociąganiem wstawali z ziemi, wciskali na głowy kapelusze, brali kije w ręce, zarzucali sakwy na ramiona. Twarze mieli nieruchome, ale w niejednych oczach widać było tłumiony gniew.

– Szczęść Boże wszelkim dobrem! – z łagodnym współczuciem rzucały na pożegnanie kobiety, jednak pożegnanie to nie było przeznaczone dla żandarmów, lecz dla gospodyni tego domu, dla ich świętej kobiety, do której przyszły i z troski o którą w sekrecie drżały im serca.

Mężczyźni wcale się nie żegnali, tylko głębiej nasuwali kapelusze na oczy, żeby tylko z jakiegoś powodu nie przyczepili się do nich żandarmi, i odchodzili. Powoli, jeden śladem drugiego, w stronę lasu.

Nuca wciąż jeszcze stała w drzwiach.

– A więc to ty jesteś tą sławną – odwrócił się ku niej ten z wielkimi wąsami i znów zlustrował ją od stóp do głowy niczym jakieś zwierzę – hm, a więc to tak, no. Kto jeszcze jest w domu?

– Nikt.

– Nikt?

– Nikt.

– Sprawdźmy to.

Oba karabiny z bagnetami opadły z ramion na przedramiona i żandarmi wkroczyli do domu. Pochylili głowy, żeby nadproże nie zwały im czak. Kobieta zeszła żandarmom z drogi. Pozostała na zewnątrz, na werandzie. Podniosła wzrok ku niebu. Było błękitne i pływały po nim łagodne białe obłoczki. Ludzie dotarli już na skraj lasu, tam stanęli, zbici w gromadę, i patrzyli wstecz.

– He! Wejź tu!

Weszła. Żandarmi stali pośrodku izby i rozglądali się badawczo.

– Z kim mieszkasz?

– Z ojcem.

– Gdzie on jest?

– Poszedł do Mármaros sprzedać owce.

– Aha. Hm. A kiedy poszedł?

– Dziś rano.

– Hm. Gdzie jest jego strzelba?

– Co takiego?

– Nie udawaj, nie udawaj! Gdzie jest strzelba?

– Jaka strzelba?

Młody żandarm pokazał na parapet.

– Z której zastrzelono o, tę sarnę, co tam leży jej poroże! Kobieta zaczęła się śmiać.

– Sarnę? Tę to złapały wilki wysoko na Cibles, a jeden juhas sprzedał jej poroże mojemu ojcu. Ojciec chce z niego zrobić uchwyt do noża.

Żandarm wziął do ręki poroże, zaczął nim obracać.

– Kiedy to sprawiliście?

– Tydzień temu przyniósł to juhas.

– Gdzie jest ten juhas i jak się nazywa?

– Jest wysoko na Cibles, a wołają go Juon.

– Ze skórą co zrobiliście?

– O to zapytajcie wilki!

Żandarm ze złością odrzucił z powrotem poroże. Tymczasem ten starszy przysunął stołek do stołu i usiadł. Karabin oparł o ścianę, następnie wyciągnął z torby papiery.

– Przez ten czas ty się rozejrzyj! – rzucił do swojego młodszego towarzysza, po czym zwrócił się do kobiety.

– Jak się nazywasz?

– Nuca.

– Słowem Anna.

– Nie Anna, tylko Nuca. Tak zawsze mówiono.

– Nie gadaj tyle! Jak masz na nazwisko?

– Nazwisko? Nie mam nazwiska.

– No to jak się podpisujesz?

– Ja w żaden sposób się nie podpisuję. Młody żandarm zaczął się śmiać.

– Ojej, ale głupia, o mój dobry Boże... Starszy pokręcił głową.

– No a jak wołają twojego ojca?

– Tóderik.

– Jaki Tóderik?

– Tóderik.

– Do diabła z tym twoim zakutym łbem, no a jak zwracają się do niego ci, którzy go znają, co?

– Tóderik.

– A niech to diabli! – westchnął żandarm i zaczął pisać. – Słowem Anna, córka Tóderika... Ile masz lat?

– Ze dwadzieścia.

– Co to znaczy, ze dwadzieścia? W którym roku się urodziłaś?

– A niby skąd ja mam to wiedzieć?

– No, sprawdź w metryce chrztu czy gdzie tam!

– Nie mam gdzie sprawdzić.

– Przecież masz chyba jakiś papier?

– Ja tam nie mam. A na co?

Młody żandarm znów się roześmiał, starszy zaś pokręcił głową.

– No to powiedz chociaż, gdzie się urodziłaś.

– W górach.

– Ale w jakich górach? Gdzie?

– Powiedzmy, że niedaleko Dédy.

– Co to znaczy, powiedzmy?! Tam czy nie tam?!

Młodszy żandarm akurat badał posłania. Cicho zachichotał. Oczy kobiety błysnęły niebezpiecznie. Ostro wczepiły się w żandarma. Przez izbę jakby skoczyły iskry. Żandarm stał tyłem, lekko pochylony nad posłaniem, a jego ręce przeszukiwały siano. Nagle jakby zakręciło mu się w głowie. Spłoszył się... Wyciągnął ręce z siana i przeciągnął dłonią po czole. Zacinając się, powiedział:

– Tu nic nie ma.

– Sprawdź jeszcze na zewnątrz! Na strychu. Wszędzie.

Młody żandarm wyprostował się, lecz jego oczy były zmacone. Ruszył ku drzwiom, ale raptem zatrzymał się i spojrzał na kobietę. Jej rozkazujący wzrok z niezwykłą siłą wbił się w oczy mężczyzny. Żandarma ogarnęła naraz jakaś przeraźliwa senność. Potarł twarz i chwiejnie wyszedł za próg.

– Słowem nazywasz się Anna Tóderik – rzekł ten drugi, podnosząc wzrok znad papierów – i urodziłaś się w Dédzie. Mówisz, że masz dwadzieścia lat, tak?

Kobieta, znużona, siadła na skraju posłania i przetarła oczy.

– Ja nie mówiłam, że mam dwadzieścia lat, ja tylko mówiłam, że mogę mieć tak około dwudziestu lat.

– Do licha – burknął żandarm – co się tak wymądrzasz?! Masz dwadzieścia lat i gotowe! Już to wpisałem, a skoro ja to tu już wpisałem, to masz właśnie tyle. No. A czym ty się tu zajmujesz? Co?

– Gotuję strawę, doję krowę, noszę wodę i drewno.

– Dobrze, dobrze. Ale z ludźmi, którzy do ciebie przychodzą? Dajesz im czarodziejskie środki? Cudowne korzenie i takie tam?

– Niczego im nie daję.

– A co robisz?

– Mówię im to, co chcą wiedzieć.

– Co takiego?

– To, co chcą wiedzieć. O co pytają słowem i o co nie pytają słowem, ale to pytanie jest w ich oczach i ja je widzę.

– Czyli wróżysz im! Kłamiesz jak popadnie, co tylko przyjdzie ci do głowy! Co? I wielu z tych głupców jeszcze dobrze ci za to płaci? Ile z nich wymuszasz za jedno takie kłamstwo?

Oczy kobiety znów zabłyśły niebezpiecznie.

– Ja nie kłamię – odrzekła cicho, lecz twardo wymawiając te słowa – ja mówię tylko to, co jest, a i z tego tylko tyle, ile ludzie powinni się dowiedzieć. I jeszcze nikogo nie prosiłam o pieniądze za prawdę. Ani o pieniądze, ani o nic innego. To, co ludzie przynoszą, przynoszą z dobrego serca, i obraziłabym ich, gdybym tego nie przyjęła...

– Słowem przyznajesz, że płacą ci za to twoje znachorstwo! – ostro napadł na nią żandarm. – Zaraz zapiszemy do protokołu i to! Ho, ho, ho, moja droga, no wreszcie jesteśmy w domu!

Kobieta odchyliła się w tył i oparła się plecami o ścianę. Jej oczy zawisły na śniadej twarzy żandarma, na jej ustach pojawił się pełen wyższości, szydery uśmiech. Przez kilka chwil siedziała tak w bezruchu, podczas gdy żandarm pisał. Nareszcie zaczęła mówić półgłosem:

– Wy sami wiecie, że nie możecie mi zaszkodzić tym, co zapiszecie na tym papierze. Czemuż to więc chcielibyście, żebym się tego przestraszyła? Myślicie sobie: Przestraszę tę głupią kobietę i wtedy będę mógł z nią zrobić, co tylko

zechcę. Jestem z nią sam na sam w chacie, kobieta jest młoda i ładna, przynajmniej nie na darmo przyszedłem z Telcs aż tu na górę. Tak sobie myślicie. A mimo to pytacie mnie o różne głupstwa. Dlaczego nie powiecie szczerze i uczciwie, czego chcecie? To ubranie, które nosicie, przyzwyczało was do tego, żeby nie być szczerym...

Żandarm już po pierwszych słowach podniósł głowę. Twarz z wolna oblała mu się czerwieńią, w końcu walnął pięścią w stół.

– A niech diabli wezmą tę swoją czarownicę! Zamkniesz gębę?! Chcesz, żebym ci wybił ten twój jadowity żąb?!

– Czemu krzyczycie? – zapytała łagodnie kobieta. – Chcecie, żebym nie zwróciła uwagi na to, jak bardzo się zmieszaliście, gdy to powiedziałam?

– Dość! – wrzasnął żandarm. – Nie bądź bezczelna, bo się jeszcze doczekasz!...

Jednak kobieta mówiła dalej:

– Sami się dziwicie, jak to możliwe, że znam wasze myśli, ale wciąż jeszcze nie wierzycie, że przede mną nie możecie skryć się za tą waszą pewnością siebie. Mam powiedzieć i to, ile pieniędzy jest o, tam, w waszej prawej górnej kieszeni? I mam powiedzieć też, na które oko ślepy jest Żyd, który dał wam te pieniądze, kiedy tu szliście? I mam powiedzieć, dlaczego je dał? I mam powiedzieć, od czego zachorowała wasza matka, która mieszka w wielkiej wiosce na równinie, w takim małym domku, przed którym stoją trzy akacje? Od tego, że to wy zamknęliście do więzienia waszego rodzzonego młodszego brata, bo nie mogliście mu wybaczyć, że ożenił się z tamtą dziewczyną... a przecież tamta dziewczyna nie przynosi szczęścia domowi, do którego wchodzi. Urodziła się przy pełni księżyca, a kto rodzi się przy pełni, temu przydarzają się dziwne rzeczy i nie wiąże się z nim szczęście. Tak samo i u waszego młodszego brata, wiecie, kiedy tamten dom we wsi stanął nocą w płomieniach... To nie wasz młodszy brat go podpalił, przecież wiecie o tym tak samo dobrze jak ja. Ale...

Żandarm siedział na stołku pochylony w przód, z wytrzeszczonymi oczami, jakby kto rzucił na niego urok. Twarz mu poszarzała, a on sam, skulony, zastygł niczym kamień, schował się za swoimi wielkimi wąsami. Te wąsy drżały.

– Zamilcz! – wystękał ochryple. – Zamilcz! Jesteś czarownicą, naprawdę...

Kobieta roześmiała się cicho.

– Teraz myślicie o tym, że ja te tajemnice zdradzę tym, którzy wam rozkazują. Widzicie, ja o tylu takich sprawach dowiaduję się z oczu ludzi, którzy do mnie przychodzą. Bo wszystko to są choroby, które zalegają w ludziach i wywołują mnóstwo innych chorób i nędzy. Na te choroby potrzebne jest lekarstwo, i ja mówię ludziom, jakie to lekarstwo, oni zaś albo to robią, albo tego nie robią... Wam też powiem: ona nie wyzdrowieje dopóty, dopóki nie zrzucicie tego ubrania i nie pójdziecie z powrotem do domu, przed którym stoją trzy akacje.

A w tym domu leży smutna stara kobieta, która jest bardzo chora. Nie zostało jej wiele życia i musicie się pośpieszyć, żeby jej powiedzieć: „Matko moja, żałuję wszystkiego”. Musicie się pośpieszyć, bo możecie to powiedzieć tylko tamtej starej kobiecie, nikomu innemu na tej ziemi, a ta stara kobieta nie będzie już długo żyła. Śpieszcie się, bo jeśli się spóźnicie, to nigdy nie będziecie mogli uwolnić się od tego, co was teraz gryzie. Będziecie chorzy, będziecie źli i umrzecie tak, jak umierają źli ludzie. Żal mi was, bo to trudne... ale uwierzcie mi, że tylko w ten sposób...

Żandarm potarł powieki, następnie westchnął i wstał. Spojrzał na kobietę. Jego oczy zapadły się i nabiegły łzami, malował się w nich wielki smutek.

– Wybacz mi – mruknął spod wąsów – wybacz mi, kobieto... Chwył do ręki karabin, na głowę wcisnął czako, po czym ze spuszczoną głową, chwiejnym krokiem wyszedł powoli z domu. Kobieta pozostała na skraju łóżka, spoglądając w ślad za nim. I pozostał tam na stole ów kawałek papieru i rozpoczęte pismo.

Dalej na skraju lasu ludzie schowani pod drzewami widzieli tylko tyle, że dwaj żandarmi weszli do domu. Po chwili postąpiła za nimi również kobieta. Niezadługo potem wyszedł jeden z żandarmów, ten młodszy, lecz ruszał się tak jak śpiący człowiek. Powoli okrążył dom, siadł na murawie, wyciągnął się i znieruchomiał. Upłynęło sporo czasu, zanim wyszedł też drugi żandarm. Ale i ten tak wolno i z takim znużeniem jak ktoś bardzo zdrożony. Rozejrzał się wokoło, podszedł do swojego towarzysza i coś powiedział, po czym pochylił się, potrząsnął nim i zbudził go. Wreszcie razem odeszli ścieżką w dół, z powrotem w kierunku Fiád.

Tyle widzieli ludzie z tamtego miejsca nieopodal lasu. Zaczekali, aż w dolinie tam poniżej zniknie błysk żandarmskich bagnetów, i wrócili do domu. Kobieta wciąż siedziała na brzegu łóżka, patrząc w zamyśleniu przed siebie.

– Szczęść Boże! – przywitał się nieśmiało jeden z tych, którzy wrócili. Kobieta drgnęła i podniosła wzrok. – Bardzo was zgnębili ci poganie? – zapytał tamten ze współczuciem.

Nuca westchnęła i pomału podniosła się.

– Tyle brzydkich rzeczy jest na tym świecie, wujaszku – rzekła ze smutkiem w głosie – tyle szpetnej nędzy, że już nawet i nie warto...

Mężczyzna zdjął kapelusz i potakiwał ze zrozumieniem i zniechęceniem.

Tego wieczoru Bandilla i Teofil wynieśli strzelby do lasu i schowali je w dziuplastym buku. Następnie zebrali skóry dzikich zwierząt, które schły na strychu, i te też gdzieś ukryli. Zrobiło się późno, kiedy wreszcie uporali się ze wszystkim. Właśnie szykowali się do snu, gdy na dworze, przed drzwiami zaczął szczeekać pies.

Bandilla jednym susem znalazł się na środku izby i zdmuchnął kaganek.

Potem cicho otworzyli drzwi. Na dworze gwiazdy prószły ledwie odrobiną

słabego blasku. Wyraźnie widać było jedynie ciemną linię lasu, nic więcej. Pies czekał ku dołowi, w stronę ścieżki.

Bandilla i Teofil cicho przemknęli przez werandę i znikli za szopą. Kobieta podeszła do psa, położyła dłoń na jego głowie. Pies umilkł. W ciszy dał się słyszeć tylko szmer wody wypływającej poniżej ze źródła. Kobieta z uwagą pochyliła się w przód. I wtedy zobaczyła, że w górę po ścieżce porusza się coś czarnego.

Pies znów zaczął czekać. Ciemna postać tam w dole zatrzymała się. Przez kilka chwil stała nieruchomo i naraz odezwał się głos:

– Hej! Ludzie tam w domu! Niech który wyjdzie! Hej, hej! Kobieta uciszyła psa.

– Kto tam?

– Ksiądz wrócił dziś do domu – rzekł obcy człowiek tam w dole – zwołał starszyznę i chce, żeby wioska ciebie ukamienowała, bo knujesz z diabłem i jeszcze przyniesiesz nieszczęście dla całej okolicy! Przyszedłem tu na górę tylko po to, żeby o tym powiedzieć. Nikt z nas nie chce dla ciebie źle, ale ksiądz przysiągł przed starszyzną, że ciebie zniszczy. Uważaj! Dobranoc!

– Dobranoc! – kobieta odpowiedziała szeptem. – I dziękuję, że przyszedłeś tu na górę...

Obcy człowiek już i poszedł w dół i w kilka chwil przepadł w nocy. Bandilla wrócił na werandę, za nim Teofil. Bez słowa weszli z powrotem do domu. Zapalili kaganek, po czym siedzieli tam dłuższy czas, podpierając głowy na rękach i milcząc ponuro. Kobieta krzątała się, uporządkowała naczynia, łóżko.

– To się z sobą łączą. Ksiądz i żandarmi – burknął Teofil. Bandilla spojrzał na kuternogę, przyglądał mu się przez kilka chwil, nareszcie przemówił cichym, zduszonym głosem:

– Teofilu, ksiądz musi umrzeć... Ale tak...

Kobieta odłożyła ubranie, które trzymała w ręce, i odwróciła się w ich stronę.

– To moja sprawa, nie wasza. Nie wolno, żeby...

– Czekaj, czekaj – posępnie odparł Bandilla i uniósł palec – to nie tylko twoja sprawa, nie. O nas nikt nie wie, kim jesteśmy. Lecz jeśli zaczną tu przychodzić żandarmi... Nie, to nie tylko twoja sprawa.

– Pewnie, że nie, a niech zgryzota zeżre tego księdza! – warknął Teofil. – Trzeba mu skrócić kark, cisnąć za skałę i gotowe!

Kobieta podeszła do nich, a na jej twarzy malowała się śmiertelna powaga.

– Czuję, że w powietrzu wisi nieszczęście. I właśnie dlatego nie możecie nic zrobić, rozumiecie? Bo od tego tylko większy będzie potem kłopot. To sprawa nas dwojga. Szatana i moja. Bo tamten człowiek to szatan wcielony, wiecie o tym? Mój szatan. Mój, wyłącznie mój. Każdy na tym świecie ma swojego własnego szatana i biada temu, kto się z nim spotka. Ja spotkałam się z moim, i teraz muszę tę

sprawę z nim przeprowadzić do końca. Lecz wam nie wolno się w to mieszać. Bo w powietrzu wisi nieszczęście, i to nieszczęście będzie tylko większe, jeśli ktoś inny się wmiecha. Obiecacie, że niczego nie zrobicie!

Mężczyźni spojrzeli po sobie ponuro. Nareszcie odezwał się Bandilla:

– Późno jest. Idziemy spać.

Mężczyźni wstali, wzięli kożuchy i wyszli.

– Dobranoc!

– Dobranoc! – odpowiedziała kobieta z rezygnacją, czuła bowiem, że gdzieś coś ruszyło z miejsca i już nie da się tego zatrzymać.

Minęły dwa dni i nic się nie wydarzyło. Bandilla chodził ze zwierzętami gdzieś wysoko po połoninie, Teofil kosił trawę i obracał siano. Przyszło też kilku ludzi ze swoimi kłopotami, jednak wszyscy pochodzili z dalszych stron. Z Mármaros oraz z Gór Rodniańskich. Z doliny Fiád nie zjawił się nikt.

Rankiem trzeciego dnia Teofil osiodłał jednego z koni i ruszył z nim do Telcs po kaszę kukurydzianą. Do domu wrócił późno, zmierzchało już. Poszedł z koniem prosto do szopy, oporządził go i dopiero potem pojawił się w domu.

Już kiedy przestępował próg, kobieta wiedziała, że coś się stało. Oblicze mężczyzny było ponure, a on sam kulał jeszcze bardziej niż zwykle. Potargane włosy opadały mu na czoło i ciemniała na nich zakrzepła krew.

Bandilla siedział przy stole i jadł. Teofil pokuśtykał tam, zatrzymał się przed Bandillą i obiema pięściami wsparł się o stół.

– Zaczyna się.

Tylko tyle powiedział. Bandilla spojrział nań, kęs stanął mu w ustach. Oczy zajarzyły niebezpiecznym blaskiem.

– Tak?

– Tak. Kiedy wracałem, u wylotu Fiád, tam gdzie jest karczma, drogę zastąpiło mi kilku ludzi. Byli pijani. „Ty jesteś tym, co w Czarnej Dolinie mieszka z tamtą kobietą?”. „Ja”. „Czy ktoś was tu zapraszał?”. Mężczyzna był pijany. Chciałem pójść dalej, ale naraz trzech zagrodziło mi przejście. „Jutro do południa macie się stąd wynieść – rzekł ten człowiek – bo jeśli nie, to podpalimy wam dom, a was nadziejemy na kije, jak kurczaki do pieczenia!”. „A tu masz coś na popróbowanie, żebyś uwierzył w to, co mówimy!” – ryknął drugi i kułakiem walnął mnie w bok. Temu, który mnie uderzył, rozciąłem nożem brzuch. Potem rzucili się na mnie w kilku z kijami. Ja miałem tylko nóż. Kiedy odchodziłem, dwóch leżało na ziemi. Reszta pobiegła do księdza i do Telcs, po żandarmów. Ano to się wydarzyło.

Kobieta stała przy palenisku, pobladła, zdrętwiała, jakby zastygła w kamień albo w lód.

– Usiądź i zjedz teraz! – rzekł Bandilla.

Teofil usiadł. Potem przez dłuższy czas słyhać było jedynie odgłosy

jedzenia. Nic innego. Nareszcie Bandilla wytarł swój nóż, schował go z powrotem w opasek i wstał.

– Teraz chodź!

I obaj ruszyli ku drzwiom.

Kobieta nie zawołała za nimi ani też o nic nie spytała. Wiedziała, że nie ma to już żadnego znaczenia. Nieszczęście nadeszło, jest już przed domem, i nie można zastąpić mu drogi.

Później zgasła kaganek i położyła się. Lecz sen nie przychodził na jej powieki. Całą noc leżała nieruchomo na plecach i żegnała się. Żegnała się z domem, który przez długie miesiące zapewniał spokojne i miłe ognisko domowe. Z polaną i z lasem. Z drzewami, z kwiatami i ze wszystkim, co było piękne, dobre i miłe. Następnie po kolei pożegnała się z ludźmi, z którymi tutaj żyła. Przede wszystkim z Bandillą, który jest jej ojcem. Z Teofilem, który tak potrafi patrzeć tymi swoimi oczami wiernego psa. Ze starym Antonem, ze zwariowanym księdzem Dánem i z wesołym, otyłym Nikodemem, i tak pomyślała: jacy oni będą smutni, gdy kiedyś tu powrócą i zastaną pusty dom albo tam, gdzie niegdyś stał ten dom, znajdą jedynie wypalone belki. Pożegnała się z wielkim psem o płowej sierści, z ludźmi, którzy codziennie przynosili tu to mnóstwo własnej nędzy, i pożegnała się też z samym życiem.

Było to długie pożegnanie. W końcu tam na zewnątrz zaczęła przecierać się szarówka i gdzieś na skraju lasu odezwał się pierwszy drozd.

Słońce jeszcze nie wzeszło, a do polany kleiła się biała mgła, gdy raptem rozszczękał się pies. Słysząc było ludzkie głosy. Nuca zerwała się z łóżka i podbiegła do okna. Serce biło jej głośno. Poniżej, w dolnej części polany tłoczyli się ludzie. Dużo ich było. Dolatywały do niej pomieszane krzyki. Przed ludźmi ktoś szedł, ktoś w czarnym odzieniu. Z powodu odległości i mgły nie mogła dojrzeć go wyraźnie, jednak wiedziała, kto to jest.

Szybko ubrała się i wyszła. Przystanęła w drzwiach. Głęboko wciągnęła chłodne powietrze poranka. Z gór szedł w dół wiatr, niosący z sobą zapach dojrzałych poziomek. I stały tam lasy, nieme i spokojne, gdzieś gwizdał drozd, a ponad polaną, szumiąc skrzydłami, przefrunęło stado dzikich gołębi.

Kobietę ogarnął jakiś osobliwy, wielki spokój. Jakby nadeszło coś, na co dotąd czekała. Nadeszło, jest tutaj. Musiało nadejść. Jest tutaj i nie da się tego uniknąć. Ano jest tu. Dobrze. Trzeba temu stawić czoło.

Mężczyźni tam w dole dostrzegli kobietę w drzwiach i zaczęli coś wołać. Mogło ich być ze dwudziestu i wszyscy potrząsali w rękach kijami i widłami. A przed nimi szedł człowiek w czerni.

Zbliżali się z wraskiem, Nuca zaś stała w drzwiach i przyglądała się im. Patrzyła na mężczyznę w czerni, na wroga. I czuła, że z wolna zbiera się w niej siła, ta płynąca z wnętrza siła, która pozwala jej narzucić ludziom swoją wolę,

i kobieta już się nie bała. Uśmiechała się.

Pod werandą stał pies i bez ustanku ujadał. Ludzie dotarli do połowy polany. I wtedy z boku huknął w lesie strzał.

Tłum zawahał się i przystanął. Wrzask ucichł. Zapanowała cisza. Tylko pies ujadał. Na skraju lasu, z miejsca, gdzie rozległ się strzał, przez całą polanę zagrzmiął okrzyk:

– Ludzie! Cofnijcie się!

Głowy odwróciły się za tym głosem. Na skraju lasu stał we mgle jakiś człowiek wsparty na strzelbie.

– Pierwszy strzał poszedł w powietrze! Drugi już trafi! Wracajcie do domu!

Ten okrzyk rozszedł się echem, po czym znów zapadła cisza. Wiatr załopotał mgłą i wyraźnie można było zobaczyć człowieka tam na skraju lasu. Stał wyprostowany, niczym znak ostrzegawczy.

Tłum z wolna drgnął. Ktoś ruszył w dół, pozostali podążyli jego śladem. Człowiek w czerni stał sam i patrzył w kierunku domu. Nareszcie podniósł pięść, wyrażając kobiecie.

– Jeszcze się spotkamy!

W odpowiedzi na jego krzyk padł strzał. Nadszedł bardziej z dołu, nie z tego miejsca, gdzie stał ów człowiek we mgle. On i teraz stał tam bez ruchu, wsparty na strzelbie. Strzał nadszedł z głębi lasu.

Człowiek odziany w czerń, tam pośrodku polany, natychmiast spuścił głowę i szybkim krokiem ruszył za ludźmi. Niżej wchłonął ich las.

Bandilla przyszedł pod dom. Twarz mu poszarzała, lecz widać było na niej zdecydowanie. Kobieta wciąż jeszcze stała w drzwiach.

– Zbierz rzeczy, ja przez ten czas osiodłam konie. Pośpiesz się! Wtedy dotarł tam Teofil.

– Za wysoko celowałem – rzucił, zgrzytnąwszy zębami – to z powodu mgły.

– Ty popędzisz zwierzęta – nakazał Bandilla – pośpieszcie się! Kobieta bez słowa zawróciła do domu. Zbierała rzeczy, wiązała je w koce. Była już gotowa, kiedy nadszedł Teofil i powynosił pakunki. Konie w gotowości stały przed szopą. Przywiązali wszystko do drewnianych siodeł, Teofil wygnał krowę i owce i ruszyli w górę ku szczytowi.

Kobieta popatrzyła wstecz na dom. W rogu werandy stał pies i przyglądał się.

– Piesku! Chodź! – zawołała. Pies nie poruszył się. – Piesku! Owce podążyły już w kierunku lasu. Za nimi wlokła się krowa, za krową Teofil. Za Teofilem oba konie, a z tyłu Bandilla. Kobieta próbowała jeszcze zabrać psa, ale nie chciał odstąpić od domu.

Tamci byli już w połowie drogi pomiędzy domem a lasem, gdy z boku, z lasu zagrzmiąło wezwanie:

– Stać! Nie ruszać się!

Teofil wrzasnął na owce i zaczął je płoszyć, żeby się rozbiegły. Bandilla chwycił z ramienia strzelbę. Wówczas huknął z lasu strzał. Potem jeszcze jeden. Koń, ten bardziej z tyłu, padł. Owce poczęły biec. Teofil zatrzymał się, złapał strzelbę i na oślep wypalił w las. Bandilla skoczył za padłego konia i rzucił się na ziemię. Strzały huczały i z tej, i z tamtej strony. Teofil zachwiał się i powoli przysiadł na ziemi. Koń pozostawiony sam sobie puścił się galopem i popędził z powrotem ku domowi. Z siodła zsunęły mu się przywiązane doń tobołki. Strzały huczały jeden za drugim, lecz nie było już wiadomo, który skąd padał. Wreszcie zapadła cisza.

Kobieta wciąż jeszcze stała przy domu, obok psa i czuła, jakby wszystko wokół niej zastygło. Powietrze, cisza, świat. Nareszcie z lasu wyskoczył żandarm i ze strzelbą w rękach począł biec w kierunku padłego konia. Poznała go. Był to ten młody, z podkreconym wąsem. Przy zabitym koniu zatrzymał się i pochyliwszy się, przez chwilę przyglądał się czemuś. Następnie wyprostował się i dmuchnął w gwizdek. Z lasu wyszedł drugi żandarm. Zerwały się okrzyki także i w dole, ludzie wychodzili spomiędzy drzew.

Nim Nuca tam dotarła, obaj żandarmi stali już obok Bandilli. Leżał na brzuchu, ze strzelbą przerzuconą przez padłego konia, z twarzą w trawie. Z czoła płynęła mu czarna krew.

– Kim jest ten człowiek? – zapytał surowym tonem żandarm.

– To mój ojciec – odpowiedziała Nuca szeptem i nachyliła się nad zmarłym.

– Nazywał się Bandilla.

Młodszy żandarm gwizdnął, zaskoczony.

– Herszt bandy?

– Mój ojciec – powtórzyła cicho i pogłaskała zmierzwione, posiwiałe włosy martwego mężczyzny. Zobaczyła krew na swojej dłoni. Żandarm spuścił głowę i odwrócił się. Odpiął z konia jedną derkę i położył ją na zmarłym.

Dalej leżał na ziemi Teofil, cicho pojękując. Żandarmi podeszli do niego. Pochylili się, przyglądali mu się.

– Strzał w brzuch – rzekł ten starszy i machnął ręką.

Kobieta łagodnym gestem przykryła skrajem derki głowę Bandilli, następnie podeszła do Teofila.

– Ojej! – jęknął mężczyzna i podniósł na nią przelęknięte oczy – ojej!...

Kobieta przysiadła przy nim.

– Boli cię, Teofilu?

Położyła sobie na kolanach jego głowę i pogłaskała go po zarośniętym brodą, chudym obliczu.

– Już nie – stęknął kuternoga. – Już nie boli... ale to straszna rzecz umrzeć.

Kobieta wejrzała w udręczone oczy mężczyzny.

– To nie jest takie straszne, Teofilu. Człowiek z wolna zasypia i już się nie budzi. Tylko odpoczywa i odpoczywa. Dobrze jest odpoczywać...

Ranny jęknął i zadrzał.

– Ale życie! Nigdy więcej nie widzieć lasu i nigdy więcej nie słyszeć śpiewu ptaka! Przecież życie jest takie piękne, Nuca...

Dłoń kobiety spoczęła na jego wilgotnym czole.

– Ty zostaniesz tu także i potem, Teofilu. Tyle że ludzie już nie będą mogli ciebie zobaczyć. Nie będziesz miał więcej żadnych kłopotów z ludźmi, Teofilu. To ty nocą poproszysz trawę rosą i to ty jesienią strząśniesz liście z drzew. A gdy w lesie rozkwitnie pierwszy kwiat, staniesz przy nim i pomalujesz jego płatki na taki kolor, na jaki tylko zechcesz. Będziesz fruwać razem z motylami, a twoje palce dotykać będą czubków igieł na choinach i te pod nimi zamigoczą w słońcu, i to ty nieś będziesz z jaru w jar, jak wiatr, miłe zapachy, i to ty podpatrywać będziesz kąpiące się rusalki...

Kobieta mówiła, a żandarmi zdjęli z głów czaka i stanęli tam obok. Mężczyzna ciężko charczał, niekiedy krzywiły mu się usta, jakby chciał coś powiedzieć, nareszcie rzeźnienie ucichło, oczy straciły blask i niewidzialny duch życia uleciał gdzieś w błękitną nieskończoność.

Akurat wtedy weszło słońce i swym czerwonym światłem zajaśniało na nieruchomym obliczu. Żandarmi drgnęli. Młodszy przyniósł koc. Starszy dotknął ramienia kobiety.

– Chodź!

Kobieta powoli uniosła ze swych kolan nieruchomą głowę Teofila, położyła ją na ziemi i wstała. A potem nie było tam już nic, tylko jakiś koc, a pod nim coś niemego, martwego, czym jeszcze przed kilkoma minutami był Teofil.

– Chodź! – ponaglił ją żandarm i ruszył w kierunku domu. Wówczas dotarli tam na górę mężczyźni. Wymachiwali kijami, wrzeszczeli. Palinka wymalowała im gęby na czerwono.

– Tam jest, ścierwo! Trzeba ją zabić! Powieśmy ją na drzewie! Za nogi! Ukamienujemy ją! Najpierw trzeba ją obedrzeć ze skóry, bo inaczej ta wiedźma nie umrze!

Kobieta sztywno kroczyła za żandarmem. Zacisnęła zęby. W jej stronę poleciał kamień. Nie trafił jej w głowę. Jedynie otarł się o czoło i drasnął je.

Żandarm poczerwieniał, pochwycił z ramienia karabin i wycelował go w ludzi.

– Stać! Co to jest?! Wynosić mi się do domu, wszyscy! Raz-dwa, ruszać się! W tył zwrot!

Tłum zastygł w milczeniu. Osłupiali mężczyźni stali bezradnie naprzeciw karabinu żandarma i popatrywali w tył. Wtedy dotarł tam ksiądz. Wyszedł z tłumu.

– Kościół i lud mają prawo do tej kobiety! To knująca z diabłem czarownica,

hańbiąca Kościół znachorka! Trzeba ją spalić na stosie, żeby zmyć z nas urok szatana, tego żąda lud!

– A do diabła z ludem! – wrzasnął rozwścieczony żandarm. – Bo przysięgam na Boga, że jeszcze ze dwóch położę dzisiaj na trawie! A wy, człowiek uczony, nie wstydzicie się buntować tej masy głupich chłopów jakimiś zabobonnymi bajkami?! Zabierać mi się stąd, banda łajdaków, szumowin!

Mężczyźni wycofali się cichaczem, z głowami wciśniętymi w ramiona. Pozostał tam jeszcze tylko człowiek w czerni i patrzył na kobietę nienawistnym, dzikim wzrokiem.

– A jednak upadłaś w końcu tak nisko, ty wszeteczniczo!

Żandarm zarzucił karabin na ramię, po czym burknął do księdza:

– To, co powiedziałem, i was dotyczy. Cywilom nic do tego, co tu zaszło. Wracajcie do domu zająć się własnymi sprawami!

Ksiądz zaśmiał się szyderczo.

– Oczyszczę ja tę okolicę z nasienia szatana! To najważniejsze! Z tymi słowami odwrócił się i ruszył w dół za ludźmi.

Żandarm mruknął coś pod nosem, schodząc niżej, przed dom. Kobieta bez słowa podążyła za nim. Tam przystanęli.

– Ano... jeśli chcesz coś jeszcze zabrać... ubranie czy jakieś inne rzeczy... Pokręciła głową.

– Nic mi nie trzeba.

– Może chcesz coś uporządkować w domu...

– Z tym domem nie mam ja więcej nic wspólnego. To już przeminęło.

Żandarm powiódł smutnymi oczyma po twarzy kobiety. Westchnął.

– Nie chcę dla ciebie źle, kobieto, kłopotów i tak masz pod dostatkiem. Ale muszę cię odprowadzić. To będzie dla ciebie długa droga, może jednak powinnaś zabrać coś do jedzenia...

– Nie trzeba.

Żandarm znów westchnął. Poprawił sobie czako na głowie.

– Jak uważasz. To możemy iść?

– Możemy.

Ruszyli. Po kilku krokach kobieta stanęła raptownie. Stanął i żandarm.

– Jednak coś ci się przypomniało – rzekł.

– Chciałabym o coś zapytać.

– Mów!

– Gdzie ich pochowają?

– No przecie, że gdzieś tutaj. Nie myślę, żeby pozwolili przy kościele...

– Chciałabym o coś poprosić – powiedziała, a w jej głosie wyczuwało się podniecenie – niech ich pochowają o tam, na skraju lasu, tam gdzie stoi ten wielki buk... dobrze? Możecie to zrobić?

- Móc mogę. Jeśli takie masz życzenie.
- Tam przy tym buku... tak?
- Tam ich pochowamy – obiecał żandarm.
- Dziękuję.

Odwróciła się i spojrzała wstecz. Stał tam dom z otwartymi drzwiami, za nim szopa, za szopą widać było padłego konia, a przy nim dwa rozłożone na ziemi koce. Obok siedział drugi żandarm i patrzył na las. Pod werandą stał pies.

– Piesku! Chodź tu, piesku! – zawołała. Lecz pies nie poruszył się, tylko nadal tak stał. – Możemy iść – rzuciła gwałtownie.

I poszli w dół. Nie odwróciła się już więcej. Na murawie polany błyszcząca rosa, błyszcząca dokładnie tak jak zawsze. I tak samo jak zawsze stały również drzewa w słońcu, i lasy, i góry. Gwizdał drozd, a ponad kwiatami na łące fruwał motyl. Jak zawsze.

Długo szli w milczeniu. Na dole w lesie żandarm raptem tak powiedział:

– Myślałem o tym, co mi powiedziałaś, kobieto. Z końcem roku wystąpię ze służby i wrócę do domu, do mojej matki.

Kobieta spojrzała na smutną twarz żandarma i pokręciła głową.

- Oby tylko nie było za późno.
- Mam iść wcześniej?
- Idź wcześniej!
- Można i tak. Jak minie półrocze...

Po czym już tylko szli. Żandarm skrył się za swoimi wąsami, pogrążony w myślach i wpatrzony w ścieżkę. Kobieta żegnała się z drzewami. Następnie z potokiem, z doliną. W dole nad Fiąd widziała jeszcze księdza i mężczyzn zebranych w kupie, którzy głośno ją wyklinali. Tu i tam stał ktoś, przy tej i przy tamtej kładce, za drzewem, za węglem domu, i patrzył na nią w milczeniu i bezruchu. Był taki, którego poznała. I ten przychodził na górę... i tamten... temu wyleczyła dziecko, tamtą pogodziła z mężem...

Lecz nikt się nie poruszył. Nikt nie uniósł ręki na pożegnanie, znikąd nie nadeszło ani jedno słowo. Były tam tylko nieme twarze i nieme oczy. I nieme lasy, wszędzie, wszędzie wokoło.

Nie jeden z tych, którzy tamtego dnia widzieli kobietę podążającą w dół z żandarmem, przysięgał później, że gdy tak szła, kłaniały jej się wszystkie kwiaty. I kwiaty wyrastały z ziemi także śladem jej stóp, osobliwie piękne, białe, jakich nigdy wcześniej nie widziano w tej okolicy. I przysięgał, że ile tylko było drozdów, wszystkie naraz śpiewały wtedy w lesie, i pośród drzew towarzyszyły jej z obu stron sarny, a nad jej głową leciał cudownie piękny biały gołąb. Bo to była święta kobieta, mówili później ludzie, którzy to wspominali, a kiedy to mówili, żegnali się.

Pewne jest, że kilka tygodni po tym, jak żandarmi zabrali kobietę, w dolinie

Fiád wydarzyły się rzeczy przerażające i niezwykłe. Jednej nocy stanął w ogniu dom księdza. Kiedy zapalił się ten dom, nie było w nim nikogo oprócz księdza, a potem i jego nikt więcej już nie widział. Lecz wielu spośród tych, co tam pobiegli i oglądali pożar, stanowczo twierdziło, że widzieli w płomieniach szczerzącego zęby diabła, któremu ogień trawił ciało, i wśród trzasków belek posłyszeli też, jak ten diabeł krzyczał w męce. I twierdzili ci ludzie, że widzieli też oblicze szatana i że nie był to nikt inny, tylko sam ksiądz.

Pewne jest, że ksiądz z doliny Fiád na zawsze przepadł tamtej nocy. A potem jeden za drugim stawały w ogniu także i inne domy. Tu i tam, każdej nocy płonął gdzieś dom, a przecież nikt ich nie podpalał. W sumie spaliło się tak w dolinie Fiád, w ciągu krótkich trzech tygodni, osiemnaście domów, a wszystkie należały do ludzi, którzy tamtego dnia byli z księdzem w dolinie Fekete. Którzy mieli swój udział w tym, co wydarzyło się tam wysoko, i którzy byli tam i wtedy, gdy następnego dnia podpalono dom w Czarnej Dolinie.

I zdarzyła się jeszcze rzecz całkiem niezrozumiała i dziwna. Na tych dwóch mogiłach, tam na skraju lasu, pod bukiem, wyrosły dwa krzyże. Zauważyła je na jesieni pewna kobieta, która zbierała boczniaki. Nikt nie stawiał krzyży na tamtych grobach, a mimo to one tam były. Lecz nie takie zwyczajne krzyże, a takie, których nie da się poruszyć, bo mają w ziemi korzenie. Później poszło tam na górę kilka kobiet, żeby to sprawdzić. I te krzyże rzeczywiście tam stały. Miały małe gałązki, szeleściły na nich suche liście, widać było, że te krzyże wyrosły z korzeni. Na wiosnę nawet i zazieleniły się. I każdego roku na nowo stawały się zielone, wyrastały im gałęzie, okrywało je listowie. Aż pewnego razu wielka wichura powaliła buk, który rósł nad nimi, i ten buk upadł akurat na mogiły, i tam też z czasem spróchniał. Lecz po wielu latach z truchła owego spróchniałego buka znów wyrosły drzewa i nawet jeśli nie miały dokładnie kształtu krzyża, to mimo wszystko można było się go w nich doszukać.

No i mówili jeszcze o płowym psie, który całymi tygodniami i miesiącami mieszkał na ruinach spalonego domu, a w nocy słychać było jego wycie. Raz widziano go i przy kościele. Niósł w pysku kwiaty, wbiegł z nimi do kościoła, a kiedy wyszedł, w jego pysku kwiatów nie było. Znalaziono je później pod obrazem Jezusa Chrystusa, tam gdzie swoje bukiety przynosiła zawsze święta kobieta.

„Ten pies musi być czyjąś wierną duszą – szeptali do siebie ludzie – duszą tego, kto czeka na powrót świętej”.

Wreszcie pies znikł. A z czasem ślady domu tam wysoko, w dolinie Fekete, zarosła trawa. Tak jak z czasem trawa zarasta wszystko, o czym ludzie zapomną.

Mknął czas w dół rzeką Maros, mknął jak woda. Kamienie zdarzeń daremnie próbowały zagrozić mu drogę, wyslizgiwał się spośród nich gładko, był nie do zatrzymania, a pozostawione w tyle kamienie pokrywały się mchem i stawały się wspomnieniami.

Brzegiem Maros, pomiędzy Nagyfalu a Vécs podążała w górę kobieta. Nie szła drogą, bo nauczyła się, że każdą drogę zbudowali ludzie i dlatego jeden tylko Bóg może wiedzieć, dokąd te drogi prowadzą. Szła brzegiem rzeki, odnalezionym wreszcie tropem. Śladem Boga, bo to pewne, że prowadził w góry.

W niebieskawej mgle widać już było dalekie szczyty, tam za wieżami zamku w Vécs. Tron Boży i pozostałe. Powietrze już pachniało. Doliną powiał wiatr z lasów na Idecs i przyniósł z sobą wiosenne wonie buków rozkwitających na stokach Nyerges. Na brzegu rzeki wierzyby już się zieleniły, a z pól gęsto obsianych żytem tu i ówdzie wystawały szare słuchy zajęcy. Woda mknęła kamienistym korytem, na tysiąc kawałków łamiąc odbicie słonecznego światła, i ten mknący hałas, ten rozbity w pył, mieniący się blask były już znajome i swojskie.

Kobieta szła i szła. W ręce trzymała nieduży zakrzywiony kij, na jej plecach wisiał tobołek nie większy od pięści. Odzienie miała zniszczone i wypłowiałe, jak u biednych kobiet, na głowie czarną chustkę. Plecy przygięły jej się ze zmęczenia, twarz była blada i smutna, a obok kącików ust biegły dwie głębokie bruzdy, linie gorczy.

Podążała boso po pokrytej rosą murawie, niemal bezszelestnie. Przy końcu pól kukurydzy stał w zamyśleniu jakiś człowiek i przypatrywał się zasiewowi, który już zaczynał wschodzić. Był to starszy gospodarz, w butach z cholewami na nogach, z kijem w ręce. Kiedy kobieta go mijała, zwrócił się do niej.

– Szczęść Boże, młoda gospodyni! A dokąd to, dokąd?

– Do domu, w góry – odpowiedziała kobieta i zatrzymała się.

– Ładnie wschodzi ta kukurydza – rzekł gospodarz – żeby tylko potem nie dotknęło jej co złego.

– Pod ręką Boga każdy zasiew kiedyś dojrzeje.

Gospodarz popatrzył na kobietę, przyjrzał się jej uważnie.

– Skąd jesteś? I skąd idziesz?

– Jestem z gór, a idę z więzienia – kobieta odpowiedziała donośnie i była w jej głosie przekora.

– Idziesz z więzienia? – zdziwił się gospodarz. – A tak, a tak... zrobiłaś coś, czego nie powinnaś...

– Masz rację, człowieku. Zrobiłam coś, czego nie powinnam. Ale nic nie można na to poradzić. Mam tu znak na czole, widzisz?

Odsunęła z czoła czarną chustkę. Na pięknym, wysokim, wypukłym czole zbiegały w dół pomiędzy oczy dwie głębokie rysy.

– Widzisz ten znak?

– Jak widzę, i tobie przydarzyło się wiele różnych rzeczy – odrzekł cicho gospodarz i westchnął. Przyglądał się oczom kobiety, wielkim, zielonkawoniebieskim, otoczonym czarnymi cieniami. Nigdy jeszcze nie widział tak osobliwych oczu. – Masz męża? Dziecko?

Kobieta dziwnie się roześmiała w głos.

– Mam męża w ziemi i na niebie, i w sercu. Mam i dziecko... w pałacu. Czegoż jeszcze chcesz? Nie zazdrościsz mi, człowieku?

Było w jej oczach coś, od czego gospodarza przeszły ciarki. Jakieś lśnienie, jakaś niezwykła gra kolorów. Jakiś mętny cień na dnie blasku. I dziwny był też śmiech kobiety, gdy głowę odrzuciła w tył.

– Boisz się mnie? Masz powód, człowieku, bo ja jestem czarownicą! W więzieniu obcięli mi włosy, żebym nie mogła nimi zaczarować ludzi, obcięli mi je całkiem na łyso, ale już na powrót zaczynają wyrastać, spójrz tylko!

Zerwała z głowy czarną chustkę. Wypadła spod niej gęstwa złocistopłowych kosmyków, długich ledwie na dwie piędzi, i gdy kobieta potrząsnęła głową, to jakby splątane złote węże roziskrzyły się w słońcu.

– Widzisz sam, człowieku, co mi uczynili. I wiele też innych rzeczy, o których strach nawet pomyśleć. A ja teraz idę z powrotem w góry, żeby więcej już nie oglądać niczego, tylko drzewa i zwierzęta. Nie patrz na mnie z takim lękiem! Ja nikomu nie zrobię krzywdy! Nigdy nikomu nie zrobiłam krzywdy! Tylko mówiłam ludziom to, co było w ich oczach. To nie ja zepsułam im życie, to oni sami je zepsuli. Ja im tylko mówiłam, czym zepsuli to życie. Mam i tobie to powiedzieć, człowieku? Spójrz no na mnie... Twój syn chce się żenić, prawda? Nie ożeni się z tą dziewczyną, o której ty myślisz. Nie ożeni się z tą czarną, nie. Na próżno chcesz tego i ty, i on. Ta dziewczyna pragnie innego. I twój syn ożeni się z inną... ale ty nie będziesz się tym radował. Czemuż to nie będziesz się tym radował? Nie dlatego, że ona mieszka na końcu wsi, a jej matka jest Cyganką... nie dlatego, że jest biedna i nic nie ma... nie, nie dlatego... a więc czemuż to... Czekaj! Przecież to twoja córka! Ta na końcu wsi, tam w lepiance, ta, której matką jest Cyganka!... Przecież to twoja własna córka, człowieku, i to z nią ożeni się twój syn. Ha, ha, ha! Oj, biada ci, człowieku, człowieku!... Dokąd biegniesz, człowieku?... – Głośny śmiech gwałtownie zastygł jej na ustach. Na twarzy pojawiło się przerażenie, gdy popatrzyła za gospodarzem oddalającym się w gniewie. – Człowieku!... Już nawet i prawdy nie można powiedzieć?

Gospodarz ze złością nasunął kapelusz na oczy, lecz się nie odwrócił ani też się nie odezwał. Tylko odszedł miedzą obok pola kukurydzy, w kierunku wsi. Kobieta stała tam jeszcze przez jakiś czas i patrzyła za nim. Oczy jej się zamglily. Głowa z wolna opadła. Nareszcie kobieta westchnęła, odrzuciła w tył włosy i na powrót związała sobie czarną chustkę. Podniosła tobołek, sękaty kij i ruszyła i ona dalej, w górę rzeki, która płynęła tam pośród jasno-zielonych wierzb, mknąc

i igrając z promieniami słońca. I tylko plecy kobiety były trochę bardziej przygięte aniżeli przedtem, a jej krok wolniejszy. Rzeka zakręcała. Na jej przeciwnym brzegu stał zamek w Vécs, wesoło lśnił na nim dach kryty dachówką. Za zamkiem ciemniały olbrzymie dęby, jeszcze bez listowia, przy Leányvárze las schodził ze wzgórza aż do wody. Dalej, pod lasem, powóz zaprzęzony w cztery konie wzbijał na drodze tumany pyłu. Na pędzących koniach pobłyskiwały w słońcu klamry uprząży. Powóz przemknął jak wichur i pozostała tylko szeroka dolina, długie pasma zasiewów i rzeka. A w oddali – góry.

Kobieta szła i szła. Do południa dotarła do mostu w Magyaró i zatrzymała się na nasypie kolejowym, żeby odpocząć. Rozwiązała tobołek. Był w nim jeszcze kawałek chleba. Zjadła go, po czym tylko sobie siedziała. Ponad drzewami dworu w Disznajó krążyły wrony. Czarne wrony. Ich krakanie dochodziło aż do mostu, do kobiety. I kobieta tak pomyślała: on też słyszy teraz to krakanie, jeśli tylko jest tam w domu. I pomyślała jeszcze: tyle lat minęło od tamtej pory, tyle lat. I cóż może znaczyć dla pańskiego dziecka to, że ona jest jego matką? Po tylu latach?...

Siedziała i siedziała. Gdzieś zagwizdał pociąg; nareszcie wypełził ponad doliną długi czarny wąż i zbliżał się, sunąc w dół.

Już słychać było też stukot kół, widać było czarny dym z lokomotywy i te kudłate kłęby białej pary, wypluwane z boku... ogłuszający, długi gwizd... ktoś wychylił się z lokomotywy, jakiś człowiek w czerni, i kiwnął ręką... czego on chce? Czy już nigdy nie będzie miała spokoju od ludzi w czerni, naprawdę nigdy? Zgrzyt. Lokomotywa wtoczyła się na most i stanęła.

Zeskoczyli z niej ludzie, aż trzech. Mieli na sobie dziwne ubrania. Krzyczeli. Czego oni chcą?

Wszyscy trzej biegiem przeszli przez most. Wymachiwali rękami.

– He! Wstaniesz ty stamtąd?! A niech cię weźmie lichy! Kobieta ze zdziwieniem wstała. Związała tobołek, wzięła kij do ręki.

– Czego chcecie?

– Czego?! – wrzasnął jeden. – Płacisz pięć forintów kary za to, że zatrzymałaś pociąg! No, moja duszko, dawaj tych pięć forintów! Nauczycie wy się porządku! Stacja jest tam na drugim końcu wsi, nie tutaj! Jeśli chcesz jechać, to tam idź!

– Ino czort chce z wami jechać.

– No to czego chcesz?

– Niczego.

Zeszła z szyn i ruszyła z boczem nasypu w dół, ku wodzie.

– He! – wrzasnął człowiek w mundurze. – To nie tak! Tych pięć forintów kary proszę jednak zapłacić! Ho, ho!

Kobieta przystanęła na stoku nasypu i spojrzała wstecz.

– Ja bym wam z chęcią dała pieniędzy, dobry człowieku, ale nie mam. Nie mam ja niczego, tylko ten tu gałgan i kij. Ale coś wam powiem... spójrzcie no tylko bardziej na mnie... Strzeżcie się wody... rozumiecie? Wody się strzeżcie. Woda to dla was śmierć...

Dwaj pozostali tam wysoko, na nasypie, zaczęli się śmiać.

– Słyszysz? Pij zawsze tylko wino!

– Chodź już – odezwał się drugi – nie widzisz, że to wariatka? Człowiek w mundurze machnął ręką ze złością.

– No to idź sobie do diabła, ale następnym razem nie śpij na szynach, bo tak ci dołożę, że popamiętasz...

Z okien pociągu wychylili się roześmiani ludzie. Kolejarze, przeklinając, poszli z powrotem do pociągu. Lokomotywa gwizdnęła przeciągle i powoli, sapiąc, ruszyła. Kobieta wciąż jeszcze stała na zboczu nasypu i patrzyła na czarnego potwora z żelaza, sunącego nad nią przez most i ciągnącego za sobą dom z mnóstwem okien, a z każdego takiego okna wyglądali ludzie i śmiali się. Ktoś głośno rzucił ku niej ordynarnym żartem, a z jednego okna wychyliło się dziecko o wesołej buzi i rzuciło w dół jajkiem. Jajko rozbiło się na ziemi tuż u stóp kobiety i ochlapało jej ubranie. Dziecko się zaśmiewało.

Kobieta podniosła wzrok na oddalające się z wolna okno, ogarnął ją wstyd, z podniesioną pięścią pogroziła śmiejącej się buzi.

– Bodajbyś skręcił kark! O, żebyś tak skręcił kark!

Pociąg poturkotał dalej, a ona została tam pod nasypem, przepełniona goryczą i poniżona, jak tyle już razy od szeregu lat. Patrzyła w wodę pod mostem i myślała o tym, że w tym pociągu ktoś dzisiaj umrze. Może ten człowiek w mundurze, który na nią krzyczał, a może ktoś inny. Jednak ktoś dzisiaj umrze w tym pociągu. I napełniło ją to jakąś gorzką, dziką satysfakcją.

W końcu ruszyła dalej.

Na wieczór była pod Dédą. Tu szła już drogą, znała okolicę. Chaty we wsi szykowały się do snu, okrywała je mgła pachnąca gnojówką i dymem. Z gór ściągnęło na dół chłodne powietrze. Niewielu ludzi było na zewnątrz, gdzieś w oborze muczła krowa. Kobieta szła i szła drogą. W tej szarówce nie mogła dojrzeć twarzy ludzi nadchodzących z naprzeciwka, a i jej nikt się nie przyglądał, ludzie szli za własnymi sprawami.

Karczma była tam gdzie dawniej. Z jej okien padał na drogę żółty blask. Ale budynek wyglądał inaczej, był ładniejszy, wyższy, wybudowany z kamienia. Lecz mimo to wszystko było jakoś takie, jakby wcale nie minęło aż tyle lat od tamtej pory. Jakby wciąż jeszcze Włochatouchy sprzedawał w środku palinkę i kaszę, a ona sama, mała czysta dziewczynka, nadchodziła teraz znad Urszu i chciała kupić to i tamto...

Wszystko było jakoś takie. Powietrze, te ciężkie, pachnące dymem

i gnojówką wiosenne opary ponad wsią. Odgłosy i wonie, barwa szarówki i droga, i tam wyżej we mgle most na potoku Bystrym, i szum wody, i ten delikatny zapach żywicy, płynący wraz z wiatrem skądś z góry, od strony Urszu.

Kiedy wchodziła do środka, zadźwięczał dzwonek u drzwi. Wszystko było takie jak wtedy. Z boku długi stół... siedziało przy nim dwóch ludzi, przed nimi kieliszki do palinki. Z tyłu szynkwasy z kratą. Chwiejący się kaganek na belce...

– Czego potrzeba, młoda gospodyni?

Głos, który odezwał się zza szynkwasy, był obcy. Spojrzała tam spłoszona. O ladę opierał się łokciami wielki kościsty mężczyzna z haczykowatym nosem.

– Przyszłam znad Urszu po kaszę kukurydzianą... przyniosę ryb, jeśli trzeba...

– Po jaką kaszę kukurydzianą?

– Włochatouchy wie...

– Kto wie? – zdziwił się mężczyzna. Kobieta rozejrzała się wokół jak ktoś, kto śni. Ludzie przy stole nadstawili ucha. – O czym ty mówisz, kobieto, nie rozumiem ciebie!

– Nie rozumiesz mnie? Ja też ciebie nie rozumiem. My zrozumiemy się z Włochatouchym. On już wie... To dobry człowiek, biedaczysko...

Karczmarz pokręcił głową i spojrzał na mężczyzn. Jeden z nich wstał i podszedł do kobiety.

– Masz na myśli Włochatouchego, dobra kobieto? Tego Ormianina?

– Jego, jego... on wie, kim ja jestem...

– On już nic a nic nie wie, kobieto. On już umarł. Od jak dawna nie byłaś tu, ile to już lat?

Kobieta popatrzyła na mężczyznę, jej oczy paliły ogniem.

– Nie mów, że on już nic a nic nie wie, człowieku. Umarli wiedzą więcej aniżeli żywi. Umarli wiedzą wszystko. Posłuchaj! Słyszysz tego kornika w drewnie? Włochatouchy już wie, że tu jestem i szukam śladu, który prowadzi z ognia na zewnątrz...

Mężczyzna spojrzał wstecz na swego towarzysza i ze znużeniem, ciężkavo machnął ręką.

– Z daleka przychodzisz, kobieto? Nie widziałem ciebie w tych stronach.

– Czy przychodzę z daleka? Ho, ho, a któż to wie, skąd człowiek przychodzi i dokąd zmierza!... Z Urszu spłynęły krople i poniosła je Maros, nie wiem dokąd. A ja idę teraz wzdłuż Maros z powrotem... wciąż z powrotem. Może kiedyś znów będę mogła wrócić nad Urszu i znów będzie tam dom, a ja znów będę małą dziewczynką i Włochatouchy wyjdzie spośród spalonych belek, i napełni mi sakwę kaszą... ale możliwe jest i to, że wcale tak nie będzie. Cóż człowiek wie...

Opuściła głowę, odwróciła się i ruszyła ku wyjściu. Mężczyźni spojrzeli po sobie.

– Zaczekaj, kobieto! Masz co jeść?

Odwróciła się. Popatrzyła na obu mężczyzn wielkimi błyszczącymi oczami i odpowiedziała jak ktoś, kto wypowiada sekret:

– Wiecie, tam wysoko nad Urszu, na półce w chacie zostawiłam mamałygę. Ona musi tam jeszcze być. I mam tam też owce, one lada dzień będą już mleczne, prawda? A w potoku jest tyle ryb...

– Chodź – odezwał się ochryple karczmarz – masz tu chleb. I słoninę. Chodź!

– Prawda, że Włochatouchy coś tu jednak zostawił? Powiedział, żebyś odłożył to dla tej dziewczynki, co przychodzi tu na dół znad Urszu, prawda?... Tak powiedział, prawda? To ja jestem, to ja jestem tą dziewczynką...

– Chodź – cicho rzekł karczmarz – weź to...

Kobieta podeszła do lady, wejrzała w kościste oblicze obcego człowieka. Przez chwilę przyglądała mu się, po czym spuściła głowę.

– No bierz! Masz. Pochylona głowa drgnęła.

– Dziękuję, karczmarzu. Dobrym człowiekiem jesteś i ty, tak samo jak był nim Włochatouchy, biedaczysko. Ale nie sądz, że jestem szalona, bo mówię w ten sposób. Mówię tak tylko dlatego, że czasem dobrze jest wierzyć, że... ale ty tego i tak nie zrozumiesz, karczmarzu. Niech Bóg poszczęści ci spokojem!

Ze spuszczoną głową kobieta poszła w kierunku drzwi.

– Zaczekaj! – zawołał za nią karczmarz. – Zapomniałaś chleba i słoniny!

Kobieta przystanęła, spojrzała wstecz i potrząsnęła głową.

– Nie, człowieku. Ten chleb i ta słonina nie są moje. Zapomniał je zabrać chłopczyk, którego ojciec przysłał skądś po zakupy, a ty to jemu odłożyłeś. Jeśli ja to zabiorę, ojciec zbije tego chłopczyka...

– Bóg mi świadkiem, że jest tak, jak mówisz! – zdumiał się karczmarz – było tu dziecko z tartaku, i zapomniało tego, a ja mu to odłożyłem. Ale skąd ty o tym wiesz?

– Wiem ja wiele rzeczy także o tobie, karczmarzu, bo wejrzałam w twoje oczy i tam je zobaczyłam... ale nic nie powiem, bo nauczyłam się, że nie jest dobrze, gdy ludzie dowiadują się czegoś takiego o sobie... ano zostań z Panem Bogiem!

Była już przy drzwiach, kiedy karczmarzowi wrócił głos.

– Słuchaj, kobieto! Chleb mimo wszystko możesz wziąć! Dam dziecku inny!

Kobieta zatrzymała się w drzwiach.

– Jeśli dasz dziecku inny – rzekła w zamyśleniu – to tak można... to ci zań podziękuję, karczmarzu, i kiedyś coś ci za niego przyniosę.

– Chodźże, weź go! I nie musisz mi za niego nic przynosić, daję ci go z dobrego serca. Tylko powiedz, co jeszcze widziałaś w moich oczach.

Kobieta wróciła i zatrzymała się przed mężczyzną o kościstej twarzy.

– Co ja widzę? Widzę w twoich oczach, karczmarzu, dwie kobiety i jedno martwe dziecko. No i widzę tam długą drogę, której koniec wpada do wody, a tam, gdzie z tej wody wychodzi, dnie są ciemne, a noce jasne, zima jest zielona, a lato białe... ale żadna z tamtych dwóch kobiet nie będzie z tobą, a ty na końcu tej drogi będziesz tak samotny jak ja teraz...

– Mój Boże – rzekł mężczyzna i przeciągnął ręką po twarzy – Ameryka! Ale skąd ty możesz wiedzieć o tym wszystkim?

– Nie pytaj o nic więcej! – pośpiesznie przerwała mu kobieta, wtykając sobie chleb pod pachę. – Bóg ci zapłać...

Karczmarz w osłupieniu gapił się na nią, a dwaj mężczyźni tam przy stole skłonili głowy, mamrocząc pod nosem:

– Niech ci Bóg błogosławi, kobieto...

Brzask zastał ją na górskim zboczu ponad Piperikiem. Srebrzysta szadź pokrywała kielkującą murawę, gdzieś od strony Ulmu doleciał krzyk, przeciągłe wołanie człowieka. Potem głośno zaczęły stukać siekiery i od czasu do czasu z trzaskiem waliło się na ziemię drzewo.

Wycinają las – pomyślała i zrobiło jej się zimno.

Niżej pośród drzew beknęła sarna. Kobieta stała na skraju pastwiska i tak myślała: Tu pasły się owce, które kupił Juon, a mimo to przysłał je Kornel. Tutaj siedziała staruszka, niewidzącymi oczami wpatrując się w słońce, a ja przyszedłam stamtąd... a tu leżał pies... kiedy to było?... Wczoraj? Czy ongiś, przed wieloma, wieloma laty?...

Z wolna rozjaśniło się. Mgła ściągnęła na dół w dolinę i weszło słońce. Kobieta czekała. A nuż tam w dole raz jeszcze wychyną spośród drzew owce, będzie z nimi biały pies i niewidoma staruszka, i wszystko znów potoczy się tak jak wtedy...

Lecz owce nie nadchodziły.

Poczekala jeszcze trochę, aż słońce opuściło górskie grzbiety, po czym ruszyła w dół ku chacie. Wszystko było znajome, takie jak dawniej. Ale tu i ówdzie wycięto jedno i drugie drzewo. Ścieżki wydeptane przez owce zarosła trawa, dawno już nie chodziły tędy owce.

Przed domem ujrzała młodą kobietę. Kiedy do niej podeszła, tamta spojrzała na nią z zaciekawieniem.

– Szczęść Boże dobrem!

– Szczęść Boże!

– Staruszka w domu?

Oczy młodej kobiety drgnęły.

– Jaka staruszka?

– Ano ta, co tu mieszka... Ta niewidoma.

W tamtych oczach rozblęskło zdziwienie i podejrzliwość.

- To jej szukacie? Może to wasza krewna?
- Nie. Tylko... kiedyś często u niej bywałam...
- Umarła – ta druga odrzekła z ulgą – minęły już trzy lata.
- A tak...

Jakby dom zrobił się naraz inny. Już nie był tamtym domem. Był obcy.

- A teraz... kto mieszka w tym domu?
- Mój mąż i ja – odpowiedziała młoda kobieta i hardo uniosła głowę – ten dom stał pusty, no i...
- I nikogo z nią nie było... kiedy umierała?
- Nie, był. By tu jeden stary człowiek. Mówią, że to nie był jej mąż, tylko jakiś obcy stary człowiek. Wiele lat żyli tu razem.
- A z nim co się stało?
- W kilka miesięcy potem umarł i on. Ci, co tu bywali, powiadają, że całymi dniami siedział przed domem i czekał na kogoś. Był z nim stary biały pies, nikt poza tym. Jeśli kto zagadał do niego, nie odpowiadał nic innego, zawsze tylko to jedno: „Wygląda na to, że przegrałem wojnę, naprawdę przegrałem wojnę”. Pomieszał mu się rozum, tak mówią.

– I czekał na kogoś?

– Czekał na kogoś. Na kogoś, kto odszedł i powiedział, że wróci. I komu on obiecał, że tu zostanie, aż tamten powróci. „Nie mogę umrzeć dopóty – mówił – dopóki nie wróci, bo inaczej przegram jeszcze i tę wojnę”. Tak mówił. Pomieszał mu się rozum. Wreszcie umarł. Najpierw staruszka, potem pies, a kilka dni po psie ten stary człowiek. Minęły już trzy lata.

– I nikt nie został?

– Staruszka miała dwóch synów, powiadają. Jeden był pasterzem wołów we wsi i zginął gdzieś w wysokich górach wiele lat temu. Drugi syn poszedł do miasta. Długo nic o nim nie było słyhać. Aż raz w końcu przyjechał. Obdarty i pijany. Staruszka miała jakieś owce, a on je zabrał; powiadają, że miała i pieniądze, i te pieniądze też zabrał, może nawet i zbił staruszkę i tego starego człowieka też, część owiec od razu przepił tu w karczmie, a potem odszedł. Od tamtej pory nie widziano go w tych stronach. Właśnie w tamtym roku staruszka umarła...

Oczy domu w smutku i zadumie zapatrzyły się na słoneczny świat. Przed domem stała nowa ławka, jej drewno było jeszcze jasne. Może kiedyś i na tej ławce będą siedzieć staruszka i starzec, i będą na kogoś czekać – pomyślała kobieta – ale tym kimś już nie będę ja...

– Ile czasu potrzebować może taka ławka, żeby zszarzeć i zniszczyć i żeby mogli się na niej starzy ludzie?

– Słucham?

– Nic...

Machnęła ręką i spojrzała w dół pomiędzy drzewa, skąd bardzo słabo

dochodził szum potoku. Gdzieś zadźwięczał dzwonek.

– To owce?

– Tak – pośpiesznie odpowiedziała młoda kobieta, a jej oczy w zatroskaniu badały dziwną, obcą kobietę – mamy też kilka owiec. Pasiemy je tam w dole.

– Dawniej paśliśmy je w górze, a trawa w dole zostawała na siano.

– Teraz siano zbieramy na górze...

– A tak...

W powietrzu wisiało coś, coś obcego, wręcz wrogiego. Czują, że nie może dłużej tak stać przed tym domem, przed domem obcych ludzi.

– Ano niech Bóg wam dopomoże!

– Z Bogiem!

Odpowiedź przyszła krótka, obojętna. Kobieta ruszyła w dół, skąd dochodził odgłos potoku. Na dolnej polanie zobaczyła owce. Poniżej jakiś mężczyzna ciosał żerdzie z białych pni młodych brzoź. Był z nim też pies, jednak i on wcale nie biały, tylko w czarne łaty.

Omijając polanę i człowieka, zeszła w dół pomiędzy drzewami. W ściółce z suchych liści rozkwitały już przebiśniegi, niebieskie hiacynty i liliowe psizęby. Na pokrytej kotkami łożu brzęczały pszczoły.

Potem kobieta usiadła przy potoku i patrzyła w wodę. Później zjadła chleb od karczmarza z Dédy i wciąż patrzyła w wodę. Przechodziło tamtędy kilku węglarzy, pozdrowili ją, lecz ona im nie odpowiedziała. Tak około południa wstała znad potoku i ruszyła przez PISOJ w kierunku Funtinel. Na Funtinel też się nie zatrzymała. Stromym, gęsto zarośniętym zboczem Andrenyásza puściła się w dół ku Maros. Przeszła przez wodę. Po drugiej stronie pod lasem natknęła się na nasyp, szyny kolei. Przez chwilę stała w osłupieniu i przyglądała się dwóm stalowym węzom, Ignącym do drżącego ciała lasu. Nareszcie ruszyła zboczem Korbuju w górę.

Zapadła już noc, kiedy dotarła wysoko na Komárnyik. Przybyła tam od góry, z połoniny, i gdy wyszła z choin, w blasku gwiazd rozpostarła się przed nią znajoma hala. A w dole była chata.

Kobieta musiała się zatrzymać, bo serce zaczęło jej bić jakoś dziwnie.

Przez chwilę uległa złudzeniu, że tylko poszła wyżej do lasu, a teraz wracała do domu. Jakby nic nie zdarzyło się w tym czasie. A to, co się zdarzyło, było jedynie snem. Dopiero co wydoiła krowę, oporządziła owce i pobiegła po coś na szczyt. A teraz czas już wracać, bo inaczej wygaśnie ogień, a i dziecko może się odkryć... W wilgotnym powietrzu wiosennego wieczoru poczuła woń dymu, który wydychała z siebie chata. Nigdzie nic się nie ruszało. I nie było nic, tylko nocka oprószona gwiazdnym pyłem i polana pośród czarnych lasów, a w dole niemy dom. A jednak coś było, coś dziwnego i jak ze snu. Hala i chata przywiodły jej na myśl śpiącego człowieka, który nie ma pojęcia o świecie, a jednak oddycha miarowo i po

tym można poznać, że żyje. Chata tam w dole żyła, jak ów śpiący człowiek, o tak.

Dziwne to było. Kobieta szła w dół przez halę i tak myślała: Podsyć ogień, ugotuję kolację, a potem się położę. Ogień będzie cicho płonął i oświetlał belki, a ja wtedy porozmyślam sobie o tym, co teraz jest we mnie, uporządkuję to, a potem zobaczę, co i jak właściwie jest...

Starła się iść bardzo wolno, żeby dłużej trwało to uczucie, że chodziła tam wysoko, a teraz wróci do domu i rozpali ogień, i ugotuje kolację, a płomień ognia oświetli belki i wszystko będzie na swoim miejscu...

W końcu dotarła na dół. Stała przed domem. W szarym półmroku widziała ławkę, próg. Słyszała szemrzące źródło, a to szemranie było jak głos umarłego, który nagle powrócił.

Postawiła stopę na progu, ręka dotknęła drzwi i zadrżała. Kobieta miała wrażenie, że to dzieje się we śnie, że to tylko jej dusza stoi na tym dawnym progu, a jej ciało leży nieruchomo gdzieś daleko, w obcym świecie.

Drzwi drgnęły, puściły. Uderzyło ją w twarz pachnące dymem, ciepłe powietrze. Płonął ogień i rzucał w mrok żółte pasma. Ktoś siedział na ławce. Drżąca smuga światła zajaśniała na obliczu zarośniętym brodą.

Głowa poruszyła się.

– Hę?!

To sen, tylko sen. Stała w drzwiach. Za nią rozgwieżdżona, chłodna noc. Hala. Znajomy odgłos źródła. Stała w drzwiach.

Człowiek na ławce poruszył się. Otworzył drzwiczki pieca. Na izbę padł snop żółtego blasku i oświetlił stół, stołki, skrzynię i łóżko. I wszystko było tak jak dawniej. Wszystko.

– Hę. Ano przyszłaś? Dobrze, że tu jesteś, no.

I ten głos, skądś z daleka, z bardzo daleka, z przeszłości.

– Dobry wieczór, wujku Dumitru...

– He. Ano szczęście Boże, no! Wejdźże do środka!

Było to jak sen. Kiedy człowiek śni, że powraca w dawne miejsca, rozmawia z tamtymi ludźmi, w tamtych domach i wszystko jest takie, jak było, a jednak...

Zamknęła za sobą drzwi. Poczowała ciepło, które objęło ją niczym delikatny uścisk, dawny, swojski, przyjemny. Brodaty mężczyzna rzucił na ogień chrustu.

– Jadłaś? Hę?

– Nie jadłam.

– Hę. No to co tak stoisz? Wszystko znajdziesz tam na półce. Jest drewno, jest woda, jest kasza kukurydziana, jest wszystko. Co tak stoisz? Kaganka nie ma. Zabrakło oleju. Ale jest ogień.

I wszystko było na swoim miejscu. Stare wiadro z wodą. Stary dzbanek. Kasza kukurydziana. Stare naczynia. Wszystko. Jakby... Było to jak sen. Na powrót odżyło wspomnienie dawnych gestów. Podeszła do ognia. Sięgnęła tam,

gdzie zwykle stał garnek. Był tam. Sięgnęła po wiadro. Było tam. Nalała wody do garnka i postawiła go na palenisku. Wyciągnęła rękę w górę na półkę po kaszę kukurydzianą. Była tam... jakby to jeszcze ona sama położyła tam te rzeczy, wszystko na swoje miejsce, nim... było to jak sen.

Woda wrzała. Gotowała się mamałyga. Kobieta siedziała w rogu przy piecu, jak dawniej, Dumitru na ławce jak dawniej. Zapach gotującej się mamałygi wypełnił chatę jak dawniej.

– Chodźcie, wujku Dumitru! Mamałyga gotowa.

– Jedźże! Ja już jadłem.

Potem znów siedziała w kącie przy piecu, a ogień zaczął przygasać i rzucał już niewiele światła, tak że izbę spowijała jakaś ciepła, rudawa szarówka i ledwie było widać przygięty kontur człowieka na ławce. I wtedy ten człowiek na ławce zaczął opowiadać:

– Ano tak, ano tak. Wiedziałem, że kiedyś wrócisz. Każdy kiedyś wraca tam, skąd wyruszył. Trzymałem nad tym domem pieczę dla ciebie. Owce się mnożyły, wciąż tylko się mnożyły. Wiele ich sprzedałem, kiedy zacząłem się starzeć, bo tak to trzeba, wiesz. Pieniądze znajdziesz w skrzyni. Krowę wymieniłem... potem znów ją wymieniłem... czekaj... ostatni raz przed dwoma laty. Obejrzysz ją. Są dwa wołki i cielak. Resztę sprzedałem, pieniądze znajdziesz w skrzyni. Pies...

– Csobán! – kobieta podniosła głowę. – Gdzie jest Csobán?

– Pies zdechł. Jeszcze tamtej jesieni. Nie mógł już chodzić. Stary był. Zakopałem go tam pod bukami.

A więc to jednak nie sen – pomyślała kobieta – to jednak nie wczoraj stąd odeszłam. Nie. To nie sen...

– Z domem wszystko jest w porządku, z szopą też, i z owcami, ze wszystkim. Zobaczysz jutro...

– A wy, wujku Dumitru? – zapytała cicho i ze znużeniem.

To nie sen, teraz to już pewne, że nie sen, to właśnie było w tym pytaniu.

– Hę? Ano widzisz... wszystko potem obejrzysz. Wiele rzeczy jest inaczej, wiele, bardzo wiele... Iwan odszedł, Birtalan...

– Dokąd odszedł wujek Iwan?

– Czy ja wiem? Odszedł. Jednej wiosny, jak miał w zwyczaju. Tylko tak odszedł i więcej już nie wrócił.

– A wujek Birtalan?

– Jego wysoko na Belcsuj zabił niedźwiedź, którego zranił Iwan. To stare sprawy...

– A reszta?... Wujku Dumitru, a reszta?...

– Ferencowie wyprowadzili się stąd, są gdzieś niedaleko Toplicy, jak niesie wieść. Vénség umarł. Znaleźliśmy go jednego dnia na Dószul Fulgeruj, przed domem. Siedział na ławce, zastygły jak kamień. Gyerkó zaś jeszcze żyje tam

w dole i jego syn też... i ja. Nikt inny. Pusta jest dolina Szalárd, kobieto. Pusta.

Nie, to nie był sen. Sen nie jest taki smutny. We śnie człowiekowi nie płyną po twarzy łzy.

Nie pytała więcej. Milczeli. Ogień wygasł, nie prosił już światłem. Zapanował mrok. Później Dumitru zaczął opowiadać:

– Tak to jest, kobieto, tak. Tak, jak mówię. Pusta jest dolina Szalárd. Odkąd nikt nie przychodzi na górę... po prostu żyliśmy tu jak te niedźwiedzie. Potem odszedł Birtalan, on był pierwszy. Potem odeszli Ferencowie. Potem odszedł Iwan. Potem odszedł też Vénség. A teraz już tylko ja sam... a poza tym nikt a nikt, wiesz. Co miesiąc garbaty albo jego syn przynoszą tu ordynaria, ale poza tym nikt inny, nigdy. Pan... odkąd puścili kolej, więcej już się nie pokazał w tych stronach. Wtedy widziałem go po raz ostatni. Kiedy nadszedł pociąg, ten pierwszy. Pan siedział u wylotu Szalárd, pośrodku nasypu, pomiędzy szynami. Na tym stołku o trzech nogach, na którym zwykł siadać. Siedział i patrzył przed siebie. Straszna miał twarz. My staliśmy poniżej, na ścieżce, Gyerkó, Iwan, Birtalan i ja. A z dziury wydrążonej w skale wyszła ta diabelska maszyna, wielka czarna dymiąca maszyna, pan zaś siedział pomiędzy szynami. Maszyna zagwizdała. Potem ponownie zagwizdała. Nareszcie zatrzymała się. Wyleźli z niej jacyś ludzie, tacy tylko na wpół panowie, i podeszli do pana. „Łaskawy panie, proszę...” – i tak dalej. Pan nawet na nich nie spojrzął i wciąż siedział. „Łaskawy panie, proszę się odsunąć na bok, żebyśmy mogli przejechać”. Lecz pan jakby ich nie widział. Mówili do niego, ale on może tego wcale i nie słyszał. Przyszli też inni panowie. Przyszli i żandarmi. Ale pan nadal tak siedział. I powiedział do tych panów: „Przejedźcie po mnie!”. I powiedział do żandarmów: „Aresztujcie mnie!”. Żandarmi nie śmieli go tknąć. Panowie nie śmieli przejechać po nim maszyną. Przez cały jeden dzień i przez całą jedną noc pan siedział tam nieruchomo, pomiędzy szynami, a maszyna stała u wylotu dziury w skale. Wtedy powozem barona nadjechali jacyś inni panowie, jacyś wielcy panowie, i podeszli do pana. Coś do niego powiedzieli, ale nie mogłem tego zrozumieć, bo stałem za daleko. Pan tylko potrząsnął głową. Długo doń przemawiali. I raptem pan zerwał się ze swego małego stołka, chwycił strzelbę i wypalił do czarnej maszyny. Bum, bum! Rozległ się ogłuszający huk. Panowie rzucili się na pana i zaczęli się z nim mocować. Wykręcili mu z rąk strzelbę i odrzucili ją tak, żeby jej nie sięgnął. My z Iwanem mieliśmy już skoczyć mu na pomoc, ale wokół nas stał wtedy z tuzin żandarmów, mierzących w nas z karabinów. I dlatego tylko patrzyliśmy na to, co się dzieje. Ojej, kobieto, ojej! Panu oczy nabiegły krwią, twarz wyglądała potwornie. Włosy – miał je wtedy już całkiem siwe – stanęły mu dęba na głowie, sterczały sztywno we wszystkie strony. I usta wykrzywił tak, że wszystkim ciarki przechodziły po plecach. Złapał jednego z panów i cisnął nim w dół aż do Maros. A tam, gdzie uderzył pięścią, tam człowiek padał niczym niedopałek. Słuchaj, ja widziałem raz zranionego

niedźwiedzia, jak rzucał się na psy. Ano takie właśnie było i to. Ojej, kobieto, ojej!... Wreszcie rzucili się na biedaka większą gromadą. Powalili go, związali, wsadzili do powozu barona i powieźli. Przez cały jeden rok trzymali go w jakimś szpitalu i mówili, że postradał rozum. No i powiadają, że teraz stale siedzi w domu. Ale to już starzec i całymi dniami nie odzywa się jednym nawet słowem. Tak mówią. Ja tego nie wiem. Bo nie widziałem go od tamtej pory. I więcej już go nie zobaczę, no przecie, że nigdy więcej. Ano tak tu jest, kobieto.

Gdzieś w belce kornik gryzł drewno i ten cichy chrobot zdawał się tykaniem jakiegoś niewidzialnego zegara, który odmierzał miniony czas.

– A w dole w siedlisku nikt teraz nie mieszka? – zapytała później kobieta.

– Nikt.

– Ani w domu Ferenców?

– I tam nikt.

– I na Dószul Fulgeruj?

– I tam nikt.

Było to jak pogrzeb. Kobieta pomyślała: Birtalan... i widziała starego człowieka o rybiej twarzy, jak kiedyś tam przy brzegu Bystrego podwinął rękaw koszuli na wyschlłym ramieniu i włożył rękę do wody. Potem pomyślała: Iwan... i widziała potężnego, wysokiego mężczyznę, idącego ścieżką w górę, a za nim małego Dudása i dużego Dudása. Potem pomyślała: Vénség... i słyszała łomotanie w drzewo, wysoko na górskim grzbiecie, i odpowiedź, dolinami zmierzającą ku niej z Dószul Fulgeruj. I pomyślała: to koniec. Czas pochłonął ludzi, a ich ślady przykrył mech. To koniec. Po twarzy bezgłośnie spływały jej łzy, palące, słone. Ano tak – pomyślała – ano tak...

Chciała jeszcze o coś zapytać, lecz usta jej nie drgnęły. O kogoś... o dziecko, które kiedyś, dawno temu w tym domu... Lecz nie miała odwagi, by zadać to pytanie. Milczeli. Zalegał mrok. Wysoko w belce niewidzialny zegar wciąż odmierzał czas. Tik-tak, tik-tak, tik-tak...

– Wujku Dumitru...

– He?

– Czy to możliwe, że ktoś kiedyś jednak przyjdzie tu na górę?... Ktoś, kto jest młody i kto już tu był, tylko może nie wie o tym... że dawno temu... kiedyś jednak przyjdzie tu na górę?... Czy można na to czekać?...

– Czekać... to można. Czekać...

Kudłaty starzec westchnął w mroku i poruszył się.

– No to ja... teraz pójdę i położę się. Zawsze spałem tam na zewnątrz, w szopie, przyzwyczailem się, wiesz. Bo to tutaj, to jest twoje łóżko, a tam w środku... ano będziemy czekać, wiesz. Czekać, to można zawsze...

Szurnęły zmęczone stopy, następnie otworzyły się drzwi i na powrót się zamknęły.

Kobieta została sama. Jeszcze przez jakiś czas siedziała w rogu przy piecu, na tym miejscu, na którym dawno, dawno temu zwykła przesiadywać, ale teraz siedziała już tak jak ktoś, kto na coś czeka. Nareszcie wstała, podeszła do łóżka i wyciągnęła się na nim. Jej palce rozpoznały poduszkę, stary, włochaty wełniany koc, i było to takie piękne i miłe. Czekać... pośród wspomnień dawnego słońca czekać na nowe słońce. Na kogoś, kto odszedł i powróci. Na coś, co przeminęło, ale może raz jeszcze powróci. Może. Dobrze jest czekać...

Rankiem słońce zaświeciło na próg i kiedy Nuca rozwarła drzwi, jasność wlewała się do chaty tak, że kobieta musiała zmrużyć oczy. Na murawie hali lśniła rosa, z dołu dochodziła dźwięczna muzyka potoku i wszystko było takie jak ongiś. Dumitru stał w drzwiach szopy z widłami w ręce. Dopiero teraz w świetle słońca widać było, jak bardzo się postarzał. Jego włosy i broda były siwe. Ramiona przygięte, oblicze pomarszczone i wychudzone. Lecz kierpce wciąż miał z wilczej skóry i wisiała na nim też kamizela z wyliniałej wilczej skóry, a na gwoździu ponad jego legowiskiem z siana dyndał worek z wilczej skóry, obok zaś stała licha strzelba.

– Popatrzże – powiedział – to krowa. A to wołki. To cielak. Tu są owce. Będzie sześćdziesiąt mlecznych, więcej nie daję rady w pojedynkę, dlatego tylko tyle. Tego barana kupiłem niedawno, będą dwa tygodnie. Dobre zwierzę. Hę?

Kobieta wydoiła krowę, a potem poszli do chaty, żeby tam zjeść. Później Dumitru wygnał owce na trawę, kobieta zaś zrobiła porządek w domu. Wymiotła chatę, umyła podłogę, jak ktoś, kto wrócił do domu i oczekuje miłego gościa. Następnie podeszła do skrzyni i otworzyła wieko. Leżały tam pięknie, jedno na drugich, ubrania, tak jak sama je tam kiedyś włożyła. Czerwona spódnica, odświętny krótki kozuszek w tulipany, buty z cholewami, wszystko. Czerwony woreczek, a obok tego czerwonego woreczka mała fujarka.

Jeszcze nikt na niej nie zagrał – pomyślała kobieta – jeszcze musi ktoś wrócić, żeby na niej zagrać...

Starannie odłożyła wszystko z powrotem na miejsce. W rogu skrzyni, pod ubraniami były pieniądze, które Dumitru po kolei tam upychał. Kiedy zatrzasnęła wieko skrzyni, gdzieś w lesie poniżej zarżał koń.

Wybiegła z chaty. Ścieżką w górę, pomiędzy szarymi bukami nadchodził jakiś człowiek, a za nim mały górski koń z workiem na grzbiecie. Jakby to Iwan szedł do niej albo Birtalan...

Lecz to nie był Iwan. I też nie Birtalan. Przed koniem szedł jakiś obcy mężczyzna. Jeszcze bardzo młody, wąs ledwie znaczył mu się meszkiem. Dumitru zostawił owce same i ruszył w dół ku domowi. Dotarł tam jednocześnie z tym człowiekiem.

– Szczęść Boże, wujku Dumitru!

– Szczęść Boże, Estevány!

Zdjęli z konia worek i wnieśli do chaty. Konia rozsiodłali, żeby się popasł. Od czasu do czasu Estevány ukradkiem zerkał na kobietę, ale o nic nie pytał. Ona zaś postawiła przed nim mleko i mamałygę. Podczas gdy młodzieniec jadł, Dumitru przysiadł na ławce.

– No. A jest ci tam co nowego?

– A i owszem, jest – młodzieniec odpowiedział z pełnymi ustami – panicz skręcił sobie kark.

– Co takiego?! – rzucił z ławki osłupiały Dumitru.

– András przyniósł tę wieść z Dédy. Przedwczoraj w południe panicz wsiadł do pociągu w Disznajó, żeby pojechać do Vécs, do baronostwa. Przy Idecs, jak mówią, stanął w drzwiach pociągu, a pociąg gwałtownie się zatrzymał, bo coś było nie w porządku z jakąś zwrotnicą. Panicz wyleciał przez drzwi, a tam akurat nasyp był wysoki. Jak mówią, wcale już nie żył, gdy do niego podbiegli. Skręcił sobie kark.

Było tak, jakby powietrze w chacie stężało. Jakby chata zmartwiała. Jakby raptem zgasło słońce na niebie. Zapanowała cisza. Słysząc było jedynie ciamkanie młodzieńca, nic innego. Nareszcie odezwał się Dumitru ochryplym, starym głosem:

– A teraz?... Co teraz będzie, Estevány?... Z krainą wysokich gór?

Młodzieniec wzruszył ramionami.

– Zajmą się tym krewni. To nie nasza sprawa, wujku Dumitru. Kobieta stała oparta o piec, pobladła, z wytrzeszczonymi oczyma, i patrzyła na młodzieńca, który siedział przy stole i jadł. Patrzyła na młodzieńca, ale widziała pociąg, jak z wolna przejeżdża przez most, po nasypie, jak jakieś dziecko ze śmiechem na ustach wychyla się z tego pociągu i rzuca jajkiem, jak jajko rozpryskuje się na ziemi... Podniosłam pięść – pomyślała – i wypowiedziałam to... i wypowiedziałam to!...

Gdy tak patrzyła na młodzieńca, w jej oczach malowała się groza, bo kobieta wciąż widziała pociąg, jak powoli potoczył się w dal, wysoko po nasypie, a ta głowa, ta roześmiana buzia robiła się coraz mniejsza, a ona tam stała i wypowiedziała to, wypowiedziała te straszne słowa... „Ojej, o mój Boże!...”

Z daleka, z przeraźliwej dali słyszała jeszcze głos młodzieńca, mówiącego o jakiejś pile, którą przywieziono nad Ilwę, i o tym, że już wycinają las i robotnicy przeniosą się tam do wylotu Ilvy, i inżynierowie, i tak dalej... Pojedyncze słowa obijały się o jej uszy, ale nie trafiały dalej, do środka. Wewnątrz niej turkotał i hałasował pociąg, koła pryskały krwią, a w tym stukocie kół jakby słysząc było głos Cyganki: „Zabijesz własne dziecko... zabijesz własne dziecko...”

Młodzieniec skończył jeść i wstał od stołu.

– Bóg zapłać! – rzekł i spojrział w kierunku kobiety.

Nikt mu nie odpowiedział: na zdrowie. Kobieta, poszarzała na twarzy, z szeroko rozwartymi oczyma wciąż patrzyła na coś w powietrzu. Te oczy były

przerażające, młodzieńcowi ciarki przebiegły po plecach.

– Ano, niech Bóg was obdarzy wszelkim dobrem!

Dumitru też nie odpowiedział, tylko siedział na ławce i patrzył na kobietę. Młodzieniec odchrząknął, wreszcie wyszedł na zewnątrz, zmieszany. Słysząc było, jak tam na dworze osiodłał konia i jak ruszył z nim w dół. Słysząc było jeszcze oddalający się stukot kopyt, coraz słabszy, aż i on ustał. Pozostała jedynie cisza, stężała cisza, i dom, zmartwiały dom. A w nim dwoje ludzi, zdruzgotanych, zastygłych już bez czucia.

– Co teraz będzie... wujku Dumitru?...

– Nie wiem.

Nawet kornik zatrzymał się w belce. Czas dobiegł kresu. Coś skończyło się w sposób nieodwołalny. Było tak, jakby głąz spadł już i na tę ostatnią ścieżkę, po której jeszcze mogłoby coś powrócić. Było tak, jakby ścieżki – wszystkie, ile ich tylko było na tym świecie – raptem runęły w jakąś bezdenną, czarną otchłań, a w tej otchłani nie ma już niczego, ale to niczego, ani wspomnień, ani nadziei, ani czekania. Niczego.

Kobieta stała przy piecu, Dumitru Wilk siedział na ławce, i patrzyli na siebie. Lecz nie widzieli jedno drugiego. Niczego już nie widzieli, tylko czarne skalne urwisko pod stopami, urwisko, w którym wszystko się kończy.

Nareszcie kobieta powoli, chwiejnie podeszła do drzwi i wyjrzała na słońce. Lecz hala była już obca, i obcy był las, i obce było światło słońca. Na trawie pasły się obce owce, a drzwi, w których stała, należały do obcego domu.

– Wujku Dumitru... był tu raz Vénség, siedział tam, gdzie wy siedzicie, i tak powiedział: „Ten dom powstał nie jako ognisko domowe, a jedynie jako kwatera do przenocowania”. Jedynie jako kwatera do przenocowania, tak powiedział. Miał rację. A na kwaterach, wujku Dumitru, czas wyznaczony dla człowieka przemija.

Starzec nie odezwał się. Siedział i patrzył przed siebie, w podłogę. Patrzył na pęknięcia w podłodze i myślał o czasach, kiedy ze zwałonych choin rznęli piłą deski na tę podłogę. Później poruszył się, wstał i pokuśtykał z chaty. Przeszedł obok kobiety, niemal jej dotykając, ale na nią nie spojrzał, tylko poszedł dalej, na tył do szopy. Kiedy wrócił, trzymał w ręce liche worek z wilczej skóry. Stał z nim przed kobietą.

– Znasz to? – zapytał i wygrzebał z dna worka brudny gałganek, który kiedyś musiał być czerwony, i uniósł go w kierunku twarzy kobiety. – Znasz to? – Następnie wygrzebał małą zniszczoną czapkę z owczych skór i znów zapytał: – Znasz to?

Kobieta stała bez ruchu i przyglądała się. Może patrzyła na rzeczy w ręce Dumitru, może obok nich na podłogę, może obok podłogi w powietrze, a może gdzieś indziej. A Dumitru tak rzekł:

– Widzisz. Kiedyś myślałem... ale to nieprawda. Człowiek żyje dalej.

Kiedyś myślałem... ale i to nieprawda. Mimo wszystko Bóg jest gdzieś i nie musi nam się spowiadać ze swoich spraw. Kiedyś myślałem, że zabiję wszystkie wilki, jakie tylko są na świecie. Nie można zabić wszystkich wilków. Ile ich zabiłem, każdemu to pokazywałem i mówiłem: musiałeś umrzeć za tę czapkę i za ten tu gałganek. Lecz ich to nie obchodziło. Kto jest już martwy, tego nie obchodzą takie rzeczy. I tego, kto żyje, tego też nie. Wszystko na świecie się starzeje. Nawet i taki gałganek, i taka mała czapeczka. I wilcze skóry, i wilki. I ludzie. Domy. Wspomnienia. Wszystko. Już od dawna nie szukam wilków, kobieto. To nie ma sensu, dlatego. Są tu, widzisz, owce. Kiedyś byłem gospodarzem ze stadem owiec, żyłem razem z moimi owcami. Potem przyszły wilki. Potem minęło dużo, bardzo dużo czasu, a ja chodziłem śladem wilków z tym gałgankiem i z tą maleńką czapeczką w worku, jednak nic to nie pomogło. Teraz znów jestem tu z owcami. To są twoje owce, nie moje. Ale czy to nie wszystko jedno? Czy owca albo las, albo powietrze, albo deszcz, który pada z nieba, mogą być czyjeś? Człowiek żyje i żyją owce, i człowiek tych owiec dogląda. I przy tym widzi, jak las zielenieje, i widzi, jak zrzuca liście, i widzi, jak świeci słońce, i to tyle. To tyle. I dobrze by było, gdybyś ty teraz wzięła tę małą fujarkę, a ja wziąłbym tę małą czapeczkę i poszlibyśmy tam na górę, na skraj hali, gdzie pasą się owce...

Kobieta wzdrygnęła się i spojrzała na starca. Jak ktoś, kto budzi się z głębokiego snu, tak na niego spojrzała.

– Nie rozumiem, o czym mówisz – powiedziała, a jej głos był ostry i obcy.

– Że z czasem i to przeminie, jeśli tylko razem będziemy strzec owiec.

Kobieta potrząsnęła głową. Oczy miała dziwne, wielkie, głębokie i zmętniałe.

– Nie rozumiem, o czym mówisz, dobry człowieku. Ja nie mam owiec, nie mam małej fujarki. Ja jestem czarownicą z gór i zabijam każdego, kto trafi w moje pobliże. Nie boisz się, że i ciebie zabiję?

Dumitru westchnął, z powrotem włożył do worka małą czapeczkę i czerwony gałganek i poczłapał z nimi do szopy. Powiesił worek na gwoździu, trochę się tam jeszcze pogrzebał, ale zupełnie bez życia, jak to znużeni, bardzo starzy ludzie, po czym wrócił do chaty.

Drzwi były puste, nikt w nich nie stał. Dumitru zajrzał do środka. Pusta była i chata.

Przez jakiś czas stał tam w drzwiach, bezradnie, potem westchnął i siadł na ławce przed domem. Siedział i siedział. Słońce wznosiło się i wznosiło. Z murawy obeschła rosa, owce same z siebie zeszły w dół do wody, żeby się napić, i na powrót poszły się paść. Dumitru wciąż siedział. Lecz nic się nie ruszało, nikt nikąd nie nadchodził.

Pod wieczór zapędził owce do zagrody, następnie wszedł do chaty, rozpalił ogień, ugotował mamałygę, zjadł. Drzwi były otwarte, wlewał się przez nie chłód

wiosennego wieczoru. Gdzieś w jarach kwitł leśny bluszcz.

W końcu zapadł zmierzch, a wciąż jeszcze nikt nie nadchodził. Wtedy starzec chwycił siekierę, pokuśtykał z nią na dół do lasu i w blasku gwiazd zaczął macać drzewa. Po północy, kiedy wzeszedł księżyc, w lesie pośród drzew wciąż jeszcze stuknęła siekiera. A o świcie stał przed domem prosty i lśniący, piętrzący się ku niebu, ogromny bukowy krzyż. Na jego ociosanym, jasnym drewnie wciąż jeszcze błyszczały soki życia. Stał i dwoma kalekimi ramionami pokazywał na las, a czubkiem w górę na niebo. Starzec zaś siedział pod nim, zgarbiony i bardzo samotny i patrzył w dal poprzez mgły brzasku, ponad porośnięte lasami góry, krainę ośnieżonych szczytów.

Powiadali, że kiedy tamtego lata gromadzkie owce pędzono na Funtinel, przed kolibą juhasów siedziała na ziemi kobieta. Była to dziwna kobieta. Ubranie miała obszarpane, głowę niczym nieprzykrytą, a potargane włosy spadały jej na ramiona. I te włosy miała jak ogień, oczy zaś zielone i wielkie, i tak nimi patrzyła, że ludziom, którzy podeszli do koliby, ciarki przeszły po plecach.

Obca kobieta przyjrzała się mężczyznom, jakby szukała kogoś pośród nich.

– Gdzie jest stary? – zapytała i także jej głos był tak osobliwy, ochryply i głuchy, jakby dobywał się z jaskini.

– Jaki stary? – spytali ludzie.

– Ten o białych włosach, który dawniej bywał tu z owcami. Komuś przypomniało się, o kim może mówić.

– Masz na myśli starego Árszintyę? Umarł on już wiele lat temu!

Kobieta przez kilka chwil nieruchomo wpatrywała się w mężczyznę, który to powiedział, po czym opuściła głowę i zaczęła nią kiwać.

– Umarł, umarł. Oczywiście, że umarł. Każdy umiera. I wy wszyscy pomrzecie, od pierwszego do ostatniego.

Jeden młody juhas z tyłu roześmiał się.

– Poczekaj z tym jeszcze, matulu! Wpierw chcemy żyć, tulić niewiastę, no nie?!

Na ten głos kobieta podniosła głowę. Włosy odrzuciła w tył, a oczy dziko jej rozbłysły.

– Żyć? – syknęła. – Chcesz żyć, chłopcze? Chcesz tulić niewiastę? Wszyscy umrzecie! Jeśli ja tak mówię, to możesz mi wierzyć! Bo ja to wiem! Ja jestem czarownicą z gór, tą, która niesie ludziom śmierć! Śmiejesz się? Jeszcze nie zmieni się księżyc, a ty umilkiesz już na zawsze!...

– Szalona jest, biedaczka – rzucił któryś i wszyscy mężczyźni wybuchnęli śmiechem.

Kobieta poderwała się z ziemi i pokazała palcem po kolei na każdego z nich.

– Śmiejecie się? I za twoimi plecami stoi śmierć, ty nieszczęsny człowieku! Choroba wysysa ci siłę z kości i za dwa lata twoi synowie sypać będą ziemię na

twoją mogiłę. Ciebie przygniecie na śmierć drzewo w lesie! Ty zginiesz od ukąszenia żmii, w mękach i konwulsjach! Czego jeszcze chcecie? Któremu jeszcze mam wyczytać z oczu śmierć? Tobie, ty rechoczący typie?! Będziesz leżał z nożem w brzuchu na podłodze w karczmie i będą po tobie deptać obce stopy! Wszyscy umrzecie, wszyscy!

Później tam w dole, we wsi wielu ludzi przywoływało tę historię. Bo wszystko co do joty stało się tak, jak przepowiedziała tamta kobieta. Młodziutki juhas zmarł jeszcze w tym samym tygodniu. Po prostu spuchła mu ręka, potem ramię i umarł. „Zatrucie krwi” – stwierdził urzędowy lekarz. Drugi zmarł na suchoty dwa lata po tamtym dniu. Trzeciego na śmierć przygniotło źle obalane drzewo. Potem czwartego ukąsiła żmija na Pietrosz, i nim zbiegł na dół do doliny, wyzionął ducha. Minęło trochę czasu i zakłuto nożem tego piątego. Stało się to gdzieś powyżej Besztercy, w czas jarmarku. Nie minęło nawet i dziesięć lat, a nie żył już ani jeden z tych, którzy w dniu świętego Jerzego przed kolibą na Funtinel natknęli się na ową kobietę.

Mówili też, że po tej rozmowie kobieta zeszła do źródła, rozebrała się do naga i wykąpała się tam. Ci, którzy ją widzieli, przysięgali, że jeszcze nigdy w życiu nie spotkali białogłowy o tak pięknym ciele. A przecież patrząc na jej twarz, człowiek pomyślałby, że jest stara i cherlawa. Tych, którzy widzieli, jak się kąpała, było dwóch. Jednym z nich był ów młody juhas, który zmarł jeszcze w tym samym tygodniu. Drugim zaś pewien starszy mężczyzna, który tamtędy przechodził z końmi. Tego jeszcze w tym samym roku znaleziono jednego poranka martwego we własnym łóżku. A przecież nic mu wcześniej nie było.

– Widział i on kąpiącą się czarownicę wysoko na Funtinel – szeptali niektórzy na jego pogrzebie.

Tamtego lata nikt jej więcej nie widział. Ani juhasi z Funtinel, ani ci, co zbierali grzyby na Andrenyásza. Nie widzieli jej też ci, co szukali malin na połoninie na Kóbor. Lecz wuj Minya, który wysoko na płasni Brád pasł stado rogacizny, latem i zimą trzymane pod gołym niebem, wiedział o pewnej tajemniczej kobiecie, która przychodziła z Butki i śpiewała przy blasku księżyca. Tenże wuj Minya opowiadał czasem i o pewnym świętym człowieku, imieniem Nikodem, który mieszkał w jaskini gdzieś w górze na Butce. Lecz wuj Minya skąpo odmierzał słowa i trudno było czegoś się od niego dowiedzieć. Kiedyś powiedział jeszcze tyle, że od czasu do czasu zwykł przychodzić tam wysoko pewien kudłaty starzec, utykający na jedną nogę, który nosił na Butkę jedzenie. I mogła to być prawda, bo drwale na Ilvie rzeczywiście widywali niekiedy starego kulawego człowieka, wlokącego się w górę wzdłuż potoku, z sakwą na ramieniu, i podług niektórych tym starcem nie mógł być nikt inny jak Dumitru Wilk z hali Komárnyik.

W połowie lata Bakosa, strażnika leśnego mieszkającego na Dealu Brád,

burza zagnała pomiędzy skały Butki i kiedy następnego dnia powrócił stamtąd do domu, opowiadał bardzo dziwne rzeczy. Mówił, że jest tam gdzieś cudowna jaskinia, której strzeże wężowy król w diamentowej koronie na głowie. I że w tej to jaskini mieszka rusalka, która ma złote włosy, a na miejscu oczu dwie prawdziwe gwiazdy. Po jej prawicy chadza niedźwiedź, po lewicy zaś wilk, i gdzie tylko się pojawiają, tam kłaniają się im drzewa. Kiedy wschodzi księżyc, rusalka zdejmuje z siebie jedwabne odzienie i idzie się kąpać. Wówczas wężowy król dmucha w diamentowy gwizdek, a wtedy gromadzą się tam wszystkie węże z okolicy i podczas gdy rusalka kąpie się, strzegą te węże jaru, żeby nikt nie mógł się doń zbliżyć.

Takie rzeczy opowiadał Bakos, kiedy wrócił do domu z Butki. Mówił też jeszcze i to, że on jednak widział tę kąpiącą się rusalkę, bo wdrapał się na drzewo, na które nie mogły popęłznąć za nim węże. I że jeszcze nigdy w życiu nie widział czegoś tak pięknego. Ale przecież ten Bakos był znanym kłamcą. A i umarł jeszcze tej samej zimy, biedaczysko, on i jego głowa razem z tymi wszystkimi kłamstwami. Zaczął kasłać, potem tak nim trzęsła febra, że w końcu rozstał się z życiem.

Jednakże bez względu na to, czy wierzyć w te opowieści, czy też nie, świętą prawdą jest to, że nocami, kiedy pięknie lśnił księżyc, wysoko na Butce ktoś śpiewał. I mówił o tym nie tylko wuj Minya, słyszeli to również inni. Węglarze, którzy mieli swoje siedlisko na zboczu Brąd, a także gospodarze ze wsi, którzy zachodzili na górę, żeby obejrzyć pasące się tam zwierzęta, i zostawali na noc pod dachem u wuja Minyi. Wszyscy oni to słyszeli i przysięgali, że wysoko na Butce śpiewała jakaś kobieta. Ale tak pięknie, jak żadna ziemską, śmiertelną niewiastą zaśpiewać nie potrafi.

Późnym latem nawet poszło dwóch młodzieńców, jeden od węglarzy, drugi od drwali na Ilvie, żeby odszukać tę śpiewającą kobietę. Ruszyli na Butkę po południu, a wrócili dopiero następnego dnia w południe z nosami spuszczoneymi na kwintę. Opowiadali, że przez całą noc biegali za tym głosem z jednej skały w dół, na drugą skałę w górę. Gdy szli w tę stronę, głos dochodził z drugiej strony. A kiedy tam poszli, dochodził stamtąd, skąd przyszli. Ów głos czasem nawet się z nich naśmiewał. Wiele razy spadali z tych przeklętych skał, to cud boski, że nie połamali sobie rąk ani nóg. W końcu księżyc zaszedł, ustał też śpiew. Młodzieńcy do świtu drżeli na górskim grzbiecie. Gdy wreszcie było już coś widać, znów zaczęli szukać. Ponoć znaleźli jakąś jaskinię, ale nie było w niej rusalki, jedynie stary brodaty pustelnik, zwany Nikodemem, którego znał i wuj Minya. Kiedy się nań natknęli, akurat modlił się przed jaskinią i bez względu na to, jak do niego przemawiali, nie odpowiadał, tylko się modlił. Bił się w piersi i wyznawał Panu Bogu, jakim to on, Nikodem, jest niegodziwym i grzesznym człowiekiem. Przerwał modlitwę dopiero wtedy, gdy chcieli wejść do jaskini. Podniósł się z kolan, wziął

do ręki drąg w kształcie maczugi, co nie wróżyło nic dobrego, i raptem obrzucił ich szpetnymi przekleństwami. Młodzieńcy osłupieli. W żadnym razie nie podejrzewaliby go o coś takiego, zwłaszcza po tylu żarliwych modłach. I tak oto powlekli się z powrotem, dławieni wstydem. Nie znaleźli najmniejszego śladu jakiegokolwiek białogłowy. A przecież, przysięgali, z całą pewnością nie mógł śpiewać ów brzydki stary pustelnik, bo tamten głos należał do kobiety, a w dodatku, sądząc po jego brzmieniu, musiała to być kobieta młoda i piękna. Ludzie często naśmiewali się z młodzieńców, którzy doznali takiego niepowodzenia, i szydzili z nich także z powodu pustelnika. Lecz był pośród starszych i taki, który kręcił głową, zęgnął się i mówił, że jest na tym świecie wiele różnych rzeczy, o których nic pewnego nie wiadomo, i że na Butce zawsze były mary i diabelskie duchy wabiące człowieka na złą drogę. I że nie ma tu się z czego naśmiewać, bo kto pobiegnie za widmem, tego raz-dwa wziąć mogą diabli.

Co się zaś tyczy mar na Butce, o tych także wuj Minya wspominał czasami jednym i drugim słowem, ale inni też widywali już podczas bezksiężycowych nocy niewielki ogień wysoko na skałach Butki, a kto miał lepsze oczy, mógł zobaczyć i to, że ten ogień się rusza. Natomiast z tym świętym człowiekiem o imieniu Nikodem, którego owi dwaj młodzieńcy znaleźli w jaskini, zdarzyła się taka historia:

Pewnego wieczoru, było już późno, ktoś załomotał w okna karczmy w Ratosnyi. Wiktor leżał już w łóżku i dlatego trochę odczekał, bo a nuż ów późny gość pójdzie sobie. Lecz ten nie poszedł sobie, tylko wciąż łomotał. Na to w końcu Wiktor wstał z łóżka i w samej koszuli i gaciach, tak jak stał, podszedł do drzwi i otworzył je. Na zewnątrz była brzydka, deszczowa noc, już początek jesieni. W drzwiach sterczał jakiś starzec o zmierzwionej brodzie i łysej głowie. Wisiało na nim nie ubranie, a łachmany.

– Co potrzeba? – spytał Wiktor, karczmarz.

– Dachy nad głowę i palinki do brzucha – odpowiedział ten obcy brodaty mężczyzna, po czym odsunął Wiktora z progu na bok i wszedł do szynku. – Zapal kaganek, karczmarzu! – nakazał.

Wiktor zaczął kłócić się z tym obdartym starcem, że jest noc i o takiej porze każdy porządny człowiek śpi, lecz tamten wygrzebał z łachmanów dziesięcioforintowy banknot i podstawił go karczmarzowi pod nos.

– Na – rzekł – i przestań mleć ozorem! Bierz!

Wiktor wziął pieniądze i zapalił lampę w szynku. Jednym okiem nieustannie zerkał na mężczyznę, bo dziesięcioforintowy banknot u takiego oberwańca wydał mu się podejrzany. Na odgłos rozmowy wyszła z izby Anyiszia, żona Wiktora, i ona też przyjrzała się obcemu. Ten zaś siadł przy stole i tak zadysponował:

– Słuchaj, karczmarzu! Postaw mi tu na stół cztery litry palinki! Rozumiesz? Potem możesz iść spać. Pieniądze też możesz zatrzymać w całości. Bo to ja

podpaliłem dziewiętnaście domów, rozumiesz czy nie? Za wszystkich dziewiętnaście wymodliłem odpuszczenie, porządnie. Potem wziąłem w objęcia najpiękniejszą kobietę na świecie, a teraz umrę. No. Co się tak gapisz? Dawaj no tu cztery butelki palinki i wynoś się do diabła!

– To jakiś wariat – szepnęła Anyiszia do męża.

Wiktor wzruszył ramionami, przyniósł cztery butelki palinki i postawił je przed mężczyzną, po czym zostawił go, żeby sobie pił. Starannie zamknął za sobą drzwi i z powrotem położył się do łóżka. A rankiem, kiedy wstał i wszedł do szynku, znalazł tam tego człowieka rozłożonego na ziemi. Myślał, że śpi. Zaczął hałasować, wołać, ciskać się i tak dalej, tamten jednak ani drgnął. Podeszedł do niego, żeby go zbudzić, i wtedy zobaczył, że jest martwy. Nie wiedzieli nawet, kto to może być, bo go nikt we wsi nie znał. Lecz akurat tego samego popołudnia przyszedł ów młodzieniec od węglarzy, posłali go po kaszę kukurydzianą, i on tamtego rozpoznał. Był to ten pustelnik z jaskini, z Butki. Zawołali tam również wuja Minyę, bo wtedy stado rogacizny, latem i zimą trzymane pod gołym niebem, ściągnęło już z wysokich gór na dół, i on też tak powiedział: „To Nikodem, ten święty człowiek. Był u mnie raz i drugi”. I dlatego pochowali go tak, jak się godzi w przypadku człowieka świętego, na przykościelnym cmentarzu.

Ale owej płowowłosej czarownicy, która przepowiadała ludziom śmierć, więcej nie widziano tamtego lata na Funtinel. Jednak powiadają, że później, tak przy końcu jesieni, kiedy pewien dżentelmen z Budapesztu poszedł w góry z Ferim, strażnikiem leśnym z Ilvy, polować na niedźwiedzia, widziano dym unoszący się z koliby na Funtinel. O tym zajściu Feri tak opowiadał: dotarli na Funtinel, a z szafasu unosił się dym. Podeszli do koliby, bo chcieli tam przenocować. Był już wieczór. Tropili niedźwiedzia po wszystkich jarach Ilvy i liczyli, że przenocują na Funtinel, a niedźwiedzia ze Sztrug poszukają następnego dnia. Pan z Budapesztu poszedł przodem, Feri za nim. Pośrodku koliby płonął ogień i ktoś przed nim siedział w kucki, plecami do wejścia. Kiedy weszli, ten ktoś raptownie odwrócił się do nich. Ogień oświetlił twarz, a w niej oczy rozbłysły jak u żbika. Była to kobieta. Potargane płowe włosy sięgały jej poniżej ramion. Piękną miała twarz... lecz jej spojrzenie było tak dzikie, że obaj, i Feri, i ów pan, bezwiednie zawahali się.

– Wejdźże, obcy człowieku, wejdź! – przemówiła kobieta, a głos miała taki, że od niego ciarki przechodziły po plecach. – No wejdźże, przecież ja już od dawna czekam na ciebie. Chodźże tu! Przyjechałeś tą diabelską maszyną, prawda? I diabeł cię stąd też zabierze, widzę to w twoich oczach. Chodźże tu! Chyba się nie boisz?

Tak mówiła ta kobieta o płowych włosach, śmiejąc się przy tym. Ów pan z Budapesztu postąpił dalej i usiadł obok kobiety. Feri rozpakował prowiant, upiekł, co trzeba było upiec, wyciągnął wino i tak dalej. W tym czasie pan żartował z kobietą. Nawet i poklepywał ją, taki miał dobry humor. Poczęstował jedzeniem. Winem.

Kiedy zjedli, raptem tak się odezwał:

– Feri, jest kłopot. Skończyły mi się cygara. Dobrze by było, żebyś zszedł do Ilvy, do pana leśnika i przyniósł mi je tutaj. Mógłbyś przespać się w domu, a na górę wrócić rano.

Feriemu było to jak w sam raz, bo kiedy ruszali w drogę, krowa w domu była chora, i bardzo go już przez nią gryzła troska. Dlatego, niewiele się namyślając, wziął strzelbę i poszedł. Ów pan zaś pozostał w kolibie z tą kobietą.

Kiedy rankiem strażnik leśny przyszedł z powrotem na Funtinel, kolibę zastał pustą. Był tam plecak, przykrycia, wszystko. Jak to później sprawdzono, niczego nie brakowało. Ale pana nigdzie nie było. Feri usiadł i zaczął czekać. Czekał tak do południa. Lecz gość z Budapesztu nie wrócił i nie pokazała się też ta kobieta o płowych włosach. Wtedy Feri udał się na grzbiet Sztrug, żeby nasłuchiwać, jednak znikąd nie doleciał go ani żaden strzał, ani żaden krzyk. Feri wrócił więc do koliby i czekał tam do wieczora. Nikt nie przyszedł. No to rozpalił ogień i czuwał przy nim do świtu. Potem wrócił na dół do Ilvy i o całym zajściu powiadomił leśnika. Leśnik udał się na górę z psem i kilkoma ludźmi. Pies zaprowadził ich po tropie pomiędzy skały na Sztrug, akurat w to miejsce, gdzie

przed wieloma laty znaleziono tamtego juhasa, martwego. Leżał tam i ów gość z Budapesztu. Z rozbitą głową. Następnego dnia poszli tam i żandarmi, obejrżeli miejsce, zmarłego i wszystko, po czym tak stwierdzili: „To był nieszczęśliwy wypadek”.

Lecz w zimowe wieczory niektórzy szeptali do siebie: „To nie był nieszczęśliwy wypadek. To była czarownica”.

Trafiali się jeszcze tu i ówdzie tacy, co ją widzieli. W następnym roku, także wysoko na Funtinel, spotkał ją pewien gospodarz zagrody leżącej w odosobnieniu na Andrenyásza. Zdarzyło się to wiosną. Gospodarz ten wybrał się na stok Kóbor, żeby poszukać brzozy nadającej się na dyszel. Do domu wrócił późnym wieczorem, bez brzozy. Kiedy wszedł, był blady jak ściana. Rodzina akurat siedziała przy kolacji i gdy tak stanął pośród krewnych, ci ze zdziwieniem przyglądali się jego przerażonemu obliczu. Myśleli, że tam, wysoko w górach, gonił go niedźwiedź. Gospodarz z początku nic nie chciał powiedzieć. W końcu jednak wyznał później żonie, że na Funtinel spotkał płowowłosą czarownicę. Popatrzyła ona na niego i tak powiedziała: „Ty kiedyś, dawno temu, ukradłeś pewnej biednej dziewczynce sześć białych owieczek. Kara nie będzie się już długo odwlekać. Wpierw pozdychają ci owce, potem umrzesz i ty sam. Jeszcze w tym roku”.

Gospodarz pamiętał, że dawno temu, gdy on sam był jeszcze dzieckiem, jego ojciec rzeczywiście przyprowadził raz skądś sześć pięknych białych owieczek i powiedział, że są to jagnięta jakiejś dziewczynki, sieroty, i że będą je trzymać do czasu, aż wyrosnie trawa. I prawdą jest i to, że gdy dziewczynka przyszła po owieczki, on dał jej inne jagnięta. Mniejsze. To wszystko prawda. Ale czy to jest kradzież? I skąd mogła o tym wiedzieć owa kobieta tam na Funtinel?

Żona gospodarza starała się uspokoić męża, że to tylko takie gadanie i tak dalej. No oczywiście, że to nie kradzież. A zresztą kto słucha tego, co mówi jakaś wariatka? I gospodarz w końcu się uspokoił. Ale potem owce rzeczywiście zaczęły padać. Najpierw jedna. Na drugi dzień dwie. Na trzeci – cztery. Sąsiedzi tak mówili: „Gyurica, twoje owce mają motylicę”. Lecz mogli mówić, co tylko chcieli. Gospodarz zaczął się szykować na śmierć. Po trzy razy w tygodniu dawał na msze i świece do poświęcenia. Kiedy już i ostatnia owca mu padła, położył się do łóżka i on sam. I w ciągu dwóch tygodni zmarł.

Ludzie szeptali między sobą i żegnali się, gdy rozmowa schodziła na płowowłosą czarownicę, która mieszka gdzieś wysoko na Funtinel i sieje zagładę wśród mężczyzn.

Bywali jeszcze tacy, którzy czasem ją widzieli. Jak się kąpała przy pełni księżyca, w źródle na Funtinel. Raz jakiś juhas, kiedy indziej jeden węglarz albo młody drwal z Ilvy czy zabobonny strażnik leśny; każdego roku trafiali się ludzie, którzy ją widzieli. I przysięgali, że zamiast włosów zwisały jej z głowy złote węży i syczały na człowieka. Lub przysięgali, że naga dosiadała czarnego psa, że na jej ramieniu siedziała sowa albo że wokół jej głowy latały nietoperze. I ten, kto ją widział, jeszcze w tym samym roku umierał. Jeden tak, inny siak.

Nikt nie wiedział o niej nic pewnego, ludzie opowiadali, historia rozrastała się, każdy coś tam jeszcze dodawał do tego, co usłyszał, i przez długie, długie lata pochyleni ku sobie juhasi snuli przy ogniu niezwykle opowieści o czarownicy z Funtinel. W zimowe wieczory, kiedy na dworze wiatry ciskały śniegiem w okna domów, schowane na zapiecku staruszki szeptały o niej cudowne i straszne sekrety.

Wreszcie powodowani ciekawością ludzie zaczęli szukać owej czarownicy, jednak nigdzie jej nie napotkali. Jeśli mimo to ktoś twierdził, że ją widział, była to już raczej sprawa mętna i niepotwierdzona. Byli też tacy, którzy uznali, że trzeba by w końcu zapytać kogoś, kto może wiedziałby o tym coś więcej. I przychodził im na myśl wuj Minya i Dumitru Wilk. Lecz wuj Minya wtedy już dawno leżał w grobie, o Dumitru Wilku zaś garbaty Gyerkó, ten starowina znad Szalárd, tyle tylko umiał powiedzieć, że kiedyś dawno temu poszedł on na Dószul Fulgeruj, żeby tam na szczycie popatrzeć na mogiłę, w której leży Vénség, i więcej już nie powrócił. Prawdopodobnie umarł tam i on.

Lecz owe czasy dawno przeminęły. Dzisiaj nikogo już nie interesuje to, czy kiedykolwiek żyła na Funtinel czarownica i jaką historię ma ten czy inny próchniejący drewniany krzyż. Dzisiaj dolinę Maros wypełnia turkot pociągów i w ciszę lasu wdziera się wycie syren tartaków, a jeśli ktoś, idąc w pośpiechu od poręby do poręby, natknie się na taką jedną i drugą ukrytą polanę i ujrzy tam ruiny starego drewnianego domu, nie będzie tracił czasu na rozmyślanie o tym, kto ongiś mógł w tym domu żyć. Wiele dziwnych sekretów dawno pomarłych ludzi pokrył już mech, tak samo jak dawno temu mech zarósł ścieżki ich życia.

Niech ta książka będzie hołdem złożonym przeszłości, pamiątką minionych dni, drogowskazem w ludzkiej dżungli.

– Koniec –

